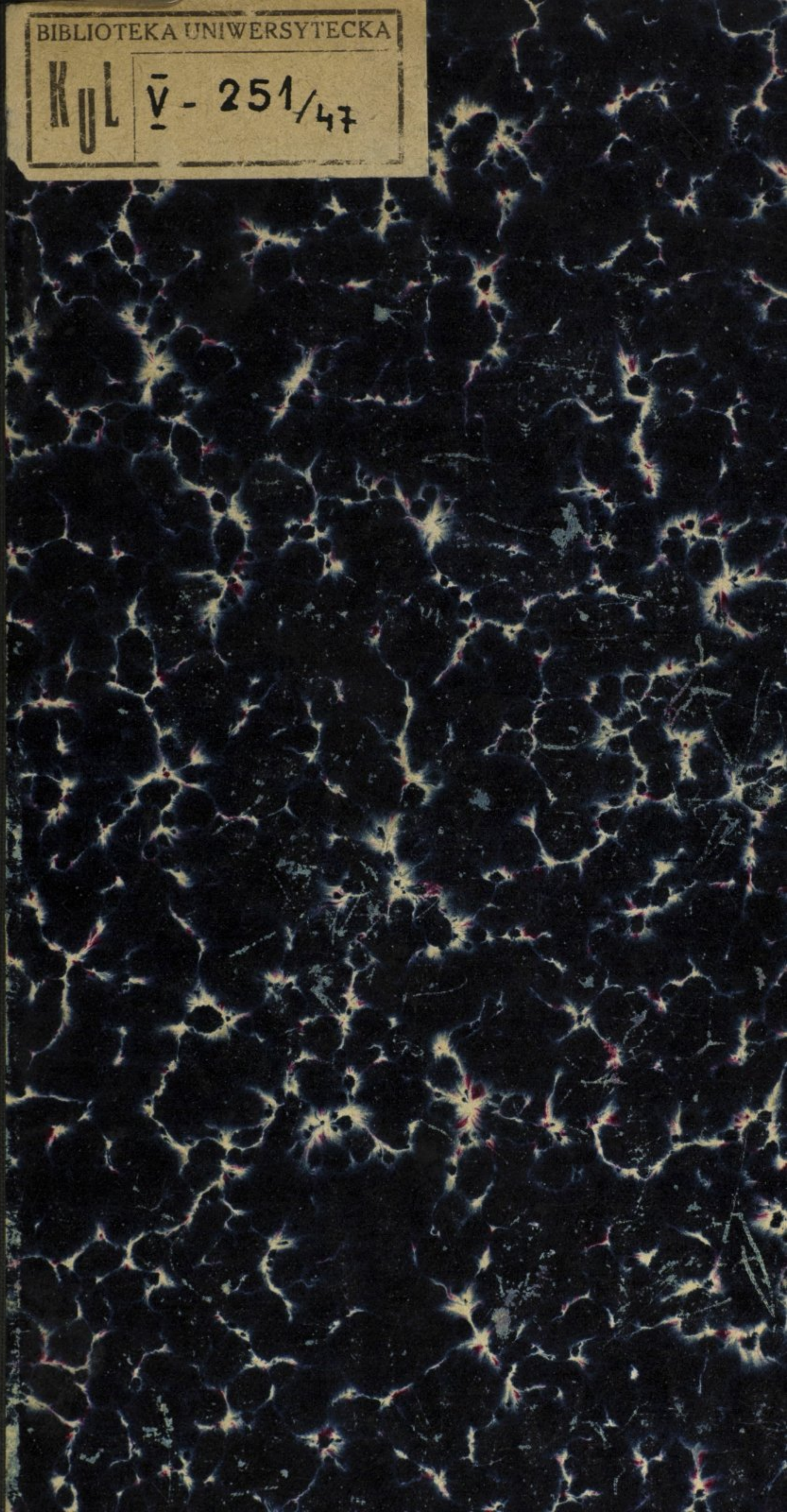
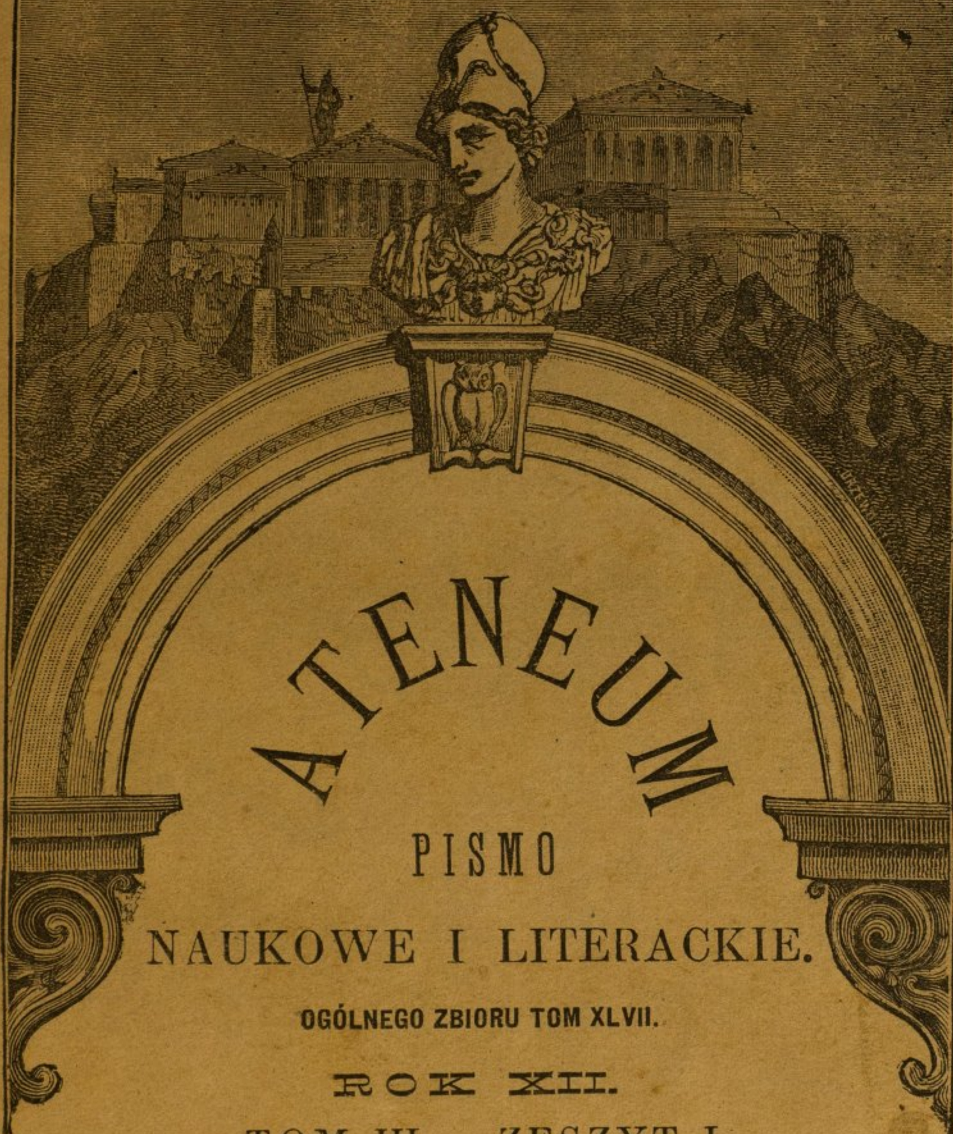

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
KUL
V̄ - 251/47



ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVII.

ROK XII.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

—

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Lipca 1887 r.

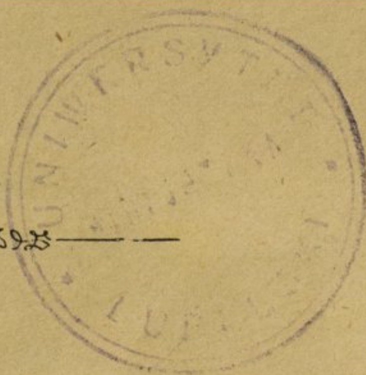
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1887.

TOM III.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLVII.



WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1887.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Августа 1887 года.

SPIS RZECZY.

I. RZECZY SPOŁECZNE I SPÓŁCZESNE.

2. NAUKI PRZYRODNICZE.

3. FILOZOFIA.

4. LITERATURA.

Str.

5. BELETRYSTYKA.

6. HISTORYA.

7. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W ANGLII.

III. POWIEŚĆ PSYCHOLOGICZNA.

1. Mrs. Oliphant.

Kiedy w roku 1880 podobno ukazała się powieść p. t. „The Greatest Heiress in England“, krytyka miejscowa, na którą oglądać się muszę z głębokiem uszanowaniem, wyrzekła wielkie słowa. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, pani Eliot wywołaną została ze świeżego grobu, w któréjś z najpoważniejszych recenzyi, a sam Balzac w drugiéj. Czy ta to ewokacya uroczystych cieniów stała mi się pobudką do wydzielenia szanownéj autorce, o któréj mam mówić, osobnego miejsca pośród spółczesnych „Sybil“? Mimo całego wyżéj wyrażonego uszanowania, chcąc powiedziéć prawdę, muszę odpowiedziéć, że nie koniecznie. Tak jest, mniemam, iż Mrs. Oliphant zasługuje na lepszy traktament, jak na zapodzianie jéj osoby w tłumie *clergymen*'owych córek, budujących i ewangelizujących publiczność angielską dwa razy do roku swojemi homiliami w trzech tomach— ale nie dla tego, że napisała „The Greatest Heiress in England.“ Mniemam, iż jest w jéj powieściach to *coś więcéj*, czego szukaliśmy napróżno w powieściach Miss Rhody Broughton, więcéj nad tuzinkową intrygę, drobiazgową notacyą szczegółów i jaki taki wdzięk obrazowania; więcéj nad to nawet, co daje się znaleźć u takiego niezaprzeczenie utalentowanego pisarza, jak William Black. Są *charaktery* przedewszystkiém, w miejscu figur i figurantów. Jest rzut oka na wielką zagadkę duszy ludzkiéj, dziwnie przenikliwy czasem, a z niepospolitym wyzyskany artyzmem. Jest filozoficzna i artystyczna tendencya w kierunku całkiém osobnego rodzaju powieściowego, zbliżonego wielce do maniery przeważającéj u spółczesnych powieściopisarzy francuskich. Ale nie zdaje mi się by-

najmniéj, aby historya „Największéj partyi w Anglii“ była arcydziełem w tym rodzaju, ani nawet arcydziełem dotychczasowéj twórczości pani Oliphant. Uczynię zresztą zaraz czytelnika sędzią w téj sprawie.

John Trevor jest prostym nauczycielem wiejskim, który niespodzianie znalazł się na starość panem wielkiego majątku. Brat jego żony, który wywędrował do Indyi, odkrył tam jakąś kopalnię złota. John Trevor, w bogacza przemieniony, nie zmienił swojego trybu życia. Typ to skąpca, ale skąpca racyonalnego, bo właściwie nie skąpi on sobie niczego, coby mu mogło sprawić przyjemność; tylko że te przyjemności, których zwykle fortuna dostarcza, nie mają dla niego ponęty. Osobom, które go pytają, dla czego nie trzyma powozów, odpowiada, że nie wyjeżdża nigdy z domu, a zresztą wyglądał by śmiesznie w karecie. Dla czego niema tuzina lokajów? Dla tego, że nie może cierpiéć ich widoku, nawykł do usługi niewieściéj i nie znosi innéj. Nawykł on tym sposobem do wielu rzeczy odpowiadających dawnemu jego stanowi i mniema, że w siedmdziesiątym i którymś roku życia za późno dlań myśléć o przyzwyczajaniu się do nowego stanu. Jest przecie jedna przyjemność, któréj narzędziem są mu posiadane miliony i któréj używa on z rozkoszą, namiętnie, a mianowicie obracanie temi milionami i pomnażanie ich liczby. I druga przyjemność: rozmyślanie o tém, co się stanie z temi milionami po jego śmierci i jak używać ich będą mogły inne, młodsze ręce. W poczuciu własnéj bezsilności w tym względzie, przywiązuje się on całą duszą do tego pośmiertnego użytkowania, ale chce miéć w niém udział antycypowanym sposobem, i to udział jak największy. Chęć jego wzrasta w tym kierunku z dniem każdym i wyobraźnia jego wysila się na powiększenie tego sztucznego uczestnictwa. Posiada on córkę, która będzie „największą partyą w całéj Anglii“, która będzie miała u swych stóp wszystkie uciechy tego świata, która będzie mogła ich używać, która *powinna* ich używać za siebie i *za niego*, ale nie inaczéj tylko w sposób przewidziany przezeń z góry i zastrzeżony w uroczystym dokumencie, którego redakcya jest zadaniem wszystkich godzin jego dogorywającego życia.

Pisze on testament i pracuje nad nim dni całe i noce całe bezsenne. Przekształca go ciągle i mnoży bezustannie paragrafy i kodycyle, dopóki niespodziany atak paraliżu nie wyrywa mu pióra z ręki.

Nie byle kto, oczywiście, skreślił ten portret, i nie cofnę się przed uznaniem, że można w obec niego przypomniéć sobie Balzac'a bez zrobienia krzywdy Balzacowi. Tylko niepodobna jedno-

cześnie nie pomyśléć o tém, co wielki powieściopisarz francuski byłby zrobił z taką postacią. To pewna, że nie byłby z niéj zrobił *wstępu* do powieści, że nie byłby się zadowolnił naszkicowaniem jéj konturów, że byłby postarał się o wprowadzenie jéj w grę życiowych stosunków, o zetknięcie jéj z otaczającym światem i uwydatnienie wywołanych w ten sposób reakcyi....

Mrs. Oliphant nie pomyślała o niczém podobném; albo jeżeli pomyślała, to rozstała się zaraz w drugim czy trzecim rozdziale ze swoim pomysłem (jak to się jéj często zdarza); uśmierciła starego *Johna Trevora* i zaprzątnęła się, bez podziału, losami jego spadkobierczyni. Testament, o którym wspomniałem poprzednio, rozporządził temi losami w sposób dość dziwaczny. Siedmnastoletnia *Łucya Trevor* pozostać ma przez lat siedm pod opieką konsorcyum złożonego z siedmiu osób należących do najrozmaitszych klas społeczeństwa; spędzać winna połowę roku w Londynie, u *lady Randolph*, która odkryła jakoweś pokrewieństwo między własną arystokratyczną rodziną a plebejuszowską rodziną *Trevorów*, drugą zaś połowę w rodzinném *Farafield* i pod skromnym dachem małżonków *Ford*'ów, u których mieszkał jéj ojciec. Nakoniec, aż do wyżéj oznaczonego terminu przyzwolenie wszystkich siedmiu jéj opiekunów niezbędném jest dla upoważnienia jéj do wejścia w stan małżeński. Stary *Trevor* sam przypuścił, iż urzeczywistnienie téj ostatniéj klauzuli równa się prawie absolutnemu niepodobieństwu.

Oczywiście, przypuszczając ze swéj strony podobną kombinacyą, któréj prawdopodobieństwa roztrząsać nie chcę (wszystko jest mniéj lub więcéj możliwém w tym rodzaju rzeczy, nawet rzeczy nieprawdopodobne), Msr. Oliphant zamierzyła „eksperyment“ *à la Goncourt*. Zamierzyła pokazać, jak się te dwa światy, tak od siebie różne, wielki świat londyński i mało-miasteczkowy, Farafieldski, zachowają w obec wyzwania rzuconego sobie przez starego *Trevora*; wyobraziła sobie i obiecała sobie wyobrazić przed nami walkę różnorodnych pożądliwości, roznamiętnionych dokoła rzuconego pomiędzy nich, ale własnym ich antagonizmem zazdrośnie strzeżonego łupu. Zamierzyła niezawodnie to wszystko, jak byłby zamierzył Balzac, jak byłaby może zamierzyła pani Eliot, gdyby się była zaawanturowała w takie przedsiewzięcie, — ale, mając jeszcze przed sobą półtora tomu, nie zrobiła nic z tego wszystkiego, albo prawie nic.

Łucya Trevor jedzie do Londynu z lady *Randolph*, ale ponieważ jest w żałobie po ojcu, przeto nie zapoznaje się ze światem stołecznym, co może być wymówką zadawalniającą dla logiki, ale nie dla naszych wymagań względem powieści i usprawiedliwionych

oczekiwań. Boć nic nie przeszkadzało autorce *przeczekać* żałobę. Dość trywialna, bo oklepana (zwłaszcza w angielskiém powieściopisarstwie) awantura z młodym poetą, który przypisuje jéj pierwszy owoc swych natchnień i kompromituje ją tą niedość wstrzemięźliwą dedykacyą; oto wszystko, co nasza posażna jedynaczka wywozi z sześciomiesięcznego pobytu w stolicy, po którym czeka ją sześciomiesięczna wilegiatura w *Farafield.*

Nic zabawniejszego — zapewnia nas autorka — jak to raptowne przejście z jednéj sfery w drugą i wywołane niém kontrasty. Być może. Ale chyba wypadało *pokazać* nam to zabawne widowisko, ujawnić przed nami te kontrasty. Owóż autorka w części tylko, w bardzo skromnéj części dokonała tego zadania, spuszczając się zresztą na naszą wyobraźnię, co pochlebiać nam może, ale nam nie wystarcza. Nowa, trywialniejsza jeszcze awantura z „tłustym“ jurystą (siostrzeńcem pani *Stone*, jednéj z opiekunek), okraszona wprawdzie dość komicznemi oświadczynami ambitnego dżentlemana, doprowadza nas do końca Farafieldskiéj wilegiatury, do końca drugiego tomu i do końca powieści. I co daléj? Nic, koniec. Zjawia się nieunikniony kuzyn, w postaci dojrzałego (koniecznie *dojrzałego*, u pani Oliphant także) siostrzeńca lady *Randolph*, który perswaduje zakłopotanéj *Łucyi*, że najlepiéj zrobi ona uwalniając się od wszystkich kłopotów, od kompromitującego poety i od „tłustego“ jurysty, oddając jemu samemu swoję rękę.

— Ale czyż muszę koniecznie oddać moje rękę komuś? — pyta *Łucya.*

— Koniecznie — odpowiada *sir Randolph* — chyba, że chcesz pani przedłużać do końca życia ten turniéj posagowy.

I sprawa załatwiona. A przyzwolenie siedmiu opiekunów? Czy zgodzą się oni wszyscy na osobę *lorda Randolpha*? Muszą, bo inaczéj powieść miałaby co najmniéj trzy tomy, a powinna miéć tylko dwa. Godzą się wszyscy. Nawet nie każą się prosić bardzo. Zabrakło by miejsca na dłuższe ceregiele z ich strony.

Taką jest powieść p. t. „The Greatest Heiress in England“; rozpoczęta znakomicie, jak wiele innych tém samém piórem skreślonych, i jak wiele innych, jak wszystkie prawie, imię Mrs. Oliphant noszące na okładce, zawodząca czytelnika. Gorzéj od innych może, bo więcéj obiecująca od innych. Jest to materyał do powieści raczéj jak powieść, z bogactwem artystycznych motywów nie wyzyskanych należycie, porzuconych bez odpowiedniego wykończenia, zmarnowanych po prostu.

Ale zacząłem od wyrażenia przekonania, że „The Greatest Heiress in England“ nie jest arcydziełem Mrs. Oliphant. Mrs. Oli-

phant napisała dużo powieści; za dużo; są bowiem pomiędzy niemi takie, w których stanowczo doszukać się nie można nawet zmarnowanego artystycznego materyału; ale napisała między innemi, i to w ostatnich czasach, powieść p. t. „Hester.“ Powieść ta nie miała i nie ma dotąd wielkiego powodzenia. Nie dziw, jest jéj trzy tomy— i trzy tomy śmiertelnie nudne. Zacząć mi wypada od stwierdzenia tego faktu.

Między odwiecznemi instytucyami miasteczka *Redborough* — drugiego *Farafield*—znajduje się bank pod firmą *Vernon*, bank prywatny, ale w ustaloném pośród okolicznych hrabstw pojęciu, ustępujący pod względem *solidności* jednemu Bankowi Angielskiemu. Zdarza się atoli na wstępie powieści, że aktualny reprezentant firmy *John Vernon*, wdaje się w awanturnicze spekulacye i ucieka ostatecznie, zostawiając szanowną instytucyą na brzegu przepaści. Szczęściem posiada on siostrę, *Katarzynę Vernon*, starą pannę, która w téj krytycznéj chwili okazuje się kobiétą mężnego serca i dzielnéj głowy. Realizuje ona bez wahania cały swój fundusz, stawia czoło wierzycielom i wychodzi zwycięsko z walki. Ocalony przez nią bank kwitnie pod jéj kierunkiem do chwili, w któréj powierza go ona dwom swoim synowcom. Wtedy zdarza się znowu, że jeden z nich, *Edward*, wdaje się w awanturnicze spekulacye, ucieka i tam daléj, jak wyżéj. W téj krytycznéj chwili Katarzyna Vernon okazuje się drugi raz kobiétą mężnego serca i dzielnéj głowy; stawia czoło wierzycielom i tam daléj, jak wyżéj. Ale, że tymczasem doszliśmy do końca trzeciego tomu, więc po tym drugim heroicznym czynie *Katarzyna Vernon* umiera i powieść się kończy. Bo inaczéj ocalony przez nią bank byłby zapewne powierzony przez nią trzeciéj generacyi, w któréj znalazłby się może nowy awanturniczy spekulator, i usłyszelibyśmy po raz trzeci historyą o czapli na wysokiéj desce....

Naczytałem się w tych czasach dużo nudnych powieści; czytelnik powinien mi dać wiarę w tym względzie; spotkałem pewną liczbę nudniejszych, ale nie wiele. Mrs. Oliphant zamierzyła i tym razem napisać powieść, któréj nie napisała. Stawszy się głową rodziny wykupionéj przez się od ruiny i hańby, *Katarzyna Vernon* spełnia swoje zadanie w całéj jego rozciągłości. Między innemi dobroczynnemi przedsiewzięciami, obmyśla założenie domu schronienia dla zubożałych członków tejże wielce rozgałęzionéj rodziny. (Wcale udatnym jest opis malowniczego wnętrza téj instytucyi). Między innemi zaś gośćmi tego przybytku, zjawia się własna żona pierwszego marnotrawnego reprezentanta firmy, pani *John Vernon*, z córką *Hesterą*. Chciała oczywiście Mrs. Oliphant, w osobie téj

tytułowéj bohaterki, przedstawić obraz spadkowego przelewu charakterystycznych rysów moralnych; chciała naprzeciwko staréj *Katarzyny Vernon* pokazać pod innóm imieniem młodą *Katarzynę* z temi samemi znamiennemi cechami umysłu, serca i temperamentu, i naturalnie zetknąwszy je z sobą, wystawić naturalny, prawdopodobny, konieczny prawie antagonizm tych dwóch z jednego kruszca w téj saméj formie odlanych, ale mimo tego, a może dlatego właśnie przystać do siebie niemogących istot. *Chciała*, ale znowu poprzestała na dobréj chęci. Na projektowane niezawodnie uwydatnienie charakteru *Hestery* zabrakło miejsca w trzecim tomie; projektowane zaś nie mniéj niezawodnie starcie między dwoma charakterami pozostało w projekcie.

Zabałamuciła się raz jeszcze szanowna autorka zbieraniem na prawo i na lewo mniéj lub więcéj interesujących szczegółów, i tak, nie opamiętawszy się, dobiegła do końca 3-go tomu. Ale... ale zdążyła po drodze wykończyć portret *Katarzyny Vernon*, a ta próbka jéj pędzla jest kreacyą, któréj nie waham się przeznaczyć miejsca między najdoskonalszemi we współczesnéj powieściowéj galeryi. Drugiego tak wybornego, tak misternie w najdrobniejszych rysach oddanego typu kobiéty szlachetnéj, ale twardéj—twardéj dla siebie i dla drugich — rozdającéj dobrodziejstwa, ale zimną jak lód ręką, i dlatego niecierpianéj mimo swych dobrodziejstw, spotykającéj się na każdym kroku z niewdzięcznością ludzką, po części z własnéj winy, z winy brakującego w jéj psychicznym ustroju *sympatycznego* owego *pierwiastku*, szukanego wszędzie przez panią Eliot i dlatego pełnéj pogardy dla ludzkości, — drugiego takiego typu nie przypominam sobie w żadnéj ze spółczesnych literatur. Pod koniec życia daje *Katarzyna Vernon* przystęp pewnéj słabości do zamkniętego na kłódkę serca: *Edward Vernon* staje się jéj ulubieńcem; ale ta miłość ciotki, zimna zawsze, trochę pogardliwa zawsze, a tyrańska, zazdrosna i nic nie przebaczająca, skłania właśnie trzymanego na pasku ulubieńca do szukania ucieczki w karkołomnych awanturach i przyprawia go o zgubę. Rys i to wybornie uchwycony. Ach! gdyby Mrs. Oliphant mogła choć raz w życiu *skupić* swój talent i pozostać jego panią—chociażby tylko przez długość jednego tomu.

Wspomnę chętnie obok portretu *Katarzyny Vernon* o sąsiadującym z nią w téj saméj powieści konterfekcie mis *Emmy Ashton*. Sylwetka to tylko, ale przewyborna sylwetka prostodusznéj mis, pozbawionéj urody i posagu, zapóźnionéj w panieńskich latach i „szukającéj okazyi“ — do zamążpójścia ma się rozumiéć. Jak ona szuka! Jak szuka! Z jaką naiwną dezinwolturą, rezolutnością i pogardą dla przesądów! Z jakim naiwnym cynizmem!

— „Pięknie to brzmi mieć na imię „*Miss Ashton*“, moja droga Hester, ale wolałabym abyś mnie nazywała Emmą po prostu. Kiedy mówisz: *Miss Asthon*, zdaje mi się jak gdybym była czyjąś guwernantką. A byłam prawie. Jest nas liczna rodzina, wiész, ośmioro sióstr, a bez grosza. Ani wiem, jak potrafiłyśmy wyrość wszystkie. Dzięki *Elinorze* podobno; ona jedna umiała dać radę sobie z papą. Teraz wszystkie poumieszczały się jako tako, oprócz mnie jednéj. *Elinor* i *Bee* poszły za mąż wcale dobrze i *Kate* nieźle także, ale musiała jechać aż do Indyi. Reszta miała dopomagać mi wspólnemi siłami; ale to zła sprawa. Ile ich jest, każda dba o to tylko, aby pozbyć się ciebie najtańszym kosztem a obarczyć tobą drugich. Ja nie chciałam nigdy przykładać ręki do tych kombinacyi. Pilnowałam się zawsze kolei. Nie, moja droga *Bee*, mówiłam, teraz koléj na ciebie. Gdzie mnie podziejesz, to mi wszystko jedno (bo nigdy nie robiłam z tém żadnego ambarasu; kiedy się robi ambaras, ma się służących przeciwko sobie); mogę spać gdziebądź, ale musisz pilnować się kolei. *Elinor* nie będzie mnie miała na swoich plecach przed czasem, z mojéj winy — ale rezultatem tego wszystkiego było to, że o mało nie poszłam na guwernantkę.

„— Byłoby to z pewnością lepszym losem—być niezależną!— rzekła *Hester*.

„— Tak, w pewnéj mierze. Zarabiać trochę pieniędzy ładna rzecz,—ale psuje to twoje szanse. Psuje, wątpienia niema. Ludzie mówią że nie, kiedy chodzi im o to, ażeby się pozbyć ciebie tym sposobem, ale tak jest, psuje bez kwestyi, a że wszystkie moje siostry wyszły za mąż tak dobrze, naturalnie nie chciałam nic zrobić dla popsucia mojéj własnéj szansy....“

Wkrótce po téj rozmowie *miss Emma* odwiedza kuzynę *Katarzynę* i po wymianie kilku komplementów, kieruje znowu rozmowę do małżeństwa, jako do najwięcéj zajmującego tematu. „Boć oczywiście każda dziewczyna wybiera się pójść za mąż.“— „Czy jest co podobnego w projekcie?“—pyta kuzyna *Katarzyna*. *Miss Emma* przyjmuje wdzięcznie to pytanie. „Było by to tak przyjemną rzeczą mieć kogoś takiego, jak kochana kuzyna, dla obgadania całéj sprawy, gdyby było coś podobnego w projekcie. Bo z pewnością kochana kuzyna miałaby coś do powiedzenia o wyprawie i o wszystkiém. Ale niestety, niema nic podobnego.“

„— Kochana kuzyna wié jak ze mną było dotąd. Miałam tak mało szansy! *Elinor* wyprowadzała mnie czasem w świat, ale rzadko, i chodziło jéj zawsze więcéj o własną zabawę, jak o dopomożenie mi do porobienia znajomości. Ze strony zamężnéj siostry, to nieładnie; tak myślę, a kuzyna? Skoro zaś mówimy o tém, jestem

pewną, że kochana kuzyna nie odmówi mi pomocy w tym względzie. Dziadzio nie chce słyszéć o niczém. Prosiłam tego dżentlemana, któregośmy spotkały tutaj razem z Hesterą we drzwiach— *Edward* mu na imię, podobno — ale zdaje się, że nic z tego nie wyszło.... A właśnie jest wieczór tańcujący u siostrzenicy kochanéj kuzyny—*Mrs Merridew* jéj na imię podobno—i nie chciałabym stracić szansy, która się tam może trafić. Nie wątpię, iż kochana kuzyna mogłaby miéć zaproszenie dla mnie w jednéj chwili, gdyby chciała.“

Kochana kuzyna tłómaczy, że są jakoweś powody nieporozumienia między nią a *Mrs. Meridew*....

„— Wszystko to być może — odpowiada mis Emma — ale kochana kuzyna wié, że kochana kuzyna jest głową rodziny i kochana kuzyna ma pieniądze, i gdyby nieszczęście, jakie im się trafiło, wszyscy, ile ich jest, musieliby przyjść do kochanéj kuzyny z prośbą o pomoc, i gdyby dziś kochana kuzyna rzekła: życzę sobie tego, z pewnością żadne z nich nie ośmieliłoby się odpowiedziéć odmownie. Najgłupsza istota w świecie musi być przekonaną o tém!“

Kuzyna Katarzyna ulega zwycięskiéj sile téj przekonywającéj logiki; ale mis Emma źle jéj się wywdzięcza; nie trafiwszy bowiem żadnéj „okazyi“ w *Rodborough*, odjeżdża do Londynu i spotyka się w pociągu z uciekającym do Ameryki *Edwardem*, który oświadcza gotowość zabrania jéj z sobą. Zaczém w kilka dni późniéj pisze ona do brata:

....„Wiesz, kochany Rolandzie, iż będąc najmłodszą z rodzeństwa i bez stałego miejsca zamieszkania, uważałam zawsze za pierwszy mój obowiązek znaleść jakoweś postanowienie. Pomyślawszy tedy godzinę czy dwie nad propozycyą Edwarda, a widząc go tak niecierpliwym względem przyjścia do ostatecznéj mety (w czém zwykle dżentlemeni okazują się tak powolnymi), osądziłam, iż najlepiéj zrobię przyjmując propozycyą. Pobraliśmy się przed *registrar*'em na Holywood Street, Trentham Square, ale Edward zapewnia, że małżeństwo to równie legalne jak w kościele“.......

Proszę zauważyć, że *miss Emma* nie jest jedną z flirtujących *misses*, z personelu mis Rhody Broughton. Nie, flirt nie należy do jéj maniery, jak sama gdzieś oświadcza. Chociaż okolicznościowo należyć on może do osobistéj maniery pani Oliphant. I wtedy nie obawiają się jéj bohaterki niczyjéj konkurencyi.

Harry Joscelyn—w powieści tenże sam tytuł noszącéj —poróżniwszy się ze swoją rodziną, opuścił Anglią i zawędrował do włoskiego miasta portowego....

Godzi się zauważyć, przy sposobności, że wyobraźnia spółczesnych powieściopisarek angielskich coraz częściéj wędruje w ten sposób za morze, razem ze swymi bohaterami. Nie dziw! zabraknie niedługo na całéj przestrzeni trojga królestw jednego kąta niewydeptanego przez tychże bohaterów; jednego kurnika nieopisanego ze wszystkiemi kurami znajdującemi się w środku.

Dostawszy się tedy do *Livorno*, *Harry Joscelyn* znalazł tamże przytułek u miejscowego wice-konsula angielskiego, pana *Bonamy*, ożenionego z włoszką, owdowiałego i posiadającego córkę jedynaczkę, *Ritę*, dobrą i piękną jak anioł. *Harry Joscelyn* pracuje w biurach wice-konsulatu i uczęszcza do gościnnego domu swego pryncypała; ale jednego dnia spostrzega się, że spotkało go wielkie nieszczęście: zakochał się w pięknéj *Ricie*, wielce skłonnéj do *flirtu* (i to do bardzo niebezpiecznego, bo skomplikowanego z angielsko-włoskiego *flirtu*) i zapomniał się do tego stopnia, że wybąkał coś o zabraniu z sobą młodéj wice-konsulówny do Anglii....

Harry Joscelyn jest młodzieńcem pełnym szlachetności i honoru. Bez majątku, bez imienia nawet, bo przybył do obecnego miejsca schronienia pod przybranem nazwiskiem *Izaaka Olivera*, nie może myśléć o połączeniu się z *Ritą*. Zawdzięczając cały swój byt teraźniejszy jéj ojcu, jeszcze mniéj myśléć mu wolno o bałamuceniu jéj. Bez wahania przeto udaje się nazajutrz do tegoż pokrzywdzonego przez się ojca, wyznaje wszystko i oświadcza gotowość wyrzeczenia się swego urzędu i pobytu w *Livorno*, zapewniając jednak, że *Rita* nie zrozumiała wcale kompromitujących słów przezeń wypowiedzianych, on sam zaś nie wié jak przyszedł do ich wypowiedzenia i wogóle do uczucia, które mu je podyktowało. „Nigdy pierwéj nie trafiło mu się coś podobnego.“

Harry Joscelyn jest niezłym, choć niewątpliwie wyidealizowanym typem prostodusznego, uczciwego i dzielnego młodzieńca angielskiego, z sympatyczną mieszaniną naiwności i męskości w bujnéj naturze wyspiarskiéj.

P. wice-konsul słucha niespodziewanéj spowiedzi z przestrachem i zgrozą; ale rozbrojony po chwili otwartością i jawną uczciwością winowajcy, zatrzymuje go w swojém biurze; tylko, na własne jego zresztą żądanie, oddala go od dotychczasowéj zażyłości z piękną *Ritą*. *Harry Joscelyn* przestaje być tak częstym, jak pierwéj gościem w domu wice-konsula. Na nieszczęście, niespodziany żywioł miesza się w załatwioną tym sposobem sprawę, a mianowicie włoski temperament pięknéj *Rity*. Będąc przez pół włoszką, *Rita* jest kapryśną (angielki same nie są nigdy kapryśnemi, przynajmniéj w powieściach Mrs. Oliphant), będąc kapryśną, Rita objawia nagle

nie ulegającą żadnéj perswazyi chęć zobaczenia napowrót przystojnego młodzieńca (który notabene ocalił ją od groźnego niebezpieczeństwa, w pewnéj dramatycznéj przygodzie), będąc zaś jedynaczką, robi co chce z ojcem i po niejakim czasie *Harry Joscelyn* wraca w gościnne, ale pokus i zasadzek pełne progi. Wraca, pełen wyższych postanowień, zimny, sztywny, rachujący się z każdém spojrzeniem i z każdém słowem, ale tém samém drażniący bezwiednie młodocianą żywość nieszczęsnego włoskiego temperamentu. Trzebaż jeszcze, aby letnia a upajająca noc włoska nastręczyła się nie w porę ze wszystkiemi swemi narkotykami. Broniąc się heroicznie przed natarczywą Ritą, nie wiedząc gdzie się podziać przed jéj wyzywającemi spojrzeniami, biedny *Harry* uciekł do ogrodu; ale znalazło się okno otwarte na ogród i *Rita* usiadła przy niém.

„— Panie *Oliver*, słyszę od ludzi, że wasze tam nocy letnie w Anglii daleko rozkoszniejsze jeszcze od naszych. Słyszę o tych długich, długich zmrokach wieczornych.... Czytałam nawet o nich dużo; ale zrozumiéć nie mogłam. Pan mnie powiedz....

„— Nie myślę — odrzekł Harry, siląc się na słowa, które mu dławiły gardło—aby mogło być coś rozkoszniejszego od wieczorów tutejszych.

„— Ale jest różnica, powiada mi pan. Wiesz pan, że nie mam nigdy być w Anglii — dodała żałośnie — chociaż pamiętam co mi pan powiedziałeś, żebyś nie lękał się wziąć mnie z sobą. Dlaczego powiedziałeś pan to, panie *Oliver*? Ale może zapomniałeś pan, żeś powiedział?

„— O nie! nie zapomniałem.

„— Nie chciałeś pan ani wtedy, ani nigdy wyrazić się jaśniéj; ale rada jestem, że przynajmniéj nie zapomniałeś pan. A właśnie papa odszedł, więc możemy mówić o tém. Papę gniewa zawsze, kiedy mówię o Anglii. Więc powiédz mi pan—powiédz prędko—jak to było, że myślałeś pan, że mogłeś to zrobić bezpiecznie. Ach! jakbym chciała żebyś pan mógł!... Nie odpowiadasz pan? Czy to dobrze i grzecznie? Obudzasz pan moje oczekiwania, a potém nie można wydobyć od pana jednego słowa. Myślałam o tém ciągle temi czasy i ciągle pytałam saméj siebie, czy mi pan powiész. Jakby to mógł p. *Oliver* zrobić, ażeby zabrać mnie do Anglii bez niebezpieczeństwa....“

I tak daléj przez dziesięć kartek. Naturalnie na dziesiątéj kartce rozmowa przychodzi do przesilenia, a przesilenie kończy się małżeństwem. *Harry Joscelyn* zabiera *Ritę* do Anglii, bez najmniejszego niebezpieczeństwa i godzi się ze swoją rodziną. Naturalnie na końcu drugiego tomu. Może było nadto dwóch tomów dla opo-

wiedzenia téj historyi; ale założyłbym się prawie, że pisząc pierwszy rozdział Mrs Oliphant miała inną historyą w myśli, którą, swoim zwyczajem, zapodziała gdzieś w drugim czy trzecim rozdziale. Jest w tym pierwszym rozdziale opis „Białego-Domu“, staréj, zrujnowanéj rezydencyi zubożałych *Joscelynów*, który zdał mi się wstępem do powieści obyczajowéj, w rodzaju „Młyna nad rzeką Floss“, i mistrzowskim wstępem. Polecam go amatorom. Ale potém pojechaliśmy do *Livorno*, i zobaczyliśmy się napowrót z Białym Domem“ dopiero w ostatnim rozdziale.

Z ostatniemi trzema tomami wydanemi przez się, Mrs Oliphant zapędziła się osobiście daleko daléj jeszcze jak do *Livorno*, bo w nowe dla siebie całkiem i jéj talentowi tak obce jak tylko można okolice. „*The Wizard's son*“ jest z jéj strony ustępstwem pewnemu od wczoraj w powieściopisarstwie angielskiém zaaklimatyzowanemu kierunkowi, który polega na wyborze przedmiotów dziwacznych, tajemniczych, większy związek z hermetyką i innemi tego rodzaju naukami mających, niż z literaturą. Stary Wilke Collins rzucił się z całą swoją młodzieńczą energią na tę drogę i Mrs Oliphant wzięła przed się ubiedz go na niéj. O ile jéj się to udało, nie jestem w stanie rozsądzić. Jakimkolwiek atoli być może zysk jéj osobisty w tém przedsięwzięciu, nas przyprawiło ono z pewnością o stratę jednego bodaj ładnego wstępu do jednéj więcéj niedopisanéj powieści.

Talent to, bądź co bądź, wielki ale nie dojrzały i nie obiecujący już dojrzałości. Być może, iż, pisząc tak wiele powieści, Mrs Oliphant nie dopuszcza przez to samo swych artystycznych zasobów do właściwéj pory. Ale dla czego pisze ich tak wiele? Wspomniałem tu o trzech tylko, a jeszcze bym jedną z nich darował bez dalszéj pretensyi Tauchnitz doliczył się ich trzydziestu w jednym ze swych katalogów. (Ten Tauchnitz nie ma litości). Prawda, że są pomiędzy niemi takie, które należą do innego rodzaju jak rodzaj psychologiczny i do innego jeszcze jak rodzaj enigmatyczny wypróbowany w „*The Wizard's son*“, do wszystkich rodzajów potrosze. Może też znajdę sposobność powrócenia do nich gdzieindziéj, a jeżeli nie znajdę, rachuję na wyrozumiałość czytelnika. Obecnie pilno mi do innego przedstawiciela (wyłącznego jak dotąd uprawiacza) rodzaju psychologicznego, którego zresztą tylko przez należną płci pięknéj grzeczność, położyłem na drugim miejscu w tym rozdziale.

2. **Jerzy Moore.**

„A Mummer's Wife“ jest uderzającym utworem, dobrze napi-„sanym, niemiłym do czytania, realistycznym... Charakter kobiety

„stanowi studyum prawdziwéj potęgi pełne; wędrujący aktor, aczkol-
„wiek mniéj oryginalny, jest wykończoną także postacią. Biorąc ko-
„bietę pospolitą z niższéj warstwy średniego stanu, dla któréj religia
„jest tylko przesądem, miłość tylko namiętnością, i śledząc normalny
„proces rozwojowy, który ją przekształca z kolei w śpiewaczkę ope-
„ry komicznéj i w pijaczkę—kobietę bez inteligencyi, wykształce-
„nia, zasad albo jakiegokolwiek silniejszego uczucia—p. Jerzy Moore
„powołał do życia w plastycznym kształcie jednę cząstkę więcéj
„ludzkiéj natury... Nikt z pragnących zapoznać się z realizmem
„stosunku do angielskiego powieściopisarstwa, nie może pominąć
„A Mummer's Wife". (*The Athenaeum*).

„Powieść p. t. „A Mummer's Wife" zajmuje dotąd w powieścio-
„pisarstwie angielskiém stanowisko zgoła wyjątkowe. Jest to pierw-
„sza, przynajmniéj pierwsza poważna próba doprowadzenia, w tym
„dziale twórczości, realistycznych zasad do ich ostatecznego i być
„może jedynego logicznego rezultatu. Uważając pana Jerzego Moore
„jako reprezentującego rozmyślnie szkołę, któréj jesteśmy zapamię-
„tałymi przeciwnikami, nie możemy, aczkolwiek na przekór naszym
„uczuciom, nie uznać podziwu godnéj wierności i biegłości, z którą
„dokonał on swego dzieła. „A Mummer's Wife" jest bez wątpienia
„czém inném jak prostym produktem pospolitego powieściowego rę-
„kodzielnictwa. Widać tu wynik pilnéj i z blizka dokonanéj obser-
„wacyi, pracy artystycznéj i sumiennych ze strony autora usiłowań
„gwoli jak najzupełniejszemu wyzyskaniu zebranych materyałów".
(*The Graphic*).

„Jako realista, p. Moore nie oszczędza nas. Całe otoczenie nie-
„szczęśliwéj *Kate Lennox* zachowuje od początku do końca najwstręt-
„niejszy charakter. Czarna mgła moralna, która zstępuje na nią przy
„samym początku powieści, nie podnosi się już nigdy, ale staje się
„ciemniejszą tylko i większéj zgnilizny pełną. Zresztą p. Moore oka-
„zuje niezaprzeczony talent w skreśleniu jéj opłakanego losu; por-
„tret zaś jéj drugiego męża—barczystego, otwarcie zmysłowego, ale
„pocziwego—jest zapewnie tak dobrym jak dobrą może być tego ro-
„dzaju kreacya". (*The Academy*).

„Dzięki żywości swego obrazowania i prawdziwych stylowych
„przymiotów, „A Mummer's Wife" może w pewnéj mierze ujść za
„wzorzec dotychczasowéj twórczości pewnéj szkoły, która w ostat-
„nich latach zjednała sobie sporo rozgłosu, zastępującego nader uży-
„tecznie sławę....P. Jerzy Moore nie schodzi ze swéj drogi dla ozdo-
„bienia występków, z któremi ma do czynienia, przypadkowemi ja-
„kowemiś ponętami... i niewątpliwie, jeżeli sztuka, czy to literacka
„czy malarska, czyni zadość swemu prawdziwemu powołaniu, z po-

„mocą fotograficznego odbicia wszystkich szczegółów z których skła-„da się zmysłowość ludzka i głupstwo ludzkie, słuszna aby te foto-„graficzne wizerunki posiadały wierność nie opuszczającą ani jedne-„go *item* zgnilizny czy brzydoty...“ (*The Spectator*).

„Powieść p. t. „A Mummer's Wife“ zawiera niektóre ustępy „pełne uderzającéj siły i cynicznego humoru, i jedną przynajmniéj „scenę głęboko patetyczną i smutną. Opis to śmierci małego dziec-„ka, z którego konwulsye wyciskają powoli kruche jego życie, pod-„czas gdy matka śpi, pijana, przy jego boku. Nie powiemy zanadto, „wyrażając przekonanie, że gdyby cała książka była tak potężną jak „ten ustęp, p. Moore mógłby śmiało rościć pretensyą do tytułu an-„gielskiego Zoli.“ (*Society*).

„Ostrzegliśmy grzecznie pana Moore, że jego „Modern Lover“ „był bardzo nieprzyjemnym młodzieńcem, ale był on wzorem przy-„zwoitości w porównaniu z jego „Mummer's Wife.“ Być może iż pan „Moore napisał swoję książkę w jak najlepszym celu i z zamiarem „przyprawienia swych czytelników o nienawiść dla grzechu i o bo-„jaźń względem jego następstw; ale takie książki nie powinny krą-„żyć po kolejowych bibliotekach i dostawać się tą drogą w ręce „niepowołanych czytelniczek“... (*Whitehall Reviev*).

Streściłem dla użytku czytelnika wyraz krytyki wywołanéj w miejscowém piśmiennictwie przez drugą z kolei powieść młode-go, bardzo młodego, poczynającego dopiero autora.—„A Modern Lo-ver,“ (pierwszy jego utwór) sięga 1884 roku tylko. Po za piśmien-nictwem, sąd opinii publicznéj okazał się z początku przynajmniéj, nierównie surowszym. Przedmowa, dołączona przez autora do siód-mego wydania „Żony komedyanta“, zawiera w tym względzie in-teresujące wskazówki:

„Tak, jest to niezawodnie rzeczą przyjemną dla autora przypo-minać sobie, że sześć wydań jego książki opuściło półki księgarni w ciągu jednego roku: ale w moim puharze rozkoszy trafia się mo-że jedna kropla miodu słodsza od tych, których zakosztować zda-rzyło się innym autorom piszącym przedmowę do siódmego wyda-nia. I jednéj téj kropli przenikliwy smak i zapach czyni mi resztę napoju pospolitym i ordynaryjnym trunkiem... Artysta dostał się pod miecz Filistynów, Filistyni zostali zwyciężeni, i widzę jedno, albo chcę widzieć jedno tylko w tém siódmem wydaniu: dowód sta-nowczéj porażki nieprzyjaciela“...

„Dwóch pierwszorzędnych księgarzy sprzymierzyło się na wstę-pie dla wytępienia pierwszego wydania... ocalić je udało mi się je-dynie energicznie mnożonemi ogłoszeniami i rozolutném zwróce-niem uwagi publicznéj na gwałt zadawany literaturze angielskiéj

przez tych dwóch przemysłowców. Napisałem w tym sensie artykuł, który ukazał się w *Pall Mall* i przysłużył się wielce; napisałem pamflet p. t. „Literatura w powijakach,“—z wiązanką nieprzyzwoitych ustępów uszczkniętych w książkach sprzedawanych przez dwóch owych księgarskich purytanów; odwołałem się do sądu opinii, i prasa angielska nie kazała mi długo nań czekać. Czy potrzebuję dodawać, że wypadł on na moję stronę?“

P. Jerzy Moore nie nadmienia, iż rzeczeni purytanie księgarscy uczynili się w tym przypadku przedstawicielami tylko bardzo szeroko do téj pory rozprzestrzenianych uprzedzeń i wstrętów, i obrońcami, we własnym interesie, opacznie może pojętego ale o uwzględnienie dopominającego się interesu pewnéj, liczebnie przeważnéj podobno połowy swych czytelników. Jeżeli zaś prasa oświadczyła się w saméj rzeczy na stronę pana Moore, to w sprawie wolności prasowéj tylko, nie w innéj. W sprawie, całkiem odrębnéj, artystycznego i etycznego znaczenia jego książki, słyszeliśmy jéj głos.

Bądź co bądź Jednak p. Jerzy Moore zwyciężył, o tyle przynajmniéj, że narzucił siebie i swoję książkę uwadze publicznéj i wprowadził do spółczesnéj powieści angielskiéj nowy żywioł. Jaki żywioł? Nie realistyczne pojęcie natury oczywiście, bo niemasz, jak to mieliśmy już sposobność zaznaczyć, żadnego artystycznego pierwiastku, który by był więcéj i od dawniejszego czasu u siebie w angielskiém powieściopisarstwie; ale bez wątpienia osobne i osobiste pojęcie realizmu. Mówię: osobne i osobiste, bo, cokolwiek o tém trzyma wyżéj powołany krytyk z „*Society*“, realizm pana Jerzego Moore nie jest realizmem Zoli. Ani maniera jego, w ogólności, naśladownictwem artystycznych wzorów przekazanych przez autora „Assomoir'a“. Czy pokusił się, w saméj rzeczy, młody angielski pisarz o doprowadzenie realistycznych zasad do ich ostatecznego rezultatu, jak chce krytyk z „*The Graphic*“? Być może; ale pozostał on bezpiecznie bardzo daleko od mety, i daleko w tyle za francuzkimi swymi współzawodnikami. Są zapewne, przynajmniéj dotąd, pewne *ostateczności* realistyczne, przed któremi cofa się sam Zola; ale ich jest nie wiele. Jerzy Moore cofa się daleko częściéj. Jest naprzykład w „A Mummer's Wife“ scena *pologu*—tak jak w „Pot-Bouille“ i tak jak w „Une vie“, pana de Maupassant. Nie znajduję się w możności podjęcia tutaj szczegółowego zestawienia trzech obrazów; ale zalecam ten *eksperyment* czytelnikowi lubiącemu zdawać sobie sprawę z rzeczy. W obrazie pana Jerzego Moore *niemasz jednego szczegółu absolutnie wstrętnego* dla czyjejkolwiek delikatności czy pruderyi a jednak obraz ten jest realistycznym tak, że usunąwszy na bok nastręczające się wspomnienia i zestawienia, zdaje się jako

by nie mógł być więcéj realistycznym. Podczas gdy doktór i służąca i gospodyni domu krzątają się dokoła biednéj jego żony—„bo wszyscy zdają się miéć coś do robienia w tym przypadku prócz niego samego“, podczas gdy dolatujące z sąsiedniego pokoju jęki rozdzierają mu serce, *Dick Lennox* uczuwa nagłą boleść gdzieindziéj niż w sercu, blednieje i zatacza się: nie jadł od 24 godzin, nie mając jednego penny w kieszeni, i jest głodnym jak pies. Gospodyni domu oświadcza gotowość przysłużenia się mu kawałkiem zimnéj baraniny, ale przypuszcza, „że nie będzie on mógł jeść w obecnéj chwili“. *Dick Lennox* rzuca się jednak na zimną baraninę, i, choć twarda i sucha, zdaje mu się, że nie jadł nigdy nic smaczniejszego. „Zatrzymuje się na moment i przysłuchuje się z piersią od niepokoju i litości wezbraną odgłosom bolesnego dramatu odgrywającego się w sąsiednim pokoju, a potém wraca do swojego jadła, jak zwierzę.“

Czy może być co więcéj realistycznego? A nagły krzyk strasznemi męczarniami rozdzieranéj *Kate*,—zmysłowéj, bezuczuciowéj i trywialnéj mieszczki:

— „Och, już nigdy nie będę! Och, nienawidzę go!—Mogłabym go zabić! Nigdy już kochać go nie będę, nigdy!“

Gdzie może być więcéj absolutnéj, nawet brutalnéj prawdy? Tylko *anatomicznéj* realności, *fizyologicznéj* erudycyi brakuje w całym obrazie.

Jest w „A Modern Lover“ scena, w któréj zbałamucona przez bohatera powieści i do oddania mu ręki, mimo rozpaczliwego oporu rodziców, skłoniona, piękna, arystokratyczna i bogata *Lady Helen* odwiedza niespodzianie swego narzeczonego w jego pracowni malarskiéj, wieczorną porą—i znajduje go w kompanii. Zola albo Maupassant byłby nie zaniechał *wyzyskania sytuacyi* aż do jéj ostatecznych granic. Jerzy Moore poprzestaje na zaznaczeniu jéj,—co nie umniejsza w niczém jéj śmiałości, ani względnéj prawdy.

Czy jest w tych różnicach coś absolutnego, zasadniczego? Nie sądzę. Jest, tak jak we wszystkich odcieniach kierunku realistycznego, a nawet tak jak w samym rzekomym antagonizmie między realizmem a idealizmem, *kwestya miary* po prostu, i *kwestya wyboru*. Jerzy Moore wybiera inaczéj niż Zola i jeszcze inaczéj niż Mautpassant te przedmioty, w obec których mniema, iż puścić może wodze swemu analitycznemu zmysłowi. I w obec tych przedmiotów posuwa się tak daleko, jeżeli nie daléj, jak Zola, a z pewnością daléj jak Mautpassant. Mautpassant zbywa krótko scenę zaślubin swojego „Bel-Ami“ z córką bankiera Waltera, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa *naśladuje* ją z takiéj saméj sceny w „A Modern Lo-

ver". U Jerzego Moore jest to scena kapitalna, wypełniona obok innych szczegółów najsubtelniejszą analizą uczuć, przez które przechodzi szczęśliwy zdobywca pięknéj *Lady Helen*, dręczony do ostatka niepokojem, aby coś nie stanęło na przeszkodzie ślubowi.

Ale są znowu przedmioty, do których wyczerpywania Jerzy Moore nie mieni się powołanym, jako artysta. Zapewne też i Zola, (choć wywodzi się, w drodze umysłowéj parenteli, od Klaudyusza Bernarda), przypuszcza, iż są tu i owdzie granice, po za któremi wypada mu zostawić głos pierwszemu lepszemu z członków Akademii Medycznéj albo Akademii Nauk. Tylko dostrzega on pospolicie te granice badzo późno; Jerzy Moore dostrzega je wcześniéj.

Język także, którego używa pisarz angielski, pozostaje dalekim, jak to już miałem sposobność nadmienić, od brutalnéj trywialności, którą paradują tak chętnie, w ślad za swoim mistrzem, adepci spółczesnego francuskiego naturalizmu. Przypuszcza Moore, że można wywołać złudzenie jakoby wprowadzane na scenę osoby mówiły tym językiem, którym mówią w rzeczywistości, bez uciekania się tu i owdzie do słownika gminnych czy sprośnych wyrażeń. Boć chodzi zawsze i wszędzie—nawet u Zoli—o *wywołanie złudzenia*, nie o odwzorowanie absolutnéj prawdy. Ani Zola ani nikt nie odważył się dotąd, (i prawdopodobnie nie odważy się nigdy), na powtórzenie tego co dwie praczki czy dwaj ulicznicy mówią do siebie słowo w słowo *tak jak mówią*. Na powtórzenie jednego i drugiego fragmentu rozmowy, jednego i drugiego brudniejszego słowa, (akurat tyle, aby osoby wrażliwe mogły zatknąć sobie uszy), tak; ale na powtórzenie *wszystkiego*, wszystkich słów, nigdy w życiu! Więc skoro niemasz tu w grze żadnéj zasady absolutnéj, a tylko kwestya wystarczającego *mniéj*, albo wymagalnego *więcéj*, to na cóż *więcéj* jeżeli *mniéj* wystarcza? A Moore przypuszcza że wystarcza ono, i usprawiedliwia swoje przypuszczenie dość wymownie.

Przyznaje on zresztą sobie prawo nazywania „kota kotem", powołując się w tym względzie na swych protoplastów angielskich:

„Prosty, wolny od ogródek język był zawsze charakterystyczną cechą naszéj literatury; nawet tak surowi moraliści, jak Milton i Goldsmith, nie cofali się przed mówieniem o wszystkich rzeczach i używaniem słów aż nadto pospolitych w ustnéj mowie, nadto omijanych w języku piśmiennym dnia dzisiejszego. Wyrażam bez wahania moje zdanie w tym przedmiocie, mniemam bowiem, iż utrata należytéj poufałości i dosadności wyrażenia jest dla każdego języka wskazówką niezawodzącą zgrzybiałości i upadku. Klasyczni pisarze wyrażali się prosto i bez ogródek. Rozważałem długo literacką tradycyą, którą przekazali nam Marlow, Shakespeare, Ben Jonson,

Wycherly, Congreve, Fielding, Swift, Sterne, Byron, Shelley i Landor i wyznaję, że nie widzę dotąd przyczyny, dla której mielibyśmy poniewierać zostawione przez nich wzory otwartości wysłowienia a uciekać się natomiast do praktyki sztucznego poddawania myśli, o której księgarze zapewniają mię, że jest im nierównie milszą. Utrzymuję się przeto przy przekonaniu, że język, którego używam w „A Mummer's Wife" nie jest nowością lecz tylko próbą pożądanego powrotu do zdrowszego smaku niż ten, który przeważa obecnie w naszéj literaturze" (w przedmowie do „Żony komedyanta").

Skądinąd, nawet ogólnym charakterem dotychczasowéj swéj twórczości autor trzech powieści: „A Modern Lover", „A Mummer's Wife" i „A Drama in Musslin"—ostatnia niedawno co wyszła z druku—nie zbliża się tyle do osobistego kierunku Zoli, ile raczéj do ogólnéj szkolnéj formuły braci Goncourt. Jest on niezaprzeczenie uczniem i wiernym, jak dotąd, uczniem wielkiéj szkoły francuskiéj. Jego powieści są *monografiami*, tak jak „Garminie Lacerteux", tak jak „Pani Gervaisais" i „Chérie", nie zaś obrazami pewnych warstw czy grup społecznych, jak „l'Assomoir" albo „l'Oeuvre". Nawet na poglądach jego i pojęciach, od literackiéj doktryny niezależnych, odbija się najwyraźniéj stempel wyciśnięty ręką dwóch nadsekwańskich nowatorów:

„Pod ogólną nazwą „Nowożytnych" łączono wszystkich artystów, malarzy, muzyków i pisarzy, wierzących, że sztuka jest wynikiem obyczajów i zwyczajów każdego dnia i zmienia się razem z temi ostatniemi, podług ogólnego prawa. Najpospoliciéj jednak przysądzano tę nazwę osobnéj grupie malarzy, któréj Thompson był przywódcą."

„Znużeni sztuką wysilającą się na to jedynie, aby być echem piękna urzeczywistnionego w Apollinie Belwederskim czy w Wenerze Medycejskiéj, brzydzący się sztuką szukającą w wykręconéj formule pierwiastkowéj szkoły włoskiéj odpowiedniego wyrazu dla bezpłciowéj historyi spółczesnéj, wzdychali oni do nowéj potężnéj formuły, w któréj geniusz XIX wieku znalazł by swój całkowity wyraz. Głosili potrzebę odkrycia nowéj estetyki; głosili, że materyały do niéj obfitują dokoła wszędzie; że chodzi jedynie o formę, w którą by je wcielić można"...

„Nosili się z tém, że świat zaznał cztery całkiem odrębne artystyczne metody: egipską, grecką, włoską i japońską. I wyrażali przekonanie, że absolutną oryginalność swojéj sztuki zawdzięczają jedynie Japończycy szczęśliwemu losowi, który nie pozwolił im nigdy oglądać żadnego greckiego posągu. Jednym z ulubionych między

niemi tematów do żartu było wyobrażanie sobie, co by się było stało gdyby okręt, naładowany Elginowskiemi marmurami, był się rozbił na wybrzeżu Jeso, w roku pańskim....“

Zapomniawszy o stylu, który, o ile sądzić jestem w stanie, bywa nierzadko dość ciężkim u Moore'a, możnaby przypuścić, że się czyta ustęp z przedmowy do „Chérie.“

Ma się rozumiéć, o ile Zola jest sam wychowankiem téj saméj szkoły, o tyle uchodzić może Moore za jego naśladowcę. Wspomniałem na wstępie niniejszych szkiców o podobieństwach znachodzących się między pierwszą z wymienionych wyżéj powieści młodego pisarza angielskiego a ostatnią powieścią wielkiego francuskiego naturalisty (dwoma latami późniéj wydaną). Są to jednak podobieństwa zewnętrzne raczéj tylko i może przypadkowe, choć uderzające. I francuski mistrz wychodzi zresztą zwycięsko z porównania. *Lewis Seymour* — nowoczesny kochanek — mieszka pod jednym dachem i na stopie poufałéj kamraderyi z młodą szwaczką *Gwynnie Lloyd*, i (tak jak *Klaudyusz* młodą *Krystynę* w „L'Oeuvre) skłania ją do *pozowania* przed sobą, po dokonaném nad wstydliwością niewieścią zwycięstwie. Inaczéj jednak, bo nie dlatego, że nie może znaleść innego modelu odpowiadającego odczutemu przez się ideałowi, ale dlatego po prostu, że nie ma czém zapłacić pospolitéj *modelki*. Brutalniejsze to, trywialniejsze i nierównie mniéj artystyczne od tego, co wymyślił Zola. *Lewis Seymour* zaczyna od tego, że chce pożyczyć od swéj sąsiadki pięć szylingów dla zapłacenia modelki. Ale właśnie uliczny pick-pocket okradł biedną *Gwynnie*. *Lewis Seymour* objawia wtedy zamiar rzucenia się do wody, bo wykończenie otrzymanego obecnie obstalunku było ostatnią jego deską zbawienia. Biedna *Gwynnie* załamuje ręce i szlocha.

— „Na nic się nie zda robić tyle hałasu — oświadcza brutalnie *Lewis*. — Czy chcesz pozować do tego obrazu? Inaczéj, chociażbym się nie utopił, muszę umrzéć z głodu.“

Gwynnie walczy z sobą i szlocha daléj tak boleśnie, że *Lewis* czuje się wkońcu rozbrojonym. Nie jest on złym człowiekiem w gruncie.

— „Na miłość boską, nie płacz tak, *Gwynnie*. Żałuję, że prosiłem cię o to; nie mówmy o tém więcéj.

„Na odgłos tych słów *Gwynnie* przestała płakać i spoglądając na niego rzekła:

„— Zrobię to, co chciałeś *Lewisie*, „skoro tak trzeba; ale nie jestem dziewczyną, która robi złe rzeczy i nie chę być taką, tylko myślę, że nie powinnam pozwolić, abyś topił się albo umierał z głodu, kiedy mogę cię ocalić.

Nazajutrz tedy, podług umowy — bo scena ta odbywa się wieczorem — *Lewis* dokłada węgla do żelaznego piecyka w swéj pracowni na poddaszu, kiedy *Gwynnie* wchodzi.

....„Jedną ręką przyciskała ona do piersi gruby szal wełniany, drugą zaś podtrzymywała fałdy sukien luźnie wiszących dokoła niéj. Nogi miała bose. Spała noc całą w gorączce i malignie. Co chwila budziły ją niepokojące sny. Za każdą godziną snu szło długie czuwanie, wypełnione zapałami uczynionych, niesmakami niedotrzymanych obietnic. Nie byłaby ona czuła żadnéj trudności w spełnieniu tego co powinna, gdyby wiedziała gdzie jéj powinność. Ale nie miała nikogo dla zasiągnięcia rady i raz po razie zdarzyło jéj się wstać z łóżka i modlić się na kolanach, w blasku jasnego księżyca, wołając o miłosierdzie....

„— Jak to dobrze z twojéj strony, żeś przyszła—rzekł *Lewis*—bałem się, abyś nie zmieniła postanowienia.

„—Dla czego mielibyśmy zmieniać postanowienia nasze, kiedy nam się zdaje, że robimy to, cośmy powinni — odrzekła z prostotą, ale z chęcią usprawiedliwienia swego postępowania.

„Oboje byli zakłopotani bardzo. On sam lękał się więcéj niż ona pierwszego kroku i nikczemnie oglądał się za zyskaniem czasu, podsuwając myśl, że pracownia nie dość jeszcze ogrzana; ona przeciwnie, przybywszy w określonym z góry celu, nie rozumiała potrzeby zwłoki.

„— Zdaje mi się, że jest zupełnie ciepło; jestem gotową, jeżeliś sam gotów — odpowiedziała z lekkiém drżeniem w głosie.

„*Lewis* umieścił ją pośródku izby, tak, aby światło padało wprost na nią; poczém usadowił się naprzeciwko niéj i założył ręce, czekając.

„Mężnie odrzuciła szal, odkrywając ramiona i pierś. Poczém nastąpiła pauza. Trzymała wahającą się ręką okrywające ją jeszcze resztki ubrania, aż w końcu ostatniém wysileniem odrzuciła je precz.

„Gdyby mogła była pozostać teraz tak jak była, co najgorszego byłoby już przebytém, ale *Lewis* musiał pokazać jéj jak się trzymać, ułożyć jéj ręce, nogi, głowę, a była tak rozdrażnioną, że z trudnością zrozumiéć mogła, co mówił do niéj. Poczém omdlenie opanowało ją, zmieszane z bolesném obrzydzeniem względem własnéj osoby i nieskończoném pragnieniem rozbicia głowy o mury izby, zapadnięcie się w ziemię. Dwadzieścia razy zdawało jéj się, że ją siły opuszczą razem z przytomnością; tylko przyrodzona energia ocaliła ją.

2*



„Nareszcie poza została natrafioną i *Lewis* rozpoczął swój rysunek.“

Obraz jest plastycznym niezaprzeczenie i zdradzającym rękę nie ladajakiego majstra. Ale proszę zobaczyć odpowiednią scenę w „L'Oeuvre“:

....„W połowie marca *Krystyna* zaszedłszy do pracowni, znalazła *Klaudyusza* siedzącego przed swoim obrazem w rozpaczliwém pognębieniu. Nie usłyszał jéj nawet wchodzącéj, siedział nieruchomie, z oczyma pustemi i obłąkanemi, wlepionemi w niedokończone dzieło. Za trzy dni upływał termin do wysłania obrazu na wystawę.

— „I cóż? — zapytała łagodnie, zrozpaczona jego rozpaczą.

„Ocknął się i odwrócił się.

— „A cóż! Rzecz skończona, nie wystawię nic tego roku... Ach! Rachowałem tyle na tę wystawę!

„Oboje wrócili do swego pognębienia, w którém majaczyło się mnóstwo niewyraźnych rzeczy. Aż wreszcie ona ozwała się znowu, myśląc głośno:

— „Byłby czas jeszcze.

— „Czas? Nigdy w życiu! Trzebaby cudu. Zkąd chcesz, abym dostał model, którego mi trzeba o téj porze?... Od rana oto dręczę się sam z sobą i przez chwilę zdawało mi się, żem wpadł na pomysł: tak pomyślałem o téj dziewczynie, o téj *Irmie*, którą spotkałaś tutaj. Wiem dobrze, że mała ona i okrągła, że wypadnie może wszystko przemienić; ale młoda i możliwa może... Tak, muszę spróbować...

„Tu urwał. Palące spojrzenie, którém patrzał na nią, mówiło wyraźnie: „Ach! Bliżéj od niéj, jesteś ty, ach! byłby to cud oczekiwany, zwycięstwo pewne, gdybyś mogła zrobić dla mnie to ostatnie poświęcenie. Modlę się oto do ciebie, zaklinam cię, jak przyjaciółkę uwielbianą na klęczkach, najpiękniejszą, najczystszą!“

„Ona wyprostowana, bardzo blada, słyszała każde słowo; i te oczy gorejącéj modlitwy pełne magnetyzowały ją swoją potęgą. Powoli zdjęła kapelusz i okrycie; a potém, naturalnie, z temi samemi spokojnemi ruchami, jęła rozbierać się daléj, rozpięła stanik, zdjęła gorset.... Nie wymówiła ani jednego słowa, zdawała się być gdzieindziéj, tak jak którego wieczora, kiedy zamknięta w swym pokoju, zabłąkana w jakiémś marzeniu, rozbierała się machinalnie, nie zwracając uwagi na to, co robiła. Dla czegóż miałaby ona, dawszy mu już twarz swoją, pozwolić na to, aby inna dawała mu swoje ciało? Chciała być tu całą u siebie, w swojém przywiązaniu serdecznem, rozumiejąc nareszcie jakiego zazdrosnego udręczenia ów pokurcz niewieści był jéj oddawna powodem. I milcząca zawsze, naga i dziewicza, ułożyła się na dywanie w pozie wskazanéj

na szkicach obrazu, z ramieniem jedném pod głową, z zamkniętemi oczyma....“

To jeszcze co innego!

W obrazie artystycznego otoczenia, pośród którego żyje i obraca się *Lewis Seymour* w dalszym ciągu swojego zawodu, pozostaje także Jerzy Moore daleko w tyle za swoim samowiednym czy bezwiednym naśladowcą. (Przypuszczam zawsze możliwości przypadkowéj tożsamości tematów). Po trzecim czy czwartym rozdziale zresztą obie powieści rozchodzą się w całkiém odmiennych kierunkach. *Lewis Seymour* nie jest tym genialnym w pomyśle, bezsilnym w wykonaniu i z tą niemocą swoją szarpiącym się artystą, którego Zola ulał z bronzu w postaci swego *Klaudyusza*. Przypomina on raczéj lekkomyślnego, lekko tworzącego i łatwo zadawalniającego się *Fagerolles*'a, z téj saméj powieści. Całością zaś swego zawodu jest jawnym prototypem Maupassantowskiego „Bel-Ami.“ Podobieństwo staje się tu bliższém jeszcze i nieledwie wykluczającém hipotezę przypadkowego spotkania się dwóch pomysłów. *Lewis Seymour*, noszący się na wstępie powieści z myślą znalezienia ostatecznego schronienia w mętnych nurtach Tamizy, dochodzi następnie do dostatków i sławy — przez kobiéty. Naturalnie porzuca on najpierw dobrą, poświęcenia pełną *Gwynnie*, a przynajmniéj zapomina o niéj, bo właściwie ona to dokonawszy swojéj ofiary, ucieka pod wpływem dręczącego ją wstydu i kryje się przed nim w odległym kącie olbrzymiego miasta. Ale nie szuka on jéj nadto pilnie,—choć przyrzekł jéj małżeństwo. Odnajdują się oboje dopiero przy końcu powieści, przed gotowalnią pięknéj *Lady Helen*, którą *Lewis* wybiera się zaprowadzić do ołtarza, a u któréj *Gwynnie* przyjęła służbę. W sklepie handlarza, który obdarzył go opatrznościowym obstalunkiem, spotyka nasz „Nowoczesny kochanek“ panią *Bentham*, młodą jeszcze i przystojną rozwódkę, która pierwsza otwiera mu drogę do czekającéj nań fortuny. Powierza mu ona dekoracyą ścienną balowéj sali w swéj wiejskiéj rezydencyi (ob. „Freski“ Ouidy), poświęca tysiąc funtów szterlingów rocznie na zakup jego obrazów i ostatecznie oddaje mu się własną swoją osobą. Inne, mniéj lub więcéj powabne ale jednakowo rozkochane a dobroczynne damy, dokonywają reszty. „Bel-Ami“—przepraszam,— „The Modern Lover“ żeni się z córką bogatego lorda, wchodzi do Akademii Sztuk Pięknych, staje się modnym (*fashionable*) malarzem i t. d.

Są przecież różnice między dwoma utworami. I nader głębokie. Zgadzam się najpierw z krytykiem Whitehallskiéj „Revue“ w tém pojęciu, że „Nowoczesny kochanek“ jest arcy-nieprzyjemnym młodzieńcem; nie umiem zaś zastosować tego surowego sądu

do „Bel-Ami“ego, mimo wszystkich nikczemnych i wstrętnych stron jego charakteru i zawodu. Jest on nikczemnym, ten „Bel-Ami“, jest niegodziwym, jest ohydnym, ale nieprzyjemnym—*nie*; powtarzam: *nie*, chociażbym miał popaść pod klątwę, a nawet zarumienić się z własnego popędu po uszy; nie, nie znajduję go nieprzyjemnym— bo mnie jego nikczemność bawi. Zabawnym jest on, zabawném jego otoczenie, zabawnemi kolejne przygody jego awanturniczéj karyery, pełnemi szczerego humoru, wesołości, fantazyi, komizmu; i te to przymioty czynią, że gdyby Maupassant miał sprawę tylko z takimi jak ja krytykami, tedy zasłonilibyśmy sobie twarz, ale nie potrafilibyśmy powiedziéć inaczéj jak tylko, że tak czy siak, napisał on małe arcydzieło. Inaczéj się ma z Jerzym Moore i jego „Nowoczesnym kochankiem.“ Ponurym nie jest Moore do tego stopnia co Zola; wątpię, aby chciał przyswoić sobie klasyczną formułę mistrza, podług któréj sztuka jest koniecznie „smutną“ („*L'art est sérieux*, *l'art est triste*“); śmieje się on chętnie, trochę grubym, ale naturalnym, niewymuszonym śmiechem; tylko brakuje mu téj werwy, która na każdym kroku, pod piórem jego francuskiego współzawodnika skrzy się i strzela fajerwerkami, téj pomysłowości oryginalnéj, która co dziesięć kartek wytwarza coraz to drastyczniejsze a rozweselające sytuacye, téj obrazowości wreszcie malowniczéj, szafującéj takiemi np. widowiskami, jak gra bilbokietowa w redakcyi Walterowskiego dziennika.

Innym, co prawda, nierównie poważniejszym jest ton i zakrój cały powieści Moore'a; ale to mam mu właśnie do zarzucenia, że względu na temat przezeń obrany. Temat ten ocalonym mi się zda u Mautpassant'a przez całość i podobno nie mógł być ocalonym inaczéj, i Mautpassant, który dramatyzować potrafi w danym razie (jak tego dowiódł w „Une Vie“ i gdzieindziéj) zrozumiał to — może instynktownie. Jerzemu Moore nie zbywa także na dramatycznéj sile. Mam w pamięci scenę na balu u pani *Bentham*, obok któréj nie wiele przypomniéć sobie mogę prawdziwie, naturalnie tragiczniejszych w spółczesnym repertuarze; *Lewis Seymour*, który znużył się już przekwitłą szybko pięknością 40-letniéj rozwódki, a któremu w dodatku młoda i posażna *lady Helen*, utkwiła w głowie, *przeflirtował* z tą ostatnią cały bal i zawiódłszy ją w końcu do ustronnego przedsionka, przyprowadził ją do ostatecznych wyznań. Tymczasem, śledząc za romansującą parą z sercem rozdzieraném rozpaczliwą zazdrością, pani *Bentham* skryła się za marmurowym filarem na górnéj galeryi przedsionka. Słyszy ona ztamtąd czułą wymianę słów, widzi gorącą wymianę spojrzeń. A oto o niéj saméj teraz mowa. Zazdrosném ze swojéj strony uczuciem wiedziona, *lady He-*

len dopytuje się o charakter stosunku istniejącego między nią a *Lewisem*, dręczy swego kochanka podejrzliwemi domysłami, dopomina się natarczywie o kategoryczną odpowiedź: czy kocha on panią *Bentham*, czy nie kocha jéj? *Lewis Seymour* wykręca się jak może, daje do zrozumienia, za pomocą tysiącznych omówień i dwuznaczników, że piękność pani *Bentham* nie odpowiada w zupełności jego ideałowi, że wreszcie jest ona trochę *minioną*; ale w końcu przyparty do muru, zdobywa się na heroiczny wysiłek nikczemności.

— „Na Boga! jak możesz pani przypuszczać coś podobnego. Toć mogła by ona być moją matką: tak samo mogłabyś pani oskarżać mnie o kochanie się w pięćdziesięcioletniéj pani Thorpe.“

W téj chwili przytłumiony krzyk boleści obija się o uszy kochanków. Zrywają się oboje, ale pani *Bentham* uciekła już do swojego pokoju i padła na łóżko, łkając konwulsyjnie. Kochankowie wracają przeto do sali balowéj i niebawem nowy walc, którego dźwięki dolatują tam do biednéj wypłakującéj ostatnie łzy swoje kobiéty, porywa ich w swój wir rozkoszny.....

W kilka dni późniéj pani *Bentham* odwiedza po raz ostatni ukochaną przez się, niedawno własném staraniem umeblowaną, ozdobioną i wypieszczoną pracownię malarską. *Lewisa* niemasz w niéj i rada ona z tego: będzie mogła przygotować się na jego spotkanie i pomarzyć trochę..... „Spojrzała najpierw na swój portret; przywiódł on jéj na pamięć lube rozmowy, które skracały spędzone przed stalugami chwile; i pomyślała, że nigdy nie usiądzie już przed temi stalugami i myśl ta zdała jéj się dziwną. Obok wisiał obraz z gromadą żniwiarzy, wymalowany w Claremont-House: przypomniała sobie, jak spierała się długo z nim o jedną z figur i jak w końcu usłuchał on jéj rady i przemalował figurę: nigdy już nie miał się on jéj radzić więcéj!

„Miała na sobie suknię skromną, ciemnéj bronzowéj barwy, z czarną koronkową mantylką i jesień jéj piękności kwitła niejednym jeszcze kwiatem przechowanym z zapomnianych wiosen i minionego letniego przepychu. I nie żałując ofiar lekkomyślnie złożonych na ołtarzu fałszywego boga, pamięć jéj zagłębiała się pokornie w żegnanéj teraz przeszłości.

„Wstawała ona przed jéj oczami, ta przeszłość, jak purpurowa mgła nad słońca zachodem; myśl jéj, samopas puszczona, biegła od jednego do drugiego wspomnienia; i w wahającéj się dotąd czułości jéj rozbolałego serca, zapalały się te wspomnienia jak gwiazdy, gasły i uchodziły precz nakształt cieniów....

„Na małym stoliku opodal leżał jéj koszyk z robotą. Machinalnie wzięła do ręki wzorzysty haft, ale wypuściła go natychmiast

z rąk, z uczuciem wstrętu; rozpoczęte pantofle nie miały nigdy być dokończonemi. Książka, którą zaczęła czytać, leżała także obok, ale z połową kartek nierozciętych.

„Na rzeźbioném biurku, opartém o przeciwległą ścianę, zobaczyła chustkę, którą Lewis zabrał jéj, upodobawszy sobie jéj zapach; podniosła ją, ale odrzuciła także: zapach rozwiał się od dawna; spojrzała w lustro, ale nie znalazła w niém żadnego z dawnych uśmiechów: w cieniu firanek, u okna, pachnąca lilia, którą przysłała mu przed kilkoma dniami, dogorywała powoli w swym wazonie.

„Przez ten czas Lewis spędzał rozkoszne chwile w niedalekim parku. Lady Helen patrzyła mu w oczy a spojrzenie jéj promieniło się miłością...“

Są to oczywiście sceny, z któremi targować się trudno o miarę ich artystycznéj wartości.

Nietylko wirtuozem zaś znakomitym w grze dramatycznych efektów, psychologiem wytrawnym także i analizatorem okazuje się Moore w charakterystyce swego bohatera. Mieszanina bezwiedności i przewrotności w jego haniebném postępowaniu, naiwności i cynizmu, stałego brutalnego egoizmu i chwilowych szlachetnych porywów, powierzchownéj czułostkowości i tuzinkowego sentymentalizmu, pokrywającego zimne jak lód serce, ale służącego mu do oszukiwania drugich i samego siebie—wszystko to są rysy z niezmierną przenikliwością uchwycone, z niepospolitym oddane artyzmem. W tym względzie autor „Nowoczesnego kochanka“ odzyskuje przewagę nad autorem „Bel-Ami'ego“. „Bel-Ami“ jest rodzajem mytu, alegoryczną raczéj niż realną postacią, mimo swych realistycznych pozorów. „Nowoczesny kochanek“ jest żyjącą istotą, któréj psychicznemu mechanizmowi przyglądamy się niby maszyneryi otwartego przed nami zegarka.

Ale to wszystko nie okupuje całości utworu, która jest nużącą i przykrą. Dla czego zresztą nazwał Moore swego bohatera „Nowoczesnym kochankiem“? Chyba przez uległość dość ogólnemu wprawdzie przesądowi, który chce abyśmy byli więcéj zepsutymi od naszych przodków, a któremu historya, nawet powierzchownie badana, zadaje fałsz absolutny. Specyalna forma zepsucia, któréj tacy bohaterowie jak „Bel-Ami“ i „The Modern Lover“ są wyobrazicielami, należy jawnie, w charakterze *pospolitego zjawiska*, do obyczajów XVII i XVIII wieku, pozostając, w naszém spółczesném życiu, zjawiskiem wyjątkowém. Co nie dowodzi znowu, abyśmy byli *mniéj* zepsutymi. Ani mniéj prawdopodobnie, ani więcéj; tyleż, tylko inaczéj.

Bądź co bądź jednak, jako pierwszy utwór zwłaszcza początkującego pisarza, „A Modern Lover“ obiecywał wiele. „A Mummers Wife“ w pewnéj mierze tylko odpowiedziała temu, czego młody autor kazał wyglądać od siebie.

Kate Ede—bohaterka powieści—jest żoną mało-miasteczkowego przemysłowca, utrzymującego sklep bławatny, i przykładną a nawet heroiczną żoną. Pilnuje ona całemi nocami swego męża, obdarzonego wyjątkowo dokuczliwą astmą i wyjątkowo przykrym charakterem, a pracuje całemi dniami dla zarobienia na swoje i jego życie. Ale czyni ona to wszystko instynktownie, bezmyślnie, z mocy pierwotnego impulsu nadanego słabemu jéj charakterowi, bez żadnego wyższego poczucia obowiązku, bez żadnéj podstawowéj zasady, kierującéj jéj czynami. Widać jeszcze, że pierwszy lepszy czy gorszy impuls, który ją popchnie w innym kierunku, nie spotka oporu. Zjawia się ten impuls, w postaci wędrownéj trupy dramatycznéj, któréj dyrektor, barczysty, rubaszny, wesoły i przystojny *Dick Lennox*, zamieszkuje pod jéj własnym dachem w odnajmowanéj przez oszczędność parze pokoików. *Kate* nie była nigdy w teatrze. Purytanizm jéj teści, surowéj metodystki, wzdryga się na samę myśl podobnéj rozrywki. Tym razem jednak chęć zobaczenia wesołego *Dicka* w jednéj z wychwalanych przezeń *performances*, jego namowy, nowa jakowaś atmosfera wprowadzona przezeń do dusznego domowego zakątka, wszystko czyni, że nie umie ona obronić się przed pokusą. Idzie ukradkiem do teatru i wraca z upojoną od razu i zawróconą głową. Życie, którego ciężar znosiła dotąd cierpliwie, staje się jéj teraz nieznośném, i kiedy, po kilku miesiącach, *Dick* wraca ze swoją trupą, rzuca mu się ona sama prawie w objęcia i uwodzi go raczéj niż daje się uwieść. Sama skłania go do tego, aby ją zabrał z sobą.

Przejście jéj raptowne, nakształt skoku, z jednéj sfery w drugą tak zupełnie odmienną, odmalowane zostało przez autora z godną uznania przenikliwością i plastyką. A nie bez pewnego humoru także. Podróż z hałaśliwą, trywialną, cyniczną rzeszą komedyantów i komedyantek zaczyna się od tego, że za pomocą fortelu, w pospolitem użyciu u siebie będącego, *Dick Lennox* oszukuje kasę kolejową na liczbie biletów; podczas bowiem gdy konduktor dopełnia kontroli, pewna część personalu teatralnego rozprasza się po stopniach sąsiednich wagonów. *Kate* nie rozumie zrazu, o co chodzi, a zrozumiawszy, unosi się grozą i gniewem. Jéj nałogowa mieszczańska uczciwość walczy z cynicznym śmiechem nowych jéj towarzyszów, witającym jéj naiwne wybuchy oburzenia. Na pierwszym przystanku czeka ją gorsza jeszcze niespodzianka. *Dick* zamówił te-

legrafem śniadanie na czterdzieści osób „dla pana *Simpson.*“ Śniadanie okazuje się doskonałém, ale, przy końcu, gdy służba objawia ciekawość zapoznania się osobiście z panem *Simpson*, osoba tego ostatniego staje się niewidzialną. Każden z aktorów widział go dopiero co: poszedł właśnie kupić dziennik, musiał zajść do telegrafu, itd. A tymczasem pociąg rusza. *Kate* rumieni się i załamuje ręce od wstydu; ale nie znajduje sposobu uchronienia się od następstw uczynionego przez się kroku, obecność zaś *Dicka* uśmierza w pewnéj mierze jéj żałość i przytłumia jéj wstręty.

I przyzwyczaja się ona powoli do nowego swego otoczenia, do nowéj ogarniającéj ją atmosfery moralnéj, wstępuje z czasem sama na deski teatralne, śpiewa z powodzeniem operetkowe role, i, otrzymawszy rozwód, łączy się na zawsze z *Dickiem*, staje się „Żoną komedyanta.“ Ale tu wrodzona jéj uległość dla działających na nią wpływów zewnętrznych, gotuje nowe przesilenie w jéj zawodzie. Stawszy się matką, uczuwa ona nagłe obrzydzenie do teraźniejszego swego życia, zatapia się w roli troskliwéj mamki i zabiegliwéj gospodyni domu, nie chce słyszéć o powrocie do swych ról teatralnych. Na nieszczęście stają na wstręcie téj metamorfozie dwie przeszkody: stan jéj zdrowia nadwerężony scenicznemi drażniącemi wzruszeniami, przygodami awanturniczych wędrówek, świeżym połogiem—i nędza zaglądająca w oczy zeswatanéj parze po niefortunnych kolejach i ostatecznem rozbiciu trupy dramatycznéj. Przeciwko dwom tym dolegliwościom szuka *Kate* ratunku w nowym fatalnym popędzie. Doktór zalecił jéj używanie, (w ograniczonéj dozie), pewnych podniecających środków; zna zaś ona z teatralnego doświadczenia ich skuteczność.....

I oto rozkładowy proces jéj wątłéj moralnéj istoty, rozpoczęty kryjomą wycieczką do teatru, dokonywa się tą fatalną drogą. *Kate* zaczyna pić. — I ztąd scena owa, wyszczególniona przez krytyka z „Society“: śmierć dziecka obok pijanéj matki; w wysokim stopniu patetyczna istotnie.

... „Była to chłodna noc zimowa, i zimny dreszcz przejął ją do szpiku kości, kiedy, spojrzawszy na śpiącego męża, pomyślała, do czego by przyjść musiało, gdyby ona także miała zachorować. W takich okolicznościach, było niepodobieństwem dla niéj nie pomyśléć o narkotycznym napoju; wstała przeto, i, dobywszy butelkę z szuflady, w któréj była ją ukryła pod bielizną, nalała sobie spory kieliszek. Pierwszy raz zdarzało jéj się wypić taką dozę czystego spirytusu i rozlał się on po jéj wnętrznościach wywołując natychmiastowe i rozkoszne uczucie ciepła. Skutek w ten sposób otrzymany zadowolnił ją tak dalece, że po chwili wahania, przysunęła kołyskę do

łóżka, tak, aby nazajutrz rano mogła mieć ją pod ręką i pod okiem, i wróciła do wódki. Wypiła drugi kieliszek powoli, z ramionami opartemi o komodę, niby o kontuar pospolitego *bar*'u, myśląc o dziecku swojém i o mężu, i o tém, jak dobrą obiecywała sobie być dla obojga, dopóki myśli nie zaczęły urywać się w jéj głowie i precz uchodzić. Wtedy zatoczyła się, chwiejąc się, do łóżka. Natychmiast sen ciężki padł na nią, i w cieniu nałożonych grubo kołder, przeciągły oddech uśpionéj pary rozległ się wśród ciszy napełniającéj izbę. Obok, znużone przebytemi konwulsyami dziecko spało także; ale rosnąca powoli jasność zaczęła ogarniać pogrążone w zmroku mury: księżyc dotknął właśnie złotą plamą róg odległego komina i niebawem długa biała smuga weszła i położyła blady palec na plecioném nakryciu kołyski. Wtedy, jak gdyby ocknione przybyciem nieziemskiéj jakiéjś istoty, dziecię wydało cienki przytłumiony krzyk; ale tylko głębokie chrapanie rodziców odpowiedziało nań i w przezroczystym teraz zmroku mała twarzyczka przeglądała wykrzywiona cierpieniem i drobna rączka wyciągała swą zamierającą bladość ku niebu.

„Po nad ciemném wnętrzem izby księżyc zajaśniał teraz w pełni i nakształt uchodzącego ukradkiem i pochylającego się nad kołyską anioła, biały promień złożył zimny nadziemski pocałunek na policzkach samotnego dziecięcia—i natychmiast, jak gdyby wystraszone, niebieskie oczęta otworzyły się szeroko, małe nóżki podniosły się aż do piersi, słabe jęczenie ustało i rozpoczęły się konwulsye. Zali ojciec lub matka obudzą się dla uśmierzenia téj bolesnéj walki ze śmiercią? Nie, małe drgające członki kurczyły się tylko i rozciągały w takt do miarowego chrapania pijanéj kobiety, i tak samo obojętny, majestatyczny w nagiéj swéj złotéj chwale, księżyc płynął śród błękitnéj ciszy niebios, aż spotkał się twarz w twarz z chorém dziecięciem.

„Wtedy, śród dziwnéj świetlanéj pauzy (?), zielona obecność jakaś zajęła całą izbę, ogarniając każdy szczegół tajemniczym uściskiem. Najpospolitsze przedmioty przyjęły fantastyczną, przerażającą postać; kształty wszystkie i dźwięki uległy przeistoczeniu. Butelka z wódką na komodzie wzięła na się demoniczną maskę i śpiąca para, majaczejąca w pomroku osłaniających ją kotar, wyglądała niby nikczemny świat, chrapiący z równą obojętnością dla życia i dla śmierci. Jednak na chwilę zaświtała nadzieja, bo jakby zwyciężone magnetyczną siłą wyższéj potęgi, konwulsye zmniejszać się zaczęły i słodki spokój rozlał się nad biedną kołyską. Na jak krótko! Niedługo kołderka zwisła, odrzucona podnoszącemi się znowu ku piersi nóżętami, niebieskie oczęta jęły mrugać konwul-

syjnie. Ale żaden uśmiech ani łza żadna nie poruszyła w jéj łagodném okrucieństwie bladéj czarownicy tam w oknie: powoli, jak pijący wąż, piła ona to młode życie. Twoim losem należéć do mnie i do mnie tylko, zdawała się mówić — i wśród pożerających blasków walka ciągnęła się daléj. Na liliowéj białości skóry wystąpiły czarne plamy; wszystkie okrągłości wykrzywiły się w ostre krawędzie; wyprężone kolana miotały się w prawo i w lewo, mięśnie zdawały się rozdzierać się; kości pod niemi łamać się gwałtownie: tak jak w posągu Laokoona każdy ruch wyrażał boleść.

„I tak przez niedający się oznaczyć przeciąg czasu, białe księżycowe smugi opromieniały poetyczną mękę; a potém małe, wiotkie ciałko legło cicho w strumieniu nieczułego światła. Ani jedna gwiazda nie wstała do czuwania nad mizernemi, do zabitéj ptaszyny podobnemi zwłokami: księżyc jeden wiedział o księżycowéj tragedyi, i godzinę nad niém strawiwszy, blada promienność opuściła śmiertelne wezgłowie, zostawiając samotne dziecię w zmroku snu wiecznego....“

Nieszczęsna *Kate* umiera ostatecznie z suchot sprowadzonych przez alkoholizm, spędziwszy pierwéj miesiąc w domu obłąkanych, gdzie *Dick*, o mało co niezamordowany przez nią w przystępie szaleństwa, zamknął ją, znalazłszy tymczasem zajęcie przy *Mrs Forest*, staréj, bogatéj waryatce, chorującéj na mistycyzm, na pasyą do pisania dramatów i na upodobanie do barczystych mężczyzn.

Wcale niezłym i ze swojskiéj natury uchwyconym, widocznie jest ten typ amatorki-literatki.

W całości swej „A Mummers Wife“ przedstawia się jako bardzo poważne, z wielką maestryą wykonane studyum z dziedziny patologii psychicznéj, wobec którego jednak, tak jak wobec wszystkich utworów tego rodzaju narzuca się kategoryczne pytanie: *cui bono?* Zabawném ani przyjemném nie jest to, a pouczającém? tak, ale co komu po téj nauce? Przypuszczam, iż w peryodzie 25-letnim trafić się może, pośród danéj sfery społecznéj tego rodzaju *specymen*; cóż ztąd? Gdybym wiedział o istnieniu rzeczywistéj jakiéj *Kate*, pierwszém mojém uczuciem byłaby radość z tego, że mam szczęście nie znać jéj, a drugiém życzenie, abym mógł nie wejść jéj w drogę nigdy. Ostatecznym przeto wyrazem mojego sądu o Jerzym Moore jest przekonanie, że mógłby on użyć daleko lepiéj bardzo rzadkich przymiotów, któremi natura go obdarzyła. Na nieszczęście ostatnia jego powieść p. t. „A drama in Musslin“ nie obiecuje w tym względzie. Jerzy Eliot czeka i na tém polu opóźniającego się spadkobiercy.

K. Waliszewski.



WIECZOREM.

Deszcz padał drobny gęsty. Chodniki oślizgły i pokryły się czarném, lepkiem błotem, w którém gdzie niegdzie przeświecały kałuże ciemnéj wody. Przechodnie mijali się szybko, twarze ich były zachmurzone, gniewne, jak zwykle, gdy zimny deszcz w oczy siecze. Wiatr ostry wiał od zachodu i napędzał ztamtąd całe gromady chmur ciemnych, mętnych, jakby w nich przewalało się błoto. Było zimno, wietrzno, smutno, jak zwykle przy końcu listopada, gdy deszcze już rozmoczyć nie mogą zamarzniętéj ziemi, gdy nadciąga długa, ostra zima, tak straszna dla tych, co nie mają czém w piecu napalić...

Krótki dzień listopadowy się kończył—zmrok zapadał, stapiając na krańcach widnokręgu szarą ziemię i szare obłoki w jedną ciemną bezkształtną masę.

Bielańską ulicą ciągnął zwolna jednokonny karawan, biało malowanéj trumny—spływała biała dziewicza draperya, obmokła od deszczu, obryzgana błotem potrosze. Wiatr targał ją, jakby chciał zerwać. Chudy, stary koń łeb spuścił smutno i wytężając siły ostatek, ciągnął karawan ubogich. Za trumną szedł starzec białowłosy z odkrytą głową. Wiatr miotał mu w oczy lodowatym deszczem, rozwiewał jego siwe włosy, rozchylał niezapięty paltot—on nie czuł tego, jak nie czuł, że nogi jego brodzą po kostki w rzadkiém błocie. Szedł naprzód pochylony, z oczami nieruchomo utkwionemi w trumnę, co przed nim bielała, jakby tam spoczywał magnes, co go nieprzepartą siłą ciągnął ku sobie.

Za nim krok w krok szła niewielka czarna psina, z ogonem schowanym pod siebie, z głową spuszczoną, jakby wietrzyła ślady.

Karawan posuwał się wolno, koń nie miał siły, więc go woźnica okładał batem, chcąc prędzéj odbyć pańszczyznę; on wlókł się noga za nogą. Wreszcie ukazały się rogatki i mury, otaczające wielkie grobowisko, na którém legło tyle pokoleń, że prochem swo-

im mogły wykarmić te stare, piękne drzewa, broniące krainę umarłych od słoty jesiennéj. Woźnica podjechał aż do ostatniéj bramy, stanął i zaczął rozcierać skostniałe ręce. Nie było widać nikogo,—posługacze cmentarni pochowali się przed słotą, a jeśli który wyjrzał ukradkiem, to widząc jednokonny karawan i nie spodziewając się zarobku, napowrót się chował.

Starzec się oparł o karawan i ciągle nieruchomym, szklanym wzrokiem wpatrywał się w trumnę... Trwało to długą chwilę. Woźnica się niecierpliwił, hałasował, ręce zacierał, aż wreszcie ukazało się dwóch posługaczy. Zdjęli trumnę z karawanu, ale niedbale, szorstko się wzięli do tego, aż przechyliła się na jedną stronę... Starzec ją chwycił gwałtownie w ramiona, z piersi jego wyrwał się jęk krótki, urwany, ale tak rozpaczny, że obaj posługacze spoważnieli nagle i mimowolnym ruchem odkryli głowy. Potém wzięli na ramiona trumnę, aby ją zanieść na cmentarz—ale starzec już jéj nie puścił, i poszedł za nimi, wciąż ją obejmując ramieniem.

— Niech pan pozwoli—ozwał się życzliwie jeden z posługaczy, probując złagodzić szorstkie brzmienie grubego, ochrypłego głosu,—my już zaniesiemy; takie to lekkie, ino drzewo waży.

Starzec nie odpowiedział, nie słyszał może. Silniéj przycisnął do siebie tę lekką trumienkę, w któréj tylko drzewo ważyło, i miłośnie przesunął po niéj drugą rękę, jakby pieścił żywą istotę.

Posługacze zamilkli nagle—jednemu coś niby łza zaświeciła w oku. Poszli daléj—gruba warstwa liści zeschniętych tłumiła szelest kroków. Wiatr tylko szumiał i jęczał, wstrząsając nagiemi drzew gałęźmi, z których spadały zimne deszczu krople, niby łzy stężałe.

W oddalonéj części cmentarza widniał grób świeżo wykopany, przy którym stał grabarz, przestępując z nogi na nogę i uderzając niemi o szpadel dla rozgrania się. Tutaj wiatr harcował swobodnie, drzew ani pomników nie było, o któreby się zatrzymywał. Ziemia była pogarbiona mogiłami—gdzieniegdzie widniał krzyż świeżo wzniesiony, sterczały nowo-zasadzone krzewiny,—ale słabe to były opory.

Posługacze po sznurze trumnę do dołu spuścili powoli, łagodnie, nie spiesząc się, choć było im bardzo zimno. Ukradkiem spoglądali na starca, który po raz ostatni przycisnąwszy usta do trumny, stał pochylony nad grobem, bez łzy, bez jęku, ścigając szklanemi oczami ziemię, którą grabarz grób zasypywać zaczął. Wzrok jego bezmyślnie, automatycznie ścigał szpadel zagłębiający się w świeżą przemokłą ziemię i zsypujący ją w otwartą, czarną jamę. Gdy grabarz skończył robotę, starzec przykląkł na świeżym grobie. Nie

zapłakał i teraz—usta jego nie poruszyły się ani jedném słowem. Oczy podniosły się w górę, zawisły tam na chwilę i znowu spuściły na świeży grób.

Psina pyszczek w skopaną ziemię utkwiła i wietrząc żałośnie zawyła.

Jeden z posługaczy przystąpił do klęczącego starca.

— Niech pan już pójdzie,—rzekł półgłosem,—późno, do miasta daleko...

Starzec popatrzył, jakby nie rozumiejąc. Psina przestała wietrzyć i głucho warknęła, patrząc na obcego nieufnie. Posługacz jeszcze łagodniejszym głosem powtórzył wezwanie, ale starzec nie ruszył się z miejsca, nie odpowiedział ani słowa. Posługacz odszedł markotny i jeszcze się kilka razy obejrzał za siebie.

Zmrok coraz większy zapadał. W oddali zabłysły sznurkiem ognistym miejskie latarnie,—zaświeciły światła w oknach. Stróż cmentarny przesunął się uliczką, a widząc klęczącego wciąż starca, przypomniał mu, że trzeba wyjść, bo zamykają cmentarz. Starzec pozwolił się wyprowadzić za bramę, i nie mówiąc słowa, machinalnie zwrócił się w stronę miasta. Zapomniał na grobie czapki—on nie czuł nawet, że zimne krople spadają na obnażoną głowę jego. Psina stanęła niepewna, w którą stronę iść—zwróciła się ku cmentarzowi, zaskowyczała żałośnie, spojrzała na swego pana, jakby z wyrzutem, że odchodzi i pobiegła za nim wreszcie.

Starzec szedł wolno, powłócząc nogami. Znać było, że nie wola, ale tylko instynkt kierował go w stronę mieszkania, że idzie machinalnie, nie zdając sobie z tego sprawy. Ciężko mu było wyciągać nogi z błota, co chwila potykał się, albo zaczepiał o przechodniów, z których niejeden zaklął głośno, widząc człowieka bez czapki, w rozpiętym paltocie i chwiejącego się na nogach.

Nareszcie się dobił do swojéj kamienicy, wysokiéj, wązkiéj, staréj. W sieni kopciła się maleńka lampka naftowa, która więcéj dawała swędu, niż światła. Psina w kilku podskokach wbiegła aż na trzecie piętro i tam do drzwi zaczęła drapać; widząc, że pan nie przychodzi, zbiegła napowrót do niego i przeskakiwała po parę schodów, oglądając się na niego swemi mądremi, żółtemi oczami.

Starzec z trudnością, co chwila przystawając, wdrapał się na trzecie piętro i kluczem, wyjętym z kieszeni, otworzył nizkie drzwiczki. Powiało ztamtąd pustką i chłodem, oraz zapachem zmieszanym chlorku, zgaszonych gromnic i różnych leków aptecznych. Starzec się cofnął, psina tylko wbiegła pędem, jakby szukając kogoś a nie znalazłszy, przypadła znowu do pana, patrząc mu prosto w oczy, jakby zapytać chciała...

On wreszcie próg przestąpił, natknął się na stół niedaleko drzwi stojący. Niepewne światło, przez otwarte drzwi wpadające, odbiło się na białym kloszu lampy,—starzec zapalił ją, i biorąc w rękę przeszedł do drugiego pokoju.

Była to niewielka izba, o ścianach malowanych na szaro. W rogu się wznosiła kuchenka, zastawiona parawanem, naprzeciw pod ścianą łóżko żelazne, a obok niego duży stół, zasłany ceratą; na stole leżał stos kajetów, w bibułę oprawnych, kilka książek szkolnych i przybory do pisania.

Starzec usiadł, stawiając lampę na stole. Oczy jego tak samo nieruchomym wzrokiem wpiły się w łóżko, jak przedtém w trumnę. Jeszcze wczoraj, gdy do kościoła wynieśli martwe ciało jego jedynaczki, życzliwa ręka uporządkowała rozrzuconą pościel, zasłała białą kapą łóżko, ale stary człowiek o siwych włosach, co się tak nieruchomo przed siebie wpatrywał, wciąż na tém łóżku widział rozrumienioną gorączką twarz dziewczyny, o cerze zwiędłéj przedwcześnie, o ciemnych oczach, podkrążonych siną obwódką. Widział, jak z twarzy téj ustępował rumieniec gorączki, jak gasły oczy, aż wreszcie biedna, chuda twarzyczka stała się żółta, sina, trupia, a oczy się zamknęły, aby nie otworzyć już nigdy.

Nie chorowała długo. Jednego wieczora położyła się z silnym bólem głowy i już nie wstała nigdy. Gorączka jéj odebrała przytomność, która wróciła dopiero w przeddzień śmierci. Dziewczyna wtedy poprosiła ojca, aby przeszedł do drugiego pokoju. Usłuchał i przez drzwi niedomknięte słyszał, jak prosiła doktora, aby późniéj, gdy jéj już nie będzie, czuwał nad starcem i nie dał mu zginąć marnie... Głos dziewczyny był cichy, stłumiony, a jednak dotąd brzmiał mu w uszach tak silnie, że wszystko głuszył. Pamiętał, że wtedy jak burza wpadł do pokoju, chwycił w objęcia tę wątłą, cierpieniem wyniszczoną istotę, i chciał z nią uciekać daleko, daleko z tego pokoju, w którym śmierć czyhała. Ale doktór przytrzymał go i łagodnie zaczął napominać, żeby córki nie męczył, bo to może przyśpieszyć jéj koniec. Położył ją napowrót na łóżko i w tejże chwili zdało mu się, że mu na głowę spadł kamień ciężki a palący. Klęknął przy łóżku córki i już się ztamtąd nie ruszył, aż gdy martwe ciało włożyli do trumny i wynieśli do pogrzebowéj kaplicy pod wieczór.

Doktór się zajął wszystkiém, umówił pogrzeb, a starca biednego zabrał do siebie na noc.

Teraz, zamiast pójść znowu do niego, siwy człowiek machinalnie powrócił do tego pokoju, gdzie onegdaj jeszcze leżała jego córka jedynaczka. Zapomniał, że przyjść obiecał, jak zapomniał zam-

knąć za sobą drzwi od schodów, któremi wpadało wilgotne, lodowate powietrze. On nie czuł tego, nie czuł głodu, nie czuł, że wstrząsają nim dreszcze febryczne. Świat rzeczywisty nie istniał na tę chwilę dla niego.

Za to przed oczami jego duszy zaczęły się roztaczać obrazy już dawno minione. Wszak niegdyś, dawno już temu, on przy odgłosach burzy, co nad krajem całym szalała, pochylał się nad łóżeczkiem siedmioletniego dziecięcia, tak samo, jak dziś, nad tém łóżkiem pustem. Pochylał się, aby ją pocałować, dziecinę swoją, pożegnać, bo wyjeżdżał daleko, nie wiedząc, czy wróci kiedy.... A w jego starym dworze, w gnieździe rodowém została młoda żona z dwojgiem dzieci małych....

Burza szalała, łamiąc drzewa wyniosłe, co z korzeniem wyrwane padały z trzaskiem, druzgocząc drobniejsze drzewiny i krzaki, co pod ich cieniem rosły. Szalała burza i niosła tumany całe liści zeschniętych, co rozsypały się po całym świecie. Wicher wściekły miotał niemi, i gubiąc po drodze, zanosił aż na szerokie, bezbrzeżne stepy śniegiem zasłane, po których harcował swobodnie....

Przed oczami starca rozsunęły się te stepy śnieżyste, ciche, po których wiatr nawet jęczy skargą żałosną, po których szeroko rozbrzmiewa odgłos dzwonka pocztowych sani, co pędzą galopem, żeby nie zamarznąć w drodze....

I zwolna przechodził pamięcią te lata bez końca, czy zimy raczéj, jednakowe, jak paciorki różańca, podobne do siebie, jak łzy spadające z oczu, płynące jak woda w rzece, co choć przepływa i nigdy nie wraca, płynie przecież ciągle jednako. Przechodził myślą te chwile długie, z których mu został na wieczne czasy w uszach głos dzwonków pocztowych i smutna skarga wichru, harcującego po stepach bezbrzeżnych, śniegiem zasłanych.

I teraz je widział przed sobą. Jak okiem zajrzał, śnieg równym kobiercem ziemię zaściela, — blade niebo zlewa się w jedno z białym całunem. Białe płatki przed oczami latają—to śnieg z cichym, a jednak przejmującym szelestem na ziemię pada, zakrywając ślady wszelkie. Coś jęczy i huczy i dzwoni w oddali — to wiatr niesie echo dzwonka po stepie szerokim....

Zimno było pod tém niegościnném niebem, tém zimniéj, że w głowie roiły się jak lawa gorące marzenia, w duszy grały pragnienia ogniste, co chciały ten biały śniegowy całun zamienić w morze płomieni czerwonych, co mogłyby roztopić żelazo twarde. Marzenia te nurtowały pod czaszką, pragnienia przetrawiały duszę jak ogień, a na to wszystko powoli, z cichym szelestem spadały białe śniegu płatki i przykrywały śmiertelnym całunem....

I długo, długo tak było, — aż w ogniu tym przepaliła się dusza człowieka — ogień strawił wszystko, co nie było tém jednóm wielkiém pragnieniem—jedną namiętną miłością, wewnątrz płonącą, zewnątrz pokrytą szklistą lodu powłoką, twardą, zimną.

I wszyscy ci, których widywał, wszyscy ci, z któremi skuły go losy, myśleli i czuli tak samo; wszystkich ożywiała myśl jedna, jeden duch krzepił. Silnie się zwarli ramieniem, solidarni, jak jedna rodzina, pokrewni sobie, jak bracia—jeden za drugiego stał murem...

Powoli, po jednemu, ubywały ogniwa tego łańcucha. Jednych powaliła choroba, drugich zjadła tęsknota, zabiły śniegi i mrozy, śmierć zmiotła,—inni wreszcie wracali do domu, i ginęły o nich posłuchy. Pozostali coraz silniéj zaciskali coraz mniejsze swoje koło...

Z kraju przychodziły wieści rzadkie, krótkie. Brzmiały one bardzo smutno. Burza nie oszczędziła nikogo. Zgniotła ona stare gniazdo rodowe, a młodą jego panią z dwojgiem dzieci zaniosła aż na bruk miejski. Wspomnienia i tęsknota zamęczyły tam prędko wykołysaną marzeniem, przywykłą do szczęścia kobiétę, — niedostatek zabił małego synka, a starszą dziewczynkę dalecy krewni w opiekę wzięli. Od niéj to czasami przychodziły listy aż tam na stepy, listy rzewne, tęskne, przepełnione tą samą miłością, która paliła się w sercu jéj ojca....

Aż wreszcie nadeszła chwila, w któréj wszyscy się z powrotem wybrali. Ojciec napisał do córki, że przyjeżdża. Z początku odbywali podróż we czterech, ale na granicy rozprysnęli się na cztery kraju końce i każdy już jechał osobno.

Gdy stary ojciec do Warszawy przybył, twarz miał zamyśloną, smutną bardzo. Coś mu ta chwila powrotu, tak gorąco upragniona, inaczéj wypadła niż marzył. Spotykał w drodze ludzi, wcale niepodobnych do tych, których tu niegdyś zostawił, — domy i chaty, ziemia i lasy wyglądały jakoś inaczéj. Zdało mu się, że i powietrze trochę inne było....

Gdy go ujrzała córka, z głośnym okrzykiem podbiegła ku niemu, na jego szyi zawisła, okryła mu ręce pocałunkami, płacząc i śmiejąc się razem. Dla niéj ten ojciec, przybywający zdaleka, był czémś świętém, wcieleniem jéj ideałów, uosobieniem siły i poświęcenia....

Dziewczynie też lekko życie nie szło. Niby ją krewni w opiekę wzięli, ale taka to i była krewniacza opieka. Ciężki był dach ten nad głową dziewczynie, gorzki chleb z łaski dawany. Jéj się to prędko sprzykrzyło, a że to była silna natura, którą urobiła twarda szkoła sieroctwa, że miała zawsze przed sobą cel jeden, aby ojciec zastał ją godną siebie i za powrotem pochwalił, zamiast opuścić

ręce, dała sobie radę. Dwunastoletniém dzieckiem była, gdy zaczęła dawać korepetycye dwóm małym dziewczynkom z tego samego gimnazyum, gdzie sama pobierała naukę, — przeniosła się do ich domu, opuszczając niegościnne progi krewniaków, którzy wielkim głosem uderzyli na jéj niewdzięczność.

I od téj pory szła już o własnych siłach. Życie jéj całe upływało w obrębie gimnazyum; rano uczyła się sama, po obiedzie uczyła innych, nie wyglądając na świat Boży, nie szukając innego życia, spokojna, dumna, że może sobie wystarczyć.

Całą miłość, całą poezyą, wszystkie porywy do ideału młodego a silnego ducha zlała na tego oddalonego, ukochanego ojca, od którego parę razy do roku odbierała listy przesiąkłe łzami, tęsknotą bezbrzeżną i dziwnie przejmującą rzewnością. Kochała go sierota, całą siłą nierozdrobnionego niczém uczucia, całą duszą, myślą każdą.

Właśnie gdy on miał przyjeżdżać, ona złożyła chlubnie egzamin nauczycielski i otrzymała miejsce w tém samém gimnazyum, w którém kończyła nauki. Teraz marzyła tylko o powrocie ojca, o tém, jak oni sobie życie wspólne ułożą, jak ona tego swego ukochanego otoczy wygodą, jak im będzie dobrze razem.

To téż gdy wrócił, ona go powiozła do przygotowanego mieszkania, wprawdzie na oddalonéj ulicy, aż na trzeciém piętrze, ale ciepłego i widnego. Stały w niém sprzęty proste, lecz dość wygodne,—niczego nie brakło, co do życia codziennego było potrzebném. Kącik to był zaciszny a ciepły, a jednak wędrowiec zdaleka przybyły nie rozchmurzył zmarszczonego czoła, nie rozjaśnił twarzy posępnéj. Owszem, z dniem każdym przygniatało go ciężéj smutku brzemię.

Bo tam, na dnie jego duszy wznosiła się mogiła wysoka, ogromna, pod którą leżały pogrzebane jego nadzieje, pragnienia, to wszystko, czemu on życie poświęcił. Leżały tam pogrzebane, bez nadziei zmartwychwstania, bo stary wędrowiec zwątpił i to zwątpienie czarnym kirem pokryło dla niego świat cały.

Zwątpił. Inaczéj być nie mogło. On zobaczył odrazu, że ludzie, do których mu było tak pilno, to nie ci sami, których on tu przed laty zostawił. On z sercem stęsknioném rwał się do nich, a gdy przyszedł do swoich, swoi go nie przyjęli, i wzruszając ramionami, patrzyli na ten zabytek dawno minionéj epoki, którą oni znali głównie ze skutków, co boleśnie odbiły się na ich życiu całém....

On ich nie rozumiał i oni nawzajem jego nie mogli zrozumieć. Życie całego społeczeństwa rozpadło się na dwie połowy—on został po jednéj stronie głębokiéj rozpadliny, oni po drugiéj wyrośli — i rozdzieliła ich przepaść, po któréj mostu rzucić nie było podobna.

Wędrowiec zapomniał, że lata płyną jak woda, że co minęło, nie wraca, że jeśli coś może zostać niezmiennem, to tylko w krainie lodów, gdzie nie dochodzi żaden podmuch życia, żadna wieść ze świata, tak, że można w sobie zatracić świadomość czasu i saméj rzeczywistości. Zapomniał, że na świecie ciągle kiełkują myśli nowe, a stare butwieją i na skład idą; że pokolenie każde wykształca się według otaczających je warunków i nigdy, przenigdy nie bywa podobném do tego, co je poprzedziło.

Wędrowiec o tém zapomniał, może nawet nie myślał nigdy. On stracił cel życia całego, które dziś już nie miało w jego oczach żadnéj wartości. Cóż go obchodził świat cały, gdy widział przed sobą ogromną mogiłę, któréj cień posępny zasłaniał mu wszystkie przedmioty?

Daremnie córka wysilała się na sprowadzenie uśmiechu na tę zaciśnięte usta — nie udało jéj się to nigdy. Starzec jéj usiłowania przyjmował surowo, w jego oczach była to płochość — w nieszczęściu śmiać się nie wolno....

To téż powoli, stopniowo i dziewczyna się oduczyła od śmiechu. Cień tego ponurego smutku, téj cięższkiéj zadumy padł na nią i coraz więcéj zaczęła się odsuwać od świata i ludzi, zamykając się w rozmyślaniach o przeszłości. Łatwo jéj to przyszło. Choć młoda, nie była wcale ładna, to téż nikt się do niéj nie garnął natrętnie, a chłód, którym się owinęła, odstręczał tych, co zbliżać się mieli ochotę. Po za obowiązkowém zajęciem w klasach nie miała żadnego zetknięcia z ludźmi. Gorączkowo żyją w mieście,—jeśli ktoś sam nie zasiądzie do zastawionego stołu życia, inni nie mają czasu zapraszać go i myśléć o nim. Każdy ma dosyć z sobą kłopotu.

To téż nikt nie zakłócał spokoju tych dwojga ludzi, co powoli zatracali w sobie świadomość życia rzeczywistego. Płynęły dnie i tygodnie, płynęły miesiące i lata, oni coraz mocniéj byli z sobą spojeni, coraz więcéj odsuwali się od ludzi. Twarz dziewczyny straciła barwę świeżości, zwiędła trochę, oni nie widzieli tego, ich to nie obchodziło wcale. W nieszczęściu nie myśli się o sobie, bo jednostka, to pyłek wobec społeczeństwa całego. Ojciec osobiste uczucia stopił w jedném, ogólném, a miękka, wrażliwa natura córki urobiła się na obraz i podobieństwo ojca....

Materyalna troska nie miała do nich przystępu. Praca dziewczyny zaspokajała ich potrzeby, choroba nie zaglądała do domu. Z téj strony byli zupełnie spokojni. Dziewczyna spełniała sumiennie swoje obowiązki, a następnie wracała co prędzéj do domu, gdzie z utęsknieniem czekał na nią ojciec, siedząc w fotelu, z oczami nieruchomo w jeden punkt wpatrzonemi, którémi w koło siebie

nic nie widział, bo patrzał tylko w przeszłość. Ona całowała jego ręce i siadała naprzeciw niego, a on zaczynał opowiadać jakieś zdarzenie ze swoich dawnych wędrówek, albo téż dawał jéj książkę, gdzieś z ukrycia wyjętą i kazał czytać głośno.

Zdawało się, że tych dwoje tak nic nie pragnie od świata, od życia i ludzi, że chyba trudno zakłócić ich spokój, że tak już zostaną nazawsze. Aż raz, pewnego wieczora dziewczyna przyszła do domu z czerwonemi plamami na twarzy bladéj, z oczami płonącemi oburzeniem, błyszczącemi gorzką łzą żalu. Tego samego ranka, bez żadnego przygotowania, oznajmiono jéj, że traci miejsce, na którém pracowała od lat tylu. Nie było żadnéj winy z jéj strony, wszyscy byli z niéj zadowoleni, ale cóż robić—takie wyszło rozporządzenie. Nie ona jedna—tyle ich odrazu, za jednym zamachem potraciło miejsca...

Dziewczyna chwyciła się obiema rękami za głowę z rozpaczą niemal. Ona czuła się tak obcą na świecie, że gdy ją wytrącono z kolei, po któréj od dzieciństwa stąpała, nie wiedziała, gdzie się obrócić, w którą udać się stronę. A przecież musiała obmyśléć dach i schronienie dla tego znękanego starca, co stérał siły tam daleko, daleko...

Tego wieczora starzec nie wywoływał obrazów z przeszłości, dziewczyna nie czytała głośno żadnéj książki. Ona chodziła po pokoju z płomienistemi wypiekami na zwiędłéj twarzy, czasami o ramie ojca opierając głowę, która ją bardzo bolała—a starzec wodził za nią oczami, w których malowała się rozpacz. Wszak on to dziecko swoje jedyne kochał każdą fibrą, co jeszcze w nim żyła dotąd... Jego opanowała wściekłość straszna, tém straszniejsza, że bezsilna zupełnie. Bo i cóż on mógł zrobić? wolno mu było pokrwawić swoje ręce zaciskając z całéj siły pięście, wolno mu było bić o mur głową, póki mu sił i czucia starczyło—więcéj nic, nic zupełnie. Alboż jest jaki ratunek, gdy powódź zalewa i topi wszystko, co na jéj drodze się znajdzie?

Przez tydzień cały dziewczyna całemi dniami biegała po mieście szukając pracy, chodziła od kantoru do kantoru, przedstawiała się w kilkunastu miejscach, a wieczorem wróciwszy do domu, obiema rękami cisnęła coraz mocniéj bolącą głowę. Przez tydzień cały ani razu nie czytała głośno, ani razu ojciec nie opowiadał tego, co dawniéj się działo. Milczeli oboje, jakby się bali tych słów, co z ich ust wyjść miały...

Aż wreszcie ósmego dnia dziewczyna powróciła wcześniéj do domu. Udało się jéj znaleźć szukaną pracę, mogła spokojnie w przyszłość spojrzéć. Ojciec swobodnie odetchnął—więc znów rozpocz-

nie się ich życie spokojne, poważne, uroczyste, do którego nie miała przystępu żadna myśl płocha, żadna lekkomyślna zachcianka.

Z westchnieniem ulgi przyniósł swoję ulubioną książkę, otworzył na założonéj stronnicy. Dziewczyna ją wzięła do ręki, ale daremnie próbowała czytać. Litery jéj przed oczami skakały, niby drobne wężyki, głowa bolała bardzo, myśli plątały się. Ojciec jéj książkę odebrał i zaczął coś opowiadać, patrząc z głęboką miłością, ze czcią nieledwie na tę dziewczynę, co bez słowa skargi czy żalu zostawiła za sobą młodość swoję, wyrzekając się wszystkiego, co życie dać może...

Ona słuchała słów ojca, i niby ilustracya do nich, przesuwały się przed jéj oczami płomienne obrazy, mary ogniste. Myśli wirowały pod czaszką, pragnienie paliło usta, z których zaczynały wyrywać się bezładne wyrazy.

Położyła się i już nie wstała...

Stary, samotny wędrowiec wracał z pogrzebu jedynaczki. Obok wielkiéj, ogromnéj mogiły, któréj cień padł na niego i na to życie młode, co już zagasło, wzniosła się druga mogiłka, maleńka, drobna, pod którą leżało to wszystko, co u starca jeszcze żywem zostało. Nie pękła nitka serdeczna, co ojca z córką łączyła—ale koniec jéj jeden został pod małą mogiłką i ciągnął tam starca siłą nieprzepartą.

Został sam. Dawniéj, dawno już, pogrzebał wielką ideę, którą duszą całą ukochał, któréj życie całe poświęcił. Dziś, pod ziemią leżało to, co było jasnym promieniem jego starości. Nie miał już nikogo—i nic.

I po zmęczonéj głowie jego zaczęły się snuć myśli i obrazy różne. Zimno mu było. Nic dziwnego,—wszak przed nim, jak oko sięgnie, step biały, bezbrzeżny, gładki, w jedną całość z niebem złączony. W oddali coś huczy jak burza, i dzwonek dzwoni i wiatr jęczy posępnie, i słychać jak śnieg cicho szeleści, spadając z nieba na ziemię. W oddali słychać łoskot—niby lodu pękającego, szum—niby fali co płynie. Dzwonek słychać coraz donośniéj, a wiatr coraz smutniéj jęczy.

Pić się chce. Ale ręce zlodowaciały i odmawiają posłuszeństwa. Przecie w koło śniegu tyle—dość ręką zaczerpnąć, do ust ją ponieść, aby ugasić ten ogień, co trawi wnętrzności. Ale ręką ruszyć niepodobna. Senność nieprzezwyciężona ogarnia wędrowca, skleja jego oczy zmęczone, przed któremi jeszcze migają białe śniegu płatki. Ta senność, to śmierć. Kto zaśnie na stepie bezbrzeżnym, tego odrazu biały całun przykryje, i nie jemu już się budzić do życia. Starzec ostatnich sił dobywa, aby o pomoc zawołać. Straszno

tak ginąć samemu. Może usłyszą towarzysze, wszak oni niedaleko. Ha—usłyszeli—starzec czuje na twarzy jakieś tchnienie gorące...

To psina biedna wskoczyła mu na kolana i liże po twarzy, patrząc na niego błyszczącemi z głodu oczami.

Nikt nie słyszy cichego głosu, bo w pokoju tylko ta psina biedna skomli żałośnie, tylko wiatr przez drzwi niezamknięte płomieniem lampy porusza.

Pić się chce. Żeby to kroplę wody—jedną choć kroplę. Ha—szum jéj słychać, niby rzeki wartko płynącéj. Niema nikogo. Towarzysze opuścili, czy może sami pomarli, i ona poszła, i mogiła ogromna się piętrzy. Opuścili wszyscy i wszystko.

A tymczasem śnieg coraz gęściéj i gęściéj pada, zimnym całunem oddech tamuje, senność coraz mocniéj oczy klei, ta senność śmiertelna, co nie pozwala się dźwignąć do czynu, otrząsnąć, nawet gdy śmierć tuż, tuż nad głową...

Starzec ostatnim, nadludzkim wysiłkiem porwał się z krzesła—i runął bezwładny na ziemię, przewracając stolik z lampą, co potrzaskała się na kawałki...

* *
*

Gdy doktór, co leczył dziewczynę, na drugi dzień rano przyszedł odwiédzić jéj ojca, zastał drzwi od mieszkania otwarte. W drugim pokoju leżał siwy starzec zimny, nieżywy, już stężały; obok niego mała psina, przywalona stolikiem, który znać ją zabił na miejscu.

Julian Morosz.





USAMOWOLNIENIE IRLANDYI.

IV.

Gdy w styczniu zeszłego roku p. Gladstone objął na nowo ster rządu, nie istniała najmniejsza wątpliwość co do idei i zasad, które jego polityce względem Irlandyi przewodniczyć miały. Z jednéj strony, dość było sobie przypomniéć całą jego przeszłość: w r. 1868 *disestablishment* kościoła anglikańskiego i ostateczne wyswobodzenie katolicyzmu, w roku 1870 pierwsze próby rozwiązania kwestyi włościańsko-gruntowéj wśród opinii całkiém do tego nieprzygotowanéj, i w 1881 jego *Land Bill*, mający na celu wytworzenie drobnéj własności. O téj ostatniéj stronie jego działalności znajdą czytelnicy szczegóły niżéj, gdy im przedstawimy kwestyą gruntową w jéj organicznéj całości.

Z drugiéj strony, otrzymawszy ster rządu dzięki głosom 86-ciu członków irlandzkich parlamentu, pierwszy minister zapisał na swoim sztandarze urzeczywistnienie ich narodowego programatu. Nadzwyczajna popularność wielkiego męża stanu, tego *Grand old Man*, jak go serdecznie lud trzech królestw nazywa, wspomnienie wielkich reform liberalnych, których był dokonał, ten duch właściwy mu religijno-apostolski, poszanowanie dla korony, dla staro-tradycyonalnych instytucyi krajowych, patryotyzm niepodejrzanéj czystości, wymowa przekonywająca, któréj oprzéć się trudno, doświadczenie parlamentarne i taktyka umiejętna, nie pogardzająca żadnymi użytecznymi środkami: oto czynniki, które Gladstone przynosił z sobą i rzucił na szalę losów irlandzkich.

Nowość położenia na tém polegała, że nie uląkł się odpowiedzialności, że pogardził półśrodkami, mizerną łataniną i że mając przed sobą jasno postawiony cel, nie przestraszył się żadnemi na-

stępstwami swego radykalnego programatu. Wrażenie, jakie wywołało to śmiałe przerzucenie się sędziwego męża stanu do krańcowego stronnictwa, wrażenie to było potężne, zdumiewające, i jeżeli z jednéj strony niezadowolenie dworu, zjadliwe przekąsy arystokracyi, pociski namiętne prasy zachowawczéj, to z drugiéj towarzyszyło mu gorące, namiętne poparcie klas ludowych i całego stronnictwa postępowego. Przeciwnicy i stronnicy czuli, że Wielka Brytania znajduje się na rozdrożu i że stanowcza godzina decyzyi wybiła, która jéj w tę lub inną stronę iść nakaże.

Trzy miesiące z górą upłynęło od utworzenia gabinetu a przedłożenia parlamentowi bilów irlandzkich. Uwaga całéj Europy, gorączkowe drganie pulsu narodowego zaznaczało tę epokę wyczekiwania. Wiedziano już, że dla przeprowadzenia systematycznego i logicznego swojego planu, Gladstone nie zatrzymał się przed zerwaniem związków z głowami swego własnego stronnictwa. Z kolei odstąpił go i p. Goschen, ekonomista i finansowa powaga pierwszéj klasy i p. Travelyan, wytrawny polityk niezaprzeczonego liberalizmu i margrabia Hartington, przedstawiciel potężnego książęcego domu Devonshire, szef arystokracyi liberalnéj i dawniejszy przywódzca partyi wigów, i nakoniec nawet p. Józef Chamberlain, słynny z demokratycznych aspiracyi przywódzca radykalnego stronnictwa w parlamencie. Odstępstwa te, dopełnione wśród ironicznych wykrzyków stronnictwa zachowawczego, z góry już udowodniały, że programat p. Gladstone'a musi być przestraszający. Coraz bardziéj stawał on osamotniony, a wzburzony fanatyzm przeciwników nie przestawał porównywać tego 76-letniego starca do szatana, co z mefistofelesowską przewrotnością urągał téj opinii i sumieniu narodowemu i pchał ojczyznę w bezdenną przepaść. Ani bil reformy lorda Johna Russela, ani bil zbożowy sir Roberta Peela, ani żadna z dawniejszych reform Gladstone'a nie wywołała takiego naprężenia narodowego ducha: dwa wrogie stronnictwa stały przeciwko sobie, z góry przygotowane do walki zażartéj, nieprzejednanéj.

W dniu 8 kwietnia r. z. Gladstone blady ze wzruszenia, jak róża biała, którą miał zatkniętą w dziurce swego tużurka, ale głosem jasnym i donośnym wyłuszczył w trzechgodzinnéj mowie swój plan samorządu irlandzkiego w izbie gmin, rozciekawionéj ale coraz bardziéj osłupiałéj, oniemiałéj z podziwu i oburzenia, gdy usłyszała nareszcie do jakich herezyi wzywa ją prezes gabinetu. Pod względem czysto oratorskim mowa Gladstone'a zajmie jedno z pierwszych miejsc w rocznikach parlamentarnych; bil o samorządzie irlandzkim, do którego służyła jako propylee, słusznie otrzymał nazwę *Magny Charty* dla Irlandyi.

Dąży on do całkowitego usamowolnienia téj części korony brytańskiéj. Nie tylko, że rozrywa p. Gladstone i niszczy całkowicie akt unii, narzucony w początku stulecia, nie tylko że daje Irlandyi swój własny parlament złożony z dwóch izb, izby gmin, do któréj wejść mają obok 103 obecnych posłów irlandzkich, 101 innych wybranych przez to samo ciało wyborcze, i izby panów złożonéj z 28 obecnych dożywotnich lordów irlandzkich i z 75 wybranych specyalnie, nie tylko że czyni ten parlament dubliński samodzielnym, uposażonym w pełną władzę prawodawczą i wykonawczą, ale jednocześnie deputowani i lordowie irlandzcy przestają zasiadać w parlamencie Westminsterskim i nie mają już brać udziału w sprawach, dotyczących wyłącznie Anglii, Walii i Szkocyi.

Związek Irlandyi z Wielką Brytanią nie został jednak zerwany w tym projekcie, i jako biegły i genialny finansista, p. Gladstone wypracował aż do najdrobniejszych szczegółów materyalną zależność Irlandyi. Miała się ona przykładać w $^1/_{15}$ części do wydatków monarchii na armią, marynarkę i dyplomacyą. Chociaż Irlandya posiadać ma wszelką władzę w kwestyi podatkowéj, to rząd Wielkiéj Brytanii zastrzega dla siebie jako rękojmię wspólnych wydatków, dochody celne i dochody z akcyzy i pobierając je, opędzać będzie wspólne wydatki, resztę pozostałą przelewając do skarbu irlandzkiego. Finansowa niezależność Irlandyi nie przynosi tedy żadnego uszczerbku bezpieczeństwu monarchii i podstawom dochodów publicznych.

Rozprawy, jakie się toczyły w parlamencie angielskim z powodu bilu Gladstone'a, usamowalniającego Irlandyą, są zbyt świeżéj daty, ażeby nie brzmiały jeszcze w pamięci czytelników. Wszyscy muszą jeszcze mieć w uszach okrzyk bezgranicznego zapału, jaki się rozległ od jednego krańca Irlandyi do drugiego. W imieniu jéj Parnell uroczyście przyjął propozycye rządu, wyraził swe całkowite zadowolenie co do ich zasad i jedynie co do podrzędnych szczegółów zapowiedział poprawki. Po raz pierwszy mąż stanu, przemawiający w imieniu Wielkiéj Brytanii, z wysokości swego urzędowego stanowiska przedstawił plan i programat, który Irlandya okazała się gotową przyjąć bez zastrzeżeń, ze szczerą chęcią znalezienia w nim trwałego *modus vivendi*. Ten parlament krajowy, który po 500-letniém istnieniu i po blisko stuletniém zaćmieniu znowu się miał pojawić jako najwyższy organ prawa i bytu narodowego, był w oczach Irlandyi najwyższém dobrem, i aby go otrzymać, zgodziłaby się na wszystkie straty materyalne. Gdy p. Gladstone wykazał, że Anglia w ciągu kilkuwiekowéj walki używała względem Irlandyi wszelkiéj możliwéj broni i wszelkiéj możliwéj taktyki, z wy-

jątkiem jednéj jedynéj, a mianowicie sprawiedliwości i słuszności; gdy przypomniał jednozgodne potępienie, wypowiedziane przez wszystkich pisarzy i polityków wszystkich czasów i wszystkich narodowości i piętnujące hańbą politykę Anglii względem Irlandyi; gdy wykazał ujemne rezultaty, jakie te dotychczasowa polityka przyniosła, zmniejszenie ludności z 8 do 5 milionów, przerażającą emigracyą, ohydny bilans mordów i występków; gdy dowiódł nakoniec, że to usamowolnienie prawodawcze nie zrywa bynajmniéj unii i związku brytańskiego i że mamy w sąsiedniéj Norwegii i Szwecyi, a w ostatniéj ćwierci wieku w dualizmie austryacko-węgierskim wymowne i przekonywające przykłady samodzielności krajowéj, dającéj się pogodzić z całością i z jednością organiczną monarchii: gdy argumenta téj siły i téj doniosłości przedstawiane były parlamentowi i torowały sobie drogę wśród opinii krajowéj,—można było przypuszczać, że mimo zaciętéj opozycyi kampania Gladstone'a pożądanym zostanie uwieńczona skutkiem.

Ale reforma przedłożona parlamentowi była zbyt radykalną i naruszała zbyt liczne i zbyt potężne interesy materyalne i moralne, ażeby mogła odrazu osiągnąć to zwycięstwo. W pierwszym szeregu napotykała dumę angielską, która przywykła traktować irlandzkiego Paddy jako wyrzutka społecznego, jako przedstawiciela rasy podrzędnéj, brudnéj, biednéj, pozbawionéj zmysłu *cantu* i *respectability*, dowcipkującéj i na wskróś niemoralnéj: było coś ubliżającego majestatowi *civis britanicus* traktować Irlandczyków naraz, jako równych sobie i swobodnych obywateli. Była daléj cała bezwładna masa polityków żyjących z dnia na dzień, która nie umiała wznieść się do syntetycznego poglądu na całość kwestyi, którą przerażała nowość i ogrom przedsięwzięcia, która w usamowolnieniu Irlandyi widziała jedynie pierwszy krok do jéj rewolucyjnego zerwania węzłów państwowych. Było całe udyscyplinowane, silnie do boju uorganizowane stronnictwo torysów, które z góry oponuje każdéj reformie, przedsięwziętéj przez swoich współzawodników; stronnictwo to zostało poparte i zyskało nowe żywioły, nową krew w żyłach przez odstępstwa pierwszorzędnych osobistości z liberalnego obozu, które nie miały odwagi logicznie i konsekwentnie pójść wraz z Gladstone'm do ostatnich ogniw łańcucha.

Wszystkie te skojarzone żywioły znalazły wspólny grunt i wspólny sztandar do walki z projektami ministeryalnemi. Ogłosiły je jako niebezpieczne dla jedności państwowéj. P. Chamberlain, ów przywódca radykalizmu angielskiego, pierwszy przypiął tę kokardę bykowi w arenie cyrkowéj; w ślad za nim powtarzano ten argument przez długie miesiące. Łatwy do zrozumienia przez masy, co się

rządzą nie rozumem, ale uczuciami, stał się zatrutym grotem, utkwionym w samém sercu projektów rządowych. Przedstawiano utworzenie parlamentu w Dublinie, jako zerwanie jedności prawodawczéj, a nieobecność posłów irlandzkich w parlamencie Westminsterskim, jako wydalenie ich z organizmu Wielkiéj Brytanii, i podczas kiedy Gladstone utrzymywał, że prawdziwa jedność opiera się na sympatyi, wzajemnym szacunku i solidarności interesów, że do téj jedności jeden tylko wiedzie gościniec — swobody i prawa, przeciwnicy jego oskarżali go o zamach na całość i potęgę Wielkiéj Brytanii, widzieli w nim narzędzie bezwiedne rewolucyjnych celów i ukazywali przerażonemu krajowi nieustanne zatargi, bunty i wojnę domową, paraliżującą wszystkie siły narodowe. Było widoczną, dotykalną przesadą, fałszowaniem projektów Gladstone'a przedstawiać jako rozrywający jedność monarchii systemat polityczny, który zatrzymywał Wielką Brytanią i Irlandyą pod zwierzchnią władzą wspólnéj korony, który zachowywał jednę armią, jednę flotę, jeden sztandar narodowy, jednę politykę zagraniczną, jeden system monetarny, jedne cła, jedne ustawy w handlu, żegludze, patentach, jeden niezmienny organizm praw zasadniczych. Ale mimo tego argument przeciwny, przedstawiony w tysiącznych formach i postaciach powoli torował sobie drogę wśród mas narodowych i jeżeli klasa robotnicza i wyrobnicza, świeżo powołana przez Gladstone'a do udziału w sprawach publicznych stawała gorąco po jego stronie, sądząc uczuciem, powodując się uczuciem wrodzoném słuszności i nie wdając się w kazuistykę prawną, to za to mieszczaństwo, klasy średnie, które są w Anglii na wskróś zachowawcze i obracają się mimowiednie w promieniu zakreślonym im przez arystokratyczne warstwy towarzystwa, przedmiot ich czci i hołdu, cała ta inteligencya krajowa, która nie oswoiła się jeszcze z planami Gladstone'a, która niespodzianie postawiona była przed problematem zawikłanym, niby nad bezdenną przepaścią, cała ta masa stanowiąca rdzeń i jądro narodu angielskiego była wahającą się, niepewną, wykolejoną, i widocznie wzdragała się wykonać to *salto mortale*, do którego Gladstone je wzywał.

Pomiędzy pierwszém odczytaniem bilu, które jest podług parlamentarnéj tradycyi tylko czystą formalnością, a drugiém, które jest stanowczém, Gladstone przedłożył izbie gmin drugi bil irlandzki o uwłaszczeniu włościan. Bil ten, dokonywający olbrzymiéj reformy ekonomicznéj i społecznéj, był w oczach angielskiego męża stanu dopełnieniem politycznéj i administracyjnéj reformy, sformułowanéj przedtém, i dlatego stanowiły obie jednę organiczną całość, dlatego chciał przeprowadzić obie jednocześnie lub runąć pod ich gruzami.

Będziemy mieli sposobność przypatrzéć się bliżéj projektowi Gladstone'a, tyczącemu się uwłaszczenia i kwestyi gruntowéj. W kraju naszym, gdzie sprawa ta tak długo stała na porządku dziennym i gdzie wszystkie jéj przejściowe fazy mamy w żywéj pamięci, zasada wykupienia gruntów włościańskich przez rząd, stopniowe umorzenie długu, etc. wszystko to są oklepanki, które nie dziwią nikogo, które są rzeczą naturalną, jasną, praktyczną, jedynie możliwą. Inaczéj jednak rzecz ta miała się w Anglii, gdzie cała ziemia znajduje się w rękach arystokracyi, gdzie operacya wykupu i uwłaszczenia znalazła społeczeństwo nieprzygotowane do niéj, nieoswojone, i gdzie rozmaite krzyżujące się interesa spotkały się z sobą szorstko, gwałtownie. Arystokracya gruntowa nie mogła się oswoić z myślą, że przestanie być władczynią gruntów, które wydzierżawiała dotąd, gdy jéj się to podobało i na warunkach, które się jéj stawiać podobało; arystokracya gruntowa angielska nie mogła sobie zataić, że i ją ten sam los spotkać nie omieszka. Tracąc posiadanie i własność ziemi, pozbywała się najważniejszéj podstawy swéj społecznéj hegemonii i wpływ jéj stanowczy na klasy niższe narodu wymykał się od razu z jéj ręki. Z drugiéj strony, radykalizm głośno zaprzeczał prawa arystokracyi gruntowéj do jakiejkolwiek indemnizacyi i twierdził, że nie jest bynajmniéj obowiązkiem innych warstw społeczeństwa zbogacić ją olbrzymim kapitałem likwidacyjnym. Inne nakoniec stronnictwo finansistów praktycznych stawało przerażone przed ogromem milionów, których ta operacya wymagała, widziało w niéj materyalną ruinę Wielkiéj Brytanii, wskazywało na złą wolę Irlandyi, na jéj ubóstwo i przewidywało, że Anglii przyjdzie z własnéj szkatuły zapłacić te setki milionów indemnizacyjnych.

Bill Gladstone'a o wykupie gruntów wywołał prawdziwą burzę, namiętną opozycyą, a nawet najżarliwsi stronnicy gabinetu zaskoczeni gradem pocisków i zarzutów, niedostatecznie wtajemniczeni w mechanizm téj operacyi, powierzchownie tylko przekonani o jego praktyczności, bronili go niedość energicznie i bez zapału. Napróżno biegły sternik, zaskoczony burzą, starał się łódź swoję na spokojniejsze wprowadzić wody, napróżno zapowiadał ustępstwa i żądał jedynie przyjęcia i uświęcenia zasady, nie był już w stanie zapanować nad rozjuszonemi żywiołami. Widocznem było, że bil gruntowy nie będzie mógł przejść przez mieliznę parlamentarną i że ważna ta reforma do dalszych jeszcze czasów odłożoną zostanie.

Nie było jednak potrzeby poddawać go téj ogniowéj próbie. Gdy izba gmin zawezwaną została do wydania sądu o politycznym bilu irlandzkim, i gdy w nocy z 7 na 8 maja r. z. przystąpiła w zwar-

tych szeregach do głosowania,—za projektami rządowymi stanęło 311, przeciwko nim 341 głosów. Większością 30 głosów cała kwestya usamowolnienia Irlandyi została odrzuconą i potępioną.

Była to chwila wysokiéj doniosłości historycznéj i wśród złowieszczego krzyku zrozpaczonych Irlandczyków, co spadali z podniebnych wyżyn edenu do piekielnych czeluści, wśród namiętnego wrzasku tryumfu wydanego przez stronnictwo zachowawcze, wśród osłupienia odstępców liberalnego obozu, którzy przesilenie to wywołali, wśród tego chaotycznego zgiełku, co jest następstwem wielkich parlamentarnych potyczek, wszystkie spojrzenia zwracały się do męża stanu, do szermierza, co tę walkę wywołał i w któréj zawiodła go liczebna siła hufców, i pytały go o plan dnia następnego.

Bez chwili wahania, silnie przeświadczony o prawdzie i słuszności sprawy, któréj się stał orędownikiem, ożywiony nadzieją, że kraj w swéj większości stoi po jego stronie i że nie zawiedzie jego oczekiwań, Gladstone rozwiązał parlament i od jego przedstawicieli odwołał się do samego narodu. Nowe wybory odbyły się po krótkiéj ale pełnéj życia kampanii wyborczéj. Sam Gladstone wytężył w niéj wszystkie siły i w tryumfalnym pochodzie przez Anglią i Szkocyą, w mowach bez liku, wypowiadanych w wielkich salach meetingów, na balkonach hotelów, w drzwiach wagonów drogi żelaznéj, w dzień i w nocy, przemawiał on do rozumu, odwoływał się do sumienia mas. Nigdy sprawa święta nie miała bardziéj natchnionego apostoła. Bile zginęły w wotum parlamentu, powtarzać nie przestawał, ale kwestya żyje i w téj lub owéj formie rozwiązaną być musi. Manifest wyborczy Gladstone'a, który postawił przed krajem nieodwołalny dylemat albo rządzenie Irlandyą przez prawa wyjątkowe, przez gwałt i stan normalny oblężenia, albo też usamowolnienie jéj, manifest, w którym dla swego stronnictwa windykował charakter prawdziwych Unionistów a przeciwników swoich piętnował nazwą Unionistów tylko na papierze, nie zostawiał żadnéj wątpliwości, żadnego innego wyjścia, jak oświadczyć się otwarcie za emancypacyą Irlandyi, albo przeciw takowéj. Opozycya przeciwko polityce liberalnéj Gladstone'a przybrała w czasie okresu wyborczego charakter prawdziwéj krucyaty. Szło o zwalczenie szatana, o wyrwanie Wielkiéj Brytanii ze szpon chciwego władzy, a zdziecinniałego starca. Liga pierwiosnku, utworzona dla uczczenia pamięci lorda Beaconsfielda, w któréj agitacyi wszystkie klasy społeczeństwa pod przewodnictwem dam z arystokratycznego towarzystwa brały niestrudzony udział, podnosiła i fanatyzowała starą, tradycyonalną Anglią; jako typowy rys charakteru tych wyborów pozostanie w parlamentarnych dziejach Wielkiéj Brytanii odezwa lorda

Randolpha Churchilla do swoich wyborców w Paddingtonie: jest to ostatnie słowo bezczelności i roznamiętnienia. Gdy się stronnictwo polityczne do takich środków walki ucieka, jedyne usprawiedliwienie daje im faktyczne zwycięstwo: wobec tryumfu—te ohydne środki, jakimi okupiony został, schodzą na plan podrzędny.

A tryumf tu otrzymało istotnie stronnictwo zachowawcze. Chociaż liczebnie polityka emancypacyjna Gladstona zyskała 1.338.716 głosów a polityka represyi i praw wyjątkowych 1.416.472, to przez rozdział i układ okręgów wyborczych stronnictwo liberalne whigów znalazło się w mniejszości blisko stu głosów. Wprawdzie odstępcy liberalni, jak Travelyan i Goschen, zostali odrzuceni przez wyborców, ale lord Hartington, Chamberlain i sześćdziesięciu pseudo-liberalnych deputowanych podało rękę przywódzcom stronnictwa zachowawczego, i Gladstone pośpieszył oddać w ich ręce ster rządu.

Nie można zaprzeczyć, że z chwilą gdy lord Salisbury i stronnictwo torysów przyszło do władzy i gdy nie kto inny jak lord Randolph Churchill jest przedstawicielem rządu w izbie gmin, nie można zaprzeczyć, że sprawa irlandzka weszła w nową fazę i że się nowy jéj akt rozpoczął. Ale byłoby błędem przypuszczać, że kwestya usamowolnienia całkowicie pogrzebaną albo nawet na długo odroczoną została. Raz jasno sformułowana i w typowém swém przeciwieństwie przedstawiona krajowi, nie może już ona zostać usunięta z porządku dziennego. Wprawdzie wybory Wielkiéj Brytanii nie dały leaderowi stronnictwa liberalnego upoważnienia do przeprowadzenia tych dwóch radykalnych reform, które mu się niezbędnemi zdawały, ale nie wynika z tego wahania i tego wstrętu do polityki emancypacyjnéj, ażeby Anglia i Szkocya chciały się zaprządz do rydwanu gwałtu i ciemięstwa. Czasy tyranii minęły już bezpowrotnie i nie ma stronnictwa w swobodnéj Wielkiéj Brytanii, któreby poważyło się zapisać je na swoim sztandarze. Gabinet lorda Salisbury mniéj będzie oddalony od polityki Gladstone'a, aniżeli to w gwałtownéj polemice epoki wyborczéj przypuścić się dawało. Nie tylko, że nowy prezes gabinetu wyparł się tego niebacznego słowa, które mu się wymknęło jako przewodnikowi opozycyi, mianowicie, że po 20-letnim okresie represyi i praw wyjątkowych Irlandya będzie okiełznaną i z wdzięcznością przyjmie wszelkie choćby najdrobniejsze ustępstwa, nie tylko, że o tych prawach wyjątkowych mowy nie ma nazajutrz po tryumfalnym objęciu rządów, ale w nowo zebranym parlamencie oświadczyli ministrowie, że przygotowują dla Irlandyi cały szereg reform organicznych, a między innemi zamierzają oddać w ręce władz miejscowych i mieszkańców niektóre ważne gałęzie administracyi, jak np. roboty publiczne.

Chociaż niewiadomém jest jeszcze, jakiego zakresu będą te reformy, któremi lord Salisbury ma zamiar obdarzyć Irlandczyków, i chociaż trzeba będzie na nie czekać aż do wiosny, to nie ma już wątpliwości, że kwestya nie chodzi już, jak ongi, o samo zaprowadzenie reform, lecz tylko o ich rozmiar i doniosłość. Gdy przypomnimy sobie, że za dawniejszych swoich rządów ten sam lord Salisbury rozpoczął był rokowanie z Irlandczykami i ich dowódzcą Parnellem za pośrednictwem członka swego gabinetu lorda Carnarvona, a zatém że idea prawodawczego i administracyjnego usamowolnienia Irlandyi nawet jemu w danych okolicznościach nie wydawała się niepodobną, to nabierzemy przekonania, że sprawa ta jest o wiele dojrzalszą aniżeli się to na pierwszy rzut oka zdawać może. Duch stronniczy i parlamentarna huśtawka odebrały wprawdzie ster jéj Gladstone'owi; jest to zwłoką faktyczną i niesprawiedliwością moralną, ale normalny bieg wypadków nie wykolei się przeto. Słowa, jakie nieoceniony pomocnik Gladstone'a, minister Irlandzki w jego gabinecie, wielki mówca i najznakomitszy współczesny publicysta angielski, John Morley, wypowiedział w parlamencie: „jeżeli nie my sami, to wy wykonacie nasz programat", słowa te przestaną wkrótce być paradoksem, albo gołosłowném proroctwem i przejdą w sferę czynu. Za nim wiek ten dobiegnie kresu, w kraju ś-go Patrycego zasiadać będzie parlament irlandzki i dwaj zwaśnieni bracia szczerze podadzą sobie dłonie do zgody.

V.

Rozwiedliśmy się szczegółowo nad dwoma czynnikami irlandzkiego problematu, nad kwestyą usamowolnienia religijnego i politycznego, i pochlebiamy sobie, że czytelnik może objąć je teraz syntetycznym poglądem. Ażeby jednak sprawę irlandzką całkowicie wyjaśnić, pozostaje nam jeszcze zbadać trzeci i ostatni jéj czynnik składowy: kwestyą gruntową. Ta ekonomiczno-społeczna kwestya ciąży na losach Irlandyi przeważnie i od jéj załatwienia zależy przyszłość téj krainy. Słusznie powiedziano po sto razy, że w niéj leży środek do ostatecznego uspokojenia Irlandyi i że kwestya samorządu politycznego okaże się drobiazgiem, gdy uprzednio sprawa gruntowa rozwiązaną będzie stosownie do potrzeb i wymagań Irlandczyków. Trudności są tém większe, że obok zadawnionéj niesprawiedliwości historycznéj, niesłusznie obarczającéj dzisiejsze pokolenia, znajdują się w grze powikłane, krzyżujące się interesy ekonomiczne.

Kwestya gruntowa zrodziła się w Irlandyi jeszcze za czasów Cromwella. Jak czytelnicy wiedzą, cztery prowincye irlandzkie Mun-

ster, Leinster, Ulster i Connaught zostały w roku 1659 wywłaszczone. Cromwell wypędził katolików z trzech pierwszych prowincyi i spędził ich do czwartéj, do Connaught, zostawiając jedynie jedną trzecią część ziemi w ich posiadaniu. Żołdactwo i faworyci otrzymali całą powierzchnię Irlandyi. Nigdy gwałt większy i bezprawie większe nie zostało popełnione, i wspomnienie téj „*transplantation*“ będzie hańbą swoją ciążyło na sumieniu zwycięzców. Kilka tysięcy rodzin cudzoziemskich otrzymało monopol posiadania gruntu na własność, a cały naród, wszyscy mieszkańcy Irlandyi zostali skazani na wiekowe poddaństwo. W sto lat z górą po tym gwałtownym zaborze, w roku 1782, dozwolono wprawdzie katolikom Irlandzkim nabywać ziemię, ale jak wiemy, materyalne ich położenie było takie, że z upoważnienia tego w maluczkim zaledwie stosunku korzystać mogli. Pomimo wszystkich reform prawodawczych i ekonomicznych, które od ostatnich stu lat zaprowadzone zostały w Irlandyi, obecnie jeszcze stan rzeczy pozostał niezmienny w swych głównych zarysach: z jednéj strony wielkie posiadłości ziemskieześrodkowane w ręku arystokracyi angielskiéj, z drugiéj czarna, nieprzejrzana masa czynszowników i proletaryatu rolniczego, Irlandczycy z krwi i ducha: dwa obozy nieprzyjazne sobie, nieufające sobie wzajemnie i gotowe uciec się do gwałtu, aby swą politykę przeprowadzić.

Irlandya obejmuje 20.047.572 akrów. Są one własnością 19.288 właścicieli ziemskich i roczny ich dochód obliczony być może od 11 do 13 milionów funtów szterlingów. Ta liczba właścicieli nie powinna swoją doniosłością wprowadzać w błąd czytelnika, gdyż połowa całéj przestrzeni znajduje się w ręku 742 właścicieli ziemskich, a zatém druga połowa, to jest 10 milionów akrów rozpada się na 18.000 mniejszych właścicieli. Na gruntach, należących do tych kilku set wielkich terytoryalnych posiadaczy, znajduje się 585.000 czynszowników czyli cztéry miliony mieszkańców. Przeciętnie wypada na każdego z wielkich właścicieli 788 czynszowników, a pomiędzy nimi jest 236.000 nieposiadających więcéj jak jeden do piętnastu akrów gruntu. Trzeba znać z bliska, trzeba się przypatrzéć własnemi oczami stosunkom materyalnym czynszownika irlandzkiego, posiadającego to minimum gruntu, ażeby zrozumiéć straszne, i wołające o pomstę położenie rolniczego proletaryatu irlandzkiego. Wszystkie teorye ekonomistów o wysokości zarobku, zależącego od minimum środków utrzymania, są tutaj pociesznym optymizmem, gdyż ludność wieśniacza irlandzka żyje chociaż warunków materyalnego istnienia nie posiada, i nie tylko żyje, ale się rozmnaża. Cud ten sprawiły ziemniaki. Przed ich wprowadzeniem było w Irlandyi, podług obliczeń Artura Younga, w r. 1776 zaledwie 3.000.000 mieszkańców; w 1845 roku

liczba ich wzrosła do 8.295.000. Gdy ziemniaki się urodzą, zagrodnik Irlandzki i jego świnia, z którą żyje na jednym i tym samym barłogu, nie skarżą się na niebo i na Anglików; ale gdy wygniją, albo gdy je przetrzebi zaraza, wtedy nędza proletaryatu rolniczego przybiera wymiary przerażające. Nieurodzaj ziemniaków jest tém do zrozumienia łatwiejszy, że rolnictwo drobne jest w Irlandyi w stanie niemowlęctwa. Ależ im się nie marzy o płodozmianie, o sztucznych nawozach, o irygacyi; nawet ugór uważany jest za stratę natychmiastową; w niektórych prowincyach po dwanaście lat z rzędu po ziemniakach sądzą ziemniaki: wycieńczona ziemia odmawia plonu i lata najstraszniejszéj nędzy następują w peryodycznych odstępach. Wówczas, niedawno powiększona ludność Irlandyi znowu się zmniejsza. I tak w epoce pomiędzy r. 1851 a 1877 z 8.305.061 zeszła ona do 5.838.906. Nigdzie i nigdy równych podwyższeń i równych upadków spotkać nie można. Półtrzecia miliona wywędrowało za morza, szukając chleba, z którego ich w ojczyznie wyzuł najezdnik; reszta wymarła z głodu. W niektórych latach, jak np. w 1847 r.—734.000 osobników utrzymywanych było jałmużnami publicznemi. Około 100.000 Irlandczyków corocznie przybywa do Anglii szukać środków utrzymania. Brak wszelkiego przemysłu fabrycznego, z wyjątkiem lnianego, skazuje ludność ubogą do pracy rolnéj niewdzięcznéj i bezpłodnéj.

Podczas kiedy czynszownik irlandzki kołacze się z losem i pędząc życie mizerne, zwierzęce w chacie własnemi rękami z gliny ulepionéj, zaledwie zdobyć się może na opłacenie czynszu po 12 do 15 szylingów z akra gruntu, w sąsiedztwie jego, o miedzę ścielą się bujne i zielone łany, rozległe parki wielkich panów i wznoszą się wspaniałe ich zamki i pałace. Ta różnica w położeniu materyalném tém bardziéj jest kolcem w oku biednych rolników Irlandzkich że ten dziedzic, któremu czynsz płacić są obowiązani, jest Anglikiem, wiekowym wrogiem, zazwyczaj innéj religii, i że widzą w nim spadkobiercę łupiezcy: niema przedawnienia dla pokrzywdzonych rodów. Przebaczonoby mu może jednak ten grzech pierworodny, gdyby zamieszkiwał w swych dobrach, gdyby gospodarował sam, i zbliżył się w skutek tego, zapoznał ze swymi czynszownikami. Łatwo by mu było wtedy ocenić ich położenie, wejść w ich potrzeby, zachęcić do bardziéj postępowego gospodarstwa, ulżyć ich ciężarom w latach nieurodzaju, zawiązać węzeł moralny pomiędzy zamkiem a wieśniaczą strzechą. Ale z małym bardzo wyjątkiem, arystokracya angielska nie zamieszkuje w swoich irlandzkich posiadłościach i nie stara się bynajmniéj zbliżyć do ludu miejscowego. Są panowie, jak np. Margrabia Clanricarde, co nigdy, nawet z ciekawo-

ści, do dóbr swych nie zajrzeli. Mają na miejscu pełnomocnika, rządcę działającego w ich imieniu i zobowiązanego do zbierania rat czynszowych. Ten rządca—*driver* w wyrazistym języku miejscowym, nie troszczy się o nic innego, jak o zebranie raty, i ani ustępstw, ani filantropijnéj polityki nie można się odeń spodziewać. Podwyższać ratę czynszową przy najmniejszym śladzie dobrobytu czynszownika a wyrzucić go przy nie uiszczeniu się na termin: oto alfa i omega taktyki ludzi, co prowadzili administracyą wielkich posiadłości. Przyłożyli się oni do rozjątrzenia stosunków wzajemnych. Owocem tego położenia było utworzenie przez patryotów irlandzkich ligi gruntowéj—*Land League*.

Liga gruntowa oto organizm, w którym się skupiły wszystkie dezyderaty ekonomiczne społeczeństwa irlandzkiego i ktokolwiek będzie chciał szczegółowo zbadać stosunki tamtejsze, będzie musiał iść krok w krok za rozwojem i działaniem tego potężnego stowarzyszenia. Co do nas, ograniczyć się musimy do wzmianki, że postawiwszy sobie jako cel uwłaszczenie czynszowników irlandzkich, liga gruntowa nie zaniedbała żadnego środka agitacyi legalnéj, ażeby celu tego dopiąć i nie ulękła się uciec do gwałtu, gdy legalne środki nie doprowadzały do pożądanego celu. Liczba członków ligi w przybliżeniu obliczona być może na 60.000; posiada ona obecnie kapitał zakładowy 30.000 funtów szterlingów i nigdy nie braknie jéj funduszów do prowadzenia propagandy energicznéj; policya angielska podejrzywa ją, że ma w swém posiadaniu składy broni i amunicyi, aby w danéj chwili powołać kraj do wybuchu rewolucyjnego. Jeżeli oskarżenie to jest faktycznym błędem, to nie da się zaprzeczyć, że liga ma potrzebną do tego siłę moralną. Wszyscy czynszownicy wiedzą, że mają w niéj naturalnego opiekuna i że w walce z właścicielem gruntu znajdą stowarzyszenie po swojéj stronie. Gdy liga uzna, że czynsz jest za wysoki, uwalnia czynszownika od płacenia takowego mocą samowolnego mandatu, który jest bez apelacyi. Gdy czynszownicy zaprzestają płacić czynsz i jeżeli wielki właściciel nie zgadza się na ustępstwa, wtedy ma prawo ich wypędzić i te rugi, indywidualne lub gromadne, pociągają za sobą egzekucye karne ze strony ligi. Pomiędzy wypędzonym czynszownikiem a właścicielem gruntu powstają zazwyczaj procesy, gdyż wypędzeni domagają się zwrotu kosztów wyłożonych na polepszenie gospodarstwa. Choćby nawet nie było najmniejszego pozoru słuszności po stronie czynszownika, liga podtrzymuje go w postępowaniu sądodowém, siejąc wszędzie ziarno nienawiści. Gdy ostatecznie wielki posiadacz gruntowy siłą zbrojną wyrzuci opornego czynszownika i sprzeda z publicznego targu jego trzodę i chudobę, wtedy zemsta

ligi dosięga go w formie *boycottowania*. Wyraz ten oznacza odgrodzenie wielkiego posiadacza i jego pomocników od wszelkiéj styczności z ludnością. Źródło swe bierze od p. Boycott, który jako rządca dóbr lorda Erne wywołał przeciwko sobie nienawiść czynszowników. Taka kwarantanna jest straszną w swych wyrokach, nieubłaganą w ich wykonaniu i dość wspomniéć na morderstwo lorda Mountmorres, ażeby zrozumiéć, że ten teroryzm nie zatrzymuje się przed skrytobójstwem, mordem i pożogą. Wszystkie środki represyjne, do jakich się rząd angielski uciekać był zmuszony, rozbijały się zawsze o czynny liczny udział całego narodu irlandzkiego w téj walce o posiadanie ziemi.

Gdyby problemat nie był skomplikowany, zapewne rząd angielski oddawna byłby się poczuł w obowiązku do przedsięwzięcia uwłaszczenia drogą państwową, tak jak to uczyniły mocarstwa kontynentalne. Ale oligarchia brytańska nie mogła i do dziś dnia nie może się pogodzić z tą myślą, i wolała z jednéj strony uciekać się do represyi, a z drugiéj posługiwać się półśrodkami. I tak gabinet liberalny lorda Johna Russella przedstawił w roku 1848 bil, dozwalający sprzedawać obdłużone dobra ziemskie—*encumbered estates*, i istotnie trybunały, ustanowione *ad hoc*, sprzedały w ciągu trzech lat następnych 11,024 dóbr ziemskich, wartujących 23.161.093 funtów szterlingów. Operacya ta polepszyła wprawdzie położenie wielkich właścicieli, którzy się dóbr niekorzystnych pozbyli, ale mała zaledwie liczba czynszowników przyjść mogła do nabycia własności.

Pierwszy krok stanowczy na drodze, wiodącéj do uwłaszczenia włościan irlandzkich, uczynił Gladstone w roku 1870 przedstawiając parlamentowi swój słynny *Land Act*. Stał się on dla niego podstawą reform, które w szesnaście lat późniéj w ostatecznéj skrystalizował formie. Przedewszystkiém zwrócić należy uwagę na ten punkt, że już wówczas wielki reformator angielski przestał uważać czynszowników irlandzkich, osiadłych od wielu pokoleń na téj saméj skibie i płacących z niéj daninę, jako przybłędów, których lada kaprys właściciela gruntów mógł wydalić bez żadnego wynagrodzenia. Przeciwnie, owo *tenant's right*, prawo czynszowników do dzierżawionéj ziemi, które istniało legalnie tylko w jednéj prowincyi Ulster, rozszerzone zostało do trzech innych. Od czasu, gdy *Land Act* stał się obowiązującym, czynszownik mógł sprzedawać swoje *tenant's right*, jeżeli znajdował nabywcę na korzystnych dla siebie warunkach. Wielki właściciel gruntowy zostawał jednocześnie obowiązany do uiszczenia wynagrodzenia, gdy wydalał bez legalnego powodu czynszownika z zajmowanego przezeń folwarku. Ta kompensa-

ta—*compensation for disturbance*—dodana do sprzedaży *tenant's right*, została uznaną naturalnie przez czynszowników jako sankcya legalna ich współwłasności. Ustanowione zostały także komisye lokalne do szacowania ulepszeń, poczynionych na gruncie przez czynszowników i za które właściciel przy zerwaniu kontraktu czynszowego wynagradzać ich musiał.

Reforma ta, przedsięwzięta w duchu postępowym, wywołała w zachowawczych kołach społeczeństwa angielskiego okrzyk oburzenia i uznano, że wartość wielkich posiadłości ziemskich w Irlandyi w skutek niéj zmniejszyła się o 20%. Chociaż twierdzenie to było przesadzone, to trzeba przyznać, że nieprzyjaciele małéj ziemskiéj własności nie bez powodu złorzeczyli téj ustawie. W siedm lat po wprowadzeniu jéj w życie liczba małych ferm, nieprzenoszących 5 akrów, a zatém skazujących czynszownika na nędzę, zeszła z 218.000 do 66.359: postęp nadzwyczajny, nieprawdopodobny nieledwie. Jeżeli nawet niektórzy lordowie, wypędzając czynszowników drobnych, zamienili ich grunta w pastwiska albo przyłączyli do swych parków, to drudzy, z kilku maluczkich działów utworzyli większy i przyłożyli się w ten sposób do częściowego rozwiązania problematu rolniczego.

Stronnictwo liberalne, które przyklaskiwało reformie przedsięwziętéj przez Gladstone'a, oczekiwało od niéj uspokojenia agitacyi gruntowéj. Wiemy, że było to niepodobieństwem, gdyż wymagania rolnicze Irlandczyków były daleko szersze. Ale nawet te, których się można było spodziewać, nie urzeczywistniły się z klimatologicznych powodów. Trzy lata jedne po drugich 1877, 78 i 79 były latami strasznego nieurodzaju, i czynszownicy zrujnowani zaprzestali płacić rat niedawno podwyższonych. Oba stronnictwa, właściciele angielscy i proletaryat rolniczy irlandzki stali w roku 1879 znowu równie nienawistnie jedni przeciw drugim, jak przed rozpoczęciem reform. Liga gruntowa nie wzywała jeszcze wówczas otwarcie czynszowników do niepłacenia czynszu ale podtrzymywała żywą agitacyą znaną pod nazwą *potrójnego F.* To kabalistyczne hasło znaczyło po prostu *fixity of tenure*, *fair rents* i *free sale*, i przez skrócenie te trzy dezyderaty czynszowników nazwane zostały *potrójnem f.* Trwałość i długoletniość kontraktu dzierżawnego, czynsz sprawiedliwie obliczony i swobodna sprzedaż swych dzierżawionych folwarków: oto czego domagali się coraz żywiéj rolnicy irlandzcy. Gladstone nie mógł być przeciwnikiem tych rozszczeń, które się zawierały już prawie całkowicie w jego dawniejszym bilu i był logicznym, przedstawiając w r. 1879 parlamentowi nowy bil pod nazwą *compensation for disturbance.* Mocą téj ustawy właściciel gruntowy

nie miał prawa wypędzać w latach nieurodzaju i głodu biednych, drobnych czynszowników, których należność dzierżawna nie przenosiła 30 funtów szter. i nie miał prawa wypędzić ich, jeżeli mu czynili oferty, uznane przez komisye sądowe jako możliwe. Izba gmin przyjęła ten bil odrazu, ale izba lordów odrzuciła go i zawotowała go dopiéro w dwa lata późniéj, w r. 1881, gdy doprowadzona do rozpaczy ludność irlandzka uciekała się do grozy teroryzmu, mordując i boycotując swych nieubłaganych przeciwników. Ten bil 1881 roku jest usankcyonowaniem *trzech f*, gdyż upoważniał czynszowników do odstępowania swych gruntów, nadawał trybunałom rozjemczym prawo szacowania wysokości rat czynszowych i zapewniał przez lat piętnaście czynszownikom tęż samę wysokość czynszu. Wielka własność, która się żaliła, że w roku 1870 straciła 20% na wartości, uczuła się teraz śmiertelnie dotknięta i oszacowała nową klęskę, jaka ją dotknęła w 1881 r., na 25%. Widocznem było, że ten stan rzeczy nie mógł trwać niezmiennie. Czynszownicy, mimo ulepszeń, posłuszni wezwaniom ligi gruntowéj, wzywającéj ich do oporu, nie dążyli do niczego innego, jak do zupełnego zaniechania raty czynszowéj; wielcy właściciele mieli także niezaprzeczone prawo uważać się za pokrzywdzonych. Nie dotrzymywali czynszownicy przyjętych zobowiązań, nie płacili rat nawet zmniejszonych, nawet najsłuszniejszych, a gdy właściciele uciekali się do opieki władz krajowych, wywoływali dzikie prześladowania i nie byli pewni ani swego mienia, ani swego życia. Irlandya stała się prawdziwém piekłem. Obwiniano się wzajemnie, nienawiść dochodziła do paroksyzmu wściekłości, ale prawodawca angielski wciąż jeszcze uważał uwłaszczenie jako niemożliwe.

Odważny krok ten, jak się spodziewać było można, został nareszcie dokonany przez Gladstone'a za ostatniego jego ministeryum. Widzieliśmy, jak od lat kilkunastu stopniowo starał się polepszyć położenie włościan irlandzkich, a myśl zrobienia z nich właścicieli dzierżawionych dotąd gruntów, myśl utworzenia demokracyi rolniczéj, o niezależnym bycie w łonie społeczeństwa, które ostatecznie postanowił oswobodzić z ciemięstwa i prześladowań zaborców, musiała naturalnie nasunąć się wielkiemu mężowi stanu. Nigdy jaśniejszy plan w logiczniejszą nie ubrał się formę! Wiadomo jest, że Gladstone jest najznakomitszym finansistą Wielkiéj Brytanii i istotnie materyalna strona projektu nosi na sobie cechę jego niezrównanego pod tym względem talentu. Gdy się odczytuje obecnie motywa bilu uwłaszczenia takie, jakie przedstawił parlamentowi w pamiętnym dniu 16 kwietnia 1886 r., nie można się wstrzymać od podziwu, od oddania hołdu geniuszowi wielkiego męża stanu. Trzeba

było całéj zaciętości, jaką pałają ku sobie stronnictwa polityczne i téj nienawiści ciasnéj, egoistycznéj, aż do obrzydzenia wstrętnéj, aby zrozumiéć, że opozycya przeciwko projektowi uwłaszczenia wyszła właśnie z obozu zachowawczego, z pośród wielkich posiadaczy gruntowych, z pomiędzy tych właśnie, dla których bezpośredniéj korzyści plan cały został obliczony.

Nie należy spuszczać z uwagi, że uwłaszczenie włościan irlandzkich było środkiem *par excellence* zachowawczym. Jeżeli dawniejsze bile Gladstone'a zmierzały do ulżenia ciężarów czynszowników, to obecny miał jednocześnie na oku wielkich właścicieli. Posiadali oni wielkie dobra obciążone podatkami, wymagające nakładów nieustannych, a nie dające im dochodów. Nie tylko, że ich czynszownicy nie płacili im regularnie czynszów, ale nie płacili ich wcale; co więcéj zrujnowawszy ich, mordowali i prześladowali. Jednym zamachem uwłaszczenie zmieniało położenie rzeczy. Czynszownicy stając się właścicielami, przestawali być nieprzyjaciołmi a zmieniali się w sąsiadów: pomiędzy zamkiem a chatą mógł się zawiązać stosunek przyjacielski, obywatelski. Ruina wielkich właścicieli znikała odrazu, gdyż indemizacya zostawała im natychmiast wypłacona w 3% państwowéj rencie brytańskiéj. Ażeby nie obciążyć zbytecznie długu państwowego, Gladstone zaproponował przeznaczyć na wykup gruntów włościańskich z początku tylko 50 milionów funtów szterlingów; podług jego obliczeń, suma ta miała spłacić jednę trzecią część gruntów włościańskich; operacya wykupu byłaby prowadzoną daléj po wykazaniu swéj praktyczności.

Jako zasadę do szacowania gruntów włościańskich zaproponował Gladstone sumę wyrównywającą 20-letniemu czynszowi. Oszacowanie miało być przeprowadzone przez władze miejscowe irlandzkie. Z dniem oszacowania, czynszownik stawał się odrazu właścicielem swojego gruntu i wszelki stosunek zależności względem dawnego dziedzica znikał. Wierzycielem jego stawało się państwo, skarb narodowy. Do niego nowouwłaszczony obowiązany był wnosić w przeciągu 49 lat raty indemizacyjne, kapitał i procent; po umorzeniu albo przy szybszéj spłacie wszelkie ciężary raz nazawsze spadały z drobnéj posiadłości. Ażeby zabezpieczyć skarb angielski od wszelkiego ryzyka, Gladstone przedsięwziął wszelkiego rodzaju środki ochronne. Powiedzieliśmy już wyżéj, że ograniczył kapitał indemnizacyjny do 50 milionów. I ten kapital jeszcze rozłożył na trzy raty: 10 milionów w pierwszym, a po dwadzieścia w drugim i trzecim roku. Daléj czynił skarb irlandzki odpowiedzialnym za regularne wypłacanie rat od uwłaszczonych. Nie oddalonym i zawsze niechętnie widzianym poborcom angielskim, ale swoim włas-

nym, miejscowym władzom obowiązany był włościanin płacić w półrocznych ratach swoje wpłaty amortyzacyjne; a rząd Wielkiéj Brytanii, nie wchodząc bynajmniéj w możliwe zwłoki lub nieregularności, otrzymywał całą sumę roczną dwóch milionów funt. szt. przypadającą skarbowi, jako ratę umarzającą owe 5o milionów zaforszusowane. Dopiero po opłaceniu téj raty administracya irlandzka miała prawo obrócić resztę na wydatki publiczne i na potrzeby krajowe.

Z jakiejkolwiek strony bada się projekt uwłaszczenia włościan, przedstawiony przez Gladstone'a, to wszędzie trzeba mu przyznać oględność i roztropność w środkach, wzniosłą szlachetność w celach i duch sprawiedliwości nieposzlakowanéj. Dla nas, co świeżo przeszliśmy przez tę samę reformę, w innych warunkach, o wiele niepomyślniejszych, cały ten plan zdawać się może sielanką idyliczną, i jesteśmy w prawie dziwić się, że opinia ucywilizowanéj Anglii zamiast pytać, jakie koleje finansowe i ekonomiczne przeszło uwłaszczenie włościan w Niemczech, Austryi, Polsce, Rosyi, w całéj kontynentalnéj Europie, z góry wolała uznać plan Gladstone'a jako awanturniczy, niepraktyczny, do wykonania niepodobny i jako grożący finansom angielskim ruiną. Kwestya pieniężna zagłuszyła raz jeszcze głos sumienia i wymagania sprawiedliwości.

Jak czytelnicy wiedzą, nie przyszło w parlamencie do rozbioru bilu o uwłaszczeniu włościan. Gabinet Gladstone'a został pobity na kwestyi usamowolnienia politycznego Irlandyi i w ruinach jego zagrzebaną także została druga kwestya zasadnicza. Opinia obłąkana nie zdołała sobie wyrobić o planie włościańskim Gladstone'a prawdziwego zdania i potrzeba będzie bezwątpienia niejakiego czasu, zanim nastąpi zbawcza reakcya pod tym względem. Że reakcya ta nastąpi i że uwłaszczenie włościan w Irlandyi uskutecznionem być musi, nie ma najmniejszéj wątpliwości. Wykup czynszowników będzie mógł być przedsiębrany bądź częściowo, na małą skalę, jak to miało miejsce dotąd, bądź gromadnie, jak to zaproponował Gladstone, chcąc odrazu zetrzéć łeb hydrze, co się na irlandzkiéj była osiedliła ziemi. Gdy wymogi bezwzględnéj sprawiedliwości, powody polityczne, interesa wszystkich stronnictw nakazują jednozgodnie takie a nie inne załatwienie problematu, to interesa egoistyczne jednostek i intryga polityczna przed nimi broń musi złożyć.

Od chwili upadku gabinetu Gladstone'a i powrotu torysów do władzy, kwestya gruntowa nie tylko nie postąpiła naprzód, ale przeciwnie grozi nowemi zawikłaniami. Wyzyskując gorzkie niezadowolenie panujące w Irlandyi, liga narodowa wygotowała nowy plan kampanii. Wprawdzie rząd wytoczył proces kilku deputowanym

irlandzkim, którzy ten plan wprowadzają w wykonanie, ale nie śmié uciec się do gwałtownych środków represyjnych. Nie przychodząc w pomoc wielkim właścicielom zagrożonym, prześladowanym i rujnowanym, którzy bezskutecznie wołają doń o pomoc i protekcyą, nie przedsiębierze także żadnych organicznych środków do załatwienia sprawy gruntowéj. Nigdy chaos i anarchia nie były większemi w téj nieszczęśliwéj krainie. Wewnętrzny rozkład, jaki ma miejsce w łonie ministeryum lorda Salisbury, i niepodobieństwo sformułowania i wprowadzenia w czyn szerokiego programatu politycznego i ekonomicznego dla Irlandyi jest zapowiedzią, że chwila ostatecznego załatwienia niedaleka.

Dr. M. E. Trepka.





FAUST,

TRAGEDYA GOETHE'GO.

Przełożył LUDWIK JENIKE. (*)

MIĘDZYMURZE.

We wnęce wizerunek Matki Boskiéj Bolesnéj. Przed nim dzbanuszki z kwiatami.

Małgosia, (*wstawiając świéże kwiaty.*)

Matko Bolesna!
Oblicze zwróć
Ku mojéj nędzy,
Niedolę skróć!

Z mieczem w sercu,
Pośród cierpienia,
Na śmierć Syna spoglądałaś.
Ku Ojcu w niebie
Tęskne westchnienia
Za Nim i za Sobą słałaś.

Któż-bo odczuje
Ból, co mą pierś nurtuje?
Biednam ja, biedna!
O czém myśl roi,
Jak serce drży,
Co je ukoi
Wiész tylko Ty,
Ty tylko jedna!

Gdziekolwiek się obrócę,
Wciąż smucę się i smucę,
Zwątpienie myśli ćmi;
Gdy w sobie się rozpatrzę,
To płaczę znów i płaczę
I serce pęka mi.

Doniczki me obficie
Zrosiły rzewne łzy,
Gdy wcześnie dziś o świcie
Te kwiatki rwałam Ci.

A kiedy słońce rano
Do izby blask swój szle,
Już gorzko rozpłakaną
Na łóżku znajdzie mnie.

Ach! oddal śmierć, niesławę!
Oblicze Swe łaskawe
Ku nędzy mojéj zwróć!
Matko Bolesna!
Rodzicielko Boża!
Niedolę moję skróć!

(*) Ob. „Ateneum" zeszyt czerwcowy r. b., str. 435—460.

NOC.

Ulica przed mieszkaniem Małgosi.

WALENTY (żołniérz, jéj brat.)

Walenty. Bywało dawniéj, podczas pohulanki,
Gdy wiarus każdy zdrowie swéj dziewoi
Z ferworem wznosi z pełnéj szklanki
I chwali wdzięki lubéj swojéj—
Na łokciu sparty ja spokojnie wtedy
Nadstawiam ucha wrzaskom téj czeredy
I gładząc brodę, sam z uśmiéchem
Kipiącym zbroję się kielichem
I mówię: Każda w swym *rodzaju;*
Lecz poszukajcie w całym *kraju,*
Czy zrówna która méj *Małgosi?*
Niech reszta wodę za nią *nosi!*
I tak wokoło hałas, szczęk,
Wiwaty głośne, szklenic brzęk!
Niejeden krzyczy: Wtórzę ci!
Ozdobą ona swojéj płci!
I umilknęli chwalcy wnet,
A dziś mi płacą wet za wet,
I zawstydzony muszę stać,
Ze złości bodaj włosy rwać,
O mur rozbijać głupi łeb,
Bo piérwszy lepszy teraz kiep
Kręceniem nosa zemnie drwi,
A ja, jakoby dłużnik zły,
Złośliwych słuchać muszę mów
I pocić się śród przykrych słów;
Lecz choćbym rzucił się z pięściami,
Nie mogę nazwać ich łgarzami.
Hej, kto się tam pociemku skrada?
Czy to nie nowa jaka zdrada?
Jeżeli mnie nie myli słuch,
To zdaje się, że jest ich dwóch.
No, jeśli on się tu przyczaja,
Nie puszczę żywcem ztąd hultaja.

(*Faust i Mefistofel nadchodzą.*)

Faust. Jak tam z zakrystji okna w mroku
Wieczystéj lampki światło błyska
I słabo, coraz słabiéj zboku

Płomyka blask przyćmiony ciska,
Aż ciemność w końcu je pochłania—
Tak i pierś moję noc osłania.

Mefistofel. A mnie wesoło w myśli, jak kotowi,
Co czołga się, myszkując na wsze strony
I koło muru potém się sadowi.
Cnotliwie jakoś jestem nastrojony,
Choć miéwam przytém i złodziejską wenę.
Już mnie po wszystkich członkach pokutuje
Wspaniała noc Walpurgi pojutrzejsza.
No, tam przynajmniéj etykieta mniejsza,
Tam każdy się swobodnym czuje
I wié za jaką czuwa cenę.

Faust. A skarb, co się przed wzrokiem moim miga,
Czy prędko wzniesie się ku górze?

Mefistofel. Najchętniéj tobie nim usłużę
A niedaremna to fatyga.
Zajrzałem doń i mówię nie na żarty:
Pełniutko tam talarów piérwszéj próby.

Faust. Lecz czy nie będzie w nim zawarty
Klejnocik jaki, pierścień dla méj lubéj?

Mefistofel. O znajdzie się. Toć sam widziałem
Sznur pereł w pudełeczku małem.

Faust. Cudownie! To mi kłopot zwala z karku;
Nie lubię bywać u niéj bez podarku.

Mefistofel. Skrupulat z ciebie. Toż się godzi
I darmo czasem czegoś użyć.
A teraz, gdy już zorza wschodzi,
Wyborną ci zaśpiéwam sztuczkę,
A jéj moralną dam nauczkę,
By dziéwczę już do reszty zdurzyć.
(*Śpiéwa przy cytrze.*)

O powiédz mi,
Dziéweczko ty,
U chłopca drzwi
Co robisz porą ranną?
Ach nie kwap się
I nie wchodź, nie!
On panną wpuści cię,
Lecz już nie wyjdziesz panną.

Strach tobie, strach,
Bo każdy gach
Z łatwością—ach!
Pozbawi cię wianuszka.
O wierz mi, wierz!
Czystości strzeż,
A chłopca bierz
Z obrączką u paluszka.

Walenty (*zbliża się.*) Ha! do pioruna! kogo takiem
Dudleniem wabisz tu przeklętem?

Do diabła naprzód z instrumentem,
Do diabła potém ze śpiéwakiem!
(*Rozbija cytrę.*)

Mefistofel. Niestety, potłukł ją w kawałki!

Walenty. A teraz pora zrąbać wasze pałki.
(*Dobywa pałasza.*)

Mefistofel (*do Fausta.*)
Doktorze, do mnie! Czekaj aż się złożę.
No, dobądź rożna! pchnij, a ja sparuję.

Walenty. Więc paruj!

Mefistofel. Owszem.

Walenty. Czy i teraz może?

Mefistofel. Tak.

Walenty. Cóś diablego w tym łajdaku czuję.
Ha, co to znaczy? Ręka mi obwisła!

Mefistofel (*do Fausta.*)
Pchnij żwawo!

Walenty. Ach!

Mefistofel. No, ten już ugłaskany,
Uchodźmy!... Słyszę krzyków uragany,
A władza w takich razach bywa ścisła.
Ja umiem sobie radę dać z policją,
Lecz całkiem inna rzecz z banicją.
(*Uciekają.*)

Marta (*w oknie.*) Na pomoc!

Małgosia (*w oknie.*) Dajcie światło!

Marta (*jak wyżéj.*) Na ulicy
Któś bije się i straszny hałas szerzy.

Lud. O, tam już jeden rozciągnięty leży.

Marta (*wychodząc.*) A czy uciekli rozbójnicy?

Małgosia (*wychodząc.*)
Zabito kogoś!

Jeden z ludu. Matki twojéj syna.

Małgosia. Wszechmocny Boże! Straszna to godzina!

Walenty. Umiéram! To powiedziéć snadno,
A zrobić może snadniéj jeszcze.
Te wycia babskie niech przepadną!
Podejdźcie! prawdę wam obwieszczę.
(*Wszyscy gromadzą się koło niego.*)
Małgosiu moja, jesteś jeszcze młoda,
Rozumu też niewiele masz na zbycie,
I wstyd twój poszedł już na nice,

Więc powiem ci: urody twojéj szkoda,
Bo wyjdziesz wnet na nierządnicę,
A masz nią być, to bądź już całkowicie.
Małgosia. Co mówisz, bracie? Boże mój łaskawy!
Walenty. Nie mieszaj Boga do téj brzydkiéj sprawy;
Co stało się, to już się nie odstanie.
Posłuchaj jakie moje zdanie:
Dziś tajnie z jednym rzecz zaczęta,
Po jednym, kilku cię opęta,
A kiedy tuzin cię posiędzie,
To całe miasto miéć cię będzie.

Gdy hańba świéżo się narodzi,
To potajemnie ją się płodzi
I grube zrazu się zasłony
Na głowę jéj i uszy kładnie;
Lecz gdy nas schwyci z każdéj strony,
Gdy jéj ohydna moc się wzmaga,
Już wtedy nas owłada snadnie
I za dnia nawet chodzi naga.
Im szkaradniejsza jest jéj postać,
Tém bardziéj się na światło pragnie dostać.

Już widzę, jak za dni niewiele
Poważni cię obywatele
Omijać poczną jak zarazę,
A tobie serce w piersi się zamroczy,
Gdy ci poczciwiec jaki spojrzy w oczy,
Zmuszoną będziesz każdą znieść obrazę.
Nie tobie odtąd łańcuch nosić złoty,
Nie tobie przy ołtarzu stać w kościele,
Ni strojnéj w kolce, perły i manele,
Śród żwawéj w tańcu zwijać się ochoty.
Dla ciebie kąt przy zgrai gdzieś żebraczéj,
Ostatni między ostatniemi,
A jeśli nawet Pan Bóg ci wybaczy,
Przeklętą będziesz tu na ziemi!
Marta. Wolelibyście duszę zlecić Bogu,
Niż bluźnić jeszcze na wieczności progu.
Walenty. Ha, stręczycielko ty diabelska!
Gdybym do twego mógł się dorwać cielska,
Już za to samo, mam nadzieję,
Uzyskałbym mych grzéchów odpuszczenie.
Małgosia. O bracie! Jak piekielne to cierpienie!

Walenty. Wszak każdy zbiéra, co zasieje.
Mówiłem ci: daj pokój próżnym łzom!
Toż wiész, że utraciwszy srom,
Najsroższy w serce mi zadałaś cios.
A teraz, gdy tak zrządził los,
To, jako żołniérz nieskalany, prawy,
Na Boga idę sąd łaskawy. (*Umiéra*).

KATEDRA.

Msza, organy i śpiéw.

(MAŁGOSIA pośród tłumu. Za nią Zły duch).

Zły duch.

Jakże było ci inaczéj, (1)
Kiedy niewinności pełna
Szłaś swobodnie do ołtarza
I z książeczki swéj zużytéj
Szepcąc pacierze,
Napoły Boga,
Napoły psoty dziecinne
Miałaś w serduszku!
Małgosiu!
Co z głową twoją?
A na twém sumieniu
Zbrodnia jaka!?
Czy modlisz się za matkę,
Która przez ciebie
Na długie zasnęła męki?
Pod progiem twoim czyja krew?
A pod twém sercem
Czyż nowe życie
Nie drga tajemnie,
Dręcząc i ciebie i siebie
Przeczuwaną obecnością?

Małgosia.

Biada mi! biada!
Gdybyż pozbyć się tych myśli,
Które krążą tu i tam
Na mękę moję!

Chór.

Dies irae, dies illa
Solvet saeclum in favilla.
(*Organy*).

Zły duch.

Groza cię ogarnia!
Trąba grzmi!
Groby się wstrząsają,
A serce twe,
Z popielnéj ciszy
Do mąk płomiennych
Ocknione znów,
Wciąż drży i drży!

Małgosia.

O precz ztąd, precz!
Organów głos tłumi
Oddech w méj piersi,
A śpiéw mi serce
Wzburza do głębi!

Chór.

Judex ergo cum sedebit,
Quidquid latet adparebit,
Nil inultum remanebit.

---

(1) Cały ten ustęp także i w oryginale jest nierymowany.

Małgosia.

Tak mi tu ciasno!
Murów kolumny
Duszą mnie!
Sklepienia tłoczą!
Powietrza! powietrza!

Zły duch.

Ukryj się! Lecz grzéch i srom
Nie pozostaną w ukryciu.
Powietrza chcesz, światła?
Biada tobie!

Chór.

Quid sum miser tunc dicturus,
Quem patronum rogaturus,
Cum vix justus sit securus?

Zły duch.

Wybrani lica
Od ciebie odwracają,
Podać ci ręce
Wzdrygają się czyści.
Biada!

Chór.

Quid sum miser tunc dicturus?

Małgosia.

Sąsiadko! kropli! (*Omdléwa*).

NOC WALPURGI. (*)

Góry Harc.

FAUST. — MEFISTOFEL.

Mefistofel. Czy nie chciałbyś przypadkiem miéć miotliska?
Bo ja, to chętnie siadłbym na koziołka.
Tą drogą idąc, góra nie jest blizka.

Faust. Dopóki jeszcze dopisują nogi,
To dość mi tego sękatego kołka.
Cóż ztąd, że się przykraca drogi?
Toć przez doliny przejść wspaniałe,
A potém wspiąć się na tę skałę,
U spodu któréj z szumem tryska zdrój,
To rozkosz czysta, co nam krasi znój.
Już wkoło brzozy, świérki, sosny
Radośnie święcą przyjście wiosny;
Czyż członki nasze czućby jéj nie miały?

Mefistofel. Co do mnie, wiosny nie spostrzegam wiele,
Po zimowemu jeszcze w mojém ciele;

(*) Święta Walpurga, rodem z Anglii, żyła w wieku VIII po Chrystusie. Czczono ą jako chronicielkę od czarów, a pamięci jéj poświęcony był dzień piérwszy maja. Ztąd urosło podanie ludowe niemieckie o nocy Walpurgi, czyli schadzce jadących na miotłach, miotliskach i kozłach czarownic, która odbywać się miała w nocy z 1-go na 2-gi maja w górach Harc, na Brokenie.

Ja mrozu, lub śniegowéj chcę zawały.
Jak smutnie twarz księżyca z za obłoku
Czerwonym blaskiem lśni na stropie nieba!
Jak źle przyświéca! Wszak na każdym kroku
Ze skałą się lub drzewem zderzyć trzeba.
Pozwolisz, to zawołam tu ognika;
Ot właśnie jeden żwawo się przemyka.
Hej! wolnoż przyzwać ciebie, przyjacielu?
Masz płonąć sobie tutaj tak bez celu,
To lepiéj wasze poświéć nam na górę!

Ognik. Z uszanowania, mam nadzieję,
Że uda mi się zgwałcić mą naturę,
Choć zwykle się po krętych szlakach chwieję.

Mefistofel. Ho! ho! Zupełnie jak u ludzi bywa.
No, ruszaj prosto, w imię czarta,
Bo zdmuchnę cię! Już mnie to gniéwa.

Ognik. Miarkuję, żeście gospodarzem domu
I będę wam posłuszny, wiedząc komu.
Lecz raczcie zważyć, panie, bez urazy,
Że góra ta czarami dziś zaparta,
Więc i najlepsze drogowskazy
Omylić mogą, jako wnoszę;
Zawczasu téż o pobłażanie proszę.

Faust, Mefistofel i Ognik (*śpiéwają naprzemian*).

W czarodziejskich sfer dziedziny
Wkroczyliśmy, jak się zdaje;
Więc ty oświéć nam drożyny,
Byśmy doszli aż na skraje
Pustek owych tam przed nami.

Widzę drzewa za drzewami,
Jak się przesuwają stami,
I chylące się wiszary
Ponad wody, ponad jary,
A krzemienne skał tych nosy
Sapią, chrapią w różne głosy.

Przez murawę, przez kamienie
Wartkim biegiem mkną strumienie.
Słyszęż pienia, słyszęż szumki,
Skargi lub miłosne dumki,
Głosy z dni niebiańskiéj krasy,
Z chwil nadziei i kochania,
Co jak echo nam podania
Dawne przywołują czasy?

Uhu! huczy coraz bliżéj
Głos puszczyka;—czajka, sójka
Wrzeszczą; — jęczy w chór ta trójka.
Salamandry widzę hyżéj
Długie nogi, kadłub gruby;
Niby węże, drzew korzenie
Wiją się przez skał przeguby
I ramiony polipiemi
Rozczołgują się po ziemi,
Na wędrowca utrapienie.

Myszy niezliczone roje
Wyprawiają harce swoje
Poprzez trawy, mchy i głogi;
I błyszczące świętojanki
Występują hurmem w szranki,
Jakby dla zmylenia drogi.

Ale powiédz, czyśmy stali,
Czy téż wciąż idziemy daléj?
Wszystko się obraca z nami;
Wrzosowiska, drzewa, skały
Na nas się powykrzywiały,
A tu błędne te ogniki
Wyprawiają istne bziki,
Rosnąc, mnożąc się setkami.

Mefistofel. Chwyć się skraju mego płaszcza,
Wejdziem na ten szczyt urwiska,
Zkąd ujrzymy skarb ów zblizka,
Jak się żarzy, zaprzepaszcza.

Faust. Jak dziwnie zdala przez niziny
Bladawa jutrzni miga wstęga
I aż w głębokie rozpadliny,
Do dna przepaści saméj sięga!
Tam we mgle ścielą się pokosy,
Tu żar zabłyśnie przez tumany,
To wązkim smugiem muśnie wrzosy,
To znowu mknie jak zdrój świetlany.
Tu gęstym snopem ku dolinie
Setnemi wciska się ramiony,
A tam w ścieśnionym kędyś klinie
Zamyka się odosobniony.
Tryskają iskry poprzez zwały,
Jak złoty piasek rozsypany....
Lecz patrz, w swéj wysokości całéj
Już rozpłonęły skalne ściany.

Mefistofel. Tak, Mamon (1) snadź iluminacją pali,
By uczcić dzień uroczystości.
Toż za górami już w oddali
Nadciągających czuję gości.

Faust. Ten uraganu wir szalony
Wykręca mną na wszystkie strony!

Mefistofel. Stań silnie, wsparty o ten głaz,
Bo wiatr cię w przepaść zepchnie wraz.

Mgła zgęszcza nocy cienie
I puszczyk mknie spłoszony;
Po lasach trzask i drżenie.
W zielonéj ich świątnicy,
Straciwszy swe korony,
Kolumny potrzaskane,
Na łaskę wichrów zdane,
Runęły bez głowicy.

---

(1) Bożek mamony.

Czy słyszysz trzask gałęzi,
Potężnych pni skrzypienie?
Czy słyszysz jak korzenie
Drżą, trzeszczą w swéj uwięzi?
Z szalonym się łomotem
Pnie walą tam pokotem,
Podskalne tworząc szatry,
A przez nie wyją wiatry.
Już świat się w czar obleka;
I zblizka i zdaleka,
Po całym skłonie góry
Diabelskie huczą chóry.

Czarownice (*chórem*).

Czarownic rój się w górę snuje,
Ściernisko żółte, plon zielony.
Tam cały tłum ich zgromadzony,
A starszy szatan prezyduje,
I choć się niebo na nas sierdzi,
Babina pędzi, kozieł śmierdzi.

Głos. Starucha Baubo (1) na maciorze
Samotnie tam powietrze porze.

Chór. Cześć jéj! Przed czarów korowodem
Niech Baubo nasza dąży przodem!
Pod wiérzchem świnia, na niéj mać,
Za wodzem takim rozkosz gnać.

Głos. Którędy wam wypadła droga?

Głos. Przez górę Ilzy. Ja tam w gniazdo
Zajrzałam sowy, aż nieboga
Ze strachem wytrzeszczyła ślépie.

Głos. Idźże do piekła
Z tą szybką jazdą!
Coś tak zaciekła?

Głos. Kiepska z tego chwała!
Mnie aż skóra szczypie,
Poranionam cała.

Czarownice (*chórem*).

Droga długa, ale gładka,
Pocóż ciżbą tłum się szłapie?
Widły kolą, miotła drapie,
Płód się dusi, stęka matka.

Czarnoksiężnicy (*półchórem*).

My łazim wolno, jak ślimaki,
A baby pędzą, niby ptaki;
Bo gdy o diable idzie sprawy,
To każdy babsztyl jest ciekawy.

---

(1) Baubo: podług mytologii greckiéj uosobienie bezwstydu.

Drugi półchór. Niechaj pędzą, mniejsza o to,
Ustępujem im z ochotą.
Co baba zyska śpiesznym krokiem,
To chłop pochwyci jednym skokiem.

Głos z góry. Do nas! do nas! z pod jeziora.

Głos z dołu. Chciałoby się tam od wczora.
Myśmy strojne i dorodne,
Biéda tylko, że niepłodne.

Oba chóry. Umilka wicher, tonie gwiazda
I księżyc skrył się pośród chmur.
Tysiącem iskier nasza jazda
Diabelski wgórę wiedzie chór.

Głos z dołu. Stój! stój!

Głos z góry. Kto woła ze szczeliny?

Głos z dołu. Zabierzcie mnie! Przez trzysta lat
Daremnie pnę się na wyżyny,
A zasiąść z wami byłbym rad.

Oba chóry. Unoszą miotły, grabie, kije,
Łopaty, widły, no i kozły,
A kogo one nie powiozły,
Ten się nie wdrapie póki żyje.

Półczarownica (*na dole*).
Drepcę tutaj tyle czasu,
Nogi zbiéram raz po raz;
W domu własnym nie mam wczasu,
A tu trudno dognać was.

Chór czarownic. Czarownice krzepi maść;
Żagle nam z łachmanów zwito,
A nasz okręt, to koryto.
Kto nie wzleci, musi spaść.

Oba chóry. My wzbijemy się na szczyty,
A wy krążcie po nizinie,
Osłaniając sejm nasz skryty
W czarodziejskiéj plątaninie.

Mefistofel. Jak to się ciśnie, pcha, szamoce!
Jak syczy, piszczy i szwargoce!
Jak cuchnie, świéci, pryska, pali!
Prawdziwy tan w diabelskiéj sali.
Stój przy mnie!

Faust (*z oddalenia*). Jestem!

Mefistofel. Już cię tam porwano?
A zatém mocą mi nadaną

Polecam ci, hołoto, z drogi! precz!
Doktorze, schwyć mnie, no i jednym susem
Skoczymy z tego tłoku wstecz;
I dla mnie to zbyt wielkim już przymusem
W szalonym takim tkwić zamęcie....
Co tak ponętnym blaskiem lśni na skręcie?
Tam coś mnie ciągnie do owego krzaka;
Pójdź, jeśli wola twoja taka.

Faust. Sprzeczności duchu! Jam w twéj mocy.
Lecz to niemądrze bezwątpienia,
Że wszedłszy w gwar Walpurgi nocy,
Szukamy tu osamotnienia.

Mefistofel. Spójrz tylko, jak pełgają tam płomienie,
Wesoły klub to, wstępne zgromadzenie,
A można przecie żyć i w kółku małem.

Faust. Wolałbym jednak być na górze,
Gdzie właśnie dym i żar ujrzałem.
Z zagadek, które tkwią w naturze,
Niejedna tam zapewne się rozstrzygnie.

Mefistofel. Lecz nowe zato się zawiążą.
Niech sobie inni w wielkim świecie krążą,
Nam w tém zaciszu ledwo on się mignie,
Choć na rozrywce pewno tu nie zbędzie,
Bo jest to przecie prawda znana wszędzie,
Że wielki świat wytwarza małe światki....
Tam widzę nagie czarowniczki młode,
A stare skromnie kryją swą urodę.
No, bądź uprzejmy, bo to miłe dziatki,
Trud mały ztąd, przyjemność znakomita.
I instrumentów zdala głos nas wita;
Przeklęta kocia ta muzyka!
Lecz i do tego się przywyka.
Pójdź! pójdź! Nie może być inaczéj,
Przedstawię cię, a resztę się zobaczy.
Cóż powiész, bracie, małoż tu przestrzeni?
Zaledwo końca się dopatrzysz sali,
Sto ogni sutych w niéj się rzędem pali,
Aż wszystko wkoło blaskiem się rumieni.
Pić, warzyć, tańczyć, kochać i gawędzić,
Czyż można lepiéj czas przepędzić?

Faust. Czy waść wystąpić w czarownika roli,
Czy jako diabeł się przedstawić woli?

Mefistofel. Zazwyczaj lubię ścisłe incognito,
Lecz z czémś wystąpić trzeba w taką galę;
Choć wstęgą się podwiązki nie pochwalę,
Przynajmniéj końskie zdobi mnie kopyto.
Czy widzisz jak ten ślimak tam się skrada
I maca wkoło i rożkami bada?
Już on tu cóś przewąchał wemnie,
Więc kryć się byłoby daremnie.
Przez ognie idźmy i przez dymu kłęby,
Ty baw się w gacha, a ja w dziewosłęby.
(*Do kilku starców*, *siedzących przy dotléwającém zarzewiu*).
Staruszki, czemu zmarszczyliście twarze?
Wolałbym w wirze ujrzéć was biesiady,
W hulance i junackim młodych gwarze;
Toć w domu macie czas na jeremjady.
Generał. Któż może liczyć na narody,
Chociażby dla nich zrobił dużo?
U ludów, jak u kobiét, płużą
Zasługi tylko które kładzie młody.
Minister. Dziś jakoś niéma ładu w świecie,
Aż działać starym brak ochoty;
Gdy myśmy cóś znaczyli przecie,
To wtedy istny był wiek złoty.
Dorobkowicz. I my téż nie byliśmy wcale głupi,
Robiło się co trzeba i nie trzeba;
Lecz teraz wszystko się na człeku krupi,
Choć ledwo schwycił skromny kęsek chleba.
Autor. Nikt prawie dziś nie czyta z całéj nacji,
Gdy mu się w ręce mądra rzecz dostała;
A co się tyczy młodéj generacji,
To ta okropnie jest zarozumiała.
Mefistofel (*który nagle przeistoczył się w starca*).
Już widać sądny będzie dzień!
Ja w strasznym wlazłem tu wysiłku
I nogi swe przeklinam w pień.
Świat chyba musi być na schyłku.
Czarownica tandeciarka.
Nie omieszkajcie, cni panowie,
Z okazyi korzystać znakomitéj!
Wszak dobór mam towarów co się zowie
I bardzo przytém rozmaity,
A w całym mym przenośnym kramie,

Któremu równych nie zna świat,
Zaguby wszystko nosi znamię
I przyczyniło ludziom strat.
Czy sztylet, który ociekł krwią,
Czy kielich, który zatruł ciało,
Czy strój, co kosztownością swą
Niewieścich skusił serc niemało,
Czy miecz, co zerwał sto przymierzy
I w przeciwnika z tyłu mierzy....

Mefistofel. Kumeczko, nie znasz ducha czasu;
Co stało się, no to się stało.
Nowości dziś ponętą całą,
Hałasu trzeba dziś, hałasu!

Faust. Na pięknym jestem tu jarmarku!
Już nie wiem sam gdzie głowę mam na karku.

Mefistofel. Prąd cały w wyższe dąży regiony;
Posunąć chcesz, a jesteś posuniony.

Faust. A to kto?

Mefistofel. Przypatrz się, to ona,
To Lilit. (1)

Faust. Kto?

Mefistofel. Adama piérwsza żona.
O strzeż się splotu jéj warkoczy,
Co nim się przed innemi chlubi,
Bo gdy młodego gacha zoczy,
To go posiędzie, albo zgubi.

Faust. Tam siedzą dwie—przy młodéj stara,
Musiała już naskakać się ta para.

Mefistofel. Tańcują dziś bez odpoczynku.
Pójdź, stańmy z niemi do ordynku!

Faust (*tańcując z młodą.*)
Miałem sen nadzwyczaj miły:
Drzewo mi się w nim przyśniło,
Na niém dwa jabłuszka lśniły,
Zerwać je pragnąłem siłą.

Młoda. Wy i w raju, jak wiadomo,
Jabłka rwaliście kryjomo.
Bardzo jestem z tego rada,
Że mój ogród je posiada.
(*Mefistofel tańczy ze starą.*)

---

(1) Lilit: podług podania rabinistycznego piérwsza żona Adama, która poróżniwszy się z mężem, została diablicą.

Proktofantasmista (1).
Przeklęta zgrajo, niepojętna srodze!
Wszak dawno tobie już dowodzę,
Że duch na słabych stoi nogach,
A tyś się w swoich roztańczyła progach?
Młoda (*w tańcu*) A ten co robi tu na balu naszym?
Faust (*w tańcu*) My kijem nawet ztąd go nie wystraszym.
Gdzie inni tańczą, tam on zrzędzić musi;
Gdy sam o rzeczy zdania nie wykrztusi,
To krok zrobiony—jakby go nie było;
A już najbardziéj pono mu niemiło,
Gdy dążym naprzód. Drepczcie po deptaku,
Jak on, gdy kręci stare swe młynisko,
To może jeszcze będzie mu do smaku,
Szczególniéj gdy mu się skłonicie nizko.
Proktofantasmista.
Wy jeszcze tutaj? A to niesłychane!
Wszak światło nasze wszędy jest rozlane,
A to diabelstwo nawet nas nie pyta;
My mądrzy przecie, a tu czar—i kwita!
Toż choć-em czyścił zawsze to śmiecisko,
Wciąż rojno w niém. Ha! dziwne widowisko!
Młoda. Milcz już, nudziarzu, nikt cię tu nie słucha.
Proktofantasmista.
A ja wam frantom powiem prosto w oczy,
Że nienawidzę despotyzmu ducha,
Mój rozum przeciw światłu nie wykroczy.
(*Tańce trwają ciągle.*)
No, widzę szczęście dzisiaj mi nie służy,
Lecz nowéj nie wyrzekam się podróży
I tuszę że, nim spłacę dług naturze,
I diabłów i poetów precz wykurzę!
Mefistofel. On teraz pójdzie usiąść gdzie w kałuży,
Bo to wybornie zdrowiu jego płuży,
A gdy pijawki mu się rzędem przypną,
To jego duch i duchy ani zipną.
(*Do Fausta, który zaniechał tańca.*)
Lecz powiédz, gdzie dziéweczka owa mała,
Co tak milutko w tańcu ci śpiéwała?

---

(1) Pod nazwą tą Göthe przedstawia znanego wówczas księgarza i krytyka berlińskiego, Fryderyka Nicolai, wroga wszelkiéj cudowności i wszelkiego ideału.

Faust. Cóż kiedy pośród śpiewu jéj znienacka
Czerwona myszka z buzi wyskoczyła. (1).
Mefistofel. Zapewne, że to rzecz niemiła,
Lecz przecie mysz nie była szara,
A uśmiéchała się miłosna schadzka.
Faust. A potém....
Mefistofel. Co?
Faust. Obejrzyj się, Mefisto!
Czy widzisz?... Śliczna, blada mara
W oddali kryje twarz swą mglistą
I z miejsca w miejsce mknie powoli,
Jak ktoś, co u nóg pęta nosi,
A łańcuch cięży, noga boli.
To ona! to jest twarz Małgosi!
Mefistofel. Daj pokój z tém! Nie wschodzi taki siew.
To widmo złudne, ćma bezkrwista,
Nie jakaś postać rzeczywista.
Od martwych ócz martwieje ludzka krew
I w głaz się człek zamienia prawie.
Musiałeś słyszéć o Meduzy sławie. (2)
Faust. Zaprawdę, oczy to uśpionéj,
Życzliwą dłonią nie domknięte,
Ta pierś, ten ciała kształt toczony,
Jam z nich rozkosze spijał niepojęte.
Mefistofel. Zbyt łatwowiernyś. Toż w tém czaru siły,
Że każdy widzi obraz swojéj miłéj.
Faust. O, jakże straszne to cierpienie!
Wciąż widzę lube jéj spojrzenie,
A tam... wszak tę łabędzią szyję
Okala nić czerwona—jak obroża,
Nie szérsza pewnie, niźli tylec noża.
Mefistofel. I ja to widzę, jak się ona wije.
Meduza głowę dziś pod pachą niesie,
Bo ją Tezeusz raz w poswarku
Niewieście biédnéj strącił z karku.
Pójdź na to wzgórze, kędy w lesie
Do różnych zabaw wszystko rwie się;
Prawdziwy Prater. Jeśli się nie mylę,

---

(1) Według podania ludowego, czarownicom we śnie myszy z ust wyskakują.

(2) Meduza: jedna z trzech Gorgon greckich, któréj wzrok każdego, co na nią spojrzał, w głaz zamieniał. Tezeusz uciął jéj głowę.

To teatr tam gotuje się za chwilę.
Co będą grali?

Servibilis. Już niezwłocznie
Najnowsza sztuka się rozpocznie,
Ostatnia z siedmiu, bo tu jest zwyczajem,
Że siedem zawsze z rzędu dajem.
Napisał ją dyletant siaki taki
I dyletanty grają nieboraki.
Darujcie państwo, że się teraz zwinę
Po dyletancku także wznieść kortynę.

Mefistofel. Ha, na Bloksbergu działać ci przystoi,
Tam ani rusz bez reżyserji twojéj.

SEN NOCY WALPURGI,

CZYLI ZŁOTE WESELE OBERONA I TYTANII. (1)

Intermezzo.

Dyrektor teatru.
Dziś nareszcie odpoczniecie,
Melpomeny syny;
Stara góra, las, rupiecie
Przybór nasz jedyny.

Herold.
Aby złote mieć wesele,
Czekać trza pół wieka.
Miło, gdy się wszystko ściele
Złotém dla człowieka.

Oberon.
Duchy, dotrzymajcie słowa
W uroczystéj chwili,
Kiedy król wasz i królowa
Znów się połączyli.

Puk.
Ledwo Puk się lekkostopy
Zjawi i wykręci,
Setka innych za nim w tropy
Dzień radosny święci.

Ariel.
Ariel harmonją sieje
Śpiewy niebiańskiemi;
Wiele maszkar śpiéw nawieje,
Lecz i pięknych z niemi.

Oberon.
Stadło, gdy się z sobą godzi,
Niech z nas bierze miarę;
Najgorętszą miłość rodzi
Rozwód na lat parę.

Tytania.
Gdy mąż zrzędzi, żona łaje,
Wysłać ich dla zgody:
Jego w południowe kraje,
Ją gdzie wieczne lody.

Orkiestra (*tutti, fortissimo.*)
Żądło muchy, nos komara,
Krewnych szereg cały,
Żabek i koników chmara,
Chór to okazały.

---

(1) Ustęp ten ma pewne pokrewieństwo ze „Snem nocy letniéj" Szekspira, z którego nawet Göthe wziął osoby Oberona, Tytanii i Puka, ducha figlarnego, nakształt naszego chochlika.

Solo.
Kobzy ostry skrzeczy głos,
Bańka to mydlana;
Przez swój tępy dudli nos:
Dana! dana! dana!

Duch kształtujący się dopiéro.
Łeb pająka, brzuch ropuchy,
Skrzydła ma ten chwacik;
Nic nie stworzą takie zuchy,
Chyba poemacik.

Parka.
Chód drepczący, lotny skok,
Na to każdy gotów;
Wprawdzie drepczą cały rok,
Lecz nie widzę wzlotów.

Ciekawy podróżnik.
Czym w ułudy maskę odzian?
Czy mnie mylą oczy?
Oberon, ten piękny młodzian,
Znowu tu dziś kroczy?

Ortodoks.
Brak mu kopyt, brak mu rogów,
Lecz bez wątpliwości,
Tak jak w ciałach greckich bogów,
I w nim diabeł gości.

Artysta z Północy.
Dziś wistocie tylko zbiéram
Szkice i kartony;
Lecz zawczasu się wybiéram
W italijskie strony.

Purysta.
Licho mnie w te brudy wiedzie,
W orgje wyuzdane;
Ledwo dwie w tych wiedźm cze-
Są upudrowane. [redzie

Czarownica młoda.
Puder, jak i odzież zgoła,
Są dla szpetnych całkiem;
Więc na koźle siedzę goła,
Wabiąc jędrném ciałkiem.

Matrona.
Mamy tyle sensu przecie,
Że się nie dąsamy;
I wy kiedyś pognijecie,
Piękne moje damy.

Kapelmistrz.
Hej, wy muchy i komary,
Nagich się nie imać!
Żabek i koników chmary,
Proszę takt utrzymać!

Chorągiewka (*w jednę stronę.*)
W ślicznym się przeplotły wieńcu:
Tu dziéwcząteк mrowie,
Tam młodzieniec przy młodzieńcu,
Zuchy co się zowie!
(*W drugą stronę.*)
Niechaj ziemia je pochłonie,
Te szatańskie zgraje!
Chyba się w piekielne tonie
Rzucić pozostaje.

Ksenie. (1)
Ostrém żądłem, jak owady,
Ludzie ciąć gotowi,
Aby służyć dla parady
Papie szatanowi.

Krytyk.
Patrzcie, jak naiwnie gwarzą,
Zbici w gęste roje;
W końcu jeszcze wierzyć każą
W dobre serca swoje.

Muzaget. (2)
Lubię biesie te łobuzy,
Gdy o sobie radzą;
Łatwiéj one niżli Muzy
Za nos wieść się dadzą.

Ex-duch wieku.
Lepsi mądrzy, niż gawrony.
Chwyć się ich zawczasu!
Szczyt Bloksbergu tak przestrony
Jak i szczyt Parnasu.

---

(1) *Ksenie*: urywki poetyckie, dwu lub kilkowiérszowe.
(2) *Muzaget*: przewódca Muz, albo orędownik sztuki.

Ciekawy podróżnik.

Czemu człek ten wyprężony
Tak tam sztywno siedzi,
Wietrząc nosem na wsze strony?
„Jezuitów śledzi.“

Żóraw.

W mętnéj wodzie huk czasami
Rybek złapać można;
Więc się kuma i z diabłami
Dusza ta pobożna.

Światowiec.

Dla pobożnych, bracia mili,
Wszystko jest sprężyną;
Toż i tu się w jednéj chwili
Schadzki ich rozwiną.

Tancerz.

Nowy już nadciąga chór,
Słyszę zdala bębny;
W trawie wyśpiéwuje wtór
Bąków rój stugębny.

Nauczyciel tańca.

Istne tu się dzieją dziwy,
Każdy pląsów żąda;
Hasa tłusty, skacze krzywy,
Nie dba jak wygląda.

Wesoły.

Swarzy się hołota biedna,
Walka wre zawzięta;
Ledwie ich tu kobziarz jedna,
Jak Orfej zwierzęta. (1)

Dogmatyk.

Nie zachwieje mnie nic w świecie,
Dużom krytyk przebył;
Diabeł czémś być musi przecie,
Boby diabłem nie był.

Idealista.

Wyobraźnia w głowie mojéj
Miary dziś nie zazna;
Gdy się tyle w mózgu roi,
Kroję cóś na błazna.

Realista.

Strasznie nuży mnie ten kram,
Chyba oszaleję;
Po raz piérwszy widzę sam,
Że się w zdaniu chwieję.

Supernaturalista.

Ja znów bardzo jestem rad,
Że to lud wesoły;
Za biesami można wślad
Ujrzéć i anioły.

Sceptyk.

Skarbu pragną i jak w dym
Śledzą go ogniście.
Czart i żart—wszak dobry rym,
A to żarty iście.

Kapelmistrz.

Hej, wy muchy i komary,
Nędzne dyletanty!
Żabek i koników chmary,
Toć wy muzykanty.

Zręczni.

Niestroskanym w każdéj porze
Orszak nasz się zowie;
Gdy na nogach już nie może,
Chodzi choć na głowie.

Niezdarni.

Dawniéj kęs niejeden w gardło
Poszedł z łaski nieba;
Dziś obuwie się przedarło,
Boso pląsać trzeba.

Ogniki błędne.

Myśmy z bagna przecie rodem
I wierutne franty;
Jednak tu idziemy przodem,
Jako eleganty.

Gwiazda spadła.

Śród drużyny jasnych gwiazd
Tlałam niby zorze;
Teraz spadłam tutaj w chwast,
Kto mi dopomoże?

---

(1) Podług mytologii greckiéj dźwięki lutni Orfeusza poskramiały dzikie zwierzęta.

Ociężali.

Z drogi! z drogi! Toć w tę stronę,
Na murawy zgubę,
Duchy idą, a i one
Członki mają grube.

Puk.

Cóż wy tak stąpacie wszędzie
Ciężko, jak słonięta?
Niech dziś najmniéj zgrabnym bę-
Sam Puk wiercipięta. [dzie

Ariel.

Gdy przyroda wam miłośnie
Skrzydła ducha daje,
Dążcie zamną wślad, ku wiośnie,
W róż, wawrzynów kraje.

Orkiestra (*pianissimo.*)

Pochód chmur, zasłona mgły
Wgórze się rozmierzcha.
Szelest wiatru w trzcinie drży
I widzenie pierzcha.

POCHMURNY DZIEŃ. — POLE.

FAUST. — MEFISTOFEL.

Faust. Wnędzy! W rozpaczy!... Na ziemi długo zbłąkana, a teraz uwięziona! Luba, nieszczęsna istota! Zamknięta w strasznych cierpieniach, jak zbrodniarka! Aż tak! aż tak!... Zdradliwy, bezecny duchu! i tyś to ukrył przedemną!?... Stój, o stój! przewracaj wściekle szatańskie swe oczy! Stój i urągaj mi wstrętną swą obecnością!... Uwięziona! w nędzy niepojętéj! Oddana w moc złych duchów i karzącéj, bezlitośnéj ludzkości! A ty kołyszesz mnie tymczasem w zabawach obmierzłych, kryjesz przedemną wzrastającą jéj niedolę i dajesz jéj ginąć bez ratunku!

Mefistofel. Nie ona piérwsza ginie.

Faust. Psie, ohydny potworze!... Przeistocz go, ty duchu nieskończony! przeistocz w jego postać psią, pod którą nieraz w nocy biegał przedemną, by spokojnemu wędrowcowi rzucić się pod nogi, a potém uczepić się ramion padającego! Przeistocz go znowu w jego kształt ulubiony! Niech waruje przedemną w prochu, niech zdepczę potępieńca!... Nie ona piérwsza!... Straszne to, straszne, dla duszy ludzkiéj niepojęte, że niejedna już istota w taką głębię nędzy zapadła, że piérwsza z nich nie okupiła odrazu winy wszystkich, wijąc się w trwodze śmiertelnéj przed obliczem wiecznie Przebaczającego! Mnie niedola téj jednéj nurtuje szpik i życie; ty naigrawasz się obojętnie z nędzy tysiąców!

Mefistofel. Otóż i znowu jesteśmy u granic naszego dowcipu, tam, gdzie wam ludziom klepki mieszają się we łbie. Pocóżeś wszedł we wspólność z nami, jeśli przeprowadzić jéj nie umiész? Wzlecieć chcesz, a boisz się głowy zawrotu. Czy myśmy tobie się narzucali, czy ty nam?

Faust. Nie wyszczerzaj tak na mnie zębów swych żarłocznych! Brzydzę się tobą!... Wielki, wspaniały duchu, który objawić mi się raczyłeś, który znasz moje serce, moję duszę! Czemu przykuwasz mnie do wszetecznika tego, który raduje się krzywdą wszelką, napawa zgubą?

Mefistofel. Czy już skończyłeś?

Faust. Ocal ją, lub biada tobie! Obrzucę cię klątwą najstraszniejszą na lat tysiące!

Mefistofel. Nie mogę rozkuć więzów mściciela, odemknąć jego wrzeciądzy.... Ocal ją!... A któż ją wtrącił w zgubę? Ja, czy ty?

Faust (*dzikim wzrokiem spogląda dokoła*).

Mefistofel. Czy szukasz pioruna? Dobrze że nie dano go wam, nędznym śmiertelnikom. Zdruzgotać niewinnego, to zwyczaj tyranów, gdy chcą sobie ulżyć kłopotu.

Faust. Prowadź mnie do niéj! Ona musi być wolną!

Mefistofel. A niebezpieczeństwo, na jakiebyś się naraził? Wiedz, że krwawa zbrodnía twojéj ręki cięży jeszcze nad miastem. Ponad grobem zabitego krążą duchy mściciele, czyhając na powracającego mordercę.

Faust. I to mi jeszcze przypominasz? Śmierć i przekleństwo całego świata niech spadną na ciebie, potworze! Powtarzam: zaprowadź mnie tam i uwolnij ją!

Mefistofel. Zaprowadzę, lecz co uczynić mogę, posłuchaj! Nie jestem wszechwładny w niebie i na ziemi. Omroczę zmysły stróża więziennego; ty zabierz klucze i wywiedź ją człowieczą swą ręką. Ja czuwać będę. Czarodziejskie rumaki są w pogotowiu. Uniosę was. To jest w mojéj mocy.

Faust. A więc śpieszmy!

NOC. — POLE OTWARTE.

FAUST i MEFISTOFEL pędzą na czarnych rumakach.

Faust. Co tak pod szafotem te widma się gonią?
Mefistofel. Sam nie wiem: cóś tworzą i warzą!
Faust. To wgórę się wznoszą, to nadół się kłonią.
Mefistofel. Snadź wiedźmy się snują i swarzą.
Faust. Cóś niby tam święcą i cóś usypali.
Mefistofel. To fraszka. Pędź daléj! pędź daléj!

WIĘZIENIE.

Faust (*z pękiem kluczy i lampą przed drzwiami żelaznemi*).

Dreszcz chwyta mnie oddawna już nieznany,
Ludzkości całéj tłoczy mnie cierpienie.
Tu mieszka ona, te wilgotne ściany
Niewinną kryją, bo jéj winą całą
Poczciwe było urojenie.
Lecz co się zemną stało?
Czy boję się iść do niéj?
Wszak pośpiech tylko ją ochroni.
(*Próbuje otworzyć zamek. Wewnątrz rozlega się śpiéw*).

Matka niecnota
Zabiła mnie;
Ojciec niedobry
Pochłonął mnie.
Siostrzyczka mała
Kości pochowała;
A ja skrzydła mam ptaszyny,
Wzleć, ptaszynko, na wyżyny! (1)

Faust. O biédna! Nie wié, że kochanek z proga
Brzęk kajdan jéj i szelest słomy słyszy.
(*Wchodzi*).

Małgosia (*kryjąc się na posłaniu*).
Już idą! Ratuj mnie, kto wierzy w Boga!

Faust. Przychodzę cię ocalić. Ciszéj! ciszéj!

Małgosia. Jeżeliś człowiek, odczuj mą niedolę!

Faust. Dozorców nie budź! Zaraz cię wyzwolę.
(*Odmyka kajdany*).

Małgosia (*na kolanach*).
Kto ci, kacie, nadał moc
Nademną biedną?
Przecież ciemna jeszcze noc,
Daruj mi choć mgnienie jedno.
Dosyć wcześnie jutro rano.
(*Wstaje*).
Ja tak młoda, o tak młoda!
A już umrzéć mi kazano.
Byłam także piękna, miła,
Ale właśnie ta uroda
Ach! na wieki mnie zgubiła!

---

(1) Jest-to pieśń ludowa o macosze, która zabiła dziecko swego męża i dała mu je do zjedzenia jako potrawę. Siostrzyczka pozbiérala kości i pochowala je, a dusza dziecka uleciała jako ptaszek.

On był blizki, dziś daleki,
A wianuszek.... oj na wieki
Rozerwany.... Czego chcesz?
Com ci winna? Przecie wiesz,
Żem cię w życiu nie widziała.

Faust. O, czyż przeniosę męki tyle?

Małgosia. Przecieżem w twéj władzy cała;
Zostaw mi choć krótką chwilę,
Niech nakarmię moje dziecko.
Jam je nocy téj pieściła,
Bo kruszynka to tak miła!
Ach! zabrali je zdradziecko
I cóś im się przywidziało,
Żem je w stawie utopiła.
I śpiéwają o mnie pieśni,
Wiész, jak ta piosenka gminna.
Co to się tym ludziom nie śni!
Co im się stało?
Co ja im winna?

Faust (*klęka przed nią*).
Kochanek więzy twoje skruszy,
Położy koniec twéj katuszy.

Małgosia (*rzuca się ku niemu*).
Wezwijmy świętych pomocy!
Patrz, za tym progiem
Piekło wre,
Zły duch śród nocy
Miota się
W walce wściekłéj z Bogiem.

Faust. Małgosiu!

Małgosia. Toż to był głos jego!
(*Zrywa się, kajdany jéj opadają*).
Gdzie on? Słyszałam jak mnie woła.
Jam wolna! Nikt zatrzymać mnie nie zdoła;
Już mnie oprawcy tu nie strzegą.
U szyi jego chcę zawisnąć,
Do piersi własną pierś przycisnąć.
Małgosiu! wołał, stał u proga,
I choć szalała moc złowroga,
Choć wokół gwar szatańskich szyderstw rosł,
Poznałam słodki, ukochany głos.

Faust. To ja!

Małgosia. To ty? O, powtórz to raz jeszcze!
Niech ucho słowem tém upieszczę.
(*Obejmuje go*).
To ty! Gdzie teraz męki mego łona?
Gdzie trwoga śmierci, gdzie kajdany?
Tyś przyszedł do mnie, mój wybrany!
Jam ocalona!....
Już widzę znów ulicę ową,
Gdzie piérwsze z tobą zamieniłam słowo,
I miły ten ogródek mały,
Gdzie z Martą myśmy cię czekały.

Faust. Pójdź zemną, pójdź!

Małgosia. Chwileczkę choć zaczekaj!
Tak mi tu błogo z tobą! (*Przymila się*).

Faust. Nie odwlekaj!
Za czas stracony przyjdzie pokutować.

Małgosia. Więc ty nie umiész nawet już całować?
Więc po krótkiéj téj rozłące
Już ostygły czucia wrzące?
Dlaczego tak mnie trwożą twe uściski?
Toć dawniéj sercem byłeś mi tak blizki,
Z twych słów, z twych spojrzeń niebo mi spływało,
Z pieszczoty-ś nie udusił mnie omało....
Pocałuj mnie, bo ja cię pocałuję.
(*Tuli się do niego*).
O biada! Zimne są twe usta,
Milczące!
Pierś pusta!
Czuję to, czuję!...
Gdzie się podziały
Serca zapały?
Gdzie słowa gorące?
(*Odwraca się*).

Faust. Pójdź, dziecko, zanim pora minie!
Ja ci przyrzekam pieszczot krocie;
Pójdź! o to błagam cię jedynie.

Małgosia (*zwrócona ku niemu*).
A czy to ty? czy tylko ty w istocie?

Faust. Ja! ja!

Małgosia. Więc mnie uwolnisz i ukoisz,
I znów mnie weźmiesz na kolana?

Dlaczego ty się mnie nie boisz?
A wiész ty kim jest twoja ukochana?
Faust. O śpiesz się, śpiesz! Już gwiazdy gasną.
Małgosia. Ja zabiłam matkę własną,
Utopiłam nasze dziécię;
Wszak mnie i tobie winne było życie,
I tobie też.... Tak, prawda to istotna,
To ty! O daj mi rękę!... To nie sen!
Daj rękę!... Ale jest wilgotna!
Ach! obetrz ją! bo mnie się zdaje,
Że do niéj świéża krew przystaje!...
O Boże! Cóżeś ty zrobił?
Schowaj oręż ten!
Małgosia prosi!
Faust. Nie budź, nie wskrzeszaj przeszłości obrazu,
Onby mnie dobił.
Małgosia. Nie, ty żyć musisz! Człowiek wiele znosi.
Chcę ci opisać mogiły,
Bo tak myślałam odrazu,
Że ty, mój miły,
Zajmiesz się niemi.
Matce daj najlepszy grób,
Brata obok złóż do ziemi,
A mnie daléj miejsce zrób,
Tylko niezbyt znów daleko.
Dziecko mi do piersi daj,
Niech nas jedno kryje wieko.
Nikt tam więcéj już nie legnie....

W twoje tulić się ramiona
Był to niegdyś dla mnie raj!
Czemu czas tak szybko biegnie,
Czemu szczęście migiem kona?
Dziś inaczéj jest, inaczéj!

Tyś to niby; wzrok twój patrzy
Tak poczciwie, tak przyjemnie!
Taka prośba w nim gorąca!
Jednak cóś się wzdryga wemnie,
Cóś od ciebie mnie odtrąca.
Faust. Jam Henryk twój, kochanko! Lecz się śpiesz!
Małgosia. A dokąd?
Faust. Na swobodę. Wierz mi, wierz!

Małgosia. Jeżeli tam mogiła czeka
I czyha śmierć, to niech nie zwleka.
Ztąd jedno wyjście mnie niebogiéj:
Na odpoczynek wieczny, błogi.
Ty idziesz? Czemuż z tobą iść nie mogę?
Faust. Chciéj tylko! Masz otwartą przecie drogę.
Małgosia. Niewolno mi! Już nic mnie nie osłania;
Choć zbiegnę, ślad mój znajdą w okamgnieniu,
A to tak smutno żebrać zlitowania,
Gdy wina zwłaszcza ciąży na sumieniu,
Tak straszno saméj tułać się po świecie!
A zawsze wkońcu katy ujmą przecie.
Faust. Ja nie opuszczę cię i w nędzy,

Małgosia.

Prędzéj! prędzéj!
Schwyć dziecinę!
Przez drożynę
Popędź długą,
Ponad strugą,
Wprost do lasu,
Gdzie w oddali
Grobla z bali,
Nie trać czasu!
Ona tam w stawie
Tonie już prawie,
Rączką się pluszcze.
Ratuj ją, ratuj!

Faust. Zastanów się! Już cię nie puszczę!
Krok jeden zrób, a będziesz wolną.
Małgosia. Gdybym tylko była zdolną
Minąć górę tę i kamień,
Ale chyba w głaz mnie zamień!
Matka siedzi tam jak żywa,
Mruga na mnie, głową kiwa.
Długim, długim snem zasnęła!
Już się z niego nie ocknęła.
Spała, byśmy się cieszyli.
O, pamiętnam ja téj chwili!
Faust. Gdy prośby memi cię nie wzruszę,
To gwałtem ztąd cię unieść muszę.
Małgosia. Puść mnie! Nie znoszę gwałtu w niczem!
Wszak wszystkom ci czyniła po dobroci.
Faust. Kochanko, już na niebie dzień się złoci.
Małgosia. Tak, dnieje! Bladém swém obliczem
Ostatni dla mnie dzień już świta.
Miał to być mój dzień godowy.
Nie mów, nie mów ty nikomu,
Żeś był u mnie pokryjomu

Lubéj, grzésznéj nocy owéj.
Biada! Wianek nie odkwita...
Pewno wkrótce się spotkamy
Nie przy tańcu. Tam u bramy
Tłumy cisną się dokoła,
Plac pomieścić ich nie zdoła.
Jęczy dzwon, skruszona laska (1)
I na oczach już opaska,
Skrępowane ręce obie!
Ostrze stali mnie po szyi
Łechce, niby żądło żmii!
Ciemno, głucho, jakby w grobie!

Faust. O, bodaj nie żyć mi na świecie!

Mefistofel (*zjawia się.*)
Uchodźcie szybko, bo zginiecie!
Daremne targi i gawędy.
Rżą moje konie,
Świta już wszędy.

Małgosia. Co tam z pod ziemi pełza, płonie?
To on! to on! Każ mu iść precz!
To poświęconych miejsc zakała!
On pomnie przyszedł!... Wolę iść pod miecz!

Faust. Ty wyjdziesz zdrowa ztąd i cała.

Małgosia. Niebieski sędzio! Tobiem się oddała!

Mefistofel (*do Fausta.*)
Pójdź? bo zostawię was oboje.

Małgosia. Jam Twoja, Ojcze, ocal mnie!
Anioły, Boscy posłannicy!
Osłońcie duszę pokutnicy,
Co z ciemni się do światła rwie!
Henryku, ja się ciebie boję!

Mefistofel. Już potępiona!

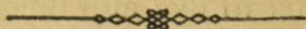
Głos (*zgóry.*) Ocalona!

Mefistofel (*do Fausta.*) Tu do mnie! Dosyć tego krzyku!
(*Znika z Faustem.*)

Głos (z *wewnątrz.*) Henryku! Henryku!

---

(1) W wiekach średnich nad skazanymi na śmierć łamano laski.





LUDWIK BOERNE.

I. Epoka i życie.

Można rozumieć Boerne'go, nie znając jego życiorysu, lecz niepodobna go ocenić bez dokładnéj znajomości współczesnéj mu epoki. W takiéj własności ducha Boerne'go należy szukać źródła jego braków lecz i siły: żył on szerokiém życiem historyi, nie wązkiém osobistém i więcéj posiada znaczenia jako dokument historyczny, aniżeli ze względu artystycznego i naukowego.

Po straszliwym wysiłku, który rozdrobnione od niepamiętnych czasów Niemcy zjednoczył w walce przeciw Napoleonowi I, nastąpił dla nich okres wyczerpania i rozczarowań. Wysiłek podjęty został w imię idei wolności i idei narodowéj, lecz jeśli idącym na rzeź szeregom pozwalano upajać się i roznamiętniać pięknemi temi hasły, to powracających do domów zwycięzców usypiano i obezwładniano już zupełnie innemi: subordynacya, wierność, spokój. Miodopłynne usta „nianiek narodowych“, w rodzaju Kamptza, Schmalza i t. p., jęły tłómaczyć zdumionym rodakom, że cała t. zw. „wojna o swobodę“ była prostém wypełnieniem powinności względem monarchów, że naród odgrywał w téj walce jedynie rolę stojącego na warcie żołnierza lub śpieszącego na pożar strażaka (1), i że jako taki żadnych do wynagrodzenia pretensyi rościć nie ma prawa. Murzyn swoje zrobił, murzyn może odejść. Wytrzeźwione Niemcy zrozumiały, że kosztem krwi swéj i wielkich poświęceń uwolniły nie siebie, lecz jedynie swych stróżów więziennych. Szybkim krokiem powracały niedawne a już tak dalekie czasy patryar-

---

(1) Tak dosłownie Schmalz „Das europäische Völkerrecht“ 1817.

chalnych rządów, harcapów (1) i pałki kapralskiéj; nie krępowano się nawet pozorami słuszności i honoru, łamiąc otwarcie uroczyste obietnice i lekceważąc namacalne gwarancye prawne (2). Tymczasem Francya, grzeszna, buntownicza a zwyciężona, w żelazną obręcz ujęta, tyle szacunku i obawy wzbudza w przeciwnikach, że ostatecznie na własnéj klęsce najwięcéj korzysta, gdyż zachowuje wywalczone swobody i odzyskuje nawet utracone. Mógł wprawdzie Ludwik XVIII tytułować się nadal królem Nawary i liczyć w chwili wstąpienia na tron dwudziesty rok swego panowania, mogły powrócić i złote lilie i przyboczne regimenty szwajcarskie i krzyż św. Ludwika, — niemniéj wszakże nowe kodeksy pozostały w swéj mocy, zapewnioną została bezkarność za spełnione podczas rewolucyi czyny polityczne, równość wszystkich przed prawem, swoboda wyznań, wolność prasy, sądy przysięgłych, udział narodu w prawodawstwie. Gorzkie rozmyślania nasuwać się musiały zwycięzkim Niemcom wobec nieuniknionego porównania; rozruszani szeregiem niesłychanych wstrząśnień, stali się oni wrażliwszymi na sprawy społeczne, a więc i przygnębienie polityczne mogło przenikać do kół najszerszych. Pomimo to wszakże, w narodzie politycznie niedojrzałym, który zwrotu rewolucyjnego samodzielnie nie przeżył, niezadowolenie przejawiało się *świadomie* w wyjątkowych tylko umysłach. Masy błądziły po omacku, wyrażając opozycyą przeciw panującemu porządkowi w sposób dziwaczny, nielogiczny często, teutomanią, zjazdem wartburskim, manią gimnastyczną, zabójstwem Kotzebue'go i t. p., co stan rzeczy pogarszało tylko, tworząc chaos pojęć nierozwikłany i większą jeszcze wywołując reakcyą.

Tymczasem ruchy rewolucyjne we Włoszech, Hiszpanii, Rosyi, walka Grecyi o swobodę, sprawy irlandzkie, utrzymują umysły w Niemczech w niepokoju i budzą wiarę w gwałtowne przewroty, w nietrwałość panujących stosunków. Rewolucya lipcowa zdawała się usprawiedliwiać wszystkie te nadzieje. Znalazła ona odgłos potężny w olbrzymim promieniu, lecz jeśli gdzieniegdzie wywołała rezultaty jaskrawsze, nigdzie nie wywarła wpływu głębiéj sięgającego niż w Niemczech. W Belgii lub Polsce stanowiła ona iskrę w prochowni, strąciła owoce dojrzałe z drzew; w Niemczech słońce lipcowe jasnym swym promieniem ginące, zamierające w pomrokach kwiaty przywróciło do życia. Zapał w Niemczech nie znał

---

(1) W Hesyi elektorskiéj literalnie por. Schlosser: Historya XVIII i XIX wieku. Tom VIII, str. 367.

(2) Np. Manifesty kaliski 1813 r. i wiedeński 1815 r. Fryderyka Wilhelma III; § 13 aktu związkowego Niemiec z dnia 8 czerwca 1815 r.

granic; nietylko inteligencya upajała się dźwiękami zmartwychwstałych haseł rewolucyjnych, lud nawet prosty chętnie uwierzył, że rozpoczyna się nowa era, że wreszcie „biedni ludzie zwyciężyli“ (1). Do Paryża, jak do Mekki nowożytnéj pociągnęły tłumy pielgrzymów ze wszystkich klas społecznych Niemiec, rzemieślnicy i poeci, artyści i kupcy, nie dla zarobku jedynie lub rozrywki, lecz by dotknąć się bruków, oddychać powietrzem, oglądać świadków świętéj walki, przejąć się jéj duchem, zrozumiéć zasady i cele. Ci co w Paryżu pozostali ślą do kraju hymny na cześć wolności i narodu francuskiego, powracający do domów roznoszą zapał dla widzianych cudów, podniecany rażącym kontrastem z warunkami swojskiemi. W najspokojniejszych, najlojalniejszych państewkach niemieckich następują wybuchy rewolucyjne (2); w Niemczech południowych, cieszących się pewną cząstką swobody, odczuwa się nadzwyczajne ożywienie ducha demokratycznego (3). Bawarya nadreńska pod osłoną praw francuskich staje się ogniskiem ruchu już wyraźnie republikańskiego: powstają tu pisma radykalne (4), „stowarzyszenia wzajemnéj asekuracyi od cenzury“, urządzają się masowe zgromadzenia ludowe, „gdzie na ruinach Hohenstaufów odzywa się grzmiąco marsylianka z 20000 piersi“ (5). Przerażone rządy widziały już wcieloną „rewolucyą, zbliżającą się wielkiemi krokami“ (6) i Zgromadzenie Związkowe nie omieszkało przeciąć jéj drogę szeregiem postanowień, które słusznie nazwano „niemieckiemi ordynansami lipcowemi.“ Żakowski zamach frankfurcki stanowił znowu dogodny pretekst dla dalszych kroków w tymże kierunku; wobec „hydry rewolucyjnéj“ niemiecki związek państwowy nabiera charakteru państwa związkowego, ze wszystkiemi tegoż wadami a bez żadnéj zalety. Nadzieje pokładane we Francyi okazują się złudnemi najzupełniéj; spokojny francuski król-filister ani myślał o krucyacie wolności w stylu 1793 r., o jakiéj marzyły ludy europejskie. Los Polski i Włoch był smutném ostrzeżeniem dla łatwowiernych. Stopniowo zwątpienie ogarniało umysły najwytrwalsze; odsunięto w kąt ideały polityczne i z zasępionem czołem wzięto się

(1) Por. Heine: Listy z Helgolandu.

(2) W królestwie saskiém i hanowerskiém, w w. księstwie brunświckiém, w Hesyi Elektorskiéj.

(3) Szczególnie w królestwie wirtemberskiém i bawarskiém, oraz w. księstwie badeńskiém.

(4) Np. Der Westbote. Die deutsche Tribüne.

(5) W Weinheimie, Königsteinie, Hambachu.

(6) Przedstawiciel Austryi w Zgromadzeniu Związkowém.—Por. De l'Allemagne depuis 1830, par Louis de Carné w *Revue des deux Mondes* T. XIV, 1838, p. 143 suiv.

do budowania kolei żelaznych. W końcu czwartego dziesiątka bieżącego stulecia, Europa jakby pod ogromnym parasolem mieszczańskim ukryta, gdy na szarym horyzoncie skupiają się powoli groźne chmury, z zapowiedzią nowéj burzy, stokroć od poprzednich potężniejszéj.

W takiéj to epoce wypadło żyć i działać Ludwikowi Boernemu. Urodził się 1786 r. w wolném mieście Frankfurcie nad Menem z zamożnych rodziców żydowskich. Ponure dzieciństwo przepędził w mieście rodzinném u matki, kobiéty prostéj bez charakteru i wpływu na syna i ojca spekulanta bez zasad, który go całą swą istotą odpychał od siebie. W siedmnastym roku życia wysłany do Berlina dla studyów medycznych w znakomitych klinikach tamecznych, zaniedbuje zupełnie niesympatyczne dla siebie zajęcia, a natomiast w kołach literackich stolicy, w towarzystwie Schleglów, Humboldtów, Schleiermachera i innych kształci umysł i uwalnia go od stęchlizny domu i partykularza. Nieszczęśliwa a namiętna miłość ku żonie profesora, wysoce ukształconéj i pięknéj jeszcze (choć czterdziestoletniéj) Henryecie Hertz, niemieckiéj pani Récamier, zmusza go do opuszczenia Berlina (1). Kolejno udaje się do uniwersytetów w Halli, Heidelbergu, Giessenie, przerzuca się z medycyny, nieodpowiedniéj dla wrażliwego i słabowitego jego organizmu, do nauk społeczno-państwowych, i wreszcie uzyskawszy tytuł doktora filozofii, powraca do Frankfurtu. Tu pisuje gorące artykuły przeciw „tyranowi korsykańskiemu", a następnie, gdy dzięki „tyranowi" żydzi frankfurccy zyskują równouprawnienie, Boerne, ulegając praktycznemu ojcu, pełni urząd aktuaryusza w zarządzie policyjnym miasta (2). W tym charakterze ma sposobność w r. 1813 ze szpadą w ręku bronić mienia i honoru współobywateli od rozbestwionych „zbawców" bawarskich. Na zasadzie jezuickiego wykładu postanowienia kongresu wiedeńskiego, odjęto żydom frankfurckim napowrót drogocenne (3) prawa obywatelstwa, skutkiem czego i Boerne szczęśliwie zwolnionym został ze swych niemiłych obowiązków. W r. 1818 Boerne przyjmuje luteranizm, i jako wydawca czasopisma „Waga" szybko zyskuje rozgłos i popularność. Od tego też czasu datuje się półmiłosny, pół przyjacielski jego stosunek

(1) Stosunek ten długo pozostawał w tajemnicy. Dopiéro w r. 1861 ukazały się „Briefe des jungen Boerne an Henriette Hertz", których styl ognisty tchnie wprawdzie patosem właściwym epoce, gdzie atoli przebija się już w potężném władaniu słowem przyszły znakomity pisarz.

(2) Taką ironię stosunków napotykamy kilkakrotnie w literaturze niemieckiéj, np. u Chrystyana Grabbe'go lub E. T. A. Hoffmanna.

(3) Literalnie; kosztowały 440,000 flor.

z Jeannetą Wohl, kobiétą miary średniéj pod wszystkiemi względami, lecz pełnéj poświęcenia i przywiązania dla Boerne'go, który znalazł w niéj stałą podporę na życie całe. Poświęciwszy się odtąd wyłącznie zawodowi literackiemu, Boerne swemi artykułami krytycznemi i politycznemi, pomimo nieustannéj walki z cenzurą, staje na czele publicystyki niemieckiéj; podróżuje często i po różnych stronach rozległéj, lecz na skrawki pociętéj ojczyzny, zapoznaje się wszędzie z duchowymi przywódcami narodu, dwukrotnie wreszcie udaje się do Paryża na dłuższy przeciąg czasu. Rewolucya lipcowa zastaje go schorzałego na kuracyi w Soden, uzdrawia odrazu i raz jeszcze rzuca do Paryża, gdzie umysł jego miał najpiękniéj zabłysnąć i zgasnąć. Pędzi odtąd na obczyźnie życie jednostajne, lecz nadzwyczaj czynne; w r. 1832 przyjmuje udział w uroczystości hambaskiéj i tu uczczony zostaje oznakami najżywszéj sympatyi przez całe zgromadzone wolnomyślne Niemcy. Działał zresztą nietylko słowem pisaném: zgromadzał u siebie w Paryżu młodzież niemiecką, licznie tam reprezentowaną, przemawiał na zebraniach robotników niemieckich, „prowadził krawców na kazanie na Montmartre“, jak szyderczo wyrażali się jego przeciwnicy w Niemczech,—a przytém wszystkiém rozwijał porywającą, iście ludową wymowę (1). Zaprzyjaźnił się również z radykalistami francuskimi i współpracował przez pewien czas w ich organie (2); sam nawet założył na własną rękę pismo francuskie, mające zapoznać Francuzów ze stosunkami niemieckiemi, o krótkotrwałem atoli istnieniu. „Zmęczony jak pies myśliwski“, zniechęcony rozwianiem najdroższych marzeń, lecz nie bez nadziei zmarł w Paryżu 1837 roku.

II. Charakter i umysł.

„Gdy pochowano Boerne'go — powiada jego przyjaciel i biograf (3) — wszystkie partye pochyliły swe sztandary i rzekły: był to charakter.“ Słowa te nie są zwykłym biograficznym frazesem, lecz jedynie zaznaczeniem istotnego faktu. Nie było tak zaciętego wroga dążeń politycznych Boerne'go, którvby nie uznał przedziwnéj nieugiętéj stałości, z jaką się ich trzymał: to też określenie „charakter“ tak nierozerwalnie złączyło się z jego nazwiskiem w historyi literatury niemieckiéj, jak pojęcie geniuszu z nazwiskiem Goe-

(1) Por. Heine: Ludwig Börne III. — Za próbę takiéj wymowy, działającéj na masy, służyć może żartobliwe kazanie w Listach paryskich LXX.

(2) W wydawanym przez Raspail'a „Réformateur.“

(3) Gutzkow: Börne's Leben, str. 29.

the'go. Ta stałość, zawsze rzadka, a gdy chodzi o przekonania prześladowane—wyjątkowa, naówczas była niemal jedyną. Najgłośniejsi pisarze splamili się dezercyą: Gentz, Arndt, Goerres, Stolberg z głosicieli idei demokratycznych przeistoczyli się w gorliwych obrońców reakcyi, Menzel z rycerza wolności stał się jéj denuncyantem, Heine nawet nie pozostał czystym, a całe rzesze renegatów *minorum gentium* zaludniały salony literackie Berlina i Wiednia. Pobudki, kierujące tymi odszczepieńcami był różne, od pospolitéj sprzedajności Gentz'a i podobnych mu istot „o wyschłym mózgu i przegniłém sercu“ (1), aż do uczciwéj może ciasnoty umysłowéj, która przerażona logiką własnych liberalnych przekonań, przerzuca się w przeciwległy fanatyzm (Menzel). Niewiele dodawała otuchy osobna od tych odstępców grupa uczonych (2), którzy pomni na starą zasadę złotego środka staneli na linii demarkacyjnéj wrogich obozów; nie cofali się oni wstecz jak poprzedni, lecz, gdy niezdecydowani przestępowali z nogi na nogę na obranéin niewygodném stanowisku, nie mogli stanowić należytego oparcia przeciwko falom powracającéj reakcyi. Brakło charakterów stałych, energicznych a namiętnych i głęboko wierzących w ideały postępowe, brakło w opozycyi ludzi niezmordowanych, zuchwałych, zapalonych, brakło jedném słowem fanatyków rewolucyi, których można by było przeciwstawić z powodzeniem fanatykom reakcyi. Tym warunkom w zupełności odpowiadało usposobienie Boerne'go, im głównie zawdzięcza swe stanowisko.

Niemniéj szczęśliwie odpowiadał potrzebom chwili rodzaj jego umysłu. Wskutek warunków historycznych—a może i pewnego przyrodzonego usposobienia narodu—życie umysłowe w Niemczech przez czas dłuższy cechowało się lekceważeniem świata rzeczywistego, zwłaszcza współczesnego, obok szczególnego upodobania w abstrakcyach; jednocześnie posługiwano się wyłącznie niemal metodą syntetyczną, stosując ją w rozmiarach najszerszych, na sposób Prokrusta. Taki kierunek, szkodliwy dla nauk filozoficznych i literatury pięknéj, zgubnym się stawał w sferze spraw społeczno-państwowych, wymagających podówczas bardziéj niż kiedykolwiek liczenia się z życiem i wielkiemi jego przewrotami. A daléj—i w ścisłym związku z poprzedniém—świat duchowy Niemiec na wskroś był przesiąknięty arystokratyzmem *sui generis*, częstokroć wspaniałym, lecz niemniéj niesprawiedliwym jak każden inny. Tymczasem wobec duchowego rozwoju sąsiedniéj Francyi, wciąż natarczywszą stawała się konieczność przewietrzenia téj cieplarni umysłowéj Nie-

(1) Słowa Stein'a o Gentz'u. — (2) Rotteck, Welcker i inni.

miec i uprzystępnienia płodów jéj dla narodu. Do tego zaś potrzeba było umysłów analitycznych, obserwujących, popularnych, potrzeba ich było we wszystkich dziedzinach a szczególnie społeczno-państwowéj. Boerne był dla Niemiec jednym z pierwszych takich umysłów. Z upodobaniem zwraca się ku badaniu drobnych spraw życia codziennego, wiąże je z ogólniejszemi zjawiskami społecznemi, używając pierwszych jako probierza dla drugich. Bardziéj się stara poznać świat, niż książki, ludzi niż teorye, obserwuje tyleż co rozumuje. Pragnie uświadomić narodowi „wszystko to, co przynosi każden poranek, co pokrywa noc każda“; cały swój sposób myślenia streszcza w zdaniu, że „ludzkość istnieje dla ludzi.“ W ścisłym związku z takim nastrojem umysłu Boerne'go znajdowała się jedna jeszcze cecha duchowa, odczuwana przezeń ze świadomością zupełną (1), jego subiektywizm, który tak często z przekąsem mu wyrzucano, aczkolwiek główną jego siłę stanowił. Niewątpliwie ten subiektywizm przesadny nieraz doprowadzał Boerne'go do jednostronnych i niesprawiedliwych sądów; oceniając zjawiska, żywo go interesujące, częstokroć nie umiał zwrócić należytéj uwagi na towarzyszące im warunki i decydował bezwzględnie z punktu widzenia swojéj logiki a właściwie moralności. Lecz wypada zważyć z drugiéj strony, że właśnie na gruncie takiego subiektywizmu wyrosła owa niezachwiana wiara Boerne'go w głoszone przezeń idee, szczerość niesfałszowana uczucia, bezpośredniość i naturalność stylu—najwybitniejsze rysy jego ducha. Dzięki nim, jeśli często nie przekona umysłu czytelnika, częściéj jednak podbija serce, zapali, wzruszy, uszlachetni. Nikt téż z większą słusznością nie mógł powiedzieć o sobie, że „nie pisze jak inni atramentem i słowy, lecz krwią własnego serca, jądrem własnych nerwów“ (2). „Śmiano by się,“ powiada w inném miejscu, „gdyby wiedziano, jak głęboko jestem wzruszony, gdy poruszam piórem, stąd kto pisma me kocha, mnie kocha“ (3).

Zaznaczone dotychczas kontury fizyonomii duchowéj Boerne'go wyraziściéj występują w oświetleniu stosunku jego do dwóch najwybitniejszych może zjawisk współczesnéj mu literatury niemieckiéj—Goethe'go i Heine'go.

Twórca Fausta we własnéj ojczyźnie obok fanatycznych wielbicieli spotykał też zażartych przeciwników, i podczas gdy stworzone przezeń postacie „Chińczyk drżącą ręką na szkle malował,“ jednocześnie niejeden rodak pisywał nieubłagane filipiki przeciwko

(1) Por. Ankündigung der gesammelten Schriften. — (2) Menzel der Franzosenfresser. — (3) Ankündigung.

największemu poecie Niemiec. Działały tu zazwyczaj osobiste urazy i gniewy koteryjne, lecz niejednokrotnie też sympatyczne oburzenie szlachetnych nawskroś, choć jednostronnych umysłów. Tego ostatniego właśnie rodzaju była opozycya Boerne'go, niesłabnąca ani na chwilę przez cały ciąg literackiéj jego działalności (1). Goethe i Boerne byli ziomkami najbliższymi, urodzeni obadwaj we Frankfurcie—jeden atoli w pierwszorzędnéj patrycyuszowskiéj dzielnicy, drugi w ciemnym i brudnym zaułku żydowskim. Stąd niekiedy starano się napaści Boerne'go objaśnić przez nienawiść osobistą upośledzonego paryi ku uprzywilejowanemu patrycyuszowi. Najniesłuszniéj atoli. Nie przeczę, że czynnik taki mógł w pewnéj mierze przyczynić się do spotęgowania niechęci, lecz przy charakterze Boerne'go (poniekąd też wobec zewnętrznych warunków) (2) nigdy nie mógł jéj wywołać sam przez się. Właściwe powody tkwią daleko głębiéj: szukać ich mianowicie wypada w przyrodzoném duchowém obu przeciwieństwie. Nie należy wprawdzie upatrywać treści tego przeciwieństwa w zetknięciu się dwóch stuleci (jak to czyni znany publicysta niemiecki (3), nader bowiem nieoględném byłoby odsądzenie Goethe'go od spółczesności i przeniesienie go całkowite do wieku XVIII. Natomiast obadwaj oni stanowią uosobienie dwóch typów ogólnych, współczesnych sobie często, lecz z gruntu zawsze sprzecznych. Henryk Heine z wielką siłą uwydatnił je pod nazwą „nazareńczyków“, dla których świat jest zjawiskiem moralném, i „hellenów“, którym przedstawia się jako estetyczne. Pierwsi, przesiąknięci subiektywizmem, chcą walczyć z niemoralnością wszędzie i zawsze, by zapewnić i przyśpieszyć zwycięstwo swego ideału moralnego—drudzy, obiektywni, widzą w przyrodzie całéj zjawiska równouprawnione, wybierają przypadające im do smaku a o pozostałe dbają niewiele, starając się tylko siebie od nich odosobnić. Z pośród typu pierwszego powstają męczennicy i rewolucyoniści, drugi daje artystów i uczonych arystokratyczno-egoistycznego zakroju. Kiedy pierwsi potrzebują Boga, jako sankcyi wymarzonego moralnego porządku wszechrzeczy, a nieśmiertelności duszy dla podtrzymania poświęcenia na ziemi—drugim wystarcza panteistyczny pogląd na świat, tłómaczący przyrodzony porządek zjawisk, oraz materyalna nieśmiertelność. Różnica zasadnicza, głęboka przejawia się w drobnych nawet rysach psychicznych. „Naza-

(1) Por. jeszcze w Nachgelassene Schriften 1844. I. S. 5,32. Także Aus meinem Tagebuche. II. V. X. XIV.—Kritiken XLI.—Listy paryskie XIV. LI.

(2) Boerne był zabezpieczonym majątkowo; nie liczyło się z tém wielu, którzy upatrywali w nim pospolitego demagoga, pragnącego zbogacić się kosztem posiadaczy.

(3) Carl Grün. Ludwik Börne.

reńczycy" kochają się zazwyczaj w muzyce, téj najbardziéj subiektywnéj ze sztuk pięknych, najbardziéj samodzielnym wytworze wyobraźni ludzkiéj, negującéj dysonanse świata otaczającego a budującéj dla siebie własną harmonią. Naodwrót „hellenom" sztuki plastyczne największych dostarczają rozkoszy—spokojnych, gdyż nie odbiegają daleko od piękna w przyrodzie; unikają zaś oni burzliwych, mącących równowagę ducha wrażeń muzycznych.

Przyglądając się baczniéj tak nierównym wzrostem postaciom Goethe'go i Boerne'go, nietrudno dopatrzyć się w nich wszystkich niemal rysów charakterystycznych dwóch zaznaczonych kierunków ducha ludzkiego. Chrystyan Schlosser słusznie powiedział o Goethe'm, że „nie rozumie muzyki, boi się śmierci i nie ma religii," a zdaniem przenikliwego Sainte-Beuve'a „Goethe zrozumiał wszystko, oprócz Leonidasa i Pascal'a." Nie zrozumiał również idei rewolucyjnéj, lub nie chciał jéj zrozumiéć, ani w r. 1789 ani w 1830; nie odczuwał radości i bólów własnego narodu, „pośród którego najzupełniéj jest izolowanym" (1). Żywo natomiast odczuwa piękno plastyczne i głęboko wnika w jego istotę przy zupełnéj dojrzałości filozoficznéj. Wprost przeciwnie Boerne w sztukach plastycznych najmniejszego nie ma upodobania, kiedy w muzyce znajduje rozkoszny odpoczynek. Ubóstwia Mozarta, o którym powiada, że „stworzył by sam muzykę, gdyby jéj niebo nie stworzyło" (2). Wierzy w Boga: „czémże jest najszczęśliwszy człowiek bez wiary religijnéj? pięknym kwiatem w szklance wody bez korzenia i *trwałości*... Lecz ja mam mego Boga" (3). Różnice takie w dalszém swém rozwinięciu tworzą zasadniczy kontrast duchowy, który wystarczająco tłómaczy nieprzyjaźń i czyni zbytecznemi wszelkie posądzenia prywatnéj natury.

Stosunek Boerne'go do Henryka Heine'go, również wrogi, równie téż nie był wolnym od takich posądzeń. Nie były one zresztą pozbawione uzasadnienia. Dwóch wybitnych przywódców myśli rewolucyjnéj w Niemczech wszystko winno było zbliżać i łączyć: obadwaj ochrzceni żydzi, obadwaj wygnańcy w jednéj przemieszkujący stolicy, posiadający znaczny zastęp wspólnych czytelników, wspólnych przyjaciół, a przedewszystkiém wrogów, działali oni

---

(1) Słowa Goethe'go do pani Stein.

(2) Briefe aus Frankfurt. IV. Por. Ankünd. der Wage. Podczas dłuższego pobytu w Monachium nie może „rozgrzać się dla sztuk plastycznych" Nchglss. Schriften II. S. 261 ff., w Paryżu nie wspomina o dworze a zachwyca się Malibran i Lablache'm i domyśla się geniuszu w Berliozie. Listy paryskie XVI i inne. Sam grał na flecie.

(3) Listy paryskie XLII por. zresztą niżéj.

w jednakowym kierunku i przy warunkach jednakich. Jeśli pomimo to, zamiast zgodnéj działalności ręka w rękę, wywiązał się między nimi antagonizm wzajemny, do nienawiści niemal dochodzący, to napozór pozostawało tylko szukać objaśnienia w rywalizacyi zazdrosnéj oraz innych pobudkach, zaczerpniętych z życia czysto prywatnego. I tutaj, jeśli w tłómaczeniu takiém znajdzie się doza prawdy pewna, może nawet znaczna (zwłaszcza ze względu na Heine'go), zawsze jednak okaże się ono niewystarczającém w zastosowaniu do ludzi téj miary duchowéj. Dla uzupełnienia i w tym wypadku zwrócić się wypada do tego, co się wypowiedziało powyżéj z powodu Goethe'go, aczkolwiek z pewnemi modyfikacyami. U Heine'go, podobnież jak u Goethe'go, odnajdujemy dominujący element „hellenizmu“ i wszystkie tegoż przejawy, upoważniające do wniosków analogicznych z poprzedniemi. Wszelako „hellenizm“ ów u Heine'go nie jest już czystym i konsekwentnym goethowskim, lecz zabarwiony silną, potęgującą się z postępem czasu domieszką „nazarenizmu,“ któréj bodaj czy nie wypadałoby w znacznéj mierze na karb pochodzenia nowożytnego Arystofanesa położyć. Obok więc lubieżnych postaci nimf i satyrów staje u Heine'go wspaniałe widzenie ekstazy religijnéj, a pośród głosów niewiary i nawoływań do raju ziemskiego odzywa się pobożna pieśń pielgrzymów. Toż samo w polityce i moralności, gdzie Heine rewolucyonista w dziwny sposób zlewa się z Heine'm epikurejczykiem—toż samo w sztuce, kiedy po pięknéj ocenie Delaroche'a lub Ary-Scheffera daje nam świetną Chopin'a i Paganiniego. Takie naturalne połączenie dwóch kierunków, czyniąc często wrażenie odszczepieństwa od jednego z nich, bardziéj jeszcze razić musiało Boerne'go, niż wrogi mu, lecz stały kierunek Goethe'go i moralnie upoważniało do najostrzejszego wystąpienia (1).

Tak więc w obydwu wypadkach, które tylekroć były powodem ciężkich przeciw Boerne'mu zarzutów, odnajdujemy jedynie logiczne przejawy konsekwentnéj organizacyi duchowéj.

III. Beletrysta i krytyk.

„Pisma zbiorowe Ludwika Boerne'go“ składają się z kilku niewielkich tomików, zawierających mnogość nieprzebraną utworów

---

(1) Poraz pierwszy w listach paryskich CIX. CXV.—Późniéj w Réformateur, w krytyce De l'Allemagne Heine'go, dzieła drukowanego w Revue des deux mondes. Heine odpowiedział dopiero po śmierci Boerne'go w „stylistyczném arcydziele“ (Carrière) „Heinrich Heine *über* Ludwig Boerne,“ co Gutzkow dowcipnie przetłómaczył przez „supra“. Rzecz ta niewątpliwie w wielu miejscach trąci paszkwilem; swoją drogą posiada pierw-

drobnych, formy i treści najrozmaitszéj: listy, kartki z dziennika, krytyki, mowy, aforyzmy, prospekty, powiastki, polemiki, szkice podróżne itd. Boerne sam wyznaje chętnie, że „nie był pisarzem książek, lecz kartek“. Nie są to wszakże pośpiesznie zadrukowane karty gazeciarskiéj bibuły, dziś przelotem czytane, jutro na wiatr rzucone; niejedna z nich godną jest zaszczytnego miejsca pomiędzy stronicami wielkiéj księgi literatury nowożytnéj. Dziś jeszcze, w półwiekowéj przeszło odległości, szlachetny zapał, tchnący z pism Boerne'go, rozgrzewa nas i porywa, niejedna doniosła prawda, niedoceniona jeszcze lub już lekceważona, wyłania się z przekonywającą jasnością, a piękna, często artystyczna forma zdolną jest przykuć i skupić uwagę szerszych kół czytelników. Po za literacką wartością pisma Boerne'go posiadają ważniejszą jeszcze historyczną: określono go słusznie jako „uosobienie współczesnéj mu opinii publicznéj“. Jeśli niepodobna, jak rzekliśmy, zrozumiéć Boerne'go bez historyi jego epoki, to naodwrót też przy jego pomocy staje się ona jaśniéj i głębiéj zrozumiałą. Z takiém zastrzeżeniem można, zgodnie z dowcipném określeniem Gutzkowa, rozpatrywać pisma Boerne'go jako jedno wielkie pismo peryodyczne i rozróżniać w niém trzy działy zasadnicze: beletrystyczny felieton, krytykę i polityczne artykuły wstępne. Trzymając się takiéj klasyfikacyi zapoznamy się obecnie z trzema temi działami w porządku powyższego wyliczenia, odpowiadającym mniéj więcéj chronologicznemu.

W urozmaiconym najbardziéj „felietonie“ napotykamy przedewszystkiém utwory quasi-beletrystyczne, nieliczne zresztą i niewielkie, dla których trudno znaleść miano odpowiedniejsze. Jakkolwiek niegdyś wysoko je ceniono (1), nie przedstawiają one same przez się żadnéj prawie wartości; są to niezdarne nowelistyczne traktaty o kwestyach, które późniéj roztrząsane bywały przez Boerne'go z większą bezporównania siłą w formie bardziéj dla jego talentu odpowiedniéj. Nieudolne te próby posiadają jednakże znaczenie z tego względu, że ujawnia się w nich w sposób widoczny wpływ pisarza, któremu Boerne najsilniéj może i najdłużéj podlegał. Mówię o Jean Paul'u, dziwacznem zjawisku literatury nowożytnéj, którego Heine mianuje „bredzącym polihistorem z Bayreuth'u,“ a Taine „afektowanym błaznem“, kiedy dla Carlyle'a jest on „prorokiem i olbrzymem“ a dla Boerne'go „kapłanem i gwiazdą przewo-

---

szorzędne piękności nietylko stylu, lecz i myśli, i niesłusznie przez przyjaciół poety bywa ignorowaną. Prócz tego Heine odmalował Boerne'go w „Nocach florenckich“ pod postacią „małego Simsona“, lecz w kreacyi poetycznéj jad się ulotnił.

(1) Por. Gutzkow. l. c. 151. Jeszcze nawet Carrière...

dnią.“ „Jean Paulo’wi zbywa na sztuce plastycznéj,“ powiada gruntowny estetyk niemiecki, „jestto natura muzykalna“; w związku z tém, co poprzednio powiedziałem, tłómaczy to po części rażącą sprzeczność sądów. W przesadném uwielbieniu dla Jean Paul’a, Boerne przejął się jego sentymentalizmem i zachował formę, umyślnie zawikłaną, daje się to uczuwać szczególnie we wspomnianych próbach nowelistycznych. W następstwie, przy pomocy wrodzonego zmysłu realistycznego oraz lektury francuskiéj zdołał się otrząsnąć od tych niepożądanych nabytków, a natomiast zachowując całą szczerość i siłę uczucia, nauczył się od Jean Paul’a oprawiać je w ramy humoru (1). Dowód głębokiego wniknięcia w ducha Jean Paul’a dał Boerne w swéj wspaniałéj mowie, poświęconéj pamięci zgasłego w r. 1825 poety, gdzie w jasnych a wzniosłych słowach streścił istotę jego twórczości i określił znaczenie jéj dla Niemiec. Upatruje w nim „Jeremiasza spętanego narodu“. „Humorysta w dzisiejszych czasach“—powiada w tém arcydziele stylu, myśli, a zwłaszcza uczucia—„kiedy nie wolno uderzać w święty dzwon prawdy, wypowiada ją niepodejrzanym głosem dzwonków błazeńskich.“ Zrozumienie humoru zupełnie specyalne: polityczne zamiast zwykłego estetycznego. W takim właśnie duchu napisał Boerne nader popularną „Monografią niemieckiego ślimaka pocztowego“, gdzie pośród najżabawniejszych dzwonków przebija ostra nuta satyry politycznéj. Brzmi ona odtąd bez przerwy w niezliczonych drobniejszych urywkach „felietonowych“, bez względu na to, czy w nich mowa o dąsach kobiecych, czy o podwyższeniu ceny wejścia do teatru frankfurckiego. Słusznie tłómaczy się z tego: „historya pulsuje w sprawach codziennych, i lusterko groszowe odbija jéj wizerunek również wiernie, jak wspaniałe zwierciadło filarowe.“ Lusterka Boerne’go były gładkie i czyste i dokładnie odźwierciadlały brzydką rzeczywistość—więcéj o nich powiedzieć się nie daje i więcéj też sam on nie pragnął.

Pokaźniéj bez porównania przedstawia się krytyczna działalność Boerne’go. Składają się na nią recenzye teatralne, zebrane w „Kartkach dramaturgicznych“ i oceny dzieł współczesnych z zakresu literatury popularnéj, stanowiące spory zbiór „Krytyk.“ Do ostatnich zaliczyć wypada również kilka „Listów paryskich“ oraz niektóre artykuły, umieszczane w czasopismach francuskich.

Krytyki teatralne Boerne’go przenikliwością i dowcipem od pierwszéj chwili zwróciły na siebie w Niemczech powszechną uwa-

---

(1) Z tém wszystkiém komiczne niemal czyni wrażenie, gdy chcą postawić na równi ucznia i mistrza (Müllner); Boerne‘mu całkowicie zbywało na poetyckiej wszechstronności Jean Paul‘a, którego przewyższał rozsądkiem i trzeźwością.

gę. Nie wahano się zestawiać go z Lessingiem (1) — dając tém dowód zupełnego braku zrozumienia jednego i drugiego. Lessing miał na oku cele czysto literackie: szło mu wyłącznie o to, że Orosman mniéj wart niż Otello, że Wolter nie znał się na klasykach i nie rozumiał Arystotelesa, że Niemcy winny zdobyć się na teatr narodowy—ze względów estetycznych. Zużywa do swéj krytyki teatralnéj olbrzymią erudycyą i żywi niezłomne przekonanie, że „zasady dramaturgii są również nieomylne, prawdziwe i pewne jak twierdzenia Euklidesa.“ Dla Boerne'go tymczasem „w sztuce dramatycznéj przedewszystkiém odźwierciedla się życie, a gdy mu obraz odbity sprawia obrzydzenie, wtedy gniewny rozbija zwierciadło w kawały“ (2). Niezmiernie wrażliwy na wszelkie sprawy życia publicznego, przykłada do nich miarę, wziętą od Rousseau'a i wielkiéj rewolucyi i otrzymuje wnioski rozpaczliwie ujemne; radby oburzenie swe narodowi całemu wszczepić, a musi je w sobie zamknięte nosić. Szuka tedy dla buntowniczych myśli szaty takiéj, która, nie rażąc wzroku czuwających argusów, zwracałaby jednocześnie uwagę tłumów — i znajduje ją w krytyce teatralnéj. Przybrany w poważną suknię recenzenta, bez trudu przedostaje się za kordon; nic łatwiéjszego wtedy dla czytelnika, jak wydobyć zaszytą w jéj fałdach kontrabandę. Najlepsze recenzye teatralne Boerne'go dobitnie taktykę tę ilustrują. Weźmy np. ciekawe jego uwagi o Hamlecie szekspirowskim, rzecz godną dziś jeszcze uważnego odczytania (3). Niebawem dostrzeżemy, że mamy przed sobą nie tyle krytykę Szekspira ile Hamleta, i znowu nie tyle Hamleta sztuki, bohatera tragedyi, ile uosobionego w nim typu i kierunku odpowiadającego mu we współczesnéj krytykowi rzeczywistości. Boerne jakby zapomina, że ma do czynienia z tworem wyobraźni poetyckiéj; zwraca się bezpośrednio do Hamleta z gniewem, żalem, szyderstwem, czyni mu gorzkie wyrzuty, daje nauki. „Hamlet nie powinien skrytobójczo zabijać króla; winien światu ogłosić jego zbrodnię i stanąć na czele ludu, który łatwo daje sobą powodować i nieprzychylnie usposobionym jest dla króla, jak okazało się z przykładu Laertesa“ (4). Zastosowanie nietrudne, króla nie należy szukać aż w Danii. W postaci monologującego Hamleta oglądamy przy pomocy Boerne'go całe Niemcy, bawiące się filozofią zamiast zrobić rewolucyą; to też

(1) Wróg polityczny Gentz, inteligentna pani Varnhagen i inni. Zainteresowanie się pismami Boerne'go wyrażało się wogóle przesadnemi porównaniami. Porównywano go z Byronem (!), Swiftem (Gutzkow), Pawłem Courier (Raspail). Ostatnie zestawienie najtrafniejsze stosunkowo. — (2) Dramaturgische Blätter. Vorrede. — (3) Pracował nad nią długo i jak się sam wyraził: „musiał kopać głęboko.“ Gutzkow l. c., str. 129. — (4) Dram. Bl. LXVII. Por. téż Ib. w XXXVII.

„trzeba geniuszu, aby będąc Anglikiem napisać Hamleta; Niemiec potrzebował by do tego tylko czytelnego charakteru pisma.“ W inném miejscu wprost zestawia „Sanda, przebijającego Kotzebuego, z Hamletem, gdy morduje Poloniusza.“ Ostatecznie czytelnik ze zdumieniem w krytyce teatralnéj Hamleta doprowadzonym zostaje do wniosku, nie mającego nic wspólnego ani z Szekspirem, ani z teatrem, ani z krytyką, a mianowicie, że „na tym niecnym świecie cnota winna posiadać siłę, by miała moc sprzeciwiać się zbrodniczym uroszczeniom, winna orężem choćby piekła bronić praw nieba.“ I tu zastosowanie nietrudne. W podobny zupełnie sposób, w analizie dramatu ludowego Szyllera, chłosta szwajcarskiego bohatera z XIV stulecia za wady Niemców XIX. Tell, to małomieszczanin pełen uniżoności dla szlachty, filister, „który wobec nieskończonéj nędzy ludu waży swe słowa i czyny na drachmy,“ niezdarny filozof, człowiek dobrodusznego namysłu. Śród zgromadzonych na Rütli sprzysiężonych brak Tella; chce on działać osobno, na własną rękę, nie rozumie potęgi zbiorowego oporu przeciw ciemięzcom, „wyróżnia się zbyt monarchicznie.“ Wobec utworów o treści zaczerpniętéj z niedawnéj przeszłości, Boerne znajduje sposobność jaśniéj jeszcze zaznaczyć upozorowane krytyką tendencye. Tak w surowéj ocenie pięknego poematu dramatycznego Immermanna (1) nielitościwie wyśmiewa Tyrolczyków za ich ślepe przywiązanie do dynastyi Habsburgów, którzy wzamian za tę „psią miłość“ wydali Tyrol na pastwę nieprzyjaciela. Porównywa Niemców z Hiszpanami w walce przeciw Napoleonowi; pierwsi walczą „nakręceni na dobę“ i giną po stracie wodza (Hofera), drudzy powstają z własnego popędu, trzymają się energią narodu, nie jednostek. Sens moralny i tutaj najbardziéj niespodziewany: „Niemcy myślą dobrze a źle mówią, dużo mówią a niewiele czynią, cośkolwiek czynią a niczego nie wykonywają.“ Estetyki w konkluzyi takiéj mało, lecz zawierała się w niéj trafna a zwięzła charakterystyka niedojrzałości politycznéj narodu.

Danych przykładów starczy dla postawienia we właściwém świetle krytyki teatralnéj Boerne'go. Pomimo atoli cech tak wyraźnych, prawdziwe intencye Boerne'go dla ograniczonych krótkowidzów często ginęły; doprowadzało go to do ostatniéj pasyi. „Istotnie nie jestem w stanie pojąć, jak w obecnych czasach można troszczyć się o deski teatralne, kiedy historya dnia każdego dowcipniejszą jest od Moliera i wznioślejszą niż Szekspir... Zapalcie lampy i odczytajcie ze sceny gazetę, — cóż mógłby Esslair dać lepszego?

(1) „Tragedya w Tyrolu.“ Ib. XXXVII.

A tu ci ludzie mówią zemną o Müllnerze, Grillparzerze, Ifflandzie, o starożytnéj i nowożytnéj poezyi, że niemal dyabli mnie biorą. Na Boga, czyż w istocie mój sposób pisania pozwala przypuszczać, że robię sobie cośkolwiek z teatru i podobnych bzdurstw?" (1). Nieporozumienie takie ze strony czytelników możliwém było tylko względem krytyk teatralnych; w innych Boerne miał możność odpowiednim doborem przedmiotów krytyki ułatwić znakomicie właściwe swe zadanie. Z kilkudziesięciu dzieł, które poddał ocenie, połowa przeszło jest treści politycznéj; zresztą beletrystyczna treść drugiéj połowy bynajmniéj go nie krępuje i mówi o podatkach z okazyi fantazyi astronomicznych, a o wolności z powodu romansów Cooper'a. Podobnież, gdy wspomina o Horacym, pamięta, że uciekł z pod Filippi, a z literatury klasycznéj życzy sobie widziéć rozpowszechnionego Swetoniusza. Nie należy jednak sądzić, aby taki charakter działalności krytycznéj był w związku z istotnym brakiem talentu krytycznego. Ilekroć Boerne staje przed nami jako krytyk literacki czysto, prawie zawsze wykazuje wielką przenikliwość i trafność sądu, umie w razie potrzeby głęboko wniknąć w daną kwestyą estetyczną, a przytém — co niemniéj może koniecznym winno być przymiotem krytyka — nigdy nie rezygnuje ze zdrowego rozsądku (2). W każdym razie wskutek braku należytéj wiedzy, Boerne pozostaje na tém polu zdolnym tylko dyletantem, do czego zresztą ze zwykłą otwartością sam się przyznawał (3).

IV. Pisarz polityczny.

Pierwiastek polityczny, ukryty dotychczas w pismach Boernego pod przejrzystemi obsłonkami, wzmacnia się stopniowo i występuje w formie bardziéj już określonéj w niektórych fragmentach czysto politycznych (4). Jednocześnie Boerne starał się pogłębić i lepiéj uzasadnić swe przekonania przez studya specyalne z dziedziny nauk państwowych (5). Nie zatrzymując się na każdym urywku z osobna (wykazują one zresztą zarówno w duchu jak i stylu silny wpływ Rousseau'a), przyjrzymy się bliżéj ostatecznym tylko z nich

(1) Nchgl. Schriften II, 45, 46. Esslair, znakomity tragik ówczesny. Por. Listy paryskie XVIII. — (2) Zasługują na uwagę w Dramat. Bl. IV, LXIII, LXIV. Także w Listach paryskich LXXXVII, LXXXIX, XCI. — (3) „Was Aristoteles, Schlegel und Andere der dramatischen Kunst befohlen oder verboten, mir war es fremd. Ich war ein Naturkritiker." Dram. Bl. Vorrede. — (4) Schüchterne Bemerkungen über Oesterreich und Preussen. Gedanken über ständische Verfassung. Die Freiheit der Presse in Baiern i inne. (5) Über die geometrische Gestalt des Staatsgebiets. Von dem Gelde. Über das Princip der Besteuerung. Finanzwissenschaft. Über den Ackerbau.

wnioskom. Wnioski te sprowadzają się do dwóch żądań następujących: na zewnątrz—najściślejszego zbliżenia Niemiec do Francyi; na wewnątrz — monarchii konstytucyjnéj na wzór angielskiéj lub francuskiéj.

Określiliśmy powyżéj Boerne'go jako głos opinii publicznéj. Obecnie więc staje się przedewszystkiém rzeczą godną zastanowienia, w jaki sposób opinia publiczna w Niemczech, a z nią i Boerne, po ćwierćwiekowéj śmiertelnéj walce mogła żądać zbliżenia do Francyi. Zjawisko to ciekawe tłómaczy się bez trudu po rozważeniu właściwego charakteru owéj walki, a więc właściwego stosunku Niemiec do rewolucyi francuskiéj. Owóż rewolucya 1789, wrogo przyjęta w Niemczech przez miniaturowych despotów, przywitaną została przez naród okrzykami sympatyi i entuzyazmu, o których wiemy wprawdzie niewiele, gdyż natychmiast starannie przyduszone zostały z góry. W Hamburgu uroczyście święcono 14-go lipca: dziewice w bieli i chóry otaczają Klopstocka, odczytującego dziękczynne ody okolicznościowe, grzmi muzyka tryumfalna i przy biciu z armat zgromadzone tłumy piją za powodzenie przyszłéj rewolucyi niemieckiéj. Goethe opowiada jak w tymże czasie w miejscowościach nadreńskich Niemiec widział wszędzie wystawione biusty Lafayette'a i Mirabeau. Wysyłano deputowanych do zgromadzenia narodowego w Paryżu, by wyrazić wdzięczność narodowi francuskiemu w imieniu niemieckiego, brać udział w obradach ogólnoludzkich, uczyć się postępowania na przyszłość. Szyller i Klopstock otrzymują dyplomy obywatelstwa francuskiego, a szlachetny i nieszczęśliwy Adam Lux, obywatel Moguncyi, godnie zajmuje w śmierci chlubne miejsce obok żyrondystów. Wynikało z takiego stosunku dwóch narodów, że początkowo przeciw rzeczypospolitéj i jéj „uzbrojonym misyonarzom" występowały tylko rządy niemieckie (1), prawdziwy zaś ruch narodowy mógł powstać późniéj dopiéro przeciwko Napoleonowi (2) i jego „niewolniczym żołdakom." Udało się wprawdzie fanatykom (jak Arndt, Görres i inni) ruch ten w chwili zażartości największéj skierować przeciwko wszystkiemu co francuskie, lecz nie udało się im go utrwalić. Ledwie upłynęło lat kilka od ostatecznego upadku Napoleona, a już sztucznie rozdmuchana nienawiść pod wpływem gorzkich rozczarowań, o jakich wzmiankowaliśmy, ustąpić musiała niedawnym odżywionym sympa-

(1) „Unter zweideutigern Wünschen war sicher nie ein preussisches Heer über die Gränze gezogen, als dasjenige, welches in der Mitte des 1792 sten Jahres sich gegen Frankreich bewegte." Nchglss. Schr. II, str. 306. — (2) Cesarzowi; na cześć pierwszego konsula jeszcze w roku 1803 pisał Beethoven „Symfonią heroiczną."

tyom. Zasługa uświadomienia sobie i narodowi konieczności takiego zwrotu ku Francyi, skąd jedynie paść mogły do Niemiec promienie idei nowych, należy się Boerne'mu przed wszystkimi innymi.

Bez trudu również wytłómaczyć się daje drugi zaznaczony punkt ówczesnego wyznania politycznego Boerne'go. Naturalnym i łatwym był entuzyazm widzów europejskich dla pierwszych aktów dramatu rewolucyjnego we Francyi, ostatnie wszakże z krwawemi swemi efektami trudniéj daleko dawały się zrozumiéć i ocenić. Epilog napoleonowski zgoła wrażenia nie polepszał. Wolał więc Boerne zatrzymać się na konstytucyi 1791 r. w przekonaniu, że przy pomocy pewnych jéj modyfikacyi (dwie izby na miejscu jednéj, pozostawienie królowi niektórych ważnych atrybucyi, utrudnienie zmian konstytucyjnych i t. p.) możliwém będzie ustrzedz się dalszych niebezpiecznych następstw. Opierał się przytém na żywym przykładzie współczesnéj mu Anglii, dzielnie broniącéj spraw wolności (1) pomimo niedogodnych warunków, oraz Francyi restaurowanéj, która zdaleka i w porównaniu ze stosunkami niemieckiemi wydawała się nader godną zazdrości. Atoli to złudzenie optyczne miało trwać niedługo: wybuch lipcowy rozwiał je w mgnieniu oka i Boerne, przerzucony do Paryża, rozpoczyna nowy okres natężonéj działalności szeregiem „Listów paryskich.“ Nad tym najtrwalszym może pomnikiem jego umysłu wypada obecnie zatrzymać się nieco dłużéj.

„Listy paryskie“ Boerne'go do pani Strauss w liczbie 115 obejmują okres niespełna trzechletni od 1830 do 33 roku. Już ze względu na stronę zewnętrzną należy postawić je wyżéj, niż wszystkie poprzednie jego pisma. Uczucia i myśli krępowane dotychczas, znajdują wreszcie ujście w prawdziwie wolném słowie; wobec gwałtownego przejścia styl odrazu nabiera energii i barwności, wymagających przy warunkach zwyczajnych długiego dopiéro namysłu i starannéj pracy. Resztki jean-paulowskiego sentymentalizmu znikają pod tchnieniem szerokiego życia „stolicy świata“; podobnież słabnie zbytnie upodobanie do porównań, obrazowości, również przejęte od Jean-Paul'a. Pod względem piękności stylowych odznacza się szczególnie ostatnia serya „Listów“, pisana z większą rozwagą niż namiętne pierwsze: harmonijne a wymowne okresy przeplata krótka i śmiała antyteza, porównania powściągliwie używane nabierają trafności i wykończenia, błysk rzetelnego humoru, zawsze w miejscu właściwém, mile okrasza całość. Już w pierwszych jednak listach Boerne umie podnieść się do wysokich uogólnień po-

(1) Zniesienie niewolnictwa, emancypacya katolików.

litycznych; przytém urozmaica je, ilustruje niejako, barwnemi obrazkami paryskiego kalejdoskopu, które wiernie i żywo oddaje, zastępując brak zmysłu plastycznego spostrzegawczym.

Odrębne stanowisko „Listów“ staje się wyraźném przy zestawieniu ich ze „Szkicami paryskiemi,“ gdzie opisuje drugi swój pobyt w stolicy Francyi. Ciekawy podróżnik z r. 1822 ustępuje w 1830 całkowicie zagorzałemu pisarzowi politycznemu; obserwacye, które były celem dla pierwszego, stają się dla drugiego jedynie drugoplanowemi akcesoryami. Paryż zawsze jest skarbcem duchowym Europy; podówczas przedstawiał w dodatku zajmujący widok nowego rozkwitu literatury i sztuki francuskiéj, podwójnie zajmujący dla ex-krytyka z powołania. Lecz Boerne, opanowany polityką, niewiele się troszczy o sprawy, nie mające z nią związku, literatura, jako taka, przestaje go zajmować. Nie poddaje nigdzie krytyce tak wybitnych zjawisk jak Balzac lub George Sand (1), bada natomiast namiętnie Chateaubriand'a i zachwyca się Béranger'em. Pomija milczeniem Delacroix i Vernet'a, lecz podziwia panoramy scen rewolucyjnych. Nawet muzyce, którą kocha i rozumie, nie poświęca zbyt czasu i uwagi. Uczęszcza wprawdzie do teatru, lecz tłómaczy się z tego: „teatr tu, w Paryżu, to szkoła dla cudzoziemców, gdzie poznać mogą historyą starożytną i nowożytną, miejscowości, statystykę, zwyczaje i obyczaje Paryża“ (2). „Nie jestem cukiernikiem, jestem aptekarzem“ (3) odpowiadał na zarzuty jednostronności i miał słuszność, gdyż dla Niemiec potrzebniejsze były wówczas leki niż słodycze; bez względu téż na gorzki smak „Listów“ pochłaniano je chciwie.

Wspomnieliśmy już o przygnębiającém rozczarowaniu, jakie nastąpiło w Niemczech po rewolucyi lipcowéj. Przenikliwy Boerne odczuł je jeden z pierwszych i zbadawszy grunt w Paryżu, niezwłocznie znalazł wytłómaczenie. Rewolucya ujawniła braki arystokratycznéj monarchii konstytucyjnéj, niedostrzeżone przezeń zdaleka; obecnie na miejscu naocznie przekonał się o organicznych wadach burżuazyjnéj. Uogólniając bez długiego namysłu, Boerne rzuca swój dotychczasowy ideał konstytucyjno-monarchiczny wraz ze wszystkiemi dopełnieniami, by zastąpić go wprost republikańskim. Już pod datą 3 listopada 1830 r. pisze: „położenie staje się nie do zniesienia; zostaję republikaninem, od czego dotychczas byłem tak daleki,“ a 9-tego przewiduje konieczność nowéj rewolucyi (4). Waha się jednak jeszcze, gdyż nie wié, czy forma republikańska rządu „bę-

(1) Jednak znał obydwóch i wogóle czytał dużo. Listy paryskie LXXX. LXXXII LXXXV. — (2) Ib. XLV. Por. także XLI. — (3) Ib. LIX. -- (4) Ib. XII. XIII.

dzie zdrową dla naszéj wyniszczonéj części świata.“ Atoli sprawy europejskie i zachowanie się względem nich rządu francuskiego nie dopuszczały długiego wahania. Gorączkową tę epokę Boerne gorączkowo przeżył, przyjmując duchowo najżywszy udział we wszystkich walkach, łudząc się wszystkiemi nadziejami, odczuwając wszystkie rozpacze. „Żaden minister w Europie“ powiada o sobie, żartobliwie, lecz niemniéj słusznie, „nie ma tyle kłopotów, co ja; nie wiem, w którą stronę świata pierwéj się zwrócić“ (1). Najboleśniéj dotknęły go sprawy polskie, za któremi z natężoną uwagą śledzi i którym najpiękniejsze stronice listów swych poświęca; czytając te słowa, pisane drżącą od wzruszenia ręką, przeżywa się w kilku chwilach „najważniejszy akt tragedyi nowoczesnéj“ (2). Nic bardziéj wzruszającego, jak dwa listy z 5 i 6 marca 1831 r. (3): po zwątpieniu zupełném tryumf krótkotrwały (4). Interesującém jest, co z bólem mówi o Niemcach w Polsce zamieszkałych: „w jednéj Warszawie znajduje się 10000 Niemców, którzy jedyni tylko nie życzą sobie ani ojczyzny ani wolności, przybywają tysiącami do Polski, chlebem jéj się karmią i opuszczają ją zbogaceni“ (5). Rzecz prosta, że winę upadku zarówno Polski jak i Włoch w całości zwala na Ludwika Filipa; odtąd téż wziął rozbrat stanowczy z „judaszowym“ systemem monarchii konstytucyjnéj.

Patrząc na świat z Paryża, skąd szeroki rozciągał się przed nim widnokrąg a oko swobodnie wszędzie przenikać mogło, Boerne ogarniał wzrokiem wszystkie niemal ludy europejskie w walce z ich rządami, dającéj się pomimo różnych form, w jakich się przejawiała, sprowadzić do wspólnego mianownika dążenia ku wolności. Belgijczycy, Hiszpanie, Niemcy, Włosi, Francuzi, Polacy, Anglicy, wszyscy do jednorodnych w zasadzie dążyli celów, acz drogami różnemi. Zbyt jednostronnie pojmując owe cele, nie właściwie je zbliżając, Boerne z takiéj wspólności powszechnéj interesów wyprowadza, jako dający się urzeczywistnić ideał, połączenie ściste wszystkich narodów, które umożebni każdemu osiągnięcie wolności idealnéj. Rządy, przewidując taki skutek zbliżenia się narodów, usiłują przeciwdziałać mu przez podsycanie uczuć patryotycznych a więc i niena-

---

(1) Ib. XVIII. — (2) Ib. XIX. Nazywa rewolucyą „zorzą wieczorną wolności“ LV, „welinową stronicą historyi“ XXXI. Por. list XVII, gdzie przy pierwszéj wiadomości wyraża obawy; również XVIII i XX. W XXI już żywi nadzieje, w XXXI znowu wątpi: „Wer jetzt einen Gott hat, der bete, und wer beten kann, der bete nur für die Polen.“ (3) XXXIX i XL. — (4). Listy te pisane były pod wrażeniem zmiennych wiadomości o walkach lutowych, zakończonych bitwą pod Grochowem. — (5) Ib. XLIII. O sprawach polskich por. jeszcze XXII. XXIV. XXXIII. XL. XLIV. LVI. LVIII. LXIX. LXXIII. XC.

wiści międzynarodowych. W ten sposób Boerne, pod wpływem pobytu w Paryżu, gdy z jednéj strony z konstytucyonalisty staje się republikaninem, z drugiéj dawniejszą swą myśl zbliżenia Niemiec i Francyi rozszerza do rozmiarów kosmopolitycznych. Obiedwie te idee, republikanizmu i kosmopolityzmu, powstałe u niego na gruncie rozumowań czysto politycznych, miał dopełnić wkrótce ze źródeł zupełnie innych.

Zasadniczym artykułem wiary politycznéj Boerne'go była wolność nieograniczona jednostki. „Człowiek urodzony jest dla wolności" powtarza za Rousseau'em (1), lecz, skrajniejszy jeszcze od niego, inaczéj zapatruje się na ograniczenie jéj w państwie. Zamiast dobrowolnéj umowy fikcyjnéj, która jednocześnie wszystko odbiera i pozostawia, Boerne już w pierwszym zawiązku społecznym widzi ograniczenia rzeczywiste, uciążliwe i przypisuje powstanie ich instynktowi, „naturze," „opatrzności." Lecz jeśli ograniczenia te były konieczne w stanie pierwotnym, to obecnie dążyć należy do zupełnego ich zniesienia. „Państwo jest tylko kolebką ludzkości", a „prawa winny być tego rodzaju, by mogły z czasem stać się zbytecznemi"—przez wpojenie obywatelom idei „prawności" (Gesetzlichkeit), która jedyna może je zastąpić bez uszczerbku dla wolności jednostek. Tą drogą Boerne dochodzi do zasady Montesquieu'go *„il ne faut pas trop régner"* i stawia ją jako fundamentalną, „rozwiązującą wszystkie zagadnienia spółczesne, zawierającą w sobie całą nędzę i ratunek, całą zgubę i zbawienie" (2). Wszelki rząd jest tyranią jednostek lub praw; „prawdziwa wolność powstać może jedynie z anarchii," republika zaś jest środkiem do osiągnięcia tego ostatecznego celu. Jednak na takim szczycie jednostronności politycznéj długo pozostawać było niepodobieństwem bez optymizmu nieograniczonego lub zupełnéj ślepoty na zjawiska otaczającego życia. Boerne'mu wkrótce nasuwać się poczęły poważne wątpliwości: czyż wolność absolutna w rzeczy saméj jednakową będzie dla głodnych i sytych? Lyońskie rozruchy robotnicze stawiały to pytanie w sposób straszliwie namacalny. Powoli Boerne dostrzega zjawiska niezmiernéj wagi, które ignorował dotychczas. Na panoramach, wyobrażających wypadki rewolucyjne widzi tylko walczących nędzarzy, a odnaleść ich nie może w izbie deputowanych. Okazuje się, że „prawo wyborcze oparte jest na posiadaniu," że „bogacze robią prawa i rozkładają podatki," wskutek czego „z dwudziestofrankowéj butelki wina państwo pobiera tyleż co z ośmiosusowéj"; że „zapomocą loteryi państwo kradnie corocznie 30 milio-

---

(1) Fragmente 241. — (2) Kritiken V. Jedno z najciekawszych pism Boerne'go.

nów franków z kieszeni wyrobników", że „cholera dotyka nędzarzy, unikając zabezpieczonych bogaczów", że „rozpoczyna się straszliwa wojna biednych przeciw bogatym", że wreszcie „biedacy nigdy nie byli wolni" (1). Wobec spostrzeżeń takich idea wolności, jako uniwersalna i wystarczająca sama przez się, ostać się nie mogła i Boerne dopełnia ją przez zasadę saint-simonistów: „urządzenia społeczne winny być skierowane ku polepszeniu stanu moralnego, fizycznego i umysłowego klas najliczniejszych i najbiedniejszych" (2). Trudność polegała jedynie na połączeniu takiego „kierunku urządzeń społecznych" z wolnością jednostki każdéj, z zasadą „najmniejszego rządzenia"; trudność ta nieprzezwyciężona powstrzymała też Boerne'go zaraz na wstępie. W tém r. 1834 pojawiają się ogniste „słowa wierzącego", gdzie Lamennais, z apostoła zostawszy trybunem, przychodzi sprawie ludu z niespodzianą a potężną pomocą. Podczas gdy filozofowie wieku oświecenia uważali kościół za przedmurze wszelkiéj tyranii, które zwalić należy, by oczyścić drogę dla rewolucyi, Lamennais pragnął przywrócić chrześciańskiwu demokratyczne jego posłannictwo z pierwszych wieków. Śmiały zamach wywarł wrażenie niesłychane; dla Boerne'go przy ówczesnym jego stanie umysłu był on istném objawieniem. Wydaje się Boerne'mu, że w poemacie Lammennais'go — tytuł może najwłaściwszy — znalazł wreszcie szukane przez się rozwiązanie; że na religii da się oprzéć owa „prawność" wymarzona, mająca zastąpić ustawy, które w najlepszym już wypadku są wyrazem siły większości (3). „Ostatni ojciec kościoła (jak Leon XII nazywał Lamennais'go) wyrasta w oczach Boerne'go do rozmiarów najpotężniejszego geniusza rewolucyjnego (4). Idee rewolucyjne, poparte religijnemi, złączone, utożsamione z niemi, muszą zyskać potęgę nieprzepartą, która skruszy odrazu starą budowę świata. Z drugiéj strony na gruzach religia pomoże zbudować moralność, która, nie naruszając wolności, będzie dla niéj przeciwwagą. Złudzenia takie ułatwiało wrodzone uczucie religijne

---

(1) Listy paryskie LX. — (2) Ib. LXV. — (3) W Bretanii, skąd był rodem Lamennais, wyrazy „religia" i „prawo" są identyczne w dyalekcie ludowym: „Les paysans y confondent le mot *loi* et celui de ***religion*** à un tel point, que lorsque les fonctionnaires publics leur parlent des lois de la République et des décrets de la Convention, ils s'écrient dans leur langage vulgaire: est ce qu'on veut nous faire sans cesse changer de réligion?" (Rapport fait par Barrère sur les moyens de propager la langue française 8 pluv. an. II). — (4) Wydał natychmiast własne (świetne) tłómaczenie „Paroles d'un croyant" i rozsyłał je bezinteresownie rzemieślnikom niemieckim. Gutzkow l. c. str. 231 i n. Zastanawiającém jest, że poprzednio entuzyazmował się dla Schleiermachera, „protestanckiego Lamennais'go" (Brandes) i Goerresa, „niemieckiego Lamennais'go" (Honegger), i z obydwoma był nader zaprzyjaźniony.

Boerne'go, o którém już wspominaliśmy, a bezstronność, nie krępowana formalnością chrztu protestanckiego, pozwoliła Boerne'mu przenieść w znaczeniu powyższém katolicyzm po nad inne formy wiary religijnéj. Powstaje przeciw reformacyi, „która przyniosła zysk panom i uczonym, a nie powiększyła w niczém dobrobytu ludu; oddała rządom potęgę kościoła i zastąpiła czyściec przez kodeks karny skarbu, a dobrowolne pobożne ofiary przez podatki państwowe.“ — Katolicyzm ze swemi formami, działającemi na zmysły, łatwo trafia do przekonania ludu; reformacya od pierwszéj chwili trzymała w osobie Lutra z partyą panującą i przeciw ludowi, na który działać nie mogły gołe ściany zreformowanych kościołów, nowe blade piekło, ani szare nieponętne niebo. Te prądy reformacyjne, które rzeczywiście do głębin ludowych przeniknęły, zachowały metodę katolicyzmu. Gdy więc protestantyzm, łącząc się i poddając władzy świeckiéj, wzmacnia ją i służy dla niéj za oręż, katolicyzm, niezależny od téj władzy a ugruntowany w masach, chętnie staje z nią do walki (1). Dlatego téż „jedynym narodem północy, który od trzech wieków nie przestał na chwilę walczyć za wolność, jest polski, który pozostał katolickim“ (2). Twierdzenia te obalić nietrudno przy pierwszém lepszém ich zastosowaniu (np. Norwegia, Hiszpania), lecz pomimo to zawierają one zdrowe ziarno prawdy historycznéj o reformacyi, i politycznéj — o religii wogóle. Bądź-co-bądź najniesłuszniéj w Niemczech doszukiwano się odtąd u Boerne'go zwrotu ku klerykalizmowi i podejrzywano go nawet o zamiar przyjęcia katolicyzmu. W rzeczywistości pozostał on dawnym deistą, znalazł tylko nowe narzędzie rewolucyjne.

Idee religijne i ekonomiczne, jakiemi Boerne przejął się pod wpływem Lamennais'go, mogły tylko sprzyjać jego idei kosmopolitycznéj, otrzymanéj ze stanowiska politycznego. Ostatnie téż większe swe pismo poświęcił apoteozie téj idei. Za nagłówek do swego „Menzla Francuzożercy“ wybrał zdanie Fénelon'a: „Kocham bardziéj rodzinę swą niż siebie, ojczyznę niż rodzinę, świat niż ojczyznę.“ W patryotyzmie uznaje cnotę, lecz wówczas tylko, gdy pozostaje w zgodzie z miłością ludzkości, ze sprawiedliwością wszechludzką—inaczéj staje się występkiem. Optymista z natury, Boerne nie widział niezliczonych kolizyi pomiędzy patryotyzmem a czystym humanizmem, jakie życie w każdéj chwili nam nasuwa; moralista z zasady, nie był w stanie pojąć znaczenia czynnika samozachowawczego, który może stać się obowiązkiem najwyższym. Zwy-

(1) Fragments politiques et littéraires I.

(2) Ib. II, por. ib. VIII.

czajem marzycieli szlachetnych wpadł w krańcowość jedną — nie przypuszczał, że naród własny wpadnie w krańcowość drugą, wprost przeciwległą, o tyle realną, o ile pierwsza była idealną, o tyle brutalną, o ile tamta była szlachetną.

„Czy Boerne—zapytuje Carrière—powitałby radośnie odrodzenie swéj ojczyzny takie, jakiém się ono dokonało?“ Niemiec mógł jedynie postawić pytanie, lecz bezstronna na nie odpowiedź niewątpliwie winna wypaść przecząco. Nie tylko nie radowałby się Boerne, lecz wprost nie poznałby nowéj swéj ojczyzny, osłupiałby przerażony na jéj widok potworny. W rzeczy saméj nigdy wielki naród w tak krótkim czasie gwałtowniejszéj nie uległ zmianie wewnętrznéj, psychicznéj—jeśli tak wolno powiedziéć— jak niemiecki w ciągu ostatniéj ćwierci wieku. Ilekroć zdarza się, jak nam obecnie, do niedawnéj jeszcze przeszłości Niemiec powrócić, gdy następnie znowu staje przed okiem niezaprzeczona teraźniejszość, mimowoli jaskrawy kontrast zmusza do rozmyślań. Gdzież podziała się, pytamy ze zdumieniem, owa poetyczność niemiecka, przysłowiowe marzycielstwo i niepraktyczność, sławiony zmysł abstrakcyjny—tradycyjne niegdyś cechy ducha niemieckiego? Gdzież młodzież pojedynkująca się o obszar kategorycznego imperatywu, o pojęcie duszy u Jean Paul'a, o sylogizmy Fichte'go lub wiersze Heinego? Gdzież poeci opłakujący natchnionemi słowy niedolę obcych gnębionych ludów, gdzież myśliciele, których wzniosłe uogólnienia do humanitarnych w praktyce doprowadzały wniosków, filozoficzni marzyciele wiecznego pokoju i harmonii powszechnéj? Zastąpiły ich duchy skrajnie przeciwne, również jak poetyczną Gretchen przy kądzieli zastąpiła politykująca pani Buchholtz, jak muzykę wszechludzką Mozarta i Beethovena zastąpiła germańska Wagnera.

Boerne, gdyby dziś ożył, wstydziłby się własnéj ojczyzny; naodwrót też sam dla niéj jest nader niewygodnym zabytkiem. Każdy wiersz pism jego, zestawiony z chwilą dzisiejszą, staje się krwawą ironią. Ze wszech stron też starają się w Niemczech obecnie przydusić ten przykry odgłos przeszłości. Von Treitschke nie waha się odsądzać Boerne'go od czci i wiary jako człowieka i pisarza zarówno (1); Gutzkow, niegdyś entuzyastyczny biograf, dziś, po latach trzydziestu, z lekceważącym tonem berlińczyka, który widział Sedan, w pismach Boerne'go znajduje tylko zabawne cacka zdolnego humorysty (2); stuletni jubileusz urodzin Boerne'go, przypadły

(1) Heinrich von Treitschke. Deutsche Geschichte. 1886, III.

(2) Gutzkow. Rückblicke auf mein Leben. 1875, str. 47.

w roku 1886, pominięto w Niemczech wymownem milczeniem (1). Lecz właśnie te pobudki, jakie każą współczesnemu Niemcowi rzucić zasłonę na najsympatyczniejszego swego pisarza politycznego, winny skłonić stojącego na uboczu obserwatora do podniesienia jéj i przyjrzenia się ukrytéj za nią szlachetnéj postaci.

Szymon Askenazy.

---

(1) Gorszém jeszcze, niż milczenie, było uczczenie pamięci Boerne'go przez „studyum biograficzno-literackie" Konrada Alberti („Ludwig Börne. Eine biographisch-literarische Studie zur Feier seines hundertjährigen Geburtstags. von Conrad Alberti. Leipzig 1886"). „Studyum" składa się z ustępów, przepisanych ze wspomnianego przez nas kilkakrotnie dzieła Gutzkowa, przeplatanych uwagami „autora", za które niechybnie dostałyby mu się niezgorsze cięgi od biednego Boerne'go, gdyby mógł ożyć i apoteozę swą odczytać. Na str. 95, 143, 144 autor obrabia Polaków, stara się tłómaczyć ostatnie edykty pruskie; na str. 121 i 156 dowodzi przywiązania Boerne'go do Prus i twierdzi, że namiętny ton jego pism był tylko wyrazem rozpaczy z powodu niedocenienia Prus w ówczesnych Niemczech (*sic*). (Por. z tém co w rzeczywistości Boerne mówi o Prusach w „Menzlu" i „Listach." Także Nchglss. Schr. II, 309 i n.). Na str. 153 powiada dosłownie: „Börne hasste im Grunde die Franzosen" i t. d. i t. d. Skromny autor przy tém wszystkiém wyraża w słowie wstępném nadzieję, że studyum jego przyjęte zostanie jednogłośném uznaniem ze strony publiczności i krytyki."





TOWARZYSTWA NAUKOWE I LITERACKIE

W POLSCE WIEKU XVIII.

O towarzystwach uczonych w Polsce wieku XVIII krótką wiadomość podał najprzód Bentkowski (*His. lit. pol.* I, 133), po nim rektor uniwersytetu krakowskiego Walenty Litwiński („Rozprawa o towarzystwach uczonych“ w *Roczniku Tow. naukowego z uniw. krak. połączonego.* 1817, I, str. 1—29). W roku 1840 kilka nowych szczegółów dorzucił Jocher (*Obraz bibl.* I, str. LXXV, 231, 324, 431), a w 1869 Karol Estreicher (*Jan Daniel Andrzej Janocki.* Kraków, str. 11) i Władysław Wisłocki („Krótka wiadomość o Towarzystwie Literatów w wieku XVIII“ w *Dodatku do Szkoły.* Lwów, str. 121—137). W artykułach: Estreichera „O towarzystwie literatów wyjaśnienie“ (*Dodatek do Szkoły* z r. 1869, str. 199) i Wisłockiego „Rozjaśnienie Wyjaśnienia w sprawie Towarzystwa Literatów“ (tamże, str. 206—216, 235—242) wzięła górę zaciekłość polemiczna nad zgruntowaniem przedmiotu. Dr. Józef Majer w odczycie: „Uwagi nad zadaniem akademii w powszechności tudzież historyczny przegląd towarzystw naukowych w Polsce“ (*Dwa pierwsze publiczne posiedzenia Ak. um. w Krakowie.* Kraków, 1873) wiadomości poprzedników zsumował, lecz nowych szczegółów dorzucił niewiele. B-n w artykule: „Towarzystwa uczone w Polsce w XVIII w.“ (*Przewodnik naukowy i literacki* z r. 1878, str. 1122—1135) również przysporzył mało. Podejmując sprawę nanowo, usiłowaliśmy uzupełnić przedmiot, nieobojętny dla historyi oświaty naszéj w XVIII stuleciu.

I.

Zabiegi uczonych gdańskich: *Gesellschafft der Naturforscher* z r. 1743. Załuskiego projekt asocyacyi uczonych 1744 i *Academia Mariana* w Warszawie r. 1753. Mitzlera projekt *Collegii medici* 1752 i *Institutum literarium* z r. 1756.

Dla skutecznego przeciwdziałania scholastycyzmowi klasztorów i wywalczenia obywatelstwa poglądom, czerpanym z literatury

klasycznéj, humaniści XV stulecia wiązali się w towarzystwa, w granicach, zakreślonych przez ustawę, działające zbiorowo. Kolebką tego rodzaju towarzystw, zwanych akademiami, były Włochy—siedlisko humanizmu, główny jego w Europie rozsadnik. Założona w r. 1433 przez Beccadellę, a przekształcona przez Pontana *Academia Pontaniana* w Palermo; ufundowana przez Wawrzyńca Medyceusza dla studyów filozoficznych i językowych *Academia Platonica*, a przez Grazzini'ego *Academia della Crusca* we Florencyi stanowiły modłę, według któréj wzorowały się inne w różnych miastach, a nawet wsiach włoskich powstające w XVI, XVII i XVIII stuleciu. Wielość towarzystw wzrosła z czasem we Włoszech olbrzymio: miasta ważniejsze, jak Rzym, Bononia, Neapol, Wenecya, Florencya liczyły ich po kilkanaście i kilkadziesiąt pod różnemi nazwami. Przezywali się akademicy symbolicznie: *Intronati, Humoristae, Lincei, Fantastici, Otiosi, Abdormentati, Ricovrati, Orditi, Olympici, Innominati, Nascosti, Ardenti, Inuaghiti, Affidati, Caliginosi, Insensati, Ostinati, Infammati, Concordi, Gelati, Accesi, Sizienti* i wrogie często formowali obozy. Występowali na posiedzeniach w wieńcach laurowych i rezonowali górnie, dalecy przecież byli od zadośćuczynienia zadaniu. Większość akademii zeszła na zebrania towarzyskie przyjaciół, okadzających się dymem czczych pochwał.

W miarę rozpowszechniania się studyów humanistycznych, na podobieństwo włoskich zjawiały się akademie i w krajach innych. We Francyi oprócz towarzystw stołecznych powstawały pod nazwą: *Académie des sciences, belles-lettres et arts* w Bordeaux, Tuluzie, Lyonie, Montpellier, Angers, Orleanie, Marsylii, Rouen, Nancy, Dijon, Metz. Pełno też było tego rodzaju towarzystw w Anglii i krajach niemieckich dla badań językowych i historycznych, dla uprawy nauk ścisłych, wykrywania błędów ludzi uczonych itp. Pod dziwacznemi podobnie jak włoskie występowały nazwami, różnych używały emblematów i godeł. Założone w r. 1617 w Wejmarze przez Kacpra von Teutlebena *Die fruchtbringende Gesellschafft* miało za emblemat drzewo palmowe z dewizą: *Alles zu Nutzen;* późniejsze z r. 1656 *Der Elbschwanenorden* używało znaku łabędzia. Członkowie towarzystw otrzymywali przezwiska, mające charakteryzować wydatniejsze właściwości ich ducha. Brali na seryo i poczytywali za splendor takie przydomki, jak: soczysty, miękki, kwaskowaty, mączysty, pachnący itp.

W epoce absolutyzmu Burbonów pozyskiwały akademie francuskie opiekę rządu i przybierały charakter instytucyi państwowych. Z towarzystwa prywatnego powstał staraniem Richelieu'go zakład naukowy pod nazwą *Académie française*; zabiegami Colberta

żakwitła *Académie Royale des Inscriptions et des Medailles.* Że za protekcyę, nagrody i pensye wysługiwali się akademicy dworowi i niemałego dodawali mu blasku,—poszli za przykładem królów francuskich inni panujący i fundowali w stolicach instytucye na wzór istniejących w Paryżu. Powstały w Londynie, Madrycie, Lizbonie, Amsterdamie, Sztokholmie, Kopenhadze, w Turynie, Medyolanie, Berlinie, Erfurcie, Petersburgu i innych. W różnym stopniu zależnie od zmiennych warunków czasu służyły nauce, chociaż wogóle wpływ dworów oddziaływał na nie szkodliwie. Poświęcali akademicy służby swoje królom i wybitniejszym ministrom, zapominając często o godności osobistéj i prawdzie.

W dobie wielkiego przełomu umysłowego dla krzewienia nauk humanistycznych powstało pod nazwą *Sodalitas literaria Vistulana* towarzystwo uczonych i w Polsce (1488—90). Siedliskiem jego był Kraków, założycielami cudzoziemcy: Konrad Celtes i Kalimach; członkami: Andrzej Pegaz, Fusilius (Gossinger), Salemnius Delius, Statilius Simonides, Terinus, Ursinus, Eckius, Rudolf Agricola młodszy, Aesticampianus (Somerfeld), Corvinus (Raba), Brutus (Brudzewski)—ukryci pod pseudonimami zwolennicy nowych kierunków. Rozprawiając o języku hebrajskim, łacińskim i greckim, o naukach przyrodzonych, prawie kanonicznêm i rzymskiêm, starali się podkopać kredyt powag scholastycznych i świeży we wszechnicę krakowską tchnąć powiew. Miała *Sodalitas Vistulana* taki stanowić etap humanizmu na wschodzie, jak współczesna wiedeńska (*S. Danubiana,* 1498) w naddunajskich, a wormacyeńska (*S. Celtica*, 1490) w krajach nadreńskich. Nie zdołała się przecież dla krótkości egzystencyi rozwinąć; po jéj upadku, wiążącym się z odjazdem Celtesa, zorganizowanych towarzystw naukowych nie posiadała Polska przez dwa stulecia. W epoce reformacyi ekspensowały się rozumy na spory wyznaniowe i kwestyę naprawy Rzeczypospolitéj; w dobie reakcyi katolickiéj na praktyki nabożne, tępienie herezyi i ważenie skomplikowanych zagadnień polityki bieżącéj. Sekty w XVI, a bractwa religijne w XVII stuleciu zużywały dla celów wyznaniowych najlepsze siły umysłowe i najpodnioślejsze uczucia, wielką nauce zrządzając szkodę. Zawiązało się wprawdzie na ziemiach Rzeczypospolitéj, towarzystwo uczonych w Gdańsku; z samych jednakże złożone Niemców, na umysłowość polską oddziaływać skutecznie nie mogło. Myśl założenia towarzystwa rzucił w r. 1670 lekarz gdański Israel Conradt, przedsięwzięcia przecież do skutku nie przywiódł. Staraniem uczonych miejscowych, głównie Breyne'a i Kleina powstało w r. 1720, lecz po siedmiu latach egzystencyi upadło. Szczęśliwiéj żabiegał nanowo w r. 1742 uczony kwatermistrz, a póź-

niéj burmistrz gdański Daniel Gralath: pod nazwą *Gesellschafft der Naturforscher* powstało towarzystwo, zaopatrzone w piękny zbiór narzędzi fizycznych i w środki, zabezpieczające mu przyszłość. Otwarte zostało 2 stycznia r. 1743, posiedzenia odbywało co tydzień, przetrwało zaś upadek Rzeczypospolitéj. W r. 1747 ogłosiło piętnaście z dziedziny matematyki, fizyki, nauk przyrodniczych i lekarskich dysertacyi, stanowiących tom pierwszy wydawnictwa p. t. *Versuche und Abhandlungen der Naturforschenden Gesellschafft in Dantzig*. Choć mało produkcyjne, na dalszy bowiem ciąg wydawnictwa zdobyło się dopiéro w r. 1778, potrafiło jednak zjednać sobie zaufanie i respekt. Zmarły w r. 1784 założyciel obserwatoryum astronomicznego w Gdańsku dr. Wolf powierzył mu zarząd funduszu i zapisał swe zbiory; Stanisław August przesłał w r. 1786 towarzystwu kosztowny pierścień, który prezydujący podczas uroczystych posiedzeń wkładał na palec.

W stolicy Rzeczypospolitéj zawiązało się towarzystwo naukowe w r. 1698, rychło jednak bez śladów działalności upadło (1). Przyjaźniejsze dla zabiegów w tym kierunku warunki znaleźli uczeni za panowania Augusta III-go, na które przypada ruch naukowy żywszy, rozległe nawet i różnorodne ogarniający widoki. Zupełna niemal abdykacya Rzeczypospolitéj w sferze interesów politycznych budziła w społeczeństwie refleksyą, zmuszała je do poszukiwania nowych dróg pracy. Na nieuprawiane dotychczas strony zwracała lepsze jednostki zarówno niemożliwość zużytkowania zasobów umysłowo-moralnych w życiu publiczném, dotkniętém martwotą, jak przeświadczenie o konieczności ratowania sprawy narodowéj przez pobudzanie i wyrabianie zaniedbanych pierwiastków siły. Przeświadczenie owo było plonem głębszego wnikania w stosunki i kwiatem sumień ludzi, dbałych o przyszłość. Jeżeli pobudki do podejmowania zadań różnorodnych a nowych płynęły ze źródeł rodzimych, to wzorów dostarczał zachód. Niemało usług zawdzięczamy cudzoziemcom, zwłaszcza Niemcom, którzy, tłumnie napływając do Polski za Sasów, przynosili z sobą inicyatywę lub wyrobioną w różnych gałęziach działalności rutynę. Wszystko, począwszy od wysokich zagadnień filozoficznych Kartezyusza i Wolffa, wielkich pomysłów Kopernika i Newtona, historyozoficznych poglądów Woltera, skończywszy na reformie szkolnictwa, publikowaniu źródeł dziejowych i dzieł bibliograficznych, ożywieniu wydawnictw peryodycznych i gromadzeniu pomocy naukowych znajduje w społeczeń-

(1) Bernoulli. *Reisen.... in den Jahren 1777 und 1778* (Liske. *Cudzoziemcy w Polsce*, str. 235).

stwie polskiém za Augusta III-go uprawę i gorliwych adeptów. Do objawów sprzęgania się Rzeczypospolitéj z ruchem umysłowym Europy należą i próby pracy zbiorowéj nad nauką w formie uorganizowanych towarzystw.

Pierwsze usiłowania nie ogarniały zadań rozległych, podejmowały bowiem jedynie sprawę zbiorowego nabywania wydawnictw peryodycznych i książek. Głośny biblioman, referendarz koronny ks. Józef Załuski ogłosił pod datą 2 stycznia 1744 roku *Projekt assocyacyi Kilkunastu lub Kilkudziesiąt Uczonych lub w czytaniu nowo-wychodzących w Cudzych Krajach ciekawych Lukubracyi kochających się Osób* (1), mający właśnie na celu sprowadzanie z zagranicy dzieł kosztownych i prenumerowanie czasopism. „Jest ten zwyczaj w miastach niemieckich, jakom się w swoich peregrynacyach napatrzył,— pisał Załuski—że *viri litterati* i ciekawi nowalii (że tak rzekę) uczonych czytelnicy, chcąc dogodzić gustowi swemu w czytaniu nowowychodzących za granicą, jako to: we Włoszech, we Francyi, Holandyi, Anglii uczonych lukubracyi, a z drugiéj strony unikając kosztu znacznego w sprowadzaniu tych nowych edycyi przez spieszne okazye, a czasem i pocztą.... zwykli zawierać między sobą *societatem litterariam* i, zebrawszy się w kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt osób, *mutuis sumptibus* nowo-wychodzące ciekawe książeczki z zagranicy sprowadzać zwykli kwartałami czyli cztery razy do roku; które jeden drugiemu odsyła i komunikuje, mogąc każdą książkę zatrzymać tydzień jeden, a nie więcéj; ktoby zaś dłużéj przytrzymał, stroff dać powinien; a to dla łatwiejszéj cyrkulacyi i żeby się wszyscy prędzéj obeśli każdą nową książką, póki ma wdzięk nowalii *gratiam novitatis*.“ Proponował ksiądz referendarz uformowanie towarzystwa bez ograniczenia liczby członków, złożonego jednak najmniéj z osób dziesięciu, z wkładem do kasy zbiorowéj (*ad aerarium societatis*) w styczniu każdego roku na ręce JMci Pana Gibbesa, sekretarza poczty warszawskiéj, po cztery czerwone złote. Nie wykluczał z asocyacyi i biegłych we francuszczyźnie niewiast, którym obiecywał „sprowadzać ze wszystkich krajów Europy co najciekawsze nowo-wychodzące książki, tym językiem wydane.“ Corocznie 19 marca, t. j. w dzień imienin Załuskiego, o godzinie trzeciéj po południu zgromadzą się asocyaci w mieszkaniu projektodawcy dla ułożenia listy, według któréj udzielane być mają nabyte czasopisma i księgi. Koléj, w jakiéj wyjdą z kapelusza ciągnione przez najmłodszego asocyata kartki z nazwiskami członków, rozstrzygnie

(1) Druk po francusku i po polsku. 4-o, kart nlb. 4. Egzemplarz znajduje się śród rękopisów bibl. jagiellońskiéj w kodeksie N. 115. Odpis zawdzięczamy dr. Wisłockiemu.

o następstwie w korzystaniu z lektury. Pierwszeństwo jednak w rejestrze służy mieszkańcom Warszawy, po nich dopiéro następuje uszeregowanie asocyatów z prowincyi. Wprowadzał Załuski do projektu pomysł losowego uformowania listy dlatego, „żeby nikomu krzywdy nie czynić w upośledzeniu rangi i nie narazić się w ułożeniu precedencyi, która tu niema miejsca, kiedy wszyscy zarówno składają się“ na zebranie funduszu. Na karteczce, przylepionéj na czele „lukubracyi“, asocyat oznaczy datę odesłania książki osobie, na którą przypada koléj, a to dla kontroli, żeby nie trzymała jéj dłużéj nad termin. Za przetrzymanie grozi kara jednego tynfa do kasy towarzystwa za każdy tydzień. W pomieszczonym na końcu projektu spisie rekomendowanych przez Załuskiego nowości figurują *Memoires, Acta, Analecta, Memorabilia, Miscelannea* i t. p. w językach: francuskim, łacińskim, niemieckim i włoskim wydawnictwa znakomitszych w Europie akademii i towarzystw, gazety tygodniowe uczonych ludzi w Lipsku, Ratysbonie, Hamburgu, Greifswaldzie, Dreźnie, Berlinie i rozmaite dzienniki. „Za pracę moją i staranie w korespondencyi, zapisowaniu i sprowadzaniu tych z całéj Europy nowalii uczonych spodziewam się,— kończy autor projektu — że ta asocyacya nie odmówi mi téj łaski, żeby te książki, obszedłszy już wszystkich a wszystkich do ostatniego asocyatów, dostawały się mojéj bibliotece. Na co tém chętniéj każdy asocyat zezwoli, kiedy ta biblioteka, mając być wkrótce publiczną i każdemu otwartą, wolno będzie każdemu kiedyżkolwiek i w dalsze czasy, jako i inne wszystkie księgi, tak i te świeżo wyszłe czytać i do woli używać.“ Zrealizowanie projektu nie mogło dużych napotkać przeszkód: znalazł już Załuski uczestników sześciu, zapowiadał zaś dojście asocyacyi, choćby ich było tylko dziesięciu. „Bo do proporcyi osób i importancyi *ad aerarium societatis* będzie się miarkowała expensa.“

Nie ograniczając się na asocyacyi dla sprowadzania książek, zamierzył Załuski w kilka lat późniéj zgromadzić kółko uczonych w widokach innych. Był ksiądz referendarz „zdawna—jak sam pisze w r. 1749 (*)—akademikiem asocyacyi literatów rzymskiéj“, był też członkiem akademii: berlińskiéj, bonońskiéj, petersburskiéj i różnych towarzystw naukowych niemieckich; zapragnął zaś uszczęśliwić ojczyznę instytucyą na podobieństwo zachodnich. Usposobieniu Polaka najbardziéj odpowiadała pompatyczność, frazeologia i hałaśliwość towarzystw włoskich, sięgnął przeto wrażliwy i jaskrawe dekoracye lubiący Załuski po wzór za Alpy. Plan nowego przedsięwzięcia dojrzał w jesieni r. 1753; *Kurjer polski* z 31-go paź-

---

(*) W dedykacyi królewiczowi *Kolendy poetycznéj*.

dziernika zawiadomił o niém publiczność. „Podaje się do wiadomości wszystkim literatom warszawskim, donosił, że dnia 7 grudnia w wigilję Naysw. Panny Niepokalanie Poczętey o 3 z południa z okazyi imienin y dnia narodzenia Królowey Jey Mości odprawi się na sali biblioteki publiczney tuteyszey trybem włoskim akademika czyli akt publiczny krasomówstwa y rymopistwa, na którym wolno będzie każdemu literatowi czy Polakowi, czy cudzoziemcowi, prozą czy wierszem y jakimkolwiek tylko językiem czytać publicznie swoje lukubracye, to jest: czy oracyjkę, czy dissertacyę, czy odę, czy elegię, czy idyliki, czy epigramma *etc. etc.* Argument tey akademiki będzie o chwale nieskończoney Nayświętszey Bogarodzicy Maryi Panny. Tygodniem przed tym, to jest w dzień św. Jędrzeja o teyże godzinie tamże się zejść raczą ci Ichmć, którzy sobie życzą *loqui variis linguis Magnalia Dei — parae*, a to na próbę. Wszelkie zaś osoby na ten akt są zaproszone do mówienia jakiegożkolwiek stanu i kondycyi. Jeżeliby zaś podobnym sposobem życzyli sobie Ichmć Panowie Konwiktorowie trzech warszawskich *Nobilium* kollegiów y inni Ichmć studia traktujący popisywać się na drugiey akademice, tedy się to inszego dnia odprawić może, jako to 1 lutego. Ichmć spektatorowie obojej płci będą wpuszczeni za kartkami, które trzema dniami przed aktem uprosić sobie mają w stancyi Jmci X. Referendarza koronnego y które mieć będą takie wypisane hasło:

Qui elucidant me, vitam aeternam habebunt.

J. | Z.
S. | M. “

W *Kurjerze* z 21 listopada „Jmć X. Referendarz Koronny zaprasza na próbę do swojey stancyi w dzień św. Jędrzeja o drugiey po południu tych Ichmćw literatów, którzy, na ochotnika uproszeni y zachęceni, chcą wysławiać Nayświętszą Bogarodzicę Maryę Pannę w dzień wigilii Niepokalanego Poczęcia Jey 7 Decembra.“ Zawiadamia jednocześnie, że „akt akademiki włoskim trybem, nie już w bibliotece (dla zimney aeryi), ale na sali pałacu xiążęcia Imci biskupa krakowskiego przy kapucynach o trzeciey z południa odprawi się“; na interesującą zaś, bo niepraktykowaną przedtém w Polsce ucztę duchową „wszystkich Ichmćw pobożnie ciekawych zaprasza *Mariano Literarius Coetus.*“

Zarówno adoratorów Najśw. Panny, jak i amatorów publicznego popisu nie brakło. Dość miała Polska mężów pobożnych, bez liku zapalonych retorów, którzy już z ławy szkolnéj sięgali po listki wawrzynu, w różnych zaś życia publicznego okazyach pretendowali do wieńców. Tyle więc ksiądz referendarz przez ogłoszenia swoje

z Warszawy i z prowincyi otrzymał ofert, że program pierwotny musiał rozszerzyć. „Donosi się Ichmćm Panom literatom, tu się znajdującym, — pisał w *Kurjerze* z 5 grudnia — iż *academia literaria, more Italo* tu się odprawiać mająca w pałacu xiążęcia Imci biskupa krakowskiego 7 grudnia o 2 po południu, będzie się kontynuowała y 9 dnia, to jest w niedzielę o teyże godzinie, gdyż nadspodziewanie rachuje się oratorów y lukubracyi.“

Po zagajeniu posiedzenia przez ks. referendarza, mowę inauguracyjną wygłosił w języku łacińskim profesor filozofii i matematyki w kolegium pijarskiém, Antoni Wiśniewski. Powinszowawszy sobie, obecnym i ojczyźnie doprowadzenia do skutku tak świetnego zebrania, nie umiał dostatecznie wyrazić zdziwienia swego i radości, że się znajduje w najwyśmienitszém gronie uczonych, że zyskuje sposobność słyszenia ich rozpraw i korzystania z ich nauki. Zdaje mi się, — mówił, zwracając się do obecnych na posiedzeniu cudzoziemców, że jeszcze Włochy, Francyą, Niemcy, Belgią, Anglią oglądam, że się w najzacniejszych państwach Europy znajduję i widzę, największą przepełniony rozkoszą, jak one przez was usiłują śród innych narodów krzewić sztuki i wiedzę. Dziękował mówca wszystkim, którzy w przedsięwzięciu tak ważném wzięli udział; specyalnie wielbił inicyatora-prezesa towarzystwa, poczém opowiedział w krótkości dzieje akademii, szczególniejszą zwacając uwagę na istniejące w Paryżu, Londynie, Berlinie, Petersburgu i Getyndze. Przyznawał akademiom zasługę budzenia emulacyi naukowéj i z zainaugurowanego towarzystwa warszawskiego korzyści rokował wielkie. Nie zaraz i nie we wszystkiém, prawił, ucywilizowanym sprostamy narodom; wątpić jednak nie można, że akademia nasza, na dobrych opierając się wzorach, może z czasem w mądrości i sławie dorównać innym. Pokładał w niéj nadzieję i wyrażał życzenie, iżby nowe towarzystwo światłem swojém przewodniczyło polityce, podniosło matematykę i filozofią, teologią uwolniło od zadań bez wagi, krytykę ujęło w rozumne reguły, język zaś polski, który z mlekiem nabywamy matczynym, do starodawnéj przywróciło czystości (1). Proponował w końcu mówca, żeby członkowie akademiki warszawskiéj przezwali się *Devoti* lub *Mariani*, działalność ich bowiem o tyle się okaże skuteczną, o ile przewodniczyć jéj będzie pobożność (2).

---

(1) *Fiet, inquam, ut haec nostra Societas Politicem illustret, Mathesin et Philosophiam stabiliat, a Theologia supervacaneas amputet quaestiones, Criticen legibus justis circumscribat, ipsam quoque, quam cum lacte materno fuximus, Polonam linguam suae restituat puritari....*

(2) *Oratio de utilitate ex varsaviensi bonarum artium et scientiarum academia in Poloniam redundatura ad novos academicos in ipsis academiae auspiciis A. D. VII Decembr.*

Jeżeli Wiśniewski „więcéj umiejętnościom, niż chwale Matki Boskiéj“ w mowie swojéj poświęcił (1), to za to inni od tematu nie odstąpili. Ksiądz referendarz mówił po polsku o epitetach, nadawanych Najśw. Pannie przez pisarzy chrześciańskich dawnych i nowych; brat jego Marcin (biskup drezneński, sufragan i proboszcz katedralny płocki) dowodził w dysertacyi łacińskiéj niepokalanego Matki Boskiéj poczęcia. Czytano następnie prozę i rymy po polsku, po łacinie, po grecku, po francusku, po niemiecku, hiszpańsku, angielsku i holendersku. Sekretarz marszałka w. kor. Bielińskiego, Adam Kempski i Józef Epifani Minasowicz deklamowali po polsku; profesor wymowy w kolegium jezuickiém Fr. Bohomolec i teatyn Józef Marya Torri po łacinie; bibliotekarz Załuskich Jan Daniel Janocki i adjunkt jego Franciszek Ryszard Goetze po grecku; profesor filozofii w kolegium teatyńskiem Jan Babtysta Rotingo po włosku. Z jezuitów czynni byli oprócz Bohomolca: kaznodzieja kanoniczek Konstanty Awedyk, teolog księdza referendarza Michał Rihowei Wojciech Mokronowski, Jędrzej Bromirski, Kazimierz Sadowski. Z pijarów oprócz Wiśniewskiego: Tadeusz Nowaczyński (czytał odę łacińską), Prosper Smoczyński i Benedykt Grodzicki. Z księży świeckich oprócz kanonika Janockiego: Jaśkiewicz, seminarzyści u św. Krzyża: Klonowski i syn kasztelana czechowskiego Paweł Lubieniecki, oraz Francuzi: Solignac i doktór teologii Tellot. Z mężów świeckich oprócz Kempskiego, Minasowicza i Goetze'go czytał rozprawę Mitzler de Kolof, neapolitańczyk zaś, doktór filozofii i medycyny Antoni Nava zamknął posiedzenie łacińską elegią. Odczytano następnie, prawdopodobnie na drugiém posiedzeniu, które również zagaił Załuski, utwory, nadesłane z prowincyi: proboszcza generalnego miechowitów Jakóba Pawła Radlińskiego, kustosza tegoż zgromadzenia Floryana Buydeckiego, oraz różnych z Poznania, Wilna i Grodna. Pośród słuchaczów świecili obecnością magnaci i dygnitarze, jak marszałek w. kor. Bieliński i biskup inflancki Ostrowski; uczestniczyły i damy, z pomiędzy których zwracała uwagę znana z zamiłowania do nauk księżna Radziwiłłowa, chorążyna w. litewska (2).

Z odczytanych na akademice warszawskiéj utworów wyróżniali współcześni dysertacyę Marcina Załuskiego, którą *Kurjer pol-*

A. C. CIϽIϽCCLIII dicta a P. Antonio Wiśniewski e clericis regularibus scholarum Piarum in varsaviensi nobilium Collegio philosophiae et matheseos professore. 4°, stron XV. Bez m. i r. wydania.

(1) Zauważył to o mowie Wiśniewskiego Janocki (*Lexicon derer itztlebenden Gelehrten in Pohlen.* Wrocław, 1755. II, 45).

(2) Kurjer polski z 12 grudnia r. 1753. Janocki *l. c.* II, 45, 46. Jocher *l. c.* I, 431.

ski nazwał „wyśmienitém i najpierwszém między wszystkiemi wypracowaniem;“ chwalili Wiśniewskiego, Radlińskiego i Kempskiego. „Między nieprzytomnymi i nieczytającymi swoje lukubracye *obtinuit palmam*“ Radliński; Kempski, któremu do podniosłych myśli i pięknych wyrażeń brakło tylko poważniejszéj ciała postawy, poklask zyskał powszechny. Mowa Wiśniewskiego nie kompromituje przyrodnika i krzewiciela filozoficznych pomysłów Wolffa; Kempski, sądząc z ogłoszonego w r. 1756 poematu: *Myśli o Bogu i człowieku w mowie człowieka i ducha wyrażone*, wygłosił niewątpliwie, przynajmniéj pod względem formy, rzecz piękną. O wartości rymów innych uczestników akademiki daje wyobrażenie mozolne wypracowanie Lubienieckiego, którego zaszczycali uznaniem swoim Minasowicz i referendarz Załuski.

Ode X. Karola de la Rue S. J. o Niepokalanym Poczęciu N. P. M. z łacińskiey przełożona przez W. J. Mci X. Pawła Lubienieckiego kanonika łuckiego na Akademikę publiczną od JW. JMci X. Józefa Andrzeja Załuskiego Referendarza W. K. Opata Wąchockiego etc. w sali palacowey xiążęcia JMci biskupa krakowskiego wyznaczoną na dzień 7 grudnia 1753 (1).

1. Cóż czas bezbronni w Kościołach *Ombitae*
Trawicie? czyliż śluby pospolite
Wasz potrzebuje, i setne ołtarze
Przy kadzidłowéj Krokodyl ofiarze?
2. Walecznéj teraz ręki, na podanie
Posiłku żąda: do broni Mieszczanie!
Zdejmcie z Bram miecze, tarcze, pod niebiosy
Niech się brzękadeł rozlegają głosy.
3. Nie ciągnie kupa *Tentyrytów* sroga,
Czołgającego żeby poszczwać Boga,
Ani zuchwałym hamulcem nań godzi,
Gdy bystre *Nilu* przebywa powodzi.
4. Większego mniejszy nieprzyjaciel trzasku
Narobi. Oto zasuszony w piasku
I w kale, bitny *Ichneumon*; jakoby
Zgubić go, chytre przemyśla sposoby.

(1) Wydrukowana w dodatku do części IV (str. 47—55) *Zbioru rytmów* Minasowicza. Pomieszczony w części III tegoż *Zbioru* przekład Minasowicza wiersza Alberta Ines p. t. *Inscriptiones septem Virgini Dei Matri, absque macula originali Conceptae etc.*, sądząc z daty 25 sierpnia 1753 r. prawdopodobnie był również przygotowany dla odczytania na akademice. Dla zrozumienia ody Lubienieckiego podajemy umieszczony na czele *Argument*. „*Ichneumon*, albo wydra Egipska, według niektórych szczur Faraona, pogromiciel Krokodyla. Ten, nieprzyjaciela śpiącego na brzegu Nilowym upatrzywszy, w kale się kilkakroć tarza y w piasku osusza; za tym tak uzbrojony, w paszczę się potwory owey żarłoczną wsuwa, przez którą przemknąwszy się bez obrazy y wyżarłszy jelita, kałdunem nazad zwycięsca wypada. *Tentyris* y *Ombi* sąsiedzkie w Egipcie miasta. *Ombitae* czczą Krokodyla, prześladują go *Tentyritae*, y wtenczas nawet gdy płynie zarzuconym go hamulcem uśmierzają.“

5. I czczy chwalebne zaostrza łaknienie;
Bronić przystępu mu, dajcie baczenie;
Dowierzające sny przerwijcie smoka,
Śmierci jest znakiem, snu mara głęboka.
6. Ot! jak już żeru krwawego resztami,
I ociekłemi z żył juchą kościami
Pogardza syty; leżąc rozciągniony,
Głód ukoiwszy, łupem uziajony.
7. Zasypia na wznak, gdy go sen ugłaszcze,
O któż się w wściekłą bez obrazy paszczę
Zapuści? kto wzdy w rozdziawionym pysku
Poszuka miejsca swemu stanowisku?
8. Jużci się stało, szermierz rozpędzony
We wszystkim biegu, nic nieobrażony
Pomiędzy kły się wyszczerzone wsunie,
I zacznie w smoczym rabunek kałdunie.
9. Już ostrym kęsem wnętrzności rwie ciemne,
Jak zgrzyta straszna bestya! w daremne
Jak gniewy wpada! jak przeciągle wyje!
Gdy wewnątrz zębem nieprzyjaciel ryje.
10. I tysiąc śmierci zadaje wrzepiony,
A że krwią z mordu chwalebnie zbroczony,
Dzień ujrzy znowu; stłumiwszy bestyą
Zwycięzca. Nimfy dajcie wieńce Io!
11. Io! po trzykroć lochowate skały
Ogromnym rykiem na applauz zagrzmiały,
Trzykroć wód szumem zahuczał, przez trzciny
Nil świegotliwe, głosząc te nowiny.

Alluzya.

W zmazaną Przodków śmiercią gdyś wstąpiła
Drogę, Tyś sama pierwsza zwyciężyła
Fatalne monstrum, w Poczęciu nietknięta
O Panno swoim, Panno nader święta!

Jeżeli akademice warszawskiéj *Kurjer polski* z 12 grudnia r. 1753 poświęcił sprawozdanie niedokładne i krótkie; Janocki szczegółowsze, lecz we dwa lata po fakcie; to za to baczniejszą zwróciły na nią uwagę pisma uczone niemieckie. Mowę Wiśniewskiego przedrukowano w *Neue Zeitung von Gelehrten Sachen* i w *Nouvelle Bibliothéque Germanique*; wspomniała o akademice gazeta halska, obszerną o niéj pomieszczono wiadomość w *Kritische Nachrichten von Greifswald*. Redaktor tego pisma Jan Karol Dähnert uorganizowanie towarzystwa uczonego w Warszawie poczytuje za chlubę i zaszczyt Polski i wielkie z niego dla rozwoju nauk przewiduje korzyści. Łudzili się cudzoziemcy, czerpiąc wiadomości o towarzystwie z mowy Wiśniewskiego, który literacką zabawę Załuskiego przezwał pompatycznie *Varsaviensis Bonarum Artium et Scientiarum Academia* i do rozległych powoływał ją zadań. We właściwszych grani-

cach zapał dla dokonanego faktu utrzymywali świadomi stanu rzeczy krajowcy. Założona przez Załuskiego, pisał Janocki (II, 45), ku czci Matki Boskiéj *Academia Mariana* ma na celu zgromadzanie w dni uroczyste uczonych wszelkiego stanu i stopnia dla odczytania wierszy lub mów na pochwałę Najśw. Panny. Rozwiewał złudzenia uczonych zagranicznych i Mitzler de Kolof. Sądzą, pisał, literaci obcokrajowi, że i w Warszawie istnieje towarzystwo uczone, które wkrótce ubiegać się zacznie z innémi o lepsze; możemy ich z całą stanowczością zapewnić, że mniemanie swoje opierają na wieściach fałszywych. Zgromadził referendarz Załuski literatów warszawskich dla odczytania w różnych językach poematów i rozpraw; ani jednak zebranie owo było akademią, ani inicyator jego myślał o organizowaniu towarzystwa uczonych (1). Daleką więc była akademika warszawska od tych widoków, jakie w mowie swojéj roztaczał Wiśniewski: nie wyszła po za zakres kultu Najśw. Panny, a zresztą po pierwszéj próbie upadła. W roku następnym wznowienia jéj ksiądz referendarz zaniechał; w latach: 1755, 56 i 57 zagranicą przebywał; znacznie późniéj, bo za panowania Stanisława Augusta, akademikę do życia przywołał, lecz w postaci skromniejszéj. „Za powodem Imci X. biskupa kijowskiego—donosiły *Wiadomości warszawskie* z 6 i 10 grudnia r. 1766—w trzecią niedzielę adwentową po południu o czwartéj odprawi się na sali biblioteki publiczney *Academia Mariana* trybem włoskim od Ichmciów konwiktorów trzech tutecznych kolegiów, którzy chwałę Matki Boskiéj różnymi językami prozą i wierszem będą wysławiać.“

Jakoż posiedzenie odbyło się; z utworów popisowych cztery: 1) *Arca Noe, apodosis allegorica de Sacratissima V. M., recitata in aedibus Załuscianis*; 2) *Epigramma de B. V. M.,* 3) Do Najjaśnieyszego Króla Imci P. N. Miłościwego gdy w senacie osłabiał, 4) Feierwerk życia ludzkiego—wyszły z druku bezimiennie p. t. *Wiersze podczas akademii Załuskich mówione w Warszawie Roku 1766* (Bez m. 4⁰, kart nlb. 4). „Feierwerk“ pióra ówczesnego profesora kolegium jezuickiego, Adama Naruszewicza (2) zalet ma dużo; dwa inne niezdarne są i nudne, *Epigramma* zaś tyle zawiera humoru, że dla charakterystyki akademii zasługuje na przytoczenie w całości.

Gdyby był człowiek w pierwiastkowym stanie
Czułym na swego Twórcy przykazanie,
Coby tam było z dziećmi Jego potym,
Teologowie dysputują o tym.

---

(1) *Acta litteraria* z r. 1755. I, 36.

(2) Ob. Piotra Chmielowskiego artykuł na czele wyboru poezyi Naruszewicza, wyd. warsz. z r. 1882, str. IX.

Ja wiem, że za grzech pierwszego Adama
Przyszły na ten świat nędze i śmierć sama,
Ale te nędze, ale ta śmierć sroga
Dały nam z Panny czystéj zbawcę Boga.
A kto wie, gdyby człowiek nie ubliżył
Bogu, czyby on tak się był uniżył
I chciał nas swoim pokrewieństwem cieszyć?
Ej, widzę, lepiéj było ludziom zgrzeszyć!

Za wpływem Załuskiego „akademiki" stały się modne, nie różniły się jednak w istocie od popisów dorocznych lub dysput, urządzanych przez jezuitów, pijarów i teatynów dla zamanifestowania wiedzy swych uczniów. W końcu czerwca r. 1757 odprawiła się „akademika" w kolegium pijarskiém w Warszawie na temat: „Na czym dobro i szczęście Rzeczypospolitéj zaległo"; w maju r. 1766 u jezuitów gdańskich w obecności wielkich pań i dygnitarzy (wojewodzin: bracławskiéj Jabłonowskiéj i mińskiéj Hilzenowéj, hetmana pol. w. x. lit. Sapiehy i innych) była „akademika geograficzna przez pytania, z powszechnego ziemiopistwa szlachetnéj młodzieży ziem pruskich szkoły krasomówskiéj do rozwiązania podane" (1).

Nie przeceniając doniosłości asocyacyi z 1744, ani zebrania uczonych z r. 1753, przyznać należy Załuskiemu zasługę, że pierwszy w XVIII wieku usiłował skupiać ludzi, interesujących się literaturą i budził pośród pisarzy ruch pewien. Towarzystwa naukowego nie stworzył, przygotowywał jednak do niego grunt przez przyuczanie literatów do roboty w gromadzie. W czasach późniejszych rozwinął na tém polu działalność szerszą, gdy znalazł pomocnika w wykształconym, ruchliwym i pełnym zapału cudzoziemcu, Mitzlerze de Kolof.

Studyował Mitzler na uniwersytetach w Lipsku i Wittenberdze teologię, filozofię, medycynę i prawo, poświęcał się też gorliwie muzyce. Miewał w Niemczech w różnych przedmiotach wykłady publiczne i ogłaszał drukiem rozprawy. W r. 1738 z hr. Jakóbem Lucchesini'm i kapelmistrzem Baemlerem założył w Lipsku towarzystwo dla badania teoryi muzyki i jako jego sekretarz wydawał czasopismo (*Musikalische Bibliothek*), w którém zaciętą z różnemi znakomitościami w materyach sztuki toczył polemikę. W r. 1743 przybył trzydziesto-dwu-letni Mitzler do Polski na pedagoga synów podkanclerzego Małachowskiego i osiadł w Końskich. Obznajmiając najstarszego z podkanclerzyców z różnémi umiejętnościami i zaszczepiając w nim pomysły filozoficzne Wolffa, jednocześnie zajmował się praktyką lekarską, wynalazł nawet cudowny balsam uniwer-

(1) Kurjer polski z r. 1757, N. 26. Wiadomości warszawskie z 17 maja r. 1766.

salny na rany i na podstawie napisanéj o nim dysertacyi pozyskał w Erfurcie dyplom doktorski. Studyował też literaturę polską, analizował ołów podolski, ze znalezionéj zaś w dobrach Małachowskiego rudy wyrabiał farbę. Osiadłszy w r. 1749 w Warszawie, niesłychaną na różnych polach rozwinął czynność. Fabrykował ów balsam, cudowne własnego również pomysłu pigułki i proszek, pisał rozprawy naukowe i leczył; założył drukarnię, redagował czasopisma i ogłaszał materyały do dziejów. Wielką wagę przywiązywał do towarzystw naukowych, poczytywał je za główny wiedzy rozsadnik. Nic bardziéj, pisał, nie podnosi i nie rozkrzewia umiejętności, jak towarzystwa uczonych, wspólnemi pracujących siłami, a jednoczących się ku usłudze ludzkości. Najwyżéj cenił nauki przyrodnicze, więc i gdańskie *Gesellschafft der Naturforscher* stawiał Polakom za przykład. Rozumiał przecież, że towarzystwo naukowe powstać może w Warszawie nie prędzéj, aż najjaśniejszy król i Rzeczpospolita odpowiedni na cel ten a stały wyznaczą fundusz (1). Jakoż w lat parę po osiedleniu się w stolicy przedsięwziął starania około założenia towarzystwa pod opieką państwową, do czego pobudkę zaczerpnął w rozpaczliwym za Augusta III stanie sztuki lekarskiéj.

Przepełnioną była Warszawa handlarzami balsamów, olejków i proszków; szarlatanami, oddającymi się praktyce lekarskiéj bez żadnéj znikąd kontroli. Rezydent francuski w Warszawie Duperron de Castera przez jednego z samozwańców takich, chirurga przybyłego z Paryża, znaczną dozą niewłaściwego lekarstwa został otruty, co skonstatowali zebrani na rozkaz marszałka wielkiego kor. lekarze. Dla zwalczenia szarlatanizmu ogłosił Mitzler w r. 1752 *Consultatio de necessitate collegii medici auctoritate regia Varsaviae erigendi* (4°, ark.), następnie ułożył projekt statutu towarzystwa dla dozorowania medyków i podniesienia w kraju sztuki lekarskiéj. Projektowane *Collegium medicum* składać się miało ze wszystkich praktykujących w Warszawie doktorów, z trzech mających głos w sprawach swojego fachu chirurgów i tyluż farmaceutów. Kolejno pełnią członkowie przez rok jeden funkcyę prezesa; ci, którzyby, opuściwszy towarzystwo, ponownie do niego wrócili, przewodniczyć mogą dopiero po upływie lat czterech. Do obowiązków prezesa należy zwoływanie członków na posiedzenia, czuwanie nad spełnianiem zadań towarzystwa, udzielaniem żądanych przez publiczność porad itp. O porządku pomiędzy członkami rozstrzyga wiek ich; doktorom jednak nadwornym służy przed innymi pierwszeństwo. Przy-

(1) *Acta litteraria*, z r. 1755 str. 35 i 36.

były skądinąd, choćby był wiekiem starszy, miejsce zajmie ostatnie. Majątek towarzystwa składa się z wpisowego (4 czerw. zł.) i z dwóch czerw. złotych od każdego honoraryum, jakie *Collegium* pobierze za konsultacyę. Z niego prezes opłaca służbę, zakupuje książki i różne opędza wydatki. Zbierają się członkowie towarzystwa co miesiąc dla kolejnego czytania z teoryi i praktyki lekarskiéj rozpraw, które w jednym zbiorze drukowane będą corocznie; dla naradzania się w sprawach zdrowotności publicznéj itp. Medycy, chcący praktykować w Warszawie, oraz chirurgowie, zajmujący się leczeniem wewnętrznèm, obowiązani są złożyć przed *Collegium* egzamin. Nieposłusznych *Collegium* po trzykrotnèm wezwaniu przy pomocy służby marszałkowskiéj, urzędu starościńskiego lub prezydenta Warszawy przymusowo sprowadzi i w pierwszéj instancyi osądzi. Apelacya służy do sądów marszałkowskich, lub asesorskich kanclerza. Lekarze prowincyonalni powinni również zaopatrzyć się w świadectwo *Collegium*. Oprócz tego czuwa towarzystwo nad rzetelnością wyrobu lekarstw, rewiduje dwa razy do roku apteki i preparaty złe lub zastarzałe usuwa.

Poparł Mitzlera dawny chlebodawca jego, obecnie kanclerz wielki kor. Małachowski i August III 5 grudnia 1752 r. statut zatwierdził (1). Jednakże dla niedochodzących sejmów niemożliwém było pozyskanie sankcyi Rzeczypospolitéj i *Collegium medicum* w życie nie weszło.

Niezrażony niepowodzeniem, nie przestaje Mitzler krzątać się około organizowania towarzystw prywatnych i ogłasza w trzy lata późniéj *Leges Instituti Literarii Varsaviensis, coepti anno MDCCLVI, mense Januario* (4°, kart 2), przypominające Załuskiego *Projekt assocyacyi Kilkunastu lub Kilkudziesiąt Uczonych*. Zadaniem *Instituti literarii*, do którego oprócz starosty bobrownickiego Podoskiego i zaaklimatyzowanych w Polsce: Mitzlera i Janockiego, należeli cudzoziemcy: Böttiger, baron le Fort, M. Sontag, Kuur, Gürtler, Wilke, Vollhardt, Essen i Goetze,—było sprowadzanie pism zagranicznych i ku odczytywaniu rozpraw odbywanie raz na miesiąc posiedzeń (2). Pod datą 31 marca 1763 r. wychodzi znowu z pod prasy francuskie ogłoszenie (*Avis*) Mitzlera, zachęcające do sprowadzania z zagranicy za pośrednictwem księgarni jego dzieł i czasopism (3). Jeżeli *Institutum literarium* mogło mieć pewną doniosłość dla kolonii cudzoziemskiéj w Warszawie, to *Avis* z 31 marca 1763 r. nie przekraczało chyba granic spekulacyi księgarskiéj.

---

(1) Podaje go w całości *Warschauer Bibliothek* z r. 1754. I, str. 81—84 i Gąsiorowski w *Zbiorze wiadomości do hist. sztuki lek. w Polsce*. II, 109. — (2) Jocher *l. c.* I, 23. (3) Tenże *l. c.* I, 231.

II.

Towarzystwo literatów w Polszcze ustanowione (1765—1770) i jego wydawnictwa. Warszawskie towarzystwo fizyczno-chymiczne (1767 — 69). *Societas Jablonoviana* (1770).

Institutum Societatis Literariae ad edendos optimos et Poloniae utilissimos libros przybiera charakter ogólniejszy i do rezultatów prowadzi większych. Każdy, opiewa statut z r. 1765 (1), śledząc za odrodzeniem nauk w Polsce zauważyć może brak ksiąg dobrych, mianowicie pisanych w języku ojczystym. Pracowali w przeciągu ostatnich lat trzydziestu nad rozwojem umiejętności liczni mecenasi—panowie; popiera je królujący szczęśliwie wiedzy miłośnik Stanisław August; obecnie zaś przez utworzenie z magnatów i zwolenników literatury (*ex proceribus et literarum amatoribus*) towarzystwa do współdziałania na tém polu otwiera się sposobność wszystkim, dobrze życzącym ojczyźnie. Każdy, składając w styczniu do kasy towarzystwa od 20 do 50 czerw. złotych, otrzymywać będzie przez pierwsze dwa lata odsetki (po 8%) w książkach po cenie lipskiéj; w trzecim roku odbierze w tejże formie połowę, w czwartym resztę wkładu z procentem. Wybór książek pozostawia się członkom. Założyciele towarzystwa zobowiązują się ogłosić po upływie roku katalog najlepszych wydawnictw francuskich, łacińskich, niemieckich i polskich. W taki sposób, dodaje statut, miłośnicy i mecenasi nauk w Polsce (*literarum in Polonia amatores, promotoresque*) nietylko zyskują możność najtańszego zaopatrzenia się w książki, lecz i okazyę do służenia krajowi. Niedość bowiem, że napływ ksiąg dobrych przyczyni się do większego rozkwitu nauk, lecz i pieniądze, które poprzednio bezpowrotnie wychodziły zagranicę, pozostaną w królestwie. Nie masz potrzeby przepłacania książek zagranicznych gotówką, skoro ich taniéj może dostarczyć Mitzler przez zamianę na własne wydawnictwa łacińskie.

Program, wyłożony w statucie, niezupełnie się zgadzał z zapowiedzią nazwy towarzystwa: *ad edendos optimos et Poloniae utilissimos libros* i nie bardzo się wiązał ze wzmianką o braku książek, pisanych w języku ojczystym. Pośredniczenie w nabywaniu wydawnictw

---

(1) *Institutum Societatis Literariae ad edendos optimos et Poloniae utilissimos libros. coeptae a.* 1765 *mense Januario, Promotore Illustrissimo atque Excellentissimo Domino J. A. Zaluscio Episcopo Kioviensi etc., Executore Laurentio Mitzlero de Kolof, R. Pol. Hist. et Med. D. Cum approbatione superiorum. Varsaviae, mense Januario* 1765. 4⁰, kart 2. Tekst statutu podał w całości Wisłocki (*Krótka wiadomość o Towarzystwie Literatów w w XVIII.* Odbitka ze *Szkoły*. Lwów, 1869, str. 8).

zagranicznych, opromienione nawet tendencyą niewywożenia z kraju gotówki, nie przekraczałoby znowu zakresu spekulacyi, gdyby towarzystwo nie przedsięwzięło działalności w duchu swéj nazwy i uwagi o potrzebie pomnażania dzieł polskich. Na pierwszéj książce francuskiéj figuruje jako *l'Institut de la Société littéraire en Pologne*, na polskich pisze się: *Towarzystwo Litteratów w Polszcze ustanowione*, na łacińskich *Societas literaria polona*. Nakładem jego następujące z drukarni Mitzlerowskiéj ukazały się dzieła:

1) *l'Art de bien prononcer en Francois, à l'usage de la Noblesse Polonoise, dediée à Son Excellence Msgr. le Comte J. A. Załuski Evêque de Kiovie par le R. P. Jean Jac. de la Borde de la Comp. de Jesus, à Varsovie 1765, imprimé par l'Institut de la Societe litteraire en Pologne dans l'Imprimerie Mitzlerienne.* 8-a, stron 192.

Wyszła pod koniec lipca, kosztowała 4 szóstaki (1).

2) *Decyusza Ausoniusza Burdygalczyka konsula rzymskiego y Gracyana Cesarza niegdyś nauczyciela epigrammata, nagrobki y edyllia wybrane przekładania J. E. Minasowicza K. K. J. K. M. S. w Warszawie w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego 1765.* Godło: *Qui sua non edit carmina, nostra legat.* Auson. Epigr. XXXII. 8-a, kart nlb. 3 i stron 136.

Wylicza Minasowicz na końcu (str. 130—136) polskich tłómaczy poetów klasycznych. Dedykował pracę swoją królowi i zaraz po wydrukowaniu, pod koniec października do rąk najjaśniejszego ją złożył. W początkach listopada donosiły o tém zdarzeniu gazety (2).

3) *Historia nauk wyzwolonych przez IMć Juvenel de Carlancas francuskim językim* (sic) *pisana, na polski przełożona ad usum Korpusu Kadetów J. K. Mci, w Warszawie. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego, w Drukarni Mitzlerowskiey. 1766.* 8-a, kart nlb. 6 i stron 540.

Początek, obejmujący gramatykę i języki, wyszedł w marcu, kosztował dwa złote; ciąg dalszy, zawierający rymotwórstwo — w sierpniu w cenie trzech złotych nowéj monety. W rok po wyjściu zeszytu pierwszego sprzedawano całość na papierze klejowym za sześć, na wodnym, ordynaryjnym za zł. pięć. Wychwalały książkę gazety, że zawiera „krytykę autorów, o historyi polskiéj piszących" (3). Pomnożył istotnie tłómacz dzieło wiadomościami o literaturze polskiéj, mianowicie o historykach i mówcach, lecz zgrzeszył nadmierną zwięzłością. Przypiski, trafnie zauważył Bentkowski (I, 51), „są po większéj części w tak ogólnych wyrazach wyrzeczone, że

(1) Wiadomości warszawskie z 27 lipca r. 1765. — (2) Też z 2 listopada r. 1765. (3) Też z 19 marca i 16 sierpnia 1766 i z 18 marca r. 1767.

czytelnik bardzo często w niepewności zostaje, czyli nazwany ów mówca pisał po polsku lub po łacinie, tudzież czyli pisma te wyszły z druku lub nie.“ Chwali pisma Minasowicza, „który w tym roku przełożeniem Ausoniusza epigrammatów, nadgrobków, edyllów polską mowę wzbogacił.“ W przedmowie, zwróconéj do kadetów, prawi bezimienny tłómacz (1) podniośle: „Wy tę w najopłakańszym (który tylko być może wymyślony) stanie zostającą ojczyznę waszą powinniście zaludnić obywatelami gorliwymi o jéj sławę, o uwiększenie jéj mocy wewnętrznéj i poważania postronnego, o poprawę rządów jéj w gatunku swym najgorszych. Niech was prowadzi ta zacna ambicya, żebyście otuczeni wiadomościami sposobiącemi do tego końca (jak wam przyjdzie pożegnawszy tę zaciszę ćwiczenia waszego do hucznych zabierać się powołania waszego działań), żebyście, rzekę, wy, płód nowy odmienili starą postać kraju swojego i roznosząc każdy po swojém województwie, ziemi, powiecie światła, z pilnością tutaj zebrane, oswobodzili ojczyznę od jarzma tych strasznych tyranów: *Niewiadomości i Prewencyi;* żebyście swoim uczynili przykładem pożytecznego obywatelstwa powinności i miłowonną palili ofiarę dobru publicznemu z tych uprzedzeń i błędów pieszczonych, które nierozsądek postanowił, przeciąg czasu poświęcił, potomek od przodka bez roztrząśnienia przyjął....“

4) *Przyjaciel Białychgłów z francuskiego, edycya druga. W Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. 1766.* 8-ka, stron 187.

Pierwszy przekład popularnéj książeczki Boudier de Villermet: *l'Ami des femmes, ou la Morale du sexe,* ogłoszonéj w 1758, powtórnie w 1766, wydał Mitzler w r. 1760 (8-a, stron 143). Do drugiéj edycyi polskiéj (będącéj właściwie powtórném odmienném tłómaczeniem) dodano wyjątek z książki francuskiéj: *La morale universelle etc. par le Sr. des Coustures,* oraz wierszowaną pochwałę dobréj i naganę złéj niewiasty, wybraną z ksiąg Pisma św. Wyszła książeczka w drugiéj połowie lipca, kosztowała dwa złote (2). Tłómacz, Minasowicz, ujawnił swoje nazwisko dopiéro w wydaniu późniejszém.

5) *Marka Valeryusza Marcyalisa xięga widoków rzymskich Domicyana Cesarza tudzież epigramata wybrane z xiąg jego XII. Przekładania Józefa Epifaniusza Minasowicza K. K. J. K. M. S. w Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. 1766.* 8-a, kart nlb. 3 i stron 175.

---

(1) Książę Adam Czartoryski. Jocher (I, N. 2141) myli się, przypisując przekład jezuicie Górskiemu. — (2) Wiadomości warszawskie z 23 lipca r. 1766.

W dedykacyi, poświęconéj Adamowi Czartoryskiemu, Minasowicz, wywdzięczając się za wzmiankę pochwalną, odsłonił tajemnicę, że tłómaczem *Historyi nauk wyzwolonych* Carlancasa był książę. O wyjściu donoszą *Wiadomości Warszawskie* z 19 listopada r. 1766.

6) *Stanislai Jaworski è Societate Jesu Sacerdotis Specimina literaria laborum in Reipublicae Orthodoxae atque Ecclesiae obsequia susceptorum. Sub auspiciis Illustrissimi, Excellentissimi, Reverendissimi Domini Josephi Andreae Załuski Kijoviensium Antistitis publici juris facta anno verbi abbreviati 1767. Superiorum Permissu, Varsaviae, Impensis Societatis literariae Polonae, in Typographia Mitzleriana.* 8-a, kart nlb. 7 i stron 271.

W części pierwszéj po panegirykach dla niepok. poczętéj P. Maryi, św. Ignacego Lojoli, Alojzego i St. Kostki idą: 1) *Oratio de regis Poloniarum majestate,* 2) *Salutatio panegyrica* z roku 1758 z okazyi ingresu na arcykatedrę gnieźnieńską Władysława Łubieńskiego, 3) Pochwała (z r. 1753) Antoniego Lubomirskiego wojewody lubelskiego, 4) *Judicium deputatorum ad celsissimum tribunal Regni salutatio.* Część druga zawiera *Orationes Scholasticae:* 1) Przeciw Kartezyuszowi za Arystotelesem, 2) Na czém zależy doskonała wymowa, 3) Aby umiéć naśladować Cycerona potrzeba koniecznie znać doskonale gramatykę Alwara, 4) Prawdziwa wymowa zasadza się na ozdobie wyrazów i obfitości myśli, 5) Nieochoczy do nauki wymowy młodzieniec musi się stać niecnotliwym (*Desidem in Eloquentiae studio adolescentem improbum fieri est necesse*), 6) Przeciwko krytycznéj Steinvehra rozprawie o godności królów polskich (1). Ujęte w zbiór jeden mowy wygłaszał Jaworski różnymi czasy przed młodzieżą szkolną we Lwowie. *Specimina*, dedykowane J. Andrz. Załuskiemu, wyszły przy końcu stycznia, kosztowały cztery złote (2).

7) *Tigranes tragedya we trzech aktach* z *włoskiego przekładania J. E. M. K. K. J. K. M. S. W Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego. 1767,* 8-a, stron 48.

Pisana wierszem, dedykowana Ign. Krasickiemu. Wyszła w marcu, kosztowała złotówkę (3).

8) *Małżeństwo Samnitów. Rzecz* z *Powieści Moralnych Jmci P. Marmontel Wybrana* z *Francuskiego na Polskie tłumaczona. w Warszawie w Drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. 1767.* 16-a, stron 44.

Edycya ozdobna, ukazała się w czerwcu. Egzemplarz kosztował złotówkę (4).

---

(1) Wolff Balcer Adolf de Steinwehr wydał w r. 1758 *Regiae in Polonia dignitatis origines commentatione hist. critica requisitae.*— (2) Wiadomości warszawskie z 31 stycznia 1767 r. — (3) Też z 7 marca r. 1767. — (4) Też z 10 czerwca r. 1767.

9) *Filozof indyjski albo sposób uszczęśliwienia życia ludzkiego w społeczności. Zawarty w krótkiey liczbie nauk czystych obyczajowych, zebranych y ułożonych przez jednego starożytnego Bramina. Z chińskiego języka na angielski, z angielskiego na francuski, a teraz świeżo z francuskiego na polski dla pożytku Rodaków przełożony. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey. 1767.* 8-a, kart nlb. 4, str. 76 i „zbiór rzeczy.“

Zawartość książeczki stanowi szereg artykułów: o skromności, pracy, emulacyi, roztropności, stałości, wstrzemięźliwości, nadziei i bojaźni, o wesołości i smutku, o gniewie, politowaniu, żądzy i miłości *etc. etc.* Na końcu: „Przydatek edytora, albo powieść moralna wybrana z księgi Mikołaja Reja z Nagłowic.“ Wyszła we wrześniu, egzemplarz introligowany kosztował zł. 1 gr. 15 (*). Tłómacza (Minasowicza) odsłoniła edycya druga.

10) *Pantheum mithicum* (sic) *albo bajeczna bogów historya. W tey zebranych wiadomości starożytnych xiążce krótko i iaśnie zawarta. Z Łacińskiego na Polski Język przez X. Piusa Woynę Soc. Jesu na rozkaz Xcia Jmci Adama Czartoryskiego dla Korpusu Kadetów J. K. Mci przełożona. Z przedmową Wawrzyńca Mitzlera de Kolof Filozofii i Medycyny Doktora, Dziejopisa Królestwa Polskiego, J. K. Mći Konsyliarza i różnych cudzoziemskich Akademii Towarzysza. w Warszawie. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego. 1768.* 8-a, kart nlb. 7, str. 368 i regestr.

Ozdobiony 28 pięknymi kopersztychami przekład *Pantheum* Franciszka Pomey'a należy do najwytworniejszych wydawnictw polskich z XVIII stulecia. Egzekutor pilnych względem poprawnego wydania téj książki dokładał starań. „Styl w niey — zapewniał w datowanéj 17 stycznia r. 1768 przedmowie — Polski iest, iako sam obaczysz, iasny, gładki, i iako teraźnieyszych czasów zaczynamy, czysty i żywemi niby kolorami rzecz wyrażający. W. zaś Jmć X. J. E. Minasowicz Kan. Kathedr. Kiow. nietylko błędy Drukarskie z pilnością poprawił, ale też niektóre wiersze łacińskie na Polski ięzyk wybornie przełożył. Co się mnie tycze, iam nic nie opuścił, czego potrzeba było, aby ta Edycya Polska iak nayzupełniey bez żadnych omyłek i błędów na świat wyszła, dla czegom zawsze Exemplarz Łaciński z Polskim tłumaczeniem pilnie znosił, co Greckiego było wydrukować należycie starałem się, ani żadnego kosztu na papier, druk dobry, pilne wybicie, na 28 blach miedzianych zagranicą sztychowanych nie żałowałem. Co ieżeli tak iest, żem Tobie łaskawy Czytelniku Polaku xiążkę i użyteczną i tak wyborną, iaka się ieszcze naszych czasów w Polszcze nie pokazała, ofiarował, ciesz

(*) Wiadomości warszawskie z 16 września r. 1767.

się, a moim usiłowaniom co do pomnożenia w Polszcze nauk i umiejętności sztuk wyzwolonych łaskawie sprzyiay. Który nic więcey nie żądam, abym ieno, póki mi nieba życia pozwolą, Polszcze, za Oyczyznę odemnie obraney, iak tylko bydź może był zawsze pożytecznym." Zaraz po wyjściu, w niedzielę 31 stycznia „przy zgromadzonych na pokoje zamkowe panach Jmć Pan Mitzler de Kolof, doktor i konsyliarz miał honor oddać J. K. Mci P. N. M. Mitologię albo bajeczną bogów historyę, przełożoną na polski język, pięknością stylu i kopersztychami ozdobną, którą Król Imć łaskawie raczył przyjąć." Egzemplarz bez oprawy kosztował złotych 10, introligowany *a la rustica* zł. 10, groszy srebrnych trzy (1).

11) *Początki krajopisarstwa ku pożytkowi akademii rycerskiey Korpusu Kadeckiego. W Warszawie. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego, w drukarni Mitzlerowskiey Korpusu Kadeckiego. R. P. 1768.* 8-a, kart nlb. 3 i stron 234.

W dedykacyi królowi „nayniższy, naypokorniejszy y naywiernieyszy poddany d'Edling Professor" przyznaje się do nieudolności w polszczyźnie. Wykład katechizmowy, podział materyału na mapy: pierwsza o całym okręgu ziemi, druga o Europie, trzecia o królestwie polskiém, czwarta o Prusach, piąta o cesarstwie rosyjskiém i Tataryi małéj *etc.* Uwzględniono w wykładzie organizacyę wewnętrzną państw, na końcu zaś podano wiadomości astronomiczne i zadania na temat obchodzenia się z globusem. Wyszły *Początki krajopisarstwa* pod koniec kwietnia, egzemplarz kosztował trzy złote (2).

12) *Obraz nędzy ludzkiey. Tragikomedya w pięciu aktach. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey. 1768.* 8-a, stron 108.

Tragikomedya pisana prozą, na końcu wierszowane „Przypiski edytora pod niebytność authora." Wyszła w maju, sprzedawano ją po zł. 1 gr. 15 (3). Na drugiém wydaniu z r. 1795, p. t. *Ludzkość litująca się czyli obraz nędzy ludzkiey*, figuruje jako autor Józef Załuski, a pod przypiskami owymi nazwisko swoje Minasowicz położył. „Przypiski edytora pod niebytność authora" wywołał wyjazd biskupa kijowskiego w połowie października r. 1767 do Rosyi.

13) *Nouvelle Methode pour apprendre aisément la langue latine Dediée au corps roial et militaire de Messieurs les Cadets de Pologne. Nowy sposób uczenia łatwego języka łacińskiego ofiarowany rycerskiey szkole Ichmciów panów Kadetów J. K. Mci y Rzeczypltey. W Warszawie, w Drukarni J. K. Mci y Rzeczypospolitey Korpusu*

(1) Wiad. war. z 3 lutego 1768.—(2) Też z 4 maja 1768.—(3) Też z 28 maja 1768.

Kadetów Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego. 1768. 8-a, kart nlb. 6, stron 227 i *Tablette des calendes, des nones et des ides.*

Podręcznik w języku francuskim i polskim. Pod przedmową podpisał się François Fookowitz. Wyszedł we wrześniu, cena egzemplarza zł. cztery. Sprzedawał i sam autor, Mr. l'Abbé Fookowitz w mieszkaniu swojém na Długiéj w pałacu Ciecierskich (1). Mitzler wyjednał u króla podpisany 29 lipca r. 1768 przywiléj na lat 50, zabraniający przedruku pod karą 1000 czerw. złotych w połowie na rzecz wydawcy, w drugiéj na korzyść skarbu. Znać za pozwoleniem Mitzlera ukazała się w r. 1773 edycya Grelowska.

14) *Józef Starozakonny. Tragico-komedya w pięciu aktach wierszem nierythmowym przez X. Józefa Minasowicza Kanonika Kathedr. Kijowskiego z innemi drobnieyszemi na końcu przydatkami z łacińskiego przełożona. W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey Korpusu Kadetów. Nakładem Towarzystwa Literatów w Polszcze ustanowionego. 1768.* 8-a, stron 84.

Rymowane przydatki składają: 1) Józef starozakonny syn Jakóba patryarchy, wielkorządca Egiptu z Emmanuela Thesaura, 2) Józef albo ucieczka od okazyi grzechowych, 3) Tróyca znakomitych Józefów w piśmie św. Niektóre z nich były przedrukiem; trzeci wzięto z części III (str. 350) *Zbioru rytmów* Minasowicza. Wyszedł *Józef starozakonny* w październiku w cenie złotówki (2).

15) *Filozof indyjski etc. przełożony przez J. E. M. K. K. J. K. Mci Sekr. Edycya druga. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey. 1769.* 8-a, kart. nlb. 3, stron 78 i „zbiór rzeczy."

Z wyjątkiem opuszczonéj kartki „Wprowadzenia do rzeczy", edycya bez zmiany. Wyszła w lutym, egzemplarz introligowany *a la rustica* kosztował zł. 1 gr. 15 (3).

16) *Wyobrażenie poczciwego człowieka JMści X. Goussaulta, Licencyata Akademii Sorbońskiey y Konsyliarza Parlamentowego po francusku określone a przez Józefa Epifaniusza Minasowicza K. K. J. K. M. Sekr. oyczystym piórem wyrażone. Edycya druga. W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. R. P. 1769.* 8-a, kart nlb. 8, stron 157 i regestr.

Przekład popularnéj książeczki: *le Portrait d'un honnête homme,* która w r. 1700 w trzeciém wyszła wydaniu, a w 1762 ukazała się u nas po polsku. Dodatki do drugiéj edycyi składają: 1) Mowa Isokratesa krasomówcy atheńskiego do Demonika z tłomaczenia francuskiego

---

(1) Wiad. war. z 10 września r. 1768. — (2) Też z 19 października r. 1768. — (3) Też z 18 lutego r. 1769.

Regniera; 2) *Extrait du livre: Essai sur les moeurs, imprimé a Paris 1756*,—tekst francuski z przekładem; 3) Mądrość ludzka albo wyobrażenie poczciwego człowieka przez JMci X. Franciszka de Solignac de la Mothe Fenelona, arcybiskupa xiążęcia Kameraceńskiego, wierszem francuskim określona, przez J. E. M. rytmem oyczystym przełożona,—z tekstem oryginalnym; 4) Uwagi niektóre y Maxymy moralne Graffa Szwedzkiego Jana Oxensztyrna z franc. W dedykacyi podskarbiemu wiel. kor. Teodorowi Wesslowi wykłada Minasowicz historyę rodu tego pana, zaznaczając z naciskiem, że matka jego, kasztelanka rawska Teresa Załuska, była stryjeczną siostrą biskupa kijowskiego. Opuściła prasę książeczka we wrześniu, kosztowała zł. 2 gr. 15 (1).

17) *Sielanki polskie z różnych autorów zebrane a teraz świeżo dla pożytku i zabawy Czytelników przedrukowane. Nakładem Towarzystwa Litteratów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie, w Drukarni Mitzlerowskiey Korpusu Kadetów. 1770.* 8-a, kart nlb. 7 i str. 424. Po umieszczonym na czele wyjątku z *Historyi nauk wyzwolonych* Carlancasa „O wierszu Pasterki rzeczonym albo bukoliki“ idą: 1) Simona Simonidesa sielanki według wydania Marcina Łęskiego z roku 1614; 2) Sielanki nowe ruskie różnym stanom dla zabawy teraz świeżo wydane przez Simeona Zimorowicza Lwowianina r. 1663; 3) Roxolanki to jest: Ruskie panny na wesele B. Z. z K. D., według wydania z roku 1654; 4) Sielanki Jana Gawińskiego z wyd. r. 1668; 5) Sielanka i różne nagrobki z przydatkiem innych authorów przez Gawińskiego z wyd. r. 1650; 6) Bucolica albo pasterki P. Wirgiliusza Marona, przekład Nagurczewskiego; 7) Minasowicza sielanki: Polifem, Ulysseus, Orfeusz ze zbioru rytmów jego polskich wybrane; 8) Biona Smyrneńczyka lament Wenery nad Adonisem, — tekst łaciński z przekładem. Każda część ma oddzielną kartę tytułową: na pierwszéj i drugiéj zaznaczono: „przedrukowane w drukarni Mitzlerowskiey R. P. 1769“; na dalszych i na naczelnéj wyrażony rok 1770. Pod dedykacyą Adamowi Czartoryskiemu podpisany *N....* W przedmowie, datowanéj 26 kwietnia r. 1770 Mitzler zaznacza, że dopomógł mu Minasowicz przez dostarczenie z własnéj biblioteki Roxolanek Zimorowicza i zapowiada wydanie wszystkich ód Horacyusza w przekładzie. Ukazały się *Sielanki* w maju, egzemplarz introligowany *a la rustica* kosztował zł. 6 gr. 15 (2).

Z wydawnictw towarzystwa nie wszystkie wagi są równéj. Na *Specimina* Jaworskiego szkoda było zachodu i kosztu; *Obraz nędzy* Załuskiego, jeden z tych utworów, które biskup dla rozrywki zwykł

(1) Wiadomości warszawskie z 6 września r. 1769. — (2) Też z 9 maja r. 177.

był układać w podróży, — mógł bez krzywdy dla literatury w rękopiśmie pozostać. Nie bez wartości są przekłady prozą i wierszem Minasowicza, który do najzawołańszych literatów należał; rzetelny zaś zaszczyt przynoszą towarzystwu książki pedagogiczne: Carlancasa, Fookowitza, d'Edlinga, Pomey'a, zwłaszcza, że pisane po polsku. Znać, że towarzystwo żywo potrzebę książek szkolnych brało do serca, skoro, nie ograniczając się na przekładach rzeczy tak dobrych, jak *Historya nauk wyzwolonych* i *Pantheum*, nie zaniedbało i do układania dzieł oryginalnych autorów nakłaniać. Namówiło Fookowitza i profesora d'Edlinga, przedsięwzięło też starania około wydania gramatyki polskiéj. *Grammatyka powszechne wszystkim językom i własne polskiemu prawidła w sobie zamykająca, dla doskonalszego w oyczystey mowie połowu, a tym prędszego i łatwieyszego od oboiey płci młodzieży obcych języków pojęcia, z dyspozycyi Prześwietnego Towarzystwa Literatów przez M. Walentego Szylarskiego w przesławney Akademii Krakowskiey nauk wyzwolonych i filozofii doktora i professora do Collegium wezwanego ułożona R. 1767* była już zupełnie gotową; jedynie obszerność dzieła powstrzymała towarzystwo od ogłoszenia jéj drukiem (1). Przez dostarczanie podręczników i pomysł opracowania gramatyki polskiéj wyprzedzała *Societas literaria* działalność Towarzystwa do ksiąg elementarnych i najlepszych w Komisyi edukacyjnéj głów naszych w sprawie przekształcenia szkolnictwa.

Niewątpliwie, że ruchliwy *Promotor* w pracach towarzystwa rolę grał ważną; zalecone jednak przez niego dziełka: J. J. de la Borde i Jaworskiego nie zdradzają w kierowniku poglądów wyższych. Na wyjeździe z kraju wielbiciela francusczyzny i scholastycyzmu towarzystwo nie cierpi; sądząc z jakości i liczby wydanych książek, krząta się skuteczniéj, niż przedtém. Donioślejszy był za to wpływ Czartoryskiego, który dla zaopatrzenia korpusu kadetów w dobre książki podręczne, nietylko wyszukiwał autorów, lecz i sam, tłómacząc *Historyę* Carlancasa, pracy nie skąpił. Niezmordowany Minasowicz dostarczał własnego przekładu utworów poetycznych i książeczek treści moralnéj, czuwał też nad stroną literacką wydawnictw. *Executor* przez ozdobność, a nawet wykwintność druków na dobre jako typograf zasłużył imię. Tłoczył i sprzedawał je najprzód na ulicy Dunaju; w roku 1768, zostawszy drukarzem korpusu kadetów, przeniósł kaszty do koszar kazimierowskich, z księgarnią zaś ulokował się w kamienicy adwokata konsystorskiego Niegardowskiego na Piwnéj (2).

---

(1) Wisłocki. Krótka wiadomość o Towarzystwie literatów, str. 11.
(2) Wiadomości warszawskie z 23 lipca r. 1768.

Po największém natężeniu w r. 1768 ruchliwość towarzystwa słabnie. W r. 1769 zdobywa się na dwa tylko drobne przedruki; szczęśliwym pomysłem wydania *Sielanek* grono „niemniéj rodowitością, jako też mądrością“ (według wyrażenia Szylarskiego) zaszczyconych mężów pięcioletnią działalność zamyka (1). Pozostałe na składzie w księgarni Mitzlera wydawnictwa towarzystwa literatów były egzekutor od czasu do czasu w ogłoszeniach publiczności zalecał. Po śmierci Mitzlera (1778) zbywano je na Wielopolu za żelazną bramą, we dworku Imć Pana Zacharkiewicza razem z nakładami nieboszczyka „za cenę mierną.“ Nabył resztki księgarz Poser i po zniżonéj sprzedawał cenie (2).

Podczas najruchliwszéj działalności literatów, w jesieni r. 1767 zawiązało się Warszawskie towarzystwo fizyczno-chymiczne. Przyjmowało na członków zarówno cudzoziemców, jak i krajowców, uformowało się zaś dla badania zjawisk fizycznych, rekomendowania obywatelom skutecznych lekarstw, przedewszystkiém zaś dla udzielania wskazówek praktycznych ku podniesieniu w kraju przemysłu rolnego i fabryk. Podejmowało się na własny koszt analizy nadesłanych minerałów i ciał płynnych; przyrzekało nie ujawniać rezultatów badania, dopóki doświadczenie ich zastosowania praktycznego nie stwierdzi. Przedmioty i listy w języku łacińskim, niemieckim i francuskim odbierało przez Grela; na wszelkie zapytania zobowiązywało się odpowiadać w przeciągu miesiąca. W kwietniu r. 1768 wypuściło towarzystwo pierwszy zeszyt wydawnictwa p. t. *Vermischte Abhandlungen der Physisch-Chymischen Warschauer Gesellschaft zur Befoerderung der praktischen Kenntnisse in der Naturkunde, Oeconomie, Manufakturen und Fabryken, besonders in Absicht auf Polen;* w grudniu tegoż roku wyszedł nakładem Michała Grela Kommisarza Nadw. y Bibliopoli J. K. Mci przekład X. P. Twardego: *Różne uwagi fizyczno-chymicznego warszawskiego Towarzystwa na rozszerzenie praktyczney umiejętności w fizyce, ekonomii, manufakturach y fabrykach, osobliwie względem Polskiey.* Zeszyt oryginału kosztował *in crudo* zł. 1, *a la rustica* zł. 1¼; tłómaczenia (8-a, stron 93 z kopertszychem), które się opóźniło dla zamieszek krajowych, zł. 1½ (3). Zeszyt drugi oryginału i tłómaczenia (8-a, stron 91) niewiadomego pisarza wyszedł w maju w roku następnym (4). Po wstępie,

(1) Źródła funduszów towarzystwa nie znamy. Czyżby obracało projektowanymi w statucie z r. 1765 wkładami członków po 20—50 czerw. złotych? Z wiadomością Załuskiego, że *Specimina* Jaworskiego swoim kosztem wydał (*Biblioteka historyków etc.* str. 50), nie zgadza się napis na karcie tytułowéj: *Impensis Societatis.*

(2) Gazeta warszawska z 14 października i 16 grudnia 1778, z 24 lutego r. 1779.

(3) Wiadomości warszawskie z 13 kwietnia i 24 grudnia r. 1768.

(4) Też z 24 maja r. 1769.

datowanym 1 października r. 1767, zaznaczającym niewyzyskane bogactwa Polski i potrzebę pracy około podniesienia przemysłu rolnego i fabryk, pomieściła część pierwsza rozprawki: o chemii, jéj zakresie i celu; o kamforze z ziół krajowych; uwagi nad różnicą pomiędzy wodą twardą i miękką; o chemiczno-ekonomiczném przygotowaniu ołowiu; opis niektórych fabryk i manufaktur, któreby z wielką korzyścią w Polsce założone być mogły; o różnorodności gór, udoskonaleniu nauki lekarskiéj, białym proszku mineralnym „z saydszycu", o chorobach bydlęcych i ich leczeniu. W części drugiéj podano: o robieniu cegły, pożytku chowu kóz, o kilku gatunkach ziemi z pod Krakowa, o piasku złotym, fabrykacyi potażu, o piecach, potrzebie laboratoryum chemicznego itp. Mały towarzystwo budziło w kraju interes; z czterech odezw: jednéj z prośbą o analizę piasku złotego, drugiéj, potrącającéj potrzebę fabrykacyi porcelany,— dwie komunikowały mu niezadowolnienie i monita. Pierwszy bezimienny, zarzucając wydawnictwu niedostępność w traktowaniu przedmiotów, żądał wykładu elementarnych nauki początków; drugi uznawał towarzystwo za niepotrzebne, pismo jego za pozbawione dowcipu. Poprzestało téż towarzystwo na ogłoszeniu dwóch zeszytów wydawnictwa i w r. 1769 upadło.

Ówczesne warunki polityczne pozbawiały towarzystwa naukowe prywatne poparcia ogółu; państwo, trapione zamieszkami i wojną, ani im opieki udzielić, ani się samo na dźwignięcie odpowiedniéj instytucyi zdobyć nie mogło. Funkcyonowały przeto towarzystwa opieszale i krótko; wiele dobrych pomysłów marniało w chwili poczęcia tak samo, jak uchwalona konstytucyą z r. 1768 akademia lekarska, która w życie nie weszła nigdy. Nie przyczyniały się do trwałości towarzystw i usposobienia mecenasów ówczesnych, najlepszemi często ożywionych chęciami, lecz nieuzdolnionych do pracy w gromadzie. Książę Józef Aleksander Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, zabiegał około ułożenia dokładnéj mapy Rzeczypospolitéj; fundował w Gdańsku *Acta literaria* tj. bibliotekę kontynuatorów Kromera i wszelkich nowych na obszarze Polski wydawnictw; w listopadzie r. 1760 przedstawił uczonym warszawskim projekt czterech medali za rozprawy z geometryi, mechaniki i hidrauliki, z fizyki i dziejów polskich (1);—zamiary te przecież, jako przechodzące siły jednostki, albo spełzły na niczém, albo wydały

(1) Biblioteka warszawska z r. 1842, t. II, str. 319. Tego rodzaju konkurs nie był nowością; Załuski, biskup krakowski, z okazyi inauguracyi biblioteki wzywał w r. 1746 literatów do upamiętnienia faktu wierszami lub prozą. „Destynował medaliony szczerozłote *pro proemio* tym, których lukubracye będą za najdoskonalsze osądzone" (*Kurjer polski* z 27 lipca r. 1746).

rezultaty ułomne. Mapę wydał w r. 1772 Rizzi Zannoni, lecz z licznymi błędami; biblioteka nie odznaczała się chyba zosobnością, skoro pamięć o niéj zanikła; premia do skutku doszły (1), stały się nawet zawiązkiem towarzystwa naukowego, które jednak wpływu na umysłowość polską nie wywarło zgoła żadnego. W r. 1765 przesłał Jabłonowski towarzystwu gdańskiemu 90 czerw. złotych dla wypłacenia autorom najlepszych rozpraw na następujące tematy: 1) „Przyjście Lecha do Polskiey koło r. 550 jeśli może być dowiedzione lepiey, niż dotąd świadectwami authorów tegoż albo nieco późnieyszego wieku, czy też cale ma być odrzucone“. 2) „Rozmierzyć i podzielić jak naylepiey las albo błocka niedostępne i nieprzeyrzane i pokazać, jak daleko rozciągają się, oraz czy po uczynionym rachunku jak należy można się pomylić, zażywszy albo niezażywszy do tego instrumentów“. 3) „Jakim sposobem nowym można ubezpieczyć brzegi przeciwko pędowi wód i lodu, skupionego w rzekach bystrych, ażeby jak naymnieyszym kosztem zabiedz biegowi wód kry zgromadzonéy“. Rozprawy, pisane po łacinie, po francusku lub po niemiecku należało nadsyłać na ręce sekretarza towarzystwa gdańskiego, doktora medycyny Schefflera przed 1 lutego r. 1766; ubiegające się o nagrodę nie powinny więcéj czasu nad godzinę zająć w czytaniu. Na sędziów wyznaczył Jabłonowski członków towarzystwa; rozdanie nagród miało nastąpić na publiczném posiedzeniu w dzień imienin księcia, 19 marca r. 1766. Jakoż w terminie oznaczonym „numizma złote, ważące czerw. zł. 30“ przyznano: za zadanie geometryczne wychowańcowi akademii wileńskiéj, komornikowi kowieńskiemu Awerowi; za fizyczne (temat trzeci) sekretarzowi toruńskiemu Hubemu; premium zaś „rozwiązaniu historycznéj trudności służące“, z powodu małéj liczby nadesłanych rozpraw odroczone do 19 sierpnia, otrzymał August Ludwik Schloetzer (2). Rychło atrybucye towarzystwa gdańskiego przeniósł książę mecenas na profesorów uniwersytetu lipskiego. Osiadłszy w r. 1770 w Saksonii, ufundował w Lipsku przeważnie z profesorów miejscowych pod nazwą *Societas Jablonoviana (Jablonowskische Societät der Wissenschaften)* towarzystwo dla wyznaczania tematów i nagradzania premiami (24—30 duk.) lub medalami złotymi autorów najlepszych rozpraw z historyi, umiejętności fizyko-matematycznych i ekonomii. Na

(1) Chwalił za nie księcia J. D. Hoffmann w broszurze: *Ad Josephum Alexandrum e ducibus Prussiis principem Jablonovium, fundatorem proemiorum, quibus operas doctissimorum virorum quotannis condecorari decrevit, fausta acclamatio*. 1761. 8-a.

(2) Wiadomości warszawskie z 6 listopana 1765, z 17 maja i 4 czerwca r. 1766. Na medalach były napisy: za historyę — *Monumentum auro carius aere perennius;* za fizykę — *Recedant vetera, nova sunt omnia;* za trygometryę i matematykę — *Post tenebras spero lucem.*

rok 1772 następujące ogłaszano w gazetach tematy: 1) „Jakie były dawne mieszkania Wenedów i Antów? co to był za lud Wenedów, mieszkający na brzegach morza Adryatyckiego, który podług Strabona, Polibiusza i Liwiusza nie umiał ani greckiego, ani łacińskiego, ani Gaulów języka; jaki tych narodów mógł być związek lub społeczność z Czechem i Lechem?“ 2) „Pokazać dowody z jak największéj autorów liczby, jeśli od rzeki Elby i z innych krajów niemieckich Wilzesowie, Serbowie albo Sorabowie przybyli do Kroacyi i Dalmacyi, albo jeśli z Illyryku przyszli do Niemiec“; 3) „Znaleść odległość jednego miejsca przystępnego albo nieprzystępnego z instrumentami albo bez instrumentów, jak czynią Francuzi, a to różnymi sposobami; tożsamo ma się rozumiéć o zmierzeniu wysokości i głębokości“. Rozprawy w języku łacińskim przed 1 maja r. 1772 należało nadsyłać na ręce profesora krasomówstwa, IPana Ernesti (1). Rozpoczęło też w r. 1771 towarzystwo wydawać: *Acta Societatis Jablonovianae,* zarówno jednak dla składu swego, jak i z powodu odległości, wpływu na Polskę wywrzéć nie mogło. Słusznie o Jabłonowskim napisał Kołłątaj, że więcéj w fundacyi lipskiéj własnéj szukał sławy, niż oświecenia obywatelów ojczyzny (2). Znać za przykładem Jabłonowskiego wystąpił w r. 1770 z premiami i biskup wileński Massalski. Przeświadczony, „że rozum, prawdziwie objaśniony równie pomaga do poprawienia obyczajów, jako téż do utwierdzenia nas w świętéj wierze naszéj“, wyznaczał medale wagi 30, 20 i 10 czerw. złotych „za ułatwienie trzech kwestyi i w ogólności innym i w szczególności Litwie pożytecznych“: 1) „Które wiadomości i które cnoty potrzebne są dobremu Plebanowi, ażeby chwalebnie zadość czynić swoim powinnościom jako obywatel i jako Pasterz? oraz jakich należy użyć środków do tego tak wielkiego zamysłu wykonania“ (3). 2) „Jakaby powinna bydź edukacya młodzi szlacheckiey, których urodzeniu mniey sprzyja dostatkami fortuna, ażeby ich uczynić prawdziwie pożytecznymi Oyczyźnie?“ 3) „Jakie nauki należałoby dawać kmiotkom, tey tak szacowney cząstce społeczeństwa ludzkiego, a tak u nas upodloney?“ Wolno było pisać po łacinie, po francusku, po niemiecku lub też po polsku; rozdanie nagród nastąpić miało w r. 1770 we wrześniu (4). W r. 1774 za najlepsze rozwiązanie kwestyi pedagogicznéj („Co bardziéj zachęca

---

(1) Wiadomości warszawskie z 23 listopada r. 1771.

(2) Kołłątaj. Stan oświecenia w Polsce. Poznań, 1841. II, 56.

(3) Prawdopodobnie z tematu tego ks. J. Kossakowski wziął pochop do napisania dziełka p. t. *Xiądz Pleban.* Część I. Za przywilejem, Warszawa, 1786, u Grela. Z godłem: *In aedificationem et non in destructionem.*

(4) Wiadomości warszawskie z 17 stycznia r. 1770.

młódź do nauk: czy nagrody i pochwały, w szkołach jéj dawane, czyli téż urzędy krajowe ludziom, przez edukacyę i ćwiczenie się w naukach do usług publicznych uformowanym i zdolnym, otwarte?") ofiarował profesorowi szkół mińskich, Michałowi Dudzińskiemu medal wartości 15 czerw. zł. pisarz w. lit. ksiądz Paweł Brzostowski; mecenasował podkomorzy mozyrski Gedeon Jeleński, którego kosztem Bohomolec wydał dzieła Kochanowskiego, przysłowia Fredry i *Stateczność umysłu* Jędrzeja Kryszpina; nie żałował na druk książek wojewoda witebski Sołłohub; żaden jednak z dobrodziejów skupienia sił naukowych i ujęcia ich w karby organizacyi przeprowadzić nie umiał (1). Dużo inicyatywy i zapału posiadał Załuski, lecz dla przygód życiowych poza kres wielkich projektów i pięknych aspiracyi nie wyszedł. Dla zyskania możności utworzenia akademii nauk i sztuk starał się o przyłączenie do swéj biblioteki jakiéj królewszczyzny i stosowny w téj sprawie złożył Stanisławowi Augustowi memoryał (2); przez wyjazd jednak do Rosyi zrealizowania zabiegów musiał zaniechać. Podczas pobytu w Kałudze podziwiał Francyę, że kilkanaście po różnych prowincyach posiada towarzystw „a przez to następuje większy polor w naukach i większa w posiedzeniach literackich emulacya"; układał powzięty jeszcze przed wyjazdem do Rosyi projekt ufundowania nagród za prace z teologii, historyi, krasomówstwa i rymopistwa (3); po powrocie zaś w r. 1773 do kraju myśl założenia akademii podjął nanowo. Grunt dla zamiarów swoich znalazł teraz pewniejszy, podczas bowiem kilkoletniéj nieobecności biskupa ruch umysłowy w kraju pomimo najfatalniejszych warunków politycznych wzrósł nieco; budziła się też świadomość potrzeby zorganizowanéj nad nauką pracy, do czego niemało się przyczynił Stanisław August.

III.

Obiady czwartkowe: kółko do uprawy umiejętności politycznych i projekt zgromadzenia prawnych ludzi z r. 1772. Projekty akademii umiejętności podczas sejmu delegacyjnego i *Musaeum polonicum*. Dubois i założone przez niego towarzystwo fizyczne (1777 — 79). Towarzystwo krytyczne z r. 1789.

Kiedy mecenasi albo omijali sprawę ogniskowania sił naukowych, albo w jéj uprawie chybiali,—w poszukiwaniu pewniejszéj dla

---

(1) Około r. 1773 założył podobno akademię w Rydzynie książę August Sułkowski „lecz wąski okrąg tego miasta nie pozwolił się rozwinąć tak wielkiemu zamiarowi, który z uszczupleniem dostatków xiążęcia zupełnie upaść musiał" (Litwiński *l. c.* str. 25).

(2) Biblioteka warszawska z r. 1848, t. II, str. 574.

(3) Biblioteka historyków *etc.*, str. 174.

towarzystw podstawy zwracali niektórzy mężowie oczy na króla. „Spodziewamy się,—pisał w r. 1766 Czartoryski—że pod mądrym króla, a rodaka naszego panowaniem, który jako swój naród, tak i język kocha, zaniedbana polszczyzna pocznie się wydoskonalać; że się jakie zjawi Towarzystwo ludzi uczonych, które, zachęcone łaską i pańskimi względy, wsparte zaś stałą hojnością, ułoży nam doskonałe gramatyki, napisze słowniki wszystkich kunsztów, nauk i rzemiosł, wskrzesi stare słowa i one odnowi, wynajdzie nowe, wyznaczy ich używanie, nachylanie, wagę, wymawianie; odrzuci i zakaże pod grzechem szkolnym i karą cenzury Apollina wszystkich makaronizmów i inne pożyteczne w języku rozporządzenia uczyni" (1). Na początku r. 1768 rozeszła się po Warszawie i „ucieszyła niezmiernie wszystkich naukę kochających pogłoska," że akademia dla uprawy języka polskiego „wkrótce" dojdzie do skutku. Założycielowi jéj zapewniał redaktor *Monitora* sławę nieśmiertelną; usilnie zaś zalecając „najpierwsze staranie" o ułożenie słownika języka polskiego, wskazywał na bogate materyały w Knapskim i w pisarzach wieku złotego. Największą przewidywał trudność w tworzeniu nowych wyrazów, „które dla uczynienia większéj języka naszego obfitości wielce są potrzebne"; radził téż żartobliwie przyszłym autorom słownika korzystać w tym względzie z pomysłowości niewiast (2). Jako twórca akademii figurował niewątpliwie w pogłosce owéj Stanisław August, który nie w takim zakresie i w odmiennym kierunku, odpowiedział przecież oczekiwaniom przez otwarcie obiadów czwartkowych.

Zapraszał Poniatowski na obiady do zamku zarówno ludzi talentu, jak wiedzy. Albertrandy, Bacciarelli, Bielawski, Bogusławski, Bohomolec Fr., Chreptowicz Joachim, Czaplic Celestyn, Czartoryski Adam, Gawroński Andrzéj, Jakubowski Wojciech, Karpiński, Konarski, Krasicki, Kublicki Stanisław, Lachowski Sebastyan, Lesser miniaturzysta, Łojko, Merlini, Mniszech Michał, Mokronowski Andrzéj, Nagurczewski Ignacy, Naruszewicz, Ogiński Tadeusz, Ogrodzki Jacek, Piramowicz, Piwnicki Waleryan, Poniatowski Stanisław, Portalupi, Potocki Ignacy, Smuglewicz, Strzelecki Wojciech, Szembek Krzysztof Hilary, Śliwicki Piotr Jacek, Trembecki, Vogel, Wyrwicz Karol, Zabłocki (3),—a więc uczeni, poeci, artyści, mówcy, statyści i pedagodzy równego doznawali zaszczytu. Zaproszenie na

---

(1) W dodatkach do przekładu *Historyi nauk wyzw.* Carlancasa, str. 79.

(2) Monitor z 16 kwietnia r. 1768. Artykuł Bohomolca, o czém świadczy dopisek Minasowicza na egzemplarzu w bibl. ord. Krasińskich.

(3) Wojcicki. Archiwum domowe. Warszawa, 1856, str. 21. Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich. Lipsk, 1868, str, 35.

obiad czwartkowy było niejako pasowaniem na mistrzowstwo w nauce, poezyi lub sztukach pięknych; objawem uznania dla talentu i wiedzy, nagrodą położonych już zasług publicznych. Portretami tych znakomitości pędzla Marteau obwiesił Stanisław August ściany komnaty zamkowéj, poprzedzającéj pokój marmurowy królów; kazał téż Naruszewiczowi biografie ich skreślić (1). Odbywały się obiady z pewną obrzędową uroczystością, miały charakter posiedzeń akademickich. Nie potrzebowano się krępować w wymianie zdań, ani wędzidła nakładać na humor; obecność jednak gospodarza trzymała wszystkich w karbach przyzwoitéj powagi. Król, przewodnicząc posiedzeniu, dawał inicyatywę i do dyskursu pobudzał (2); współbiesiadnicy czerpali pochop do rozpraw w chęci zwrócenia na się uwagi szafarza zaszczytów i łask. Kto się nowém dziełem dobrze zasłużył muzom, znajdował, siadając do obiadu, zawinięty w serwecie medal złoty lub srebrny, z jednéj strony mający popiersie króla, z drugiéj napis: *Merentibus* i trzy wieńce: dębowy, oliwny i laurowy. Budziło to emulacyę i ochotę do pracy. Młody Franciszek Zabłocki, otrzymawszy medal za pierwszą komedyę oryginalną *Sarmatyzm*, przyniósł na następny obiad czwartkowy napisanego w przeciągu tygodnia *Fircyka w zalotach* (3). Po obiedzie gawędzono o książkach i sztuce, czytali téż autorowie nowe pióra swego utwory. Jakubowski deklamował tłómaczenia bajek Lafontaine'a, Naruszewicz ód i satyr Horacego, Nagurczewski bukolik Wirgila, Krasicki ustępy z *Myszejdy* (4). Organem uczestników obiadów czwartkowych były oprócz *Monitora* (5) założone w r. 1770 *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, redagowane najrzód przez Naruszewicza, późniéj przez Albertrandego. Wychodziły arkuszami co wtorek, zasilane zaś były przez takie w różnych rodzajach literatury powagi, jak Bielawski, Bohomolec, Czaplic, Czyż, wojewoda Jabłonowski, Jakubowski, Kniaźnin, Korytyński, Krasicki, Minasowicz, Mniszech Michał, Nagurczewski, Oraczewski, Piramowicz, Adam Rzewuski, Wincenty Skrzetuski, Szymanowski, Trembecki, Węgierski, Zabłocki, Józef Załuski. Niektó-

---

(1) Bartoszewicz. Znakomici mężowie polscy w XVIII w. I, 63.

(2) Wziął z tego Węgierski asumpt do złośliwego o obiadach czwartkowych wierszyka.

„Król na nich musi wszystkie zastąpić expensa:
I wina i dowcipu, rozumu i mięsa".

(3) Przyjaciel ludu z r. 1837, t. II, N. 27 i 28. Do wydania *Fircyka w zalotach* z roku 1781 dodaną jest na czele oda do króla przy podaniu téj komedyi na posiedzenie czwartkowe.

(4) Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, str. 35.

(5) O autorach jego patrz dopisek na końcu rozprawy.

rzy, jak Szymanowski i Węgierski, rozpoczęli w tém piśmie zarabiać na sławę; wielu—Chołoniewscy, Czarnek, Gawdzicki, Kończa, Kralewski, Leśniewski, Michniewski, Piasecki, Sosiński, Urbanowski itp. poprzestało na pomieszczeniu w niém prób literackich i rozgłosu nie dobiło się nigdy. Drukowali autorowie w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych* czytane na obiadach czwartkowych rozprawki i rymy; pomieszczali téż mnóstwo ku uczczeniu Stanisława Augusta i krewniaków jego wierszy pochwalnych. Nadawało to pismu barwę dworactwa, którém przy stole królewskim znakomitości ówczesne przesiąkły mocno. W r. 1771 w charakterze obiadów czwartkowych ważny zachodzi przełom: uczestnicy, nie ograniczając się na czytaniu utworów, dyskusyi i zasilaniu swych organów, poczynają myśléć o wiązaniu się w sekcye. Utworzona dla uprawy i popularyzowania teoryi politycznych rozpoczęła działać najwcześniéj.

„Pewne Towarzystwo ludzi, dobro publiczne i nauki kochających", ogłaszało w *Wiadomościach warszawskich* z 20 marca r. 1771, jako przedsięwzięło wydawnictwo pisma tygodniowego, mającego przedstawić „stan polityczny, cywilny i zakonny państw starożytnych"; jednocześnie dołączyło do gazet „projekt... który obszernie wyraża cel, kształt i rozporządzenie onego"... Ów projekt, a raczéj prospekt wychwala pisma: *Monitora, Zabawy przyjemne i pożyteczne, Zbiór różnego rodzaju wiadomości* i *Wybór ekonomicznych wiadomości;* zarzuca im jednak, że „o różnych rzeczach traktują, żadnego z sobą związku niemających, a częstokroć sobie przeciwnych"; że jako zbiorowa praca osób nieznających się „nie mogą miéć doskonałości, którą byłyby obdarzone, gdyby albo jeden oświecony człowiek one wydawał, albo wiele ludzi, ku publicznéj przysłudze stowarzyszywszy się, rzecz do pełnienia przedsięwzięli, materyą krajowi pożyteczną a z siebie saméj miłą obrali, na części główniejsze podzielili, kształt pismu a polor i gładkość wyrazom dali"... Z takich to względów „towarzystwo przyjaciół kilku" zamierzylo wydawać tygodnik, a raczéj ogłaszać arkuszami dzieło o organizacyi wewnętrznéj państw starożytnych. Postanowiło najprzód przedstawić zwierzchność krajową w Egipcie, Grecyi i Rzymie, następnie opisać układ społeczny, a w końcu stosunki religijne. „Mamy ufność,—pisało—że będziesz miał przezacny narodzie w pracy przedsięwziętéj zbiór takowych wiadomości, które ci sprawy dawnych wieków i państw odmianę na uwagę namykając, nauczyć mogą, czego się w rządzie politycznym wystrzegać, o co należy się starać i ubiegać. Przyczyny upadku lub powstania i wzrostu mocy politycznéj same z uważnego czytania jaśnie dadzą się poznać i dopomódz mogą do pomnożenia dobra pospolitego i wolnego rządu ocalenia." Prenumerata roczna wy-

dawnictwa, zapowiedzianego na kwiecień, wynosiła dukata. W każdą sobotę miał być jeden arkusz dołączany do gazet.

„Towarzystwo przyjaciół kilku“ składało sześciu uczestników obiadów czwartkowych. Podzieliwszy pomiędzy siebie materyał, roztrząsali wspólnie opracowania pod względem treści i formy, czytali je następnie na obiadach czwartkowych i oddawali pod prasę. Pierwszy arkusz wyszedł z druku 18 kwietnia 1771, ostatni w końcu marca r. 1772 (1). Powstał w ten sposób tom pierwszy całości p. t. *Historya polityczna państw starożytnych od pewnego towarzystwa napisana* (Za pozwoleniem zwierzchności. W Warszawie, w Drukarni J. K. Mci i Rzeczypospolitéj *in Coll. Soc. Jesu*, MDCCLXXII, 4-a, kart nlb. 7, stron 399), zaopatrzona w godło: *Pulchrior è variis*, dedykowana królowi (2). Po dedykacyi i przedmowie idzie „Wstęp do pisma tygodniowego o stanach politycznym, cywilnym i duchownym państw starożytnych, t. j. o zwierzchności krajowéj w powszechności“ (str. 1 — 144), podznaczony literami *K. W.* Księga pierwsza, traktująca o zwierzchności krajowéj w szczególności, dzieli się na pięć rozdziałów: 1. Egipt (str. 145—274) opracował *W. P.*, 2. Grecyę pod Amfiktyonami (str. 275—304) *W. S.*, 3. Sycyon, Argolidę, Myceny, Arkadyę (str. 305—315) *M. S.*, 4. Ateny (str. 316—380) *J. S.*, 5. Teby (str. 381—399) *A. N.* Odgadujemy, chociaż nie z jednakową wszystkich pewnością, współautorów *Historyi:* rektora kolegium jezuickiego Karola Wyrwicza, miecznika ziem pruskich Waleryana Piwnickiego, profesora kolegium pijarskiego Wincentego Skrzetuskiego, pijara Michała Stadnickiego, kasztelanica rawskiego Józefa Szymanowskiego i profesora kolegium jezuickiego Adama Naruszewicza. Przynajmniéj Wyrwicz, Skrzetuski, Szymanowski i Naruszewicz wątpliwości nie budzą.

---

(1) Wiadomości warszawskie z 19 kwietnia 1771 i z 28 marca r. 1772.

(2) Genezę téj książki wyjaśnia broszura: *Do Prześwietnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk* (Warszawa. 1801, 8-a, stron 61), napisana, według Jochera (I, N. 1160), przez Hebdowskiego. „Zachęcił Stanisław August—powiada autor (str. 47)—wybrane przez siebie Towarzystwo uczonych, zgromadzające się co czwartek w jego Zamku, do... pisma tygodniowego, którego ułomki, zebrane w jedną księgę, znane są uczonym pod imieniem: *Historya państw starożytnych* z dewizą: *Pulchrior è variis.*“ Opowieść Hebdowskiego dopełnia zamieszczona na czele *Historyi* dedykacya. „Nayuniżeńsi słudzy i wierni poddani, pracujący około tego dzieła“ piszą w niéj: „Daleś W. K. M. pochop zgromadzeniu naszemu, które tym pewnieysze współziomkom swoim obiecować może pożytki, że związane wzajemnéj przyjaźni nierozerwanym węzłem, pod jedną, a sobie w życiu nayukochańszą głową, taką materyą przedsięwzięło, którą każdemu stanowi, wiekowi i płci obywatelom potrzebną, miłą i pożyteczną być rozumie. Nauczeni słuchaniem mądrych zdań W. K. M., zachęceni jego wysokim przykładem, zaszczyceni łaskawą przytomnością, niesiemy zysk spólney pracy naylepszemu z królów.“ Resztę szczegółów czerpiemy z przedmowy.

Wstęp Wyrwicza wojuje z teoryami rewolucyjnémi o pochodzeniu państwa i władzy. „Byli przedtém—powiada autor—i są teraz politycy i filozofowie, bardziéj pospólstwu, niż prawdzie przypodobać się starający, którzy ustanowienie władzy udzielnéj po krajach i w narodach za niesłuszne, nieprawne i nieprzyzwoite poczytali... Jedni ustawą rządów rodzaj ludzkośći shańbiony, z przyrodzonéj wolności wyzuty i jarzmem poddaństwa obarczony opłakują; drudzy wszystkich królestw początki niesprawiedliwego oręża mocy albo chytrym dumnego dowcipu obrotom przypisują; inni porządek, od wieków i rodzaju ludzkiego pierwiastków w życiu obywatelskiém ustanowiony, z gruntu chcą wywrócić, świętokradzkiém piórem ołtarze razem i trony obalić usiłują..." Nie zgadzając się z widzeniami nowych polityków, źródło pochodzenia państwa i władzy znajduje w rozporządzeniach mądrości przedwiecznéj, która dla uszczęśliwienia człowieka utworzyła narody i nadała im zwierzchność. „Dajmy to, — powiada—że chciwość panowania, gwałtem lub fortelem uzbrojona, nad równość, każdemu człowiekowi prawem przyrodzoném daną, wygórowawszy, rząd sobie udzielny i władzę najwyższą przywłaszczyła; nie stało się to jednak bez Opatrzności Boskiéj, która, w zamysłach swych niedościgła, często samych używa namiętności do osiągnienia końca od siebie założonego... Zwierzchność najwyższa, bez któréj żadną miarą towarzyskie nie mogą się utrzymać związki, nietylko ze sprawiedliwych wypływa przyczyn, ale z koniecznéj wypada potrzeby." Za niemożliwą uważa Wyrwicz wolność naturalną, dla zakorzenionego bowiem w ludziach przez upadek pierwszego człowieka pochopu do występków koniecznym stał się hamulec ustaw, sądu i prawnego przymusu. Za niemożliwą ma również równość bezwzględną, sama bowiem różnica w natężeniu pracy osobników wytwarza klasę bogatych i biednych, panów i sług. „Wszystkie nierówności, z ustanowienia ludzkiéj społeczności wypadłe ze sprawiedliwych przyczyn i towarzyskiego ludzi związku koniecznie wypłynąć musiały; a jako ze swéj istoty i zamieszczenia są słuszne i sprawiedliwe, tak, rozlewając się na pewne tylko w narodzie każdym osoby, nie ustępowałyby od sprawiedliwości, gdyby się tylko dostawały zdatności i znakomitym osobistym zasługom." Nie lubi autor demokracyi, arystokracyi i jedynowładztwa, proteguje zaś „rząd umiarkowany" czyli mieszany. Dla zapewnienia obywatelom wolności politycznéj żąda rozdziału władz rządowych, z których wykonawczą zaleca powierzyć monarsze.

Pomimo zbiorowego roztrząsania opracowań na sesyach, rozdziały specyalne, traktujące o Egipcie, Grecyi i Tebach, zarówno

pod względem formy, jak i myśli przewodniéj, od zabarwionego teologią, a rozwlekłego wstępu Wyrwicza niesłychanie się różnią. Apoteozują rząd silny i pełno zastosowanych do ówczesnego stanu Rzeczypospolitéj mieszczą aluzyi. „Z ciałem moralném, jakiém jest naród każdy—pisał *W. P.*—to samo się dzieje, co i z ciałem fizyczném: póki związek pewny, który części jego pospołu klei, trwa, póty i ciało w swojéj czerstwości zostaje; jak prędko związek ten słabieje, tak i cialo słabieć, a nakoniec i rozsypać się musi. Związkiem tym narodowym jest rząd, którego treść i istota jest, aby jeden (lub więcéj, jednę przecież wolę i umysł mający) starał się o dobro powszechne, a drudzy posłuszni byli temu jednemu lub więcéj w wykonywaniu wszystkiego, co dla dobra powszechnego czynić rozkaże... W Egipcie od ugruntowania narodu był rząd jedynowładny. Starali się jedynowładcy o dobro całego narodu... Z drugiéj strony oddawał cały naród winne monarchom swoim posłuszeństwo... Oddawał ten naród królom swoim więcéj, jak powinne uszanowanie, bo im ołtarze i kościoły wystawiał i cześć boską wyrządzał. Niech to będą błędne uszanowania, ale są żywe narodu ku dobrym królom wdzięczności dowody. To tedy wzajemne między rządcą a poddanymi obowiązków dopełnienie było prawdziwą wzrostu i doskonałości państwa egipskiego przyczyną... Zaniedbanie dobra publicznego, które na wykonaniu ścisłéj, bez względu na kondycyę, sprawiedliwości polega z jednéj, a uchybienie ścisłego posłuszeństwa z drugiéj strony były przyczyną upadku... Nigdy moc obca nie obali narodu, kiedy mu wewnętrzny nierząd sił nie odejmie. Zadana ciału czerstwemu najgłębsza rana ból wprawdzie sprawi, ale się prędko uleczy; wewnętrznie zbolałemu jedno zadarcie szpilką raz śmiertelny przynosi.“ „Prawda jest nieomylna, — pisał Szymanowski — że upadek wolnych narodów jest niechybnym skutkiem niepostrzeżonéj w początkach ustanowionego rządu wady, która zczasem coraz jest widoczniejszą i coraz smutniejsze ciągnie za sobą konsekwencye. Początkowy defekt w ciele ludzkiém zdaje się być niczém, ale potém tak wzrasta i tak się zmacnia, że pierwszą śmierci chorego jest przyczyną. Na tém tedy zależy biegłość rządowéj zwierzchności, na tym punkcie zasadzać się powinna gorliwość obywatelska, żeby dociec i wykorzenić to szkodliwe nasiono, którego upadek kraju fatalnym bywa płodem. Kto dobrze własnéj życzy ojczyźnie, niech się nad tą zastanowi myślą, niech się stara odkryć to początkowe źródło, z którego ostatnie na nią, tak jak na Ateny, wypłynąć może nieszczęście. *Felix, quem faciunt aliena pericula cautum.*“

Celem wydawnictwa było wyrabianie w narodzie przeświadczenia o potrzebie zaprowadzenia silnego rządu dla wydobycia Rze-

czypospolitéj z wewnętrznego chaosu i osłonięcia jéj od niebezpieczeństw na zewnątrz. Służyło towarzystwo idei monarchicznéj, dla któréj zarówno wypadki polityczne, jak i wpływ osobisty Stanisława Augusta co raz szerszą wyrabiały podstawę. Zamierzało kontynuować tom drugi, mający objąć zwierzchność krajową Macedonii, Kartaginy, Celtów, Etrusków, Sparty i Rzymu; ogłosiło nawet przedpłatę (1), lecz dla niewystarczającéj liczby prenumeratorów musiało wydawnictwo zawiesić.

Jednocześnie z publikowaniem *Historyi politycznéj państw starożytnych* dojrzewał w gronie uczestników obiadów czwartkowych zamiar założenia towarzystwa prawników. Czytano w téj materyi na obiedzie 11 czerwca r. 1772 rozprawkę *O ustanowieniu porządku w nauce prawa cywilnego y o założeniu zgromadzenia prawnych ludzi*, wydrukowaną niebawem w *Zabawach* (2). Dowodził autor potrzeby kodyfikacyi prawa cywilnego polskiego i dla dokonania téj pracy radził uorganizować towarzystwo fachowców. „Gdy raz nasze prawa generalnie i partykularnie rozdzielą się bądź to na rozdziały, bądź to na tytuły, każdy z zgromadzenia wybierze losem swój tytuł y w czas trzechmiesięczny, cokolwiek do niego należeć będzie, z prawa polskiego spisze. Należyte przyłoży staranie, aby nietylko słowo prawa, lecz y myśl stanowiącego prawo była przywiedziona, co się łatwo wyda, jeżeli piszący zechce dać sobie pracę y w dziejopisach wyszuka, w którym czasie, w jakiéj okoliczności, od jakich osób stanowione były prawa.... Dysertacye w czasie swoim oddane, w jednym roku od 26 osób, w dwóch od 13 mogłyby przysposobić to, co będzie potrzebnego do układu instytucyi. Krótki ich bowiem zbiór, będąc treścią tych dysertacyi, zleci się jednemu z zgromadzenia, aby w całém dziele jeden styl, jeden sposób pisania był zachowany.“ Uporządkowawszy prawo cywilne, dla uwolnienia kraju od niepewnéj sprawiedliwości roztrząsnąć by mogło towarzystwo *praejudicata*, a następnie ułożyć projekt do kodeksu karnego. Proponował też, żeby zgromadzenie udzielało Rzeczypospolitéj rad i uwag w przedmiotach ustawodawstwa, zastrzegał jednak, jako „nigdy sobie prawodawstwa nie przypiszą prawni, każde ich pismo podane będzie sądowi Rzeczypospolitéj.“

---

(1) Wiadomości warszawskie z 28 marca i 28 kwietnia r. 1772.

(2) W tomie V z r. 1772 (str. 411—428) z godłem: *Juris civilis summo semper in honore fuit cognitio. Cic. lib. 2, de offic.* Wyszła téż oddzielnie p. t. *Pamiętnik I* (Bezm. 1772, 16-a, kart nlb. 12). Na odwrotnéj stronie karty tytułowéj następujące umieszczono objaśnienie: „Ten pamiętnik czytany był w przytomności króla Jmci dnia 11 czerwca podczas zgromadzenia, na które w Zamku co czwartek wyznaczeni od króla Jmci schodzą się.“ Na pierwszéj stronie tekstu położono tytuł właściwy: *Pamiętnik o ustanowieniu etc.*

Tenże sam autor — z monogramu *J. P.* nie umiemy nazwiska jego odgadnąć — wydrukował wkrótce w *Zabawach* z r. 1772 (t. VI, str. 221—236) *Pamiętnik II o prawach politycznych y o prawach fundamentalnych,* niewątpliwie również na obiadach czwartkowych czytany, w ścisłym z poprzednią rozprawką będący związku. Rozklasyfikowawszy prawo w pierwszéj pracy na polityczne, cywilne i kryminalne, zamierzył zastanowić się nad każdém z osobna i publicznemu właśnie poświęcił *Pamiętnik II.* Źródło praw politycznych, których fundamentem są magistratury rządowe, podatki i wojsko— znajduje się w potrzebie zabezpieczenia własności. Nie decydując się, jaka forma rządu najlepsza, za miarę doskonałości praw fundamentalnych bierze ich skutek. Celem organizacyi społecznéj jest zapewnienie obywatelom pomyślności i szczęścia, — „rozmnożenie ich znaczne przy obfitości majątku.“ Taka przeto forma rządu będzie najlepsza, przy któréj pochop obywateli do rozmnażania się znajdzie podnietę w obfitości bogactwa.

Takie pod względem formalnym „Zgromadzenie prawnych ludzi“, jakie proponował autor rozprawek, do skutku nie doszło; jednakże idea jego z konstytucyą z r. 1776, powierzającą Andrzejowi Zamojskiemu ułożenie *codicem juridicum* i upoważniającą go do wezwania na pomocników „nayoświeceńszych y naycnotliwszych obywatelów oboyga narodów“ w pokrewieństwie jest bliskiém. Zamojski w towarzystwie Chreptowicza, Szembeka, Węgrzeckiego, Rogalskiego i Wybickiego wykonał część znaczną tego właśnie programu, który obmyślono i przedyskutowano na obiadach czwartkowych (1).

Budziły obiady czwartkowe ruch umysłowy i dawały inicyatywę do poważnych przedsięwzięć praktycznych; roztrząsano na nich niewątpliwie i sprawę założenia akademii umiejętności. Siedmdziesięcioletni Załuski radził wraz z niektórymi panami na krótko przed śmiercią (um. 7 stycznia r. 1774) obrócić dobra pojezuickie na ufundowanie akademii, w którejby prowadzone były wykłady różnych nauk, pomiędzy innemi języka polskiego, historyi i archeologii; oświadczał gotowość zapisania jéj biblioteki swojéj na własność. „Królowi,— pisze Bernoulli (2)—tak gorliwemu w popieraniu nauk i pragnącemu prześcignąć pod tym względem Zygmunta Augusta i Stefana, bardzo był przyjemny ten projekt, zaręczał też prałatowi, że użyje wszystkich środków, aby przeprowadzić tak zba-

---

(1) Przez porównanie adresowanéj do króla przedmowy do *Zbioru praw sądowych* z treścią i stylem *Pamiętnika II o prawach politycznych* budzi się domysł, że pod monogramem *J. P.* ukrywał się Andrzéj Zamojski.

(2) Liske. Cudzoziemcy w Polsce, str. 229.

wienną dla całéj ojczyzny fundacyę.“ Według projektu Załuskiego, czy innéj osobistości, dość, że zamiar ufundowania instytucyi naukowéj w dobie sejmu delegacyjnego dojrzał i czekał wcielenia. „Nie rzecz moja — pisał w r. 1775 cześnik wielki kor. Michał Mniszech (1)—roztrząsać potrzeby akademii krajowéj, a raczéj zgromadzenia obywatelów uczonych, ogniwem gorliwości ku naukom spojonych; ta myśl już wyłuszczona, już przyjęta prędkiego skutku sprawia w nas nadzieję“ (2). Za rzecz zbyteczną uważał Mniszech pisać w sprawie przedyskutowanéj i zdecydowanéj, zwracał tylko uwagę na potrzebę gromadzenia materyału naukowego przez ufundowanie muzeum. Radził utworzyć wielką bibliotekę z druków i rękopisów, przedewszystkiém dotyczących historyi ojczystéj. Rękopisy gromadzić można kopiując dokumenty z archiwów rodzinnych prywatnych; księgi przez kupno i włożenie na drukarzy obowiązku składania do biblioteki egzemplarza każdego dzieła, wychodzącego z pod prasy. Nie poprzestając na księgozbiorze, zalecał autor zbieranie wszystkiego, co posiada interes naukowy, w zakresie jednak, nie przechodzącym granic możności. „Daremne by były — pisał —

---

(1) Zabawy przyjemne i pożyteczne z roku 1775, tom XI, str. 213.

(2) Być może, że pełen błędów w pisowni nazwisk, podany przez Jochera (tom I, str. LXXVI) w streszczeniu *Plan pour l'etablissement d'une Académie des Sciences* (znaleziony w bibliotece b. uniwer. wileńskiego) jest projektem, o którym wspomina Mniszech. Proponuje założyć akademię na wzór berlińskiéj i petersburskiéj, a na kierownika wezwać Lamberta z Berlina. W skład akademii wejdzie najmniéj dziesięciu pensyonowanych uczonych zagranicznych, tyluż krajowców (którzy za każde posiedzenie otrzymywać będą dukatowy lub dwudukatowy jetton), oraz członkowie honorowi. Prezes wybierany będzie z magnatów. Podzielą się akademicy na wydziały: historyi naturalnéj, fizyki eksperymentalnéj i matematyki. Na czele każdego ma być osobny dyrektor. Dla osadzenia miejsc akademików zagranicznych radzi autor projektu zwrócić się do różnych uczonych: o anatoma i fizyologa do Albinusa w Lejdzie i Hallera, o botanika do Gleditscha w Berlinie albo Jussieu w Paryżu, o fizyka do Lamberta, o chemika do Marggrafa, na astronoma proponuje Boscovich'a, na konserwatora gabinetów profesora korpusu kadetów Heloke. Z krajowców proponuje na członków zwyczajnych: do nauk matematycznych profesora korpusu kadetów Pfleyderera, oraz jezuitów: Rostana i Łuskinę; do anatomii doktora medycyny Zanelli'ego i chirurga księżnéj Lubomirskiéj Issaurat'a; do chemii barona de Gartenberga (Sadogórskiego) i Rhode, do botaniki Dziaduskiego i kapitana inżynieryi Knakfuss'a. Koszta urządzenia obserwatoryum astronomicznego, pracowni fizycznéj i laboratoryum chemicznego, teatru anatomicznego, ogrodu botanicznego i gabinetu okazów przyrodniczych, sali zgromadzeń ogólnych i mieszkań dla akademików oblicza na 25 — 30 tysięcy dukatów; roczne utrzymanie akademi na 10,000 czerw. złotych. — Że nie bez udziału Stanisława Augusta powstał projekt powyższy, dowodzi użyty do niego papier z literą *S.* i koroną; czy jednak autorem jego, jak się domyśla Jocher, a za nim Majer (*l. c.*, str. 56) był Józef Załuski? Projekt uwzględnia wyłącznie kierunek przyrodniczy, Załuski zaś nie pominąłby chyba humaniorów, które gorliwie przez całe życie uprawiał i z oczu nie spuszczał ich nigdy.

natężenia nasze, gdybyśmy wyrównać usiłowali kosztowne, rzadkie y przez znaczny przeciąg czasu zebrane y zawarte skarby to *in Musaeo Britanico*, to w instytucie Bolońskim, to w przepyszney Florenckiey galeryi. Zostawmy rzeczy kosztowne, obrazy bezcenne, te przyjemne sztuk wyzwolonych pieścidła narodom słusznie chlubiącym się z pierwszych światła promieni. Niech się stają wzorami do naśladowania, lecz z pomiarkowaniem y w naypotrzebnieyszych szczególnie częściach. Chwyćmy się środków tańszych, prędszych, łatwieyszych, a tenże prawie pożytek przynoszących. Zatrzymujmy się w obrębach granic ojczyzny, poznajmy własny kraj, oszacujmy jego bogactwa, wybadajmy, co nam natura użyczyła.“ Radzi przeto gromadzić monety i medale krajowe (obce w rysunkach), odlewy kamei starożytnych i kopersztychy, mapy i plany miast, narzędzia fizyczne, geometryczne i astronomiczne, modele machin, wizerunki znakomitości rodzimych, marmury, alabastry, drzewo skamieniałe, okazy siarki, bursztynu itp. ciał mineralnych, ptaki polskie, zwierzęta, gady, rośliny, nawet kolekcyę dzieci woskowych dla unaocznienia procesu porodu. Dość będzie przeznaczyć na cel ten 20,000 zł. rocznie; z czasem hojność obywateli przyjdzie muzeum z pomocą (1).

Że myśl założenia akademii dojrzała śród największych zawikłań politycznych, przypisać to trzeba faktowi kasaty jezuitów, pozostałym po nich funduszom, otwierającym możność zrealizowania żywionych oddawna zamiarów w sprawie doniosłéj i pilnéj. Przez obrócenie majątku pojezuickiego na cele wychowania projekt akademii stracił podstawę materyalną; przez utworzenie Komisyi edukacyjnéj, założenie Towarzystwa do ksiąg elementarnych, zreformowanie wreszcie wszechnic: krakowskiéj i wileńskiéj szwank poniósł i pod względem doniosłości moralnéj. Nowe lub zreformowane instytucye, wciągając w zakres swéj działalności wiele zadań naukowych ważnych i pilnych, zadośćczyniły najnaglejszym potrzebom i na plan dalszy usuwały założenie akademii, zaliczanéj przedtém do kwestyi palących. Stąd to w długim stosunkowo okresie pracy organicznéj (1776 — 1788) kwestya akademii umiejętności i towarzystw naukowych poruszaną jest rzadko. Nawet funkcyonujące do sejmu wielkiego obiady czwartkowe zawarły się w granicach biesiad towarzyskich, straciły inicyatywę i dawną ruchliwość. W r. 1777 przestają wychodzić *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, w 1784 upada *Monitor*. Z uczestników obiadów jedni, jak Naruszewicz, Albertran-

(1) Myśli względem założenia *Musaeum Polonicum* przez M. M. (*Zabawy* z r. 1775, t. XI, str. 211—226).

dy i Łojko nad wielkiemi pracują dziełami; drudzy w Komisyi edukacyjnéj i Towarzystwie do ksiąg elementarnych odpowiednie dla siebie znajdują pole. Więcéj zabiegano w téj dobie nad organizacyą pracy ekonomicznéj, skwapliwiéj krzątano się około takich asocyacyi, jak Towarzystwo handlowe lub Kompania krajowa ekonomiczna pod znakiem orderu św. Izydora oracza. Jednoczył rzutkość przemysłową z zapałem do nauki podskarbi nadw. lit. Antoni Tyzenhaus, który założył w Grodnie szkołę medycyny i chirurgii, urządził ogród botaniczny i gabinet historyi naturalnéj, przygotowywał obserwatoryum astronomiczne, a myślał podobno o akademii umiejętności; zamiar ten jednak z upadkiem magnata spełznął na niczém. W ostatniém dwudziestoleciu Rzeczypospolitéj dwa tylko powstały towarzystwa prywatne: naukowe, założone przez cudzoziemca, literackie przez siły rodzime, oba zaś trwały niedługo (1).

Przybył w r. 1775 wezwany przez Czartoryskiego do wykładu historyi w korpusie kadetów Jan Chrzciciel Dubois, ruchliwością i wszechstronnością przypominający Mitzlera. Z fachu przyrodnik, z zapałem studyował języki i literaturę, przełożył na francuski *Myszejdę*, z Janem Filipem Carosi ułożył dla Komisyi edukacyjnéj plan podręcznika do historyi naturalnéj, pisał dzieła o Polsce, projektował założenie w Warszawie akademii nauk ścisłych i sztuk, oraz towarzystw: dla umiejętności technicznych i handlu. Proponowaną akademię na trzy dzielił oddziały: filozoficzny, historyczny i sztuk pięknych. Pierwszy miał uprawiać etykę, prawo, politykę, matematykę, nauki przyrodnicze i medycynę; drugi dzieje powszechne i narodowe, trzeci język polski, poezyę, wymowę, malarstwo, architekturę i muzykę. Członkami mogli być zarówno krajowcy, jak cudzoziemcy, byleby ostatni okazywali dla Rzeczypospolitéj przychylność (2). Pod koniec r. 1777 założył w Warszawie towarzystwo fizyczne. Z początku oprócz inicyatora miało towarzystwo dwóch członków: zamiłowanego w alchemii i rzeczy menniczéj Augusta Moszyńskiego i dyrektora górnictwa Jana Filipa Carosi; później przystąpili czterema grupami: dyrektor korpusu kadetów Pfleyderer, inżynier Nax i chemik Okraszewski; Ignacy Potocki i Piramowicz; Adam Czartoryski i Michał Mniszech; w końcu synowiec królewski książę Stanisław. Towarzystwo prezesa niemiało; pióro trzymał Dubois, jako stały sekretarz. Zbierali się członkowie w mieszkaniu

---

(1) „Towarzystwo uczonych“, figurujące na okładce rozpoczętego w r. 1785 wydawnictwa peryodycznego p. t. *Polak patryota* było fikcyjném (Ob. *Gazetę warszawską* z 14 grudnia r. 1785 i *Pamiętnik historyczno-polityczny* za grudzień r. 1785).

(2) *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne par M. D***. Berlin, 1778, str. 56—63.

Potockiego raz na miesiąc i to zimą tylko; odczytywali rozprawy i robili doświadczenia fizyczne. Na pierwszém posiedzeniu z r. 1778 Carosi zdawał sprawę z podróży do Krakowa, Dubois czytał statuta towarzystwa i relacyę o dotychczasowym jego rozwoju, opisywał metalowy z hygrometrem połączony termometr, zapowiadał własnego pomysłu anemometr i pokazywał projekcye różnych zaćmień z rezultatami spostrzeżeń, uskutecznionych w obserwatoryum warszawskiém. Zawiązywało towarzystwo stosunki z uczonymi obcymi, jak z naturalistą berlińskim Achard'em, od którego miało nadesłaną sobie rozprawę; myślało o założeniu organu dla publikowania prac swoich. W trakcie starań o pozyskanie sankcyi Rzeczypospolitéj przez wyjazd założyciela towarzystwo upadło. Zniechęciło go złe przyjęcie wydanéj w r. 1778 książki p. t. *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne*, surowa krytyka rozdziału, traktującego o wpływie tolerancyi na postęp (1). Powołanie na członka Towarzystwa do ksiąg elementarnych nie zdołało ukoić w nim żalu. Wyjechał do Francyi w lecie r. 1779 i więcéj nie wrócił (2).

W lat dziesięć po wyjeździe Dubois, Jan Śniadecki, Kołłątaj, Kalasanty Łańcucki, Dmochowski, Siarczyński, Józef Bogucicki, Kopczyński, Szymanowski i inni uorganizowali w Warszawie towarzystwo krytyczne, „Pośpiech w robocie, powiada Dmochowski, nieporadzenie się własnéj możności, nieznajomość prawideł, brak gustu, a szczególniéj bezkarność, gdy i najgorsze pismo nie lękało się rózgi krytyki, zawalały publiczność księgami, więcéj wstydu, niż sławy przynoszącemi polskim naukom. Dla wstrzymania téj nieprzyzwoitości, dla wprowadzenia na dobrą drogę umysłów, mogących użytecznie pracować, potrzeba było krytyki.“ Zawiązane w tym celu towarzystwo ogłosiło *Zakus nad zaciekami wszechnicy krakowskiey, czyli uwagi nad niektórémi tey akademii dysertacyami*, wymierzone przeciwko profesorom wszechnicy: Marcinowi Fijałkowskiemu, Jackowi Przybylskiemu i Andrzejowi Trzcińskiemu. Targnęło ich mocno i polemikę w rymach a prozie wywołało zaciętą. Nie przedsięwzięto jednak w tym kierunku nic więcéj, albowiem sejm wielki od prac literackich odrywał na korzyść spraw in-

(1) W grudniu r. 1778 dwie jednocześnie z drukarni Nadw. J. K. Mci ukazały się krytyki: łacińska Ignacego Potockiego p. t. *Exemplum litterarum Georgii Verediani ad Clar. virum Georgium Veramantium occasione vulgati nuper libri qui specimen historiae polonae inscribitur datarum* i francuska: *Lettre à l'Auteur de l'Essai sur l'histoire littéraire de Pologne, au suiet du second paragraphe de ses préliminaires, qui a pour titre: Nécessité de la Tolérance pour les progrès de connoissances humaines* (*Gazeta warszawska* z 16 i 30 grudnia r. 1778).

(2) Bernoulli *l. c.*, str. 214, 225. Gazeta warszawska z 3 marca r. 1779.

nych (1). W dobie dogorywania Rzeczypospolitéj, śród szczęku broni, rozpaczy i trwogi o towarzystwach uczonych społeczeństwo myśléć nie mogło.

* * *

Świadomość potrzeby zbiorowéj pracy umysłowéj wzrastała śród inteligencyi w XVIII wieku powoli, lecz ciągle. Ze skromnych zaczątków—sprowadzania z zagranicy czasopism i odczytywania publicznego panegiryków na cześć P. Maryi—wyrasta towarzystwo wydawnicze z kierunkiem jasno określonym i trafnym; następnie dwór Stanisława Augusta, zogniskowawszy najwybitniejsze siły umysłowe, stara się ująć je w karby organizacyi, któréj najlepszym wyrazem miała być akademia umiejętności z takim środkiem pomocniczym, jak projektowane przez Mniszcha muzeum. Był moment bliskiego zrealizowania zamiarów, gdy obrócenie funduszu pojezuickiego na cele wychowania pozbawiło akademię podstawy materyalnéj, a w części i moralnéj. Rezygnując z akademii na korzyść celów wychowawczych, postąpiło społeczeństwo roztropnie. Komisya edukacyjna, podjąwszy pracę u podstaw, podnosiła poziom umysłowo-moralny w masach, czego akademia nie dokonałaby nigdy. Brak towarzystw do uprawy pojedynczych gałęzi umiejętności tłómaczą ciężkie życia warunki. W Polsce wieku XVIII szczery do wiedzy zapał twarde napotykał przeszkody, a jednak najnieszczęśliwsza z generacyi nienajgorszą tradycyę naukową przekazała potomnym.

Autorowie „Monitora“ (przyp. do str. 139).

Własnoręczne dopiski J. E. Minasowicza w rocznikach *Monitora* z lat: 1765, 1768, 1769, 1772, 1773, 1776, znajdujących się w bibliotece Ordynacyi Krasińskich w Warszawie, odsłaniają autorów wielu artykułów, ogłoszonych pod pseudonimami: Ochotnickich, Poznajewskich, Pokątnickich, Murmiłowskich, Pośrrednickich, Antykiewiczów i t. p.

I. Rok 1765. Końcowy artykuł w N. 46 i cały N. 47 pióra Minasowicza. Pod monogramem *M. G.* w N. 49 Minasowicz dopisał: „Gaudzicka w Warszawie na Krakowskiem Przedmieściu.“

II. Rok 1768. NN. 1, 2, 4, 5, 7—16, 18, 21, 23, 25, 28—31, 33, 35, 37—43, 46—51, 80—83, 85—98, 100 (o biskupie Krasickim), 105 napisał Fr. Bohomolec.

NN. 3 i 27 Minasowicz.

N. 22 (wiersze z Thomas'a) książę Udalryk Radziwiłł ex-koniuszy

NN. 24, 34, oraz streszczenie dzieła Monteskiusza w NN. 53—69, 75—79 Krasicki.

N. 32 Jerzy Hülsen.

N. 36 Albertrandy list, a Bohomolec odpowiedź.

---

(1) Obszerniéj rozwijamy ten przedmiot w książce: *Kuźnica Kołłątajowska*. Kraków, 1885, str. 145—150.

NN. 44 i 45 (wiersze z Thomas'a) *Anonymus quidam Jezuita Leopoliensis*, jak okazuje dopisek do N. 21 z r. 1769 — Józef Koblański.

III. Rok 1769. NN. 6—9, 13, 14, 16, 20, 22 –25, 35, 41, 47—49, 51, 52 (wstęp), 56, 57, 60—63, 65, 71, 77, 78, 84—86, 92, 95, 97, 103, 104, Minasowicz.

Nr. 21 (przekład z Horacego) Józef Koblański.

NN. 39, 40 Tadeusz Lipski, kasztelan łęczycki.

N. 46 (ps. Miłośnicki) ma dopisek Minasowicza: *Ce Moniteur est de la main du Maitre S. A. R.*

N. 54 Albertrandy list, a N. Kniaziewicz ex-jezuita odpowiedź.

NN. 58, 59, 79—83, 87, 88, 91—94 Mitzler, w przekładzie dokonanym z tekstu łacińskiego (N. 58, 59) przez jezuitę Stefana Wulffersa, z francuskiego (NN. 79, 80, 82, 83, 91, 94), przez tegoż i (NN. 81, 87 i 88) Minasowicza.

N. 70 Stefan Wulffers.

NN. 89, 96, 100 Mikołaj Jaśkiewicz, kan. katedr. chełmiński.

IV. Rok 1772. „Cały ten Monitor bez excepcyi jest dziełem xięcia biskupa warmińskiego Ignacego hrabi na Krasiczynie Krasickiego.“

V. Rok 1773. NN. 1, 2, 30, 37, 52, 77, 89, 90, 104, Minasowicz.

NN. 8, 16—18, 20, 23, 32, 41, 48—51, 55,73, Żórawski bazylianin.

NN. 24—27, 29, 34 Michniewski misyonarz.

N. 54 Dzierżanowski generał-adjutant.

VI. Rok 1776. „Monitorów tu moich, częścią przezemnie wydanych, częścią napisanych *in summa* 51.“ NN. 1,9, 14 (poezye Morsztyna z rękopisu), 19, 21, 22, 24, 25, 35 (wiersze: pierwszy i trzeci Załuskiego, drugi i czwarty Minasowicza), 38—42, 45, 48—56, 57 (proza), 58 (wstęp prozą, a także poematu p. t. „Orlada“ strofa 1, 2 i 3 Minasowicza, 4 Gabryela Kasparowicza protonot. apost. „Hymn do miłości ojczyzny“ Krasickiego), 72—75, 84 (wstęp Minasowicza do wiersza Jana Macieja Sleżanowskiego p. t. „Pożegnanie Warszawy“), 85—89, 90 (proza Jaśkiewicza, wiersze Minasowicza), 91—94, 95 (wiersze Kasparowicza), 96—101, 102 (wiersze Kasparowicza), 103, 104.

N. 18. N. Krupczyński *Causidicus forensis.*

Autorów artykułów w innych rocznikach przyszłość może odsłoni. Z okazyi N. 21 z r. 1770 Mitzler, jako wydawca *Monitora* przykrą miał sprawę. „W tych dniach (donoszą *Wiadomości warszawskie* z 7 kwietnia 1770 r.) *ad instantiam Instigatoris* urzędu marszałkowskiego kor. stanął dekret z Imcią Panem Mitzlerem w sądach urzędu tegoż o wydrukowanie *Monitora* pod liczbą 21, a dniem 14 miesiąca przeszłego marca, tudzież o wydanie autora onegoż: którym nakazano, aby się odprzysiągł, jako nie wie, od kogo był mu przysłany tenże *Monitor*. Za wydrukowanie jednak i wydanie *in publicum* onegoż wieżą marszałk. koron. i grzywnami ukarany został.“ Autor artykułu (podp. Szczyrzecki) podaje relacyę z rozmowy z jakimś gadułą. O co mu chodziło, kogo miał na myśli? — dociec dziś trudno.

Władysław Smoleński.





ĆWIERĆWIEKOWA DZIAŁALNOŚĆ
TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ
W KRAKOWIE.

Monografia Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie przez Józefa Mrazka. Kraków 1886.

W roku ubiegłym krakowskie Towarzystwo Ubezpieczeń obchodziło jubileusz ćwierćwiekowego swego istnienia. Na trzy zaledwo miesiące przed terminem obchodu rozpoczął p. Mrazek niemałą pracę skreślenia działalności téj instytucyi i najważniejszych zdarzeń w niéj zaszłych. Przy tak małym zasobie czasu niepodobna było przerabiać posiadanego materyału na całość skrystalizowaną. W kształcie, w jakim widzimy jego dzieło, jest ono wyborną kroniką faktów, malującą czytelnikowi wyraziście jedno z najciekawszych zjawisk ekonomicznych bratniego kraju. Postaramy się przedstawić je w streszczeniu.

Jeszcze w r. 1798 cesarz Franciszek I wydał rezolucyą zachęcającą kraje Austryackie do zakładania towarzystw ubezpieczeń, opartych na wzajemności. Kancelarya nadworna Galicyjska, idąc w myśl tego rozporządzenia, przedstawiła swoje wnioski, które zyskały gdzie należy uznanie. Ponieważ nikt potém nie popierał sprawy, spoczywała ona bez ruchu aż do r. 1826, kiedy przypomniały sobie o niéj stany galicyjskie. Na nowo więc zaczęły one zajmować się tą sprawą, ale tak powolnie i z taką martwotą, że dopiéro w r. 1839 poleciły wydziałowi stanowemu zebrać wiadomości o rezultatach działalności innych towarzystw wzajemnych, funkcyonujących wtedy w Austryi. Wiadomości brzmiały niepomyślnie. Składki zamiast wzrastać, zaczęły się w tych towarzystwach zmniejszać, fundusze rezerwowe topniały, taryfy rosły. Te wiadomości wprawiły zgromadzenie stanowe w nowe odrętwienie. Dopiéro

w r. 1842 poruszył sprawę w sejmie lwowskim Franciszek Trzecieski, a raz ująwszy ją w rękę, mąż ten mimo wszelkich przeszkód i gorszéj od nich bezduszności i apatyi biurokracyi, pomimo zwłok nieskończonych, miał tę niezrównaną wytrwałość, że w r. 1860 doprowadził dzieło do pożądanego końca. Znalazł poparcie należyte u przodujących ludzi w kraju i sam póty pisał, prosił i na wszystkie strony kołatał, aż nareszcie wydobył zatwierdzenie rządowe dla statutu, który rozkazano mu wzorować na ustawie niższo-austryackiego towarzystwa wzajemnego. Statut został wypracowany w zaproszonym przez Trzecieskiego komitecie z 12 osób złożonym. Pozyskanie uczestników do zawiązującego się towarzystwa kosztowało założycieli wielkich wysileń. Jednakże od chwili pierwszego zgromadzenia ogólnego członków, narady ich przybrały cechy zastanawiającéj dojrzałości, wyrobienia i doskonałego rozumienia potrzeb powstającéj instytucyi. Zarząd zorganizowany został w osobach dyrektorów: Henryka hr. Wodzickiego, Władysława Biesiadeckiego i dyrektora-referenta Henryka Kieszkowskiego. Jako władzę kontrolującą i w ważniejszych przedmiotach decydującą ustanowiono radę nadzorczą z 24-ch członków, zbierającą się na posiedzenia dwa razy do roku, prezesem któréj obrano Adama hr. Potockiego. Nadto na znak wdzięczności za położone zasługi wprowadzono do statutu osobny artykuł, mocą którego Franciszek Trzecieski został dożywotnim kuratorem instytucyi.

Trafny wybór kierowników był pierwszym i najgłówniejszym czynnikiem dalszego powodzenia instytucyi. Okoliczność tę podnieść należy i uwydatnić, gdyż z pomiędzy przedsięwzięć finansowych żadne nie zależy od osobistości przewodniczących w tym stopniu, jak instytucye ubezpieczeń na wzajemności oparte.

Kiedy ciągły postęp i nieustanna ruchliwość są do należytego prowadzenia przedsięwzięć asekuracyjnych niezbędne, to właśnie w kierownictwie instytucyi wzajemnych, wskutek ich organizacyi, nader często wyradzają się rutyna i powolność.

Tymczasem tu przeciwnie, gdybym jednym wyrazem miał oddać charakter krakowskiego Towarzystwa w przebieżonéj ćwierci wieku, powiedziałbym, że jest nim niezmierna rzutność. Wyszedłszy od najskromniejszych zaczątków, bo od długu zaciągniętego przez członków rady nadzorczéj na pierwsze potrzeby organizacyi, doszło Towarzystwo do tego, że posiada własnego kapitału rezerwowego w dziale ogniowym 1,844,000 zł. w. a., w dziale gradowym 355,000 zł. i w dziale życiowym 256,000 zł. Ubezpieczone wartości wynoszą w r. 1886 w dziale ogniowym 352 miliony, w gradowym 18 milionów, w życiowym 17 milionów zł. w. a.

Tak świetnym jest rezultat finansowy; rozejrzymy się w działalności Towarzystwa.

Upoważnione początkowo do prowadzenia samego tylko działu ogniowego, otwiera w nim operacye 1 maja 1861 r., w dniu 1 maja 1864 r. po przejściu wszelkich trudności koncesyjnych rozpoczyna ubezpieczenia *gradowe*, urządza w Krakowie straż ogniową ochotniczą, dla której narzędzia nabywa swoim kosztem w tymże 1864 r., poczém w latach następnych w ten sam sposób organizuje straże ogniowe po wielu miastach wschodniéj i zachodniéj Galicyi, lub téż do organizacyi ich dopomaga już to funduszami swemi, już dostarczeniem instruktorów uzdolnionych i nieustanną koło tych straży pieczołowitością. Wypracowuje statut, uzyskuje koncesyą i otwiera kasę oszczędności w Krakowie 1 września 1866 r. Otwiera przy niéj lombard w r. 1868.

W d. 7 listopada 1869 r. przystępuje do przyjmowania ubezpieczeń życiowych, dnia 1 stycznia 1870 rozpoczyna operacye z towarzystwami zaliczkowemi, dla których samo wypracowało statut po odbytych naradach z Szulce-Delitzschem, którym udziela nizko oprocentowane pożyczki na fundusz obrotowy i które w r. 1879 zniewala do obniżenia dłużnikom stopy procentowéj. Z początkiem roku 1875 otwiera Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Krakowie, w r. 1881 sprowadza w niém stopę procentową do 6%.

Od r. 1882 przyjmuje czynny udział w powiatowych kasach oszczędności urządzonych dla włościan, w którym to celu lokuje w nich sumy własne na mały procent, aby uwydatniając zaufanie swoje do kas, zachęcić włościan do umieszczania w nich uzbieranego grosza. W roku 1883 rozpoczyna wydawanie pożyczek hipotecznych z uzbieranego funduszu rozerwowego i rezerwy zaliczek działu życiowego. Wreszcie w tymże roku przystępuje do wydawnictwa pisemka podnoszącego korzyści samopomocy.

Takim był zakres działania krakowskiego Towarzystwa. Dążeniem nieustannném władz jego, myślą przewodnią dyrekcyi było wytępienie w kraju lichwy za pomocą właściwych instytucyi kredytowych, opartych na samopomocy i wzajemności. Trudno założyć sobie cel użyteczniejszy i z większą dążyć doń wytrwałością i energią.

Nie przeszkodziły jednak dyrekcyi różnostronne zajęcia do gruntownego badania i gorliwego wykonywania prac i czynności potrzebnych dla rozwoju i powodzenia ubezpieczeń, stanowiących główne jéj zadanie. Przedewszystkiém władze Towarzystwa nastawały zawsze na konieczność utrzymania w dziale ogniowym wysokiéj taryfy, przez co na głównem polu swoich obrotów osiągały znaczne zyski, dające możność zbierania rezerwy i udzielania wyso-

kich zwrotów, zachęcających do przezorności. Uzyskiwały też przez to środek zapobiegania skutkom nieterminowego wnoszenia składek, pozbawiającego ubezpieczonych wynagrodzenia. Mianowicie postanowiły, że zwrot nie odebrany z jednego roku stanowić będzie zaliczkę na rok następny, a skoro zwrot przez większą część lat wynosił 20—30% od składki, to na przeciąg trzech do czterech miesięcy po upływie ubezpieczenia opóźnienie we wnoszeniu dalszéj składki nie skutkowało dla ubezpieczonych mniéj dbałych utraty wynagrodzenia w razie pogorzeli. Od pierwszéj chwili w należytym stopniu posiłkowało się krakowskie Towarzystwo reasekuracyą, to jest każde ubezpieczenie przekraczające pewną z góry zakreśloną granicę wartości oddawało od siebie w ubezpieczenie innym towarzystwom, a wskutek nader zręcznego ze swojéj strony układu uzyskało zwrot połowy zysków osiąganych przez Towarzystwa reasekuracyjne na ubezpieczeniach krakowskiego towarzystwa i wciągnęło przez to reasekuracyą w sferę wzajemności. Z inicyatywy dyrektora Kieszkowskiego, wskutek usilnych jego prac i energii, dokonanym został dalszy postęp na drodze reasekuracyi przez założenie w Wiedniu w roku 1885 Związku Wzajemnych Towarzystw Ubezpieczeń, przez co położony został fundament wzajemności nawet w reasekuracyi. Związało się z Towarzystwem Warszawskiém Ubezpieczeń stosunkiem koasekuracyjnym, takim, że bierze na swój udział taką samę część jak i pomienione towarzystwo w każdém powierzoném temuż ubezpieczeniu rolném, a w innych rodzajach ubezpieczenia partycypuje w pewnéj umówionéj części, rozszerzając przez to znakomicie sferę swego działania, co stanowi warunek dla powodzenia instytucyi asekuracyjnéj pierwszorzędny. Przez ściśle prowadzoną statystykę dąży do ustanowienia odpowiednich a umiarkowanych taryf gradowych i skwapliwie szuka dróg do uniknięcia strat, na tym dziale wogóle tak niebezpiecznym ponoszonych. Okazuje się z nabytego doświadczenia, że wynagradzanie szkód gradowych pomniejszych jest najgłówniejszém źródłem niedoborów, że niezaradza temu stopniowe powiększanie potrącań z wynagrodzenia w razie powtarzającego się w téj saméj miejscowości gradu, gdyż ubezpieczeni, z chwilą jak podejść mają pod przypadek wyższego potrącenia, usuwają się do innych towarzystw. Wskutek tego władze Towarzystwa utrzymują w mocy potrącenia na ten tylko wypadek, kiedy ubezpieczony *w jednym i tym samym roku* donosi kilkakrotnie o klęsce gradowéj; ma to działanie takie, że w razie szkody pomniejszéj ubezpieczony woli o niéj przemilczéć, aniżeli przez niewczesne niepokoje o lada drobnostkę obniżać sobie wynagrodzenie za następną szkodę, która być może

będzie nierównie większą. W ubezpieczeniu życiowém kasuje w roku 1876 tontiny czyli ubezpieczenia na przeżycie, w których tkwi pierwiastek niemoralnéj rachuby, wynikający ze spadkobrania przysługującego członkom żyjącym po członkach zmarłych przed terminem ubezpieczenia. Tontiny, które krakowskie Towarzystwo otrzymało po zlikwidowaném Towarzystwie Galicyjskiém rozwiązane zostały przez dobrowolny układ z ubezpieczonymi. W ubezpieczeniu bydła przyjmuje ajencyą od wiedeńskiego towarzystwa „Apis" w celu wypróbowania rezultatów operacyi w tym dziale, i przekonywa się, że bez ogólnego przymusu rządowego dział ten korzystnym być nie może, gdyż w żadne cyfry praktyczne ująć się nie da. Wreszcie rozszerza terytoryalnie swoję działalność ile możności, urządza reprezentacye w Wiedniu i w Bernie, zapuszcza się na Szląsk i na Bukowinę, a w tych wszystkich działaniach przedsiębiorczość i śmiałość łączy z największą przezornością, łączy rozwagę w namyśle ze stanowczością w wykonaniu.

Żadnéj z klas społecznych nie otaczało Towarzystwo krakowskie wyłączną predylekcyą. Utworzone przez ziemian, pomimo opozycyi niektórych członków od pierwszéj chwili swego zawiązania przyjmuje do ubezpieczenia miasta galicyjskie, chociaż źle zabudowane i wielkie przedstawiające niebezpieczeństwa. Czyniąc to dla zasady, dąży do zapobieżenia klęskom przez pomoc skuteczną w urządzaniu straży ogniowych, a zniewala miasta nieprzezorne do zajęcia się tą sprawą przez przepis dozwalający podwyższyć do potrójnéj wysokości taryfę dla miast nieposiadających straży ogniowéj. Dokłada wszelkich usiłowań w celu zachęcenia włościan do przezorności. Ustanawia dla nich jednakową taryfę jak i dla własności większéj, kiedy inne towarzystwa zwykle albo odrzucają, albo znacznemi składkami obciążają ubezpieczenia włościańskie z powodu większéj ich ryzykowności. Gdy potępiając ustawę banku włościańskiego i przewidując jego upadek, od pierwszéj chwili jego istnienia, odmawia mu współdziałania, odmówioném ma nawzajem pozyskanie ubezpieczenia zastawionych w tym banku wartości; lecz wchodzi w umowę z protegowaném przez bank węgierskiém towarzystwem ubezpieczeń i przyjmuje pośredni przynajmniéj udział w ubezpieczeniach włościańskich, a z chwilą upadku banku, likwidacyą jego uczciwą ułatwia; obok tego nabywa znaczną partyą jego listów zastawnych i tę sprzedaje włościanom po cenie kupna (54%), aby ich od ruiny ocalić. Obniża jeszcze daléj taryfę dla włościan ubezpieczających się w grupie i daje im możliwe ułatwienia i dogodności, słowem, dąży do rozpostarcia dobroczynnego swego wpływu wszędzie, gdzie może przeniknąć.

W samym zarządzie panuje największa oszczędność i bezinteresowność; przytoczmy przykład z pośród wielu. Członkowie rady nadzorczéj, z których wielu na posiedzenia z daleka przybywać musi, przez pierwsze cztery lata istnienia Towarzystwa darmo pełnią swoje funkcye, nie pobierając kosztów podróży, od r. 1865 pobierają po 3 guldeny dyet, od r. 1871 po 6 guldenów, od r. 1879 po 10 guldenów dziennie. Kasa oszczędności mieści się przez 2 lata bezpłatnie w dwóch pokojach, ustąpionych jéj przez dyrektora-referenta w prywatném jego mieszkaniu. Nie przeszkadza to jednak, że od pierwszéj zaraz chwili Towarzystwo obmyśla emeryturę dla swoich urzędników, a wszędzie, gdzie idzie o zaznaczenie solidarności swojéj z krajem, nie cofa się przed wyłożeniem znacznych kapitałów. Tak bierze ono 800 akcyi Banku hypotecznego Lwowskiego, udzielającego pożyczki tabularne po Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém, tak zapisuje się na 250 tysięcy guldenów pożyczki krajowéj, czém przyczynia się do jéj powodzenia, jak to uznaném zostało przez pismo marszałka Zyblikiewicza.

Do powodzenia Towarzystwa wiele się przyczynia gruntownie bardzo obmyślana i stopniowo w miarę nabywanego doświadczenia poprawiana jego organizacya. Obecnie członkowie rady nadzorczéj wybierani są na lat 6 w poszczególnych obwodach bezpośrednio przez członków Towarzystwa; prezes jéj przez ogólne zebranie członków, na przedstawienie rady nadzorczéj, na lat 6. Dyrektora-referenta mianuje na czas nieograniczony z prawem odwołania taż rada, pozostali dwaj dyrektorowie wybierani są przez nią na lat 6. Tym sposobem z biegiem czasu wytworzyła się zasada, że dyrekcya pochodzić ma z wyborów podwójnych. Delegaci Towarzystwa, zamieszkali po powiatach, zapraszani z pomiędzy ubezpieczonych, dopomagają Towarzystwu przy czynnościach przyjęcia ubezpieczenia i regulacyi pogorzeli i niejednokrotnie w chwilach trudniejszych przynieśli wielkie usługi. Odpowiedzialność za ściąganie premii i korespondowanie z ubezpieczonymi ciąży ajentów, którzy od każdego ubezpieczenia otrzymują prowizyą. Takie urządzenie organów miejscowych zalecone od pierwszéj chwili przez dyrektora Kieszkowskiego okazało się praktyczném, gdyż łatwo przewidzieć, jak niepożądane skutki miałoby dla instytucyi obarczanie ludzi spełniających bezpłatnie obywatelskie funkcye czynnościami manipulacyjnemi.

Teraz, kiedy przebiegliśmy pokrótce tyle zaszczytną działalność krakowskiego Towarzystwa, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad okolicznościami, które do rozkwitu jego dopomogły.

Bez wątpliwości żadnéj, jedną z najszczęśliwszych okoliczności dla zawiązującego się Towarzystwa wzajemnego była wygórowana wtedy taryfa premii funkcyonujących w Galicyi towarzystw ubezpieczeń akcyjnych, dawała bowiem możność *ustanowienia i utrzymania przez czas długi wysokiéj stopy składek,* wystarczającéj nawet w roku klęskowym, bez obawy o utratę klientów. Skutkiem tego Towarzystwo nigdy nie potrzebowało uciekać się do rozpisywania składek dodatkowych, co jest jedną z okoliczności najbardziéj odstręczających od wzajemności, a przeciwnie jeszcze zwykle udzielało z otrzymanych zysków bardzo znaczne zwroty ubezpieczonym, co wielce do wzajemności zachęca. Miało więc Towarzystwo siłę przyciągającą pomimo tego, że odnosiło zyski, z których szybko zbierało fundusz rezerwowy. Że w razie strat egzystencya jego byłaby krótkotrwałą—tego najlepiéj dowodzą narzekania i niechęci ubezpieczonych, zaraz w drugim roku istnienia Towarzystwa tak głośne i propozycye zamienienia Towarzystwa Wzajemnego na akcyjne, z powodu strat w jednym tylko roku poniesionych, chociaż te straty zostały pokryte z funduszu rezerwowego, uzbieranego w pierwszym roku, który był bardzo pomyślnym. Zasługą jest rady nadzorczéj i dyrekcyi, że od chwili zawiązania się Towarzystwa stale obstawały za wysoką stopą taryfy, bez względu na to, że przez to prowizya płacona ajentom i składki oddawne Towarzystwom reasekuracyjnym były nieco wyższe niżby ściśle należało.

Korzyści, odnoszone przez instytucye reasekurujące, dyrekcya potrafiła odzyskać w znacznéj części przez zwroty, a znakomity fundusz rezerwowy, i kwitnący stan Towarzystwa są owocem przezornéj polityki taryfowéj zarządu.

Taryfa rolna obowiązująca przez pierwsze dziesięciolecie była następująca. Od 100 zł. w. a. wartości ziemiopłodów pomieszczonych w budynkach:

	murowanych pod twardém pokryciem	drewnianych pod twardém pokryciem	murowanych pod gontem	murowanych pod słomą	drewnianych pod gontem	drewnianych pod słomą
Opłata wynosiła centów . .	90	97	97	146	122	150
W téj saméj epoce wynosiła taryfa Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń	40	100	70		120	

Dla tego téż Towarzystwo Warszawskie pomimo wszelkich usiłowań na ubezpieczeniach rolnych nie odnosi zysków, a raczéj ponosi straty. Możność rozwinięcia działań przez pozyskanie klienteli przy wysokiéj taryfie składek była jednym z kapitalnych czynników dalszego powodzenia Towarzystwa krakowskiego. Czynnik

ten został należycie wyzyskanym, dzięki jasności i stałości poglądów zarządu i obywatelskim uczuciom ubezpieczonych.

Drugim pierwszorzędnym zadatkiem pomyślności było zmniejszanie się corocznéj liczby pożarów w skutek zaprowadzenia sądów przysięgłych w r. 1873, rezultat czego był zadziwiający. Kiedy przedtém nieustanne korespondencye i zażalenia dyrekcyi, wnoszone do władz rządowych o słabe śledzenie podpalania, o nieużywanie przeciw niemu środków zapobiegawczych, praktycznego nie odnosiły skutku, to w pierwszych zaraz kilku miesiącach funkcyonowania sądów przysięgłych skazano trzech podpalaczy, to jest więcéj niż ich zdołała dosięgnąć sprawiedliwość w pierwszych 13-tu latach istnienia instytucyi! Od téj pory zbrodnie podpalania stawały się coraz rzadszemi, zatém i korzyści z ubezpieczenia coraz większemi. Z jednéj więc strony, uzbierany znaczny fundusz rezerwowy, procentami swemi powiększający dochód instytucyi, z drugiéj zaś dotykalne zmniejszenie się liczby pogorzeli i wynikających stąd wydatków stawiają obecnie bilans instytucyi na tak korzystnéj stopie, że od roku przeszłego taryfa składek mogła być prawie zrównaną z taryfą Towarzystwa Warszawskiego, to jest o wiele obniżoną.

Trzecim pomyślnym warunkiem był żywy udział i poparcie jakie udzieliło Towarzystwu Krakowskiemu koło najzamożniejszych i najwięcéj wpływowych obywateli Galicyi, biorąc sobie niejako za punkt honoru powodzenie instytucyi.

Czwartym był stosunek władz rządowych do instytucyi ściśle przedmiotowy. Z téj strony Towarzystwo nie tylko na żadnym punkcie nie doznawało niepotrzebnych przeszkód, ale nawet z chwilą powiększonego wpływu władz autonomicznych cieszyło się stale przychylném ich poparciem.

Piątym wreszcie i najważniejszym czynnikiem pomyślności był nader szczęśliwy dobór osobistości w zarządzie.

Słusznie i trafnie wyraził się o członkach dyrekcyi w swojém przemówieniu Adam hr. Potocki: „Odwagą w postanowieniu, oględną i baczną rozwagą w działaniu, odrzuceniem zmudnych, kosztownych i biurokratycznych form—a jednak zaprowadzeniem ścisłego, jasnego i sprężystego porządku i kontroli, zachowaniem w stosunkach wszystkich cechy obywatelskiéj właściwéj... przedsięwzięciu, przy najsumienniejszéj oględności w najdrobniejszych szczegółach, a zawsze wytężoną pracą, zgodném między sobą, jakby jeden postępowaniem, nieugiętą wytrwałością i prawdziwém poświęceniem, przyczynili się oni głównie do wypadków osiągniętych..., a zdrowém założeniem w samych początkach dali silną i poważną podstawę przyszłemu rozwojowi instytucyi.“

Teraz jeżeli z tylu przychylnemi warunkami złożymy płodną ideę wzajemności, stanie się dla nas wytłómaczonym zdumiewający rozkwit Towarzystwa krakowskiego. Byłoby jednak złudzeniem taki rezultat przypisywać saméj zasadzie wzajemności, a oczekiwać od niéj więcéj, niż dać może, byłoby niebezpiecznie. Przynosi ona owoce wspaniałe skoro się do niéj dołoży wytężoną i umiejętną pracę kierowników i żywe współdziałanie społeczeństwa, ale też w żadnym rodzaju instytucyi nie znajdziemy tego zapleśniałego zacofania i apatyi, téj obojętności na postęp nauki i na zmianę ogólnych potrzeb, jak w instytucyach asekuracyjnych, opartych na wzajemności, skoro się zamkną w sferze załatwiania bieżących interesów ze ślepém trzymaniem się swego zastarzałego statutu, zaprowadzonych kiedyś tam porządków i utartych formułek biurokratycznych, a skłonność do przyjęcia takiego kierunku zbyt często i zbyt ogólnie ujawniała się w towarzystwach wzajemnych. Objawiły się skutki wad pomienionych dość dobitnie gdzieindziéj, jeżeli pomimo istnienia mnóstwa towarzystw asekuracyjnych wzajemnych w Niemczech, Belgii i Francyi, powstały obok nich towarzystwa akcyjne, które je z niewielkiemi wyjątkami przez swoję zabiegliwość i skłonność do ustępstw pokonały i na własnym ich gruncie pobiły. W saméj „Monografii“ napotykamy świadectwa upadającego stanu wszystkich niemal towarzystw wzajemnych w roku 1839 w całéj Austryi (str. 14) i zupełnie zachwianego stanu Towarzystwa Wzajemnego Czeskiego jeszcze w roku 1866 (str. 206). Wszak dopiéro inicyatywie dyrektora Kieszkowskiego udało się obudzić z letargu towarzystwa wzajemne austryackie, już ledwie wegetujące i nakłonić je do zmiany statutów w duchu ustawy Towarzystwa krakowskiego. Skutki wywołanéj tém reformy były zadziwiające. Towarzystwo Morawskie w 4 lata po dokonanéj reorganizacyi podwoiło swoje składki i fundusz rezerwowy, a ponieważ wartość w niém ubezpieczona w tymże czasie prawie się potroiła, więc oczywiście składek nie podwyższono, a znakomite te zyski były owocem saméj tylko trafnéj zmiany dotychczasowego kierunku. Ciekawém jest, iż nawet towarzystwo niższo-austryackie, na którego statucie Towarzystwu krakowskiemu niegdyś kazano się wzorować, i to zmieniło (przynajmniéj po części) swój zastarzały, a ongi modelowy statut, biorąc teraz nawzajem wzór z wypracowanego na gruncie miejscowym statutu Towarzystwa krakowskiego.

Dla uzupełnienia obrazu, przyjrzyjmy się, jak zapatrywali się na cele i działalność instytucyi ci, którzy widzieli ją zblizka i na losy jéj wpływali, aby ocenić stopień świadomości, który towarzyszył założeniu i dalszéj pracy instytucyi.

Wkrótce po zawiązaniu towarzystwa powiedział w ogólném zebraniu Adam hr. Potocki: „Wśród smętnych zwalisk, które ziemię naszę zalegają i tak boleśnie świadczą o upadku, zamierzyliśmy jednéj poszczególnéj potrzebie zaradzić zawiązaniem się w nasze Towarzystwo. Dbać więc o jego dobro jest nam nietylko zadaniem, jest dopełnieniem prawdziwie obywatelskiego obowiązku, aby do podźwignięcia całości donieść i naszą cegiełkę“ (str. 182).

Że zamiary te były spełniane zgodnie z pragnieniami społeczeństwa, widzimy z następnego przemówienia tegoż hr. Potockiego: „Przybywa do... téj instytucyi i jakoby z niéj wypływa z każdym rokiem nowe przedsiębiorstwo, nowy zakład, a po nowych i czerstwych gałęziach i konarach sądzić można o sile, zdrowiu i o żywotności samego pnia“ (str. 233).

Ciągłość i zmienność są to najistotniejsze warunki żywotności. Otóż baron Baum tak określił górujące pod temi względami zasady instytucyi: „Gdyby wskutek coraz bardziéj wzmagającego się rozwoju Towarzystwa okazały się reformy w jakimbądź kierunku pożądanemi, nie zaniedbamy wprowadzić tychże w życie, nie naruszając jednak głównych podstaw, na których instytucya nasza spoczywa, rozszerza się i wzrasta. Te podstawy pragniemy utrwalić, gdyż gmach, który na tych podstawach wzniesiony został, dowodzi, iż fundamenta są pewne i silne“ (str. 322). — A więc uszanowanie i miłość dla tradycyi obok stałego dążenia do postępu, takiém jest hasło Towarzystwa krakowskiego, i takiém się rządzą wszystkie instytucye kwitnące.

Należy się prawdziwe uznanie p. Mrazkowi, że pracowitém dziełem swojém dokładnie obznajmił rodaków z dziejami tak sympatycznéj instytucyi. Umiejętnie ułożone przez p. Kazimierza Langiego tablice statystyczno-graficzne z korzyścią dopełniają całości, która w swoim zakresie zupełnie celowi odpowiada, a poprzedzona krótkim rysem dziejów asekuracyi w Królestwie Polskiém i W. ks. Poznańskiém, otwiera szerszy pogląd na sprawę asekuracyjną w naszym kraju.

Józef Jeziorański.





CZYTELNICY I PRASA

(GŁOS Z PUBLICZNOSCI) (1).

Praca nad oświatą ludu.—Warstwy średnie, ich rola w społeczeństwie,—stosunek warstw średnich do pracy nad oświatą ludu.—Prasa peryodyczna jéj odnośne zadanie,—przeciętny czytelnik, prasa,—przeciętny literat, publika.—Nakładca i nowe społeczne prądy.—Ścisła tendencyjność pism—wyosobnienie prasy, małoletniość publiki.—Jak radzić złemu: usamowolnienie publiki, dziennik ogólnéj treści, zdanie redakcyi.—Naturalny rozrost prasy, pomimo pozorów stagnacyi—sposób w jaki pismo przychodzi w zetknięcie z publiką—przypuszczalna rada.—Należyte rozwinięcie klas średnich zapewnia jedynie wpływ skuteczny na podniesienie ludu.

Ostatniemi czasy, wiele się u nas mówi i pisze o potrzebie szerzenia oświaty wśród ludu, jako jednéj z najżywotniejszych, palącéj kwestyi. Nie mam zamiaru przeczyć prawdzie tak oczywistéj, drogi jednak, któremi do celu dojść chcemy, nie zupełnie wydają mi się właściwe.

Przyjrzawszy się zbliska i bezstronnie całéj na tém polu robocie, zauważyć można, iż wykonywa się ona nieprawidłowo.

Warstwy, społeczną składające masę, nie oddzielają się nigdzie od siebie zbyt ostro, na punktach stycznych nie tworzą krańcowych różnic. Jak wszędzie, tak i tu widzimy stopniowanie i łagodne przejścia, zlewające je niepochwytnie w całość. Arystokracya rodowa przez drobną szlachtę i wyższe mieszczaństwo jednoczy się z klasą średnią, tak jak téj znów niższe warstwy giną w ludowéj massie.

Tak zwana średnia klasa w dzisiejszém naszém stadyum, to serce, w którém ogniskuje się duchowe życie całości, aby następnie

---

(1) Pomieszczając artykuł niniejszy, powodujemy się myślą uczynienia zadość potrzebie łączności ogółu czytającego z czasopiśmiennictwem nie tylko w sposób bierny, ale także i czynny przez komunikowanie myśli, wytwarzających się poza kołem zwykłych spółpracowników, a odbijających poglądy pewnych większych grup społecznych.

(*Przyp. Redakcyi*)

po społecznéj rozpływać się masie. Wyższe warstwy, materyalizując się, obumierają, podczas kiedy najniższe, jeszcze należycie uduchowić się nie zdołały.

Wielką przeto, jak widzimy, jest rola owych warstw średnich; zadaniem ich, jako twórców i stróżów życiodawczych źródeł, jest wciąż oczyszczać je i podniecać, aby duch, który z nich tryska, coraz szybciéj, coraz obustronnie odleglejsze od środka użyzniał sfery, chroniąc od zakażenia jedne, drugie od zaniku i moralnéj zagłady.

Chąc jednak, aby dana warstwa pracy téj godnie i prawidłowo odpowiedziéć mogła, należy ją przedewszystkiém używotniać w saméj sobie, od wierzchołka aż do podstaw.

Zwierzchni pokład tworzą tu ludzie poświęceni pracom ogólniejszego znaczenia, ludzie społecznego czynu, głębokiéj miłością ogółu przyjętéj myśli. Starać się o jak najszersze przystosowywanie działań ich w praktyce, ułatwiać masie właściwe rozumienie ich i saméj siebie, karmić możliwie najliczniejszą rzeszę tworami zdolniejszych umysłów—znaczy to używotniać klasę średnią, a tém samém, pełnić jedno z najpilniejszych zadań chwili. Niepodobna działać skutecznie na warstwy dalsze, dopóki bliższe, odpowiednio przygotowanemi nie będą.

Rozwijając się w myśl naturalnego prawa postępu, coraz więcéj liczymy w gronie naszém uświadomionych jednostek; przyrost ten wszakże tém pilniejszy na nie wszystkie wkłada obowiązek, wprowadzania w grę pozostałych, wyszukiwania sposobów, któreby co prędzéj wyrwać mogły masę z kleszczy egoizmu, jeśli nie apatyi i bezwiedzy, a wprzęgły ją do tak pilnéj, na społecznym zagonie pracy.

Tak zwaną średnią klasę składają u nas literaci, lekarze, prawnicy, urzędnicy, kupcy, przemysłowcy, drobna szlachta wreszcie. Jeśli pominiemy trzy pierwsze kategorye, jako ludzi pracujących umysłowo, a więc mających, dane po temu, aby stanowić zwierzchnie warstwy, to pozostałe, pamiętając że tu mowa o przeciętnéj, utworzą masę przeważnie egoistycznemi widokami materyalnych zabiegów pochłoniętą, o ile nie apatyczną i walką o byt w nieprzyjaznych warunkach wyczerpaną. Myśl ogólniejszego znaczenia mało w niéj budzi interesu, każdy tu gorączkowo pracą na chleb zajęty, dziś i jutro—to najżarliwszych zabiegów meta, po za obrębem któréj, w chwilach od obowiązkowéj pracy wolnych, wesoła a szczera gawęda, bilard, operetka czy lżejsza komedya, wreszcie gra w karty w przyjacielskiém kółku lub resursie wystarczą.

Na tle téj płytkomyślnéj całości, wydatnieją od czasu do czasu innego pokroju grupy; słowa ich wszakże giną bez echa, czyny mar-

nieją bez szerszego naśladownictwa. Uda im się wprawdzie zyskać niekiedy poklask i teoretyczną zachętę, częściéj jednak pogardliwą nazwę marzycieli, idealistów, dziwaków, a bez duchowego wspólnictwa z całością, chęci i myśli ich, w czynie ucieleśniać się nie mogą.

W takim stanie rzeczy, praca nasza, około podniesienia i oświecenia warstwy ludowéj, dość dziwnie wygląda. Jest to coś jakby chęć zmienienia naturalnego porządku, chęć podania karmi dziesiątemu z kolei, kiedy pierwszych dziewięciu w stosunkowo bliższéj z tą warstwą zostających styczności, wyrodnieją w zaniedbaniu. Wreszcie duchowe potrzeby danych klas społecznych, stopień ich rozwinięcia, warunkują się również miejscem, jakie one w hierarchii społecznéj zajmują, a odczuć i zrozumiéć te ich potrzeby potrafią najlepiéj ci, co się z należącymi do nich osobnikami w praktycznem życiu spotykać mają sposobność. Literatura téż, jaką sztucznie tworzymy dla ludu, nosi cechy nieznajomości warstwy, dla któréj jest przeznaczona. Literat ożywiony miłością maluczkich, lub filantrop, w ciszy swego gabinetu snujący oderwane pomysły ku uszczęśliwieniu nieznanych sobie, w nieznanych mu zbliska warunkach żyjących indywiduów, przypominają smakosza, który częstując wieśniaka ostrygą, dziwił się, że go nią uraczyć nie zdołał.

Nie poznamy ludu i skutecznie nad jego podniesieniem pracować nie będziemy, póki nie zjednoczymy się ściśléj, i nie używotnimy sami w sobie, nie potrafimy należycie karmić ludu dotąd, dopóki między nami będzie takie mnóstwo duchowo głodnych, pojęciowo ciemnych, w uczuciu egoistycznych.

Chcąc złemu radzić, a tém samém pośrednio przyczyniać się do pilnéj pracy społecznéj, należy nam starannie między samymi sobą duchowe odnajdywać powinowactwa, żywotniejsze z nich stwarzać całości, krzesać iskry, któreby rozświecając się przez kojarzenie z innemi, coraz dalsze rzucały promienie. Zadania tego winni się podjąć wszyscy, którym dobro ogółu na sercu leży, aby je należycie spełnić, potrzeba być, pojęciowo i czuciowo, rozwiniętymi ludźmi.

Dla pełnienia tego rodzaju misyi cywilizacyjnéj, życie towarzyskie i prasa mają pole najobszerniejsze.

Pominąwszy na teraz pierwsze, przyjrzyjmy się drugiéj, jéj odnośnym obowiązkom i stosunkowi, w jakim dziś do przeciętnego czytelnika zostaje.

Prasa peryodyczna, zwłaszcza téż u nas, to jeden z najgłówniejszych wyrazów życia umysłowego, w szczególniejszéj téż u ogółu winna być pieczy, jak również ze swéj strony, najodpowiedniéj

go zasilać. Prasa to zwierciadło całokształtu ducha społeczeństwa, ze wszystkiemi jego cechami charakterystycznemi, to odcisk wszystkich prądów i zwrotów chwili, przekonań danych grup i jednostek w zestawieniu z sądem całości. Pisma, pomiędzy innemi, winny być polem kojarzenia się pokrewnych pojęciami, a nie jednokrotnie rozdzielonych przestrzenią lub socyalném położeniem osobników, miejscem właśnie zlewania się we wspólne ognisko pojedyńczych odległych światełek, dla tém łatwiéjszego ogarniania umysłów owych mas, drzemiących pomimo wszystko, w półsennném zbezwładnieniu.

Czy tak pojętemu zadaniu nasza prasa peryodyczna czyni dziś już zadość?

Aby odpowiedziéć sobie na podobne pytanie, dość zbadać stosunek, jaki istnieje pomiędzy czytającym ogółem, a piszącymi.

Kto jest u nas czytającym ogółem?

Klasa średnia bez wątpienia; jeśli jednak wypadnie nam znów pominąć, stosunkowo nielicznych ludzi umysłowo pracujących, pozostaną właśnie, te dalsze pokłady téj warstwy, złożone z ludzi pracy mechanicznéj i drobnych o jednostkowym, lub rodzinnym, charakterze zabiegów, ludzi, którzy rzadko bardzo specyalniejszém cechują się przygotowaniem, a jednak społecznym dążeniom i ogólnoludzkim ideom, w przystępną ujętym formę, współczuć, ba nawet współdziałać gotowi.

Pozostałych, a najliczniejszych, znów odtrącić wypadnie, tych bowiem umysłowym potrzebom, brukowe wieści z kuryerów i humorystyka wystarczają.

Najbliżéj też wierzchniéj warstwy położonymi, jakkolwiek właściwie nie należącymi do niéj, prasa ze szczególną pieczołowitością zaopiekować się powinna, oni to są przewodnią dla oświaty i dążeń społecznych nicią, z pośród nich wreszcie, rekrutuje się przeciętny czytelnik.

Osobistość to, ani wydatniéj inteligentna, ani krańcowo zacofana; jako pokarm duchowy służy jéj w chwilach wolnych książka popularna, częściéj pismo peryodyczne, z oszczędności codziennego życia zaprenumerowane. Przeciętny czytelnik rad też znaleść w niém, nie trudząc się zbytecznie gimnastyką umysłową, zasiłek duchowy, w formie pojęć sobie pokrewnych, na sprawach i prawdach powszedniego, zbliska znanego mu życia opartych. Wreszcie, wiadomości z szerszego świata, zawsze w popularnéj podanych formie, jednem słowem, czegoś co by rozumiał, i czemu by współczuł, a więc się interesował.

Przychodzi zrobić pomiędzy istniejącemi pismami wybór, środki materyalne ograniczone, trzeba poprzestać na jedném, dwóch najwyżéj, kłopot nielada, wybór trudny.

Ktoś z inteligentniejszych znajomych radził zaprenumerować jedno z pism tak zwanych postępowych, radykalnych. Przeciętny czytelnik jednak ani tak krańcowym, ani dostatecznie wykształconym nie jest, aby mógł wnikać głębiéj w dążenia redakcyi i współczuć im, spostrzega tylko jednolitość pewnych zasad, obcych jeszcze jak dotąd ogółowi. To téż po pewnym czasie p. X. przychodzi do wniosku, że dziennik, z którym się zetknął, jakkolwiek zamieszcza wiele rzeczy uczonych, wiele nawet myśli poczciwych, to jednak obrażając uczucia religijne narodu, jest niebezpieczny, ojczystym tradycyom wrogi; wykreśla się téż z listy prenumeratorów. Uciekając przed niebezpiecznemi pojęciami, trafia do jednego z dzienników klerykalnych. Przeciętny czytelnik ma zazwyczaj dużo praktycznego zmysłu, sprawami nawet ogólniejszego znaczenia interesować się lubi, żywotną myśl byle w dostępnéj podaną formie odczuwa, czcza frazeologia nuży go, rad wśród plewy napuszonych frazesów odnaleść ziarno duchowego, a nie oderwanego od ziemi zasiłku, nie znajduje go jednak.

Jeszcze jedna próba: zwraca się do pisma, które ma być sprawom życia praktycznego poświęcone, a redagowane przystępnie,— i tym razem zawód. W przekonaniu redakcyi: wszystkiemu, co złe na świecie, winno jedno tylko plemię—żydzi. Czytelnik znów w zasadzie różni się z tendencyą pisma, jako człowiek praktyczny i umiarkowany, wiele wad w swoich spotrzega, wiele téż innym wybaczać umié.

Po tak niefortunnych próbach, nie znajdując odpowiedniego dla siebie, w odpowiedniéj formie podawanego zasiłku, staje się zapalonym adeptem polityki, a odgadywanie tajnych kombinacyi gabinetów zagranicznych— jego ulubioną rozrywką. Jeśli w towarzystwie ktoś z obecnych robi wzmiankę o prasie peryodycznéj, p. X. konkluduje : „Pustki, panie, w naszych pismach nie ma co czytać.“ Innym razem, dyskredytując prasę postępową w opinii współbraci, woła : „Źle się z nami dzieje, bo nasze mędrki Boga w sercu nie mają, spuścizny po ojcach nie szanują, a wszystko co tam piszą, to trucizna, panie, od któréj samym uciekać a młodych strzedz.“ — Takich i tym podobnych panów X. mamy mnóstwo : straceni dla siebie, szkodliwi dla rozwijających się samodzielniéj w ich pobliżu umysłów, z czasem stają się zawadą, wstrzymującą przeniknięcie w tłum każdéj śmielszéj, żywotniejszéj myśli,— prawdziwe tamy postępu.

Chcąc zobaczyć przyczyny zła, przyjrzyjmy się, kim jest przeciętny literat z fachu i zbadajmy wzajemny stosunek obydwóch tych typów. Przeciętny literat z fachu, jeśli człowiek młody, to jednostka parta szlachetnemi porywami, zwłaszcza téż u wstępu do swego zawodu; młodzieńczy zapał, energią i przerastające miarą swą przeciętny ogół zdolności, pragnie ona w imię idei złożyć na ołtarzu dobra społecznego. Nie znane jéj są dostatecznie warunki życia realnego, nagiąć je téż usiłuje mocą swego ducha do własnych pojęć i idei. Młody tego pokroju literat, to namiętny, fanatyczny szermierz, nie świadom prawdziwéj wartości własnych zasobów, niedoceniający życiowego dorobku starszych współbraci literatów, a przedewszystkiém lekceważący szary tłum, szanowną publicznością zwany. Literaci téj kategoryi, to bez kwestyi promotory postępu; droga wszakże, którą innych siłą swego zapału i energii prowadzą, wytknięta bez współudziału rozwagi, życiowego doświadczenia, wreszcie znajomości tych, którzy się ich przewodnictwu oddali, zdradna. Każdy okruch zdrowéj prawdy i żywotniejszéj myśli, okupować każą tysiącem błędów, wynaturzeń, oddalając cel upragniony, opóźniają tryumfalny ku prawdzie pochód; chcąc budować, zbyt wiele niszczą, zbyt bezwzględnie prawdom przeszłości przeczą—między nimi i tacy, co pod płaszczykiem idei znają tylko siebie, a dla stwierdzenia własnéj nieomylności gotowi by żądać, aby sama prawda przybrała narzucone jéj przez nich kształty. Wobec tych literatów, zwykły przeciętny czytelnik maleje do zera, stając się tylko raz na kwartał jednostką, a mianowicie w chwili uiszczania za pismo opłaty.

Chcąc jednak być sprawiedliwym, przyznać trzeba, że żądza materyalnych zysków nie leży w naturze pierwszych, tam wyłącznie tylko miłość dla idei skrystalizowała się w formę miłości dla własnego rozumu, a nieco późniéj w miłość swego „ja.“ Bywają wprawdzie i inne, poniekąd niespodziewane zwroty: szlachetne poczucia, zakażone chwilowo poszeptami fałszywéj ambicyi i dumy, w ogniu życiowych doświadczeń oczyszczają się, i prawda jaśniéj niż kiedy wybłyska,—metamorfozy te jednak przychodzą zwolna, stopniowo, a zawsze ze szkodą masy, która nie może, nie śmie podnieść opozycyi przeciw umysłowemu despocie, to téż albo podziwia go przerażona i bierna, albo szemrze głucho, zapominając o rzeczywistéj wartości żywotnych zkąd inąd jego dążeń i myśli.

Obok téj kategoryi literatów, mamy jeszcze typ inny, o nie mniéj wydatnym charakterze. Tworzy go zastęp pracowników pióra, którzy rozpocząwszy zawód swój również z dobrą wolą i poczciwą myślą, nie odznaczali się wszakże tyle samodzielnym co pierwsi

umysłem, ani tak krewkim, czy nerwowym temperamentem, zmęczyli się też i wyczerpnęli w swéj trudnéj, kolcami najeżonéj drodze.

Literaci tego pokroju, to po największéj części rutyniści, pedanci. Siły ich fizyczne wątłe, myśl do formy słowa przyrosła, i w niéj też skarlała, nie może śmiało za duchem czasu podążać, w lot rodzące się chwytać pojęcia i szybować wraz z niemi po oceanie nie dość uzmysłowionych jeszcze idei. Skłonniejsi są oni od młodszych swych braci widziéć w „szanownéj publiczności“ dostarczycieli nędznéj mamony, któréj realną wartość nauczyło ich oceniać życie mozolne; dla nich publiczność, to dziecko, które wedle indywidualnego usposobienia traktują dobrotliwiéj, lub mniéj łaskawie, uprzejmiéj lub więcéj szorstko, zawsze jednak z wysokości katedry, w imię ojcowstwa, czy nauczycielskiéj powagi.

Z tego punktu spojrzawszy na obraz, jaki nam prasa przedstawi, zamiast odzwierciedlenia całokształtu ducha społecznego, ujrzymy pole szermierki kilku zdolniejszych jednostek, pożeranych wewnętrznie górującą po nad wszystkie względy ambicyą. Pole fanatycznych starć kilku grup ludzi odmiennych przekonań, starć, o ile podjętych w dobréj wierze, zabarwianych jednak namiętnością, koteryjnemi względami i t. p.

Ciasną i duszną tę arenę ogradza mur chiński rutyny, pyszałkowatości, wreszcie myślowego despotyzmu, po za nim dopiéro gromadzi się szary tłum publiki. Zajęty, uznojony on pracą, około drobnostkowych powszedniego życia zabiegów podejmowaną, mimo to wszakże w każdéj swobodniejszéj chwili wspina się na palce z miną rozciekawionego gapia; przygląda utarczkom zapaśników, lub przysłuchuje z ciekawością dziecka ich opowieściom, w formę gawęd, fejletonów, półsłówek przykrojonym. Innym razem zajęty różnobarwnością ich jaskrawych chorągwi, śledzi ciekawie zapasy walczących, współczując zwycięzcy, rzadko zwyciężonemu, bo na to potrzebaby więcéj samodzielności, a na téj właśnie mu zbywa. Niektórzy śmielsi, o krwi gorętszéj i pochwytniejszym z natury umyśle, zwabieni czerwoną lub niebieską barwą sztandaru, usiłują się przedrzéć przez oddzielające ich od walczących mury, i bodajby w roli ciurów obozowych spieszą na pomoc tym, którzy sympatyą ich sobie zjednali. Usiłowania te wszakże, rzadko kiedy bywają uwieńczone pomyślnym skutkiem. Rycerze z fachu nie dowierzają nowozaciężnym ochotnikom, pomoc ich przyjmują z lekceważeniem, niekiedy jednak, zatarłszy starannie indywidualne ich cechy, przybranych w odpowiedni, z pedanteryjną ścisłością sporządzony uniform, wprowadzają na publiczną arenę, na któréj defraudowani przybysze, nie śmiąc być sobą, nie umieją zrozumiéć

i odczuć w zupełności tych, których barwę noszą, robią się też wkrótce biernemi, zidyociałemi w ich ręku narzędziami.

Jedna jest jeszcze droga, więcéj już oficyalna, która łączy publiczność z prasą, a jest nią kupiecka spekulacya nakładców. W stosunku wzajemnym prasy z publiką, oni są przewodnikami, za pomocą których duch masy przekrada się w dane pismo w formie tendencyi, któréj część jéj hołduje. Droga ta, prawie wyłącznie chęcią materyalnego zysku torowana, obok ujemnych, łączy w sobie dwie dodatnie dane. To, czego miłość dla idei uplątana w sidła małostkowego pyszalstwa zrobić nie zdołała, to zrobiła zimna rachuba, chęć zysku. Téj to spekulacyi dzięki, w chwili rozwijania się w społeczeństwie pewnéj kategoryi pojęć, zjawia się pismo, mające być ich wyrazem. Z tegoż samego jednak powodu, kiedy liczba zwolenników kierunku, jaki pismo początkowo obrało, okazuje się zbyt małą, zimna rachuba kapitalisty, gotowego zawsze poświęcić miłość idei dla pobrzękliwego kruszczu, nakazuje odcieniować barwę sztandaru i zbliżyć się ku większości. Mniejsza o to, co się z kiełkującym zarodkiem danéj myśli stanie, mniejsza o garstkę samym sobie zostawionych zapaleńców, tu chodzi o brzęczącą monetę, o zysk. Droga podobnego postępowania, o ile w części pomaga rozwojowi pojęć i używotnieniu myślowych prądów, o tyle tamuje je i opaźnia. Wszelka myśl postępowa, zanim uzyska prawo obywatelstwa, musi ciężką przejść walkę ze wstecznictwem, jakie jéj zawsze w formie większości przeciwstawia kapitał, nie znajdując utartych torów, przedzierać się musi przez manowce rutyny uprzedzeń i zabobonów przez wązkie i zachwaszczone ścieżki, po których towarzyszy jéj zaledwie garstka gotowych do poświęceń adeptów; zanim wydobyć się zdoła na światło dzienne i gładką szeroką drogę, którą pociągnie za sobą tłumy. Nakładca tymczasem, wyszukując dla pieniężnych swoich spekulacyi szczęśliwych obrotów, schlebia fałszywym lub chorobliwym gustom publiki, stając zbyt często jako potężny, materyalną siłą wsparty, propagator i obrońca wstecznictwa.

Nie mniéj od poprzednich ważną przeszkodą w myślowym rozwoju ogółu jest zbyt zacieśnione pojmowanie i fanatyczne strzeżenie ram danego pisma, „wyznaniem wiary“ zwane. Wiadomo, ile na punkcie wierzeń religijnych, fanatycznie, kastowo uodrębnione ich pojmowanie przyniosło szkody ogółowi, kosztem jakich ofiar tamowało ludzkości drogę stopniowego rozwoju, i dziś, kiedy ta sama myśl, dla którêj aby uzyskać swobodę, poniesiono tyle ciężkich prac i walk krwawych, różnicuje się, my usiłujemy ją znów okuwać w kajdany fanatyzmu i pychy.

Powstając przeciw zbyt ściśle ujednostronnionéj tendencyjności w prasie, nie domagam sie bynajmniéj, aby zrobić pismo płową mozajką, wolną od ściśle określonych dążeń, od starć gorących (byle nie brutalnych), od świadomego siebie celu; zasklepianie się jednak w raz powziętéj myśli, niechęć i uprzedzenia ku wyznawcom wiar innych, graniczące z nienawiścią, zbyt często na samolubnych instynktach opartą, nie godném jest umysłu prawdziwie inteligentnego człowieka, i nie może znaleść oddźwięku w szerszych kołach publiki. Widzieliśmy już, jakie znaczenie dla przeciętnego czytelnika ma to ujednostronnienie tendencyi, ta bałwochwalczość wobec danéj tezy. Ściśle określona, zbyt jednostronna tendencyjność, nadaje pismu czysto indywidualistyczny charakter, zacieśnia jego ramy, monopolizując poniekąd grupę danych pojęć i jednostek, zbyt słabo łączy prasę z ogółem, przez co znów jednostkowe uwyraźnianie się mas, duchowy wzrost ich opóźnia się, nie wyrabia samodzielność, któréj brak ujemnie zawsze, wśród zdradnych zewnętrznych okoliczności — zgubnie działać może.

Wszystkie powyższe względy, źle oddziaływając na przeciętnego czytelnika, takiż wpływ wywierają i na samę prasę. Z jednéj strony publika nieużywotniona sama sobą, nie zasilona należycie pojęciami bogatszych duchowo jednostek, dusi się w atmosferze powszednich zabiegów, ciasnych celów, ograniczonych widzeń; błyski zaś jaśniejszych i zdrowszych myśli, nie znajdując szerszego dla siebie odbicia, promieniują w ciasném kółku najbliższego otoczenia, a niekiedy nie wychodząc po za obręb mózgowéj swéj klatki, gasną nie podsycone żadną zewnętrzną podnietą. Z drugiéj strony, literaci, dni i noce nieraz spędzający na suszeniu sobie mózgów przy stole swego gabinetu, zdala od wartkich potoków życia, o którém z obowiązku zmuszeni są wygłaszać pewne przekonania, drogą intuicyi potrzebują znać tych, o których mówić im wypada, którym nawet pewien regulamin, przepisywać są obowiązani. Z konieczności społecznych stosunków traktując zajęcie swoje, jako specyalność do utrzymania życia służącą, obok technicznéj wprawy, wnoszą w dziennikarstwo bardzo często czczość i myślowe wyczerpanie, będące nieodzownem następstwem obowiązkowéj na tém polu pracy. Przykrym widok nieszczęśliwego upadającego pod ciężarem fizycznego mozołu, przykrzejszym wyzysk myśli, tego najszlachetniejszego istoty naszéj pierwiastku, a jakże wielu ludzi dla wytchnienia po mechanicznéj pracy poświęcić by mogło parę godzin wolnych umysłowéj rozrywce, jaką mogło być dla nich pisanie w odpowiednim charakterze i formie. Skorzystałyby obie strony, a tak tracą wszyscy.

Czemże bo wyczerpnięty, znużony, chociażby zdolny umysł może czytający ogół zasilić? Myśl, aby była pożywną, musi być płodem jeśli już nie natchnienia, to pełni tak duchownych, jak i fizycznych sił.

Chcąc względnie radzić złemu, należałoby może przy istniejących pismach o specyalnym charakterze, pomieszczać rubrykę, przeznaczoną dla publiczności, i odnośnych jéj na daną kwestyą zapatrywań, dyskusya uróżnostronniała by tendencyą, ściśléj ją z ogółem zespalając. Obok pism specyalnie tendencyjnych, warto, ażeby inne cechowały się pełnią swobody i tolerancyi. Każdy mógłby wypowiadać się, nie ściągając ze strony przeciwnego obozu oburzenia gromów, żadne złośliwe wytykanie bodajby zewnętrznie najuboższych myślowych kombinacyi miejscaby nie miało, wszelka wymiana myśli, niechby spokojnie i z godnością była podejmowaną. Zróżnicowały się pojęcia, rozwijamy się z dniem każdym,—już nie wystarczają nam pierwotne zasadnicze barwy, poszukujemy więcéj złożonych.

Kiedym się raz z projektem utworzenia podobnie neutralno-popularnego pisma odniosła do redakcyi jednego z tygodników, odpowiedziano mi, iż pismo takie „istnieć by nie mogło, nic podobnego bowiem nie istnieje w całéj Europie, byłby to jakiś dom zajezdny, do którego miałby prawo zajechać każdy.“ Ani pierwszy, ani drugi argument nie przekonał mnie. Nie istnieje u nas bardzo wiele rzeczy, które jednak istnieją w Europie, dla czego by więc nie miały istnieć te, których tam nie ma. Zawsze ta sama naśladowniczość, ten sam brak samodzielności. Co do owego domu zajezdnego, który tak przestraszał redakcyą, nie widzę nic, coby tu w czémkolwiek cywilizacyjnym wymaganiom dziewiętnastego wieku uchybiać miało; przeciwnie, sądzę, że nawet zwyczaj schodzenia się przy wspólnym stole gości po hotelach zagranicą, na zaznaczenie i naśladownictwo zasługuje. Nigdy snadniéj poznać się i porozumiéć nie będziemy mogli, jak kiedy zniesione zostaną zapory, tamujące szczere wzajemne porozumienie się, tak nieraz w stosunkach naszych nielogicznie krępowane. Aby myśl człowieka rozjaśniła się, wzmogła względną swoję wartość przez zespolenie się z myślą innych, powinna przedewszystkiém miéć możność wypowiedzenia się, bezwzględnie, szczerze. Często bardzo zacieramy myśl własną jedynie dlatego, że od jednostajnego tła myśli innych zbyt odstaje. W piśmie peryodyczném, o pokroju wyżéj wzmiankowanym, pseudonim zasłaniając osobistość i jéj słabostki, w rodzaju wygórowanéj miłości własnéj, braku cywilnéj odwagi i tym podobnych, zapewniłby swobodę myśli, która na oryginalności, żywotno-

ści i prawdzie zyskałaby niechybnie; chodzi tylko o usamowolnienie publiki (1).

Jakiekolwiek spotykać by można głosy, nie ulega wątpliwości, iż umysłowe życie nasze, w ogóle w ostatnim lat dziesiątku, ożywiło się bardzo, a w naturalnym porządku następstw, i ruch w pismach peryodycznych zwiększa się. Pomimo to niezbyt dawno jeszcze spotkać się można było w prasie z artykułami przeciwnéj treści. Jeden z nich np. zamieszczony w *Prawdzie* p. n. „Gasnące światła" mógł niesłusznie przejąć czytelników pesymistycznem zapatrywaniem autora na piśmiennicze stosunki nasze. Twierdził on np. iż liczba prenumerujących pisma dziś jest stosunkowo mniejszą niż przed dziesięciu laty, ilość wydawanych dzieł zmniéjszyła się również; byłby to fakt wielce niepokojący, gdyby po wniknięciu w szczegóły nie na samych cyfrach oparte, okazał się rzeczywistym. Rozpatrując wszakże sieć przyczynowości i nie dość znane, dla wyżéj wzmiankowanych powodów, nurty społecznego życia mas, niszcząc moralny rozdział pomiędzy nakładcami literatami a publiką, do innych dojdziemy wniosków, gdzieindziéj ujrzymy zło, którego odblask obserwować się daje na wskazanym punkcie.

Dawniéj, w zamożniejszych zaledwie domach spotkać się można było z pismem peryodycznem, dziś ogół rodzin do klasy średniéj należących prenumeruje ich po parę. Biéda jest ogólną, a jednak pomimo niéj niedaleka przeszłość nie wykaże takiéj liczby uczącéj się młodzieży, jaka dziś pomimo ciężkich innego rodzaju utrudnień z oświaty korzysta. Biédny wyrobnik, stróż, praczka, i ci nie skąpią krwawego grosza, aby dzieci ich zaczerpnęły światła, którego dobroczynne wpływy, jakkolwiek nie doświadczyli ich sami, intuicyą rodzicielskiego uczucia oceniają. Ruch umysłowy u nas nie zmalał, przybrać tylko usiłuje inną formę, grożąc pozorami stagnacyi i odrętwienia, a te w gruncie są zapowiedzią nowych, żywotniejszych zwrotów.

Pisma, najmniéj odpowiadające potrzebom chwili, tracą prenumeratorów, naturalne to bardzo, a dla ogółu obojętne, drzewo

---

(1) Winna ona raz przestać być karmioną a zacząć bardziéj samodzielnie i krytycznie myśléć o sobie, przestać być bawioną, bawiąc się sama, a system téj samopomocy wpłynąłby z jednéj strony na rozwijanie się pojedyńczych osobników, zasilał dziennikarstwo świeżym, pełnym życia prądem, uwalniając zaś ludzi prawdziwie zdolnych od czczych zazwyczaj feljetonów i gawęd, na które marnują, wrodzone talenty, pozwoliłby im postępować w dziedzinie rzeczywistéj wiedzy, bogacąc jéj zdobyczami piśmiennictwo krajowe. Dziennik, o którym mówię, byłby owym zbornym, a zarazem rozjemczym punktem, dla wyznawców wiar różnych, którzy mając możność poznania się bliżéj, zrobiliby krok naprzód do przyszłego braterstwa pojęć, wzajemnéj a tak pożądanéj tolerancyi wierzeń.

zostaje zielonem pomimo, że jedna z jego gałęzi, schnąc, liście traci. Co do zmniejszenia się ilości wydawanych dzieł, przyczyny tego zjawiska dopatrywać by można właśnie w rozroście prasy peryodycznéj.

Dawniéj ogół, żądny wiedzy, nie mógł zasilać się nią inaczéj jak przez kupowanie książek, dziś pisma peryodyczne ze swemi dodatkami poważniejszéj treści, za stosunkowo nizką opłatą, czynią téj potrzebie zadość, obok czytelni, których wzrastająca liczba i wzbogacające się katalogi, dodatnio świadczą o budzących się poważniejszych zamiłowaniach publiki. Owe tłoczone dawniéj tysiącami egzemplarzy dzieła gromadzono w zamożniejszych domach prywatnych, po większéj części dla mody i przyzwoitości, dla przybrania gabinetu lub buduaru, wreszcie, aby świadczyły dodatnio o inteligencyi gospodarzy, jak niegdyś owi rzymscy niewolnicy, co w imieniu swych panów wygłaszali przy ucztach ustępy z klasyków. Tęskno téż i dziś jeszcze z po za lustrzanych szyb wykwintnych bibliotek wyglądają dzieła te skute jak w kajdany w kosztowną oprawę, suto złoconemi napisami zdobną. Dziś ogół kupuje książkę, nie dla tego, żeby ją zamknąć w elegancką, raz na rok otwieraną szafę, ale dla tego, aby częstokroć zbroszurowaną zaledwie z gorączkowym odczytać pośpiechem, i obdzielić nią jak największą liczbę bliższych i dalszych znajomych; ztąd dziś, mniejsza ilość egzemplarzy danego dzieła, większą stosunkowo karmi rzeszę. Duch danéj społeczności kształci się, przeobraża, rozwija i piśmiennictwo wtedy téż same przechodzić musi koleje. Przytoczone obserwacye zdają się wskazywać, iż żywotność nasza nie znajduje się bynajmniéj w stanie wyczerpnięcia, a więc to nic innego, tylko że zaniedbujemy do lamp świeżéj dolewać oliwy, i dla tego niektóre ze świateł gasną. Aby się dosadnie przekonać, że ta część ogółu, o której mówię, w gruncie apatyczną nie jest, dość przyjrzéć się jaki ruch panuje w redakcyach. Gradem artykułów korespondencyi, powieści oryginalnych i tłómaczeń, bywa każda z nich zasypywaną.

Ma się rozumiéć duża większość tych tworów, w znacznéj części dla wyżéj wyłuszczonych powodów, nie wydostaje się na światło. Pomimo to życie społeczne siłą własną stwarza ruch w prasie, co raz nowe na jéj powierzchnie rzucając wyrazy w formie nowo tworzących się pism; niechże nie doznaje przeszkód ze strony tych, którzy przewodzić mu mają, niech odpowie swemu celowi, niech życie wzmacnia, rozbudza i krzewi.

Jedną z ważnych na téj drodze przeszkód, jest zbyt uwarunkowany i ograniczony sposób, w jaki przeciętny czytelnik przychodzi w zetknięcie z pismem peryodycznem.

Służy mu w tym celu najprzód droga bezpośredniéj prenumeraty. Prenumerata pism naszych, stosownie do miejscowych warunków, nie jest wysoką, a jednakże niestety, jest za wysoką dla przeciętnego czytelnika, zwłaszcza jeśli ten nie rad się zadowolnić jedném tylko pismem. Pożycza też inne u znajomych, stosując się do ich widzeń i wyboru, jeśli jest mężczyzną, spotkać się może jeszcze z żądaném pismem w cukierni. Miesięcznik, dla przeciętnego czytelnika niedostępny ze względów materyalnych, chociażby miał dane duchowego z nim powinowactwa. Co do czytania w cukierni, widoczny jest dorywczy jego charakter; miejsc, w których znaleść można ucztę, ze wszystkich niemal dań prasy zastawioną, również brać w rachubę nie należy, są one wyłącznie dla pewnéj specyalnéj klasy ludzi przeznaczone (resursy kupiecka, obywatelska). Biédny też przeciętny czytelnik, pomimo całéj skwapliwości, z jaką spadające okruchy ze stołu materyalnie bogatszych zbiera, bardzo niewystarczająco odżywiać się niemi może.

Chcąc podobnemu wcale dotkliwemu brakowi radzić, sądziłabym, iż redakcye za wspólném porozumieniem się, urządzać by mogły rodzaj czytelni z pism peryodycznych, w których by najbiédniejsi i najgłodniejsi zarazem, za niską opłatą żywić się mogli. Tanie kuchnie tego rodzaju dodatni wpływ wywierałyby na zdrowie ogółu. Aby zaś udogodnienie to nie ograniczało się na saméj Warszawie, któréj mieszkańcy bez porównania lepiéj na tym punkcie są uposażeni, czy nie dałoby się projektu tego w odpowiedni sposób i do prowincyi zastosować?

Przewiduję zarzut, iż podobne udostępnienie pism peryodycznych ogółowi, wrogiém byłoby interesom redakcyi. Zdaje mi się, iż popełniłby błąd każdy, ktoby tak myślał. Udostępnione zetknięcie się z pismem przyczyniło by się znacznie do ożywienia na tym punkcie mas, zyskując setki nowych prenumeratorów.

Resursom i innym tęgo rodzaju instytucyom należałoby na odpowiednich warunkach wyznaczyć pewne godziny w dniu, lub dnie w tygodniu, w którychby biblioteki ich, a przedewszystkiém pisma peryodyczne, za niską opłatą, dla ogółu udostępnione były; ciasne to pojęcie—wyosobniać się i zamykać w jakiém bądź kole o kartowym charakterze. Kobiety szczególniéj z czytelni takich korzystać powinny, ich położenie bowiem na tym punkcie jest o wiele jeszcze trudniejsze, występują tu pewne ścieśnienia i odgraniczenia, których emancypacyjny ruch dotąd zwalczyć nie zdołał; kobiety téż, szczególniéj na prowincyi, rzadko kiedy odważają się same pójść przejrzeć pisma peryodyczne w cukierni: tém pożądańszą byłoby rzeczą, aby z pism resursy, lub w mowie będącéj czytelni, ko-

rzystać mogły, a i ich rola w nastręczającéj się pracy nie mała. Tak, tylko, obok ułatwionego masie publiczności zetknięcia z pismem, i rozwinięcia współudziału czytelników w prasie, możemy spodziewać się szerokiego jéj wpływu. Wtedy to jedynie ogół uświadamiając się co raz bardziéj sam w sobie, będzie mógł wziąć się skutecznie do pracy, która dziś nie znajdując w nim należytego oddźwięku, leniwie kroczy naprzód.

Niekiedy nawet, odcięta od pnia głównego, jakim jest czynne życie całości i bezpośrednia z niém łączność, myli drogi, znajdując podnietę, albo w niedość praktycznych usiłowaniach marzycieli, albo w niewysychającém nigdy źródle kastowych niechęci.

Upraktyczniać z życia tryskającą prawdą szlachetne dążenia pierwszych, łagodzić spory, zacierać kastowe odrębności, o ile tłem ich zgubna na niskich instynktach oparta namiętność, oto zadanie chwili, któremu może nie sprostać ideolog, materyalista, antisemita, ani ludofil, ale na pewno podołają miłością prawdy i ogółu przejęci,—celów swych świadomi—ludzie.

W. Chicińska.





WRAŻENIA LITERACKIE.

= W r. 1885 akademia sztuk i umiejętności w Zagrzebiu obchodziła uroczystość 50-letniego jubileuszu odrodzenia się literatury chorwackiéj. W „Pracach“ swoich *(Rad jugoslavenske akademije)*, wydawanych peryodycznie zeszytami, zamieściła prelekcye i rozprawy wybitniejszych członków, czytane podczas uroczystości. Na czele tych rozpraw spotykamy wstępną mowę prezesa d-ra Fr. Raczkiego, w któréj, po stosownéj przemowie do zgromadzenia, kreśli on w ogólnych zarysach przyczyny i kierunek rozwoju oświaty w Chorwacyi. Obszerniéj i szczegółowiéj rzecz tę rozbiera w następnéj rozprawie p. t. „Obrona i rozwój narodowéj idei chorwackiéj od 1790 do 1835 r.“ znany historyk, członek akademii Tadeusz Szmicziklas. Autor poczyna rzecz swą od chwili, gdy absolutyczne i gwałtowne reformy Józefa II wyrwały Chorwatów z dotychczasowéj apatyi i zmusiły do przedsięwzięcia pewnych kroków w celu zachowania narodowości własnéj. Chorwaci łączą się z Węgrami, aby wspólnemi siłami stawić opór prądom germanizacyi; wkrótce atoli najniespodziewaniéj ujrzeli się zmuszonymi rozpocząć walkę ze swymi sprzymierzeńcami. Węgrzy chcieli uczynić panującym język węgierski w obu krajach, Chorwaci zaś bronili łaciny, którą się dotychczas posiłkowano we wszystkich urzędach. Na chwilę spory ustały, gdy zgodzono się w r. 1811 na wprowadzenie do szkół publicznych języka węgierskiego, wszakże jako przedmiotu nieobowiązującego. W późniejszym jednakże czasie, gdy Węgrzy stale uznawali Chorwacyą za prowincyą im podwładną, nie zaś jako kraj sprzymierzony, a z tego powodu odmawiali im praw równych, na nowo rozpoczęły się spory i Chorwaci zmuszeni byli pomimo długiéj opozycyi uznać w r. 1825 język węgierski jako przedmiot obowiązujący. I nie dziw, że Węgrzy odnosili stopniowe zwycię-

stwa. Społeczeństwo chorwackie, jakiém je maluje p. Szmicziklas, pozostawiało wówczas wiele do życzenia: gdyż niższe klasy żyły w zupełnym niedostatku materyalnym i nędzy umysłowéj, wyższe warstwy, arystokracya, pozbawiona wszelkich uczuć patryotycznych, trwoniła pieniądze za granicą, hulała, rozpustowała i tylko ze swych awantur znaną była w większych miastach europejskich. Mówiąc nawiasem, działo się tak, jak u nas ongi. Pierwsi działacze na polu odrodzenia wyszli z najniższych warstw narodu; do nich najpierw należy zaliczyć biskupa zagrzebskiego Vrhowca, który wyszedł z gminu i stanął na jednym z wyższych szczebli dostojeństw krajowych. Vrchowac wraz z młodym patryotą Antonim Mihanovićem przez swoje prace w celu rozbudzenia zamiłowania do mowy ojczystéj może być uważanym jako poprzednik sławnego Ludwika Gaja. Wkrótce występuje na pole literackie grono sił narodowych, któremu nowa literatura chorwacka winna swój początek. Rzecz godna uwagi, że poezya zjawiła się najpierw nie w formie lirycznéj, jak to się zwykle dzieje, lecz w dramatycznéj. Ukazują się dramaturgowie Miklouszić i Lovrenczić i komedyopisarz Brezovaczki. Około Gaja grupuje się zastęp zacnéj młodzieży i ukazuje się w roku 1834 pierwsze czasopismo literackie „Danica" (Jutrzenka) (1). Na tém kończy rzecz swą p. Szmicziklas. Potém następuje rozprawa znanego poety i krytyka chorwackiego d-ra Franciszka Markovića: „O dr. Demetrze, jako dramaturgu doby ilirskiéj." Dymitr Demeter (ur. 1811 † 1872 r.) wystąpił najpierw w 1838 r. z dwoma większemi dramatami: „Miłość i obowiązek" i „Krwawa zemsta." Są to utwory naśladowane, a raczéj przerobione z dramatów klasycznych pisarzy Dubrownika Gledjevića (Zorislava) i Gundulića (Sunczanica) i przeniesione na grunt narodowy. Potém ukazał się oryginalny i ze wszech miar godny uwagi dramat Demetera „Teuta", osnuty na walkach starych Ilirów z Rzymianami. Treści dostarczył autorowi opis tych walk w historyi Polibiusza. Umiejętnie autor umiał tu przeprowadzić tendencyą polityczną: walka Ilirów—to dzisiejsza walka Chorwatów w imię swobody podjęta. Głównym bohaterem dramatu jest Ilir Dymitr; kocha on namiętnie królowę Teutę, protegowaną przez Rzymian, ale nie może jéj pojąć inaczéj, jak tylko przez zdradę ojczyzny. Dymitr upada: zdradza kraj, mając atoli nadzieję, że potém będzie mógł zemścić się nad Rzymianami; wszakże w walce z nimi ginie. Pomysł dramatu świetny,—ożywia go moc słowa i mi-

---

(1) Na początku bieżącego stulecia staraniem władzy francuskiéj wydawano w Zadarze polityczne nowiny: „Kraljski Dalmatin."

łość idei narodowéj; pod względem jednakże wykonania pozostawia on wiele do życzenia. O późniejszych pracach Demetera zamilcza p. Marković, ponieważ należą one już do następnéj doby. — Po rozprawie Markovića następują artykuły dotyczące rozwoju nauk przyrodniczych w Chorwacyi, skreślone przez pp. Szuleka, Pilara i Brusinę, artykuł o zdobyczach na polu archeologii przez p. Ljubića i „Pogląd na historyą gramatyki i leksykografii od 1835 r." przez Budmana. Szereg tych rozpraw kończy obszerny artykuł d-ra Franciszka Raczkiego: „Szkic historyografii chorwackiéj od r. 1835 do 1885." Autor dzieli całą nową epokę rozwoju historyi w Chorwacyi na trzy peryody: od 1835 do 1850 r., od 1850 1867 i od 1867 do 1885. W pierwszym peryodzie badania historyczne szły naprzód bardzo powoli. Patryoci zwrócili głównie uwagę na to, aby rozbudzić ducha narodowości, zaszczepić zamiłowanie piękna i wykształcić język ojczysty. Podawano więc zwykle publiczności wyjątki z historyi, opowiadając czyny wielkich mężów, pisząc ich życiorysy lub malując fakty godne naśladowania; cytowano ustępy z większych poetów XVII w. i zwracano się także i do poezyi ludowéj. Chorwat Szwear napisał co prawda całkowitą historyą Chorwacyi do 1790 r., ale dzieło to pozostawia wiele do życzenia, najbardziéj z tego względu, że autor wcale nie znał nowych zdobyczy w badaniach historycznych i nie miał pojęcia o wymaganiach, jakie w téj mierze postawiła krytyka historyczna u innych narodów europejskich. Nieco pomyślniéj pracowano na tém polu w Dalmacyi, gdzie w téj epoce ukazało się kilka dzieł niepośledniéj wartości bądź w języku włoskim, bądź w chorwackim. W r. 1850 zawiązało się w Chorwacyi „Towarzystwo historyczno-archeologiczne", którego celem było wyszukiwanie i wydawnictwo starych oryginałów z rękopisów, mogących rzucić jakiebądź światło na przeszłość narodową. Towarzystwo to wydawało swój organ: „Archiwum historyczne południowo-słowiańskich narodów", gdzie ogłaszano wszelkie na polu historyi lub archeologii nabytki i odkrycia. Następstwa tych usiłowań były dość pomyślne: prócz wydanych w znacznéj ilości rękopisów, oprócz kilku oryginalnych podręczników historyi, zjawiły się monografie o oddzielnych epokach przeszłości, studya nad literaturą chorwacką, co ułatwioném było przez wydawnictwo znakomitszych poetów i pisarzy z XVI i XVII w. W zakresie historyi prawa równie też uczyniono postępy. Wszakże badania dziejów ojczystych przybrały szersze nierównie rozmiary od czasu założenia akademii nauk w r. 1867, która wydała już od téj chwili niemałą ilość rękopisów starych i prac z dziedziny historyi politycznéj, historyi prawa lub literatury. Wybitne zajmują tu miejsce monografie

historyczne Raczkiego, Ljubića i studya nad literaturą prof. Jagića (1). Co się tycze całokształtu dziejów chorwackich, to na pierwszym planie należy niezaprzeczenie postawić „Historyą chorwacką“ Tadeusza Szmiczíklasa w 2-ch tomach; prócz tego jako podręczniki szkolne, odznaczają się historye Tkalčića i Balenowića. Z całkowitych historyi literatury zasługują na wzmiankę prace J. Filipovića „Krótka historya literatury chorwackiéj i serbskiéj dla szkół średnich“ i A. Pechana „Historya literatury chorwackiéj“; wszakże obie te prace nie wiele mają cech oryginalności. Bez porównania lepszym jest w téj mierze „Przegląd“ Radetića; jest-to nawskróś oryginalne i na czysto naukowych badaniach oparte 4-tomowe dzieło o stanie literatury chorwackiéj, począwszy od r. 1538 do 1850. Prócz prac tych wyszło w tymże okresie i wiele innych monografii, tyczących się historyi politycznéj, kościelnéj, prawa lub literatury, a dowodzących z jakim zapałem i sumiennością pracują Chorwaci na polu odrodzenia naukowego. *J. Nitowski.*

---

(1) Jego „Historya literatury narodu chorwackiego i serbskiego“ jest jedną z lepszych prac w tym rodzaju.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Trzeźwość obecnéj chwili.—Pozostałość z epoki, kiedyśmy byli narodem wybranym.—Dla czego nie mamy pojęcia o marynarce, a na polityce znamy się?—Brak poczucia odpowiedzialności.—Pisma poważne.—„Gazeta Polska“ jéj wysokie zalety i mały grzech.—Wielka łączność w przyszłości i mały sojusz dzisiaj.—Korespondent z Pragi.—„Vychod“ dra Skrzejszowskiego.—Historya polska w Czechach i w Warszawie.—Trudne położenie opozycyi i nieuniknione jéj konsekwencye. P. (j. k.) przeczy sobie.—Dwa sprawozdania: z Kasy imienia Mianowskiego, i z piśmiennictwa naukowego.—Przesilenie w przemyśle cukrowym i środki mające go ratować. — Ubezpieczenie właścicieli domów od strat na komorném.

Był czas, żeśmy się uważali za naród wybrany. Ale to już dawno temu. Nieszczęścia, prąd krytycyzmu graniczącego często z rozpaczą niemal, zbyt silnie wtrząsnął organizmem, abyśmy mogli nieotrzeźwiéć zupełnie. Dziś może tylko już jacy ostatni Mohikanie zachowują pod tym względem złudzenia. Wszyscy wiemy, że żadne nadzwyczajne wrodzone cnoty nas nie zdobią, że najpiękniejsze kwiaty duszy i serca zwiędnieją, jeżeli atmosfera nie sprzyja ich rozwojowi. Od innych narodów stoimy o tyle wyżéj lub niżéj, o ile my lub one posunięte są daléj w rozwoju cywilizacyjnym. O przodowaniu światu niema mowy; aby nie zostać maruderem wśród ludów Europy, trzeba dużo i mozolnie pracować. Bez nauki—nic wiedziéć ani umiéć nie możemy, tak samo jak inni.

Ten tylko ostatni pewnik niezupełnie przyjął się jeszcze. Głośno nikt się nie przyzna, że natchnieniem jego nie jest szkoła, książka, studya, lecz... dobra rasa; co najwyżéj ten i ów napomknie coś o intuicyi, o entuzyazmie. Pozory znajomości rzeczy jak najgruntowniejszéj staramy się zachować w każdéj chwili. W rzeczywistości, ufność we wrodzone siły ducha, w wyjątkowe zdolności i talenty nie przestaje nas opuszczać w różnych wypadkach. Takie usposobienie dzielnie nas broni przed naciskiem krzewiącéj się obok wiedzy, a po za szczelną jego osłoną żyjemy sobie w spokoju sumienia,

pełni otuchy i fantazyi, podrwiwując nieraz z zaciekań i wniosków jakiego pedanta, dopóki naturalnie te nie zostaną na zachodzie, albo jeszcze lepiéj—na wschodzie, przełożone na gwarę dziennikarską i w ten sposób udoskonalone nie wejdą do Panteonu „najnowszych wyników wiedzy.“ Gdy tak już zmienione zostaną, że twórca sam poznać nie może, wtedy my je, biedne sieroty, tulimy do pełnego zapału łona.

Chociaż już i pod tym względem dopatrzéć można pewnego postępu. Ponieważ, naprz. naród nasz tylko wąziutkim skrawkiem ziemi ociera się o morskie fale, a przeszłość zostawiła nam w spadku tylko trzy, nie wszystkim znane, nazwiska Arciszewskiego, Sierpinka i Beniowskiego,—więc, naturalnie i najśmielsze nawet pisma nie wielką mają ufność do swéj kompetencyi w kwestyach marynarki i do zabierania głosu w tym przedmiocie nie są zbyt pochopne. Chwalebna wstrzemięźliwość! Do polityki za to przykładamy zupełnie inną miarę. Z Warszawy do Baltyku jest tak akurat daleko jak i do znajomości życia politycznego; to ostatnie widziéć można równie dokładnie jak parowce atlantyckie w „*Journal Illustré*“, albo „*The Graphic*“, a tymczasem, oto, nasz dziennikarz potrafi niejednego dyplomatę zakasować, gdy się zgada o stosunkach międzynarodowych. Nieraz już zwracano uwagę na zbyt wielką arbitralność i stanowczo za wysoki ton w traktowaniu nieudolności naprz. ks. Bismarcka lub hr. Salisbury. Rady słane do Berlina, Paryża i Rzymu są bardzo miłą zabawką w czasach, kiedy pisanie o wężu morskim zostało zupełnie zdyskredytowane. Ale poważniéj rzecz się przedstawia, jeżeli chodzi o Poznań albo Lwów: tam pisma warszawskie są czytane i mogą nieraz wiele zepsuć. A tymczasem i tutejsza surowość nie robi sobie wiele ceremonii, gdy się zabierze do strofowania koła polskiego lub poszczególnych przywódców, i tamtejsi oskarżyciele znajdują szeroko otwartą gościnność na łamach warszawskich dzienników. Wszystko to wynika z zakorzenionego uprzedzenia o szczególnéj łasce ducha świętego dla ludności, korzystającéj z warszawskiego bruku. Zdaje się nam, żeśmy tak szczodrze obdarzeni jasnością poglądów, nieomylnością rozsądku, że aby wydać sąd trafny, dosyć chwilę potrzymać w ustach lub koło czoła obsadkę z namoczoną w atramencie stalówką. Na okręcie najlichszemu majtkowi nie odważylibyśmy się dawać rady, na politycznéj nawie nie robimy sobie nic a nic z najdoświadczeńszych sterników. Ile to razy rozlega się z Warszawy komenda, z temi zerwać, z temi się złączyć, głosować na to, obalić ministeryum i t. d. Ludzie, dla oczu których ukryte są poważne skutki ich wystąpień, a oglądać mogą bezpośrednio tylko wywołane przez siebie polemiki dzienni-

karskie, nie czują odpowiedzialności, jaka spada na wtykającego palce do rozpędzonéj machiny życia praktycznego.

Tego, co tu mówię, nie należy naturalnie stosować nietylko do całéj prasy warszawskiéj, ale nawet ani do jéj większości. Obok partyzantów, dumnych ze swego nierachującego się z niczém animuszu, mamy dzienniki, zbyt silnie ożywione duchem obywatelskim, aby zaufały lada doniesieniu drążkowego opozycyonisty lub własnym kombinacyom, gdy te nie opierają się na należytéj znajomości rzeczy; zbyt doświadczone, poważne i prawe, aby miały nie powołane, nie wtajemniczone, nie kompetentne, plątać pasma, ponaciągane przez ludzi biegłych i oddanych swemu zawodowi, a potrzebujących dla dokonania czegoś zaufania i zapewne kontroli, ale innéj, niż dać może pismo i dziennikarz bez wyrobionéj znajomości rzeczy i poczucia nawet w sprawach politycznych.

Do takich poważnych organów przedewszystkiém zaliczyć należy „Gazetę Polską.“ Naczelne jéj artykuły polityczne pp. J. G. i A. R. niewiele zapewne mają równych sobie w prasie naszéj. Czytelnik nietylko znajduje w nich dokładne informacye o sprawach bieżących, ale go wprowadzają głębiéj w grę czynników politycznego życia Europy. Ztamtąd można dowiedzieć się, co to jest poważne traktowanie rzeczy poważnych, można brać przykład taktownego i spokojnego omawiania kwestyj najbardziéj drażliwych, najmocniéj irytujących. Ale właśnie dlatego, że tak wysoko cenimy wartość i stanowisko „Gazety Polskiéj“, musimy zrobić zastrzeżenie co do niektórych korespondencyi nadsyłanych z Pragi Czeskiéj. Pisane są one bez zaprzeczenia piórem wyrobioném i zawierają rzeczy istotnie zajmujące. W ostatnich jednak czasach brzmi w nich coraz wyraźniéj ton jakiegoś roznamiętnienia,—naturalne, może, odbicie téj gorączki, jaka obecnie na ulicach Pragi zapanowała.

Jak się ułożą stosunki słowiańskie w przyszłości, czy zapłoną w sercach naszych i czeskich wieczne ogniska platonicznéj miłości braterskiéj lub przyjacielskiéj,—o tém dziś przesądzać niepodobna. Propagowanie jakichś dozgonnych ślubów między całemi narodami współplemiennemi może być, w obecnych okolicznościach, zajęciem czysto teoretyczném: jeśliby nawet nie przyniosło żadnéj korzyści, to i szkody chyba nikomu nie zrządzi, a obawa zawikłania się bezpowrotnego w niewłaściwe sympatye byłaby podobno przedwczesną. Czasy nasze wcale nie tchną sentymentalizmem. W każdym jednak razie, jakkolwiek byśmy się zapatrywali na ideę braterstwa narodów,—jest to sprawa odległa i do jéj zbliżenia lub większego jeszcze oddalenia jeden i drugi artykuł gazeciarski, a choćby nawet

i cały jednostronnie zabarwiony dziennik, przyczynić się może w bardzo małym stopniu, a i to wtedy tylko, kiedy działać będzie do współki z czynnikami i interesami pierwszorzędnemi.

A tymczasem sojusz czesko-polski w austryackiéj radzie państwa, sojusz na małą skalę, niby prowincyonalny, nie związany szumnym programatem, ale zato praktyczny, powszedni, jest faktem istniejącym i widocznie oddaje jakieś przysługi Galicyi, kiedy go ona pielęgnuje i utrzymać nadal stara się. Dlaczego mielibyśmy ją zrażać do tego przedsięwzięcia, odbierać wiarę w powodzenie skromnéj roboty? Że autor listów z Pragi w „Gazecie Polskiéj“ nie miał takich zamiarów—o tém jesteśmy jak najmocniéj przekonani; mamy jednak obawę, żeby jego korespondencye nie stały się mimowolnie wodą, na młyn p. Skrejszowskiego. Można i należy nawet informować naszych czytelników o dążeniach i zamiarach tego pana; można nie sympatyzować z Juliuszem i Edwardem Gregrami, krytykować ich taktykę, przyglądać się bacznie ich działaniu, zaznaczać wywijane przez nich koziołki polityczne; w uogólnianiu wszakże faktów pojedyńczych a zwłaszcza w wyprowadzaniu z nich wniosków ostrożność jak największa zawsze jest pożądaną.

Dr. Franciszek Skrejszowski wydaje w Pradze pismo „Vychod“, w którém popuszcza wodze swéj, namiętnie wypowiadanéj ku nam niechęci; a że pismo to wciąż rośnie we wziętość, więc szanowny korespondent wnioskuje (N. 135), że prąd uczuć i dążeń czeskich uniemożliwia dalszą, łączną z nami działalność. „Zgoda czesko-polska—można czytać w „Vychodzie“—to czuły frazes, to szereg mów i toastów, przy kieliszku wygłoszonych. Gdzie się zaczyna potrzeba zgody, rzeczywistéj solidarności parlamentarnéj, tam „braterstwo“ polaków się kończy. Polacy nas zawsze opuszczają w najważniejszych wypadkach, nie szczędząc pięknych słówek o „bolesnéj konieczności“, o swéj konsekwencyi w „polityce interesów realnych“ itd. Dzieje się to tak często, że u nas już w Czechach przestano się dziwić, gdy Polacy nie głosują z nami, lub głosują przeciw nam. Braterstwo czesko-polskie jest to idylla, zrodzona w głowach paru marzycieli.“ Prócz tego sprawozdawca „Gazety Polskiéj“ powtarza nam takie poglądy „Vychodu“ na dzieje polskie, na stosunki etnograficzne itd., które mogłyby nasuwać myśl, że dr. Skrejszowski nie kończył szkół w Czechach, lecz uczył się historyi z pewnych podręczników. Wszystko to dawno nam znane, wszyscyśmy to czytali, jeżeli nie w oryginale, to przynajmniéj w przytoczeniach naszych pism w rubryce „Z prasy“... a czeskie echo nie rozszerzyło pod tym względem zakresu naszéj wiedzy. Z powodu takich poglądów czeskiego pisma p. „(j. k.)“ powiada: „Dowodzenia „Vychodu“

zasługują na uwagę wszystkich tych, co między nami, a Czechami nie widzą politycznych *przepaści.*" „Przepaści"?! Politycy utrzymują, że żadna z nich nie jest bezdenna, z dziejów zaś wiadomo, że jedną wytrwała praca zdołała zasypać, na drugiéj rzucono most trwały, trzecia znikła w okamgnieniu niby za dotknięciem laski czarnoksięskiéj, inna znów uległa powolnemu, ale niezawodnemu działaniu czasu, który wszystko przekształca, zmienia.

Szanowny korespondent — zauważymy nawiasowo — jest zapewne w tém szczęśliwém położeniu, że nie czyta wszystkich pism warszawskich; inaczéj wiedziałby on, że niepotrzeba jechać do Pragi, aby się spotkać z karykaturą historyi, ze smutną naiwnością pewnych poglądów etnograficzno-politycznych. I u nas, nad szarą Wisłą, można znaleść artykuły, obchodzące się z historyą własnego kraju po tatarsku, i u nas są literaci, co wspólne niemal z „Vychodem" poglądy głoszą.

Ani Gregrowie, ani Skrejszowski nie stanowią narodu czeskiego, i nie są wcale przedstawicielami większości. Z korespondencyi p. „(j. k.)" mogliśmy się byli dowiedzieć, że stronnicy tych panów wybijali szyby Riegerowi, chociaż mąż ten niezaprzeczenie jest głównym przywódzcą narodu. Dla czegoż by mieli być dla nas grzeczniejsi? Młodoczechy stoją w opozycyi względem rządu i względem większości własnego kraju, a jednocześnie różnią się od właściwéj opozycyi w radzie państwa, od liberalnych niemców, jeszcze bardziéj niż partya Riegera. Chcąc więc, pomimo małéj liczby, przydać sobie powagi, poczuli potrzebę oparcia się na jakiéjś sile po za parlamentem i po za państwem; chcąc zaś pokazać, że i sami stanowią groźną siłę, wyzyskali właściwą młodzieży skłonność do entuzyazmu i pchnęli ją do burdy ulicznéj. W rzeczywistości zaś pokazali, że mogą tylko dostarczyć roboty szklarzom, spełnili rolę tegorocznego gradu w Warszawie. Grad jednak nie jest siłą twórczą w polityce.

Postać rzeczy zmieniła by się, gdyby bracia Gregrowie lub „Vychod" uzyskali większość bądź w narodzie bądź wśród reprezentantów w radzie państwa. Ale z ostatniéj korespondencyi pana „(j. k.)" (nr. 140) dowiadujemy się, że wcale a wcale nie zanosi się na pokaźniejszą większość Gregrów, ani żadnéj innéj opozycyi. „Miasta i gminy — czytamy tam — dawniéj znane z charakteru opozycyjnego, obecnie zasypują Riegera adresami zaufania, a liczba tych adresów z każdym dniem wzrasta." Nacóż więc w takim razie było wywoływać widmo przepaści i alarmować nas wzrastającą liczbą czytelników „Vychodu"?

Mamy przed sobą dwa sprawozdania, mogące dać niejakie pojęcie o ruchu umysłowym u nas. Pierwsze z nich (*Sprawozdanie piąte z czynności komitetu, zarządzającego kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowém, imienia Mianowskiego za rok* 1886), kreśli nam obraz czynności instytucyi, opiekującéj się nauką w Królestwie, drugie (*Sprawozdanie z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych, rok* 1885) pozwala dowiedzieć się o udziale naszym w rozwoju nauki, o rozmiarach i sposobach szczepienia jéj w całym kraju.

Kasa imienia Mianowskiego liczyła członków: założycieli 80 (więcéj niż w roku poprzednim o 5), honorowych 95 (więcéj o 5), rzeczywistych 1278 (więcéj o 148). Z téj ostatniéj liczby wniosło składkę tylko 602 członków dawnych i naturalnie wszyscy nowi. Zestawienie cyfr członków, którzy opłacali składkę w ciągu 5 lat istnienia kasy, wskazuje na stały rozwój instytucyi:

W r. 1881/2	— 635	którzy	wnieśli	rs. 3831
„ „ 1883	— 557	„	„	„ 3111
„ „ 1884	— 672	„	„	„ 3947
„ „ 1885	— 677	„	„	„ 3784
„ „ 1886	— 750	„	„	„ 4280

Majątek towarzystwa według bilansu stanowi 102,587 rs. kop. 45.

Dochód kasy w ciągu 1886 roku wynosił w gotowiznie:

Od członków wszelkich rodzajów . . . . , . .	5580	rs.		
ofiar jednorazowych	8105	„	17	kop.
procenty i dochody z funduszów kasy	7510	„	1	„
zwrócone pożyczki . . , ...	1560	„	12	„
zwrócone zapomogi warunkowo-zwrotne . . .	1407	„	67	„
pozostałość z roku poprzedniego	1618	„	36	„
Czyli razem dochód w gotowiznie	25781	rs.	33	kop.

Prócz tego kasa otrzymała 731 egzemplarzy dzieła Jaccouda: „Wykład patologii szczegółowéj“, 3 t. po 13 rs., oraz 305 egzemplarzy dzieła Cohnheima: „Wykład patologii ogólnéj“, 3 tomy po rs. 5.

W wykazie wydatków kasy znajdujemy:

Pożyczki na cele i badania naukowe	6,770	rs.	—	
Pożyczki i zapomogi na wydawnictwa naukowe	10,957	„	82	kop.
na administracyą	441	„	45	„
papierów publicznych kupiono za	6,301	„	20	„
pozostało w gotowiznie u kasyera	1,320	„	80	„

Podań o pożyczki i zapomogi na cele i badania naukowe w roku 1886 rozpatrywano 28 z tych uwzględniono w całości 16, odmowną odpowiedź udzielono 12. *O pożyczki* zaś *i zapomogi na wydawnictwa naukowe* wniesiono próśb również 28, z tych uczyniono zadość 12, odrzucono 12, pozostało do decyzyi 4.

W tym dziale, który w roku bieżącym nie wzbudzi chyba żadnych już protestów, znajdujemy następujące pozycye szczególniéj ważne: „*P. B. Znatowiczowi, Redaktorowi Pamiętnika Fizyograficznego*, przyznano i wypłacono pożyczkę bezprocentową rs. 1200 na dalsze wydawnictwo tego dzieła". P. Józefowi Polakowi, Dr. Med., przyznano i wypłacono zapomogę bezpowrotną rs. 300, na dalsze wydawnictwo miesięcznika poświęconego hygienie p. n. „Zdrowie.""

Trzeci rodzaj wsparć, jakie Kasa udziela, nosi tytuł: *Pożyczki i zapomogi dla osób, które już poprzednio dały się poznać z prac naukowych.* W téj kategoryi złożono jedno podanie, wskutek którego wypłacono p. A. S. b. nauczycielowi, zapomogę bezpowrotną rs. 25. W czwartym dziale — *zapomogi z procentów od funduszu wieczystego imienia J. Nep. Jaśkowskiego*—wskutek jedynego podania wypłacono p. Oskarowi Kolbergowi 686 rs., które ten użył na wydanie 3 tomu dzieła p. t. *Mazowsze.* Nareszcie w piątym dziale—*zapomogi dla tłómaczów dzieł lekarskich*—złożono również jedno podanie i to uwzględniono, udzielając p. Ottonowi Hewelke, redaktorowi „Kroniki Lekarskiéj" 150 rs. na wydawnictwo.

Biblioteka matematyczna, wydawana z funduszów kasy (dział 2-gi) pod redakcyą pp. Baranieckiego i Czajewicza od roku 1882 do końca 1886 kosztowała 11,121 rs. 24 kop. Ze sprzedaży dzieł zaś zwróciło się przez ten czas 3330 rs. 49 kop. W roku rozpatrywanym największy dochód widzimy przy seryi 3-éj (kurs szkół średnich), którą stanowiły dwa dzieła samego redaktora p. Baranieckiego: *Arytmetyka* i *Teorya przecięć stożkowych.* Najmniéj przyniosła rozprzedaż seryi IV (wyższa matematyka). Nie można jednak z tego wnosić, że serya I, początkowa, rozchodzi się mniéj niż III, gdyż najprzód różnicę w liczbach wywołuje różna cena książek, a powtóre wpłynęło i to, że w seryi I nie było w 1886 r. nowych wydawnictw. Z załączonego w sprawozdaniu rachunku widzimy, iż koszt wydania doskonałéj *Fizyki początkowéj* p. S. Kramsztyka został w zupełności pokryty z rozprzedaży.

Ciekawym jest obrachunek liczby członków rzeczywistych kasy w różnych punktach kraju i po za krajem. Warszawa dostarczyła kasie połowę przeszło ogólnéj cyfry członków, gdyż 400 przeszło na 750; gubernie Królestwa blisko 160; gubernie zachodnie 90 przeszło (w téj liczbie 18 z Wilna); dalsze gubernie 70 kilku; Petersburg 20 kilku, zagranica 4, Kraków 2, Lwów 1.

W Poznańskiém członków wcale niema, ale temu wyrzutów dziś robić niepodobna; trudno natomiast chyba usprawiedliwić mały udział Galicyi. Bez kwestyi, korzystając z rezydencyi Akademii Umiejętności, mniéj potrzebuje ona pomocy kasy niż Królestwo, ale

działalność warszawskiéj instytucyi nie nosi wcale na sobie jakiegoś charakteru wyłącznego. Książki wydawane—są cenne wszędzie. Wskutek saméj już „Biblioteki matematycznéj“ powinni by po za Sanem zwrócić uwagę i przekonać się, że nie ma żadnéj furtki do usunięcia się od obowiązku. Takie książki z seryi IV — to głównie nawet pożyteczne będą w Krakowie i we Lwowie studentom uniwersytetów. Przytém tamtejsi profesorowie je piszą, tam obecnie przebywa jeden z redaktorów, więc punktów zetknięcia się i źródeł poznania nie brak.

Oceniając działalność Kasy w roku zeszłym, powiemy krótko, że była prawidłowa. Lakoniczność sądu wydaje nam się w tym razie wyraźnym obowiązkiem publicystycznym, tém łatwiejszym do spełnienia, że nie ma tu pola ani do nadmiernych pochwał, ani do surowéj nagany.

Sprawozdanie z piśmiennictwa naukowego polskiego zawiera 310 ocen lub wzmianek o pracach matematycznych i przyrodniczych, wydanych w 1885 r. W pierwszym roku 1882 w sprawozdaniu tém było 259 referatów; w 1883—205; w 1884—293. W obecnym tomie materyał rozpatrywany rozklasyfikowano na 13 działów. Prócz dzieł, które wyszły w osobnych książkach, uwzględnione tu są artykuły pism i wydawnictw peryodycznych, o ile te mają charakter naukowy i wchodzą w zakres obięty programem. Warszawskich wydawnictw cytuje sprawozdanie 20, poczynając od pism czysto literackich, kończąc na „Bibliotece matematycznéj.“ Krakowskich 7 (w téj liczbie Rozprawy i Sprawozdania Akademii Umiejęt., Sprawozdania komisyi fizyograficznéj); Lwowskich 5, Złoczowskie 1, Gorlickie 1, Tarnowskie 1. Przy jednénı wydawnictwie nie zostało wymienione miejsce wydania, są to „Sprawozdania dyrekcyi c. k. gimnazyów i szkół realnych w Galicyi.“

Żałować należy, że w „Sprawozdaniu“ tém nie zrobiono jakiegoś ostatecznego zestawienia, któreby pozwoliło odrazu objąć ilość prac i ich kierunek; przerzucając kartki, trudno jest wytworzyć sobie jakiś obraz.

I dział *Matematyka*. Prac ogółem 12, w téj liczbie trzy profesora Baranieckiego; 3 książki: w Warszawie tom Biblioteki matematycznéj, w Chicago arytmetyka, we Lwowie praca, drukowana także w Sprawozdaniach dyrekcyi szkoły realnéj w Stanisławowie; 5 prac drukowało się w Rozprawach i Sprawozdaniach Akad. Um. Zasługuje na uwagę znaczna liczba prac nauczycieli gimnazyalnych galicyjskich na prowincyi; 3 drukowały się w Stanisławowie, 2 w Sprawozdaniach dyrekcyi wyższéj szkoły realnéj, 1 w takichże Sprawozdaniach gimnazyum. W Sprawozdaniach dyrekcyi gimna-

zyum w Jaśle jedno. Są to wszystkie prace z zakresu wyższéj matematyki; warszawski sprawozdawca mówi o nich pochlebnie.

II *Mechanika.* 2 prace: jedna w Rozpr. i Spraw. Akad. Umiej., druga w Przeglądzie Technicznym (Warsz.).

III *Fizyka.* Prac 20. Książka jedna (tłómaczenie w Warsz.); 5 prac w Rozpr. i Spraw. Akad. Um.; 2 w „Kosmosie“ (Lwów), 8 we „Wszechświecie“, 1 w „Muzeum“ (Lwów), 4 w Przeglądzie Techn.

IV *Chemia.* Ogółem prac 33. Książek 3: 2 drukowane w Warszawie, 1 we Lwowie (podręcznik), 2 prace w Rozpr. i Spraw. Ak. Um., 12 w „Kosmosie“, 8 we „Wszechświecie“, 5 w Wiadomościach Farmaceut. (Warsz.), 2 w „Zdrowiu“, 1 w „Przyrodniku“ (Tarnów), 1 w Czasopiśmie Tow. Apt. (Lwów), 1 w Pamięt. Fizyj. (jedna z tych prac drukowaną była w 3 wydawnictwach, stąd szczegółowe liczby o 2 przenoszą ogólną).

V *Meteorologia.* Prac ogólem 16. 1 książka (Instrukcya dla stacyi meteor. Warsz.), 4 prac w Sprawozdan. komisyi fizyograficznéj (Kraków), 1 w Pamięt. Tow. Tatrzańskiego (Krak.), 1 w „Kosmosie“, 3 we „Wszechświecie“, 5 w Pamiętniku Fizyjograf. Prócz tego znajdujemy wzmiankę o buletynach meteorologicznych ze stacyi meteorologiczéj przy Muzeum w Warszawie we „Wszechświecie“ i sprawozdania meteorologiczne obserwatoryum Politechniki lwowskiéj w Czasopiśmie techniczném.

VI *Mineralogia, Geologia i Geografia fizyczna.* Prac 51, z tych jedno tłómaczenie (w Pam. Fizyogr.). Książka jedna („Morze i życie w niém.“ Poznań); 2 prace w Rozprawach i Sprawozd. Akad. Um., 2 w Sprawozdaniach komisyi fizyograficznych, 5 w Pamiętniku Fizyograficznym, 3 w Pamięt. Tow. Tatrzańskiego, 7 w „Kosmosie“, 15 we „Wszechświecie“, 1 w Sprawozdaniach gimnazyum wadowickiego, 8 w „Inżynieryi i Budown.“, 3 w „Przyrodniku“, 1 w Gazecie Rolniczéj, 1 w „Górniku“, 1 w Czasopiśmie Towarz. Apt., 1 w Bibliotece dla dzieci i młodzieży.

VII *Antropologia i archeologia przedhistoryczna* prac ogółem 10. 1 książka p. Ossowskiego wyd. Akad. Um., 1 we „Wszechświecie“, 3 w Pamiętniku Fizyograficznym, 4 w Zbiorze wiadomości do antropologii krajowéj, 1 w Pam. Akad. krakow.

VIII *Botanika i fizyologia roślin.* Prac ogółem 43. 3 w Pamięt. Akad. Um., 8 w Spraw. kom. Fizyogr., 13 w Pamiętniku Fizyogr., 3 w „Kosmosie“, 6 we „Wszechśw.“, 2 z „Przyrodnika“, 4 w „Ogrodniku“ (Warsz.), 1 w „Hodowcy“ (Warsz.), 1 w Czasopiśmie Tow. Aptek., 1 w „Niwie“, 1 w „Gazecie Rolniczéj.“

IX *Zoologia.* Ogółem prac 27. 1 książka (Warszawa, broszura p. Majewskiego), 1 w Pamięt. Akad. Um., 2 w Spraw. kom. Fizyogr.,

5 w Pam. Fiz., 6 w „Kosmosie“, 9 we „Wszechświecie“, 2 w „Przyrodniku, 1 w „Ateneum.“

X *Anatomia, fizyologia i patologia.* Ogółem prac 57. 2 książki (obie w Warsz., jedna odbitka z Książki Pamiątk. dla prof. Hoyera, druga Fizyologia Milla, książka popularna); 1 w Rozpr. i Spraw. Ak. Um., 5 w Pamięt. Tow. Lek. Warsz., 25 w Przeglądzie Lekar. (Kraków), 14 w Gazecie Lekarskiéj (Warsz.), 5 w „Medycynie“ (Warsz.), 1 w Wiad. farmac.

XI *Biologia ogólna.* Ogółem prac 14-cie. Oddzielnych wydawnictw 4: 1 książka oryg. (Warszawa) p. Natansona, 2 książki tłómaczone, Darwina i Taylora (Warszawa), 2 atlasy (Warsz. i Lublin), 5 w „Wszech.“, 2 w „Ateneum“, 1 w „Prawdzie“, 1 w Przegl. Tygdn.

XII *Psychologia i Filozofia.* Ogółem prac 19. 3 książki oryginalne (2 w Warszawie, Szokalskiego i Dygasińskiego, 1 w Tarnopolu p. Kosiby), 4 książki tłómaczone (3 Ribota, 1 Naville'a), 1 praca w „Kosmosie“, 1 we „Wszechśw.“, 1 w Przewod. Nauk. i Liter. (Lwów), 3 w „Ateneum“, 2 w Bibliotece Warsz., 1 w Przeglądzie Pedagog., 2 w „Prawdzie“, 1 w Przegl. Tygod.

XIII *Miscelanea.* Prac 6. 2 książki (jedna oryginalna p. Majewskiego, druga tłómaczona, obie w Warsz.); 1 praca w „Kosmosie“, 1 we „Wszechświecie“, 1 w „Inżyn. i Budownictwie“, 1 w Przew. Nauk. i Literackim.

Widzimy, że niepodobna jest z liczb tych nabrać pojęcia dokładnego o naszym stosunku do nauki, gdyż pomieszane są prace oryginalne z popularyzującemi. Przytém niewiadomo, czy wzmianki są robione o wszystkich artykułach treści matematycznéj lub przyrodniczéj, czy téż dokonano jakiego wyboru i jakiego? Sądząc z liczby artykułów w niektórych pismach, np. w Gazecie Lekarskiéj (14), lub z zupełnéj nieobecności tylu pism wnosić można, że nie wszystkie artykuły uznano za dosyć ukwalifikowane do zamieszczenia o nich referatu.

Oddzielnych wydawnictw w 1885 r. było 26: 24 książki (17-cie w Warszawie, 2 w Krakowie, 2 we Lwowie, 1 w Poznaniu, 1 w Tarnopolu, 1 w Chicago) i 2 atlasy (w Warsz. i w Lublinie). Między książkami oryginalnych było 16, tłómaczeń 8.

Na ogólną liczbę prac, rozpatrzonych w Sprawozdaniu, 4 przypada na Pamiętnik Akad. Um., 15 na Rozpr. i Spr. Ak. Um., 16 na Spraw. kom. fizyogr., 32 na Pamięt. fizyogr., 32 na „Kosmos.“, 62 na „Wszechświat“, 25 na Przegląd Lekarski, 14 na Gazetę Lekar., 5 na „Medycynę“, 5 na Pamiętnik Warsz. Tow. Lek. i t. d.

Z całéj cyfry referowanych prac w Warszawie drukowano 117, w Krakowie 70, we Lwowie 42, w Poznaniu 1, w Tarnowie 11, w Sta-

nisławowie 2, w Wadowicach 1, w Tarnopolu 1, w Gorlicach 1, w Jaśle 1, w Złoczowie 1, w Lublinie 1, w Chicago 1.

Z autorów najwięcéj sprawozdań omawia prace pp. Nusbauma i Siemiradzkiego (po 7), daléj p. Jędrzejewicza (6), pp. J. W. Dawida, Ossowskiego, Szokalskiego, Wierzbickiego i Znatowicza (po 5).

Nad jednym z najwięcéj rozwiniętych u nas przemysłów fabrycznych, cukrownictwem, zawisło ciężkie przesilenie. Ceny cukru od lat dwóch spadły tak nisko, że w większości wypadków nie pokrywają kosztów produkcyi. Część producentów najmniéj zasobnych już zamknęła fabryki, doprowadzona do upadku znacznemi stratami, wielu zaś innym grozi ten sam los dziś, lub jutro. Upadłości te odbijają się bolesném echem w kołach okolicznych rolników, dla których cukrownie są pewnego rodzaju instytucyami kredytowemi na małą skalę, udzielającemi zaliczek na zakontraktowany produkt, na warunkach, wogóle biorąc, dosyć dogodnych. Dokuczliwiéj jeszcze dotykają skutki upadku fabryk oficyalistów i robotników, którzy mieli w nich czy to stałe zajęcie, czy źródło czasowego zarobku. Temi okolicznościami spowodowana władza państwowa uległa żądaniom fabrykantów, i w celu przyjścia im z pomocą, zgodziła się na udzielenie czasowéj premii wywozowéj w formie pożyczki zwrotnéj w ciągu lat kilku, dla ułatwienia odpływu przewyżki wytworu po nad potrzeby spożycia miejscowego za granicę. Z uwagi jednak na interes konsumentów ograniczyła ściśle ilość cukru, mającego prawo do téj ulgi. Środek ten okazał się bezskutecznym, gdyż wywóz był zbyt małoznacznym w stosunku do przepełnienia rynku produktem, ażeby mógł poważnie oddziałać na ceny. Fabrykanci więc nie przestawali szturmować do rządu o udzielenie im premij bezzwrotnych dla nieograniczonéj ilości wywozu, powołując się na przykład Niemiec, Belgii i Austryi. Przykład to jednak zaiste smutny, kiedy pierwsze ze wspomnianych państw systemat ten doprowadził do takiego rezultatu, że ma ono dziś 48 milionów pudów nadprodukcyi, drugie 10, trzecie 15 milionów pudów. Dla wywiezienia tego nadmiaru i podtrzymania bytu fabryk musi naród niemiecki płacić 51 ½ milionów rubli złotem (po 1,08 rub. zł. od puda), Belgowie 16 mil. (po 1,60), a poddani austryacy 12,6 mil. rub. zł. (po 84 kop. od puda) kontrybucyi pokojowéj na rzecz spożywców zagranicznych. Przykład ten rzeczywiście nie zachwycił rządu rosyjskiego i prośby cukrowników doznały w tym względzie stanowczéj odmowy. Nie uzyskał też aprobaty, z niewiadomych nam powodów, racyonalniejszy już projekt obowiązko-

wego unormowania produkcyi odpowiednio do potrzeb spożycia krajowego, przedstawiony, jeżeli nas pamięć nie myli, przez byłego ministra skarbu, p. Bungego. Nowy minister, nie zgadzając się również na udzielenie premii, postanowił natomiast przyjmować opłatę akcyzy w cukrze, który miał być wywożony za granicę o tyle, o ile ceny rynkowe nie podniosą się po nad 4 rs. za pud mączki, gdyż takie mają być przeciętnie jéj koszta produkcyi. Fabrykanci nie przyjęli téj propozycyi, lecz, skorzystawszy z pomysłu p. ministra, oświadczyli, że sami zajmą się wywozem nadmiaru produktu na własny koszt i własne ryzyko. W tym celu zawiązali stowarzyszenie, którego uczestnicy, przedstawiający przeszło 85% ogólnéj produkcyi cukru w państwie, zobowiązali się wyprowadzić za granicę 25% swego wytworu w trzech partyach z oznaczonym dla każdéj terminem prekluzyjnym. Wywóz każdéj następnéj partyi miał dojść do skutku w takim tylko razie, jeżeli ceny nie podniosą się po nad 4½ rubla za pud mączki.

Stowarzyszenie to, jak słusznie zauważył adwokat rosyjski, Dumaszewski, wchodzi w kolizyą z artykułem, 913 i 1180 kod. kar. gł., grożącym za zmowę kupców, lub producentów, w celu podniesienia cen artykułów żywności, zamknięciem w areszcie na czas 4 do 8 miesięcy. Ponieważ jednak umowa cukrowników została zatwierdzona przez władzę, przeto ani o prawomocności jéj, ani o bezpieczeństwie stowarzyszonych wątpić dziś nie można. Warto wszelakoż zastanowić się nad tém, jakie skutki przynieść ona może dla publiczności i dla cukrownictwa.

Cały wytwór kampanii tegoroczněj obliczają w przybliżeniu na 25 milionów pudów. Wywóz więc dosięgnie około 6 mil. pudów. Ponieważ zaś przewidywane straty na pudzie wynoszą 1 rs., przeto publiczność jedynie dla ich pokrycia będzie musiała zapłacić na rzecz zagranicy 6 milionów rubli. Sumka pokaźna! Ale nie na tém koniec, gdyż po wywiezieniu nadmiaru produktu ceny mogą podskoczyć znacznie wyżéj, niż tego wymaga potrzeba odzyskania strat na wywozie i słusznego zysku producentów. Jeżeli możemy być pewni, że nie przekroczą one na długo 5,50 rs. za pud mączki, to jedynie dzięki prawu obniżenia cła wwozowego, przysługującemu w takim razie ministrowi skarbu. Maksymalna ta cena jednak może się utrzymywać stale i wypłaszać rok rocznie z kieszeni publiczności na korzyść fabrykantów co najmniéj 37½ mil. rubli po nad istotną potrzebę. Mówimy *co najmniéj*, lecz prawdopodobnie wypadłoby ogółowi płacić więcéj, bo tak znaczne zyski, naturalnie, zachęciłyby znowu cukrowników do dalszego rozszerzania produkcyi dotąd, dopóki by korzyści ciągnięte ze spożywców krajowych

nie przestały pokrywać strat na wywozie coraz większego nadmiaru produktu za granicę. Dla ogółu więc obywateli państwa perspektywa następstw zawartéj między cukrownikami umowy wcale nie jest wesoła.

Może jednak ta ciężka ofiara uratuje przynajmniéj od ruiny producentów, zagrożonych dziś upadkidm? Niestety, i to — złudzenie! Bezwątpienia, konające obecnie fabryki po podniesieniu się cen potrafią jeszcze przetrwać jakieś lat kilka, lecz będzie to dla nich tylko ,przedłużeniem agonii. Wiadomo bowiem, że są w Rosyi i u nas cukrownie, cieszące się tak szczęśliwymi warunkami, że nawet przy dzisiejszych niskich cenach osiągają pewne zyski i o zmniejszeniu produkcyi wcale nie myślą. Interesem więc ich będzie po podniesieniu się cen z roku na rok wytwórczość swą potęgować, gdyż tym sposobem nietylko osiągną na razie korzyści absolutnie większe, lecz jednocześnie doprowadzą do ruiny swych słabszych współzawodników, zmuszonych wywozić corocznie za granicę stosunkowo znaczniejsze ilości swego produktu i ponosić na téj operacyi coraz dotkliwsze straty. Zawiązane więc przez cukrowników stowarzyszenie, ani nie uratuje upadających fabryk, ani nie uchroni przemysłu cukrowego od nieuniknionego przesilenia. Zbogaci tylko milionerów kosztem ogółu obywateli. Obrońcy fabrykantów słodyczy pocieszają publiczność tém, że pierwszy termin wywozu już minął, a ceny pomimo to się nie podniosły. Lecz przyczyna tego faktu leży nie w filantropii cukrowników, ale jedynie w téj okoliczności, że wielu stowarzyszonych umowy nie dotrzymało, gdyż nie mieli ani zapasów cukru, ani pieniędzy na zakupienie go, w części zaś w tém, że zapasy z dawniejszych kampanii nagromadzone u kupców początek sprawy utrudniają. Ażeby temu zaradzić stowarzyszeni fabrykanci wciągnęli już do zmowy w ostatnich tygodniach i rafinerów. Długo więc już zapewne na zwyżkę cen czekać nie będzie potrzeba. Naszém zdaniem najlepszym sposobem wyjścia z przesilenia, stworzonego nadmiernie wysokiemi cłami, byłoby pozostawienie rzeczy własnemu ich biegowi. Wtedy wprawdzie fabryki, nie mające warunków trwałego istnienia, upadłyby prędzéj, lecz przynajmniéj kraj cały nie ponosiłby milionowych strat na korzyść garstki szczęśliwców, z bardzo małym realnie pożytkiem dla tych, którym by pomódz warto było, gdyby było można.

Podobnie niepocieszającemi skutkami dla ogółu mieszkańców naszego miasta brzemienny jest „projekt wzajemnego stowarzyszenia właścicieli domów, mającego na celu zmniejszenie strat na komorném w obrębie m. Warszawy," wypracowany przez pp. Władysława Janasza i Henryka Dziewulskiego. Według intencyi autorów

stowarzyszenie ma na celu za pomocą niewielkich składek, wnoszonych przez uczestników, zapewnić im wynagrodzenie na wypadek niewypłacalności lokatorów, lub nie wynajęcia mieszkań. Że niewypłacalność biednych, a więcéj jeszcze niesumiennych lokatorów, naraża wielu właścicieli domów na dotkliwe straty — wiemy o tém dobrze. Dlatego stowarzyszenie, mające na celu zmniejszenie tych strat przyjęlibyśmy z najzupełniejszém uznaniem. Inaczéj jednakże przedstawia się sprawa ubezpieczania lokalów niewynajętych. Miasto nasze nie ma jeszcze bynajmniéj za wiele domów. Dowodzą tego bodaj cyfry zebrane przez samych autorów projektu, a podane do wiadomości publicznéj przez *Kuryer Warszawski*.

Według tych danych, na tak wielkiéj ulicy jak Marszałkowska było lokali niezajętych zaledwie 11 z czynszem rocznym rs. 3,268, na Krakowskiém Przedmieściu 16 z czynszem rs. 9,756, na Świętojerskiéj 14 z czynszem rs. 5,430, na Nowym Świecie 24 z czynszem rs. 8,021, na Grzybowskiéj 16 z czynszem 4,300 rs., na innych jeszcze znacznie mniéj, np. na Chłodnéj i Wilczéj tylko 10 z czynszem około 1 $^1/_2$ tys. rs. Czyż te niknąco drobne cyfry w stosunku do ogólnych summ komornego, pobieranego na powyższych ulicach, uzasadniają potrzebę stowarzyszenia? Sądzimy, że nie. Zwłaszcza, że, gdyby właściciele domów nakładali cokolwiek przystępniejsze ceny na lokale, z pewnością i tylu nawet niezajętych mieszkań by nie było. Tymczasem jeżeli nawet obawa tak niewielkiego prawdopodobieństwa niewynajęcia lokalu zmniejszona jeszcze zostanie przez zapewnienie wynagrodzenia ewentualnych strat, choćby tylko do wysokości 75%, jak stanowi projekt, to dla właścicieli domów zniknie wszelki bodziec do umiarkowania swych wymagań i wysokie już dziś nadmiernie ceny lokali pójdą jeszcze bardziéj w górę ze szkodą dla zdrowia, dobrobytu, lub majątku ogromnéj większości mieszkańców naszego miasta. Dla osłabienia takiego wyzysku i zapewnienia trwałego bytu stowarzyszeniu projekt stanowi wprawdzie, że jeżeli lokal po roku nie zostanie wynajęty przynajmniéj na kwartał, wynagrodzenie przestaje obowiązywać. Lecz małoż to znajdzie się ludzi, gotowych za zniżoną cenę pomieszkać w pięknych apartamentach przez trzy miesiące i wystawić kwit na sumę wyższą, niż ta, jaką rzeczywiścieby opłacali!... Miejmy więc nadzieję, że właściwa władza zwróci uwagę na niebezpieczeństwo, grożące lokatorom, i zabezpieczać strat na niewynajętych lokalach nie pozwoli.

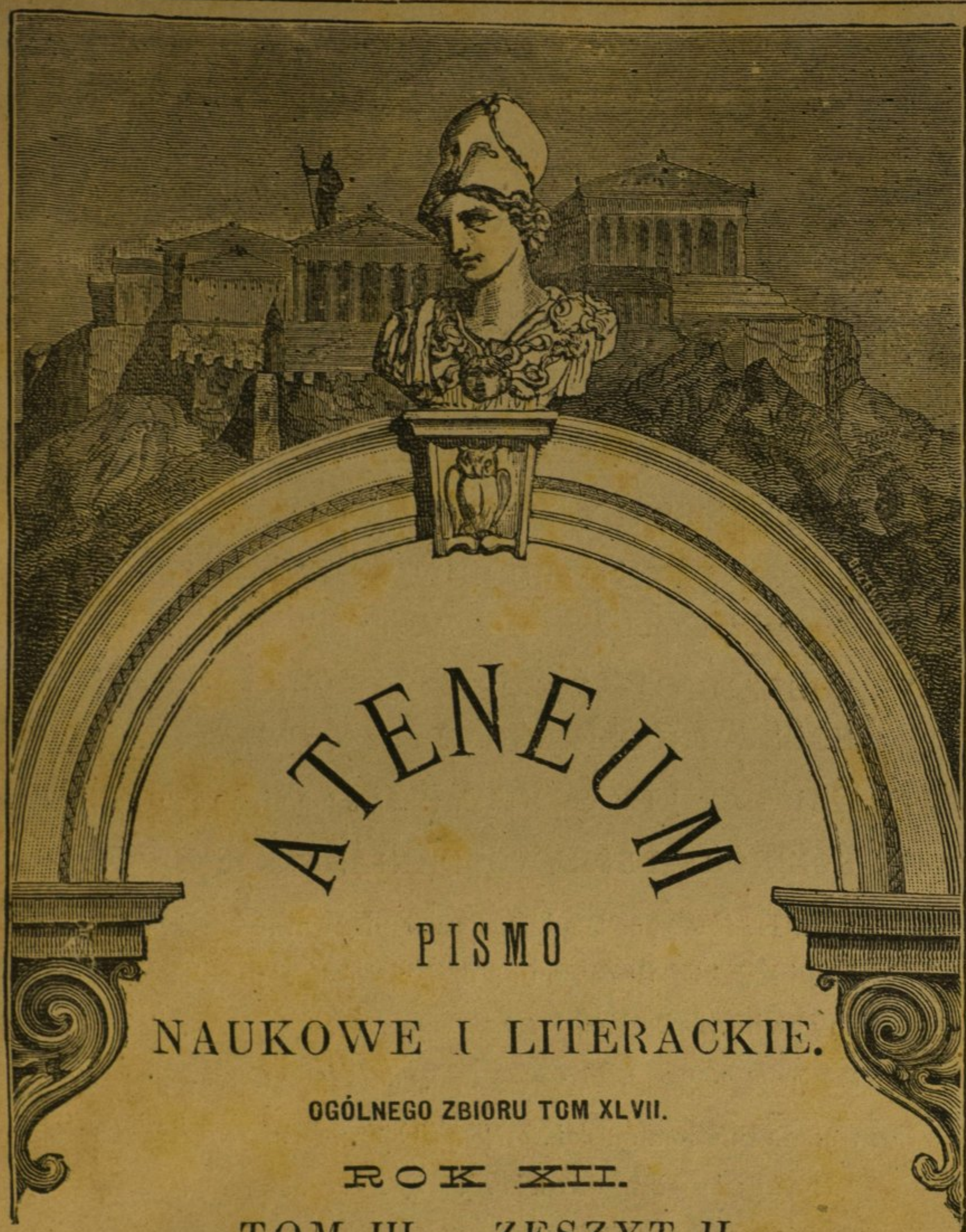
Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Władysław Euzebiusz Kosiński,** syn jenerała Amilkara, urodzony w roku 1814 w W. Ks. Poznańskiém prowadził życie czynne, sprawom krajowym poświęcone. Więziony kilkakrotnie w Berlinie i Moabicie, od r. 1866 porzucił zawód gospodarski i przeniósł się do Poznania, gdzie się czynnie przykładał do rozbudzenia życia umysłowego i narodowego. Życia dokanał w Rydzynie pod Poznaniem 3 czerwca r. b. Oprócz artykułów rozproszónych po dziennikach wydał on w roku 1841 w Poznaniu pracę swego ojca: „Rzymianie w Grecyi, tłómaczenie z włoskiego“, przeznaczając dochód z rozprzedaży na pomnożenie funduszu dla wspierania kształcącéj się młodzieży; następnie w roku 1850 ogłosił broszurę publicystyczną: „Sprawa polska z roku 1846 przed sąd opinii publicznéj wytoczona“; w 1851 drugą pod nap. „Naturalna polityka Polski“; w 1861 trzecią: „Odpowiedź na Ludwika Mirosławskiego: Powstanie poznańskie w r. 1848 w kształcie objaśnień do Jędrzeja Moraczewskiego powieści: „Targowa Góra“ (Poznań, str. 114); wreszcie w roku 1876 wydał trzy z kolei: „Naród a religia“, „Niebezpieczeństwo obecnéj chwili“, „List otwarty do Krytyków ultramontańskich.“



Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**



ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVII.

ROK XII.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Sierpnia 1887 r.



WSPÓŁCZESNY SOCYALIZM FRANCUSKI.

CHARAKTERYSTYKA WODZÓW, PARTYI I WYDARZEŃ.

W końcu roku zeszłego niewiadomy autor, ukryty pod pseudonimem Mermeixa, wydał w Paryżu nadzwyczaj ciekawą książkę, p. t. „*La France socialiste. Notes d'histoire contemporaine*“. Jest to niezwykle żywa i barwna charakterystyka ludzi, stronnictw i wydarzeń, mających na celu przewrót społeczny. Obfituje ona w takie mnóstwo interesujących i w znacznéj części nieznanych dotąd szczegółów, że obszerniejsze jéj zużytkowanie będzie bezwątpienia pożądane dla czytelników. Elegancya i świetna forma stylu, odznaczającego się prawdziwie francuską werwą w opowiadaniu i subtelnym, swobodnym dowcipem w rzucanych mimochodem uwagach, nakazują się domyślać, że autor musi być jednym z pierwszorzędnych publicystów paryskich. Sądząc zaś z dokładnéj jego znajomości stosunków wewnętrznych wszystkich partyi rewolucyjnych, z przytoczonych przez niego takich szczegółów, które zazwyczaj bywają ukrywane przed ludźmi, stojącymi po za stronnictwem, możnaby przypuszczać, iż jest on nawróconym socyalistą. Przypuszczenie to zdaje się potwierdzać jego sympatya dla doktryn socyalistycznych z którą tai się zręcznie, kreśląc działalność rewolucyonistów, w ciągu całéj książki, lecz która wyraźnie się przejawia w ostatnim jéj rozdziale przy wyprowadzaniu ogólnych wniosków co do przyszłości socyalizmu i ustępstw, jakie warstwy uprzywilejowane dzisiejszego społeczeństwa mogły i powinnyby mu uczynić dla uniknienia gwałtownego przewrotu i niepotrzebnego krwi rozlewu. Wreszcie, jakkolwiek p. Mermeix nie osłania ujemnych stron charakteru i działalności przedstawianych czytelnikowi osób i partyi (z wyjątkiem Rocheforta, którego, zdaniem naszém, odmalował zbyt sympatycz-

nie), a niekiedy dowcipném słówkiem, lub wyraźném potępieniem karci postępki naganne, to jednakże w całéj książce nie dostrzegliśmy nic takiego, coby z wypisaną na jéj tytułowéj karcie dewizą: *écrit de bonne foi*, stało w sprzeczności. W charakterystyce ludzi i wypadków będziemy się starali odtworzyć jak najwierniéj oryginał, zachowując nawet, o ile możności, styl autora. Wszystkie zaś uwagi ogólne, nie chcąc się krępować w wypowiadaniu swego zdania, bierzemy na własną odpowiedzialność, o ile nie zaznaczymy wyraźnie, że ona spada na autora książki.

We Francyi partya socyalistyczna prowadzi propagandę, którą, przy nieistnieniu ograniczeń wyjątkowych, trybunały, starają się osłabić przez zastosowanie praw zwykłych. W innych krajach ogłoszono przeciw socyalistom specyalne ustawy. W r. 1878 kanclerz państwa niemieckiego otrzymał od parlamentu wotum na prawo proskrypcyi socyalistów. Prawa tego żądano tylko na pięciolecie. Bismark sądził, że zastosowanie rozpalonego żelaza w przeciągu tego czasu wypali ranę i wyleczy zło. Dziś jednak więcéj jest deputowanych socyalistycznych w parlamencie niemieckim, niż w r. 1878, tak że kanclerz został zmuszony przedłużyć istnienie prawa z r. 1878. Idee socyalistyczne tak dalece odpowiadają dążeniom niektórych okręgów wyborczych, że kandydaci na deputowanych w celu pozyskania głosów nazywają się niekiedy socyalistami, chociaż programy ich polityczne i poglądy społeczne dalekie są od myśli o zasadniczéj zmianie ustroju społecznego, o zastąpieniu własności osobistéj własnością zbiorową. Zwracamy na to uwagę czytelnika, iż stronnictwo radykalne, pomimo że idzie ręka w rękę z socyalistami, pomimo że niekiedy zapożycza od nich nawet miana, nie jest rewolucyjném. Obywatele ci chętnie by widzieli kasy emerytalne dla robotników, popieraliby stowarzyszenia robotnicze, ograniczali długość dnia roboczego, cofnęli by się jednak ze zgrozą przed zniesieniem własności osobistéj. A jednak słowo socyalizm nie ma innego znaczenia. Wszystkie reformy, jakie mogą mieć miejsce w istniejącym ustroju społecznym, jeżeli nie dotkną głównéj jego zasady t. j. własności osobistéj, są jedynie reformami filantropijnemi, ekonomicznemi, nie zaś dziełem socyalistyczném.

Jasne i dokładne pojęcie socyalizmu nie jest dotychczas rozpowszechnioném we Francyi, podobnie jak u nas, nawet wśród ludności oświeconéj. Anarchistów, komunistów, kolektywistów, etc. biorą tam za jedno. Socyalizm miał tam teoretyków, ale nie popularyzatorów. Godzina popularyzacyi dopiero teraz wybiła. Romansopisarze, pierwszorzędni autorowie opisują straszne zdarzenia z walki robotników z ich chlebodawcami, dzienniki rewolucyjne nęcą czy-

telnika sensacyjnemi opowieściami, kandydaci mienią się socyalistami na listach wyborczych, reporterya rzuca się na wszelką nowość w tym kierunku, aby ją w jaskrawych barwach podsunąć przed oczy wrażliwego czytelnika. Publiczność więc wié, że socyalizm istnieje; czyta ona gazety, sprawozdania z meeting'ów rewolucyjnych, opisy występnych zamachów, spełnionych w imię idei rewolucyi, widzi manifestacye, zajmuje się sprawą, a jednak jéj nie zna, znaczenia wyrazu „socyalizm“ nie rozumié, a tém mniéj jeszcze wié coś dokładniejszego o doktrynach każdéj z poszczególnych, niekiedy wrogich sobie wzajemnie partyi, chociaż z ich nazwami, takiemi jak guesdyści, posybiliści, blanquiści i anarchiści, często się w druku spotyka.

Początków współczesnego socyalizmu francuskiego należy szukać w dziejach *Międzynarodówki*. Historya „Stowarzyszenia międzynarodowego robotników“ sama przez się nie przedstawia wielkiego interesu, ponieważ stowarzyszenie to już nie istnieje, a i za życia swego nie wywierało wielkiego wpływu na politykę rewolucyjną. Międzynarodówka nie stworzyła nic—nawet komuny paryzkiéj z r. 1871. Posiała ona tylko idee socyalistyczne. Rewolucyjne partye robotnicze we Francyi, Niemczech, Belgii, Włoszech i Hiszpanii są jéj pogrobowemi dziećmi. Przyjęły one jéj hasła, utworzyły się na podstawie jego programu komunistycznego.

Życie Międzynarodówki wiązało się ściśle z imionami dwóch ludzi, którzy ją w sobie uosabiali: z Karolem Marxem i Michałem Bakuninem. Dzieje tego głośnego stowarzyszenia robotników są historyą współzawodnictwa tych dwóch ambitnych osobistości.

Pierwszy z nich, Karol Marx, był jedną ze znakomitych postaci naszego stulecia, człowiekiem potężnym, który stworzył doktrynę, przyjętą przez tysiące ludzi, i którego idea ożywia stronnictwa bardzo czynne i ciągle rosnące we wszystkich krajach świata. Urodził się on w Niemczech w r. 1818 ze staromieszczańskiéj rodziny. W młodym wieku wszedł na drogę, którą postępował do śmierci. W dwudziestym czwartym roku został naczelnym redaktorem *Gazety reńskiéj*, wydawanéj w Kolonii. Idee socyalistyczne już w nim naówczas nurtowały i wychodziły na jaw w piśmie, w skutek czego zaczęto go prześladować, że w końcu musiał opuścić Niemcy. Wtedy to przybył Marx do Paryża. Mówił on językiem francuskim, angielskim, hiszpańskim i włoskim (1). Wskutek żądania rządu pru-

---

(1) Marx miał trzy córki. Jedna wyszła za Pawła Lafargue'a, druga za Longuet'a i ta wkrótce umarła; trzecia, Eleonora Marx, pozostała w Londynie, gdzie stoi na czele propagandy socyalistycznéj w Anglii. Wszystkie trzy były wychowywane przez ojca, który je wysoko wykształcił. Pani Lafargue i p. Eleonora Marx-Eveling mówią i piszą prawie we wszystkich europejskich językach i są cennemi doradczyniami dla swych przyjaciół.

skiego został wygnany z Francyi i schronił się do Belgii. W Paryżu spotkał się z utopiami komunistycznemi Cabet'a, Fourier'a, Saint-Simon'a. Poznał tam także praktyczniejszych komunistów, zgrupowanych w tajemne towarzystwo, zwane *Związkiem komunistycznym*, posiadające swe rozgałęzienia za granicą, a zwłaszcza w Anglii. Było to pierwsze usiłowanie międzynarodowéj federacyi rewolucyjnéj. Marx zespolił się ze *Związkiem komunistycznym*, gdzie wraz z przyjacielem swym, Fryderykiem Engelsem, zajął wkrótce miejsce naczelne. W czasie tym oddał się on polemice i ogłosił pamflet przeciwko Prudhon'owi p. t. „Nędza filozofii“ (*Misère de la philosophie* 1847), którego nikt prawie nie znał we Francyi, pomimo że był napisany po francusku; dzieło bardzo ciekawe, mocno zabarwione gryzącą ironią. Proudhon w swéj „Filozofii nędzy“ (*Philosophie de la misère*) silnie napadł na utopistów komunistycznych. Marx, pomimo że nie podzielał czułostkowości tych ideologów, wystąpił jednak w ich obronie. *Nędza filozofii* jest dziś książką zupełnie wyczerpaną we Francyi. Istnieje jéj zaledwie kilka egzemplarzy w bibliotekach socyalistycznych. Trzeba zasłużyć na szczególne zaufanie ze strony posiadaczy, aby zechcieli jéj udzielić.

W r. 1847 zwołał Marx do Londynu kongres związku komunistycznego. Było to pierwsze międzynarodowe zebranie rewolucyjne. Kongres przyjął manifest programowy, zredagowany wspólnie przez Marxa i Engelsa. Pierwszy to dokument, kładący podwalinę do antagonizmu klasowego. Baboeuf i jego przyjaciele mieli już pojęcie o tym antagonizmie między właścicielami a nie posiadającymi majątku. Zbrakło im jednak czasu na wyjaśnienie téj idei. Zresztą w roku 1796 nie znaleźli by echa; po tylu burzach zapanowało powszechne znużenie. Komuniści, współcześni Marxowi, byli przedewszystkiém filantropami, idealistami, marzycielami pełnymi współczucia dla nędzy i cierpienia. Chcieli wytłómaczyć bogatym, że komunizm lepszym jest od indywidualizmu. Wiedzieli możność nadejścia nocy 4 sierpnia dla właścicieli. Odzywali się do szlachetnych uczuć ogółu. Żądali od kapitalistów pieniędzy dla zastosowania swych teoryi. Anglik Owen zapragnął zebrać monarchów europejskich na kongres w Akwizgranie, aby ich zjednać dla swych idei!

Pojęcia Marxa były mniéj chimeryczne, praktyczniejsze. „Chodzi o uogólnienie bogactwa nagromadzonego przez niektórych — mówił on — chodzi więc o zdobycie. Ażeby być zdobywcą, trzeba być najsilniejszym. Siła jest akuszerem społeczeństw.“ On pierwszy powziął ideę zgrupowania w jednę *partyą klasową* wszystkich, którzy nic nie posiadają, przeciwko klasie posiadaczy. Sądził on, że w dniu, w którym wszyscy wydziedziczeni zjednoczą się przeciw

ulubieńcom fortuny, uogólnienie własności nastąpi bez trudu, wierzył, że to, czego chce tłum, ziszcza się zawsze. Utworzenie stronnictwa klasowego biednych przeciw klasie bogaczy jest pierwszym zręcznym manewrem socyalistów, jaki wiek nasz ujrzał. Stronnictwo robotnicze francuskie, jak wszystkie zresztą partye socyalistyczne w Europie, wykluczając ze swych szeregów ludzi, nie należących do klasy robotniczéj, idzie za hasłem, rzuconém z Londynu w r. 1847 na kongresie komunistycznym przez Marxa i Engelsa.

Należy się tu jednak kilka słów wzmianki o Engelsie. Był to nierozdzielny przyjaciel i współpracownik Marxa. Łączyła ich myśl wspólna, wspólna ojczyzna. Dzieło ich było wspólne, więc mówiąc o jednym, nie można pominąć drugiego. Fryderyk Engels urodził się w r. 1820 w prowincyi nadreńskiéj. Dał się on poznać w r. 1844 swą *Krytyką ekonomii politycznéj*, a w 1845 dziełem o *Położeniu klas roboczych w Anglii*. Z Marxem poznał się w bardzo młodym wieku. Od 1846 znajdujemy ich już obok siebie w Bruksellí. Po powstaniu rewolucyjném w południowych Niemczech 1849 roku Engels, który brał udział w ruchu, schronił się do Anglii, gdzie prowadził daléj prace nad krytyką społeczną. Równie jak Marx, władał on prawie wszystkimi językami europejskiemi i posiadał rozległą wiedzę. Należał też Engels razem z Marxem do naczelnego komitetu Międzynarodówki, zwanego radą główną, lecz zajęty własnemi sprawami pieniężnemi, jako wspólnik pewnego domu handlowego w Manchester, usuwał się nieco na plan drugi, zostawiając przyjacielowi cały blask sławy przewodniczącego, chociaż jako dzielniejszy w czynie, śmielszy i energiczniejszy, mógł był łatwo zająć pierwsze miejsce. Marx zbyt był ostrożny, aby dać poznać po sobie, że marzenie o potędze, o panowaniu bez tronu i korony nad wszystkimi biedakami, o moralném rozczłonkowaniu wszystkich państw (co w rzeczy saméj mogłoby się ziścić, gdyby stowarzyszenie było czyniło szybkie postępy) rozpaliło mu mózg i kierowało jego czynami. Że jednak ambicya osobista odgrywała ważną rolę w jego czynach, dowodzi jego zachowanie się względem Mazziniego. Rewolucyonista włoski, wszedłszy do Międzynarodówki, żądał ażeby władza naczelnego komitetu była bardzo silna tak, żeby mu przysługiwało w stowarzyszeniu panowanie absolutne. Marx obawiając się, ażeby ta władza nie wpadła w ręce Mazziniego, sprzeciwił się jego żądaniu w imię zasad liberalnych. A jednak kiedy znakomity Włoch usunął się ze stowarzyszenia, władza Marxa zamiast się zatrzymać w liberalnych ramach, coraz bardziéj się wzmacniała i rosła. Rada główna bowiem ześrodkowała w swych rękach wszystkie władze: ona przyjmowała nowych członków, ona zwoływała kongresy, ona rozstrzy-

gała o stosowności, lub niestosowności wzięcia udziału sekcyi stowarzyszenia w bezrobociach i innych wypadkach. W radzie zaś owéj, dzięki powadze swych imion, położonym dla stowarzyszenia zasługom i wyższości umysłowéj nad kolegami, panowali niepodzielnie—Marx i oddany mu całkowicie Engels. Pierwszy był korespondentem dla Niemiec i Holandyi, drugi dla Włoch, Hiszpanii i Portugalii.

Ambicya Marxa znalazła jednak przeszkodę w ambicyi ojca współczesnego anarchizmu, Michała Bakunina. Rosyanin ten był hojnie obdarowany przez naturę. Posiadał on przyjemną powierzchowność, energią, brawurę, dumę, wszystkie przymioty człowieka czynu. Umiał przemawiać do tłumów. Wymowny, dzielny, występny, namiętny i niemoralny przypominał wszystkiemi temi rysami Dantona. Taki to człowiek wystąpił przeciwko dyktaturze Marxa. W Międzynarodówce doprowadził jego dzieło do upadku. W roku 1868 Bakunin, jako członek komitetu szwajcarskiéj *Ligi pokoju i wolności*, zaproponował jéj na kongresie w Bernie przyjęcie zredagowanego przez siebie programu komunistycznego. Propozycya pozyskała sobie tylko $^1/_3$ część zebrania i mniejszość ta zawiązała nowe stowarzyszenie pod nazwą *Związku demokracyi socyalistycznéj.* Stanąwszy na czele tego związku, Bakunin począł się starać, by Międzynarodówka uznała go za swoję sekcyą. Marx długo się temu opierał, lecz w końcu uległ. Na kongresie w Bazylei r. 1869 Związek demokracyi socyalistycznéj miał już swoich przedstawicieli, a jego wódz nie omieszkał natychmiast wprowadzić do Międzynarodówki zamieszek i rozdwojenia. Nie mamy tu miejsca na opowiadanie tych drobnych intryg i kłótni osobistych, które rozdział wywołały. Dość zaznaczyć, że wkrótce potém Międzynarodówka rozpadła się na dwa wrogie sobie odłamy, z których mniejszy został przy Marxie, większy poszedł za Bakuninem, a następnie oba straciły znaczenie i zeszły z widowni świata. Zasady ich jednak zostały przyjęte przez nowo utworzone partye: dzisiejsi kolektywiści — to duchowi synowie Marxa, anarchiści — to dzieci Bakunina.

Podczas gdy Międzynarodówka, zwyciężona wraz z komuną paryską, z którą się zsolidaryzowała, pomimo że większość powstańców z r. 1871 nie znała wszystkich jéj zasad, zużywała swe siły na współzawodnictwo osobiste i wyczerpywała się w walce o wpływy jednostkowe, socyalistyczny posiew nanowo wschodził we Francyi. Odrodzenie się partyi socyalistycznéj we Francyi było samodzielne, instynktowne. Nie było ono dziełem żadnego myśliciela, założyciela szkoły, lub kierownika. W fabrykach i warsztatach bezzwłocznie po zdruzgotaniu komuny zaczęto mówić o ulepszeniach społecz-

nych. Doktrynerzy socyalizmu znajdowali się na wygnaniu, w całéj Francyi nie wychodziło żadne pismo socyalistyczne. Robotnicy byli zbyt biedni, aby mogli kupować książki, przytém było o nie bardzo trudno, gdyż wszelka łączność z zagranicznymi nowatorami została zerwana. Wrócili więc do starych systematów, o jakich mówiono im za cesarstwa. Marzyli o reformach, nie o rewolucyi. Żądali praw, jakie może dać społeczeństwo, nie naruszając swéj zasadniczéj podstawy, własności osobistéj. Od 1872 do 1876 propaganda tych pojęć odbywała się cicho, nieśmiało, gdyż rząd był podejrzliwy i obawiał się najlżejszego ruchu robotniczego. Przytém ówczesna Francya zbyt zajęta była polityką. Zagrożona partya demokratyczna domagała się przedewszystkiém od socyalistów pomocy w polityce, obiecując im w zamian z czasem pomoc w przeprowadzeniu reform społecznych i ekonomicznych. Rozwiązanie zadania politycznego było najpilniejszém, stanęło więc na pierwszym planie; wszelkie inne interesy należało mu poświęcić.

Na osłabienie propagandy wpływała téż okoliczność, że partya pozbawiona przewodników i myślicieli, została bez kierownictwa. Robotnik paryski, zostawiony sam sobie, nie jest rewolucyonistą. W polityce ma on pojęcia najradykalniejsze; w sprawach społecznych jednak, wzięty w masie, jest konserwatystą. Z temperamentu swego jest on indywidualistą, nigdy kolektywistą. Historya Międzynarodówki daje nam tego dowody. Na czwartym kongresie międzynarodowym w Bazylei roztrząsano kwestyą własności ziemskiéj, postawioną na poprzedzającym kongresie w Brukselli. Większością 58 głosów przeciwko 8 kongres postanowił: „że potrzeba, aby ziemia przeszła na własność zbiorową.“ Mniejszość przeciwna temu postanowieniu składała się z 7 *delegowanych francuskich* i jednego innéj narodowości; nadto wśród 10 delegowanych, którzy powstrzymali się od głosowania, nie chcąc się wypowiedziéć ani *za*, ani *przeciw*, znajdowało się 6 Francuzów, pomiędzy zaś 58-ma głosującymi za własnością kolektywną, było ich tylko czterech. Za drugi dowód wstrętu Francuzów do kolektywizmu może posłużyć to, iż jak na dziesięć lat ostatnich propagandy, prowadzonéj we Francyi przez utalentowanych mówców i pisarzów, doktryna Marxa nie uczyniła znacznych podbojów, pomimo że słowo i pismo korzystało tu w tym czasie z wielkéj swobody.

Robotnicy, którzy w pierwszych latach rzeczypospolitéj zajmowali się kwestyą ulepszeń społecznych nie byli rewolucyonistami. Nie byli nimi również w r. 1876, ani nawet w 1878 (kongres paryski pod przewodnictwem Guesde'a); zostali nimi dopiéro w 1879 na kongresie w Marsylii.

Rzućmy okiem na bieg wypadków, a ujrzymy pod jakim wpływem odbył się zwrot w pojęciach masy robotniczéj.

Dnia 11-go lutego 1876 r. pojawił się w Paryżu pierwszy numer dziennika *Les droits de l'homme*. Był to najskrajniejszy organ demokracyi republikańskiéj, jaki się pojawił od maja 1871. Wydawał go bogaty przemysłowiec Ménier, a redagował Zygmunt Lacroix. Współpracownikami dziennika byli najgłośniejsi uczestnicy komuny. Obok autorów dawniéj znanych, debiutowało nadto w tym dzienniku wielu ludzi młodych, którzy dziś już wyrobili sobie imię i rozproszyli się po wszystkich obozach republikańskich i rewolucyjnych. W pierwszym już numerze pojawił się artykuł Rochefort'a „Oportuniści", który nadał stale używaną odtąd nazwę panującemu stronnictwu republikańskiemu. Ten sam numer *Praw człowieka* zawierał jeszcze rzecz inną, wielce ciekawą. Był to program wyborczy, przedstawiony przez komitet republikański radykalno-socyalistyczny, który podtrzymywał w VI okręgu paryskim kandydaturę socyalisty Acollasa, przeciwko pułkownikowi Denfert-Rochereau, walecznemu obrońcy Belfortu. Program ten był nadzwyczaj zuchwały i wywołał wielki skandal w prasie konserwatywnéj. Dziwiono się, skąd za rządów marszałka Mac-Mahona ośmielono się z taką arogancyą żądać amnestyi dla skazanych z czasów komuny i rzucić idee kolektywistyczne, skrajniejsze od programu Międzynarodówki. Podczas gdy ta ostatnia głosiła tylko konieczność uspołecznienia własności ziemskiéj, program Acollas'a żądał uspołecznienia nietylko kapitału rolnego, ale nadto kapitału przemysłowego. Jest-to pierwszy manifest kolektywistyczny. Autorami jego było grono młodych ludzi, studentów, towarzyszy z *quartier Latin*, złączonych wspólnemi dążeniami demokratycznemi i socyalistycznemi, związanych w partyą jeszcze w r. 1873 i 74.

Podczas gdy robotnicy dążyli do systematu kooperacyjnego i żądali nowych praw nie zaś rewolucyi, młodzi zapaleńcy zwracali oczy ku hasłom Międzynarodówki, jako ku temu, co jedynie znali z tak zwanego „socyalizmu naukowego." Nazwa „socyalistów naukowych" mile pieściła ich ucho i dodawała im powagi w własnych oczach. Międzynarodówka nęciła ich urokiem uczoności, a nadto urokiem prześladowania i czarem czegoś nieznanego, gdyż treść jéj programów nie była im jeszcze dokładnie znaną. Porwała ich ku sobie jéj legenda.

Partya nie posiadała jednak dotąd doktryny. Znalazła ją dopiéro wtedy, gdy wszedł do niéj Juliusz Guesde.

Jeszcze w 1870 i 71 redagował Guesde w Montpellier dziennik p. t. *les Droits de l'Homme,* w którym ogłaszał się stronnikiem pary-

skiéj komuny, za co został skazany na pięć lat więzienia i zamknięcie dziennika. Młody redaktor uciekł przed wykonaniem wyroku do Genewy, gdzie założył sekcyą Międzynarodówki. Nie przyłączył się jednak ani do anarchistów Bakunina, ani nie uznał absolutyzmu rady ogólnéj i dyktatury Marxa, lecz ogłosił się stronnikiem zwierzchnictwa Międzynarodówki, zebranéj na kongresie, t. j. rządu większości.

Ciekawy to widok tego zawziętego rewolucyonisty na trybunie! Gdy Guesde mówi nawet o rzeczach obojętnych, wargi mu się poruszają, jakby drżały z wściekłości. Usta jego są straszne. Głos potężny, daleko unoszący okropny zgrzyt. Nie wychodzi on z piersi, lecz z głowy; jest ostry i cierpki. A jednak mówca ów przy tak wadliwych środkach fizycznych narzuca się słuchaczom, panuje nad nimi. Nie przemawia on nigdy do szlachetnych uczuć zgromadzenia, nie wzrusza go. To surowy dyalektyk, przeciwnik gwałtowny, kazuista pełen gorzkiéj ironii. Maluje on przerażające obrazy, wydaje krzyki zapamiętałéj namiętności. Kto go słyszy, może myśléć, że zapaleniec ten wytacza proces społeczeństwu, że broni swéj własnéj sprawy, że dopiéro co społeczeństwo popełniło względem niego straszną zbrodnię. Jest-to człowiek nienawiści, zjawiający się jako wcielenie uraz i żądz społecznych. Wszystkie one wrą i syczą w nim.

Doktrynę, któréj poucza, uznaje za swoją własną. Wprawdzie Marx sformułował ją przed nim, lecz on, gdy ją powziął, nie znał ani pism Marxa, ani *manifestu komunistycznego*, ani *Kapitału*. Gdy w roku 1877 czytał pracę socyalisty niemieckiego, większość pojęć w niéj wyrażonych była już jego własnością. Doszedł do nich przez historyczne badanie przemiany społeczeństw i przez spostrzeżenia nad wypadkami we współczesném społeczeństwie. Dziś jest on najwięcéj znanym i najwięcéj słuchanym we Francyi popularyzatorem idei socyalistycznych, które wygłasza i których broni, zarówno słowem jak i piórem, z niesłabnącym nigdy zapałem. Partya, którą zgrupował około siebie, nie należy wprawdzie do najliczniejszych, lecz za to najczynniejszych stronnictw rewolucyjnych. Przez długi czas całe rewolucyjne dziennikarstwo znajdowało się w jéj ręku. Zwolenników jéj ochrzcili nieprzyjaciele mianem „guesdystów“ i nazwa ta ogólnie przyjętą została. Działalność jéj poznamy po krótce.

Najwcześniejszy ślad ruchu socyalnego robotników francuskich znajdujemy we wrześniu 1876 r. Wtedy to miał miejsce pierwszy kongres robotniczy, zorganizowany staraniem właściciela i redaktora rewolucyjnego dziennika *La Tribune*, Trébois'a, przy pomocy pieniężnéj bogatego izraelity, Crémieux'go, byłego gubernatora Algieru. Na kongresie tym miały swych przedstawicieli wszystkie izby

syndykalne francuskie. Łatwo zauważono tu, jak nieświadome były klasy robotnicze wszelkich systematów socyalistycznych, a nawet wszelkiéj wiedzy ekonomicznéj. Pomimo to wszakże tu się odbyły narodziny rozdziału klas. Robotnik z Dijon, Prost, postawił wniosek, aby przy wyborach do parlamentu przyjęto zasadę stawiania kandydatów z klasy robotniczéj. Godne uwagi, że robotnicy, zawsze skorzy do głoszenia konieczności kandydatury robotniczéj, okazują odrazę do głosowania za kandydatami robotnikami. P. Mermeix porównywa to zjawisko z podobnym faktem, spotykanym w historyi Rzymian: gdy trybunat uczyniono dostępnym dla plebejuszów, przez długie lata wszyscy trybuni wybierani byli z koła patrycyuszów. Plebejusze nie chcieli wynosić swoich równych na to wysokie stanowisko. Proletaryat francuski kieruje się przeciw swym braciom podobnymi względami, lub podobną nieufnością, jak lud rzymski.

Wniosek Prosta przyjęto jednogłośnie. Zresztą zebranie odbyło się ze spokojem i umiarkowaniem i nie dało początku żadnym zaburzeniom. Od r. 1876 proletaryat dotychczas tak umiarkowany, podpada pod wpływ Guesde'a, który po zamknięciu *Droits de l'Homme* kierował dziennikiem *Le Radical.* Gdy pod koniec r. 1877 rząd zabronił wydawania tego pisma, Gnesde wraz ze swymi uczniami postanowili stworzyć organ wyłącznie socyalistyczny, teoretyczny, wojowniczy, który nazwali „Równością“ *(l'Egalité).* Oficyalnie wychodził on w Meaux (kaucya dla dziennika, wychodzącego w Paryżu, wynosiła 12 tys. fr., gdy pismo prowincyonalne składało kaucyi tylko 3 tys. fr.) i głosił wyraźnie zasady kolektywizmu, które po raz pierwszy pojawiły się we Francyi w druku. „Wierzymy — mówili redaktorowie „Równości“ — wraz ze szkołą kolektywistów, do któréj skłaniają się dziś wszystkie poważne umysły proletaryatu dwóch światów, że ewolucya naturalna i naukowa ludzkości prowadzi ją niezbicie do kolektywnego zawłaszczenia ziemi i narzędzi pracy.“

Podobna odezwa organu rewolucyjnego zbyt była surową dla francuskiéj klasy robotniczéj, która na wszystkich swych kongresach w latach: 1868, 1872, 1873, a nawet 1876 odrzuciła zasady komunistyczne. Sama nawet komuna, którą Marx ogłosił za solidarną z Międzynarodówką i któréj napisał pochwałę tak wspaniałą i tak nieoczekiwaną, nie dokonała dzieła komunizmu. Jedno tylko postanowienie komuny z r. 1871 natchnął duch rewolucyjny. Jest-to rozkaz sporządzenia wykazu statystycznego opuszczonych warsztatów „dla rychlejszego wyciągnięcia z nich korzyści przez stowarzyszenie kooperacyjne robotników, biorących w niém udział.“ Środek

ten socyalizmu rewolucyjnego poprzedzało kilka innych środków socyalizmu państwowego (a więc zachowawczego, nie zaś burzącego własność osobistą), jako to: zakaz pracy nocnéj piekarzy, zakaz pobierania kar pieniężnych, i zatrzymywania pensyi urzędnikom i robotnikom, sprowadzenie płac urzędników wszelkiego stopnia do 6000 fr. rocznie itp. Wszystkim tym rozporządzeniom przewodniczyła chęć zmniejszenia jednostkom możności łatwego zbogacenia się, nigdy jednak duch rewolucyjny.

Drugi kongres robotniczy, który zebrał się w Lyonie pod koniec stycznia 1878, ponownie wykazał, że propaganda Guesde'a nie zdołała zwrócić robotników francuskich z drogi konserwatywnéj, że socyalizm niemiecki nie przestawał w nich budzić niechęci. Kongres żądał zmniejszenia długości dnia roboczego dla kobiet i dzieci, założenia instytucyi wzajemnego kredytu i towarzystw produkcyi kooperacyjnéj, w celu zniesienia obecnego „systematu płacy najemnéj, który nazwał stanem przejściowym pomiędzy poddaństwem, a stanem bez nazwiska (*l'état innommé*); głosował daléj za ustanowieniem kas emerytalnych dla starców i chorych, wyraźnie jednak oznajmił swe poglądy indywidualistyczne, t. j. niechęć swą do kolektywizmu, słowami: „W zasadzie, jesteśmy przeciwni wszelkiéj interwencyi państwa."

Członkowie kongresu okazali się zwolennikami kandydatury robotniczéj z tém jednak zastrzeżeniem, że przy powtórném podawaniu głosów kandydaci robotniczy powinni się cofnąć, a ich wyborcy dać głos za kandydatem republikańskim, mającym najwięcéj stronników. Taktykę tę jednak z czasem porzucono, a upór socyalistów w wielokrotném stawianiu swego kandydata osłabiał często stronnictwo republikańskie, dając tym sposobem przewagę konserwatywnemu. Odrzucił nadto kongres lyoński pierwszy wniosek kolektywistyczny opracowany przez dwóch guesdystów: Dupire'a i Ballivet'a, który brzmiał w następujący sposób: „Kongres zachęca wszystkich stowarzyszonych do zbadania środków praktycznych w celu zastosowania zasady własności zbiorowéj ziemi i narzędzi pracy".

Pierwszy ten wniosek, jaki kolektywiści ośmielili się postawić we Francyi, został odrzucony przez zgromadzenie składające się z samych robotników. Ośmiu tylko członków dało za nim swe głosy. Tak więc po półtorarocznéj propagandzie komunistycznéj proletaryat francuski uroczyście oświadczył się za własnością osobistą.

Grono jednak zgrupowane około *Równości* nie dało za wygranę, lecz podwoiło energią. Atakowani ze wszystkich stron: przez prasę „burżuazyjną", przez prasę anarchistyczną szwajcarską, przez

robotnicze izby syndykalne, gdzie panowały idee kooperacyjne i reformatorskie, guesd'yści dzielniéj jeszcze wzięli się do szerzenia propagandy wśród najpodatniejszego do niéj odłamu partyi robotniczéj. W marcu 1878 wzięli oni udział w uroczystym obchodzie rocznicy komuny, gdzie zaproponowali przesłanie adresów do socyalistów zagranicznych. Chodzili wśród robotników, pouczając ich swych zasad, objaśniając artykuły swych dzienników. W *Równości* krytykowali idee, przyjęte przez kongresy robotnicze. Przywódzcy tych kongresów potępiali bezrobocie, jako środek bezużyteczny; socyaliści z *Równości* nazywali bezrobocia jedynym orężem walki. Jednocześnie starali się zburzyć wiarę robotniczą w stowarzyszenia, w pożytek oszczędności itp. Namawiali do stawienia kandydatury socyalistyczno-robotniczéj przeciwko wszelkim innym kandydaturom „burżuaznym", a nawet radykalnym.

Nowi apostołowie byli nieznani, wymowni, zuchwali, uczonéj ich frazeologii robotnik nie rozumiał dobrze, z tém większą za to słuchał jéj ciekawością; nie szedł on do nich wprawdzie, nic jednak przeciwko nim nie miał. Gdyby w téj chwili zjawiła się wśród klasy robotniczéj osobistość zdolna zostać przeciwnikiem Guesde'a i stanąć w obronie reformy przeciwko rewolucyi, proletaryat francuski, wszedłby zapewne na inną drogę. Wszystko jednak sprzyjało kolektywistom. Byli oni więcéj utalentowani od swych przeciwników, lepiéj uzbrojeni do walki, posiadali własny organ. W połowie r. 1878 guesd'yści wciągnęli już do swego grona sześć korporacyi: mechaników, stolarzy, krawców, garbarzy, ślusarzy, subiektów handlowych i stowarzyszenie spożywcze *Egalitaire*. Mały ten zawiązek rewolucyjny zapanował nad masą dążącą do reformy, nadał charakter socyalistyczny kongresowi robotniczemu z 1878 r. i pchnął do rewolucyi partyą robotniczą.

Kongres lyoński dał mandat paryzkim izbom syndykalnym na urządzenie kongresu międzynarodowego podczas wystawy w sierpniu r. 1878. Zaraz z początku okazało się w partyi rozdwojenie: socyaliści rewolucyjni chcieli narzucić kongresowi program rewolucyjny; kooperatyści pragnęli utrzymać tradycyą pierwszych zgromadzeń robotniczych. Każda z tych grup dążyła do utworzenia oddzielnego kongresu, co niechybnie zabiłoby stronnictwo. Guesde ze zwykłą sobie bystrością spostrzegł niebezpieczeństwo i pośpieszył mu zaradzić, tworząc tak subtelny program prac kongresu, że mógł on zadowolnić obie frakcye proletaryatu.

Po usunięciu pierwszéj trudności zjawiła się trudność daleko większa. Prefektura policyi zawiadomiła komisyą organizacyjną, że zebranie kongresu nie będzie tolerowane. Komisya, w składzie któ-

réj rewolucyoniści grali rolę podrzędną, nie chciała się sprzeciwiać rządowi i zawiesiła swe prace. Guesde wraz ze swymi przyjaciołmi i sześcioma izbami syndykalnemi, trzymającemi się jego programu, ujęli wtedy w swe ręce ster obrad, sami przygotowali kongres i, jako przedstawiciele upoważnieni przez klasę robotniczą francuską, uroczyście przyjęli delegowanych angielskich *Trade Uniones*'ów. Ta energia mniejszości sprawiła silne wrażenie na onieśmielonéj większości i odniosła nad nią stanowcze zwycięstwo. Gdy policya zaaresztowała 34 członków komisyi, ci powierzyli obronę Guesde'owi, który mową swą, prawdziwym manifestem rewolucyjnym, przed kratkami sądu, zrobił głośną reklamę swéj partyi. Guesde wraz z towarzyszami został skazany na więzienie i tu jednak nie przestał brać czynnego udziału w działalności partyi. Z po za krat już rzucił on pierwszą odezwę do proletaryuszów, włościan, i drobnych przedsiębiorców, skłaniając ich w niéj do połączenia się w celu:

1° złożenia na barki społeczeństwa kosztów utrzymania, wychowywania i nauczania wszystkich dzieci bez różnicy.

2° odebrania od obecnych posiadaczy ziemi i narzędzi pracy t. j. wszelkiego kapitału zarówno ruchomego, jak nieruchomego, i uczynienia go własnością społeczną, niepodzielną i niezbywalną.

W roku 1879, rewolucyoniści zebrali się nanowo, tym razem w Marsylii, gdzie większością 63 głosów przeciwko 27 przyjęli wniosek, uznający konieczność zawładnięcia dla celów kolektywizmu wszystkiemi środkami produkcyi i dokonania tego przy pomocy siły czyli gwałtownéj rewolucyi. Uchwalono również zorganizowanie partyi robotniczéj socyalistycznéj (1) i wprowadzenie proletaryatu do walk wyborczych w celu podbicia władz municypalnych i prawodawczych.

Ażeby zapobiedz możliwym odszczepieństwom w partyi, Guesde uznał za potrzebne opracować jeden program, któryby obowiązywał bezwarunkowo wszystkich jéj przedstawicieli i był programem narodowym francuskiego stronnictwa socyalistycznego. Chcąc zaś zapewnić sobie naprzód przyjęcie tego programu przez współtowarzyszów porozumiał się w tym przedmiocie ze wszystkimi wybitniejszymi socyalistami. Otrzymawszy od nich ogólną aprobatę dla swéj myśli, wziął się bezzwłocznie do jéj urzeczywistnienia. W tym celu pojechał w maju r. 1880 do Londynu dla porozumienia się z Marxem i za jego radą zaprosił jeszcze do udziału w pracy Engel-

(1) W tym celu cała Francya została podzielona na 6 okręgów: paryski czyli środkowy, lyoński czyli wschodni, marsylski czyli południowy, miasta Bordeaux czyli zachodni, miasta Lille czyli północny i miasta Algeru czyli algierski.

sa, Lafargue'a i Lombarda, pominąwszy jednak Pawła Brousse'a, który bawił naówczas w Londynie i był przyjacielem domu Marxa. Zobaczymy wkrótce, jakie fatalne przez to sprowadził dla siebie następstwa. Bo przywódzcy socyalizmu rewolucyjnego to ludzie ambitni i zawzięci. Umieją oni patrzéć pobłażliwie na wszelkie zbrodnie społeczne, popełniane przez proletaryat, potrafią je tłómaczyć jako konieczny wytwór istniejących stosunków, lecz nie przebaczają nigdy uraz osobistych, zadraśnięcia ich miłości własnéj.

Wypracowany przez powyższą spółkę program głosił, zgodnie z postanowieniem kongresu marsylskiego, „wywłaszczenie polityczne i ekonomiczne klasy kapitalistów i powrót do kolektywnego władania wszystkiemi środkami produkcyi." Ponieważ cel ten „może być osiągnięty jedynie przez działalność rewolucyjną klasy wytwórczéj, czyli (?) proletaryatu, zorganizowanéj w odrębną partyą polityczną", przeto dla zorganizowania się i walki winna ona wziąć udział w wyborach i wystąpić z następującemi tymczasowemi żądaniami:

A. *W części politycznéj*: 1) Zniesienia wszelkich praw, tamujących wolność prasy, zebrań i stowarzyszeń, a nadewszystko ustawy przeciwko stowarzyszeniu międzynarodowemu robotników. Zniesienia książeczek robotniczych i wszystkich artykułów kodeksu, stanowiących niższość robotnika względem pracobywców i kobiety względem mężczyzny. 2) Zniesienia budżetu wyznań i przywrócenia narodowi wszelkich dóbr ruchomych i nieruchomych, należących do korporacyi religijnych. 3) Zniesienia długu publicznego. 4) Usunięcia armii stałych i uzbrojenia ogólnego całego ludu. 5) Ustanowienia zupełnéj niezależności administracyjnéj i policyjnéj gmin.

B. *W części ekonomicznej*. 1) Wypoczynku obowiązkowego przez jeden dzień w tygodniu. Ograniczenia prawem dnia roboczego do ośmiu godzin dla osób dojrzałych i do sześciu dla młodzieży od lat 14 do18-tu , oraz zupełnego zakazu pracy dzieci nie mających lat 14 w warsztatach prywatnych. 2) Dozoru opiekuńczego nad terminatorami przez korporacye robotnicze. 3) Ustanowiania co rok przez komisyą statystyczną robotniczą prawnego minimum płacy roboczéj według miejscowych cen żywności. 4) Zakazu używania robotników cudzoziemskich płatnych niżéj od francuskich. 5) Równéj płacy za równą pracę robotników obu płci. 6) Kształcenia naukowego i zawodowego wszystkich dzieci i utrzymywania ich kosztem społeczeństwa, przedstawianego przez państwo i gminę. 7) Utrzymywania przez społeczeństwo starców i inwalidów pracy. 8) Usunięcia wszelkiego mieszania się praconabywców do zarządu kas robotniczych wzajemnéj pomocy, przezorności itp. 9) Odpowiedzial-

ności praconabywców za wypadki, zabezpieczonéj kaucyą, składaną do kas robotniczych, wysokości ustosunkowanéj do liczby zatrudnianych robotników. 10) Uczestnictwa robotników w układaniu ustaw specyalnych dla różnych warsztatów i zakazu nakładania przez praconabywców na robotników jakichkolwiek kar, lub wytrącania im z płac. 11) Unieważnienia wszelkich umów, alienujących własność publiczną (banki, drogi żelazne, kopalnie itp.) i powierzenia eksploatacyi wszystkich przedsiębiorstw państwowych robotnikom, którzy w nich pracują. 12) Zniesienia wszelkich podatków pośrednich i zamiany wszystkich bezpośrednich na jeden podatek postępowy od dochodów przewyższających 3.000 franków. Usunięcia prawa dziedziczenia w linii bocznéj i prawa do wszelkiego spadku w linii prostéj, przewyższającego 20.000 franków.

Niedorzeczny ten w wielu punktach (szczególniéj w punkcie trzecim i czwartym części politycznéj, oraz w 3, 6, i 11 tym ekonomicznéj) program został pomimo to przyjęty w całości przez socyalistów na kongresie narodowym w Hawrze, odbytym w listopadzie r. 1880, i zatwierdzony jako program oficyalny, obowiązujący całe stronnictwo. Na pochwałę jednakże rozsądku robotników francuskich należy wyjaśnić, że nie wszyscy zebrani na kongresie głosowali za programem. Owszem, większość była mu przeciwna i skutkiem tego właśnie nastąpiło na tém zebraniu ostateczne i zupełne zerwanie rewolucyonistów z kooperatystami, którzy pozostali wierni tradycyom, przekazanym przez kongresy z lat 1876 i 78. Mniejszość, złożona z kolektywistów i anarchistów z hałasem opuściła salę i urządziła oddzielne zgromadzenie, na którém dopiero program londyński został uchwalony, a jego twórca, Guesde, stał się tym sposobem ojcem socyalizmu francuskiego.

Na szczycie powodzenia spotkał Guesde'a los Marxa. Znalazł on niebezpiecznego przeciwnika w osobie wspomnianego wyżéj Pawła Brousse'a.

Brousse wystąpił na arenę dziennikarską w r. 1871 i brał udział w dzienniku *Droits de l'Homme.* Gdy w r. 1872 został skazany na trzy miesiące więzienia za drobne wykroczenie prasowe, uciekł do Hiszpanii, gdzie wpadł w koło bakuninowskich anarchistów. Z Hiszpanii udał się do Szwajcaryi. Tam zaprzyjaźnił się z Bakuninem i zaczął czynnie szerzyć jego idee, jednając mu stronników, tworząc stowarzyszenia, wydając broszury i pisma anarchistyczne. itp. W r. 1879 został skazany za podniecanie do królobójstwa, uciekł wtedy ze Szwajcaryi do Londynu, gdzie, ochłódłszy dla swych anarchistycznych ideałów, wszedł w bliskie stosunki z Marxem. Właśnie czyniły się podówczas przygotowania do ułożenia programu dla

rewolucyonistów francuskich. Brousse wziął w nich udział, lecz gdy po przybyciu Guesde'a, który odnosił się zawsze z nieufnością i niedowierzaniem do byłego anarchisty, został od obrad usunięty, powziął nienawiść do dawnego towarzysza i zaprzysiągł mu w duszy zemstę.

Pozornie jednak stosunki pozostały dobrymi. W r. 1880 wszedł Brousse do dziennika *Prolétaire* lecz jednocześnie pisywał i do *Egalité*, prowadzonego przez Guesde'a.

Stanowisko zamożnego człowieka w partyi, składającéj się z samych prawie biedaków, długie i dobrowolne wygnanie, bliskie stosunki ze wszystkimi zagranicznymi wodzami rewolucyi otoczyły osobę Brousse'a w oczach grup robotniczych aureolą pewnéj wyższości. Zręczny i bystry bakunista dostrzegł prędko, że Guesde przez swą żądzę panowania obudził przeciw sobie zazdrość i nieufność w partyi, pośpieszył więc skorzystać z tego i potajemnie rozniecić iskrę niechęci. Podburzył przedewszystkiém młodych adeptów rewolucyi przeciwko człowiekowi, który, według słów jego, uważał się za ich „naczelnika", który chciał myśléć za nich, kierując tylko nimi, który sprowadził ich do stanowiska swoich podwładnych. Cała ta kampania odbywała się tak zręcznie i cicho, że guesd'yści do końca r. 1880 nie dostrzegli wcale ziarna nieufności i rozdziału, zasianego w ich partyi. Niebezpieczeństwo zostało wykryte dopiero wtenczas, kiedy już było zapóźno na zażegnanie go. W październiku 1881 odbywał się w Reims nowy kongres robotniczy, na którym Brousse wraz z Malon'em; redaktorem lyońskiego dziennika socyalistycznego, *Émancipation sociale*, podali projekt utworzenia komitetu narodowego, zasiadającego w Paryżu, któryby kierował całym ruchem socyalistycznym we Francyi. Wniosek ten był obmyślany zręcznie, gdyż, nie dotykając wcale osobistości Guesde'a, był wymierzony wprost przeciw téj dyktaturze moralnéj, jaką on dotąd niepodzielnie się cieszył. Projekt, pomimo opozycyi przyjaciół Guesde'a, został przyjęty większością 36 głosów przeciwko 5. Tym sposobem Guesde został nadal tylko jednym z członków komitetu, złożonego w bardzo przeważnéj części z jego nieprzyjaciół. Brousse jednakże, będąc pewnym poparcia tak znacznéj większości, nie poprzestał na pozbawieniu władzy swego rywala, lecz postanowił zarazem obalić i jego dzieło—ten program stronnictwa, w opracowaniu którego Guesde nie dopuścił jego udziału. W tym celu przedstawiony i przyjęty został wniosek „rozszerzenia programu" przez pozostawianie każdéj federacyi okręgowéj zupełnéj swobody w jéj interesach prywatnych i wyborze środków działania miejscowego. Powtórzyła się więc znowu znana historya Międzynarodówki z tą tylko różnicą, iż charak-

tery głównych działaczy były wprost odwrotne: przeciwko marxiście Guesde'owi, gorącemu i energicznemu jak Bakunin, wystąpił bakunista Brousse, podstępny i wyrachowany polityk jak Karol Marx. I znowu ambicya przywódców sprowadziła rozdział w stronnictwie pod pretekstem dbałości o jego dobro i walki o zasady.

Po kongresie w Reims dwie wrogie sobie partye zachowywały jeszcze pozorną łączność przez czas pewien. Kiedy w Grudniu 1881 Guesde począł na nowo wydawać dziennik *l'Egalité* wspólnie z Deville'em, Lafargue'em i Massardem, organ partyi Brousse'a *Prolétaire* wyraził zadowolenie z powodu ukazania się „nowego pisma socyalistycznego." *Egalité* podziękowała za życzenia również uprzejmie. W tydzień jednak potém rozpoczęły się już nieporozumienia. Powodem do nich stała się kandydatura Joffrina, członka komitetu narodowego, przy wyborach do rady municypalnéj w Monmartre. Pozwolił on sobie zmienić program Guesde'a w trzech zasadniczych punktach i to w duchu mniéj radykalnym, a przytém nie powiedział wyraźnie, czy po dokonaniu rewolucyi własność ma być kolektywną, czy indywidualną. Po skończonych wyborach Guesde łącznie z czterema swoimi stronnikami w komitecie narodowym postawił wniosek udzielenia Joffrinowi nagany za tę niesubordynacyą. Komitet wszakże większością 25 głosów przeciwko 5 uznał postąpienie oskarżonego za dobre. Z tego powodu wywiązała się polemika między organami 2 partyi. *Prolétaire* nazwał w niéj guesd'ystów „marxistami" i „autorytetnikami." W odpowiedzi na to *Egalité* ochrzciła stronników Brousse'a mianem *posybilistów*, opierając się na wygłoszoném przez „Proletaryusza" zdaniu: „*Nous voulons fractionner notre but jusqu' à le rendre possible*" Miano posybilisty w oczach wszystkich ludzi rozsądnych jakiegolwiek stronnictwa może być tylko pochwałą. Boć do niemożliwych rzeczy nikt, obdarzony zdrowym umysłem, dążyć nie może. Tém nie mniéj wszakże guesd'yści uważają ten tytuł za taką samę obelgę, za jaką np. między dorożkarzami uchodzi nazwa „sałata."

Ostateczny rozdział dwóch stronnictw miał miejsce w sierpniu 1882 na kongresie w Saint-Etienne. Guesd'yści zerwali tu wszelką łączność z posybilistami i zorganizowali własny kongres w Roanne. Po stronie ich znajdowała się znaczna mniejszość: stracili oni Paryż i Wschód, Północ tylko i Lyon wraz z kilkoma miastami okolicznemi pozostały im wiernemi. Byli to starzy rewolucyoniści, szermierze jeszcze z 1877 i 1878 roku. Neofici, dawniejsi kooperatyści w epoce pierwszych kongresów, których wciągnięto raczéj do kolektywizmu, niż sami się do niego zwrócili, łatwo zostali oderwani z pod dyktatury arbitralnego marxisty. Przy boku Guesde'a pozo-

stali wszyscy najbardziéj wykształceni (z wyjątkiem B. Malona) członkowie partyi: jak np. Paweł Lafargue, zięć Marxa, i Gabryel Deville. Natomiast posybiliści posiadają zdolniejszych mówców ludowych i agitatorów, jak Fournière, Brousse, Chabert, Clément i Joffrin i inni.

Skutkiem tych sporów i nieporozumień zapanowała anarchia w partyi robotniczéj. „Związki federacyjne“ *(Unions fédératives)* i komitet narodowy nie wiele mają władzy. Komitet koresponduje, urządza konferencye, układa dane statystyczne, przygotowuje kongresy narodowe i międzynarodowe, redaguje manifesty w imieniu partyi, tworzy najwyższy trybunał i komitet doradczy. Komitet służy za łącznik dla sześciu federacyi. Każda federacya okręgowa posiada swój komitet federacyjny. Grupy złączone w Związki federacyjne tworzą albo izby syndykalne, lub t. zw. „Kółka studyów społecznych“ *(Cercles d'études sociales)*. Takie jest urządzenie, zaprowadzone wśród partyi „posybilistów“, zwanéj urzędownie „Federacyą francuską pracowników socyalistów“ *(Fédération française des Travailleurs socialistes)*.

Ustrój *Partyi robotniczéj* (urzędowe miano stronnictwa Guesde'a) w gruncie rzeczy podobnym jest do poprzedniego z tą tylko różnicą, że związki federacyjne zwą się tu „radami okręgowemi“ *(Conseils régionaux)*, komitet zaś narodowy nosi nazwę „rady narodowéj.“ Organizacya w tém stronnictwie jest silniejsza i zdrowsza; łączność i solidarność większa. Do frakcyi posybilistów należy więcéj rzeczywistego proletaryatu z umysłem ciasnym, bardziéj przykutym do form niż stronnicy Guesde'a, ludzie wykształceńsi z szerszym poglądem na rzeczy. Po za tém żadnéj istotnéj, zasadniczéj różnicy pomiędzy temi dwoma stronnictwami niema i gdyby tylko ich przywódcy zechcieli dla dobra sprawy poświęcić swoje ambicye osobiste, mogłyby się one połączyć odrazu bez żadnych trudności do wspólnego działania.

Rozpatrzywszy, jaką drogą idee socyalistyczne wcisnęły się do umysłu rewolucyonistów francuskich i jaką zewnętrzną formę przybrały, rzućmy okiem na ich treść wewnętrzną i duch, jaki je ożywia.

U pierwszych komunistów Fourier'a, Cabet'a, Saint-Simon'a, spotykamy dążenia raczéj filantropijne niż rewolucyjne. Byli to przedewszystkiém ludzie serca, których bolała ziemska niesprawiedliwość; utopiści, wierzący, że dobro tak jest ponętném samo przez się, iż zapanuje wkrótce niepodzielnie bez pomocy siły. Socyalizm niemiecki, od którego bierze początek i z którym jest zjednoczony duchem kolektywizm francuski, nie wzdycha, nie błaga, lecz wymaga i żąda; to nie idealizm, lecz materyalizm, nie płynie on z ser-

ca; to dyalektyk suchy, niewzruszony. Cierpienia „biednego ludu“ są dla niego obojętne. Istota jego leży nie w miłosierdziu, obudzoném przez nieszczęście ludzkości, lecz w nauce, w teoryi. Dochodzi on do wniosku, że jest nieodwołalnym końcem rozwoju ludzkości, „ostatecznym skutkiem wszelkich przyczyn zewnętrznych.“ Myśliciele socyaliści: Marx, Engels, Guesde, Brousse, Malon, Deville i inni im pokrewni są ludźmi głowy, nigdy serca. Kieruje nimi rozum, nie zaś sumienie. Idą przed siebie niewzruszeni, gotowi siać zniszczenie bez zgryzoty i żalu. Twarda to rasa nielitościwych logików, którzy nie domagają się miłosierdzia, nie zwracają się do uczuć szlachetnych, lecz uważają je za niedorzeczność. Boją się oni nawet tych uczuć, mówiąc, że przez wyzyskiwanie ich właśnie w klasie robotniczéj politycy posługiwali się proletaryatem, aby go potém przygnębić.

Socyaliści niemieccy nie uważają ludzkości za doskonałą, jak pierwsi komuniści lub późniejsi anarchiści. Nie wierzą w to, ażeby ona czyniła dobrze przez samą miłość dobra, lecz uznają konieczność zwierzchnictwa społecznego, któreby zmusiło każdego do wypełnienia zobowiązań względem społeczeństwa, do wytwarzania stosownie do potrzeby społecznéj i do spożywania odpowiednio do swych potrzeb osobistych.

Formuła kolektywistów różni się od téj, któréj trzymali się komuniści z 48 roku: „Od każdego według jego sił i każdemu według jego potrzeb.“ Podobny sposób postępowania byłby dalszym ciągiem wyzysku obecnego. W społeczeństwie kolektywném każdy będzie zmuszony do pracy, któréj czas trwania zmieniałby się stosownie do potrzeby ogółu. Kolektywizm znosi dzisiejszy handel, współzawodnictwo, prawo podaży i popytu, a na to miejsce tworzy systemat, oparty na solidarności pracowników. Udoskonalenia w produkcyi maszyny, z których dziś otrzymują korzyść tylko przedsiębiorcy, mają przynosić pożytek wszystkim, nie zaś uprzywilejowanym posiadaczom kapitału. W gruncie rzeczy komunizm i kolektywizm są synonimami. Komuniści współcześni jednak przyjęli nazwę kolektywistów z dwu powodów. Najprzód dlatego, ażeby się odróżnić od dawniejszych utopistów komunizmu sentymentalnego, a następnie z téj przyczyny, iż zdaniem ich ustrój komunistyczny społeczeństwa, w którym i wytwarzanie i spożycie będą się odbywały wspólnie, musi być poprzedzony przez pewien okres przejściowy, przygotowawczy, w którymby ludzie odpowiednio się urobili i zatracili w sobie instynkty indywidualistyczne. Tym okresem przejściowym ma być właśnie kolektywizm, w którym wytwarzanie byłoby wspólne, lecz spożycie pozostałoby indywidualném.

W ustroju tym każdy członek społeczeństwa otrzymywałby w jakiéjkolwiek formie produkt równoważny swojéj pracy i używał go według swéj woli. Wpływ otoczenia kolektywistycznego doprowadziłby z czasem i do spożycia wspólnego i wyrobił dla niego odpowiednie formy. Tym sposobem powoli zapanowałby powszechnie komunizm czysty jako dalszy stopień rozwoju kolektywizmu.

Na początek pragną kolektywiści znieść tylko własność indywidualną przedsiębiorstw zmonopolizowanych i przemysłu wielkiego. Przemysł i handel drobny pozostawiliby nietkniętym w posiadaniu prywatném, będąc pewnymi, że dzieło ostatecznego ześrodkowania kapitałów w ręku państwa, jako przedstawiciela społeczeństwa, dokonałoby się samo przez się drogą współzawodnictwa. Samo się wreszcie przez się rozumié, że stanąwszy u władzy, nie szczędziliby kolektywiści żadnych środków, ażeby ten proces uspołecznienia wszelkiéj produkcyi i zniesienia własności prywatnéj wszelkich kapitałów, o ile można przyśpieszyć. Jedną z cech kolektywizmu jest zanik w jego zwolennikach uczuć narodowych. Odkąd na całym świecie widzą oni tylko 2 klasy: kapitalistów—wyzyskiwaczy, i robotników—wyzyskiwanych, od téj chwili przestały ich obchodzić odrębności rasowe, językowe, narodowe. Solidarność robotników, zarówno jak rewolucya, muszą być międzynarodowe. Robotnik francuski, niemiecki, belgijski, amerykański, duński i t. d. przemawiają w imię wspólnych idei. Robotnik francuski brata się na tym gruncie z robotnikiem niemieckim przeciwko swym wspólnym nieprzyjaciołom: kapitaliście francuskiemu i niemieckiemu. Nienawiść narodową zaciera nienawiść klasowa. W stosunku do ojczyzny, podobnie jak do wielu innych przedmiotów, teoretycy socyalizmu starają się zagłuszyć w swych zwolennikach uczucie bardzo szlachetne i podniosłe. Bo takiém jest niezaprzeczenie uczucie miłości dla téj ziemi, na któréj się zrodziliśmy, „ziemi naszych ojców“, na któréj oni pracowali, cieszyli się i cierpieli. Tymczasem wszystkie stronnictwa dzisiejszego socyalizmu rewolucyjnego we wszystkich krajach godzą się pod tym względem, iż są nie tylko już obojętne dla spraw ojczyzny, ale stanowczo kosmopolityczne i antypatryotyczne. Świadczą o tém dobitnie liczne wyjątki z programów różnych partyi tego kierunku, przytoczone przez autora, pomiędzy którymi znajduje się, niestety, wyjątek i z programu „socyalistów polskich.“ Dla człowieka zdrowych uczuć i pojęć ta jedna cecha socyalizmu rewolucyjnego wystarczyć może, by do tego smutnego obłędu powziął obrzydzenie. Wprawdzie na pociechę wszystkich prawych synów swéj narodowości należy dodać, że doktrynerzy socyalizmu podjęli się pracy syzyfowéj, walcząc z uczuciem tak naturalném

i niezbędném dla istnienia i rozwoju każdego społeczeństwa. To też i p. Mermeix „na chwałę francuskiéj klasy robotniczéj" zaznacza, że nawet pomiędzy tymi proletaryuszami, którzy najgłośniéj w jego kraju krzyczą: „Niech żyje rewolucya! Precz z granicami!", mało bardzo możnaby znaleść takich, którzy na osobności nie byliby dobrymi patryotami i którzy wobec alternatywy: służenia ojczyźnie lub zdradzenia jéj—nie wybraliby pierwszego.

Przyjrzyjmy się teraz przelotnie udziałowi kobiét w ruchu rewolucyjnym Francyi i stosunkowi socyalizmu współczesnego do „kwestyi kobiécéj." Jeszcze za Ludwika Filipa, pomiędzy r. 1830 a 1848, zaczęto mówić we Francyi o równości politycznéj i społecznéj kobiét z mężczyznami. Apostołami „praw kobiéty" byli komuniści Owen, Cabet i Fourier. Znaleźli oni odgłos wśród kobiét, które w r. 1848 zaczęły wydawać pismo *La voix des femmes*. Redaktorką była Eugenia Riboyet, która jeszcze w r. 1834 wydawała w Lyonie *le Conseiller des femmes*, a następnie w Paryżu kilka innych pism.—W pierwszym numerze „Głosu kobiét" streściła redaktorka dążenia swéj płci: równość wszystkich obywateli i obywatelek, prawo obywatelstwa dla wszystkich, tak mężczyzn jak kobiét, związek powszechny narodów. Przekonania swe kobiéty starały się popierać czynnie; przedewszystkiém założyły klub i postanowiły agitować wśród wyborców celem zdobycia głosów dla gorącego obrońcy ich praw E. Legouvégo i powieściopisarki George Sand; to ostatnie życzenie „płci nadobnéj" podjął się spełnić klub Jakobinów, lecz George Sand odpowiedziała swym protektorkom, że nie przyjmuje kandydatury i że inicyatywa ich jest, zdaniem jéj, wyskokiem w bardzo złym guście. Podały następnie kobiéty petycyą do rządu tymczasowego z roku 48-go o bezwzględne przyznanie im wszelkich praw cywilnych i prawa wyboru dla wdów i niezamężnych. Kobiéty zaś z departamentu niższéj Sekwany, rozseparowane prawnie z mężami, zrobiły podanie o przywrócenie rozwodu. Żadna z tych próśb jednak nie odniosła skutku. Jednę tylko pamiątkę pozostawił płci żeńskiéj rok 1848, a mianowicie otwarcie kolegium medycznego dla kobiét pod kierunkiem doktora Malatier'a.

Socyalizm dni dzisiejszych zajął się kwestyą kobiécą z odmiennego zupełnie punktu widzenia: idzie mu przedewszystkiém o poprawienie bytu kobiét zajętych w pracy przemysłowéj, gdzie są one więcéj jeszcze wyzyskiwane niż ich ojcowie i bracia. W tym celu socyaliści domagają się równego wynagradzania robotników obu płci za jednaki czas pracy. Niektórzy z nich wreszcie chcą zarazem i politycznego równouprawnienia kobiét; inni zaś twierdzą, że powinno je poprzedzić ekonomiczne, a polityczne przyjdzie samo

przez się jako skutek pierwszego. Kwestya kobieca przedstawia właśnie jeden z nielicznych punktów doktryny, co do którego dwie scharakteryzowane przez nas partye socyalistów francuskich różnią się rzeczywiście w zdaniu pomiędzy sobą. Posybiliści mianowicie żądają emancypacyi kobiét bezwłocznie. Guesd'yści są również jéj zwolennikami—w zasadzie, lecz uważają za stosowne odłożyć ją do epoki nieokreślonéj... po zwycięstwie. Z powodu téj różnicy zdań wybuchnęła nawet żywa polemika pomiędzy przeciwnikami, w któréj Guesde zrobił zarzut Brousse'owi, że chce obłudnie „walkę klas zastąpić walką płci.“ Oto próbka wiary rewolucyonistów w szczerość przekonań swych adeptów. Jakby to ta upragniona równość powszechna wyglądała—po zwycięstwie?...

W celu zamanifestowania swych poglądów posybiliści postawili w r. 1881 w Paryżu kandydaturę jednéj ze swych stronniczek, pani Leonii Rouzade, lecz naturalnie bez żadnego skutku. Dziś kwestya kobiéca zupełnie ucichła we Francyi. Broni jéj jeszcze tylko panna Hubertyna Auclert w maleńkiém pisemku miesięcznem *La Citoyenne*, wydawaném jedynie dzięki ofiarności jéj przyjaciół mężczyzn. Pisemko to jednak nie ma wcale prenumeratorek.

Z pomiędzy kobiét rewolucyonistek najwybitniejszemi są: znana anarchistka Ludwika Michel, wzmiankowana wyżéj posybilistka Leonia Rouzade, zapalona krzewicielka wolnéj myśli, i pani Paulina Négro-Minck, najwięcéj wzięta mówczyni po Ludwice Michel. Stała się ona głośną dzięki swym zatargom z municypalnością miasta, gdzie zamieszkuje, o imiona, jakie chciała nadać swym synom. Pierwszy miał się nazywać: Lucyfer-Blanqui-Vercingetorix. *Curiosum* to rozniosły po wszystkich zakątkach ziemi gazety, lecz o czém świat nie wié, to o tém, że pewien anarchista wyrzucał pani Minck, iż chciała swemu synowi dać imię „rębajły“ *(traîneur de sabre)* Vercingetorixa!

Odrębną zupełnie partyą rewolucyonistów stanowią we Francyi blankiści, uczniowie Augusta Blanqui, człowieka obdarzonego wielką inteligencyą, nadzwyczajną śmiałością, żelazną wolą, sztuką przemawiania do tłumów, żądzą władzy. Był to pierwszy we Francyi w XIX wieku komunista rewolucyjny. Wyprzedził on nawet Marxa. Działalność jego tamowało wieloletnie więzienie. W przeciągu półwieku od r. 1830 do 1880 spędził on 37 lat w zamknięciu z pewnemi przerwami. Blanqui ujrzał z radością utworzenie Stowarzyszenia międzynarodowego robotników, dążenia jednak paryskiéj sekcyi Międzynarodówki nie podobały mu się za swój spokojny kierunek, pragnący tylko reform ekonomicznych. Pod koniec cesarstwa i na początku oblężenia Paryża był on przywódcą ruchu de-

magogów. Po zaaresztowaniu wodza d. 31 października główniejsze role w agitacyi rewolucyjnéj stały się udziałem jego uczniów. Niesłusznèm jest zdanie, że komuna paryska była dziełem blankistów, gdyż przyczyny tego wypadku bardzo były złożone; gdy jednak powstanie wybuchło, blankiści zostali jego przywódcami. Jeszcze za cesarstwa zgrupował obok siebie Blanqui koło studentów, autorów mnóstwa gwałtownych artykułów przeciwko religii, cesarzowi, władzy i t. p., które pomieszczali w swych dziennikach: *La Jeunesse, le Travail* etc. Porywająca wymowa, miły głos, wyniosła postawa i ogromna ambicya Blanqui'ego pozyskały mu wkrótce gorących zwolenników, którzy wystąpili po raz pierwszy na kongresie w Liège 1864 roku z manifestacyą rewolucyjną i socyalistyczną. Wkrótce potém w Menilmontant studenci blankiści wśród białego dnia zaczęli wołać na ulicy: „*Vive la république.*" Gdy ich zaaresztowano, zrobiło się pewne zamieszanie uliczne; robotnicy wzięli stronę studentów i w więzieniu połączyli się z nimi. Tym sposobem blankizm przeniknął na przedmieścia. Z pomocą swego koła zaatakował również Blanqui na kongresie genewskim paryskich międzynarodowców, którzy nie przyjęli jego nauki. Jednym ze śmiałych planów Blanquiego była próba wzniecenia rewolucyi w Paryżu, czemu początek miał dać napad na straż ogniową na bulwarze la Vilette. Zamiar się nie udał.

Po stłumieniu komuny, kierujący nią blankiści schronili się do Londynu, gdzie weszli do głównéj rady Międzynarodówki, z ukrytą myślą wzięcia wodzów stowarzyszenia w swoje ręce. Marx jednak odgadł ich zamiary i dla sparaliżowania ich przeniósł radę główną do New-Yorku. Wtedy blankiści utworzyli oddzielną grupę pod nazwą *Komuny rewolucyjnéj*, a po amnestyi w 1879 powrócili do Francyi. Znaleźli tam swego przywódcę, który świeżo właśnie opuścił więzienie w Clairvaux. Wraz ze szczupłą garstką wiernych mu przyjaciół zorganizował wtedy Blanqui partyą rewolucyjną, mającą swe komitety w wielu okręgach, związane razem w *centralny komitet rewolucyjny*. Wszystkie te komitety wydawały wspólnym kosztem, jako organ *partyi*, pismo w pierwszym miesiącu codzienne, a następnie przez czas pewien tygodniowe, pod tytułem „*Ni dieu, ni maître.*"

Ostatni rok życia poświęcił Blanqui czynnéj propagandzie, pomimo, że umysł jego, osłabiony wiekiem, i złamany głos nie służyły mu już po dawnemu. Skazywany w ciągu swego życia pięć razy na śmierć i kilkakrotnie na dożywotnie więzienie, umarł on 31 grudnia 1880 r. w domu na rękach przyjaciół, lecz w wielkiém ubóstwie, Grób jego na Père Lachaise przedstawia górę wieńców,

Blankiści zachowali tradycyą swego mistrza. Są to raczéj politycy niż ekonomiści i socyologowie,— rewolucyoniści, śmiałkowie, posuwający się do zuchwalstwa. Nie usuwają się oni od żadnego ruchu; w awanturniczych, ryzykownych przedsięwzięciach są mistrzami. Gdy jednak wypada orzec, co należy postawić na pierwszém miejscu w programie: dążenia Międzynarodówki, czy programu hawrskiego, blankiści obojętnie potrząsają głową. Jak żołnierze zawsze gotowi do boju, idą oni wszędzie, gdzie słyszą i czują rewolucyą. Zgadzają się zarówno z guesd'ystami, jak i z posybilistami. Nie mogą tylko nigdy dojść do porozumienia z anarchistami, z którymi na mityngach staczają zawzięte walki.

Anarchia nie jest już dzisiaj starą hydrą deklamacyi konserwatywnych. To już nie widmo, służące do straszenia spokojnych obywateli. Anarchia w dzisiejszém pojęciu, to cały system społeczny, to urzeczywistnienie słynnego zdania Rocheforta: „Nic już nie ma.“ W społeczeństwie anarchistycznem jednostka jest zupełnie niezależną; żadne prawo, żadna ustawa nie mają nad nią władzy. Żyje ona wolna; robi co chce. Wchodzi w związki, gdy jéj się to podoba, zrywa je, gdy tego pragnie, i nikt nie ma prawa uważać za złe, że idzie za swą wolą, gdyż każdy ma równe prawo kierować się swoją. Anarchia bierze początek od Bakunina, który zaaklimatyzował ją w Szwajcaryi. Ze Szwajcaryi wkroczyła anarchia na grunt francuski i osiedliła się w okolicach Lyonu. Oprócz Bakunina zasługują na uwagę pośród anarchistów: Krapotkin, Elizeusz Réclus i Emil Gautier. Ten ostatni, jako anarchista, wystąpił najjaskrawiéj na widowni francuskiéj. Należał on do partyi, która przyjęła do swego grona Guesde'a po jego powrocie ze Szwajcaryi, sam jeden odłączył się od kolegów, nie dając się podbić wymowie sławnego kolektywisty. Gniewała go ambicya Guesde'a; jego żądza panowania nad wszystkimi oburzała go. Niechęć przeciwników doprowadziła aż do pojedynku. Gautier przy pomocy Arseniusza Crié zgrupował około siebie dwustu do trzystu robotników paryskich, których nęciła przedewszystkiém dewiza: *„plus de chefs, ni dieu, ni maître.“* Policya skrycie pomagała anarchistom. Pierwszy dziennik ich *La Révolution sociale* wychodził z funduszów prefektury. Dziennik *Cri du peuple* wykazał w roku 85, że kilku najzacieklejszych mówców anarchistycznych było tajnymi ajentami policyi, która chciała tym sposobem siać niezgodę wśród rewolucyonistów. Anarchiści, jako przeciwnicy wszelkiéj władzy, napadali na socyalistów i starali się podkopywać ich powagę. Byli więc znakomitymi sprzymierzeńcami policyi.

Oryginalną postacią wśród anarchistów jest Ludwika Michel. Ta zbłąkana kobiéta, z uczciwemi chęciami, uwierzyła, że prawdziwymi przyjaciółmi ludu są tylko „towarzysze“ („*compagnons*“, tak się wzajemnie nazywają anarchiści). Wierzy ona, że nie kieruje nimi ambicya, skoro chcą zniszczyć cel dążeń wszystkich ludzi ambitnych—władzę. Nie zastanawiała się ona nad tém, czy anarchia jest możliwa. Zdaje się jéj tylko, że jest dobrą, lepszą niż stosunki dzisiejsze. Powiedziano jéj, że anarchia przedstawiałaby społeczeństwo, w którém wszyscy ludzie byliby dobrymi, gdzie każdy spełniałby swój obowiązek przez samą miłość obowiązku. Połączyła się więc z anarchistami jak byłaby poszła za każdym, ktoby jéj przyrzekł urzeczywistnić jéj ideał sprawiedliwości. Jestto, być może, jedyna w partyi szczera anarchistka, dzięki temu, iż nie ośmieliła się nigdy dochodzić, co się rzeczywiście kryje po za słowem „anarchista“. Nie wié ona sama dobrze, co mówi i co robi. Nigdy jednak nie kieruje nią myśl egoistyczna. Jestto kobieta bardzo miłosierna i poświęcająca się, która w imię ludzkości, w dobréj wierze, popełniłaby nie jedno okrucieństwo. Należy ona do téj rodziny tkliwych katów, która dziś jest dość liczną.

Partya anarchistyczna zalicza do swego grona najniesympatyczniejsze postaci rewolucyonistów: są to po większéj części robotnicy prości, brutalni, ciemni, bez żadnéj oświaty. Mowy ich to pospolite, płaskie i gwałtowne wybuchy złości. Wymyślają oni swym przeciwnikom, lecz ich nie przekonywają. Są to zapaleni niszczyciele, którzy burzą *con amore* dlatego tylko, żeby burzyć. Pewien chemik np. w jednym z lyońskich dzienników anarchistycznych daje przepis na wyrabianie „*produits antibourgeois*“. Anarchia w Paryżu ma cokolwiek mniéj wstrętną postać, gdyż weselszy i dobrodusźniejszy charakter robotnika paryskiego mniéj jest podatny dla téj propagandy, lecz w Lyonie, przy większéj styczności ze Szwajcaryą, rzeczy stoją gorzéj. Proces Krapotkina przekonał tu, że anarchia pociągnęła ku sobie kilku ludzi, którym nie brakowało ani wiedzy, ani wymowy, ani odwagi. Po dwóch, trzech, rzadko więcéj nad dziesięciu, łączą się anarchiści w grupy zdobne szumnemi straszliwemi nazwami: „Pantera Batiniolska“ „Zbrodniarze“, „Zemsta“, „Zuchwałość“, „Nihiliści“, „Błyskawica“, „Miecz“, „Serca dębowe“ itp. Wszystkich takich drobnych grupek jest razem w całéj Francyi około 60. Są one związane w jedną federacyą, lecz dotąd nie przedsięwzięły nic ważniejszego nad kilka hałaśliwych zebrań ulicznych, które żadnego wpływu na ruch socyalistyczny nie wywarły.

Chcąc oddziaływać na tłumy, postarali się przedewszystkiém rewolucyoniści o zdobycie sobie organów, za pomocą których by

mogli szerzyć swe idee. Początkowo udzieliły im gościnności niektóre pisma radykalne: *Les Droits de l'homme, le Radical, la Vérité* itp., pragnące pozyskać sobie czytelników wśród kół socyalistycznych, lecz gdy Guesde wystąpił z nauką kolektywizmu, dzienniki te ogłosiły, że żadna solidarność z kolektywistami ich nie łączy. Pierwszém pismem tego kierunku była *l'Egalité* Guesde'a. W kilka miesięcy późniéj przybył mu towarzysz *le Prolétaire*, w Lyonie zaś przez kilka tygodni Malon wydawał pismo partyi *l'Emancipation*. Pierwszą *gazetą* socyalistyczną był paryski *le Citoyen*; jeszcze za jego życia Lissagaray założył drugi organ codzienny *la Bataille*, który wszakże wkrótce potém zlał się w jedno ze swoim poprzednikiem. Po długiéj i gwałtownéj walce dziennik ten musiał ustąpić miejsca nowemu współzawodnikowi gazecie *le Cri du peuple*, założonéj przez Juliusza Vallès (1). Okazała się ona najszczęśliwszą ze wszystkich gdyż pozostała do dziś dnia jedyném codzienném pismem socyalno-rewolucyjném w Paryżu, zręcznie redagowaném po śmierci założyciela przez jego przyjaciółkę panią Sévérine. Do dziennika tego pisują stronnicy wszelkich partyi rewolucyjnych bez różnicy odcieni. Na brak za to tygodników rewolucyjnych Francya skarżyć się nie może. Obecnie wychodzi ich trzy: *la Revue socialiste, le Socialiste* i *le Prolétaire*, nie licząc świeżo przeniesionego z Genewy do Paryża *le Revolté*. Wszystkie inne po krótkiem istnieniu upadły. Pomiędzy tymi zmarłymi noworodkami najwięcéj można naliczyć trupów anarchistycznych, jak: *la Revolution sociale, le Droit social, l'Etendard, le Drapeau noir, la Lutte, la Commune, la Revanche* itp. Wszystkie partye rewolucyjne od początku niemal swego istnienia żyły z sobą w ciągłéj rozterce. Kiedy posybiliści poróżnili się z guesd'ystami, stojący po za partyami rewolucyonista Lissagaray, redaktor pisma *Bataille*, postanowił skorzystać z tego i dla zdobycia sobie prenumeratorów połączył się z Brousse'em i jego przyjaciółmi. Wkrótce jednak wybuchły niesnaski w łonie redakcyi, gdyż zaproszeni chcieli rządzić samowolnie dziennikiem, a Lissagaray nie godził się na ustąpienie władzy we własném piśmie i w końcu znudzony ciągłemi kłótniami, wydalił ambitnych współpracowników. Skutkiem tego posypały się naturalnie wzajemne oskarżenia i obelgi, a gues'dyści, redagujący wówczas dziennik *Citoyen*, zacierali ręce. Radość ich jednakże trwała krótko, gdyż Lissagaray, człowiek większego talentu, niż charakteru, lecz bez zaprzeczenia najzdolniejszy dziennikarz i pisarz wśród socyalistów francuskich, chcąc uniknąć szkodliwego dla obu pism współzawodnictwa, porozumiał

---

(1) O Vallès'ie „Ateneum" podało osobny artykuł w r. 1885 t. III, str. 285—308.

się z wydawcą gazety *Citoyen* i, wysadziwszy z krzeseł dawnych jej redaktorów, zlał ją w jedno pismo z *Bataille*, jak już o tém mówiliśmy wyżéj. Wszystko to cieszyło bardzo blankistów, którzy, nie łącząc się z żadną z walczących stron, wyczekują sposobności, któraby im pozwoliła zastąpić dyskredytujących się wzajemnie wodzów wszystkich stronnictw i ująć kierunek całego ruchu rewolucyjnego w swoje ręce. Ze swarów tych nie omieszkali zaraz skorzystać anarchiści i oderwali od każdéj partyi po trosze zwolenników, którzy, widząc, że wodzowie bez ustanku między sobą się kłócą, łatwo dali się przekonać, iż najlepsze jest to stronnictwo, które z zasady nie uznaje żadnych naczelników.

Wobec takich okoliczności najrozsądniejsi z socyalistów zaczęli myśléć o niebezpieczeństwie podobnego rozczłonkowania partyi i dążyć do znalezienia dla odrębnych grup wspólnego łącznika. W tym celu dziennik *le Cri du peuple* podniósł na nowo rzuconą już dawniéj przez Lissagaray'a myśl połączenia się mas bez uwagi na zatargi osobiste wodzów. W rzeczy saméj, gdyby prości zwolennicy doktryny, socyaliści bez imienia, masy, które różniło pomiędzy sobą jedynie współzawodnictwo naczelników połączyli się, to przywódzcy, nie chcąc się znaleść odosobnionymi, musieliby się pogodzić. Dążącym do jedności niespodzianie zjawiła się pomoc w osobie Henryka Rochefort'a.

Ciekawa to postać tego politycznego „żyda wiecznego tułacza", który nigdy się nie zatrzymuje, lecz ciągle w krańcowości swych poglądów idzie naprzód. Kiedy partya radykalna, któréj służył z taką stałością i powodzeniem przez lat dziesięć, odniosła zwycięstwo nad oportunistami, Rochefort zwrócił się przeciwko swym wczorajszym przyjaciołom, porzucił ich szeregi i podążył do rewolucyonistów, aby stanąć na ich czele.

Rochefort nie należy do żadnéj szkoły socyalistycznéj. Nie ma on doktryny. Jestto rewolucyonista instynktowny, z przyzwyczajenia, z pragnienia idealnéj sprawiedliwości społecznéj, wreszcie, z odrazy nieświadoméj wielkiego pana do parweniuszów, sklepikarzy, kapitalistów, przedsiębiorców. Kiedy stanął na czele rewolucyonistów, obce mu były niesnaski partyjne. Jego imię, które już zdobyło sobie popularność, nie obudzało nieufności w nikim. Położenie Rocheforta wśród socyalistów jest wyjątkowém. Nie ożywia go żadne uczucie pożądliwości, ambicyi, będące udziałem większości socyalistów. Odegrał on już dawniéj wielką rolę, był najpopularniejszym człowiekiem we Francyi, jest jednym z najlepszych pisarzów w dziennikarstwie francuskiém, śmielszym i dzielniejszym

od innych. Kiedy zechciał tego, został deputowanym; zarabia dość pieniędzy, aby mógł zadowolnić wszelkie swoje gusty. Czegóż więcéj może pożądać, zazdrościć? Ofiarując rewolucyonistom swoje imię i pomoc, oddał im olbrzymią usługę, wyrządzając zarazem przez to społeczeństwu szkodę. Od chwili jego wstąpienia w ich szeregi sprawa połączenia się partyi, która przedtém szła bardzo opornie, szybko posunęła się naprzód. Nigdy dawniéj stronnictwa rewolucyjne nie było tak silne. W czasie ostatnich wyborów 70 tysięcy socyalistów dało głos za jednym kandydatem. Od chwili dopiero objęcia przywództwa przez Rochefort'a wszyscy rewolucyoniści francuscy postępują w zwartym szeregu.

Zdala od socyalizmu rewolucyjnego, wychodzącego z zasady „walki klas", antagonizmu pomiędzy kapitałem a pracą, znajdujemy we Francyi szczupłą garstkę reformatorów, zwanych „socyalistami katolickimi" i dążących do pogodzenia interesów odrębnych warstw społecznych, znalezienia jakiegoś *modus vivendi* kapitału z pracą za pośrednictwem religii chrześciańskiéj. Założycielami *Fundacyi kółek katolickich* (*l'Oeuvre des cercles catholiques*) są: hr. Albert de Mun i hr. de la Tour du Pin. Propaganda ich datuje się od 1872 i do dziś już utworzyła we Francyi około 400 kółek. Chrześciańscy ci reformatorowie dążą do pogodzenia robotników z ich pracodawcami, pragną przekonać tych ostatnich, że mają oni względem swych pracowników obowiązki ojcowskie; robotnikom zaś dowodzą wyższości ich „chlebodawców" nie tylko w pracowni, lecz zarazem i w społeczeństwie i starają się zaszczepić w nich uczucia szacunku i przywiązania dla tych, „których opatrzność postawiła ponad nimi." Od panów żądają oni pobłażliwości, sprawiedliwości, miłosierdzia; robotnikom zalecają rezygnacyą, dążenie do polepszenia bytu przez pracę, oszczędność i uszanowanie dla swych chlebodawców. Gdyby prawo pozwoliło twórcom tego stowarzyszenia na uorganizowanie całego społeczeństwa według ich systematu, to Francya stałaby się państwem teokratyczném, utworzoném na wzór wielkiego koła katolickiego. Działalność kółek katolickich prowadzi się w sposób następujący. W pewném mieście, lub części miasta, zamożniejsi ludzie łączą się i wynajmują do współki mieszkanie, gdzie robotnicy mogą się zbierać, zabawiać i gdzie otrzymują naukę chrześciańską, konserwatywną. Na pierwsze potrzeby komitet główny „Fundacyi" dostarcza środków, zbieranych przez dobrowolne ofiary i obowiązkowe składki członków. Zarząd koła nominalnie spoczywa w ręku rady wewnętrznéj, któréj członkowie wybierani są przez komitet i piastują swój urząd dożywotnio, lub do czasu gdy zechcą. Prezes koła, wybierany z pośród członków rady

wewnętrznéj, urzęduje przez rok jeden. Władza wykonawcza spoczywa w ręku sekretaryatu, którego naczelnikiem jest sekretarz koła. Zajmuje się on sprawami administracyjnemi, ekonomicznemi, nauczania itp. Organizacya ta, zaprowadzona w każdém mieście, w każdéj dzielnicy, utworzona jest na wzór organizacyi komitetu głównego *Fundacyi*, zasiadającego w Paryżu, którego sekretarzem naczelnym od samego założenia jest hr. Albert de Mun. Jedna z sekcyi rady głównéj poświęcona jest specyalnie badaniom społecznym i pracy nad rozwojem doktryny ekonomicznéj chrześciańskiéj. Wydaje ona pismo *l'Association catholique*.

Koła robotnicze katolickie są tylko środkiem, nie zaś celem, do którego dążą chrześciańscy reformatorowie. W kołach tych dwie warstwy społeczne: wyższa i niższa, wykształcona i ciemna robotnicy i kapitaliści stykają się z sobą. Na wykładach nauczają tu, że pokój w społeczeństwie zapanuje na skutek stowarzyszenia się robotników i przedsiębiorców jednéj gałęzi przemysłu, lub jednéj fabryki w korporacye, zarządzane przez rady korporacyjne, któreby oznaczały płace robocze i dni wypłaty, administrowały kasą korporacyjną itp. Obowiązkiem ich nadto byłoby sądzenie wszelkich sporów pomiędzy robotnikami i przedsiębiorcami. Rady korporacyjne składałyby się z przedstawicieli obu tych warstw w równéj liczbie. Gdyby dwie te frakcye rady nie mogły się zgodzić w zdaniu o jakiejkolwiek sprawie, w takim razie „kolo katolickie“ delegowałoby do rozpatrzenia jéj jednego ze swoich członków, którego wyrok byłby obowiązującym dla obu stron. Zaprowadzenie takiéj organizacyi w społeczeństwie jest właściwym celem socyalistów chrześciańskich.

Jak widzimy z powyższego, dążenia reformatorów chrześcijańskich nie są żadném nowatorstwem. Usiłują oni za pomocą nauczania ewangielicznego stłumić nienawiści społeczne, uczynić przedsiębiorców mniéj chciwymi a wspaniałomyślniejszymi, robotników mniéj wymagającymi. Miłosierdzie z jednéj strony, rezygnacya z drugiej—oto podstawy, na których chcą oni zbudować gmach trwałéj zgody społecznéj. Czy jednakże podstawy te nie są zbyt kruche? Nie podobna zaprzeczyć, że propagatorowie tych idei są ludźmi dobrych chęci i szlachetnych uczuć, że stanowią oni wybraną cząstką arystokracyi i mieszczaństwa, lecz niemniéj pewną jest rzeczą, iż nadzieje swoje opierają na gruncie, który się wali. Kazania o rezygnacyi mogły wystarczać biednym w wieku gorącéj wiary w czasach kiedy, ażeby być panem, trzeba się było nim urodzić, kiedy więc skutkiem tego lud widział się z góry skazanym na los, w jakim się znajdował. Lecz dziś po tylu rewolucyach moralnych i po-

litycznych nie uzna on wyższości nad sobą parweniuszów, dorobkiewiczów, którzy wyszli z jego łona, których jedyną ideą przewodnią życia jest pogoń za zyskiem. Socyalizm chrześciański nie liczy się przytém zupełnie z rewolucyą ekonomiczną, jaka się dokonała w ciągu ostatniego stulecia, ze skutkami międzynarodowego podziału pracy, zastosowania maszyn do produkcyi i rozszerzenia rynku ekonomicznego na świat cały. Choćby im się nawet udało pozyskać dla swego systematu wszystkich robotników i przedsiębiorców, pierwsze znaczniejsze przesilenie przemysłowe obróciłoby ich pracę w niwecz.

W ostatnim rozdziale książki zastanawia się autor w krótkości nad źródłami ruchu socyalno-rewolucyjnego i środkami zapobieżenia gwałtownemu przewrotowi społecznemu. Pierwsze widzi głównie w trzech faktach, a mianowicie: 1° w rozwoju demokratycznym wykształcenia publicznego, które wynosząc wielu ludzi ponad ich sferę i rozbudzając w nich niezaspokojone ambicye, wytwarza egzystencye wykolejone, dążące za wszelką cenę do zmiany istniejących stosunków dla wybicia się tym sposobem na wierzch; 2° w łatwości kredytu hipotecznego, który rujnuje własność drobną, i 3° w namnożeniu się pożyczających i prawie o upadłościach, z jednéj strony, oraz organizacyi wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych z drugiéj, co łącznie doprowadza znów do upadku drobne kupiectwo i rzemieślników. Wszystko to razem przerzedza szeregi zachowawcze i wzmacnia liczbę niezadowolonych, wśród których ferment rewolucyjny, rzucony przez jednostki ambitne, łatwo się przyjmuje. Na dyagnozę tę można się poniekąd zgodzić, chociaż należałoby ją uzasadnić gruntowniéj, niż łatwością kredytu i prawem o upadłościach. Natomiast trudno zrozumiéć, czego chce autor, kiedy dla zapobieżenia przewrotowi społecznemu radzi rozejrzéć się w programach partyi robotniczych i uwzględnić ich żądania „bezzwłocznie urzeczywistnialne.“ Widzieliśmy, że pomiędzy temi żądaniami są absurdy, przekraczające daleko po za granice zwykłych złudzeń ludzkich. Należało więc wyraźnie powiedziéć, co w nich zasługuje na uwzględnienie, a co musi być odrzucone. Że stosunki dzisiejsze nie są bynajmniéj zadawalniające i że wielu jeszcze reform prawnych i społecznych, politycznych i ekonomicznych na korzyść niższych warstw społeczeńsfwa dokonać potrzeba, temu nikt niezaślepiony egoizmem kastowym zaprzeczyć nie może; lecz kiedy ktoś, jak p. Mermeix, nazywając się konserwatystą i indywidualistą, odséła warstwy uprzywilejowane po inspiracye reform niezbędnych do programów rewolucyjnych i dodaje przytém na pociechę swych przyjaciół, że „lepiéj oddać to, czego utrzymać nie mo-

żna, niż pozwolić sobie odebrać przemocą", wtedy odgadnąć niepodobna, o co mu właściwie chodzi. Taki właśnie ogólnikowy sposób przyznawania słuszności żądaniom przewrotowców przynosi największą szkodę społeczeństwu, bo zachęca ich i ośmiela do coraz większych wymagań. O sprawach tak wielkiéj doniosłości należy zawsze mówić jasno i dokładnie, ażeby liberalnymi ogólnikami nie wprowadzać w błąd umysłów, nie przygotowanych, lub niezdolnych do samodzielnéj krytyki i odróżnienia rzeczy możliwych od niezziszczalnych.

W.





Ryszard Wincenty Berwiński.

RYS BIOGRAFICZNO-KRYTYCZNY.

Poeta, o którym mówić mamy, zajmuje wyjątkowe stanowisko w literaturze naszéj. Porzucił on rozmyślnie, czy zbiegiem okoliczności, te wiekowe, społeczne i religijne tradycye, jakie mu w dzieciństwie przyświecały; wybiegł na otwarte morze wzburzonych współczesnych wirów socyalnych, bez busoli, bez sternika.... polegając jedynie na potędze uczucia swego; zaprzągł się w rydwan najskrajniejszych, demokratycznych żywiołów i z dobrą wiarą pracował niby dla szczęścia ludu, dla tryumfu prawdy. Marzyciel a ognisty, namiętny z natury, a nie okiełznany wychowaniem, w téj pogoni fantasmagorycznéj za nieujętemi, nieokreślonemi ideałami społecznemi i politycznemi, zbiegł na taką pochyłość, z któréj wyjścia już nie było... to téż w przepaści się pogrążył, nie ziściwszy tych wielkich nadziei, jakie okalały imię w szczęśliwéj młodości.

Zdawałoby się, że życiu takiego człowieka nie warto poświęcać pracowitszych studyów. „Można boleć nad niedolą człowieka na śliskie drogi zepchniętego, ale odświeżać rany, które stratę najpiękniejszych nadziei spowodowały—nie warto.“ Tak bez wątpienia osądzi wielu czytelników, co ten napis tytułowy odczytają; tak osądzili już, niestety, jego najbliżsi, wielkopolanie, którzy zaraz po śmierci poświęcili parę krótkich nekrologów, a w nich nie szczędzili gorzkiéj, dotkliwéj ironii... Była to niby smutna zapłata za tę broń, jakiéj najczęściéj poeta używał: ironią walczył, to téż ironią okolono imię jego po śmierci.

Otóż, równie jak publicyści poznańscy, tak i cała czytająca publiczność nasza dopuściłaby się wielkiéj niesprawiedliwości, jeśliby po owych wielkich uwielbieniach za życia, skończyła obecnie po

jego śmierci na doraźnym wyroku potępienia, bez sprawdzań, bez dowodów....

Zdarzało się to, niestety, w dziejach literatury naszéj nierzadko, nie z jednym Modrzewskim czy Malczewskim! Ci jeszcze szczęśliwsi, bo przynajmniéj po upływie lat kilku lub paru wieków, doczekali się swoich Ossolińskich czy Mochnackich, a w nich wyrozumienia i głosu sprawiedliwego; ale któż zaręczy, że nie mamy więcéj zakatowanych w opinii potomności ludzi, którzy by mieli coś do usprawiedliwienia, jeżeliby usprawiedliwiać się im dano? Co do Berwińskiego, to tém łatwiéj spodziewać się można owego niesprawiedliwego wyroku, że piszący dotąd o nim w literaturze naszéj szczeblowali tylko od łagodniejszych sądów o nim, jako o człowieku i jako o poecie, ku coraz namiętniejszym, niesłusznie krzywdzącym wyrokom potępienia. Dr. J. (w piśmie „Literatura poznańska w pierwszéj połowie bieżącego stulecia") w roku 1880 piérwszy dostrzegł w nim „cynizm", ale tylko w Don Juanie poznańskim i widział naśladownictwo Słowackiego, ale tylko Grobu Agamemnona; w r. 1883 pani Marrené (Przegląd Tyg. 1883, N. 1, 2, 3 i 4) już dostrzegła coś więcéj oprócz Grobu Agamemnona, bo naśladownictwo Beniowskiego i Godziny myśli ; — ale ostatecznie odebrać mu pragnie wszelkie zasługi człowiek wielkiego wpływu i głośnego imienia, który na jednéj z czynnych naszych katedr literatury rzucił nań ogółowy wyrok potępienia (8-go lipca 1884). Krytyk ten, znać przyjmując za aksyomat oba wymienione sądy, idzie daléj, bo wprost powiada, że B-ski „tak się oczytał Słowackiego, że go ciągle naśladuje", i widzi w nim jedynie gorycz, zwątpienie, lekceważenie wszystkiego, a przedewszystkiém ów „cynizm"; wyszydził jego subiektywny nastrój liryczny i nie zadając sobie wcale fatygi, skąd owe w części tylko usprawiedliwione, a wogóle zbyt przesadne epitety spadły na wyłączną odpowiedzialność poety, zaznaczywszy tylko, że jest-to „ciekawy egzemplarz".... do prawowiernego oburzenia, przeszedł nad nim do porządku dziennego.

Tymczasem Berwiński jest wistocie „ciekawym egzemplarzem", nie tylko jako poeta, ale i jako człowiek niestały, a przynajmniéj niewytrwały, ale przedewszystkiém szczery, w którego sercu w najrozmaitszych życia kolejach nigdy nie powstała obłuda. Przejmował się łatwo otoczeniem, panującemi wyobrażeniami wieku i ludzi, w tym wieku przeważną rolę grającymi; był więc poniekąd „ciekawym egzemplarzem" cnót i wad naszego narodu, gdy z jednéj ostateczności, z uwielbienia i zapału, łatwo wpadał w drugą skrajność, w owę właśnie „gorycz i zwątpienie"; a mniemany „cynizm" jego był tylko przeświadczeniem potrzeby walki, połączonéj z niewiarą

w pożądany jéj skutek. Twórczość więc jego poetyczna była wyrazem zranionego serca, które bądź-co-bądź, po swojemu, ale wiele kochało. Zresztą i to dodać potrzeba, że Berwiński zanadto był namiętnym, by miał czas być cynicznym; nie trzeba o tém nigdy zapominać, chcąc być sprawiedliwym.

Te oto myśli spowodowały, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności, a głównie dzięki serdecznéj uczynności Michała hr. Sołtana, zebrane z rozmaitych miejsc (z Poznania, Pelplina, Graz, Konstantynopola i in.) szczegóły jego życia i rozmaite notatki literackie, podaję do wiadomości publicznéj,— w tém przekonaniu, że mówiąc o Berwińskim i jego działalności, przypominam jednocześnie i te wogólności fazy naszych aspiracyi po-mickiewiczowskich, jeśli nie całego narodu, to przynajmniéj przeważnego, ruchliwszego stronnictwa jego. A jeżeli to przypomnienie niezawsze będzie miłém, to przynajmniéj stać się może niejaką nauką dla współczesnych, tém bardziéj, że wspomnienia te mogą już miéć cechę rozwagi i bezstronnéj oceny, gdy owoczesne idealistyczne, marzycielskie prądy dalekośmy za sobą w przeszłości pozostawili i bez uprzedzenia rozważać je dzisiaj możemy (1).

I.

Ryszard Wincenty Berwiński urodził się w Polwicy pod Zaniemyślem, w powiecie Średzkim w r. 1819. Syn niezamożnego ziemianina, odebrał jednak staranne wychowanie domowe pod okiem miłującéj a niepospolicie wykształconéj matki, z domu Bukowskiéj, która mu, tradycyjnym polskich matron wzorem, wpajała zasady miłości ludzi i miłości Boga w duchu ścisłéj ortodoksyi kościoła katolickiego, do którego sama należała. Żywy, bystry i ujmujący chłopczyna był największym ulubieńcem matki wśród całego grona

---

(1) Rys obecny opracowałem podług następujących źródeł: 1) Listy członków rodziny, zakomunikowane hr. Sołtanowi; 2) list prof. Rymarkiewicza; 3) bardzo ważne notatki p. Bibianny Moraczewskiéj; 4) współczesne wzmianki nekrologowe w Kuryerze Poznańskim i w Dzienniku Poznańskim zamieszczone; 5) opowiadania osób znających osobiście R. B. w Poznańskiém i w Konstantynopolu; 6) pojedyńcze ustępy rękopiśmienne, bądź poetyczne, bądź prozaiczne, udzielone mi od p. Pauliny Mizerskiéj, siostry poety, oraz od pani Idalii Krajewskiéj z Graz; 7) Notatki zmarłego poety i jego *silva rerum*, zawarte w dwu oprawnych książeczkach; 8) spory zbiór korespondencyi poety z rodziną, z różnych miejsc pisany, ale najobfitszy zbiór listów z Turcyi; w tym téż zbiorze znalazłem i wielkiéj wartości listy Teofila B., pisane do brata, zagranicą bawiącego i wreszcie 9) odpowiednie dzieła R. B. lub artykuły drukowane w Lesznie, Warszawie, w Brukseli lub w Poznaniu, oraz krytyki tych pism.

dziatwy i pozostał takim do ostatnich dni jéj życia. Sam Ryszard w pismach swoich maluje siebie i owo stanowisko, jakie śród tego gronka rodzinnego zajmował:

„I kiedy myślą wrócę w te lata dziecinne,
„Kiedy sobie przypomnę te miejsca rodzinne.....
„A pamiętam, jak dzisiaj: dworzec był chędogi,
„Choć niewielki, lecz wsparty na wielkich stał cnotach:
„Nieprzystępny był złemu, bo miał nizkie progi
„I poczciwość na straży przy otwartych wrotach.....
— „Rozlewało się wielkie szérokie jezioro
„Prawie tuż pod dworkiem, w którym nas pięcioro
„Małego przy rodzicach wzrastało rodzeństwa:
„Ja starszy, młodszy brat mój i trzy śliczne siostry;
„Matka—anioł dobroci, ojciec—trochę ostry,
„Ale człowiek jak rzadko, niezrównany w cnotach,
„Doświadczony w nieszczęściach i w licznych kłopotach.....
„Cieszył się biédny ojciec, gdyśmy drobne dziatki,
„Poklęknąwszy co rano przed Najświętszą Panną,
„Odmawiali pobożnie modlitwę poranną.....
„Miałem ośm lat wtenczas; byłem mędrcem dzieci!
„To też wpośród dziecinnych moich rówienników
„Taką miałem powagę, że gdy czasem w święto
„Zjechało się sąsiedztwo, a starsi do ćwików,
„Albo do wisków zasiedli, lub też pić zaczęto,
„A dziatwa w las ruszyła na wojenne harce;
„Wtedy mnie jednogłośnie stawiano na czele.
— „A byłem wódz po temu: w krakowskiéj czamarce,
„Na czole mars, przy boku miałem karabelę,
„Śmiałość wielką i wielką wysłowienia biegłość."....

Ten tedy mały hetman, imponujący rówiennikom i objawiający świetne na przyszłość nadzieje, bywał powodem, że całe sąsiedztwo pozdrawiało serdecznie rodziców,—

„A ojcu memu radość jaśniała na twarzy."

To wielkich zdolności chłopię, kochane od wszystkich członków rodziny i sąsiedztwa, ale zarazem zbyt bujne, do przewodnictwa i do przedwczesnéj samorzutności usposobione, znalazło się w tém samém położeniu i w gronie szkolnéj młodzieży, w gimnazyum Leszczyńskiém. Znana ta szkoła w Lesznie, mająca i dobrych pedagogów i postępowy na swój czas system edukacyjny, dawała wszelkie rękojmie, że młody Ryszard, poświęcający się przyszłemu zawodowi filologa, przy niepospolicie bystrém pojmowaniu rzeczy i wogóle przy wyróżniających się zdolnościach, stanie się gruntownym specyalistą i na téj drodze ziści owe przepowiednie sąsiadów jego ojca i usprawiedliwi owę „radość, co ojcu jaśniała na twarzy."

Stało się przecież inaczéj: kochali i tu serdecznie koledzy młodego, wesołego „Berwińsia", oceniali jego wielkie zdolności, — ale

on nie poszedł drogą zwyczajnych ludzi: utarty gościniec pospolitości już mu nie starczył....

„Bo mnie myśl wyższa wyżéj innych niosła“, powiada o sobie Berwiński. Wiadomo zaś, do czego stosuje się owa „myśl wyższa“: zamiast systematycznie szczeblować po drabinie wiedzy szkolnéj, młody filolog, przy świetnych zdolnościach swoich, znużył się za prędko temi drobiazgami szkolnictwa i lekceważąc je całkowicie, chciwie natomiast czytywał to wszystko, czego dostarczała literatura polska, a zwłaszcza bieżące czasopiśmiennictwo.

Literatura nasza romantyczna, tak świetnie już rozwinięta naówczas, dała mu pochop do żarliwego zajęcia się wszystkiém, cokolwiek bliższy lub dalszy miało stosunek z twórczością ludu, — a więc całe szeregi baśni, klechd, legend, przysłów, pieśni ludowych poczęto zgromadzać. Oprócz dawniejszych w tym kierunku ognisk, niezmiernie ważnym stało się naówczas punktem Leszno, a w niém *Przyjaciel Ludu*, od połowy r. 1834 wydawany. Pismo to starało sięześrodkować wszystkie postępowe naówczas pomysły, wszelki ruch umysłowy, a zwłaszcza w tym kierunku, jaki leży w samym tytule pisma. Otóż w tém gronie pracowników znalazł się i młody Ryszard, który poczuwszy w sobie powołanie autorskie, począł w tém piśmie ogłaszać pierwsze utworki swoje. „O kępie Zaniemyskiéj“, „O mądrym Maciusiu“, „O Kojacie“ i inne, które jako uczeń ogłaszał najprzód bezimiennie. Naturalnie, że przedwczesne autorstwo nie mogło iść w parze ze żmudną pracą szkolną, to téż widzimy, że doszedłszy zaledwo do tercyi, opuścił szkołę i poświęcił się innym zatrudnieniom, o których niżéj będzie mowa; tu wszakże dodajmy, że młody poeta w porę się obejrzał, zrozumiał niewłaściwość swojego położenia i zdobył się na energią—ukończenia gimnazyum. Jakoż wstąpił na nowo do szkoły, a jeźli po tém ponowném wstąpieniu do sekundy gimnazyum leszczyńskiego musiał je znowu porzucić, to już nie brak woli i wytrwałości młodzieńca był tego powodem, lecz inne uboczne okoliczności. Jakoż we Wrocławiu, dokąd się zatém udał, przysposobił się do egzaminu dojrzałości, który tamże przy gimnazyum katolickiém złożył i wpisał się na wydział filozoficzny w miejscowym uniwersytecie, a wkrótce potém przeniósł się do Berlina na takież studya, którym kilka lat poświęcił, ale bardzo niesystematycznie, wychylając się całemi miesiącami na wieś do dworków i salonów, w których wkrótce królować począł.

Ci, co bliżéj znali Berwińskiego, jednozgodnie świadczą, że wielki wpływ wywarł na umysł i wolę poety jenerał Fr. Morawski, w którego domu piérwsze kroki stawiał nasz Ryszard; stał się on ulubień-

cem weterana-poety, który zamiast tego, by powagą i moralnym wpływem swoim powściągnąć zbyteczny zapał i nazbyt wielką wiarę w siebie i w siły talentu swego; zamiast wskazywania szeregu bliższych, mniéj może ponętnych, ale nie mniéj ważnych a surowych obowiązków społecznych; zamiast wskazywania młodzieńcowi przedewszystkiém usposobienia siebie do jakiejś gruntownie wyrobionéj fachowości; wolał unosić się nad wyjątkowemi darami talentu młodego poety i przeceniać je nawet, a to tak dalece, że np. w wierszu o „*Wieży Kruszwickiéj*", poświęconym młodemu przyjacielowi, opisawszy olbrzyma, co się wznosi na falach Goplanych, tak przemawia do poety:

„Dołącz i ty gęśl swoję, sławiański Ryszardzie;
Pojmiecie się z zawiecznym języku Sarmaty:
On ci starą swą gadkę młody powie bardzie,
Ty mu z łzami zaśpiewasz wielki hymn zatraty".

Piérwsze wewnętrzne walki, jakie staczać musiał ze swą rozbujałą przedwcześnie swobodą i wyniosłością umysłu a koniecznemi wymaganiami świata, najlepiéj maluje sam B. w liście z r. 1835 (z Poznania) do przyjaciela szkolnego, opisując w nim przejścia swoje pomiędzy opuszczeniem pierwotném gimnazyum a powtórném do niego wstąpieniem:...... „Anibyś się spodziewał, Antosiu, pisze do kolegi, jakie koleje od czasu rozstania się z tobą twój przyjaciel przechodził. Zmienił on swój charakter, swój humor, swój sposób myślenia, powierzchowność,—słowem, wszystko, w miarę potrzeby, wynikającéj z zachodzących okoliczności. Gdybyś mógł być naocznym, a nieodstępnym świadkiem wszystkich moich kroków, byłbyś mnie nieraz ujrzał, jako:

Sensata poważnego,—stoicowskiéj miny,
Któremu prawie tylko zbywało czupryny,
By prawego nosić filozofa imię;
Co nigdy przy zdarzonéj porze nie zadrzymie,
By zbłąkanych na prawy tor nie naprowadzić
Winujących nie karcić, a słabym nie radzić."

Nie poznałbyś, przysięgam, wtenczas, wesołego Berwińsia, a jeszcze mniéj widząc go:

Z ową miną, zwiastunką głębokiéj nauki,
Co znaczy wytrawnego wieków filologa,
Uczącego pisania i czytania sztuki,
I pozdrowień anielskich i przykazań Boga!
Przytém jeszcze o pierworodzicu Adamie,
I jego połowicy, godnéj pani Ewie,
I o wężu podstępnym i nieszczęsném drzewie,
O Noem i Jafecie i Semie i Chamie!
Gdybyś go wtenczas widział, jak pełen zapału
Ducha nauczyciela—ferował swe zdanie;

Jak prawił kilkoletnim słuchaczom kazanie,
Zapewnebyś się, bracie, dziwił niepomału!

W tym gawędziarskim i niewprawnym jeszcze rymie poety, aż nadto jasno się odbija myśl, że trudny zawód nauczycielski nie mógł odpowiadać jego usposobieniu i tym fantazyom, jakie roiły się po głowie młodzieńca poety. Jakoż sam daléj mówi: „Zawód nauczycielski, sam z siebie trudny do wykonania, powiększa się jeszcze trudnością położenia nauczyciela domowego, od którego wymagają, by

„I rano i na wieczór, zgoła w każdéj dobie
Łączył doskonałości stek w swojéj osobie,
By zdolności posiadał przynajmniéj tak wiele,
Iżby mógł edukować chociażby i... cielę!
By się zawsze układał w płaszczącéj postawie
I „Jéjmość Dobrodziejce", choć w najgorszéj sprawie
Zawsze umiał w myśl trafiać .....

Więc kończę, i wyznaję otwarcie, żem porzucił chléb nauczycielski, a chwycił za inny, co niby miał być nie tyle gorzki.

Zaniechawszy zupełnie łaciny, greczyzny,
Anim wejrzéć nie raczył na zbutwiałą księgę,
I jedyniem natenczas brał pióro do ręki,
Gdy wpisać było trzeba odrobek pańszczyzny,
Lub ilość zagonów w jednę woranych sprzęgę—
A i to dla mnie były pokuty i męki.

Zakosztowałem tego chleba, ale nie wiem zaprawdę, jak rozumiéć o tym, co powiedział, że „położenie rolnika gospodarza znośniejszém jest od obowiązków nauczyciela", gdyż podług mego zdania,

Przez dzień cały miéć za dach niebieskie namioty
I pod niemi się chronić od wichrów i słoty,
Nie największéj do szczęścia dodaje ochoty!
A jeszcze przy zaciężnych, jak bronzowa lalka
Siedziéć, bez zatrudnienia wszelkiego dla duszy,
Lub trwonić skarb wymowy na zapchane uszy
Bartka, Maćka, Macieja, Bartłomieja, Walka,
Niewiele pewno słodziéj — .....

Więc tedy i zawód gospodarski rzuciłem, ale, żeby przy obraniu następnego lepszy zrobić wybór, postanowiłem z największym namysłem wszelkie dalsze przedsiębrać kroki, dla tego więc

Długie chwile, godziny, tygodnie, miesiące
Mijały na namysłach... ja ciągle myślałem;
A choć myśli, projektów miewałem tysiące,
Nic jeszcze dogodnego dla się nie widziałem.
Długom, długom oddany takiemu uśpieniu,
Długom szczęścia kosztował, *szczęścia w urojeniu*!
Aż wreszcie prawda naga surowym nakazem,
Rzekła mi: „Zbudź się, człeku, z gnuśnego uśpienia!
Ocknąłem, i uderzon, przeszłości obrazem,

Słuchałem głosu jéj, choć nie był do życzenia!
Chwytam zatém za księgi, przed rokiem wzgardzone .....

Pozbierałem jednakże ich szczątki, jąłem się pracy i śmiało z owym wielkim znawcą serca ludzkiego ozwać się mogę: „*In omnibus requiem quaesivi et nusquam inveni, nisi in angello cum libello*“ (tj. Wszędziem odpoczynku szukał, a znalazłem go zaledwie w kąciku przy ukochanéj książce.)

Pisze daléj B., że przyjechał do Poznania i gorliwie zabrał się do studyów naukowych:

„Już więc pod oświeceńsze przeniosłem się niebo,
Bo czuję, jak jest ważną nauka potrzebą;
Czuję—i gotów jestem śród trudności wielu,
Nic nie szczędzić dla dojścia szlachetnego celu,
By rozpoczęty zawód zakończyć z honorem—
Wszak świątynia Minerwy zawsze jest otworem,
A jakaż temu hańba, co z tego przybytku
Cnoty, mądrości, szczęścia, wyjdzie bez pożytku! ....“

Objaśnia daléj przyjaciela, że Poznań przenosi nad Leszno, dla tego, że „w Poznaniu mam źródło niewyczerpane nauk w księgozbiorze Raczyńskich. Macie i wy wprawdzie bibliotekę gimnazyalną, ale dzieła znajdujące się w niéj, są to członki pojedyńcze, oderwane od ogółu ciała, zwanego literaturą. Ja tu zaś biorę krytyki najdawniejsze, jak: Janockiego, Sołtykowicza, Brauna i in.; przytém biorę do ręki zawsze krytyki np. Potockiego, Osińskiego, Dmóchowskiego, Bentkowskiego. Porównywam ich recenzye i nie przestając na samém czytaniu krytyki, czytam dzieła wymienione w owych krytykach; a tak w przeciągu *roku*, a *dajmy na to i dwu lat* poznać mogę dokładnie (?) literaturę polską.“

List ten ogłoszony w Dzienniku Poznańskim (p. t. „Przyczynek do życiorysu ś. p. R. W. B.“) prawie w całości tu przytoczyliśmy, gdyż jako nie przeznaczony do druku, oprócz szczegółów życiorysowych, z najzupełniejszą swobodą i otwartością młodzieńczą odsłania istotne usposobienie. B. ma tu, jak widzimy, jeszcze bardzo nieudolną technikę wiersza: rymy ledwie się wloką, a średniówki nie zawsze doliczyć się można; a przecie pięć lat zaledwo upłynęło (tj. w r. 1840)—i imię Ryszarda B. już znane było w literaturze. Następnie otwartość ta koleżeńska rzuca dość jasne światło na jego sposób kształcenia się naukowego: wszyscy czytają zwykle najprzód autorów, a potém dopiéro sprawdzają ich wartość w krytykach, jakie się znajdą; Berwiński idzie odwrotną drogą: wprzód chce poznać krytyki od Janockiego począwszy, a na Bentkowskim skończywszy, a dopiéro potém sprawdzać niektóre dzieła w krytykach zawarte.

Robi to zapewne dla przyśpieszenia studyów, gdy obiecuje, jak widzieliśmy „dokładnie (?) poznać literaturę w ciągu dwu lat“. Znać tu ten pośpiech, graniczący z powierzchowną pracą, znać owę niecierpliwość ognistéj duszy, która w ciągu godziny zrobić chciała to, na co innym lata potrzebne!

Już w następnym roku od daty powyższego listu, tj. w r. 1836 wszedł młody Ryszard na otwarte pole pracy naukowéj, która w niedługim czasie zjednać mu miała szeroki rozgłos. Oto co sam w tym względzie pisze w „Studyach“. Sięga tam poeta do chwili młodzieńczych marzeń i piérwszéj chętki do autorstwa, kierunek zaś tego autorstwa zależał całkiem od ówczesnéj atmosfery literackiéj, kiedy to na wszystkie strony zbierano podania, powiastki, klechdy i pieśni ludu“, a więcéj jeszcze sobie po tych mniemanych skarbach na przyszłość obiecywano. Poeta nasz żywo się tém wszystkiém interesuje; a że stosunki domowe, śród których się chował na wsi, były tego rodzaju, że zostawał w bezpośredniéj i blizkiéj styczności z ludem,“ miał przeto B. sposobność poznania wielu klechd i powiastek w dzieciństwie. Z tych tedy powodów jął się z zapałem do pracowania na tém polu i jak wspomniałem, od r. 1836 zaczął spisywać to, „co od najmłodszych lat słyszał od prządek kądzielnych i starych gospodyń w czeladnicy.“ Mówi, że „większa część tych powiastek leży u niego po tekach i nigdy już zapewne światła dziennego nie ujrzy.“

Niektóre z tych powiastek drukowane były w Przyjacielu ludu, aż do r. 1839; o jednéj z nich „*Mądry Maciuś*“ M. Wiszniewski w literaturze wspomina, o drugiéj Maciejowski („Kojata“),—a obok tego był téj że powiastki przekład w *Magazin für die Literatur des Auslandes*“, a powieść „o 12 rozbójnikach“ przełożona w czasopiśmie czeskiém „*Dennica*“. Dodajemy od siebie, że z owego, jak sam autor powiada, licznie nagromadzonego materyału do obrazowania twórczości ludowéj, oprócz powyższych, jeszcze kilka innych powiastek ogłosił drukiem, jako to: „*O początku Noteci*“, „*Gopło i jego okolice*“, a zwłaszcza „*Chłop i dyabeł*“, która do lepszych klechd jego należy.

Umysł młodzieńca niezadawalniał się tém, co na polu literatury ludowéj zrobili inni, lub on sam wreszcie; zdało mu się, że bogactwa téj twórczości ludowéj są daleko zasobniejsze, niż dotąd mniemano i niż od ludu się dowiedziano. Powziął więc myśl zapewne na modłę Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, osobiście u ludu zaczerpnąć z téj skarbnicy piękna rodzinnego, żeby odszukać w nich „*perły*“, gdy dotąd „*konchy*“, tylko znano. „Chodziłem tedy pomiędzy ludem (powiada o sobie B.) i różnie, i dużo, a owocem téj wę-

drówki były: „*Listy z pielgrzymki po kraju*“, drukowane w Przyjaciela Ludu 1837; jeden z nich traktuje o ważności literatury ludowéj i o klechdach Wójcickiego; dwa inne listy przedrukował Ed. hr. Raczyński we „Wspomnieniach Wielkopolskich“.

Powyższe jego słowa miały być usprawiedliwieniem, że lud znał nie tylko z książek, jak wielu innych współczesnych pisarzy, ale i z życia tegoż ludu, „z różnego i dużego chodzenia około tegoż ludu“.

Mówił jednak pół-prawdy, a raczéj mówił prawdę, oświetlając ją kolorytem nie tym, jaki się barwił w wyobraźni i sercu poety; bo to pewna, że prądy owoczesne, przedewszystkiém, jak do tychczas, tylko z książek wyczytane, wionęły na niego i dały mu podnietę, że umiłowawszy lud najprzód ze względów literackich czy poetycznych, sięgnął późniéj zadaleko do ogniska społecznego, do żywiołów politycznych i wespół z tymi, co byli namiętnymi apologistami ludu, co w nim widzieli zasadniczą podstawę do rdzennego przeobrażenia społeczności, ani się obejrzał, jak z mimowolnego naśladowcy poglądów swego czasu, stał się sam przodownikiem, i to skrajnym przodownikiem uwielbienia ochlokratyzmu. Pierwéj wszakże, nim smutne owoce tych niewczesnych zapędów nastąpić miały, tymczasem widzimy jak najpiękniejsze wyniki tego zapału młodzieńczego. Oto w r. 1840, a zatém w 21 roku życia u Frydlendera we Wrocławiu wychodzą po raz piérwszy z podpisem autora „*Powieści Wielkopolskie.*“

Po przedmiot sięgnął autor w czasy pogańskie, za scenę obrał jezioro Gopło i nimfę jego Bogunkę, opowiadając na przemian wierszem i prozą. Bogunka, rozpoczęta prześlicznym rymowanym prologiem, a zakończona równie pięknym a może piękniejszym epilogiem, już bez zbadania wewnętrznéj treści i zawartości poetycznéj, nawet mniéj wtajemniczonych w arkana literackie czytelników zwróciła uwagę na 21-letniego młodzieńca, jako pisarza wielce obiecujących nadziei.

Pokazało się wkrótce, że ten zapalony wielbiciel ludu, tak chętnie obcujący z wiejską siermięgą, „z prządkami kądzielnemi i staremi gospodyniami w czeladnicy“, zdołał bardzo prędko się zastosować do innego całkiem świata—do salonów, stać się duszą je ożywiającą i zasmakować w obcowaniu nie już „starych gospodyń czeladnicy“, ale uroczych dziewic eleganckiego świata. Ani wiek bowiem jego, ani usposobienie nie było po temu, by był tak jednostronnym szperaczem w ludowych skarbach, jak jego protoplasta—Zoryan Dołęga Chodakowski; owszem, widzimy w nim całe bezgraniczne oddanie się uciechom i powabom wszelkim tego nowego

świata. Oto słowa jednéj z dam, znającéj go blisko z tego czasu, które udzielić nam łaskawie raczyła: „Młody Ryszard, miłych form towarzyskich, wymowny, ujmującéj, zewnętrznéj postaci, smukły, regularnych rysów, ciemny blondyn, z włosami naturalnie wijącemi się, nieco długiemi i odrzuconemi w tył głowy,—sprawiał niezwykle korzystne wrażenie, chętnie był przyjmowany i sam najchętniéj uczęszczał do najwykwintniejszych salonów, jakie miało Poznańskie przed laty czterdziestu kilku. Z natury nader uzdolniony, z wysokiém poczuciem piękna, zdobywał wszystko bez pracy, bez wysiłku i mówił o każdym przedmiocie z łatwością i wdziękiem; jeśli dodamy do tego żywość umysłu, wrodzoną wesołość, dowcip, urodę i ujmującą ogładę towarzyską, to zrozumiemy, dla czego był powszechnie lubianym w pałacykach poznańskich i dla czego lubował w tém życiu, którego nieledwo jedynym celem była zabawa, czy rozrywka."

Wśród tego umajenia młodości, jak Heliogobal na piramidzie fijołków, upajał się wonią młodzieńczego otaczającego świata i rozkoszami młodości swojéj; był też w tém szczęśliwém położeniu, co niegdy Bohdan nasz, kiedy mówił o sobie: „Z kwiatów życia wieniec plotę, piękność, miłość, czucie, wiarę na ogniwo spajam złote.... świat odbija moja dusza, jak zielony brzeg krynica, wszystko pięknie, tkliwie wzrusza, wszystko tkliwe ją zachwyca." I w tym to czasie, oprócz przemijających wpływów sympatyi młodzieńczéj, spotkał osobę, która trwalsze w nim wzbudziła uczucie i wyrazistszemi niż dotąd głoski zapisała się w sercu jego. Była to panna W....ówna, osoba z zamożnego i dość wysoko w hierarchii społecznéj postawionego domu, któréj niby pozyskał wzajemność. Z wiadomości i notatek zebranych przezemnie, nie dość jasno przedstawia się ta postać niewieścia; widzę w nich bowiem same tylko jedynie skrajne ostateczności: podług jednych źródeł rysuje się ona jako osoba gwałtowna i dumna; podług drugich, jako zwyczajna pospolita istotka, nieco chwiejna z natury, nieco oglądająca się na nierówność towarzyskiego, a głównie majątkowego stanowiska. Za pierwszém zdają się przemawiać erotyki poetyczne samego Ryszarda; ale wiedząc dobrze, jak to fantastycznie w pryzmacie wyobraźni poety przekształca się to, co było istotnie w sercu, jak niespokojny, burzliwy, co chwila kameleonowemi, coraz inszemi barwy jaśniejący duch poety, albo hyperbolizuje, albo unicestwia naprzemian wszystko, z czémkolwiek się zetknie,—gotowi jesteśmy uwierzyć, że druga wersya jest prawdziwszą i ona to łatwiéj i prawdziwiéj wyjaśnić może genezę przepysznéj, wykończonéj twórczości erotycznéj poezyi Berwińskiego z tego czasu.

Trzeba bowiem sobie przypomnieć, że dotąd poeta bujał więcéj na wyżynach Helikonu, niż się oparł o jaką trwałą podstawę rzeczywistego świata: studya wrocławskie, a nawet berlińskie przeszły w dorywczych zatrudnieniach, w roztargnieniu światowém i stopnia naukowego nie uzyskał wcale. Ojciec, o którym sam poeta mówi, że był „doświadczony w nieszczęściach i w licznych kłopotach“ zmuszony był sprzedać mienie swoje i wieś opuścić. Około r. 1838 kupił dom w Poznaniu, który 25 lat był w posiadaniu rodziny, ale ten oczywiście na skromne zaledwo potrzeby mógł starczyć; o wielkich zaś wymaganiach, jakich świat mógł żądać, mowy być nie mogło, — więc z pracy osobistéj mógł tylko trwalszą podstawę zapewnić sobie młody Ryszard ; pracą tą miał być zawód filologa, gdyż w szczupłém gronku osób krążące naówczas czasopiśmiennictwo na polu wyłącznie literackiém stałego nie zapewniało zabezpieczenia, pomimo że od r. 1838 był współpracownikiem *Tygodnika Literackiego*, a potém i innych pism, jak np. *Przeglądu naukowego*, pod redakcyą Skimborowicza wychodzącego w Warszawie.

Z tych oto względów na tym bujnym kwiecie osiada piérwszy robak, który stopniowo miał stoczyć ten piękny dar natury. Tymczasem wprawdzie przyniosły te zawody miłosne dodatnie strony, bo uzupełniły objawy erotyk zawartych w I-m tomie jego poezyi, oraz niektórych innych, rozrzuconych po pismach peryodycznych, które do zbiorku nie weszły. Ale niedługo potém przybyły i inne zawody.

Natura to była, jakeśmy poniekąd już widzieli, wielce wrażliwa, łatwo zapalna, w lot obejmująca przedmiot, — w chwili, bez głębszego namysłu (bo na to nie zawsze starczyło czasu), zdolna do szalonéj odwagi, rzucająca się na oślep przed siebie, a przynajmniéj z całą werwą głosząca zasady, za które sama wiedzieć mogła, że ofiary, cierpienie wślad za niemi iść mogą. Piękna to była strona duszy, ale to jedna strona tylko : bo bez wytrwałości, bez rozwagi, daleko zajść nie można, a niekiedy zajść można tam, gdzie się i nie myślało. W roznamiętnieniu, niby w obłokach dymu zasłaniających oczy, prawdy dojrzeć nie można, nie można wynaleść owéj błogiéj, pewnéj ścieżki żywota, po któréj w słowach i czynach kierować się należy; a tém bardziéj jeśli w samym ustroju moralnym leżała pewna wadliwość, która nieustannie naprzód występowała, gdy się nie umiało szczeblować powoli, stopniowo dochodzić do celu. Ten tedy brak nie tyle napiętości, co ciągłości energii woli sprawiał, że w chwili przeciwieństw, albo się bezcelowo rwało do harców, do walk bezowocnych, do ciskania ludziom w oczy całego rynsztunku niezawsze rycerskiego ironii, satyry, potępień, czy przekleństw,—

albo téż w końcu ręce w niemocy opadały, duch omdlewał w goryczy i rosterce z sobą samym.

Dopóki tedy sama jedynie lotność wyobraźni i chyżość umysłu starczyć mogła; dopóki młodość wszystkiemi porami jestestwa swego umilała życie sobie i otaczającym; dopóki żywsze uczucie młodzieńcze tęczowemi barwami miłości lekkiéj a żywéj, nęcącéj świeżością swoją, grało w duszy: dopóty wszystko było bardzo pięknie. Zupełnie co innego widzimy, jak skoro ominiemy owo stadyum, gdzie to „z kwiatów życia“ dość było wieniec uplatać, gdy zamiast przejrzewającego już kwiatu „owocu“ szukać należało.... Tu z całą grozą stanąć mogła przed oczyma naga rzeczywistość, że się niedość uprawiło i umierzwiło owę rolę, z któréj dobry owoc urosnąć może jedynie,—że się ziarno żywota rzucało na wiatr i wiatr je roznosił, więc zamiast owocu plewy urosnąć mogły. Nasz Ryszard był filozofem i filologiem, studyował nauki w ich ognisku, bo nie mówiąc o Wrocławiu, w Berlinie, gdzie tradycya pierwszorzędnéj gwiazdy myśli XIX w., Hegla, rozwijała się w całéj pełni.

Pominąwszy tedy lingwistykę, od któréj wiele wymagać nie było można, gdy ona nie stała się jeszcze nauką ścisłą, jak dziś ją widzimy; ale ta sama filozofia, poważniéj pojmowana, wymagała wielkiego trudu, stopniowego przygotowania, żeby istotną korzyść przynieść mogła; — ale do tego wszystkiego potrzeba było wytrwałości, któréj na zawołanie nie było. Oprócz myślicieli niemieckich wynurzali się już z próżni dotychczasowéj i nasi; a choć może wszyscy oni, w bliższém lub dalszém okoleniu byli uczniami pierwszorzędnych myślicieli niemieckich, niemniéj przeto już każdy z trzech naszych wydatniejszych filozofów, dość wyraźnie zaznaczał szlaki swojego indywidualnego myślenia. Najoryginalniejszy z nich Trentowski barwném słowem powoływał we wszystkich swych pismach do samodzielności w myśleniu, czuciu i działaniu; Cieszkowski zajmował się rozwikłaniem labiryntu dziejowego, w którym bezświadomie zanurzał się umysł naszego Ryszarda, a Libelt, niezależnie od pracowicie budowanych systematów filozoficznych, wskazywał praktyczność, żywotność wielkich prawd, które tak żywo poruszały owoczesne społeczeństwa (Wychowanie ludów, Odwaga cywilna, Miłość ojczyzny i t. d.). A lubo dzisiaj nie wszyscy może podzielą zdanie głoszone przez bardzo poważnych myślicieli, że „filozofia, studyowana z całą sumiennością, daje całemu życiu charakter i moc do zwalczenia przygód i nieszczęść życia, ma więc oprócz teoretycznego cel praktyczny, bo wychowuje ludzi z charakterem, z konsekwencyą w życiu i czynach, w piśmie i obcowaniu“ (*Historya filozofii w zarysie* p. Schweglera. Warszawa, 1863, str. 477), gdyż na wy-

robienie charakteru, któryby mógł być dobrym przewodnikiem i nieomylną wskazówką we wszystkich przeciwieństwach losu, czegoś jeszcze więcéj oprócz nauki filozofii potrzeba; to jednak nie ulega chyba zaprzeczeniu, że rozjaśniony w tym kierunku pracą systematyczną umysł, w wielu razach łatwiéj w trudnych życia warunkach radzić sobie potrafi, niż człowiek nieumiejący zapanować nad sobą i żyjący pod naciskiem przemijających wrażeń i wpływów otaczających. A właśnie tę ostatnią uwagę trzeba mieć na względzie, bo naszemu Ryszardowi, przy panującéj wrażliwości, losy kazały żyć w takich czasach, kiedy to istne bałwochwalstwo poezyi zapanowało u ogółu, kiedy imię poety jakąś dziwną okolone było aureolą,—kiedy wskrzeszano nawet stare błędy starożytnego świata i na wszystkie możliwe motywa i tempa parafrazowano myśl, że *„poëtae nascuntur“*, że nie potrzeba wielkiéj pracy poecie, bo geniusz sam sobie poradzi, a nawet w chwili natchnienia, nie tylko dobrym będzie doradcą dla siebie, ale swoim współrodakom będzie owym biblijnym słupem ognistym, który do ziemi obiecanéj zawiedzie swoję społeczność. Oprócz tego błędu wyłącznie naszego, wypływającego może głównie z fałszywego poglądu na stanowisko naszego mistrza poezyi i znanéj jego plejady,—były jeszcze i inne prądy, zewnętrzne, wypływające ze stanowiska umysłów utopistów lub marzycieli politycznych Europy zachodniéj, które silniéj i dotkliwiéj odczuć umiał nasz wrażliwy zapaleniec.

Demokratyczne jego pojęcia, nieumiarkowane niczém, ani spokojną radą dziejów, ani opatrzeniem się na warunki otaczające, przybierają kształty tak wybujałe, jak tylko rozgorączkowana wyobraźnia poety przybrać ją może. Lud i praca dla ludu staje się jego serca, myśli, ducha całego jedyném hasłem; ale jakiemi drogami dojść może do uszczęśliwienia tego ludu; jakie istotne są potrzeby ludu w danéj chwili, a do jakich trzeba dążyć w przyszłości: o tém nie zdawał sobie sprawy, nie tylko jako mąż stanu, ale nawet jako rozważny obywatel kraju.

I może nic dziwnego! bo przedewszystkiém i jedynie był on *poetą*, i to poetą w czynie więcéj niż w słowie. Wprawdzie nie można tego powiedzieć, by wśród zamętu owoczesnych zdań, bałwochwalstwo poezyi głoszących, nie było głosów ostrzegających, których by usłuchać mógł człowiek dobréj woli; ale się głosów takich słuchać nie chciało, bo się słuchało miłych podszeptów politycznych czy socyalnych. Do takich głosów należało naprzykład odezwanie się starszego, zasłużeńszego po lirze człowieka, Seweryna Goszczyńskiego, który w ten sposób określał „stanowisko poetów społeczności“:

„Są muzycy języka — mówi on — są i malarze języka, ale to nie są poeci; powstają sztukmistrze dla sztuki, ale to poeci najjałowsi; występują poeci zmysłów, namiętności cielesnych, ale ich natchnienia są natchnieniami zwierzęcemi ze krwi; znajdują się inne podobne rodzaje, mniéj więcéj płaskie, bezpłodne, szkodliwe; ale ci są fałszywi poeci: jedni tylko są prawdziwi, t. j. poeci ducha, poświęceni natchnieniami świata duchowego i służący tylko sprawie najwyższéj prawdy i piękności.“.... „Poeta powinien być człowiekiem duchowym, to jest szczerze, głęboko i wysoko religijnym, w duchu religii objawionéj, po za którą niema ani prawdy, ani prawdziwéj piękności.“

Nadto ta spiżowa postać najpiękniejszych dni epoki romantyzmu, wymaga od poety czynów prawdziwie społecznych, ale i te po swojemu tak wypowiada:

„Tak, bracie-poeto! nie w salonach zepsutych bogaczów, nie w tłumie rozpustników bez serc i myśli, nie w hałasie bezrządnego życia, nie wśród zbytków jadła i napoju, nie w troskach krzątania się około spraw prywatnych, nie w zamęcie uczuć sprzecznych, nienawistnych a przechodzących bez śladu, znajdziesz prawdziwe natchnienie; ale *duchem podniesionym przez pokorę* aż do bóstwa, zejdź do społeczeństwa, w głąb jego życia, gdzie najdotkliwsza nędza, gdzie świat najniewdzięczniejszy, gdzie przemoc najsilniejsza, gdzie najskrytsze przed światem cierpienie, gdzie człowiek najsłabszy najszczerzéj tęskni za przyszłém życiem: „tam spuść się.“ I tam w tym charakterze bądź „*człowiekiem czynu.*“

Ale właśnie tego „ducha podniesionego przez pokorę“ ani czuł, ani rozumiéć nie mógł nasz entuzyasta i w szalonym rozpędzie młodzieńczéj werwy leciał ku tym wirom wypadków dziejowych, które całkiem go miały zetrzéć i pochłonąć. Zupełne zanegowanie nie tylko tradycyi religijnéj ale i wszelkich dawniejszych warunków ustroju społecznego, użycie środków radykalnych, za których pomocą dojść można do tego celu: oto był jego owoczesny ideał. Rozpocząwszy od wiersza w I-m tomie zawartego p. t. *Ostatni Romeo*, w którym poraz pierwszy wygłosił złowróżbne dla siebie słowo: „ludzkość się budzi“, zawarł następnie całą poetyczną gamę tych radykalnych ideałów, w ustępach pod tytułem: *Powitanie, Pogrobowiec, W Częstochowie, Ubogim w duchu, Bohaterom dni naszych* i t. d., — a wreszcie *Marsz w przyszłość*, który był ostatniém jego krwawém słowem przed rozpoczęciem spodziewanych krwawszych jeszcze czynów, na co wszystko złożyło się w mniejszéj tylko części indywidualne usposobienie samego B-go, a w znacznéj części ogólny owoczesny nastrój społeczny i polityczny Europy.

Trzeba pamiętać, że w duszy poety łatwo się odbijało owo otoczenie, śród którego żyć mu wypadło. Poznańskie zaś w owym czasie nieco gorączkowém już wrzało życiem: „Orędownik“ i „Tygodnik literacki“ przedstawiały dwa główne stronnictwa: konserwatywno-katolickie i postępowe. Berwiński należał oczywiście do ostatniego, nie tylko dla tego, że od roku 1838 zamieszczał tam gorętsze swoje utwory poetyczne; ale pomny na swoje słowa wypo-

wiedziane o „Myślach szalonego“, trzymał się ich w życiu: „rzuciłem książki (powiada tam poeta) i wszedłem w świat żywych.“

Ruchliwe jednak i energiczne stronnictwo to nie było liczne i każda taka jednostka postępowa była znana, sympatycznie witana i wysoce ceniona, gdy większość biernie się zachowywała, wegetując w staroświeckich przesądach i drzémce duchowéj. Uwaga ta Wład. Wężyka, ogłoszona w „Roku“ 1843 najdokładniéj obraz umysłów owoczesnych maluje; a powiada on tam wprost, że było po kilkanaście osób przodujących, czynnych w jedném i drugiém stronnictwie, reszta tłum bezwiedny, co nie wiedział, czego chciał i żył dawnemi grzechami polskiemi, w modną tylko szatę przebranemi. Otóż rozruszać ten tłum, czyli, jak sam powiada, „wprowadzić w świat żywych“, stało się nateraz jego zadaniem.

Do ludzi przodujących należał głównie d-r Karol Marcinkowski, twórca „Towarzystwa dla rzemieślników“, a przedewszystkiém sławnego „Towarzystwa pomocy naukowéj“ dla młodzieży, na które księstwo Poznańskie 12,000 złp. składki rocznéj płacić miało. Towarzystwo to, jak wiadomo, istniejące do dni naszych, tyle zbawiennych dla kraju przyniosło owoców, że właśnie dziś samo to już istnienie dostatecznie świadczy o wielkości ducha człowieka, co tak trwałe podwaliny społeczne wznosić umiał! W czasie jednak, o którym mówimy, d-r M. miał wiele do zwalczenia trudności, by myśli swoje na szerszą skalę wprowadzić w życie, potrzebował nawet uzbroić się całym zasobem wielkiéj odwagi cywilnéj, by pokonać zbyt wybujałe zachcenia postępowców, wszystkich tych, co „weszli w świat żywych“, którzy w nim widzieli przeszkodę do urzeczywistnienia swoich marzeń. Marcinkowski bowiem, rozumnie a oględnie do rzeczy się biorący, a znać doskonale widzący nie tylko co do koła niego się działo, ale i sięgający myślą w odleglejszą przyszłość, chciał tylko powolnego postępu: rozszerzenia oświaty, przemysłu, dobrobytu materyalnego, a dopiéro po ich zaspokojeniu myśléć o innych potrzebach duchowych. Ale taka właśnie powolna, na wiele lat obliczona robota, niecierpliwiła postępowców. Obok niego postawilibyśmy hr. Cieszkowskiego, który jeśliby nic więcéj nie zrobił, jak projekt założenia na wielką skalę Towarzystwa oświaty i literatury pod tyt. „*O skojarzeniu dążeń i prac umysłowych w W. Księstwie Poznańskiém*“, to już za ten jeden pomysł (jak wiadomo po pewnym przeciągu czasu urzeczywistniony, ale w znacznie zmniejszonym zakresie działań, w tak zwaném „Tow. Przyj. Nauk“) niezaprzeczenie zasługuje na to, by go obok Marcinkowskiego postawić: jeden miał wytężone oko na potrzeby materyalne, drugi na potrzeby umysłowe kraju, zarysowując olbrzymie koło dla

działań tego stowarzyszenia, w którego zakres wchodziłyby nie tylko zwykłe prace akademickie, ale i wyznaczania konkursów, otwieranie rozmaitych doraźnych w miarę możności i potrzeby wykładów naukowych i popularnych po rozmaitych miastach, czy to pojedynczéj gałęzi wiedzy, czy całéj dziedziny pewnéj umiejętności, i wogóle zajęcie się rzeczami, styczność z nauką mającemi, które dla osób poszczególnych były zatrudne. Ale najżywotniejszém tętném tego organizmu naukowego miało być pismo, co kwartał wychodzące, któregoby zadaniem było skupiać w jedném ognisku wszystkie pojedyńcze ogniwa działań po całéj prowincyi rozrzuconych. Pomysł to doprawdy piękny i dzisiaj jeszcze nic z barwy świeżości swojéj nie stracił, bo i dziś, jak przed 40 laty, byłby pożądany, pomimo że gdzieindziéj mamy Akademią umiejętności i pomimo że w tym okresie czasu zjawił się w Europie i u nas nieznany dotąd czynnik oświaty, zwany kongresami naukowemi. „Towarzystwa przyjaciół postępu“ nie tylko nie przeczyłoby działaniom kongresów, ale owszem dzielniejszym byłoby motorem.

Otóż tych i innych podobnego temperamentu ludzi, do których bezwątpienia zaliczyć należy i Edw. hr. Raczyńskiego, działających rozważnie a oględnie, nie słuchało stronnictwo ruchliwsze, pragnące doraźnego, radykalnego postępu i przeobrażenia. Stronnictwo to, którego działalność Marcinkowski uważał za największą klęskę, po znanych smutnych wypadkach nagłego skonu Edw. hr. Raczyńskiego (20 stycznia 1845) i przy dłuższéj chorobie Marcinkowskiego, dało możność wziąć górę ludziom skrajnym (takim np. jak Edward Dębowski); stąd téż niebezpieczne prądy wrzeć poczęły na całéj linii postępowego obozu.

Z tych słów widzimy, że wypadki owoczesne nie były tego rodzaju, żeby uśmierzyć zdołały rozgorączkowane serce i wyobraźnią poety; owszem, przyśpieszały raczéj nieprzewidywane, ale jak dziś widzimy, wskutek nieubłaganéj logiki dziejowéj, konieczne skutki tych wybujałych pragnień i krwawych ideałów, których nieoględnym był zwolennikiem. Zbliżał się bowiem czas, któryby Zygmunt takim odmalował obrazem:

„Ach! mętne krwią i łzami płyną życia fale,
„I na nurtach potoku słychać wieczne żale!
„Z tyłu leżą przeszłości mgłą obwiane tonie,
„Z przodu niebo zamglone, krwawą łuną płonie;
„A wokoło pływaczów tak zimno i ciemno,
„Że każdy płynąc woła: „przekleństwo nademną!“

Do tych to „mętnych krwią i łzami“ wypadków mimowiednie zbliżał się nasz poeta; w końcu 1845 udał się Berwiński z młodym

obywatelem z Poznańskiego, Aleksandrem Brudzewskim, do Krakowa, a ztamtąd daléj do Galicyi, gdzie w okolicy Tarnowa przyaresztowano ich w gościnie bawiących na wsi i osadzono następnie w Wiśniczu. Było to w dniach lutowych, w przeddzień znanych wypadków 1846 roku. Całoroczne medytacye w Wiśniczu dawały sposobną chwilę do ostudzenia tego czadu odurzenia politycznego czy społecznego, a zarazem literackiego; tém bardziéj, że póżniéj w czasie również niedobrowolnego pobytu w Moabicie (w Berlinie) miał możność przy lepszych nieco warunkach, spokojniejszego i dojrzalszego rozważania losów ludu i jego stanowiska w naszém społeczeństwie. Wprawdzie sam autor, rozważając te bolesne doświadczenia w 7 czy w 8 lat póżniéj, mówi o nich spokojnie, jako o faktach, które minęły bezpowrotnie, jednocześnie z doświadczeniem w tak wyjątkowy sposób nabytem; ale B. stosuje myśli swe do poglądów literackich tylko, zapominając o innych, których one były wynikiem i których w dalszych kolejach swego życia stać się miał ofiarą.

Oto, co sam pisze w téj materyi: „W tym czasie (1846), znalazłem się w Galicyi w takiém położeniu, że przez rok przeszło cały mając sposobność naocznego przyglądania się wszystkim fatalnym przerachowanego kałkułu ludowych teoretyków skutkom, miałem zarazem i dość czasu w samotności do długich rozmyślań i do gruntownych dochodzeń grubéj w rachunku pomyłki. Odkryłem ją nareszcie.“ (*Studia*, str. XV). Omyłka ta leżała podług B., w fałszywém pojmowaniu prawa kształcenia się wyobraźni ludu oraz etycznego stosunku ludu do innych warstw społeczeństwa „Wynalezienie w tym względzie prawdy“ stało slę naówczas jego zadaniem, któremu „mnogie godziny samotnych rozmyślań“ poświęcał; dodaje wszakże, że „trudno było pozbawioném nietylko wszelkich ze światem stosunków, ale nawet papieru i książek“ rozwiązać te zagadnienia; mówi daléj, że myśli jego wówczas innym już popłynęły korytem, niż dotychczas powszechnie o ludzie rozumiano. Jak skoro nowa zaszła w położeniu jego zmiana, nastręczyła się sposobność do „dalszego rozwijania spostrzeżeń i do wypróbowania ich prawdziwości najwięcéj praktycznego.“ „Los mnie przeniósł w r. 1847 do Berlina, gdzie obok téj saméj, co w Galicyi, do samotnych rozmyślań najwłaściwszéj pory i obok dogodnego wczasu do pracy, miałem nadto jeszcze na swoje zawołanie i wszystkie bogate téj stolicy biblioteki i zażądane książki z kraju.“

Że B. zanadto teoretyzował stanowisko swoje, że dość wytężona wistocie praca nad literaturą ludową nie była ostatecznym celem jego ówczesnych pragnień w czasie pobytu w Moabicie, mamy

na to najlepszy dowód, że zaledwie rok niespełna upłynął od czasu powrotu w strony rodzinne—a już znowu „wszedł w świat żywych“. Wypadki bowiem marcowe 1848 przywróciły wolność wszystkim więźniom politycznym, a ogólna amnestya, ogłoszona w Królestwie Pruskiém, zamknęła akta dawnego procesu. Stosunki, jakie następnie się wywiązały w Księstwie Poznańskiém, wywołały potrzebę komitetu, czuwającego nad sprawami publicznemi; Berwiński wszedł do jego składu i należał do liczby najczynniejszych członków.

Wogólności była to, jak wiadomo, chwila powszechnych wstrząśnień, chwila szczepowego grupowania się ludów. Myśl ta, zrodzona gdzieindziéj, rozpowszechniła się wkrótce i na ziemiach Słowiańskich.

Podnietą do jéj ożywienia były nietylko niesympatyczne rządy cesarsko - apostolskie Austryi, ale i zachcianki liberalnych niby Niemców, we Frankfurcie zgromadzonych, do systematycznego tępienia Słowian. Nie wchodząc w inne dziejowe szczegóły, które nateraz do nas nie należą, powiedzmy tylko, że zacnemu Jędrzejowi Moraczewskiemu, zpośród Polaków, należy myśl zgromadzenia w Pradze wszystkich Słowian, pod panowaniem austryackiém zostających, a to w celu zbliżenia się i obmyślenia środków wspólnéj obrony. Skoro za staraniem Fr. Palackiego nastąpiła sankcya cesarska, zebrał się poraz pierwszy w dziejach naszego plemienia, wiec słowiański dnia 31 maja 1848 r. w Pradze. Były tam reprezentowane wszystkie narodowości, a Polaków znalazła się pokaźna ilość, bo blisko stu osób, śród których więcéj znani byli: Jerzy ks. Lubomirski, L. Siemieński, Jan Dobrzański, Juliusz Kossak, Zygmunt Sawczyński z Galicyi, J. Moraczewski, K. Libelt, L. Łukaszewicz, z Księstwa; Edm. Chojecki, Ksawery hr. Branicki z Ukrainy itd.;—otóż śród nich był i Berwiński.

Wiec ten, podzielony na trzy grupy: Czeską (Czesi, Morawianie, Słowacy), Polską (Polacy, Rusini, Szlązacy) i południowo-słowiańską (Serbowie, Dalmatyńcy, Słowieńcy, Chorwaci), obradował pod laską Palackiego, którego wice-prezesami byli: książę Lubomirski i Stanko Wraz, Chorwat. Przedyskutowali oni wszystkie ważniejsze kwestye nie bez pewnych sporów i roznamiętnień narodowościowych, czego oczywiście spodziewać się należało, w obec tylu różnorodnych interesów poraz piérwszy do jakiejś jednoty, a przynajmniéj harmonii skierować się mających. A pośród wszystkich tych rozpraw, zrodzona myśl założenia akademii słowiańskiéj, jako wspólnego ogniska, do bliższego zcentralizowania pod względem społecznym i naukowym interesów, pomysłów i ideałów wszystkich Słowian, jakkolwiek do skutku nie przyszła i w niedalekiéj przy-

szłości nawet spodziewać się jéj nie można; to jednak sama myśl ta pozostanie pięknem świadectwem wysokiéj już kultury młodego plemienia naszego, które chce dorównać innym prastarym szczepom i dostroić się do tego kamertonu ideałów społecznych, jakie drogą wielowiekowéj cywilizacyi w nich się wyrobiły.

O udziale Berwińskiego w tych pracach niewiele mamy do powiedzenia: zbyt to były, że tak powiem, akademickie, teoretyczne roboty, żeby go silniéj poruszać mogły. Natomiast czynnym był w owym komitecie, z pośród członków wiecu wybranym, a obradującym w celu zredagowania odezwy, czyli po staropolsku mówiąc, orędzia, tj. niby listu rekomendacyjnego do starszych społeczeństw w Europie od młodego szczepu naszego. Głównymi redaktorami komitetu, jak wiadomo, byli: Palacki i Libelt, ale było dużo współdziałaczów od poszczególnych narodów; od nas tedy byli Siemieński, Jan Dobrzański i Berwiński (1). Czynność tam jego była tak drobna wobec tylu powag, że zaledwo tu warto o niéj wspominać; a jeżeli o niéj nadmieniam, to dla tego jedynie, żeby zanotować, iż umysł jego raz zwrócony w kierunku energicznych działań społecznych, nie spoczął nawet tam, gdzie mu się arcy podrzędne dostawały role. Jeżeli zaś imię naszego poety nabrało pewnego rozgłosu, to wcale nie z powodu tych obrad, w imię których wiec był zgromadzony, ale z okoliczności całkiem postronnych; a mianowicie z powodu rozpraw średniowieczno-rycerskich dwu naszych rodaków B. i Ch.,—w których czynnym był pośrednikiem.

W takich oto warunkach, śród owego ożywienia ruchliwszego stronnictwa w Księstwie, które się coraz bardziéj demokratyzowało i roznamiętniało, ubiegały Berwińskiemu dalsze chwile życia. A lubo to życie zawsze jeszcze było, że tak powiem, bezprogramowe, bez zdawania sobie sprawy, dokąd dąży i na czém ostatecznie się zatrzyma,—zawsze jeszcze bez jakiejś stalszéj podstawy w społeczności, bo tylko jako poeta i postępowy polityk, nie zaregestrowany dotąd w swojéj społeczności żadném stanowiskiem socyalném, żadnym urzędem czy inném zatrudnieniem, to jednak, niezaprzeczenie, był on jednostką tego społeczeństwa już powszechnie znaną, a nawet wydatną.

Żeby to stanowisko jego zrozumiéć, trzeba go koniecznie stawić na tle tego czasu i tych ludzi, z którymi obcował: jakaś nieokreślona płochość młodzieńcza, wielki zapał i wielka miłość rzeczy

(1) Zresztą o szczegółach zjazdu patrz: „*Zprawa o sjezdu Slowanském* (Wyimek z Časopisu českeho Museum). V Praze 1848".

świętych i szlachetnych,—rozpęd szalony ku urzeczywistnieniu tych celów, bez obliczenia sił swoich, bez przypuszczenia nawet jakichbądź przeszkód, na drodze do tego celu znaleść się mogących: oto stanowisko postępowców owoczesnych. Takim też był i Berwiński—młodzieniec w całém, szerokiém znaczeniu tego słowa, pomimo swoich trzydziestu lat życia! tak, że mimowolnie do niego zastosować należy słowa Bohdana: „Ach! i cóż to jest młodzieniec? Istność wietrzna, lekka, płocha. Jutro rzuci, co dziś kocha, dzikich marzeń potępieniec." Nasz młodzieniec nie rzucił wprawdzie wszystkiego tego, co kochał dawniéj: mamy dowody w szeregu listów do rodziny pisanych, w których nietylko teraz, ale i późniéj, na obczyźnie będąc i prawie nie mając już nadziei powrotu do kraju, dopytywał się o pannę W.....ówną, a zacny brat Teofil nie zawsze pocieszyć go zdołał. (Tak np. w jednym z listów, 1857 r., pisze Teofil, że W....ówna bawiła w Dreźnie, potém kilkakrotnie przyjeżdżała do Poznania, ale do matki naszego poety nie wstąpiła nawet wcale... serdeczny więc brat, w swojém i matki imieniu, zdobywa się na jakąś pociechę, po udzieleniu téj smutnéj wiadomości). Ale jeśli nie w tém, co kochał, to za to B. był prawdziwym młodzieńcem w poglądach na potrzeby działań współczesnych i istnym „potępieńcem dzikich marzeń."

Miał tylko krótką chwilę w życiu swojém, w któréj się otrząsnął z téj bezcelowości życia, z tego marzycielstwa bezpłodnego, i z energią sobie właściwą wziął się do pracy. Było to w r. 1849, kiedy losy zetknęły go bliżéj z Karolem Libeltem i kiedy wspólnie z nim zaczął, jako publicysta stale pracować w „*Dzienniku polskim*" wychodzącym w Poznaniu w ciągu osiemnastu miesięcy. Jestto, bez wątpienia, najczynniejszy i najwdzięczniejszy okres w jego życiu. Wiadomo, jakie naówczas stanowisko zajął w kraju Libelt: jak prędko i olbrzymio wzrosła ta posągowa postać! jak nauka, talent pisarski, wrodzona bystrość, umysł wielostronny a głęboki łączył się w nim w szczęśliwéj harmonii, z prostotą a serdecznością. Każde jego słowo na wagę złota cenić należało: postępowy, ale bez uprzedzeń, miłujący bezgranicznie kraj swój i dla szczęścia jego pracować umiejący, składający co chwila, co numer pisma, dowody „odwagi cywilnéj", już nie teoretycznie, ale w czynie, w życiu,—Libelt był ideałem publicysty polskiego. „Dziennik polski" był wyrazem tych opinii społecznych, narodowych i politycznych, jakie naówczas panowały w Księstwie, ale tylko wyrazem wolnym od skrajnego roznamiętnienia, od przypadkowych naleciałości, uszlachetnionym wyrazem, a co większa: doskonale świadomym siebie, dróg i celów swoich. Za godło tego pisma posłużyć by mogły słowa same-

goż redaktora w jednym ze środkowych numerów (N. 124) w kształcie takiéj rewersyi wypowiedziane: „naród nie dla tego się krwawi, aby żył; ale dla tego żyje, że krwawi się“. Jakkolwiek przeto krótki był okres istnienia tego pisma, ale tak donośny, że względnie do celów, jakie to pismo sobie zakreśliło, niezawodnie zaliczyć je potrzeba do najznakomitszych pism u nas istniejących. I jeżeli będzie kiedykolwiek pisał kto dzieje oświaty naszéj owych czasów, to zapewne nie pominie owego głośnego naówczas powodu, dla którego pismo to w pełni sił swoich istniéć przestało: oto ni mniéj—ni więcéj dla tego, że urząd pocztowy oświadczył, iż z powodów wielkiego *ciężaru* numerów „Dziennika“ od dnia takiego a takiego rozsyłać na prowincyą daléj nie będzie... Ten sam już fakt mówi przekonywająco o znaczeniu i żywotności pisma. Zresztą mamy dowody w saméj zawartości „Dziennika“, takie artykuły, jak kilka wstępnych przy rozpoczęciu pisma, jak „Dziennikarstwo południowych Słowian“, „Język polski na sejmie berlińskim“, takie jak „Samolubstwo wyrozumowane“, a zwłaszcza, jak artykuł, zatytułowany: „Czy wolność druku może być nieograniczona“, w każdém, nawet najgłośniejszém piśmie europejskiém byłyby brylantami.

Nic przeto dziwnego, że pod tak światłém i obywatelskiém przewodnictwem i zdolności B-go urosły i dojrzały: tutaj on wyrobił styl prawdziwego publicysty—lekki, potoczysty a jędrny i poprawny, tutaj czytamy jego pióra niektóre artykuły, mające nieco trwalsze znaczenie niż zwykłe dziennikarskie roboty, jak np. Polska i Węgry (N. 7 i 8), piśmiennictwo ludowe (N. 67). Myśli o naszéj przyszłości (N. 150) i inne. A jeżeli śród żmudnych robót gazeciarskich spotykamy tam wiele rzeczy pospolitych, to i te drobiazgi bieżące opromienić umiał kolorytem żywym i zawsze w sympatyczny dla ogółu sposób przemawiać potrafił. Jak np. w N. 12 w ustępie „Wieszczenia, które mi Bóg dał w r. 1847“, gdzie mówi o chwili obecnéj niby mało przyjaznéj dla poezyi, nadmienia, że dopiéro gdy „gromy bojowe przehuczą, zabrzmi harfa Eola, bo i Homer śpiewał po wojnie trojańskiéj, i Wirgili po tryumwiracie, Chateaubriand po rewolucyi: Byron po upadku Napoleona“ Wieszczenia więc te niebyły żadném proroctwem, ale szeregiem dowodzeń rozmaitych objawów poezyi,—forma wszakże i tego drobiazgu tak udatna, że go po upływie od owego czasu 37 lat, z wielkiém zajęciem odczytałem. Słowem, praca jego w „Dzienniku“ jest i wyraźnie określona i talentem nacechowana. Szkoda tylko, że tak była krótka, bo oto w niedługim czasie okoliczności powołać go miały na inne stanowisko.

Współpracownictwo Berwińskiego w „Dzienniku polskim“, jakkolwiek nie długie, dało mu jednak dawno pożądane stanowisko—

publicysty. Dziecko szczęścia, któremu oprócz zawiedzionéj miłości, szło dotąd jak najskładniéj w życiu, gdy dawne urazy za wybuchy poetyczne poszły w zapomnienie: miał wielu przyjaciół, lubiany był i pożądany w kołach towarzyskich. Możnaby nawet powiedzieć, że otaczająca go społeczność zbyt go faworyzowała, bo bądź-co-bądź, przy całéj swojéj umiejętności wzięcia się światowego, przy pewném wyrobieniu politycznéni, nie miał on wyższéj podstawy w życiu, któraby mu dawała prawo do zasłużonego przodownictwa w swoim kraju: widzieliśmy jego naukę, dorywczą i nieuzupełnioną, a późniejsze wyłączne oddanie się bądź specyalnym studyom ludowym,—bądź publicystyce, obok podtrzymywania stosunków światowych nie pozwoliły mu tych luk uzupełnić. A jednak wielu z otaczających go ludzi braków tych niedostrzegało wcale, i nasz Ryszard, jak się zdaje, nieco przeceniać siebie począł i spoglądał na otaczający go świat z wyniosłości kapłaństwa polityczno-socyalnego, do którego wszakże odpowiedniego chryzmatu nie miał. Przesadną i nieusprawiedliwioną była zwłaszcza ta jego satyryczność względnie do téj właśnie klasy ludzi, śród któréj najchętniéj przebywał, (a z niektórymi z nich jak np. z Rogierem Raczyńskim serdeczna łączyła go przyjaźń).

Kiedy jeszcze przed dziesięciu, czy przed ośmiu laty pisał namiętne swoje inwektywy na arystokracyą narodową, kiedy mówił:

„Znam was! o! znam was! Was dawnych i świetnych
Synów przeszłości po ojcach bezdzietnych!
Znam was i gardzę!“ i t. d.

to słowa te usprawiedliwiały się poniekąd patosem poetycznym, ekstazyowaniem niejako dozwolonéin, jako mimorzutny objaw wyższego liryzmu, oczywiście na tle panujących teoryi demokratycznych uhaftowany. Ale i z późniejszego nieco okresu, kiedy już tyle doświadczenia przybyć było powinno, takie słowa w notatkach jego czytamy:

„Ojcowie moi tak wspaniale żyli,
Taki wystawny sławny żywot wiedli:
Że czego dzisiaj nie zjedli, nie przepili,
To pewno jutro przepili i zjedli“.

Ten już na zimno ukuty sarkazm, do ogółu przecież stosować się nie mogący (gdy oto dziś jeszcze Poznańskie ma tyle i nie przepitych i nie przejedzonych majątków i taką siłą ducha, że przy tak trudnych warunkach walczy jednak dość pomyślnie), był raczéj dowodem anormalności i poglądu autora na otaczający go świat i zarazem anormalności stanowiska jego w tym świecie.

Usposobienie owoczesne, rozekscytowane pragnieniami daleko sięgającemi, a może zwykła nasza słabość ustępowania przed silniej-

szym prądem, spowodowały, że ta wybujałość B-go i przecenianie zasług swoich, nietylko nie raziło, ale owszem znać jednało mu tylko szérsze koło stronników, skoro w r. 1852 dostąpił zaszczytu—posłowania na sejmie w Berlinie. Stanowisko to, jako posła na sejmie w stolicy, stanowi kulminacyjny punkt powodzenia jego w życiu; odtąd już się zaczyna upadek, albo raczéj coraz mniéj trafne postępowanie, coraz mniéj umiejętne radzenie sobie w ten sposób, żeby nie być w dysharmonii z opinią publiczną.

Nic wprawdzie w postępowaniu jego nie zaszło takiego, coby bezwarunkowo potępienia było godném, nic takiego, czegobyśmy i dawniéj w nim nie widzieli: jak pierwéj, tak i wówczas, nie zawsze sobie krytycznie zdając sprawę ze słów i czynów swoich, szedł za piérwszym popędem uczucia czy wrażenia i śmiało wypowiadał swe zdanie, łącząc się z opinią nawet mniejszości, mało w tym razie dbając, albo i wcale nie dbając o popularność. Ale właśnie dla tego, że scenaryusz życia się zmienił, stąd ta lekkość czy lekkomyślność, i za nią idące błędy, w poważném otoczeniu sejmowém wydały się dla wielu zbyt rażącemi, tak dalece, że poecie naszemu, przy braku wytrwałości, przy szybkiém zrażaniu się piérwszém niepowodzeniem, te kwasy pewnych stronnictw politycznych stały się nie do zniesienia: i ustąpił z areny politycznéj.

Zawiedziony niby na ludziach, a właściwie narzekać mający prawo tylko na siebie, gdy na męża stanu wcale stworzonym nie był, poeta nasz za powrotem do domu, gorliwie i wyłącznie się poświęcił pracy naukowéj, a owocem jéj były „*Studya o literaturze ludowéj ze stanowiska historycznéj i naukowéj krytyki*" (Tomów 2) wydane w Poznaniu 1854 r. Pod niefortunną gwiazdą zrodziło się to pismo jego: rozpoczął je wtenczas, kiedy doświadczył piérwszych zawodów zapałów młodzieńczych, tj. obmyślał je w Wiśniczu, a pierwsze opracowanie robił w Moabicie; kończył zaś je po wspomnianym dopiero powrocie z Berlina tj. po drugim, może boleśniejszym zawodzie i rozczarowaniu w życiu. Nie wchodzimy w tém miejscu w ocenę wartości tego dzieła, a ma ono, niezaprzeczenie, względną wartość jeszcze i dzisiaj, po upływie lat przeszło trzydziestu, tém bardziéj zaś miało wysokie znaczenie dla współczesnych. Zasadniczą myślą autora było to, że wszelkie gusła i zabobony ludu, wszelkie demony i straszydła, oraz osnute na nich fanstastyczne opowieści, nie tylko przeszłością swoją nie sięgają czasów słowiańskiego pogaństwa, ale nawet niektóre z nich doszły do nas bardzo niedawno, co im nie przeszkadzało zakorzenić się głęboko w umysłach ludu i uchodzić dzisiaj za spuściznę wieków odległych. Dowodzi następnie, że lud nie ma własnych warunków życia umysłowego i samo-

dzielnéj twórczości, a jeśli ją ma, to jak dziecko:- co w nie wniosą i wrzucą wewnętrzne stosunki, to *przetwarza*, ale i to niezawsze, najczęściéj *powtarza* tylko to, czego się nauczył od swoich nauczycieli—księży, panów—szlachty i każdorazowego rządu. Myśl ta nie pozbawiona jest prawdy naukowéj, wypowiedzenie jéj wszakże było nieumiejętne. Wreszcie zaletą „Studyów“ był olbrzymi, poraz piérwszy u nas w takiéj ilości zgromadzony materyał do opracowania twórczości ludu.

Pomimo tych zalet dzieła, fatalizm jakiś chciał, żeby i wówczas i dzisiaj, do dni naszych nie doczekał się Berwiński sprawiedliwego o swojéj pracy sądu. Że współczesne mu stronnictwo konserwatywne nieżyczliwém na nie spoglądało okiem, temu się wcale dziwić nie należy, bo B. jest tam wskroś antykatolickim pisarzem, a nawet, jak się zdawać mogło, z lubością wywlekał z przeszłości naszéj i takie nawet objawy ciemnego fanatyzmu, zwłaszcza księży, które wprost do jego pracy nie należały; ludzie zaś na neutralnym gruncie stojący, nie wiem już z jakiego powodu, również obojętnie traktowali, a poważniejsza niby recenzya w Warszawie takiego A. Nowosielskiego (Marcinkowskiego) nietyle była krytyką właściwą, ile raczéj naciąganiem do swoich o starożytnictwie i o ludowéj twórczości poglądów, które jak wiadomo były aglomeratem jeszcze większych dziwactw, niżby je w dziele B-go znaleść można. Po paru latach ogół zapomniał o téj pracy i tylko chyba móle biblioteczne przyjęły ją w czułe swoje objęcia. Nie zbawiło smutnych losów téj książki i to nawet, że p. Merzbach przy pośrednictwie zacnego Teofila, brata Ryszarda, nabywszy je w r. 1862 dopuścił się bibliograficznego falsyfikatu i pod zmienionym wydał tytułem: „Studia o gustach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych“. Losy książki były uparcie nieżyczliwe: p. Merzbach nie hojnie wprawdzie wynagrodził, bo dał autorowi 180 talarów, tak że po potrąceniu reszty pozostałych wydatków za druk i papier poeta nasz zaledwo 100 talarów dostał do ręki; ale wątpimy, czy i nabywca większym cieszył się zyskiem... Tajemnica niepopularności leżéć zresztą mogła w jéj formie odstręczającéj,—niekiedy zbyt drobiazgowo-gadatliwéj, odbiegającéj od rzeczy,—niekiedy zbyt suchéj, arcy treściwéj, a przedewszystkiém nieodznaczającéj się polskim tokiem mowy.

Po opuszczeniu sejmu berlińskiego zaczyna się drugi, smutny okres jego życia, w którym kropla po kropli musiał spijać gorycz z kielicha żywota: zaufany w dotychczasowém powodzeniu, nie umiał się oswoić z nową swoją pozycyą,—nie mając zaś wcale owéj,

wspomnianéj wyżéj „pokory ducha“ chrześciańskiego, przetwarzać siebie ani chciał, ani umiał, a owszem, najmocniéj się trzymał wyblakłych już znacznie ideałów i marzeń swoich młodzieńczych; to też rozgoryczony, wcale nie słusznie, na świat i ludzi dlatego tylko, że ci ludzie na modłę jego kształtować się nie umieli, zapragnął nazawsze kraj opuścić, bo zdało mu się, że ta jasna gwiazda, co mu w młodości przyświécała, jeszcze wnijdzie na horyzont życia jego, choć pod obcém niebem. Niestety! szukał jéj długo.... ale już nadaremnie!

Jaki był nastrój psychiczny B-go w tym stanowczym przełomie życia, odsłania nam nieco wiersz pożegnalny tego romantyka-bajronisty, przechowany u rodziny. Odpisujemy go tu bez zmiany:

I. Czajld-Haroldowska i mnie dziś fala,
I wiatrów poświst złowrogi,
Od brzegów lądu tego oddala.
Gdzie kraj mój, tyle mi drogi...,
Więc gdy go rzucam, a serce wzbrania
Powrotu dnia się spodziewać,
Haroldowską pieśń pożegnania
I ja bym chciał mu zaśpiewać....

II. Bywaj mi zdrowy! I wy, co w domu
Na dni czekacie łaskawsze,
A doczekacie łez się i sromu,
Bywajcie zdrowi nazawsze!

III. Bywaj mi zdrowy! Nim wiatr się skręci,
Co jeszcze do mnie przypędza
Woń pól twych i łąk, — a mnie w pamięci
Zatrze się blask i nędza.
Bywaj mi zdrowy — i wy co w domu
Na dni czekacie łaskawsze,
Aż doczekacie się żniwa sromu,
Bywajcie zdrowi nazawsze.

IV. Łez nie mam dla was na pożegnanie
I serce nie pęka z rozpaczy,
Choć wiem, co znaczy wieczne wygnanie,
Jak gorzki chléb jest tułaczy!
Nie płaczę jednak, bo mi jak kamień
To serce w piersi tu leży,
Co niegdyś złotych pełne omamień,
Dziś samo w siebie nie wierzy.

V. Wam i mnie jedno, dokąd popłynę
I co mi nieba przeznaczą,
Niedbam: *czy*, *kiedy*, *jak i gdzie zginę*,
Choć wiem, że po mnie zapłaczą.
Zapłaczą gorzko........

W Paryżu, dokąd wyjechał, upajał się jeszcze doktryneryą swoją, swojemi ideałami czy mrzonkami politycznemi, do których podniecenia na ówczesnym bruku paryskim znalazł pod dostatkiem materyałów, gdyż w ciągu dwudziestu przeszło lat śród rodaków B-go istna wieża Babel zapanowała: różne koła i kółka polityczne, różne ogniska patryotyczne, systemata socyalne i filozoficzne, powstające z gruzów saint-simonizmu czy furyeryzmu, z nowszego mistycyzmu czy mesyanizmu, a nawet z odświeżenia prastarej wiedzy oryentalnéj, kotłowały jedne obok drugich, wzajemnie siebie negując, a jednak nie schodząc z pola.... Taki tedy rozgwar i odmęt rozpętanych umysłów niewiele zdołał wlać pociechy do bolejącego serca poety: pycha rozumu jeszcze jako-tako zadowolnić się tu mogła, ale serce gorszą jeszcze czuło czczość i próżnię.

W tém upojeniu i odurzeniu cóż pozostawało robić naszemu poecie, z jego ideałami ludowemi, z jego marzycielstwem i wieczną pogonią za szczęściem, którego sformułować nawet nie umiał?

Zrobił to, co zrobiło już wielu rodaków przed nim i równocześnie z nim, co zrobił największy nasz geniusz poetyczny: zapragnął nad Bosforem szukać urzeczywistnienia marzeń swoich....

Ach! ten Bosfor! ileż grozy w tém słowie! ile obrazów walk strasznych, ile krwi potoków nasuwa się tu pamięci naszéj! jakie potęgi moralne i materyalne przez ciąg dziejów ścierają się tu z sobą!

Całe szeregi najść dzikich ludów na półwysep Bałkański nalicza historya; ale któryż dziejopisarz czy historyozof wytłómaczyć nam kiedy zdołał ten niepojęty urok, jaki narody Wschodu i Zachodu w najrozmaitszych czasu kolejach i w najrozmaitszych stopniach cywilizacyi, przywiązywały do tego zakątka ziemi? W okresie pierwotnym dziejów tłumy ludów idą ku Bosforowi niby bezwiednie, a jednak niewątpliwie pod wpływem jakiegoś czarownego talizmanu, który je tu przynęca; w epoce rozrostu cywilizacyi świata ścierają się tu dwie potęgi—materyalnego Wschodu, islamizmu i potęgi duchowéj — krzyża Chrystusowego; a wszakże i dziś widzą tu politycy i strategicy tajemniczy klucz do opanowania świata!... Słowem wszyscy porówno: wielcy i mali, marzyciele i mężowie stanu, ludzie pojedyńczy i całe potęgi zbiorowe wzdychają do tego czarownego punkciku Europy! Bo oto i największy bezwątpienia marzyciel XIX w., Karol Fourier, chciał w sposób teoretyczny zrobić Bosfor ogniskiem wszechświata. Wiadomo bowiem, że w dziele swojém p. t. *Théorie des quatres mouvements* (Paryż 1808), rozpisując się szeroko z marzeniami swemi o nowym ustroju świata, dzielił społeczności ludzkie na falanstery, falangi, serye, grupy, których, wszystkich razem wziętych, najwyższym przedstawicielem miał być

„Omniarque“, czyli w przybliżeniu po naszemu „Cesarz świata“; on to w razie potrzeby zgromadza „kongres sferyczny“ świata, a ten właśnie ma ognisko swe.... nad Bosforem!

Nie wiadomo mi wprawdzie, czy Berwiński znał te marzenia Fourier'a, — ale jak widzimy, tąż samą co i on drogą zdążał do uszczęśliwienia siebie i wszystkiego, co mu najdroższém było w życiu, do urzeczywistnienia ideałów swoich!

Ale skoro wiemy, że i silniejsze od B-go jednostki, hartowne żelazną siłą woli i wielkiemi zasobami materyalnemi zbrojne, ginęły tu marnie w téj wszechświatowéj otchłani, — to cóż dziwnego, że i biednemu poecie wielkopolskiemu nie dano być tu tryumfatorem, że i on w téj otchłani pogrążyć się musiał....

Nim to ostatecznie nastąpiło, widzimy, że zamiast lutni Apollina zapisuje się w służbę Marsa i jest oficerem w pułku dragonów Otomańskich, pod wodzą Sadyka-paszy.

Niewypowiedzianie smutna jest ta jego żołnierska pielgrzymka po rozmaitych kątach Turcyi Europejskiéj, a najstaranniéj zachowana korespondencya B-go do rodziny, z tamtych stron pisywana, podałaby możność ułożenia (jeśliby to komu na co przydatném było) całéj bolesnéj jego Odyssei, gdy od Stambułu począwszy, obozuje dawny peta z kolei to w Armiros, to w Janinie, to w obozie Sałmanie pod Szumlą, to w Trykale, w obozie pod Ermią, to na Kosowém polu lub w obozie pod Salambryą. A w téj włóczędze, jałowéj, w któréj ani razu nie wydobył miecza z pochwy, ani razu nie stało się zadość marzonym celom, z dniem każdym, z każdą godziną grubiało i pospolitowało się nieustannie to dawne bożyszcze salonów wielkopolskich, postawione dziś w szeregach zbiorowiska z całego świata: Cyganów, Arnautów, Żydów, Bulgarów, Ormian, Greków, Turków, nawet Arabów, z których się składała pierwotnie hałastra Sadyka.

W prawdzie gnębiony tém bolesném otoczeniem i warunkami, w jakich był postawiony, uczuwał tę niemoc swoję i pisał:

„A szczęk się ze mnie, przy każdym mym kroku,
„Urąga szabli, którą mam przy boku!
„Tak jest: ja broń mam! I koń mój przy żłobie
Rży niecierpliwy — nogą ziemię grzebie,
I dziwném okiem pyta mnie: co tobie,
Jeźdzcu mój, powiedz, — nie poznaję ciebie!
Tyś na wojenne sposobił mnie harce,
Kiedy był pokój, a dziś kiedy w wojnie
Dzieci dokoła mordują i starce,
Ty na to patrzysz zdala i spokojnie!...
Czyż krew się w tobie na tę myśl nie ścina,

Że kiedy sława, ta gwiazda jedyna
Wzywa cię k'sobie, — ty, niepomny sromu,
Mnie trzymasz w stajni, a sam siedzisz w domu!“....

„Straszny to wyrzut i straszne pytanie!
Sam sobie nie śmiem odpowiedzićć na nie!
Odpowiem jednak“ i t. d.

I tu składa uroczyste bojowe zaklęcia, które, niestety, miały zacząć się i skończyć.... rymami na papierze.

Przy takich warunkach, przy tylu zawodach, ulatywać zeń musiał czystszy powiew natchnienia poetycznego, to téż pomimo najgorliwszych szperań, nie odszukaliśmy z twórczości jego na ziemi tureckiéj nic takiego, coby wyższe jakieś estetyczne miało znaczenie. A jednak nie można i tego powiedziéć, by jego twórczość poetyczna ostatecznie już tu zamarła.

Przypomnijmy bowiem sobie, że iskra ducha bożego nie gaśnie odrazu w sercu człowieka: zbolały, pozbawiony skarbów najdroższych, marnie włóczący się po obcych obozach, miewać musiał i miewał w istocie niekiedy czysty objaw tchnień rodzimych, niby z powiewem wiatrów północnych dolatujący go szum fal Goplańskich, a w toniach tych pluskające nimfy Bogunki, co tak barwnie, tak uroczo świeciły w dniach jego młodości! Serce jego rozraniał lada listek od rodziny, a w nim jakieś serdeczne słowo Teofila, upominającego go ciągle, żeby matki pocieszać nie zapominał, że wielka miłość ku Ryszardowi jedynie trzyma ją przy życiu i dodawał, że każdy list jego matka odczytuje po dziesięć, po dwadzieścia razy, aż się nowego listu doczeka; spotykał w tych listach i pełne miłości wielkiego a tajonego bólu dopiski samejże matki, które i najobojętniejszego człowieka rozrzewnić-by mogły. Wszystko to wywoływało niezatarte wspomnienia kraju, a w nim błogiéj młodości, oraz tych chwil, kiedy jeszcze rozkoszujący się życiem, spokojny i szczęśliwy, proroczém przeczuciem wiedziony, przepowiedział sobie smutną obecną rzeczywistość w tych oto słowach:

„W wonnym sadzie mojéj matki,
Kwitły bzy i kwitły róże,
Polne maki i bławatki,
I lilije kwiatów stróże.....
Jam w dziecinnych moich latach,
Z całym rajem w młodém sercu,
Biegał skocznie po tych kwiatach
Na jedwabnym traw kobiercu;
Dziś tułactwa twarde drogi,
I los gorzki w poniewierce,
Poraniły moje nogi,
Zakrwawiły moje serce....“

W takich czystych chwilach lepszych wspomnień wobec dzisiejszego, w istocie upokarzającego tułactwa, udało mu się niekiedy stworzyć udatniejszy obrazek, przypominający piękne czasy jego twórczości. Do takich bym zaliczył np. wiersz, p. t. „*Do róży*“, łaskawie mi udzielony p. Idalią Krajewską.

„Biédna moja — biédna mała,
Coś odczepić się nie dała
Od bukietu różo!
Nie lękaj się, moja biedna,
Choć od siostr swych sama jedna
Oderwana burzą.
Nie lękaj! W świat nieznany,
Choć rzucona za Bałkany,
Śród nas bisurmanów.

Póki z ciebie na nas czysta
Będzie wiała woń ojczysta
Od wiślanych łanów.
Nie lękaj się, piękna różo
Co bądź tobie złego wróżą
Zli ludzie, zła dola;
Będziesz zawsze, jak świat światem,
Najpiękniejszym dla nas kwiatem
Ojczystego pola.

W tymże zbiorku pani Krajewskiéj znajduję dwa inne ustępy, ładne pod względem formy, a swobodny humor w nich rozlany, jakoś nie zupełnie licuje z owoczesném położeniem poety. Oto są te ustępy:

DO SOKOŁOWÉJ.

Dragon.

Dziwne są losy! Wszak i ja przed laty
Byłem skrzydlaty,
I na Pegazie, co się z orłem bratał
Wysokom latał!
A dziś?... Nie śmiejcie się! bo w najgorszym razie,
Choć nie pegazie,
Mam i dziś jeszcze okropne dwa skrzydła
Smoka straszydła!
I to nie tylko skrzydła, bo dragony
Mają i szpony!
Więc Ty, ostrzegam, choć Sokoła żona
I oskrzydlona,
Nie śmiéj się, mówię, i nie szydź z wysoka,
Ze skrzydeł smoka,
Bo gdy ze swoich dasz choć jedno pióro,
I ja będę górą.

DO PIÓRA,

KTÓRE SIĘ NIE DAŁO ODCZEPIĆ.

Raz dragon-straszydło, że ciężkie miał skrzydło
Przed żoną Sokoła się żalił,
I rzekł jéj: „daj pióro, a ujrzysz mnie górą!"
I wiersze aż do niéj wypalił.
A żona Sokoła odrzekła: „Twa wola
Niech będzie — masz pióro!" I dała
I pióro mu czarne i oczko figlarne
Zdrajczyni — nie czarna, lecz biała.
A dragon niezdarny, że sam był i czarny,
I ślepy, już nieco zgrzybiały,
Nie dostrzegł swawoli téj żony Sokoléj
I pióro wziął czarne od białéj.
Nie świadom mamidła, wsadził je do skrzydła
Dragona-potwora — niezdarny;

I z płaczu padołu chciał z żoną Sokoła
W nadziemskie polecić obszary.
Daremne mozoły! Inaczéj Sokoły
Piórami latają białemi;
Na czarném ów dragon nie wzleciał nad zagon
I został nieborak przy ziemi.
Więc smutkiem schylony, znów idzie do żony
Sokola i mówi téj żonie:
„Daj białe!" A ona się śmieje z dragona
I mówi: „zapóźno, dragonie!
„Te skrzydła, com miała sokółka ja biała
„Już dziś zjedzone przez myszy!"
„Przez myszy — bogowie!" Ów dragon odpowie,
Gdy taką odpowiedź usłyszy.
I pyta jéj czule: „Skąd myszy w Stambule?
Ach, powiedz i nie bądź zbyt skrytą!"
„Z nad Gopła-jeziora, zjadły je przedwczora,
Gdy były tu u nas z wizytą!"

Oczywiście, ten humor był sztucznym, a dlatego długotrwałym być nie mógł. Stanowisko jego było takie, że wracać musiał do rozpamiętywań, porównywał obecność z przeszłością. Smutna rzeczywistość unosiła go niekiedy i daléj, do tych dni szczęśliwych, kiedy poczuł iskrę talentu poetycznego, a silny wiarą w siebie i w złote struny swéj liry, bujał tak wysoko, że marzeniom jego granic nie było.... Przypominał odnotowane kiedyś w *silva rerum* słowa Zygmunta:

„Któż opisze! kto opowie!
Bóg jest jeden, jeden, sam!
Przecież w Bogu dano nam,
Że my będziem jak bogowie!..."

I owóż ten bóg pegazowy, ten wykwintny młodzieniec, pożądany w najwyższych kołach wielkopolskich, teraz błąka się po brudnych zaułkach Galaty czy Pery, lub wylęga się w błocie obozowém, niby ów Hiob biblijny, — ale stokroć od Hioba gorszy, bo w dniach szczęścia lekceważył najdroższe skarby ziemskie i urągał się miłosierdziu bożemu — przeceniał swą siłę i wierzył jedynie w siłę woli ludzkiéj.... Maż teraz prawo zmiłowania bożego się spodziewać?... Nie, bez wątpienia! Więc daléj brnie w sidła sofisteryi własnéj, którą obałamucić chce siebie i sumienie swoje, i wmówić, wtłoczyć w swój umysł wiarę, że za pomocą pół-księżyca zbawić krzyż potrafi.... Nie dość, że jak pająk siecią doktryneryi téj fałszywéj sam siebie oplątywa, chce mu się jeszcze prozelitów, żeby ktoś przecie był na świecie, co tak samo rozumuje i tak samo jak on wierzy. Pisze więc całe traktaty i śle nad Wartę ku swoim najbliższym, szukając tam pożądanych skutków opłakanego apostolstwa swego.... Dziwnyć to bywa, zaprawdę, ten umysł ludzki w owych błędnych

manowcach swoich! Jak umiejętnie omamić zdolen nawet siebie, pozornie zburzyć nawet elementarne podwaliny historyi! Posłuchajmy téj doktryneryi, wiemy przecie, o co chodzi, — nie zgorszymy się przeto lekcyami, jakich nam udziela; tém bardziéj, że tu chodzi o rzecz drobniutką... o spotwarzenie pamięci i zasług Jana III-go! A przecię, dzięki niedawno odbytemu jubileuszowi tego bohatera, do uprzednich wiadomości przybyło dziś tyle nowych szczegółów, że i dziecko nasze wié doskonale, jaką skalą mierzyć należy pogromcę Turków!

Oto jego słowa:

„Świat wschodni tak dyametralnie przeciwny jest wybrażeniom zachodu, że piszący stąd do was, co chwila rozbić by się musiał o szkopuł spraw powszednich, gdyby się nie zgodził z wami na zasady. Jest ich kilka, które takiego porozumienia się przedewszystkiém wymagają, jak np. kwestya wyznań, kwestya narodowości i t. d. Dotknijmy tu najważniejszéj.

Po jednéj stronie Chrystus, po drugiéj Mahomet. Tam krzyż—tu pół księżyc. Dwa światy anti-podyczne! Średnicy pomiędzy nimi szukać nie będę, ani nawet siecznéj. Rzecz to dziś roztrzygnięta. Przeciął ją, sławnéj pamięci a nieoględnéj polityki, nasz Jan III, Świat chrześciański niéma dziś powodu obawiać się islamizmu. On potęgą jego zachwiał, a nawet stanowczo skruszył w Europie. Możnaby przeto kwestyą tę zupełnie przemilczéć, i jabym nie dotykał jéj pewnie, gdyby mi nie było znaném, że pewne u nas stronnictwo wydobywa nawet i ten stary, zardzewiały już dziś rynsztunek, przypomina zwycięstwo Podhajskie, z pod Chocima, Żurawna, Wiednia, Parkanów, odwołując się niby do przeszłości i historyi; mówią ci ludzie, że z tradycyą zrywać nie można, a tradycya ta uczy nas, iż jedyną historyczną naszą misyą była obrona chrześciaństwa. I dopótyśmy byli potężni, dopóki tę misyą spełniali, silni byli tylko przez nią! Tak powiadają!

Stąd wniosek prosty, że polacy zaprzeć by się musieli swojéj przeszłości, gdyby nie tylko szukali na wschodzie jakiegoś współczucia, ale jeśliby nawet i w dalsze jakieś zetknięcia się z islamizmem wchodzili. Na myśl podobną kości rycerzy naszych z pod Podhajec, Chocimia, Żurawna, Wiednia, Parkanów, w grobach się przewracają i chrzęszczą pod mogiłami, a historya naszéj przeszłości oczy sobie ze wstydu zasłania!

Historya?

Zajrzyjmy do niéj, nie do téj wstydliwéj, co oczy sobie zasłania; ale do téj, co karty swoje otwiera. Otóż w téj, pod r. 1686 zapisane są traktaty Grzymultowskie, znane pod nazwą *pacta pudenda*—wstydliwe, albo raczéj... godne wstydu traktaty. Co to były za traktaty, warto po krótce przypomniéć.

Układy zawarte po śmierci Chmielnickiego r. 1658 z kozaczyzną w Hadziaczu, a mające na celu połączenie jéj z Rzplitą tym samym węzłem, jakim z nią była połączona Litwa, doprowadziły, jak wiadomo, do zaciętéj wojny wschodniéj. Wojna ta, szczęśliwie nawet prowadzona, zakończyła się 1667 r., jak i to wiadomo· sromotną umową Andruszowską, odstępującą mocarstwu Moskiewskiemu: Smoleńsk, Siewierz, Czernihów, całą Zadnieprską Ukrainę i Kijów „tymczasowo", tj. na 12 czy 14 lat,—o czém pamiętać trzeba. Za następnego panowania, Michała Korybuta, układy te cofnąć się nie dały z powodu przeróżnych intryg, od których historya nie uwalnia i wielkiego hetmana Jana Sobieskiego.

Po śmierci Michała, przypadającéj równocześnie ze świetnėm zwycięstwem Chocimskiém (1673), wielki ten hetman, Jan Sobieski, obrany na króla, czy pomyślał o zniszczeniu téj umowy? Historya pyta się o to; pyta się i odpowiada zarazem, że zaślepiony

myślą obrony chrześciaństwa, którą w niego przedewszystkiem wmawiała Austrya, nie chciał nawet korzystać z okazyi, jaką mu nastręczyła Turcya, ażeby odebrać sromotnie odstąpione posiadłości. Okazyę zaś najpomyślniejszą ku temu podawała Turcya r. 1676, pod Żurawnem, gdzie obsaczonemu z 15-tu zaledwo tysiącami rycerstwa polskiego, seraskier Ibrahim Szajtan Pasza, na czele 200,000 Turków, ofiarował pokój, pod warunkiem zaczepnego przeciw Rosyi aliansu. Wiadomo też jest dzisiaj, że ówczesnemu wezyrowi, Achmet Kiuprili Paszy, nie chodziło bynajmniéj o pobicie Jana III i o podbicie Polski,—ale i zniewolenie go raczéj do zawarcia pokoju i zaczepnego przymierza przeciwko Aleksemu Michajłowiczowi, którego szeroko założone i daleko sięgające plany, polityka Porty, jak należy, odrazu oceniła. Jan III nic nie widział: propozycye Ibrahima Szajtana Paszy odrzucił.

Następnie zmusił go cudownem zwycięstwem do zawarcia pokoju. Ale jakąż pokój ten nam korzyść przyniósł. Odpowiada znów historya, że Turcya odstąpiła napowrót Polsce część Ukrainy, która była jéj przyznana pokojem Buczackim, zachowując dla siebie resztę téj prowincyi i całe Podole, z Kamieńcem Podolskim, który później, dzięki Sapiehom, kością niezgody stał się między zapędami króla polskiego a małodusznością możnowładców Litwy. Koniec końców: lewy brzeg Dniepru, ziemie małoruskie stracone przez nas zostały; ale zawsze jeszcze tymczasowo,—o czém po drugi raz pamiętać trzeba.

Następnie wyprawa Kara Mustafy na Austryę, Jan III-ci ogłupiony wpływem najukochańszéj Marysieńki, zrywa z Ludwikiem XIV, daje odsiecz Wiedniowi, gromi Turków, r. 1683, — dogromia ich do szczętu pod Parkanami; — ale z tego, jaki pożytek dla Polski?

Idźmy daléj.

Następuje *liga Augsburska* przeciw Francyi i Ludwikowi XIV, Jan III-ci najmniejszego o niéj niema wyobrażenia, ale daje się w nią wciągnąć, nie wiedząc nawet o tém. Daje w siebie wmówić, przez Austryą i Jezuitę, nasłanego nań w zmowie z Austryą przez papieża Inocentego XI-go, że jest i powinien być obrońcą chrześciaństwa. Zaczyna się gotować do eksterminacyjnéj wojny przeciw Turcyi, która bynajmniéj chrześciaństwu nie zagrażała, ale chciała jedynie osłabić Austryą i Rosyą, stając po stronie Francyi.

Jan III, wiekopomny, potężnéj ręki, obrońca chrześciaństwa, nie zrozumiał i tego, Dał wciągnąć się w tę ligę Augsburską. Szukał sprzymierzeńców przeciw Turkom.,. aż w Persyi! Ale co dla interesów Polski rzecz najważniejsza: zawarł przymierze przez Grzymułtowskiego z Rosyą r. 1681, a to dla tego, aby zapewnić się jéj współdziałania przeciw Turcyi. Rosya albowiem, acz chrześciańska, mogła była chrześciańskim zapędom króla polskiego stanąć napoprzek i nie zezwolić na obalenie Turcyi orężem polskim. Trzeba więc było zapewnić się, albo jéj neutralności, albo nadzieję współdziałania drogo okupić. Okupił ją Jan III-ci traktatem Grzymułtowskim: usankcyonował tymczasową umowę andruszowską i prawomocnie odstąpił cały lewy brzeg Dniepru. Zawarł z nią owe *pacta pudenda*, wstydliwe, albo raczéj godne wstydu traktaty. Odtąd potęga Rosyi wzrasta i Piotr Wielki na tych dopiéro traktatach poraz pierwszy mocną nogę swoję w Europie postawił.

Jan III-i, wiekopomny pogromca Islamizmu, nieśmiertelny obrońca chrześciaństwa. co zyskał dla kraju? Zaufany w przymierza, rzucił się wielki ten wojownik na Turcyą, Lecz opuszczony przez wszystkich swoich chytrych sprzymierzeńców, szczęśliwym czuł się w końcu, że nie doznał klęski Bukowińskiéj i że z wyprawy téj wyniósł nagie życie i swoje i rycerstwa polskiego. Przykro jest tak dziś przemawiać o jednym z największych swego wieku kapitanów-wodzów, któremu czołobitność swoję oddawali najznakomitsi owego wieku bohaterowie.

Cześć jego pamięci! Nam karłom korzyć dziś czoła przed nim. On w dobréj działał wierze!

Po hołdzie jednak oddanym, godzi się zapytać wszakże: jaki był i jest rezultat wszystkich jego wypraw przeciw Turcyi, wszystkich zwycięstw świetnych, odniesionych na niéj, od Podhajec począwszy, a na Wiedniu i Parkanach kończąc, zwycięstw, któremi historya nasza tak chlubnie się szczyci, i my tak słusznie dumnymi ich pamiątką być możemy, jakiż był i jest rezultat?

Historya odpowiada.

Austrya zhołdowała sobie i poraz piérwszy na dobre dla domu swego podbiła, dzięki Janowi III-mu, Węgry, któremi odtąd dopiéro rozpanoszona, do dziś dnia jest silną; o potędze wszech Rosyi od tego czasu, wszyscy wiemy. Stało się to wszystko dzięki wiekopomnéj pamięci Janowi III-u, pogromcy Turków, obrońcy chrześciaństwa, Wiednia i Austryi. Cześć jego pamięci.

Jaki z tego powodu wyrobił się stosunek Polski do późniejszéj polityki zachodu, nie podobna tu wytykać, bo należało by poprzednio rozebrać całą dyplomatyczną tajemnicę owéj ligi Augsburskiéj, w którą mimo wiedzy Jan III-ci wciągnąć się dał przeciw Francyi. Na to pobieżna forma listu nie pozwala.

Dość tylko dodać, że odtąd role stanowczo się zmieniły.“

Na tém przerywamy naszę cytatę, bo zdaje się, że i z tego ustępu dostatecznie przegląda ta bałamutność umysłu i to wmawianie w siebie, że się spogląda na losy narodów wyżéj nad zwykłych śmiertelników; kiedy w istocie całe to kunsztowne powiązanie myśli, oprócz wyślęczonéj ironii, było tylko sofisteryą, w celu oszukania, jeżeli nie całego świata, to przynajmniéj samego siebie i zapełnienia téj próżni umysłu, téj czczości serca, wykolejonego z normalnych dróg swoich, ale zawsze jeszcze kochającego i w imię téj miłości coś dokonać pragnącego.

Ale oto oprócz wszystkich powyżéj wspomnianych zawodów i rozczarowań, musiał jeszcze jednego, najboleśniejszego, ale już ostatniego doświadczyć ciosu. Rok 1865 krwawemi głoskami zapisał się na smutnych kartach jego żywota. Na początku tego roku, gdy jeszcze wcale nie wiedział, co go w tym czasie spotka, z powodu zamierzonego wyjazdu pp. Krajewskich do Trebizondy, taki zapisał wierszyk w imionniku p. Idalii Krajewskiéj.

„Więc znowu żegnać! Niestety, więc znowu!
Ja, którym żegnał tych, co nie powitam,
Tak dziś własnemu nie dowierzam słowu,
Że: czy cię żegnać—serca oto pytam;
A serce mówi: nie żegnaj! złowrogi
Masz głos pożegnań,—więc dla odwrócenia
Złéj wróżby, powiedz: „szczęść Wam Boże drogi
I do prędkiego prędko zobaczenia!“

Nie przeczuwał biédny poeta, ile prawdy było w jego słowach: „złowrogi mam głos pożegnań“, bo to w tym samym czasie wypadło mu żegnać tego, którego już „nie miał powitać“ — najżyczliwszego przyjaciela i brata, Teofila, który w tym właśnie czasie umierał w stronach rodzinnych. Jeszcze tak niedawno pisał był do Rysza-

da, mówiąc o niepowodzeniach w rodzinie, że on jeden tylko „trzyma głowę do góry“ — a oto szlachetny ten człowiek, ofiara miłości ku rodzinie, któréj niepowodzeniami najbardziéj się martwił, ofiara wytężonéj a tak niewdzięcznéj pracy nauczycielskiéj, zbyt wcześnie wstąpić miał do mogiły. Dopiéro po śmierci brata ocenił nasz Ryszard wartość tego człowieka i całe to wielkie osamotnienie swoje śród obcych i obojętnych, — tém bardziéj, że wkrótce za Teofilem i matka wstąpiła do grobu, a z nią pękło najważniejsze ogniwo tego serdecznego węzła, tego źródła miłości, który się rodziną nazywa.

Oczywista, że po tak wielkiéj stracie trudno już mu było bawić się w podobne, jak wyżéj wymieniono, doktrynerye, — każdy dzień przynosił mu świeże dowody całéj bezcelowości jego trudów i przekonywać się musiał, że mimowolnie stał się Don-Kiszotem XIX wieku, tylko że zamiast niewinnego otoczenia owego pseudobohatera hiszpańskiego, za nieustannego towarzysza miał człowieka (Sadyka-paszę) potwornie upadającego, wywracającego na nice, z niezwykłym cynizmem i jakieś w przeszłości zasługi swoje i wszelkie świętości społeczne i religijne. Kto tedy raczy przypomniéć sobie usposobienie poety, na którego otoczenie, jeżeli nie działało doraźnie, bo już wiek jego był nie potemu, to jednak powolnie do reszty zatruwało myśli i uczucia jego: musiał jak rdza w żelazie przetrawiać w sobie wszystko, cokolwiek najwznioślejszego, najczystszego miał w złotych czasach młodości swojéj. Tutaj właśnie jest czas przypomniéć słowa jego wydrukowane w 1843 w *Przeglądzie Naukowym* („Z rozrzuconych pism szalonego“), a które następnie usunął, wydając w osobnym zbiorku (w II tomiku), jakby jakiémś mimowolném powodowany przeczuciem:

„I ja, o hańbo! tak upadłem nisko,
„Że z nieszczęść własnych robię pośmiewisko!

Nie w mocy już jego było przeboleć i pokonać ogrom przygniatających go zawodów i cierpień.... i doprawdy, z nieszczęść własnych zrobił pośmiewisko, bo — jak to się zdarzało ludziom silniejszego uczucia złamanym w pół drogi do celu — wpadł w tenże nałóg, co np. Edgar Poë, albo Wł. Wolski.

Z Turcyi parę razy przyjeżdżał w strony rodzinne, a tam śród swoich był już jak gdyby obcym: „na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata....“ Ostatni pobyt w Poznańskiém spowodowany interesami majątkowemi, lubo dość krótki, wart jednak zanotowania z tego względu, że w nim obudził wspomnienie poetyczne tego wszystkiego, co kochał dawniéj, a zarazem przepowiedział niedługą swą przyszłość. Oto ten śpiew jego łabędzi:

Dla jedynej Siostry

przy wyjeździe w świat.

Czy mi dziś smutno? – Nie wiem! Lecz Bóg widzi,
Że niewesołe mam serce i duszę –
Bo niechaj sobie kto i jak chce szydzi
Z niektórych rzeczy – ja przyznać się muszę,
Że choć od złudzeń wszelkich i omamień
Wolny już jestem – a w piersi pancernej
Niejedną bliznę, nie serce, lecz kamień
Noszę – i pozór z wierzchu mam niewierny,
To jednak ~~jeszcze~~ jeszcze jakiś ~~xxx~~ we mnie szczątek
Pozostał z tego, co się dawniej śniło,
Jakaś przeszłości pamiątka pamiątek,
Jakieś wspomnienie tego, co minęło!
Więc choć spokojny jestem, – moje czoło
Choć się nie chmurzy, ani smutkiem mroczy –
Chociaż pogodnie patrzą moje oczy, –
Przyznaję jednak, że mi nie wesoło!
Ach! ale bo też, jakże się weselić
~~Z jak~~ W takiej ot chwili, gdy jeszcze za życia
Z tem wszystkiem wiecznie przychodzi się dzielić,
Z czem się ~~wzrastało~~ wzrastało – żyło od powicia –
Z tobą, jedyna z moich – potem z tymi,
Co tam już leżą w tej nieszczęsnej ziemi,
Ach! w tej nieszczęsnej – którą, żal się Boże,
Ja ubóstwiłam więcej – niźli może
Jest dozwolono; – za to ~~B~~ sprawiedliwy
Spotka mnie wyrok – choć razem i mściwy,
– Że kości moich w niej spocząć nie złoży!

DLA JEDYNÉJ SIOSTRY (1)

PRZY WYJEŹDZIE W ŚWIAT.

Czy mi dziś smutno? — Nie wiem! Lecz Bóg widzi,
Że nie wesołe mam serce i duszę;
Bo niechaj sobie kto i jak chce szydzi
Z niektórych rzeczy — ja przyznać się muszę,
Że choć od złudzeń wszelkich i omamień
Wolny już jestem, a w piersi pancernéj
Nie jedną blizną, nie serce, lecz kamień
Noszę — i pozór z wierzchu mam niewierny;
To jednak jeszcze jakiś we mnie szczątek
Pozostał z tego, co się dawniéj śniło,
Jakaś przeszłości pamiątka pamiątek,
Jakieś wspomnienie tego, co minęło!
Więc choć spokojny jestem, moje czoło
Choć się nie chmurzy, ani smutkiem mroczy,
Chociaż pogodnie patrzą moje oczy —
Przyznaję jednak, że mi nie wesoło!...
Ach! ale bo téż jakże się weselić
W takiéj, ot! chwili, gdy jeszcze za życia
Z tém wszystkiém wiecznie przychodzi się dzielić,
Z czém się wzrastało, żyło od powicia!
Z tobą, jedyna z moich, potém z tymi,
Co tam już leżą w téj nieszczęsnéj ziemi,
Ach! w téj nieszczęsnéj, którą, żal się Boże,
Ja ubóstwiałem więcéj, niźli może
Jest dozwolono; za to sprawiedliwy
Spotka mnie wyrok — choć może i mściwy,
Że kości moich w niéj pewnie nie złożę! (2).

Za powrotem na ziemię turecką, śród dalszéj błąkaniny bezcelowéj rozwiały się i te „szczątki“ podnioślejszych uczuć i myśli, oraz ta „przeszłości pamiątka pamiątek“, o któréj tutaj wspomina,— a w czadzie odurzenia doczekał się z tego, co sam sobie wywróżył, t. j. że kości swoich nie złożył na ziemi ojczystéj, bo w Konstantynopolu, w szpitalu francuskim, dnia 19 listopada 1879 r. oddał ducha Bogu, szczęśliwy o tyle, że umarł po chrześciańsku, pojednany z Bogiem i opatrzony św. sakramentami przez tegoż ojca Ławrynowicza, który i wielkiego Adama przed laty dysponował na śmierć.

---

(1) Paulina z Berwińskich Mizerska.
(2) Facsimile listu tego załączamy przy niniejszém.

(D. c. n.) *Antoni Bądzkiewicz.*



PRZYSZŁA WOJNA.

Uczony teoretyk ekonomista, niegdyś minister austryacki postanowił liczbami okazać, ileby kosztowała najbliższa wojna, do którejby przyszło w Europie. Czytelnik może się domyśla, że tym teoretykiem jest Albert Schäffle, który od niejakiego czasu, z przekonania, czy też z amatorstwa wtóruje kanclerzowi niemieckiemu. Tak, gdy niedawno jeszcze zanosiło się na wojnę z dwóch frontów prowadzić się mającą, i gdy książę Bismarck żądał od parlamentu niemieckiego powiększenia bojowéj siły Niemiec, ażeby przez to uniemożliwić wybuch wojny odwetowéj ze strony Francyi—Schäffle uważał za swój obowiązek dowieść liczbami Niemcom, iż bezpieczniéj dla nich i mniéj uciążliwém będzie głosować za podwyższeniem sił zbrojnych a témsamém i podatku na ich utrzymanie, niż się narażać na niepewne losy wojny, a pewne i ogromne koszta, jakieby za sobą niezawodnie pociągnęła tak dla zwycięzców jak i dla zwyciężonych. Wywody swoje drukował Schäffle w czasopiśmie *Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft*, i następnie ogłosił w osobnéj broszurze pod tytułem *Der nächste Krieg in Zahlen* (1887). Chociaż to praca tendencyjna, prowadząca wodę na młyn Bismarkowski, jednak liczby w niéj zawarte zdają nam się być bardzo nauczające: dlatego co ciekawsze podamy czytelnikom ku zbudowaniu i moralnemu obrokowi. Zakończymy znów te notatki uwagami innego teoretyka, p. Molinari, który nietyle cyframi, ile raczéj rozumowaniem chce przekonać, iż wojna coraz bardziéj staje się niemożebną.

Schäffle rozważa najprzód *koszta* i *długi*, jakieby przyszła wojna spowodowała. Już odpowiedź na to pierwsze pytanie, stanowczo, zdaniem jego, przemawia zarówno przeciw wojnie odwetowéj ze

strony Francyi jak i przeciw wojnie wschodniéj. Bo i cóż kosztowała Francyą ostatnia wojna z Niemcami? Ministrowie skarbu Bodet i Magne podawali urzędowy wykaz kosztów, pierwszy na 9, drugi na 10 blizko miliardów franków. Jeżeli do tego dodamy corocznie ponoszone wydatki na sprawienie materyału wojennego, okaże się, iż ostatnia wojna kosztowała *rząd* francuzki co najmniéj 12 miliardów franków. Ile stracił *naród*, trudniéj obliczyć; zawsze jednak nie lękając się przesady, można te straty szacować na 3 miliardy, co razem z powyższemi, stanowi taką fraszkę, jak 15 miliardów franków. Na cyfry te zgadzają się sami Francuzi.

Można jeszcze inną drogą sprawdzić te koszta. Pożyczki francuskie na cele wojenne równają się (urzędownie) sumie 8593 milionów frank; że jednak daleko więcéj czyniły wydatki na wojsko i uzbrojenie, świadczy pozycya w budżecie przeznaczona na procent i umorzenie długu rządowego. Przed rokiem 1870, a więc przed wybuchem wojny—procent od długu wynosił 490 milionów fr., dług zaś 12 miliardów fr. W budżecie francuskim na r. 1886, dług rządowy pochłania w procentach i amortyzacyi 1267 milionów, co reprezentuje, lekko rachując, 32 miliardy kapitału.

Z powyższego widać, jak drogo kosztowała Francyą ostatnia wojna; przyszła byłaby niewątpliwie jeszcze kosztowniejszą i w nowe długi obfitszą, albowiem wystąpiłyby przeciw sobie daleko większe siły zbrojne, niż w 1870. Środki zniszczenia są dziś doskonalsze, ale i droższe; materyał wojenny, przeznaczony na zniszczenie, daleko cenniejszy i liczba powołanych do walki ojców rodzin byłaby znacznie większa, niż wówczas. Można tedy, lekko rachując, ocenić straty w nowéj wojnie między Francyą i Niemcami na 16 miliardów, a gdyby równocześnie na wschodzie dwa drugie mocarstwa wystąpiły do zmierzenia sił swoich, na 30 miliardów marek. W razie przegranéj stanowczéj, zwyciężeni musieliby wziąć na siebie cały ten ciężar, a w najlepszym wypadku po $1/4$. Jakby ten nowy ciężar okrutnie zaważył na kontrybuentach, o ile trzebaby podnieść podatki, tego dowodzić nie potrzeba. Warto więc, żeby ci, co wojnę uważają za nieuniknioną, wzięli te liczby do serca i nie igrali z dyabłem: gdyby się ukazał, pomarliby ze strachu.

Ciężary, idące za taką powszechną wojną, dałyby się uczuć naturalnie temu państwu najdotkliwiéj, które podatkami już jest mocno uciśnione. Otóż dość wiarogodna statystyka pokazuje, że Niemcy stosunkowo nie są jeszcze podatkami zbyt przeciążone, gdyż na głowę przypada u nich 15 marek, w Austro-Węgrzech 21 m., we Francyi 50 m., w Rosyi 12 m. Niemniéj jednakże, gdyby przyszło tylko dwóm mocarstwom zapłacić koszta przyszłéj wojny w sumie

16 miliardów, same procenta od zaciągnionego na ten cel długu uczyniłyby 640 milonów marek, przypuszczając żeby dostano pieniędzy na 4%. Rachując po połowie na każdą z obu stron walczących, i tak przyszłoby do budżetu wydatków wciągnąć po 320 milionów marek, które oczywiście tylko przez podniesienie podatków możnaby osiągnąć. Ale, gdyby, co jest najprawdopodobniejsze, pieniędzy nie można było dostać na 4%, lecz na 5 lub 6%, w takim razie trzebaby roczne wydatki państwa zwiększyć o 800, a może o 1000 milionów marek. Otóż, takiéj sumy nie zdołanoby osiągnąć ani z monopolu od tytoniu i gorzałki, ani z podwyższonych opłat stemplowych. Ztąd wniosek, że lepiéj jest przystać na zwiększenie o kilkadziesiąt tysięcy ludzi siły zbrojnéj, co może o markę lub kilkadziesiąt fenigów na głowę zwiększyć podatki, aniżeli narażać się na kolosalny dług i równie kolosalny od niego procent.

A teraz przejdźmy do siły zbrojnéj. Francya, oprócz kolonii ma okrągło 38, Austrya 38,7, Rosya europejska 88, Niemcy 46,8 milionów mieszkańców. Liczba wojsk, jakie każde z tych państw wystawić może, nie da się ściśle oznaczyć dla tego głównie, że nie wiemy na pewno o sile pospolitego ruszenia. Francya, podług teraźniejszéj swojéj organizacyi wojskowéj, mogłaby podobno wyprowadzić w pole wraz z armią czynną 3,750,000 ludzi; Niemcy około 3 milionów. Ponieważ cyfry pospolitego ruszenia nie są dość pewne, więc pozostawmy je na boku. Otóż, armia w ściślejszém znaczeniu liczy:

	na stopie pokoju	na stopie wojennéj
w Niemczech	449,355 ludzi	1,450,000 ludzi
„ Francyi	523,283 „	1,750,000 „
„ Austro-Węgrzech .	287,000 „	1,280,000 „
„ Rosyi (europ.) . .	890,000 „	2,000,000 „

Zkądinąd wiadomo, że te cyfry są za niskie, i że właściwie siły zbrojne (oprócz pospolitego ruszenia) tych czterech państw wynoszą, okrągło licząc:

w Niemczech	2,700,000
„ Austro-Węgrzech . . .	1,280,000
razem (okrągło)	cztery miliony
„ Rosyi	2,900,000
„ Francyi	2,900,000
razem	5,800,000 ludzi.

Nie biorąc w rachubę jakości żołnierza, tylko ilość, oczywistém jest, powiada Schäffle, że Francya i Rosya mają znaczną przewagę wojskową nad Austro-Węgrami i Niemcami, a zatém parlament niemiecki powinien uchwalić żądane przez kanclerza podniesienie stopy pokojowéj w Niemczech, co właśnie było do dowiedze-

nia. Wiadomo, że parlament uchwalił wzmocnienie zbrojnych sił niemieckich, ale przyczyniły się do tego nie cyfry przez Schäfflego nagromadzone, lecz złamanie partyi *środkowéj* za pomocą wpływu papieskiego.

Ale skoro wojna uznawana jest przez niektórych za konieczną, lubo tymczasem odroczoną, i skoro, gdyby wybuchła w tych rozmiarach, jakie przewidują, musiałaby przywieść do ruiny najbardziéj cywilizowane narody Europy: czyby dla jéj uniknienia nie można się rozbroić? Są tacy, którzy w prostocie ducha uważają to za możebne. Nasz autor nazywa frazes o rozbrojeniu najbezmyślniejszym, jaki kiedykolwiek wyrzeczono. Bo i któż pierwszy ma się rozbroić? Oczywiście ci, którzy najdłuższe bóty wojskowe nozsą i najliczniejsze mają armie. Tymczasem ci ani myślą się rozbrajać; gdyby zaś chciano ich do tego zmusić, przyśpieszonoby właśnie wybuch wojny, któréj pragniemy uniknąć. Kto zatém doradza rozbrojenie a nie podaje sposobu, jakby je przeprowadzić, doradza wojnę nie pokój. Rynsztunek spółczesnych narodów jest, co prawda, bardzo ciężki; można sobie życzyć, by się stał lżejszym. Jednakże, póki narody nie zrozumieją solidarności swoich interesów, póki nienawiść i żądza odwetu nie ostygną, póty o rozbrojeniu myśléć nie można. Czas taki nadejdzie, gdyż inne części świata już europejczyków przerastają i siły zbrojne i podatkowa płatniczość narodów europejskich bliskie są punktu kulminacyjnego—nim jednak to przymusowe i biegiem rzeczy spowodowane rozbrojenie nastąpi, trzeba proch trzymać suchy.

Zdaniem Schäfflego, przyszła wojna mogłaby wybuchnąć tylko w dwóch wypadkach: gdyby któreś z wielkich mocarstw chciało wyłącznie dla siebie zagarnąć Dardanelle i zamknąć morze śródziemne dla marynarki innych narodów, albo to samo uczynić z kanałem Sueskim; drugi wypadek, gdyby Francya chciała się pokusić o odebranie prowincyi utraconych. Pierwszą alternatywę, uważa nasz autor, za nieprawdopodobną; gdyby bowiem które z mocarstw chciało dla siebie wyłącznie skonfiskować Dardanelle i Suez, wszystkie interesowane państwa znalazłyby się w jednym obozie przeciw takiemu zuchwalcowi i zmusiłyby go do zaniechania projektu. Właściwie, najwięcéj obawia się tego Anglia i dlatego popycha innych, by dla niéj kasztany z ognia wyciągali. Ona-to nie puszcza wschodniego mocarstwa do Bulgaryi lękając się o Dardanelle; ona podjudza Austryą, wmawiając w nią, że interes jéj wymaga rozciągnienia protektoratu nad małemi państwami półwyspu Bałkańskiego. Tymczasem w utrzymaniu wolnéj drogi do Indyi, Azyi wschodniéj i Afryki są jednakowo interesowane wszystkie cywilizowane

narody Europy. Byłoby więc szaleństwem, gdyby Austro-Węgry dla jakiejś tam Bulgaryi, a właściwie ku pożytkowi Anglii chciały obarczyć swój budżet 600 lub choćby 300 milionami marek. Węgrzy wprawdzie pragną odwetu za Vilagos, ale przecież dla téj zachcianki niepodobna zrujnować całego państwa. Więc ze Wschodu, o tak zwaną kwestyą wschodnią, Europa nie powinnaby się obawiać wojny. Niemcy i Austryacy nie mogą i nie powinni walczyć przeciw Rosyi w obronie interesów angielskich. Gdyby tedy któreś z państw chciało drogę na Wschód wyłącznie dla siebie zabrać, wówczas wszystkie inne mocarstwa postarają się o utrzymanie pokoju i wolnéj komunikacyi: Anglia z powodu Indyi, Francya z powodu swoich osad w Azyi i Afryce, Niemcy z powodu wschodniéj Afryki, Włochy z powodu morza Czerwonego, a wszyscy z powodu Chin, z których teraz nawet herbata przez Suez wielkiemi masami idzie do Rosyi. A więc jasném jest, że żadne z państw interesowanych na Wschodzie nie rozpocznie wojny na własną rękę, gdyż byłoby przez koalicyą innych powstrzymane; wszystkim im wspólne interesa nakazują pokój, nie wojnę. Interesa te skuteczniéj przemawiają za pokojem niż wszelkie ligi pokoju i międzynarodowe nienawiści.

Druga alternatywa mieszcząca wojnę odwetową ze strony Francyi dla odzyskania straconych prowincyi niemieckich także nie powinna prowadzić do starcia. Francya od r. 1870 zyskała 23 miliony nowych poddanych w Tunisie, Algieryi, na Madagaskarze i w Indyach; może więc łatwo odboléć stratę garstki Niemców, a tém samém i wojna od Zachodu przestanie wisieć nad Europą. Nim jednak do pojednania z Francyą przyjdzie, muszą Niemcy proch suchy trzymać, to jest powiększenie armii uchwalić — co było do dowiedzenia.

Jakiż tedy ostateczny wniosek z tych cyfr? Oto, że wojna jest niemożebna, ale tylko w takim razie, jeżeli Niemcy będą gotowe odbić skutecznie wszelkie zachcianki odwetowe ze strony Francyi, czyli gdy parlament uchwali pomnożenie armii na stopie pokojowéj *(Friedenspräsenz)*. Mając silniejszą niż dotychczas armią, Niemcy mogą zbrojną przewagą swoją albo niedopuścić wojny, albo na długie lata obezwładnić Francyą — a tymczasem nadejdzie pora: gdy narody europejskie, zapomniawszy wzajemnych nienawiści, poznają solidarność swoich interesów i ufając sobie wzajemnie więcéj niż dotychczas, same obniżą ciężary wojenne. Powyższe zatém cyfry dowiodły, jak mniema autor, że Niemcy mogą sobie pozwolić na powiększenie armii, gdyż zdolność ich podatkowa jeszcze nie jest tak wyczerpana, by nie mogła wytrzymać zwiększenia podatków o jakąś markę na głowę. Gdyby Niemcy nie chciały ponieść téj

drobnéj ofiary, to znaczyłoby, że wolą w razie przegranéj obciążyć swój budżet 600—800 milionami marek i tym sposobem do szczętu wyczerpać źródła podatkowe. Nareszcie, Niemcy i Austrya pod względem ilości sił zbrojnych nie są wcale górą nad Rosyą i Francyą i nie mogą dla siebie i Europy utrzymać pokoju, jeżeli armii nie powiększą.

Z powyższego widzimy, że Schäffle wcale dobrze spełnił obowiązki adwokata Bismarkowskiego, chociaż argumenta z cyfr zbudowane nie musiały trafiać do przekonania kanclerza, skoro szukał pomocy w Rzymie. Dla nas mają znaczenie już nie te specyalne interesa niemieckie, ile raczéj ta wiara autora w przyszłą solidarność interesów międzynarodowych, która ma uczynić wojnę niemożebną. Chciałoby się wierzyć proroctwu, a jednak mimowoli ogarnia ludzi sceptycyzm co do ustania kiedyś wojny. Gdyby to dyplomaci trzymający w ręku nici spraw publicznych oglądali się na sprawy ekonomiczne, na podatkowe źródła; gdyby narody i ich pedagodzy rządzili się rozumem nie namiętnościami — możeby wojny ustały. Jak obecnie rzeczy stoją, trudno żywić podobną nadzieję; militaryzm dzisiejszy, toczący jak rak narody europejskie, musi się rozbić o własne konsekwencye. Czy te konsekwencye są już tak niedalekie, jak zdaje się sądzić znakomity teoretyk niemiecki, nie chcemy rozstrzygać; warto przecież nad niemi pomyśléć.

Wiara w konieczność ustania wojen ożywia i drugiego ekonomistę, p. Molinarego. Argumenta jego lubo nie cyfrowe, są jednak logiczne i prowadzą do takich samych wniosków, jak i u Schäfflego. W bieżącym roku Molinari wydał dzieło pod tytułem *Les lois naturelles de l'économie politique*, gdzie między innemi rozważa także widoki przyszłych wojen. Zobaczmy jak on broni swojéj tezy.

Zważywszy nadzwyczajny rozrost uzbrojeń, do jakich doszły rządy cywilizowane w ostatnich zwłaszcza pięćdziesięciu latach, należałoby wnosić, że wracamy do stanu pierwotnego, do nieustającéj wojny wszystkich przeciw wszystkim. Nigdy w istocie, nawet w tych czasach, gdy państwa cywilizowane były zagrożone ciągłym najazdem barbarzyńców, środki obronne i zaczepne nie przybierały takich rozmiarów, jak za dni naszych. Dzisiaj nietylko wszyscy zdrowi mężczyźni obowiązani są do służby wojskowéj w państwach europejskich lądu stałego, kiedy w starożytności większa część ludności wolna od niéj była; ale doczekaliśmy tego, iż w słabe ręce dzieci dają broń, organizując tak zwane bataliony szkolne i przyzwyczajając je od najwcześniejszéj młodości do polowania na swoich bliźnich. Na wszystkich granicach jeżą się twierdze i obozy ufortyfikowane; rokrocznie miliony, ba nawet miliardy idą na udosko-

nalenie materyału wojennego w armii lądowéj i morskiéj. Zdawałoby się tedy, że wojna niedługo stanie się tém, czém była w wiekach barbarzyństwa, najszlachetniejszém zajęciem człowieka cywilizowanego i nieustającą troską narodów. Czém się jednakże dzieje, iż wojna wybucha tylko z przerwami, że się stała do tego stopnia niepopularną, iż profesorowie akademii wojskowych sami radzą narodom, by sobie tego zbytku, t. j. wielkiéj wojny rzadko pozwalały, tak np. co lat 15 lub 20? Czemu narody coraz bardziéj rujnują się na uzbrojenia, a z drugiéj strony coraz więcéj zwlekają termin ich użycia? Czemu przemysł dostarczający środków zniszczenia skazany jest na próżnowanie w ciągu długich przestanków, gdy tymczasem i oręż i żołnierz rdzewieją?

Zjawisko to wynika z dwóch przyczyn: pierwszą jest ta okoliczność, iż wojna stała się przemysłem *nieprodukcyjnym*; drugą, iż wojna coraz bardziéj zamienia się na nieszczęście międzynarodowe.

Po wszystkie czasy wojna prowadziła za sobą zniszczenie, upadek, lub co najmniéj osłabienie i zubożenie zwyciężonego, a zbogacenie zwycięzcy. W epoce, gdy pobudką do wojen było ludożerstwo lub łupiestwo, nabranie jeńców zamienianych w niewolników lub sprzedaż zwyciężonych, widziano w niéj obfite źródło korzyści dla zwycięzcy. Wojnie-to Rzym zawdzięczał swoje bogactwa i wielkość; żaden inny przemysł nie byłby mu tyle przyniósł.

Przeciwnie zaś teraz. Gdybyśmy zrobili obrachunek z wojen nowożytnych, przekonalibyśmy się, że kosztowały zwykle więcéj, niż przynosiły zysku zwycięzcy; że obie strony zamykają swój bilans ze stratami; słowem, że wojna przestała być produkcyjną. Pochodzi to ztąd, że walczący używają teraz środków bardziéj udoskonalonych, ale i kosztowniejszych, nie zmniejszając ilości wojowników; dlatego téż wojna drożéj ich kosztuje, gdy tymczasem dochody na pokrycie tych kosztów maleją: nie można przecież w obecnym stanie cywilizacyi pożerać zwyciężonych, zamieniać ich w niewolników, lub tak bez ceremonii dóbr ich konfiskować, jak się to dawniéj praktykowało. Co najwyżéj, można ich obłożyć kontrybucyą, lub zabrać kawał ziemi. Tak Niemcy zabrały Francyi po wojnie 1870 Alzacyą i część Lotaryngii, a oprócz tego kontrybucyą w ilości 5 miliardów fr. Korzyści te zdają się być na pierwszy rzut oka dostatecznym zyskiem z produkcyi wojennéj. Ale gdy weźmiemy na uwagę cały naród niemiecki, możnaż powiedzieć, że ta zdobycz terytoryalna i ta kontrybucya równają się ofiarom i stratom, jakie poniósł przez wojnę z r. 1870, nie licząc tego, co go jeszcze będzie kosztowała? Przyłączenie Alzacyi i Lotaryngii wyszło na korzyść tylko biurokracyi, zwiększyło bowiem targowisko dla nie-

mieckich urzędników; za to znów wystąpili z nimi do konkurencyi Alzato-Lotaryńczycy, dla których się zamknęły posady we Francyi. Alboż ogół narodu niemieckiego skorzystał wiele z kontrybucyi 5 miliardowéj? Czyż ją rozdzielono słusznie między wszystkich co brali udział w wojnie, lub którzy opłacili ją cierpieniami? Albo może posłużyła do ulżenia podatków? Wiadomo, że inaczéj jéj użyto, a tymczasem wzrosła obawa odwetu ze strony Francyi, zkąd znów nowe ciężary spadły na niemieckich kontrybuentów. Zróbmy podobny obrachunek ze wszystkich wojen nowożytnych a przekonamy się, że żadna nie zbogaciła zwycięzców.

Daléj, wojna stając się nieprodukcyjną, przybierała coraz bardziéj charakter nieszczęścia międzynarodowego. Z początku niedole idące w ślad za wojną, jako-to: śmierć ludzi, zniszczenie własności, przerwy w pracach produkcyjnych i handlu, ograniczały się do niewielkiéj przestrzeni. Nietylko stan wojenny prawie nieustający między gromadami ludzkiemi utrudniał wymianę produktów wewnątrz kraju, a handel zagraniczny czynił żadnym, lub mało znaczącym; ale prócz tego wadliwość lub zupełny brak środków komunikacyjnych nie pozwalały na jego rozwinięcie. Gdy w takich warunkach wybuchła wojna, szkody przez nią zrządzone nie przekraczały zwykle granic, wśród których się toczyła. Zniszczono kilka powiatów, ale reszta kraju nie odczuwała tego, a jeszcze mniéj inne narody. Lecz gdy bezpieczeństwo wzrosło, gdy się środki komunikacyjne rozwinęły i udoskonaliły, gdy przemysł spotężniał, a handel stał się międzynarodowym, zmieniło się też położenie: wojna przestała być nieszczęściem miejscowém, zamieniła się na powszechne. Trzeba téż dodać, że narody najbardziéj ucywilizowane głównie odczuwają to nieszczęście, gdyż są ściśléj ze sobą interesami związane. Podczas wojny w Unii amerykańskiéj, gdy się Stany południowe chciały oderwać od północnych, fabryki europejskie przerabiające bawełnę znalazły się nagle pozbawione materyału do przeróbki i póki zwiększona uprawa bawełny w Indyach, Egipcie i Brazylii, nie zasiliła targów, tysiące robotników ujrzało się bez roboty i spadło na barki dobroczynności publicznéj. Po skończonéj wojnie nastąpiło drugie przesilenie spowodowane koniecznością zmniejszenia produkcyi bawełny w owych krajach. Tym sposobem wojny teraźniejsze pociągają za sobą nietylko szkody bezpośrednie w miejscach gdzie się toczą, lecz sprawiają nadto szkody pośrednie odbijające się w całym świecie handlowym.

Szkody pośrednie, o jakich mowa, są rozmaitego rodzaju; spadają one wprost, lub drogą reperkusyi, na wszystkie narody w handlu powszechnym udział biorące, na wszystkie warstwy społeczeń-

stwa aż do robotnika żyjącego z dnia na dzień, owocem swojéj pracy. Gdy nadto rozważymy, że handel międzynarodowy, pomimo wszelkich przeszkód, ciągle wzrasta, przekonamy się, iż wojna będzie coraz bardziéj przybierała charakter nieszczęścia międzynarodowego. Tak np. blizko 4 miliony Francuzów zawisło dziś wprost od zagranicy co do swojego utrzymania; tymczasem przed laty 50, ledwie pół miliona było w tém położeniu. Przypuściwszy że za lat 50 obecna liczba tylko się podwoi, wowczas wojna, któraby przerwała handlowe stosunki Francyi z zagranicą, przyniosłaby ludności produkującéj artykuły wywozowe, jak niemniéj takiéjże ludności obcéj produkującéj artykuły wwożone do Francyi, szkody tak olbrzymie, iż trudno sobie wyobrazić, jakby ją zdołano przetrzymać.

Tym-to nadzwyczajnym szkodom sprawianym przez wojnę należy przypisać coraz głębszy i powszechniejszy wstręt do niéj pośród ludności oddanéj pracom produkcyjnym, jak niemniéj pewnemu postępowi w prawie narodów odnośnie do handlu morskiego. Prawo to wymaga nagrodzenia szkód zrządzonych przez wojnę. Chociaż bowiem nie można dwóm narodom zostającym w sporze odmawiać prawa zmierzenia się w wojnie i wyrządzenia sobie nawzajem szkód za nią idących; można za to odmówić im bezwarunkowo prawa wyrządzania szkód innym i domagać się ich nagrodzenia. W istocie, prawo narodów uznaje, w razie wojny a nawet rewolucyi, potrzebę indemnizacyi za szkody bezpośrednie sprawione cudzoziemcom. Gdy tę zasadę zastosują i do szkód pośrednich żaden naród nie będzie tak bogaty, by sobie mógł pozwolić na taki zbytek, jak wojna.

Jeżeli wszakże wojna staje się coraz mniéj produkcyjną i coraz większém nieszczęściem międzynarodowém, czém sobie objaśnić że narody cywilizowane coraz więcéj się zbroją? Zjawisko to znajduje swoje objaśnienie w przeciwieństwie interesów, zachodzącém między klasami rządzącemi a rządzonemi odnośnie wojny i pokoju. Klasy rządzące widzą swój interes w ciągłém powiększaniu wydatków publicznych, tym bowiem sposobem znajdują w płatnych urzędach hierarchii wojskowéj i cywilnéj ujście dla swoich synów. Pod wpływem osobistego interesu pragną to targowisko rozszerzyć. Dzięki przeważnemu wpływowi jaki im zapewnia pozycya i wyższość umysłowa, wmawiają w masy narodu, iż bezpieczeństwo jego wymaga niebywałych przygotowań wojennych. Przedstawiają mu inne narody, jako barbarzyńców gotowych ciągle do najścia i łupiestwa, albo jako zazdrosnych, niechcących uznać cudzéj wyższości wrogów, którzy czyhają na pozbawienie go wpływu i sławy. Jeżeli naród odniósł zwycięstwo w poprzedniéj wojnie, czyż nie powinien być gotów do odparcia spodziewanego odwetu?

Jeżeli, przeciwnie, został pobity, nie powinien-że czuwać nad swojém bezpieczeństwem i gotować się do odwetu?

Ludzie, dla których wojna jest rzemiosłem—oczywiście nie żołnierze zapełniający szeregi, lecz hierarchia, któréj wojna daje pole do awansu—ludzie ci ze wszystkich sił do niéj popychają. Jakoż, zdarza się pożądana okazya—wojna już wisi na włosku. Ale wnet też interesa przez nią zagrożone podnoszą alarm i całą swoją siłą popychają w stronę pokoju; rodziny dostarczające mięsa dla armat, przychodzą im w pomoc; rządy zaczynają się wahać, mija moment psychologiczny— pokój utrzymano. Zaczyna się dalsze zbrojenie w przewidywaniu przyszłéj wojny, tym razem już niechybnéj.

Nazywają zwykle utopistami ludzi wierzących w nastanie wiecznego pokoju. Jeżeli jednak zważymy drogę, jaką przebyła cywilizacya i stan, do jakiego ludy doprowadziła; należałoby raczéj utopistami nazwać umysły zacofane, wierzące, iż wojna trwać będzie wiecznie.

Tak o wojnie rozumuje stary ekonomista szkoły liberalnéj. Uwagom jego trudno odmówić słuszności; a swoją drogą, zarówno on jak i Schäffle przewidując coraz mniejsze prawdopodobieństwo wojny, a z czasem może zupełne jéj ustanie—biorą za argument jedynie względy ekonomiczne: coraz większe wyczerpanie środków materyalnych, pochłanianych przez kolosalne uzbrojenia, coraz kosztowniejsze narzędzia zniszczenia a ztąd niemożność podołania przez kontrybuentów—kosztom, zaspakajanym ostatecznie z podatków. Zapominają wszakże ekonomiści o innych momentach działających w człowieku nawet cywilizowanym, o tych pobudkach antyspołecznych grających w duszy dzisiejszych ludzi, choćby opatrzonych w dyplomy doktorskie. Przez pokost cywilizacyi, wygląda jeszcze stary barbarzyniec, ludożerca gotów w zapale, czy w fanatyzmie, jeżeli nie literalnie zjeść nieprzyjaciela, to zawsze uczynić go nieszkodliwym, to jest obłupić ze skóry.

Jeżeli do dziśdnia ludy cywilizowane, chrześciańskie mogą, w razie wybuchłéj między nimi wojny, zanosić modły do tego samego Boga o powodzenie swojego oręża, to jest ostatecznie o jak największe szkodzenie przeciwnikowi; jeżeli sumą zabitych i wielkością zniszczenia mierzą zasługi bohaterów: to oczywiście barbarzyństwo takie nietylko świadczy o dziwnie skrzywionych pojęciach religijnych, ale razem nie pozwala długo jeszcze spodziewać się ustania wojen na świecie.

Stosując jaknajopaczniéj hipotezę ewolucyjną Darwina do gromad ludzkich i życia społecznego, teoretycy widzą w tak zwanéj walce o byt, zasadę do usprawiedliwiania wojny, mającéj decydo-

wać, które organizmy narodowe są uprawnione do życia, a które są skazane na zagładę i pochłonięcie przez grube ryby. Jeżeli profesorowie uniwersytetów, uczeni *Staatslehrer* starają się przekonać prostaczków, iż wojna była od początku i będzie do końca świata jedynym sądem bożym, nie znającym apelacyi; jedyną szkołą cnót męzkich, broniącą narody od skarłowacenia, zgoła instytucyą (!) opatrznościową (!); to nic dziwnego, że są utopiści, sceptycy nie obiecujący sobie ustania kiedykolwiek wojen.

Niemniéj, przyglądając się prasie, jak ją ogarnia rozpacz, gdy nie widzi „czarnych punktów" na horyzoncie politycznym; jak się zmniejsza liczba prenumeratorów, gdy dzienniki nie dmą w surmę wojenną; trzeba wątpić i o zachwalanéj naszéj cywilizacyi i razem przyjść do przekonania, że dziki człowiek siedzi jeszcze w skórze dzisiejszych najucywilizowańszych narodów, i nie tak łatwo porzuci wojnę, chociażby mu dowiedziono, że ten przysmak coraz drożéj kosztuje, że ta zabawa jest „nieprodukcyjną i coraz większém nieszczęściem międzynarodowém." Jest to fakt historycznie dowiedziony, że jedna wojna rodzi drugą; że każda z nich zostawia spory niezałatwione, krzywdy nienagrodzone, interesa ekonomiczne i moralne pogwałcone, nienawiści międzynarodowe i rasowe zażegnięte: słowem, materyał do nowych zapasów.

Jedyna nadzieja przyjaciół wiecznego pokoju leży w *niemocy* chętnych zawsze do boju pokostowanych dzikich: gdy się militaryzm rozbije o własne konsekwencye, gdy wyssie wszystkie źródła ekonomiczne, gdy nie będzie mógł budować dział rzucających pociski ważące po 2000 funtów, a pancerników pokrytych blachą grubą na 24 cale; gdy nareszcie środki zniszczenia dojdą kresu doskonałości—wtedy niemoc materyalna przetnie lub bardzo ograniczy wojny, nauczy ludzi cnoty z musu. Tymczasem człowiek o tyle się udoskonali umysłowo i moralnie, że ze zgrozą będą opowiadali starzy młodszym o czasach, w których stało po kilka milionów żołnierzy pod bronią gotowych do dzikiego tańca. Może i to utopia.

K.





LISTY CZESKIE.

XV.

Naród czeski ma w dzisiejszych czasach dwóch wrogów do zwalczenia, lub przynajmniéj do zwycięskiego odparcia, jeżeli chce zabezpieczyć i utrwalić swoje istnienie: jednego zewnętrznego, drugiego wewnętrznego. Zewnętrznym wrogiem są szowiniści niemieccy, wewnętrznym—narodowi pesymiści, i charakterystycznym zaiste jest objawem, że zarówno jedni jak drudzy odmawiają narodowi czeskiemu wszelkiego prawa bytu, gdy tymczasem ów naród czeski faktycznie z każdym dniem staje na coraz pewniejszym gruncie politycznym i społecznym i w swojém mniemaniu dąży do pomyślnéj pod każdym względem przyszłości. *Qui vivra, verra!*

Nasi krańcowi narodowcy niemieccy, mimo niepowodzeń w walce narodowéj przeciw tak bardzo niewygodnym dla siebie Czechom, a może właściwie z powodu tych niepowodzeń, doszli do takiego rozgoryczenia, do takiego narodowego fanatyzmu, że teraz już, przy każdéj sposobności, rzucają nam w twarz bez żadnéj ceremoni groźbę: *Musimy was wytępić i wytępimy.* Ponieważ wytępienie całego narodu jest już rzeczą zdecydowaną, więc dla każdego prawdziwego Niemca systematyczne gnębienie, gdzie i jak tylko się da, pojedyńczych Czechów stało się najświętszym obowiązkiem narodowym. Naturalnie wymordować całkiem Czechów w téj chwili jest niemożliwością; odkłada się to aż do wybuchu wielkiego boju sławiańsko-germańskiego, „którego pierwszą ofiarą (jak to już dziś słyszymy) paść musi naród czeski; zetrą go między sobą niby dwa młyńskie kamienie germanizm i słowianizm, resztki zaś wchłonie w siebie niewątpliwie zwycięski germanizm.“ Tak pisze recheinberska „Gazeta ludowa niemiecka“ z dnia 4 marca 1887 r., a d-r Knotz, najgło-

śniejszy przedstawiciel krańcowo niemieckiego szowinizmu, wypowiedział to wszystko nierównie wyraźniéj w izbie poselskiéj w Wiedniu 5 maja r. b. Niektóre ustępy z jego mowy zasługują na przytoczenie, bo są autentycznym wykładem poglądów naszych krańcowych liberałów niemieckich. Knotz mówił między innemi:

„W walce narodowéj, toczącéj się obecnie w Czechach, chodzi nie o równouprawnienie, ale o to, kto w tym kraju ma być panem, kto uciśnionym, kto zwycięscą, kto pokonanym. W państwie jeden tylko naród może być panującym—mniejsze narodowości muszą się poddać większéj. Musi wreszcie i z téj strony Litawy przyjść do rozstrzygnięcia kwestyi, czy Niemcy, czy téż Słowianie mają miéć przewagę — i sądzę, że to rozstrzygnięcie może wypaść tylko na korzyść Niemców. W takich warunkach jedynym środkiem przywrócenia trwałego stanu rzeczy, jest wyodrębnienie Galicyi i Dalmacyi, zjednoczenie dawnych krajów rzeszy niemieckiéj w jeden spoisty organizm, *któryby znalazł silne oparcie w zabezpieczonym politycznie stosunku do pokrewnego pod względem plemiennym cesarstwa niemieckiego.*

„Pokój może zapanować w Czechii dopiéro wtedy, kiedy Czechy przyjdą do tego przeświadczenia. Kwestya czeska jest przedewszystkiém kwestyą niemiecką i jeżeli tak daléj pójdzie, stanie się dla Niemiec najbliższą sercu sprawą, jak niegdyś kwestya szlezwicko-holsztyńska.

„Niemiecka Austrya a z nią Czechy i Morawia należały niegdyś do cesarstwa niemieckiego i tylko przez Niemcy do Austryi przeszły. Prawo historyczne narodu niemieckiego do Czechii i Moraw jest starsze, niż mgliste prawa polityczne Czech. Austrya wykrojona jest z niemieckiego ciała i ma posłannictwo wnosić kulturę niemiecką na południowo-wschodnie kresy. Do niemieckiéj Austryi zostały dopiéro wcielone inne nie-niemieckie kraje. Obecny system zdaje się zrywać z dawnemi tradycyami; na miejsce niemieckiéj Austryi ma wystąpić Austrya słowiańska. Wątpię, ażeby ten zmurszały, popękany gmach państwowy mógł znieść taką zamianę fundamentów, i lękam się, ażeby przy takiém zachwianiu ich, gruzy budowli nie zasypały nieszczęsnego budowniczego.

„W czasie, kiedy zasady narodowości coraz większe zdobywają sobie prawa, kiedy narody coraz ściśléj około siebie się grupują, państwo, tak pstro-różnolite jak Austrya, ma za zadanie zaspakajać przedewszystkiém te narodowości, które są częścią składową wielkiego potężnego na cały świat narodu, a takiemi częściami są w Przedlitawii wyłącznie Niemcy i Włosi. Dzisiejszy prezes ministrów szuka oparcia w Czechach i Słoweńcach i oddaje Włochów

na ofiarę brutalności słowiańskiéj, a Niemców na pastwę czeskich gwałtów. Jest-to największa sprzeczność między zewnętrzną i wewnętrzną polityką.

„Gdyby nawet na zewnętrzną politykę Niemiec nie działały tak silne wpływy tamtejszéj opinii publicznéj, to niemniéj należy uwzględnić, że nasi plemienni bracia coraz silniéj odczuwać zaczynają cierpienia nasze i dochodzą do coraz jaśniejszego przeświadczenia, że pod względem narodowym do nas należą, że my jesteśmy ciałem ich ciała, kością ich kości i że wielki naród niemiecki nie może obojętnie patrzéć na jakie przemoce sławiańskie jesteśmy narażeni, my, mieszkańcy staréj Marchii wschodniéj.

„Niemcy święciły już swoje narodowe odrodzenie, naszém zadaniem jest również pracować nad narodowém odrodzeniem i opóźnienie w pochodzie cywilizacyjnym wynagrodzić. *Przestaliśmy być czynnikiem decydującym w życiu państwowém.* Siła rzeczy powróciła nareszcie nas narodowców samym sobie i *dziś już powinniśmy tylko troszczyć się o nasze własne sprawy.* Zadanie to spełniać będziemy gorliwie, ożywieni niepodzielną miłością dla naszego narodu i silni przeświadczeniem, *że stanowimy część wielkiego organizmu niemieckiego, który na długo wyrzec się nas nie może.*

„Sąd historyi wyrzecze kiedyś wyrok na *przemoc, jaką Niemcy cierpiéć muszą w Austryi*; tymczasem jednak, kiedy patrzę na bezsilny stan odrętwiałego państwa nad Dunajem, przypominam sobie odezwanie się posła saskiego przy dworze wiedeńskim w 1848 roku hr. Vitzthum. (Nadmienić tu wypada, że wtedy w pewnych dworskich sferach austryackich nazywano Austryą „Franciskerl“). Hrabia Vitzthum powiedział tedy:

— Mnie tylko jedna myśl utrzymuje, że skoro już ten dogorywający „Franciskerl“ musi się rozsypać, to przynajmniéj popioły jego powinny umierzwić niemiecką rolę.“

Trudno wyrazić się jaśniéj, a jeżeli *clara pacta* mogą być uważane za cenną korzyść — to nie ulega wątpliwości, że w ostatnich czasach zdobyliśmy tę korzyść nad naszymi narodowymi wrogami niemieckimi: wiemy dokładnie czego chcą i na jakich nogach stoimy? Muszę tu jednak zastrzedz, że przez niemieckich wrogów narodowych rozumiem krańcowych narodowców, w których imieniu d-r Knotz przemawiał w izbie poselskiéj i że ta krańcowo-narodowa partya niemiecka bynajmniéj nie ogarnia wszystkich Niemców w Czechach i w pozostałych krajach austryackich. We wszystkich tych krajach naprzeciw krańcowo-niemieckiéj partyi stoi stronnictwo niemiecko-austryackie, wrogo dla Słowian nie usposobione, a w samych Czechach, nie tylko w Pradze ale w miastach niemiec-

kich, szczególniéj zaś wśród niemieckiéj ludności wiejskiéj, znajduje się bardzo wielu Niemców, którzy nie podzielają poglądów d-ra Knotza i po pierwsze: wierni są Austryi, a po drugie: nie uważają nienawiści dla Słowian za pierwszą i najwyższą cnotę narodową Niemca. Ponieważ zaś stronnictwa umiarkowane w czasach burzliwych zwykle spokojniéj się zachowują i nie tak hałaśliwie a demonstracyjnie występują jak partye krańcowe, które znów doskonale wyzyskując prawo o zgromadzeniach, umieją przedstawić się wszędzie za wyłącznie ton nadające i nie cofną się przed żadnym środkiem wywierania teroryzmu stronniczego, nie można przeto zaprzeczyć, że partya krańcowo-narodowa w niemieckich okolicach Czech panuje nad życiem publiczném i kierunek mu nadaje.

Z tego powodu program polityczny téj partyi, wypowiedziany tak bez ceremonii przez d-ra Knotza, zasługuje na uwagę nie tylko naszą ale i rządu austryackiego. Według owego programu, dla prawdziwego Niemca Austrya nie ma właściwie żadnego znaczenia; zmurszałe resztki tego państwa, popioły, jak mówi hr. Vitzthum, przeznaczone są tylko do użyźnienia gruntu cesarstwa niemieckiego, w tym celu naturalnie, aby z austryackiéj zgnilizny wykwitło nowe życie niemieckie. Jakkolwiek d-r Knotz wyraźnie tego nie powiedział, można jednak przypuścić, że Niemcy w Austryi nie zgniją, ani w popiół się nie obrócą, lecz że piękny los przekształcenia się na niemiecką mierzwę przeznaczony jest tylko nie-niemieckim narodom w Austryi, z wyjątkiem Włochów, którym d-r Knotz wspaniałomyślnie przebacza. Jako pierwszy i najważniejszy przedmiot do wytępienia, jako kandydatów, przeznaczonych *primo-loco* przez opatrzność niemiecką na metamorfozę w niemiecki nawóz, skazuje naturalnie ten program Czechów w Czechii i na Morawach. Z takiego stanowiska, narodowe, a broń Boże polityczne równouprawnienie Niemców i Czechów jest naturalnie olbrzymią niedorzecznością i ciężką obrazą niemieckiego narodu kulturowego. „Tak zwana czeska kwestya jest kwestyą czysto niemiecką“, to znaczy, że w téj sprawie mają być uwzględniane nie czeskie ale niemieckie interesa i pragnienia. „Krwią i żelazem“ załatwiona też musi być i czeska kwestya, mówi Knotz, i wskazuje najkrótszą drogę, na któréj możnaby pozbyć się niewygodnych Czechów. Gdyby nawet nie brać téj groźby zupełnie literalnie, to jednak w programacie krańcowych narodowców niemieckich powiedziano otwarcie, że im Czechy bardzo w drogę wchodzą, że zatém należy usunąć tę przeszkodę tamującą pożądany rozwój niemczyzny.

Tymczasowo, aż do chwili kiedy nareszcie „krew i żelazo“ całą sprawę ostatecznie ureguluje, czyli, inaczéj mówiąc, do czasu,

kiedy dwa kamienie młyńskie będą mogły dokonać koniecznego zmiażdżenia wszystkich Czechów, Niemcy mają, według wspomnianego programu, być nieograniczonymi panami w Czechach i w Morawii, od ich łaski i miłosierdzia zależyć będzie pozwolenie Czechom na wegetowanie jeszcze czas jakiś, dopóki nie znajdą się stosowne środki do postawienia ich na etacie wymarcia. Te środki są już po części proponowane i wcale nie źle pomyślane. Przedewszystkiém na porządku dziennym żądań narodowców niemieckich stoi polityczne i administracyjne *rozpołowienie Czechii.*

Ten podział Czechii na jedną część niemiecką i na drugą, która tymczasowo z nazwy przynajmniéj ma być czeską, zamierzają Niemcy w następujący sposób przeprowadzić.

W niemieckiéj części wszystko ma być bezwarunkowo niemieckiém: w urzędzie, w szkole, w sądach, w kościele będzie panował jedynie język niemiecki; czeski nie powinien być cierpiany nawet w zebraniach towarzyskich; wogóle Czesi nie będą cierpiani w niemieckiéj części Czechii, prawo zaś wolnego przesiedlania się ograniczone będzie dla Czechów w ten sposób, że Niemcom ma być wolno przesiedlać się z niemieckiéj Czechii do czeskiéj części kraju — ale Czechom będzie wzbronionem osiedlanie się w części niemieckiéj: siła rozprężliwości żywiołu niemieckiego nie może być niczém ograniczona, w przeciwnym razie możnaby zamierzonego celu nie osiągnąć.

W czeskiéj części kraju język niemiecki znalazłby najobszerniejsze zastosowanie jako język państwowy w urzędzie, w szkole, w sądach i wogóle w życiu publiczném. Tam musiałoby panować nietylko zupełne równouprawnienie żywiołów niemieckiego i słowiańskiego, ale uwydatnić się powinna niczém nieuszczuplona i w całém państwie „za zasadniczą uznana,“ uprzewilejowana pozycya Niemców, któréj najważniejszym punktem, jest, jak już wyżéj powiedziano, prawo przesiedlania się Niemców do czeskiej części kraju.

Tym sposobem Czesi byliby zaciśnięci w swoim wyłącznie terytoryum językowém, jak w zakładzie karnym, i tam albo udusiliby się we własnym tłuszczu, albo musieliby uledz sile rozprężliwości żywiołu niemieckiego.

Taka jest w krótkości treść programatu działania naszych krańcowych narodowców niemieckich. Rząd nie okazuje dotychczas żadnéj skłonności do popierania tych planów i dążeń, z tego zapewne powodu, że jest bądź-co-bądź rządem austryackim i nie może pracować nad całkowitém lub choćby tylko częściowém rozpłynięciem się monarchii austryackiéj w cesarstwie niemieckiém. A kiedy się

weźmie na uwagę, że kwestya czeska, t. j. spór narodowości między Niemcami a Czechami w Czechii stoi ciągle na pierwszym planie wszystkich politycznych rozpraw w Austryi, nie można opędzić się myśli, że zarówno rządowi jak dynastyi byłoby najprzyjemniéj, gdyby Czechia i Morawia, słowiańskie ze względu na znaczną większość ludności (w pierwszym kraju $^2/_3$ Słowian, $^1/_3$ Niemców, w drugim $^3/_4$ Słowian, $^1/_4$ Niemców), były na wskróś słowiańskiemi od jednéj granicy do drugiéj. Tak jednak nie jest i zapewne żadnemu rozsądnemu człowiekowi nie przyjdzie do głowy, mieszkających tam Niemców przerabiać na Słowian. Jesteśmy więc, z najgłębszego przekonania o niecofnionéj konieczności takiego rozstrzygnięcia sporu i bez żadnych tajonych chętek słowiańskiéj propagandy, za uczciwém przeprowadzeniem równouprawnienia obu w Czechii mieszkających narodów.

Wiedzą o tém Niemcy i popełniają tendencyjną niesprawiedliwość, kiedy dla podburzenia przeciw nam swoich ziomków i utrzymywania ich w kraju w potrzebnym stanie rozdrażnienia, mówią ustawicznie na wszelkie tony o grożącém „czechizowaniu", lub téż o gwałtach, jakie Niemcy znosić muszą w Austryi ze strony Słowian. Gdyby rzecz cała nie była tak poważną, możnaby właściwie śmiać się serdecznie z rozmaitych manewrów, używanych przez Niemców w celu poniżenia Czechów w oczach cywilizowanego świata. Elukubracye dzienników niemieckich w Czechach robią w tym kierunku swoje i wzbogacają literaturę niemiecką produktami, z których naród niemiecki nie ma się co chełpić.

Mówiłem już raz o tém, jak łatwo jest nieukształconych ludzi do bezgranicznéj dzikości przeciw innym podniecić, jeżeli im się tylko podda myśl, że stoją wyżéj o całe niebo od tamtych i że mogą sobie wszystkiego pozwolić względem niżéj od nich stojących. Ciągłe prawienie o niemieckiéj wyższości a słowiańskiéj niższości nie mogło naturalnie pozostać bez skutku wśród niemieckiéj ludności Czechii, zwłaszcza że natura ludzka potrzebuje do zaspokojenia swoich nieszlachetnych popędów przedmiotu, któryby mogła nienawidzić. Niemiec czeski, niezbyt wysoko pod względem umysłowym posunięty, ma tu sobie ustawicznie wskazywany taki przedmiot, do którego nienawiść przedstawia się jako postulat prawdziwie niemieckiego usposobienia; nikogo to więc dziwić nie powinno, że w masach niemieckiéj ludności w Czechii nienawiść do Czechów doszła do zastanawiającego stopnia.

Przytoczę tu jeden tylko przykład, z którego okaże się dowodnie, jak się objawia w życiu praktycznem ta nienawiść do Czechów.

W znanéj dobrze miejscowości kąpielowéj, Teplicach, na 47535 mieszkańców przypada 2476 Czechów (1). Jakkolwiek prawo o szkołach ludowych domaga się założenia szkoły dla 40 podlegających obowiązkowemu nauczaniu, niemieckie miasta w Czechii odmawiają systematycznie otwierania szkół czeskich dla dzieci czeskich mieszkańców. Stowarzyszenie szkolne czeskie (*Ustředni matice školská*) uważa za swoje zadanie otwierać w takich miastach szkoły prywatne na swój koszt. Przeciwko temu agitują naturalnie Niemcy wszelkiemi możliwemi środkami, ponieważ najprzód istnienie szkoły czeskiéj podaje w wątpliwość rzekomy „rdzennie niemiecki" charakter danego miasta, a powtóre gmina niemiecka lęka się, żeby późniéj nie była zmuszoną do utrzymywania szkoły czeskiéj z funduszów gminnych.

W Teplicach istnieje od wielu lat szkoła czeska, założona i utrzymywana przez *Ustředni matice školska*. Rodzice posyłający

(1) D-r Edw. Herbst: „Das deutsche Sprachgebiet in Böhmen." Praga 1887. Przytoczona tu jako źródło broszura przywódcy niemieckiego stronnictwa, d-ra Herbsta, jest naturalnie pismem stronniczém niemieckiém, co bynajmniéj nie znaczy, ażeby zawarte w niéj dane miały być dowolnemi zmyśleniami. D-r Herbst posiada do swoich cyfr źródła urzędowe, mianowicie konskrypcyą z 1880 r. Istniała w ówczesnych listach popisowych tendencyjnie przez niemiecko-narodowe ministeryum Auersperga wymyślona rubryka: *język używany*, która specyalnie miała służyć do zmniejszenia liczby Czechów osiadłych w Czechii i Morawii, w ten sposób, że wmawiano w nich, iż nie potrzebują podawać swojéj narodowości, lecz tylko język pospolicie używany, którym naturalnie w miejscowości zamieszkałéj przez Niemców musiał być niemiecki. Mimo to mówiono wtedy na podstawie tak sporządzonych list konskrypcyjnych i mówi się dziś jeszcze (czyni to i d-r Herbst w swéj broszurze): „w takiém a takiém mieście niemieckiém mieszka tylu a tylu Niemców i tylu a tylu Czechów. Jeżeli zatém w Teplicach np. mimo wszelkich wysiłków zredukowania do minimum liczby mieszkańców używających języka czeskiego, listy konskrypcyjne z 1880 r. wykazują cyfrę 2476 takich mieszkańców, to każdy bezstronny człowiek musi z góry dojść do przekonania, że nie jest-to dokładna cyfra. W 1883 r. założyła „Macierz szkolna" w Teplicach szkołę ludową 5-klasową. W 1885 r. uczęszczało już do niéj 547 dzieci, która to cyfra wzrosła w 1886 r. do 628, a w 1887 przewyższyła liczbę 700. W téj ilości 315 przypada na miejscowość kąpielową Teplitz-Schönau; reszta pochodzi z okolic, gdzie nie istnieją szkoły ludowe czeskie. Według zwykłego obliczenia (10 procent liczby mieszkańców stanowią dzieci szkolne), możnaby na podstawie 315 dzieci czeskich uczęszczających do szkoły liczbę Czechów mieszkających w Töplitz-Schönau oznaczyć na 3000. Wiadomo jednak, że około 200 dzieci czeskich chodzi w Teplicach do szkół niemieckich,—cyfra przeto mieszkających w Teplitz-Schönau Czechów dochodziłaby do 5000. — 27-go stycznia 1886 r. mieszkańcy kąpielowéj miejscowości Teplice podali prośbę do rady szkolnéj krajowéj o założenie w tém mieście czeskiéj szkoły ludowéj, na utrzymanie któréj łożyłaby naturalnie gmina miejska. Tu nastąpiły opisane wyżéj prześladowania i ucisk czeskich rodziców w celu zredukowania liczby czeskich dzieci, mających prawo do korzystania ze szkoły czeskiéj, niżéj ustanowionego prawnie minimum 40. Władze szkolne nie dały jeszcze w téj sprawie żadnéj odpowiedzi.

dzieci do téj szkoły należą po większéj części do klasy rzemieślniczéj i roboczéj. Otóż w celu zmuszenia tych rodzin, żeby dzieci nie posyłały do szkoły czeskiéj, władza gminna i ludność niemiecka rozpoczęły systematyczne przeciw nim prześladowania. Gospodarze domów takim proskrybowanym winni wymawiać mieszkania; fabrykanci i pracodawcy muszą opornym rodzicom odmawiać pracy, kupcy nie dawać im kredytu, dopóki nie wykażą, że ich dzieci uczęszczają do szkoły niemieckiéj. Pewien doktór L. publicznie oświadczył, że tepliccy Czesi wtedy dopiéro uwolnią się od tego prześladowania, kiedy wyrzekną się żądania szkoły czeskiéj, a odpowiednia deklaracya krąży od domu do domu i podawana jest do podpisu właścicielom domów i kupcom. Tak chce stowarzyszenie niemieckie narodowe, ogarniające wszystko swoim teroryzmem. Trzech prześladowanych w ten sposób Czechów przedsięwzięło podróż do Pragi i 13-go kwietnia na posłuchaniu u namiestnika Czech, barona Krausa zaniosło skargę na te trudne już do zniesienia stosunki. Namiestnik przyrzekł, że *według możności* będzie się starał temu zaradzić. Gdyby się okazało, że zaradzenie przez organa rządowe *jest niemożliwém*, to widocznie rzeczy u nas w Czechach tak stoją, że radykalne środki są nagląco potrzebne. Zresztą każdy nieuprzedzony czytelnik musiał i tak już dojść do przekonania, że stosunki publiczne w Czechach ułożyły się tak, jak nie powinny się układać w prawidłowo prowadzonéj gospodarce państwowéj.

Rząd austryacki znajduje się w tak zwanéj przymusowéj pozycyi i w swojéj wewnętrznéj polityce nie ma dotąd swobody ruchów. Względy na potężnego sąsiada niemieckiego wywierają tu zawsze bardzo znaczne wpływy. Kiedy w 1871 r. po rozwianiu się dla Austryi wszelkiéj nadziei odzyskania w Niemczech jakiejkolwiek ważniejszéj pozycyi, zamierzono radykalną zmianę w wewnętrznéj polityce i w tym celu postawiono u steru przyjazny Słowianom gabinet Hohenwartha, wiadomy był prawie powszechnie wpływ dworu berlińskiego, który spowodował upadek ministeryum po dziewięciomiesięczném zaledwie jego trwaniu i przywrócenie rządu stronnictwa niemiecko-narodowego. W 1879 r. ks. Bismarck był w Wiedniu; czasy i poglądy zmieniły się nieco. Widocznie w Berlinie zrodziło się przekonanie, że niepodobném jest, że nawet może być szkodliwém przekształcanie Austryi gwałtem na państwo narodowo-niemieckie. Poczęły się nowe kombinacye, które umożliwiły utworzenie gabinetu Taafego, przynajmniéj nie wrogo usposobionego dla żywiołów słowiańskich. Ale to ministeryum musi bardzo troskliwie baczyć, aby Niemcy austryaccy nie mieli usprawiedliwionych powodów do takich skarg i użalań, któreby dwór berliński mógł

przyjąć za dowody ucisku żywiołu niemieckiego. Ministeryum Taafego może więc swój program, zawarty w słowach: „Austrya będzie bezpieczném schronieniem i ostoją dla wszystkich swoich ludów“, tak starać się przeprowadzać, aby systematyczny ucisk i germanizacya ludów nie-niemieckich nie były uważane za najwyższy postulat jego zdolności do rządzenia,—ale też nie może stanowczo występować przeciwko Niemcom we wszystkiém tém, co uważają oni za stosowne i konieczne dla obrony swojéj zakwestyonowanéj hegemonii.

Kiedy więc chodzi o zasłonięcie Czechów od narodowych zapędów Niemców w Czechii, ministeryum znajduje się w pewnym kłopocie—dla tego też wątpić można, czy władze rządowe pomogą cokolwiek uciśnionym Czechom w Teplicach. Przeciwnie, gdyby coś podobnego zdarzyło się Niemcom w mieście czeskiém, np. w Pradze, gdyby tam za pośrednictwem władz gminnych, lub za pomocą agitacyi wywierano nacisk na niemieckich rodziców, żeby dzieci swoich nie posyłali do szkół niemieckich, wtedy rząd wiedziałby dobrze, co należy przedsięwziąć w celu przeszkodzenia temu naciskowi.

Można więc z zupełną słusznością powiedziéć: że czeskie mniejszości prześladowane w niemieckich gminach, czescy obywatele, krępowani przez Niemców w swojéj szczuplejszéj ojczyznie w używaniu swoich praw obywatelskich, nie znajdują dziś jeszcze u rządu austryackiego żadnéj opieki.

To też krańcowe stronnictwo narodowców niemieckich, które, jak powiedzieliśmy, przez agitacyą systematyczną bądź burzy i podnieca ludność niemiecką, bądź też ją teroryzuje, głosi bez przeszkody jako najgłówniejszy punkt swego programatu: usunięcie ludności czeskiéj z tak zwanego „zamkniętego terytoryum mowy niemieckiéj.“ Na to istnieją najprzód „niemieckie stowarzyszenia narodowe“, mające za zadanie krzewić wśród ludności prawdziwe zasady i poglądy. Rada gminna, rzetelnie w duchu niemieckim nastrojona, musi swoję prawomyślność w ten sposób objawiać, żeby żadnego Czecha do związku nie przyjąć; rzetelnie po niemiecku czujący właściciel domu ma obowiązek nie przyjmować Czecha do siebie na lokatora, a już mieszkającemu mieszkanie wymówić; prawdziwie niemiecki fabrykant nie powinien przyjmować żadnego robotnika czeskiego, a rzemieślnik-niemiec ma obowiązek odmówić roboty każdemu czeskiemu robotnikowi lub terminatorowi; gospodyni z niemiecką duszą nie ma prawa przyjmować służącéj czeskiéj a szczerze niemiecki piwosz obowiązany jest wstręt uczuwać do piwa z browaru pilzeńskiego, ponieważ większośc rady zarządzają-

céj tego browaru jest czeską. Obok „Stowarzyszeń narodowych“ odgrywających rolę kierowników sumienia patryotycznego, którzy ton nadają, istnieją we wszystkich miastach niemieckich „Stowarzyszenia rękodzielników niemieckich“ mające za zadanie przestrzegać, ażeby niemieckich terminatorów i czeladników było zawsze podostatkiem; nadto „Stowarzyszenia niemieckich gospodyń“, które powinne dbać o dostateczną ilość prawdziwie niemieckich służących, kucharek i mamek. „Niemieckie stowarzyszenia językowe“ troszczą się wszędzie o możliwą czystość mowy niemieckiéj w tych *Vereinach* i o usunięcie z niéj wszystkich wyrazów cudzoziemskich. Rzetelnie po niemiecku nastrojone reprezentacye gminne starają się wszędzie przeszkodzić tworzeniu stowarzyszeń czeskich. Gdzie tylko grono Czechów w celu rozrywki towarzyskiéj zapragnie założyć „besedę“, tam gminy niemieckie mają obowiązek wynaleźć takie przeszkody, któreby urzeczywistnienie tego zamiaru uniemożliwiły. Tu znów natrafiamy na środki praktykowane bezkarnie przez Niemców przeciwko Czechom a niepodobne do użycia w odwrotnym stosunku. Ani jedna reprezentacya gminy czeskiéj nie odważyłaby się tak postąpić względem stowarzyszeń niemieckich, jak gminy niemieckie poczynają sobie z czeskiemi. Powiedzieliśmy już wyżéj, że stan rzeczy u nas nie jest bynajmniéj takim, jakimby być powinien: równouprawnienie narodowe Czechów i Niemców nie stało się jeszcze pewnikiem i stanie się nim wtedy dopiero, kiedy zbiegiem szczęśliwych konstelacyi politycznych Austrya dojdzie do zupełnéj i niczém nie skrępowanéj swobody działania względem cesarstwa niemieckiego.

Niemcy będą mieli nawet i wtedy wielką w Austryi przewagę nad Czechami, bo Czesi mogą miéć pretensyą do narodowego i politycznego równouprawnienia, jedynie w prowincyach korony czeskiéj, podczas gdy Niemcom będzie zawsze zapewnione takie równouprawnienie we wszystkich pozostałych krajach monarchii austryackiéj.

Obok tego zewnętrznego wroga, tj. krańcowéj partyi narodowców niemieckich, która dość nam daje do czynienia i któréj pokonanie nie jest bynajmniéj tak prędko przewidywaném, ma naród czeski w ostatnich czasach wroga wewnętrznego do zwalczenia — chcę mówić o partyi pesymistów narodowych. Nazywam to partyą bo gdzie są uznani i ton nadający przywódcy, gdzie istnieją ich stronnicy i wielbiciele tam może być mowa o stronnictwie. Nadmienić zresztą wypada, że od początku 1887 r. a ściśléj mówiąc od 20 grudnia 1886 r. stronnictwo posiada własny organ—„Čas“.

Pesymiści istnieli zawsze i wszędzie tak samo, jak zawsze i wszędzie byli i są optymiści. Równie dobrze wiadomém jest, że prawdziwego bo przedmiotowego poglądu na świat szukać należy pośrodku między zbyt ufającym optymizmem i zabardzo niedowierzającym pesymizmem. Gdyby ktoś u nas, tj. w specyalnie czeskich sferach narodowych, był tego zdania, że zwycięstwo sprawy narodowéj do wrót już kołacze, że stare czeskie prawo polityczne zdobyło sobie całkowite, niczém nieuszczuplone uznanie, że cała Praga stanie się zupełnie czeskiém miastem, że wszyscy Niemcy w Czechii z przyjemnością przyklasną takiemu radykalnemu przekształceniu naszych stosunków publicznych, to podobne poglądy i nadzieje byłyby zbyt optymistyczne. Ale kiedy znowu ktoś, po bezprzykładném podźwignięciu się narodu czeskiego w ciągu ostatnich 40 lat, występuje niespodzianie z twierdzeniem, że nie osiągnęliśmy nic pod względem narodowym i że w przyszłości nic doniosłego nie zdobędziemy ani zdobyć nie możemy, że wszystkie nasze dążenia były bezowocne i takiemi nadal muszą pozostać, że narodowi czeskiemu nic innego nie pozostaje prócz dobrowolnéj germanizacyi, jeżeli nie chce uledz germanizacyi przymusowéj,—to ma się prawo wyrzec, że takie zapatrywania grzeszą zbytnim pesymizmem.

Kilka przytoczeń z organu nowego stronnictwa pesymistycznego wyjaśni nam, czego ci panowie właściwie chcą i do czego zmierzają. W pierwszym zaraz numerze „Czasu" czytamy:

„Wyobraźmy sobie walkę na śmierć i życie między Czechami a germanizmem. Z konieczności nadszedłby dzień, w którym ten lub ów musiałby postawić sobie pytanie: *Czy wątpliwa egzystencya tego narodu warta jest, żebym wszystkie siły mego ducha, które mogłyby być zwrócone do pozytywnéj pracy około postępu wiedzy, zużywał bezowocnie na wysiłki nie zdążające właściwie do tego postępu*? A gdyby ten naród mimo wszelkich moich wysileń musiał zginąć? Czyż nie moglibyśmy się przyłączyć do intensywnego i ekstensywnego życia umysłowego wielkiego narodu i zdobyć tym sposobem dla ludzkości i dla siebie więcéj aniżeli zdobyć możemy teraz obecnemi ograniczonemi siłami i środkami?"... „*Czy warte jest istotnie nasze istnienie narodowe wysiłku na podtrzymanie go,* czy cywilizacyjna jego doniosłość jest rzeczywiście tak bardzo wielka?" Tyle „Czas".

Według téj teoryi, każdy rozsądny ojciec mający dziecko słabowite, powinienby także postawić sobie pytanie: „Po co ja mam tracić czas i pieniądze na utrzymanie tego chorowitego, może nie zdolnego do prawidłowéj egzystencyi dziecka? Rzucę je do wody, tak jak się topi szczenięta lub kocięta, których się nie potrzebuje. A rozsądny syn, mający starego schorowanego ojca lub słabowitą

matkę, winien sobie także powiedzieć: Po co mam podtrzymywać na tym świecie niedołężnego ojca, który się już na nic w tym życiu nie przyda? Lepiéj go zabić razem ze schorzałą matką a czas mój i pieniądze korzystniéj zużytkować. Wreszcie rozsądny żołnierz powinienby według téj teoryi—zadawać sobie pytanie przed każdą bitwą: Czy jest pewność, że zwyciężymy? A jeżeli niema pewności, czy nie lepiéj byłoby, gdybym się na darmo nie wysilał, tém bardziéj że i kule świszczą naokoło i że jedna z nich zupełnie niepotrzebnie trafić mię może!

Słowem, nasi panowie pesymiści są właściwie pospolitymi egoistami, którzy wskutek właściwéj sobie natury umysłu zupełnie o tém zapominają, że w życiu ludzkiém nie zimny rozsądek lecz gorące uczucie główną rolę odgrywa, tam gdzie ofiarność i zaparcie się siebie mogą poprowadzić do wyższych celów. Stary, praktyczny statysta angielski Mr. James Anthony Froude mówi w opisie swoich podróży po koloniach angielskich, kiedy się spotkał z pretensyonalnemi nieco objawami miejscowego patryotyzmu, że w tych rzeczach ostatecznie wszystko rozstrzygać i usprawiedliwić musi uczucie; bo „przywiązanie do rodziny jest uczuciem, przyjaźń jest uczuciem i patryotyzm jest także uczuciem. *Naród, w którymby wymarło uczucie, musi wkrótce przestać być narodem*“. Tak się zapatruje stary, praktyczny angielski mąż stanu, a słowa jego powinniby wziąć do serca nasi młodsi pesymiści, jeżeli w nich obliczające na zimno samolubstwo wszelkiego nie wystudziło uczucia. Ale posłuchajmy jeszcze daléj tych panów:

„Naród czeski, pisze „Czas“, wlecze nędznie pozorną tylko egzystencyą, a objawia się w nim nadto choroba moralna, na którą narody zwykle umierają—wielki upadek moralności narodowéj.“

Co zaś ma robić, ten „umierający“ czy też „niezdolny do życia“ naród czeski, o tém dowiadujemy się wyraźnie z następnych słów:

„Po miastach naszych mieszkali w znacznéj większości Niemcy, było tak nawet w Pradze: cała hierarchia była niemiecka, zacząwszy od biskupów aż do ostatniego kanonika; bogate prebendy, klasztory, duchowne fundacye znajdowały się w rękach księży niemieckich; na dworze Przemyśliczów język czeski był gościem zaledwie cierpianym w ukrytych zakątkach; poeci nasi i prozaicy pisali swoje dzieła w ciągu kilku stuleci według wzorów niemieckich i łacińskich, a nawet te łacińskie wzory, otrzymywali tylko za pośrednictwem Niemców; nasza zamożna szlachta przyjęła obyczaje niemieckie i zamkom swoim nadawała niemieckie nazwy, słowem naród nasz przed wybuchem wojen husyckich był tylko odpadkiem niemieckiéj kultury, przyczepką do niemieckiego cesarstwa.“

Profesor uniwersytetu czeskiego Masaryk, właściwy założyciel téj partyi pesymistycznéj, znany już dostatecznie jako inicyator ostatniego sporu o autentyczność starożytnych rękopisów, naucza z katedry czeskiéj wszechnicy, ku lepszemu zrozumieniu tych pesymistycznych na życie poglądów, że ten wyższy zakład naukowy, nie może być czém inném, tylko instytucyą germanizacyjną (?). Nie myślę polemizować z p. Masarykiem, ani z „Czasem“ ani wogóle z partyą pesymistów: wszystko to samo na siebie sąd wydaje; ograniczę się tylko na wyjaśnieniu możliwości takiego narodowego stronnictwa pesymistycznego.

W dniu 11 maja 1887 r. zanieśliśmy do grobu jednego ze starych bojowników w sprawie narodowéj, dyrektora czeskiéj szkoły handlowéj Antoniego Skřivana. Założył on w 1856 tę instytucyą a dopiero w 1860 r. rozpoczęły się w niéj wykłady w języku czeskim. Jeszcze przed trzydziestu laty, całe życie handlowe szło w kierunku niemieckim i w żadnym interesie nie było ani jednéj firmy czeskiéj. Od 15 lat istnieje w Pradze czeska akademia handlowa, utworzona przez kupiectwo czeskie, a czeskich firm znajduje się w świecie handlowym korony czeskiéj przynajmniéj tyle co niemieckich, przy czém nadmienić należy, że liczba ich nagle wzrasta. Skřivan umarł z przeświadczeniem, że do podźwignięcia narodu czeskiego przyłożył swoję cegiełkę i że powodzenie jego patryotycznéj działalności prześcignęło wszelkie początkowe, najśmielsze oczekiwania. Tak jak Skřivan, myślimy wszyscy pierwsi starzy pracownicy na polu narodowém, my co patrzyliśmy na drobne początki, z których wynikło tak zwane „odrodzenie“ narodu czeskiego, my co pracowaliśmy, nie pytając o zapłatę, nie dręcząc sobie głowy możliwém powodzeniem lub niepowodzeniem, my co poświęcaliśmy sprawie narodowéj czas i pieniądze, nie troszcząc się kto nam za to podziękuje, powodowani jedynie patryotyzmem, który, jeżeli ma istniéć, musi być uczuciem gorącém, nie zaś zimnym rozsądkiem, regulującym czyny ludzkie według korzyści osobistych. Wszyscy jesteśmy zadowoleni z tego, co zdobyliśmy dla narodu bezinteresownym uczciwym wysiłkiem, spodziewamy się, że stopniowo można będzie więcéj osiągnąć, ale nie oddajemy się żadnym przesadzonym nadziejom, ani téż nie mówimy, żeśmy nic nie zrobili dla tego, że nie możemy miéć wszystkiego odrazu jak Niemcy, pamiętając dobrze o tém, że jesteśmy małym, młodym narodem, podczas gdy Niemcy są narodem wielkim i starodawnym.

Ale za nami weszli na arenę walki narodowej ludzie młodzi, którzy nie widzieli drobnych początków nowego życia narodu czeskiego i nad temi początkami nie pracowali. Oni to porównywają

ciągle wszystko, cośmy już zdobyli, nawet to, czegośmy jeszcze nie osiągnęli, z bogatym i zabezpieczonym oddawna dobytkiem Niemców; to lub owo wydaje im się małém i niewystarczającém i przy pewnéj ambicyi (chciwości nie chcę tu już przypuszczać) mogą mniemać, że w tych, według ich zdania drobnych stosunkach nie będą mogli zadowolnić swoich serdecznych dążeń do znaczenia, zaszczytów, władzy i bogactwa. Z tém łączy się jeszcze racyonalny, czyli mówiąc po dzisiejszemu, ściśle naukowy kierunek obecnych czasów a właściwie kult rachującego na zimno rosądku, wynikiem zaś tego wszystkiego są teorye pesymistyczne „Czasu“.

Pan Masaryk szuka obecnie gdzieindziéj szerszego pola do swéj działalności—nie opłaci mu się pracować dla małego, czeskiego narodu; naród ten jednak, mimo niewątpliwie niekorzystne wpływy na młodzież ludzi przemawiających w tym duchu z katedry narodowéj wszechnicy, z takim trudem zdobytéj,—przeżyje szczęśliwie, jak sądzę, narodową partyą pesymistyczną.

W lecie 1886 r. w niemieckiém uniwersyteckiém mieście, Halli odbyło się zebranie studentów doprowadzone do skutku staraniami berlińskiego Stowarzyszenia szkolnego. „Ucisk Niemców“ w Czechii a szczególniéj „zagrożona pozycya uniwersytetu niemieckiego w Pradze“ przedstawiane były przez wielu mówców w nader jaskrawych barwach; od zgromadzonéj zaś młodzieży zażądano, ażeby uciśnionéj braci niemieckiéj w Czechach przychodziła w pomoc, wysyłając na zmianę jaknajwiększą liczbę studentów z cesarstwa do prazkiéj wszechnicy niemieckiéj z zobowiązaniem wysłuchania choćby jednego kursu. Do cesarskiego ministeryum w Niemczech wystosowano naturalnie petycyą, żeby czas spędzony w uniwersytecie niemieckim w Pradze liczony był studentom niemieckim tak, jak gdyby słuchali kursu w jednéj z wszechnic niemieckich. Zdaje się, że ta prośba musiała być załatwiona w pożądany sposób, bo dwa organa naszych krańcowych narodowców niemieckich (Gazety Tetschen-Bodenbaska i Litomierzycka) umieściły jednocześnie 6-go kwietnia następujący artykuł:

„*Niemieckie posiłki*“.—„Jako rezultat starań komitetu cesarsko-niemieckich studentów, na czele którego p. Eckert w Halli prowadził agitacyą na korzyść zagrożonéj wszechnicy niemieckiéj w Pradze, przybędzie 3-go maja r. b. oddzielnemi pociągami przez Bodenbach do Pragi 213 studentów na stały pobyt w tém mieście. Jaki wpływ wywrze na *rozwój niemiecko-akademickiego życia w Pradze* udział młodzieży niemieckiéj w losach uniwersytetu prazkiego,— nie potrzebujemy mówić. Zasilana dopływem szerokiego prądu inteligencyi niemieckiéj, wszechnica prazka musi stanąć na wyżynie,

która ją zabezpieczy *od wszelkiéj przemocy i despotycznych zachcianek konkurencyi czeskiéj. Życie akademickie, podniecone nowym entuzyastycznym pierwiastkiem niemiecko-narodowym z cesarstwa, zbliży się szybko pod działaniem tego impulsu do okresu rozkwitu. I inne towarzyskie stosunki w Pradze zyskają również na tém wzmocnieniu energicznego żywiołu narodowego*". „Niemiecka studenterya w Pradze, jako najżywiéj zainteresowana i ucieszona spodziewanym faktem, z radością przygotowuje się do godnego przyjęcia przybyszów. Należy się spodziewać, że ludność niemiecka wszędzie po drodze okazywać będzie żywą sympatyą miłym gościom. *Przybysze powinni się dowiedzieć, że wjeżdżają do kraju niemieckiego*, którego bronić uważają również za swój obowiązek, powinni także dowiedzieć się jak wdzięczném sercem ludność niemiecka Czechii umie ocenić udział współplemienników z cesarstwa w jéj losach. Więc dowidzenia 3-go maja".

Zanim wypowiem mój pogląd na tę sprawę, niech mi wolno będzie przytoczyć artykuł, poświęcony jéj przez wiedeński „Vaterland", organ zachowawczéj arystokracyi austryackiéj. Dziennik, pod każdym względem umiarkowany, ocenia słusznie ten manewr narodowców niemieckich, z takim hałasem rozpoczęty, jako fazę od wielu lat systematycznie prowadzonéj agitacyi, poddaje stosunki w niemieckim uniwersytecie w Pradze zasłużonéj surowéj krytyce i mówi dosłownie co następuje:

„Rząd nasz dawniejszy (niemiecko-liberalny) powołał na uniwersytet prazki cały zastęp profesorów z Niemiec i proteguje ich w sposób niesłychany. Nie do nas należy oceniać, jak dalece naukowe wykształcenie tych wszystkich uczonych usprawiedliwia przedsięwzięcie podobnych środków. To tylko jest wiadomém, że niemałe grono powołanych wzięło natychmiast udział w agitacyi niemiecko-narodowéj. Byłto pierwszy krok na drodze prowadzącéj do rozterki w łonie dostojnéj *Carolo-Ferdinandea* i narażającéj młodzież uniwersytecką na niebezpieczeństwo wzrastającego rozdrażnienia narodowego. Uniwersytet niemiecki stał się narzędziem walki dla partyi niemiecko-liberalnéj do tego stopnia, że każdy docent, pragnący trzymać się zdala od tych namiętnych zapasów politycznych i poświęcić się wyłącznie swemu zawodowi, ma tam poprostu niemożliwą egzystencyą. To spaczenie i zepsucie uniwersytetu ma się podobno wzmódz jeszcze przez tłumny napływ studentów zagranicznych niemieckich. Mogą się zdarzać pojedyńcze wypadki, że student niemiecki, któremu na sercu leży przedewszystkiém naukowe wykształcenie uważa za stosowne szukać sobie znakomitych profesorów na uniwersytetach austryackich, i w takich razach cie-

szyć nam się tylko z tego wypadnie. Tacy też potrafią tak się znajdować, jak na podobnych pożądanych gości przystoi. Ale wątpimy, ażeby z przejrzenia dokumentów 213 cesarsko-niemieckich studentów, którzy jak słychać mają odbyć w dniu 3 maja wjazd tryumfalny do Pragi, okazało się, że ich wszystkich ryczałtem jedynie naukowy bodziec popchnął do téj podróży. Ktoby miał takie cele, ten nie zaczynałby od tego, ażeby się pozwolić użyć do podburzających politycznych demonstrancyi na obcém terytoryum. Jeszcze tylko téj gromady młodocianych fantastów i amatorów widowisk brakowało nam właśnie do dzieła pojednania! Tymczasem kto wie co jest prawdą w téj pogłosce — a gdyby nawet projekt istniał, — to do dnia wykonania go jest dość czasu na *nieprzewidziane wypadki.*"

Tak pisze „Vaterland", a „nieprzewidziane wypadki" spełniły się prawie że w téj saméj chwili, kiedy powyższe słowa były kreślone. Z drugiéj strony bowiem słychać, że studenci z cesarstwa niemieckiego muszą do Pragi przybyć przed 22 kwietnia, tj. przed ostatnim dniem zapisów, jeżeli chcą być na letni semestr przyjęci do uniwersytetu i reżyser téj całéj wyprawy wydał też do interesowanych odezwę, zapraszającą ich na zjazd do Drezna, w celu udania się stamtąd 21 kwietnia pierwszym pociągiem do Pragi.

Jeżeli teraz całą sprawę i wszystko, co o niéj w różnych dziennikach napisano, poddamy przedmiotowéj ocenie, to okaże się mniéj więcéj co następuje:

Najprzód wychodzi tu znowu na jaw znana już nam dostatecznie zasada, według któréj Niemcy działają w każdéj sposobności: *Quod licet Jovi, non licet bovi*, czyli jaśniéj mówiąc: My Niemcy możemy sobie wszystkiego pozwolić, bo jesteśmy narodem kulturowym. Więc zarozumiałość i przecenianie samych siebie muszą stanowić główne czynniki składowe téj nowożytnéj kultury, któréj przedstawicielami chcą być Niemcy, bo inaczéj nie mogliby tak mówić i postępować, jak mówią i czynią. Nie potrzeba tego dowodzić, że takiéj demonstracyi narodowéj, jaką teraz niemieccy studenci urządzają w Pradze czeskiéj, nie pozwoliłby rząd niemiecki urządzić ani Polakom w Poznaniu, ani Francuzom w Alzacyi; Niemcom w Czechach nie tylko jest dozwoloną, ale nawet niemiecko-narodowe dzienniki wzywają poprostu rząd austryacki, żeby Niemców wszelkiemi rozporządzalnemi środkami bronił przeciw opornym Czechom.

Jakiż jest jawnie głoszony cel całéj wyprawy? Oto ratować od zguby zagrożony uniwersytet niemiecki w Pradze i równie zagrożoną niemczyznę w Pradze poprzéć, wzmocnić. Na to można odpowiedziéć, że po pierwsze, uniwersytetowi niemieckiemu nikt i nic

nie zagraża, bo byt jego jest najdoskonaléj zabezpieczony. Że uniwersytet niemiecki w Pradze po swojém przepołowieniu, nie jest już tém, czém był dawniéj, winni temu sami Niemcy, którzy koniecznie domagali się rozdziału. Co się zaś tycze „zagrożonéj“ w Pradze niemczyzny, to przybycie 213 studentów nie postawiłoby jéj w innéj pozycyi aniżeli ta, w jakiéj się obecnie znajduje. 213 studentów z cesarstwa niemieckiego będzie albo pilnie studyować, albo nie. Jeżeli rozsądnie wybiorą pierwsze, to obecności ich w Pradze nikt się nie domyśli. Jeżeli zaś przybysze, jak niektórzy ludzie zdają się pragnąć, w ten sposób zechcą „wzmacniać żywioł niemiecki“, ażeby po wszystkich restauracyach a może i na ulicach wszczynać zwady z pierwszym lepszym Czechem, to zajmie się niemi poprostu policya prazka i łatwo sobie poradzi.

Tymczasem nadszedł 22 kwietnia i nie sprowadził nam ani cieplejszéj pogody, ani 213 studentów niemieckich. Artykuł niemieckiéj „Gazety ludowéj“, głównego organu naszych krańcowych narodowców, pozwala się domyślać, że owi goście nie przybędą wcale, a za powód dość dziwny tego nieprzybycia podaje się w artykule obawa „złych Czechów“. I istotnie—minął 3 maj a studenci niemieccy nie pokazali się. Wychodzący w Mnichowie „Miesięcznik akademicki“ odzywa się w następujących słowach o téj całéj sprawie:

„Drezno! 20 minut przystanku! przyczepić wagon dla 200 studentów do Pragi“—to powinniśmy byli usłyszéć na dworcu Drezno-Altstadt, gdyby odezwa niejakiego Eckerta, studenta w Halli, miała była spodziewane powodzenie. Wiadomo, że w swoim czasie w Halli odbyło się wielkie anty-czeskie zebranie studentów, które postanowiło „wzmocnić“ żywioł niemiecki w Pradze, za najwłaściwszy zaś do tego środek uznano przyjazd studentów niemieckich do Pragi. Wskutek tego nastąpiło owo wezwanie i 200 przeszło studentów miało być w pogotowiu, jeżeli się na to zgodzą rodzice, do przesiedlenia się do Pragi, ażeby obecnością swoją podnieść o parę stopni respekt Czechów dla Niemców: w medycynie nazywa się to transfuzyą.

„Ale co też właściwie będą robić ci młodzi panowie dla osiągnięcia swego chwalebnego celu? Usunąwszy na bok studya, które z całą sprawą nic wspólnego miéć nie mogą, wypadnie mówić tylko o wmieszaniu się do dotychczasowéj walki między dwiema narodowościami. Więc ci goście wyjdą naprzykład ostentacyjnie z restauracyi, jeżeli na stole znajdą spis potraw po czesku sporządzony, zechcą uprawiać dawne „bursze wychodźcie“ w nowożytnéj formie lub walić Czecha i *vice versa*. Żart jednak na stronę, ten plan, którego wykonanie jest projektowane, należy do najnieszczęśliwiéj po-

myślanych. Co może obchodzić niemiecką uczącą się młodzież walka narodowości w Austryi? Czy takie ostentacyjne wmieszanie się w stosunki państwa obcego, a w dodatku przyjaznego, nie doprowadzi z konieczności do zaostrzenia sprzeciwieństw?“

„Już zamierzony „wspólny wjazd do Pragi“, jak niemniéj okoliczność, że po drodze różne miejscowości niemieckie „zaczynają się szykować do oficyalnego przyjęcia“, kryje w sobie dość powodów do rozdrażnienia narodowego. Jeżeli więc władze austryackie (rzetelnie *austryackie*, nie niemieckie) przygotują téj narodowéj demonstracyi nieprzewidziane przeszkody, nikt nie będzie miał do nich pretensyi.“

Takie zdanie wygłasza kompetentny organ niemiecki fachowy, reprezentujący interesa uniwersytetów niemieckich o sprawie, któréj nie można odmówić burszowsko-studenckiego, właściwie niedojrzałego charakteru. Mogą więc mówić sobie teraz z cichą tęsknotą nasi niemieccy *ultrasi* w Pradze: „Tak pięknie obmyśliliśmy to wszystko! 213 studentów z cesarstwa, wystrojonych galowo, z tęgiemi kijami, w towarzystwie wielkich psów! Wtedy złota słowiańska Praga musiałaby tak wyglądać jak Getynga, Marburg albo Erlangen, gdzie studenci ton nadają, a czeskim filistrom nicby innego nie pozostawało, jak swoję narodowość czeską skromnie w domu zostawić, na ulicach zaś pokazywać się w charakterze niemieckich filistrów — i wielkie dzieło byłoby spełnione, niemiecka cecha Pragi byłaby stwierdzona przy pomocy kilkudziesięciu niemieckich kijów i niemieckich brytanów. Ale niestety! nie było sądzoném, aby się tak stało!

Powiedzieliśmy wyżéj, że rząd austryacki mógł przyczynić się potrochu do zaniechania téj wizyty 213 studentów niemieckich w Pradze. Zresztą, nasz rząd ma w Czechii między a raczéj po nad obiema partyami narodowemi bardzo trudną pozycyą, jak to każdy, kto na rzeczy patrzy bez uprzedzenia, z następującego faktu oceni.

Niemieckie stowarzyszenie gimnastów w Pradze zamierzyło urządzić wielki, imponujący jubileusz, na który miały być zaproszone wszystkie stowarzyszenia niemieckie z Austryi a nawet z Niemiec. Przyjęcie zagranicznych gimnastów na dworcach kolejowych zwykłemi w takich razach powitalnemi mowami, wielka uczta z koniecznemi toastami, wspaniały pochód wszystkich gimnastów i t. d. wszystko to miało się złożyć na wspaniałą demonstracyą niemiecko-narodową. Rząd niechętnie patrzy na takie rzeczy tu w Pradze, gdzie usposobienie i tak jest podniecone, pozwolił więc sobie nie zgodzić się na projektowany pochód wszystkich gimnastów, ani na hałaśliwe przyjęcia na dworcach kolejowych. Niemieccy gimnaści

bardzo to źle przyjęli — uchwalono więc z oburzeniem zaniechać całéj uroczystości jubileuszowéj. Czesi uznali postępowanie rządu za rozumne i byli bardzo zadowoleni.

Ale i czeski „Sokół" (stowarzyszenie gimnastyczne) zaprojektował również podobną uroczystość jubileuszową, na którą nie tylko miały być zaproszone wszystkie czeskie stowarzyszenia gimnastyczne z Czechii i Morawii, słowiańskie z innych krajów austryackich, ale i czeski „Sokół" z północnéj Ameryki wizytę swoją zapowiedział. Rząd uważał za stosowne zabronić i tym razem pochodu przez ulice miasta i wszelkich innych manifestacyi publicznych. Stąd wielkie niezadowolenie między Czechami i natychmiastowa uchwała rady zarządzającéj „Sokoła" praskiego, że cały jubileusz będzie zaniechany. Rząd chce widocznie zachować względem obu partyi narodowych jednakową surowość i ściąga na siebie naturalnie tylko obustronne niezadowolenie. Może byłoby lepiéj okazywać jednemu i drugiemu stronnictwu jednakową łagodność.

Niepodobna zresztą nie zauważyć, że w stosowaniu téj surowości rząd niejednakowéj trzyma się miary i że dla Niemców ma zawsze pewne względy. Gdyby rząd postępował według niewzruszonéj zasady, że niemiecko-narodowe demonstracye dozwolone są w zupełnie niemieckich miastach, a czesko-narodowe w miastach zupełnie czeskich, wzbronione są zaś jedne i drugie w miastach z mieszaną ludnością, w takim razie możnaby powiedziéć, że przestrzegany jest pewien system. Ale kiedy w Pradze, gdzie zaledwie $^1/_5$ części ludności jest niemiecką, nie dozwala się czeskich uroczystości narodowych, podczas kiedy podobne uroczystości niemieckie bywają dozwalane bez żadnych ograniczeń (nawet w Budziejowicach, gdzie połowa ludności jest czeską), to można pozwolić sobie uwagi, że system rządowy polega na większéj względności dla Niemców aniżeli dla Czechów. Przyczynę takiego postępowania łatwo pojąć: rząd austryacki ma ważne powody obawiać się więcéj rozdrażnienia Niemców aniżeli Czechów.

Spór narodowościowy w Czechii zaostrzył się jeszcze w ostatnich czasach z powodu rozporządzenia rządu, które my Czesi uważamy jako przyznanie przysługującego nam prawa, a Niemcy jako nową, wyrządzoną im krzywdę.

Minister sprawiedliwości, baron Pražak, wydał 23-go września 1886 r. następujący reskrypt do najwyższego trybunału krajowego:

„W celu ograniczenia do niezbędnéj tylko potrzeby bardzo licznych i często wydarzających się przekładów decyzyi najwyższego sądu krajowego, uważam za odpowiednie postanowić, że począw-

szy od 1 stycznia 1887 r. we wszystkich wypadkach, gdzie decyzya najwyższego trybunału krajowego wydana jest w jednym tylko z dwóch jęyków krajowych, wnioski referentów, projekt decyzyi i motywa jéj, dla stron przeznaczone, mają być redagowane w tym języku, z którego według istniejących przepisów strony mają prawo korzystać. Jeżeli na mocy tych przepisów decyzya ma być wydaną w obu językach, w takim razie pozostaje w swojéj mocy obowiązek tłómaczenia, które jednak zawsze ma być dokonane pod odpowiedzialnością referenta i przewodniczącego w senacie.“

W komisyi wyznaczonéj z powodu rozpraw sejmu czeskiego nad kwestyą językową, jako główny motyw skargi na nieuwzględnienie równouprawnienia językowego przytaczano okoliczność, że o sprawach czeskich, wprowadzonych na sądy czeskie w języku czeskim władze sądowe rozprawiają wyłącznie po niemiecku, że w niemieckim języku redagowane są wyciągi z akt, umowy, narady, zbieranie głosów, że wreszcie w tym języku zapadają decyzye.

W sprawozdaniu komisyi zwrócono uwagę, że wskutek takiego postępowania w kwestyach spornych, przy których rozstrzyganiu częstokroć główną rolę odgrywa brzmienie dokumentu, albo jedno zdanie piśmienne, dokładne pojęcie o sprawie jest niemożliwém i że strona bywa pokrzywdzona w swoich prywatnych prawach, a w sprawach karnych, gdzie jakiś ważny moment złego zamysłu, jedynie z własnych słów obwinionego da się wyświetlić, właściwe ocenienie karygodności czynu poważne napotyka przeszkody. Wogóle, rozpatrując całą kwestyą bez uprzedzenia, niepodobna zgoła zrozumiéć, dla czego wyroki, które mają być wydane po czesku, nie są odrazu formułowane w języku czeskim przez referującego sędziego, jeżeli ten doskonale ów język rozumié. Każdemu nastręcza się pytanie, w jakim celu te wyroki z akt całkowicie czeskich mają być najprzód po niemiecku redagowane, ażeby późniéj jakiś pomocnik referenta napowrót je na czeski język tłómaczył?

A taka procedura praktykowała się rzeczywiście w najwyższym trybunale krajowym w Pradze i Brnie. Jedna tylko okoliczność może to wyjaśnić, mianowicie, że w czasach, kiedy bardzo mała liczba sędziów władała językiem czeskim ustnie i piśmiennie, trzeba było uciekać się do takich środków, jak obrabianie po niemiecku czeskich akt i powtórne tłómaczenie na czeski decyzyi zredagowanych po niemiecku. Dziś jednak, kiedy w najwyższym trybunale krajowym w Pradze, sędziowie nie mogą tłómaczyć się nieznajomością języka czeskiego, kierownik ministeryum sprawiedliwości uznał za rzecz na czasie utrwalić na przyszłość naturalną i jedynie słuszną procedurę w podobnych wypadkach. Prezydyum naj-

wyższego trybunału krajowego w Brnie otrzymało jednocześnie polecenie wprowadzenia u siebie takiejże procedury.

To drugie rozporządzenie językowe z 23 września 1886 r. wywołało równie wielkie wzburzenie w łonie partyi niemiecko-narodowéj, jak pierwsze z 19 kwietnia 1880 r. Chcąc zrozumiéć to oburzenie, to „głębokie zaniepokojenie niemieckiéj ludności w Czechii“, nie trzeba zapominać, że dzięki systematycznie prowadzonéj agitacyi krańcowych narodowców, niemiecka ludność Czechii znajduje się, bez wszelkiego rozporządzenia językowego, w stanie wysoce namiętnego podniecenia, że w *credo* politycznėm podburzanéj w ten sposób ludności niemieckiéj, na samym froncie figuruje zdanie, że rozumiéć lub mówić po czesku jest hańbiącém upokorzeniem dla prawdziwego Niemca, a być zmuszonym do uczenia się tego języka, jest jeszcze sromotniejszém pogwałceniem i ujarzmieniem niemieckiéj myśli, stojącéj wysoko po nad takiemi nędzotami. Żaden prawdziwy Niemiec nie powinien rozumiéć ani mówić po czesku, a popełniłby coś nakształt samobójstwa narodowego, gdyby zgodził się na uczenie języka czeskiego. Na gruncie takich-to poglądów i mniemań wyrosło w październiku r. 1886 owo wielkie oburzenie z powodu reskryptu ministeryum sprawiedliwości z 23 września. Reprezentacye gminne w miastach niemieckich Czechii i niemieckie stowarzyszenia narodowe otrzymały od przywódców partyi surowe polecenia, ażeby w odpowiedni sposób wyraziły oburzenie i głębokie zaniepokojenie. Organa partyi zamieściły piorunujące artykuły wstępne o „Ostatnim bohaterskim czynie Prażaka.“ — „Te reskrypta ministeryalne — pisano tam — niszczą jednolitość administracyi, są ustępstwem zrobionėm dla „państwowego prawa“ Czechów, są—właściwym federalizmem. Niemcy obstają przy tém i wnioskują stąd, że opozycya ich przeciwko gabinetowi Taafego powinna być jeszcze zaostrzoną. Między poglądami Niemców austryackich a temi rozporządzeniami ministeryum sprawiedliwości niema żadnego kompromisu — Niemcy austryaccy domagają się odwołania reskryptów z większym jeszcze naciskiem, aniżeli cofnięcia słynnych rozporządzeń językowych. Od tego najprzód musi się rozpocząć „pojednanie“ z Niemcami. I my Niemcy nie poddamy się.“

Przywódcy stronnictwa niemiecko-liberalnego czyli partyi niemiecko-austryackiéj, którym i tak krańcowi narodowcy zarzucają oziębłość narodowego nastroju, musieli též pośpieszyć się z zamanifestowaniem swego oburzenia z powodu dekretu ministra sprawiedliwości. D-r Magg i jego współtowarzysze wnieśli interpelacyą do izby poselskiéj rady państwa, a baron Chlumetzky nazwał 8 października 1886 r. w izbie deputowanych rozporządzenie ministra

„uderzeniem maczugi w jednolitość administracyi i ciosem skierowanym wprost na Niemców, który ich naprzyszłość wykluczy z całego szeregu sądów kolegialnych.“

Wymagać zatém od Niemca znajomości języka nie-niemieckiego, jako koniecznego warunku wejścia do służby rządowéj, nazywa się wyłączać Niemców z téj służby, co dość wyraźnie daje do zrozumienia, że państwo względem Niemców nie ma prawa żadnych stawiać warunków co do posad w służbie rządowéj, lecz że Niemcy muszą miéć przed innemi narodami przywiléj niewypełniania tych warunków i powinni mimo to otrzymywać posady.

13 października 1886 r. w komisyi językowéj izby poselskiéj prowadzono dość ożywione rozprawy nad rozporządzeniem z 23-go września, w których zarówno prezes ministrów hr. Taafe, jak i minister sprawiedliwości br. Prażak dawali wyjaśnienia na napaści opozycyi, zapewniając, że rząd w całym swoim składzie bierze zupełną odpowiedzialność za wydane 23-go września rozporządzenie. Tymczasem ukazywały się rozmaite protesty i rezolucye niemieckich stowarzyszeń narodowych i reprezentacyi gminnych, z bezpośredniém wezwaniem do rządu, żeby cofnął rozporządzenie z 23-go września, a podobne dokumenta w tym tylko wypadku na jaw nie wychodziły, jeżeli władza rządowa uznała za stosowne zgromadzenie rozwiązać, albo zapadłą uchwałę wstrzymać.

9-go grudnia 1886 roku zebrał się sejm czeski, a 18-go wniósł d-r Knotz interpelacyą do namiestnika Czech co do przeszkód, jakie rząd zamierza stawiać demonstracyom przeciwko dekretowi językowemu ministra Prażaka. Wszystko to było tylko prologiem do tego, co miało nastąpić. 22-go grudnia motywował Plener w sejmie czeskim wniosek lewicy niemieckiéj w przedmiocie cofnięcia dekretu ministra sprawiedliwości i politycznego, jak również administracyjnego rozpołowiania Czech. Plener starał się naturalnie dowieść w długiéj mowie, że tylko tym sposem stosunki w Czechach mogą być ostatecznie uregulowane: zamilczał jednak zupełnie, że niemiecka mniejszość sejmowa już była postanowiła ustąpić z sejmu, gdyby większość nie uwzględniła z całą gotowością jéj życzeń.

Ks. Karol Schwarzenberg w imieniu wielkiéj własności ziemskiéj wniósł następującą propozycyą do załatwienia wniosku Plenera:

„zważywszy, że wniosek postawiony przez d-ra Plenera identyczny jest pod względem treści z postawionym przez tego samego posła na przeszłorocznéj sesyi wnioskiem, który po gruntownném rozpatrzeniu odrzucony został uchwałą sejmową z 18 stycznia 1886 r.;

„zważywszy, że rząd ma być wezwany do cofnięcia rozporządzenia z 23-go września 1886 roku, którém odpowiedział, w grani-

cach niewątpliwéj swojéj kompetencyi, na wystosowane do siebie w uchwale z 18 stycznia 1886 r. wezwanie;

„zważywszy daléj, że motywowanie tego wniosku opiera się na premisach sprzecznych z zasadami równouprawnienia, zabezpieczonemi w zasadniczém prawie państwowém, a myśl przewodnia dąży do podziału kraju, a zatém zagraża stosunkom konstytucyjnie poręczonym, tak, że przyjęcie tego wniosku oddaliłoby jeszcze więcéj od siebie obie narodowości, którym przeznaczono jest żyć wspólnie w spokoju;

„zważywszy wreszcie, że rozprawiać nad wnioskiem sprzeciwiającym się z ducha i litery uchwałom powziętym przed niecałym rokiem nie odpowiadałoby powadze postanowień sejmowych, że zatém takiéj dyskusyi od sejmu domagać się nie wypada, — *sejm przechodzi nad wnioskiem d-ra Plenera do porządku dziennego.*“ (Oznaki ironicznéj aprobaty i oklaski lewicy).

Plener odpowiedział, że większość czeska w sejmie w chwili, kiedy ludność niemiecka w Czechii raz jeszcze rękę jéj podaje, odtrąca ją szorstko i tym sposobem zaświadcza przed całym światem swoją zawziętość, dowodząc, że jéj zupełnie nie idzie ani o pokój, ani o pojednanie. Ludność niemiecka w Czechii będzie wiedziała, co ma znaczyć takie postanowienie. Plener nie zdradził jednak ani jedném słówkiem, że mniejszość niemiecka (jak to można było wnosić z jéj oklasków) tylko czekała odrzucenia wniosku, ażeby spełnić obmyślane wielkie *coup*, t. j. wystąpić z sejmu czeskiego.

Najwyższy marszałek krajowy, ks. Jerzy Lobkowitz, nie przeczuwając tego wszystkiego, przystępuje spokojnie do głosowania i wniosek przejścia do porządku dziennego zostaje przyjęty znaczną większością (głosowali za nim czescy posłowie i wielka własność ziemska).

Odzywa się znowu z lewicy „burzliwy, minutę trwający, ironiczny poklask.“

Marszałek krajowy mówi następnie: „Wniosek przejścia do porządku dziennego przyjęty. (Nowe oklaski i ironiczne wołania lewicy. Wielki ruch w całéj izbie). Następującym przedmiotem na porządku dziennym jest.....

D-r Schmeykal (przywódca Niemców). Proszę o głos i niech mi wolno będzie dać tu pewne wyjaśnienie.

Marszałek. Proszę mówić.

D-r Schmeykal. Większość sejmowa odrzuciła w pierwszém już czytaniu nasz wniosek, który mógł dać podstawy do porozumienia między obiema narodowościami i nie poddała go nawet rozprawom

w komisyi. Naród Niemiecki w Czechii (1) pragnie spokoju i porządku w tym kraju. Ale większość nie chce nawet rozpatrzéć jego skarg i życzeń. Wobec takiéj postawy, wszelkie usiłowania pojednawcze nie mają żadnych widoków, dla reprezentantów niemieckiego narodu niema już miejsca w tym sejmie. *Oświadczam zatém w imieniu tak samo jak ja myślących, że nie możemy już brać udziału w pracach tego sejmu, i dopóty zdala od niego stać będziemy, dopóki nie uzyskamy rękojmi, że nasze skargi i propozycye będą przedmiotowo oceniane.*"

Po tém oświadczeniu wszyscy deputowani niemieccy opuścili salę sejmową. Taki był *exodus* 22 grudnia 1886 r.

Następnie 26-go grudnia posłowie niemieccy, którzy wystąpili z sejmu (było ich 72) wydali manifest „do ludu niemieckiego w Czechii", usprawiedliwiając się w nim ze swego postąpienia i wykazując, że inaczéj zrobić nie mogli, bo (są słowa manifestu) „uchwałą z 22 grudnia większość sejmu czeskiego wykluczyła nasze wnioski, dążące do uspokojenia kraju, z pod wszelkich obrad i z tém odtrąceniem złączyła ciężką obrazę uczuciu narodowemu ludu niemieckiego."

Wiele mówiono i pisano o tym znaczącym wypadku, o tak zwanym „exodzie Niemców z sejmu czeskiego." To pewna, że ten krok nie był postawiony w chwili namiętnego podrażnienia; postanowiono go dawno i oczekiwano tylko na najdogodniejszą ku temu sposobność. Przyczyny do tego szukać należy nie w rozporządzeniu językowém, ani w odrzuconym podziale Czechii: tkwi ona gdzieindziéj. Niemcy pełni przeświadczenia o swojéj wyższości narodowéj uważają za coś niegodnego ich powagi zasiadać w sejmie, gdzie Czesi mają większość i gdzie zupełnie *sans façon* można mówić, rozprawiać po niemiecku albo po czesku. Niemcy ukrywali starannie w tajemnicy powzięte już 22 grudnia 1886 postanowienie opuszczenia w danym razie sali sejmowéj, ponieważ mieli wszelki powód obawiania się, że większość czeska zrobi wszystko dla przeszkodzenia zamierzonemu ustąpieniu Niemców. Ostentacyjne oklaski zdradzają widocznie radość z powodu pomyślnego udania się planu, o którego dawném przygotowaniu świadczy szczególniéj ostatni frazes przemówienia Schmeykala; chwilowe podrażnienie byłoby niezawodnie podyktowało inne słowa.

To téż wszystkie te deklaracye i manifestacye Niemców nie miały takiéj cechy szczeréj prawdy i otwartości, jaką im nadać usiłowano; bo Niemcy wiedzą o tém sami bardzo dobrze, że my to

---

(1) To wyrażenie wprowadził w modę d-r Knotz.

właśnie, Czesi, z tęsknotą pragniemy porozumienia się i pojednania mieszkających w tym kraju narodowości, a oni to właśnie wszelkiemi możliwemi środkami przeszkadzają temu pojednaniu. Proponować przeciwnikowi tak zwane warunki pokojowe, wiedząc z góry że ich przyjąć nie może, a potém kiedy nie przyjmie, głosić, że nie chciał przyjąć pokoju — znana to i łatwa do przeniknienia taktyka.

Po wyjściu posłów niemieckich z sejmu czeskiego, prowadziło to zgromadzenie daléj swoje prace zupełnie tak samo, jak niegdyś niemiecka większość sejmu nie przerwała prac swoich, kiedy czescy posłowie opuścili salę sejmową. Deputowani czescy stali przez lat kilka zdala od sejmu i wszystko szło zwykłym porządkiem, być może, iż tak samo będzie i teraz, gdyby Niemcy chcieli przez lat kilka nie pokazywać się w sejmie.

Posłowie niemieccy, którzy ustąpili z sejmu, zostali wezwani w początku stycznia 1887 drogą urzędową do zajęcia swoich miejsc w sejmie; gdy jednak przepisany dwutygodniowy termin upłynął i posłowie nie wrócili, ogłoszono ich mandaty za stracone. Rozpisane będą nowe wybory, a dziś już możliwy ich wynik niepokoi trochę Niemców. Przynajmniéj 62 posłów niemieckich muszą się zdeklarować za abstynencyą, jeżeli ta taktyka ma być daléj bez szkody dla nich prowadzoną; bo sejm czeski ma obecnie 242 członków, a według istniejących przepisów zmiany w ordynacyi wyborczéj do sejmu mogą być przedsiębrane jedynie przy obecności $^3/_4$ całkowitéj liczby posłów, t. j. 181. Muszę tu zresztą nadmienić, że ani rząd, ani czeska partya narodowa nie zamyśla bynajmniéj o podobnéj, jakimbądź kosztem przeprowadzonéj majoryzacyi Niemców, i że przeciwnie, tak ze strony władz rządowych, jak z naszéj zrobi się wszystko, co będzie można, aby teraz jeszcze urzeczywistnić nasze pragnienie spokojnego i przyjaznego pożycia z sobą dwóch mieszkających w Czechii narodowości. Uczciwie, otwarcie pojmowane i przeprowadzane równouprawnienie musi tu naturalnie głównym być warunkiem.

Spór o nowe rozporządzenie ministra sprawiedliwości z 23-go września został tymczasem ostatecznie w izbie panów załatwiony.

Kawaler von Schmerling, prezes najwyższéj izby sądowéj, postawił tam 28-go października 1886 roku następujący wniosek przeciwko rozporządzeniu językowemu ministra sprawiedliwości z dnia 23 września:

„zważywszy, że język niemiecki jest służbowym w sądach i we władzach politycznych;

„zważywszy, że téj zasady trzymać się należy w interesie państwa i jednolitości administracyi;

„zważywszy, że rozporządzenie wysokiego ministeryum sprawiedliwości z 23 września 1886 r. N. 17520 staje w sprzeczności z tą zasadą;

„zważywszy, że to rozporządzenie nie da się również pogodzić z kilku punktami najwyższego patentu z 3 maja 1853 r. (Dziennika praw N. 81);

„zważywszy, że to rozporządzenie wpłynęłoby szkodliwie na wymiar sprawiedliwości, i że ogranicza możność spożytkowania pewnéj części sił sądowych;

„zważywszy wreszcie, że to rozporządzenie budzi także poważne obawy pod względem prawnopaństwowym i politycznym;

„wyznacza się z łona wysokiéj izby komisya z 9-ciu członków w celu rozpatrzenia tak ze strony prawnéj jak pod względem ogólnéj doniosłości rozporządzenia wysokiego ministeryum sprawiedliwości i złożenia o tém wysokiéj izbie raportu, *respective* odpowiednich wniosków."

Powyższy wniosek, zawierający jawne oskarżenie rządu, był z początku uważany w kołach izby panów za przedmiot przekraczający granice kompetencyi izby i pod względem załatwienia téj sprawy panowało zdanie, że wniosek przy pierwszém zaraz czytaniu musi być *a limine* odrzucony przez proste przejście do porządku dziennego. W organach opozycyjnych rachowano się z tém zdaniem i przystrajano przewidywane niepowodzenie w płaszczyk patryotyczny, głosząc, że wniosek Schmerlinga nie może być wpisany na porządek dzienny, dopóki nie skończą się rokowania ugodowe z Węgrami, bo oczywiście niestosowném byłoby podczas trwania tych układów wyprowadzać na jaw rozterki w łonie drugiéj połowy cesarstwa. Już można było przypuszczać, że wniosek złożony został po cichu *ad acta*, kiedy ku ogólnemu zdziwieniu podano do wiadomości, że wniosek Schmerlinga, t. j. pierwsze jego czytanie i motywowanie przez wnioskodawcę znajduje się na porządku dziennym pierwszéj sesyi izby panów, naznaczonéj po świętach wielkanocnych, t. j. na dzień 22 kwietnia. Wnosząc ze znanego zakończenia całéj sprawy, można przypuszczać, że prezydyum izby panów postąpiło w téj kwestyi zgodnie z wyraźném życzeniem rządu. To przypuszczenie motywuje się w ten sposób, że prezes ministrów hr. Taafe na posiedzeniu z 22 kwietnia 1887 r., kiedy kawaler von Schmerling wniosek swój uzasadniał i starał się dowieść nielegalności rozporządzenia ministra sprawiedliwości z 23 września,—*odczytał* oświadczenie, które oczywiście musi być uważane za głos całego składu ministeryum i w którém wyraźnie jest powiedziane, że cały rząd staje w obronie prawności rozporządzeniu ministra sprawiedliwości.

Deklaracya owa, zbijająca wszystkie „zważywszy“ wnioskodawcy, kończy się następującemi energicznemi słowami:

„Z tego powodu, według przekonania rządu, prawność rozporządzenia ministeryum sprawiedliwości z 23 września 1886 r. nie może ulegać wątpliwości. Ponieważ zaś, jak się wyżéj powiedziało, stosowność tego rozporządzenia nie może być kwestyonowana, ponieważ okazuje się ono potrzebném wobec poręczonego zasadniczém prawem państwowém równouprawnienia językowego, przeto i politycznéj jego stronie zarzutów stawiać nie wypada.

„Wskutku tego, rząd nie może uznać za uzasadniony wniosek, aby wyznaczona była komisya w celu rozpatrzenia tak ze strony prawnéj jak pod względem doniosłości politycznéj rozporządzenia ministeryum sprawiedliwości z 23 września 1886 r. i złożenia o tém wysokiéj izbie raportu, *respective* odpowiednich wniosków. *Ale rząd nie lęka się wyznaczenia takiéj komisyi*, w któréj nastręczyłaby mu się sposobność osłabić bardziéj jeszcze argumenta p. wnioskodawcy, niezgodne z prawem ani z faktycznemi stosunkami, i silniéj wystąpić w obronie rozporządzenia, które wydał z zupełną świadomością swoich obowiązków i swéj odpowiedzialności. Ponieważ wnioskodawca postawił swój wniosek 28 października zeszłego roku a pierwsze jego odczytanie dziś dopiero się odbywa, można się obawiać, ażeby ze względu na urzędowe stanowisko wnioskodawcy, zarówno opinia publiczna jak i sfery sądowe nie uległy w swoich poglądach na tak ważną sprawę działaniu jednostronych wpływów. Zmuszony więc jest rząd wyrazić naglącą do wysokiéj izby prośbę, ażeby wniosek jego ekscelencyi kawalera von Schmerlinga załatwiony był ostatecznie z możliwym pośpiechem, ze względu na konieczność położenia tamy dalszemu obałamuceniu ludności.“

Życzeniu rządu uczyniła zadość izba panów, załatwiwszy w drugiém czytaniu wniosek Schmerlinga 7 maja 1887 r.; ważność zaś przedmiotu w ten sposób została zaakcentowaną, że w myśl propozycyi hr. Falkenhayna, wybrano komisyą z 15 członków do zbadania sprawy i opracowania o niéj raportu.

Posiedzenie austryackiéj izby panów z 7 maja 87 r. (właściwie dwa posiedzenia, bo odbyła się jedna sesya dzienna od 11 do 4-éj i jedna wieczorna od 8—10 godz.) zajmie zaszczytne miejsce zarówno w historyi parlamentaryzmu austryjackiego jak w dziejach publicznych stosunków w Austryi. Dla historyi sporu narodowościowego w Czechach ma ono rozstrzygające znaczenie; wprawdzie wysoko bijące fale namiętności narodowych nie odrazu ułożyły się do równowagi pod działaniem uchwał izby panów z 7 maja 1887 r., niemniéj jednak te uchwały tworzyć będą trwałą podstawę, na któréj stopnio-

wo stanie się możliwém uspokojenie umysłów i ostateczne pojednanie między walczącemi stronnictwami.

Chcąc sobie ułatwić zrozumienie tego, co poniżéj nastąpi, należy pamiętać, że członkowie austryackiéj izby panów dzielą się na trzy partye: na prawicę, lewicę i tak zwane stronnictwo środka. *Prawicę* można nazwać partyą rządową: składa się ona podobnie jak prawica w izbie poselskiéj z przedstawicieli nie-niemieckich ludów Austryi, tak zwanéj partyi klerykalnéj i z kilku Niemców stawiających wyżéj ludzkość i sprawiedliwość nad narodowe chętki przewodzenia. *Lewica* składa się cała z Niemców i stawia opozycyą z zasady przeciwko rządowi, który nie uznaje politycznéj przewagi Niemców za warunek istnienia państwa austryackiego. Stronnictwo *środkowe* składa się również z Niemców, którzy jednak pragną być przedewszystkiém Austryakami i dla tego nie mogą oponować z zasady przeciwko rządowi austryackiemu, lecz stanowisko swoje zmieniają każdorazowo, stosownie do tego, co im się korzystniejszém wydaje: przystać do prawicy czyli téż do lewicy.

Członkowie komisyi bywają zawsze wybierani w izbie panów według stosunku partyi, w tym razie 6 z prawicy, 6 z lewicy, 3 ze środka, co wskazuje, że prawica może osiągnąć większość jedynie przy pomocy środka. Z téj to komisyi z 15 członków wyszły trzy wnioski, nad któremi *plenum* izby panów miało 7 maja obradować i wydać co do nich decyzyą. Na sprawozdawcę wybrany został szczególniejszym trafem, a raczéj naturalną rzeczy koleją członek stronnictwa środkowego, nie było bowiem żadnéj nadziei, żeby członek prawicy lub lewicy otrzymać mógł większość głosów. Sprawozdawca, były minister oświaty, baron Konrad von Eybesfeld postawił wniosek, którego pierwsza połowa była po myśli prawicy, druga zaś obliczona była na to, żeby opozycyą ugłaskać. Pierwsza połowa uzyskała następnie w komisyi moc uchwały głosami prawicy i środka (6+3), druga zaś połowa stała się uchwałą głosami lewicy i śr ka (6+3).

Wniosek komisyi brzmi zatém jak następuje:

„Wysoka izba raczy uchwalić:

1. Nieprawność rozporządzenia ministra sprawiedliwości z 23 września 1886 r. nie da się wywnioskować z istniejących przepisów, tem mniej z najwyższego patentu z 3 maja 1853 (Prawica i środek).

2. Wzywa się wysoki rząd, ażeby utrzymał nadal bez zmiany wyraźnie przez siebie uznane dotychczasowe stanowisko języka niemieckiego, jako służbowego w urzędach i rządach“ (Lewica i środek).

Powyższy wniosek nie przypadał naturalnie w zupełności do smaku prawicy, ani też odpowiadał całkowicie życzeniu lewicy; prawica nie chciała żadnej nagany rządu, a lewica pragnęła czegoś jeszcze więcéj prócz téj nagany. W komisyi zatém zarówno prawica jak lewica złożyły oddzielne wota mniejszości.

Wotum mniejszości lewicy brzmi tak:

„Wysoka izba zechce uchwalić:

„Rząd ma być wezwany, ażeby rozporządzeniu, wydanemu 23 września 1886 przez ministra sprawiedliwości do najwyższego sądu krajowego w Pradze, odjęta była moc obowiązująca“.

Wotum mniejszości prawicy domaga się:

„Wysoka Izba zechce uchwalić:

1. Stwierdza się niniejszém, że nie istnieje żaden powód kwestyonowania ze strony prawnéj dekretu ministra sprawiedliwości z 23 września 1886 r.

2. Stwierdza się, że przeciw wspomnianemu rozporządzeniu nie można postawić żadnego zarzutu pod względem jego politycznéj doniosłości.“

Austryacka izba panów przedstawiła zebranéj tłumnie 7 maja na galeryach publiczności rzadki widok licznego i zarazem imponującego zgromadzenia. Mów było niewiele, ale zato pełnych treści; do najwydatniejszych należały niewątpliwie mowy b. ministra w gabinecie Auersperga, znanego z uczoności prawnika, byłego profesora uniwersytetu wiedeńskiego Ungra (lewica) i czeskiego profesora uniwersytetu, radcy dworu Randy (prawica).

Ponieważ polityczne znaczenie całéj sprawy o wiele przewyższa prawną jéj doniosłość, szczególnéj wagi nabiera przed wszystkiemi mowa profesora Maassena—tak, że słowa wyrzeczone przez Maassena w izbie panów znajdują zasłużony oddźwięk w sercu każdego prawego austryaka. Maassen określił w następujący sposób swoje polityczne stanowisko:

„Pokój praski z 1866 rozwiązał ostatecznie związek niemiecki, a 18 stycznia 1871 r. król pruski ogłoszony został cesarzem niemieckim, co bezwątpienia czyni na przyszłość niemożliwém istnienie państwa niemieckiego, ogarniającego cały naród niemiecki z Austryą na czele. *Restitutio in integrum* musi być dla każdego myślącego w Austryi polityka niedopuszczalném, rozdział Austryi i Niemiec jest stanowczym“... „Zjednoczenie Austryi z niemieckiém cesarstwem mogłoby się dokonać jedynie przez wcielenie jéj do Niemiec, zjednoczenie części Austryi z Niemcami byłoby możliwém tylko przez poddanie naszego monarchy pod władzę cesarza niemieckiego“... „Niemcom w Austryi nie pozostaje nic innego prócz zaakcep-

towania rozdziału Austryi i Niemiec jako ostatecznego faktu. Jesteśmy zawsze złączeni z Niemcami w cesarstwie węzłami narodowości i literatury, ale pod względem politycznym zostaliśmy rozdzieleni. Dla Austryi, która teraz sama sobie jest pozostawioną, wytwarza się względem różnych jéj ludów zadanie złożenia z nich, na podstawie sprawiedliwego równouprawnienia, jednéj całości harmonijnéj. Żyjemy w wieku, w którym poczucie narodowości, narodowe ambicye, gorliwość w rozwijaniu i uwydatnianiu charakteru własnego narodu, doszło do niebywałéj przedtém wysokości. Takie państwo jak Austrya, złożone z rozmaitych narodów, musi liczyć się z tym faktem".

Maassen mówił daléj słusznie, że Niemcy w Austryi, tak jak każdy naród, mają niezaprzeczone prawo każdą wyrządzoną sobie lub téż grożącą tylko niesprawiedliwość najenergiczniéj i wszelkiemi środkami prawnemi odpierać, ale że jednocześnie muszą uznać, iż nie może być mowy o jakiémś z zasady istniejącém pierwszeństwie Niemców przed innemi narodami Austryi, słowem o przywileju narodowym; wreszcie dodał mówca, że uważa to za prawdziwą wygraną dla mocarstwowego stanowiska Austryi. *Poważanie dla Niemców w Austryi opiera się nie na historycznych już przyczynach, ale na własnéj ich wartości, na tém, czego sami zdolni są dokonać.* Poszanowanie dla cudzych właściwości bardzo podupadło w kursie u Niemców w ostatnich czasach, bo wielkie militarne powodzenia otumaniły masy narodu; zdaniem jednak Maassena, sprawiedliwość jednego narodu względem drugiego pozostanie zawsze nieodbitém przykazaniem moralności chrześciańskiéj, bez któréj spadlibyśmy do pogańskiego barbarzyństwa.

Więc téż Maassen znajduje tylko słowa bezwarunkowego uznania dla rządu pracującego nad ciężkiém zadaniem przywrócenia pokoju między narodami Austryi, podziwia jego wytrwanie i poświęcenie, które tylko na prawdziwym patryotyzmie opierać się może. Dla tego zgadza się w zupełności na rozporządzenie ministra sprawiedliwości z 23 września, wychodzące z zasady że: *sądy są dla narodu a nie naród dla sądów.*

Opozycya niemiecka znalazła się ze swoją napaścią na rozporządzenie językowe w szczególniejszém położeniu. Członkowie izby panów nie mogą, jak mówca szynkowniany Knotz, mówić bez ceremonii: „My Niemcy chcemy i musimy być panami w Austryi; równouprawnienie polityczne wszystkich narodowości jest kompletną niedorzecznością." Musieli więc uciec się do wszelakiéj sofistyki dla utrzymania swéj tezy, a uczony bardzo jurysta z niemieckiéj lewicy, Unger, wydobył nawet na jaw między innemi coś bardzo dziwnego,

byle tylko wykazać nielegalność rozporządzenia z 23 września. To rozporządzenie jest, według Ungra, pogwałceniem *prawa zwyczajowego*. Rząd wychodzi z zasady że nie istnieje żadne prawo uznające ogólnie język niemiecki za urzędowy. Jestto jednak błędne utożsamienie przepisów ustawy z prawem, bo przecież istnieje prawo oparte na niespisanych zasadach, mianowicie zwyczaj. I praktyka administracyjna jest również źródłem prawa a na takim zwyczajowo-prawnym procesie opiera się także prawne znaczenie języka niemieckiego w Austryi, jako urzędowego. Taki właśnie artykuł publicznego prawa zwyczajowego uznał język niemiecki w Austryi za urzędowy. Tyle jest słów uczonego jurysty Ungra.

Zwykły zdrowy rozsądek mógłby wiele zarzucić téj prawniczéj erudycyi i zburzyć całą szczególną teoryą o mocy prawa zwyczajowego. Ze wszystkiego, co zwykły zdrowy rozsądek mógłby tu uczonemu juryście odpowiedzieć, ja przytoczę tylko, co następuje. Panujący z dynastyi Habsburgów byli w długo ciągnącéj się linii cesarzami niemieckimi i uważali naturalnie tę pozycyą za rdzenną część składową swojéj potęgi i dostojności. Ci panujący byli monarchami nie konstytucyjnymi, ale nieograniczonymi władcami i jako tacy, nie powodowali się jakiemiś szczególnemi względami na narodowe czy też polityczne żądania swoich ludów. Supremacya w całych Niemczech była zawsze rzeczą główną w ich polityce wewnętrznéj i zewnętrznéj. Wskutek tego musieli w swoich austryackich krajach wysoko trzymać sztandar niemczyzny, krótko mówiąc usiłowali germanizować wszystko, o ile tylko mogli, i to jest właściwy powód nadania językowi niemieckiemu charakteru urzędowego. My w Czechii wiemy o tém dobrze i moglibyśmy to i owo opowiedzieć, bo mieliśmy dość długo język niemiecki w urzędzie, w sądach, w szkołach a nawet w kościele, słowem w całém życiu publicznem. W państwie zatém rządzoném absolutnie przez monarchę, którego dążeniem musiało być utrzymanie i utrwalenie supremacyi w Niemczech, urzędnicy austryaccy przyzwyczaili się urzędować po niemiecku, ponieważ im to z góry było nakazane.

Otóż obecnie, miejsce absolutnéj Austryi zastąpiła Austrya konstytucyjna, to nowe państwo wykluczone zostało od 1866 r. z rzeszy niemieckiéj, a od 1871 r. Austrya weszła w taki stosunek do niemieckiego cesarstwa, że wszelka myśl supremacyi jéj w Niemczech musi być porzuconą. Z tego powodu polityka panujących austryackich nie wymaga już faworyzowania niemieckiego żywiołu w Austryi, a konstytucyjne państwo austryackie nie toleruje już systematycznego ucisku swoich ludów w ich prawach naturalnych i swobodach. Wewnętrzna polityka Austryi nie ma więc żadnego rozsąd-

nego powodu germanizowania nie-niemieckich ludów, i jeżeli tego nie czyni, daje tym sposobem dowód, że doskonale pojmuje zmienioną pozycyą Austryi, jak również wynikające stąd koniecznie nowe zadania rozumnéj polityki wewnętrznéj i że według tego zdecydowaną jest postępować. Jeżeli zatém tak zwani liberaliści niemieccy w swoich pretensyach do hegemonii narodowéj w Austryi, po pierwsze, nie biorą w rachubę zupełnie przekształconego stosunku Austryi do Niemiec, a powtóre, chcą te swoje pretensye opierać na prawie zwyczajowém urzędników państwowych pochodzącém z czasów absolutyzmu, to można o nich słusznie powiedziéć: „Niemcami są oni ale w jaki sposób mogą zwać się liberalnymi, to już chyba tylko prawem zwyczajowém da się objaśnić."

I cóż właściwie mówi ogołocona z uczonych fatałaszków owa teorya jurysty Ungra o prawie zwyczajowém, według któréj w całéj Austryi mowa niemiecka musi zostać uprzywilejowanym językiem urzędowym? Nic innego, prócz tego, że urzędnicy państwowi austryaccy *przyzwyczaili się* oddawna urzędować po niemiecku, a ponieważ do tego przywykli, więc tak musi pozostać i żaden naród w Austryi nie może rościć pretensyi do uwzględnienia swego języka w urzędzie i sądzie, *bo w przeciwnym razie żywioł niemiecki jest w Austryi zagrożonym*!

Profesor uniwersytetu czeskiego, radca dworu Randa odpowiedział w izbie panów bardzo trafnie na te wywody: Żywioł niemiecki nie jest zagrożonym. Zagrożone są tylko wygody niektórych radców najwyższego trybyuału i takich, którzy do tych urzędów wzdychają" (ale znów za bardzo lubią wygodę, aby się po czesku nauczyć). Randa odparł gruntownie w swojéj dowcipnéj mowie wszystkie prawne wątpliwości, podniesione przeciwko rozporządzeniu językowemu z 23 września i dowiódł bezzasadności wszelkich zarzutów w sposób jaknajbardziéj przekonywający. Zauważył téż słusznie w zakończeniu mowy, że powtarzane ustawicznie ze strony partyi niemieckiéj twierdzenie jakoby rozporządzenie językowe miało wywołać zaniepokojenie wśród ludności niemieckiéj, niema żadnéj podstawy (1), właściwą bowiem przyczyną panującego wśród téj ludności rozdraźnienia (nie zaniepokojenia) jest narodowy szo-

---

(1) Niech mi wolno będzie do tego ogólnego twierdzenia p. Randy dodać specyalny przykład z mego osobistego doświadczenia. Na sesyi sejmu czeskiego w 1880 r. wspominano pierwszy raz publicznie o „głębokiém zaniepokojeniu", które, według zapewnień posłów niemieckich, spowodować miało wśród ludności niemieckiéj pierwsze rozporządzenie językowe z 19 kwietnia 1880 r. Byłem wtedy w sejmie, zabrałem głos i oświadczyłem, że w miejscu mego urodzenia, w niemieckiém miasteczku Wartenbergu podobne zaniepokojenie nie istnieje i powołałem się przytém na list mieszkającego tam podówczas brata mego, który pisał do mnie, że nikogo nie niepokoi myśl przyznania Czechom ich pra-

winizm, rozpowszechniony bez miary od czasu niemieckich zwycięstw 1866 i 1870 roku, pielęgnowany kunsztownie przez agitatorów narodowych, szowinizm, który już i w izbie poselskiéj w ten sposób się wyraził, że Niemcy otwarcie wypowiedzieli żądanie, żeby niemieckiemu plemieniu w Czechii przyznane było nieograniczone panowanie nad skazanemi konstytucyjnie na wieczną niewolę Czechami.

Przy głosowaniu odrzucono wnioski Schmerlinga i sprawozdawcy, a wniosek mniejszości prawicy, za którym w *plenum* izby panów głosowała także i partya środkowa, został znaczną większością przyjęty. Oświadczyła zatém austryacka izba panów uroczyście, że przeciwko rozporządzeniu ministra sprawiedliwości z 23 września niema nic do nadmienienia ani pod względem prawnym ani ze strony politycznéj, że więc potrzebę jego i użyteczność w zupełności uznaje. Tę uchwałę izby panów z 7 maja 1887 r. można zapisać jako doniosłe zwycięstwo w walce narodowéj, którą my Czesi musimy prowadzić przeciw nieograniczonéj żądzy panowania i pysze narodowéj Niemców. Nieprzyjaciel jednak nie został bynajmniéj na głowę pobity, a to, czego z utęsknieniem pragniemy, zawarcie trwałego i rozumnego pokoju, nie jest jeszcze bliskiém.

Do historyi walki o rozporządzenie językowe ministra sprawiedliwości z 23 września, w tak gwałtowny prowadzonéj sposób, dodać jeszcze wypada, że ta partya, która obecnie namiętnie występuje przeciw rozporządzeniu, jako przeciw rzeczy nielegalnéj, sama uroczyście składa dowody, że wszelkie jéj dzisiejsze przeciw rozporządzeniu temu stawiane zarzuty i twierdzenia, zupełnie pozbawione są podstawy.

Dr. Edw. Herbst przywódca dzisiejszéj, niemieckiéj opozycyi, w 1868 (23 lutego) jako minister sprawiedliwości ówczesnego „wierno-konstytucyjnego“, wrogiego Słowianom gabinetu Auersperga, wystosował reskrypt do prezydyów najwyższych trybunałów krajowych we Lwowie i w Krakowie, który brzmi jak następuje:

---

wa narodowego w sądzie i w urzędzie, byle tylko Niemcom prawa tego nie odjęto, czego znów nikt nie przypuszcza. To rozsądne wyjaśnienie wywarło naturalnie silne wrażenie na wszystkich bezstronnych słuchaczów. Ale partya niemiecka musiała je zatrzéć. Pewien poseł, członek stronnictwa niemieckiego, był przypadkiem szwagrem burmistrza wartenberskiego. Poseł wymógł na szwagrze deklaracyą, stwierdzającą „głębokie zaniepokojenie“ wśród ludności wartenberskiéj z powodu rozporządzenia językowego i znaglił go do odczytania na posiedzeniu rady miejskiéj w Wartenbergu. Burmistrz zrobił tę przysługę swemu szwagrowi, panu deputowanemu, odczytał deklaracyą ale w nieobecności mego brata (który był również rajcą miejskim, lecz nie potakiwał bezwarunkowo p. burmistrzowi), i prosił uprzejmie innych rajców, ażeby rzecz całą uchwalili, bo ją panu szwagrowi, który się śpieszy, odesłać trzeba. Tak urządzano wtedy t. z. „adresy o zaniepokojeniu“.

„Przyczyniłoby się to wielce do szybkiego załatwiania spraw i wzmocniłoby zaufanie w zasadność rozpraw sądowych, gdyby w sądach pierwszéj instancyi tamecznego okręgu najwyższego trybunału krajowego, jak niemniéj w samym najwyższym trybunale (jak to ma miejsce w sądach okręgowych), w sprawach, które z mocy istniejących przepisów nie w niemieckim, lecz w polskim języku (dla Lwowa w rusińskim) są prowadzone, i w których decyzya i wyrok wydają się w języku stron, — *już właściwy referent sporządzał wyciągi z akt, wnioski i ich motywa w tym języku, w jakim podanie do sądu zostało wniesione, jak również, żeby rozprawy w tymże odbywały się języku, przy takiéj bowiem procedurze ustałaby potrzeba pochłaniającego czas przekładu zapadłych już decyzyi i ich motywów, co dla samego przebiegu spraw mogłoby być tylko z korzyścią.*“ Wezwane są nadto w tym reskrypcie prezydya odpowiednich trybunałów krajowych, „ażeby podały do wiadomości członków najwyższego trybunału krajowego, że nie tylko skuteczność tego środka nie podlega żadnéj wątpliwości, *ale że taka procedura odpowiada interesom sądownictwa.*“

Mimo to opozycya niemiecka w izbie poselskiéj rady państwa walczy namiętnie przeciw wzmiankowanemu rozporządzeniu ministra sprawiedliwości dlatego, że ono teraz Czech dotyczy; korzysta więc ze sposobności rozpraw nad budżetem i przedstawia istnienie monarchii austryackiéj, jako zagrożone i zachwiane w podstawach, ponieważ na rzecz narodowego równouprawnienia Czechów zrobiono ustępstwo.

W ostatnich czasach d-r Schmeykal, przywódca polityczny Niemców w Czechii, w mowie programowéj, wygłoszonéj w Czeskiéj Lipie na zgromadzeniu wyborczém, wskazał kurye narodowościowe jako środek, którym-by tamę położyć można opłakanéj walce narodowości w Czechii. Te kurye narodowościowe proponowane były najprzód na sejmie czeskim 1871, kiedy rozpatrywano i uchwalono prawo o narodowościach, w którém § 10 brzmi: „Dla zapewnienia nietykalności praw obu narodów, dzieli się sejm czeski na dwie kurye narodowe.“ Zadaniem tych kuryi miało być samodzielne rozstrzyganie spraw dotyczących jednéj tylko narodowości. Nasza partya narodowa powitała z radością propozycyę d-ra Schmeykala, jako wskazaną przez nas już w 1871 r. drogę do załatwiania sporu narodowego. Ale organa krańcowych narodowców niemieckich dodają do projektu przywódcy niemieckiego uwagę, że kurye narodowościowe mogłyby być przyjęte tylko po spełnioném administracyjném i politycznem przepołowieniu Czechii. Dalecy więc jeszcze jesteśmy od zawarcia pokoju narodowego, bo wątpić należy, czy spełni się ten przedwstępny warunek. W przyszłym liście będę

miał sposobność donieść o dalszym przebiegu tych pozornie pokojowych rokowań.

Na zakończenie pozwolę sobie jednéj jeszcze reasumującéj uwagi. Opisałem znów różne fazy nieszczęsnego sporu narodowości i zbrakło mi miejsca na inne sprawy. Czytelnik tego listu zostanie może pod wrażeniem, że walka między Niemcami a Słowianami w Czechach prowadzona jest w sposób świadczący o spotęgowaniu się jéj gwałtowności, i że ten bój prowadzony nierównemi siłami, w nierównych warunkach, jest dla narodu czeskiego rzeczywistą walką o byt, co o stronie niemieckiéj nie da się powiedziéć. W tych zapasach rozterki stronnicze, przytrafiające się u Niemców nie mają bynajmniéj tego fatalnego znaczenia, téj doniosłości jak u Czechów. O narodowych pesymistach czeskich wspominałem już i wyraziłem nadzieję, że te dążności nie przyniosą dotkliwéj szkody pomyślnemu przebiegowi sprawy narodowéj. Przeciwnie, można stąd odnieść małą korzyść, bo młodo- i staro-czesi, napadani i potępiani jednakowo przez pesymistów, nader energicznie *viribus unitis* prowadzą walkę przeciwko téj *soi-disant* „partyi narodowéj.“ Czy młodo- i staro-czesi okażą się i w innych sprawach wiernemi sprzymierzeńcami, trudno dziś jeszcze przesądzać; osobiste względy więcéj tu niestety znaczą, aniżeli przedmiotowy sąd o rzeczy i prawdziwy patryotyzm.

Praga, 16 maja 1887 r. *D-r Gabler.*

P. S. Jeszcze w możliwie krótkiém streszczeniu najnowsza wiadomość, z któréj dzienniki niemieckie usiłują wnioskować o wielkiéj fatalnéj rozterce w narodzie czeskim.

Zakaz policyjny, wzbraniający uroczystego pochodu na 25-letni jubileusz praskiego „Sokoła“ a datowany dn. 6 maja, doręczony był temu stowarzyszeniu 7 maja.

11 maja d-r Rieger zaprowadził deputacyą „Sokoła“ do prezesa ministrów hr. Taafego i popierał jéj prośbę o cofnięcie zakazu. Hr. Taafe oświadczył, że nie może tego uczynić po odpowiedzi, jaką dał w radzie państwa niemieckiemu posłowi Bendlowi na interpelacyą jego w przedmiocie policyjnego wzbronienia pochodu niemieckiego stowarzyszenia gimnastów w Pradze.

W tym samym dniu uchwala jednogłośnie czeski klub posłów do rady państwa, żeby podać rządowi w téj sprawie *promemoria*, w którém postępowanie rządu ostro jest zganione i na to *promemoria* zgadza się także w zupełności d-r Edward Gregr.

Po tém posiedzeniu klubowém d-r E. Gregr popełnił niedyskrecyą, zasługującą pod każdym względem na naganę, jedynie bo-

wiem dla zaszkodzenia w opinii publicznéj prezesowi klubu Riegerowi, przekręcił w zaufaniu wyrzeczone przez niego słowa w ten sposób, jak gdyby d-r Rieger otwarcie oświadczył, że naród czeski jest teraz skazany na zbieranie choćby pod stołem porzuconych mu (przez rząd) okruchów i udzielił swemu bratu do jego dziennika „Narodni listy“ tak przekształcone wyrażenie Riegera, przeznaczając je do dalszéj publikacyi i tendencyjnego komunikowania.

16 maja 52 posłów czeskich do rady państwa potępiło w uroczystéj manifestacyi postąpienie d-ra Gregra, jak na to zasługiwało, a d-r Rieger wezwany został do reorganizacyi klubu czeskiego.

18 maja rozwiązano klub czeski; d-r Rieger zaprosił wzmiankowanych wyżéj posłów czeskich, ażeby zajęli się przetworzeniem klubu czeskiego, co téż zostało dokonaném 19 maja. Sześciu posłów czeskich, mianowicie d-r Gregr, d-r Engel, Adamek, hr. Kaunitz, d-r Vašaty i Veselý nie podpisali wotum zaufania dla Riegera, nie wezwano ich téż do rekonstrukcyi klubu czeskiego. Dwóch z nich, Adamek i Veselý, uczynili to późniéj i zgodnie ze swém życzeniem zostali znów przyjęci do nowego klubu czeskiego.

21-go maja czteréj pozostali: d-r Gregr, d-r Engel, hr. Kaunic i d-r Vašaty przedstawili do odczytania w izbie poselskiéj wniosek, w którym rząd był wezwany, aby cofnął zakaz tyczący się uroczystości „Sokoła“, co do formy zaś proponowali odesłanie wniosku do komisyi z 15 członków pod obrady i do zdania sprawy.

Wniosek został jednogłośnie przez całą izbę odrzucony, widziano bowiem w nim dziecinny manewr zgotowania kłopotów nowemu klubowi czeskiemu. Jakkolwiek klub wystosował w téj sprawie nader energiczne *promemoria* do prezesa ministrów, głoszą jednak „Narodni listy“ swoim czytelnikom, że obecnie w radzie państwa tylko d-r Gregr broni praw i swobód narodu czeskiego.

Następnie, 23 maja wydał d-r Gregr manifest do swoich wyborców, w którym broni swego postępowania i potępia d-ra Riegera. „Twierdzenie — mówi d-r Gregr — jakobym zdradził tajemnicę klubową, jest nieuczciwą, złośliwą, nędzną potwarzą. W czeskim klubie nie działo się dotychczas nic takiego, coby warte było zachowywania w tajemnicy.“ Cytata powyższa wystarcza do scharakteryzowania d-ra Ed. Gregra. D-r Engel i hr. Kaunic są osobistościami bez znaczenia, a d-ra Vašatego nazwały raz „Narodni listy“ podejrzanym charakterem. Co zaś do samych „Narodnich listów“, istnienie ich da się tylko wytłómaczyć małą jeszcze polityczną dojrzałością ludu czeskiego. Z zupełną prawie pewnością można przewidywać, że ta gazeta w niedalekim czasie zupełnie w opinii upadnie.

Praga, 25 maja 1887. *D-r Gabler.*



SALON PANI MARCINOWÉJ.

(OBRAZEK Z BRUKU WARSZAWSKIEGO).

Każdemu, kto choć raz w życiu szedł na Powązki, albo dźwigał uciułane grosiwo do kasy oszczędności, albo zresztą miał przed laty interes do Dyrekcyi ubezpieczeń, albo do drukarni Ungra, znaną być musi ulica Popielata, a na niéj jedna z najosobliwszych w Warszawie kamienic, oznaczona N. ooo. Osobliwą jest ona z wielu względów: raz dlatego, że, szukając mieszkania stróża, można kark skręcić, a stróża nie znaleźć; bo schody, prowadzące do piwnicy, w któréj warszawianie przywykli szukać stróży, są bardzo kręte i ciemne, a stróż tam nie mieszka; nie mieszka też ani pod schodami, ani na strychu, ani w żadnéj budzie, ani przy bramie, ani przy śmietniku, ani na żadném inném miejscu, uprzywilejowaném dla warszawskich rycerzy miotły; powtóre, że ma obszerny dziedziniec, oświetlony wieczorem latarnią gazową, i cały wybrukowany kostkowym granitem daleko gładziéj i trwaléj, aniżeli jakakolwiekbądź ulica warszawska. Powiadają o tym bruku...—ale to do rzeczy nie należy. Potrzecie... Chcąc się dowiedziéć tego „potrzecie“, szukasz stróża: kręcisz się więc po bramie, oglądając się wkoło niespokojnie, azali cię nie podejrzą o złe zamiary i, spostrzegłszy jakąś mocno zasmoloną dziewczynę szybko wchodzącą w bramę, zapytujesz słodziutkim głosem:

— Panieneczko śliczna, czy panienka tutejsza?

— Abo ja to śliczna?—A czego pan chciał?

— A gdzie tu stróż mieszka?

— A w bramie!

Oglądasz się, dziewczyna znikła, a stróża jak nie było, tak nie ma. Nadbiega jakiś chłopczyk.

— Kawalerze, gdzie tu stróż mieszka?

— A co pan chciał od niego?

— Mam interes?

— A jaki interes?

— Mój kawalerze, gdzie tu stróż mieszka?

— A to za temi szklanemi drzwiami!

Otwierasz drzwi szklane, znajdujesz paradne schody, a pod schodami żadnéj komórki, żadnego „czegoś“‘ coby zdradzało pomieszkanie stróża. Rejterujesz znowu do bramy i zaglądasz na dziedziniec: Aż oto z jakiejś pomalowanéj na czerwono sionki wychodzi niski, barczysty jegomość, schludnie i dostatnio ubrany, z miną czupurną i postawą, oznaczającą co najmniéj przyzwoitego rzemieślnika. Dzierży on jednak w rękach godło swego urzędu, po którém poznajesz stróża. Aliści, niepewny, czy taka persona może zajmować tak podrzędne stanowisko, gapisz się jeszcze, póki nie ujrzysz, jak persona z całą powagą wywija w prawo i w lewo długą miotłą, bynajmniéj nie zważając na to, że jakiś przybysz łazi po bramie.

— Marcinie! ty niezdaro! a pójdź tu!—zapiszczał cierpki głos tuż za twemi plecami.

Na dźwięk tego głosu podniosła głowę persona z miotłą i, popatrzywszy w bramę, odwróciła się pogardliwie, pełniąc daléj swoję powinność.

— Marcinie! Powiadam tobie, pójdź tu zaraz! Jak ty śmiesz, heretyku, w uroczysty dzień zamiatać! A bodajeś ty skisł! bodajeś się zaprzepaścił! Jeszcze czego! żydom w niedzielę podwórze zamiatać! A nie położysz ty mi miotły! A cóż ty sobie myślisz? czyś ty nie katolik, czyś ty nie szlachcic z dziada pradziada! Bodajem cię nie widziała! Pójdź tu zaraz! Panowie po gazetach pisują, że stróż przecież nie bydlę, a ty jak bydlę żyjesz, niedzieli świętéj nie znasz! A bodajbym była ręce i nogi połamała, zanim ja za ciebie wyszła, ty niezdaro!

— Stultum pyskum! — rzekła z powagą persona, obmiatając śmietnik.

— Ja ci mówię pójdź tu!—zawrzasnęła kobieta.

— Mar-ci-nooo-waa! co Marcinowa za hałas robi?—odezwał się z lufcika jakiś głos przeciągły i flegmatyczny.

— A bo pani Boga w sercu nie ma, że mojemu każe w święto zamiatać! A cóż to? bez ten jeden dzień podwórze się zaprzepaści, czy co? Przecie i stróż musi iść do kościoła, kiedy jest katolik i do tego szlachcic! On by mógł być szwajcarem i woźnym, żeby chciał, tylko że głupi niezdara! A bodajem ręce i nogi połamała! Póki tu był katolik, to nie było takiéj aprehencyi!

— Marcinooowaa! ja wam coś powiém! Idźcie do ślusarza, coby wam gębę zamknął.

— Widzicie ją! jaka mi pani! Tfy ! — odrzekła pod nosem Marcinowa, rumiana z bystremi, buremi oczkami kobiecina, spoglądając pogardliwie, czy z bojaźnią na zamykający się lufcik.

— A pan czego?—zapytała opryskliwie.

— Gdzie tu jest stróż?

— A bo co?

— Czy jesteście stróżką?

— Widzicie go! *Jesteście... stróżką...* — mówi przedrzeźniając z gestem pogardliwym.

— Moja pani łaskawa!...

— Mnie tu wszyscy nazywają panią Marcinową.

— Moja pani Marcinowa...

— Po prostu: pani Marcinowa!

— Do kroćset, gdzie tu stróż, pytam!

— A bo co?

— Gdzie tu mieszkanie do wynajęcia?

— Już wynajęte... a powtóre, czyś pan katolik?

— Héj! stróżu!

— Nie potrzeba wołać, bo ja jestem stróżka czyli odźwierna. Ale dziś niedziela.... jeżeliś pan żyd, to trza było przyjść wczoraj.

— Stultum pyskum, ty niegodziwa babo!—w samą porę zainterpelował dzierżyciel długiéj miotły, chowając oznakę swéj godności za drzwiami piwnicy.

— Czego to pan chciał?

— Gdzie tu jest mieszkanie?

— Powiedziałam, że już wynajęte,—odpowiada kobieta.

— A czemu karta wisi?

— Stultum pyskum! do milion fur beczek!—czyni apostrofę pan stróż do swéj kobiety i daléj ciągnie innym tonem:—Mieszkanie jest kawalerskie.

— No, właśnie!

— Niech pan pozwoli.

Idziesz tedy za nim,—przechodzisz przez drzwi szklane, potém przez czerwone, ozdobione numerem zwykłego lokalu, rozglądasz się po ciemnéj kuchni, dość obszernéj, mijasz drzwi drugie i wchodzisz do dużego pokoju o weneckiém oknie.

— Czy to tutaj?

— Nie; tutaj my mieszkamy. Mieszkanie zaraz panu pokażę, tylko klucza poszukam.

— Kiedy go zabrali...

— Ejże, Weronisiu! Stultum pyskum! Czy pan kawaler?

— Kawaler.

— A kto panu usługuje?
— Naturalnie, że służący.
— To pan ma lokaja?—zapytuje się pani Marcinowa z niejakiem uszanowaniem, lecz powątpiewająco mierząc cię od stóp do głowy.
— A to pan tu nie będzie mieszkał—odpowiada Marcin. — Bo tutaj tylko my możemy usługiwać kawalerom.
— Doprawdy?
— A tak, bo inaczéj gospodyni nie wynajmie.
— A to powiédz gospodyni...
— Już ja wiem;—że pan nie wynajmie.
W ten więc sposób odkryliśmy nie tylko trzecią osobliwość rzeczonéj kamienicy, a mianowicie nader obszerne i dogodne mieszkanie dla stróża, warte co najmniéj dwieście złotych kwartalnie. Odkryliśmy téż, jak się rzekło, inne osobliwości, które, że do rzeczy nie należą, przeto je się pomija.
Ta siedziba stróża, ten obszerny pokój o weneckiém oknie, dość schludnie utrzymywany — to salon pani Marcinowéj, salon, w którym odegra się krotofila tak dobra, jak w każdym innym salonie...

* * *

— Poszedł sobie... Niech go milion fur beczek! A tak pokaźnie wyglądał!
— A ja ci mówię, Marcinie, żeś niezdara, bo przy niedzieli nie robi się żadnych interesów! A widzisz! a mówiłam ci, że to napróżno, że tylko twego pyska szkoda!
— Głupiaś, Weronisiu i basta! stultum pyskum!
— Głupiaś! widzicie go! A nie przyogarnij-no mi się, to ja cię tu zaraz nauczę rozumu! Ja ci powiem: „stultum pyskum"!—zobaczysz!—rzekła Marcinowa z energicznym gestem, przed którym cofnął się podbródek Marcina.
— Czego ty chcesz ode mnie?
— A to się przyogarnij, bo dziś święta niedziela; a powtóre, cóż to? zapomniałeś, że przyjadą Polikarpy?
— To i cóż?
— A bodajeś ty skis! To ty może z miotłą im się pokażesz? A bodajem ręce i nogi połamała, zanimem za ciebie wyszła! To tak postępuje szlachcic legitymowany? Czy ty 'masz Boga w sercu, żeby cię wszystka szlachta językami obmiotła? A jakżebyśmy na cząstkę potém wrócili? A jakżeby my Kundzię dla Walusia dostali? Oj ty płocie, płocie! tylko do ciebie szkapę uwiązać!

— A no, to prawda! A czyć oni pewnie przyjadą?

— Róbno ty com kazała, to obaczysz! Jeno żywo, bo mi się zdaje... Hi! hi! hi! Tak mi Boże do skonania dopomóż... Hi! hi! hi... Czy ty wiész, kapuściana głowo? A mnie się zdaje, że to nie bez kozery! Oni właśnie zjadą na oględziny, a może i Kundzię przywiozą!

— A zkądże ty wiész?

— A nie pisali li to, że woleliby krewniaka, byle Kundzi wpadł w oko? A my przecie najbliższe krewieństwo. Twój ojciec i Polikarpowa matka to byli sobie od wujecznych cioteczno-stryjeczni, a moja matka i Polikarpowéj matka to byli sobie krewieństwo od siódmego pokolenia, i mój ojciec był im téż powinowaty obojgu, a twoja matka to jakby od cioteczno-ciotecznych z ciotką matki Polikarpa i ze szwagrem Polikarpowéj przecie w blizkiém krewieństwie, oni sobie nawet mówili: brat i siostra.

— Toć prawda!

— Ogarnij że się!

— Trza się ogolić.

— Nie mogłeś tego wczoraj zrobić, jeno dzisiaj, przy niedzieli—na ostatni moment?

— I ty mówisz, że daliby Kundzię Walusiowi?

— Oj ty rogu barani! oj ty nogo stołowa! A cóż to ja ułamek? nie mam głowy na karku?! Niech no oni tylko tu zjadą, a do tego z Kundzią, to obaczysz!

— Toć prawda! A no, matka, daj ciepłéj wody!

— O la Boga! o rety! a wyjrzyj-no oknem! toć to oni po dziedzińcu łażą!

— A oni!

— I z Kundzią!

— I z Kundzią! toć prawda.

— Gólże się, gól, a ja lecę po nich.

Za chwilę do salonu pani Marcinowéj wgramolili się: pani Marcinowa na czele, pani Polikarpowa, dość fertyczna kobiecina, pan Polikarp, niski, barczysty, ogorzały szlachetka z miną zawadyacką i oczami przebiegle na wszystkie strony latającemi, i na ostatku ładne, ogorzałe, wysmukłe, lecz niezgrabne i nieśmiałe dziewczątko.

— Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen!

— Pokój temu domowi!

— I ludziom dobréj woli!

— Witajcież, kumie, na tém miejscu!

— Witajcież mi, panie bracie! A przyjmij-że, Weronisiu, chlebem i solą!

— Dobre słowo starczy.

— A tośmy się przecie obaczyli!

— A jakże, góra z zgórą się nie zejdzie... Aleć téż tu u was ludno w téj waszéj Warsiawie!

— Weselić to u nas na ojcowiznie!

— A i tęsknicież do zagona?

— Bogać! Toć człek uciułał w téj ono Warsiawie para groszaków; ino się ogląda, żeby wartało jeszcze przysporzyć, a dopiero kupić cząstkę co się zowie!

— Widzi się, jakoby Warsiawa nie macocha, kiéj grosz ciułacie a i dostatnio pono żyjecie.

— Toć prawda! Nie dał Pan Bóg dostatniéj schedy, ale za to rozumu nie poskąpił; toć człek sobie radzi!

— Ale téż i wyglądacie rzeźko!

— Bogu dzięki. I wam téż, panie bracie, Bóg daje zdrowie.

— Łaska boska! A oto i nasza córka Kundzia! Przywieźliśmy ją do Warsiawy, bo to ciekawe; niech téż się światu napatrzy.

— Niczego dziewczyna! Dał Bóg urodę, i wiano téż musi jest szlacheckie.

— Toć jeszcze nie przepiliśma ojcowizny!

— Uchowaj Boże! Pewnikiem Pan Bóg co przyłożył?

— Ha, tak tam trochę się przysporzyło, z łaski boskiéj.

— Dziewczynie tylko za mąż!

— Młode to jeszcze, ale że mamy z tém kłopot,—bo się rwie do gospodarstwa, a pracowite to, gospodarne, wychowane w łasce boskiéj,—nie będzie jéj człek chował w komorze.

— Toć prawda. Siadajcież, mili goście!

— Czémże was téż uraczyć? — odezwie się pani Marcinowa, która, jak obyczaj każe, odezwała się nie pierwéj, aż na nią koléj przyszła.

— O la Boga! co się tam mata szkodować!

— O! toćże my jeszcze, chwała Przedwiecznemu, nie *zbankretowali*! Mówcież, kumusiu, ale tak przez żadnéj *czyrymonii*; czemubyście téż najbardziéj radzi?

— Ej! co się ta mata szkodować!

— Możeby kawy sporządzić?

— Bóg zapłać za kawę; toć jéj nie ułakniema w domu!

— To możeby z bawaryi co przynieść?

— Bóg zapłać za bawaryą!—odrzekła kobiecina wahająco, rzucając pytające spojrzenia na męża.

— E, bo widzita, kumusiu, — ciągnie z uśmiechem wyższości pani Marcinowa—bo my tu w Warszawie nie chodzimy po gorzałkę, ani po piwo do karczmy...

— A to też to mój się nadziwować nie może, co w takiém wielkiém mieścisku ani karczmy ani austeryi spotkać nie można..... A czemuż mi się za kieckę trzymasz, Kundziu?

— A bo my też gadu, gadu, a wy stoita... Siadajcież, prosimy.

— Bóg zapłać; toć żeśmy bez całą drogę nasiedzieli się do syta.

— Ale co tam! Siedzenie nigdy nie zawadzi! Siadajta i już!— I z témi słowy pani Marcinowa sadza na kszesełkach dwie swoje przyjaciółki, rozglądając się pilnie, gdzieby usadowić kuma, bo w stancyi nie było krzeseł do zbytku.

— A to wiész co, matko — odzywa się Marcin — skoknij ty naprzeciwko, abo do tunelu, po bawarskie...

— A co myślisz, Marcinie, żeby tak jeszcze kimlu trzeci numer i *blutwurszczu*, albo co?

— Aj kimel, to ci panie, kimel my tu mamy. Już ci ty wiész, stara, co najlepsze; wystąpże pokaźnie, jak Pan Bóg przykazał. Toć przecie mamy na to.

— Duchem się wrócę, — mówi Marcinowa do podlasianki, — siedźtaż tu kumeczko, a gwarzcie z moim starym. Ho, ho! to nielada głowa!—rzekła głaszcząc Marcina po twarzy.

— O la Boga!—zauważyła matka Kundzi—toć nie całujtaż się aby przy dzieciakach!

— Co też, kumusiu, przychodzi wam do głowy! Toć-że człek jeszcze nie zheretyczał w Warszawie.

— Biegaj, stara, biegaj, a zawracaj duchem! Bo musita wiedziéć, pani kumo, — mówi Marcin po wyjściu żony — że my żyjemy w bojaźni bożéj, i Pan Bóg nam błogosławi. Zebraliśmy, niechwaląc się, para groszaków, daliśma edukacyą dzieciom... syn, panie, jest jurystą...

— Jurystą! patrzajcież! Toć on i po łacinie musi potrafi?

— A bogać... i po szwajcarsku i po francusku... i z żydami, panie, galancie się rozmówi...

— Co też, panie bracie, *padata*!

— A jakże... Córka, panie, też po francusku spedyte... że i ja, chociaż na starość, sfrancuziałem ta krzyneczkę od niéj... *parle... parlé... ui... ui...*

— A bo też tu w téj Warsiawie, to ponoć straszecznie naród uczony, ino heretycki ma być...

— Ej, to bajki, panie bracie... różnyć tu jest narod, co prawda...

— Tatusiu...—odzywa się Kundzia bojaźliwie.

— A no, mów, dziecko, mów... boć i moja dziewucha, choć na cząstce hodowana, potrafi się taj do ludzi odezwać!—objaśnia szlachetka.—Mów, dziecko!

— Bo we dworku, tośmy zawżdy słyszeli ino,—mówi Kundzia, patrząc w ziemię — że we Warsiawie, choć to piękne miasteczko, bezbożeństwa dużo... ale jak my do Warsiawy wjeżdżali, to ja mówię do ojczaszków: toć nieprawdziwie Warsiawę obnieśli; dyć patrzta, ojczaszki, we Warsiawie musi jest kościół przy kościele...

— Ej, to nie kościoły, moja krewniaczko — odrzekł Marcin — jeno te wspaniałe budowle, to kamienice.

— To téż, kiéj my do Warsiawy wjechali,—odzywa się matka Kundzi—dziwno nam było, gdzież tu ludzie *mięszkają*, kiéj tu same kościoły...

— A ja matusi zaraz mówię: — przerywa Kundzia — widzi mi się, matusiu, że to nie kościoły, ino dwory takie wspaniałe, jak to w książkach opisują, — mówi dobitniéj — aż tu hen my obaczyli kościół prawdziwy, potém i drugi...

— Oj! że piękne, to piękne te wasze kościoły... ale co figury, to już dziw nad dziwy... Patrzymy z mostu, stoi figura... Takiéj dużéj jako żyw nie widziałem. Pytam téż ludzi, co to za święty...

— Ej, to pewnie Zygmunt...

— Toć święty Zygmunt. Musi apostoł, bo ma krzyż wielki...

— Proszę tatusia... Bo to widzi pan Marcin, ja przekładam tatusiowi, że w *Ołtarzyku Złotym*, ile zapamiętałam, nie ma świętego Zygmunta apostoła, tylko święty Zygmunt królewicz...

— Toć i ja mówię — odzywa się Polikarpowa—że Kundzia jakoby sprawnie mówi. Bo ono i święty na figurze w drugiéj garści ma miecz, a na głowie widzi się koronę.

— Bogać ja temu przeciwny. Ino kalkuluję, że może to święty Zygmunt królewicz, a może święty Zygmunt apostoł, boć apostołowie święci orężnie walczyli za naszą świętą wiarę... Cóż, panie bracie, nie mam że racyi?

— Mnie się widzi,—odpowiada Marcin—że *wiency* jakoby było wedle Kundzi podobniejsze do prawdy. Bo tutaj poprostu powiadają, że to król Zygmunt.

— Tak... to tedy święty Zygmunt, król?

— A prawda, tatusiu, jest święty Zygmunt król... jest w „*Wielbij duszo*“. I mnie się widzi, że to ten sam święty królewicz popóźniéj królem się ostał...

— Tu w Warszawie to mówią, jakoby to nie był żaden święty.

— Chryste Panie!—przerywa Marcinowi Polikarp—a za cóż by mu figurę stawiali... i z krzyżem...

— Toć i ja mówię to samo Weronisi, ale kiéj się zawżdy ze mnie uliczniki *śmiały*, jak się żegnałem krzyżem świętym przed figurą Zygmunta.

— *Śmiali* się! a to heretyki!

— Tak ja téż tera dałem pokój...

— I nie żegna się?

— Żegnam się! a jakże!... toć Pana Boga w sercu mam — ino żegnam się w duchu.

— O, Chryste Panie! to może i prawda, co gadali o Warsiawie!

— Ej, nie! bo tu lud bardzo nabożny. Żebyśta przyjechali rankiem, to poszlibyśmy do kościoła... ludu jak nabił w każdziutkim kościele... a to, panie, gmachy, nie kościoły... a postrojone to, panie, odświętnie, wszystko przykładnie modli się na książkach...

— No, to jakże? kościoły piękne mają, figury stawiają, a jakoś nie wszystko jest tak, wedle naszych obyczajów...

— Jużci co kraj...

— Prawda!—to obyczaj.

. . . .

— Dajże, Marcinie, kieliszki! — mówi Marcinowa, wchodząc z butelkami.

— O Jezu Chryste! pocóż to tyla?

— To kimel trzeci numer; drogi bo drogi... ta kapka dwa złote i groszy dwadzieścia.

— La Boga!

— Bawar... to takie piwo... My tu innego nie pijamy... Po piętnaście groszy flaszka.

— Ho! ho!

— I funt rozmaitości.

— A to dobrześ zrobiła, Weronisiu!

— Funt rozmaitości kosztuje u nas, kumusiu, trzy złote...

— Jezu Chryste! toście się téż kumciu wyszkodowali!...

— Ej, co tam! Niech wam będzie na zdrowie! Mój, jak pójdzie ze swoją kompanią na bawaryą, to potrafi i trzy ruble i więcéj stracić.

— Chryste Panie!

— Co téż gadasz, Weronisiu!... Przeszłéj niedzieli straciliśma oboje na Kępie, widzi się, sześć rubli... Ale cóż! widzita, panie kumie, w Waszawie to taki obyczaj! Z ludźmi żyć trzeba...

— A jużci — wléziesz między wrony...

— Krakaj jak i ony, — kończy Marcin; — to téż, panie kumie, straci się, to się straci! Ale w Warszawie to fracha! Pieniądz płynie, że nie wiadomo zkąd! Człowiek żyje bogobojnie, a choć to cza-

sem straci się z dobrymi ludźmi, to i tak *w dubelt* Pan Bóg da i do kaletki się schowa. W ręce wasze, panie bracie.

— Daj Bóg zdrowie! Ją do mojéj staréj.

— Ej, nie wypada! Przepij do kumci.

— Pijcie, panie bracie, do mojéj.

— A to, pani kumo, to w ręce wasze!—Ho! ho! *Padam* ci Łucko, że to panie napitek.....

— A co, panie kumie! nasz kimel!

— Ja myślę, że to gorzałka, ale jakaś chyba nie tutejsza.

— A tylko.... to hen, hen, aż zza morzów do Warszawy wszystko idzie. No, zakąścież!

— Bóg zapłać, nie głodniśwa! — przy tych słowach Polikarp łakomie spogląda na zakąskę i ciekawie przygląda się onym kawałkom rozmaitości. Marcin, świadomy obyczajów podlaskich, wtyka gościowi kawał chleba z szynką.

— Widzi się, że to szynka.... A oto znowu kiełbasa.

— To też to *rozmaitości!*

— Aha! No, sprobujta Łucko i Kundziu, chociaż wy nie głodne. Ależ to specyały!

— A co też powiecie na bawarskie ! — mówi Marcinowa, obdzielając kobiéty. — Nalej no, Marcinie!

— Popróbujtaż pani kumo, popróbujta, panie kumie! pijta na zdrowie! A i krewniaczka niech też pokosztuje!

Kundzia chciwie lecz ukradkiem wypija pół szklanki i krzywi się, Polikarpowa robi tak samo, spoglądając kolejno to na męża, to na Marcinową i Marcina.

— Ale, panie kumie, widzi się, że to haniebnie gorzkie!

— A gorzkie, ale bez to trza się przyzwyczaić, ale potém toby człek *żłopał* i *żłopał!* Powiadam wam, panie kumie, że my czasem oboje ze starą wypijemy bez jedno posiedzenie dwanaście kufli!

— Co mówisz, stary! Toć że my zaprzeszłéj niedzieli wydoili po dwadzieścia kufli i po cztery!

— Chryste Jezu! toć kosztuje kupa!

— A kosztuje! Po dziesięć groszy kufel!

— Patrzajta! O! dostatnio, dostatnio żyjeta! Bogu dzięki, że też się wiedzie naszemu krewieństwu!

— Jeszczeby się, dałby Bóg, lepiéj działo, żeby nie ten kłopot o dzieciaki! — mówi Marcinowa, spoglądając znacząco to na Kundzię, to na jéj rodziców, kolejno.

— My się, Bogu dzięki, o nasze dziecko nie frasujemy. Dał Bóg tylko jedno, dał też i trochę chudoby.....

— Ja téż tak myślę—przerywa Marcinowa — że nasza kochana krewniaczka, to jużci znać, że z dobrego szczepu, że to krew nasza. Nasze téż chłopczysko niczego. I bardzo uczony....

— Ha, za boską wolą—odzywa się Polikarp tajemniczo—niechby tam! Co swojak, to swojak.... ino że to już w mieście wyhodowane.... *Alegant* pewnikiem.... A Kundzia swojskiego chowu, chociaż po bożemu, po bożemu....

— O, nie myślta panie kumie, żeby i nasz Waluś miał złe zasady. Toć przecie, nie chwalący się, krew nasza!

— A no.... niechby ta.... toć obaczymy! — mówi Polikarp, jedząc i popijając, gdy Kundzia zasłania oczy fartuszkiem.

— Nie powstydzę ja się mego dziecka! Oj, pewnikiem wpadnie wam w oczy! Tylko co patrzéć. Ale bo téż i na Kundzię miło popatrzéć!

— Bóg wam zapłać, kumeczko, za dobre słowo!—mówi rozczulona Polikarpowa, ściskając serdecznie Marcinowę. Polikarp téż, połą usta obtarłszy, zabiera się do uroczystéj oracyi. W téj chwili jednak przez uchylające się drzwi odzywa się głos męski:

— Marcinie!

— A co tam? — woła donośnie Marcinowa.

We drzwiach ukazuje się wysmukła postać przystojnego, bladego eleganta, z postawą pańską i ładnym czarnym wąsikiem.

— Interes nieduży, ale pilny!

— Baw, Marcinie, gości—mówi Marcinowa znacząco.—Co pan życzy? — odzywa się ciszéj do gościa, podchodząc doń żwawo, dość konfidencyonalnie, lecz z pewném uszanowaniem.

— Dziesięć rubli na mój zegarek, jaknajprędzéj!

— Marcin nie może teraz odejść, a pewnie tamtego i w domu teraz nie zastanie.

— Moja Marcinowo, nie róbcie ceregieli. Wiecie, że dobry daję procent i Marcinowi za fatygę....

— Ja wiem, ja wiem, ale dziś mamy gości, krewniaków....

— E, co mi tam!

— Niech pan ciszéj mówi!

— Za pół godziny będzie?

— Do pierwszego?

— Naturalnie. Tylko, moja Marcinowo kochana, niech Marcin biegnie zaraz na jednéj nodze! Nie marudźcie.... dam więcéj niż zwykle, byle prędzéj!

— Ale jak go nie zastanie? — mówi Marcinowa, odbierając zegarek.

— Do krocset!

— Panie! nie ma się pan o co gniewać. Mój robi grzeczność. A te tam parę złotych, to nie skarby.... Powiem panu gdzie, może pan sam....

— Moja Marcinowo poczciwa! Ja dziś jestem zły jak chrzan....

— Ja też uważam.... My wszystko zrobimy dla pana—szepcze po cichu Marcinowa — dlatego, że pan bardzo grzeczny!

— Więc nie marudźcie, kochana Marcinowo, potém powiem, dlaczegom zły....

— Ja się już domyślam!

— Więc wiecie, że nie mam czasu. I wam podziękuję. Będzie zgoda. Tylko niech Marcin przyniesie na górę.

— Przyniesie.

— Ale z pewnością? Za pół godziny najdaléj!

— Już ja się postaram. Jak Józefa nie zastanie, to do żyda, co?

— Mniejsza z tém!

— Marcinie! biegnij no zaraz!

— Już, już.... ino czapkę znajdę — odpowiada Marcin, kręcąc się po izbie. Tymczasem młody człowiek uśmiechnął się z zadowoleniem, kiwnął głową Marcinowéj i znikł szybko za drzwiami.

Marcin wyjrzał oknem i spokojnie siadł na poprzedniém miejscu, na dużym kufrze obok Polikarpa.

— A może wygląda, czyś poszedł?

— Ej, nie. Pobiegł pędem na górę.

— To nasz serdeczny przyjaciel—mówi Marcinowa do gości.— To panek! Ma dwa tysiące rubli rocznie w fabryce.

— Patrzajcie!

— Ale cóż... Nieraz przed pierwszym prosi się o dziesięć rubli....

— Nie gadajcie!

— W Warszawie to prawie wszyscy tak! Ale bardzo grzeczny człowiek i rzetelny. Trzeba mu wygodzić. On nam też nieraz się odwdzięczy. Mój jest rządcą tego domu, zna się ze wszystkimi lokatorami. No, i z téj znajomości jest dochód....

— O!

— A tak. Bo w Warszawie trzeba różnie. Aby grosz do grosza! Żeby się wszyscy zwiedzieli, że mój chowa fanty do swojego kufra, toby się tu drzwi nie zamykały. A każdy po znajomości chciałby przez fantu i przez procentu!

— Ba! toby i pozarywali!

— A to téż! A bez znajomość trza ludziom wygodzić, no i profit jest z tego!

— Ho! pewnie! Ino... że w świętą niedzielę nie godzi się....

— A no, cóż robić! Dobrego człowieka trza ratować! On się durzy w jednéj *marmuzeli*.... pewnie dziś z innym jedzie na spacer, a on musi za nią. Oj, będzie awantura! Ale jutro jużby nie potrzebował, a u nas jużby jego noga nie postała. Schowajże, Marcinie, zegarek i zanieś mu te dziesięć rubli.

— Jeszcze nie ma pół godziny.

— Zanieś, bo gotów przylecić. Jemu się czas dłuży. A powtóre od czego głowa? ocieraj pot z czoła!

— Ho, ho! widzi mi się, że pani kumie rozumu nie brak! Toć słyszę w Warszawie rozum popłaca!

— A patrzcież, kumostwo kochani, co my tu mamy fantów przeróżnych! To jeszcze nic! W komorze wisi garderoba. Futra idą do kuśnierzy na schowanie. Jest pieniądz u ludzi! Procent rośnie, i tak grosz do grosza....

— Uzbiera się na fortunkę. A nie zarwią was ludzie?

— A Bóg łaskaw! Z tego, że mój jest rządcą i meldunki trzyma, zna każdego! Przyjdzie hołysz, to mu się nie da i kwita! Idźże, Marcinie!

— Idźcież, braciszku, idźcież, kiéj interes.

— Ja się duchem wrócę, bo to ino w dziedzińcu.

— Tylko się z nim nie zabawiaj cygarami! W dobréj kompanii to mój przecie cygara pali.... Otóż jest mój syn Waluś! Poznałeś ty Polikarpów?...

— *Laudetur Jesus Christus!* — poważnie wycedził na środku izby młody fircyk, ubrany pretensyonalnie w przechodzoną garderobę, z któréj każda część pochodziła z innéj epoki.

— *In secula seculorum!*—odpowiedział Polikarp, podnosząc się z kufra. — Oho! zaraz znać uczonego jurystę! Mógłby i księdzem zostać!

— Co to księdzem! to fracha! — odrzekł lekceważąco nowoprzybyły.—Ja mecenasem wkrótce zostanę! Toż to czci najgodniejsi państwo Polikarpowie, o których mama tak mile zawsze wspomina. Moje najgłębsze uszanowanie! — mówi z pretensyonalnym ukłonem przed Polikarpową, a potém przed Polikarpem.

— A widzisz, to Kundzia.

— *Buona dziorne, sinioretta!* — ciągnie Waluś, zbliżając się do Kundzi w wymuszonych poruszeniach i podając jéj rękę. Kundzia dygnęła, mocno zapłoniwszy się, spuszczając oczy i chowając ręce pod fartuszek.

— Podajże Kundziu rękę Walusiowi — mówi Marcinowa — tu, w Warszawie jest taki obyczaj, kiedy się młodzi witają. Mój syn umié się znaleźć w salonie!

— No, to podaj, Kundziu, panu Walentemu rękę! — mówi Polikarp.

— Ośmielże się Kundziu — zachęca ją matka — przecie i ty się umiész znaleźć między ludźmi.

Kundzia nieśmiało podsuwa się bokiem ku Walentemu i przeciąga doń rękę, którą Walenty końcem palcy dotyka.

— Prawdziwie, zbytek szczęścia tłoczy moje biedne serce, że mam to szczęście rozkoszować się poznaniem pięknéj kuzyneczki— prawi przesadnie Walenty do kryjącéj się za matką dziewczyny.— Bo téż prawda, mamciu, że nasza kuzyneczka to nie to, co te nasze blade warszawianki.

— Nie wstydaj się Kundziu! — mówi do córki Polikarpowa.— To bardzo miły kawaler! — szepcze do męża.

— I tobie téż niczego nie brak, mój jurysto!—zabiera głos Polikarp—mina panie bracie pańska.... znać ułożenie, braciszku... ino się obawiałem, czy aby serca nie zepsowały miejskie obyczaje; ale mopanku, widzę, wszedłszy zaczynasz od boskiego słowa i to w uczonéj mowie.... Oho! braciszku, zajdziesz daleko!

— Czcigodny wujaszku! wszak mamcia mówiła, że pan Polikarp jest jakoby moim wujecznym wujaszkiem?

— A jużci, pewnie, że bliskie krewieństwo.

— Tak, tak! — potwierdza Polikarp. — Parenteli naszéj szereg długi; głowa skłopotana przy gospodarce, panie bracie, to się ta wszystkiego nie pamięta. Ale papiery są! o są!

— Więc kochane wujostwo na długo do Warszawy?

— Jak Bóg zrządzi. Ja mam trochę jakoby interesów....

— Tuszę sobie, że kochany wujaszek obdarzy mnie zaufaniem; ja we wszystkich interesach prawnych, finansowych, administracyjnych *et cetera et cetera* mogę konferować i dać najlepsze informacye.

— A no, zobaczymy, zobaczymy! Tymczasem kobiety się rozejrzą po téj tu ano przesławnéj waszéj Warsiawie.

— Otóż właśnie w to mi graj! Tu już *parfors* ofiaruję damom moje ramię! *Excellentissime* znam całą Warszawę. Mam tu szerokie stosunki. Nikt lepiéj nie może służyć za *czyczerone!*

Kundzia z rosnącym podziwem wlepia oczy w Walusia, kryjąc się za matkę, ile razy Waluś spojrzy w jéj stronę.

— Czy uważa kumcia, jak mój syn salonowo się wyraża?

— Że uczenie, to uczenie! U nas by tam we dworku bez całe życie tego nie usłyszał. Cóż ty, Kundziu?

— Ja ta nie wiem, mamusiu!

— Galanty chłopiec, co? — pyta ciszéj Polikarpowa.

— Chyba.... kiéj matusia tak mówi! — odrzekła cicho dziewczyna, ukrywając twarz za plecy matczyne.

— Mogę sobie to przyznać, że pandekta, jurysprudencya, instytucye Justyniana, encyklopedya, filozofia, to są moje specyalności. Całą procedurę mam w głowie. W kancelaryi naszego mecenasa ja jestem pierwszy. Stary nazywa mnie zawsze kolegą. Ileż to razy on mnie się radzi! Ja mu podpowiadam przed kratkami, ja wyrabiam najzawilsze sprawy, ja — to jego prawa ręka, bezemnie nie miałby téj wziętości. On mojemu talentowi zawdzięcza swoję sławę. Ale, co prawda lubi mnie. Nieraz, gdy obrabiam referat, stary cytuje mi artykuł wcale nieistniejący, albo dyktuje excepcyą, gdzie potrzebna opozycya trzeciego, a ja wtedy konkluduję, i moja górą! Wtedy stary konfidencyonalnie nazywa mnie synem. Uważacie państwo: „*synem*“! A ma śliczną córuchnę, dalipan śliczną! palce lizać! No, ale moje serce obojętne dla niéj. Ona blondynka, a ja lubię szatynki, jak moja kuzynka. Ona blada, ja lubię twarzyczki rumiane; *kwi ejusdem komparentem*.... jak moja kuzyneczka. Ach, w Warszawie jest ładnie, bardzo ładnie: teatr, orkiestry, Łazienki, Doliny, kobiety *e tutti kwanti*.... ale cóż z tego? Kto w pierś młodocianą chłonął powietrze wioski zacisznéj, kto w niemowlęctwie kołysał się na skrzydłach zefiru, kto słuchał arfy Eola, dźwięczącéj w lasach nadbużnych, ten nie może zżyć się z gwarem gwarnego a pustego miasta, z pedantyczną biurokracyą, z tą hydrą, czyhającą ciągle na marną mamonę. Dla mnie tu pusto, tu bezludno, bezdusznie.... Sioło urocze, zieleń błonia, zapach naszego Podlasia, to czar, to poezya!... Nieprawdaż, kuzyneczko? Gdzieżbyś wolała mieszkać: tutaj, czy w dworku zacisznym? Nie mówisz mi, kuzynko?.... Wierzę.... Ze mną *tetatet* naprzykład, źlebyś się czuła zarówno tam, jak tutaj! — ciągnie Waluś patetycznie.

— Ej nie.... matusiu...—nieśmiało szepcze Kundzia, zapatrzona w Walusia i wahając się, czy ukryć twarzyczkę za plecy matczyne, czy patrzéć i słuchać.

— A jednak.... ja czekam na odpowiedź z bijącém sercem.... Być może od twych słów, kuzynko, zależy w téj chwili rozwiązanie hamletowskiego: *być albo nie być*.....

— Panie Walenty.... ja nie wiem.... ja nie uczona po warsiawsku....

— Porozumiemy się, kuzynko! — odpowiada Waluś wesoło, kontent, że swą mówką na całém zgromadzeniu sprawił arcypochlebne wrażenie.

— Żeś uczony, to uczony, mój jurysto, i gadasz jak z książki, to nie ma co!—odzywa się Polikarp. — Ino mi tylko powiédz, jakie-

go świętego wyobraża figura świętego Zygmunta; juźci tu w Warszawie, ta *wielgachna*, co ją widać zaraz z mostu.

— To nie żaden święty.....

— Jakże.... figurę mu postawili....

— W wielkich miastach wielkim i historycznym ludziom stawiają pomniki i kolumny. Mamy pomnik Kopernika, Jana Sobieskiego....

— No, ależ ta figura Zygmunta?

— Jest to kolumna króla Zygmunta, założyciela Warszawy, który, ożeniony z Dąbrówką, królewną czeską, pierwszy przyjął wiarę chrześciańską i poszedł ją krzewić nie tylko w Wielkopolsce, Kujawach, Mazowszu, Podlasiu, ale i na Litwie. Dlatego wyobrażony jest z godłem wiary świętéj....

— Toćże on równy świętym apostołom, toćże on chyba święty...

— Właśnie że byłby kanonizowanym, gdyby nie intrygi krzyżackie, z którymi musiał wieść krwawe walki—i dlatego, jako zwycięzca, wyobrażony jest z mieczem w drugiéj ręce.

— A to prawda! No, a któż mu figurę postawił?

— Po zniesieniu zakonu krzyżackiego, papież Inocenty kazał mu pomnik postawić na pamiątkę 500-letniego jubileuszu chrześciaństwa w Polsce.

— I dawnoż stoi ta figura?

— Przeszło trzysta lat. Dokładnie daty nie pamiętam!

— Patrzajcie! Więc to nie święty! A ja, panie bracie, kląkłem przed jego figurą i pacierz zmówiłem....

— Pobożności nigdy nie ma dosyć.

— Pięknie rzekłeś! Otóż to miło posłuchać! Zawszeć on prawie jak święty!

— Nie bredziłbyś téż, mój kochany, nie bredził! Ja tu stoję za tobą i słucham, jak tumanisz prostaczków! — odezwał się basowy głos nowego przybysza za plecami rozpromienionego Walusia.

— Mój panie! Coś ty za jeden? My tu nie prostaczki, my nie damy się tumanić! Nasz krewniak nie bredzi, ino mówi jak z książki.

— Wierzaj mi pan, że bredzi. Nie jestem ja zbyt mocny w naukach, osobliwie w historyi, ale wiem, że do Polski wprowadził wiarę chrześciańską Mieczysław I-szy, że....

— Mój panie, ja tam od pana nie chcę się uczyć rozumu. Schowaj go pan dla siebie! — odpowiada coraz bardziéj zaperzony Polikarp.

— Ale jak można słuchać takich banialuk, takich fałszów?

— Otóż macie! Otóż macie! Znowu pan Damazy musi się sprzeczać z naszym Walusiem! — odzywa się wchodzący Marcin.

— Prawdziwie, że nie pojmuję, jak pan Damazy, człek niby światowy i już nie młodzik, może zawsze wszczynać burdy w cudzym salonie! — wybucha Marcinowa.

— Ale pani dobrodziéjko! — perswaduje napadnięty z pokornym ukłonem.

— Powiadam ci, Marcinie, ażem zgłupiała! Ani się wita z nikim, ani co, tylko zaraz do burdy! Nie dostaniesz pan Praksi! to trudno!

— Ale co tam, moja mamciu!—zabiera głos Waluś — my tam sobie oba czupryny nie nadwyrężymy! Damzio dobry chłop, tylko uparty i sprzeczać się lubi o wszystko!

— A właśnie, właśnie! że to zaraz widać!—pochwycił Polikarp.

— My, wujciu — ciągnie Waluś — z Damziem już trzy lata razem mieszkamy i codzień się sprzeczamy, że o mało do *ewentualności* nie przyjdzie. No, ale sprzeczki naukowe, kochana mamciu — mówi Waluś z wielką powagą — to jeszcze nie burdy. Najuczeńsi ludzie skaczą sobie do czupryn w imię zasad.... To w najlepszych towarzystwach uchodzi. Po co się mamcia zaraz unosi? Po co ta niewczesna *interwencya?*

— Pięknie chłopak mówi, panie bracie!—konkluduje Polikarp. —Jeno czemuż ten pan tak zaraz obces na wszystkich! O! przecie, panie bracie, i człek nie za piecem chowany i sroce tego.... panie bracie....

Tymczasem Waluś, szturchnąwszy nieznacznie Damazia pod żebro, krzyknął mu w ucho dobitnie:

— Mazgaju! Włazisz mi w drogę, a tu idzie o gruby interes!— i wskazał oczami Kundzię.

— Co? O tę gąskę czerwoną?! — zagadnął cicho Damazy.

— Gapiu! ona ma dwie fortunki! — odrzekł Waluś jeszcze ciszéj i począł się śmiać.

— Chyba że.... — odparł Damazy z dość głośnym śmiechem, spoglądając z ukosa na Kundzię, któréj strój parafiański, postawa niezgrabna, ruchy nieśmiałe, dalekie od szyku warszawianek, a w końcu buzia krasna zbyt mocno, przystawiona do wyrazu „małżeństwo“, „dobry interes“ mogła rodowitego warszawiaka przywieść do wybuchu dobrego humoru.

— O! o! mamusiu! to jakiś szyderca!— rzekła Kundzia niby po cichu, lecz o tyle głośno, że usłyszało całe towarzystwo.

— Kto zaś, moje dziecko? — zapytała Polikarpowa.

— A ten.... ten pan.... ten kolega pana Walentego! — dokończyła, patrząc ze wstrętem na drzwi, któremi Damazy ulotnił się w samę porę.

— Ja bo zaraz mówiłem, że to szyderca i jakiś brzydki człowiek! — odpowiedział Polikarp.

— Kochany wujciu, pozwól, że stanę w obronie mego jakby kolegi i przyjaciela, nie dopuszczając *ferowania* zaocznego wyroku!

— A kiedy ja zaś mówię, że taki porządny jak aść chłopiec, panie bracie, nie powinien z nim trzymać.

— Ale uważa kumcio, panie Polikarpie, jak to widać w moim chłopaku dobre serce?

— Proszę pani Marcinowéj, proszę wujecznéj wujenki....

— No, słucham cię, Kundziu! Chcesz powiedziéć, że to bardzo ładnie tak prędko zapomniéć urazy i jeszcze się wstawić za....

— Proszę wujecznéj wujenki, ja bo nie to chciałam za pozwoleniem ojcaszków i wujostwa....

— Mów, moje dziecko! — mówi Polikarpowa.

— Że ten.... ten szyderca, to wcale nie piękny! On się ze mnie naśmiewał.... A pan Walenty powinien się za mną ująć.... kiedy.... kiedyby...—mówi Kundzia, jąkając się.

— Jeno że to, widać, wszystko po warsiawsku!— wybucha płaczliwie z po za pleców matki.

— Ależ, kochana kuzyneczko, jakiż *motyw*?

— On się ze mnie naśmiewał.... widziałam wyraźnie! — mówi śmiało i znowu, chowając się za matkę, kończy ciszéj, z wymówką— i kuzyn powinien się za mną ująć.... kiedyby nie był obłu.... warszawiakiem!

— Ale kuzynko! jak honor kocham! przysięgam na świętą ewangelią....

— A tak, to co innego! — wtrąca Polikarp.

— Przysięgam na świętą ewangelią, że kościbym połamał, zęby powybijał temu, ktoby się w mojéj przytomności poważył naśmiewać z kuzynki! Ale *ewentualnie* wnoszę, że tu zaszła jakaś *kolizya*. Bo Damazio dobry chłopak, tylko wścibski i uparty.... Ale że dobry chłop, to się zaraz pokaże. A śmiał się nie z kuzynki, tylko rzetelnie z mego dowcipu.... bo mu powiedziałem że... (po namyśle, prędko), że głupi! A że na kuzynkę ukradkiem spojrzał, to dlatego, że mu się kuzynka podobała tak, jako i mnie....

— A to, to nieprawda! — zawołała Kundzia żywo.

— Jakto nieprawda? — pyta Waluś mocno zmieszany.

— A bo słyszałam wyraźnie, jak wujeczna wujenka mówiła: „Nie dostaniesz pan Praksi." Aha! Uśmiecha się pan Walenty, bo może nieprawda? A cóż ja mu się miałam podobać, kiéj się do kuzynki Praksi umizga!

— Oj, kuzynko, kuzynko! — mówi Waluś wesoło — kiedyż kuzynka tego chcesz, to muszę wyłuszczyć wszystkie *ewenementa*, aby kuzynkę przekonać, że zarychło stawia *postulat* fałszu mnie, który żyję samą prawdą, jak święta ewangelia.

— Już to to prawda, że Waluś nigdy nie kłamie!—wtrąca Marcinowa, gdy Kundzia zrobiła wielkie oczy.

— Otóż kuzynka podobała się Damziowi nie *prowizorycznie*, lecz *sumarycznie*, to jest w przewidywaniu *koalicyi* pomiędzy nim i moją siostrą, co go postawi względem mnie na stopie szwagrostwa, oraz pomiędzy mną i.... jeżeli to dojdzie do skutku, co jest potrzebą mego serca, i o ilem świadom woli moich rodziców....

— A no, zobaczymy.... zobaczymy! nie tak nagle!—odzywa się Polikarp.

— Toć może i prawda!—dorzuca Polikarpowa.—Widzisz, Kundziu, na familiantkę też trzeba spodobania. A jakże! to wielka prawda!... Jeno po cóż to zaraz oświadomiać tak rychle obcego?...

— Kochana wujenciu! to nie żaden obcy; to mój przyjaciel od serca i jakby już mój szwagier.

— A no, to chyba że.... Widzisz, Kundziu? przeproś pana Walentego!

— Otóż patrzcie państwo! — woła Waluś, wskazując wchodzącego we drzwi z dwoma koszami Damazego.—Damazy chłop dobry! Ja nad nim wykonywam *absolutnie* władzę *dyskrecyonalną*. Moje wyroki *incydentalne* wykonywa *brewimanu*, bez *opozycyi* i *apelacyi*.

— Co też pan wyrabia, panie Damazy! — rzecze Marcinowa, wyjmując z jednego kosza paczki i butelki.

— O Jezu Chryste! A toć to dużo kosztuje! Po cóż się tyla szkodować!

— A co?! Widzicie państwo! Damzio dzielny chłop w kwestyach finansowych! — wykrzykuje Waluś, żwawo uwijając się ze szklankami.

— Po cóż dwie flaszki kimlu! — pyta Marcinowa Damazego.

— Wypije się, wypije! Słuchaj-no Waluś! Możebyśmy się uwinęli z samowarem, zanim Praksia nadejdzie? co?

— To już mamcia tę kwestyą załatwi.

— Ale po cóż panią dobrodziejkę fatygować? — i to mówiąc, Damazy żwawo bierze się do samowara.

— Damziu, waryacie! Rozpoczynaj!

— Pan Marcin jest gospodarzem!

— Aleś ty fundator!

— No to co? Niech pan Marcin zaczyna, ja tu tymczasem dmuchnę w samowar.

— Panie Damazy! pójdźże pan!—woła Marcinowa, krając chléb i rozkładając plasterki szynki na talerze.

— Zaraz, zaraz! O! już syczy!

— A la Boga! Cóż to za majster! Jeszczem się nie obejrzała, a samowar już syczy! No, co prawda, to dopiéro z pana Damazego będzie miała dobrego męża ta, co pana Damazego dostanie!

— Czy pani dobrodziejka jeszcze się gniewa?—mówi Damazy, pokornie całując Marcinowę w rękę.

— No, no! moja Praksia!

— A! tak, to co innego!—zawołał uradowany Damazy, całując znowu Marcinowę zamaszyście w rękę.

— Patrzaj-no, stara — mówi Polikarp półgłosem do żony — to on naprawdę gracki człek, nie taki jak z początku!

— A toć! Jak to on z uszanowaniem dla Marcinowéj!...

— Jużci to prawda, mamusiu, że to jakiś galant!—wtrąca Kundzia także półgłosem.

— No, panie kumie, w ręce wasze! — woła Marcin.

— Oj, żeby też teraz panna Praksia nadeszła! — wzdycha Damazy.

— Nadejdzie, nadejdzie! Tylko co nie widać!— uspokaja Marcinowa.

— Tak, ale kimlu nie będzie!—biada Damazy jeszcze żałośniéj.

— Kapuściana głowo! — odzywa się na to Waluś. — Kiedy ty trzeźwo zaczniesz na świat patrzéć!

— O Jezu! toć on pijany! Słyszysz, Polikarpie?

— Prawda! — odpowiada Damazy weseléj. — Com baran, to baran. Zawsze zapominam, że kimlu w Warszawie nie zbraknie!

— A widzisz! A zawsze biadasz!

— Ej, co ma być pijany!—odpowiada żonie Polikarp — to jeno takie uczone powiedzenie.

— Ale swoją drogą panny Praksi nie widać!

— Ja w ręce pięknéj kuzynki!

— Ja ta pić nie będę! — odpowiada Kundzia, chowając głowę za ojca, bo Polikarpowa zasiadła do stołu, zostawiwszy córkę na dawném miejscu.

— Przepij, Kundziu, przepij! — mówi Polikarpowa.

— Kiedy bo..... matusiu!

— Pójdź do mnie, Kundziu, ale odbierz kieliszek! Nie wypada panu Walentemu odmówić!

— Kiej matusia każe.... ale mnie się w głowie zakręci.

— Ej nie, kuzynko, bo to likier, nie wódka!

— Czy to esencya, że takie słodziutkie?

— Esencya, kuzynko!

— Ej, to ja pić nie będę, bo to jeszcze gorsze od gorzałki.

— Przepij, dziecko, przepij, nie bój się! Bo ona, co prawda, nie zwyczajna gorzałki.

— A do kogóż ja? — pyta Kundzia.

— Pij pani w moje ręce! — odzywa się Damazy.

— Matusiu!

— Przepij, dziecko, do pana. W kompanii nic nie szkodzi!

— Kiéj matusia każe... w ręce pańskie! — To rzekłszy, Kundzia zasłania się fartuszkiem i pije wódkę z licznymi przestankami bardzo wolniutko; poczém, odwróciwszy twarz od Damazego, podaje mu kieliszek.

— Jédz, Kundziu! Szynka przepyszna! Przybliż się do nas, ot tutaj; siadaj na łóżku. Nic nie szkodzi! Salonik mały, trzeba się mieścić jak można. Siadaj, Waluś koło Kundzi! — mówi Marcinowa.

— *Bą suar, mą szer papa! bą suar, ma pti maman!* — woła we drzwiach żywa, zgrabna dziewczyna.

— Otóż jest Praksia! Masz ją pan! — odzywa się Marcinowa do Damazego. Damazy nie słyszy, dawno już podskoczywszy do nowoprzybyłéj.

— *Fi dąk*! cóż to za konfidencya, panie Damazy!

— Jeszcze drugą rączkę! — mówi Damazy, całując dziewczynę po rękach. — Takie słodkie jak marmelada!

— No, już dosyć! *Ki e isi*, panie Damazy?

— Ona się po francusku pyta, kto tu jest — objaśnia towarzystwu Marcinowa. — Pójdź-że tu, Praksiu! Puśćże ją pan, panie Damazy! Poznałaś Polikarpów? Prawda, żeś jeszcze dzieckiem była, no alemci przecie zawsze mówiła o Polikarpach!

— Ah! to państwo Polikarpowie! Bardzo mi miło! A to zapewne....

— Zgadnij! — przerywa Marcinowa.

— Córeczka państwa Polikarpów, nie prawdaż?

— Eh! co znowu! To Kundzia! nie poznajesz?

— Ja wiem, że Kundzia jéj na imię, ale córeczka państwa Polikarpów.

— A tak! zgadła córka pani kumy! To nasza jedynaczka.

— Widzi mama! a mama mnie zawsze *kontruje*! Jakże ci się, Kundziu, podobało w Warszawie?

— Przywitaj się Kundziu z Praksią; toć to twoja jakoby siostra wujeczno-wujeczna.

— Kiéj matusiu ona taka grzeczna, ale taka dama...

— Panie Damazy, zaprowadzisz nas pan z Kundzią do teatru! Byłaś Kundziu na operze? Nie byłaś pewnie jeszcze; to nic! Zobaczysz wszystko. Pójdziemy do Łazienek, do Botaniki, do teatru, na operę, na balet, pojedziemy na Kępę, na Bielany... Pan Damazy musi nas zaprowadzić, albo... kwita z przyjaźni!

— O! o! już znowu kwita! czemu nie mam zaprowadzić?

— I pogonisz pan za panienkami...

— Panna Prakseda będzie zérkała za chłopcami...

— Cicho! sza! znowu się przekomarzacie!—strofuje Marcinowa.

— Kto się kocha, ten się kłóci — wtrąca Walenty, zajadając i pijąc szklankę po szklance.

— A pan Walenty się nie kłóci!—odzywa się śmieléj Kundzia.

— Z kuzynką chcę się kłócić! Masz kuzynka na początek klapsa!..

— A otóż oddam! — mówi Kundzia, coraz się ośmielając i energicznie wali spracowaną dłonią delikatną rękę Walusia.

— Oj, kuzynko! tak się w Warszawie nie bije! — odpowiada Waluś z uśmiechem, sykając z bólu.

— Co kto lubi, Walusiu! — śmiejąc się woła Damazy.

Kundzia zapłoniona zasłania się fartuszkiem.

— Co tam, kuzynko! nasze zdrowie! — mówi Waluś, podając szklankę Kundzi i drugą nalewając sobie.

— Kiedy to haniebnie gorzkie!

— Pij, Kundziu! to pyszny bawar! Pewnie pan Damazy przyniósł! — mówi Prakseda.

— A jakże, na twoje przyjęcie — odpowiada Marcinowa.

— Służę pani, panno Praksedo! — mówi Damazy, podając swéj bogdance szklankę i trącając się z nią.

Praksia, wypiwszy duszkiem, mówi:

— Aha! zapewne miałam trącić się jeszcze z Kundzią!

— Można teraz — odpowiada Damazy, nalewając Praksi.

— Kundziu, trącimy się! daj szklankę!

Kundzia wyciąga pełną szklankę, Praksia trąca mocno i oblewa fartuszek Kundzi.

— *Kelkbef*! — mówi Praksia do Damazego — Ach, przepraszam cię, Kundziu, moje złoto! Widzisz, w Warszawie trącają się szklankami, ale zgrabnie, salonowo!

— Fartuszek to fracha! — mówi Kundzia — jéno się wstydam...

— Niedługo się z nami oswoisz. Jakże ci się podobała Warszawa? Panie Damazy, szynki! tylko cieniuteczko, nie po chłopsku!

Drzwi się uchylają i w nich ukazuje się głowa niemłodéj już damy.

— Czy tu stróż mieszka?

— A bo co? — pyta opryskliwie Marcinowa.

— Gdzie tu mieszkanie do wynajęcia?

— Już wynajęte!

— Dwa pokoje z kuchnią?

— Już wynajęte!

— A czemu karta wisi?

— A bo jeszcze nie zdjęta! Widzita ją! — mówi gniewnie Marcinowa, gdy się już drzwi zamknęły. — Nawet w święto człek nie ma *odpoczywku*!

— To Marcin *je* stróżem? — podchwytuje Polikarp.

— Marcinowo! do pani! — woła we drzwiach pacholę.

— Marci-nooo-wa! — odzywa się znany nam już głos z lufcika—czemu Marcinowa taka pani? czemu nie idzie, kiedy każę wołać?

— *Przecie* idę!—odpowiada Marcinowa, idąc wolno ku drzwiom, w których stanęła pani Grossfus, właścicielka domu, otyła, średnich lat brunetka, negliżowo, nieco bez gustu ubrana.

— Dla czego nie chcecie pokazać mieszkania téj pani?

— A bo to nie dla téj pani mieszkanie!

— A skądże to wiész, moja kobiecino? — pyta ciekawie obca.

— Bo ja panią znam, to wiem, jakiego pani potrzebuje mieszkania.

— Widzicie ją! ona mnie zna! Czy to żydowski dom? — nagle zapytuje nowoprzybyła.

— A właśnie, że żydowski! ja wiem, że pani nie wynajmie i po co panią fatygować po piętrach?

— Nu! co to jest żydowski, albo nie żydowski? Masz acani na tablicy napisane, to nie trzeba chodzić do żydów!

— *Acani*! widzicie ją! żydowica jakaś!

— A, ty taka, siaka, owaka! Patrzajcie! w świętą niedzielę na urągowisko przyszła! A nie pójdziesz ty won za bramę!—woła Marcin z pod okna, gdy szukająca mieszkania dawno już z pośpiechem wyszła.

— Widzicie wy, Marcinie, — mówi z żalem Grosfusowa, podchodząc parę kroków ku środkowi izby, gdy Marcin z uszanowaniem zbliżył się do niéj—widzicie, jaki to niegrzeczny naród te wasze katoliki!

— Przecie nie wszyscy, proszę pani gospodyni; a żebym ja tak na on czas był przy babie, tobym ją nauczył polityki!

— No, ale czemu wy ludziom nie pokazujecie mieszkania? Za co ona przyszła na skargę?

— A to ją pani ma, jaka jest! — zawołała Marcinowa. — Tu jéj przecie nikt marnego słowa nie powiedział! Jeno pani widziała, jak się rozzłościła, że ją znam!

— Nu, co to znaczy?

— A to proszę pani, ona zarywa wszystkich gospodarzy!

— Taaak?... No, to dobrze, coście jéj nie pokazali! Ale za co się skarżyła, żeście oburkliwe?

— A proszę pani, przecie tu wszyscy są świadkami! Powiedziałam jeno, że mieszkanie najęte i już! Przecie jéj wręcz nie mogłam powiedziéć, że ją znam!

— No, niech ona idzie z Bogiem!

— A to, proszę pani, moje kumostwo, a to moja *krześniaczka*!

— A zkąd oni są?

— Z Podlasia; to szlachta jako i my. Jeno, że my się musimy wysługiwać...

— Żydom...

— E! pani to tak zaraz drogę człowiekowi zabieży! A czy my to państwu nie przychylni? Czy się pani gospodyni nie przekonała? A żeby tak na drugiego, toby pokazał mieszkanie. Coby mu tam...!

— No, to prawda! Ale wy, Marcinowa, wiécie, co ja bardzo prawdę lubię! Wy macie u mnie duże łaski. Ja wam pensyą daję ładną i mieszkanie pańskie. Czybyście wy mieli gdzie-indziéj takie mieszkanie? (rozglądając się po izbie) Nu, to salony, prawdziwe salony! i kuchenkę macie i komórkę... no... i węgle macie i naftę macie — i z kuchni macie — czy ja o tém nie wiem?

— To téż, proszę pani gospodyni, i ja pracuje i mój pracuje bez cały dzień, a za pańskie dobro tobyśmy se dali oczy *powyjmać*.

— No, co prawda, to ja wiém! Tylko wy, Marcinowo, macie jeden feler...

— E, pani bo tam zaraz...

— Ja wam co powiem, Marcinowa! Wy wiécie, co ja was bardzo lubię oboje. Ale ja bardzo tego nie lubię, co wam potrzebna kłódka u gęby. Za co wy nie taka akuratna jak Marcin?

— Przecie, proszę pani...

— Wy wielka dama! wy się już fortuny u mnie dorobili! Nu niech wam będzie na dobre zdrowie! Tylko wy, Marcinowa, idźcie do ślusarza póki ja dobra! No! Bawcie się sobie! Tylko wy, Marcinie, pamiętajcie o bramie, bo złodzieje chodzą!

— Niech wielmożna pani będzie spokojna! — i to mówiąc Marcin, zasłoniwszy sobą gospodynię, schylił się do jéj ręki.

— Ja widzę, co ta wasza *krześniaczka* to ona wcale inna jak te! warszawskie dziewczyny. Ona jest jak róża. Poco ona tu przyjechała? Ona się tu zepsuje. A może ona będzie wasza synowa?

— A może! jak to Bóg da, proszę pani!

— No, to wasz syn bardzo dobrze zrobi. On jest bardzo porządny, bardzo przyzwoity, ten młody człowiek. Ja jemu wyrobię w sądzie posadę. Ja lubię słowa dotrzymać. Widzicie Marcinowa, jak syn do ojca się wrodził? On mnie się ukłonił, on ciągle stoi kiedy ja stoję, a wasza córka to taka dama, jak wy!

— Na te słowa Praksia się podnosi i odchodzi do kąta, udając, że czegoś szuka.

— E! bo proszę wielmożnéj pani, *każda kobiéta* ma długie włosy, a rozum krótki...

— Bajesz Marcinie od rzeczy! — zauważyła Marcinowa.

— Zapewne! — potakuje Grosfusowa — wy, Marcinie, też macie czasem rozum krótki! No, bawcie się! — kończy łagodnie już za progiem.

— Cyt! — daje znak zgromadzeniu Marcinowa, nadsłuchując przy drzwiach—Poszła!—mówi po długiéj pauzie, wracając do stołu.

— Że też ty, Weronisiu, zawsze musisz co skrewić!...

— A pies ją wiedział, że pójdzie na skargę!

— Byłabyś jeszcze lepszego nawarzyła piwa, bo jużci pewnikiem baby nie znasz...

— Ale widzicie moi państwo, jak ja z oczów ludziom wyczytam! A co? ha! ha! ha! Ale co to za żydowski obyczaj... Dobra bo dobra; co prawda, to nie grzéch! W calutkiéj Warszawie drugiéjby takiéj nie znalazł; ale przy byle okazyi, zaraz ma wypominki *od pokunów* świata!

Marcin, grożąc żonie lekko zwiniętą pięścią mówi:

— Ejże Weronisiu! Stultum...

— Marcinie!

— Bo zawżdy z tymi żydami wyjedziesz, a ona się o to najbardziéj gniéwa. A ja mówię: żydy, nie żydy, człek ma dobrą posadę, Pana Boga powinien chwalić i już!

— To wy, panie bracie, jakoby żydom się wysługujeta?

— Ta i cóż? — odpowiada Marcinowa.— A bo szlachcic na cząstce nie wynajmie się żydowi z furmanką? nie sprzeda żydowi swojéj krwawéj pracy i dochowku i zboża?

— To i prawda, że przeda! Ale to jeno z żydem handluje, a żydom świéczki nie gasi!

— Toć i my nie gasimy!

— A no, a jakże? kiéj u żydów służyta?

— Służba służbie nie równa, mój kumie! My na żydów pracujemy, a oni na nas.

— Jakże to?

— A z czegóżby nam pensyą zapłacili, żeby nie pracowali? Oni, chociaż bogaci, cały dzień w sklepie siedzą; jak nie on, to ona, jak nie ona, to córka. A czy handel, czy furmanka, czy dochowek, czy zboże, to równo praca i pot krwawy. Toć to samo w garść nie wlézie! Sprzedajeta żydom zboże—to znój wasz przedajeta.

— Bogać nieprawda!... Juźci...

— A widzita!

— Ale... ja sobie też miarkuje wasze słowa. Juźci ono ładnie, bo ładnie gadacie... Jeno to, że jak żydowi sprzedają to mu obces rzekę: kupisz, żydzie, *psia wiaro*, to kupuj, a nie, to ruszaj z Bogiem!

— Ej, co kumie gadacie! bo to my na cząstce nie bywali? Przyjdzie przednówek...

— Juźci to prawda... Człek się żydowi do kolan chyli...

— A widzita! Na świecie to tak: wszyscy sobie służą, jeno Pan Bóg pan!

— I to prawda! Jeno, że to nasza szlachta okrutnie głupia... Nużby jęli gadać a roztrząsać... Zawżdy co żyd, to żyd! poganin i już! Lepiejby, żebyśta byli u katolika...

— Ale kiedy bo, kumie, nie chceta rozumieć! U nas w Warszawie to nie takie żydy chamy, jak te po miasteczkach! To to chamstwo, cygany, Panu Bogu nie miłe! A w Warszawie żyda nie poznacie, że żyd! To bogacze! Oni z panami żyją, nasze święta obserwują, do naszego kościoła chodzą!

— Nie gadajta!

— A toć tu ludzie są przytomni! Jakże, panie Damazy, nie prawda?

— A tak, a tak! w Warszawie inny naród! Ale my o herbacie zapomnieli! a ja przyniosłem wszystko, czego potrzeba!

— To i *arbata bedzie*? — pyta Polikarpowa.

— A jakże! My codzień herbatę pijemy! i to nie samę! z cytryną albo z arakiem! Praksiu! pomóżże panu Damazemu; niechże się on tak nie męczy!

— Ej, co tam! Panna Praksia i tak cały tydzień... — odpowiada Damazy — ... nie trzeba, nie trzeba! Ja nie pozwolę!

— Ale nie wypada, panie Damazy, żebyś pan, człowiek stateczny i z urzędem, tak się zaś uznoił zawsze u nas jak jaki fagas! Praksiu! pomyj-że szklanki! Albo nie! siadaj ty sobie, dziecko, bo sobie suknię splamiszl Ja sama! Tylko ty kumcię baw, a Kundzię niech Waluś zabawia, a Marcin kuma!

Piją tedy goście pani Marcinowéj herbatę z arakiem, pożyczając sobie wzajem to łyżeczki, to podstawki, to wreszcie szklanki. Marcinowa tłómaczy, że i szklanek jest dość, i łyżeczek aż zadużo, tylko że te sąsiadki zawsze muszą pożyczać!

— Idźno Praksiu do maglarki po nasze szklanki...

— Ale nie potrzeba! wystarczy! — oponuje Damazy.

— Albo siedź, ja sama pójdę!

Jakoż po chwili Marcinowa powraca z dwiema szklankami.

— Są dwie szklanki. Nie mogła więcéj po... oddać, bo sama gości ma. Jeszcze są u lokajki moje szklanki i łyżeczki, ale też ma gości i prosi się, żeby jéj ostawić.

— To wy, kumie, jak ja miarkuję, jakoby stróżem jesteśta a nie rządca! — odzywa się znów Polikarp.

— Mój się stróżem mianuje — odpowiada Marcinowa—ale jest rządcą. Na jego głowie cała kamienica stoi. A to panie gmach, to pałac, nie kamienica!

— To on niby jeno od bramy jest stróżem!

— Co też kumie gadacie! Czyście to nie słyszeli, iże przez nas żadnego mieszkania nie wynajmą. A komu chcemy, to wynajmiemy, komu nie — to nie!

— No jużciby.... jakoby.... Ale że w téj onéj Warszawie, to człek nie bardzo może się *zrejentować*. Czy to niby wedle oprowadzania?

— Mój tu wszystko znaczy. Meldunki trzyma, całego porządku dogląda, po komorne chodzi — i jednèm słowem przez nas nic się tu nie dzieje. O wszystkiém wiedziéć musimy. Jest tu jeszcze drugi rządca, ale to tylko do meldunków... mojemu do pomocy. Tamten tylko kartki pisze, a mój meldunki załatwia.

— E! niechby ta z *reśtą* i stróż! Nie wadzi! Toć ja widzę, że dostatnio żyjeta... Jeno że to u żydów! Zawszeć to pogany!

— Że też to wam, kumusiu, nie może się w głowie pomieścić...

— Hę? w głowie pomieścić? Za kogo mnie pani kuma uważa? Zabierajta się, kobiéty!

— Ależ panie kumie! panie Polikarpie! Ja nie to chciałam powiedziéć!

— A tak! a tak! Jeno, że szlachcic prosto z zagona to kapuściana głowa! to się tak zdurzyć da!

— Polikarpie, miéjże zastanowienie!—mityguje Polikarpowa — Toćże nas uraczyli, w dom przyjęli po ludzku, a ty zaś...

— I to prawda! święta prawda! Ale bo mi pani kuma do żywego dopiekła!

— Nie dziwacz, bracie Polikarpie! — odzywa się Marcin — toć baczysz, jak my się razem chowali!

— Ale kiedy pani kuma trumfy mi daje...

— Kiéj to zawżdy babski język, to furda, panie bracie, kto zważa na babskie wysłowienie!

— I to prawda! Ale bo to człek nie za piecem chowany i tego.... panie bracie....

— Otóż to! Nasze zdrowie, kumie! W godne ręce!

— Pijta z Bogiem!

— Kochajmy się!

— Jak bracia! A niech ta! święta wola boska! Jeno te żydy to pogany!

— Słyszeliśta przecie, Polikarpie, — perswaduje Marcin — co to za pani! Ona Walkowi urząd wyrobi!

— A to téż to! uważałem ci ja! Ale miarkowałem, że Walek, skoroć jurysta, to w sądzie zasiada. Jakżeż to?

— A zasiada i jest urzędnikiem, tylo jakby bez pół dopiéro.... bo jeszcze lat nie ma!

— To on tam na posługi chodzi?

— Ej nie! On pisze w kancelaryi, ale widzicie, dopieroć aplikuje. I nic mu nie płacą, póki nie pójdzie na etat.

— A jać uważałem, że on już bierze pensyą!

— A bierzeć! A jakże! On mieszka osobno bardzo ładnie oto z panem Damazym i za stół płaci i *gardyrobę* sobie sprawia! Bo on aplikuje u *prekuratora* na urząd, a w drugiéj kancelaryi promuje się na mecenasa.

— Ej, to dwie sroki....

— Ale bo za to, co w téj drugiéj kancelaryi rankami i wieczorami papiery odrabia, to dostaje od mecenasa 15 rubli miesięcznie, i dochodów ma drugie tyle albo i więcéj.

— Jakże to?

— Co téż papa mówi: drugie tyle? Zeszłego miesiąca za jedną sprawę odrazu 200 rubli dostałem.

— Ho, ho! — dziwuje się Polikarp — Aby to tylko było tego....

— A jakże wujcio myśli? Toć Damazy zaświadczy!

— A jużci! Masz cyganie świadki! Ale co tam! Może i prawda! Toś braciszku, musiał sobie uciułać?

— A jakże, a jakże! — podchwyciła Marcinowa — sprawił sobie dwa ubrania i resztę nam oddał na schowanie.

— A, to pięknie! to pięknie!

— Mój panie Polikarpie! kiedy nas macie w posądzeniu, to możecie ludzi przepytać!

— Broń Chryste Panie!

— Nam ta, chwała Bogu, nie *kuneczna* oskoma. Waluś, kiejby chciał, toby dziś się jeszcze ożenił z jedną wdową, co szaleje za nim. A ma sześć tysięcy gotówki!

— Dziesięć, mamciu, jak honor kocham!

— A no, niech mu Pan Jezus dopomaga!

— Kiedy bo kum Polikarp to zaraz na opak! Co swojak, to swojak!

— A no, da się to obaczyć! Co nagle, to po dyable!

— Bobyś ty, Marcinie, zaprowadził kumostwo do tunelu! Pokaż, w jakiéj bywasz kompanii! Kumostwo się téż trochę po naszéj Warszawie rozejrzą!

— A no, możebyśmy i poszli, kumie?

— A pójdźma! Ja téż trocha ciekawy... A cóż kobiéty?

— Weronisia musi ostać.

— A tak! ostanę przy dzieciach. Muszę dać na młodych baczenie.

— Ja takoż radabym ostać, — wtrąca Polikarpowa — bo i morzysko mnie łapie z drogi.

— O la Boga! to zdrzymnijcie się, kumeczko!

— Kiéj nie widzę alkiérza!

— Pójdźcie, kumciu, kuchenkę mam dużą, *parabanem* was zasłonię.

— Oj, téż mi się te oczyska stulają!

— A wracajże, Marcinie, z kumem! Na gospodę was nie puszczę, bo w Warszawie gospody drogie. Zmieścicie się u nas, Bogu dzięki. Pójdźcie, kumusiu! A wy, państwo młodzi, bawcie się w kochanego!

— Nie chcę kochanego — oponuje Prakseda — to takie nudne!

— To w „budzę cię.“

— I to nudne!

— To w pastora, albo w sąsiada!

— Za mało nas!

— To w kotka i myszkę!

Młodzi tymczasem, utworzywszy dwie oddzielne grupy, zabawiają się w „łapki“, obdarzając się żwawo klapsami po rękach, z coraz większym śmiéchem.

— Przepraszam, czy nie ma Marcinowéj? — pyta młody mężczyzna, uchylając drzwi po wyjściu starych.

— Jestem, jestem! — woła Marcinowa, wybiegając z kuchenki.— A, to pan! Dziś z tego nic nie będzie!

— Dla czego? dla czego?

— A bo pan widzi, że dziś mamy gości.

— A! to co innego! A nie można gdzieindziéj?

— Panu sto razy trza perswadować. Jużci nie można! To nie żadna *marmuzela*! Obiecała, że przyjdzie do mnie, kiedy po nią poślę. Panby téż po co się załgał, a potém to już pańska głowa!

— Naturalnie! Po co ci goście do licha?!
— A no, nie wyrzucę ich!
— Więc kiedyż? Nie można w tygodniu? jutro?
— Jużci nie można! Ona tylko w niedzielę może.
— Ha, trudno! Niech licho porwie! Marcinowo, zaniesiecie jéj bukiet?
— A i owszem! to będzie *galante!*
— A przyjmie?
— Już moja w tém głowa!
— Więc jutro?
— Jutro!
— Pamiętajcie, Marcinowa, że ja....
— Wiem, wiem!
— Więc tydzień znowu czekać! Do stu....
— O! o! wy mężczyźni toście tacy łapczywi! Oho! Ale jeno zrazu zwolna, zwolna, to będzie na dłużéj!
Ale młody człowiek znikł już za drzwiami.
— Dobry wieczór pani Marcinowéj—mówi wchodząc nieśmiało blada dziewczyna.
— Dobry wieczór pannie! Niech pani pozwoli! No i cóż?
— Cóż pani Marcinowa o tém myśli?
— Jeszcze z nim nie mówiłam. Ale ja się wezmę do niego; bądź panna spokojna! Jeżeli nie — to postrada miejsce! Już moja w tém głowa! Przyniosła panna?
— Jest, ale ja się boję....
— Czegóż? Cóż panna ma do stracenia, kiedy już do panny nie chodzi? Niech panna niczego się nie lęka! Co się stanie, dam pannie znać. Dobranoc pannie! On tu, widzi mi się, chodzi po dziedzińcu.
— Dobranoc pani Marcinowéj! A niech się papier nie zatraci.
— Oddam go pannie! — odpowiada Marcinowa, chowając za gors podany papier wczworo złożony i podchodząc do okna.
— Panie Sztybel! panie Sztybel! — woła przez lufcik.
— Cóż tam znowu? — odpowiada jéj gruby głos nosowy z podwórza.
— Niech no pan Sztybel tu wejdzie, mam interes!
— Widzicie ją! *Panie Sztybel!* Masz interes do mnie, do rządcy, to wiesz gdzie ja jestem! Panie Sztybel! A ty plugawa!
— *Plugawa!* to poczekajże, karaimie!—mówi Marcinowa z gniewem, odchodząc od okna.
— Cóś ty powiedziała? — pyta z najwyższém oburzeniem, wpadając do izby jak bomba, przystojny, wygolony, trzydziestokilko-

letni brunet z dużym nosem i włosami kędzierzawemi. — Ja tobie dam karaima! Wypędzę won na cztery wiatry!

— Patrzajcie go, jaki mi pan!

— Dlaczego nie ma w bramie ani psa, ani pachołka?

— Bo jeszcze nie pora!

— No, ja ci pokażę!

— Jabym panu, panie Sztybel....

— Czy ty nie wiész, że ja rządca jestem?

— Jabym panu rządcy lepiéj pokazała.... aha! Ale kiedy tak, to idź na zbity łeb!

— Co to jest? co to jest? tyś pijana! No, ja tobie dam taki bal....

— Strzeż się, karaimie! Ja coś wiem!

— Co ty wiesz, plugawa? — zawołał blady z gniewu i zmieszany pan rządca.

— Co ja wiem? ja nic nie wiem! — zawołała stróżka szyderczo. Mnie się coś przytroiło, że ja pana będę do chrztu trzymała....

— Tfu! niedoczekanie twoje! Bogdaj tobie język spuchł, plugawa goimko! Tfu!—krzyknął z wściekłością gwałtownie trzasnąwszy drzwiami.

— Poczekaj!— woła za nim Marcinowa. — Ja cię nauczę gadać do szlachcianki! ojcowistki! coby ciebie, karaimie, z całym twoim nosem kupiła! Ale żal mi téj bladéj dziewczyny. Chciałam rzetelnie dla niéj co z niego wystraszyć.

— Bo mamcia nie umie się wziąć do interesu!

— Zapewnie! Ty mnie nauczysz!

— Ale czegóż się pani dobrodziejka tyle irytuje? czy to wart cały ten kram paninego zdrowia? — odzywa się Damazy.

— Marcinowa! — woła popędliwie a śpiewnym tonem, szybko wchodząc, Grosfusowa.—Marcinowa! tego już dosyć! Wy mi kością w gardle stoicie ze swoją gębą!

— Co się stało, proszę pani?—pyta Marcinowa chłodno, udając zdziwienie.

— Nie, moja Marcinowa! tego już nadto! Ja nie chcę takie awantury! Zwymyślaliście rządcę od karaimów! Za co? Jakiém prawem? Co to jest? On wpadł do mnie jak trup, jak waryat, aż mi się dziecko przelękło, aż mi jeszcze serce bije.

— Proszę pani, przecie tu są świadkowie!

— Co mi tam wasi świadkowie! Wy macie buzię! ja wiem Wy się już spanoszyli, wy nikogo za nic nie macie!

— Proszę pani, dlaczego za tamtego rządcy zawsze był święty spokój?

— Ja wiem, ja wiem, co wy trzymacie za katolikiem!

— A tak! pan Sztybel chce nas wyszczuć! Zobaczymy, jak tu kto inny będzie na nasze miejsce.

— Nu, ja jego dla was nie usunę. To darmo! Wolę, wy sobie kupcie fortunę; a mnie zostawcie w spokoju! Ja tego nie lubię!

— Ja wiem, proszę pani, o co panu Sztybel chodzi.

— Ja tego nie chcę wiedziéć! Już ja wiem, co wy lubicie plotki.

— Ja plotki lubię? Żebym tak światłości boskiéj nie oglądała, jeżelim na kogo fałszywe słowo wymówiła! Widzi pani! Tylko że my państwu wiernie służymy, że my pańskiego dobra jak oka w głowie strzeżemy, to pani tak mówi!

— Co dobre, to dobre! Ale ja wolę stracić, jak tyle z wami cierpiéć!

— A cóż to pani cierpi? Że ja mówię na pana Sztybla? bo mam racyę! Bo on chce ze stróżem szacherki robić!

— To nie prawda!

— Nie prawda? pani myśli, że on państwa kocha? Pani chce zgubić swe dziecko!

— Co to za gadanie!

— Ja wiem! Pani mówiła do pana, że nie wadzi, choć on biédny....

— Zkąd wy to wiecie? No, widzicie Marcinowa, to już jest źle, bardzo źle!

— Ja plotek nie wynoszę, bo to mój syn, moja córka i krześniaczka i przyszły nasz zięć.... A że ja panienkę kocham, bo tego warta, to pilnuję, żeby w nieszczęście nie popadła!

— Co to jest, Marcinowa? Niech Bóg obroni od nieszczęścia!

— Niech Pan Bóg zachowa państwa i panienkę w zdrowiu! Pani myśli, że Sztybel nie jest fałszywy, że on przepada za panienką, a nie za kamienicą?

— Marcinowa, ja nie chę tego słuchać! Wy przez złość gadacie, co mi wielką przykrość robi!

— To niech pani czyta!

— Co to jest? Metryka... jego imię... chrześciańskie dziecko....

— Z kawiarką....

— Zkąd to macie?—rzekła, drżąc całém ciałem Grosfusowa.

— On już trzy lata bałamuci tę dziewczynę, obiecał się z nią żenić!

— No, może to nie on, może to drugie takie imię....

— Co też pani mówi! Toć ją mogę przysłać do pani. Manił ją, że się wychrzci, chłopca ochrzcił na swoje imię, dawał jéj na utrzymanie, a teraz się stroi, żeby się państwu pokazać, a o nich obojgu zapomniał.

— To niegodnie!

— Ona się dowiedziała, że on tu mieszka, że tu jest rządcą i przyszła mnie się radzić.

— To nikczemnie! Marcinowo — rzekła gospodyni ze łzami— jeśli to prawda....

— Wszystkiego może się pani przekonać.

— Czemuście mi wprzód nic nie powiedzieli?

— Dopiéro w tym momencie dostałam ten papier. I ja myślałam, że to fałsz. Chciałam jemu pokazać tę metrykę, chciałam się wstawić za biédną dziewczyną, chciałam go ostrzedz, żeby z naszą panienką zręcznie zerwał póki czas....

— To bardzo ładnie!...

— Chciałam pani oszczędzić téj przykrości.... Próbowałam, czy on honorowy, a on na mnie od najgorszych słów, od plugawych goimek....

— Bo może to oszczerstwo....

— Nie, proszę pani. On jeszcze o niczém nie wié, tylko się oburzył, żem na niego bez lufcik zawołała: panie Sztybel! I zaraz jął mnie lżyć. A to proszę pani, pani mnie uszanuje, i pan i panienka—a on jaki hardy? Nazwać mnie nie potrafi!

— Marcinowa! ja was wynagrodzę za wasze dobre serce. Wy mi będziecie jak krewniaczka jeżeli to wszystko prawda!

— Czy jabym śmiała stworzyć takie kalumnie?

— Byłabym zgubiła moje kochane dziecko! — i płacząc objęła głowę Marcinowéj, która téż serdecznie poczęła Grosfusowę całować po rękach.

— No, ja się tego nie spodziewałam po was!

— We mnie, proszę pani, szlacheckie bije serce! Żeby on nie zrobił takiéj awantury, tobym delikatniéj to pani powiedziała!

— No, Marcinowa, nie mówcie nic nikomu! Ja jego wypędzę, tylko jeszcze nie wiem jak, żeby moje dziecko było spokojne! Przyślijcie mnie tę dziewczynę; niech ona przyjdzie po robotę!

— Dobrze, proszę pani!

— Tymczasem niech tu ztąd ani jedno słowo nie wyjdzie! Bawcie się jakby nigdy nic. Jego nie draźnijcie! Ja jemu powiem.... No, zobaczę... namyślę się.... co ja jemu powiem. Ja jego wypędzę, tylko pierwéj chcę z grzecznością spróbować. Ja zawsze lubię jak najgrzeczniéj z ludźmi!

— To téż i my bez to ostali się u wielmożnych państwa, kiedy państwo ten dom kupili.

— Tylko Marcinowa... — upomina jeszcze Grosfusowa na odchodném.

— Niech pani będzie spokojna! Nie potrzeba ślusarza! — dodaje Marcinowa z uśmiechem. — A proszę pani o tę metrykę to ona się upomni.

— Dobrze!—brzmi odpowiedź już za drzwiami. — Ja tylko mojemu mężowi pokażę.

— A widzisz, karaimie! — odzywa się po chwili tryumfująco Marcinowa.—Nie byłabym mu tego zrobiła, jak mi Bóg miły! bo nie jestem pomstnica. I ta blada dziewczyna nic teraz nie dostanie! I ta sierotka biedna tego karaima!

— Dlatego mamcia źle zrobiła! — robi uwagę Waluś — będzie teraz nielada chryja!

— I tak i tak, to onby niedowiarek nie chciał odstąpić od swego! A może się i lepiéj stało? Onby zabiegł może.... a szkodaby naszéj panienki.... Tak! szkoda! bo choć to żydówka, ale to takie dobre, że do rany przyłóż.... choćby i do katolickiéj!.. Głupiś, Waluś!

— Ja głupi! Jak mama śmié?!

— Tyś mądry, ale w kancelaryi. Tutaj nie rezonuj! Na babskie rzeczy nie twoja głowa!

— No, chyba że tak, bo wié mama, że....

— Tak Pan Bóg zrządził! Lepiéj się stało! Ten Sztybel to chytra żmija! A, karaimie!

— Weronisiu, bój się Boga! co znów na Sztybla wygadujesz!— zawołał Marcin, wchodząc z Polikarpem. — Że też ta twoja gęba nigdy nie świętuje!... Znowu biédy napytasz!... Co tobie do Sztybla?

— Marcinie, usiądź i siedź! Jużeś zalał więcéj jak trzeba!...

— Ejże, Weronisiu, stultum....

— Marcinie!

— A no, niech ta.... prawda!... Już, już siedzę cicho....

— Braciszku, nie swaraj się z babą przy dziateczkach!—napomina Polikarp. — A gdzież moja?

— A śpi za *parabanem!*

— Chryste Panie! bez całą drogę spała!

— Ja tylko tyle mówię— odzywa się Damazy — że salon pani Marcinowéj to prawdziwy salon! Jeżeli nie ważą się w nim losy świata, to jednak....

— Mrumru! — przerywa mu Marcinowa, dając znak milczenia.

— Dlaczego ma być mrumru? — pyta podejrzliwie Polikarp. — Pewnie tu była jaka zdrożność, jakie wszeteczeństwo, hę? Kundzia! tłumacz mi się za....

— Ja, tatusiu.... ja... — zaczyna Kundzia zalękniona.

— Czegoś ty zalękniona?

— Bo tatusio tak na mnie krzyknęli....

— Mój kumotrze! za cóż to macie mój salon? — mówi Marcinowa z wielką powagą. — Przecie tu nie las, przecie ja tu ciągle jestem....

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Witajcie, panie Marcinie! Witajcie, pani Marcinowo!

— Na wieki wieków, amen! — odpowiada nowo przybyłemu Polikarp.—A to przecie jakiś porządny człowiek! Bo, widzicie, pani kumo, w téj to waszéj Warsiawie, to nie wszystko jest po bożemu. W tym waszym tunelu kapela pięknie gra, dziewuchy żwawo uwijają się z kuflami, a że miło patrzéć, ludu strojnego kupa, ale cóż? pochwalisz, wchodzący, Pana Boga, żywa dusza nie odpowié. I rozmowy takie nieprzystojne! musieliśwa wrócić się rychléj z Marcinem.

— Co téż kumeczku gadacie! Tam się zbiera bardzo porządna kompania! Przecie i mój tam chodzi! Cóż takiego gadali?

— Bies ich ta wié, co gadali; ale że jakoś bezbożnie....

— Pewnie po niemiecku! — wtrąca nowoprzybyły.

— Ej nie! Kiedyby po niemiecku, tobym się na tém poznał. Po polsku *śwargotali*, ale jakoś ta....

— Co to pan Mateusz przecie do nas zawitał! — pyta Marcinowa nowoprzybyłego.

— A to względem tych kilkunastu złotych, co to pani Marcinowa miała dla mojéj odebrać.

— Wziął bieliznę, tylko przeliczyć nie miał czasu! Jutro sama przyniosę. A cóż pani Mateuszowéj tak pilno? toć jéj nie przepadnie!

— E, bo to niby pani Marcinowa nie wié! Bez posady jestem!

— Dawnoć?

— A od kwartału! Poróżniłem się z hrabią! tyla tylko, że mi za miesiąc zapłacił.

— To i tak przecie pan Mateusz na to jeno nie patrzy.

— To téż to, że dziś tak jakoś wypadło! Co jest parę groszy, to u ludzi; odebrać trudno, a i szkoda, boby poszło! Miałem przez ten czas parę obstalunków, ale niech ich tam kaczki zdepczą! Ja tam z nimi kompanii trzymać nie chcę! Porządny człowiek woli stałą kondycyą!

— A jakiejż to pan profesyi? — pyta Polikarp.

— Do czynności chodzę!

— Aha!

— Pan Mateusz jest dworski — objaśnia Marcinowa.

— Tak to?! No, to musi bywalec?

— Oho! ba! ba! — potwierdza Marcinowa.

— Ja tam, nie chwalący się, z hrabiami zagranicę jeżdżę.... Co roku w Paryżach, Badenach.... A panna co tu robi?—pyta ciekawie Praksedy.

— To pan Mateusz nie wie? Praksia nasza córka!

— Hm! Panna zawsze mówiła, że jest córką urzędnika....

— A bo przecie mój ojciec urzędnik! Od policyi zależy....

— A tak! z długiem piórem.... I amanta, widzę, panna ma...— ciągnie Mateusz drwiąco.—Czy to *już* drugi, czy *jeszcze* drugi?

— Czy to tak, panno Praksedo?—zapytuje Damazy.

— A zkądże się państwo znacie?—pyta Mateusza Marcinowa— kiedy nie tutaj?

— W jednym domu byliśmy; nie razem, ale naprzeciwko—odpowiada Mateusz.

— Pan Mateusz powinien wiedziéć, z czém się gdzie odezwać! *Kąprene wu, mąśje?* — woła zaperzona Prakseda.

— *Że kąpran, madmuazel!* Tylko ze swoją francuzczyzną niech panna nie wyjeżdża. Powinna panna wiedziéć, do kogo się odzywa!

— I to może pan Mateusz powié! Ja też przecie zawsze z państwem jestem i z panienkami po francusku rozmawiam.

— E, przecie ja wiem! panna, zamiatając, słyszy, jak się panny uczą....

— Panie Mateuszu! pan szarpie honor mojéj córki! nie spodziewałam się.... Pani Mateuszowéj nie dam już więcéj kawalerów... Kiedy tak, to tak!

— Nie będziemy płakali! Co moja utłucze, to się z wami podzieli. A to mydło drogie, krochmal przepłać i z tego nie ma nic!

— No, to kiedy tak.... to niech żydom pierze!

— Weronisiu! stultum....

— Ty się do tego nie wtrącaj! Moi kawalerowie *w dubelt* płacą, i nie napracuje się: bielizna tyle, że zmięta.

— I właśnie, proszę mamy, że nieprawda! bo ja się razem z panienkami od guwernantki uczyłam... — oponuje Prakseda. — Może pan Mateusz zaprzeczy—zwraca się z gniewem do Mateusza—że to nie po francusku: *że wu salu mąśje, ferme la port, musze le ne, done mua ę wer do...* — recytuje jednym tchem i urywa nagle, widząc, że się Mateusz ironicznie uśmiecha.

— Ale po francusku! i owszem! tylko że panna jak papuga recytuje: witam pana, zamknij drzwi, utrzyj nos.... ha, ha, ha!... podaj mi szklankę wody,—piwo przecież lepsze!— i nie wiész panna, kiedy co powiedziéć!

— Ale naprawdę po francusku gada?—pyta Polikarp, występując na środek.

— A gada! gada'—potwierdza Mateusz lekceważąco.

— No, to widzisz, moja Łucko, że wszelako dziewczyna po francusku gada! A ja miarkowałem, jakoby mnie oni durzyli.... A, kiedy tak, to się dobrze złożyło!

— Co też kumcio wygaduje? któżby zaś kumów durzył?

— Ale bo to we Warsiawie to jakiś inszy naród.... No, ale że uczony, to uczony! Kalkuluję, że i Waluś dobrze mi dorai.

— Mój wujciu! ja nie takie interesa prowadziłem!

— A kiedy jeszcze nie wiész jaki! No, powiédzże mi pan téż, panie Mateuszu—mówi, kładąc Mateuszowi rękę na ramieniu—kiedyś pan taki uczony.... co to za król Zygmunt, co ma figurę?

— E, ja tam historyi nie uczony! Wiem, że król Zygmunt od dawien dawna stoi i tyla! Ja bo, widzi pan obywatel, tylko francuskie książki czytuję i w polityce jeno jestem mocny....

— A toż we francuskich książkach kto uczony, to témbardziéj wiedziéć powinien o wszystkiém!

— Kiedy we francuskich książkach o tém nie piszą!

— Jakto zaś?

— A nie piszą! Może mi pan obywatel wierzyć! Piszą tylko o francuzach i o różnych różnościach.

— To to tak!? A czemuż pan Mateusz nie czytuje takich, co wszystko piszą?

— Bo w hrabskich domach tylko francuskie albo angielskie trzymają gazety!

— A, cóż oni piszą, te francuzy? bo ja myślałem....

— O polityce.... o modach.... romanse....

— O polityce?! To i tobym rad posłyszéć!... Ale że najbardziéj ciekawy jestem tego króla Zygmunta! I patrzcież państwo! Kiedy taki uczony człowiek, co ci panie bracie wytłómaczył, co Praksia po francusku mówiła, i to panie bracie nie wié o królu Zygmuncie, no, to musi Waluś, pan Walenty, nie na żarty jurysta! A no, moja pani kumo, kumie Marcinie, winszuję, winszuję!—Ściska Marcina.

— Czemu pan Damazy taki osowiały?— pyta na pół gniewnie, na pół z płaczem Prakseda swego kochanka.

— Ja muszę tego dociec, panno Praksedo! o, muszę! choćby mnie to nie wiem ile kosztowało!

— Nie spodziewałam się tego po panu Mateuszu! Jakże, niech pan Mateusz powié zaraz do oczów! — woła, ciągnąc Mateusza za rękaw. — Niech pan Mateusz powié lepiéj wszystko, co tylko wié!... Czym ja co złego zrobiła?

— Tego nie mówię! Uchowaj Boże!

— Ale miała amanta? — pyta desperacko Damazy.

— To co, że czasem z kim pogadałam? — odpowiada prędko Prakseda. — Czy to pan Damazy już się oświadczył, czy co?

— Prawda! dalibóg prawda! Moja wina! — odpowiada Damazy ze skruchą.—To wybieraj panna Prakseda, ale zaraz bez namysłu, wedle serca!

— Ja nie wiem, co pan Damazy myśli! — odrzekła Prakseda, trochę uradowana, trochę zmieszana.

— Co ja myślę? Tak myślę: chcesz mnie panna Prakseda, czy nie? Może tamten frant lepiéj się podobał?

— Co się miał podobać?

— Więc jakże?

— O! co téż pan Damazy taki dziwny! Co nie ma pana chciéć? — decyduje Marcinowa, na wszystko baczna. — Na plotki niech pan Damazy nie zważa. Ja za moje dziecko ręczę!

— A no, to niech sama powié. Stań się wola Boża! Stróż nie stróż, pokojówka nie pokojówka, jak się zwał, tak się zwał...

— A cóż to pan Damazy sobie myśli? Toćże my szlachta legitymowana!

— A i ja szlachcic!

— Dziewczyna młoda, ładna, hoża, niejedenby za nią latał bylebyśmy pozwolili! I do tego ma trzy tysiące gotowych pieniędzy zaraz, krom tego, co po naszéj śmierci....

— Słyszysz Łucko? — mówi Polikarp do żony półgłosem, wbok ją trąciwszy.

— Furda trzy tysiące, mocium panie! Toć wiadomo, że ja mam dochodu 40 a czasem 70 rubli miesięcznie!

— Słyszysz ty, Łucko?

— Pół domu na Smoczéj i pięć tysięcy w listach zastawnych!

— Patrzajże, Łucko! A niechże cię! A my z nim ni tak, ni siak!

— Mógłbym dziesięć tysięcy dostać, — kończy Damazy — ale kocham dziewczynę! Żeby mnie tylko kochała, to będzie szczęśliwą i ja z nią!

— A cóż to nie ma pana kochać? Cóż to panu brak? — perswaduje Marcinowa.

— Niech sama powié! — mówi Damazy, patrząc dziewczynie w oczy i biorąc ją za obie ręce. Dziewczyna spłoniona szepnęła Damazemu w ucho i, pocałowawszy go z nienacka w czoło, wyrwała się do kąta. Damazy ją dopędza i natarczywie nadstawia usta do drugiego pocałunku, szepcząc miłośnie:

— Praksiu moja, aniołeczku, jeżeli kochasz, to pocałuj jeszcze!

— O la Boga! Chryste Jezu! Co się dzieje! — woła Polikarp — Żono, córko, zabiérajta się na gospodę

— Kumie! panie Polikarpie! cóż znowu? co się stało? — pyta mocno zdziwiona Marcinowa.

— A toż go pocałowała w same usta wobec oto i młodych i starszych! A toć zgorszenie, brak poszanowania, obraza boska! Kobiéty, zabiérajcie się!

— Ależ panie obywatelu!—tłómaczy Mateusz—cóż w tém złego? Przecież to zaręczyny, to jakże ma być inaczéj?

— Co mi pan perswadujesz, mój panie! Ja z moją blisko trzydzieści lat *żeniaty*, a nigdyśmy się wobec nie całowali!

— A zkądże to pan obywatel?

— A z Podlasia, szlachta, panie bracie, na swojéj cząstce!

— No, to, panie obywatelu, pozwól pan sobie powiedziéć, że co kraj, to obyczaj!

— Toć prawda; ale dziękuję pokornie za takie obyczaje! Wszystko mi się podoba u was, Marcinowie, panie bracie, ale wybaczcie, na takie obyczaje patrzéć nie mogę! No, kobiéty! czego się gapita?

— Proszę tatusia... to i ja będę karana ,jak się ojczaszki dowiedzą, — odzywa się Kundzia, chowając oczy pod fartuszek.

— Co nowego? Gadaj zaraz!

— A bo, proszę tatusia, ja téż.... ja téż....

— Chryste Panie! co znowu?

— Bo kiedy ojczaszków nie było, pan Walenty wziął i mnie pocałował.... jużci tak fertycznie, żem się nie spotrzegła!

— A czemuś nie krzyknęła?

— Kiedy jął prosić, żebym mu rzekła po imieniu i przyniewolił, żem i ja jego....

— Chryste Panie! Dziewczyno! miałaś ty Boga w sercu?

— Kiéj ojczaszki rzekli, że nas pożenią, jak się sobie podobamy, to ja myślała, że nie grzech...

— Jezu Chryste! to już chyba takie powietrze w téj Warsiawie! Dziewucha, braciszku, wychowana jak w klasztorze!

Mateusz uśmiecha się i dusi śmiech w sobie, ale Marcinowa daje mu znaki, żeby był poważnym.

— Kochany wujciu! — odzywa się Walenty, całując Polikarpa w rękę — Kundzia wcale nie winna. Ja jéj mówiłem, że w Warszawie, kiedy kto kogo kocha, to go pocałuje. I to wcale nie jest kłamstwem!

— A niech was nie znam z takim obyczajem! No, ale Kundzia tyla jeszcze niewinna — bo o mężczyznach się nie gada. — Na osobności to tam jeszcze!

— Więc wujcio nie gniewa się na Kundzię? Ja zostanę mecenasem....

— Furda, mości panie! — odzywa się na te słowa Damazy, który śmiejąc się do téj pory po cichu, bezustannie całował Praksię po rękach. — Furda mecenasowstwo, powiadam! Po co świat mamić? Będzie, panie, woźnym trybunału, jako i ja panie, i to wkrótce, bo już dwa lata aplikuje i protekcyą pozyskał; bo trzeba państwu wiedzićć, że Grosfusowa naprawdę robi starania u naszego prokuratora.

— Robi starania? — pyta Marcinowa — a co? nie mówiłam, że to zacna pani, choć żydówka? Widzicie kumie?

— I pan się na urzędzie dorobił? — pyta Damazego Polikarp.

— A jakże, panie! Przy szczęściu jest z czego uzbierać!

— A powtóre, mój Polikarpie, że jakom rzekł, — odzywa się Marcin, trącony przez małżonkę — każdemu dziecku daję wiana trzy tysiące złotych gotówką i po naszéj śmierci drugie tyle, jeżeli Pan Bóg nie da więcéj.

— Słyszysz, Łucko?

— Wedle mojego rozumu, toć wejdziemy w piękną koligacyą!

— A jużci! I swojacy!

— Nie dziwacz stary, toćżeś i ty całował za młodu!

— Ale nie wobec! I to ja ciebie, a nie ty mnie!

— Kiedy bo wy, kumie, nie dacie sobie wytłómaczyć, że to Warszawa!

— A no, niechże ta! Ja też daję po naszéj śmierci fortunkę — toć ją znacie!— i trzy tysiące wiana, a choćby i cztery, choćby i pięć, bo mi się chłopak udał!

— Więc zgoda, panie bracie!—krzyknie Marcin, obejmując Polikarpa za szyję.

— Niech żyją dwie pary! — woła Marcinowa, ściskając Polikarpową.

— Niechże już! — mówi Polikarp, spojrzawszy na dzieci i widząc, że Kundzia kręci się w kątku z zasłoniętemi fartuszkiem oczami, a Waluś usiłuje zajrzéć jéj w oczy. — Niech się stanie wola boska! Wlazłeś między wrony, krakaj jak i ony! Całujtaż się dzieci, kiedy już tu taki obyczaj!

— Oj ty stary, ty stary! — mówi Polikarpowa, klepiąc męża po łysinie.

— Jeno ty stara nie rób głupstw!

— Ej zaś!

— Cała biéda, żeśmy, Waluś nie przynieśli harmonii!

— Już ja teraz po nią nie pójdę! Kundzia nie pozwoli!—odrzekł Waluś, chichocząc i umizgając się do Kundzi.

— O co idzie? — odzywa się Mateusz — ja wnet swoję sprowadzę. Prześliczna! Bo i ja też muzykalny! A nawet i na flecie mogę zagrać!

— Oj, to! to! to! — woła Praksia.

— Wracajcież, panie Mateuszu, nie sam! — odzywa się Marcinowa — niechże się i wasza z nami zabawi!

— I owszem! A nie będzie się pani Marcinowa wygrażać?

— E, co tam! kiedy przy łasce boskiéj wszystko się w dobro obróciło!

— To i ja panu Mateuszowi przebaczę urazę!—mówi Prakseda.

— Oto Bogu dzięki, jest jeszcze piwo! — woła Marcin. — Za zdrowie państwa młodych!

— Wiwat!

— To tylko najgorzéj, że ja muszę do bramy!—biada Marcin.

— Nie turbuj się, staruszku! jest i na to rada! Stangret cię zastąpi z pocałowaniem ręki za te parę złotych, co mu dasz! Niech się dzieci zabawią!

— Niech się dzieci bawią! — woła Polikarp wesoło.— Kundziu, nie wstydaj się! toćże ty nie za piecem chowana, chociaż nie we Warsiawie! A kiéj wlazłeś między wrony....

— Krakaj jak i ony! — kończy Marcinowa.

— Całujtaż się, dzieci!

* * *

W salonie pani Marcinowéj goście i zaręczeni na swój sposób bawili się ochoczo do rana. Co będzie daléj, domyśléć się łatwo, bo pani Marcinowa nie napróżno ma „salon“ i, jak czytelnicy z tego szkicu widzą, salon pani Marcinowéj nie bez racyi nazwaliśmy salonem.

Natali Osuchowski.





POGLĄDY
FILOZOFICZNO-PEDAGOGICZNE
HOENE-WROŃSKIEGO.

Mesyanizm Hoene-Wrońskiego, jako system, którym pragnął objąć Boga, przyrodę, ludzkość, wiedzę i religią, pozostał i pozostanie nieurzeczywistnionóm marzeniem. Potężna umysłem jednostka, jaką był Wroński, dzielić musi z najmniéj udolnym osobnikiem tę wspólną dolę, że odległa przyszłość pozostać musi dla obu nieznaną. Wieszcze umysły wybiegają wprawdzie po za granice wieku, nie zdołają jednak przewidzieć wszystkiego, co się rozwinąć ma z łona czasu. Wroński porwał się do podobnéj tytanicznéj roboty, zbudował gmach, w którym umieścił i uporządkował wszystko, co już zostało zdobytém pracą ducha ludzkiego, powyznaczał miejsca dla tego, co ma być zdobytém w nieograniczonéj przyszłości dziejów, ale gmach ten okazał się utworem fantazyi, który rozwiał się pod wpływem tchnienia rzeczywistości.

Mimo to, mesyanizm jego pozostanie zawsze pięknóm dziełem ze względu na niezliczone bogactwo pomysłów z najróżnorodniejszych dziedzin wiedzy, jakie zaklął w swym fantazyjnym gmachu. Pomysły Wrońskiego w dziedzinie nauk ścisłych noszą na sobie piętno geniuszu i mają po dziś dzień wysoką wartość naukową. Nie wszystkie prace jego są dotąd znane, i wolno nam przypuszczać, że gdy bliżéj będą rozpatrzone i ocenione, nie jedna z nich znaczną nauce przyniesie korzyść.

Chcemy tu przedstawić w streszczeniu jeden urywek z wielkiego dzieła Wrońskiego „*Reforme absolue du savoir humain*“ (1847), urywek, z którego poznać można, jakie poglądy pedagogiczne wyznawał twórca mesyanizmu. Sądzę, że rzecz ta nie będzie pozbawioną interesu dla czytelników.

Rzecz oczywista, że pojęcia pedagogiczne Wrońskiego musiały wypływać z zasad mesyanizmu, t. j. filozofii bezwględ néj, jak Wroński system swój nazywał. Aż do ogłoszenia téj filozofii „wielki problemat wychowania prywatnego i publicznego“ nie tylko nie był, zdaniem Wrońskiego, rozwiązany, lecz nawet nie był należycie postawiony. „Wszystko, co dotychczasowa filozofia uczyniła pod tym względem, powiada on, sprowadza się w zasadzie do téj prostéj uwagi ogólnéj, że wychowanie winno rozwinąć w człowieku ogół jego zdolności fizycznych i hyperfizycznych, t. j. cielesnych i duchowych, i dla dojścia do tego celu przepisuje pedagogice filozofia czerpać prawidła wychowania z jednéj strony *a posteriori* w antropologii, z drugiéj zaś *a priori* w filozofii moralności i w religii. Ze względu jednak na brak pewnych zasad w wymienionych umiejętnościach, sztuka wychowania musi być równie niepewną. Wynikają ztąd najsprzeczniejsze opinie wychowawcze oraz niezliczone metody pedagogiczne, niedorzeczne i niebezpieczne. Wychowanie prywatne bywa błędne, gdyż rodzice nie posiadają zwykle należytéj wiedzy wychowawczéj i popełniają często prawdziwe morderstwo intelektualne, zwłaszcza gdy układają plan wychowania, idąc za fanatyzmem swych poglądów politycznych i religijnych. Twórcy znów wychowania publicznego, przekraczając właściwe sobie prawa, ustanawiają wszechwładnie system wychowania narodowego, kierując się często pobudkami interesów osobistych lub zasłaniając się rzekomemi interesami państwa.“ Nie przeczy Wroński, że najnowsza filozofia niemiecka (Kant i jego następcy) wpłynęła na poprawę pedagogiki nie tylko jako wiedzy, ale i jako sztuki wychowania. Dla poznania postępów pedagogiki niemieckiéj poleca czytanie dzieł Niemeyera, Kruga, Zachariae, Rehberga, Pavoneta, Schwartza, Grasera, Stephani'ego, uważa jednak, że wszystkie te prace są niezadawalniające pod względem filozoficznym, a to dlatego, że cel, jaki sobie pedagogika dotąd zakłada, a mianowicie rozwinięcie ogółu zdolności cielesnych i duchowych człowieka, jest, jak już wspomniano, niewystarczającym, bo jest celem subiektywnym, względnym, gdy tymczasem prawdziwa umiejętność wytknąć sobie winna cel obiektywny, bezwzględny.

Cel pedagogiki winien być na wszystkie czasy zgodnym z celem, do którego zmierza ludzkość. Tezę tę nazywa Wroński *prawem najwyższém* pedagogiki, na którém opierać się winno całe *prawodawstwo* téj umiejętności.

Lecz do jakiego celu zmierza ludzkość? Wroński twierdzi, że mesyanizm odpowiada na to najwyższe pytanie w sposób stanowczy. Celem bezwzględnym istnienia człowieka na ziemi jest zdoby-

cie prawdy bezwzględnéj, dobra bezwzględnego, *tworzenie własne*, nieśmiertelność. Do tego celu doprowadzi człowieka rozwój jego rozumu, którego zdolność twórcza, zdaniem Wrońskiego, jest nieskończoną. Wroński nie uznaje tam, jakie rozumowi postawił Kant. Tamy te są dla Wrońskiego czémś względném, czasowém; rozwój duchowy usuwać je będzie coraz daléj i daléj, aż nastąpi chwila, w któréj tamy znikną, a człowiek stanie się równym bóstwu. Wroński kreśli nawet zarys przebiegu dziejów ludzkości aż do owéj chwili, w któréj władza człowieka powstanie w nieskończonéj swéj potędze. Ludzkość przebiegła już, według niego, cztery okresy swego rozwoju historycznego, i znajduje się obecnie w okresie piątym tak zwanéj *antynomii socyalnéj*, który cechuje się istnieniem dwóch wielkich partyj politycznych: partyi prawa boskiego i partyi prawa ludzkiego, albo inaczéj nieliberalnéj i liberalnéj. Jedna z nich dąży do wytworzenia dobra, druga do wytworzenia wiedzy; oba zaś te dążenia są wyrazem *prawa postępu* w piątym okresie dziejów, po którym nastąpią, pod wpływem już mesyanizmu, dwa ostateczne okresy szósty i siódmy, będące erą celów racyonalnych czyli bezwzględnych. Okres szósty doprowadzi do odkrycia bezwzględnéj prawdy, bezwarunkowéj zasady wszelkiéj rzeczywistości; okres siódmy—do odkrycia dobra bezwzględnego, do duchowéj regeneracyi rodu ludzkiego, do nieśmiertelności.

Te wysokie cele ludzkości powinny, zdaniem Wrońskiego, określać charakter prawdziwego systemu pedagogiki. Czuje jednak Wroński, że postawienie podobnego celu już dzisiejszéj pedagogice byłoby przedwczesném; wyznaje więc, że cel bezwzględny, jaki idealnie jéj zakreśla, jest obecnie jeszcze transcendentalnym i nie dałby się jako taki zastosować do warunków czasowych, w jakich przebywa ludzkość na obecnym stopniu rozwoju, kierując się ku najwyższemu swemu zadaniu. Wskazuje więc pedagogice cele pośrednie, kolejne, służące za podstawę jeden drugiemu i prowadzące drogą rozwoju do celu ostatecznego. Oznaczenie tych celów pośrednich ma znaleźć pedagogika w filozofii historyi. Dzisiejsza epoka krytyczna antynomii socyalnéj ma, według téj filozofii, za zadanie rozwój dobra i prawdy. Lecz jak zadanie to ma być spełnioném? Na to znów pytanie każe Wroński szukać odpowiedzi w historyi filozofii, téj najwyższéj umiejętności, mającéj za przedmiot prawdę i dobro. Historya systemów filozoficznych, która dotąd, zdaniem Wrońskiego, była tylko katalogiem mniéj lub więcéj rozumowanym błędów filozoficznych, winna stać się prawdziwą umiejętnością wyjaśniającą genetyczny rozwój prawdy i dobra, a to na zasadach, jakie znów Wroński wskazuje jéj w mesyanizmie, a mianowi-

cie w swém *prawie tworzenia*, które uważa za zasadę pierwszą, naczelną, za siłę twórczą wszelkiego systemu rzeczywistości i prawa.

W końcu urywku Wroński podaje tablicę genetyczną tworzenia pedagogiki. Architektonika téj tablicy zgodną jest z planem, jaki przeprowadzał autor mesyanizmu we wszystkich swych klasyfikacyach naukowych. A więc mamy tu najprzód podział na teoryą i technią, z których pierwsza obejmuje to, co jest już danego w pedagogice, druga to, co ma być utworzoném i dopełnioném. Tak teorya jak i technia dzieli się na dwa działy obejmujące treść czyli zawartość i formę albo zależność pedagogiki. Każdy z tych działów rozpada się znów na dwie części : elementarną i systematyczną. Część elementarna w teoryi obejmuje *siedm* elementów kultury psychicznéj, należących do wykształcenia niższego, część systematyczna *cztery* elementy—należące do wykształcenia *wyższego.* Te liczby *siedm* i *cztery* powtarzają się we wszystkich tablicach genetycznych i przypominają bardzo doktrynę pytagorejczyków. Przyznaje to nawet sam Wroński, uważając, że nauka mędrca greckiego, dotycząca znaczenia liczb, była właśnie nieświadomym objawem wielkiego prawa tworzenia, które dopiero Wroński światu ogłosił. Rzecz szczególna, że wszystkie swe odkrycia naukowe uważał Wroński za bezpośredni wypływ tego cudownego prawa: kto jest w posiadaniu tego prawa, ten posiada niewyczerpane źródło żywéj prawdy. Ciekawe o tém opowiadanie znajdujemy w pismach Wrońskiego. Do pierwszéj swojéj rozprawy, przedstawionéj Akademii paryskiéj, o tak nazwaném „prawie najwyższém“ w matematyce, dołączył Wroński tablicę genetyczną matematyki, podobną układem do tablicy pedagogicznéj, o którój obecnie mówimy. W rozmowie ze znakomitym Lagrange'm, który był sprawozdawcą Akademii, zapytał go Wroński, co myśli o téj tablicy architektonicznéj. „Tablica pańska, odrzekł Lagrange, jest genialna, ale nie daje nic nauce; za to pańskie, prawo najwyższe może zmienić oblicze wiedzy.“ Wroński dodaje, że powstrzymał się od powiedzenia Lagrange'owi, że właśnie przy pomocy téj tablicy, a mianowicie za pomocą prawa tworzenia doszedł do odkrycia prawa najwyższego matematyki, które tak uderzyło Lagrange'a.

Jakkolwiek tablice genetyczne Wrońskiego są nadzwyczaj ciekawe jako pierwsza próba jednolitego podziału wszystkich umiejętności, wyższą jednak bezporównania wartość przypisać musimy odkryciom czysto-naukowym i metodom nowym Wrońskiego. Rozumié się, że wszelką cudowność, która nie może być znamieniem nauki, pomijamy. Zapewnienie zaś Wrońskiego, że jego odkrycia wypływają bezpośrednio z tablicy architektonicznéj, a raczéj z bę-

dącego jéj źródłem prawa tworzenia, możemy obrazowo rozumiéć w ten sposób, że znakomity umysł Wrońskiego, który był niejako siedliskiem syntezy wiedzy ludzkiéj, był owém prawém twórczém, z którego wypływały wszystkie jego odkrycia.

Dotykamy zresztą przedmiotu tego mimochodem, dla tego, że wymaga on gruntowniejszego rozbioru, którego jeszcze dać nie możemy, gdyż jesteśmy bardzo dalecy od ukończenia studyów nad Wrońskim. Wracając do filozofii pedagogiki, chcielibyśmy wypowiedziéć jeszcze kilka uwag, jakie nasunęło nam zastanowienie się nad powyższymi poglądami Wrońskiego.

Wroński, jak to widać z tablicy genetycznéj, pragnął utworzyć system pedagogiki umiejętnéj na zasadach filozofii. Pod tym względem miał poprzedników. Już Niemeyer zbudował system pedagogiczny na zasadach filozofii kantowskiéj w dziele p. t. „*Grundsätze der Erziehung und des Unterrichts*“ (1818). W pracy téj spotykamy zdanie podobne do poglądu Wrońskiego, że „dzieci powinny być wychowywane zgodnie z ideą ludzkości.“ Wyraźniéj to samo wypowiadają: Schwartz, który wprost określa wychowanie jako rozwijającą się ludzkość: (*Die Erziehung ist die sich entwickelnde Menschheit,*) oraz Graser, który w pracy: „*Divinität oder das Princip des einzig wahren Menschenerziehung*“ mówi: „Najwyższe prawo zasadnicze pedagogiki jest wyrażeniem idei stającéj się ludzkości: (*Der oberste Grundsatz der Paedagogik ist der Ausdruck der Idee der werdenden Menschheit*). Wroński tém różni się od swoich poprzedników, że ową zgodność wychowania człowieka z biegiem dziejów ludzkości pojmuje ściśléj i daléj. Dla niego, wychowanie ma być wprost asymilacyą jednostki z rozwojem ludzkości, asymilacyą świadomą celów, do jakich zdąża ludzkość. Nie należy mieszać asymilacyi téj z wygłaszaną dziś, a w części tylko prawdziwą, zasadą wychowawczą, że w wychowaniu dziecko winno przebyć niejako te stadya rozwoju, jakie przechodziła ludzkość. Asymilacya Wrońskiego stosuje się nie do przeszłości lecz do przyszłości, nie ma być rekapitulacyą tego co było, lecz niejako cząstkową realizacyą tego co będzie, ma być świadomém kierownictwem do celu, jaki sobie zakreśla ludzkość w pochodzie dziejów. Dla Wrońskiego, podobny cel był jasnym, bo mu go mesyanizm wytykał jasno i stanowczo.

Dla nas cele ostateczne, jak w ogóle wszystko, co jest po za granicami poznania, nie może być jasném i zrozumiałém; mimo to, pogląd Wrońskiego, który każe pedagogom miéć zwrócony wzrok duchowy ku najwyższym zadaniom ludzkości, który każe twórcom wychowania radzić się dziejów i filozofii—zasługuje na najwyższe uznanie i stanowić może podstawę najbardziéj humanitarnego systemu wychowania.

Żałować wypada, że Wroński nie rozwinął systemu swego w szczegółach, które najlepszą były by miarą politycznéj jego wartości; pozwolimy tu sobie na zasadzie myśli, wypowiedzianych tu i owdzie w jego pracach, odtworzyć przybliżony obraz systemu wychowania, jaki najbardziéj w myśl Wrońskiego odpowiadałby wymaganiom dzisiejszéj epoki.

Najprzód, kto ma objąć kierunek wychowania? Odpowiedź na to znajdujemy w nocie do wspomnianéj wyżéj tablicy genetycznéj. Kierunek ogólny wychowania należyć ma do *unii bezwzględnéj*, do wielkiego stowarzyszenia zwolenników mesyanizmu, którego Wroński był inicyatorem. Lecz ponieważ unia bezwzględna nie ma dotąd istnienia legalnego, więc tymczasem państwo powinno zastępczo wziąć na się to zadanie. Wychowanie powinno być państwowém. Kościół zostaje tymczasowo przez Wrońskiego usunięty od kierowania wychowaniem dla tego, że zdaniem Wrońskiego, kościół rządzi się dotąd dogmatami, które są *problematami* religijnemi, gdy tymczasem jedynie *prawdy* religijne mogłyby służyć za podstawę kierownictwa. Dopiéro, gdy wśród kościoła utworzy się zastęp ludzi wyższych, przejętych zasadami filozofii absolutnéj, wtedy państwo będzie im także mogło powierzyć w części kierunek wychowania.

Czy wychowanie ma być narodowém? Odpowiedź w duchu Wrońskiego i na to pytanie jest niewątpliwą, jeżeli zwrócimy uwagę, że według niego, dzisiejsza epoka ma sobie wytknięte cele pośrednie, które spełnić może tylko rozwój istniejących narodowości. Nie możemy tu wdawać się w rozbiór pomysłów politycznych Wrońskiego nacechowanych często trafnością i głębokością, ale i nie wolnych od nieuzasadnionych marzeń, powiemy tylko, że co się tyczy Polaków, to Wroński widzi w nich wysoki charakter autonomii mesyanicznéj, uzdalniający ich do spełnienia wysokich przeznaczeń na ziemi.

Czy wychowanie ma być religijném? Wymaga tego w systemie Wrońskiego prawo postępu, dążenie do dobra i prawdy; to téż wychowanie religijne stanowi u niego jeden z elementów kultury psychicznéj. Rzecz jednak oczywista, że wychowanie religijne, jakiém ono było, nie zadawalniało Wrońskiego, który pragnął je zastąpić wychowaniem mesyaniczném.

Prawo postępu wymaga wprowadzenia do systemu wychowania młodzieży nauk mających za przedmiot prawdę. Stąd wniosek, że na pierwszém miejscu w systemie nauk postawić należy matematykę, która, według Wrońskiego, jest prototypem wiedzy ludzkiéj. Wniosek ten stwierdza ustęp, jaki znajdujemy we „Wstępie do wykładu matematyki Hoene-Wrońskiego“, wydanym przez L. Niedźwieckiego (Paryż 1880); czytamy tam: „nauka matematyki powinna

bez zaprzeczenia, po uprawie moralnych i religijnych uczuć, stanowić główny przedmiot wychowania, dla każdego zaś wstępującego do naukowego zawodu i w ogólności dla każdego oświeconego człowieka stanowić winna główne narzędzie jego umiejętności.“

Na matematyce oparte są mechanika, astronomia i nauki fizyczne. Im należy się miejsce bezpośrednie po matematyce. Trzecią gałęź stanowią nauki biologiczne, stojące po środku pomiędzy fizycznemi i historycznemi.

Historya wraz z geografią należącą po części do działu poprzedniego, wraz z socyologią, prawem i polityką—oto drugi dział umiejętności, nieodzowny w całości lub w części w systemie wychowania.

Po nim następuje dział trzeci, najwyższy—filozofia, będąca koroną umiejętności, podstawą i znamieniem wykształcenia wyższego. Bez filozofii wykształcenie jest niezupełném, podobnie jak bez matematyki jest pozbawioném trwałych podstaw.

Takie są mniéj więcéj konsekwencye, jakie pozwoliliśmy sobie wyprowadzić z fragmentu Wrońskiego. Obraz to bardzo niezupełny, przyznajemy; być może, że z czasem uda się go nakreślić lepiéj, skoro poznane będą niewydane dotąd rękopismy Wrońskiego. Dodajmy jeszcze, że czytając dzieła Wrońskiego, owoc jego geniuszu, gorącéj, dziecięcéj prawie wiary w rozwój ludzkości, niezmordowanéj pracy i najwznioślejszych uczuć, nie możemy się oprzéć często głębokiemu żalowi, że wszechstronna wiedza i doniosłe wyniki usiłowań Wrońskiego nie znalazły należytéj oceny u współczesnych, że były i pozostały nieznane nam, jego rodakom. Do dziś nawet imię wielkiego myśliciela polskiego nie zdołało pozyskać należytéj mu sympatyi. Błądził może i Wroński w swém życiu, ale błądził w najlepszéj wierze. Nikt wolnym nie jest od błędów, a tém mniéj wolnym być może ten, kto zapragnął być reformatorem ludzkości. Ale skoro prochy mędrca dawno już spoczęły w mogile, godzi się zajrzéć do wspaniałéj jego spuścizny i wybrać z niéj te cenne klejnoty, któremi słusznie chlubić się nam wolno. Powyższy urywek przedstawia malutką i nie najważniejszą cząstkę jego pomysłów; ale już z tego czytelnik osądzić może, jakiéj miary być mogły pomysły Wrońskiego, oraz że z mesyanizmu, który jako system okazał się chybionym, wydobyć się da bardzo wiele dla dobra nauki i społeczeństwa. Niechaj zachęcą nas do tego własne słowa mędrca, umieszczone w jedném z pism jego: „I Ty, szlachetna Polsko, ojczyzno droga, któréj bohaterstwo obroniło Europę od nawały muzułmańskiéj i umożliwiło jéj rozwój intelektualny, przyjm dzisiaj od jednego ze swych synów plon postępu ludzkości, jaki u stóp twych składa.“ *S. Dickstein.*





KAROL XII I RAKOCZY.

(Ze wspomnień roku 1849).

Temeswar i Willagosz były ostatniemi epizodami węgierskiéj wojny 1849.

Po całodziennéj walce, kiedy zepchnięta ze swéj pozycyi, zasłaniającéj twierdzę, armia węgierska cofała się w porządku, nie będąc wcale napierana przez zwycięskiego nieprzyjaciela, nikt przypuszczać nie mógł, że w godzin kilka ta sama armia zamieni się w niesforną kupę rozbitków, którzy, straciwszy wszelki zmysł zachowawczy, rozpadną się na błędne bezbronne gromady. Zdawać by się mogło, że ostatni brzask gasnącéj wieczornéj zorzy uniósł resztki moralnéj siły Węgrów, pozostawiając na jéj miejscu zniechęcenie i gorycz zawodu.

Sprawiedliwość wszakże wymaga, by nadmienić, że rozkładowi nie uległa cała artylerya, legion polski, pomimo że przeważnie z jeźdźców złożony, oddział jazdy włoskiéj, niedobitki legionu wiedeńskiego i cztery bataliony dywizyi Kmety.

Nazajutrz w Lugosz znaleźliśmy się w następującym szczególnym komplecie: Sto sześćdziesiąt sześć armat z tyluż kiesonami literalnie próżnemi, sześć tysięcy piechoty i około tysiąca jazdy.

Gdyby jedna brygada austryacka z kilkunastu szwadronami i dwoma lekkiemi bateryami poszła była w nasze tropy, miała by jedyny kłopot zabierania nas częściowo po drodze, i zgarnięcia reszty do kupy w samym Lugosz. Lecz Austryacy byli zmęczeni, nie przeczuwali rozsypki czterdziesto-tysięcznego korpusu, który ucierpiawszy mało na placu boju, cofał się z porządku, obawy o marsz ku Aradowi nie mieli (1), nadto obchodzili tryumf oswobodzenia Teme-

(1) Jeszcze na półtory doby przed bitwą Temeswarską, droga ku Aradowi przez Lichtensteina odciętą została.

swaru, niemogącego już trzymać się dłużéj nad 48 godzin, pomimo bohaterskiéj obrony.

Jeżeli jaki nowy Jansky ośmieli się kiedy podnieść szczegóły téj obrony, Węgrzy zapewne obrażą się na nowo, nie dlatego żeby niezdolni byli ocenić wartości i męstwa nienawistnego sobie Rukawiny, lecz że fakt ten rzuca mocny cień na kapitulacyą Komorna.

Kiedy bowiem osiemdziesięcioletni starzec z czterema rezerwowemi batalionami Kroatów przez pięć miesięcy broni starego tureckiego zamczyska, którego bastyony i kurtyny zbite runęły w fosy, gdy zjadłszy konie, żywi załogę pozostałym obrokiem, odpiera pięć szturmów, a posłyszawszy strzały toczącéj się w polu walki, wykonywa dwie wycieczki, zagważdża bresz-baterye i zmusza oblegającego gener. Weczej do cofnięcia się w drugą paralelę; Komorne, forteca 1-go rzędu, znana ze swéj niedostępności, z załogą 18-to tysięczną wyborowego żołnierza, zaprowidowana na półtora roku, poddaje się bez wystrzału.

Rukawina w kilka dni po odsieczy umiera z wycieńczenia, lecz nie chce opuścić pobojowiska i pozostałych przy życiu żołnierzy, którzy także w połowie giną w szpitalach; Klapce tak pilno wynieść się z Komorna, że po odbyciu krótkiéj ceremonii układów, ulatnia się, zapominając, że oddaje nieprzyjacielowi ostatni skład zapasów i ostatnie schronienie sztandaru niepodległości, zapomina o towarzyszach broni, których trochę wytrwałości i uporu z jego strony mogło ocalić,

To też we dwa dni po kapitulacyi, dziewięć jeneralskich szubienic ozdobiło glasis Aradu. Nic gorszego nie zrobił Gergej, chociaż położenie jego było o wiele trudniejsze.

O Rukawinie mało kto już pamięta, Gergej ogłoszony został zdrajcą, Klapka zaś jest ulubieńcem narodu.

Opinia często miéwa podobne kaprysy, a i historya do czasu regestrować i uwzględniać je lubi.

A kto zaręczy, czy szubienice i egzekucye Aradzkie nie wpłynęły na zaciśnienie przymusowego węzła łączącego obecnie Węgry z Austryą, tak jak wypadki 46-go roku muszą coś ważyć w usposobieniu Galicyi, stojącéj i bądź co bądź chcącéj stać przy tronie?

Podobne przypuszczenie wygląda na paradoks, jednakże ktokolwiek zna wschód, nie zaprzeczy, że dopóki hatiszeryf Giulhański nie złagodził procedury urzędów tureckich, dopóki akt woli lub nieukontentowania Padiszy objawiał się pod postacią pala, stryczka lub worka, dopóty urok władzy jego stał wysoko, osobistość obudzała zapał i poświęcenie.

Po tanzimacie sułtan nie przestał być głową wiernych, lecz nie jest już tym jedynym motorem, którego tchnienie wywoływało szeregi czynów, przestał być uosobieniem wszechmocy islamu i świadomości jego przeznaczeń, a muzułmanów serca zaczęły stygnąć i głowy powątpiewać, bo dobrze mówi pismo dla tamecznego świata stworzone, „że początkiem mądrości jest bojaźń boża.“

Odbiegłem jednak od mego przedmiotu.

Po dwudniowym pobycie w Lugosz rozeszła się wiadomość o złożeniu broni przez korpus Gergeja, i dochodziły słuchy o szybkiém zbliżaniu się od Siedmiogrodu wojsk generała Lidersa.

Uniesiony z placu Temeswarskiego boju i policzony za zabitego generał Bem nadspodziewanie zaczął do sił powracać tak, że czwartego dnia po otrzymanéj ranie, zebrawszy niedobitki węgierskie, już mógł z nimi w powozie naprzód wyruszyć.

Szczególna była to osobistość: wątły, bezkrwisty, zestrzelany jak rzeszoto, przechował on jedną tylko namiętność wojny, lubił ją dla niéj saméj i po za nią nie widział dla siebie innego pola działania.

Fizycznie prawie niedołężny, bo rzadko bez pomocy zdolny dosiąść konia, do zadziwienia znosił trudy wojenne, nie skarżąc się nigdy na brak sił i zdrowia, a z czternastu jego ran dwie dolegały mu tylko, i to obie ręką polską zadane.

Pierwszą otrzymał przy wsiadaniu na okręt w Bordeaux, zkąd z kilkunastu towarzyszami odpływał do Portugalii, wciągnięty niepotrzebnie w sprawę Donny Maryi przeciw stryjowi jéj Don Miguelowi. Kula trafiła w ostatnią pięciofrankówkę jaką posiadał w kieszonce od kamizelki, i wbiła mu ją pomiędzy żebra. Drugi postrzał w głowę, który zrysował czaszkę, dostał w Peszcie od dzieciaka legionisty, przekonanego w dobréj wierze, że strzela do zdrajcy.

Bem bowiem usilnie odradzał rządowi węgierskiemu formowania legionów, raz, że je uważał za niewłaściwe w chwili, gdy cała południowa Słowiańszczyzna stała w przeciwnym obozie; powtóre, że sama ich nazwa szkodliwie drażnić mogła potężnych sąsiadów. Nie wierzył, by legion urosł w taką liczbę, żeby tworzył samodzielną poważną siłę, a uważał za korzystniejsze wstępowanie pojedyncze Polaków w szeregi węgierskie, gdzieby prędzéj wyrabiali się na żołnierzy.

Takie zapatrywanie w pewnych kołach poczytywano za zdradę, za odstępstwo idei narodowéj, za objaw nienawiści względem osób, które ją podnosiły.

Tymczasem w sercu Bema nie było miejsca dla nienawiści. W ogniu agitacyi emigracyjnéj zwęglił się jego gwałtowny tempera-

ment, stopniała na żużel gorączka czynu i zbytnia pewność siebie, pozostało tylko przeświadczenie o przeznaczonéj mu wielkiéj misyi dziejowéj.

Lecz nie przybierał on nigdy postawy archanioła mściciela lub natchnionego proroka, przeciwnie ukrywał głęboko to poczucie, i tylko w rzadkich chwilach podrażnienia lub wylania, pewna jego część przebijała się na zewnątrz.

Kto by patrzał na ten stos popiołu, pokryty pargaminową maską, z trudnością mógł by przypuścić, że tam tleje jeszcze jaka iskierka; wpośród bowiem najbardziéj wzruszających epizodów wojny nie można było dostrzedz w jenerale ani zapału, ani zwątpienia. Lecz łatwość decyzyi, upór w przeprowadzeniu postanowienia raz powziętego zdradzał człowieka o rogatéj duszy. Jego spokój, przybierający nieraz pozór obojętności, najbardziéj też imponował potém Turkom, którzy żywość w słowie i ruchach uważają za brak godności i siły.

Oczywistość położenia naszego stawała sią tak jawną, że wyjąwszy Bema, który dla miłości sztuki ze zbieraniną różnych broni ku Siedmiogrodowi wyruszył, nikomu nie przychodziła na myśl możność oporu. Zaczęto więc myśléć o ocaleniu własnéj skóry, co polegało na jaknajprędszém dostaniu się nad Dunaj, nieobsadzony dotąd przez nieprzyjaciela. Lecz po jego drugiéj stronie, Serbowie wcale przyjaźnie usposobieni dla nas nie byli, tysiące ich walczyło przeciw Węgrom w szeregach Stratimirowicza i pod Kniczaninem, a całe księstwo wrzało jeszcze zapałem wojennym. Ale z Polakami nie spotykali się oni na placu boju, nienawiści do nich nie mieli. co więcéj, nic prawie nie wiedzieli o nich; to też z łatwością udało się generałowi Władysławowi Zamojskiemu skłonić księcia Aleksandra Karageorgewicza do otworzenia nam bezpiecznego przez Serbję przejścia.

To bierne jednak usposobienie względem nas nie stosowało się wcale do Węgrów. Po lewéj stronie Dunaju jeszcze dymiły zgliszcza siedzib słowiańskich, w Belgradzie nie mogli tak prędko zapomniéć jak Kossut szukał na mapie Kroacyi, Banatu, Baczki, Wojewodyny i nigdzie znaleść ich nie mógł, bo wszędzie znajdował tylko dziedziczne posiadłości korony ś-go Stefana. W twardych mózgownicach Serbów, jeszcze rozkołysanych wspomnieniami wojny o niepodległość, w żaden sposób pomieścić się nie mogło, że walka o samodzielność narodową Węgier pociąga za sobą polityczną konieczność wtłoczenia plemienia serbskiego w łożysko węgierskiego potoku, że Madziar nie może się czuć wolnym i bezpiecznym tak długo, dopóki nie ujarzmi serbskiego ducha, nie skrępuje go więzami swej politycznej i admi-

nistracyjnéj organizacyi, zacząwszy od wice-geszpana do solda-biro. Długo wybuchali z oburzenia, nie mogąc pojąć indyczéj nienawiści Węgrów na widok sztandaru ze żmiją Duszana lub krzyżem św. Sawy,—aż nareszcie zrozumieli, że na tym pasie ziemi zdobytym przez hordy Arpada, do czasu nowéj dziejowéj ewolucyi, niema miejsca dla dwóch narodów, dwóch idei, że tu muszą być tylko panowie i słudzy, panowie buńczuczni i dumni, słudzy cisi i pokorni, którym w zamian za te przymioty płaci się pogardliwą cierpliwością i opieką.

Do zrozumienia jednak téj prawdy potrzeba było blisko czterech dziesiątków lat, szeregu politycznych niespodzianek i powikłań, zajęcia Bośni i Hercegowiny i nakoniec stworzenia wypchanego króla, który za papierową koronę wprzągł się do austro-węgierskiego wozu.

W czasie jednak, o którym mowa, było inaczéj.

Stary Ilija Garaszanin, predstawnik książęcy, trzymał wysoko sztandar narodowy, a chociaż jako typowy Serb brzydził się Szwabem, bardziéj jednak obawiał się Węgrów, wiedząc, że niebezpieczeństwo z téj zagraża strony. Dał on do zrozumienia Zamojskiemu, że chociaż Serbia nie splami się niegodnym czynem, zamykając drogę ratunku zwyciężonym, wolał jednak, żeby wybitniejsze osobistości madziarskie inną obrały drogę, którą wskazał i ułatwić przyrzekł.

Tak też się i stało: Polacy, Włosi, Niemcy i nieliczni żołnierze węgierscy, pociągnęli z Lugosz przez Karanszebes i Mehadię do Orsowy, a ztamtąd do Serbii, Kossut zaś z otoczeniem i starszyzną wojskową posunął się o mil parę w dół Dunaju do samej granicy wołoskiéj. Z tego punktu widać już minarety Widyna, i w tém też miejscu z rozkazu Garaszanina przygotowano środki przeprawy,

Kossut opuszczając ziemię ojczystą, wydał manifest do narodu (nie znam piękniejszego utworu poetycznego) i napisał list do wielkorządcy Widyna, muszyra Saida-paszy, uprzedzający o rychłém swém przybyciu. Końcowy ustęp listu zawierał zwrot następujący: „Jutro wraz z towarzyszami postawię me stopy nie na ziemi wygnania, lecz przyjaznego przytułku, z tém przekonaniem, że gościnne państwo, które nie odmówiło opieki Rakoczemu i Karolowi XII, nie odmówi jej i mnie“ i t. d.

Kupiec, Grek rodem, bawiący za interesami w Orsowie, wysłany został z listem, i po przybyciu do Widyna doręczył go kijai czyli sekretarzowi paszy, uprzedzając zkąd pochodzi.

Ten obejrzał uważnie kopertę, znalazł ją nieprzyzwoitą, gdyż nie była obwinięta w jedwabną materyą i przewiązana złotą nitką, przyglądał się adresowi, którego nie rozumiał, poczém złożywszy list

na poduszce, wsunął się do salamliku, gdzie na niskiéj sofie pasza kief odprawiał.

— Co jest a czego niema? — odezwał się muszyr pasza, spostrzegłszy trzymającego list kijaje?

— Paszo efendym—odrzekł ten —jakiś giaur przyniósł oto to pismo z Magiar-Orsaku i powiada, że je otrzymał z rąk samego madyarskiego sadrazama, jeżeli pies nie kłamie, to ma ono być złożone u stóp waszéj światłości. — Ale — dodał, podnosząc kopertę— nie wygląda to na papier od sadrazama.

— Aferym! — wykrzyknął z pewném ożywieniem pasza—dawno spodziewam się ztamtąd gości, otwórz i czytaj list, to się dowiem do kogo i przez kogo pisany.

— Kiedy, przypadam do stóp twoich paszo, to pismo giaurskie, którego prawowierne usta czytać nie mogą; lecz jeżeli rozkaże wasza światłość, to poślę po konsulosa Beczkiego krala (to jest wiedeńskiego króla, tytuł w stosunkach nieurzędowych nadawany cesarzowi austryackiemu), a on umié czytać wszystkie pisma niewiernych.

— Ty zjadliwy skorpionie, co ryczysz jak osioł — odrzekł po chwili milczenia Said przytłumionym głosem — powiédz łotrze, ile kies obiecał ci twój parszywy konsul za taką radę, na moją brodę przyrzekam ci sto razy tyle kijów. Gdzie ten człowiek, co list przyniósł, zamknąć go natychmiast do lochu, a w téj chwili posłać kawasa po Dzewrail efendego.

Ten Dzewrail efendy był to monsieur Gabriel, Lewantyn, sprawujący obowiązki wice-konsula francuskiego. Rzadko zdarzał mu się honor być dopuszczonym przed oblicze samego paszy, to téż zawezwany wprost do osoby muszyra, zdziwił się bardzo, gdy wszedłszy do salamliku, ujrzał Saida uśmiechniętego, który wskazawszy na sofę rzekł:—„Otur efendym“ (usiądź pan)—i przesłał mu pozdrowienie.

Ponowiwszzy ceremonią ukłonów, pasza zapytał efendego, zkąd jest rodem, a gdy ten odpowiedział, że jest Smirniotą i że chociaż cieszy się opieką Francyi, przedstawiając jéj interesa, uważa się zawsze za niewolnika sułtana; pasza z zadowolnieniem wyrzekł: „Pek ala“ (bardzo dobrze).

— W takim razie przeczytaj efendym to pismo — rzekł, wskazując na leżący na poduszce list Kossuta — a jakeś sprawiedliwy człowiek i jak dbasz o łaskę Padiszy, przetłómacz go bez zmian i dodatków.

Czynność tłómacza na wschodzie przedstawia niemałe trudności. Ceremonialny ton dykcyi, jéj ornamentacya, przenośnie i po-

równania zostawiają daleko po za sobą najniedorzeczniejsze jezuickie panegiryki XVII wieku, a tą właściwością odznacza się szczególniéj styl turecki. Gdyby dosłownie przetłómaczyć na jakiekolwiek narzecze europejskie fragment opisowy, dyalog, a szczególniéj list turecki, niepodobna by doszukać się w nim sensu, tak myśl sama zaplątaną jest w siatkę ozdób, omówień i przesadnych grzeczności. Lecz gdy przeciwnie z języka europejskiego przyjdzie przekładać na turecki, trudności zwiększają się, gdyż przy dosłowném tłómaczeniu list z najwykwintniejszą napisany grzecznością wyda się uszom muzułmańskim nieprzyzwoitym i grubiańskim. Do pokonania tych trudności oprócz dokładnéj znajomości ducha języków potrzeba jeszcze zdolności osobnéj, to téż posiadający takową dochodzą na wschodzie do wysokich stanowisk.

Dzewrail efendy nim został wice-konsulem, był uprzednio dragomanem konsulatu francuskiego i znał wybornie język turecki, że zaś list Kossuta pisany był po francusku, przetłómaczył go z zupełną łatwością.

Kiedy doszedł do miejsca, że Turcya nie odmówiła gościnności Rakoczemu i Karolowi XII, Said pasza zatrzymał go zapytaniem :

— Więc to się już stało?

— Tak paszo efendym, widocznie stać się musiało, inaczéj bowiem madyarski sadrazam nie powoływał by się na ten precedens.

Czy wice-konsul wiedział co o Rakoczym i Karolu XII rzecz bardzo wątpliwa, a gdyby nawet tak było, nigdy bez wyraźnego rozkazu paszy nie wdałby się w objaśnienia, gdyż temu sprzeciwia się etykieta turecka.

— Bardzo a bardzo dziękuję ci efendym — rzekł Said, gdy tłómaczenie zostało skończone — zapisz mi tu na osobnym papierze nazwiska tych dwóch musafirów, co już przybyli, a teraz idź do domu, pamiętaj, że oprócz nas dwóch, nikt nie wié, co w liście było, i bądź gotów gdy cię zawezwę do wyświadczenia mi ponownéj przysługi.

Ledwie wyszedł Dzewrail efendy, Said pasza nie mogąc dłużéj tłumić wybuchu, rzucił cybuch na ziemię, rozlał tas z sorbetem, klasnął w ręce, złapał za dzwonek i jednocześnie wykrzyknął: „dzanabetlary!“ (gałgany).

— Terszan czausz — zawołał, a w téj chwili ukazała się z po za firanki, zasłaniającéj boczne drzwi, sążnista postać zbrojnego Arnauty, przybocznego stróża osoby paszy i jednocześnie z tuzin głów: czybukdżych, kafedżych i tasdżych.

— Na mnie patrz (bona bok) — rzekł pasza do Terszana, — kijaję wsadź do absu w podwójną kłodę, i dawaj mi tu zaraz kajma-

kana (komendant twierdzy) i kawas-agę (naczelnik policyi), tylko prędko. Rozumiesz?

Kajmakan w téj chwili wjeżdżał do konaku, więc nie trzeba go było szukać.

Niewielki, okrągły, z oczyma zaspanemi, widocznie śpieszył się bardzo, gdyż po wejściu na drugie piętro, nie spoczął przez jakie pół godziny, jak to zwykle było, w pokoju dywan-efendego, lecz podążył wprost do paszy.

Ten spostrzegłszy go wchodzącego, z pozorną dobrodusznością zapytał:

— Cóż kajmakan beju, spałeś dobrze? powiédz, co też ci się śniło, ja umiem sny tłómaczyć; czy nie śniłeś czasem o parze gołębi, co przyleciała z za Dunaju, może przypomnisz sobie, gdzie one usiadły.

Kajmakan zrozumiał doniosłość aluzyi, odrzekł zatém z niezwykłą pewnością siebie:

— Muszyr paszo, gdyby nietylko dwa gołębie, lecz dwie muchy przyleciały z tamtéj strony, to byłyby już w méj sieci, tylko przed chwilą przyszedł znowu wampór (parowy statek), a od dwóch dni to już trzeci, i tak jak tamte stoi ciągle pod parą.

— Twoje sieci — rzekł pasza — widocznie z pajęczyny, może muchy by w nich uwięzły, lecz gołębie przebiły je i gnieżdżą się gdzieś tu między nami, na pośmiewisko mojéj siwéj brodzie. Dobrze słuchaj beju, co ci powiem: dwóch gości przybyło wczora z tamtéj strony, nazywają się tak — i rzucił mu karteczkę z wypisanemi przez Dzewraila nazwiskami — a ja zamiast od ciebie, dowiaduje się o tém inną drogą. Słuchaj więc, jeżeli do wieczora ci goście nie będą oto tutaj — i wskazał miejsce obok siebie — ty beju pojedziesz na kajmakana do Dżedy (miejsce wygnania w owych czasach), jeżeli przed wyjazdem lub w drodze nie spotka cię jaki wypadek. Czy dobrze zrozumiałeś mnie, beju? A teraz nie czas na próżną gadaninę, ruszaj i obsadź agencyą parowców tak, żeby do niéj i z niéj nikt bez twéj wiadomości nie wytknął głowy. Zawiadom konsula i agenta, żeby bez osobnego mego pozwolenia żaden statek nie poważył się wypływać na rzekę, bo w takim razie każę go na dno Dunaju posadzić, topczy paszy niechaj skieruje ile może dział na wychód z przystani, a gdyby który wampór z niéj się wysunął, niech doń pali jak do niemieckiéj pierzyny. Dwie szalupy z askierem (z żołnierzami) niechaj krążą dzień i noc po rzece, a gdy postrzegą od tamtéj strony zbliżającą się jedną lub kilka łodzi, strzedz ich mają jak oka, doprowadzić do brzegu i wysadzić nie w przystani, lecz w starym porcie.—Co kwadrans zawiadomić o tém, co zajdzie.

Jeszcze nie miał czasu wysapać się Said, gdy Terszan czausz wprowadził, popychając przed sobą, człowieka o wystraszonym obliczu.

— Kijaja, jak powiedziałeś paszo, siedzi już w kłodzie, a oto i kawas-aga, którego znalazłem w rybackiéj mahali jak wybierał najlepsze ryby.

— A, on lubi ryby, ten psi syn—rzekł Said—jutro postaram się pokumać go z niemi, dawszy mu pierwéj sto kijów, by skruszał jeżeli do tego czasu nie obwiesi się sam, ten łajdak, i nie zaoszczędzi mi w ten sposób worka. Nie mam czasu na rozmowę z tobą, ty paskudny wieprzu; przed kilkoma dniami uczyłem cię sam obowiązku twego, a ty giaurska duszo, zamiast słuchać jak trawa rośnie, patrzéć zkąd wiatr wieje, wpuszczasz mi tu obcych ludzi, jak do cygańskiéj mahali. Jeżeli do zachodu słońca nie wynajdziesz dwóch muchafisów (gości) madiarskich, i to słyszysz: Rakoczego i Karola XII-go, to na Ałłacha, powiédz sobie, że już ostatni wypaliłeś cybuch. Syktyr! (poszedł precz).

Słów Saida paszy nie należy uważać za próżne pogróżki, bo chociaż opowiadanie nasze przypada w dziesięć lat po tanzimacie, jednakże stosowanie jego do czasów wojny Krymskiéj, zależało po prowincyach od usposobień wielkorządców, zaś muszyr Said pasza nie należał wcale do liberalnych, a nadto w wilajecie widyńskim żyły jeszcze tradycye Pazwana-Ohłu.

Kawas-aga wypadłszy z konaku, nie tracił czasu, lecz zgromadziwszy co mógł zaptijów, służby celnéj i zawsze gotowych ochotników z ulicy, wziął się do poszukiwania.

Wówczas nastąpiła jedna z najzabawniejszych scen, jaką spotkać można było na europejskim kontynencie.

Obsaczano całe działy miasta i ulice, przetrząsano domy, zaglądano nawet do nietykalnych haremów, wypytując wszystkich o Rakoczego i Karola XII-go; następnie zaczęto posuwać skrupulatność rewizyi do rozbijania kufrów, wyrzucania na ulicę sprzętów, przyczém nie obeszło się bez wymyślań i razów, słowem, rozpoczęła się jedna z tych niewinnych razzyi, jaką od czasu do czasu mieli dawniéj zwyczaj urządzać Turcy, dla trzymania rai w zbawiennym postrachu.

I trwało by to nie wiem jak długo, gdyby na podwórze konaku nie wpadło kilka spienionych koni, niosących tatara (kuryera) dwóch surudzych (pocztylionów) i jakiegoś podróżnego.

Przybywający turecką pocztą był Jusuf Bej, dragoman przysłany w przewidywaniu zajść mogących wypadków przez Portę na rozporządzenie Saida paszy.

Jusuf rodem był z Krymu, wychowany w jednym z korpusów rosyjskich, lecz przez szczególny zbieg okoliczności, znalazł się na usługach rządu tureckiego. Wiedział on o Rakoczym i Karolu XII, to téż po przeczytaniu listu Kossuta i krótkiéj rozmowie, zdołał uspokoić paszę zaręczeniem, że zacytowane nazwiska wkradły się do listu z powodu złego przyzwyczajenia, jakie mają wogóle frenki (mieszkańcy zachodu) tak w rozmowie jak w piśmie, mieszania teraźniejszości z przeszłością.

Saida paszę tłómaczenie to zdawało się zadawalniać, bo poszukiwania zaprzestać kazał, czuł się jednak skompromitowanym i zachował zły humor aż do czasu przybycia madziarskich gości, których przyjął z całym wschodnim ceremoniałem i gościnnością.

Minęło lat kilkanaście, wybierałem się na długi pobyt do Diarbekiru, a opuszczając Konstantynopol, miałem obowiązek pożegnania staruszka kazaskiera, który mi dawał dowody wielkiéj życzliwości. Było to w Ramazanie, kiedy Turcy lubią spędzać na pogadance całe noce, by łatwiéj potém przespać całodzienny uciążliwy post. Wchodząc do salamliku kazaskiera, minąłem się z wychodzącym mężczyzną lat czterdziestu i trafiłem na toczącą się o nim rozmowę, z któréj dowiedziałem się, że jest to Dzemil-bej, syn zmarłego Saida paszy. Z téj okoliczności opowiedziałem znaną nam już przygodę widyńską, co wywołało powszechną wesołość. Siedzący obok kazaskira stary Mussa pasza śmiał się razem z nami, potém zwróciwszy się do mnie rzekł:

— Ależ musieliście się nażartować do woli z janiczarskiego dygnitarza, co nie znał historyi własnego kraju; lecz niech zaświadczy nasz gospodarz—i wskazał na kazaskiera—że gdyby nie wielu podobnych Saidowi nieuków, dużo waszych głów padło by pod nogi zwycięskiego cesarza. W owym czasie oba z kazaskier-efendym zasiadaliśmy w dywanie, niech ci on powie: kto głos podniósł w obronie osób waszych, a czci naszéj, czy ci młodzi efendowie, wychowani ała franka, co wycierają przedpokoje ambasad i uczą się patryotyzmu z Hammera i Ubiciniego, czy też ta pozostała garstka sług Selima i Machmudy, która wie tyle tylko, że gdy nie można tak żyć jak każe islam, to lepiéj ginąć.

Gdy seraskier ostrzegał Saida paszę, by zachowywał wielką ostrożność, albowiem wojujące mocarstwa domagają się niewpuszczania wychodźców lub w przeciwnym razie wydania ich, a Porta w téj chwili nie posiada dostatecznych sił do obrony;—bo chociaż on nie wiedział o Rakoczym i Karolu, dał jednak odpowiedź: że cho-

ciażby środki, jakiemi rozporządza, były o połowę mniejsze, wystarczą mu one do spełnienia powinności muzułmanina i stróża granic państwa.

I bodaj, czy nie ta jego odpowiedź dała nam pierwszą otuchę i rozbudziła poczucie obowiązku.

Pamiętamy wszyscy wystąpienie Mechmed - Alego kapudan-paszy, oby mu wiecznie smakował sorbet w dolinie roskoszy, bo to głos jego ocalił państwo od największej hańby, jaka kiedykolwiek spotkać je mogła.

— Znam ja równie dobre słowo Saida" — rzekł kązaskier — chociaż w innym rodzaju. Było to bardzo dawno, chciałbym nie pamiętać kiedy; lecz zapomnieć nie mogę, bo niech mi odpuści Ałłah, podpisałem fetwę, wymazującą janiczarów z liczby żyjących. Co się stać miało, już się stało na placu Aja-Sofia i Bim-Bir-Direk, gdy sułtan posłał Saida, żeby skończyć z janiczarami na At-mejdanie.

Robota była ciężka i długa, bo jak wiecie, nie miało być ani rannych, ani jeńców i Said dopiero drugiego dnia w nocy mógł stanąć z raportem w pałacu.

Gdy go sułtan zapytał, czy już po wszystkiém,—„nie"—odrzekł, „najgorszych dwóch zostało"—„gdzie, jacy"? wykrzyknął Mahmud, —„ja i ty, panie", mruknął Said.

Padisza machnął ręką, po chwili zaś dodał: „co chcesz, niewszystko w mojéj mocy; z temi dwoma Ałłah prędko poradzi sobie".

Gdyby Said widział naszą dzisiejszą gospodarkę—wtrącił znajomy mi Tefferdar—nie wiem, co by powiedział, lecz zapewne coś podobnego, do tego co z ust jego słyszałem przed laty.

W czasie zajęcia Syryi zostałem naznaczony na wekila mutesaryfa (pomocnika gubernatora) w Bejrucie, i poszedłem po ostatnie instrukcye do konaku Mehmeda-Ruszti, gdzie zastałem liczne towarzystwo, a między innemi Saida i Fuat-paszę.

Rozmowa toczyła się o okupacyi francuskiéj i jéj skutkach uważanych ogólnie za zgubniejsze dla naszéj władzy w tamtych stronach od następstw wojny Krymskiéj.

Fuat gorąco i wymownie bronił swéj polityki, przekładając, że Turcya wszedłszy raz do składu mocarstw europejskich, nie może pozostać dawnym państwem Osmanów, że jéj stosunek do zachodu zupełnie się zmienił, że musi ona uwzględniać interesa swych sprzymierzeńców, przyczém zaczął się uskarżać, że jego widzenie rzeczy, na oczywistych faktach oparte, nie znajduje uznania i poparcia najpoważniejszych sług Porty i dywanu.

— Tak masz racyę, paszo",—przerwał Said—wiele się zmieniło, pojęcia, stosunki a przedewszystkim ludzie.

Za czasów nie tak dawnych Mahmudy, jedna część tych obelg, jakie wyrządza nam Napoleon, depcząc ziemię kalifów, tracąc naszych jenerałów, poniewierając władzę sułtana, wystarczyła by do wyskoczenia mieczów z pochew, a dzisiaj to się nazywa uwzględnieniem interesów sprzymierzeńców.

Jeżeli masz więcéj takich przyjaciół, co nam z przyjaźni buntują arabskich giaurów (maronitów), zaglądają do portów i rozkazują rządzić się tak a nie inaczéj, a pragniesz mojéj rady, to ci ją dam.

Oto spiesz jak najprędzéj na północ, a stanąwszy przed naszym starym, wiernym, otwartym wrogiem, powiedz mu:

— „Nieprzyjacielu, silny jesteś z woli Ałłaha, a komu on daje siłę od tego wymaga rachunku.

„Ratuj nas od przyjaciół, bo skonamy w ich uściskach, nie śmiercią wyznawcy islamu ginącego na polu chwały, lecz nikczemnym zgonem nałożnicy, a udziałem naszym będzie śmiech, litość i pogarda.“

Gdyby z wysokości siódmego nieba mogły być słyszane słowa Saida, cóż by powiedział dziś po zajęciu Cypru, Bośni i Tunisu?





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

L. H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi. Warszawa, 1887.

„Społeczeństwo pierwotne“ jest rezultatem przeszło czterdziestoletnich badań nad społecznym bytem czerwonoskórych północnéj Ameryki. Najgłówniejsze wnioski dzieła oparte są na osobistych spostrzeżeniach i poszukiwaniach autora i stanowią jedynie streszczenie zebranego przezeń materyału faktycznego. Dzięki temu, jedną z cech najgłówniejszych téj książki to zupełna świeżość dowodów i faktów i w ciągu dalszym odsłonięcie przed nauką społeczną nowych widnokręgów, o których istnieniu przedtém nie domyślano się nawet. Krom tego Morganowi należy się zasługa zaprowadzenia po raz pierwszy jakiegoś ładu w chaotycznie nagromadzanym dotychczas materyale etnologicznym.

Uczony amerykański wychodzi z założenia o ciągłości postępu ludzkiego. Dokonywał się on nie równocześnie na wszystkich punktach globu ziemskiego, lubo wszędzie przechodzi te same kolejne fazy, tylko że jedne szczepy kroczyły prędzéj, inne wolniéj. Wskutek tego napotykamy obecnie ludy na najrozmaitszych szczeblach rozwoju. Dla ich uszeregowania z punktu dokonanego postępu, ani dotychczasowa socyologia, ani etnologia nie posiadały nici przewodniéj, i takie nieokreślone wyrażenia, jak „rasa mniéj“ lub „więcéj rozwinięta“, zastępowały wszelką klasyfikacyą. Zbywało na skali do rozmieszczenia ludów według stopnia osiągniętego uspołecznienia; zresztą nie mogło być inaczéj dla braku wejrzenia w istotną naturę społeczeństwa pierwotnego. Morgan, dzięki zgłębieniu ustroju pierwotnego, uczynił pierwszą próbę usunięcia podobnych ogólnikowych rozmieszczeń, podając kryteryum, które zachowa swą

wartość, dopóki znaczne zwiększenie materyału faktycznego nie zażąda rozszerzenia. „Podobnie do idących po sobie pokładów geologicznych można uszeregować plemiona ludzkości według ich stanów odnośnych w uwarstwienia kolejne. W takiém ustawieniu przedstawiają one z niejakim stopniem pewności przebieg cały postępu ludzkiego od dzikości aż do cywilizacyi.“ Ogół znanych rozpatrywanéj grupie narzędzi, sposoby zaopatrywania się w pokarm i stopień zapanowania nad przyrodą, formy własności, rozwój stosunków małżeńskich i rodzinnych i postęp w rządzie, oto drogowskazy, podług których wyznacza on swą klasyfikacyą. Otrzymujemy trzy okresy: dzikości, barbarzyństwa i cywilizacyi, rozpadające się każdy również na trzy pod-okresy: niższy, średni i wyższy. Za dzikości człowiek żywi się tém, co mu daje przyroda: owocami, rybami, zwierzyną. Zastosowanie ognia i wynalazek łuku dzielą ten okres na trzy poddziały; ani jedna grupa ludzkości nie znajduje się obecnie w najniższym stanie, nawet Australijczycy są już w średnim. Barbarzyństwo poczyna się z sztuką garncarską, przechodzi w stan średni z hodowlą bydła i kulturą roślin, w wyższy—z umiejętnością topienia rudy żelaznéj, wreszcie zradza cywilizacyą z odkryciem alfabetu dźwiękowego i zastosowaniem go do zapisywania utworów literackich. Każdy okres i nawet pod-okres posiada właściwe sobie narzędzia pracy, oręż walki, sposoby produkcyi, charakterystyczne sposoby budowania domów i osad, wreszcie pewnego układu rząd, rodzinę i własność. W „Społeczeństwie pierwotném“ Morgan kładzie główny nacisk na ewolucyą rządu i rodziny i tylko nawiasowo potrąca o własność i związane z nią formy dziedziczenia. Co do każdego z tych pytań, lecz zwłaszcza względem rodziny i rządu, książka ta zwiastuje zgoła nowe widnokręgi. Zaczniemy od pierwszéj instytucyi. Socyologia oddawna już doszła do wniosku, że rodzina monogamiczna powstała w czasach względnie późniejszych, lecz nauka ta nie posiadała klucza do odcyfrowania jéj poprzedniczek; obracała się też w ogólnikowych nazwach „heteryzmu“, „wielomęstwa“, „wielożeństwa“, bez określania zawartości i granic tych kategoryi. Dopiéro nasz amerykanin, pierwszy przelał nieco światła na kolejne fazy, przez które przebiegała rodzina w swym historycznym rozwoju, — dzięki nagromadzeniu odpowiedniego materyału faktycznego w swych tablicach pokrewieństwa i powinowactwa, znajdujących się w ścisłym związku z instytucyą rodzinną. „Systemy pokrewieństwa i rozmaite formy rodziny zostają w zawisłości bezpośredniéj. Rodzina przedstawia pierwiastek czynny. Nigdy nie stoi nieruchoma, lecz postępuje z formy niższéj do wyższéj, w miarę postępu społecznego z niższego do wyższego stanu, a nakoniec

przechodzi z formy jednéj w drugą—stopnia wyższego. Systemy pokrewieństwa przeciwnie zachowują się biernie, gromadząc na stronie postęp dokonany przez rodzinę w długich odstępach czasu i zmieniają się radykalnie tylko wtedy, gdy i rodzina przekształciła się z gruntu." System pokrewieństwa odzwierciedla w sobie najzupełniéj stosunki panujące w rodzinie, która go wyłoniła; ponieważ zaś trwa jeszcze długo po zejściu tejże, przekształcając się zwolna pod wpływem nowonastałéj, daje doskonałe świadectwo o poprzednio istniejących postaciach stosunków rodzinnych. Wyjaśnimy to na przykładzie. U Irokezów Morgan znalazł rodzinę parzystą; kogo tu należy uważać za ojca, brata, syna i t. d., nie może być wątpliwości. Jednakże system pokrewieństwa jakby o tém nie wiedział. Irokez nie tylko o swych synach i córkach, lecz i o potomstwie braci mówi jako o własnych dzieciach, te zaś go uważają za ojca; natomiast potomstwo sióstr nazywa on siostrzeńcami i siostrzenicami i jest dla nich wujem; dzieci braci uchodzą za rodzeństwo, dzieci zaś brata i siostry — za krewniaków tylko. Nazwy te nie są bynajmniéj rzeczą konwencyonalną, ani nie wynikają z ubóstwa mowy. Jak więc wytłómaczyć taki dziwny stan rzeczy, przeczący formie rodziny, lecz istniejący przecież u wszystkich czerwonoskórych oraz u ludów drawidyjskich Indyi Przedgangesowych? Wyjaśnienie znaleziono u Hawajczyków. Jeszcze w pierwszéj połowie obecnego stulecia istniała u nich rodzina, dostarczająca akurat takich ojców, braci, synów i t. d., jak żąda tego system irokeski. Mianowicie, żona każdego brata była zarazem żoną wszystkich jego braci, tak, iż grupie braci odpowiadała zawsze grupa wspólnych żon. Oczywiście, kto był ojcem dziecka, trudno tu powiedziéć; ztąd wypływał naturalnie ten stan rzeczy, że każdy z braci uważał się i był uważany za ojca zrodzonych w takim zbiorowym związku dzieci. Taka rodzina, swoista musiała istniéć niegdyś u Irokezów, lecz z czasem ustąpiła miejsca innéj, parzystéj; jedynie dochował się dawny system pokrewieństwa, który nie zdążył się jeszcze przystosować do nowych stosunków. Teraz, gdy znamy zachowanie się tych systemów w rozwoju rodziny i znaczenie ich dla odcyfrowania jéj form ubiegłych, zrozumimy, w jaki sposób na zasadzie takich świadectw można było odsłonić przeszłość omawianéj instytucyi. Socyolog amerykański znalazł, że rodzina, w dotychczasowym swym przebiegu, rozwijała się, przechodząc przez następujące formy: *kazirodczą*, polegającą na bezładném obcowaniu małżeńskiém pomiędzy braćmi i siostrami, rodzonemi i pobocznemi, — w tym stanie każda siostra była z obowiązku żoną wszystkich swych braci, a brat każdy—mężem swych sióstr; *swoistą*, zasadzającą się na wykluczeniu od obco-

wania sióstr i braci, ale związki małżeńskie wciąż jeszcze obejmują całą grupę osób, wszyscy bowiem bracia posiadają wspólnie swe żony, a wszystkie siostry—mężów; *parzystą*, w której jeden mężczyzna łączy się tylko z jedną kobiétą, lecz związek może zostać w każdéj chwili stargany, zarówno przez każdą stronę, a nowy — zawartym; wreszcie *monogamiczną* — związek nierozerwalny dwu płci, oparty na zwierzchnictwie mężczyzny i podległości kobiéty. Co zaś do tyle osławionéj rodziny *poligamicznéj*, zajmuje ona stosunkowo bardzo skromne stanowisko i w rozwoju instytucyi rodzinnéj odgrywa niepokaźną rolę. Z pośród tych form kazirodcza już nie istnieje i pozostawiła po sobie świadectwo jedynie u wyspiarzy oceanu Spokojnego w tamtejszych systemach pokrewieństwa; według wszelkiego prawdopodobieństwa, poprzedził ją jeszcze pierwotniejszy układ obcowania małżeńskiego,—zupełny bezład, nieznający różnicy pomiędzy rodzicami i dziećmi. Postęp w rodzinie spoczywał na zwężaniu koła wspólnych małżonków, które poczyna się od pierwiastkowego bezładu, ogarniającego całą hordę, i w końcu dochodzi do ostatecznéj swéj postaci — związku jednego mężczyzny z jedną kobiétą; jednocześnie idzie wykluczanie od związku małżeńskiego naprzód bliższych, potém dalszych krewnych. Morgan składa tę ewolucyą na karb doboru naturalnego. „Wpływ zwyczaju, wprowadzającego w związek małżeński osoby niespokrewnione, musiał pchnąć w sposób godny uwagi społeczeństwo. Dążył do wytworzenia szczepu silniejszego fizycznie i umysłowo. Gdy dwa plemiona postępowe z silnie rozwiniętemi cechami umysłowemi i fizycznemi zostają doprowadzone do zetknięcia i zmieszania, czaszki i mózgi rozszerzają się.“ Temu warunkowi w zupełności już odpowiada rodzina parzysta, dalszy więc jéj rozwój, w monogamiczną, szedł pod wpływem innych, bo społecznéj natury czynników. Co do umiejscowienia różnych form rodziny na skali rozwojowéj, to parzysta zjawia się ku schyłkowi dzikości i ciągnie się aż do brzasków cywilizacyi, swoista zajmuje średni podokres dzikości, a monogamia towarzyszy cywilizacyi. Z rozwojem niższych form rodziny ściśle wiąże się w pierwszych chwilach organizacya plemienna, która, wobec szczupłości spraw, ma tylko jedno na widoku: regulowanie związków małżeńskich przez usunięcie obcowania pomiędzy pewnemi kategoryami osób. Produkcya ludzi, oto co służy za kształtnik społeczeństwa ówczesnego. Tak więc rodzina kazirodcza wyłania podział hordy na *pokolenia* zstępne i wstępne; swoista — na *klasy* oparta na zasadzie płci. Wreszcie z klas, już w początkach wyższego stanu dzikości, wydźwiga się *ród*. Wystawmy sobie potomstwo jednéj kobiéty lub grupy sióstr do nieskończoności, ale

po przez same tylko kobiéty; takim będzie skład rodu. Współrodowców obowiązuje zakaz żenienia się pomiędzy sobą, jest to zazadniczą cechą rodu. Taka grupa stanowi najniższą jednostkę społeczeństwa pierwotnego aż do początków cywilizacyi, w któréj ukazuje się jeszcze w formie szczątkowéj, jako gens, klan, thum. Związki krwi służą jéj oraz wspierającemu się na niéj układowi społecznemu za podstawę; rząd spoczywa tu na osobach i stosunkach osobistych, w odróżnienie od teraźniejszego, opartego na terytoryum, gdzie jednostkę stanowi gmina ujęta w pewne granice terytoryalne. Rodowość przebywała długą ewolucyą; Morgan ukazuje nam ją w niższym stanie barbarzyństwa. Najniższa jednostka, ród, posiada samorząd we wszystkiém, co tyczy się jéj interesów; nad sprawami cywilnemi czuwa przewódca, sprawujący władzę za pomocą środków natury moralnéj, lecz nigdy przymusowéj; zresztą, wobec niezłożoności stosunków, prawo zwyczajowe przewidziało niemal wszystkie starcia i wypadki i określiło zachowanie. W potrzebie wojennéj wybiera się wódz z władzą rozkazywania podczas wyprawy, ale składający ją z nastaniem pokoju. Obaj urzędnicy rodowi wychodzą z wyboru, i ogół może usunąć ich od godności w razie niespełniania obowiązków. Zresztą dla objęcia urzędu potrzebną jest zgoda rady plemiennéj reprezentującéj wszystkie rody. Współrodowcy stanowią jedno solidarne i równoprawne koło, zobowiązaniem do wzajemnéj pomocy i obrony; kto obraża pojedynczego członka, obraża wszystkich a na współtowarzyszach spoczywa poszukiwanie zadosyćuczynienia za krzywdy. Sprawy rozstrzygają się na ogólném zebraniu mężczyzn i kobiét; wszyscy są równi i wolni, kobiéty i mężczyźni, wodzowie i pospólstwo. Zajmowane terytoryum jest wspólne, a prawo użytkowania jednakie dla wszystkich. Kilka rodów składa *bractwo*, jednostkę religijną i bojową; kilka bractw— *plemię*. To ostatnie posiada własne terytoryum, podzielone pomiędzy rody, nazwę i narzecze, prawo potwierdzania i usuwania urzędników pojedynczych rodów, wreszcie radę plemienną, składającą się z przewódców i wodzów rodowych i załatwiającą wspólne sprawy plemienia w obecności całego gminu plemiennego, który uczestniczy z prawem głosu doradczego. Ustrój rodowy w okresie dzikości ogranicza się tylko na takiém plemieniu; na niższym stopniu barbarzyństwa powstaje *federacya* kilku pokrewnych plemion, lecz na zasadach samorządu części składowych. Ponieważ takie połączenie zradza się w celach obrony lub grabieży, pojawia się wybieralny wódz naczelny, i rodowość staje się *demokracyą wojskową*, któréj obrazu w średnim podokresie barbarzyństwa dostarcza nam ustrój społeczny starodawnego Meksyku, z wyższym — bohaterskie czasy

Grecyi, skreślone u Homera. W takie związki kilkoplemienne, oparte na osobach i zorganizowane w rody, jako najniższe jednostki układu, połączone były wszystkie szczepy, gdy ukazują się na widowni historycznéj, i federacya stanowi punkt wyjścia dla *narodowości*. Ustawa społeczna była jeszcze na wskróś demokratyczną, i tylko wskutek niedostatecznego zgłębienia rzeczy dopatrzono w „basileusach“ Grecyi i „rexach“ Rzymu osoby z władzą królewską, tymczasem gdy byli to jedynie zwykli głównodowodzący wojenni demokracyi rodowéj, usuwalni przez gmin od urzędów w razie nadużycia zaufania. Przewrót, wniesiony pod tym względem w historyą klasyczną przez badacza amerykańskiego, jest olbrzymi; jego zdaniem, dziejopisarstwo zupełnie pofałszowało tę epokę. Nie będziemy streszczali jego przedstawienia dziejów rzymskich i greckich,— zaznaczamy tylko istnienie nowych zapatrywań; zarówno nie dotykamy się tego, jak ustrój rodowy, oparty na osobach i stosunkach czysto osobistych, przechodzi w społeczeństwo polityczne, uorganizowane na podstawie terytoryum i kierujące się zarówno co do własności jak i osób względami terytoryalnemi, jak odpowiednio prawo macierzyste (noszenie nazwiska, dziedziczenie majątku w linii żeńskiéj) zamienia się w ojcowskie, jak rodzina z parzystéj przeinacza się w monogamiczną i rzuca wyzwanie rodowości i t. d. Również dotykać się nie będziemy historyozoficznych poglądów socyologa amerykańskiego o związku wzajemnym różnych stron pożycia społecznego, o pierwszorzędném znaczeniu zjawisk ekonomicznych, przynajmniéj od chwili rozprzęgania się rodowości, o drugorzędném prawodawstwa, stanowiącego jedynie wypowiedzenie już istniejących stosunków. Natomiast raz jeszcze w krótkości zestawimy najgłówniejsze wyniki zajmującéj nas książki.

Morgan w „Społeczeństwie pierwotném“ daje pierwszą naukową, t. j. opartą na faktycznych podstawach skalę dla uszeregowania różnych grup ludzkości i dostarcza w ten sposób pierwszą jakąś nić przewodnią do ocenienia uspołecznienia ludów. To samo czyni dla dziejów rodziny. Zauważywszy znaczenie systemów pokrewieństwa, zdołał na téj zasadzie odbudować kolejność w ewolucyi urządzeń małżeńsko-rodzinnych, oznaczyć względne położenie téj lub owéj formy poszczególnéj i dzięki temu zaprowadzić ład jakiś w należącym tutaj materyale faktycznym. Rozwój rodziny podczas dzikości łączy się ściśle z rowojem formy rządu; socyolog amerykański, dzięki zbadaniu federacyi irokeskiéj, odsłonił nam tajemnicę, pokrywającą wewnętrzny ustrój społeczeństwa pierwotnego; gdzie dotychczas sądzono, że panuje anarchia i zbywa na wszelkiéj organizacyi, wykazał, że tam istnieje porządek, jakkolwiek odmienny

od naszego. Przez rozbiór czynników, jak odbywało się przejście z rodowości do państwa, rzucił zgoła nowe światło na początki cywilizacyi, a korzystając ze wzmianek, zachowanych w pomnikach historycznych Rzymu i Hellady, dowiódł, że dzieje pierwotne tych społeczeństw do gruntu zfałszowano przez stworzenie nigdy nieistniejących postaci i kategoryi ; co więcéj, wykazał, że i tu rodowość służyła za punkt wyjścia dla rozwoju historycznego, i tém samém dostarczył klucza ku zrozumieniu pierwotnych urządzeń społecznych świata historycznego. Wskutek tego pod piórem Morgana dzieje ludzkości przybierają zgoła odmienną postać, niż dotychczas sądzono. Nie dość tego; socyologia zyskuje jeszcze jedno. Dotychczas musiała na wiarę przyjmować opowieści tych lub owych podróżników, którzy, wychowani w subiektywizmie europejskim, widzieli wszystko w świetle kategoryi rodzimych, mimowolnie i bezwiednie fałszując stosunki społeczne ludów pierwotnych — za przemawiający dowód służyć mogą opisy hiszpańskie Meksyku, będące, jak dowiódł Morgan jednym ciągiem fałszów, zmyśleń i kłamstw. Amerykanin, przeprowadziwszy wzajemną zależność pomiędzy stopniem zapanowania nad przyrodą, formami rodziny, własności i dziedziczenia, ukształtowaniem rządu, nawet wyglądem osad i domów, dał nauce do ręki probierz dla wyrokowania o przedmiotowości i wiarogodności opisów podróżniczych. Oczywiście, wobec tego że gabinetowa socyologia europejska buduje swe wywody na podstawie właśnie takiego pofałszowanego materyału, „Społeczeństwo pierwotne“ jest poniekąd zaprzeczeniem jéj zasług; jedynie nieliczni badacze unikają smutnego losu, — że prace ich nie opierają się na urojeniach. Tém to można wytłómaczyć, dlaczego omawiane dzieło, mimo iż wydane zostało przed dziesięciu laty, nie jest znane szerszemu ogółowi. Dotychczas téż nie przełożono go na żaden język, krom polskiego. *Lud. Krz.*

Józef Nogaj : Wpływ poetów łacińskich na sielanki Józefa Bartłomieja Zimorowicza. Osobne odbicie z XI tomu Rozpraw wydziału filologiczn. akademii umieję̨t. Kraków 1886.

Abyśmy metodę porównawczą w historyi literatury w zupełności przeprowadzić mogli i na pewnych podstawach oznaczyć zdołali, co nasze społeczeństwo wykształciło u siebie samoistnie a co winno było zachodowi i jak oddziaływało na przynoszone ztamtąd zapatrywania,—do tego, jak zresztą wszędzie, trzeba mnóstwa materyału przygotowawczego, dotyczącego poszczególnych naszych pisarzy. Dlatego téż każde studyum w tym kierunku podjęte, choćby nadzwyczaj drobiazgowe, byleby tylko sumienne, dostarczy zawsze cen-

nego przyczynku dla przyszłego badacza i nie można go nazwać czysto filologicznėm, a autora zaliczyć do zwolenników kierunku, z którym dzisiaj niektórzy stanowczy rozbrat wziąć usiłują. Z filologią łączy je tylko metoda opracowania, ale rezultat należy stanowczo do historyi literatury, choćbyśmy w téjże do najnowszych wyników zastosować się chcieli. Niewielki przykład niechaj posłuży na poparcie i wyjaśnienie tego twierdzenia. Oto w sielance szóstéj J. B. Zimorowicza w. 123—124 czytamy:

Tak więc owca przed wilkiem, tak jelonek szczwany,
Tak przed jastrzębiem pierzcha gołąb niedognany.

Chcąc się więc tu zastosować do wymagań d-ra Rostafińskiego, zawartych w znakomitym zresztą i pełnym trafnych myśli referacie na zjazd im. Kochanowskiego, musielibyśmy to porównanie uważać za zdjęte z natury, bezpośrednio poetę otaczającéj, i przytoczyć w ustępie dotyczącym jego obrazowości. Jakżeż atoli zmienią się nasze wnioski, jeżeli porównamy Owidiusa „Przemiany", I, 505—506:

Sic agna lupam, sic cerva leonem
Sic aquilam penna fugiunt trepidante columbae

i zważymy, że to nie jest tylko przypadkowa reminiscencya, bo Zimorowicz właśnie w téj pieśni jeszcze w sześciu innych miejscach korzysta niewątpliwie z „Przemian" wieszcza sulmoneńskiego. Wówczas nie zaliczymy tego dwuwiersza do obrazów rodzimych i właściwych muzie Bartłomieja, ale przeciwnie pomieścimy go tam, gdzie będzie mowa o wpływie, jaki na naszego poetę wywarli pisarze starożytni.

Z tego to punktu widzenia oceniając pracę p. Nogaja, musimy mu przyznać, iż ułatwił zadanie każdemu, kto będzie się kiedykolwiek zajmował jednym z najwybitniejszych przedstawicieli literatury naszéj w XVII stuleciu. Zakres jego rozprawy nieznaczny. Z jednéj strony 17 pieśni J. B. Zimorowicza, z drugiéj utwory tych poetów rzymskich, o których można było przypuszczać, że na pierwsze w jakikolwiek sposób wpłynęli. Nie uwzględnieni nawet pisarze greccy, bo Zimorowicz, w „Sielankach" przynajmniéj, bardzo mało z nich korzystał, bo to zresztą tylko część obszerniejszéj pracy autora, przygotowanéj do druku a traktującéj o stosunku „Sielanek" Bartłomieja do wzorów tak starożytnych jak i polskich współczesnych. Zupełnie więc słusznie nie uwzględnił tu nawet autor ustępów pochodzących tylko pośrednio od Wergiliusa, a właściwie przejętych wprost z Szymonowicza, bo wzmianka o nich należy już do całéj pracy a nie do téj właśnie jéj części.

Szczupłe są zatém ramy, jakie autor zakreślił swéj pracy, ale wykonał ją za to, o ile mogłem stwierdzić, nader sumiennie. W dzie-

łach np. Wergiliusa nie znalazłem ani jednego miejsca, któreby uszło uwagi autora. A jakiż rezultat jego rozprawy? Oto, że powtarzane bezmyślnie za Brodzińskim zdanie o oryginalności Bartłomieja znacznie zmodyfikować wypadnie. Cała pieśń dwunasta: „Zezuli Syn", oprócz 44 oryginalnych wierszy, jest przekładem z „Przemian" Owidiusa, III, 342—510 i to przekładem w guście XVII-go wieku. Zwrócenie na to uwagi i ocenienie właściwości Zimorowicza, jako tłómacza, jest też najdonioślejszym wynikiem pracy autora. Poznawszy ją, trzeba w zupełności pisać się na sąd jego, że „siły polskiego poety nie wystarczały do szczęśliwego odtworzenia pierwowzoru" rzymskiego. Niejedna myśl pojęta niewłaściwie, całe wiersze dodane lub opuszczone, ominięte trudności w oddaniu zręcznéj gry wyrazów, a natomiast z własnego pomysłu wplecione myśli i zdania, których żadną miarą Owidiusowi podsuwać nie godziło się, bo stoją w sprzeczności z tém, co bezpośrednio przedtém wypowiedziane, — jednem słowem dowolność granicząca z parafrazowaniem oryginału.

Owidiusa wogóle ceni Zimorowicz po nad wszystkich poetów rzymskich (1) i z niego też najwięcéj korzysta. Szczególnie *Metamorphoseon libri XV*, a także i *Amorum libri III* dostarczają mu najwięcéj myśli i zwrotów. Oprócz wielu innych ustępów z tego poety naśladowanych, zwracają naszą uwagę wspomniana wyżéj pieśń XII i ustęp z sielanki czternastéj w. 117—128, zawierający opowieść Kupidyna o przygodzie Marsa i Wenery, przychwyconych przez Wulkana, a osnuty na podstawie Owidiusa „Przemian" księga IV, w. 171—189. Z innych utworów rzymskiéj muzy należą tu przedewszystkiém Eklogi *„divini Maronis."* Z nich bierze Bartłomiéj pojedyńcze zdania i myśli, z nich niejednokrotnie właściwe sielankopisarzom i naśladowane z Teokryta wstępy i zakończenia. Również księga druga „Georgików" Wergiliusa, jak to słusznie autor zaznacza, wpływa na całą pieśń trzynastą: „Winiarze." Związek, zachodzący pomiędzy obu utworami należało obszerniéj uzasadnić i wykazać szczegółowo różnicę w przedstawieniu wynikającą z klimatycznych stosunków, uwzględnionych dosyć dokładnie przez Zimorowicza. Byłby to nowy szczegół do życia i charakterystyki Bartłomieja, jako gospodarza, podającego w pieśni swéj tylko przepisy przez siebie samego w własnéj winnicy zastosowywane (2). Autor jednakże mówi o tém wszystkiém tylko ogólnikowo, a to, co jakby mimochodem przytacza, kwestyi żadną miarą rozstrzygnąć nie może.

---

(1) Por. Listy Sz. Szymonowicza i J. B. Zimorowicza wydane przezemnie w Przewodniku Nauk. z r. 1884, str. 83: „in epico divinum Maronem et diviniorem illo Nasonem."

(2) Por. oddz. II archiwum miejskiego we Lwowie fasc. 502, N. 1.

„Ślady wpływu innych poetów“, powiada p. Nogaj, „są nieznaczne“, a ja bym jeszcze dodał: i nader problematyczne. Prawdziwości tego twierdzenia szczegółowo uzasadniać nie mogę. Wynika ono jednakże przynajmniéj w części z tego, co przytaczam poniżéj.

Znaną jest rzeczą, że mamy tak liczne przykłady mniéj więcéj jednakowego procesu myślenia, czyli podobnego przejmowania się wrażeniami zewnętrznemi, i oddziaływania naodwrót na nie u ludzi w danéj chwili w żadnych stosunkach ze sobą nie zostających, że musimy najpierw dokładnie uwzględnić wszelkie okoliczności, zanim wydamy ostateczny sąd i podamy w wątpliwość oryginalność jakiegoś autora. Reguły téj przedewszystkiém tam przestrzegać wypadnie, gdzie ślady wpływu są zbyt odosobnione i nie wyraźne, bo tam niekoniecznie reminiscencya ale analogiczny sposób myślenia mógł główną rolę odegrać. Autorowi nie obcém jest to prawidło; zaznacza on je wyraźnie na końcu rozprawy i nie chce dać powodu do nieporozumienia. „Co do tego naśladownictwa“, powiada p. Nogaj, „trudno wprawdzie przypuścić, żeby Zimorowicz zawsze z całą świadomością i zręczném wyrachowaniem zasilał się cudzemi pomysłami. Było i tak zapewne niejednokrotnie, ale również być mogło często, że szczegóły treścią lub wysłowieniem, innych poetów przypominające, nasuwały mu się same pod wpływem dokładnego i pilnego czytywania tworów obcéj muzy“. Autor więc we wszystkich przytoczonych przez siebie ustępach przypuszcza, albo umyślne albo bezwiedne naśladownictwo, atoli w ciągu rozprawy zestawia zazwyczaj tylko odpowiednie miejsca, nie rozważając bliżéj, czy z przytoczonych ustępów Zimorowicz w rzeczywistości korzystał, czy też oddziałały one na twórczość jego poetyczną tylko siłą bezwiednéj reminiscencyi. Z tego zaś wynika, że uważny czytelnik, przeczytawszy rozprawę, nie wié, w których to ustępach owo „niejednokrotnie“ znajduje swe pełne zastosowanie, a w których ustępuje miejsca mimowolnéj reminiscencyi, wypływającéj z większego oczytania się w autorach starożytnych. Wątpliwość ta wzmaga się u niego jeszcze więcéj w miarę, jak nie rzadko znajdują się miejsca, w których trudno się dopatrzéć jakiegokolwiek podobieństwa myśli i słów. I tak nie można i z zastrzeżeniem „zapewnie“ utrzymywać, jakoby myśl wypowiedzianą w wierszach I, 35—38:

Tak cnotliwy on Dafnis, kiedy ten sad mnożył,
Który ja teraz trzymam, nie wiele go pożył.
On szczepił w leśnych pieńkach zrazy nie pozorne,
Ja z nich zbieram pasówki (1) i przałki wyborne

---

(1) Możeby wbrew wszystkim wydaniom i Lindemu czytać należało „spasówki,“ bo tak w Galicyi wschodniéj nazywają gruszki dojrzewające już zazwyczaj koło połowy sierpnia i sprzedawane na odpustach odprawianych w uroczystość Spasa t. j. 18 sierpnia.

nasunął poecie wiersz 50 w IX eklodze Wergiliusa:

Insere Daphni piros, carpent tua poma nepotes.

Chociaż bowiem uderzającém jest tu użycie jednego i tego samego nazwiska (Dafnisa), to jednak trzeba zwrócić uwagę i na to, że tok całego opowiadania w pieśni Demiana wymagał koniecznie podobnéj myśli i że oprócz tego jedynego imienia Dafnisa nie mają cztery wiersze u Zimorowicza nic wspólnego z jednym u Wergiliusa. Lecz jeżeli w tym wypadku nie można autorowi odmówić pewnéj słuszności, to natomiast wiersze V, 107—108:

Że wszystek człowiek z wzrostem całym, żal się Boże!
W maluchnéj garści zamkniony być może.

uważać należy stanowczo za objaw rozmyślań chrześciańskich a nie za naśladowanie z Owidiusa *Amorum* III, 9, 39—40:

Jacet ecce Tibullus
Vix manet e toto parva quod urna capit.

Również żadną miarą nie mogę się zgodzić na rzekome naśladownictwo pisarzy starożytnych, jakie ma się przebijać z sielanki dziewiątéj. Są tam mianowicie trzy różne miejsca, z którémi autor porównywa trzy odpowiedne ustępy z Owidiusa, Propercyusa i Horacego. Wiersze X, 105—108:

Wyście mię wychwalały podżare sielanki,
Wyście mię zalecały hoże Podgorzanki,
Mnie jednak cicha miłość mocniejszym paliła
Ogniem, zawsze mi w sercu tkwiła Bogumiła

mają według autora odpowiadać wierszom w Owid. Przem. VII. 705—708. Atoli wysłowienie się obu poetów jest zupełnie odmienne a i analogia treści nader wątpliwa. U Owidiusa Cefalus pozostaje nieugiętym na piękności Aurory i wiernym swéj żonie, u Zimorowicza Filoret ulega zupełnie miłości do Bogumiły, choć i nie jedna z jego współwieśniaczek „hożych Podgorzanek“ wyszłaby chętnie za niego. U Owidiusa jest więc zwycięstwo obowiązku i miłości nad pokusą i pięknością, u Zimorowicza tylko przedstawienie siły namiętności, jaką pała Filoret do ubóstwionéj przez siebie osoby. Odnosić daléj w. 138:

Przez cię bywam zasmucon, bywam i wesoły

do trzech z Propercyusa I. 11, 24—26 (1):

Omnia tu nostrae tempora laetitiae
Seu tristis veniam, seu contra laetus amicis
Quidquid ero, dicam „Cynthia causa fuit“

i cztery inne 175—178:

.... wszystkie zgody i wszystkie miłości
Z świata wszystkiego zbiegły do moich wnętrzności

---

(1) W rozprawie mylnie wydrukowano I. L. 24—26.

Wszystkie ludzkie przyjaźni Kupidowie mali
W sercu mém, jako w skarbcu jakim zachowali,

do dwu wierszy z Horacego Carm. I. 19, 9—10:

In me tota ruens Venus
Cyprum deseruit nec potitur Scyttas...

jest również nie właściwém. Myśli tu wypowiedziane, są tego rodzaju, że mogłyby się nasunąć każdemu poecie, erotyczne pieśni składającemu. Zresztą na przyjęcie i to nieznacznego naśladownictwa mógłbym się wówczas tylko zgodzić, gdyby owe 3 reminiscencye pochodziły przynajmniéj od jednego i tego samego poety. Przypuszczenie jednakże, że Zimorowicz jedynie w tych trzech miejscach korzystał aż z 3-ch rozmaitych autorów Owidiusa, Horacego i Propercyusa, jest co najmniéj za śmiałem wobec powyżéj przytoczonych względów i zupełnego braku innych w tejże sielance miejsc nie oryginalnych. Również i wiersze XII, 277—278:

I tyś rozumem twym nieba przenikał
I tyś się czołem twojem słońca tykał

zawierają myśl tak powszechnie u poetów się znajdującą, że nie potrzebują nam „przypominać“ sławnego wiersza Horacego Carm. I. 1, 36:

Sublimi feriam sidera vertice.

Tak samo muszę nazwać nie właściwém odsyłanie czytelnika przy w. XI. 9—12, do VII, 42—44, bo tam nie płaczą żywioły ale rówieśnice Filidy, które z żalu za nią napełniają całą okolicę skargami brzmiącemi, jak się wyraża poeta „jeszcze dotychczas“ po górach i lasach. W sielance ostatniéj jest tylko początek naśladowaniem z Wergilego Bukolik X. 1—3. O dwu innych miejscach (w. 52—54 i 95—96), przytoczonych przez autora, powiedziéć tego nie można. Naśladownictwo w nich Owidiusa Heroidów (II. 209) i Tristiów (I. 65—68), co do słów nader problematyczne, staje się zupełnie nie prawdopodobném, jeżeli zważymy, że odnośne wiersze u Zimorowicza zgadzają się całkowicie z głęboko religijnym nastrojem całéj pieśni i zasadami chrześciańskiemi, odpowiadającemi w zupełności naturze i charakterowi poety.

Autor w swéj pracy używał wyłącznie tylko wydania Turowskiego, i nie porównywał go z innemi, znajdującemi się również w biliotece im. Ossolińskich. Nie jest-to rzeczą obojętną, gdyż edycya Turowskiego skażona jest w stu kilkudziesięciu miejscach, z których jedno znajduje się w ustępach przytoczonych przez p. Nogaja. Mam tu na myśli w. V. 221, gdzie powinno być „zanosiły“ a nie „zaniosły“, forma z wyrazem następującego wiersza „wiły“ wcale się nie rymująca. Lepiéj też i wygodniéj nawet dla samego autora byłoby przytaczać wiersze według liczby porządkowéj, a nie opisywać

ich na wszelkie możliwe sposoby. W jednym tylko rozbiorze pieśni dwunastéj zastósował się autor do tego powszechnie przyjętego zwyczaju; atoli tu zaznaczyć wypada, że nie na 207 ale na 208 wierszy rozszerzył Zimorowicz oryginał rzymski. Jest-to o tyle ważném, o ile przyjęcie pierwszéj liczby wykazałoby przeciw zasadom rytmicznym, przestrzeganym przez Zimorowicza, u którego podobnie jak i u innych myśl zamyka się zazwyczaj dopiéro z końcem 2 lub 4 wiersza.

Korekta bardzo niedbała, ale tu chyba nie należy winić autora lecz zwrócic się z prośbą do wydziału Akademii Umiejętności, by polecił czuwać nad ściślejszém jéj przeprowadzeniem. 50 błędów drukarskich na 36 stronicach, to trochę za wiele. Szczególnie słowa łacińskie wyszły z korekty bardzo niefortunnie, choć i w polskich nie brak licznych pomyłek.

Korneli Juliusz Heck.

= Muzeum ks. Czartoryskich, niegdyś w Puławach, w Sieniawie, w Paryżu, a obecnie w Krakowie mające swoje siedlisko, słynie wśród badaczów przeszłości z bogatego zbioru rękopisów. Ogłoszenie przeto katalogu onych, bardzo było pożądaném. Pierwszy zeszyt pod nap. **Catalogus codicum manu scriptorum Musei Principum. Czartoryski Cracoviensis,** wydany przez *d-ra Józefa Korzeniowskiego* w roku bieżącym, zawiera na 96 stronach NN. 1—438. Z nich pierwszą połowę stanowią tak zwane „Teki Naruszewicza“, obejmujące nasze dokumenta historyczne różnego rodzaju, od czasów najdawniejszych do r. 1762. W drugiéj połowie katalogu mamy całe tomy listów oryginalnych, począwszy od XVI wieku. Rejestra metryk litewskich, kodeksy pargaminowe w. XV „tranzakcyj z Krzyżakami“, „Acta Tomiciana“ i wolumina, stanowiące niejako ich ciąg dalszy z czasów następnych, księgi poborowe, dyaryusze sejmów, instrukcye sejmikowe, dzienniki podróży, pamiętniki i t. d. Katalog w ten sposób jest ułożony: najprzód opis powierzchowności każdego kodeksu, potém tytuł, pod jakim zaciągnięty jest w inwentarzu, daléj krótkie wskazanie zawartości tomu, wreszcie obszerniejsza wzmianka o rzeczach, które najbardziéj mogą zaciekawiać. Jeżeli tom zaopatrzony jest indeksem, zaznaczono, kto go sporządził. Skoro publikacya katalogu ukończoną zostanie, wiele historykom przyniesie pożytku.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Epoka myśli wychowawczych, która matkom i ojcom odbiera sen w nocy i apetyt we dnie. — Utarty szlak edukacyi. — Jak było dawniéj w szkole. — W jakim kierunku posunął ją postęp czasu. — Szkoła — rajem. — Marzenia o przyszłości dzieci przeszkodą w uwzględnianiu zmian. — Korzyści z dyplomu i etatu. — Stanowiska po za granicami powodzi. — Nowe żywioły w warsztacie. — Kolonie. — Oświata i wyklęcie języka w Poznańskiém. — Gorączka sprzedaży. — Niepowodzenie Banku. — Fiasco wystawy w Wilnie. — Galicya i warszawskie zadowolenie z siebie. — „Towarzystwo Przyrodnicze". — „Wszechświat". — Wystawa w Tarnopolu, podróż arcyksięcia, nasi najserdeczniejsi i ucisk Rusinów.— Upadek „Miru".

Za dwa lub trzy tygodnie mniéj więcéj rozpoczną się zapisy i egzaminy wstępne do gimnazyów i szkół prywatnych. W téj chwili już troska i trwoga odbiera w nocy sen, a w dzień apetyt wielu ojcom i matkom. Pomimo żniw i kłopotów pieniężnych, w tych czasach najwięcéj myślimy o sprawach pedagogicznych, o przyszłości naszych dzieci i o wychowaniu publicznėm w ogóle. Nie można jednak powiedzieć, żeby myśli nasze były bardzo płodne w skutki; widocznie drepcą one wewnątrz jakiegoś koła, którego granicy przekroczyć nie chcą, czy nie umieją, skorośmy dotąd żadnego lekarstwa na obecne ciężkie warunki bytu nie wynaleźli. Wzorowi, innym za przykład służący rodzice dziś tak samo jak przed 10-u, 20-u, a może i przed pięćdziesięciu laty, nazajutrz po uroczystości „Matki Boskiéj Zielnéj" prowadzą lub wiozą synka, co skończył lat 10, do egzaminu, i są zawsze jednakowo przekonani, że zakładają najpewniejszy fundament pod przyszłość, byt materyalny i społeczne stanowisko ukochanego dziecka, które kiedyś otrzyma świadectwo dojrzałości, skończy uniwersytet i znajdzie drogę otwartą do użytecznéj pracy, zaszczytów i godności. Jestto gościniec utarty przez kilka już pokoleń i dla tego każdy stara się nań dostać, nie bacząc, czy dziś prowadzi on, tak jak niegdyś, do celu. Pod tym względem, jak pod każdym innym, wytwarza się pewna rutyna, pewien typ postępowania, który odpowiada całéj

jakiéjś epoce, ale zwykle żyje dłużéj niż ona, trwa jako anachronizm wtedy jeszcze, gdy warunki, które go wywołały i czyniły pożądanym, oddawna nie istnieją. Niegdyś szlacheckiego syna uczył ksiądz na alwarze i książce do nabożeństwa, a późniéj na dokończenie edukacyi oddawano go na dwór pański; ten tryb wsunął się dosyć głęboko w następującą epokę, kiedy się z alwara głośno już śmiano, a z wychowania u pańskiéj klamki żadna korzyść wyniknąć nie mogła.

. . . .

Jak w czasie powodzi szukamy ratunku w miejscach, których żywioł niszczący dosięgnąć nie jest w stanie, tak i w tym razie oczy rodziców zwrócić się winny ku stanowiskom zabezpieczonym, niezależnym od zmian i kaprysów fali. Takie stanowiska dla dzieci swoich znaleść oni mogą w sferze rzemiosł, handlu, rolnictwa. Nie myślimy tu wcale powtarzać prawd znanych i już oklepanych, które pomimo to nie przyjęły się dotąd u nas, o równości wszelkich stanów, o tém, że żadna praca nie krzywdzi. Nie. Najzupełniéj rozumiemy ambicyą rodzicielską, chcącą widzieć syna na stanowisku, otoczoném słusznym szacunkiem, pojmujemy i oceniamy dążenie młodzieńca do wyższych światów; ale tu nie ma wyboru, to nie doktryna ale konieczność, nie chodzi o przekonywanie, ale pokazanie tego, co jest. Nieprzełamana fatalność i tak nas wepchnie w te sfery, z których się nam wydobyć nie wolno. Im prędzéj zrozumiemy istotny stan rzeczy, im bardziéj się przeciwko niemu zabezpieczemy, z im większą świadomością wyjdziemy na jego spotkanie—tém lepiéj. Wdzieranie się na niedostępne wyżyny po to tylko, aby po trudach i upokorzeniach przekonać się, iż próżne były wszelkie wysiłki, jest z punktu interesów osobistych szkodliwą stratą czasu. Nie mniéj źle odbija się to i na sprawach społecznyh. Wyższe wykształcenie nie uchroni od moralnego upadku; gdy dostatek kusi a biéda popycha, człowiek może, a często musi nawet, wejść na bezdroża i upodlić się.

. . . .

Niepodobna jest nakreślić wzoru najwłaściwszéj drogi wychowania, wiele zależy od warunków szczególnych, ale wielka już stąd wyniknie korzyść, gdy ogół zrozumie, że dotychczasowa rutyna jest złą. Usuwać dzieci od średniego wykształcenia byłoby błędem i szkodą fatalną; ale wiele się zmieni, jeżeli to wykształcenie za cel nie będzie miało praw i przywilejów, z których nie można skorzystać. Nie wszystkie szkoły są tak niegościnne, że od drzwi swoich odtrącają dobijających się; mamy już nieco zakładów profesyonal-

nych, technicznych, rzemieślniczych, gdy zapotrzebowanie ich ze strony społeczeństwa wzrośnie, wzrośnie i liczba ich zapewne. Obfitszy napływ nowego pierwiastku do warsztatów niewątpliwie wpłynął by dodatnio na rolę społeczną stanu rzemieślniczego i na same rzemiosła. Spotężniało by w nim poczucie godności własnéj i zamiłowanie swego zawodu. Z martwą rutyną połączyła by się myśl badawcza lub twórcza. Pieniądze, wydawane dziś na przesunięcie dziecka i młodzieńca przez ucho igielne wymagań szkolnych, wystarczyłyby na założenie warsztatu.

W ostatnich czasach dużo mówimy o Niemcach i rozpatrujemy stan i sprawowanie się kolonistów niemieckich, ich rządność, wzrost zamożności i tak daléj. Jest-to krzyczący dowód niedołęstwa, że potrafimy tylko biadać i zazdrościć, że posuwamy się nawet aż do wzywania sił obcych na pomoc, zamiast korzystać z przykładu i pracą własną, współzawodnictwem w cnotach postawić tamę zalewowi. Nasz wieśniak często nie dorówna osadnikowi zachodniemu, bo mu brak i świadomości technicznéj, brak żywszéj myśli. Czyżby inteligencya nasza nie mogła dostarczyć pewnéj liczby rzutkich przedsiębiorców, którzy, nie mogąc znaleźć gdzieindziéj pola do pracy, sprobowali by sił i uzdolnienia swego, obrabiając ziemię, a w ten sposób podnosząc kulturę roli i rolników?

Jeszcze raz powtarzamy, nie chcemy rozstrzygać trudnéj téj i zawiłéj kwestyi, ale czas już wielki, aby na nią zwrócono uwagę i zastanowiono się głęboko (1).

Mówiąc o wykształceniu publiczném, niepodobna jest nie przypomnieć sobie szczególnéj pieczołowitości, jaką władze pruskie otaczają szkoły w Wielkiém Księstwie, w Prusach zachodnich i na Szląsku. W ubiegłym miesiącu sam p. minister oświecenia, Gosler, zwiedzał osobiście wszelkie zakłady naukowe. Cel téj wizyty nie był wcale ukryty: chodziło o ostateczne zamienienie szkoły w narzędzie germanizacyjne. Prusacy doszli do ostatecznéj granicy téj brutalności, jaka odznacza ludzi ufnych, że nikt im w sile kułaka nie sprosta, a wskutek tego nie widzących potrzeby krępować się w wypowiadaniu zamiarów. Nikt w Europie nigdy tak daleko nie zaszedł. Wszędzie czują jeszcze potrzebę z grecką przewrotnością osłaniać frazesami istotną akcyą. Szkoły poznańskie są już wzorowo zniemczone, zgadnąć więc trudno, co daléj wymyśli pan minister. Chociaż wątpić niepodobna, że wymyśli; wiemy wszyscy z gorzkiego

---

(1) Przypominamy czytelnikom naszym broszurę p. Teodora Kalksteina i zdający z niéj sprawę artykuł p. Kirszrota-Prawnickiego w zeszycie czerwcowym „Ateneum“ r. [illegible] (str. 548—554); zasługują one ze wszech miar na poważne zastanowienie.

doświadczenia, że siła twórcza myśli ludzkiéj w szkodzeniu bliźniemu granic nie ma. Biedni poznańczycy będą musieli posyłać dzieci swoje po naukę tam, gdzie ta nauka ma wyraźnie na celu psucie i tylko psucie.

Podobno używanie języka polskiego w ziemiach, pod rządem pruskim znajdujących się, już nie tylko w szkole, ale i w miejscach publicznych uważane jest za wykroczenie. Z dworca poznańskiego kazano wyjść podoficerowi za to, że ośmielił podrażnić uszy germańskie swoją mową rodzinną. W warsztatach kolejowych również kary spotykają tych, co poważą się odezwać wyklętym językiem.

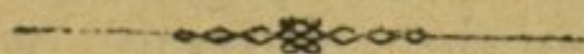
Jednocześnie, jak w chmurną noc, żaden promyk światła nie zabłyśnie w nieszczęśliwéj krainie. Komisya kolonizacyjna kupuje dziesiątkami tysięcy morgów polskiéj ziemi. Zdaje się, że nawet nadzieje twórców projektu kolonizacyjnego pozostały w tyle po za tém co przyniosła rzeczywistość. Niemcy już kupować nie chcą, na taki nawał sprzedaży przygotowani nie byli.

. . . .

Z inicyatywy komisyi fizyograficznéj Akademii Umiejętności zawiązało się w Krakowie „*Towarzystwo przyrodnicze.*“ Statuty, opracowane przez prof. Rostafińskiego i przedstawione członkom założycielom na jednérn z wstępnych posiedzeń, odesłane zostały do potwierdzenia namiestnictwu. Nowe towarzystwo położyło sobie za cel zaznajomienie społeczeństwa z naturą kraju, szerzenie wiadomości przyrodniczych, oraz wydawanie popularnego pisma. „Wszechświat więc znajdzie współzawodnika, a to obudzi zapewne większy ruch i większe zainteresowanie się kwestyami przyrodniczemi, i bezwątpienia wyjdzie naszemu tygodnikowi na dobre. Korzystając ze sposobności, dodać musimy, że w roku bieżącym „Wszechświat“ bardzo zyskał pod względem wewnętrznéj wartości. Podobno także nareszcie powodzenie materyalne przyświecać zaczęło ciężkiéj pracy redakcyi.

. . . .

Ludwik Straszewicz.



NEKROLOGIA.

† **Wojciech Biberstein Kazimirski** urodzony w Lubelskiém roku 1808, nauki uniwersyteckie odbywał w Warszawie na wydziale filozoficznym i już wtedy dał się poznać z artykułu w *Dzienniku Warszawskim*. Po r. 1831 wyszedł do Francyi i oddał się studyom języków i literatur wschodnich. Owocem tych studyów były: „Słownik arabsko-francuski“, „Enis el Djelis“ (wyjątek z Tysiąca i jednéj nocy, po arabsku i francusku), przekład Koranu na język francuski. Prace te dały poznać Kazimirskiego we Francyi; został tu tłómaczem ministeryum spraw zagranicznyeh, był dragomanem poselstw w Persyi, gdzie długo przebywał, w 1858 otrzymał urząd naczelnika wydziału w ministeryum. W języku ojczystym pozostawił prac niewiele; odznaczają się one sumiennością i gruntownością. W pierwszych latach emigracyi ułożył i wydał słownik francusko-polski, wielokrotnie potém przedrukowywany. W 1876 nakładem Biblioteki Kórnickiéj wyszło jego tłómaczeuie jednego z najcelniejszych utworów literutury perskiéj, tj. „Gulistanu“ Saadego wraz ze wstępem i objaśnieniami. Zmarł w Paryżu w początkach lipca r. b.

† **Agaton Giller** urodzony r. 1831 w Opatówku (w Królestwie Polskiém), studya swe naukowe kończył w uniwersytecie jagiellońskim, zarabiając na swe utrzymanie już-to lekcyami już-to pracami literackiemi. Zmarł po 3-dniowéj chorobie (zapalenia płuc) 18 lipca r. b. Z pism jego dość licznych wymieniamy niektóre: „Podróż do Syberyi“, „Opisanie zabajkalskiéj krainy“, „Pamiętniki i wspomnienia“, „Polska w walce“, niedokończona Historya ostatnich ruchów, rzecz o Słowaczyznie, „Wieniec pamiątkowy“. Pogrzeb odbył się kosztem gminy miasta Stanisławowa.

† **Józef Mikołaj Wiślicki**, urodzony w 1805 r. we wsi Parczach Górnych, pod Olkuszem. Działalność swą literacką rozpoczął od spółpracownictwa w „Gazecie Warszawskiéj“ i „Gazecie Codziennéj“. Przed czterema dziesiątkami lat wydał kilka powieści historycznych, jak „Starosta Rabsztyński“ (1841), „Zborowscy“ (1843), „Pani Orzelska“ (1847). Następnie zabrał się do „Opisu Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym“ itd., która to praca, drukowana od r. 1850 do 1853, w sześciu zeszytach, zawiera opisanie gubernii Kieleckiéj oraz dwóch powiatów Sandomierskiéj.—J. M. Wiślicki zakończył życie w Warszawie, 23 lipca r. b.

† **Franciszek Gruszczyński**, lekarz, zmarły w Widawie, urodził się w Zduńskiéj woli w r. 1833. Nauki pobierał w Sieradzu i w Piotrkowie. Od r. 1851 studyował medycynę w akademii petersburskiéj, po ukończeniu któréj z medalem złotym, wrócił do kraju, gdzie zajął się praktyką lekarską. Spostrzeżenia, których mu ona dostarczała, ogłaszał w naszych czasopismach specyalnych.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.



ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVII.

ROK XII.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.



PRZYCZYNY
DZIEDZICZNOŚCI I ZMIENNOŚCI
U ROŚLIN I ZWIERZĄT.

Ch. Darwin. The variation of animals and plants under domestication. Londyn 1868. T. II. Rozdział XXVII: Provisional hypotesis of Pangenesis. — *W. K. Brooks.* The law of heredity. A study of the cause of variation and the origin of living organisms. Baltimore 1883, pag. XII, 336. (Według referatu F. Müller'a w czasopiśmie *Kosmos.* Zeitschrift für die gesammte Entwicklungslehre. 1886, str. 68—73). — *C. v. Nägeli.* Mechanisch-physiologische Theorie der Abstammungslehre. Mit einem Anbang: 1. Die Schranken der naturwissenschaftlichen Erkenntniss. 2. Kräfte und Gestaltungen im molekularen Gebiet. Monachium i Lipsk. 1884, p. XI, 822. — *E. Strasburger.* Neue Untersuchungen über den Befruchtungsvorgang bei den Phanerogamen als Grundlage für eine Theorie der Zeugung. Jena, 1884, p. 176.—*August Weismann.* Ueber die Vererbung. Jena 1883, str. 59.—*August Weismann.* Die Continuität des Keimplasma's als Grundlage einer Theorie des Vererbung. Jena 1885, p. VI, 122. — *August Weismann.* Die Bedeutung der sexuellen Fortpflanzung für die Selections-Theorie. Jena 1886, p. VIII, 128. —*August Weismann.* Zur Frage nach der Vererbung erworbener Eigenschaften. Biologisches Centralblatt. Tom VI, p. 33—48.

Zasadą teoryi Darwina powstawania gatunków są dwa powszechnie znane zjawiska, towarzyszące rozmnażaniu się roślin i zwierząt: dziedziczność, polegająca na przechodzeniu pewnych znamion z pokolenia w pokolenie,—oraz zmienność, która sprawia, że każdy osobnik danego gatunku posiada pewne, jemu tylko właściwe, drobne wyłączności, przechodzące na potomstwo drogą dziedziczenia cech rodzicielskich.

Skutkiem szybkiego stosunkowo mnożenia się wszystkich istot organicznych, w każdym gatunku za dużo istnieje osobników, gdyż warunki bytu nie wystarczają na ich utrzymanie. Ponieważ każda istota żyjąca usiłuje zachować życie, zdobywając niezbędne jego warunki, przeto pomiędzy wszystkiemi osobnikami świata organicznego powstaje współzawodnictwo, szczególnie zawzięte pomiędzy osobnikami tego samego gatunku, których potrzeby są jednakowe. To współzawodnictwo nazwał Darwin *walką o byt.*

Z walki o byt zwycięsko wychodzą osobniki najlepiéj uzdolnione do zdobywania sobie niezbędnych warunków bytu. Ponieważ pomiędzy osobnikami składającemi gatunek zachodzą pewne, chociaż drobne różnice, przeto istnieją osobniki nieco lepiéj i nieco gorzéj uzdolnione do prowadzenia walki. Osobniki uprzywilejowane łatwiéj zdobywają warunki bytu, a tém samém zabierają je osobnikom upośledzonym, które skutkiem tego muszą ginąć. Wymieranie osobników mniéj uzdolnionych do walki o byt i zachowywanie życia przez lepiéj uzdolnione, oznacza Darwin mianem *wyboru naturalnego*.

Widzimy tedy, że zasadą teoryi Darwina jest dziedziczność i zmienność, oraz przeludnienie ziemi organizmami i wynikająca ztąd walka o byt, która z konieczności prowadzi do wyboru naturalnego.

Dziedziczności i zmienności zbyt są widoczne, aby mogły być podawane w wątpliwość.

Ściśle mówiąc, dla teoryi Darwina wystarcza pewność, że oba te zjawiska rzeczywiście istnieją, a nie może jéj zachwiać brak znajomości ich głębszéj przyczyny, zmuszający do poprzestawania na samym tylko fakcie, co do istoty swojéj niezrozumiałym. Darwin usiłował jednak głębiéj sięgnąć i wystąpił z teoryą dziedziczności i zmienności, która natrafiła na silną opozycyą przeciwników, starających się zastąpić ją innemi hipotezami.

Zadaniem niniejszéj pracy jest zapoznanie czytelników z rozmaitemi poglądami na źródło dziedziczności i zmienności organizmów, oraz wykazanie stosunku tych poglądów do teoryi Darwina wyboru naturalnego, która w świecie naukowym znalazła powszechne niemal przyjęcie, gdyż spory i wątpliwości głównie dotyczą przyczyn i granic zmienności gatunków, któréj zresztą nikt nie przeczy.

DZIEDZICZNOŚĆ.

Do najpospolitszych zjawisk życia codziennego należy podobieństwo dzieci do rodziców. U wyższych organizmów drogą dziedziczności z pokolenia na pokolenie przechodzą najdrobniejsze szczegóły budowy, najdrobniejsze szczegóły właściwości cielesnych i duchowych. Rośliny i zwierzęta przez długie szeregi pokoleń bez zmiany zachowują tysiączne charakterystyczne szczegóły budowy, a nawet w wielu razach nie zmieniają się w ciągu całego geologicznego peryodu. Słusznie więc zapytujemy o przyczynę zjawiska, t. j. możemy zapytać, jakim sposobem pewien osobnik z taką dokładno-

ścią może przenosić na potomstwa swoję własną budowę? Możemy na to odpowiedzieć, że z pomiędzy milionów komórek składających ciało rośliny lub zwierzęcia, w najrozmaitszy sposób wyróżnionych i przedstawiających najrozmaitsze kształty, jakotéż posiadających najrozmaitsze przeznaczenie, oddziela się pojedyncza komórka rozrodcza, która odrywa się od organizmu i odznacza zdolnością odtworzenia w nowym osobniku wszystkich właściwości rodzicielskich. Odbywa się to drogą podziału i nadzwyczaj skomplikowanego wyróżnienia powstających komórek. Daléj jednak powstaje pytanie: jakim sposobem pojedyncza komórka może posiadać zdolność odtwarzania danego osobnika z tak wielką dokładnością?

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna. Dotychczas nie może być wyprowadzona wprost ze spostrzeganych faktów, jako ich bezpośrednie uogólnienie, lecz należy jéj szukać w bardziéj oderwanych teoryach, które o tyle posiadają faktyczną podstawę, że są wyprowadzone drogą dedukcyi z rzeczywistych, chociaż nielicznych spostrzeżeń, oraz pozwalają wytłómaczyć znane fakta.

Jako pierwszą próbę rozwiązania zajmującego nas zagadnienia należy uważać teoryą dziedziczności *Demokryta* z *Abdery* († r. 370 przed n. Chr.), który mniemał, że wszystkie części ciała rodziców wydzielają nasienie, oraz że z nasienia każdéj części zostaje odtworzona odpowiednia część nowego osobnika.

Odbiciem tych poglądów Demokryta jest teorya *pangenezy*, wypowiedziana przez *K. Darwina*, wielkiego twórcę teoryi powstawania gatunków drogą naturalnego wyboru. Teorya pangenezy jest pokrótce następująca.

Komórki, t. j. pierwiastki anatomiczne ciała, mogą się rozmnażać przez podział, zachowując przytém tę samę naturę i ostatecznie zamieniają się na tkanki i substancyą ciała. Komórki przed porzuceniem stanu czynnego, t. j. przed wejściem w skład uformowanéj tkanki ciała, wydają drobniutkie ziarenka czyli atomy, które swobodnie krążą po ciele, a mając dostateczny pokarm mnożą się drogą podziału, następnie zaś rozwijają się na takież komórki, jak te, z których same powstały. Te ziarenka są zalążkami *(gemmules)* komórek. Przechodzą one z rodzica na potomka i pospolicie rozwijają się zaraz w następném pokoleniu, często jednak w stanie uśpionym bywają przekazywane z pokolenia w pokolenie i późniéj się rozwijają.

Rozwój zalążków, według Darwina, zapewne zależy od ich połączenia z innemi, w części rozwiniętemi komórkami lub zalążkami, które je bezpośrednio poprzedzają w naturalnym biegu rozwoju. Zalążki powstają we wszystkich komórkach ciała i w każdym ich

stanie rozwojowym, a uśpione posiadają wzajemne powinowactwo, skutkiem czego skupiają się w pączkach lub pierwiastkach płciowych organizmu. Zatém, ściśle mówiąc, nowego organizmu nie wydają ani pączki, ani pierwiastki płciowe (rozrodcze), lecz wydają go komórki całego organizmu rodzicielskiego. Organy płciowe nie wytwarzają tedy pierwiastków płciowych (jaj i nitek nasiennych), lecz są jedynie miejscem gromadzenia się zalążków.

U najprostszego zwierzęcia (pierwotniaka) złożonego z jednolitéj substancyi, jeden atom wydany przez którąkolwiek część ciała byłby w stanie odtworzyć całość. Jeżeli u danéj istoty dolna i górna strona różni się od części bocznych, wówczas dla odtworzenia całości potrzebaby tyle atomów czyli zalążków, ile jest odmiennych części ciała. To samo dzieje się u wyższych zwierząt i roślin, u których muszą powstawać tysiące zalążków przez rozmaite części ciała wydawanych. Tak np. gdy salamandrze odetniemy nogę, na ranie powstaje skorupa, pod którą nienadwérężone komórki rozmaitych tkanek, jak kości, mięśni, nerwów i t. d. łączą się z rozproszonemi zalążkami tych komórek, które w nienaruszonéj nodze bezpośrednio za niemi następowały. Zalążki nieco się rozwinąwszy, łączą się z innemi zalążkami następujących z kolei komórek i t. d. dopóki nie powstanie odtwarzana noga. Tym sposobem zawsze odtwarza się tylko odcięta część nogi, ani mniéj, ani więcéj.

Jeżeli dla jakiéj przyczyny pewne części ciała ulegają zmianie, wówczas zalążki będące cząstkami zmienionych komórek z konieczności odtwarzają zboczenie u potomków. Gdy zboczenie wypływa ze zmienionych warunków bytu, wówczas nowe warunki bezpośrednio działają na tkanki ciała, z których też powstają zmienione zalążki i te ostatnie przechodzą na potomstwo ze swemi nowonabytemi własnościami. W razie zmiany skutkiem ćwiczenia lub bezczynności pewnego organu, budowa odpowiedniéj części ciała ulega zmianie i skutkiem tego wydaje przeobrażone zalążki. Tym sposobem mogą być dziedziczone wszelkie zmiany zaszłe w jakimbądź wieku zwierzęcia lub rośliny.

Pospolicie, a może zawsze, zboczenie w budowie potomstwa powstaje dopiéro wtedy, gdy pewien gatunek przez kilka pokoleń był wystawiony na wpływ zmienionych warunków bytu. Pochodzi to prawdopodobnie ztąd, że do potomstwa przechodzi znaczna ilość zalążków wydzielonych przed wytworzeniem się zboczenia danego organu, potrzeba więc czasu, aby zalążki zmienione rozmnożyły się do tego stopnia, że nareszcie biorą przewagę nad niezmienionemi.

Wogóle, zmiany organizmu mają pozostawać skutkiem braku, albo skutkiem nadmiaru pewnych zalążków, jako też skutkiem ich

zlewania się z sobą, przestawienia i rozwoju dawno uśpionych, albo też skutkiem zmian zachodzących w samych zalążkach, wydawanych przez komórki zmodyfikowane działaniem rozmaitych wpływów.

Zalążki muszą po pewnym czasie umierać i ulegać zniszczeniu, bo organizm nie byłby wstanie wyżywić ich do nieskończoności. Tak więc, gdy pewien organ zanika, długi czas zachowują się jego szczątki, gdyż w ciele odpowiedniéj istoty znajdują się zalążki powstałe w czasie, gdy jeszcze istniał organ. W końcu jednak te ostatnie niewątpliwie giną i wówczas następuje zupełne usunięcie organu z ciała, bez możności odtworzenia go.

Okaleczenia nie przechodzą na potomstwo, raz dla tego, że drugi rodzic nie jest nienadwerężony, a powtóre z powodu, że okaleczały rodzic przekazuje potomstwu zalążki, które powstały w organie przed jego utratą.

Pomimo obecności w organizmie zmienionych zalążków, zawsze znajdują się rozproszone po ciele zalążki powstałe w téj saméj części ciała przed zaszłą w niéj zmianą. Te ostatnie przy sprzyjających warunkach mogą odtworzyć dany organ w jego formie pierwotnéj i nie zmienionéj, a wtedy powstała zmiana może zniknąć na pewien czas, lub nazawsze. Taki powrót do utraconych poprzednio znamion zdarza się bardzo często, zwłaszcza przy zmianie warunków bytu i skutkiem krzyżowania odmiennych form. Powrót do dawnych znamion może być częściowy, a wówczas przy płodzeniu oprócz zalążków niezmienionych są też w różnym stopniu czynne zalążki charakteru mieszanego.

Znamiona utajone polegają na obecności zalążków, które rozwijają się w pewnych tylko warunkach, pomimo że zawsze istnieją. Tak u każdego osobnika istnieją zalążki obu płci, lecz rozwijają się zalążki jednéj z nich, a drugiéj pozostają utajone. W niektórych jednak razach mogą się rozwinąć pewne właściwości innéj płci; tak np. samice ptasie, niezdolne do niesienia jaj, przybierają niekiedy odzież samczą.

Tak więc teorya pangenezy opiera się na przypuszczeniu, że produkty płciowe, z których powstaje nowy osobnik, są niejako wyciągiem czyli ekstraktem z całego ciała rodziców, a tém samém substancya rozrodcza, z któréj powstaje potomek, jest substancyą zebraną z całego ich ciała.

Ponieważ ciało istot wielokomórkowych składa się z ogromnéj ilości komórek, przeto u wyższych istot należałoby przypuszczać niesłychaną ilość zalążków krążących po ciele, oraz należałoby przypuszczać mniejszą wprawdzie, ale zawsze ogromną ich ilość w pierwiastkach rozrodczych, tj. w jajku i ciałku nasienném albo

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Września 1887 r.

ziarnku pyłku, gdzie byłoby ich tém więcéj, że według teoryi pangenezy mają w nich także istnieć zalążki wielu dawniejszych pokoleń. Wreszcie, z uwagi, że komórka składa się z rozmaitych odmiennych części, należałoby przypuszczać, że dla jéj odtworzenia potrzeba tyle odmiennych zalążków, ile jest jéj części składowych. Tym sposobem dochodzimy do wniosku, że jajko i ziarnko pyłku drzewa, lub ciałko nasienne zwierzęcia np. ssącego, każde z osobna, musiałyby zawierać biliony zalążków, co jest wprost niemożebne, z uwagi na bardzo małe wymiary tak jednego jak drugiego pierwiastku płciowego. Niepodobieństwo jeszcze się potęguje, gdy zwrócimy uwagę na okoliczność, że właściwie nie chodzi tu nawet o całe jajko, lub całe ziarnko pyłku czyli téż ciałko nasienne, lecz o ich mikroskopowo drobne cząstki, tj. o ich jądra, jak się o tém poniżéj przekonamy. Według Nägeli'ego, dużą lipę składa 2000 bilionów komórek. W jądrze jajka i pyłku tego drzewa powinnyby się tedy znajdować znacznie liczniejsze zalążki, gdyż każda komórka musiałaby wydawać dużo zalążków, odpowiednio do składających ją różnorodnych części, a nadto w tych jądrach byłyby jeszcze nagromadzone zalążki wielu poprzednich pokoleń. Pomijając inne powody, już dla wyłożonéj tu przyczyny teorya pangenezy nie może być utrzymana, lecz musi upaść. Zresztą sam Darwin uważał ją tylko za tymczasową, zdolną jedynie powiązać wiele faktów, będących dotąd bez związku. Sam on przyznaje, że istnienie swobodnych zalążków jest dowolném przypuszczeniem.

Brooks widząc, że nie zliczone mnóstwo zalążków jest słabą stroną teoryi pangenezy, usiłował ratować ją, zmniejszając ich liczbę tym sposobem, że ich powstawanie ograniczył tylko do wypadków, gdy komórka znajduje się w niepomyślnych warunkach bytu skutkiem zmiany otoczenia. Zresztą, znajdując się w odpowiednich warunkach, ma ona pełnić jedynie właściwe sobie czynności jako część organizmu. Cząsteczki wydzielane przez komórkę będącą w niewłaściwém otoczeniu są jéj zalążkami. Mogą się one rozpościerać po ciele, mogą przenikać do jajka, lecz samcze komórki rozrodcze posiadają szczególną własność przyciągania ich.

Komórka zmieniona ma ciągle wydawać zalążki i tym sposobem dopóty ma przenosić zmianę na odpowiednią część ciała następujących po sobie pokoleń, dopóki wybór naturalny nie utrwali zmiany najodpowiedniejszéj, poczém komórka powracałaby do równowagi a tém samém ustawałoby wydawanie zalążków. Jajko, z którego powstają istoty w ten sposób wybrane, jako zaopatrzone w odpowiednie zalążki przenosiłoby zmianę na jajka potomstwa, tym sposobem zmiana byłaby dziedziczną. Wprawdzie Brooks znacznie

zmniejsza liczbę zalążków wydawanych w danym przeciągu czasu, pomimo to jednak i do jego teoryi stosuje się zarzut uczyniony pangenezie Darwina, że z czasem w komórkach rozrodczych musiałaby się nagromadzić taka ilość zalążków, jaka w tak małych utworach w żaden sposób pomieścić by się nie mogła. Właściwie chodzi tu tylko o czas: według teoryi Darwina przepełnienie organizmu zalążkami nastąpiłoby prędzéj, według teoryi Brooksa późniéj.

W swéj teoryi wpływu zewnętrznych warunków bytu na komórki, składające pewien organizm, Brooks oczywiście pomieszał dwie różne rzeczy: przystosowanie części ciała do całego organizmu i przystosowanie tejże saméj części ciała do zewnętrznych warunków bytu. Oczywistą jest bowiem rzeczą, że pewna część ciała może być najlepiéj przystosowana do całości organizmu, a pomimo to nie odpowiada zewnętrznym warunkom bytu. W takim razie, według Brooksa nie ma powodu do zmienności a tém samém nie ma powodu do wydawania zalążków, czyli innemi słowy, w takim razie istota nie mogłaby się przystosowywać do otaczających ją warunków bytu i musiałaby zginąć.

Ostatecznie więc teoryi pangenezy nie można przyjąć ani w pierwotnéj, ani w zmienionéj formie. Zdawało się, że należy ją uznać za przebrzmiałą, gdy niemiecki badacz *Gaule*, prawdopodobnie nie wiedząc o pangenezie, o któréj wcale nie wspomina, na pozór nadał jéj nowe życie.

W całym szeregu prac mikrograficznych, ogłoszonych przed niedawnym czasem, a mających za przedmiot histologiczną budowę krwi, Gaule dowodzi, że w czerwonych ciałkach krwi powstają drobne istoty (*cytozoa*), które mogą przechodzić do osocza krwi, gdzie się samodzielnie poruszają. Ze spostrzeżeń na żabach Gaule przychodzi do wniosku, że pierwsze zawiązki tych cytozoów powstają z mięśni prążkowanych, a właśnie substancya tych mięśni ma być przeznaczoną do wytwarzania pierwiastków płciowych. Ztąd drogą rozumowań Gaule dochodzi do następującego wniosku.

Cytozoon jest osobnikiem łączącym w sobie ogół tkanek organizmu, oraz osobnikiem, który łączy w sobie obiedwie płcie. Skoro potomek ma być obrazem rodzica, więc materyał, dostarczony częściom płciowym do wytworzenia komórek rozrodczych, musi zawierać części składowe rozmaitych tkanek rodzicielskiego osobnika. Tym sposobem każdy cytozoon byłby nagromadzeniem zalążków Darwina. Według Gaule'go, krew ma roznosić cytozoa po ciele i składać je w organach płciowych; a jajko i nitka nasienna byłyby tedy wyciągiem z całego ciała rodzicielskiego. Możnaby więc mniemać, że wynaleziono zalążki Darwina i uratowano teoryą pangenezy.

Niestety, trudno powątpiewać, że cytozoa Gaulego są prawdziwemi pasorzytami, nie mającemi nic wspólnego z wytwarzaniem pierwiastków rozrodczych, a tém bardziéj z dziedzicznėm przelewaniem cech rodzicielskich na potomstwo. Zatém pangeneza nic na odkryciu cytozoów nie zyskała.

Według teoryi pangenezy, jak widzieliśmy, pierwiastki rozrodcze, tj. jajko i pyłek lub ciałka nasienne mają być wyciągiem z całego ciała rodziców i tym sposobem mają przekazywać potomstwu znamiona rodzicielskie, że zalążki każdéj komórki odtwarzają w potomku tę właśnie komórkę. Teorye dziedziczności, które obecnie mamy rozbierać, zasadzają się na przypuszczeniu, że ciało każdego zwierzęcia lub rośliny składa się z dwojakiéj substancyi: z plasmy somatycznéj, służącéj do utrzymania życia każdego osobnika, i z plasmy będącéj źródłem dziedziczności, tj. plasmy przelewającéj na potomstwo znamiona rodzicielskie. Téj ostatniéj plasmie rozmaite nadawano znaczenie i upatrywano ją w rozmaitych częściach organizmu.

Nägeli, tak zaszczytnie znany ze swych prac botanicznych, w obszerném dziele wyłożył teoryą, w któréj poraz pierwszy uzasadnił powyższe rozróżnienie plasmy odżywczéj i *idioplasmy*, tj. plasmy będącéj materyalną podstawą dziedziczności. To niewątpliwie słuszne rozróżnienie, będące cennym nabytkiem fizyologii płodzenia, wyprowadza on z faktu, że zdolność przekazywania potomstwu swoich właściwości jest równie silna tak u ojca jak u matki, pomimo że jajko jest setki, nawet tysiące razy większe od ciałka nasiennego, a w normalnym przebiegu procesu tylko jedno takie ciałko ma udział w zapłodnieniu. Można to wyjaśnić jedynie tym sposobem, że tylko pewna część jajka i nitki nasiennéj składa się z idioplasmy, gdy tymczasem resztę tworzy plasma odżywcza. Według tego przypuszczenia, podobieństwo dziecka do ojca lub do matki zależałoby od tego, czy większa ilość idioplasmy znajduje się w nitce nasiennéj lub w jajku.

W jajku i w ciałku nasiennėm są nagromadzone wszystkie znamiona gatunkowe tak samo, jak w rozwiniętym organizmie. W jajku kurzém tak samo jest zawarty gatunek tego ptaka ze wszystkiemi jego właściwościami, jak w saméj kurze. Różnica, zachodząca pomiędzy jajkiem kurzém i żabiém, jest taka sama jak pomiędzy kurą i żabą. W jajkach téj różnicy nie spostrzegamy, bo nie jest ona widoczna, gdy tymczasem u odpowiednich zwierząt łatwo daje się uchwycić. O słuszności tych twierdzeń nikt chyba powątpiewać nie będzie.

Każda dająca się spostrzegać właściwość, według teoryi, istnieje w idioplasmie jako zawiązek. Każdy osobnik, każdy organ osobnika, każda część organu, zawdzięcza swe powstanie szczególnéj modyfikacyi, albo raczéj pewnemu szczególnemu stanowi idioplasmy. W każdym punkcie organizmu ma ona przeto inne własności.

W komórkach rozrodczych (w jajku i w ciałku nasiennéṁ) znajduje się nieskończona rozmaitość idioplasmy, która odpowiada wszystkim znamionom całego szeregu przodków danego osobnika. Tę nieskończoną rozmaitość tworzą drobniutkie krople idioplasmy, których nie możemy wykryć ani za pomocą reakcyi chemicznych ani za pomocą narzędzi fizycznych. Idioplasma jajka jest obrazem dorosłego osobnika. Zawiązki zawarte w idioplasmie rozmaite mają widoki rozwoju; jedne stale się rozwijają, inne zaś długi czas pozostają utajone i rozwijają się tylko w pewnych warunkach.

Podczas rozwoju jajka, jego idioplasma rośnie aż do chwili wydania płodu, a następnie rośnie w młodym osobniku i rozpościera się w jego ciele aż do zupełnego ukończenia wzrostu, poczém ostatecznie przechodzi w idioplasmę rozrodczą, zawierającą wszystkie zdolności rozwojowe gatunku. Tak więc idioplasma, według téj teoryi odbywa obieg: z rozrodczéj staje się idioplasmą ciała (somatyczną) i znowu powraca do stanu idioplasmy rozrodczéj.

Według Nägelego, idioplasma składa się z drobnych ciałek (micellów) ułożonych w podłużne zbite pasma, które przebiegają po całém ciele, tworząc w niém nieprzerwaną sieć. W ciele i w jądrze bardzo wielu komórek zwierzęcych i roślinnych rzeczywiście widać sieć znacznie gęstéj plasmy zanurzoną w rzadszéj plasmie. Nägeli mniema, że to jest właśnie sieć idioplasmatyczna, ponieważ zaś ta sieć, według jego teoryi, ma być w całém ciele nie przerwana, przeto, na mocy czysto teoretycznych wywodów przyszedł on do wniosku, że plasma komórek musi się z sobą łączyć, i tym sposobem przepowiedział połączenie, które niedługo potém rzeczywiście wykryto tak u roślin, jako téż u zwierząt.

Przedstawiona teorya idioplasmy wkrótce musiała uledz stanowczéj zmianie, skutkiem dokładniejszego zbadania roli jądra i ciała komórkowego, czyli innemi słowy *nucleoplasmy* i *cytoplasmy*. Świetne spostrzeżenia prof. Edwarda von Beneden'a nad zapłodnieniem u robaków (*Ascaris megalocephale*) i prof. Edwarda Strasburgera nad zapłodnieniem u roślin jawnokwiatowych dowiodły, że tylko jądra mają czynny udział w zapłodnieniu; ponieważ zaś przez zapłodnienie właściwości rodziców zostają przelane na dzieci, przeto oczywistą jest rzeczą, że to przelewanie znamion, będące właśnie dziedzicznością, odbywa się za pomocą samych tylko jąder. Jedy-

ném siedliskiem idioplasmy są jądra komórek. Tak więc teorya Nägelego musi uledz zmianie ze względu na to, że ciało komórki czyli cytoplasma nie ma udziału w zjawiskach dziedziczności, skoro zaś idioplasma mieści się w samém jądrze, więc można powątpiewać czy idioplasma tworzy sieć, gdyż o połączeniu jąder pomiędzy sobą nic dotychczas nie wiadomo. Zresztą nie podobna stanowczo określić, jaką część plasmy jądrowéj należy uważać za idioplasmę. Zdaje się, że przelewanie znamion rodzicielskich na potomstwo następuje za pomocą nitek plasmatycznych jądra, ale te nitki składają się z dwóch substancyi: przejrzystéj, zbitéj nitki i zawartych w niéj ciałek, które posiadają zdolność pochłaniania rozmaitych barwników (mikrosomy). Na tymczasem nie podobna stanowczo powiedzieć, która część składowa nitki jądrowéj może być materyalnym substratem dziedziczności.

Po należytém udowodnieniu, że substancya będąca siedliskiem dziedziczności mieści się w jądrze, prawdopodobnie w jego nitkach plasmatycznych, pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie: czy plasma rozrodcza, posiadająca wszystkie zdolności rozwojowe gatunku, w całości zamienia się na plasmę składającą ciało danego osobnika (somatyczną), a następnie, w chwili powstawania pierwiastków płciowych z téj plasmy somatycznéj znowu powstaje plasma rozrodcza,—czyli też plasma rozrodcza nigdy nie powstaje z plasmy somatycznéj, lecz podczas rozwoju każdego osobnika pewna jéj część nie zamienia się na somatyczną, i bez zmiany przechodzi do potomka, który ją potém znowu przekazuje swemu potomstwu itd. do nieskończoności.

Jak widzieliśmy, pierwsze z tych przypuszczeń, polegające na obiegu plasmy w ciele organizmów, znalazło zwolenników w osobie Darwina, Brooks'a, Nägeli'ego, oraz prof. E. Strasburger'a, który pod tym względem stanął po stronie Nägeli'ego.

Przeciwko temu poglądowi powstał prof. August Weismann, dzielny badacz na polu zoologii, który w następujący sposób z wielkim talentem przeprowadził własną *teoryą jednociągłości plasmy rozrodczéj*.

U istot jednokomórkowych jednociągłość plasmy jest bardzo widoczna, gdyż potomek jest częścią całego ciała rodzicielskiego. U wyższych, wielokomórkowych istot, których ciało składa się w wielu komórek, tylko niektóre z pomiędzy tych ostatnich (komórki rozrodcze) mogą wydawać potomstwo, pozostałe zaś (komórki somatyczne) nie mają w tém żadnego bezpośredniego udziału. W każdéj komórce rozrodczéj znajduje się plasma rozrodcza i somatyczna.

Weismann wyobraża sobie, że podczas rozwoju każdego osobnika maleńka ilość plasmy rozrodczéj zawiązka pozostaje bez zmiany i służy do wytwarzania komórek rozrodczych nowego organizmu. To przypuszczenie nie daje się dowieść ani wprost, ani pośrednio, wszakże lepiéj odpowiada faktom, aniżeli przypuszczenie wytwarzania w organizmie substancyi rozrodczéj z komórek somatycznych. Teorya jednociągłości plasmy rozrodczéj stawia sprawę dziedziczności na równi z rozmnażaniem istot jedno-komórkowych, u których ta sama substancya bezustanku rośnie, oraz od czasu do czasu dzieli się i tym sposobem wydaje nowe osobniki. Według tego zapatrywania się, różnica pomiędzy jedno- i wielo-komórkowemi osobnikami polegałaby tedy na tém, że u tych ostatnich po każdym podziale komórki rozrodczéj następuje proces rozwojowy, prowadzący do wytworzenia osobnika wielokomórkowego, złożonego z wielu komórek somatycznych. Osobnik taki pod względem objętości nieskończenie przewyższa ilość plasmy rozrodczéj, która pozostała bez zmiany, lecz pod względem rozwojowym jest on tylko jéj ubocznym produktem przeznaczonym na śmierć niechybną, gdy tymczasem plasma rozrodcza pod osłoną wielokomórkowego ciała rośnie, powiększa się i wydaje nowe pokolenie komórek rozrodczych, posiadających zdolność wydawania następnego pokolenia ciał, w których się powtarza ta sama sprawa. Tym sposobem plasma rozrodcza, przechodząc z pokolenia w pokolenie, nie zamiera, jest nieśmiertelną. Można ją sobie wyobrazić jako podziemną, czołgającą się łodygę, z któréj w pewnych odstępach wznoszą się rośliny, t. j. osobniki następujących po sobie pokoleń.

Plasma rozrodcza jest jedyną twórczą substancyą świata organicznego, która nietylko utrzymuje najrozmaitsze formy organizacyi, ale nadto jest ich pierwotném wyrażeniem do tego stopnia, że każda trwałość i zmienność typu jest wynikiem losów, jakim one ulegają. Cały zresztą organizm jest pod pewnym względem dodatkiem komórki rozrodczéj i dopóty pozostaje niezmienionym, dopóki jéj molekularna budowa, a właściwie budowa jéj jądra, żadnym nie ulega zmianom, gdy tymczasem wszelkie zaburzenie w budowie tego jądra pociąga za sobą odpowiednie przekształcenie organizmu.

Plasma rozrodcza może być domieszana nietylko do komórek w ścisłém znaczeniu rozrodczych, lecz bywa rozmaicie rozpostarta w organizmie. Niektóre rośliny, np. begonie, można wyhodować z kawałka łodygi podziemnéj (kłącza), z kawałka korzenia, nawet z liści. Należy przypuszczać, że każda komórka, zdolna do wydawania nowego osobnika, zawiera w swém jądrze jakąś cząsteczkę niezmienionéj plasmy rozrodczéj, która w odpowiednich warunkach rośnie i wydaje nową roślinę.

W jądrze odpowiedniéj komórki znajduje się plasma rozrodcza nietylko rodziców, od których pochodzi dany osobnik, ale nadto dziadów, pradziadów i t. d. aż do najodleglejszych przodków. Naturalnie, plasmy rozrodczéj rozmaitych pokoleń jest tém mniéj, im bardziéj pokolenia są oddalone od danego osobnika. Nawet niezbyt odległe pokolenie, np. dziesiąte, już będzie wyobrażone w jądrze rozrodczém danego pokolenia bardzo małą ilością plasmy. Pomimo to atawizm, t. j. powrót do dawno utraconych znamion, dowodzi, że plasma rozrodcza bardzo odległych przodków może w danym razie objawić swój wpływ na rozwój osobnika.

Budowa molekularna nukleoplasmy rozrodczéj, t. j. plasmy rozrodczéj jądra, posiadającéj wszystkie zdolności i skłonności niezbędne do odtworzenia całego organizmu ze wszystkiemi jego znamionami, musi być bardzo zawiła. W miarę rozwoju osobnika ta nukleoplasma musi się coraz bardziéj upraszczać, gdyż stopniowo dzieli się na odcinki, będące zawiązkami coraz mniejszych części organizmu, a zatém odcinki muszą posiadać coraz prostszą budowę molekularną, odpowiadającą tym utworom organizmu, jakie mają z nich powstać. Tak u wielu zwierząt po pierwszym podziale jajka powstają dwie kulki przewężne, na pozór zupełnie do siebie podobne, lecz w rzeczy saméj odmienne, gdyż każda z nich rozwija się jako odmienna część organizmu (jedna wydaje utwory ektodermy, druga utwory entodermy). Zatém połówki komórki jajowéj posiadają w tym razie odmienną wartość, a tém samém odmienną budowę molekularną. Ponieważ odmienny rozwój kulek przewężnych jest wyrażeniem ewolucyjnych zdolności ich nukleoplasmy, a tém samém molekularnéj budowy téj ostatniéj, przeto przychodzimy do wniosku, że nukleoplasma każdéj kulki odmiennie jest zbudowana. Ponieważ zaś utwory powstające z każdéj kulki są prostsze od utworów organizmu, rozwijającego się z całkowitego jajka, należy więc wnioskować, że każda z nich posiada nukleoplasmę mniéj zawile zbudowaną aniżeli jądro jajowe.

Takie uproszczenie nukleoplasmy coraz daléj postępuje w miarę posuwającego się podziału, czyli przewężania jądra jajowego. Po każdym podziale jądra powstają coraz liczniejsze odcinki nukleoplasmy; każdy z nich wyobraża zawiązek coraz mniejszéj części powstającego osobnika, że zaś o zawiłości budowy nukleoplasmy sądzimy ze skutków jéj działalności, przeto musimy przyznać, że w miarę coraz większego wyróżnienia tkanek rozwijającego się organizmu, w miarę jak się zmniejsza ilość zawiązków, mających powstać z jednego kawałka nukleoplasmy, zawiłość budowy téj ostatniéj musi się stopniowo zmniejszać. Budowa plasmy jądrowéj musi

być najprostsza w rozmaitych tkankach dojrzałego organizmu, bo komórki tych tkanek, t. j. komórki somatyczne, mogą wydawać tylko podobne sobie pierwiastki anatomiczne.

Jeżeli plasma jądrowa tkanek zupełnie rozwiniętego osobnika posiada budowę tak dalece uproszczoną, zachodzi pytanie, jakim sposobem mogłaby się ona zamienić na plasmę rozrodczą, któréj budowa, jak widzieliśmy, musi być nieskończenie skomplikowana, gdyż posiada zdolność i potęgę wytworzenia całego osobnika ze wszystkiemi jego tkankami i wyspecyalizowanemi nukleoplasmami?

Podczas rozwoju zarodka zmiany w jądrze komórki jajowej odbywają się bardzo powoli i wymagają długiego stosunkowo czasu, trudno więc przypuszczać, aby zamiana powrotna nukleoplasmy tkankowéj (somatycznéj) na rozrodczę mogła się odbywać jednym skokiem. Przeciwnie, i w tym razie należałoby spodziewać się zmian powolnych i stopniowych, których jednakże nie spostrzegamy; mamy więc prawo przypuszczać, że się nic podobnego nie dzieje, że zamiana nukleoplasmy somatycznéj na rozrodczą jest wprost niemożliwa, co dostarcza jednego więcéj dowodu na korzyść teoryi jednociągłości plasmy rozrodczéj.

Dla braku miejsca muszę poprzestać na tém treściwém przedstawieniu pięknéj teoryi Weismanna śmiało pomyślanéj i dzielnie przeprowadzonéj, sądzę jednak, że to co powiedziałem, wystarczy do wykazania jéj prostoty i wysokiego stopnia prawdopodobieństwa, jakim się inne teorye dziedziczności poszczycić nie mogą, oraz wystarczy do pozyskania dla niéj uważnego czytelnika.

ZMIENNOŚĆ.

Darwin za źródło zmienności uważał wpływ warunków zewnętrznych oraz spotęgowane używanie lub bezczynność danego organu. Wyobrażał on sobie, że wszystkie te przyczyny powodują zmianę zalążków, a tém samém powodują odpowiednią zmianę potomstwa. Wpływ warunków zewnętrznych może się, według niego, objawiać jako zboczenie pewnego organu rodzica, który skutkiem tego wydaje zmienione zalążki, albo jako zboczenie zalążków zawartych w pierwiastkach rozrodczych. Wzmocniona wprawa lub bezczynność w odpowiedni sposób modyfikują dotknięty niemi organ, a tém samém modyfikują jego zalążki i powodują właściwą zmianę u potomstwa. Tak więc zmiany nabyte przez dojrzałego rodzica przechodziłyby na potomstwo i stają się dziedzicznemi.

Brooks także przyjmuje dziedziczność zmian nabytych przez rodzica, gdyż komórki, znajdując się w niepomyślnych warunkach bytu, mają się zmieniać i dopóty wydzielać zalążki, dopóki nie powrócą do równowagi, a zalążki zmienionych komórek służyłyby do odtwarzania u potomków tych samych różnic. Skłonność do zboczeń w komórkach somatycznych ma być wynikiem z ich natury mieszanéj, a to w sposób następujący. Z uwagi, że jajko zapłodnione przedstawia połączenie pierwiastku samczego z samiczym, ma ono być mieszańcem podobnym do mieszańca dwóch np. odmian. Ten sam charakter mieszańców posiadałyby wszystkie potomne komórki jajka, t. j. komórki składające ciało danego organizmu, oraz jego komórki rozrodcze. Ponieważ ten autor mieszańcom przypisuje większą skłonność do zboczeń, aniżeli czyste formy pierwotne, przeto wszystkim komórkom organizmu powstałego z zapłodnionego jajka także należałoby przypisać szczególną skłonność do wytwarzania nowych odmian. Tak więc, według tego poglądu, zapłodnienie pociągałoby za sobą spotęgowanie zmienności organizmów. W jajku Brooks widzi pierwiastek zachowawczy, będący siedliskiem dziedziczności, a w ciałku nasienném pierwiastek postępowy, będący źródłem zmienności.

Późniéj będziemy mieli sposobność bliżéj rozpatrzéć prawdopodobieństwo tych przypuszczeń ; na tymczasem zauważę tylko, że nie ma zasady przypisywać jajku i ciałku nasiennemu rozmaitego znaczenia przy płodzeniu. Wprawdzie Brooks na poparcie swego zdania przytacza przykłady mieszańców, u których wpływ ojca zawsze jest silniejszy, nap. mieszańców ogiera z oślicą, lub klaczy z osłem, wszakże przykłady nie dostarczają żadnego dowodu, gdyż można przeciwko nim postawić inne, wykazujące, że wpływ matki bywa silniejszy od wpływu ojca. Nawet u człowieka w téj saméj rodzinie często spotykamy dzieci podobne to do jednego, to do drugiego rodzica.

Nägeli także przyjmuje dziedziczność zmian nabytych przez rodzica, lecz główną podstawę jego teoryi stanowi wewnętrzny popęd idioplasmy do ciągłéj powolnéj zmiany ku wyższéj organizacyi; obok tego uznaje on także wpływ niektórych zewnętrznych warunków bytu.

Według tego zasłużonego botanika, organizmy posiadają dążność do zmieniania się z przyczyn wewnętrznych, t. j. odpowiednio do wrodzonych własności idioplasmy. Dowodem tego ma być rozmaitość roślin powstałych z nasion tego samego rodzica i wyhodowanych na téj saméj grzędzie, oraz wyrastanie na tym samym pniu odmiennych gałęzi. Daléj, dowodu ma także dostarczać rozwój osob-

nikowy (ontogenia), t. j. rozwój pojedynczych organizmów. Rozwój osobnikowy odbywa się pod wpływem przyczyn wewnętrznych, mając tedy na uwadze podobieństwo rozwoju osobnikowego i rozwoju całego świata organicznego (filogenii), Nägeli przychodzi do wniosku, że cały świat organiczny rozwinął się wskutek przyczyn wewnętrznych.

Jak w jajku są nagromadzone wszystkie znamiona danego gatunku, np. ptaka, a jedna zmiana wywołuje drugą aż do wytworzenia całego osobnika, tak, według Nägeli'ego, w kropli plasmy pierwotnéj istnieje substancya prostéj budowy, która ma się zmieniać i wywoływać dalsze modyfikacye, stając się tym sposobem punktem wyjścia całego szeregu rozmaitych organizmów.

Idioplasma—ciągnie daléj ten badacz — podobnie jak kryształ, rośnie skutkiem osiadania z płynu odżywczego (plasmy odżywczéj) nowych cząstek, czyli micellów, które grupują się odpowiednio do istniejącego układu jéj cząstek. Micelle idioplasmy, podobnie jak kryształy osiadające w ługu, rozmaitéj są wielkości i kształtu, a nadto niejednakowy mają skład chemiczny. Utrzymanie zupełnie jednakowego układu tych cząstek jest zatém niemożebne; dlatego idioplasma musi się ciągle, chociaż powoli zmieniać, zatém w komórkach rozrodczych potomka jest ona nieco odmienna od idioplasmy rodzica. To porównanie do kryształu dobrze uwydatnia myśl sędziwego botanika, który utrzymuje, że zmiany odbywające się w idioplasmie prowadzą do stopniowego wyróżnienia coraz liczniejszych części, skąd organizm staje się stopniowo coraz zawilszym, czyli coraz wyższym. Jestto *zasada wydoskonalenia* według Nägeli'ego. Zmiany idioplasmy są według niego nadzwyczaj powolne, dla tego pierwiastkowo wcale ich nie dostrzegamy; stają się one widoczne dopiéro po pewnéj liczbie pokoleń, gdy się odpowiednio rozwiną i spotęgują. Zresztą, sądzi on, że zmiany odbywają się z rozmaitą energią; po epoce szybszych zmian zapewne następuje dłuższy spokój.

Uczony badacz, którego teorye rozpatrujemy, przyznaje, że oprócz przeobrażeń idioplasmy z przyczyn wewnętrznych, czyli oprócz dążności do wydoskonalenia, zmienność istot organicznych zależy także od wpływów zewnętrznych. Przyczyny wewnętrzne wytworzyłyby według niego taki sam stopień organizacyi, jaki dziś spostrzegamy, ale panowałaby wielka jednostajność budowy. Wpływy zewnętrzne, wywołując przystosowanie pojedyńczych organów, nadają światu organicznemu jego rozmaitość. Następujące przykłady, przytoczone przez Nägeli'ego, wyjaśnią jego pogląd na stosunek obu przyczyn zmienności.

Organy zmysłów w ciągu rozwoju świata zwierzęcego ten sam zachowują charakter, gdyż mają zaspakajać te same potrzeby, lecz odpowiednio do wyższéj organizacyi całego osobnika mają się stawać coraz bardziéj zawiłemi. Wykształcenie z najprostszych zawiązków tak wysoko rozwiniętego organu wzroku i słuchu zwierząt kręgowych nie jest wynikiem działania światła i dźwięków, lecz idioplasma w miarę coraz bogatszego rozczłonkowania ciała skutkiem przyczyn wewnętrznych ma powodować odpowiednio bogate rozczłonkowanie wymienionych organów. Ciągłe działanie światła i dźwięków tylko podtrzymuje przystosowawczy ich charakter. Z drugiéj strony przysadki ciała owadów, będące w równym stopniu doskonałe i jednocześnie zastosowane do rozmaitych ruchów są przytoczone jako przykład wpływu zewnętrznych warunków bytu.

Według rozbieranéj tu teoryi, nie wszystkie wpływy zewnętrzne mogą być źródłem zmian dziedzicznych; owszem wiele z pomiędzy nich nie pozostawia w idioplasmie stałego śladu, lecz ich działanie jest przemijające. Do takich chwilowo działających wpływów zewnętrznych zaliczono pokarm, w części klimat.

Obfitość pokarmu pociąga za sobą bujny wzrost, lecz odmienny pokarm wywołuje zmiany przemijające. Tak rośliny alpejskie, czyli halne, które od bardzo dawna, bo przynajmniéj od czasów epoki lodowéj, w tych samych żyją warunkach i posiadają znamiona odpowiadające ich pobytowi, będąc przeniesione na doliny, bujnie wyrastają, ale te nowe cechy zachowują tylko dopóty, dopóki nie zostaną napowrót przeniesione w góry. To samo stosuje się do zmiany stanowisk ocienionych i słonecznych, oraz do rozmaitego podścieliska geologicznego. Jemioła jest na różnych drzewach jednakowa, tylko na sośnie odmiennie wyrasta, ale możeby się znowu zmieniła, gdyby ją przeniesiono na brzozę lub drzewo owocowe.

Rozwój osobnikowy dosadnie dowodzi, jak dalece pokarm jest bez znaczenia dla organizmów, byle tylko znajdował się w dostatecznéj ilości. Tak mianowicie na dziecko jednakowo wpływa fizyczna budowa ojca i matki, tymczasem przed urodzeniem, a czasami i po urodzeniu otrzymuje ono od matki olbrzymią stosunkowo ilość pokarmu, który oczywiście nie działa na budowę jego idioplasmy. Jedném słowem, zdaniem Nägeli'ego, pokarm nie przeobraża idioplasmy, która tak samo żyje bez względu na źródło pokarmu, podobnie jak maszyna tę samą wykonywa pracę, bez względu na to, czy ją porusza wiatr, woda, para, spadający ciężar, naciągnięta sprężyna lub siła zwierzęca.

Trudno nie zgodzić się na te wywody, którym można jedynie zarzucić zbytnią krańcowość w bezwarunkowém odrzucaniu wszelkiego wpływu pokarmów.

Warunki zewnętrzne mają niekiedy bezpośrednio wywoływać zmiany. Tak np. ciepłe futro zwierząt zimnego klimatu i zimowe futro w klimatach umiarkowanych miały powstać skutkiem bezpośredniego wpływu zimna. Byłby to bezpośredni wpływ klimatu, którego autor nie uznaje ze względu na rośliny, a zatém wpadł w sprzeczność z samym sobą. Najważniejsze znaczenie w wywoływaniu zmian organizacyi Nägeli przypisuje wpływom pośrednim czyli *bodźcom*, t. j. wpływom, które wywołują pewne oddziaływanie czyli reakcyą organizmu. Oddziaływanie ma polegać na ruchu drobinkowym, który nie jest dla nas widoczny, lecz kończy się łatwo dostrzegalném zjawiskiem.

Według téj teoryi podrażnienia, bodziec działając przez długi przeciąg czasu, t. j. przez wiele pokoleń, może do tego stopnia zmienić idioplasmę, że powstają dziedziczne zboczenia. Do zjawisk tego rodzaju zalicza nasz autor heliotropizm i geotropizm roślin, t. j. ich dążność do pochylania się ku światłu, oraz do wyrastania w kierunku pionowym łodygą do góry i korzeniem ku dołowi. Bodźce mają wywoływać powstawanie i rozwój broni u zwierząt, jak rogi, pazury, kły, które miały się rozwinąć skutkiem podrażnienia pewnych części powierzchni podczas napadu lub obrony. Pod wpływem bodźca miały też powstać łodygi pnące się i wijące.

W przeobrażeniach roślin Nägeli wielką rolę przypisuje działaniu owadów. Łaskotanie, jakie owady sprawiają roślinom, łażąc po ich powierzchni, oraz drobne ukłócia tych zwierząt dużo, według niego, wywołały zmian budowy. Łaskotanie powoli rozwinęło w liściu muchołówki (*Dionaea muscipula*) zdolność zamykania się i chwytania owadów. Łaskotanie i ukłócia spowodowały rozwój płatków korony. Ukłócia drażniąc krótkie korony kwiatowe spowodowały ich wydłużenie się. Następnie zaś owady nie mogąc smoczkiem dostać miodu, czyniły wysilenia, aby sięgnąć do dna kwiatowego. Pod wpływem podrażnienia, wywołanego przez wysiłek fizyczny i psychiczny, powstający skutkiem spotęgowanéj żądzy dostania się do miodu, smoczki dopóty się wydłużały, dopóki trwało wydłużanie się korony kwiatowéj. Miodniki kwiatów także powstały skutkiem nakłóć przez owady i t. d. i t. d.

Oddziaływanie organizmu na bodźce zawsze ma być pożyteczne, bo chroni organizm od ich wpływów. Jeżeli oprócz tego bezpośredniego pożytku zostaje osiągnięta jaka pośrednia korzyść dla sprawy zapłodnienia, ma ona być jedynie szczęśliwym przypadkiem. Zatém do takich szczęśliwych przypadków należałoby zaliczyć wszystkie wzajemne przystosowania kwiatów i owadów, barwę kwiatów, obecność miodników i t. p.

Bardzo powszechném jest mniemanie, że wpływy zewnętrzne tak u niższych, jako też u wyższych organizmów mogą mieć najrozmaitsze skutki, że ze wszystkich tych skutków zachowują się tylko te, które są pożyteczne. Przeciwko takiemu poglądowi Nägeli stanowczo powstaje, a natomiast za bardziéj prawdopodobne, nawet jedynie uzasadnione, uważa on przypuszczenie, że istnieje tylko korzystne oddziaływanie organizmu na wpływy zewnętrzne. Wybór naturalny i usuwanie skutkiem niego osobników mają być niepotrzebną hipotezą, bo zupełnie wystarcza teorya działania bodźców.

Po tak stanowczém orzeczeniu możnaby mniemać, że teorya Darwina stanowczo została odrzucona, jednakże w rzeczy saméj wcale tak nie jest. Mianowicie zaś zasłużony botanik przyjmuje istnienie tak walki o byt, którą nazywa konkurencyą, jako téż wyboru naturalnego, lecz inaczéj je pojmuje aniżeli Darwin i mniejszą wyznacza im rolę. Według jego teoryi, zmiany zachodzące w organizmach nie mogą być nieokreślone i nie mogą odbywać się w różnych kierunkach, lecz mają drogę dokładnie wytkniętą przez budowę i własności idioplasmy. Zatém wybór naturalny nie może wpływać na wyrobienie i wydoskonalenie znamion, lecz służy jedynie do usuwania pewnych form, a tém samém służy do tworzenia przerw pomiędzy rozmaitemi grupami organizmów. W razie nieograniczonego rozwoju wszystkich zdolności ewolucyjnych roślin pod wpływem samych tylko zasad mechanicznych, t. j. pod wpływem samego tylko wewnętrznego popędu do wydoskonalenia, pozostałyby wszystkie formy roślinne, jakie dziś istnieją i żyły by one obok siebie tak samo, jak to rzeczywiście ma miejsce, ale oprócz nich istniałaby nieskończona ilość innych form, gdyż znajdowaliby się obok nich potomkowie form wypartych i wymarłych.

Nägeli uznaje, że w państwach organicznych, obok zmian skutkiem doskonalenia się organizacyi, mającego określony kierunek, oraz obok zmian przystosowanych, występuje także współzawodnictwo (konkurencya), które rozdziela i ogranicza rozmaite skupienia, ale żadna grupa państwa organicznego nie zawdzięcza mu swego istnienia, tylko pojedyncze grupy, skutkiem usuwania rozmaitych form pośrednich, występują wyraźniéj, w sposób bardziéj charakterystyczny. W rozbieraném dziele wiele spotykamy pięknych porównań, objaśniających myśli autora. Niepoślednie miejsce zajmują téż następujące porównania, uwydatniające jego poglądy na walkę o byt i wybór naturalny. Bez współzawodnictwa — powiada on — państwo roślin (i zwierząt) byłoby jak mgła drogi mlecznéj, a skutkiem współzawodnictwa stało się ono firmamentem z jasno świecącemi gwiazdami. Porównywa on téż państwo roślin do wielkiego

drzewa rozgałęzionego od saméj podstawy, na którém końce gałęzi byłyby wyobrażeniem jednocześnie żyjących form. Drzewo posiada ogromną siłę wegetacyjną; gdyby się rozwijało bez wszelkiéj przeszkody, utworzyłoby ono olbrzymi krzak z niezliczonemi i poplątanemi rozgałęzieniami. Wymieranie pojedynczych form, jakby jaki ogrodnik, bezustanku obcina drzewo, obrzyna mu gałęzie i gałązki czyniąc tym sposobem pojedyncze jego części wyraźnie dostrzegalnemi. Jednem słowem, według téj teoryi, wydoskonalenie i przystosowanie są mechanicznemi czynnikami wytwarzania bogactwa form, a współzawodnictwo i usuwanie form, czyli właściwy darwinizm, jest tylko mechanicznym czynnikiem wytwarzania przerw w obu państwach organicznych.

W swojém dziele, które nas tu zajmuje, Nägeli poświęcił krytyce darwinizmu obszerny rozdział. Tych poglądów rozbierać nie będę, gdyż je p. Józef Nusbaum w niniejszém piśmie należycie ocenił (1885, tom IV, str. 146—160), nieco jednak zastanowię się nad teoryą postępowego rozwoju organizmów z pobudek wewnętrznych.

Konstytucya danego organizmu, oraz fizyczna natura każdego gatunku niewątpliwie ogranicza jego zdolność do przeobrażeń. Dany gatunek nie może się zmieniać w każdym możliwym kierunku, nie może przybrać form wszelkiego innego gatunku. Chrząszcz nie może się przeobrazić na zwierzę kręgowe, nawet nie może się stać konikiem polnym lub motylem, lecz przedewszystkiém może się zamienić na innego chrząszcza należącego do téj saméj rodziny, nawet do tego samego rodzaju. Nowe nabytki mogą się jedynie łączyć ze szczegółami już istniejącemi i tym sposobem rozwój świata organicznego ma wytknięte pewne kierunki. Nie dowodzi to jednak, aby rozwój odbywał się wyłącznie z wewnętrznych pobudek, wynikających z molekularnéj budowy substancyi organicznéj.

U zwierząt tyle mamy dowodów przystosowania najdrobniejszych szczegółów budowy do ich czynności, że pomimo niemożności wykazania przystosowań w każdym danym wypadku, mamy prawo utrzymywać, że w zwierzęciu nie ma żadnéj części bez znaczenia; że każdy organ, każdą komórkę, nawet każdą część komórki określa niejako rola, jaką organizm ma odegrywać wobec świata zewnętrznego.

W zwierzęciu wszystko zależy tedy od przystosowania. Jako przykład możemy tu przytoczyć wieloryby, które niewątpliwie powstały ze zwierząt lądowych drogą zastosowania do pobytu w wodzie.

U wielorybów wszystko jest przystosowane do życia w wodzie: ogólny kształt ciała, jego pokrycie, obfity tłuszcz podskórny, budowa kończyn, budowa ucha, krtani, płuc, naczyń krwionośnych, po-

łożenie nozdrzy itd. U wielorybów właściwych nawet ogromnie wydłużone szczęki są przystosowane do pokarmu tych olbrzymów, który się składa z drobnych mięczaków zamieszkujących oceany niezliczonemi tłumami. Aby głód zaspokoić tak drobną zdobyczą wieloryby muszą ją chwytać w ogromnéj liczbie, co téż czynią, wypełniając wielką ilością wody ogromną swą paszczę i przepuszczając wodę przez pasy fiszbinowe. Woda wycieka, drobne mięczaki pozostają w paszczy. Te doskonałe przystowania nie mogły powstać skutkiem wewnętrznéj siły przeobrażającéj.

Teorya przeobrażenia gatunków z pobudek wewnętrznych wcale nie wyjaśnia drobiazgowego przystosowania zwierząt do warunków ich bytu. Nie wyjaśnia téż, dla czego każdy gatunek zawsze powstał tam, gdzie był, lub jest najodpowiedniejszym. Zatém teorya nie ma prawa bytu, zwłaszcza, że rozmaite gatunki i obszerniejsze skupienia oczywiście powstały bez udziału przypuszczalnéj siły, która jest podstawą teoryi, co pozwala wnosić, że ta siła wcale nie istnieje.

Co się tyczy poglądów Nägeli'ego na wpływ zewnętrznych warunków bytu, to nie wątpliwie jego zdanie o bezsilności odżywiania pod względem wywoływania stałych zmian dziedzicznych stanowczo jest uzasadnione, wyjąwszy może zbyteczną ich bezwględność. Natomiast cały wywód o bodźcach jest chybiony.

Sprengel, Karol Darwin, Kerner, Delpino, Hildebrandt i H. Müller wykazali zadziwiające wzajemne przystosowania kwiatów i owadów. Kształt kwiatu, jego barwa, wzorzystość, zapach doskonale są przystosowane do zapewnienia mu odwiedzin owadów, zdolnych do przenoszenia pyłku z jednego kwiatu na drugi; nie mniéj doskonale kwiaty bywają przystosowane do niedopuszczania odwiedzin takich owadów, które ze względu na swą budowę nie mogą przenosić pyłku, a tém samém napróżnoby zabierały miód, którego kwiat nie może wydzielać do nieskończoności. Niepodobna mi wchodzić tu w szczegóły, poprzestanę więc na wzmiance, że rozmaite barwy i zapachy są pociągające dla rozmaitych owadów, oraz że plamy i prążki odmiennéj barwy oznaczają miejsce, w którém jest miód ukryty, a tém samém służą owadom za drogoskazy. Wszystkie napomknięte tu szczegóły budowy kwiatów są najściśléj związane ze sprawą rozmnażania się roślin, gdyż nie tylko zapewniają zapłodnienie, t. j. przeniesienie pyłku na bliznę słupka, ale nadto zapewniają krzyżowanie kwiatów, a mianowicie przenoszenie pyłku jednego kwiatka na bliznę drugiego, co jest bardzo pożyteczne dla roślin, gdyż potomstwo kwiatów krzyżowanych jest silniejsze od potomstwa kwiatów, które same siebie zapłodniły. Ztąd powstanie przyrządów, za-

pewniających krzyżowanie, bardzo łatwo daje się wyjaśnić za pomocą naturalnego wyboru, będącego wynikiem walki o byt, ale łaskotanie i nakłówanie przez owady nie może tu dostarczyć żadnego tłómaczenia faktów. Nadto, to łaskotanie i nakłówanie nic nas nauczyć nie może, zkąd się wzięły rozmaite urządzenia zapobiegające samozapłodnieniu. Pożyteczność budowy kwiatów, ze względu na rozmnażanie się roślin, zbyt jest powszechną, aby ją można uważać za szczęśliwy tylko przypadek, jak to uczynił Nägeli.

Teoryja podrażnień nie jest też w stanie wyjaśnić zielonego koloru owadów mieszkających na zielonych częściach roślin i w ogóle nie wyjaśnia sympatycznego zabarwienia zwierząt, t. j. zabarwienia odpowiadającego kolorytowi otoczenia. Teorya nie wyjaśnia podobieństwa owadów do liści lub suchych gałązek i zupełnie jest bezsilną w obec naśladownictwa zwierząt, które na tém polega, że pewne zwierzę, np. owad, z zewnętrznych kształtów i zabarwienia jest podobne, do innego zwierzęcia razem z nim mieszkającego, a należycie zabezpieczonego od napadu nieprzyjaciół. Tak np. bezbronne muchy bywają podobne do os posiadających w żądle doskonałą broń odporną.

Teorya Nägeli'ego jest też zupełnie bezsilna w obec wielu innych faktów, doskonale dających się wyjaśnić za pomocą teoryi Darwina, jak np. fakt, że gąsiennice, dla ptaków jadalne, są niewidocznie zabarwione lub żyją w ukryciu, gdy tymczasem nie jadalne są jaskrawo i widocznie ubarwione, oraz żyją na powierzchni roślin niczém nie zasłonięte przed wzrokiem swych nieprzyjaciół.

Sądzę, że wykazane tu braki pozwalają, nawet nakazują, uznać teoryą Nägeli'ego o przyczynach zmienności istot organicznych za pozbawioną zasady i zasługującą na stanowcze odrzucenie. Cała ta teorya jest zupełnie dowolna, oparta na własnościach dowolnie przyznawanych idioplasmie. Z tém samém prawem możnaby obmyśléć dla idioplasmy inne własności, które by nas doprowadziły do odmiennych wypadków.

Weismann, którego teoryą dziedziczności poprzednio poznaliśmy, wystąpił z zupełnie nową, oryginalną teoryą zmienności, w któréj z właściwą sobie przenikliwością i stanowczością powstaje przeciwko możności dziedziczenia zboczeń nabytych, tj. zboczeń, które powstały w rozwiniętym organizmie rodziców skutkiem działania wpływów zewnętrznych. Przedewszystkiém rozpatrzę motywa Weismann'a przeciwko dziedziczności nabytych zboczeń, a następnie postaram się przedstawić jego własną teoryą powstawania dziedzicznych różnic indywidualnych, będących punktem wyjścia teoryi naturalnego wyboru.

Jak poprzednio widzieliśmy, według Weismann'a, dziedziczność na tém polega, że pewna cząsteczka plasmy rozrodczéj bez zmiany przechodzi z rodzica na potomka. Budowa molekularna i w ogóle własności plasmy rozrodczéj pochodzą tedy od osobnika rodzicielskiego, a nie od osobnika, w którym się plasma w danym czasie znajduje. Osobnik, posiadający plasmę rozrodczą jest pod względem płodzenia jéj odżywczym gruntem, którego kosztem plasma rośnie, ale jéj budowa jest z góry określona. Dążności dziedziczenia, zawarte w plasmie rozrodczéj, zależą od jéj budowy molekularnéj, zatém nie mogą być dziedziczone znamiona powstające w gotowym już organizmie pod wpływem zewnętrznych warunków bytu. Znamiona nabyte przez rozwinięty organizm są tedy przemijające i na potomstwo nie przechodzą.

Wpływy zewnętrzne działające na plasmę rozrodczą niewątpliwie mogą niekiedy wywołać w niéj zmianę, która następnie drogą dziedziczności przechodzi na potomstwo, ale pewne fakta dowodzą, że jéj budowa bardzo trudno się zmienia, a powstałe w niéj zboczenia rzadko kiedy mogą być źródłem nowych znamion. Tak mianowicie zwierzęta, czczone w starożytnym Egipcie i zachowane jako mumie, przez tysiące lat mnożyły się i dotychczas mnożą, stale zachowując swoje znamiona. To samo przedstawiają rośliny i zwierzęta obecnie zamieszkałe w górach lub na głębokiéj północy, które stale zachowują swe znamiona od czasów epoki lodowéj, bez porównania dawniejszéj od czasów starożytnego Egiptu. W ciągu tych tysięcy lat plasma rozrodcza, któréj w jajku nadzwyczaj jest mało, rozrosła się do objętości rzeczywiście nie zmierzonéj, a pomimo to i pomimo tak długiego czasu nie zmieniła się pod względem swéj budowy molekularnéj, oczywiście więc posiada ona budowę nadzwyczaj trwałą, chociaż jednocześnie nadzwyczaj zawiłą.

Pomimo całéj wytrzymałości plasmy rozrodczéj trudno zaprzeczyć, że wpływy tego samego rodzaju działające przez bardzo długi czas mogą spowodować pewną zmianę w jéj budowie. Zdaje się, że nie podobna zaprzeczyć możliwości, aby wpływy temperatury, pożywienia itd. działając przez całe pokolenia, nie były zdolne dotknąć komórek rozrodczych, podobnie jak każdego innego organu, wywołując zmiany w plasmie rozrodczéj. Takie wpływy wywołałyby podobną zmianę wszystkich osobników gatunku zamieszkujących tę samę okolicę. Wiele odmian klimatycznych prawdopodobnie w ten powstało sposób, nie wyłącza to jednak możliwości, że i inne zmiany mogły być spowodowane wpływami zewnętrznemi.

Ćwiczenie i brak wprawy pewnego organu nie małą grają rolę u Darwina, który przypuszcza, że skutki ćwiczenia lub bezczynności

mogą, być dziedziczne powodując wzmocnienie i powiększenie, albo też zmniejszenie odpowiedniego organu. Jako przykład skutków ćwiczenia organu przytacza on dziedzicznie wielkie wymiona krów i kóz tam, gdzie je stale doją i stosunkowo znacznie mniejsze w innych okolicach. Przykładów zmiany organu skutkiem bezczynności dostarczają Darwin'owi obwisłe uszy domowych zwierząt, które mogły owisnąć skutkiem bezczynności mięśni poruszających niemi; dalej szczątkowe skrzydła strusia, brak lub szczątkowy stan oczów u zwierząt zamieszkujących ciemne podziemia, brak skrzydeł u owadów wyspy Madery itp.

Weismann z całą stanowczością przeczy powyższym przypuszczeniom i w następujący, bardzo dowcipny sposób, tłómaczy powiększanie się lub zmniejszanie pewnego organu odpowiednio do jego wprawy lub bezczynności.

Organ często używany przez pewien gatunek rzeczywiście powiększa się, ale nie dla tego żeby rozrost ćwiczonego organu osiągnięty przez rodzica przechodził na potomstwo i stawał, się dziedzicznym. Stopień możliwego wykształcenia organu zależy od jego wrodzonych własności, zatém zależy od jego zawiązków w plasmie rozrodczéj. Karła nie można wychować na olbrzyma, ani tępego człowieka nie można uczynić mędrcem. Ponieważ w dzikiéj naturze organ kształcony ciągłą pracą zawsze ma znaczenie w życiu zwierzęcia, przeto wybór naturalny stale wybiera te osobniki, u których organ najbardziéj jest zdolny do wykształcenia, a usuwa posiadające ten sam organ mniéj zdolny do rozwoju. Zatém wybór naturalny usuwa osobniki w których zawiązek w plasmie rozrodczéj mniéj jest uzdolniony do silnego rozwinięcia, a daje pierwszeństwo tym, których plasma posiada wprost przeciwne zdolności. Wypadki osiągnięte wprawą w ciągu żywota pojedynczych osobników nie mają tu żadnego znaczenia ani wpływu.

Zanikanie organów skutkiem braku użycia, a zatém skutkiem bezczynności, niewątpliwie częstem jest zjawiskiem, ale według Weismann'a urzeczywistnia się w sposób następujący, bez dziedziczenia zboczeń nabytych przez rodziców.

Wybór naturalny nie tylko wyrabia właściwości gatunku, ale nadto stale je utrzymuje i nie pozwala im zanikać, gdyż po wytworzeniu typu gatunkowego, najlepiéj przystosowanego do danych warunków, walka o byt daléj się toczy, dotykając najdrobniejszych szczegółów organizacyi. Tak, dla ptaka drapieżnego nadzwyczaj jest ważna bystrość wzroku; współubieganie się o zdobycz stale usuwa osobniki ze słabszym wzrokiem i ciągle utrzymuje jego bystrość. Gdyby ptaki przeniosły się do ciemnych podziemi, jak się to stało

z niektóremi rybami i ziemnowodnemi, wówczas wzrok straciłby wszelkie znaczenie i ptaki z gorszemi oczami wcale nie byłyby upośledzone. Istniałyby tedy obok siebie osobniki z rozmaicie rozwiniętemi i rozmaicie doskonałemi oczami. Taki brak wpływu wyboru naturalnego oznaczył Weismann mianem *panmiksyi* (*Panmixie*).

Gdy skutkiem panmiksyi pewien organ podupada, straciwszy pierwotne swe znaczenie, wówczas walka o byt dąży do usunięcia go z plasmy rozrodczéj, gdyż bez potrzeby zabiera on pokarm, którego ilość jest dla każdego organizmu oznaczona. Nadto na zmniejszenie przyrządu wpływa rozwój sąsiednich organów, które się rozrastają i zabierają mu miejsce, a to tém bardziéj, że w razie zaniku jednego organu inne silniéj się rozwijają, np. w razie zaniku oka silniéj rozwijają się przyrządy słuchu, węchu i dotyku. Takie silnie rozwijające się przyrządy zabierają pokarm organowi zanikającemu.

Pomimo tych wszystkich przyczyn, zanikanie przyrządów ciała bardzo jest powolne, widzimy bowiem, że nawet zupełnie niepotrzebne organy zachowują się uporczywie, chociażby tylko w bardzo małych szczątkach. Niekiedy pozostałości zanikającego organu występują tylko chwilowo u zarodka, np. u zarodka padalca istnieją zawiązki przednich nóg, które potém zupełnie znikają, a zarodek pszczoły lub osy posiada zawiązki trzech par nóg tułowia, których nie ma u rozwiniętego czerwia.

Teorya panmiksyi bardzo dobrze tłómaczy fakta, nie dające się wyjaśnić dziedzicznością zmian, powstałych skutkiem bezczynności danego organu. Do rzędu takich zjawisk należy zanikanie organów, które u dorosłego osobnika nie mogą ulegać zmianie, jak np. zanikanie skrzydeł u owadów. Dojrzały owad nie lenieje, a zatém jego skrzydła nie mogą ulegać zmianie, bez względu na ich używanie lub bezczynność. Zanikają też przyrządy nie mające czynnéj roli w organizmie, np. pylniki pręcików kwiatowych zanikły w kwiatach rozdzielnopłciowych, pomimo że dla pręcików zupełnie jest obojętne, co się stało z ich pyłkiem. Robotnice mrówek jako czerwie posiadają zawiązki skrzydeł, których nie ma u dojrzałego owadu. Robotnice nie rozmnażają się, zatém nie może być mowy o zanikaniu ich skrzydeł skutkiem dziedziczenia następstw bezczynności, lecz fakt z łatwością tłómaczy się wyborem odpowiednich rodziców.

Wszystkie przytoczone wypadki dają się wytłómaczyć jedynie za pomocą panmiksyi, którą też musimy uznać za rzecz, co najmniéj, nadzwyczaj prawdopodobną. Z drugiéj strony, dziedziczenie skutków bezczynności danego organu okazuje się rzeczą niemożebną.

Instynkty powstały drogą naturalnego wyboru, lecz wprawa w ciągu życia jednostki nie ma żadnego znaczenia, jak tego najle-

piéj dowodzą instynkty raz jeden wykonywane, np. składanie jaj przez samicze owady w odpowiedniém, albo odpowiednio przygotowaném miejscu.

Według powyżéj przedstawionych poglądów, różnice indywidualne, przechodzące na potomstwo drogą dziedziczności, nie mogły powstać ani skutkiem zmian nabytych przez dojrzałych rodziców, ani skutkiem ćwiczenia lub bezczynności danego organu. Jednakże różnice takie istnieją; więc Weismann, odrzucając dotychczas przyjmowane źródło ich powstawania, był zobowiązany do wykazania innych źródeł i rzeczywiście uczynił zadosyć temu obowiązkowi, podając następującą teoryą.

Źródłem dziedzicznych różnic indywidualnych jest płodzenie płciowe, polegające na zlewaniu się jąder dwóch komórek rozrodczych. W tych jądrach znajduje się plasma rozrodcza, a w niéj, jak nam wiadomo, są zawarte dążności dziedziczne organizmu wydającego komórkę rozrodczą. To pomieszanie dwóch plasm rozrodczych jest przyczyną dziedzicznych znamion indywidualnych. Tym sposobem płodzenie płciowe dostarcza materyału, z którego wybór naturalny wytwarza nowe gatunki.

Gdy różnice osobiste raz powstały skutkiem płciowego rozmnażania, muszą się one z biegiem czasu wzmagać, lecz nie pod względem coraz większych różnic, ale pod względem coraz nowego zespolenia rozmaitych znamion indywidualnych. Wyrównanie różnic mogłoby nastąpić jedynie w razie, gdyby pewien gatunek składał się z nadzwyczaj małéj liczby osobników.

Gdy już istnieje pewna liczba osobników różniących się dziedzicznemi znamionami indywidualnemi, wówczas w następném pokoleniu każdy osobnik jest zespoleniem dwóch dążności dziedzicznych; w tém pokoleniu nie będzie dwóch jednakowych osobników, oraz każdy osobnik będzie odmienny od osobników rodzicielskich. W trzeciém pokoleniu każdy osobnik będzie zespoleniem dziedzicznych dążności czterech odmiennych plasm rozrodczych; w czwartém pokoleniu będzie pomieszanych 8, w piątém 16, w szóstem 32, w dwunastém 2048 rozmaitych plasm rozrodczych. Każda z tych plasm może się w pewnym stopniu uwydatnić w téj lub owéj części organizmu, który z nich powstaje. Tak więc już w dwunastém pokoleniu istnieje ogromna rozmaitość kombinacyi znamion osobistych, kombinacyi, których nigdy nie było i nigdy już nie będzie. Ponieważ rozmnażanie płciowe istnieje od niesłychanie dawnych czasów, przeto śmiało można powiedzieć, że każdy osobnik gatunku, rozmnażającego się drogą płciową, posiada możliwie wielką ilość roz-

maitych dążności dziedzicznych, oraz nieskończoną rozmaitość indywidualnych znamion.

Źródła dziedzicznych zmian osobnikowych nie należy szukać u wyższych organizmów, bo u nich, jak widzieliśmy, wpływy zewnętrzne rzadko kiedy mogą wywoływać dziedziczną zmianę. Główném ich źródłem są organizmy jednokomórkowe, które mnożą się drogą podziału, gdyż u nich każda zmiana zaszła w budowie rodzica przechodzi na obie jego połowy. Gdy następnie u tego organizmu powstało rozmnażanie płciowe, wykształciło ono i spotęgowało zmienność, którą stale utrzymuje w ciągle zmieniających się kombinacyach. Rozmnażanie płciowe dostarcza dziedzicznych znamion indywidualnych, które wybór naturalny opanowuje i używa do wytwarzania nowych form organicznych. Tym sposobem organizm może się przystosowywać do powoli zmieniających się warunków bytu, co niezbędną jest rzeczą do utrzymania gatunku, który w przeciwnym razie łatwo znalazłby się w warunkach nieodpowiadających jego budowie i własnościom, a tém samém musiałby uledz zagładzie.

Rozmnażanie płciowe, rozwinąwszy się u istot organicznych, dostaje się pod władzę wyboru naturalnego, który nie pozwala mu zaniknąć, gdyż daje ono wielką przewagę organizmom zdolnym do takiego płodzenia.

Pomimo takiéj wyższości płodzenia płciowego pomiędzy zwierzętami spotykamy przykłady płodzenia z udziałem samych tylko pierwiastków samiczych, t. j. spotykamy *dzieworództwo* (*parthenogenesis*), polegające na powstawaniu osobników z jajek niezapłodnionych. W dzieworództwie plasma rozrodcza, przynajmniéj niesłychanie długo, bez zmiany przechodzi z pokolenia na pokolenie, a mogące się zdarzyć różnice indywidualne niewątpliwie powodują powstawanie nieco odmiennych pokoleń, lecz nie mogą być rozwijane i potęgowane przez wybór naturalny. Po największéj części dzieworództwo występuje naprzemian z rozmnażaniem płciowém, np. u mszyc lub niższych skorupiaków. W takim razie podnosi ono mnożność gatunku i chroni go od zagłady przez nieprzyjaciół, gdy tymczasem płodzenie płciowe, występujące w pewnych odstępach czasu, podtrzymuje zmienność gatunku, uzdalniającą go do hodowli naturalnéj pod wpływem naturalnego wyboru. U niektórych niższych skorupiaków i owadów, o ile się zdaje, istnieje samo tylko dzieworództwo. Niewątpliwie dzieworództwo tak silnie się rozwinęło jako środek wzmagający mnożność gatunku, bo każdy osobnik wydaje jajka. Wzmocniona mnożność zabezpiecza gatunek od wytępienia, ale jest to środek nadzwyczaj niebezpieczny, gdyż

w razie niekorzystnéj zmiany warunków bytu gatunek nie posiadając zdolności odpowiedniego przystosowywania się musi uledz zagładzie.

* * *

Z powyższego zestawienia rozmaitych teoryi dziedziczności i zmienności okazuje się, że najwięcéj prawdopodobieństwa mają za sobą wywody prof. Augusta Weismann'a, jako odznaczające się wielką prostotą i najlepiéj odpowiadające znanym faktom. Według nich dziedziczność i zmienność przedstawiają się w zupełnie nowém świetle. Teorya Weismann'a w niczém nie ubliża teoryi naturalnego wyboru, lecz jéj nowych sił dodaje wykazując prawdopodobnie źródła zjawisk, na których się ona opiera.

August Wrześniowski.





BOBYLE.

(OBRAZ Z ŻYCIA BEZROLNYCH)

I.

Dwór wilszański miał rozległy ogród, staczający się zwolna po pochyłości jaru. Tuż po za wałem tarniowym leżała wieś z sadami wiśniowemi i grzędami, porosłemi słonecznikiem o żółtéj koronie. Z północnéj strony na straży ogrodu stał rząd topoli wyniosło-śpiczastych, a u stóp ich błyszczał staw poprzez zieloną powłokę rzęsy wodnéj, z odbitemi w jego sennéem źwierciedle brzegami jaru, z dębami rozproszonemi na skłonach, z krzakami, z łozą, trzciną, sitowiem, z chałupami i stodółkami chłopskiemi. Pałac, wystawiony na najwyższém wzgórzu, przodem swym z sześciu oknami i gankiem patrzał na pola i kurhany, rozproszone po stepie, jak duże brodawki zielone, owiane sinawą mgłą,—tylną zaś stroną swoją, opatrzoną w drzwi szklane od sali i rzędem okien, biały, z dachem czerwonym, spoglądał na ogród, staw, wieś i łany. Ogród zaroślami swemi z krzaków bzu, kaliny, trzmieliny i świdwy wspinał się po wzgórzach, zapadał w doliny, wieczną wilgocią tchnące lub alejami dębowemi i akacyowemi nęcił ku sobie mieszkańców pałacu do ruchu po obfitym spoczynku, do ćwiczeń wątłych nóżek i krzepkich nóg. Te aleje, odwiedzane kilka razy na dzień przez pana, paniczów i panienki, znużonych obiciami ścian i widokiem sprzętów pokojowych, musiały być zawsze nie zarosłe trawą, nie osypane liśćmi lub gałązkami opadłemi z dębów, wiązów i akacyi.

Od prawego skrzydła pałacu, gdzie mieściła się garderoba, aż do bramy wjazdowéj szumiała zielona ściana bzów, akacyi karłowatych i leszczyny. Wprost ganku—przerywała się, a biegła szeroka ścieżka, zasklepiona nisko konarami jabłoni i wiśni. Na prawo—szła kręto, pagórkiem do ogrodu, na lewo, prościutko, obszyta krza-

kami porzeczek i agrestu, wprowadzała do sadu. Stanowiło to dwie włóki obszaru. Spodem leżała murawa, poprzerywana wszerz i wzdłuż pasami wygracowanemi, po których bokach wzrastały krzewy owocowe, kłujące, splecione i postrzyżone, górą—karłowate jabłonie, grusze, wiśnie i śliwki rozpościerały swe czarne gałęzie, idące od pni krzywych, rozdwojonych i pobielonych wapnem. Część równéj płaszczyzny sadu załamywała się i spadała w dół, w jar, gdzie warzywo sadzono. U stóp drzew było szmaragdowo, a nad głowami wisiało sklepienie kwiecia białego, przewitego zielenią rozpękniętych pączków liści. Gwar pszczół, trzmielów i woń rozkoszna! Pod najgrubszą jabłonią stała budka słomiana, a na niéj zapomniana siermięga brunatna i buty, skrojone niezgrabnie, na dużą stopę, posmarowane dziegciem. Po pod gałęźmi, na czarnéj grzędzie czyjeś szerokie plecy chyliły się przy pracy i bufiaste szarawary lniane trzęsły. Rydel krajał ziemię tłustą, a oddech przyśpieszony wtórował. Na trawie, tuż zaraz czerniły się kretowiny i pies „Burek“ ochoczo grzebał się w nich, prychając.

— Dobrze się zwijasz, mój Tarasie!—zabrzmiał głos dziedzica. Rad jestem, żeś uprzątnął już ulice w ogrodzie.

Na dźwięk wyrazów pańskich pracujący człowiek zrzucił czapkę z głowy na ziemię. Był-to dwudziestokilkoletni niski krępy chłop, miał wyraz zapracowania na twarzy, ciemnym włosem porosłéj,—na czole pot, oko ponure, czarne.

— Dzień dobry, wielmożny panie!

— Co tu będziesz sadzić?

— Pomidory, wielmożny panie...

— Postaraj się, żeby dobre były.

— Będą, wielmożny panie... Tego lata muszą być dobre.. Latoś...

Ale dziedzic szedł daléj.

Dawniejszy ogrodnik, zubożały szlachcic zagonowiec, był nicpoń i pijak, śmiał do panienki się umizgać, więc ruszył sobie precz, a jego miejsce teraz zajął Taras Harny, bobyl. Rozpoczął on służbę o najwcześniejszéj wiośnie, w końcu marca. Obowiązał się doglądać sadu siedm miesięcy. Przed odejściem do domu musiał obejrzéć drzewa i czulsze z nich na mróz pootulać. Miano mu za to płacić ośmdziesiąt rubli i udzielać słomy na opał. Przytém mógł dla siebie trawę wykaszać w sadzie. Po opłaceniu podatku, ledwie starczyło owych pieniędzy na chléb i odzież dla siebie i rodziny.

Wstawał o świcie i z rydlem, gracą lub nożem ogrodniczym uwijał się pod drzewami. Nożycami dużemi obcinał zbyteczne gałęzie, czepiając się, jak kot,—czyścił korę, a potém kwaczem, macza-

nym w roztworzoném wapnie, bielił ją, dla zapobieżenia robactwu i porostom wszelkim. Do wieczornego zmierzchu porał się w ten sposób. Najwięcéj pilności musiał wkładać w inspekty z włoszczyzną. Kalafiory, kapary, pory, selery, rzerzucha i pomidory: były to najulubieńsze smakołyki państwa. Zupa z pomidorów lub barszcz, nim je u stołu w pałacu przełknięto, łechtały mile podniebienie. Fale łaskotliwego omdlenia rozbiegały się po języku i słodkie mrowie ogarniało biesiadnika. Strawa, dostawszy się do żołądka zdawała się tam jeszcze lizać i pieścić jego ściany. Błogość i ufność we własne siły przejmowały duszę, serce radośniéj biło... Taką miał potęgę barszcz ów pomidorowy! Nie dziw, że potém sama myśl o tych potrawach wzbudzała potok uczuć rozkosznych i w czasie narady rodzinnéj nad składem następnego obiadu, gdy kto wymienił którą z nich, energia zjawiała się: szczęki, usta, język i płuca, działając szybciéj, wydawały okrzyk: „niech będzie zupa! niech będzie barszcz!“ Nie dziw, że gdy klucznica, niecierpiana przez służbę, otrzymawszy grubiańskie słowo od Tarasa, biegła zadyszana do państwa na skargę i przez zemstę oskarżała go o zaniedbanie inspektów, o mizerność pomidorów, kalafiorów i kaparów lub ich znikanie; błyskawice krzyżowały się na twarzy pana, a pierś wydymało oburzenie. Wtedy do uszu Tarasowych takie wpadały słowa:

— Po jakiemu pilnujesz ogrodu? Za co ci ja płacę ośmdziesiąt rubli? żeby mi włoszczyznę rozkradano?

— Ależ, wielmożny panie... ja zawsze naglądam... Noc i dzień. Albo to nie dobro pańskie, czy co? To panna Wysokińska, widać, ze złości nałgała na mnie. Ja, doprawdy...

— Dość! Nie ubliżać mi pannie ochmistrzyni! Rozumiész, Tarasie?

— *Bih że mij*! kiedyż bo...

— Mówię: dość, to dość! Pamiętaj, com powiedział, bo pójdziesz precz!

Taras był hardy, więc, wychodząc z pałacu, plunął i zaklął: „Dyable syny! Lichoż was wié, jak wam dogodzić?“ Z gniewem wchodził do ogrodu i dopiero gdy poczuł woń ziół, ujrzał zielony aksamit murawy przed sobą, a pojednawczo wyciągnięte konary nad sobą, i szmer lekki w górze, brzęczenie owadów — żal z piersi uciekał w bezmiar pól, on zaś spoglądał wesoło na swe stare znajome, grusze przysadkowate i jabłonie wymalowane wapnem, myślał czegoś uparcie o świniach gromadzkich, z błotem zaschłém po bokach, i potém niespokojnie biegł na skłon jaru, oddzielającego sad od wsi. Tam widział świnie chłopskie ubabrane w glinie szaréj, zmykające z żachaniem przed nim.

W tym światku liści, gałęzi, korzeni i owoców był Taras dodatkiem do sił natury. Gdyby jednakże nie potrzebował sam jeść, nie byłby nim i państwu nie przysporzyłby owoców na wety po zupie pomidorowéj i barszczu. Na to właśnie on męczył swe członki w czasie sprawiania ziemi pod ogrodowiznę. Gdy wrzucił nasienie i zagrzebał „wysadki“, rosło pod okiem przyrody-rodzicielki, on zaś późniéj tylko czuwał, żeby skądkolwiek i jacykolwiek szkodnicy nie wtargnęli czasem. Dalsze losy tych istot, obdarzonych liśćmi i korzeńmi, nie od niego zależały. Pamięć trudów poniesionych, nadwerężonych rydlów i złamanych grabi, zająwszy sporo miejsca w jego duszy, pozwalała mu myśléć, że brał udział. Tymczasem tuż dokoła niego przyroda swojemi sposobami działała, jemu tajemniczą twarz pokazując. Z całego miliona prawd wydartych pracą myśli i dających pewność czynom innych ludzi, stojących powyżéj, jemu, ogrodnikowi dworskiemu, znane były najpłytsze, zapisane w spuściźnie po ojcach. Wiedział, że w marcu „soki“ zaczynały krążyć w drzewach, ale nie umiał sobie wytłomaczyć, czemu na wiosnę pączki pękały, choć rozumiał, że gdy nagle pochłodniało, powolniej listki rosły, i jeśli słońce przygrzewało, a deszczu nie było, więdło wszystko na grzędzie.

Bosy, w szarawarach szerokich, bufiastych, z płótna, chodził od drzewka do drzewka, strzegąc owoców dojrzewających przed dziećmi chłopskiemi, co czyhały za wałem, najeżonym tarniną. W dni letnie, odniósłszy kosz jarzyn do kuchni i nie mając nic lepszego do roboty, Taras kładł się pod jabłonią lub gruszą. Z nieba spadały promienie słoneczne południowe i znużenie ciężkie zdejmowało cały sad. Powietrze leniwe ledwie przepływało poprzez konary i liście drzew, posyłając do uszu Tarasa lekki szmer wiatru. Bezmiar pól, rozciągający się hen! po za ogrodem i dworem i zamglony na krańcach swych niedościgłych oku, ze sklepieniem blado-błękitném, rozpiętém nad nim—stały tknięte niemocą. Leżąc twarzą do góry i schowany w cieniu, lubił Taras patrzéć na pokrajane siatką liści kawałki czystego, niby z kurzu opłókanego błękitu. Obok rozścielała się trawa bujna, soczysta i zielona, słońce ją przygrzewało i wtedy ta gęstwa, z jaskrów, podróżnika i tymianu złożona, kipiała życiem. Rozlegał się skrzypiąco-drżący chór weselny zielonoudych koników polnych. W mózgu Tarasowym zmieniały się bezładnie obrazy, budzone przez to wszystko, co dochodziło jego uszu i oczu. Przesunęła się chata jego bobyla za kołowrotem z sadem wiśniowym i zniknęła, przemknęło widmo Chwedosi z niemowlęciem uśpioném w kołysce, przykrytéj płachtą białą i porzuconéj na zagonie cudzym, gdzie żona zarabiała wiązaniem pszenicy,

smutną pieśń głosem piskliwym zawodząc—i przepadło, zaświeciła twarz pana, wyliczającego pieniądze—i ukryła się w pokojach... Słońce grzało, koniki i świerszcze strzekotały, a motyle różnobarwne, zmęczone ściganiem się, spoczywały pojedynczo i parami na pstrzących murawę, koronach kwiatów, opylone proszkiem żółtym i wachlujące się. Taras podpędzał tok myśli i uczuć nuceniem jakiegoś tropaka, który mu roje wspomnień z rozrywek świątecznych nawiewał, a potém urwał, zasłuchawszy się w gędźbę, w trawie rozlegającą się i taką rozmowę z grajkami łąki wiódł:

— „Grajcie, grajcie! Wesel się, szarańczo obmierzła. Nie długo tego! Jutro wam koniec... skoszę ze szczętem, a trawę sobie zabiorę... Pan pozwolił, trzeba brać! W zimie będzie czém krowy nakarmić... Oj, toż to czmychać będziecie!.. Aha, czmychajcie, hultaje, trajkoty!.. W jarze wasze miejsce. Tutaj panienki przyjdą zaraz żreć truskawki i maliny. Wskoczy który z was, długorogi, za kołnierz, drapnie swoją szorstką łapą skórkę delikatną—biéda! Hałasu tu, strach, jakiego narobią!.. A ten guwerner, co to jemu oczki się śmieją do panny, poskoczy ku niéj: „co się stało? co się stało?“— „aj, konik, konik mi wlazł, panie Henryku!“ — „niech pani pozwoli, panno Julio, ja zaraz!“ A psiaż twoja jucha! Ty „zaraz“. Oj, znam ja twoje „zaraz“; oczy ci omało na wierzch nie wyleżą od lubości! Słodko ci pod żebrem się zrobi, jak po miodzie, kiéj ino dotkniesz sukni panienki... Mało ci „mołodyć“, co w nocy do oficyn przychodzą?.. Ej, ta Julcia!.. I jéj by już czas za mąż... spali się biedaczka, zatęskni... Tu ziewnął i przeciągnął się smacznie. Oj, pany, pany, jak wam dobrze!..

I przesuwały się przed nim obrazy dobrobytu tych, co mieszkali w pałacu. „Jak tam, w sali dużéj, ładnie!“ Kiedy przechodząc z gracą mimo pałacu, zaglądał zdala w głąb przeze drzwi szklane, widział, lśniącą się posadzkę, miękkie sofy w kątach poustawiane, stoliki, fortepian, świeczniki sterczące ze ścian, obitych okazale, i pająk zwieszający się z pułapu, paniczów chodzących zgrabnie po téj sali, panienki, co pobrawszy się pod ręce, przebiegały w szerz i wzdłuż; porównywał wtedy z tém swoję chatę ciasną, niską i gliną wymaszczoną, z małém okienkiem, dymną od spalonéj słomy. Porównywał i onieśmielony, smutny, oglądając się trwożnie na okna, oddalał się do roboty, myśląc: „jak im dobrze żyć na świecie, nie robią nic, a mają wszystko“. Bywało stoi w alei pod sklepieniem dębów i lip, z twarzą swą smagłą, spaloną, obrośnięty czarno i gęsto, w jednéj koszuli i szarawarach obszernych, kołyszących się niesfornie za poruszeniem, stoi wsparty na rękojeści gracy, spogląda w zwężającą się dal ulicy ogrodzonéj szaremi pniami drzew, zawalo-

néj u dołu kupami trawy więdnącéj, którą dopiero co powyplenial i zostawił za sobą, spogląda, rad, że rychło skończy, a pierś mu wydyma się, wyzierając z pod koszuli czerwona, włochata i mokra. Pot wystąpił kroplami na czole, bo to lipiec, dyszé, a nozdrza drgają. Znudzone graniem i książkami, biegną panny użyć ruchu przed obiadem: „Tarasie, kochanie, serce powóź nas łódką, my się boimy „same“! Ładne były, wdzięczne i zwinne, jak wiewiórki, skórę miały na twarzy i rękach białą i gładką. Praca w polu, promienie słoneczne, rażące ze stropu błękitnego, i wiatr—oszczędziły je... Taras doznał uczuć płciowych, zmieszanych z zawiścią klasową, zapisaną przez dziadów i utajoną gdzieś w przepaściach duszy. „Nie mogę, panienki, trzeba gracować! Któż za mnie zrobi? Pan złaje!“— „Nic to! nie złaje, wieź nas!“ — Siedział w łodzi, a przed nim panny rumiane, wesołe, kapeluszami szerokoskrzydłemi osłonięte. Robił wiosłem, barczysty, silny, a twarz mu ciemniała od dopływu krwi gorącéj. Łódź mknęła ku oczeretom, od których mdła i dławiąca szła woń. Panny dziwiły się, że on taki mocny. Gadały z sobą po francusku, czuł, że o nim. A on, hardy, strzelając okiem po twarzyczkach ich i po wodzie, szeptał sobie : ej, wy, laszki, laszki! czas by wam za mąż!“ Wrócił ze stawu i znowu gracuje. Idzie pan nachmurzony czegoś. — „Śpisz, hultaju, czy co, po całych dniach? Mówiłem, że jutro goście zjadą! Nająłeś się, to służ!“ — „Ej, wy, białorękie!.. to z waszéj winy!“

— Taras, o, Taras! A zbudź się no ino! Śpi, jak kloc... Nuże wstań! Rzekłbyś, że po czarce już!

Nad nim stała Chwedosia, jego żona, z dzieckiem na ręku. Postawiła garnki ze strawą, a sama z twarzą stroskaną, fałdującą się w zmarszczki, pomimo lat dziewiętnastu — usiadła na trawie. Była córką bobyla, przed zamążpójściem swojém chodziła do dworu prać bieliznę i niańczyć pańskie dzieci. Powierzchowność miała pociągającą, rysy drobne, szczupłe biodra i barki, jak u wielu dziewcząt téj wsi. Sypiając w jednéj izbie ze starszymi, nieraz widziała objawy ich miłości niekrępowanéj i nagiéj, rozumiejąc wszystko... Taras ją dostał nietkniętą. W okresie budzących się pragnień krwi była wolną od pokus i napaści we dworze, dzięki niedojrzałości paniczów...

Siedzieli oboje na trawie i łyżkami drewnianemi jedli swą strawę, barszcz ze starą gorzką szperką i kaszą, spożywając dużo chleba razowego za każdém przełknięciem.

— Cóż tutaj słychać?

— A cóż?... zwyczajnie we dworze.... Ot, goście przyjadą jutro.

— Może swaty do panienki któréj?...

— A kaduk ich wie....

— Oj, pora, pora.... Im bardzo potrzeba mężów. Jak jestem na pokojach, panna Julia ciągle mię wypytuje: „a co tam, a jak tam bywa po ślubie?“ Ciekawość, uważasz.

— He, he, he... I ty opowiadasz?

— A juści! — opowiadam. — Ona słucha tak chciwie, że aż strach!...

— Cóż tam u nas? u ludzi? Jałówka nie kuleje?

— Bogać tam kuluje... O ludzi wolałbyś nie pytać... Ty, serce, służysz tutaj w ogrodzie, a tam na wsi przeklinają twoje imię. „Nie dość—powiadają — że pomaga nasze świnie łapać na pańskiéj grzędzie, ale dzieci nasze dźga kijem, dyabli syn!“ — Cóż on winien? — powiadam—na czyim wózku siedzi, tego piosnkę śpiewać musi, toć jego zarobek.“ — „Aha, zarobek! — prawi.—Przecież kruk krukowi oka nie dziobie, a on dla pana o swoich zapomina! Mógłby za ucho malca, powiada, wytargać i tyle. Wielka biéda, że głupie dziecko zerwie kilka gruszek! Pan, powiada, przez to nie zubożeje!“—„Alež my bobyle chudzi, a pan odegnałby nas za nieposłuszeństwo!“—„Ej, zaprzedaliście się dworowi, powiada, was by po za kołowrot nie puszczać!“

— Hm, psy zajadłe! Któryż to tak złość spędzał?

— A ten że, jak jego... Roman Dribny?

— Aa, tak? On już taki z rodu... Zawsze najgłośniejszy we wsi... I „omętrów“ się ongi nie uląkł, choć w turmie posiedział.... Cóż tam więcéj?

— A nic... zwyczajnie.

— Hm, tak ci to ono niby, jak ten mówił... Może i słusznie gada Dribny....

Taras nie zawsze tak sobie legiwał w cieniu. W czasie żniwa zdawał ogród opiece Kuby, a sam ruszał z kosą na łany pszenicy pańskiéj. Kuba zaś był-to chłopiec do pomocy przy kuchni, a z rana pod okiem klucznicy grzał śmietankę do kawy dla państwa. W wolnych chwilach odbiegał kuchni i zaglądał do sadu, żeby zjeść gruszek i pogawędzić z Tarasem, bo lubił go. Wtedy ten mówił do niego: „Popilnuj, Kubo, sadu, a ja pójdę ukosić trochę pszenicy pańskiéj. Widzisz, serce, od przybytku głowa nie boli. Wpadnie do kieszeni kilka złotych—przydadzą się.“ — „Dobrze, kumie, popilnujemy — odpowiadał chłopiec żartobliwie.“ — „Bóg zapłać! Ale jaki ja ci kum, młokosie?“ Imał w garść kosę i ochoczy, z uczuciem dzielności w sobie szedł na łan falujący złotokłosą pszenicą. Tam zmięszany z bobylami innych wsi lub z uboższymi gospodarzami Wilszanki, zatapiał kosę w gęstwinę zbożową i zamachami sążnio-

wemi kładł za sobą warstwy grube. Z początku czuł przyjemność w tém wytężaniu się rąk, nóg i mięśni grzbietowych, późniéj znużenie ogarniało jego ciało i ochota odlatywała kędyś. Szedł wzdłuż z swą kosą grabiastą, wracał, skąd rozpoczął, żeby znów rznąć naprzód — i ciągle pomykał wszerz. W ten sposób za dwie godziny zmiatał przeszło morgę.

— Hej, hej, powoli!.. naderwiesz się! — krzyczeli na niego ludzie. Nie śpiesz się, mołojcze, do zachodu daleko! Siły szkoda.... Dla swojéj zagrody zachowaj ją!

— Ot, głupi naród! Albo ja podziennik, jak wy?

— A któżeś?

— Nie tykajcie go! On posztuczny!

— Ho, ho, patrzcie mi go, jaki posztucznik!

— Pi, pi, pi, jaki ci *posnopnik*!

— He, he... patrzcie no ino, jak on się nadrywa!

— I dla kogo?

— Zmiataj, zmiataj!.. żywo!

— Co machnie, to kopica.

A Taras na to odpowiadał: „ot, głupi naród.“

III.

We dworze wilszańskim nie sam tylko Taras Harny służył. Zastał tam swych sąsiadów z za kołowrotu: Antina Puhacza i Musija Wilszańca. Ze ścierką na ramieniu, w pewnych godzinach zjawiać się musiał Antin w pałacu. Były to urocze godziny śniadania, obiadu, podwieczorku i kolacyi. Najcięźéj uczuwał czas imienin i świąt różnych. Stół oblegają goście, a on obnosi półmiski. Rzecz trudna dla nowicyusza-chłopa. Nim od poczesnego końca dojdzie do szarego, nie czuje siebie i potém rzęsistym się oblewa. Przykrości doznane wyrażał przed towarzyszami zwięzłem: „psia służba!“ Chłopiec ten po za pałacem roztropny i przebiegły z wejrzenia, głupiał naraz. Męszał go widok tylu twarzy białych, delikatnych i tylu wejrzeń śmiałych i swobodnych. Odurzony, tracił chwilami przytomność. Drżący, co chwila jakiś ruch niewłaściwy wykonywał. Przed panią łyżki nie położył, panience talerza zapomniał podać, tam serwetę zrzucił komuś, ówdzie wywrócił szklankę z wodą. Pan marszczy brwi, ale przyzwoitość nie pozwala mu fuknąć gwałtownie. Antin to widzi i, nieraz łajany, czuje, że w powietrzu rychło się rozlegnie nagana. Więc coraz niezgrabniéj się sprawuje. Nic! Nic go złego nie spotkało. Po wybornéj zupie i smakowitéj pieczeni pan skłonniejszym jest raczéj do żartów, niż do gniewu. Opowiada

gościom, że jego lokaj nie zawsze bywa taki głupi, tylko dziś, bo spał za długo i nie może „tumanu“ spędzić z mózgu.

— Antoni! — woła.

Ten stoi u progu, niski, z długim tułowem na krótkich nogach, w kurtce odświętnéj, niepodpasanéj. Brodę podparł palcem, a oczy czarne, roztargnione bezmyślnie, utkwił w stół i biesiadników. W duszy tymczasem, jak na jarmarku: coś się porusza, przeszkadza sobie wzajemnie, depce jedno, drugie....

— Antoni! — woła pan głośniéj.

Posłyszał nareszcie i drgnął, wstrząsając nogawice szerokie.

— Aha... hm... Co panie?—pyta głosem niepełnym, złamanym.

— Śpisz?

Odchrząknął nieborak.

— Ja, panie?.. Nie.

— Ależ tak, tak! śpisz! Myślisz sobie, że w kredensie na łóżku leżysz. Słońce wysoko już w zęby ci grzeje... Smaczno! dalejże na drugi bok — do południa.

Zabrakło wątku, a w brzuchu błogo, więc wszyscy się śmieją z żartu. Antin wtóruje, lecz myśli inaczéj: „Oj, spałem ci ja, prawda! Bodajeście wy tak spali! Da ci spać wasza klucznica, akurat, spodziewaj się!“

Takim był z początku. Z czasem nabrał roztropności i nawet wobec gości usługiwał zręcznie. Z chłopa wyszedł na pojętnego lokaja. Hojnym nadskakiwał i czapkował, z chłystków drwił półgłosem: „Oj, biedactwo! W dziady wam iść, a nie po panach jeździć i panów udawać!“ Takim i objawów grubiaństwa nie skąpił. Chociaż w tym kraju rzadko kto nie był szczodrobliwym, każdy tam lubił oznaki pokory, zachwytu i uwielbienia, okazywane sobie. Hojność najskuteczniéj wywoływała je. Stawali wtedy twarzą w twarz wspaniałomyślni i pokorni. Jedni rzucali wyniośle dwuzłotówki, drudzy zaś płacili im za to korną postawą, zgiętą w kabłąk od wdzięczności, lub całowaniem rąk.

Jaka jawa, takie sny. Doszło do tego, że we śnie trapiły go zmory lokajstwa. Opowiadał czasem Tarasowi i Musijowi swoje przygody senne.

Obejmie biały słup talerzy, przesuwa się z nim ścieżką śród krzewów od kuchni do kredensu, biega do jadalni i powraca, a na Kubę krzyczy: „żwawiéj, żwawiéj! czy nie wiész, że czekają?“ — „Niech czekają — odpowiada rezolutnie Kuba zniecierpliwiony. Nie pomrą z głodu!“ On za to gderze. On lubi gderać na Kubę, swego pomocnika, bo przecie kazano mu tresować go na lokaja. Przyjemnie to jest czasem fuknąć głośniéj i spędzić żółć nawrzałą.

Gdyby to można rozerwać się na sztuki, tak, żeby każda z nich robiła swoje, prędzéj by szło! I zdaje mu się, że rozpadł się na sztuki, jak padalec pod kijem, i każda z nich robi coś. Ma kilka rąk, kilka głów, oczu i uszu więcéj niż zwykle. W tém czuje kurcz w kolanach i drganie w nogach, a spodowi stopy boséj coś się opiera. Na szczotkach stoi i ślizga się po téj jasnéj, dużéj, z błyszczącym pająkiem u pułapu sali. Mknie, jak po lodzie, powstrzymać nie może biegu. Pewnikiem szklane drzwi rozsadzi, państwo pobudzi łoskotem i sam z rozpłatanym łbem do ogrodu wyleci, tratując kwiaty w kląbie. Nie, do stawu wpadł! Tfu! gdzie pałac, a gdzie staw—hen! precz w jarze?... Całém ciałem drgnął, padając, i krzyknął. Znowu zasnął, a pasmo widziadeł dziwnych wlokło się daleko. Stoi w wodzie, nie pomnąc już, gdzie szarawary mu się zapodziały i reszta ubrania.... Wié tylko, że gorąco i musi co chwila głowę zanurzać, a strumienie się leją z czupryny. Rozkoszuje się ochłodą przyjemną. „Antoni, Antoni!—bieży piskliwy głos klucznicy po ogrodzie—a nie pójdziesz tam? Zapomniałeś, że do stołu dawać trzeba?“ — „Bodajże was pioruny, syny biesa! — klnie na czém świat stoi. Wykąpać się nie dadzą!“ Ale gdzież to on idzie tak, jak go matka powiła? Do sali... Ztamtąd wpadł do stawu, tam musiały spodnie zostać i koszula.... Ktoś wiosłem pluska. Patrzy — panicz płynie łódką. Przewiesił strzelbę na ramię, buty ma okrutnie zabłocone, a w samym „nosie“ czółna, niby żagiel, na biczysku furmana Ostapa, powiewa jego koszula i dwie nogawice bujają z dyndającemi szczotkami. Wszelki duch... Czary, czy co? — „Nie czary!—odpowiada panicz, rzuciwszy wiosła na brzeg—tylko ot mi zaraz oczyść buty, bo jadę konno!“— „Aha, dobrze—myśli sobie—spodziewaj się! Kuba wyczyści, bo mój pomocnik.“ Spoziera w stronę kuchni, aż tu ci Kuba dźwiga wazę z zupą. „Zaczekaj, obwiesiu, woła.—To do mnie należy!“ Odebrał i sam niesie. Zupa się dymi porządnie, aż ślina rośnie mu w gębie i musi ją połykać, jak wodę. Ale czemuż to nogi nie służą? Źle! Upił się... Święto, więc pohulał sobie na wsi. „Ostrożnie! — pan huknie—upuścisz! No, i upuściłeś!... Ej, pijany jesteś, kotku!“ Drży, jak liść, i dziwi się, że stłuczona waza stoi, a klucznica czerpie z niéj warząchwią...

Pomimo całych niedogodności obowiązków kamerdynera i uczuć nieprzyjaźni, żywionych na dnie duszy względem państwa, jeszczeby zapłakał Antin, gdyby nagle wydalono go ze dworu. Taka jest siła nawyknień. Ciężko lokajować, ale okruch ze stołu pańskiego smakiem wabi i osładza.

Musij Wilszaneć w porównaniu do Antina miał szlachetniejsze zajęcie: był żywicielem mieszkańców pałacu. Prócz tego, zakres

jego służby nie wyrabiał w nim służalczéj strony charakteru. Nie stał ciągle na oku pańskiém. Zasłonięty ścianami kuchni, odległéj od pałacu o sto kilkadziesiąt kroków i odgrodzonéj dwoma kląbami kasztanów, spełniał czynności swoje, nie zatracając wrodzonéj sobie hardości. Nieraz sama pani, naganiwszy go za co, musiała wysłuchać szyderczych uwag o swéj spiżarni. Z rana szedł do gabinetu pana po dyspozycyą. Dziedzic znał się na kuchni i dysponował sam obiady. Musij ze swą twarzą smagłą o czarnym i krótkim zaroście, w siermiędze tabaczkowéj, stawał u progu i słuchał rozkazów, spozierając chmurnie z podełba. Wróciwszy do kuchni, napełniał ją niebawem iście janczarską muzyką. Rozlegał się wtedy rytmiczny, ostry stukot nożów, siekających mięso, lub głuchy łoskot wałka, dającego razy polędwicy, przeznaczonéj na befsztyk. Naczynia kuchenne, poustawiane na stole, wstrząsane, wydawały przeróżne dźwięki. Młode kuraki, skazane na pieczyste, piały niezręcznie lub czubiły się tuż pod nogami Musija, roniąc obficie pierze i krwawiąc sobie grzebienie. Rądle wrzały, parskając, rozpalona płyta od spadających na nią kropel syczała, patelnie skwiérczały W powietrzu zawisły zapachy cébuli, pietruszki, mięsa przysmalonego i tłuszczu. A główną sprężynę tego życia kuchennego, Musija, pot oblewa rzęsisty. Każdy pobyt gości zawsze daje się we znaki służbie. Wiele rzeczy wtedy trzeba zrobić śpieszniéj, lepiéj i okazaléj, kosztem szybszych, częstszych i rozumniejszych poruszeń. Temu towarzyszy nieraz większa niezręczność, zbyteczne lub nieodpowiednie czynności, ściągające gniew tego, dla kogo są wykonywane. I Musija spotykała w takich chwilach ostrzejsza nagana. Zwykle zaś spokojniéj i prościéj pracował u płyty. Ponieważ miał dużo fantazyi, prędko u niego rozdrażnienie, właściwe kucharzom i kucharkom, przechodziło w złośliwy dowcip, czepiający się obyczaju pańskiego. Gdyby ucho pani lub panienki podsłuchało kiedy, co tam za rozmowy prowadził z Kubą, przykroby się im zrobiło. Cały wykwintny tryb życia pańskiego, wyższy nabytek cywilizacyi, podlegał niemiłosiernéj, szyderczéj ich krytyce. Było w niéj dużo odwiecznéj zawiści i nieprzyjaźni „młodszéj braci", atoli i prawdy niemiłéj wiele. Panna Julia mogłaby poświadczyć to. W godzinach przedobiednich, z książką rozpalającą krew, siadywała w altance nieopodal kuchni. Razu jednego słyszy rozmowę Musija z Kubą:

— Leć po wodę! — mówi pierwszy. — Tylko żywo!

— Na co tobie, diad'ku, woda?

— Coś ty zgłupiał? nie wiesz, że szparagi nie płókane?

— Dobrze zaraz, tylko powiedzcie mi, diad'ku Musiju, co tam pany za smak znajdują w tych korzeniach? Przecież to korzenie!

— Głupi! A burak, nie korzeń? a rzodkiew?

— Juści tak...

— Po cóż pytasz? Ot, nie zawracaj głowy, tylko idź po wodę!

— Dobrze zaraz, tylko powiedzcie mi, wy to lepiéj znacie, wy chytry człowiek, co oni mają inny język, niż nasz brat chłop?

— Ozór ci oni mają taki sam, tylko widzisz dogadzają sobie. Ubogi człowiek tego nie potrafi. Tybyś potrafił?

— Juści to smaczne musi być....

— Oj, oj! Jak się najedzą tych łakotek, to ci potém chodzą niby lalki, zwyczajnie na dobréj strawie i na próżniactwie. Nie orzą. nie sieją, nie żną, cepa do ręki nie biorą, ot ci i mają czas zmyślać różne jedzenia, jakie się człowiekowi nie śniły. Z miasta przywożą wszelakie nowości, nad któremi potém łam sobie głowę i poć się, jeśli nie chcesz stracić zarobku... Na tém ich państwo, a ozór ci oni mają taki sam, tylko delikatniejszy....

Niepokój niepojęty ogarniał panienkę na takie wyrazy. Pomimo swych zasad demokratycznych, czuła się bardziéj jeszcze istotą z innego świata, skrzywdzonego wraz z nią rozmową dwóch chłopów. „Chciałaby wtedy uciec, uszy zatknąć lub zatrzéć w pamięci brzęczenie owych zdań ohydnych“—wyrażała się późniéj przed kimś.

Równie Taras, jak jego obaj towarzysze, prócz płacy, mogli jeszcze kosić sobie trawę po zakątkach ogrodu dworskiego. Żeby słuszności nie uwłóczyć, poodgraniczali się. Do Antina należał trawnik kolisty, zieleniejący przed pałacem, i brzegi kląbów kasztanowych, do Musija zaś—murawa rozściełająca się za kuchnią, część pochyłości jaru, zbiegająca ku stawowi, i niektóre miejsca pomiędzy krzakami i drzewami w ogrodzie. Trawa tu była zawsze bujna i pełna jaskrów, dzięcieliny, groszków i gwoździków dzikich, podróżniku, tymotejki, „mietlicy“ i przeróżnych roślin innych. Dla bydła stanowiła ona wyśmienitą karm’, a że szybko odrastała, mogła być kilkakrotnie koszoną do roku. Mieli więc po kilkadziesiąt pudów siana, pan zaś—porządek na dziedzińcu i w ogrodzie. W chwilach kradzionych zajęciu obowiązkowemu—kosili, najmniejszemu źdźbłu, ukrytemu w krzakach, nie darowując. Trzeba było widziéć kucharza, gdy gniewem uniesiony, klął od „bezwstydników“ ludzi, szpecących trawę w ustronnych miejscach... Antina, złorzeczącego psom za ślady tanów miłosnych pozostawiane na bujnéj, zielonéj murawie! Ten gnębił ich wedle możności. Bywało, cała zgraja weselna psów przybłędów, rozskomlona i warcząca, dyabeł wie, skąd zjawia się i sadzi trawnikami, w pląsach nieprzystojnych...

— Będziecież wy tutaj długo swadźby zwodzić?... A niemoc wam ciężka!.. Ot wam...

Drąg leci na wędrowną hałastrę i trafia, nastaje ucieczka ze skowytaniem i podtuleniem ogonów.

— Dam ja wam, pokurcze! Pod samemi oknami... żeby panienki się wstydziły...

Najczęściéj nie w porę niszczył widowisko, właśnie w chwili, gdy budziło uwagę... Nieraz, i ślepego naboju szkodnikom nie poskąpił. „Za co Antin je bije?“ — bywało pytają go panny. — „Ej, panienki drogie, wstyd powiedziéć“... zbywał je.

Gdy w pałacu obiad skończono, służba resztek dogryzała. W czasie posilania się wiedli rozmowę o państwie, nie skąpiąc mu złośliwości. Co który dojrzał na pokojach i przedumał w czasie roboty, śpieszył wypowiedziéć. Posiliwszy się, opuszczali duszną kuchnię. Z krzywemi cybuchami w ustach wyprostowywali swe ciała na trawie i brzuchem do ziemi, a plecami do nieba, chłodzili się w cieniu drzew. Gdy tak leżeli, czkawka im przerywała leniwą rozmowę. W powietrzu spiekota i cisza. Ze wsi, tuż za pałacem, ani żywego głosu, bo wszyscy w polu. Obszary wokoło dworu tak wielkie i równe, że słowa ludzi, zgiętych przy pracy, rzucone w przestrzeń, nie obiwszy się o nic, bezsilne, zamierają, nim dolecą ucha. Tylko tuż zaraz, śród kląbów, po dziupłach, puszczyki przeraźliwym jękiem rozdzierają chwilami powietrze uśpione, pałające i przesiąkłe wonią siana skoszonego świeżo na dziedzińcu. Pod samym nosem Musija kilka źdźbeł pszenicy rośnie z ziaren, zaniesionych wiatrem od śpichrza. Jedne kłosy, nalane ślicznie, aż zwisły pod brzemieniem, a inne chude i lekkie, sterczą prosto i dumnie.

— Patrzcie, ludzie! — ozwał się Musij, pykając i budząc innych z ospałości — te kłosy co wam przypominają?

— Co mają przypominać?.. Kłosy — i tyle!

— Nieprawda! Ja wam powiem... Te, co tak czupurnie i hardo spoglądają w górę — to pany, a tamte zgarbione — to nasz brat, cham...

— A prawda! — wykrzyknął Kuba.—To ci ma gębę ten Musij!

— Juści gębacz dobry — cedził Antin — jednakże nie dogodziłeś dziś, bo u stołu krzywiono się, żeś przypalił pieczeń. Panienka talerz odsunęła, panicz także... Choć, co prawda, błogosławiłem ciebie, Musiju, za to, bo człek się pożywił przynajmniéj...

— Niech dają masła więcéj, to nie przypalę... Psia służba!. Służ panu wiernie, a on tobie...

Panienki białolice, delikatne i postrojone gustownie, pobrawszy się pod ręce, przechodziły około trawnika. Spostrzegły chłopów tylu i zmięszały się bojaźliwie. Zapytały, gdzie Taras, i odeszły śpiesznie ku pałacowi, czując ich wejrzenia na plecach swoich i do-

rabiając w wyobraźni ich śmiech szyderczy, stłumiony. Instynktem czuły one w chłopach wrogów utajonych. Wczoraj miały nie miłe zajście podczas przechadzki w jarze. Same poszły i wystawiły się na obelgę niespodziewaną. Kilku kosiarzy, przechodząc mimo, z kosami błyszczącemi na ramieniu, śmieli zawołać: „Oj, panienki, jagódki, a pójdźmy poigrać!...“

W sobotę wieczorem, gdy w gabinecie zatopionym szarym zmierzchem z kąta, gdzie stała miękka, skórą wybita sofa, błyskał ogieniek fajki pana dziedzica, wygodnie spoczywającego, otwierały się drzwi i u progu stawało dwóch ludzi, nieśmiało poruszających członkami.

— Kto tam? — ozywała się sofa głosem dziedzica.

— To my! — odpowiadali chórem Antin z Tarasem.

— A co to? do karczmy zachciało się?

— Wartoby chałupinę odwiedzić... wielmożny panie!

— Któż we dworze zostanie?

— Tymczasem Kuba może.

— No, a cóż z sadem będzie? Pokradną.

— Ii, wielmożny panie — tłómaczył Antin za Tarasa. Toć dzień, nie noc... Kuba dojrzy.

Po chwilowém milczeniu następowało zezwolenie pana z dodatkiem: „ino mi trzeźwo wrócić!“ Tylko kucharz Musij nie udawał się o urlop do dziedzica, bo raz na zawsze wolno mu było wracać na noc do domu, chyba że w powietrzu słota wisiała, a po drodze rozmokłéj ciężko się szło. Wtedy sypiał we dworze.

(*d. c. n.*) *Zygmunt Pietkiewicz* (*Komar*).





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W ANGLII.

IV. POWIEŚĆ SATYRYCZNA.

Justyn Mac Carthy.

Thackeray umarł lat dwadzieścia trzy temu. Mógłbym podobno, bez niczyjéj wielkiéj krzywdy, zamknąć niniejszy rozdział tą nekrologiczną wzmianką. Autor powieści pod tyt. „Donna Quixote“ i „Miss Misanthrope“ odstręcza mnie przecież od takowego postanowienia. Nie iżby powieści te odpowiadały w całości, albo nawet w części oczekiwaniom obudzonym przez ich tytuł. Autor obiecał— drugim i sobie samemu — za wiele. Odtworzyć nieśmiertelną epopeję hiszpańskiego satyryka w zastosowaniu do niewieścich ideałów; przepisać w ten sam sposób Moliera, co za temat! Mac Carthy potrącił oń tylko. Jego „Donna Quixote“ jest dość pospolitą ciepłą wdówką, która stawszy się, w skutku małżeństwa *in extremis* dokonanego, panią swoich czynów i dość znacznéj fortuny w 19-tym roku życia, marzy o poświęceniu swéj niezależności i swych dostatków romantycznéj naprawie błędów i krzywd ludzkości, ale nie wiele naprawiwszy i nie stoczywszy nawet jednéj walki jak się należy z wiatrakiem, składa swój wojenny rynsztunek u nóg pierwszego młodzieńca napotkanego na pierwszym zakręcie drogi. Jego „Miss Misantrophe“ słabą jest w swéj nienawiści do ludzi, a nader szybką w powzięciu wręcz przeciwnego uczucia dla innego młodzieńca, którego nic tak bardzo nie zaleca jéj względom.

Ale jest w tych powieściach co innego, o czém autor nie pomyślał może, zabierając się do ich napisania, ale w czém instynkt jego satyryczny wyręczył jego wyobraźnię. Są pojedyncze typy i sceny i obrazy, żywcem uchwycone, pewnych sfer i grup społecznych, które okupują dość ubogą skądinąd treść jego utworów. Polityka

i rzeczy jéj trzymają najwięcéj miejsca w tych humorystycznych obrazowaniach. Nawet kiedy nie pisze on specyalnie politycznéj powieści (jak w „The right Honourable“ np.), Mac Carthy nie może zapomniéć, że jest członkiem parlamentu. *Major Leven*, którego rola w powieści p. t. „Donna Quixote“ pozostaje zresztą nieoznaczoną do końca, nie wszedł dotąd do parlamentu, ale próbował mało dwadzieścia razy. Za każdym razem stanęło mu na wstręcie bądź to, że dał się nakłonić do tracenia czasu i pieniędzy na stawienie swojéj kandydatury tam, gdzie nikt inny zastąpić by go nie chciał, bądź to znowu, że nastręczyła mu się zawsze jakaś osobliwa „krzywda“, dla upomnienia się o którą właśnie oświadczał chęć zyskania poszukiwanego przez się mandatu, a o którą żaden wyborca właśnie na włos dbać nie chciał. „Przywódcy stronnictw przeklinali go między sobą, właził im bowiem wszędzie w drogę, niwecząc ułożone w sztabie głównym kombinacye i rozbijając wyborcze kolegiatury. Zdarzała li się gdziekolwiek kompetycya, zostawiająca przedstawicielowi jego własnego stronnictwa nadzieję uzyskania szczupłéj większości, można było pewnym się mienić, że *Major Leven* zjawi się w ostatniéj chwili z jakąś sprawą, kwestyą czy „krzywdą“, zgoła obojętną dla całego stronnictwa, z któréj uczyni sobie platformę polityczną na to tylko, aby odciągnąć od większości liczbę głosów potrzebną do zapewnienia zwycięstwa przeciwnikowi. A niechże się trafiła zagraniczna czy kolonialna komplikacya, wprowadzająca w kłopot politykę gabinetową! Mniejsza o to, do jakiego stronnictwa gabinet należał, *Major Leven* tak czy siak występował natychmiast z pamfletem, w którym za pomocą imponującéj erudycyi lokalnéj, udawadniał przekonywająco, że ministrowie Jéj Kr. Mości popsuli całą sprawę od początku do końca; że ich urzędowi doradcy nie potrafili widocznie wyszukać nawet na mapie okolic, będących przedmiotem nastręczającéj się trudności; że nikt w żadném z biur rządowych nie ma wyobrażenia o którymkolwiek z języków, których znajomość potrzebną się okazuje w tym przypadku; że on, *Major Leven*, przewidział dokładnie, w pamflecie napisanym przed dziesięcioma laty, wszystko co zdarzyło się obecnie“ i t. d.

„W prywatném życiu *Major Leven* kochał wszystkich i z trudnością mógł być nakłonionym do myślenia źle o kimkolwiek; w stosunku natomiast do ludzi zajmujących publiczne stanowiska, nosił się pozornie z przekonaniem, skłaniającém go do upatrywania w każdym pojedyńczym sekretarzu stanu najniegodziwszego zdrajcy, dążącego świadomie do zrujnowania własnéj ojczyzny. *Major Leven* dawał wiarę wszystkiemu, co słyszał od kogokolwiek, byle nie od ministra, stwierdzającego cośkolwiek publicznie; wtedy bowiem do-

myślał się bezwarunkowo haniebnego kłamstwa. Wogóle wszystkich ministrów, ale osobliwie ministrów do spraw zagranicznych i kolonialnych, miał za łotrów, dopominających się o postawienie ich w stanie oskarżenia....“

Nieźle wygląda obok sylwetka pana *Lefussis*, ex-dżentlemana, chodzącego w podartym surducie i wątpliwéj bieliźnie, ale zajmującego się gorliwie losem Anglii i Europy, rozmawiającego poufale (naturalnie we własnéj wyobraźni) ze wszystkimi ministrami i posłami zagranicznymi, oszukującego czasem naiwne dusze, ale przedewszystkiém siebie samego i swoję nędzę, i prawie zadowolnionego ze swojego losu, prawie wesołego, a mniéj zajmującego się własném jutrzejszym obiadem, jak tem co się stanie z Europą za miesiąc, jeżeli ktoś nie położy tamy szalonéj polityce rządowéj. Kto nie spotkał w swojém życiu jednego i drugiego pana *Lefussis*? Typ jest pospolitym, ale Mac-Carthy potrafił uplastycznić go z niepospolitym artyzmem, a przedstawić z należytą werwą i humorem.

— „Przypuszczałem, że będziesz rad mnie widziéć, mimo obecności téj damy, panie Charlton. Byłem w mieście, jak wiesz, w okolicach Whitehall'u — w *Foreign-Office*, jedném słowem. Rozmawiałem długo z lordem Bosworth, i wiem dokładnie, jak rzeczy stoją. Poseł niemiecki wszedł przed mojém odejściem i Bosworth powtórzył przed nim sporo z tego, cośmy pierwéj mówili; nie wszystko naturalnie, nie wszystko....

„Tu ktoś powinien był prawdopodobnie odezwać się z czémś, p. *Lefussis* zatrzymał się bowiem. Ale Charlton siedział z oczyma wlepionemi w swoje własne chude ręce i nie zdobył się na żądną uwagę. Pani Charlton nie rościła nigdy pretensyi do odzywania się z czémkolwiek tam, gdzie mówiono o lordach, ambasadorach i osobistościach tego rodzaju; Gabriella zaś (Donna-Quixote) nie poczuwała się do obowiązku porzucenia swéj biernéj dotychczasowéj roli.

— „Źle rzeczy wyglądają — ciągnął daléj p. Lefussis, przekonawszy się, iż dotąd nie wywołał zbyt wielkiego wrażenia — i nie widzę nawet jakim sposobem mogłyby one wyglądać gorzéj. Jeżeli ktoś nie zrobi odpowiedniego kroku dla zatrzymania tego gabinetu na jego karkołomnéj drodze, będziemy miéć całą Europę pod bronią przed miesiącem.

— „Wielki Boże! — zawołała pani Charlton, poruszona nareszcie tą przerażającą perspektywą. — Czyż nic się nie da zrobić, panie Lefussis ?

— „Bosworth nic nie może — rzekł ten ostatni stanowczo, zwracając obecnie mowę do pani Charlton, jako jedynéj, która

zwróciła należytą uwagę na jego opowiadanie.— Widzi on sytuacyą tak jasno jak ja sam, ale nie może nic. Cóż mógłby on zrobić, pojmuje pani? To nie na jego siły.

— „Czyż doprawdy tak? — zapytała pani Charlton wielce zaniepokojona. — Co za nieszczęście! A czy niema kogo innego, któryby mógł coś zrobić?

— „Zapewne — odparł z godnością — mam nadzieję, że mogę coś zrobić. I spróbuję. Leven może coś zrobić; Taxal może coś zrobić, w skromnych granicach swojego wpływu, w skromnych granicach. Możemy odbyć jeden i drugi meeting; idę ztąd wprost do Taxala i do Levena....

— „Pan znasz majora Levena? — wtrąciła tu Gabriella, słysząc znajome sobie nazwisko.

— „Tak jest, łaskawa pani, tak jest. Znałem Levena w Demerara... zaraz... kiedyż to było? W 52-gim czy 55-tym roku.... Nie jestem pewny.... — A pani?

— „Major Leven jest starym moim i wielce drogim przyjacielem....

— „Doprawdy! — zawołał *Lefussis* i oczy zabłysły mu niewypowiedzianém zadowolnieniem. — Jeżeli tak jest, to powiem pani, pani Charlton, że moje przybycie dzisiejsze do męża pani jest najwięcéj zdumiewającym dowodem udziału Opatrzności w naszych sprawach, jaki da się wyobrazić. Zdaje mi się, że Charlton jest skłonnym do sceptycyzmu w tych materyach; jednak spodziewam się, że nie zamknie uszu przed tém, co mam do powiedzenia.

„Charlton podniósł oczy na chwilę i kiwnął głową, ale nie wyrzekl słowa. Gabryela nie wiedziała teraz co myśléć.

— „Uważ pani — ciągnął daléj *Lefussis* z zapałem — przybyłem tutaj, aby odwiedzić męża pani, nie marząc o tém, abym miał miéć szczęście i zaszczyt być przedstawionym téj oto lady; i nawet gdybym miał miéć ten zaszczyt i to szczęście, nie marząc o tém, abym miał poznać w niéj tak godną przyjaciółkę majora Leven. Czyż niema w tém czegoś opatrznościowego? A toć ta dostojna oto lady potrzebuje usiąść tylko przy biurku Charltona i napisać parę słów polecających mnie majorowi Leven, aby ocalić, kto wie? Europę od wojny!

— „Zdawało mi się, że słyszałem, że pan znasz tego dżentlemana? — wtrącił Charlton, podnosząc nagle oczy.

— „Tak jest, kochany przyjacielu, tak jest; przynajmniéj znałem go, wiesz, w Demerara i innych miejscowościach; ale ludzie zapominają jedni o drugich....“

Prawda, że z natury schwycony obrazek? — Ale perłą powieści jest scena na mityngu, w którym major Leven założył sobie obalić, na dobre tym razem, cały wstrętny sobie gmach rządowy.

„Miała to być wielka, ludowa, ażeby nie powiedziéć narodowa, demonstracya. Tłoczono się do *St. James Hall* na godzinę przed rozpoczęciem mityngu. Olbrzymie plakaty wywieszone przed drzwiami zapraszały do tłoczenia się więcéj jeszcze. Loże, parter, galerye i „platforma“ sama — przeznaczona dla uprzywilejowanych osób opatrzonych w bilety wejścia—zapełniły się niebawem wielce wzburzoną publicznością. Major Leven i jego przyjaciele znaleźli prawdziwie rozkoszną „krzywdę“ do rzucenia gabinetowi między nogi. Urząd kolonialny dał wiedziéć kolonistom z „Wiktorietty“, że wypada, aby przyjęli na się pewną część wydatków potrzebnych dla zabezpieczenia kolonii przeciwko napaści którejkolwiek z obcych potęg. „Wiktorietta“ żywiła oddawna już żądzę zetknięcia się z wielkim ruchem politycznym całego świata. Patrzyła ona zazdrosném okiem na wzruszające komplikacye, kłopoty i niebezpieczeństwa, będące uprzywilejowanym udziałem innych posiadłości Wielko-Brytańskiéj korony. Kanada, Indye, Nowa-Zelandya, nawet Jamaika dawały okolicznościowo okazyą do wielkich politycznych i parlamentarnych wstrząśnień, podczas gdy pełna ambicyi „Wiktorietta“ nie mogła dosłyszéć się bodaj imienia swego wypowiedzianego w W.-Brytańskim senacie. Takie położenie było upokarzającém dla niektórych wznioślejszych umysłów pomiędzy mieszkańcami kolonii. Zaczém zdało im się właściwą rzeczą wywołać panikę przed urojonym obcym najazdem. Przyjęli oni jako pewnik, że oczy wszystkich obcych państw, nieprzyjaźnie usposobionych dla Anglii, albo zazdrosnych, zwróciły się z osobliwém wytężeniem na ich małą kolonią, i że wroga polityka kontynentalnéj Europy zapatrzyła się na „Wiktoriettę“, jako na właściwy punkt, w którym najdotkliwszy cios zadanym być mógł angielskiéj potędze i dumie. Wiktorietta była małą wysepką, zapodzianą gdzieś śród olbrzymich przestrzeni Oceanu. Większa połowa kontynentalnych gabinetów nie słyszała nawet nigdy o niéj. Pewna liczba doskonałych skądinąd map zaniedbała wydzielić jéj miejsca. Nie mniéj przeto mieszkańcy jéj wmówili w siebie, że nieprzyjazna Europa patrzy na nich i że najezdnicze plany przeciwko nim skierowane zaprzątają Francyą, Niemcy, Rosyą, Amerykę i samych Fenianów. Wypracowali ze swéj strony rozległy plan robót fortyfikacyjnych i zapotrzebowali od metropolii odpowiednich posiłków w wojskach i okrętach. Owóż urząd kolonialny nie dał się przekonać o rzeczywistości natychmiastowego niebezpieczeństwa. Z pedantycznym urzędowym uporem

uczepił się on tego faktu, że między najbliższym kontynentem a zagrożoną niby wyspą rozlewało się trzy tysiące mil wody, najbliższą zaś jéj sąsiadką była wielka angielska kolonia. Mężowie stanu z Wiktorietty nie byli ludźmi do odprawienia w ten sposób. Ponawiali raz po razie swoje nalegania; wyprawili deputacyą do Londynu; postawili urząd kolonialny w stanie oblężenia. Urząd kolonialny wytrwał w swym uporze... Deputacya zwróciła się wtedy do publicznéj opinii i trafiła do majora Leven i do Waltera Taxal. Cała energiczna agitacya wprowadzona została w grę. Prasa przywłaszczyła sobie sprawę. Przyszło w izbie gmin do kilku interpelacyi, rozmaitych porządków dziennych i jednego skrutynium. Utrwalono się po jednéj stronie w pojęciu, że wielkość Anglii minęła na zawsze, jeżeli patryotyczni przedstawiciele Wiktorietty pozostaną wzgardzonymi przez wyrodny gabinet angielski. Po drugiéj stronie natomiast zapanowało przekonanie że ostatnia wiązka siana włożoną zostanie na kark przeładowanemu wielbłądowi (angielskiemu kontrybuentowi), jeżeli ma on ponieść koszt postawienia „Wiktorietty“ w stanie obrony. Jedna część patryotów odwołała się do pamięci Drake'go i Raleigh'a; druga do ekonomicznych zasad Cobdena.

„Major Leven rzucił się w sam środek walki. Sercem i duszą przywiązał się do Wiktorietty i do jéj sprawy. Byłby się oświadczył, gdyby kolonialni patrjoci żądali tego, za otoczeniem ich wyspy potrójnym wałem z bronzu...

I tak przyszło do walnego mityngu.

..... „Major Leven mówił z zapałem, szczerością i przekonaniem zastępującém nieledwie wymowę... Wpadł nawet na krasomówczy zwrot, przyrównywując nieszczęśliwą kolonią do biednéj pasierbicy, oddalonéj od domowego ogniska i wydanéj na pastwę zimnemu i bezlitośnemu światu. Wrażenie w ten sposób wywołane było stanowczo przychylném... Ale zaledwie powtarzane salwy oklasków uciszyły się, usłyszano ze zdumieniem przenikliwy głos niewieści świdrujący się z końca sali aż do fotelu prezydenta i wyrażający dobitnie co następuje:

— „Panie prezydencie, zanim dasz pan głos innemu mówcy, pragnę zapytać majora Leven, dla czego oddalił on od dawnego ogniska własną pasierbicę, skazując ją na śmierć głodową albo na żebraninę. Skoro mówimy o pasierbicach, zechce może szanowny preopinant objaśnić cokolwiek zgromadzenie o własném i żony swojéj postępowaniu względem ich pasierbicy.“

. . . .

— „Do porządku! Do porządku! zawołało sto głosów z pomiędzy słuchaczów sympatyzujących z przedmiotem mityngu.

— „Brawo! Brawo! Słuchajcie! Niech żyją prawa kobiety! — ozwało się sto głosów innych.

— „Czy nie waryatka? jęli pytać jeden drugiego niektórzy neutralni i zimną krew przeto zachowujący obywatele.

— „Nie jestem waryatką!“ odpowiedział przenikliwszemi tonami jeszcze głos niewieści, „aczkolwiek każda inna kobieta mogła by nią być doświadczywszy tego co doświadczyłam. Nie chcę tylko słyszéć człowieka mówiącego językiem hypokryty, o pasierbicach, kiedy wyrzucił własną pasierbicę na bruk. Jestem nią—niech zaprzeczy, jeżeli śmie!

Major Leven ożenił się z wdową, któréj syn z pierwszego łoża wywędrował do Ameryki, żył tam z kobietą złego prowadzenia i umarł zaślubiwszy ją, podług jéj twierdzenia. Z tą tedy, do Anglii świeżo przybyłą awanturnicą, któréj naturalnie przyjąć pod swój dach nie chciał, spotkał się teraz tak niepożądanie. I ona rozstrzygnęła los zwycięskiéj na chwilę pośród mityngu, ale obecnie bez ratunku pognębionéj „Wiktorietty.“

W „Miss Misanthrope“ zjawia się także typ obywatela z „krzywdą“ wołającą o pomstę do opinii publicznéj — i do wyborców. Widocznie Mac Carthy miał sporo do czynienia ze specymenami tego rodzaju w swym politycznym zawodzie. A także z kolonialnemi sprawami; nowy jego bowiem pokrzywdzony bohater przybywa także z za morza. Był gubernatorem jakiejś liliputowéj prowincyi, w któréj odległéj części świata, okazał nadmiar gorliwości, zapędził się daléj, niż życzono sobie w „urzędzie kolonialnym“, i „urząd kolonialny“ odmówił mu towarzystwa. Szczęśliwszy wszelako od przedstawicieli Wiktorietty i od majora Leven, dostaje się on do parlamentu i izba. w roztargnieniu, uchwala porządek dzienny, który nie obala wprawdzie gabinetu, ale daje „pokrzywdzonemu“ satysfakcyą.

Dość zagadkową obok jest postać pana Money, wielkiego przedsiębiorcy kolejowego, zasiadającego w izbie gmin, który w przewidzeniu blizkiego starcia między swoją ojczyzną a Rosyą, gdzie umieścił swe kapitały, składa swój mandat poselski, wyrzeka się obywatelstwa angielskiego i odjeżdża z całą rodziną do Petersburga. Tém więcéj zagadkową, że dość *sympatycznie* przedstawioną przez autora. Chcę przypuszczać, iż Mac Carthy niewiele liczy podobnych kolegów w pałacu Westminsterskim i niewiele żywi podobnych sympatyi.

Ale tym razem, w téj powieści, werwa, humor i plastyczny zmysł autora tryumfują w wizerunku pana Blanchet, poety-impresionisty, który nie czytał nigdy Szekspira, uważa Byrona za będącego niżéj wszelkiéj krytyki, nie wie nic o polityce, ani o historyi, ani

o żadnéj rzeczy po za tak nazwaném przez się „królestwem sztuki,“ zgodziwszy się zaś na odczytanie jednego ze swych poematów przed audytoryum złożoném z trzech osób—z których dwie panny—zaczyna od wyrażenia trzech absolutnych wymagań, a mianowicie: żeby okiennice zostały zamknięte i świéce zapalone, mimo białego dnia; żeby czytanie jego nie było przerywane żadnym znakiem uznania czy innym; i żeby, po wypowiedzeniu ostatniego wiersza, dozwoloném mu było wyjść natychmiast bez pożegnania się, i bez ukłonu nawet. Wszystkie te trzy warunki niezbędnemi są dla utrzymania jego natchnienia w należytym nastroju i wydobycia z jego utworów należytego efektu.

Czyta następnie seryą rymowanych fragmentów, odznaczających się głównie upodobaniem poety do trupów, szkieletów i wszelkiego rodzaju nie żywych przedmiotów, a także *zakończeniem* każdego z nich, zjawiającém się niezmiennie i niespodzianie wtedy, kiedy myśl słuchających domyśla się właśnie *początku* czegoś. Czyta przez dwie godziny, mówiąc do zgnilizny: „jesteś moim ojcem“, a do robaka: „jesteś moją matką i siostrą“, zamykając czasem oczy i przykładając rękę do zroszonego rzęsistemi kroplami czoła, podnosząc do góry każdą odczytaną kartkę rękopisu, z nagłym wysiłkiem ręki i ramienia, jak gdyby ważyła sto funtów i ciskając ją następnie precz, z oczyma wlepionemi w jednego z trojga słuchaczów, itd., kończy nareszcie następującym utworem:

Pytałem moję duszę — Czém jest śmierć?
Pytałem moję miłość — Czém jest nienawiść?
Pytałem śmierć — Czy jesteś życiem?
I noc — Czy jesteś dniem?
Czy miałem odpowiedź?

I zostawiając słuchaczów ich domysłom, wychodzi bez dodania jednego słowa — co mu nie przeszkadza oglądać się za pięknemi oczami i nie mniéj powabnym posagiem jednéj ze słuchaczek, *Minoli* — „Miss Misanthrope“ we własnéj osobie. I nie bez pewnego skutku. Wspaniałomyślna *Minola* wydaje swoim kosztem pierwszy tom jego poezyi, (udział płci pięknéj, a w szczególności posażnych jedynaczek, w zapoznawaniu publiczności z utworami początkujących poetów należyć musi do pospolitych rysów obyczaju miejscowego, spotykamy się bowiem nader często z przykładami tego rodzaju dobroczynnéj interwencyi. Ob. „The Greatest Heiress in England“ pani Oliphant). Minola otwiera nieograniczony kredyt u drukarza młodemu poecie i młody poeta, („szeroką naturą“ obdarzony, choć Anglik), korzysta zeń w całéj możliwéj rozciągłości. Cały legion zgłodniałych malarzy—impresionistów, jego przyjaciół, poży-

wia się przy téj sposobności, wypełniając ilustracyami wszystkie marginesy rękopisu. Szlachetna Minola płaci za wszystko bez wglądania w rachunki, i Bóg poetów wié do czego by przyszło, gdyby nie jakie rozruchy uliczne, wywołane walką wyborczą, z któréj „pokrzywdzony obywatel“ („*the gentleman with a grievance*“) wychodzi zwycięsko, nie ukazywały nagle wrażliwego, zbyt łatwy przystęp *impresyom* dającego poetę w niekorzystném dla niego świetle. Przychodzi nawet do tego za ich sprawą, że *Minola* piętnuje mianem „tchórza“ nieszczęśliwego sługę muz. Zrywa się on wtedy wprawdzie i z uchwyconemi przy kominie szczypcami, rzuca się w środek boksujących się na ulicy zapaśników; ale za późno: *Minola* oddała tymczasem serce zwycięskiemu bohaterowi walki wyborczéj.

Niezłym jest opis tych ulicznych i mityngowych zapasów, towarzyszących początkowi karyery parlamentarnéj pospolitego *commoner'a*; jednym z lepiéj udanych *ex multis* w spółczesnéj miejscowéj literaturze. Humorystyczno-obrazowy talent Mac-Carthy'ego (mniéj celujący w nawiedzanych zbyt często przez się sferach uczucia i wyobraźni), znajduje się tu u siebie. Jedną i nie najgorszą stronę i talentu swego i dotychczasowéj swéj twórczości Mac-Carthy należy do rodzaju, któremu wypada poświęcić bodaj kilka kartek w osobnym rozdziale.

V. POWIEŚĆ POLITYCZNA.

Rachując się z miejscem a także poniekąd i z ciekawością czytelnika, ograniczę się tu do kilku tylko pobieżnych wskazówek. Ostatnie lata nie wydały w tym rodzaju nic, coby się dopominało o więcéj—w tém przynajmniéj treściwém z konieczności sprawozdaniu. Stosuje się to, ma się rozumiéć, do jakości nie zaś do liczby utworów. Liczba pozostaje i tu imponującą, i nie może być inaczéj, skoro święty legion „Cór clergymenowych“, „Muz“ i „Sybil“ nie zaniechał i tego pola. (Można by przypuszczać, że się go nie spotka w téj stronie, ale przypuszczenia ludzkie są zawodnemi—zwłaszcza tam, gdzie mają do czynienia z tak podległemi fantazyi żywiołami jak natchnienie — i niewieście natchnienie w szczególności. Rzeczywistość okazuje się tu nawet osobliwie dotkliwą dla naszéj domyślności, właśnie bowiem niewieści żywioł występuje niemal na pierwszym planie w tym dziale piśmiennictwa spółczesnego). Najlepszym może utworem z tego działu jest „*The Right Honourable*“, obraz dość jaskrawy walki arystokratycznych żywiołów z radykalizmem, jątrzącéj się dziś śród spróchniałych zrębów tamecznéj organizacyi społecznéj i politycznéj. Ale obraz ten, noszący podpis

Mac-Carthy'ego, należy przez połowę do *Mrs Campbell Praed,* autorki „Nadiny“ i innych przeraźliwie ckliwych utworów. Zkąd wzięło się tu jéj, niczém nie zapowiedziane współpracownictwo, powiedzieć nie umiem. Obok zasługuje na wzmiankę „*Demos*“, z obrazem, jak tytuł wskazuje, ludowych namiętności, wstrząsających podwalinami całego europejskiego społeczeństwa, z wizerunkiem dość trafnie uchwyconym i plastycznie oddanym robotnika, który wzbogaciwszy się szybko, dostaje się do wyższych sfer towarzyskich i przebywa szybką metamorfozę. Owóż autorką „*Demos'a*“ jest podobno pani Oliphant. Domyśla się czytelnik, że i specyalne irlandzkie społeczno-polityczne stosunki dostarczyć musiały tematu płodności powieściowéj w téj okolicy. Jakoż spotykamy się z całym taborem miejscowéj agitacyi, *Fenianami*, *Land-League*'ą i *Home rule*'m,— ale znowu pod piórem pani Letycyi Mac-Clintoc. Prawda, że tym razem i męskie pióro pana Tomasza Greer dotrzymuje jéj kompanii („*A modern Daedalus*“). A jeszcze jest miss Jessie Fothergill, która topi siebie, swój wątek powieściowy i czytelnika samego w niedostatecznie zgłębioném przez się jeziorze komplikacyi parlamentarnych („*Gaythorne Hall*“) i Mrs Hibbert Ware, która ratuje wprawdzie swój wątek powieściowy, ale kosztem spółczesnéj historyi politycznéj („*Friend Elwood*“); no, naturalnie i miss Braddon!

Oczywiście nie przypuścił nikt, aby miała ona nie dotrzymać placu na jakiémkolwiek polu swym towarzyszkom. Tylko spóźniła się cokolwiek tym razem; znalazła parlament splondrowany, radykałów wynicowanych doszczętnie, fenianów rozebranych do koszuli; wsiadła przeto na pierwszy statek odjeżdżający z Duwru, wylądowała w Calais i objęła w posiadanie socyalizm francuski. Poczém przepisała powieść pani Oliphant („Demos“), obracając ją do góry nogami. Jéj bohater „*Ischmaël*“ — dlaczego „*Ischmaël*“? — jest arystokratycznym młodzieńcem, który wdziewa białą bluzę mularskiego czeladnika, aby pogrążyć się w upodobanych przez się ludowych warstwach społecznych. (Oj te białe bluzy! słyszałem, że płatają one nie jednego figla wyobraźniom niewieścim). Ale co myśli o tém, w swych elizejskich dumaniach, nieboszczyk Gambetta, który chciał wpoić swym współobywatelom przekonanie, że niemasz „kwestyi socyalnéj“ w jego ojczyźnie. Oczywiście nie rachował się on z panią Braddon. Mężowie stanu, socyaliści i nihiliści wszystkich krajów dobrze zrobią, rachując się z wędrowną wyobraźnią angielskich powieściopisarek i powieściopisarzy. Anglia importuje bawełnę z Ameryki a powieściowe tematy z całego świata. Jerzy Fleming zapędził się aż nad Adryatyk i wyświecił w „*Vestigia*“ tajemnice włoskiego socyalizmu. Mac-Carthy w „*Doom!*“ zawadził—dość nie-

fortunnie zresztą—o historyą nihilizmu rosyjskiego; że zaś powieść jego rozwija się na okręcie płynącym do Ameryki, można było myśléć, że dostanie się i tamecznym stosunkom politycznym. Ale okręt uwiązł w drodze skutkiem nadwerężonéj śruby i powieść z nim razem.

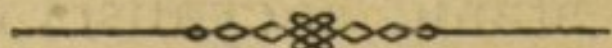
Czasem téż, po wyczerpaniu spółczesnéj historyi politycznéj, cofa się wyobraźnia zakłopotanych współzawodników i współzawodniczek pani Braddon w tył, np. do wdzięcznych dla powieściopisarza czasów, poprzedzających panowanie Jerzego IV, jak to czyni p. Lewis Mingfield, kolega Mac-Carthy'ego z parlamentu, w „*Abligail Rowe*", albo do romantycznéj epoki, wypełnionéj nieszczęśliwemi zamachami „Pretendenta", jak tego daje przykład Walter Besant w „*Dorothéa Forster.*"

Rodzaj *polityczny* przekształca się tą drogą w *historyczny.* Brakuje tylko Walter-Scotta.

Czasem znowu polityczne komplikacye, polityczne osobistości wprowadzane na scenę pod przejrzystemi maskami, zamiast stanowić właściwy temat powieści, są tylko dodatkowym jéj ornamentem, jak u pana Beresford Hope, innego członka izby gmin, którego ostatnia powieść „*The Brandeths*" wywołała niejaką sensacyą; albo u pana Wemyss Read, który w ogóle naśladuje mniéj lub więcéj szczęśliwie manierę Ouidy, ale w „*Gladys Fane*", najlepszym z dotychczasowych swoich utworów, poświęca wstęp cały obrazowi — setnemu i któremuś z kolei — obyczajów wyborczych swego kraju. Poczém przenosi się do Francyi i Bóg wié gdzie jeszcze.

Ryczałtowo rzeczy biorąc, można by i tu, Mac-Carthy'ego na bok odłożywszy i oddawszy mu co mu się należy, załatwić sprawę nekrologicznêm wspomnieniem, poświęconém cieniom Bulwera, Trollopa i Disraeli'ego. Ci panowie dzisiejsi z parlamentu (Mac-Carthy'ego wyróżniając zawsze, i to nie we wszystkich, zbyt hojnie mnożonych płodach jego pióra) piszą zbyt widocznie dla rozrywki, od niechcenia, i że się tak wyrażę, na kolanie. Są między nimi trafni postrzegacze, dowcipni sprawozdawcy, głębiéj nawet na ludzi i rzeczy patrzący filozofowie—prawdziwego artysty nie widać dotąd.

K. Waliszewski.





IDEA ORGANIZMU W BADANIACH SPOŁECZNYCH.

Myśl, że społeczeństwo jest pewnego rodzaju organizmem, datuje od tak dawna, jak sama cywilizacya. W sposób żartobliwy użył jéj jako porównania jowialny M. Agryppa, uspokajając zbuntowany plebs rzymski, i rzecz znamienna, opowiadaniem swém o kłótni członków ludzkiego ciała, groźbą czczości w żołądku—trafił prostakom do przekonania; w sposób poważny używał jéj Chrystus jako zwrotu retorycznego, zanim apostołowie a następnie i ojcowie kościoła. Zamiast jednakże starzeć się i kurczyć, porównanie to w czasach nowszych potężnieje, rozrasta się wzdłuż i wszerz tak, iż wyszło zupełnie z pierwotnego swego typu figury krasomówczéj, zaawansowało na stopień poważnéj analogii naukowéj, zajmującéj całe tomy,—a w końcu nie zadawalniając się nawet jeszcze tym zaszczytem, zapragnęło zlać się w jedno z przedmiotem, który dotąd tylko ilustrować miało — zaczęto bowiem w badaniach nad społeczeństwem uważać je nie za coś podobnego do ustroju, lecz za realny, jedném słowem, organizm.

Tak więc w rozwoju powyższéj idei znać pewne stopniowanie; odpowiednio do niego, u jednych myślicieli widzimy utożsamianie społeczeństwa z organizmem, u innych znów porównywanie ich z sobą, u trzecich wreszcie zestawianie, niektórych tylko stron życia społecznego z pewnemi stronami lub czynnościami bytu jednostkowego. U tych całe istnienie społeczeństwa podlega prawom rządzącym organizmami, u tamtych bardziéj ograniczona a mniéj oderwana dziedzina istnienia państwowego; są tacy, co byt ekonomiczny podporządkowują prawom ustrojowości, są inni, co czynią to samo z bytem prawnym. Naturalnie, że w różnych tych odmianach jednego w gruncie pojęcia tkwi rozmaita część prawdy i rozmaita—prze-

sady i naciągania—wszystkie są jednakowo doniosłe, bo usiłują odkryć prawdy nieznane, właściwości świata bardziéj nie pochwytnego, przez sprowadzenie go do poziomu przedmiotów bliżéj nieco zbadanych, jakimi są twory organiczne. Z punktu widzenia natomiast logiki i skuteczności swéj zasługują na sąd najrozmaitszy, od całkowitego uznania do stanowczego odrzucenia, niekiedy nawet potępienia.

Co najważniejsza, to, że większość wybitniejszych myślicieli społecznych metodzie téj hołduje. Daje się to bardzo łatwo wytłómaczyć. Badania nad społeczeństwem znajdują się jeszcze w kolebce—rozpoczęły się bowiem bardzo nie dawno. Ruchy rewolucyjne we Francyi, dotknąwszy przedewszystkiém urządzeń społecznych, zasłużyły się nie tyle wywołanym przez się przewrotem w stosunkach, ile bodźcem, jaki dały naukom społecznym i politycznym. O ile prowodyrowie tego ruchu potępili się warcholstwem płytkiém, nieprzewidującém, o tyle zapracowali na pomnik przez otworzenie badawczym mózgom szerokich widnokręgów zagadnień społecznych. Od tego czasu posiadamy prawdziwą, głęboką świadomość potrzeby publicznego dobra, od tego czasu mamy prawdziwą socyologią. Albo raczéj mamy jéj prawdziwe zaczątki. Kilkadziesiąt lat zbiorowéj chociażby pracy, kilkanaście przełomów w instytucyach, kilku tuzinów spisków przeciwko nim dają dopiero dużo do myślenia, ale rozwiązują mało tajemnic. Nie dziw przeto, że gdy jeden filozof, i do tego twórczy, na drodze luźnego tylko porównania z organizmami zaczął szukać klucza do nich, poszli za nim prawie wszyscy. Jak to zobaczymy późniéj, August Comte napomknął raczéj niż zapewniał o powinowactwie społecznego ogółu z ustrojem a drugi wybitny przedstawiciel socyologii, w połowie uczeń Comte'a, Herbert Spencer, już z całą systematycznością o związku tym się rozwodzi.

Byłoby to sztuczną budową, nie wytrzymującą podmuchu wiatru, gdybyśmy chcieli wszystkie wspomniane formy w mowie będącéj analogii sprowadzić do jednego źródła, nawiązać na jednę nić chronologii. Owszem, to cośmy przed chwilą powiedzieli, stosuje się tylko do szkoły socyologów *par excellence*, badających społeczeństwo w całości—nie zaś do socyologów prawników, lub ekonomistów, którzy jeśli posługują się podobieństwem jego funkcyi do funkcyi organizmu, idą jak i Comte za popędem własnego pomysłu; w którym musi być wiele zdrowego pierwiastku, skoro samorzutnie kilku naraz nań wpada.

Wobec tego upowszechnienia wskazówek biologicznych w nauce społecznéj, warto wyśledzić ich rolę w téj dziedzinie. Można bowiem połączyć w ten sposób dwa zadania: poznać teorye zwolenni-

ków w mowie będącéj analogii, a tém samém poznać większość wybitniejszych na polu filozofii społecznéj pracowników, i powtóre— przekonać się, o ile jest ona uprawnioną, jakie owoce przyniosła dotąd nauce i przynieść w przyszłości obiecuje. Jakkolwiek przedmiotowi temu nie jednokrotnie poświęcano uwagę, jednakże czyniono to ułamkowo, wysuwając bardziéj bądź powszechnych bądź specyalnych socyologów, u nas zaś nie zrobiono prawie nic,—ma więc, zdaje się, pewną zasadę zebranie ich, wprawdzie szkicowe tylko, w jedną całość i ocenienie bezpretensyonalne względnéj ich wartości.

Pracę te znakomicie nam ułatwi podział wszystkich odnośnych szkół, wypływający zresztą z istotnych pomiędzy niemi różnic, na trzy grupy.

Pierwsza zawiera poglądy tych myślicieli, którzy dosyć słabo odróżniali państwo od społeczeństwa, zajmowali się przeważnie pierwszém, w państwie widzieli jedynę formę towarzyskiego życia i o podobieństwie do ustroju mówili wtedy tylko, gdy dochodzili stosunku między nim, a jego składowemi pierwiastkami, gdy szukali idealnego urządzenia bytu politycznego, i mozolili się nad takiemi zagadnieniami, jak podział władzy, zastosowanie jéj do dobra poddanych itp. Do tego szeregu zaliczyć wypada Krausęgo, Steina, Gneista, Ahrensa. Są to po największéj części filozofowie prawa, usiłujący zazwyczaj z ogólnego na świat poglądu wysnuć systemat państwowy.

Druga kategorya, najliczniejsza, obejmuje nowy rodzaj pojęć, a mianowicie ideę społeczeństwa, jako całości, istniejącéj niezależnie od państwa. Chociaż zaczątki jéj wyzierają już z teoryi niemieckich, atoli w pełni siły i rozkwitu występuje ona dopiero wraz z Comtem i niezwłocznie staje się podstawą odrębnéj umiejętności: socyologii. Od owéj chwili datuje się okres obfitujący w prace tegoż pokroju, co Comte'a, wszystkie one spłacają haracz nauce o życiu i zapożyczają od niéj pojęcie organizmu. Czynią to: Spencer, Schaeffle, Lilienfeld, Fouillé, Espinas, Lindner i wielu innych pisarzów *minorum gentium*. Kierunek ten pod względem posłuszeństwa idei ogranizmu zostawia daleko po za sobą drużynę myślicieli państwowych, albowiem składające się nań osobistości celują fachową znajomością przyrody i analogią przeprowadzają z całą logiczną konsekwencyą.

Wreszcie uwzględnić należy jednę jeszcze grupę uczonych, którzy wychodząc z założeń praktycznych i oddając się bardziéj praktycznym gałęziom wiedzy społecznéj, poświęcają swe usługi prawodawstwu na wszystkich polach jego działalności. Ci mniéj już posiłkują się pojęciem ustroju, choć dla celów nie mniéj doniosłych,

albowiem pragną ustalić zasady wprowadzenia zmian i ulepszeń w urządzenia publiczne natury państwowéj, gospodarczéj i prawnéj. Równolegle jednak przyczyniają się do filozoficznego wyjaśnienia istoty i właściwości urządzeń.

Samo się rozumié, że powyższe trzy kategorye stosują się jedynie do czasów najnowszych. Wydobywać z mgły przeszłości rozmaite aluzye, jakiemi określano podobieństwo ciał społecznych do ciał jednostkowych, nie opłaca się, są one przypadkowe, chaotyczne, najczęściéj bezwiedne, a więc i pozbawione wagi.

I.

Pierwszą dań idei organizmu złożyła w badaniach społecznych nauka państwowa. Miejscem hołdu były Niemcy, inaczéj być nie mogło — one dzierżą monopol stwarzania mglistych pomysłów. A „szkoła organiczna prawa publicznego“ cechą tą w szczególnym odznacza się stopniu. Wykwita ona na gruncie metafizyki, hodowana przez mistrzów filozofii greckiéj i germańskich filozofów natury, jak Schelling. To téż społeczeństwo i państwo, które to dwa pojęcia nie były jeszcze tak wyraziście rozgraniczone jak dzisiaj, stoją u nich zazwyczaj w bezpośrednim związku z teoryą bytu, lub bóstwa. Pogląd na cele i zadania organizacyi społecznych zjawia się u nich *a priori*, one są wyrazem, lub wcieleniem Boga, z góry mają wytkniętą drogę pochodu i kształt, nauka zaś sama zajmuje się tylko bliższém rozwinięciem i uzasadnieniem rzuconego w podobny sposób planu.

Nauki przyrodnicze, zawdzięczające swą wybujałość ostatnim dopiero czasom, w chwili narodzin szkoły organicznéj nie zdążyły jeszcze ogarnąć swym wszechpotężnym wpływem wszystkich gałęzi umiejętności ludzkiéj. Stąd analogia między państwem a ustrojem miała z początku bardziéj ogólnikowy, oderwany charakter. Faktów ani Krause, ani Ahrens, ani Wawrzyniec Stein w naturze nie mieli i mało się o nie troszczyli. Kierowali się raczéj przeczuciem, niż empiryką i w tém różnią się kontrastowo od pozytywistów, którym wyraźnie wypowiadają walkę i od których odwracają się, i w ogóle od biologów powołanych do życia przez systemat Comte'a. Prawili o organizmie jako o przedmiocie nacechowanym przedewszystkiém *jednością* i brali z niego miarę ustroju państwowego raczéj figurycznie niż ściśle. Nie nastawali też bardzo na podobieństwo obu rodzajów skupień pod względem formy lub budowy, lecz jedynie pod względem wzajemnéj zależności całości i części. Często nawet państwo chrzczą mianem „organizmu sztucznego“ a wydobywają zeń głównie

stronę oderwaną, duchową. Bo też i człowiek jest tam wyłącznie istotą uduchowioną a o „podłéj" jego powłoce nie mówi się ani myśli.

Wspomniany Krause (którego działalność przypada na pierwsze trzy dziesiątki lat bieżącego stulecia) obdarzony umysłem głębokim i subtelnym, zarazem założyciel w mowie będącego kierunku, wyznaje otwarcie, że filozofia nie zostaje wcale na łasce realnego życia, lecz może być wyssaną z palca. Życie to proces znikomy i przypadkowy. Bóg, jeśli zechce, może zmienić przeznaczenie i losy ludzkości, on sam tylko, albo raczéj jego *idea* jest niezwruszoną i stałą. Ona szkicuje plany wszechświata, ona nakreśla cele człowiekowi, który jednakże nie jest zniewolony dążyć do nich, a jeśli dąży to dlatego, że posiada rozum. Bóg téż dał mu sposoby urzeczywistnienia ideałów, stwarzając życie społeczne czyli państwo i ster jego—prawo. Jednakże doskonaląc się, równocześnie pcha naprzód ludzkość całą, albowiem rozwój cząstki i rozwój całokształtu znajdują się w stosunku wzajemnéj zawisłości i w przyszłości uwieńczone być mają harmonią, ładem i jednością powszechną. Oto zarodek „organiczności." Dla czego to wszystko się dzieje—Krause nie uważa za stosowne tłómaczyć i świadomie dowolność swych tez zaznacza. A że on dał filozoficzne podmurowanie szkole organicznéj więc i filozoficzna jéj wartość z góry staje się widoczną.

Podstawy powyższe rozwinął dosyć niewolniczy jego następca, Ahrens. Stara się on zbadać dokładniéj plan Opatrzności i dochodzi do wniosku, że ludzkość ma przed sobą kilka celów, jak religia, moralność, prawo itd. Do urzeczywistnienia każdego z nich potrzebną jest inna forma społeczności, dla moralności np. rodzina, a dla prawa—państwo, które zatém o tyle ma racyą bytu, o ile służy zachowaniu i rozwojowi prawnych urządzeń, gdy zaś stwarza opiekę policyjną, socyalizm, komunizm lub despotyzm, mija się z powołaniem. Życie społeczne winno być życiem zorganizowaném, a zatém państwo, jego najlepsza forma, urządzone być winno na obraz i podobieństwo żywego ustroju. Wszelki byt organiczny cechują trzy momenty: 1) źródło pierwotne, czyli zasada, 2) typ podstawowy i 3) dalszy rozwój, zgodny z wymaganiami dwóch pierwszych punktów. Takież same trzy momenty zawiera w sobie władza państwowa. Pierwszym będzie władza polityczna *sensu stricto*, drugim władza prawodawcza, trzecim wreszcie wykonawcza, łącząca w sobie administracyą i wymiar sprawiedliwości. Oto trzy główne funkcye organizmu, spełniają je trzy narządy: monarcha, zebranie wyborcze i ministerya. Właściwie o wiele lepiéj zrobiłby Ahrens, gdyby doktrynę swą nazwał „niemiecką", gdyż wzoruje się ona na pobożnych życzeniach i szlachetnych reformach niemieckiéj reakcyi przeciwko

liberalnym zdobyczom ruchu 1848 r. „*Alles was ist, ist vernünftig*“— ta dewiza mistrza filozofii państwowéj Hegla była zarazem godłem Ahrensa.

W pewnym stopniu stronnikiem „szkoły organicznéj“ jest znakomity współczesny prawnik niemiecki Rudolf Gneist, prof. uniwersytetu berlińskiego, twórca teoryi państwa prawnego „*Rechtsstaat*“, lecz ten mniéj metafizyczny i abstrakcyjny od swoich sprzymierzeńców, bada więcéj, niż zmyśla—(dzieje konstytucyi angielskiéj są jego ulubionym przedmiotem).

Znacznie jaskrawiéj popiera organiczne państwo niemniéj znakomity, Wawrzeniec Stein—popularny dla swych humanitarnych dążeń i sympatyi ku upośledzonéj części ludzkości i niedostępny zarazem dla mglistego, mistycznego nieledwie sposobu przedstawiania rzeczy. Stanowi on początek mostu, łączącego w mowie będący kierunek z socyologami-biologami, albowiem więcéj od swoich poprzedników hołduje organizmowi i analogii z nim, co podnosi go nad poziom wyraziciela teoryi, czyniąc poniekąd jéj modłą—wzorem.

Stein wyprowadza konieczność „organizmu“ państwowego tak samo mniéj więcéj jak Ahrens. Ma on okiełznać wybujałość samolubnych instynktów w społeczeństwie. Ono jest chaosem i zamiast zaspakajać potrzeby, zwłaszcza ekonomiczne, swych członków, wnosi w nie nieład, rozprzężenie i walkę bezustanną. Należy przeto ująć stosunki te w karby. Takiemi karbami jest organizm podobny do organizmu człowieka. W nim autor widzi należytą hierarchią sił, jedność sprzyjającą osiągnięciu pożądanego stanu, chociaż jeszcze nie wystarczającą. Pragnąłby on, by organizm państwowy przewyższał skupieniem organizacyą człowieka.

Kierownikiem takiego organizmu ma być monarcha. Stein przyznaje mu nader wysokie atrybucye i spodziewa się znaleść w nim skarb, którego ludzkość od tak dawna z pochodnią nauki w ręku—szuka, regulatora zawikłań społecznych. Tylko on może położyć tamę krzywdom, wyrządzanym ustawicznie klasie pracującéj i temu tłumowi proletaryatu, który pod pozorem brania udziału w sprawach państwa, bywa najczęściéj ślepém narzędziem mniejszości obradującéj i nie dopuszczanym do głosu. By wyrównać tę niesprawiedliwość krzyczącą, potrzeba naturalnie olbrzymiéj władzy i oto w potęgę tę wyposaża Stein panujących, lub raczéj—powtarzamy tutaj uwagę zrobioną przy Ahrensie—panującego w Niemczech władcy. Nie tu miejsce rozważać, ażali dobrym i cennym jest ten wynalazek—dosyć, że natchnęło nim autora do pewnego stopnia porównanie państwa z organizmem. Niczém innėm bowiem władza zwierzchności nie jest jak „świadomością“, „jaźnią“ państwa, mode-

lowaną na rozumie jednostki. A skoro tak, więc i inne władze muszą się tam znaleść; w istocie: prawodawstwo jest wolą, czynem zaś, działaniem—wykonywanie prawa administracyjnego, wymiar sprawiedliwości i samorząd miejscowy (1). Nie brak téż w tym organizmie czegoś w rodzaju nowotworu, nowego ustroju, pośrednictwa między wolą a czynem. Wyobrażają je w polityce narządy wykonawcze, w ciele zaś ludzkim są one mało rozwinięte, z winy rozumié się samego Steina, który niedostatecznie jest obznajmiony z całą siecią dróg nerwowych u osobnika wyższego.

Spadkobierca Steina i jego poprzedników, Bluntschli, może być uważanym za dalszy ciąg wspomnianego mostu. Jeden krok tylko oddziela go od uczonych kroju przyrodniczego, a zalety właściwéj założycielom szkoły używania organizmu, jako zewnętrznéj formuły, nie dzieli—owszem działa pod zupełną jego inspiracyą. Tak np. zupełnie biologicznego pochodzenia jest teorya władzy państwowéj. Wiadomo, że czucie jakkolwiek czyni wrażenie umiejscowionego, i odnosimy je zwykle do punktu działania zewnętrznéj przyczyny, ma swoje siedlisko w mózgu i że jest ono jedyném, ponieważ zaś państwo jest organizmem a mózgiem jego monarcha, bez którego ani rusz, *ergo*... państwo i monarcha to jedno i to samo. Przebiegle, nie ma co mówić, pędzi Bluntschli wodę na młyn swojego systematu politycznego, w którym co krok spotykasz się z wizerunkiem Prus Bismarckowskich.

Nie wdajemy się w szczegółowy rozbiór całéj analogii, chociaż godną jest tego dla niektórych dosyć humorystycznych wybryków mistrza. Do tych należy zaopatrzenie państwa w prawdziwą, nie alegoryczną, duszę, w zmysły, ba! nawet rozklasyfikowanie instytucyi podług płci: pięknéj przedstawicielką jest kościół, brzydkiéj zaś samo państwo. Pod względem anatomicznym władza upodobnioną została do głowy, naród zaś do tułowiu.

Tak więc w szkole organicznéj znana nam analogia przeszła wszystkie niemal fazy: od słabéj aluzyi do natarczywego przypomnienia. Początkowo chciano przy jéj pomocy położyć nacisk na potrzebę związku i wzajemnéj zależności żywiołów politycznych, czyli tego, co pospolicie nazywamy „organizacyą“, — w końcu użyto jéj do bardzo zaszczytnych usług, bo kazano jéj być prawodawczynią ustroju państwowego, pośrednio zaś piastunką ideałów politycznych Fryderyka II-go.

---

(1) „Gosudarstwiennaja sistiema Łorenca Steina“ przez Blocka, profesora uniwersytetu warszawskiego.

II.

Drugą dziedzinę, najbardziéj rozpowszechnioną i zarazem najbardziéj świeżą, najbardziéj ciekawą i jednocześnie najwięcéj obiecującą, dziedzinę, w któréj idea ustroju zwierzęcego znalazła najszersze zastosowanie, stanowi t. z. socyologia. Nie będziemy w tém miejscu określać i opisywać tego głośnego wytworu zeszłowiekowych szałów i fermentacyi, które znalazły sobie ujście w niezwykle gorączkowéj uprawie wiedzy społecznéj, z jednéj strony, i śmiałego polotu, jaki opanował umysły nowoczesnych przyrodników, z drugiéj. Dosyć gdy powiemy, że socyologia jest małżeństwem dotychczasowych umiejętności społecznych ze zdobyczami dzisiejszych nauk przyrodniczych, jest to niby swojego rodzaju gałąź nauki o życiu, albo inaczéj, oparcie badań społecznych na podwalinach biologii, zapatrywanie się na zjawiska społecznego życia ze stanowiska téj ostatniéj. Socyologia szuka tam niezmiennych praw rozwoju, następstwa i współistnienia, sądzi byt społeczny probierzem prawidłowości. Determinizm, właściwy wszystkim naukom doświadczalnym, klasyfikacya Comte'a przeniosła na grunt zjawisk społecznych, i to dało początek socyologii. Następcy zaś jego zechcieli skorzystać z bliskiego sąsiedztwa nauk o życiu i o społeczeństwie i z pierwszéj do drugiéj żywcem przenieśli metodę badania oraz dążności, zbogacając przez to naukę kilkoma rozległemi pracami. Wyszły one z pod pióra myślicieli poważnych i zasłużonych, z pomiędzy których najbardziéj wpływowymi są Schaeffle, Spencer, Lilienfeld i Fouillé.

Wspomnieliśmy o Comt'cie. W rzeczy saméj, on jest duchowym ojcem tego pokolenia. On bezwiednie otworzył wrota socyologii gościnniéj, niż na to pozwalała ścisłość naukowa, wszelakim prawdom biologicznym, które téż hurmem się w nie wtłoczyły. Od téj chwili panuje pomieszanie pojęć, istna wieża Babel, na któréj badacz społecznego życia przemawia językiem przyrodoznawcy, a naturalista językiem socyologa. Comte porównywając dynamikę społecznéj nauki do fizyologii, statykę zaś do anatomii, rzucił w żyzną glebę ziarno przyszłych nadużyć, a to tembardziéj, że nie był to u niego zwyczajny manewr stylowy, ale coś, co korzeniami swemi sięga daleko głębiéj, mianowicie metoda. Nie inaczéj — jego klasyfikacya nauk, najistotniejszy może ze wszystkich wrzekomych i prawdziwych tytułów do sławy, najmniéj ze wszystkich swych siostrzyc jednostronna i najprzenikliwiéj odgadująca naturalne pokrewieństwo zjawisk, umieściła prawa społeczne bezpośrednio niemal po prawach świata organicznego; skoro zaś te ostatnie podzielone

nizmów — lecz dla idei poważniejszéj. Jaka ożywia Schaefflego — wiemy już i zapamiętajmy ją, gdyż przyda się nam późniéj.

* * *

Krócéj zatrzymamy się nad drugim wybitnym zwolennikiem znanéj nam analogii, Pawłem Lilienfeldem.

Analogia ta stanowi dla swych wielbicieli nader wdzięczny temat, gdyż raz uczepiwszy się go, nie rychło się z nim rozstają—nie prędzéj, aż zapełnią kilka sążnistych tomów. Znajduje to potwierdzenie w tylko co wspomnianym socyologu niemieckim, któremu téż nie obcym być musi duch słowiański, dzięki stanowisku gubernatora Kurlandyi, które, zdaje się, do dziś zajmuje. W ciągu swego urzędowania wypuścił on w świat pięć grubych tomów dzieła „*Gedanken ueber die Socialwissenschaft der Zukunft.*“ Z początku, a mianowicie w pierwszych częściach autor nazwiska swego nie ogłaszał, podpisując się jedynie swojemi inicyałami (P. L.), z czasem jednakże bojaźliwość pierzchła i gdy praca jego, bądź-co-bądź godna uwagi i osobliwa, zaczęła zwracać na się oczy uczonego świata i zaszczyconą została kilkakrotnie pochlebnemi odezwami, a w tym i owym znalazła nawet zapalonego czciciela, śmiało imię swe ogółowi wyjawił. Niezależnie zupełnie od myśli przewodniéj swego ogromnego wydawnictwa zyskał on sobie powszechny szacunek i niesłychaną erudycyą, którą ujawnił jednakowo we wszystkich działach „Myśli“, a specyalnie w tomie 5-m, gdzie zszedłszy z gruntu przyrodoznawstwa i nauki społecznéj w ścisłém znaczeniu, wkracza na obce profanom pole teologii i historyi religii i rozwija zdumiewające w tym zakresie oczytanie, jakiém poszczycić by się mógł nie jeden „książę kościoła.“

Lilienfeld, jak i duchowi jego towarzysze, przy całéj swéj pasyi do uszczęśliwiania społeczeństwa nowemi pomysłami, jest nadewszystko filozofem. Ogólny pogląd na świat jest tłem, podstawą, na któréj umocował dopiéro swoje wróżby i reformy socyalne. System jego jest nie nowy, choć określenie, jak zobaczymy, dosyć oryginalne. Na liczne zarzuty wzorowania się na Comt'cie, Spencerze i innych Lilienfeld odpowiada obroną, która wszakże zostaje bezowocną, o ile dotyczy uporządkowania zjawisk wszechświata w pewną klasyfikacyą, tu bowiem model francuskiego pozytywisty odegrał ważną rolę. Owa „realna analogia“ jest właśnie tego skutkiem, innemi słowy, następstwem bliskiego sąsiedztwa nauk o życiu i społeczeństwie, sąsiedztwa, które dziś już widzą i wyznają świadomie, lub bezwiednie wszyscy prawie myśliciele, życzliwi czy wrodzy Comte'owi. Co do reszty, Lilienfeld przypomina bardzo Spencera i Leib-

ściwiéj, więcéj, bo tyle, ile wyliczyć w tym szkicu nie bylibyśmy w możności.

Z kolei idą mięśnie. Ponieważ zadaniem ich jest pokonywać opór mechaniczny, przeto odbiciem ich w społeczeństwie są organy, również walkę z siłami natury na celu mające. A więc na czele ich stoi technika, maszyny, zakłady fabryczne, rękodzieła a za niemi wszystkie postaci pracy społecznéj, przetwarzające surowe żywioły w pożyteczne a nawet niezbędne podpory życia, cała sztuka, cała zmyślność, którą zwłaszcza nasza cywilizacya się szczyci.

Daleko łatwiéj wykryć w ciele towarzyskiem narządy odżywcze. Schaeffle upatruje je w instytucyach niezliczonych, w gospodarczych popędach i w całéj olbrzymiéj masie środków, któremi podtrzymuje się organizm społeczny i zaspokaja swe ziemskie potrzeby. Wreszcie wspomniéć należy o tym złożonym aparacie, który zarządza niezliczonemi czynnościami osobnikowego życia, który trzyma ster wszystkich władz duchowych i w chaos ich wprowadza ład i szyk. Mówimy tu o tkankach mózgowo-nerwowych, które, według Schaefflego, również widocznemi są w organizmie społecznym, gdzie przybierają urozmaiconą postać zasad i instytucyi, podtrzymujących jedność w społeczeństwie i skierowujących różnorodne siły do rozumnych celów.

Tak mniéj więcéj wygląda u Schaefflego teorya tkanek społecznych. Zanim przejdziemy do wyższych z kolei skupień, musimy powrócić jeszcze do istoty międzykomórkowéj. Jak wiemy już, w ciele zbiorowém składają się na nią przedmioty, znajdujące się pomiędzy rodzinami i w samych rodzinach. Substancya ta jest według autora niepodzielną, tak, iż członkowie rodzin sami niczego nie posiadają, lecz są jedynie niepodzielnymi uczestnikami wspólnego dobra. Ono zaś ma wzniosły cel łączenia komórek w jedno społeczeństwo w ten sposób, że jeśli nawet komórce-rodzinie dostanie się w udziale jakieś mienie, to tylko na prawie użytkowania własności zbiorowéj, która należy do ogółu, a nie do jednostek. Niech więc komórki nie pysznią się swoją wyłącznością, bo ta jest urojeniem, powstałem stąd, że historya włożyła na nie pewne funkcye i przeto tylko historycznie samoistność rodziny daje się usprawiedliwić.

A teraz idźmy daléj. Po tkankach następują narządy. Jest to zatém szczebel najwyższy połączeń, złożonych z niemających racyi bytu jednostek—pośrednio; bezpośrednio zaś z zespolonych tkanek. Organami w społeczeństwie są instytucye i klasy. Wobec nich już do reszty maleje indywiduum, które wtedy jedynie może się wzbić w znaczenie, jeżeli pełni obowiązki całego urządzenia. Widzimy

więc, że Schaeffle doszedł do zupełnego zaprzeczenia samodzielności jednostek; dlatego też namiętnie napada na prawo i wszystkie błędne pojęcia, zrodzone przez nie, głównie zaś na zgubną naukę o osobach fizycznych i prawnych. Stosunek ich do siebie autor wprost odwraca i twierdzi śmiało, że nie osoba prawna jest fikcyą, jak uczy prawo, lecz fizyczna,— prawna jedynie jest czémś realném. Prawo jest to szkodliwa, anti-socyalna propaganda, szerzy bowiem samolubstwo i wzgardę dla sprawy publicznéj.

Nadmienić wypada, że kaznodzieja, wyklinający w ten sposób zasadnicze nasze dogmaty, apostolstwo swe zowie, doświadczalną w ścisłém znaczeniu wyrazu teoryą, a wszystko, co się z nią nie zgadza—mrzonką, przywidzeniem.

Ostateczny wynik powyższych rozumowań jest taki: pierwiastkiem składowym ustroju społecznego są *grupy* ludzi wraz z przynależnym im materyałem surowym, narzędziami i wszystkiemi czynnikami bogactwa. Tylko one posiadają rozum i wolę. Reszta bańki mydlane. Stąd już niedaleko do duszy społecznéj, w któréj tak lubują się pisarze niemieccy, atoli szczęściem dla logiki, i tak już porządnie poturbowanéj, Schaeffle przyznaje, że tylko pod przenośnią zgodzić się można, na społeczną „psyche“, albowiem po za człowiekiem fizycznym ducha nie masz, co nie przeszkadza jednakże częstować czytelnika długiemi i nudnemi tyradami na temat ośrodków nerwowych w społeczeństwie.

Oto skrót téj części dzieła Schaefflego, która styka się bezpośrednio z naszym przedmiotem. Uważamy za zbyteczne zatrzymywać się na olbrzymich rozdziałach, poświęconych przez autora przyszłemu urządzeniu społeczeństw, a także niezliczonemu mnóstwu zagadnień nauki społecznéj. W tym nieprzebranym skarbcu znaleść można nieledwie wszystko, co kiedykolwiek służyło lub służyć będzie za przedmiot dociekania i sporów.

Ale cóż okazuje się? Cały ten potop nowych myśli, nie wyłączając i przytoczonych, za lada dmuchnięciem zimnego rozsądku, rozwiewa się jak mgła, jak fantazya poetycka od pierwszéj do ostatniéj litery. Oto przykłady.

Przypuśćmy, że życie społeczeństwa, rozumié się duchowe, należy koniecznie sprowadzić do pewnych ogólnych praw,—czyż idzie za tém, że mają to być prawa indywidualnego życia? Bynajmniéj. W téj zaś odpowiedzi, jaką nam dał autor, tkwi nieokiełznana samowola dedukcyi.

Następnie, na jakiéj zasadzie mamy nazywać ogół otaczających nas przedmiotów istotą międzykomórkową,—przecież są one ruchome, od naszéj woli zależne, przez nas stwarzane i przez nas niszczone.

Zresztą nasze domy, meble, maszyny przywozimy po części, lub całkowicie z innych krajów, z innych społeczeństw, a zatém z innych organizmów. Ciekawa rzecz, gdzie, w jakich gatunkach jestestw ożywionych, autor dostrzegł podobną wędrówkę substancyi z jednego osobnika do drugiego. Tak samo rzecz się ma i z komórkami. Jednostka nie ma z niemi nic wspólnego. Pomijamy już różnice duchowe, gdyż wobec dzisiejszego zamętu w pojęciach o psychicznéj naturze komórek—trudno coś stałego przytoczyć; ale ileż to innych niezgłębionych przepaści dzieli dwa te odmienne byty. Przedewszystkiém komórka ma swoje stałe siedlisko w danéj części ciała; człowiek zaś dziś wchodzi w skład organu rządzącego, albo — mówiąc językiem Schaefflego — tkanki kierowniczéj, jutro zaś może przejść do technicznéj. Lat kilka temu sam autor był ministrem, dziś jest filozofem, jutro gotów zostać inżynierem, a pojutrze żołnierzem. Lub jeszcze inaczéj: Schaeffle jest naraz i ministrem i ekonomistą, i myślicielem — no, a czyż komórka mózgowa w organizmie pojedyńczym bywa jednocześnie komórką żołądka?...

Posuńmy się o krok daléj. Komórkom społecznym Schaeffle odmawia wszelkiéj samoistności, wszelkiéj wagi i tylko skupieniu ich wraz z odpowiednią sumą dóbr przyznaje tytuł jednostki społecznéj, tylko rodzinie przyznaje racyą bytu. A jednakże zdaje się niewątpliwém, że autor, choć może głowa rodziny, ma swój własny majątek, prawdopodobnie dobrze zahipotekowany, i również małżonka jego, rodzice, jeśli żyją, i dzieci. Nadto ryzykowném jest twierdzenie, że osobistość — to fikcya, że metoda doświadczalna li tylko w rodach widzi osobę; albowiem Schaeffle zapomina, że nasz ziemski wzrok, jakby na przekór, urządzeń społecznych, jako jednostek socyalnych nie widzi, a natomiast dostrzega i jedynie bada osoby z krwi i ciała. Instytucya pozostanie dla nas zawsze oderwaniem.

Nie ma celu wytykać w dalszym ciągu błędy powyższéj teoryi, można je mnożyć tak, jak się mnoży zarodkowa komórka ustrojów, owa przypuszczalna amoeba—do nieskończoności prawie. Dziwactwa te byłyby niepojętemi dla nas, gdyby ich nie usprawiedliwiała poniekąd dążność autora: unicestwienie indywidualności, wytępienie osobistego dobra, podniesienie do najwyższéj godności zbiorowych urządzeń socyalnych. Ideał ten wyziera i z innych prac niemieckiego myśliciela, który w rozpatrywaném dziele chciał go jedynie uzasadnić, a właściwie naciągnąć i doszedł do tego, że podkopał samę analogią i ulubioną tendencyą.

Teraz już stało się dla każdego jasném, że nie dla logicznéj zabawki uczeni dowodzą podobieństwa grup towarzyskich do orga-

nizmów — lecz dla idei poważniejszéj. Jaka ożywia Schaefflego — wiemy już i zapamiętajmy ją, gdyż przyda się nam późniéj.

* * *

Krócéj zatrzymamy się nad drugim wybitnym zwolennikiem znanéj nam analogii, Pawłem Lilienfeldem.

Analogia ta stanowi dla swych wielbicieli nader wdzięczny temat, gdyż raz uczepiwszy się go, nie rychło się z nim rozstają—nie prędzéj, aż zapełnią kilka sążnistych tomów. Znajduje to potwierdzenie w tylko co wspomnianym socyologu niemieckim, któremu téż nie obcym być musi duch słowiański, dzięki stanowisku gubernatora Kurlandyi, które, zdaje się, do dziś zajmuje. W ciągu swego urzędowania wypuścił on w świat pięć grubych tomów dzieła „*Gedanken ueber die Socialwissenschaft der Zukunft.*“ Z początku, a mianowicie w pierwszych częściach autor nazwiska swego nie ogłaszał, podpisując się jedynie swojemi inicyałami (P. L.), z czasem jednakże bojaźliwość pierzchła i gdy praca jego, bądź-co-bądź godna uwagi i osobliwa, zaczęła zwracać na się oczy uczonego świata i zaszczyconą została kilkakrotnie pochlebnemi odezwami, a w tym i owym znalazła nawet zapalonego czciciela, śmiało imię swe ogółowi wyjawił. Niezależnie zupełnie od myśli przewodniéj swego ogromnego wydawnictwa zyskał on sobie powszechny szacunek i niesłychaną erudycyą, którą ujawnił jednakowo we wszystkich działach „Myśli“, a specyalnie w tomie 5-m, gdzie zszedłszy z gruntu przyrodoznawstwa i nauki społecznéj w ścisłém znaczeniu, wkracza na obce profanom pole teologii i historyi religii i rozwija zdumiewające w tym zakresie oczytanie, jakiém poszczycić by się mógł nie jeden „książę kościoła.“

Lilienfeld, jak i duchowi jego towarzysze, przy całéj swéj pasyi do uszczęśliwiania społeczeństwa nowemi pomysłami, jest nadewszystko filozofem. Ogólny pogląd na świat jest tłem, podstawą, na któréj umocował dopiéro swoje wróżby i reformy socyalne. System jego jest nie nowy, choć określenie, jak zobaczymy, dosyć oryginalne. Na liczne zarzuty wzorowania się na Comt'cie, Spencerze i innych Lilienfeld odpowiada obroną, która wszakże zostaje bezowocną, o ile dotyczy uporządkowania zjawisk wszechświata w pewną klasyfikacyą, tu bowiem model francuskiego pozytywisty odegrał ważną rolę. Owa „realna analogia“ jest właśnie tego skutkiem, innemi słowy, następstwem bliskiego sąsiedztwa nauk o życiu i społeczeństwie, sąsiedztwa, które dziś już widzą i wyznają świadomie, lub bezwiednie wszyscy prawie myśliciele, życzliwi czy wrodzy Comte'owi. Co do reszty, Lilienfeld przypomina bardzo Spencera i Leib-

nitza. Sensualizmu się wypiera w następującéj formułce: *nihil est in intellectu, quod non prius fuerit in sensu, nisi intellectus ipse.* „Nie ma nic w umyśle takiego, coby nie przeszło najpierw przez zmysły, prócz samego umysłu“, który tym sposobem uznanym zostaje za władzę pierwotną, wolną, idealną. Stosunek ducha do materyi określa również ciekawém prawidłem. Oto udział téj ostatniéj we wszechbycie, w tak zwanéj substancyi, zmniejsza się stopniowo na korzyść pierwiastku idealnego w kierunku od istot nieorganicznych ku najwyższym organicznym, jakiemi są społeczeństwa ludzkie, a w końcu najbardziéj uduchowiony ustrój chrześciański, czyli organizm złożony z komórek—chrześcian. Tym sposobem zjawiska kosmiczne układają się w szeregi, a te znowu w drabinkę, albo, jak woli Lilienfeld, w postęp geometryczny, którego pierwszy wyraz składa się z nieskończenie wielkiego materyalnego licznika i bezgranicznie małego idealnego mianownika — ostatni zaś, przeciwnie, z tychże pierwiastków, lecz w stosunku odwrotnym. Nie mniéj szczególném jest, że autor ten nie tylko w społeczeństwach ludzkich widzi wszystkie bez wyjątku cechy ustroju, ale, jakeśmy wzmiankowali, w religijném bractwie chrześcian, czego usiłuje dowieść w tomie piątym przy pomocy ogromnego materyału teologicznego.

Lilienfeld jest może najzaciętszym bojownikiem organicznego na społeczeństwo poglądu. Zarówno w skupieniach socyalnych, jak w bractwie wiernych, jako takiém, z niesłychaném zaślepieniem odkrywa wszystkie bez wyjątku właściwości pojedynczych organizmów, przez co uproszcza się znakomicie nasze zadanie. Zbiorowe jednostki Lilienfelda podlegają całkowicie i bezwarunkowo prawom biologii, które dzieli na trzy główne kolumny: fizyologicznych, morfologicznych i tektologicznych; każdéj z nich poświęcił osobny tom. Pierwsza obejmuje prawa odżywiania ciała społecznego, druga normy i urządzenia prawne, czyli innemi słowy, te formy i kształty, jakie przybierają składowe czynniki takiego osobnika, i postaci wzajemnych między niemi stosunków prawnych, wreszcie trzecia wyczerpuje ogół praw politycznych, t. j. kierujących życiem organizmu. W każdym z tych działów uderza czytelnika nieograniczona moc danych naukowych, porównań, szczegółów analogii, które w podziw wprawiają, ale nie wpajają w nas żadnego do siebie przekonania. Przebiegamy te nieprzebyte lasy dowodów, — oszołomieni, ale.... chłodni i obojętni.

Lilienfeld nader szeroki stawia zakres socyologii i pragnie być dla niéj tém, czém np. Wagner dla muzyki, t. j. nie tylko apostołem lepszéj przyszłości, ale i prorokiem odrodzonéj wiary. W owym organizmie bractwa ewangelicznego, jak w ognisku, zbiegają się pro-

mienie poprzednich jego nauk; ono jest kresem, kwintesencyą moralną całego wykładu. Idea organizmu posłużyła za most, łączący dwa odwiecznie wrogie obozy: naukowy i religijny. Dziwne to na pozór, a jednak prawdziwe. Oto jakim sposobem. (Patrz *Versuch einer natürlichen Theologie*).

Bractwo chrześciańskie jest „realnym organizmem“; to znaczy, że nie jest nim w przenośni, w retorycznéj mowie, ale i w rzeczy saméj; nie brak mu zgoła żadnéj z cech znamiennych ustrojowości. Są tam i narządy i funkcye. Są komórki, istota między komórkowa, włókna, ośrodki nerwowe, odruchy, ruchy, wszelkie czynności. Głównym organem jest Chrystus. Rola i dzieje jego nie są mytem, lecz faktem biologicznym. Gdy pewne skupienia tkanek tracą energią życiową, inne poświęcają się dla ich podtrzymania. Chrystus w taki sam sposób poświęcił się dla zbawienia ludzkości wraz z wieloma świętymi. Nagromadzenie cnót ma tę samę własność, co nagromadzenie życiowych soków w cielesnych organach, co nagromadzenie kapitału w pewnych klasach społeczeństwa, pozwala ono innym, mniéj zasobnym w materyalne lub duchowe dobro organom korzystać z kredytu.

I myt o Adamie i Ewie, i teoryą aniołów, i objawienie i wszystkie sakramenta bierze nasz filozof na seryo i wynajduje im odpowiednie miejsce w organizmie ewangelicznym, mając je za pewne realne procesy życiowe. Wiarogodność „historyi świętéj“ i „dogmatów“ nie podlega więc wcale sporowi, — jedynie wątpliwość zachodzi co do tego, która z postaci chrystyanizmu jest racyonalniejszą: katolicyzm, trochę zanadto materyalny, zanadto na formach i obrzędach oparty; czy protestantyzm, za nadto idealny, za mało przez ceremoniał i kościół uzewnętrzniony. Prawa o dziedziczności, walki o byt, przystosowania również wielkie spełniają posłannictwo w dziejach nieśmiertelnego tego organizmu. One to sprawiły, że pochwycił on co najlepsze z filozofii klasycznéj, że stał się spadkobiercą przedniejszéj myśli greckiéj i przed-greckiéj, że umiał zawsze dopasowywać się do wymagań i nastroju ludów, które weń wierzyły i tym sposobem zdołał przetrwać w całéj coraz rosnącéj potędze do dnia dzisiejszego. Wszystko to Lilienfeld nazywa „nauką socyalną“ wprawdzie „przyszłości“, — ale to pewna, że społecznych myśli w niéj mało. A w każdym razie zeszły one jakoś na drugi plan.

Widzimy zatém, że urojeniom i oderwaniom niczém nieuzasadnionym Lilienfeld chiał nadać cechę realizmu, wycisnąć na nich pieczęć naukowości, uświęcić powagą przyrodniczéj ścisłości, by ostatecznie pogodzić wszystko, co jest na świecie powaśnioném. Do tak wzniosłéj zaiste misyi wybrać ideę organizmu—pomysł nowy i oryginalny! Szkoda, że... jałowy.

Lilienfeld najszerzéj chciał wyzyskać pojęcie organizmu, a analogią posunął do ostatecznych krańców. Jest on tego świadom, bo powiada: jeżeli uznawać podobieństwo między społeczeństwami a organizmami — to bezwzględnie, jako realną analogią, jako tożsamość, połowiczni zwolennicy są to najgroźniejsi wrogowie całéj szkoły. A przecież ten sam uczony drwi z kilku swoich sprzymierzeńców, którzy w społeczeństwie dopatrują się gwałtem pewnéj określonéj formy zwierzęcéj.

Wywody praktyczne „homologii“ Lilienfelda się smutne. Członek społeczeństwa jest marną komórką, prochem odpadłym od wielkiéj jednolitéj bryły, bez któréj żyć nie może. Niechaj nie próbuje wyzwalać się i dobro swoje przeciwstawiać lub choćby stawiać na równi z interesem całego społeczeństwa. Panują nad nim wszechwładnie prawa organizmu, których interes osobisty, zachcianki indywidualne nie złamią—lepiéj więc się poddać.

Skarana na zagładę swoboda jednostki zżyma się na ten okrutny wyrok i na szczęście podyktowało go tylko zaślepienie uczonego. Zobaczymy, że Lilienfeld jest najsurowszym z całego grona, rychło więc z nim rozstajemy się.

* * *

Pożegnawszy owych mglistych uczonych niemieckich, którzy zaleli swe teorye potopem ciężkich terminów i stworzonych *ad hoc* pojęć w rodzaju „realnéj analogii“ lub „analogii natury“, w przeciwstawieniu do „analogii umysłu“, jak gdyby istniała jakaś analogia po za nim—przechodzimy do myśliciela grubszego kalibru, do człowieka, który swym wpływem rozległym szczególnie przyczynił się do nadania teoryi organicznéj praw obywatelstwa; jest nim anglik, Herbert Spencer. Przeskok ten równa się przejściu z mroku do światła. Pomysły Schaefflego i Lilienfelda są w stanie wywołać zawrót głowy właściwą im „*Spitzfindigkeit*“. Gdyś już nareszcie zapoznał się z ich sążnistemi tomami, zapytujesz: koniec końców, jakże pojmują oni społeczeństwo; jest że ono ustrojem? Nie, nie jest, boć przecie sam Schaeffle uprzedza o mnóstwie kardynalnych między nimi różnic, choć za chwilę o tém zapomina. Lecz może to ustrój „*sui generis*“. Nie, to rzeczywisty organizm—co wypływa z realnéj analogii; lecz czémże jest znowu ten dziwoląg? jakąś *contradictio in adjecto*, która dla autorów samych wytwarza plątaninę bez wyjścia a dla czytelników jest już całkiem niedostępną. Zdaje mi się, że trzeźwemu wzrokowi ten łańcuch wywodów, przemocą poszczepianych z sobą, przypomina bardzo zagadnienia scholastyków jak np. to: czy osioł przywiązany jest do drzewa, czy drzewo do osła?

Spencer przez swą wyrazistość tworzy kontrast z rzeczonymi pisarzami. Nawet najbardziéj naciągane dowodzenie przybiera u niego pozór prawdopodobieństwa i narazie olśniewa. Ciemności rozjaśnia wykład przejrzysty jak górski kryształ, nader zręczne ustawienie faktów. Zalety te zyskały utworom Spencera olbrzymi, więcéj niż zasłużony rozgłos, a jego teorya społeczeństwa służyła za główną zachętę pokrewnym uczonym, jak znany nam Schaeffle, który sam się do tego tu i owdzie przyznaje, jak Fouillé i inni, a w każdym razie nie ma dziś pisarza społecznego, któryby miał odwagę nie liczyć się z „Zasadami Socyologii". Na pierwszy rzut oka dziwném się wydaje, że syn trzeźwéj Anglii poddał się urokowi szkoły organicznéj i zupełnie poważnie opracowuje osławioną analogią, ale zapoznawszy się jako tako z całym jego systematem filozoficznym, daleko łatwiéj tę anomalią zrozumiéć. Owóż Spencer jest przedewszystkiém przyrodnikiem, a osobliwie biologiem; badanie istot ożywionych stanowi, rzec można, punkt wyjścia wszystkich jego uogólnień. Treść swéj olbrzymiéj pracy „System filozofii syntetycznéj" rozłożył w ten sposób, że jak u Comte'a socyologia znalazła się na końcu—nie liczymy rozumie się etyki jako na wskróś filozoficznego działu, reasumującego wszystko co powiedziano przed nim, kazał więc tamtéj zbierać owoce, nad któremi pracowała nauka o życiu wraz z nauką o duszy. Myślą zasadniczą, przenikającą wszystkie jego doktryny, jest idea *ewolucyi*, którą przeprowadza konsekwentnie od świata nieorganicznego aż do uduchowionego, tj. do organicznego i społecznego. Ewolucyą tę pojmuje w ten sposób, że wszystkie znane zjawiska nas otaczające układa pod względem duchowego wyrobienia, czy téż udoskonalenia, w drabinkę złożoną z mnóstwa szczebli bardzo blizkich siebie—i tak iż każdy stanowi stadyum rozwoju bardzo blizkie następnego. Innemi słowy, nie wierzy w *rewolucyę*, którą uważa za negacyę, przeciwstawienie ewolucyi. Wpływ téj zwierzchniczéj zasady stopniowego doskonalenia się bytów, odnajdujemy w teoryi społeczeństwa, w którém Spencer widzi jedynie wyżéj uposażony ustrój. Zauważyć jednak należy, że przeoczył on jednę bardzo ważną okoliczność, która go pozbawia prawa bezpośredniego zczepiania nauki o społeczeństwie z nauką o życiu, on to bowiem wstawił w klasyfikacye Comte'a pomiędzy dwie rzeczone dziedziny psychologią, czém zaznaczył znakomitą odległość zjawisk specyficznie społecznych od pojawów specyficznie życiowych.

Po tym wstępie ogólnym, dotkniemy już saméj teoryi społeczeństwa. Dla czegoż, według Spencera, skupienia ludzkie należy uważać za pojedyńcze organizmy? Oto dla tego, że jak ich pierwowzory, rodzą się, żyją, rozwijają się, chorują, umierają. W istocie dużo

tu zachodzi podobieństwa, prawdą jest, że z ograniczonéj liczby jednostek drogą rozmnażania powstaje gromada, prawdą jest, że społeczeństwo przy odpowiednich warunkach wzrasta w potęgę i trwałość, prawdą jest wreszcie, że wskutek nadużyć, lub braków w życiu choruje, niszczeje i do pewnego stopnia umiera.

Nadto Spencer dostrzega bliskie podobieństwo w budowie obu całokształtów: społeczeństwa również składają się z komórek, istoty międzykomórkowéj, z organów jeden drugiemu podporządkowanych. W miarę rozwoju zachodzą w nich jakoby też same zmiany, które łatwo dostrzegamy w pojedyńczych ustrojach, a mianowicie potęguje się wzajemna zależność narządów, czego prawie że niema wcale w typach pierwotnych jak np. w koralach; a jednocześnie zwiększa się różnorodność, specyalizacya i liczba organów. Tak np. według Spencera, system narządów roznoszących po społeczeństwie soki ożywcze na podobieństwo takiegoż aparatu w jednostkach dopiero z czasem dosięga prawdziwie celowéj doskonałości.

Bliżéj uzasadnia Spencer analogią w rozdziałach poświęconych każdy z osobna jednéj z trzech głównych grup narządów: wytwórczych, rozdzielczych i rządzących albo raczéj kierowniczych. Znajdujemy tam te same, mniéj więcéj, spostrzeżenia, jakie poczynili w tym względzie Schaeffle i Lilienfeld. Wiele téż prawi Spencer o powinowactwie procesów odżywczych. Podobnie jak w ustrojach pojedyńczych każda część kanału pokarmowego ma swój cel i odgrywa swoję rolę w ogólnéj działalności odżywczéj, tak téż w zorganizowanych gromadach ludzkich rozmaite części terytoryum wytwarzają różne gałęzie przemysłu, stosownie do rodzaju produkowanego przez się surowego materyału. Narządy podziału upatruje nasz myśliciel w systemacie dróg i komunikacyi, które ma za istotne arterye. Znamienném jest, że to co Schaeffle odkrywa w kościach, mianowicie mechanizm komunikacyjny, dla Spencera spoczywa w naczyniach krwionośnych. Zdaniem tego ostatniego, w obu porównawczych sferach, w miarę rozwoju ogólnego, ulepsza się i sieć komunikacyi, mnożą się jéj środki i sposoby, drogi stają się prawidłowszemi i dogodniejszemi oraz zyskują na rozgałęzieniu. Nie pamiętam już w którém miejscu, Spencer cieszy się niezmiernie z odkrycia przez siebie kolei żelaznych w indywidualnych ustrojach i chciwie rzuca się na podwójne linie szyn, w których wita podwójne naczynia krwionośne, pędzące krew do serca i z serca.

Jeszcze więcéj pomysłowości okazuje filozof angielski, porównywając systemy narządów kierowniczych, przyczém spora cząstka przypada na ulubioną naukę Spencera o ześrodkowywaniu się procesów duchowych. U istot słabo rozwiniętych centralizacya władz

niemateryalnych wynurza się nader skąpo, tak iż prawie że równomiernie rozlane są po całém ciele, jak np. czucie, a środkowego siedliska ducha w nich niepodobna dobadać się. Toż samo zachodzi i w społeczeństwach zarodkowych, gdzie poczucie łączności i jedności władz jest błahem i nie wytrzymuje silniejszego naporu z zewnątrz. Lecz jak tam pod wpływem walki o byt i skojarzonych z nią czynników duch potęguje się i skupia, coraz to widoczniéj ogarniając pewien organ centralny—tak i tu walka z sąsiadami wzmacnia władzę państwową i sprzęga rozstrzelone pierwiastki. Z jednéj strony komplikuje się gałąź nerwów przenoszących rozkazy i życzenia, wychodzące z ogniska, z drugiéj znowu—mnożą się sposoby przesyłania rozporządzeń administracyjnych. Staje się szybszą i regularniejszą komunikacya głównego siedliska czucia z peryferyami, w jednostce dzięki mnóstwu nerwowych nici, w społeczeństwie dzięki telegrafom, poczcie, dziennikarstwu itd., do których Spencer w nowém wydaniu zapewne nie omieszka dodać telefonów Bella. Nadto w ustroju, prócz powyższych roznosicieli uczuć, myśli i ruchów, znajdują się samoistne grupy nerwów, jak sympatyczne, kierujące działalnością odżywczą i naginające dostawę krwi do potrzeb miejscowych. Otóż *pendant* takowych, wedle Spencera, mają stanowić w ekonomii społecznéj te specyalne prawa, które rządzą produkcyą kraju oraz te urządzenia bankowe, które normują zasób niezbędnego kapitału, zwiększając go, lub uszczuplając stosownie do potrzeb.

Nie będziemy daléj snuli wszystkich włókien podobieństwa, zauważymy jeszcze tylko, że Spencer organy zewnętrzne odnajduje również w społeczeństwie, a mianowicie w jego środkach obrony: w armii, flocie etc. Natomiast zważmy wartość téj misternéj paraleli i tkwiącéj w niéj myśli przewodniéj.

Wypada oddać Spencerowi sprawiedliwość, że sam nie zamyka oczu na rdzenne pomiędzy obydwoma szeregami tworów różnice, wielkiéj jednakże liczby ich nie zauważył. Tak np. społeczeństwa, jak wiadomo, posiadają dar wzrostu, obcy zupełnie jednostkom, a mianowicie drogą podbijania innych gromad ludzkich i wcielania ich w siebie. Następnie pojęcie śmierci w ścisłém znaczeniu wyrazu nie może miéć zastosowania w historyi społeczeństw, albowiem, w najgorszym razie, mogą one utonąć w innych, zlać się z niemi, zmienić pewne cechy charakterystyczne, jak religią, język, właściwości rasowe pod wpływem czynników zewnętrznych, ale nigdy skonać. Rzymianie, Grecy, Fenicyanie, Indusowie, Chaldejczycy, Persowie doświadczali najbardziéj burzących wstrząśnień dziejowych a wszelako *in corpore* żadna siła wytępić ich nie mogła i nie może. Więcéj nie potrzeba.

Nie więcéj jest udatném upodobnienie gospodarki społecznéj do czynności odżywczych w jednostce: tu ona wychodzi z jednego źródła, żołądka i rozchodzi się w zmienionéj postaci po całym organizmie—tam każdy pracuje dla siebie.

Dwa prawa zasadnicze, całkowania i różnicowania, w których ma przebijać się naczelne prawo wszelkiego rozwoju, również nie osobliwie licują ze społeczeństwem, a przecież to są tematy ulubione Spencera, konik z którego prawie nie zsiada. W świecie osobników odkrycie to przekonywa i potwierdza zjawisko, że ustroje w miarę postępu coraz bardziéj jednoczą się w sobie, skupiają sprzęgają, a jednocześnie struktura ich zbogaca się nowemi narządami. Dowodów daleko szukać nie potrzeba—dosyć zestawić gatunki niższe z wyższemi. Jednak reguła ta w skupieniach ludzkich wyśledzić się nie daje na nieszczęście dla hipotezy, choć doprawdy na szczęście dla dobra człowieka. Postęp społeczeństw przedewszystkiém wyrażać się musi w *zrównaniu* polityczném, ekonomicznėm i umysłowém obywateli, w usuwaniu różnic kastowych. Dziś szczycimy się humanizmem, który powstaje przeciw specyalizacyi organów. Zwęża ona koryto życia jednostkowego, czyni je jednostronném, gdyż zupełnie naturalnie przytępia, lub zgładza te zdolności i siły, których nie ma się sposobności ćwiczyć. Podział pracy nietylko w zajęciach fabrycznych obniża intelektualny poziom człowieka; też same skutki wywołuje on i na szerokiéj arenie cywilizacyjnego życia, skazując większość na żywot zwierzęcy, nieświadomy, a uprzywilejowanéj mniejszości zapewniając udział w rozkoszach duchowych. Dzisiejsza téż idea państwowa tu i owdzie przeciwdziała złu. Tak np. wkładając na wszystkich obowiązek bronienia ojczyzny, do czego wieki średnie dawały prawo tylko szlachcie feudalnéj. W ten sposób zanika stopniowo surowa klasa wojowników, nie zdolna do niczego prócz wojaczki, łupiestwa, rabunku, zasklepiona w najgrubszych obyczajach, oddzielona od reszty obywateli chińskim murem przesądów i spaczonych pojęć. Do tego samego zmierza polityka gospodarcza, gdy wymaga dla robotników pewnego wykształcenia, gdy usiłuje uprzystępnić im dorobek cywilizacyjny, gdy wreszcie od warstw nieprodukcyjnych domaga się udziału w pracy technicznéj.

W praktyce Spencer daje prawom całkowania i różnicowania bardzo duże zastosowanie. W lennym stosunku poddaństwa do niéj stoją znakomite jego prace o stopniowém powstawaniu władzy monarchicznéj, religijnéj, władzy obyczajów, słowem to wszystko co zapełnia II-ą część zasad socyologii oraz jéj zarodki wydawane p. t. „Essays".

Spencerowska teorya społeczeństwa stanowi, rzec można, syntezę innych postaci tego samego organicznego kierunku, godzi ona ich sprzeczności w przestrzeni, tak jak czyni to w czasie nauka Fouillé'go. Łączy ona dozgonnym węzłem małżeńskim podzielność, dyskretność materyalnéj istoty społeczeństwa z solidarnością czyli niepodzielnością jego duchowego pierwiastku. Przyznaje ona, że osobnik nie jest bezwiednie i niewolniczo przykutym do całości, żyjącym tylko dla niéj, a jednocześnie duchowości społecznéj stawia za ideał całkowanie, jedność. Tym sposobem prawo wielości i prawo jedności zaprzężone są do jednego rydwanu, synteza podobna— to mrzonka. Są to dwie niepojednane siły, odśrodkowa i dośrodkowa, jedna drugą neguje, paraliżuje, wywołuje rezultat wprost przeciwny temu, jakiego oczekuje autor. Im bardziéj, powtarzamy, klasa społeczna jako organ ciała społecznego oddaje się swéj specyalnéj funkcyi, tém widoczniéj odżegnywa się od wspólnéj samowiedzy i staje się automatem, martwą sprężyną. Oto rdzeń sprzeczności, które podkopują zgrabny gmach rozumowań Spencera i ściągają nań grady napaści i słusznych a surowych krytyk.

(*d. n.*) *Napoleon Hirszband.*





RYSZARD WINCENTY BERWIŃSKI.

RYS BIOGRAFICZNO - KRYTYCZNY.

II.

Z przedstawionego obrazu życia Berwińskiego widzimy, że w zakresie twórczości literackiéj (1) może on być rozpatrywany: jako pisarz polityczny, t. j. publicysta; jako zbieracz poezyi ludowéj, przeważnie epickiéj; jako dziejopisarz a zarazem krytyk téj twórczości; a wreszcie, jako poeta-liryk. W piérwszych trzech grupach zasługa jego dla literatury naszéj jest, że tak powiem, doraźna i tak drobna, że bliżéj tu nad nią zastanawiać się nie będziemy. Natomiast, jako poeta satyryczny, a zwłaszcza erotyczny, zajął Berwiński tak wyraźnie określone i tak wysokie stanowisko, że zasługuje na szczegółową ocenę.

Skarby te liryzmu polskiego zawierają się w dwu małych tomikach poezyi, nie przenoszących razem dwustu czterdziestu stron bujnego druku, a włączając do tych „*Poezyi*“, wydanych w Poznaniu (t. I) i w Brukseli (t. II), kilkanaście ustępów wierszy pojedyńczych, bądź w rękopiśmie pozostałych, u przyjaciół lub u rodziny, bądź też drukowanych w „Tygodniku Literackim“ i w „Przeglądzie Naukowym“ (warszawskim), najwyżéj do 300 str. dochodzą.

Z istoty swojéj rozpadają się one na trzy grupy: *a) Księga światła i złudzeń*, jak nazywa Berwiński, są to poezye wyłącznie *erotyczne*; *b) Księga życia i śmierci* — poezye społecznéj i polityczno-lirycznéj treści; *c)* trzecią grupę stanowią utwory jaskrawym indywidualizmem i jaskrawszą jeszcze ironią nacechowane,—są to: *Don*

---

(1) Obacz niżéj przypisek na stronie 480.

Juan Poznański, *Parabaza* do Don Juana i *Ostatnia spowiedź w starym kościele.*

Erotyki Berwińskiego są zaokrągloną i mistrzowską całością, dzieje jego serca odsłaniającą. Ułożone, jak się zdaje, w porządku chronologicznym, coraz inne kształty i stopnie uczuć w biegu czasu wypowiadające, z wyjątkiem wiersza p. t. „*Żeglarz*“, epizodycznie tu wtrąconego, a ułożonego w kształcie niby ballady; wiersz ten i pod względem pomysłu jest słaby i jak sam poeta przyznaje, mający bliskie powinowactwo ze Świtezianką Mickiewicza i pod względem formy należy do najsłabszych. Wyjątkowe również stanowisko zajmuje drugi w tymże rodzaju p. t. *Tajemnica*, także całkiém oryginalności pozbawiony, bo przypominający liczne téjże treści utwory romantyków, nawet A. E. Odyńca (Na zamku kasztelana...), a chorobliwym, średniowieczno-rycerskim idealizmem zabarwiony i zaledwo lekką nicią wspólnictwa spojony z całą jego twórczością erotyczną. W tych obu ustępach, a zwłaszcza w „Żeglarzu“, jeszcze prawie brak wyrobionéj formy, poeta porusza się cały w zapożyczonym od Mickiewicza rynsztunku stylistycznym, oczywiście, jak każde naśladownictwo, mniéj szczęśliwie wykonanym, a stąd i myśl płynie rozwlekle, nudnie, gawędziarsko. Za to wszystkie inne ustępy są malutkiemi arcydziełami, w których poeta zdobywa się na oryginalną, wyrazistą indywidualnością swoją formę wygłaszanych uczuć, co właśnie najważniejszą i najtrudniejszą stronę w erotyce stanowi.

Powiadają, że ze wszystkich odcieni uczuć, jakich dotykać może poezya, miłość najważniejszą gra rolę; że z jéj sposobu traktowania określić można nie tylko człowieka, twórcę téj miłości, ale i duch czasu, oraz nastrój ogólny wyobrażeń w danym czasie panujących. Otóż z Berwińskim ma się wręcz przeciwnie: gdzieindziéj (w „Księdze życia i śmierci“, w „Spowiedzi“, „Parabazie“) w społecznéj i politycznéj treści lirykach, odsłania do naga nie tylko siebie, ale i owoczesny nastrój społeczny, gryzące jego rany nieuleczalne, odszkicowane oczywiście w sposób niepomiernie przesadny; ale w erotykach tego wcale nie widzimy. Tam, realista z przyrodzenia nieustanną stacza walkę z panującym idealizmem literackim i jego wynikiem poetycznym—romantyzmem. Ta tedy właśnie walka stanowi tajemnicę całéj ekspresyi piękna i oryginalności rysunku jego liryzmu: tam nawet, gdzie poeta poniewolnie rynsztunek romantyczny przywdziewa, gdzie się skarży na zawody miłosne, kiedy mówi o sobie: „On zawsze w snach żyjący, a śniący na jawie, Nigdy nazbyt wesoły, a zawsze nieśmiały“, — albo kiedy wyrzeka, że „bez słońca, bez gwiazdy“ swojéj prowadzić musi żywot tułaczy — i tam nawet czuć jakąś męskość, jakieś potężne uczucie, pulsujące

w łonie człowieka, który nawet potrzebując zgiąć kolano, umié być dumnym i niezależnym. Lubo tedy wogóle widzimy w erotykach, że jest nieco skrajnym romantykiem, bez ballad i światła księżycowego obejść się nie mogącym; mimo to przedewszystkiém jest *sobą*, człowiekiem, który nie waha się w złéj czy dobréj doli do swojéj Stelli ziemskim przemawiać językiem. Czuć w nim krew młodzieńczą, niekiedy do wysokiéj temperatury namiętności podniesioną; ale ta namiętność jest szlachetna, czysta, wolna nietylko od wszelkiego wyuzdania, ale od takiéj np. plastyki zmysłowéj, w jakiéj się lubował Jędrzéj Morsztyn, kiedy mówił: „I wiersz niedobry, kiedy nie swawolny.“ Przeciwnie, B-ski zmysłowość z pogardą odrzuca:

„A paść jéj lice nie będę śnieżne,
Tak jakby innym przystało;
Ni rąk uściskiem, okiem lubieżném:
To wszystko ciało — precz ciało.“

Pierwszy ustęp „Księgi świata i złudzeń“ p. t. *Wstęp i koniec*, jak sam tytuł wskazuje, jest niby zreasumowaniem wszystkich przejść jego erotycznych; mówi, że „nie jednę perłę Kleopatry z niejednéj czary wychylił“, że „pił z kielicha miłości“ i „na dnie dopił się jadu.“ A więc świat szczęsnych złudzeń stoi prawie tuż obok z rozczarowaniem, — a za całe wspomnienie tego dziwnie powabnego marzenia młodości, pozostał pomnik z wystudzonéj już niby „lawy uczuć“ jego, z napisem: „*Minęło.*“ Wiersz ten piękny, ale nie należy do najlepszych; estetyczna wartość jego opiera się głównie na porównaniach — z motylem, morzem, wulkanem, które wogólności pięknie harmonizują z całością obrazka.—„*Piérwsze sny*“ jest-to właściwy początek jego erotycznych natchnień, poeta cały opromieniony najwznioślejszym idealizmem i czystością uczucia, buja w nadziemskich sferach na sposób ultra-romantyczny, gdzie w eterycznéj osłonie widzimy ideał jego marzeń czy uczuć (bo tego dwojga oddzielić niepodobna):

„Marzę o tobie, o niewcielona
Serca mojego kochanko!
O tobie, gwiazdo mojego łona,
Mojego nieba mieszkanko!
Marzę i tęsknię — i mleczną drogę
Snów mych zawieszam na niebie.“

Ustęp ten z tego względu należy do najcharakterystyczniejszych, że najmocniéj jest zabarwiony kolorytem panującego romantyzmu; zdobią go szczęśliwe metafory, lubo zrzadka wyskoczą i mniéj udatne wyrażenia (jak owa „Gwiazda mojego łona“), które przekonywają czytelnika, że wiersz ten należy do wcześniejszych płodów muzy jego erotycznéj.—„*Pierwsze zbudzenie*“ z tego powodu zwraca na sie-

bie uwagę krytyka, że tu już forma jego liryzmu podnosi się na te wyżyny piękna, które uwydatniają go w literaturze naszéj. Fluktuacya wprawdzie uczuć, a zwłaszcza ostatni ustęp („Ty zwiędniesz, a ja będę jak śpiewak szalony...") jest tego rodzaju, że przypomina twórczość arcymistrza jego w poezyi — Mickiewicza, czuć całą romantyczną sferę, wśród któréj krąży pieśniarz,— ale zarazem celuje tu jako poeta potężnéj siły liryzmu i zarysowuje odrębność i wyrazistość swojego talentu. Co do treści, są to dzieje piérwszego zawodu w miłości, ale trudno mi odpowiedzićć, czy piękny obraz piérwszéj rany jego miłosnéj stosuje do p. W....ówny, czy jest tylko ogólném obrazowaniem dziejów jego serca? Materyały, jakiemi rozporządzać mogłem, nie podają mi odpowiednich komentarzy, a dalszy wiersz p. t. „*Do jednéj dla wszystkich*", zdaje się usprawiedliwiać to drugie przypuszczenie, bo chociaż i tam mowa o głównym ideale jego („I ty moją miłością chcesz być nieśmiertelna"), ale wypowiada poeta bardzo wyraźnie tę myśl, że cierpienie jego nie jest czémś wyjątkowém, że cały ten motylkowaty ród niewieści na jednę modłę odwzorowany: każda z nich ma w pamięci Laurę czy Marylę, każda nie waha się bohatera swego wykierować na zbłąkanego Gustawa.

„*Wspomnienia*"—to najpiękniejszy obraz indywidualności poetycznéj Ryszarda Berwińskiego i dominującéj siły jego uczucia,— ma jednak pewne wspólnictwo w wypowiadaniu boleści swoich „z metodą" artystyczną mistrzów, u których może mimowiednie musiał się zapożyczać, a przedewszystkiém u Mickiewicza („Sonety", „Dziady"). Mylne natomiast jest zdanie pani Marrené, jakoby wiersz ten miał być naśladowaniem „Godziny myśli" Słowackiego. Lubo w téj epoce Berwiński znał doskonale twórczość Słowackiego, a w czasie późniejszym łączyło go pewne powinowactwo zasad socyalnych, nie mniéj przeto Mickiewicz tak przeważny ma wpływ na niego, że dla Słowackiego miejsca już być nie mogło. Z notatek Berwińskiego, jakie miałem pod ręką, oraz z „Listów z narodowéj pielgrzymki", widzę, że więcéj niż Słowacki wpływaćby mógł na niego Z. Krasiński, którego i pilnie studyował i estetyczne swoje poglądy na niektórych jego utworach opierał („Irydyon", „Nieboska", „Przedświt"); ale i Krasiński musnął tylko, że tak powiem, jego lirę, trwalszego nie pozostawiwszy wpływu nad pewne zwroty stylowe; wykażemy to zresztą niżéj, rozbierając język i styl Berwińskiego. A tymczasem zapytajmy siebie: ile „Wspomnienia" mają wistocie wspólnictwa z „Godziną myśli"? Prócz tego, że oba obrazki liryczne sięgają w przeszłość uczuć doznawanych—nic więcéj. Słowacki zresztą nie mówi w „Godzinie" wyłącznie o swojéj pierwszéj

miłości, ale zestawia tę miłość z przyjaźnią do Szafnagla, kolegi szkolnego,—los nawet serdecznego przyjaciela, jak się zdaje, więcéj ustawiony na pierwszym planie, niż dzieje jego własnego serca. Co się tyczy tych ostatnich, to wiemy, że była to w saméj rzeczy *pierwsza* jego miłość; tymczasem o „Wspomnieniach“ tego wcale powiedziéć nie można, albo raczéj przypuszczać należy, że była-to tylko *najsilniejsza* jego miłość. Tyle co do tła ogólnego; a co się tyczy szczegółów, jakże nieskończenie odmienne oba te obrazy erotyczne! „Dziewica-anioł“ Słowackiego „jak wróżka odgaduje przyszłość nieszczęśliwą młodzieńca“, więc odwraca odeń oczy i leje łzy... Nic podobnego nie czytamy we „Wspomnieniach“: tam jeszcze nie ma cieniów, nie ma łez—tam tylko świetlane barwy szczęścia, zachwytu, miłości, — tam, według słów B-go, szczęśliwy kochanek, „niebo całe w jéj wdziękach przyciska do łona.“ Wreszcie pod względem samego kolorytu poetycznego „Godzina myśli“ ma cechę spokojnéj elegii, na łagodném rozpamiętywaniu *przeżytéj już przeszłości* osnutém, elegii, w któréj przeważa raczéj refleksya, niż żywo tętniące uczucie; Berwiński zaś wprawdzie także o przeszłości mówi, ale tak jeszcze żywo czuje, tak każdy szczegół wdzięku Stelli swojéj jaskrawo obrazuje, że czytelnik ma wszelkie prawo wnosić, iż ta niby przeszłość jest jeszcze z całą potęgą wrzącém uczuciem *obecném*, dlatego też i dodaje w końcu myśl (zapożyczając się nieco od Adama):

„Najszczęśliwszy, kto w takiém duszy zachwyceniu
Na wieki oczy zamknął lub postradał zmysły.“

Wspomnienia są kulminacyjnym punktem jego miłości, w najwyższym artyzmie odtworzonéj naówczas, gdy, jak powiada poeta, „zazdrosny świat *zajrzał* mu dni szczęśliwych“ i gdy poeta „odjechać musiał gwiazdy swojéj. Reminiscencya ta poetyczna jest tak obrazowa, tak żywa, że może objawy miłości nie mogły być nigdy tak wyrazistemi w obcowaniu z umiłowaną osobą. Zauważmy tu jednak, że i w tych najsilniejszych i najpoetyczniejszych wybuchach miłosnych odczuwamy zlekka pierwowzór naszego poety — Mickiewicza (jak np. te ustępy „Czemuż pamięć na moje tak głucha rozkazy“ i t. d.). — Jakież tu podobieństwo do techniki erotycznéj Słowackiego? jakie pokrewieństwo formy Berwińskiego z filigranową, subtelną formą Słowackiego? — formą, w któréj przeważają nie hyperboliczne porywy Mickiewicza, ale idealnie subtelne zwroty metaforyczne, poetycznemi konturami swemi olśniewające czytelnika, a zarazem sprawiające wrażenie smutku i rzewnéj zadumy! To pewna, że jeżeli komu, to mianowicie B-mu, przy wielkim zasobie talentu jego, niepodobieństwem-by było naśladować Słowackiego.

A jeżeli już mamy koniecznie szukać pierwiastkowych źródeł erotyk B-go, a zwłaszcza jego „Wspomnień“, to oprócz Mickiewicza jeden chyba Lamartine zdołał niejaki wywrzéć wpływ na niego (patrz *Méditations: Chant d'amours. Naple.* 1822). Lubo między tym ultrakatolickim a tak idealnym poetą francuskim nie ma żadnego powinowactwa, ani ideałów społecznych, ani etycznych z naszym poetą, na gruncie jednak dziejów serca zbiegają się z sobą te skrajne ostateczności. W piérwszych młodocianych objawach lubownictwa poezyi (jak o tém się przekonywamy z notatek jego) widoczne jest zamiłowanie francuskich i włoskich poetów, niezależnie od niemieckich, których studyować musiał obowiązkowo. Wpływ Lamartine'a na ówczesną generacyą poetów - romantyków powszechnie jest znany, dlatego téż starałem się porównać twórczość tego rozgłośnego liryka z naszym poetą. I oto, co znajdujemy we wspomnianym „Śpiewie miłosnym“ Lamartine'a. Poeta francuski również więcéj *marzy*, roztapia się w eterycznych obrazach wyobraźni swojéj, niż maluje *rzeczywiste* dzieje serca. Anatomizuje on bóstwo swoje jak najszczegółowiéj, roztkliwia się zwłaszcza nad obrazem snu swojéj „gołąbki“, nad równemi z pełnéj piersi dobytemi westchnieniami, które dla poety stanowią taką cudną harfę Eolską, że chciałby jéj na wieki słuchać, na wieki „*murmurer et mourir*!“ A lubo błaga daléj: „*Un souffle, un mot, puis le silence*: *C'est assez*!“ jednak następnie skalpelem swoim poetycznym anatomizuje oblicze, włosy, ramiona itd., wyrzeka, że w bezładzie rozwiane bujne włosy zasłaniają mu część oblicza i innych wdzięków niewieścich; ale prędko się spostrzega, że nieco wykracza z dziedziny czystych ideałów i dodaje: „*Pudeur! honte céleste! instinct mystérieux*!“ A gdy z kolei zarysowuje kontur łona, używa do tego tak lekkiego, idealnego pędzla, że nic ziemskiego, zmysłowego w jego rysunku nie dostrzegamy, okrom tego chyba, że falowanie piersi dziewiczéj uderza w takt serca poety.

Berwiński jest również idealistą - marzycielem erotycznym, „precz ciało!“ powiada do siebie gdzieindziéj; a tutaj we „Wspomnieniach“ przy innéj tylko technice poetyckiéj, zgodnéj z jego osobistym nastrojem, używa tych samych sposobów, co i romantyk francuski, w obrazowaniu miłości:

„Widzę ócz twoich niebo i ócz twoich słońce,
Z pod przejrzystéj rzęs chmurki ogniem strzelające;
Widzę perły twych ząbków i ust twych korale,
Tak wymowne w milczeniu, w wymowie milczące!
Widzę—ach! widzę wreszcie twoich piersi dwoje,
Czystych, niepokalanych, jak dwie morskie fale—

I znów na tych falach składam myśli moje,
Zasypiam na twych piersiach mojemi myślami" itd.

Wszakże, pomimo to zbyt wyraźne powinowactwo z poetą francuskim, powtarzamy, że „Wspomnienia" należą do najważniejszych erotyk, nie tylko dla tego, że tu głównie uwydatnia poeta objawy swoje miłosne, ale i dla tego, że ta forma liryzmu jego, lubo wzrosła pod skrzydłami pomysłów obcych, zaleca się wielką siłą i dziwnie powabném wypowiedzeniem uczuć. Tę tylko ujemną widzimy w nich stronę, że niezupełnie są jednolite, nie jednym tchem napisane, ale przetwarzane, stylizowane kilkakrotnie i dlatego to są one stosunkowo za długie. Dwa dalsze ustępy, „*Moje słońce*" i „*Moja gwiazda*" mają właśnie tę zaletę, jakiéj brak we „Wspomnieniach": a lubo są to maluczkie perełki, ale prawdziwie Uryańskim świecące blaskiem. Takie całe, jednolite, zgodne w treści i w formie, że i najpiérwszym mistrzom lirycznym świata nic zupełniejszego i w swoim rodzaju nic piękniejszego udać-by się nie mogło. W treści swojéj oba te wierszyki są niejako uzupełnieniem „Wspomnień". Wiersz p. t. „*Do... w imionniku*" tylko lóźnie wiąże się z całością erotyk jego.

„*Przestroga*" jest wyrazem owéj męskości jego uczucia, o którém nadmieniłem, że tam nawet, gdzie mówi „niech w nieméj rozpaczy kolano ciebie uczci, a mnie wytłómaczy", czuć jakąś męskość śród téj pokory miłosnéj, twierdzi bowiem daléj, że tylko cząstkę swych cierpień wypowiada, że gdyby całkowicie odsłonił głąb swego uczucia... „gdybym ze szczytu cierpień mych spojrzał na ciebie, a z chmur mego nieba, jeśliby kilka tylko kropel na twą duszę spadło"... to „od tych kilku kropel zgorzkniałoby ci życie." Prośba ta przeto bardzo blisko graniczy z groźbą i wyjaśnia psychologiczny stan poety-męża, który panować nad sobą umié. Wykończenie estetyczne tego wiersza, lubo wcale ładne, do najlepszych nie należy. „*Jawno-grzesznica*" odsłania plastykę miłości w najwyższym artyzmie, który to ma szczególnego, że chce być czystym, idealnym prawie, chociaż sam tytuł co innego zapowiadać się zdaje. Mówi tu, że bogini jego każdym ruchem, wejrzeniem, słowem, milczeniem nawet jest uosobieniem miłości, a chociaż błaga daléj „przestań być piękną, lub zrzeknij się świata,"—pomimo jednak to wszystko, nawet owo pseudo-biblijne zestawienie nie razi czytelnika, bo wytworny kształt artystycznéj szaty, w jaki swą miłość przywdziewa poeta, odsłania nam tylko wyłącznie stronę poetyczną, a wcale nie zmysłową téj jego fantazyjnéj Magdaleny. Natomiast, może jedynym wyjątkiem w zbiorze erotyk B-go jest wiersz p. t. „*O, córo Ewy*"! który najmniéj jest idealnym. Obrazowanie miłosne tego wiersza przypo-

mina nieco „Wspomnienia“, gdyż i tu analizuje poeta materyalne wdzięki swéj Ewy, które z kolei wywołują zapały wcale nie ascetycznéj natury i tworzą całość na tle zmysłowém osnutą.

„*Dwie prośby śpiewaka*“ należą może do najwydatniejszych ze względu odsłaniania ran bolejącego serca poety: w prośbie pierwszéj mówi poeta o sobie, że „był stwórcą miłości,“ że „dźwięk jego pieśni był snem serca,“ o którym nawet nie śni się ludziom,—a następnie, że ów „mistrz pieśni, król dźwięków“... „Dziś żebrak w laurowéj koronie...“ błaga o jedno słowo, o jedno wejrzenie przyjazne. W prośbie drugiéj, zamiast poprzedniéj błagalnéj treści, czytamy w dziwnie pięknéj formie wypowiedzianą ironią na temat, że „daremno chciał wzruszyć skałę, do któréj jego dusza łańcuchem przeznaczenia na wieki przykuta“, że zatém, ze swiadomością wycierpieć musi „brzemię mąk Prometeusza“. Wytwornością formy, a nawet i potęgą uczucia „Dwie prośby“ należą do kilku najpiękniejszych, lubo i tu w ustępach nawet lepszych zlekka się odczuwa jego główny pierwowzór (tj. Improwizacya Mickiewicza). Najcudniejszą wreszcie perłą, ale już ostatnią, w tym dyademie erotyków Berwińskiego jest wiersz p. t. „*Błogosławieństwo*“. Poeta do odwzorowania obrazu uczuć swoich gromadzi tu takie bogactwo barw poetycznych, taką cudną melodyą słowa, zespala te wszystkie „błogosławieństwa“ swoje w tak idealnie pięknych a pełnych siły, rzewności i wzniosłości obrazach, że jeśliby B-ski nic więcéj nie napisał, to już ten jeden wiersz dawałby mu zaszczytne stanowisko w szeregu erotycznych poetów naszych. Oto między innemi, co przemawia do Stelli swojéj ten sam poeta, który przed chwilą zwał ją „zimną skałą“:

„Ja dni jéj blaskiem tysiąc słońc ozłocę,
Gwiazd milionem rozjaśnię jéj noce;
Tęcze stubarwne dam jéj na węzgłowie,
Pod nogi niebios mych rozścielę stropy,
Piorunom każe całować jéj stopy,
A archaniołom czuwać przy jéj głowie..
Ja ją obwieję gwarem milionów,
Najczarowniejszych harmonijnych tonów!
Cały świat dla niéj pieśniami rozczulę“...
„Będzie szczęśliwą!“

Nie bez rozmysłu wiersz, p. t. „*Ostatni Romeo*“ umieścił B. na końcu zbioru erotycznych swoich poezyi, „Romeo“ bowiem jest już ostatnim łabędzim śpiewem jego miłości, a zarazem jest przedświtem nowych horyzontów, otwierających się w umyśle i w sercu poety. „*Ludzkość się budzi*“, powiada poeta i do tego wiru przebudzającego się świata zdążać musi B-ski i dla tego to „Ostatni Romeo“ stanowi przejście do następnéj „Księgi życia i śmierci“.

b) *Księga życia* i *śmierci* stanowi drugą stronę wyrazistéj odrębności i charakterystyki poetycznéj Berwińskiego: jest ona obrazem tych ideałów społecznych i politycznych, a wreszcie etycznych, ja-

kie zaprzątały owoczesną społeczność europejską wogólności, a polską w szczególności, o czém była mowa w życiorysie poety. W imię tych niby postępowych idei B-ski stopniowo zrywa węzły z wstecznemi, jak już mniemał, zasadami konserwatywnemi, bądź-to w kościele, bądź w życiu społecznėm. Uważniéj wczytując się w te jego utwory, widzimy pewne szczeblowanie od słabszego krytycyzmu ku ostatecznym, skrajnym, najzupełniéj radykalnym teoryom. Co do kwestyi religijnych szczeblowanie to nie tak widoczne: czy to w ustępie p. t. *Częstochowa*, czy w wierszu p. t. „*Ubogim w duchu*" widzimy już nietylko najzupełniejszy rozbrat ze starą wiarą ojców, ale nawet owa gryząca satyra, jaką te ustępy zabarwione, każe się domyślać pewnego skierowania myśli ku nowym jakimś zasadom etycznym, których jednak nigdy bliżéj nie określał. Określać ich nie miał nawet zręczności, całkowicie bowiem był zaprzątnięty politycznemi prądami owoczesnego świata. Nie podzielając wszakże myśli w tych ustępach zawartych, bezstronny krytyk ma obowiązek przyznać, że nie pozbawione są one zalet prawdziwéj poezyi, a kiedy mówi: „pracujcie prawowierni i módlcie się Bogu" i z wysoką ironią dodaje daléj: „ja i w modlitwie mojéj nie umiem się podlić", ten objaw szczerości w przyznaniu braku pokory chrześciańskiéj tak znacznie łagodzi gorycz jego sarkazmu antyreligijnego, że czytelnik umié i chce być wyrozumiałym dla wykolejonego poety. W innych zaś ustępach, jak np. *Bohatérom dni naszych*, kwestye antyreligijne tém mniéj są dla nas cierpkie, że spotykamy w nich pewną rzewność, pewne, bezwiedne może dla samego poety, oglądanie się za straconym rajem czystéj wiary i czystych pragnień duszy, gdy jak gdyby fatalizmem przykuty do zamętów radykalnych, czuje, że wrócić do minionego szczęścia już nie zdoła, jakoż mówi o sobie:

„Z duszą na wielkie wzrosłą przedsięwzięcia,
Z wolą bez czynu, z myślą bez poczęcia;
Z sępem męczarni i zgryzot u łona,
Z żądzą Tantala, z niemocą Samsona;
Jak Bóg, którego naraz opuściła
Mądrość niebieska i tworzenia siła;
Z otchłani czasu, bez gwiazd i bez słońca,
Nigdy się prac twych nie doczekasz końca:
Gdziekolwiek stąpisz, co poczniesz, co zrządzisz,
Za każdym krokiem upadniesz lub zbłądzisz."

Ustęp ten, wyjęty z wiersza „Bohatérom dni naszych" lubo na tle zwykłego ówczesnego bajronizmu naszkicowany, stosuje się przedewszystkiém do samegoż autora—typowego przedstawiciela owéj biernéj i smutnéj negacyi bajronowskiéj. Ten brak wiary w czyny przyszłe, oczywiście wynika głównie z braku zasobów etycznych: prędko się pozbył tego, co mu z łaski było dane, a natomiast nic

zbudować nie umiał, coby mu na nowo obranéj drodze trwałość i wartość jakąś moralną czynów jego zapewnić mogło.

Do najsłabszych ustępów w téj „*Księdze*“ zawartych, należy „*Majówka*“, która, jak się zdaje, jest owocem pierwszych jego próbbek. Forma tu wiersza wogóle ciężka i nie trafnie do poważnéj treści zastosowana, rymy nie dość swobodne i wyraźném zapożyczaniem się (u Mickiewicza) nacechowane. A co do treści, to myśl zasadnicza, powagę i godność narodową omówić pragnąca, jakkolwiek wogóle sympatyczna, to jednak odpowiedniejszą byłaby do większego poematu, aniżeli ustępu o pięćdziesięciu wierszach. W tym samym, co „Majówka“, tonie elegijnym wypowiedziany jest wiersz, p. t. „*Powrót z pielgrzymki*“. Z nastroju dość bezpretensyonalnego téj opowieści, ku gawędzie poetycznéj przechylającéj się, czytelnik mniejszą skalę wymagań estetycznych do niéj stosuje, a stąd korzystniejsze nieco od poprzedniego wiersza sprawia wrażenie,—a zresztą i sama technika wiersza więcéj wyrobiona i styl wdzięczniejszy. O wierszyku, p. t. „*Piosnka wygnańca*“, należącym do tejże kategoryi, co i dwa poprzednie, a odznaczającym się tylko większą harmonijnością i rytmicznością wiersza, wspominaliśmy już w życiorysie. Nie wiedziéć poco zabłąkał się tu lichy wiersz, p. t. „*Zygmunt, książę polski*“, niby przekład, czy naśladowanie z Kalderona. Związany zaledwo lekką nicią wspólności pomysłów z resztą innych utworów liryczno-politycznych, wiersz ten należy do najnieudolniejszych. Do słabych również zaliczamy ustęp, p. t. „*Warszawa*“,—dyalogowany w sposób wielomówny, i pod względem formy, i pod względem treści ckliwe sprawia wrażenie.

Najzupełniéj odrębne zajmuje stanowisko w tym zbiorze utworów bądź społecznéj, bądź narodowéj treści, znany powszechnie wiersz, p. t. „*Na wysokości Tatrów*“. Należy on do tych klejnocików poezyi naszéj, któremi chętnie się posługują rozmaite nasze ontologie i dlatego mówić tu o wartości tego ustępu, jako powszechnie uznanéj, nie potrzebujemy.

Liryczna twórczość B-go na tle polityczno-społecznem jest nietylko, jak powiedziano wyżéj, poetycznem odtworzeniem panujących wyobrażeń wieku, a raczéj pewnego, radykalnego stronnictwa w tym wieku, ale przedstawia jeszcze ten ciekawy objaw psychologiczny, że idzie *crescendo* od refleksyi, od spokojnego rozważania tematów narodowych i politycznych do coraz ognistszéj temperatury liryczno-politycznéj, wulkanicznemi wybuchami namiętności nacechowanéj. „*Powitanie*“ stanowi preludyą tego koncertu. Tutaj Berwiński tak jeszcze przemawia:

„Witam was, witam wszystkich po kolei
Śród łez, krwi, pracy, mozołu,

Bracia rozpaczy i bracia nadziei,
Bóg-pomóż (?) wszystkim pospołu"!

A daléj poeta robi przygotowanie do przyszłego czynu i w ten oto sposób to posłannictwo swoje określa:

„Polski Dawidzie! bierz kamień i procę
I wprawiaj rękę za młodu".

Dalszy szczebel téjże zasadniczéj myśli stanowi prześliczny wiersz, p. t. „*Pogrobowiec*"; jest on ostatnią nawpół rzewną, nawpół krwawą medytacyą na temat przeszłości, poza nią zaprzątać będzie poetę obecność a głównie przyszłość,—a jeżeli nawet będą się zjawiały kalejdoskopowe obrazy dziejów minionych, to tylko jako środek do celu, do unaocznienia pragnień chwili bieżącéj. To też mówi w „Pogrobowcu":

„Więc gdy pamięcią w tę przeszłość zabłądzę,
Głucho mi wokół, ale w łonie mojém
Rwą się uczucia, myśli brzęczą rojem,
Po sercu wielkie przelatują żądze"...

A nieco daléj, domawia:

„Precz łzy i płacze,
Z twemi żądzami i z twojemi snami,
W świat i na przebój—mniejsza, co za nami,
My dziś ostatni, a *jutro my pierwsi*!
Światy przed nami!"

Nim wszakże odsłonił swoje oblicza ów „świat", mający przebojem być zdobyty, spotykamy się z ustępem „*Na przesileniu dnia z nocą*", stanowiącym wyraźnie jeden krok daléj w tym bojowo-poetycznym pochodzie, w którym zamiast poprzedniéj niewinnéj wprawy procą Dawidową, oto, co czytamy tutaj:

„O śmierć i życie ostatni wre bój,
Bój myśli w krainie ducha,
Słyszę w powietrzu mar brzęczących rój,
A ziemia niema i głucha".

„*Na Gople*" jeszcze o jeden szczebel daléj rwący prąd czasu posuwa poetę. Już nie mówi, jak dawniéj „*Bóg-pomóż*" wszystkim, bo się obywać pragnie bez dawnego Boga i w namiętnym szale woła:

„Czego chcecie stare bogi,
Trupie, czego chcesz?
Stare bogi—trupy, z drogi,
Prędko łódko śpiesz!

Naprzód, naprzód! bez ołtarzy
Czém jest stary Bóg?,..
A wy słabi, a wy starzy,
Precz nam młodym z dróg!"

Dalszy wiersz „*Mogiła Kościuszki*" jest niby epizodem z Dantejskiego piekła wyjętym, tylko nie na tle sfer pozaświatowych, ale na swojskiém, widzimy szereg obrazów coraz okropniejszych, coraz bardziéj przerażających, tysiące owych widm przeszłości grzesznéj, zbrodniczéj a pełnéj pychy, wobec rachunku sumienia narodowego powołanych do spowiedzi i pokuty społecznéj. Groźny ten kalejdo-

skopowy obraz, zarysowany z największą siłą, na jaką zdobyć się mógł poeta, nie szczędzący najjaskrawszych barw i tragicznych sytuacyi, lubo w lekkim tylko szkicu zarysowany, wzrusza i przeraża zarazem czytelnika, a obok tego, po chwili rozmysłu, przesytem przykrém uczuciem napełnia serce, bo łatwo dostrzega, że tu poeta zawiele już użył potworności wszelakich, skierowanych ku obwinieniu starych grzechów przeszłości naszéj, stając w obronie „*ludu*“ i jego „*ubóstwa*“. Mogiła bohatéra, na którego wskazuje poeta, a z nią bezstronne dzieje zadają fałsz twórcy, bo ta przeszłość nie była już tak bezwzględnie zła i nikczemna, jak ją odmalował B-ski. Ale nie zapomnijmy dodać, że nie ze spokojnego stanowiska historyka objaśniać sobie należy słowa B-go: mówi do nas doktryner-poeta, który pochłonięty jest cały przez wspienione fale radykalizmu. I dla tego to wiersz ten, niby do innéj grupy należący, gdyż na tle przeszłości skreślony, jest jednak w ścisłym związku z całym poprzednim szeregiem polityczno-lirycznych ustępów. „Mogiła“—to niby obóz hr. Henryka, przeciwko któremu ma stanąć zbrojno nowy Pankracy i stoczyć walkę w obronie umiłowanych idei. I nakoniec, ostatni w téj grupie liryczno-politycznych ustępów, stanowiący swojego rodzaju hymn bojowy, jest wiersz p. t. „*Marsz w przyszłość*“, w którym dawniejszy skromny Dawid, zaprawiwszy się do walki na niewinnéj procy, dziś chciwy krwi i boju, chwyta już za broń i woła:

„Więc gdy stary Bóg nie słucha,
Pomódlmy się do obucha,
Uściśnijmy noże,
I daléj za morze krwi
Za Czerwone „morze!“

Jestto jego już ostatnie słowo, po którém, jak to w życiorysie wymieniłem, nastąpić miał *czyn*; nie ten jednak nastąpił, którego sobie życzył poeta, ale ten jaki przeczuwał, że nastąpić może.

Rozmyślnie pozostawiliśmy na koniec dwa ustępy „*Wawel i Kraków*“, oraz „*Mysza wieża*“, bo oba wyróżniają się nie tyle treścią i jéj obrobieniem, ile pomysłem samym, z obcéj niwy przyniesionym, o którym w ocenie krytycznéj niżéj będzie mowa. „*Wawel i Kraków*“, rozpoczyna się od jemu tylko właściwéj, charakterystycznéj ironii, w któréj karłowatość wnuków i maleństwo ich ducha zestawia z wielkością przodków, ale następnie przechodzi do uosobienia przemawiającego Wawelu, które jest tak wzniosłe, tak serdeczną rzewnością nacechowane a ubrane w tak przepiękne szaty stylistyczne, że i ten wiersz obok wspomnianych wyżéj, należy do trwałych pamiątek liryki polskiéj. „Mysza wieża“, mniéj piękna pod względem ozdobności stylowych, ma jednak bardzo ważne znaczenie dla krytyka: wiersz ten bowiem drukowany był poprzednio przy „Powieściach wielkopolskich“, a pisany w najpiękniejszych dniach młodości, bo w 18 czy 19 roku życia, stanowił dla autora najmilsze

wspomnienie, równie jak „Bogunka“, nie tylko naówczas, t. j. przy wydaniu poezyi, ale i w latach późniejszych, w Turcyi, kiedy mu się już życie dotkliwemi kolcami najeżyło. W korespondencyi stamtąd do siostry pisywanéj, pozostały liczne ślady wspomnień młodocianych chwil życia, uobecnionych w „Bogunce“ i w „Wieży.“ A zresztą, to się tłómaczy i z innego względu: wiersz ten z początkowych objawów twórczości jego należy do najudatniejszych.

c) W twórczości poetyckiéj Berwińskiego wyjątkowe całkiém zajmuje stanowisko „*Don Juan Poznański*“, wyjątkowe dlatego głównie, że w tym jednym, niedokończonym utworze rozminął się Berwiński stanowczo z zadaniem i godnością poety, co gdzieindziéj tak starannie utrzymać pragnął: zbiegła tu muza jego na poziom pospolitości, z szlachetniejszym celem poezyi nic wspólnego nie mającym, bo nie tyle idee, co osoby mająca na względzie; a lubo i w „Don Juanie“ nadmienia o wyższych kwestyach narodowych,— jest-to raczéj pozór, niż istota rzeczy, gdyż cała zbyt uboga fabuła obrazku krąży w sferze wielce trywialnéj i odtwarza wcale niehistoryczne czyny niehistorycznych ludzi... Ta „*pieśń miłości i plotek*“, jak sam autor nazywa „Don Juana“, jest wprost wynikiem złéj chwili natchnienia—trywialna, rozwlekła gadanina (nie tyle naśladująca, jak raczéj parodyująca manierę Słowackiego w Beniowskim) o wielce pospolitych sidłach wytrawnéj kokietki, zarzucanych na niedoświadczonego niby młodzieńca, ta „*pieśń plotek*“ tak nie licuje z całą resztą twórczości Berwińskiego, jak np. *Stella Fornarina* z szeregiem utworów Syrokomli, że oględność i wyrozumiałość estetyczno - krytyczna kazałaby o niéj zapomniéć, za niebyłą uważać. Ale, niestety! zło chodzi górą i jak na tubie morskiéj otrębuje wszelkie uchybienia ludzkie! a zwłaszcza, jeśli w danym razie ta lub owa jednostka czuje się dotkniętą, co podobno miało miejsce.

To też za to zapomnienie się boleśnie odpokutować musiał autor: wprawdzie żaden wiersz jego nie miał tyle rozgłosu, co „Don Juan“; ale byłto rozgłos tego rodzaju, że dał powód ludziom zawistnym, szukającym tylko ujemnych stron we wszystkiém, nie tylko do potępienia tego, co potępienia było warte, ale i do zanegowania całéj moralnéj istoty *człowieka* za to tylko, że *autor* w najsłabszym ze swoich utworów zboczył z prostéj drogi Apolinowéj.

Nie uwzględnialiśmy dotąd i nie mieliśmy potrzeby uwzględniać całéj powodzi téj bazgraniny, jaką niektórzy przedstawiciele konserwatyzmu miotali na twórczość poetyczną Berwińskiego; tutaj tylko jedynie musimy zrobić wyjątek, by wyjaśnić i myśl naszą powyżéj wspomnianą i tę wyjątkową wrzawę z powodu zjawienia się Don Juana. W „Orędowniku“ (N. 49, r. 1844) niejaki *Z. K.* oce-

nia niby wartość Don Juana i oczywiście redukuje ją do zera; dowodzi, że chyba Berwiński nie czytał Byrona, skoro takie dziwolągi poznańskie odważył się nazwać naszym Don Juanem, że w głośnym utworze angielskiego poety są ustępy pierwszorzędnéj piękności, są typy z genialném mistrzowstwem zarysowane, a wzniosły dar poetyczny odsłaniające; a jeżeli obok tego są ustępy płaskie, lubieżne, to te, jako środek do celu, a nie jako cel są użyte i t. d. Otóż, te i inne sądy krytyka, aczkolwiek sprawiedliwe, były wszakże, niestety, tylko literackiém upozorowaniem i przejściem do tego, co Z. K. na końcu artykułu mówi; a tam czytamy bardzo przezroczystą aluzyą do osoby Berwińskiego, w tych słowach zawartą: „...dziś chce się kapłańską okryć szatą, jutro być prawnikiem, pojutrze Heglistą... To znowu czepia się arystokracyi, albo łączy się z komunistami, a nie chcąc sam nic poczciwie zarobić, nożem i stryczkiem grozi własności.“ Można byłoby się zapytać, co te słowa mają wspólnego z Don Juanem? Co za smutna rola krytyka, zamiast wydawać sąd o poecie i jego utworze, nurzać się w błocie „*plotek krytycznych*“ i malować karykaturę *człowieka*! Te namiętne anatemata były oczywiście dowodem, że poeta potrącił żywo drgające w kraju tętna społeczne, szkoda tylko, że nieumiejętną i nie poetyczną wybrał dla nich formę.

Właściwie druga pieśń Don Juana nastręczała dużo słusznych pretensyi; tam bowiem poeta zawiele już rzucił potępień, przesadnych i nieusprawiedliwionych, dotknął również i pisarzy wielkopolskich, w ten oto sposób, że literatów „za sześć talarów prenumeraty wszystkich zakupisz ryczałtem.“ Mniéj jeszcze usprawiedliwiona dalsza myśl, że w kraju opinii nie ma, że „głos publiczny, lud, większość—to czcza chimera“, niby dla tego, że rozrania kraj „skir z czasów Piasta dziedziczny, na który szlachta umiera.“

Wogólności, niewstrzemięźliwość słowa, rozpasanie myśli, doprowadzonych do absurdum, wywlekanie na wyżyny Parnasu tego wszystkiego, co na śmiecisku gdzieś w ciemnym zakątku leżeć ma prawo—oto etyczna wartość Don Juana. A jednak, dodajmy, że powyższe zapomnienie się poety jeszczeby nie usprawiedliwiało przytoczonych przez nas słów Z. K. — Wreszcie na zakończenie uwag nadmienimy i to jeszcze, że tam, gdzie autor nie potrąca poziomych celów swoich, spotykamy ustępy niemałéj wartości estetycznéj, mianowicie bardzo oryginalną humorystyczność odmiennéj natury, niż widzimy w innych jego utworach poetycznych.

„*Parabaza*“ jest poetyczną odpowiedzią na niezadowolenie, jakie wywołało zjawienie się D. Juana Poznańskiego. Odpowiedź ta zadowolnić nie mogła obrażonych, bo była stokroć silniejszym gro-

nem szyderstwa i potępień, rzucanych bez wszelkich osłon. A jakkolwiek to wierszowane wyznanie wiary nie kwalifikuje się wcale do spokojnego, historycznego sądu, gdyż tak wiele tam czytamy przesady, tyle roznamiętnienia w wybuchach, do szału poetycznego dochodzących; niemniéj przeto, jako objaw estetyczno-literacki „Parabaza“ należy do najsilniejszych kompozycyi Berwińskiego. W szkicu tym, któremu trudno dać odpowiednią nazwę, żywioł epicki jest prawie żaden, gdyż fabuła sama więcéj niż pospolita. Poeta mówi tu, że owe dwie pieśni Don Juana wydał starannie, z mozołem odczytując niewyraźny rękopism i opowiada o zbiegu okoliczności, wskutek których rękopism dostał się do niego. Młodzież wielkopolska strojna i hoża, nie pomna wielkiéj dziejowéj przeszłości swojéj, dziś stała się lichym owadem motylim, latającym po salonach.... „dziś owi światobórcy... u nóg niewieścich z czułością gołębią miłosnych nieszczęść wyjęczają żale, albo téż w dzikim odurzenia szale tańce zawodzą, jakby im zaklęty róg Oberona załaskotał w pięty.“ Jeden tylko człowiek tego odurzenia i tego szału rozpaczliwego nie podziela wcale: jest-to poeta-wieszcz, czy jakiś apostoł nowoczesny, który boleje nad utrapionym stanem swéj braci; ale zamiast iść do domu modlitwy, czy domu pokuty i tam jeremiaszowe treny swoje wyśpiewywać, — albo wreszcie jakimś dodatnim czynem objawić istotę swojéj boleści i szukać środków do poprawy, — to ten samozwańczy apostoł błąka się tylko po salonowych posadzkach, w sposób wielce sentymentalny:

„Z takim okropnym spokojem na twarzy,
Jakby sumieniem był wszystkich zbrodniarzy,
Którzy po dziśdzień od stworzenia świata,
Głowę składali pod toporem kata.“

A gdy autor, a następnie wydawca Don Juana, chciał się dowiedziéć, co to za postać? Jedna z dam, na balu obecnych, odpowiada, że to „poeta, waryat raczéj“ — i zaprasza go do tańca. Zrozpaczony ów błędny apostoł, zamiast odpowiedzi, rymuje na wachlarzu damy złowróżbne słowa, ostrzegając, że tańczą na wulkanie. Przyszły wydawca Don Juana, zaciekawiony tak wyjątkowym typem, pragnie w osobistéj z nim rozmowie dowiedziéć się bliższych szczegółów psychologicznych. A za całą odpowiedź otrzymuje wybuch wulkanicznych eksklamacyi na temat, że jest „synem ojca smutku i matki żałoby“ i stoi samotny i niezrozumiały wobec strupieszałego społeczeństwa współczesnego; tak, że przyszły wydawca nie zdołał „tajemnic duszy téj przeczytać.“ Błędny wieszcz ów domyślał się tego i dlatego przysłał nazajutrz autorowi komentarz wyjaśniający, t. j. owe dwie pieśni Don Juana. Słowem, wielkie tu ubóstwo i trywialność pomysłu!

A jednak na tém pospolitém tle pierwiastku epickiego, jakież bogactwo liryki rzucił tu Berwiński! w jak cudne szaty wytwornego stylu poetycznego ubrał autor objawy swéj boleści narodowéj! Tu każdy wyraz tryska taką siłą uczucia, tak głęboką odsłania ranę moralną, że czytelnik wobec oczywistéj w słowach jego przesady, wbrew swemu przekonaniu, wbrew prawdzie historycznéj, czuje się pochłonięty tą siłą uczucia i... sympatyzuje z poetą. — Z licznych skupionych ustępów potężnéj siły lirycznéj, przytaczam tu jeden wyjaśniający niby zasadniczą myśl Don Juana:

„....Dzisiaj trzeba burzyć,
Bo takim ludziom jak wróżyć i o czém?...
Tyś na nich patrzał — ty o to nie pytaj;
Lecz jeśli spyta ciekawiec, mów: „czytaj!"
I podaj jemu, com ja tu napisał
W tym Don Juanie; a jeśli z odrazą
Odwróci oczy od tego obrazu,
Powiédz mu, skądem taką gorycz wyssał!...
Powiédz, dla czego nienawiści związek
Trwa między nami — między mną a światem."

Ostatnim utworem w szeregu téj trzeciéj grupy społeczno-politycznéj liryki, owocem dłuższego namysłu, kilkakrotnie przerabianym, skracanym i dopisywanym, jest dłuższy wiersz, który pierwotnie (w „Tygodniku literackim" i w „Przegl. naukowym") miał tytuł „*Myśli szalonego*" lub „*Z rozrzuconych pism szalonego*", a w ostatecznéj redakcyi zatytułowany został „*Ostatnia spowiedź w starym kościele.*" Trudno jest odgadnąć istotną myśl autora w téj przeróbce, bo, jakbym sądził, i piérwszy i drugi tytuł zarówno nie odpowiada treści: piérwszy jest nieco trywialny i nieprawdziwy, gdyż ten „szaleniec" nie był szalonym tyle, byśmy mu świadomości celów i środków do celów tych wiodących, odmówić mogli; drugi zaś napis, chociaż nieco bliższy treści, jest również niedokładnym, bo jest-to raczéj *piérwsza* spowiedź *w nowym* kościele, niż *ostatnia* w starym.

W każdym razie samo już to przerabianie i staranniejsze opracowanie wiersza tego dowodzi, że Berwiński przywiązywał doń większą wagę, niż do innych ulotnych utworów liryki swojéj,—a dla nas, czytelników, z tego względu ma wyjątkowo ważne znaczenie, że tu sybiektywizm jego jest najwidoczniejszy: poeta liryk jest tu zarazem najrzetelniejszym autobiografem, głośno przed światem „spowiadającym się." Motto Szekspira, wyjęte ze słynnego monologu Hamleta, wskazuje czytelnikowi nie zawartość myśli, ale raczéj nić jéj przewodnią, koloryt liryzmu, przeważnie rzewny, rozmarzony, wątpiący w siebie, w swą przyszłość i cały świat go otaczający. A co się tyczy saméj treści, to wyraz „*spowiedź*", skądkol-

wiek on jest rodem: czy to pod wpływem J. J. Rouss'a zrodzony, czy też przemknął mu po głowie po odczytaniu nieśmiertelnéj fantazyi niemieckiego mistrza poezyi („Fausta" bowiem Goethe w jednym z listów do przyjaciela również *spowiedzią* nazywa), wiersz ten jest ustępem najwyrazistszéj liryki jego. Jednę tylko ma głównie wadę, jaka częstokroć przeróbkom towarzyszy: jest zagadatliwy i niejednolity w konstrukcyi swojéj,—to bowiem, co się najpoetyczniéj i najharmonijniéj ułożyć mogło w pierwotnéj chwili natchnienia i doraźnego tworzenia, jak skoro przeszło przez przetak późniejszéj krytyki autora, zimno już analizującego pierwotne natchnienie, stało się niejednolitém przez *dopisywanie* zamiast tworzenia. Wynikiem téj roboty były zmiany nawet myśli zasadniczych, jak np. wyrzucenie z rozdziału XV dwuwiersza:

„I ja, o hańbo! tak upadłem nisko,
Że z nieszczęść własnych robię pośmiewisko",—

zmiana ta złagodziła wprawdzie cierpkość wrażenia, gdy w niéj poeta osłonić chciał swój smutny nastrój psychiczny, ale właśnie przekształcił przez to cały koloryt liryzmu tego wiersza.

Powiedziałem, że Berwiński powinienby nazwać ten wiersz „pierwszą spowiedzią w nowym kościele." I wistocie: z wyjątkiem rozdziału, oznaczonego numerem VI, który jest właściwym chronologicznym i logicznym początkiem „Spowiedzi", a mającym za treść wspomnienie szczęśliwych lat dziecinnych, a więc „starego kościoła", kiedy to jeszcze ojciec poety cieszył się:

....„gdyśmy drobne dziatki,
Poklęknąwszy co rano przed Najświętszą Panną,
Odmawiali pobożnie modlitwę poranną,"

wszelkie inne ustępy stosują się już do „nowego kościoła", o którym wszakże nie dał bliższego wyobrażenia, prócz tego tylko, co gdzieindziéj powiedział: „dzisiaj trzeba burzyć." Najprzód tedy idzie miłość, która go chwilowo opromieniła szczęściem, a „zwodne jéj mamidła" wzniosły go „w krainę ideałów", któremi, jak się wyraża o sobie, „do lotu archanielskie rozwijałem skrzydła." Apoteoza tego szczęścia była krótka, a przedwczesne rozczarowanie za nią idące doprowadziło poetę do następnéj smutnéj ironii:

„Miłość — tęczową wyobraźni tkankę,
Bańki mydlane, motyla — kochankę,
Dzieciom zostawmy i tym co zostali
Na całą wieczność dziecinni i mali....
Przestałem kochać!"

Z kolei po zawiedzionéj i w otchłań sarkazmu przez samego poetę zepchniętéj miłości, wschodzi na horyzont życia jego druga gwiazda: „*prawdy szukałem*", powiada poeta. W mozolnéj za nią

pogoni, „po pracowniach najczarowniejszych arcydzieł sztuki“, po „księgach tajemnic przyrody“, słowem, po „wszystkich tworach ludzkich“, nowy spotyka zawód poetę, bo poznał wszystko.... „prócz siły tworzenia.“ Filozoficzna „różnojednia“ Trętowskiego, czy może wprost z pierwszego źródła, z Hegla, wzięta zasada doprowadza go do takiéj filozoficzno-poetycznéj kontemplacyi:

„Duch jest tą siłą (tworzenia) — tak mędrzec powiada,
Duch tworzy, burzy, składa i rozkłada;
Duch jest sam w sobie, swoim światem, słońcem,
Swoim początkiem, środkiem, celem, końcem,
Duch sam jest wszystkiém!“

A następna apostrofa wyjaśnia, na czém ta filozofia się skończyła:

„Mędrcze! duch jest niczém!
Jest owém wielkiem zerem tajemniczém,
Którego nigdy, nigdy nie obliczym!...
Głupstwo ten wyrzekł, kto rzekł: duch jest trójcą!
Bo trójca jest tylko ducha zagadką,—
Kto ją rozwiąże, będzie ojcobójcą
Czasu — rodzica, a z wiecznością matką,
Jak niegdyś Edyp, spłodzi kazirodnie
Nowe potomstwo, a z niém nowe zbrodnie!“

Po takim nowym, stokroć boleśniejszym zawodzie, na smutną dla siebie pociechę ironizuje poeta nad „trupami stu mędrców“, od których oczywiście nic się dowiedziéć nie mogąc, ani uleczyć rany zbolałego serca, przylgnął do nowego dla siebie ideału „i pełném sercem nad światem zawisnął.“ Nad światem, nad „płaczem tysiąców“, nad „nędzą i ciężarem niedoli“,—wskutek czego wszystkiego, mówi poeta o sobie: „Rzuciłem książki i wszedłem w świat żywych.“

Jakie koleje przechodził w tym „świecie żywych“, opowiedzieliśmy w życiorysie jego, tu tylko dodamy, co mówi w „Spowiedzi“, wyjaśniając ten nowy nastrój psychiczny:

„Dziś w pełni życia i w całéj potędze (sił?)
Opuszczam walkę.“

A nie mogąc już wstępnym bojem po stracie, jak sam mówi „męstwa“, walczyć z tylu nieprzewidzianemi i nieprzeczuwanemi trudnościami, pociesza się biédny poeta jeszcze tém, że „zyskał klejnot, którego nawet z utratą życia nie straci“: „tak jestem bogatym w znajomość ludzi i tak gardzę światem!“ Smutna to pociecha! po któréj wypowiada Berwiński pyszną, sturamienną satyrę na „dumnych i świetnych synów przeszłości“,—satyrę, potwornie przesadną, gryzącą do szpiku i kości, ciskającą z całém szaleństwem poetycznem rozpaczliwe przekleństwa; a mimo to dziwnie piękną, poetyczną i sympatyczną nawet, bo ona odsłania nam nie tyle zło owe-

go społeczeństwa, na które swe gromy ciska Berwiński, jak raczéj przepaścistą otchłań, nad którój brzegiem, wykolejony ze zwykłego toru życia i z wyższych, świętszych ideałów i celów tego życia, stoi sam poeta.... który przecież, zaprawdę, lepszego wart losu!

Przypisek do str. 462.

Dokładne wyszczególnienie utworów Berwińskiego trudne jest z tego względu, że on niekiedy wprawdzie podpisywał swoje artykuły kryptonimami (B., R. B., R. W. B.), ale niekiedy wcale nie podpisywał. Oto jest spis znanych mi ustępów pojedyńczych, po pismach rozrzuconych, oraz dzieł osobno wydanych: 1) Najpiérwszą próbką autorstwa jego jest artykul p. t. „*Kępa Zaniemyska*“, bez podpisu, zamieszczony w „Przyjac. Ludu“ w r. 1836 (str. 90 i dal.); 2) w r. 1837 w témże piśmie jest jego „powiastka gminna“, jak nazywa, p. t. „*Mądry Maciuś*“ (str. 12 i dal.), również bez podpisu; 3) w témże piśmie w r. 1838 zamieszczony jego „*List I z narodowéj pielgrzymki*“ (str. 60 i dal.) z podpisem „Ryszard B.“, oraz „*List II z Rogalina*“ (str. 82); 4) w tymże roku „*List III z narodowéj pielgrzymki*“ (str. 154), zpod Kalisza, z podpisem R. W. B.; 5) o liście IV pisze redaktor, że drukować go nie mógł „dla ważnych przeszkód“; tamże „*List V z nad Noteci*“, z podpisem R. W. B.; 6) w tymże r. 1838 zamieszczona najpiękniejsza jego baśń ludowa, p. t. „*Kojata*“, bez podpisu (N. 21 i 22); 7) wreszcie na str. 51 i 52 t. r. artykuł p. t. „*Gopło i jego okolice*“, z podpisem R. W. B.; 8) w r. 1839 w Nr. 33, 34 i 35 „*Chłop i dyabeł*“, z podpisem B.; 9) w r. 1838 w Tygodniku literackim (N. 12) jest wiersz jego p. t. „*Ułamek I Przystań, Ułamek II. Burza*“, oraz w tymże roku „*Powieść o dwunastu rozbójnikach*“ drukowana późniéj osobno; 10) w r. 1840 w Tygod. lit. jest jego list, z podpisem: B., oraz słabiutki jego wierszyk p. t. „*Gość nieproszony*“; 11) w Nr. 26 piękny wiersz p. t. „*Myśli szalonego*“; 12) w Nr. 27—31 słabo napisany artykuł o wystawie obrazów; 13) a w dalszym ciągu t. r. wiersz, p. t. „*Na widok Krakowa*“, który z pewném przerobieniem wszedł do zbioru poezyi; 14) wreszcie w Nr. 50 prześliczny wiersz p. t. „*Moje sny—moje uczucia*“, który, nie wiedziéć dla czego, w zbiorku nie zamieszczony; 15) w tymże 1840 roku u Frydlendera we Wrocławiu wyszły jego „*Powieści wielkopolskie*“, t. I, zawierające dwie powiastki: *a*) *Bogunka na Gople* i wspomniana wyżéj, *b*) *Powieść o dwunastu rozbójnikach*; 16) w r. 1842 w Tyg. lit. „*List z Berlina o wystawie malarskiéj*“ (N. 46 i 47); 17) w roku 1844 w Poznaniu własnym nakładem wydał „*Poezye R. W. Berwińskiego*“, część I; część II-ga zaś pod tymże tytułem i w tymże roku w Brukseli u J. N. Młodeckiego; 18) w roku 1854 w Poznaniu własnym nakładem wydał „*Studia o literaturze ludowéj ze stanowiska historycznéj i naukowéj krytyki*“, tomów 2. O artykułach zamieszczonych w Dzienniku polskim mówiliśmy wyżéj; 19) w r. 1864 u Brockhausa w Lipsku przy dziełku M. Czajkowskiego „Dziwne życia Polaków i Polek“, zamieszczony na końcu książki jego wiersz p. t. „*Duma polska... napisana na Babunie Macedońskiéj.*“ Z czasów pobytu w Turcyi pisywał do pism lwowskich artykuły politycznéj treści, znane mi z rękopismu p. t. „Korespondencya do ojczyzny.“

Oto i wszystko, co znamy z jego nierozległéj twórczości, drukiem ogłoszonéj. Wątpliwą natomiast była wiadomość, podana przez Stan. M. (w Tyg. illustr. 1865, w Nr. 317), jakoby w Turcyi zebrał był Berwiński „bardzo ciekawe badania nad językiem i obyczajami Serbów i Bułgarów“, lubo p. M. mówi, że wié o tém „z dobrego źródła“, wolno jednak nam wątpić w prawdziwość téj wzmianki,—a mianowicie, jeżeli B. zaczął gromadzić owe badania, to niezawodnie tak mało ich zebrał i tak mało sam do nich przywiązywał wagi, że w ostatnich latach życia w Carogrodzie już z tego nic nie pozostało. Wiemy to

od osoby w bliskich pozostającéj stosunkach z poetą. Takiż sam los spotkał i pierwotne jego zbiory twórczości ludu wielkopolskiego, w pierwszych latach zawodu literackiego zbierane. W „Studiach“ (t. I, str. X) sam mówi, że znaczna ilość powiastek ludowych leży po tekach i „nigdy już pewnie światła dziennego nie ujrzy.“

W końcu, w celu uzupełnienia bibliografii Berwińskiego nadmieniamy, cośmy w rękopismach lub ***silvach rerum*** odszukali. Tu należą, oprócz wymienionych przy życiorysie: 1) ***Do mędrków***, wiersz wcale ładny, lubo do pierwszéj epoki jego twórczości należący; 2) wiersz bez tytułu, rozpoczynający się od słów: „Są ludzie wielcy, o których świat nie wié“—gadatliwy a mało poetyczny; 3) jest krótka epitafia p. t. ***Mój nagrobek***, parafraza z ostatniéj spowiedzi; 4) jest początek poematu p. t. „***Pogrobowiec***“, ale z tego, co napisano, nic o wartości wnosić nie można; 5) jest bardzo obszerny plan, albo raczéj rozkład scenaryusza do dramatu z pierwszych wieków chrześciaństwa (bez tytułu), napisano tu scen XIV części I-széj, a nawet początek już ułożony. Kto zna talent Berwińskiego, nawskróś liryczny, ten zrozumie, że niewielką literatura nasza poniosła stratę, że autor tego dramatu nie ukończył. Toż samo powiedziéć należy i o małéj powiastce, pisanéj w lipcu i sierpniu 1848 r. p. t. „***Zasady i miłość.***“ Treścią jéj jest obraz miłości dwu osób, z których jedna lekkiego, płochego usposobienia, druga stałego charakteru i wyrobionéj siły woli. To téż Karolek jest nieustanną ofiarą przelotnych miłostek, a Julian obiecuje sobie nigdy się nie kochać. To cała treść: nie ma tu prawie żadnéj fabuły, żadnéj obiektywności, ani obrazów świata zewnętrznego, a natomiast spotykamy rozwlekłe dyalogi i studenckie dysputy.

(D. n.) *Antoni Bądzkiewicz.*





KWESTYA HUSYCKA

W LATACH 1423—1429.

Ein Blick in die Politik König Sigmunds gegen Polen in Bezug auf die Hussitenkriege, von Dr. A. Lewicki. Wien 1886.

Rozprawa prof. Lewickiego, drukowana w publikacyach Wiedeńskiéj Akademii umiejętności, omawia kwestyą husycką w latach 1423—29, a mianowicie politykę Rzymskiego króla Zygmunta przeciwko Polsce ze względu na husytów. Autor rzucił wiele światła na zagadnienia trudne i najrozmaiciéj przez historyków rozwiązywane, a rozprawę jego można uważać za ostatni chociaż nie ostateczny wyraz naukowy w kwestyi husyckiéj.

Dotychczas przypuszczano, że Zygmunt pogodził się z królem Polskim w Kezmarku celem zupełnego zgniecenia husytyzmu, jeżeli zaś tego zamiaru nie wykonał, winien tu jest król Polski, który obowiązkowi swemu posiłkowania Zygmunta przez opieszałość lub niechęć nie chciał zadość uczynić. Autor zbija to twierdzenie o szczerości intencyi Zygmunta i niechęci Jagiełły, dowodami grupującemi się głównie około wypraw na Czechów w 1423 i następnym roku, a rezultaty dowodów wyjaśniają kwestyą tych nieudałych wypraw w zupełnie inném świetle.

Po zawarciu traktatu Kezmarskiego pomiędzy Zygmuntem a Jagiełłą, cały świat chrześciański oczekiwał skutków wielkiéj wyprawy wojennéj, przygotowanéj przez Zygmunta w Niemczech, przy czém wiedziano, że król Polski może osobiście stanie na czele swych wojsk celem wytępienia kacerzy, w każdym razie wyśle wojska posiłkowe. A jednak nadzieje zawiodły i do wyprawy tego roku nie przyszło. Według badań d-ra Lewickiego, stało się to z winy Zygmunta, który dla świata i dla papieża miał w ustach zapewnienia

najuroczystsze swéj gotowości, w gruncie zaś rzeczy dla sprawy téj niczego nie zdziałał, a co nawet gorsza, starał się przeszkodzić wyprawie.

Nasamprzód Zygmunt sam nie poczynił żadnych przygotowań do wojny, z czego można na pewno wnioskować o rzeczywistych jego zamysłach, to jest, że nie życzył sobie, aby wyprawa doszła do skutku i nie mógł robić naiwnego przypuszczenia, że król Polski bez jego współudziału przelewać będzie krew swoich poddanych na to tylko, aby dla niego zdobywać utracone królestwo.

Daléj, nie zawiadomił on w czas elektorów i książąt rzeszy Niemieckiéj o potrzebie zbrojenia się; rozpisał podwójne termina wyprawy, co już z góry nawet w Niemczech osłabiało wiarę w szczérość zamiarów Zygmunta; zawiadomił daléj elektorów i książąt rzeszy dopiero w chwili, kiedy już zapóźno było na rospoczęcie przygotowań do stawienia się na termin oznaczony, a wyznaczenie drugiego terminu obałamuciło uczęstników wyprawy i spowodowało wśród nich zupełne zamieszanie. Podczas zbrojeń dawał Zygmunt królowi Jagielle pełnomocnictwo do traktowania z husytami, od których żądał rocznego zawieszenia broni; posłowi polskiemu dawał wskazówki, które mogły być zrozumiane jako odwołanie wyprawy, a w końcu żądał, aby król Polski przyjął na się odpowiedzialność za niedojście wyprawy do skutku. Nie dziwna, że wśród tego, w samych Niemczech panowało niezadowolnienie i posądzano Zygmunta o niechęć w stłumieniu rozruchów husyckich, gdyż chyba sam król jest skrytym husytą.

Natomiast król Polski zamierzał sam na czele swych wojsk wyruszyć na pomoc do zamierzanéj krucyaty. Rozpisanie wtórego terminu musiało jednak największe zrodzić zamieszanie w Polsce i na Litwie, gdzie wojsk w pogotowiu będących nie było, i gdzie władcy musieli się uciekać do pospolitego ruszenia. Król rozpisał drugi termin, jeśli atoli nie wyruszył, to zaiste nie leżało już w jego mocy— równocześnie bowiem z drugim terminem nadesłał Zygmunt Jagielle i Witołdowi zupełne pełnomocnictwo do pogodzenia z Czechami.

Postępowanie Zygmunta w kwestyi husyckiéj dwójznaczne i nie jasne, z którego to powodu ściągnął na się votum nieufności od kurfirsztów (zjazd w Bingen) a podejrzenie ze strony kuryi, występuje również i w stosunkach dyplomatycznych Jagiełły, prowadzonych za wiedzą i zezwoleniem Zygmunta. Poselstwa Jagiełły są zagadkowe, nie wspominają one ani słowem o Zygmuncie; król Polski za zezwoleniem i w porozumieniu z Zygmuntem kroczy na manowce, chcąc wywołać rozruchy wewnętrzne w Czechach, aby tą

drogą a więc skrytym sposobem utorować mu drogę do tronu. Im bardziéj jest Jagiełło nie rzetelnym w obec Czechów, tém uczciwsze i rzetelniejsze jest jego postępowanie wobec Zygmunta, i pozostaje nim nawet wtenczas, kiedy brat, Witołd, psuje polskie plany w Czechach.

We wrześniu 1423 r. w obec spełzłego na niczém drugiego terminu, postanowiono w Budzinie na przyszłe lato podjąć wyprawę przeciwko husytom, a termin téj wyprawy miał już sam Jagiełło z Witołdem oznaczyć. Zygmunt pozornie życzył sobie, aby jeden z władców osobisty wziął udział w wyprawie, a to, jak twierdził z tego powodu, aby sława zniweczenia lub nawrócenia husytów nie zmniejszona pozostała przy królu i w. ks. Litwy. Nadto życzył sobie Zygmunt zjazdu osobistego z królem, a poseł polski przywiózł pełnomocnictwo swemu królowi do dalszego prowadzenia układów z husytami.

Udział Polski w tych układach nie da się ściśle zbadać, natomiast na zjeździe w Krakowie (marzec 1424) na koronacyi królowéj nie oznaczono tegorocznego terminu i tylko król Jagiełło zobowiązał się zamknąć granicę od Czech, nie dozwolić husytom dowozu broni, amunicyi itp. z królestwa. Poselstwo husyckie żąda od Jagiełły, aby wyjednał u Zygmunta audyencyą dla husytów, poczém udaje się do Witołda na Litwę, gdzie proponuje księciu, aby dał Czechom Korybutowica na księcia, czemu jednakowoż Witołd wręcz odmówił.

Zygmunt odpowiada Jagielle, że nie zgadza się na użyczenie audyencyi husytom, gdyż oni żądają tylko zwłoki, na stronie jednak daje polskim posłom wskazówki, że ze względu na życzenia i rady Jagiełły, na dowód jak pragnie pokoju i zjednania względów króla Polski i żeby go w końcu husyci przed Jagiełłą nie oskarżali, daje królowi pełnomocnictwo do pojednania Czechów z nim i z kościołem. Oparty na tém zezwoleniu czyni Jagiełło owe pertraktacye z husytami, aby wyjednać im posłuchanie u Zygmunta, gdy tymczasem husyci wyzyskując zwłokę, spowodowują ucieczkę Korybuta do Czech. Cały świat wierzy listom Jagiełły, w których miota groźne słowa na niegodnego bratanka, jeden tylko Zygmunt nie wierzy Jagielle a co gorsza spowodowuje afront wojsk posiłkowych pod Ołomuńcem a nawet ma dość czoła wytartego, mówiąc publicznie, że gdyby król Polski nie chciał, toby kacerstwo w Czechach się nie wzmagało.

Dlaczegoż działa Zygmunt w obec Jagiełły, oddanego mu z zupełną szczerością i zaufaniem, w złéj wierze? Zygmunt, odpowiada prof. L., obawia się, jak to już inni autorowie dostrzegli, że jakiekol-

wiek wmięszanie się Polski w sprawy czeskie, oddałoby koronę czeską lub kraje korony czeskiéj w ręce polskie.

Po afroncie wojskom posiłkowym polskim stosunki przyjaźni zmieniły się, chociaż i teraz Jagiełło nie zmienił nieprzyjaznego względem husytów usposobienia, ale z tą dobroduszną przyjaźnią jaką okazywał Zygmuntowi w kwestyi husyckiéj, wziął Jagiełło zupełny rozbrat i co do husytów szedł już swoją własną drogą.

Jakaż ona była? Oto gdy w 1425 r. upraszał go Zygmunt o posiłki przeciwko husytom, odpowiedział król odmownie. W następnym roku udał się Zygmunt do papieża, aby tenże wstawił się za nim u króla Polski. Na prośby Marcina V odpowiada Jagiełło, iż gotów jest dać żądane posiłki przeciwko husytom i oświadcza tę gotowość kurfirsztom, którzy na ten rok uchwalili wieść tak zwaną, dzienną wojnę. Zygmunt był, jak wiadomo, tego roku w Węgrzech zajęty. Kurfirsztowie poddają pod sąd Zygmunta, czy mają króla Polski zawezwać do dania posiłków lub zaniechać zaprosin. Było to więc chyba powtórzenie afrontu Ołomunieckiego.* Co gorsza, Zygmunt tak dalece nie życzy sobie wmieszania się Polski w sprawy czeskie, że pracuje nawet nad zwolnieniem węzłów hołdownictwa, wiążących książąt Mazowieckich z koroną polską.

Po bitwie pod Aussig, w obec bezczynności Zygmunta, wzmogli się husyci do tego stopnia, że stali się groźnymi sąsiadom, a papież postanowił sprawę husycką wziąć w swe ręce. Husyci zagrażają Szląskowi a król Polski musi ustawicznie utrzymywać wojska z téj strony granic, a z książętami Szląskimi żyje w przyjaźni. Była tedy sposobność aż nadto wielka do wmieszania się i do ziszczenia aspiracyi na Szląsk. Że się o to ze strony Polski pokuszano, zdaje się świadczyć fakt, że papież na wstawianie się Jagiełły przyrzekał wysłuchać sprawy husytów za pośrednictwem króla Jagiełły i Witołda, z wykluczeniem innych książąt, i rostrzygnąć powagą stolicy apostolskiéj. Upadek powtórny Korybuta w Czechach przeszkodził temu zamiarowi, ale od tego czasu powziął Zygmunt silne przekonanie, że Jagiełło czyha na jego ojcowiznę. Z wymówką i skargą zwraca się on do Witołda, zapytując księcia, czy téż istotnie książe wespół z Jagiełłą wstawiają się u husytów za Korybutem i przygotowują wojenną wyprawę na Szląsk. Jagiełło w rzeczy saméj przysposabiał się do wyprawy na zagrożony przez husytów Szląsk, ale listy Zygmunta i przysięga złożona Zygmuntowi powstrzymały go od wydania wojny husytom.

Po strasznych spustoszeniach husyckich na Szląsku w 1428 r. wezwał papież w stanowczy sposób Zygmunta, aby obecnie podjął oręż przeciwko kacerzom, jeżeli nie chce popaść w podejrzenie.

Król Zygmunt w odpowiedzi na to daje Jagielle zupełne pełnomocnictwo do wypowiedzenia krucyaty husytom, do wezwania na wyprawę wszystkich książąt podległych państwu Rzymskiemu, do ukarania opornych i do zajęcia zdobytych miast i terytoryów. Był to znowu czczy pomysł Zygmunta, gdyż uknuł on już z Witołdem intrygę, mającą na celu rozdział Litwy od Polski. Zarówno przed tém jak i po tém doprasza się on u Jagiełły o pomoc przeciwko husytom, któréj nigdy nie bierze na seryo. Polacy spostrzegli się, że Zygmunt ich wywiódł w pole dopiero bezpośrednio przed zjazdem w Łucku.

Zygmunt, konkluduje autor, unicestwia rozmyślnie szlachetne zamiary Jagiełły, gdyż obawia się, aby przy pacyfikacyi Czech nie odniosła Polska i owoców tego czynu. Bo gdyby się Zygmuntowi udało nawet, po takiém zniszczeniu husytów, zatrzymać Czechy, to już w każdym razie wystąpiłaby Polska z pretensyami do Szląska i zdołałaby je z łatwością przeprowadzić.

Dlaczego jednak podniósł Zygmunt w Kezmarku myśl krucyaty przeciwko husytom i dla czego późniéj w swych listach, pośrednio lub przez papieża wzywał Jagiełłę do wyprawy. Zygmunt, odpowiada autor, chciał się w ten sposób zasłonić przed światem chrześciańskim, domagającym się natarczywie wytępienia kacerstwa, chciał zarazem usunąć od siebie podejrzenie, jakoby sam był ukrytym husytą. I tę jeszcze korzyść zyskiwał przy tém król Zygmunt, że skutkiem nieudałych usiłowań Polski stawała jéj szczerość i pochopność w obec świata chrześciańskiego w świetle wątpliwém a podnosiła się tém bardziéj rzekoma gorliwość Zygmunta.

I.

Faktyczna strona rokowań pomiędzy Zygmuntem a Jagiełłą jest tu zestawiona niewątpliwie trafnie i wyczerpująco. Wydawnictwo kodeksu listów Witołda, w którém nie datowane pisma dotyczące téj sprawy ugrupowano w chronologicznym porządku, a i grupa nieznanych listów z 1428 r., wyjętych z kodeksu biblioteki Jagiellońskiéj, pomagają autorowi do celu; mamy świeży, nowy i piękny obraz, odpowiadający faktycznéj prawdzie, dotąd w literaturze niemieckiéj zupełnie nie znanéj, gdyż zdarzenia opowiedziane są nowe i do niedawna ukryte były w pyle archiwalnym, dopokąd je szczęśliwa ręka stamtąd nie wydobyła. Nie tylko faktyczna strona, w któréj przebija się metoda opanywująca przedmiot, zdająca sobie sprawę z najważniejszych momentów, grupująca je w całość, w któréj

góruje myśl przewodnia, ale co bardziéj uderza nas nadto i wyższy talent historyka, usiłującego wydobyć z opowiedzianych wypadków motywa zawiłéj akcyi, gubiącéj się w drobnostkach, mogących łatwo ujść baczności historyka, które atoli w każdym razie przedstawiają jakąś wyższą, nie łatwą do odgadnięcia zagadkę natury psychologicznéj.

Przy bliższém rozpatrzeniu nasuwają się nam jednakowoż pewwne wątpliwości tak co do pierwszéj strony zestawienia faktycznéj strony rokowań, jakotéż i co do drugiéj, w któréj nam autor tłómaczy motywa akcyi.

I tak uderza nas najprzód tendencyjny układ zarzutów sformułowanych przeciwko królowi Zygmuntowi, a mających posłużyć za dowód, że tenże rozmyślnie paraliżował chwalebne usiłowania Jagiełły co do zbrojnego wyruszenia przeciwko husytom. Wywody są poniekąd naciągane, bo czyż zasługuje Zygmunt na zarzut (str. 32), że mianowicie nie zawiadomił on wielu książąt i elektorów rzeszy w stosownéj porze o pierwszym terminie wyprawy, skoro sam kardynał Branda mówi, że to zawiadomienie należało do atrybucyi legata stolicy apostolskiéj (1). Chwieje się waga sprawiedliwości autora w zarzucie, jakoby Zygmunt spowodował odwołanie pierwszego terminu, skoro, jak to zresztą sam autor przytacza, uchwała odwołania zapadła w całéj radzie królewskiéj (*ward im ganczen rat beslossen*). Pomimo téj uchwały jednak ks. Albrecht Austryacki, nie przedkładający ofert do pokonania husytów, ani też dopraszający się natrętnie o udział w wojnie krzyżowéj, wyruszył z wojskiem na św. Jana—król zaś Jagiełło, który, dodajmy, już zeszłego roku (1422) dopraszał się, aby mógł służyć Zygmuntowi posiłkami, który sam z niefortunnym skutkiem proponował udzielenia pomocy (2), nie stawił się na terminie. Jeżeli rozporządzenia króla Zygmunta, nie zdołały uwieść Albrechta, nie obawiającego się nawet hazardu, gdyż sam jeden ściągał potęgę husytów na swe szczupłe siły, to zaiste musiała jakaś głębsza przyczyna, aniżeli zwłoki i brak przygotowań ze strony Zygmunta, ubezwładnić zamiary Jagiełły, z którego to powodu nie można mówić, aby Jagiełło dał się uwieść Zygmuntowi.

---

(1) Palacky. Beiträge I. 301. Według słów kardynała zawezwał go król Zygmunt, quodque nos predictos dominos principes sacri imperii electores aliosque principes dominos et communitates Germanie exhortari et inducere deberemus, ut se viriliter et potenter ad tam sanctum opus accingerent, et in predicto festo (S. Johannis bapt.) cum romana regia maiestate coniungerent. Niepomogły widocznie wezwania Brandy poparte groźbą ekskomuniki!

(2) Obtulimus—mówi Jagiełło. Cod. epist. Vit. p. 1070.

Jak z jednéj strony widoczną jest w pracy p. Lewickiego tendencyjność w tworzeniu zarzutów nieusprawiedliwionych, skierowanych przeciwko Zygmuntowi, tak z drugiéj znowu strony uderza ona w usiłowaniu bronienia Jagiełły od cienia chociażby podejrzenia. Zaznaczmy najprzód, że autor utożsamia zamiary Jagiełły z zamiarami Polski, tj. przedstawia dążenia króla jako wyraz dążeń magnatów w ogólności Polski, co jak późniéj poznamy, jest mylném. Twierdzi tedy p. L. (str. 33), że odwołanie pierwszego terminu wyprawy, musiało na zamiary Jagiełły zgubnie podziałać, gdyż król nie mając pod ręką gotowych wojsk, musiał się uciekać do pospolitego ruszenia. Argument ten zdoła zadziwić każdego, kto wié, że kardynalnym punktem przywileju szlachty było, iż król nie może zmuszać jéj do zagranicznéj wojny i że pospolite ruszenie mogło być przeto tylko przeciwko nieprzyjacielowi, który wtargnął do kraju, użyte. To téż Jagiełło wcale nie myśli o pospolitém ruszeniu a wojnę pragnie wieść zaciężnymi (1). Jeżeli tedy brak zaciężnych mógł przyprawić o kłopot króla Polski, gdyż jak wiemy, nikt nie zważał na odnośne odezwy króla, a zgłaszali się po żołd, znani późniéj husyci polscy (jak, Dziersław Włostowski lub towarzysz Siestrzeńca, pan Mikołaj Zamba ze Szczytnik), to zaiste była w tém i wina Jagiełły, że pierwszy termin minął w Polsce bez skutku i trudno by przyszło nawet najdzielniejszemu dyalektykowi z tego powodu uczynić zarzut przeciwko Zygmuntowi. Że Jagiełło na czas nie miał wojsk posiłkowych, a nawet ich miéć nie mógł, dowodzi i ta okoliczność, że nie ma śladu, aby pierwszy termin w Polsce był ogłoszony, a mamy dowody, że ogłoszono drugi (2), przeto zmiana terminu nie mogła być tak wysoce zgubną dla zamiarów Jagiełły, jak to twierdzi autor. Byłby to niezawodnie na swe usprawiedliwienie podniósł Jagiełło w poselstwie w obec kardynała Brandy (3), a jeżeli tego nie uczynił a wymawiał się z powodów, które go zmusiły do opuszczenia nawet drugiego terminu, to aż nadto widoczna było, że na pierwszy wojsk nie miał a na drugi było zapóźno. Nie potrzeba wielkiéj bystrości do odgadnięcia, że i tą wymówką, wypowiedzianą w obec legata stolicy apostolskiéj, pokrywał król brak wojska.

Ale są to wszystko drobne szczegóły, prostujące lub modyfikujące przedstawienie faktycznéj strony polityki ówczesnéj, a takich szczegółów, wymagających sprostowania, jest nierównie więcéj. Poznamy je przy sposobności; przytoczone wyżéj wystarczą na dowód, że autor dawał się uwieść tendencyjnością.

---

(1) Palacky. Beiträge p. 304: stipendia et salaria refutando..; p. 305: racione stipendii.

(2) Ibidem p. 305. — (3) Cod. epist. Vitoldi. p. 616,

Rozpatrując ogólny wynik pracy, mimo woli pytamy się, czy też król Jagiełło był istotnie do tego stopnia indolentem, iż dał się tak całkowicie wywieść w pole Zygmuntowi; że polityką swą dopomógł królowi Rzymskiemu do zupełnego usunięcia Polski od spraw czeskich, do zasłonięcia Zygmunta przed wyrzutami całego świata chrześciańskiego, posądzającego tegoż o skryty husytyzm i zarzucającego mu niedołęstwo? Czyż istotnie w radzie króla polskiego zasiadali tak niedołężni ludzie, tak nie doświadczeni politycy, iż dali się przez sześć lat zwodzić i całkowicie wywieść w pole podstępnemu Zygmuntowi i polityką nieudałych swych rokowań z Czechami i innych również niefortunnych usiłowań przedstawili Polskę w obec świata w świetle wątpliwém a przez to samo podnieśli wysoko rzekomą gorliwość Zygmunta? Mamyż zgodzić się tak bez zastrzeżeń na zapatrywanie autora, w skutek którego uznać należy politykę polską w latach 1423—29 za zupełnie niedołężną, pozbawioną jakiéjś myśli realnéj, a uznać ją jako pomysł fantastyczny, mający na celu nie dobro ojczyzny ale interes Zygmunta i całego „świata chrześciańskiego", który to ostatni zwrot, zachodzący zresztą w pismach kancelaryi królewskiéj, z upodobaniem i często podnosi autor. Czyż myśli młodego biskupa krakowskiego (Zbigniewa) były już podówczas tak rozszerzone a wpływ jego tak potężny, aby się mogły odezwać potężném echem w całéj Polsce? Czyż zresztą ten wysoki cel „owa zasługa przed Bogiem i światem chrześciańskim", identyczna zresztą z interesem Niemców i ich króla Rzymskiego, mogły żyć i wzrastać w piersiach tych ludzi, którym to Niemcy kością w gardle były, którym ten Zygmunt tak wielkie stawiał przeszkody do odporu Krzyżaków, a którzy w końcu nie zakończyli jeszcze w zupełności swego rachunku z Krzyżakami, gdyż dzieło pokoju Melneńskiego z Zakonem nie było jeszcze zupełnie ukończone, warunki jego nie były wykonane.

Jak z jednéj strony p. Lewicki identyfikuje pojęcia i dążenia Jagiełły z dążeniami Polski—i nie widzi wcale rozdziału pojęć, jaki zapanował w kwestyi husyckiéj pomiędzy królem a jego poddanymi, tak z drugiéj znowu strony wypuszcza ze swych kombinacyi tak znakomity i wiele znaczący czynnik, jakim był Zakon Niemiecki. Krzyżacy dla autora jakby zamarli, i nikt nie dowie się z rozprawy, iż właśnie w czasie owych nadaremnych rokowań Jagiełły z husytami i Zygmuntem, zakon ze swéj strony udaremniał wykonanie pokoju Melneńskiego, że groził wojną i że cała sprawa krzyżacka zawisła znowu groźną chmurą nad Polską i Litwą. Wszakże tak ważna okoliczność, o czém późniéj wspomnimy, musiała na charakter działań, akcyi politycznych króla Polski ważny wywierać wpływ,

tém ważniejszy, o ile że król Zygmunt był zwierzchnikiem Zakonu, ociągającego się ze spełnieniem warunków pokoju uznanego za trwały, za wieczysty.

Skoro atoli autor zamknął swą rzecz w ciaśniejszych ramach i sprawę krzyżacką pozbywa milczeniem, to przecież powinien był wyświecić najważniejszy punkt, rzecz, od któréj rozprawę poczyna, to jest traktat Jagiełły i Zygmunta w Kezmarku; od téj chwili bowiem poczyna się, według autora, nowa doba w epoce husyckiéj,— Polska stanęła odtąd na pierwszym planie, wszyscy oczekują ztąd zupełnego pogromu husytów, oczy całego świata skierowane są na Polskę.

Że téż nie nasunęło się autorowi pytanie, czy ten głośny traktat w Kezmarku z marca 1423 r. zawarty był z dobrą wiarą kontrahentów, czy mógł być trwałą podstawą, niewzruszoną opoką, na któréj można było dzieło pokonania husytów budować; czy nie był on tylko paliatywnym środkiem, mającym posłużyć stronom, zawierającym zgodę, do snucia na podstawie tegoż własnych interesów, chociażby nawet wręcz sobie sprzecznych?

Zaznaczmy przeto, że ów traktat zawarty był pod presyą aliansu Zygmunta z książętami szląskimi, Węgrami i Zakonem, mającego na celu rozbiór Polski. Daléj uskuteczniono zgodę w chwili, kiedy Zakon niemiecki nie tylko że nie wypełniał warunków podyktowanych przez jego zwycięzców nad Melnem, ale podburzony przez Zygmunta wdzierał się nadto w granice Polski i ani myślał o rozburzeniu pogranicznych zamków, zbudowanych na polskiéj ziemi; w chwili, gdy Witold z całą energią groził Zakonowi a nawet zbroił się do wojny. Zaznaczyć wypada i tę okoliczność, że Witold nie był na zjeździe w Kezmarku, że wymówił się chorobą i wcale nie brał udziału osobistego w odnowieniu traktatu lubowelskiego, jakkolwiek przeciwnie czytamy w listach kuryalnych i mylnie za niemi twierdzi autor (1). Daléj, że na prośby Zygmunta, który w Kezmarku grał rolę protektora Krzyżaków, Jagiełło przyrzekł uroczyście nie rościć sobie pretensyi do Zakonu o wynagrodzenie szkód poczynionych w Polsce już po zawarciu pokoju nad Melnem.

Jeżeli zważymy na te wszystkie okoliczności, jeżeli nadto podniesiemy i inną, a mianowicie, że Jagiełło w zamian za uroczyste

---

(1) Ustęp w liście Witolda do W. Mistrza z 26 kwietnia 1423 roku: „Vort als ir schreibet von den briffen die euwer marschalk czu Kesmargt dem herrn bischofe czu Krokaw gegeben hat“ etc., w którym Witold wspomina i o listach otrzymanych od Jagiełły, zawierających wiadomość o dokonaniu z Zygmuntem zgody, dowodzi stanowczo, że Witold nie był na zjeździe w Kezmarku.

uniewinnienie go od zarzutu, jakoby sprzyjał heretykom, obiecuje Zygmuntowi wojenną pomoc przeciwko husytom i czyni wielkie ustępstwa dla Krzyżaków, to w każdym razie przyznać należy, że ci co presyą nań wywierali przy zawarciu traktatu, ci głównie odnoszą i korzyści materyalne i moralne,— albo że Jagiełło, lub raczéj jego baronowie zobowiązania poczynione Zygmuntowi lekceważyli, a traktat wyzyskać zamyślali dla własnych planów.

Korzyści króla Polski były bardzo problematyczne. Owe uroczyste odwołanie króla, posądzanego o husytyzm, mógłby nawet ktoś uważać za kompromitacyą Jagiełły, a owe milczące i dokumentem nie stwierdzone przyrzeczenie, że król Zygmunt nie będzie się mieszać w sprawy Polski z Zakonem, było również błahém, skoro się zważy, że tenże król nie dotrzymywał nawet zaprzysiężonych i dokumentami stwierdzonych obietnic. Nawet w końcu i piekącéj sprawy rabunków, dokonywanych ze strony Szląska na granicach polskich, nie załatwiono po myśli Jagiełły; ugodę co do tych pogranicznych niepokojów odkładał Zygmunt na zjazd we Wrocławiu nastąpić mający po dokonanéj na husytów wyprawie, czyli innemi słowy, jeżeli król Polski pokona husytów, król Zygmunt załatwi ostatecznie nieokreślone bliżéj dokumentem rabunki graniczne, niepokojące Polskę od strony Szląska.

Że Jagiełło zgodził się na taki traktat, rzecz nie dziwna. Był pod presyą, był łatwowiernym, w stosunkach z Zygmuntem naiwnie dowierzającym i dał się uwieść słodkim słówkom i sprytowi Zygmunta; jego wreszcie honor i popadłe w podejrzenie imię wymagały zadość uczynienia w uroczystém odwołaniu, które mu zapewniał Zygmunt. Zapytany o przystąpienie do takowéj zgody Witołd, mógł się również zgodzić na przystąpienie do traktatu, gdyż ten obchodził Polskę, Litwy nie tykał, a zresztą pozostawiał Polskę w spokoju z Zakonem, w zgodzie z królem Rzymskim, a témsamém dawał mu możność do uskutecznienia zamiarów względem Litwy, polegających na sforsowaniu supremacyi Wilna nad najbardziéj odległymi punktami Słowiańszczyzny północnéj, południowéj i wschodniéj, nad unią kościoła ruskiego z rzymskim z jednéj, a na utrwaleniu pokoju wiecznego z Zakonem z drugiéj strony.

Że atoli polscy senatorowie, towarzyszący królowi do Węgier, zwłaszcza téż ci, którzy go tam pomimo woli przywiedli, zgodzili się na traktat, który wiódł ich do wojny z husytami, a w nagrodę tych trudów wojennych, stawiał całkiem nieokreślony i mglisty zjazd we Wrocławiu, mający pozornie położyć koniec rabunkom szląskim, uderza tém bardziéj, skoro się przypuści, że wiedzieli oni dobrze z praktyki, jaką wagę należy przypisywać ówczesnym od-

kładanym zjazdom a bardziéj jeszcze obietnicom Zygmunta, że wreszcie wielu z nich dorozumiewać się mogło, iż Zygmunt nie pojmuje na seryo pomocy polskiéj przeciwko husytom i w końcu, że plan takiéj wojny mógłby napotkać na opór poddanych polskich (1).

Że się jednakowoż zgodzili i przewiesili pieczęci swe do dokumentów kezmarskich, przypuszczać można, że popełnili oni błąd, który się następnie w skutkach okazał. Mamy dowody, że król Zygmunt skłonił ich do zawarcia ugody przez panów Węgierskich, którzy stali się narzędziem politycznem w jego ręku, panowie zaś polscy skłonili swego króla Jagiełłę, ociągającego się od osobistego udziału w zjeździe. Bądź co bądź spodziewali się oni odnieść i korzyści z ugody kezmarskiéj. Najważniejszą było owe milczące cofnięcie nienawistnego w Polsce wyroku wrocławskiego, a zatém uzyskanie aprobaty pokoju, zawartego z Zakonem nad Melnem. Zgadzamy się na to, co na kilku miejscach zaznacza autor, że panowie polscy spodziewali się od Zygmunta w nagrodę za trudy wojenne Szląska, że bez tego nie obeszłoby się, aby pacyfikator nie odniósł jakowychś korzyści i że Szląsk mógł być tą rekompensatą za pomoc wojenną. Dlaczegoż, pytamy, nie sformułowano tego życzenia jako warunku, dlaczegoż téj najważniejszéj korzyści, jaką się spodziewano odnieść, nie dano do aprobaty Zygmuntowi?

Był to jeszcze jeden rys więcéj w podwalinach ugody kezmarskiéj i nie można się przeto zgodzić z p. Lewickim, aby ją uważać za *clara pacta*. Autor nie wspomina o tém, że panowie polscy mieli przy aspiracyach na Szląsk i własne korzyści na celu, gdyż nie jeden z nich mógł dostać w nagrodę współudziału i kosztów wyłożonych na wyprawę jakieś sute starostwo w dożywocie, jeśli nie dziedziczność na Szląsku. Jak późniejsze wypadki pouczają, gonili za tą mamoną Szafrańcy, a więc jedna z najbardziéj zamożnych rodzin małopolskich. Wiadomą zresztą było rzeczą, że w skarbie królewskim były pustki i że cała pomoc przyobiecana Jagiełły w znacznéj części była zależną od współudziału magnatów, tém większe przeto dla nich były widoki zysków i obłowów. Nadzieje te już wkrótce rozwiała rzeczywistość. Bo gdy w maju tego roku rozpoczął król

---

(1) Mamy sposobność wymienienia tych polityków, gdyż imiona ich znajdują się w glejcie bezpieczeństwa udzielonym przez Zygmunta w Kezmarku 14-go marca 1423 r. Oryginał glejtu znajduje się w Archiwum min. spraw zagr. w Moskwie i zawiera imiona następne: Wojciech, biskup krak. i kanclerz; Jan, biskup włocławski; podkanclerzy Jan Szafraniec; Jan z Tarnowa, wojewoda i Mikołaj z Michałowa, starosta krakowscy; Sędziwoj z Ostroroga poznański, Jan z Toliszkowa kaliski, Maciej z Łabiszyna, włocławski wojewodowie; Michał sandomirski, Floryan wiślicki, Dobiesław wojnicki, kasztelanowie i w końcu Jerzy Gedygołd, starosta podolski i Zbigniew z Brzezia, marszałek królestwa.

Jagiełło owe dziwne rokowania z husytami, a już na dniu 4 października Zygmunt nadał swemu zięciowi Albrechtowi austryackiemu w lenno Morawy i na wypadek śmierci ogłosił go spadkobiercą swych tronów, a zatém i czeskiego, czyż wśród takich warunków mogli się możnowładcy polscy spodziewać po Zygmuncie jakowychś dobrowolnych nabytków na Szląsku. Czyż nie zamanifestował tym aktem król Zygmunt, iż zarówno pretensye Brandenburczyka jako też i innych książąt, tudzież pretensye polskie mają w osobie Albrechta silnego współzawodnika. Czyż nie z tego powodu zawarli kurfirsztowie związek w (Bingen) Pargwiach, antimonarchiczny, oskarżając Zygmunta o złe i niedołężne prowadzenie wojny, czyż nie z tego powodu wysyłają oni do Jagiełły prośbę o dochowanie ślubów z królewną Jadwigą?

Zważywszy te wszystkie okoliczności, towarzyszące zjazdowi i ugodzie w Kezmarku, tudzież postępowanie króla Zygmunta po zjeździe, musimy przyznać, że potrzeba chyba silnéj wiary, ażeby przypuścić, iż magnaci polscy i teraz jeszcze na seryo pojmowali obietnice pomocy przeciwko husytom, że sposób ich myślenia był zupełnie inny aniżeli szlachty (str. 28) niechcącéj i słyszéć o wojnie przeciwko husytom (1).

Podając w wątpliwość szczere intencye magnatów polskich do dania pomocy królowi Zygmuntowi, chciejmy się przypatrzéć owéj szczerości Jagiełły, w którą tak silnie wierzy p. Lewicki. Przypuśćmy tedy, że interesa króla Polski często się krzyżowały z interesami magnatów i że Jagiełło był do tego stopnia dbałym o cześć i sławę swoję i zasługi wobec chrześciaństwa, iż nie zważając na swych doradców, szczerze i lojalnie postępował wobec Zygmunta.

Otóż gdy pierwszy termin wyprawy miał minąć bez skutku, udzielił król Zygmunt zupełne pełnomocnictwo Jagielle do rokowania z Czechami, a więc niejako dał dowód, że zaufał królowi i odeń

---

(1) Jeszcze przed zjazdem w Kezmarku wiedzieli magnaci polscy, że Zygmunt nie życzy sobie posiłków polskich (*subsidiis nostris se dixit non egere*—Cod. ep. Vit. p. 1070), a jednak gdy króla Jagiełłę zobowiązali do udzielenia tychże Zygmuntowi nie słychać w następstwie tego o jakiémś silném poparciu króla z ich strony. Natomiast atoli musieli oni udzielić swemu królowi pełnomocnictwo do prowadzenia niezaszczytnéj dla króla i królestwa akcyi pokojowéj z husytami, i to nawet w sposób *podstępny*. Miałoby to świadczyć o ich lojalności względem Zygmunta. Mnie się zdaje, że szydło wyłazi z worka w liście magnatów polskich pisanym do węgierskich w 1438 r. wśród nieco zmienionych okoliczności. Oto co piszą: „Mirandae res haec sensibus nostris, ut *quociens aliquis princeps alius quam Romanorum rex* regno Bohemiae praeesse debebat aut inibi sperabat regnaturus esse, mox illi et ambicionis ardor et hereseos crimen aliaque multa, quae dedecent, ascribuntur.“ (Cod. ep. pars I, p. 100).

się spodziewał, iż na drodze dyplomatycznych rokowań będzie się starał przywieść husytów do posłuszeństwa kościołowi i królowi Rzymskiemu. Ale dodajmy, o czém zresztą nadmienia autor, że równocześnie Zygmunt sam prowadzi bardzo podejrzane rokowania z Taborytami z Preszburga, że te rokowania nie podobają się w Niemczech, że zaostrzają wrogi stosunek Utrakwistów (nie chcących nawet słyszéć imienia Zygmunta) do Taborytów. Czyż takie rokowania nie udaremniały skutku rokowań polskich? Bo jeżeli Jagiełło w sposób, który na autora rozprawy po dziś dzień przykre czyni wrażenie, prawiąc o *linguagium sclavonicum*, chciał Utrakwistów zapędzić do obozu Zygmunta, to pytamy z jakiego powodu racyonalnego król Zygmunt, zgadzający się na tak drażliwy i upokarzający go środek, przyciąga Taborytów do siebie, dlaczego wchodzi z nimi w układy, wszakżeż akcya taka z dwóch stron, musiała się wydać obu obozom czeskim bardzo podejrzana, musiały one przyjść do przekonania, że zarówno Zygmunt jak i Jagiełło zwodzą ich i jakieś złe względem nich żywią zamiary. Że tak było w rzeczywistości, stwierdza okoliczność, że odpowiedź Utrakwistów na propozycye Jagiełły jest antidatowaną, że daléj nastąpiło w Czechach zaostrzenie stosunku wrogich sobie stronnictw, a w końcu takie zamieszanie pojęć u Czechów, że pomimo udaremnionych rokowań Zygmunta z Taborytami, uprzedziły one i Utrakwistów źle do Jagiełły, gdyż musieli się obawiać zdrady tego króla.

Jeżeli zaś takie tylko korzyści chwilowe stoją po stronie Zygmunta, to oczywiście wiedziano o nich wnet w Polsce, a rezultatem tego doświadczenia nie mógł być wzrost ufności Jagiełły do Zygmunta. Jeżeli Zygmunt nie chciał miéć do zawdzięczenia pacyfikacyi Czech wojskom Jagiełły, a pacyfikacyi na drodze pokoju dokonywanéj z upokorzeniem powagi królewskiéj przeszkadzał, pytamy, czy i natenczas miał Jagiełło na seryo myśléć o dalszém szczerém lojalném pomaganiu Zygmuntowi? A jeżeli Jagiełło nie widział tych dowodów nieszczerości Zygmunta, lub idąc za wzorem cnót świętych, widziéć ich nie chciał, i pomimo wyraźnych wskazówek ze strony domyślnych magnatów polskich, ufał swemu przyjacielowi, to czyż ogłoszenie Albrechta, jako następcy koron Zygmunta, nie wzbudziło w Jagielle podejrzenia, że Zygmunt dla kogoś innego przeznacza owoce chwały i zasługi podjętéj w obronie chrześciaństwa. Jeżeli zaś i tego domyśléć się nie umiał, to czyż głos oburzenia w Niemczech, że do wojny krzyżowéj nie przyszło, że ją król Zygmunt udaremnił, czy podejrzenia poddanych niemieckich rzucane na króla Rzymskiego, że jest skrytym husytą, nie otworzyły oczu Jagiełły? Czyż mu nie wyłuszczyli posłowie elektorscy w stycz-

niu 1424 roku w Krakowie, jak podejrzanego pozyskał przyjaciela w osobie Zygmunta, i czy ów kurfirszt Brandeburski, siejący plotki na dworze krakowskim, nie przyczyniał się do wyjaśnienia, jak wysoce interesowną była przyjaźń króla Rzymskiego, króla, którego wpływ w Niemczech był podkopany, który sam o sobie mówił, że nie jest szczęśliwym w wojnie, pokrywając tém własne niedołęstwo, i o którym śmiało mógł twierdzić i dowodami wykazywać w Krakowie jego współzawodnik Fryderyk, że po to tylko zawarł traktat z Jagiełłą, aby zasłonić swą kompletną niemoc w Niemczech, a na króla Polski, mającego tak szczytne zamiary, zwalać winę, że wyprawa nie przyszła do skutku.

Jak widoczna, rozmaite powody mówią za tém, że szczerość Jagiełły, jego lojalność nie była tak bezwarunkową, jak to twierdzi d-r Lewicki. Przypatrzmy się zresztą tym dowodom, z których autor wnioskuje o owych otwartych i lojalnych zamiarach króla Jagiełły wobec Zygmunta.

I tak zbrojenie się w Polsce w 1423 r. bierze autor za nadto seryo. Listy biskupa krakowskiego do papieża, w których Oleśnicki podnosi zasługi króla około zamiaru wojny przeciwko kacerzom, mają służyć za dowód, że w Polsce przygotowano się i to na olbrzymią skalę, aby być na pierwszy zaraz termin gotowym do wymarszu. Tak listy biskupa jako też zapewnienia żołdu dla zaciężnych wojowników, osławionych póżniéj jako notorycznych husytów, a wreszcie prośby stosowane do miast o pożyczkę paru set grzywien, nie starczą za dowód, że wojska się zebrały lub czekały już w pogotowiu na krucyatę, aż je nieszczęsna zmiana terminu nie rozprószyła.

Przyznajemy chętnie że zbrojenia te były w toku, ale jakim był ich charakter, jaka rozległość, wykazują listy królewskie. Oto król wzywa biskupów, aby ogłaszali z ambon wojnę przeciwko kacerzom; zapewne, że byli powolni wezwaniu lecz z niewielkim skutkiem. Sam wszakże król skarży się, że poddani nie chcą ratować jego honoru na szwank narażonego imienia i wiary katolickiéj, słowem że nie chcą iść na wojnę. Wobec tego, czyż możliwa aby Jagiełło liczył na to, że wyprawa wojenna i to jeszcze tegoż roku przyjść może do skutku. Czyż nie widoczna, że już w maju pojął potrzebę zawieszenia na ten rok projektu, skoro nietylko że przeciwko zwłoce Zygmunta nic nie miał do zarzucenia, ale nadto dał się użyć do niefortunnego i upokarzającego jego majestat — pośrednictwa z husytami, skoro daléj w odpowiedzi na zwłokę wysłał do króla Zygmunta posłów z tłómaczeniem, iż trudno by mu przyszło pod zimę podejmować wyprawę i prośbą, by ją odłożył na rok przyszły. A ileż to wojen na św. Jakób prowadził Jagiełło w swém ży-

ciu i nie obawiał się by go zaskoczyła zima? A czyż w czerwcu Zawisza Czarny nie o zwłokę domagał się u Zygmunta i czy odpowiedź tegoż na te przedłożenia, a mianowicie, że skoro król Polski tego roku nie chce podjąć wyprawy, niechajby natenczas przyjął na się odpowiedzialność za niedojście projektu do skutku, nie należy tłómaczyć i w ten sposób, jak żywo się tu o zwłokę domagano?

Co więcéj, mamy wyraźne ślady, że zamiary Jagiełły celem podjęcia wyprawy napotkały w Polsce na opór. Jak już wiemy, w Polsce ogłoszony był drugi termin wyprawy (św. Jakób), a pomimo to nikt się nie zjawił. Ochotnik nie chciał iść, do pospolitego ruszenia nie śmiał król apelować, a w końcu wezwane do złożenia subsydyów na wyprawę czeską duchowieństwo, odmówiło wręcz pomocy pieniężnéj. A jak potężnym musiał być opór wszystkich poddanych, poświadcza ta okoliczność, że nie szło tu bynajmniéj o olbrzymią wyprawę, któréj myśl przypisuje Jagielle p. Lewicki, lecz wprost o posiłkowy korpus (1). Taki oddział posiłkowy wysłał téż Jagiełło Zygmuntowi w roku 1424 po ucieczce Korybuta, a posłowie polscy mówią wyraźnie z racyi téj pomocy, że król wysławszy Miedźwiedzkiego w 5,000 koni *in vim concordiae et inscriptionis pro subsidio contra hereticos, multo majorem quantitatem quam rex Romanorum petebat, in Moraviam direxit* (2), co nadto świadczy o zupełnym braku zapału króla do wyprawy husyckiéj na olbrzymią skalę, skoro obecnie skompromitowany król z największym wysiłkiem zbiera tyle koni, ile się nieraz składało na jego świtę dworską. Opór poddanych widoczny i w tém, że w tym roku 1423 zamiast wysyłać wojska przeciwko husytom, zwołuje król zjazdy prowincyonalne, nasamprzód do Korczyna; naradzają się tam możnowładcy i delegowani po dwóch z każdego herbu nad środkami przeciwko wdzierającemu się do królestwa husytyzmowi. Spisują się te środki i posyłają Witoldowi do zaopiniowania. Uchwał atoli żadnych nie powzięto (może dla braku Wielkopolan) i odłożono na zjazd w Wiślicy odbyć się mający. Ale i tam niczego nie

---

(1) Że król Jagiełło nie mógł żywić zamiaru podjęcia jakiéjś wielkiéj wojny i to pod osobistym swoim dowództwem przeciw kohusytom, poświadcza i list tegoż z 15 kwietnia 1424 (Cod. ep. Vit. p. 628) do Witołda: „....ubi homines quos sibi in subsidium paravimus stare debeant et collocari, et etiam quando et quo tempore ipsos mittere debeamus.... Vellemus etiam, quod homines nostri in tali loco starent et locarentur, in quo imminentibus periculis ut puta, quod absit, vulneribus et casibus fortuitis, facilem reduccionem ad propria possent habere....“ Szkoda, że król Jagiełło, dbający, jak widzimy, o losy tego korpusiku posiłkowego, nie wspomniał o wygódkach, jakieby się wojsku przydać mogły na Szląsku lub w Morawach z powodu obfitości niedalekich piwnic krakowskich.

(2) Cod. ep. Vit. p. 909.

uchwalono, snać trudno było wobec sprzecznych sądów przyjść do konkluzyi, lub może ktoś uchwałom przeszkadzał, nie życzył sobie, aby je tego jeszcze roku powzięto. A dlaczegoż żądał król uchwał? Oto dlatego, że husytyzm przedzierał się do Polski, miał tu zwolenników i że z takimi poddanymi nie można było na seryo myśléć o wyprawie przeciwko husytom. Król uniwersałami wysyłanemi do starostów nakazuje gnieść husytyzm w swém państwie i ten sam król ma z podejrzanymi poddanymi wieść wojnę przeciwko husytom! Wobec tego żadną miarą nie można się zgodzić na twierdzenie p. Lewickiego, jakoby odwołanie pierwszego terminu wyprawy, zrodzić miało zupełne zamieszanie w Polsce. Przeciwnie król Jagiełło mógł być tylko zadowolony z odwołania, którego się dopraszał, a które osłaniało jego kompromitacyą wobec Zygmunta. Tłómaczy nam to dostatecznie, dlaczego w Polsce o pierwszym terminie niczego nie słychać, o obwołaniu drugiego mamy dowody.

A i tu nie koniec. Jak mamy bowiem wytłómaczyć sobie postępowanie Jagiełły, jak uznać je jako nadzwyczaj szczere i lojalne wobec Zygmunta, skoro on, co postanowił wojną zgnębić husytów, doprasza się u Zygmunta o pełnomocnictwo, aby mógł Czechów na drodze pokoju z nim i kościołem pogodzić, a nawet czyni próby kilkakrotne i bezowocne, pomimo że z góry przewidzieć może, że one do niczego nie doprowadzą. Akcye tę dyplomatyczną prowadzi król Polski za wiedzą Zygmunta, a przecież król Rzymski, któremu zależało na gruntownéj kompromitacyi Jagiełły, przestrzega tegoż ostatniego, „iż Czesi od czasu ugody kezmarskiéj się wzmocnili, że napadli Morawy, że postępują sobie wobec Zygmunta zdradziecko i radzi, żeby Jagiełło bardzo ostrożnie sobie z nimi poczynał, ażeby podstępem nie wyzyskali łatwowierności króla, jak to się kilkakrotnie wydarzyło Zygmuntowi.

Tłómaczym sobie tę gorącą chęć Jagiełły tém, że chciał przecież w jakiś sposób dopomódz Zygmuntowi i pokryć własną niemoc, że opuszczony przez magnatów, duchowieństwo i szlachtę nie mogąc wojskiem posiłkować przyjaciela, chciał go na drodze układów pogodzić z Czechami, — czyż nie uderzy nas ta okoliczność, że instrukcye posłów polskich są wręcz przeciwnéj natury, aniżeli były niemi instrukcye posłów Witołdowych. Czyż Zygmunt, znając treść tych odrębnych i sprzecznych instrukcyi, nie dorozumiał się różnicy w zapatrywaniach króla a wielkiego księcia Litwy względem kwestyi husyckiéj, i czyż nie wiedział teraz na pewno, że dobre chęci Jagiełły paraliżują inne wrogie czynniki, odgrywające ważną role w koronie polskiéj.

Jaką opinią powziął o tych czynnikach polityki polskiéj Zygmunt, dowodzi ta okoliczność, że w listopadzie tego roku ogłosił on zięcia swego margrabią Morawskim i następcą swoim w Czechach, a jakby w odpowiedź na to, żądają znający sytuacyą husyci od króla Jagiełły, aby im dał zarządcę książęcia krwi, znanego im już Korybutowica, który ma paraliżować nadzieję króla Rzymskiego na odzyskanie korony czeskiéj.

Prof. Lewicki datuje od czasu téj ucieczki Korybuta zupełny już brak wiary Zygmunta w szczere intencye Jagiełły i w ostrych wyrazach daje folgę swemu gniewowi z powodu, iż Zygmunt wkrótce przed tą powtórną ucieczką księcia litewskiego nie wzdragał się publicznie powiedziéć, że gdyby tylko król Jagiełło nie chciał, kacerstwo w Czechach nie wzmagałoby się, jak obecnie się wzmaga. Zaręcza nam p. L., że Zygmunt w złéj wierze wypowiedział to zdanie, a co gorsza, po raz drugi spychał na Polskę winę, że wyprawa nie przyszła do skutku — i dodaje, że wobec należytego ocenienia tych nieznanych i nowych danych historycznych, skorośmy wreszcie poznali stosunki poprzedzające ucieczkę Korybuta, skoro się wié, jak wielką, jak lojalną gorliwość okazywał król Polski w sprawie Zygmunta, skoro go w końcu o całym przebiegu ucieczki Korybuta poinformował, nie można do innego przyjść wniosku, jak tylko przyznać, że Zygmunt działał w złéj wierze.

Nie można bezwarunkowo przyjąć i tego sądu autora. Wprawdzie w pismach Jagiełły, jakie w skutek czynu Korybuta rozesłano po całym świecie, czytamy piękne i proste motywa na usprawiedliwienie króla; odrzucają one nawet cień podejrzenia, jaki by paść mógł na Jagiełłę. Przyznać jednakowoż należy, że gdyby ta *mala fides* ciążyła na królu polskim, pisma jego kancelaryi musiały wypaść w formie takiéj, jaką nadali tymże kanclerz lub podkanclerzy.

Chociażby nawet historyk uwierzył w motywa, jakie podaje na swe usprawiedliwienie łatwowierny Jagiełło, to czyż w oczach Zygmunta nie jest winien król Polski, że nie zapobiegł wielce niebezpiecznemu dlań wypadkowi, że zezwolił, iż kilku buntowniczych Czechów w charakterze posłów zrewoltowało mu kilka tysięcy poddanych, którzy złamali wiarę królowi? Czyż nie winien Jagiełło, że nie był w stanie zapobiedz złemu w zarodku, tém bardziéj, gdy wiedział, że na taką ucieczkę się zanosi, że nie zgromił tych buntowników przez starostów i urzędników swoich, a ci ostatni, że nie pokonali ruchu w zarodku? Czyż w Polsce ówczesnéj, z tak silną jeszcze władzą królewską, mógłby kto bezkarnie zebrać kilka tysięcy wojska i napaść chociażby na wojewodę mołdawskiego?

A jeżeli król wobec dokonanego faktu był bezradnym, jeżeli poddani złamali mu wiarę i wbrew jego woli uczynili na przekór i stali się wrogami królewskiego przyjaciela, to czyż ów przyjaciel miał daléj budować na pomocy tak nie silnego, tak związanego i zawisłego od samowoli swych poddanych przyjaciela? W pierwszéj chwili nasuwa się pytanie, czy nie mógł słusznie podejrzéwać Zygmunt Jagiełły o nieszczerość i chęć szkodzenia, chociażby nawet przypuszczał, że król ten nie solidaryzował się z autorami dokonanego zamachu na jego koronę.

Jeżeli zaś król Jagiełło pomimo to wszystko szczérze działał, gdy więc dla chwały swego imienia, dla wiary i zasług niebieskich, pałał neofita chęcią pogodzenia Czechów z ich królem prawowitym i z kościołem, a był tak niedołężnym i słabym, że nie mógł zapanować w Polsce nad sprzecznymi pojęciami, jakie panowały w kwestyi husyckiéj, że nie mógł nadać im wybitnego wyrazu własnéj woli; to przecież musiał iść za zdaniem, które najbardziéj okolicznościom odpowiadało. Ta dorada, aby husytów na drodze pokoju pogodzić z Zygmuntem, jak skutek okazał, była zgubną i kompromitującą króla i królestwo. Powtóre, musiał być w Polsce ktoś, kto wysłał Korybuta, ułatwił księciu ucieczkę i to w parę tysięcy koni, wyłożył na nią potrzebne sumy, bo trudno przypuścić, aby husyci, którym nawet obuwia dla własnych żołnierzy nie stawało, mieli wyłożyć potrzebne fundusze na kosztowną w każdym razie wyprawę. Należy przeto wnosić, że ktoś bardzo możny prowadził odrębną politykę poza plecyma Jagiełły i z obrazą honoru królewskiego, zdołał zamiary swe doprowadzić do skutku na szkodę króla Zygmunta.

Konkluzya ta była zresztą sądem współczesnych a prof. Lewicki nawet nie przypuszcza czegoś podobnego wobec silnéj wiary w naiwną lojalność króla. Sąd o tém, że kanclerz polski z możną swą rodziną Szafrańców wysłał Korybuta do Czech, sąd ten wydał Witołd, zapewne bardzo dobrze i dokładnie znający stosunki polskie i prądy polityczne, jakie tam nurtowały, a z rozbieranéj tu rozprawy anibyśmy czegoś podobnego przypuścić nie mogli.

A przecież sąd ten nie jest oszczérstwem w ustach Witołda; znajduje on umotywowanie w niedołężnéj akcyi wojennéj i dyplomatycznéj Jagiełły w ciągu r. 1423. Wszakżeż akcye te króla Jagiełły wobec takich Krzyżaków były sprężyste i należycie popierane, tak że skutek zawsze był z korzyścią króla a ze zgubą jego przeciwników połączony. Legacye Jagiełły do Krzyżaków były jasne i stanowcze, a w legacyach tegoż króla w 1423 i następnym roku prowadzonych, można się wszystkiego dopatrzéć, tylko nie jasności, nie

stanowczości. Jest to, co prawda, niewygodnie dla autora rozprawy, gdyż pragnie on w czytelniku zaszczepić najsilniejszą wiarę w szczerość intencyi Jagiełły, to téż nie dziwna, że wysila się i wydobywa cały zasób dyalektyki, aby usprawiedliwić tę niejasność, pomimo to jednak wywody jego nie mogą przekonać czytelnika i legacye zawsze jeszcze pozostają bardzo niejasnemi. Ale co bardzo słusznie podnosi prof. L., to tę umotywowaną okoliczność, że król Zygmunt trzymał się metody zaopatrywania posłów polskich w podwójną odpowiedź: urzędową, w której dawał odpowiedź jasną i trafną, i prywatną, której treść była zaprzeczeniem pierwszéj—i dodaje, że czynił to, aby udaremnić zamiary wojenne Jagiełły lub króla skompromitować. W odpowiedziach Jagiełły dawanych husytom za wiedzą Zygmunta, dopatrujemy się chyba podobnéj lub jeszcze zgubniejszéj dla Zygmunta metody. On bowiem prosił Jagiełłę, by Czechów przywiódł do posłuszeństwa grozą wojny krzyżowéj, Jagiełło w legacyach swych sekretnych (1), powierzanych, dodajmy, notorycznemu husycie polskiemu—Sietrzeńcowi, ani słowem nie wzmiankuje o ich królu Zygmuncie, a prawi Czechom, aby się wzajemnie pogodzili, bo przecież chciałby on, życzliwy im król pokrewnego językiem narodu, by naród Słowiański nie ginął pod mieczem obcych narodów, by sławna korona czeska nie stała się łupem zdobywców, wzywa więc ich, by się pogodzili pomiędzy sobą i postawili tamę grożącéj burzy. Jak niejasnemi były te legacye, świadczy skutek tychże; husyci widząc, że im nie grozi już żadna krucyata ze strony Jagiełły, poczęli się porozumiewać pomiędzy sobą, następnie bić obce narody, to jest Niemców, i wysłali w końcu do Jagiełły prośbę, by im dał księcia w osobie kuzyna królewskiego.

Jeżeli atoli w szczérość intencyi Jagiełły trudno było wobec takich okoliczności wierzyć Zygmuntowi, to jednakowoż musiał on sobie powiedziéć, że wiele ten robi kto musi, a udana nawet wiara w czystość tych intencyi, była zawsze dla Zygmunta korzystniejszą, aniżeli wprost zerwanie z królem Jagiełłą. Król Polski był związanym wobec Zygmunta w niezgodzie z poddanymi, a przeto słabym i niedołężnym do wielkiéj akcyi w Czechach, a nadto kompromitował się i osłaniał bezczynność Zygmunta, a tego tymczasowo mógł sobie życzyć Zygmunt i udawał dobrą wiarę. Ale byli w Polsce tacy, którzy nie potrzebowali symulować na modłę Zygmunta lecz mówili prawdę swemu królowi.

Otóż skonstatować należy, że gdy wojenne zamiary Jagiełły rozbijały się o liczne przeszkody a pomiędzy temi i o brak pienię-

---

(1) Liber Canc. II, p. 106:.. intencionibus nostris secretis... plene informatum. List ten odnosi dr. Lewicki słusznie do 1423 r. (str. 39, koniec uwagi).

dzy, papież na prośby króla nałożył na kler kontrybucyą, a Witołd ze swéj strony starał się w Rzymie, aby kurya czém prędzéj pozwoliła ściągnąć pieniądze. Wynosiła ona 20.000 kóp groszy, a więc kwotę bardzo znaczną, a miała służyć na podjęcie wyprawy przeciwko husytom. Duchowieństwo (w 1424 r.) odmówiło pieniędzy a król obłożył dobra nieposłusznych aresztem.

Natenczas to zbierają się panowie i prałaci na zjazd w Sieradzu (w styczniu 1425 r.) i czynią stąd królowi przedstawienie i prośby, by cofnął rozporządzenie, dotyczące aresztu nałożonego na dobra duchowieństwa. Motywa téj prośby są ze wszech miar ciekawe i ważne; mówią bowiem panowie i prałaci, że ten areszt doradzili królowi nałożyć na kler zdrajcy, którzy hańbią imię królewskie, ludzie podejrzani „*de fautoria haeresi*", że przez nich upada królestwo i kościół, że ściągają podejrzenie na króla i królestwo. O konsyliarze, wołają w patryotyczném oburzeniu pod koniec adresu, za których sprawą upada cześć ojczyzny a zguba grozi duszom wiernych (1).

Mamy tu więc nie podejrzenie lecz wyraźną skargę na sprzyjających husytom, podejrzanych o herezyą, konsyliarzy królewskich i to podniesioną nie przez stronnictwo klerykalne, nie przez jeden stan w narodzie, ale przez bardzo poważne zgromadzenie, prałatów, magnatów i szlachty, zgromadzonych na zjeździe w Sieradzu. Autor rozprawy nic o tém nie mówi, zarówno jak i o tém, że Witołd tych konsyliarzy wyraża po nazwisku: Szafrańcami.

Zyskaliśmy, sądzę, racyonalną podstawę, aby sądzić, że postępowanie Jagiełły w kwestyi husyckiéj paraliżuje wpływ filo-husyckiego stronnictwa z kanclerzem na czele. To tylko przypuszczenie, które naszkicowałem w rozprawie: Polska i Husyci po odwołaniu Korybuta z Czech (2), (któréj prof. Lewicki nie uwzględnia), zdoła nam wytłómaczyć ową niekonsekwentną, bojaźliwą, dbałą o pozory szczerości, dwulicową a pozbawioną stanowczości i nadziei na dobry skutek politykę Jagiełły w omawianym okresie. Że król Zygmunt wiedział o tém, iż po za plecyma Jagiełły ktoś inny prowadzi akcyą polityczną, że firma króla jest nadużywaną i że temu nie przeszkodził, świadczy tylko na jego korzyść, gdyż mógł wiedziéć, że skutki takiéj skrytéj a niewydatnéj w owoce polityki, obrócą się w ten sposób na niekorzyść Polski, iż zajęta wewnętrznemi rozterkami, ani będzie mogła marzyć o Szląsku a tém mniéj o koronie czeskiéj.

---

(1) Cod. ep. Vit. p. 692 N. 1187 i odpowiedź króla numer następny.

(2) Przewodnik nauk i liter. rok 1883 (marzec—sierpnia). 32*

Wszakżeż już obecnie doświadczał Zygmunt korzystnych dla się skutków polityki prowadzonéj z zamku krakowskiego. Mógł on śmiało mówić wobec świata: nie mogłem ja pokonać husytów, nie podoła zadaniu i ów możny król Polski, w którym kurya i książęta chrześciańśtwa tak wielką pokładali nadzieję. Wyniku tego, który starczył mu za puklerz przed zarzutami niechętnych mu książąt rzeszy, mógł się nawet spodziewać, gdyż ze znanych mu akcyi politycznych króla Jagiełły wobec husytów w latach poprzedzających traktat Kezmarski, mógł śmiało przypuszczać, że wojna przeciwko pobratymczym Czechom nie wzbudzi w Polsce zapału a pociągnie za sobą rosterki wewnętrzne i zaostrzy dobry i znośny dotychczas stosunek Polaków do Czechów. Gdy atoli teraz poznał, że w Krakowie rej wodzą kanclerz z familią, a wiedział, że Witołd stanowczo i otwarcie oświadczył swoje ostateczne i niezmienne zdanie co do kwestyi husyckiéj, to wobec tego mógł Zygmunt pragnąć dalszego ciągu polityki krakowskiéj, gdyż mogła ona w swych skutkach uwikłać Polskę w rosterki z Witołdem.

Przeczuciem wynikłem z doświadczenia i kombinacyą na podstawie informacyi Krzyżaków, odgadł Zygmunt i przeniknął, czyja to była ręka, która stawiała mu coraz to nowe trudności w kwestyi husyckiéj, a stanowcze przekonania Witołda, nakazywały mu pozyskać względy i przyjaźń tak możnego władcy, a następnie wyzyskać je dla własnych planów.

II.

Ważnem jest ze wszech miar pytanie jak się Witołd zapatrywał na kwestyą husycką? W objętym przez p. Lewickiego okresie zapewne nie mamy na te zapatrywania w. księcia Litwy klasycznych dowodów; ale i te wskazówki, jakie posiadamy, dają dostateczny materyał do ocenienia opinii Witołda. Autor nie zdaje sobie sprawy w tym kierunku, pozostawia kwestyą nie wyjaśnioną a nawet mimochodem posądza Witołda, iż swemi odpowiedziami stanowczemi zdawał się paraliżować dobre chęci i zamiary Jagiełły.

Tymczasem stanowisko Witołda objaśnia już sam niechętny mu Długosz, przedstawiając wysłanie Korybuta do Czech w latach 1421—2 jako akt zemsty Witołda za wyrok Wrocławski. Tożsamo mniéj więcéj mówi i Oleśnicki w tendencyjnym zresztą liście do elektorów pisanym w 1422 r., w którym usprawiedliwia króla Jagiełłę ze stosunków z kacerzami i mówi, że Witołd, nie Jagiełło, wysłał Korybuta do Czech i że uczynił to książe wbrew wyraźnéj woli króla Polski. Składa więc Oleśnicki winę na Witołda, a jednakże

mówi wyraźnie pomiędzy innymi motywami téj wysyłki, iż spowodował ją i wykonał Witołd dlatego, iż czuł się być pokrzywdzonym wyrokiem Wrocławskim. Sam wreszcie Witołd w liście do elektorów pisze, iż nie celem obrony heretyków lub zagarnięcia ich królestwa wysłał Korybuta, lecz uczynił to na przekór (*in displicentiam*) królowi Rzymskiemu, który go pokrzywdził i pod pozorem braterskiéj przyjaźni wyzuł księcia swym wyrokiem z dziedzicznéj ziemi. Dodał jednakowoż otwarcie, że jeżeli Czesi nie powrócą do zgody z kościołem, opuści ich całkowicie. Ten sam motyw zemsty czytamy w domniemaniach panów polskich w piśmie wystosowaném do panów węgierskich (1).

Takiém jest stanowisko Witołda względem husytów w latach poprzedzających okres zjazdu Kezmarskiego. Celem rozwiązania pytania, jakiém było ono w tym właśnie okresie, zważmy drobne okoliczności, które przywodzi p. Lewicki w swéj rozprawie, lecz nad nimi się nie zestanawia i nie bierze ich w rachubę swych kombinacyi.

Otóż rozpatrując stanowisko Jagiełły i Witołda z bardziéj ogólnego stanowiska, uderzającém jest, że gdy pierwszy w najdrobniejszéj nieraz rzeczy, w sprawach dotyczących obsady urzędów i dostojeństw w Polsce, czy obdarowania jakiego magnata miastem Brzeźnicą, czy to w kwestyi książąt Szląskich proszących o powrót do łaski króla itp. zasięga opinii Witołda otwarcie i przyjaźnie, w kwestyi dotyczącéj husytów nie czyni tego ze zwykłą otwartością. W sprawie Fryderyka Brandeburczyka i Bogusława ze Słupcy odpowiada Jagiełło posłom niemieckim, iż nie da im stanowczéj odpowiedzi, bez zasiągnięcia rady, opinii i zezwolenia Witołda, w sprawie o wiele ważniejszéj czeskiéj, nie widzimy téj opinii, nie żąda jéj król, owszem poleca nawet, co Witołd ma ze swéj strony zrobić, jak odpowiedziéć. Nawet co do wypraw wojennych nie widzimy śladów zasiągania opinii Witolda a tylko natenczas, gdy chodzi o wywarcie nacisku lub o rehabilitacyą (na duchowieństwo, by dało pieniądze, i w sprawie konfederacyi antyhusyckiéj z 1424 roku), ucieka się król do Witołda, występującego zresztą podówczas ze zwykłą sobie energią i stanowczością.

Rozpatrując szczegóły, podnieść nasamprzód należy, że jak wiemy, Witołd nie był w Kezmarku, że wypowiedzenie wojny, wysłane przez Witołda husytom w kwietniu 1423 r. a więc zaraz po zawarciu zgody Kezmarskiéj, nie dochodzi ich. Daléj posła Bartłomieja Cybulkę, sekretarza w. księcia, który ma Czechom stanowczą

(1) Cod. epist. Vitol. p. 554.

i groźną dać odpowiedź, przejmują po drodze Szlązacy i wypuszczają za kaucyą dopiero za wstawieniem się Zygmunta. W 1424 r. gdy posłowie czescy, według relacyi Długosza, prosili o przyzwolenie dania im Korybuta, któréj to relacyi przeczy autor, Jagiełło zataja o tém i nie donosi Witołdowi, jakby niezawodnie był uczynił, gdyby był jednego z Witołdem zdania co do husytów. A nawet z pewnych racyi (*ex certis causis*) nie chce Jagiełło tegoż roku wysłać posłów czeskich do Witołda, a autor nie dorozumiewa się, jakie to mogły być te powody i stwierdza tylko fakt, że wysłano ich na wyraźne żądanie Zygmunta.

Co jednak najważniejsze: ton odpowiedzi Witołda, danych posłom husyckim, jest zupełnie odmienny od tonu odpowiedzi Jagiełły, nie wysyła on żadnych sekretnych legacyi husytom a autor chyba nie chce o tém wiedziéć, skoro twierdzi, że odpowiedź Witołda z 1424 r. jest prawie identyczną z odpowiedzią króla Polski (str. 57). Ton odpowiedzi Witołda jest surowy i stanowczy, żadnéj nie pozostawia husytom nadziei, żadnego kompromisu; mają uznać Zygmunta za króla i pojednać się z kościołem, inaczéj czeka ich zagłada od połączonych książąt chrześciańskich. Witołd wyraźnie mówi, że uczynił zgodę z Zygmuntem na zagładę heretyków—i zapytuje posłów, dlaczegoście wiedząc o tém, do mnie przyśli? Jagiełło w legacyach swych nawet nie wspomina o Zygmuncie, jakby nie on był królem czeskim, i zaprasza posłów na przyszłość do Polski. To téż w Polsce nieraz jeszcze po tém zjawiali się posłowie husytów, na Litwę nigdy więcéj noga ich nie wstąpiła.

Idziemy daléj i zapytujemy, skąd wié Witołd, że Korybuta do Czech wysłali Szafrańcy, że Hinko husyta, który zainaugurował politykę unii Czech z Polską w latach 1420—22, ma dobra w Polsce, że Wierusz, Piotr Polak z Wilfina i Dobiesław Puchała są żołdownikami Szafrańców, że ci ostatni na ekspedycyą Korybuta do Czech wielkie wyłożyli sumy, że układy Zygmunta z husytami z Preszburga prowadzone spełzły na niczém z winy Siestrzeńca, posła króla Jagiełły, gdyż odradzał im związku z Zygmuntem.

Że Witołd w listach prywatnych do króla a nawet w publicznych pismach pod adresem baronów i prałatów polskich, mówi o dziełach kanclerza królewskiego, sterownika polityki zewnętrznéj, dokonanych w ciągu lat siedmiu 1423—9 (a mówi to po zjeździe w Łucku, kiedy to w myśl polityki Szafrańców grożono i Witołdowi husytami, jest rzeczą dla nas zupełnie jasną. Teraz był rozżalony z powodu osobistéj obrazy, doznanéj za podżeganiem Szafrańców od króla, i dał wyraz wzburzonym uczuciom. Niemniéj przeto sądzić można, że tę prawdę, że te fakta wyrażał i dawniéj

wobec króla i jego baronów i że doradzał, aby z Czechami w żadne nie wdawano się układy, ażeby zupełnie zamknięto granicę husytom.

Podejrzenia zresztą Witołda o istnieniu silnego stronnictwa husyckiego w Polsce zasługują i skąd inąd na zupełną wiarę. Przypuszczając bowiem, że są prawdziwe, że więc Szafrańcy wbrew woli i za plecyma króla prowadzili politykę filo-husycką, że zdołali go nawet przekonać, że polityka taka jest zbawienną i korzystną dla Polski, można sobie wytłómaczyć te właśnie okoliczności, do rozwiązania których to nie znajduje p. L. klucza, które są dlań niejasne a dla czytelnika nie wytłómaczone. Że wypowiedzenie wojny ze strony Witołda nie doszło do Czech, widoczna, że tego nie życzyli sobie krakowscy politycy, aby Czechów na samym wstępie do siebie nie zrazić. Przejęcie posła Bartłomieja przez Szlązaków mogło im być na rękę, by złagodzić niejako ostry ton Witołdowego ukazu wobec husytów. Posłów czeskich nie chce Jagiełło wysłać do Witołda, gdyż tenże sobie przyjęcia ich wcale nie życzył. Ostry wreszcie i wręcz przeciwny tonowi Jagiełłowych odpowiedzi ton odpowiedzi Witołda, danych husytom, jest zrozumiałym, skoro się wié, że Witołd zdawał ich na łaskę i niełaskę Zygmunta, nie chciał miéć żadnych w Czechach korzyści i w ogóle żadnych więcéj stosunków z husytami.

Przy takiém pojmowaniu kwestyi husyckiéj po zawarciu pokoju Melneńskiego, które przypisać należy Witołdowi, zrozumiemy powody dla jakich Witołd nie brał udziału w jeździe Kezmarskim, następnie na zjeździe Krakowskim, dlaczego o żadnych zbrojeniach na Litwie nie słyszymy i nikt ani myśli o krucyacie na Czechów, podczas gdy wyprawy Pskowska, Nowogrodzka, Wielko-ruska następują jedna po drugiéj i rodzą zazdrość Jagiełły i Szafrańców.

Dlaczegoż, pytamy, Jagiełło nie podjął podobnéj wyprawy na pokonanie husytów i dlaczego Witołd nie wsparł brata swego w tak hałaśliwie po dworach i w kuryi głoszonych planach i zamysłach? Zapytajmy, czy mógł Witołd podzielać plany Jagiełły co do zaspokojenia ambicyi, wiekopomnéj sławy i zasługi wiecznéj wobec świata chrześciańskiego, w które bezwarunkowo wierzy dziś p. L.? Czyż mógł zaprawdę wierzyć Witołd, że Jagiełło na seryo traktuje plan dania zbrojnéj pomocy w wojnie ogłoszonéj przeciwko kacerzom. Wszakżeż o tych wahaniach się na dworze krakowskim, o tém śpiesznēm powzięciu planu pogodzenia husytów na drodze pokoju, planu ze wszech miar niedołężnego i nie mogącego rokować jakichkolwiek pomyślnych skutków, wiedział natychmiast Witołd. Wszakżeż i o tém wiedział, że król który po kilkakroć stawał do

boju na czele kilkudziesięcio-tysięcznéj armii, który jéździł po kraju z dworem zasobnym w kilka tysięcy koni, król wreszcie jedyny w Europie mogący bez przechwałki powiedziéć, iż postawiłby armię zdolną, zalać i zniszczyć husytów i Czechy, taki król był do tego stopnia zawisłym od poddanych swoich, że na wojnę przeciwko husytom używał pomocy duchowieństwa, apelował do sumienia nieposłusznych poddanych, a ci na tak nie popularną wojnę nie chcieli wyruszać, że przeto o krucyacie ani mowy być nie mogło. A skoro wiedział o tém, czyż można przypuszczać, aby Witołd miał uwierzyć, w co nam tak święcie wierzyć zaleca p. Lewicki, że Zygmunt oszukał Jagiełłę, że stary król dał się zwieść tak błahym w gruncie rzeczy powodom, jakimi były podwójne a nawet potrójne termina wyprawy wojennéj, albo okoliczność, że Zygmunt sam się nie zbroił i nie był w pogotowiu do wojny. Czyż Jagiełło, jeśliby na seryo chciał dokonać pacyfikacyi Czech, nie mógł na podstawie traktatu Kezmarskiego usunąć te wszystkie błahe powody jednym pochodem, jak ów Grunwaldzki, lub taką wojną jaką wiódł w 1422 r. przeciwko Krzyżakom? Wszakżeż miał ku takiéj wyprawie autoryzacyą od papieża, który pisał do Witołda (a jak przypuścić można i do Jagiełły *mutatis mutandis*) *potes autem cum prefato rege Polonie, eciam si aliorum fidelium auxilia non adessent, bellum hoc satis mature et feliciter conficere* (1). Przecież wiadomą było powszechnie rzeczą, że o takich lub podobnych zbrojeniach na seryo ani mowy nie było.

Jeżeli zaś Zygmunt w dobrze zrozumianym interesie własnym, nię życzył sobie, aby jakąkolwiek pacyfikacyą Czech miéć do zawdzięczenia Polsce, to czyż pomimo to, nie można mu było wygodzić przez zamknięcie szczelne granic od Czech, przez zabronienie stosunków koronnym poddanym z Czechami. Witołd, dbający dobrze o wszystkie stosunki korony polskiéj, mógł bardzo wątpić, że pomysł pacyfikacyi Czech na drodze pokoju leżał w interesie Zygmunta; pomysł wikłający stosunki w prawdziwie gordyjski węzeł a przeprowadzony—jak już wiemy, w sposób bardzo podejrzany, gdyż Jagiełło proponował Czechom zgodę wewnętrzną i z papieżem, a o Zygmuncie ani słowem nie wspomniał. Czyż nie zdawał sobie sprawy wielki książe Litwy, jak wysoce cierpiał na tém interes katolickiego państwa, jeżeli król Polski wdawał się z heretykami w jakieś budzące li litość i przykre uczucia negocyacye, wśród których powaga majestatu na szwank była narażoną, wierność poddanych cierpiała, ich posłuszeństwo, zasady wiary i posłuszeństwo kościoło-

(1) Liber Canc. I. N. VII. p. 35. List ten jest z roku 1424 sądzimy jednak, że przekonanie takie miał Marcin V i w 1423 roku.

wi wystawione były na pokusę? A czyż dla państwa, dla korony samej, której po śmierci Witołda miała przypaść Litwa, dla Polski, w której karność poddanych rozprzęgała się skutkiem podjęcia niefortunnego planu, gdzie tę karność przyszło utrzymywać srogimi edyktami, czyż dla tego państwa takie podejrzane, niejasne i chwiejne stosunki, zainicyowane przez poselstwa z roku 1423 nie były zgruntu zgubne? I wśród takich to okoliczności miał Witołd wierzyć w szczére, lojalne intencye króla Polski w kwestyi husyckiéj!

Prawda—i Witołd, gdyby był w miejscu Jagiełły na tronie polskim, nie zdołałby złamać uporu poddanych, zmusić ich do wojny z husytami, byłby się musiał liczyć i z temi okolicznościami, że skarb królewski z powodu wojny „wielkiéj“ w 1422 r. był mocno nadszarpany, a przedewszystkiem, że taka wojna z pobratymcami była w Polsce niepopularną. Ale Witołd, byłby się nie wdawał w żadne negocyacye i byłby odpowiedział na propozycye husytów w ten sposób, że aniby się ważyli stawiać powtórnie przed jego oblicze, byłby im surowo wzbronił stosunków z polskimi poddanymi, dowozu broni, amunicyi, wolnego lub skrytego werbownictwa, byłby im zamknął szczelnie granice, a gdyby śmieli napaść na granice Polski, byłby ich przywitał tak jak na to zasługiwali. Dlaczegoż Jagiełło tego nie uczynił, wszakże to leżało w interesie katolickiego państwa, jego krajów i ludów, wszakże Zygmunt, nie życząc sobie pacyfikacyi Czech, dokonanéj przez oręż polski, byłby bardzo rad, jeżeliby król Jagiełło poprzestał na tych środkach zaradczych, gdyż niemi największą zrobiłby mu przysługę i o nie się téż na zjeździe krakowskim dopraszał. A Jagiełło nie przeszkodził nawet ucieczce Korybuta lubo o zamiarze tejże był poinformowany i donosił nawet o tém Zygmuntowi (1).

Jakkolwiek nie posiadamy pamiętnika Witołdowego z lat 1423 do 1429, to jednakowoż śmiało twierdzić możemy, że książe nie po-

---

(1) Informacya króla Jagiełły o zamiarze ucieczki i przestroga dana Zygmuntowi wystarcza prof. Lewickiemu na dowód, jak wysoce szczerym i lojalnym był Jagiełło. Lewicki stawia się w zupełności na stanowisko panów polskich, odpierających zarzuty Węgrów, jakoby z powodu téj ucieczki stali się winnymi *de fautoria haeresi*. Ci to pierwsi w liście swym (Ducem nimirum illum Sigismundum Coributhi notamus. Cod. ep. pars I. p. 99) podnoszą ukaranie Zygmunta Korybutowicza przez króla Jagiełłę do wysokości niemal takiéj zasługi, jak to czyni prof. Lewicki. O jakichkolwiek podejrzeniach ze strony Węgrów lub nawet kuryi nie wspomina autor, twierdząc mylnie, że tylko król Zygmunt w złéj wierze podejrzywał Jagiełłę. Że atoli nawet w kuryi popadła Polska w podejrzenie przez wysyłkę Korybuta (regnum notatum fuisse), poświadcza list Władysława Jag. do kardynała z r. 1439. (Ibidem p. 112—113). Widzimy tu dowodnie, że i metoda retrospektywna, któréj autor wcale nie hołduje, ma swoje zalety i nie może być pomijaną w badaniach historycznych.

dzielał myśli pacyfikacyi Czech zapomocą sił zbrojnych Polski i Litwy. Wiemy już, że się nie zbroił do takiego przedsięwzięcia na Litwie i powtórzyć chyba można o nim słowa profesora Caro, twierdzącego zarówno o w. księciu jakotéż i o królu Jagielle, że im ani przez myśl nie przeszło wyciągać gorące z pieca kasztany dla króla Zygmunta. Wielki książe Litwy nie miał żadnego interesu w pacyfikacyi Czech, a tém mniéj przeto w mglistym i nie określonym interesie chrześciańśtwa, który dałby się osiągnąć tylko przez osobisty udział w olbrzymiéj krucyacie. Kto bowiem najgorętsze i arcyważne interesa przeprowadzenia katolicyzmu w wielkiém państwie Litewskiém miał niedokończone, kto osadzał buntowniczych carów złotéj ordy, musiał osobiście być w Litwie, musiał bronić granic wschodnich i południowych swego państwa, a kto zamierzał takie dwie rzeczypospolite, jak Psków i Nowogród, przywieść do uległości, musiał myśléć o przygotowaniu wypraw wojennych na daleką północ. Po takiéj wielkiéj wojnie z 1422 r., stosunki rozległego państwa wymagały uporządkowania, potrzeba było zhołdować niesfornych lenników Nowosielskich, Odojewskich i Riezańskich, a celem zapewnienia sobie trwałéj ich uległości, trzeba było ową unię kościołów rzymskiego z ruskim doprowadzić do skutku. Takie dzieło wymagało energicznéj pracy, trudów i zachodów a przedewszystkiém doprowadzenia do skutku owego pokoju Melneńskiego z Krzyżakami, aby od obydwu zakonów niemieckich, od północy i zachodu państwa mieć trwałą przyjaźń i pokój.

O dzieło tego pokoju, o doprowadzenie go do skutku, troszczy się głównie Witołd, jemu poświęca wszystkie zabiegi tak w Polsce jak z drugiéj strony w Inflantach i Prusiech, gdyż mu ten pokój jest konieczną potrzebą. Husytów traktuje książe, zarówno jakby Tatarów, ostro i stanowczo, gdyż w ramach jego polityki, od czasu odwołania Korybuta z Czech, nie ma miejsca dla kwestyi husyckiéj, uważa ją za szkodliwą i zgubną, jest bowiem przekonanym, że jakiekolwiek szkodzenie Zygmuntowi, najdrobniejsza chęć wyzyskania sytuacyi, nie mówiąc już o planie zajęcia Szląska, zerwałyby chwiejący się pokój Melneński i sprowadziłyby wojnę nową z Krzyżakami. — W pracy prof. Lewickiego nie zostały omówione lub chociażby naszkicowane te stosunki krzyżackie; autor nawet nie uważa za stosowne napomknąć o nich, widocznie nie przypisując im żadnego znaczenia. Wychodzi on z błędnego mniemania, jakoby pokój Melneński był dziełem trwałém i jakoby Zygmunt zupełnie opuścił Krzyżaków na owym zjeździe w Kezmarku. Kilkadziesiąt nieznanych lub mało znanych listów i legacyi z tego okresu, wystarczają autorowi do skreślenia polityki Zygmunta wobec Polski

w kwestyi husyckiéj i odwrotnie, jak gdyby treść tych listów wyczerpywała wszystkie motywa działaczów téj polityki, jak gdyby były one tekstem ewangelii, nie dopuszczającym wolniejszych komentarzy niźli ściśle hermeneutyczne.

Nie da się zaprzeczéć, że ta sprawa krzyżacka była żywotną i że przeto musiała wpływać na zamiary Jagiełły i Witołda wobec husytów i że posługiwał się nią Zygmunt, gdyż nie była mu obojętną. Przypominamy, że jeżeli myśl unii z Czechami w latach 1420—23 miała wybitną cechę idei narodowościowych, politycznych, to myśl tę wywołali właśnie Krzyżacy, którzy podówczas srogą prowadzili od 1410 wojnę z Polską i Litwą, a za którymi ujął się Zygmunt wyrokiem wrocławskim. Walka przeciwko Niemcom zdołała stworzyć pewien przyjazny związek polityczny pomiędzy Polską, Litwą a Czechami.

Zapytajmy teraz, czy ten pokój, nad Melnem zawarty, zakończył sprawę Polski i Litwy z Krzyżakami. Pozornie takby się zdawało, ale od czasu wyjścia kodeksu listów Witołda, kwestya przedstawia się w takiém świetle, iż pono dziś nikt nie mógłby twierdzić z autorem, że Zakon Niemiecki był zmuszony dochować warunków pokoju, zawartego nad Melnem, i że przeto bezpieczna z téj strony Polska i Litwa mogły siły swe zwrócić przeciwko husytom.

Przedewszystkiém wypływa z aktów archiwum Królewieckiego, że pokój nad Melnem zawarty, jakkolwiek korzystny dla Polski i Litwy, był jednakowoż w gruncie rzeczy dziełem chwiejném, gdyż jego warunków nie chcieli spełnić Krzyżacy. Nie spisano nawet nad Melnem dokumentu wiecznego pokoju (*alleine die artikel nicht die hauptbrieffe haben wir beslossen*), lecz zgodzono się tylko na artykuły główne, które miano spisać na późniejszych zjazdach w dokument pokoju trwałego, wiecznego. W listopadzie taki pierwszy zjazd w Gniewkowie spełzł na niczem i groza wojny zawisła znowu nad wrogimi obozami. Witołd, pragnący bądź co bądź pokoju, za zgodą Jagiełły postanawia zjazd z Mistrzem w Wielonie. Tam w maju 1423 r. stawia się na stanowisku superarbitra sporów Zakonu z Polską i wydaje szereg rozporządzeń mających pokój zapewnić. Według tych rozporządzeń, ma się w sierpniu t. r. odbyć wytknięcie granicy od strony ziemi Dobrzyńskiéj, we wrześniu od Pomorza i Krainy, zaś na początku lutego 1424 r. od Nowéj Marchii. Witołd na którego utyskiwano w Polsce, że wpłynął na ograniczenia korzyści przy zawieraniu artykułów Melneńskich, ręczył w Wielonie, że Zakon pozostawi Polskę przy jéj dawnych granicach a z drugiéj strony, że duchowieństwo polskie nie będzie rościć pretensyi do Zakonu za szkody w ostatniéj wojnie wyrządzone przez Krzyżaków.

To wszystko dowodzi, że Witołd chciał mieć trwały pokój z Zakonem, ale usiłowania jego rozbiły się o upór i niechęć stron i na żadnym z oznaczonych zjazdów nie uregulowano spornych granic. Usiłowania jego, co gorsza, zradzały w Polsce podejrzenia, że ze szkodą Polski sprzyja Krzyżakom, a podejrzenia te mogły zyskiwać wiarę, gdyż pomimo uporu Krzyżaków wstawiał się Witołd za nimi na zjeździe Krakowskim (koronacya Sonki).

Z racyi tego zjazdu stwierdzić należy, że w chwili, kiedy Zygmunt z żalem do Jagiełły i z kwaśną miną odjeżdża z Krakowa, Krzyżacy opuszczają obóz opozycyi i przystępują do obozu króla Zygmunta. Wolno przypuszczać, że tego powrotu do łaski Zygmunta nie dokonano bez wzajemnych porozumień, tudzież że politycy krakowscy, nie byli znowu tak dalece zaślepieni, ażeby mieli nie dojrzéć tego wzajemnego zbliżenia się Zakonu i Zygmunta. Podejrzenia te powinne były zaprzątnąć umysły w Krakowie, gdyż od chwili zjazdu Krakowskiego spotężniał upór Krzyżaków i już w maju tego roku zniecierpliwiają oni do wysokiego stopnia zimnego nawet Witołda. Ale w Polsce, skąd tak obojętną, niezdarną i żadnych korzyści dla Zygmunta nie przynoszącą prowadzono politykę w kwestyi husyckiéj, gdzie pewne stronnictwo miało już plan ułatwienia ucieczki Korybutowéj gotowy, nie widziano lub nie chciano widzieć nie jednéj okoliczności arcy ważnéj bo jéj widzieć jeszcze nie wypadało.

Wyzyskując sytuacyą drażliwą wśród i po ucieczce Korybuta, zdołali Krzyżacy w czerwcu 1424 r. przeprowadzić do skutku korzystny dla nich traktat handlowy z Polską w Nieszawie. Na tém miejscu wyznaczono téż termina wymiany dokumentów owego wiecznego pokoju, zawartego w głównych artykułach przed dwoma laty, a wreszcie i termin wytknięcia granicy od strony Nowéj Marchii. We wrześniu 1424 r. mają obustronni pełnomocnicy wyznaczyć owe granice, lecz rozjeżdżają się bez zgody. Natenczas, postępując według ugody Wielońskiéj, zdano tę sprawę sporów granicznych delegatom, którzy zjechali się w październiku, lecz i ten termin minął bezowocnie.

Mija więc i rok 1424 a dzieło pokoju Melneńskiego chwieje się, i ledwo w półtrzecia roku po zawarciu pokoju, zdołano wreszcie, dzięki energii Witołda, dokonać wymiany dokumentów, zatwierdzających jego warunki. Legalnemi pozorami udaremnia mistrz Zakonu wykonanie wieczystego pokoju—pozostaje mu jeszcze wiele pozorów legalnych do wyboru przy wytyczaniu granic.

I tak w maju 1425 r. komisye do rozgraniczenia nad Świętą rozjechały się z niczém, tak samo w sierpniu w Nieszawie a równo-

cześnie inna komisya w Kłajpedzie. Pełnomocnicy polscy odjechali z oburzeniem, z obu stron grożono sobie nawzajem demonstracyami wojennemi. Witołd jako rozjemca nakłania obie strony do zgody, a mistrza Zakonu upomina temi charakterystycznemi słowami: Strona zrywająca dzieło wiecznego pokoju, umocnionego dokumentami, popełniłaby czyn nie honorowy, a gdyby przyjść miano do nowych traktatów, któżby ludziom gwałcącym tak ważne dzieło pokoju mógł dać wiarę, że dotrzymają nowych zobowiązań?

Aby zapobiedz ponownéj wojnie, postanowił Witołd te ustawiczne i ponawiające się spory wziąść w swe ręce. Mistrz Zakonu wiedząc, że zamiar Witołda rozsroży jeszcze bardziéj panów krakowskich na księcia, przystał na jego życzenie, w nagrodę czego Witołd obiecał wyjednać dla Zakonu od króla młyn, a zarazem i twierdzę Lubicz, położoną nad Drwęcą, a ustąpioną Polsce na mocy dokumentu Melneńskiego. Zjazd w Brześciu kujawskim zgadza się pod tym względem na to, co postanowią w téj mierze: Jagiełło wespół z Witołdem, a równocześnie zgodzono się, aby rozgraniczenia od Nowéj Marchii dokonano z pełnomocnikami króla Zygmunta, gdyż Krzyżacy są tylko tymczasowymi posiadaczami téj ziemi. W chwili nieporozumień, wzmagających się pomiędzy Polską a Zakonem, pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, wypływa na widownię król Zygmunt. W Polsce głosi stronnictwo Szafrańców, że Jagiełło zdał rządy polskie w ręce Witołda, że Witołd nie ma prawa darowywać ziemi polskiéj lub nawet litewskiéj Krzyżakom. Czyż król Zygmunt, będąc o tém dokładnie poinformowanym przez wysłańców zakonu, nie miał wyzyskać téj sytuacyi, aby zająć Polskę wewnętrznemi rozterkami i odciąć ją tém zupełnie od Czechów. Zwróćmy nadto uwagę, że stronnictwo obrażające Witołda i zniechęcające Jagiełłę do brata, jest tém samém, o którém Witołd późniéj głosi, że wysłało do Czech Korybuta.

Odstąpienie Lubicza Krzyżakom nie załatwione na *zjeździe Grodzieńskim* w grudniu 1425 r. po myśli Witołda, zaostrzyło niechęć pomiędzy braćmi. Uchwalono atoli na tym zjeździe, aby na Wielkanoc przyszłego roku pełnomocnicy polscy wespół z krzyżackimi, uskutecznili rozgraniczenia od Kujaw, ziemi Chełmińskiéj i Pomorza. Gdyby nie zdołali dokonać poruczonego im zadania, mają superarbitrowie je załatwić, a gdyby i ci z niczem się rozeszli, miał Brandeburczyk lub inny jaki książe rozstrzygnąć kwestye sporne o granice.

W kwietniu 1426 roku spełzły rokowania około Jasieńca na niczém, a Krzyżacy twierdzą, że to się stało z winy komisarzy polskich, nie postępujących w myśl grodzieńskich układów. Witołd

surowo zgromił ostatnich, a zjazd magnatów w Łęczycy zrobił ustępstwo dla Witołda w kwestyi Lubicza, co zdołało zupełnie zniechęcić Jagiełłę do Witołda. W następnym roku zjeżdżają się komisye około Drezdenka; Witołd przynagla do ukończenia sprawy — zjazd atoli w maju (1427) spełzł na niczém.

Teraz dopiéro król Zygmunt udaje ździwienie, że wobec pokoju Melneńskiego, istnieją jeszcze jakieś spory graniczne z Prusakami. Dodać trzeba, że wyraża to zdziwienie ten, który rok temu odwodził książąt Mazowieckich od hołdownictwa Korony polskiéj i wobec zarzutów Jagiełły usprawiedliwiał się tém, że cała ta sprawa jest wymysłem złych ludzi.

Do nieporozumień Jagiełły z Witołdem, zaostrzonych jeszcze bardziéj w r. 1427 (sprawą potwarzy królowéj Sonki), przybywa nadto nieporozumienie z Zygmuntem. Pełnomocnicy jego przybywają wraz z polskimi na zjazd, na granicach Nowéj Marchii odbyć się mający; wszystko tu idzie dobrze, gdy wtém zjawiają się posłowie mistrza Zakonu i zjazd spełzł na niczém. Skutkiem tego udaremnienia zjazdu przez Krzyżaków, poczyna się burzyć szlachta Wielkopolska na zjazdach prowincyonalnych, kipi żądzą zemsty i odwetu na Krzyżakach, których posądza o udaremnienie dzieła pokoju. Równocześnie Krzyżacy dopuszczają się gwałtów na granicy polskiéj i znoszą polskie mosty nad Drawą. Dowód, że chyba pokój nad Melnem nie był dziełem trwałém i że Krzyżacy nie byli tak bezwarunkowo opuszczeni przez Zygmunta, jakby się na pozór zdawało.

Witołd widząc chwiejność pokoju Melneńskiego, nalega na Jagiełłę by na lada drobne kwestye nie zważać i nie unicestwiać dzieła, któremu poświęcono tyle krwi trudów i zachodów. To téż Jagiełło, ulegając księciu, daje wyraźną instrukcyą komisarzom, których wysyła na zjazd, 1 stycznia 1428 r. odbyć się mający, aby dla lada drobnostki nie zrywali układów z posłami Zakonu. Tymczasem, wskutek propozycyi Krzyżaków, przyjmują Jagiełło i Witołd posłów Zakonu w Wilnie, zjazd więc komisarzy nad Notecią nie przychodzi do skutku. Tu w Wilnie, aby raz położyć koniec swarom i bezskutecznym zjazdom, zażądał Witołd by mu tak Krzyżacy, jako téż i król Jagiełło poruczyli rozjemstwo swych sporów. Posłowie mistrza przystają na życzenie Witołda, Jagiełło odmówił bratu, składając tém dowód publiczny nieufności ku księciu.

Wrócono tedy do dawnego projektu i zjazd w Szamotułach (luty 1428) spełzł na niczém, a więc dzieło pokoju i w tym roku nie miało dojść końca co do sporów o granice. Co atoli bardzo zastanawia, to ta okoliczność, że król Zygmunt, który, według badań prof. Lewickiego, miał zupełnie opuścić Krzyżaków, w tym właśnie

roku podejrzywa Jagiełłę przed Witołdem (jak wiemy, obrażonym przez Jagiełłę) o sprzyjanie husytom, o wstawianie się w Pradze za Korybutem. Skoro atoli poniósł klęskę pod Gołąbcem w obronie Węgier od Turków, składa winę całéj nieudatnéj wojny na brak posiłków ze strony wojewody Mołdawskiego i żąda od Jagiełły w myśl traktatów Lubowelskiego i Kezmarskiego podziału téj ziemi, proponując zjazd celem bliższego porozumienia się w téj sprawie, przy któréj to sposobności możnaby załatwić sprawę krzyżacką. W taki sposób zbliża się Zygmunt do dobrze już przez Krzyżaków przygotowanéj akcyi, z czego chyba wnosić można, że działał w porozumieniu z Zakonem.

Jagiełło do tego wniosku dojść miał dopiéro po smutnych doświadczeniach. I rzecz dziwna, król, który wpływa, co bardzo ważna, na elekcye kapituły wrocławskiéj (1), który w tym roku gospodaruje na Szląsku jakby pan zwierzchniczy, który wydaje dyspozycye co do obrony téj ziemi od husytów i nakazuje książętom szląskim składać raporta o postępie wojny, król, którego poddani wiodą na swą rękę wojnę na Szląsku i wchodzą z husytami w porozumienia i konszachty, otóż ten Jagiełło przystaje na plan Zygmunta, chce go mieć za superarbitra sprawy krzyżackiéj, lubo honoru tego odmówił własnemu bratu stryjecznemu, Witołdowi. Fakt, że Jagiełło przeniósł króla Zygmunta nad brata, oburzył dotkniętego w dumie Witołda, który dał folgę oburzeniu w ostrych wymówkach, poczynionych Jagielle.

Zygmunt przyjmuje pełnomocnictwo Jagiełły i uwiadamia zarówno Jagiełłę jak i Witołda, że chce być superarbitrem spornych kwestyi z Krzyżakami. Co również charakterystyczna, to list jego do Witołda, że chciałby się tym celem zjechać z nimi, ale stawia warunki: najprzód podział Mołdawii, powtóre zabronienie Polakom wstępu na Szląsk, wspierania husytów i odwołanie ztamtąd Puchały. Warunki mocno dotknęły Witołda i odparł je w swéj odpowiedzi zapewnieniem, że i co do tych kwestyi będzie się można zgodzić na zjeździe, a wreszcie przystał, aby zjazd nastąpił w Łucku. Mamy więc najpewniejszy dowód, że pokój nad Melnem nie był tak trwałém dziełem, aby na podstawie jego mogła Polska myśléć o śmiałéj jakiéjś akcyi w Czechach, o wyprawie krzyżowéj przeciwko husytom, skoro dopiéro na zjeździe Łuckim miał spory z Zakonem rozstrzygnąć Zygmunt.

Jeżeli atoli spory krzyżackie zrodziły i zaostrzyły zły stosunek Jagiełły do Witołda, to nasuwa się pomimowoli przypuszczenie, że

(1) Cod. ep. Vit. p. 612, N. 1118.

w interesie Zygmunta leżała ta właśnie scysya i że Krzyżacy w porozumieniu z nim, z jego dorady i inicyatywy przygotowali grunt do akcyi. Po zjeździe Łuckim, wśród zaostrzonego stosunku Polski do Litwy, nie mógł już Jagiełło na seryo myśléć o Szląsku, o jakiéjś pacyfikacyi Czech na seryo ani mowy być nie mogło, a o to właśnie chodziło Zygmuntowi. Czyż więc może historyk imputować Witołdowi, jak to czyni prof. Lewicki, twierdzący, że Witołd przyjął chętnie propozycye Zygmunta i że zaufany sługa Witołda, Hołub, wysyłany z listami do króla Rzymskiego, zdołał swego pana nakłonić do zjazdu monarchów w Łucku? Zaprawdę zawiele trzeba fantazyi, ażeby módz przypisać tyle wpływu i znaczenia prostemu kuryerowi, skoro sami posłowie polscy przyznają, iż w Brześciu litewskim zgodzili się z posłami Zygmunta, aby tenże był superarbitrem spraw krzyżackich. P. Lewicki mówi nadto, że w Łucku o wszystkiém mówiono tylko nie o sprawie husyckiéj, a posiadamy wszakże uchwały, na które się późniéj tak Zygmunt jako téż i Witołd powołują, a uchwały te właśnie zmierzały ku temu, aby Polska zamknęła swe granice husytom i wcale się nie mieszała w sprawy czeskie. Czyż nie jasno tedy, gdybyśmy nawet żadnych innych wskazówek nie posiadali, że Zygmunt do tego dążył aby odciąć Polskę od Czech, odebrać jéj jakąkolwiek nadzieję na Szląsk, i że nadzieja ta silnie żyła w Polsce i odzywała się gorącą chęcią czynu. Tu nawet w Łucku proponują Zygmuntowi Polacy pomoc na Szląsku, a przed samym zjazdem wysłali husyci posłów do Jagiełły, grożąc wojną jeżeli się pogodzi z Zygmuntem, co już prawie widoczna, że ich ktoś z Polski podburzał, podmawiał, aby wywrzeć nacisk na Jagiełłę, aby kwestyą pozostawić *in statu quo* i nie odciąć Polsce nadziei na korzyści w Czechach. Wniosek ten zresztą stwierdza wyraźne świadectwo Witołda, który mówi Jagielle, że t o k a n c l e r z z e s w ą r o d z i n ą p o d m ó w i l i h u s y t ó w.

Uzyskaliśmy, sądzę, podstawę do rozwiązania zagadnienia, dlaczego sprawa krzyżacka w latach 1423—9 niedokończona i odwlekana, wisi jakby groźna chmura nad Polską i Litwą. Zygmunt pragnął, aby nawet na wypadek silnego i stanowczego wmieszania się Polski w sprawy czeskie, mieć bicz do poskromienia zbyt może wielkich pretensyi polskich, a mistrz Zakonu otrzymał stosowne wskazówki i zwlekał z dokończeniem, z wypełnieniem warunków, z uregulowaniem granic.

W ciągu téj akcyi krzyżackiéj poznaje Zygmunt męża, który głównie dążył do tego, aby sprawa krzyżacka się zakończyła, który wywiera presyą na obie strony i koncesyami pragnie złamać upór Krzyżaków. Był nim jak wiadomo Witołd. Odkąd Jagiełło poróżnił

się z Witołdem, Zygmunt, który pozornie nie dowierza obudwu braciom, zbliża się do Witołda i rzuca przed nim oskarżenia na Polaków. Sytuacyą wyjaśnia jeszcze dobitniéj mistrz Zakonu: Polska dąży do zajęcia Szląska—Witołd do utrwalenia panowania na wschodzie, do utrzymania pokoju Melneńskiego; Polska na zachód, Witold na wschód; interesa polskie a litewskie rozdzielają się dzięki uporowi Krzyżaków i kancelaryi krakowskiéj. Pomiędzy sporzących i powaśnionych rzuca Zygmunt kość niezgody w Łucku.

Zgodzić się należy na wnioski p. Lewickiego, że polityką Zygmunta było mnożyć w Polsce trudności w pacyfikacyi Czech, usuwać Polaków od wmieszania się w kwestyą husycką; że myśl krucyaty na husytów ze współudziałem polskim miała Zygmunta zasłonić przed światem, który się domagał natarczywie wytępienia kacerstwa. Skorośmy atoli poznali stronnictwo Szafrańców w Krakowie i jego dążenia, a powtóre kwestyą krzyżacką, możemy śmiało twierdzić, że Zygmunt jeszcze daléj szedł w swych planach, gdyż zamierzał Polskę zupełnie odciąć od Czech. Koroną tego planu był zjazd w Łucku, gdzie pod względem przebiegłości i chytrości o wiele przewyższył Zygmunt polityków krakowskich, mnożących mu nie małe trudności w Czechach. Rezultat jego polityki był osiągnięty z ogromnem upokorzeniem Polski, która obecnie musi się oglądać na husytów, jako na swych sprzymierzeńców. Pozory i teraz pokrywają koronę, i tak głośno przecież nikt na świecie nie mówi o Jagielle jako o husycie, chociaż pogłoski te rozsiewa Zygmunt. Ale skutki wewnętrzne, jakie się odbiły w Polsce właśnie z powodu niezdarności Jagiełły i machinacyi jego kanclerza, są fatalne. Od téj chwili bowiem powaga korony była podkopaną, a nad unią horodelską zawisł miecz Damoklesa.

Z tém wszystkiém nie można posądzać Witołda, aby podzielał plany Zygmunta, a nawet aby miał być pomocnym Zygmuntowi do odcięcia Polski od Czech. Wprawdzie tego nie twierdzi p. Lewicki, ale z podejrzeń jego o jakowéjś niby chęci Witołda paraliżowania projektów Jagiełły, możnaby powziąć przekonanie o jakowémś zazdrosném i nieżyczliwém usposobieniu księcia względem króla Polskiego.

Reasumując, cośmy przy sposobności już powiedzieli, Witołd mógł sobie życzyć, aby projekt dania posiłków Zygmuntowi przyszedł do skutku, bo jakkolwiek wypadłby rezultat wojny przeciwko husytom, to alians Polski z Zygmuntem utrwalał się, co zmusiłoby Krzyżaków do wypełnienia warunków pokoju Melneńskiego. Wiemy ze źródeł, że wywierał Witołd nacisk na kuryą, aby duchowieństwo polskie dało subsydya na wojnę, późniéj, gdy Jagiełło skom-

promitował się skutkiem ucieczki Korybuta, wpływał potężnie, aby zawiązano w Polsce konfederacyą antyhusycką, któréj stał się poręczycielem; widoczna, że chciał postawić tamę wpływowi stronnictwa husyckiego w Polsce. Że dążył do utrzymania dobrego stosunku z Zygmuntem, o którym mógł wiedzieć, że nie życzy sobie pacyfikacyi Czech przy pomocy posiłków polskich, dowodzi nacisk Witołda na Jagiełłę, aby wysłał Zygmuntowi pomoc orężną przeciwko Turkom, a gdy poddani i na tę wojnę iść nie chcieli, by pokonfiskował dobra krnąbrnéj szlachcie. Wogóle widoczna, że podtrzymywał powagę króla, że łamał wpływ husyto-filów. W końcu i to wiemy, że gdy polityka polska prowadzona na Szląsku, jakby na własném terytoryum, groziła zerwaniem traktatu Kezmarskiego, a co za sobą pociągało i pokoju Melneńskiego (1428 r.), Witołd usprawiedliwiał króla Jagiełłę przed Zygmuntem, poufnie zaś przestrzegał Jagiełłę by zabronił poddanym podejrzanych stosunków z husytami, gdyż one tylko kompromitują koronę i podkopują jéj wpływ i znaczenie.

Nietylko więc z własnego interesu, mając na celu pokój z Krzyżakami, doradzał Witołd, aby Jagiełło nie wdawał się w stosunki z husytami: on mu odradzał wprost i stanowczo twierdząc, że polityka taka zgubne dla Polski wyda owoce. A czyż historya nie stwierdziła w zupełności trafnego sądu Witolda? Oto polityka Szafrańców zachwiała unią, spowodowała następnie wojnę z Krzyżakami, która lubo zakończyła się klęską Krzyżaków, to czyż przeto urzeczywistniła aspiracye Korony do Prus? Czy nie zawarto pod Jasieńcem wtóréj edycyi pokoju Melneńskiego, za który robiono wymówki Witołdowi? Zamiast nawet ustalenia wpływu Korony w Czechach, oddalono od niéj utrakwistów i tém przyśpieszono pojednanie Zygmunta z Czechami.

Apetyt Szafrańców na Szląsk i ich polityka rewindykacyi była dziełem nie obmyśloném, nosiła na sobie piętno akcyi dorywczéj, jakby z konieczności. Uciekano się do środków ohydnych, oszukańczych; ażeby oszukać króla Zygmunta, oszukiwano własnego, podjudzano go przeciwko Witołdowi; chciano pokazać w Krakowie, że i bez Witołda obejść się można, a i prywata Szafrańców odgrywa w téj polityce niemałą rolę. Wiadomo, że jeden z Szafrańców objął księstwo Głogowskie (1), a Puchała, Piotr Polak zbierali grosiwo, odstępując w drodze ugody zajęte zamki Szlązakom i gospodarując na Szląsku, jakby tenże wcale nie należał do korony Zygmunta.

---

(1) Grünhagen: Geschichtsquellen, str. 129.

Wprawdzie przez to zwolniono węzły łączące książąt Szląskich z rzeszą Niemiecką, zadano cios germanizacyi, a uskuteczniając rozdział Szląska, politycznie związanego z koroną Czeską, od husyckich Czechów, spowodowano, że książęta Szląscy szukali korzyści w zbliżaniu się do korony Polskiéj, ulegali jéj wpływowi a w dalszéj konsekwencyi odstępowali późniéj drogą zastawu lub sprzedaży koronie ziemie, które niegdyś Kazimierz W. odłączył był od korony Polskiéj. Ale z drugiéj strony elementa burzliwe, które skutkiem polityki Szafrańców miały wolny i bezkarny odpływ do Szląska, powracają do Polski, aby siać tu zarazę husycką—jak się Witołd wyrażał,—aby podkopywać podstawę społeczeństwa chrześciańskiego i stosunkom społecznym i kościołowi i organizacyi państwowéj zadawać cios po ciosie.

Że elementa przewrotu coraz śmieléj podnoszą głowę, że ścieśniają władzę króla, że nadwyrężają powagę senatu, że sięgają nawet po władzę, że daléj i duchowieństwo patrząc niechętném okiem na husyto-filską politykę księdza kanclerza, również stoi w obozie antymonarchicznym, czyż nie widoczny w tém wpływ idei husytyzmu, względem któréj tak niepewne, tak podejrzane i dwójznaczne zajęto stanowisko?

To chwiejne i dwójznaczne stanowisko zbałamuciło opinią Polski o husytach. Głoszono najsprzeczniejsze o nich zdania, stosownie do okoliczności a więc stosownie do zmieniającéj się co chwila polityki utylitarnéj; okazywano husytom to obojętność to przyjaźń, uważając ich raz za niepoprawnych kacerzy, drugi raz za pobratymcze plemię słowiańskie. Opinia szlachty zarówno rodowéj jako téż i drobnéj chwieje się w tym samym stosunku, jak się chwieją panowie Szafrańcy; cóż tedy dziwnego, że idee husyckie, najskrajniejsze nawet i wprost zgubne dla Polski, znajdują tu zwolenników, twierdzących na seryo to, co w danéj chwili mówią Szafrańcy w Krakowie. Cóż dziwnego, jeżeli w kilka lat późniéj spotykamy w Polsce takich Spytków z Melsztyna, Rytwiańskich, Włodka z Domaborza i 168 głów skonfederowanych przeciwko sterownikom rządu w Krakowie, jeżeli obecnie kanclerz koronny, a kapłan w dodatku, twierdzi, że husyci pragną zgody z kościołem, że właściwie król Zygmunt stoi na przeszkodzie temu dziełu, że Niemcy, wrogowie zarówno Czech jakotéż i Polski, zniesławili Czechów w potwarczy sposób i zrobili ich wrogami kościoła.

Prof. Lewicki przytacza na dowód lojalności Jagiełły srogie edykta królewskie, edykt Wieluński, konfiskatę dóbr Korybuta i konfederacyą antyhusycką. Zapewne, że tak samo twierdziłby i sam kanclerz Szafraniec, i motywa podobne przytaczają na swe

usprawiedliwienie i panowie polscy w liście do magnatów węgierskich. Alež, dodajmy, że te edykta były tylko na papierze, była to paliatywa z przymieszką szowinizmu; potrzeba było zaradzić złemu w królestwie ale zarazem potrzeba się było zasłonić przed podejrzeniami, a przecież pomimo te srogie edykta rząd koronny nie wzbraniał poddanym wyjazdu do Czech, patrzano przez palce nietylko na ucieczkę Korybuta, ale nadto jak Puchała i inni zdobywali Szląsk na rok przed zjazdem Łuckim. Wobec takiéj tolerancyi, nie zdziwi nas upor szlachty ruskiéj, sprzeciwiającéj się nakazowi Jagiełły, skoro ich powołał pod broń na pomoc królowi Zygmuntowi, zagrożonemu przez Turków, skoro nikt téj szlachcie nie wzbrania śpieszyć z bronią w ręku do Szląska na pomoc husytom przeciwko temuż samemu Zygmuntowi.

Kanclerz, wolno nam przypuszczać, z całą swą możną familią, przeprowadzając zaborcze plany względem Szląska, prowadzi, jakbyśmy to powiedzieć mogli, politykę na własną rękę, politykę, która odtąd zagnieżdża się w Polsce i zyskuje prawo obywatelstwa w imię patryotyzmu i korzyści korony. Polityką tą wywołuje sytuacye, wśród których stary i zniedołężniały król godzić się musi na wszystko jako na konieczność. Czyż nie dano tém przykładu dla innych polityków „własnéj ręki“ do akcyi równie śmiałych i hazardowych. Czyż nie ośmielono tém spanoszonych husytów polskich i nie przygotowywano reakcyi anty-husyckiéj, która musiała nastąpić, aby utrzymać państwo, uchronić je od gwałtownych przewrotów, i czyż nie spowodowano walki między reakcyą a husyto-filami, która co prawda zakończyła się klęską ostatnich, ale wstrząsnęła posadami państwa. Zwycięska reakcya zawiesza po bitwie pod Grotnikami sztandar teokratycznéj polityki, która opanowuje Polskę, odciąga ją od zadań na wschodzie podjętych i wiedzie ojczyznę i młodego króla ku chwale chrześciaństwa, na pola Warneńskie.

Wspomnieliśmy, że polityka kanclerza była zgubną dla unii, że od chwili, kiedy Szafrańcy zaostrzyli apetyt na Szląsk, unia szwankuje. Jagiełło ma żal do Witołda, że posuwa zdobycze na wschód, że przecież gdyby zechciał użyczyć królowi pomocy, zdobyłby Szląsk dla Polski, pokonałby husytów i okryłby imię królewskie nieśmiertelną sławą. Ten żal tylko zdoła nam wytłómaczyć upór królewski w sprawie krzyżackiéj; Jagiełło nie tyle dba o to, aby zmusić Krzyżaków do uległości woli królewskiéj, ile o okazanie niechęci Witołdowi, któremu na dokończeniu sprawy krzyżackiéj wiele zależy i do wywarcia złośliwéj zemsty, nakazującéj mu przeszkadzać zamiarom Witołdowym, skoro książe ten nie aprobuje zamiarów polskich względem Szląska. Po śmierci Witołda, Świdrygiełło łamie

unią a panowie z Krakowa dają się słyszéć z projektem rozdrobnienia i podziału Litwy, aby osłabić spotężniałą przez oręż Witołda Litwę. Żabór Podola jest pierwszym aktem téj polityki, wywołującéj bratobójczą wojnę. Król Zygmunt i Krzyżacy stają otwarcie po stronie Świdrygiełły.

Nasuwa się pytanie, czy te plany podziału Litwy miały na widoku korzyści dla Polski? Że jaki Szafraniec lub Puchała skorzystał z takowych i otrzymał sute starostwo w tych żyznych stronach, to przecież tego nabytku nie można uważać za korzyści państwa, któremu na mocy traktatów przysługiwało prawo do téj ziemi, lubo przyznać należy, że przez powiększanie fortuny panów krakowskich i wpływ Polski się ustalał.

Ale przez tę politykę obudzono waśń pomiędzy Litwą a Rusinami, podkopano wpływ katolicyzmu i ubezwładniono Witołdową Litwę, ale cofnięto zarazem i prąd cywilizacyjny, który otwartą drogą szedł z Polski. Zrodzono antagonizm pomiędzy szlachtą litewską a Polską i popchnięto pierwszą do dążeń separatycznych co oczywiście osłabiło Litwę, uczyniło ją małą i bezczynną wobec Moskwy i Tatarów, a zawsze nie szczerą i niechętną wobec Polski, zawsze gotową do konspirowań przeciwko koronie, chociażby w spółce z w. księciem Moskwy lub z Tatarzynem.

Cóż dziwnego, że w dalszéj konsekwencyi stronnictwo polskich husytów pójdzie daléj w duchu téj polityki, niweczącéj unią Horodelską i zapragnie nie dopuścić na tron krakowski młodego Jagiellończyka, że porzuci wszelką myśl unii z Litwą, która niepokoi Polskę i w ciągłe wikła ją wojny, przez co kraj upada a urasta tylko fortuna kilku rodzin krakowskich.

Tak przedstawiają się skutki polityki utylitarnéj Szafrańców. Skierowana krytym sztychem przeciwko królowi Zygmuntowi, bo oparta na husytyzmie, godzi ona w unią; od początku, tj. od 1423 r. do zerwania unii, jest ona zmienną, niestałą, oszukającą króla i naród. Czyż taka polityka lubo miała na celu korzyści Polski, nie była zgubną dla niéj, dla organizującego się społeczeństwa, dla zadań, jakich się ono podjęło wobec unii, dla kościoła, mającego wobec niéj tak wielkie zadanie; dla powagi króla i jego senatu, i czyż nie miał słuszności Witołd, skoro odradzał Jagielle wdawać się z husytami i groził zgubnemi skutkami polityki husyto-filów?

Tryumf Zygmunta, udającego, że téj polityki nie widzi, a wyzyskującego jéj skutki, był zupełnym. Taka Polska, zaprzątnięta rosterkami wewnętrznemi i wojnami, nie mogła mu więcéj szkodzić w Czechach, nie mogła urzeczywistnić aspiracyi swych na Szląsk, nie mogła ze skutkiem sięgać po koronę Czeską nawet po jego śmierci.

Analiza badań prof. Lewickiego wykazała nam najprzód negatywne rezultaty: *a*) Nie może być mowy o lojalności i szczerości zamiarów Jagiełły względem Zygmunta w polityce tego króla, jaką prowadził w kwestyi husyckiéj, lecz chyba o niedołęstwie polityki Jagiełły. *b*) Nie można przypisywać magnatom polskim szczerości i lojalności wobec Zygmunta a nadto chęci do wsparcia króla Jagiełły w tych lojalnych dążeniach. *c*) Nie można i króla Zygmunta oskarżać o przeszkodzenie wyprawie króla Jagiełły, o krzyżowanie planów polskich, gdyż powody, przytoczone przez autora na poparcie złéj wiary Zygmunta, (w latach 1423—4) nie mogły żadną miarą usunąć króla Jagiełły od dokonania wyprawy, gdyby ją był chciał na seryo wykonać. Niechęć i zła wiara Zygmunta była daleko mniejszą przyczyną udaremnienia planu wyprawy, aniżeli nieposłuszeństwo i niechęć poddanych. *d*) Nie można obwiniać Witołda o krzyżowanie zamiarów Jagiełły w Czechach, skoro ten książe postępował ściśle w myśl traktatu w Kezmarku, a nawet popierał zamiary króla, mające na celu wyprawę wojenną przeciwko husytom. *e*) Nie można brać afrontu pod Ołomuńcem za przełom w polityce polskiéj, skoro ona, jak wiemy, nie uległa zmianie stanowczéj i na dal pozostała niekonsekwentną i wyczekującą danéj sposobności, nieszczerą wobec husytów i wobec Zygmunta.

Pozytywne rezultaty streścić można w następujących punktach: 1) Król Jagiełło jest tylko firmą polityki Szafrańców, stronnictwa które nie obliczywszy się z siłami, zamierzało wyzyskać sytuacyą w Czechach i pod pozorem dania pomocy Zygmuntowi, uskutecznić aspiracye względem Szląska. Stronnictwo to oszukuje zniedołężniałego króla i prowadzi machiawelską politykę w kwestyi husyckiéj, wykazuje nieszczerość i matactwa Zygmunta, grozi królowi potęgą husytów, zniechęca go do Witołda i zyskuje polityki swéj aprobatę. 2) Król Zygmunt widząc na co się zanosi, porozumiał się z Zakonem Krzyżackim, i dał wskazówki, aby tenże nie kończył sprawy pokoju wiecznego z Polską i Litwą. 3) Upór Zakonu z jednéj a Polski z drugiéj strony w dokończeniu dzieła pokoju, pobudza Witołda, do tego, iż zmusza Jagiełłę do ustępstw na rzecz Zakonu. Tak te ustępstwa jak i obojętność Witołda w popieraniu aspiracyi polskich na Szląsk, zniechęcają podżeganego przez Szafrańców Jagiełłę do Witołda. 4) Niechęć króla do Witołda wyzyskuje Zygmunt w porozumieniu z Krzyżakami, i zaprząta Polskę całym szeregiem waśni wewnętrznych i odcina ją w zupełności od husytów, z którymi następnie bez jakiegokolwiek współudziału Polski dokonywa zgody.

Rezultaty te mogą posłużyć za klucz do wyjaśnienia tak z jednéj strony niedołężnéj, nieszczeréj a wysoce utylitarnéj polityki

polskiéj względem husytów, jak z drugiéj strony intryganckiéj polityki Zygmunta, który osłaniał Polską własne niedołęstwo, spychał na króla Jagiełłę winę, a to, do czego od zawarcia traktatu Kezmarskiego dążył, wykonał, gdyż zdołał Polskę zupełnie odciąć od Czech. Działał on tak nie dla tego, że obawiał się, aby papież w rekompensatę zasług polskich nie oddał owoców wyprawy wojennéj w polskie ręce, lecz dlatego, że widział niebezpieczeństwo dla siebie i swego państwa w dążeniach stronnictwa Szafrańców. Zwycięstwo Zygmunta jest zupełne skoro ofiarą jego pada Witołd, który po wyroku Wrocławskim nie wahał się jemu, królowi Rzymskiemu, rzucić rękawicy, skoro unia Polski z Litwą doznała srogiego ciosu. Politycy krakowscy, Jagiełło i Witołd tudzież Krzyżacy stali się skutkiem téj polityki narzędziem w ręku Zygmunta.

Antoni Prochaska.





PODZIAŁ WŁASNOŚCI ZIEMSKIÉJ

W GUBERNIACH POŁUDNIOWO-ZACHODNICH.

Niniejszy szkic statystyczny ma na celu narysowanie obrazu podziału własności ziemskiéj na Podolu, Wołyniu i téj części Ukrainy, która stanowi obecną gubernią Kijowską.

Statystyka gospodarcza w Rosyi zrobiła w ciągu ostatnich sześciu lat znaczne postępy. Oprócz wydawnictw statystycznych ziemstw, bardzo cennych, mamy do zanotowania kilka prac, obejmujących mniéj więcéj obszerną grupę zjawisk ekonomiki rolniczéj. Do liczby tych prac należy przedewszystkiém 2-gi tom „Statystyki porównawczéj“ prof. Jansona. Cenne to dzieło wyszło jeszcze we wrześniu roku 1880 i zawiera wiele nadzwyczaj ważnych danych z dziedziny statystyki gospodarczéj. Następnie zaznaczyć należy „Wiadomości statystyczne o podatkach bezpośrednich“, wydane przez departament podatków w r. 1883. Wydawnictwo to mieści dane o głównych kategoryach własności ziemskiéj w każdym z powiatów, zebrane przez izby skarbowe.

W kwestyi jednak, interesującéj nas w niniejszym artykule, mianowicie w kwestyi podziału własności ziemskiéj w guberniach „południowo-zachodnich“, na szczególną uwagę zasługuje wydawnictwo centralnego komitetu statystycznego pod tytułem: „Statystyka własności ziemskiéj i miejsc zaludnionych w Rosyi Europejskiéj“ (1). Za podstawę dla oznaczonego wydawnictwa posłużyły dane, zebrane jednocześnie (1877 r.) i według jednakowéj (kartecz-

---

(1) „Statistika poziemielnoj sobstwiennosti i nasielennych miest w Jewropejskoj Rosii.“ — Zeszyt pierwszy tego wydawnictwa wyszedł jeszcze w r. 1880, ostatni zaś dopiéro na wiosnę 1886.

kowéj) metody za pośrednictwem komitetów gubernialnych. Szczegółowość danych i jednoczesność ich zbierania, jedność metody, a także możliwa przy obecnéj organizacyi zbierania statystycznych wiadomości, wiarogodność, sprawdzona przez nas za pomocą porównywania (gdzie to okazało się możliwém) jéj cyfr z rezultatami badań ziemskich, stanowią główne zalety tego wydawnictwa. Te zalety skłoniły nas do oparcia naszego artykułu wyłącznie prawie na jego danych.

Przedmiotem naszego badania będzie podział własności ziemskiéj według *przestrzeni ziemi* nie zaś ilości jéj właścicieli, ponieważ sposób pierwszy ma donioślejsze znaczenie gospodarcze.

Z pomiędzy dość licznych kategoryi własności ziemskiéj na szczególną uwagę, ze względu na swoje ekonomiczne znaczenie, zasługują: 1) własność ziemska państwowa (skarbowa); 2) własność włościańska (uposażenie przy uwłaszczeniu) i 3) własność prywatna (indywidualna). W pracy naszéj te trzy kategorye własności ziemskiéj będziemy mieli głównie na uwadze.

1. **Własność państwowa.**

Stosunkowa ilość ziemi, należącéj do państwa w guberniach „południowo-zachodnich“, może być wyrażoną w następujących cyfrach:

	Na każde 100 dzies. własności ogólnéj		Na każde 100 dzies. własn. włościańsk.		Na każde 100 dzies. własn. prywatnéj
	przypada własności państwowéj:				
na Wołyniu . .	6,8	—	17,3	—	13,9
w g. Kijowskiéj .	4,0	—	8,7	—	8,7
na Podolu . . .	2,7	—	5,9	—	6,0

Największą więc przestrzeń własność państwowa zajmuje na północy prowincyi, na Wołyniu; najmniejszą — w części jéj południowo-zachodniéj, na Podolu.

Przeglądając procent własności państwowéj w każdym z trzydziestu sześciu powiatów prowincyi, znajdziemy znaczne między nimi różnice, zatarte powyższém ugrupowaniem danych według gubernii. Różnicę tę dostatecznie ilustrują następujące cyfry:

		Powiat z największym procentem ziemi państ.			Powiat z najmniejszym procentem ziemi państw.	
dla Wołynia . . .	—	Owrucki	24,1%	—	Rówieński	0,1%
„ g. Kijowskiéj .	—	Kijowski	10,3%	—	Lipowiecki	0,1%
„ Podola	—	Latyczowski	8,7%	—	Mohilewski	0,3%

Największą różnorodnością więc, jak widzimy, odznacza się Wołyń, gdzie największa ilość ziemi państwowéj w powiecie prze-

wyższa jéj ilość najmniejszą dwieście z górą razy. Najmniéj różnorodném jest Podole, chociaż i tu różnica pomiędzy poszczególnemi powiatami dochodzi do trzydziestu razy. Dla łatwiejszego rozpatrzenia obszaru własności państwowéj w każdym z powiatów, podzielimy je na trzy grupy, zaliczając do pierwszéj powiaty, posiadające ziemi państwowéj wyżéj 10% ogólnéj ich przestrzeni, do drugiéj — od 5% do 10%, a do trzeciéj — niżéj 5%.

Grupę pierwszą, składającą się z powiatów: Owruckiego (24,1), Kowelskiego (13,7), Włodzimirskiego (11,7), Kijowskiego (10,3) i Czerkaskiego (10,1), znajdziemy rozbitą na cztery kawałki i ułożoną na wschodniéj i północnéj granicy prowincyi. Nie mniéj rozproszoną jest i grupa druga, w skład któréj wchodzą powiaty: Latyczowski (8,7), Radomyski (7,1), Hajsyński (6,0) i Czehryński (5,2). Cztery powiaty, składające tę grupę, leżą każdy z osobna na przeciwnych krańcach Podola i gub. Kijowskiéj. Dwa z nich (krańcowe powiaty gub. Kijowskiéj, północny i jeden z południowych) przytykają do grupy pierwszéj tworząc z nią niby półkole, opasujące prowincyą ze wschodu i północy, przerwane tylko w dwóch miejscach: na wschodzie przez pow. Kaniowski, nie posiadający wcale własności państwowéj i na północy przez powiaty: Łucki i Rówieński, posiadające jéj bardzo mało. Pozostałe zaś dwa kawałki grupy drugiéj, położone jeden na granicy Podola z Wołyniem, a drugi z Ukrainą, jak wyspy, otoczone jednolitą trzecią grupą powiatów, posiadającą, jak widzieliśmy, najmniéj ziemi państwowéj.

Tę ostatnią grupę składają następujące powiaty: Lityński (4,8), Uszycki (4,5), Dubieński (4,2), Żytomierski (3,5), Łucki (2,8), Humański (2,7), Olhopolski (2,6), Bałcki (2,2), Zwinogródzki (2,0), Jampolski (1,9), Kamieniecki (1,8), Ostrogski (1,4), Zasławski (1,1), Staro-Konstantynowski (0,9), Bracławski (0,6), Berdyczowski (0,5), Mohylowski (0,3), Krzemieniecki (0,2), Taraszczański (0,2), Rówieński (0,1), Zwiahelski (0,1) i Lipowiecki (0,1). Grupa ta więc jest najobszerniejszą, jednolitą, wypełniającą całą prawie prowincyą i dla tego powinna być uważaną za grupę dla niéj charakterystyczną.

W stosunku do własności włościańskiéj i prywatnéj, jak to wskazują przytoczone powyżéj cyfry, własność państwowa grupuje gubernie w tymże porządku, w jakim układał je już stosunek do całego ich obszaru. Mniéj więcéj poważne znaczenie w stosunku do własności włościańskiéj ma własność państwowa na Wołyniu, stanowiąc w niektórych powiatach (Owruckim 89,7% własn. włośc.) znaczny zapas, mogący służyć w razie potrzeby do zwiększenia uposażenia włościan. Więcéj aniżeli 20% gruntów nadanych włościanom własność państwowa stanowi w powiatach (oprócz Owruc-

kiego): Czerkaskim (25,2), Kowelskim (23,9), Kijowskim (23,0) i Radomyskim (20,3).

Dla własności prywatnéj własność państwowa może być niebezpieczną współzawodniczką przy wypuszczaniu włościanom gruntów w dzierżawę. Konkurencya ta jednak może miéć poważne znaczenie w niektórych tylko powiatach, mianowicie w Owruckim, gdzie własność państwa wynosi 50% własności prywatnéj, następnie w pow. Kowelskim (48,5), Kijowskim (25,0), Czerkaskim (22,4) i Latyczowskim (23,7).

Porównywując obszar własności państwowéj z r. 1878 z takim-że obszarem z roku 1858 (*), dostrzeżemy zmniejszenie się jego. Zmniejszenie się to, pomimo konfiskat, zostało spowodowane zapewne przez sprzedawanie ziem państwowych w celach politycznych osobom pochodzenia rosyjskiego.

Własność państwowa w Rosyi nosi inny nieco charakter, aniżeli na zachodzie Europy. Różnicę tę zauważył jeszcze Haxthausen (*Etudes*, vol. III, p. 498). Polega ona na tém, że nie pochodząc z domenów dynastycznych, własność państwowa rosyjska bliższą jest własności narodowéj. Prawo rosyjskie również potwierdza ten pogląd, uważając własność państwową jako *res nullius*, jako własność „nie należącą do nikogo w szczególności" (art. 406, I-a część X tomu Zb. Pr.). Taki charakter własności państwowéj w Rosyi pozwala nam uważać ją za zapas, z którego w razie potrzeby może być zapomaganą część ludności, najwięcéj potrzebująca ziemi.

2. **Własność włościańska** (grunta nadane przy uwłaszczeniu).

Przystępując do rozpatrzenia się w gruntach nadanych włościanom, przedewszystkiém zwrócimy uwagę na ilość ich w stosunku do obszaru gubernii i własności prywatnéj.

Stosunek ten może być wyrażonym za pomocą następujących cyfr:

	Na 100 dzies. własn. ziemskiéj wogóle		Na 100 dzies. własności prywatnéj
	przypada własności		włościańskiéj:
na Podolu	46,1	—	101,3
w gub. Kijowskiéj .	45,0	—	98,6
na Wołyniu . . .	39,9	—	80,3

Własność włościańska więc zajmuje mniéj, niżeli połowę ogólnéj przestrzeni każdéj z tych gubernii, spadając na Wołyniu prawie

(*) Dane co do własności państwowéj w 1858 znajdujemy w wydawnictwie Murawiewa „Statystyczny przegląd dóbr państw" 1861 r.

do trzeciéj jéj części; w stosunku zaś do własności prywatnéj przewyższa tę ostatnią tylko na Podolu, w pozostałych zaś dwóch guberniach jest od niéj mniéj obszerną.

Różnice pomiędzy powiatami co do stosunkowéj ilości ziemi włościańskiéj nie są tak znaczne, jak te, które widzieliśmy przy własności państwowéj. Przeciwnie, własność włościańska dość równo podzielona pomiędzy powiatami każdéj gubernii. Największa ilość własności włościańskiéj w powiatach przewyższa najmniejszą dwa razy. Lubo nieznaczna, różnica jednak istnieje i pozwala nam, dla łatwiejszego rozejrzenia się w cyfrach, podzielić wszystkie powiaty prowincyi według posiadanego przez nie stosunku własności włościańskiéj na trzy grupy (I-sza wyżéj 50%, II-ga od 40% do 50%, III-cia niżéj 40%). Przypatrzmy się tym grupom bliżéj.

Grupa pierwsza (wyżéj 50%), składająca się z powiatów: Humańskiego (56,5), Kaniowskiego (55,8), Wasylkowskiego (55,8), Latyczowskiego (54,1), Bracławskiego (53,6), Krzemienieckiego (52,1), Zwinogródzkiego (50,7) i Hajsyńskiego (50,1) w pięciu kawałkach, skupia się na południu prowincyi; grupa trzecia (niżéj 40%), w skład któréj wchodzą powiaty: Kowelski (38,8), Radomyski (35,6), Żytomierski (32,5), Winnicki (31,6), Owrucki (27,0) i Rówieński (26,8)—zajmuje jéj część północną. Grupa zaś druga, pośrednia, zapełnia—po pierwsze, cały środek g. Kijowskiéj i, powtóre, szerokim pasem z małemi przerwami ciągnie się wzdłuż zachodniéj granicy prowincyi. Ilość więc ziemi, znajdującéj się w rękach włościańskich, zmniejsza się w kierunku z południa na północ, to jest w kierunku zmniejszania się jéj urodzajności.

Nie wszystkie osady włościańskie posiadają ziemię. Dla ogólnéj charakterystyki podziału własności ziemskiéj byłoby nadzwyczaj ważném oznaczyć ilość tych osad bezrolnych. Danych takich jednak dla badanéj przez nas prowincyi nie ma wcale. Posiada je tylko objęta przez statystykę ziemską Rosya. Pewną wskazówkę pod tym względem mogą nam dać gubernie małorosyjskie na lewym brzegu Dniepru, dla których, według wiadomości zebranych przez ziemstwa, można przyjąć od 2,5% do 5% osad bezrolnych.

Przechodząc następnie do szczegółowego podziału własności włościańskiéj, zatrzymamy się na dwóch głównych jéj kategoryach, mianowicie na gruntach należących do własności włościan dawniéj obywatelskich i do włościan dawniéj skarbowych.

Włościanie niegdyś skarbowi stanowią zaledwie piątą część ogólnéj ilości włościan w prowincyi, ziemi zaś posiadają stosunkowo więcéj, ponieważ w każdéj z gubernii należy do nich czwarta z górą część własności włościańskiéj. Mianowicie na 100 dziesięcin własności włościańskiéj posiadają:

	Włościanie dawn. obywatelscy	Włośc. dawn. skarbowi.
na Wołyniu . .	75,6%	24,3%.
w gub. Kijowskiéj	72,7%	26,9%.
na Podolu . . .	72,6%	26,9%.

Stosunek ten jednak, stały dla gubernii, w powiatach zmienia się znacznie, wahając się w dość szerokich granicach. Z jednéj strony spotykamy powiaty, w których własność włościan skarbowych przewyższa własność włościan obywatelskich; z drugiéj—widzimy i takie, w których własność włościan skarbowych dochodzi do mikroskopijnych rozmiarów.

Do pierwszéj kategoryi możemy zaliczyć w gub. Kijowskiéj powiaty Czerkaski (56,6%) i Humański (51,3); na Podolu powiat Latyczowski (51,4). Do drugiéj między innymi—powiat Lipowiecki (1,5%).

Co do włościan niegdyś obywatelskich, to oprócz wskazanego wyżéj jéj udziału we własności włościańskiéj wogóle, zasługuje téż na uwagę stosunek jéj do własności niegdyś szlacheckiéj, tj. do téj przestrzeni ziemi, jaką posiadała szlachta przed reformą 1861 r. Odnośne dane „statystyki" centralnego komitetu pozwoliły nam wyprowadzić następujące stosunki: dla Podola 43,6% dla gub. Kijowskiéj 43,5% i dla Wołynia 40,3%. Co do powiatów zaś, biorąc tylko krańcowe grupy, otrzymamy, z jednéj strony, dla powiatu Bracławskiego 58,5%, Kaniowskiego 58,1%, Wasylkowskiego 55,4%, Kowelskiego 53,1%, Krzemienieckiego 52,9%, i Staro-Konstantynowskiego 52,3%,—z drugiéj zaś dla Rówieńskiego tylko 25,0%.

Ważną z kolei kwestyą jest rozmiar poszczególnych osad włościańskich. W następującéj tablicy podajemy cyfry, wskazujące przeciętny rozmiar nadanych gruntów, obliczony na osadę włościańską, na „rewizską i na istotną duszę", pokutującą jeszcze w terminologii statystycznéj (1).

	Włościanie b. obywatelscy.			Włościanie byli skarbowi.		
	Na osadę.	Na „rewizską duszę"	Na „istotną duszę"	Na osadę.	Na „rewizską duszę"	Na „istotną duszę".
Wołyń	11,8	3,9	3,0	15,1	5,5	4,1
Gub. Kijowska . .	6,6	2,6	2,0	9,7	3,9	3,2
Podole	6,2	2,4	1,9	9,0	3,7	3,0

(1) Otrzymaliśmy pomieszczone w tablicy cyfry za pomocą podzielenia ilości dziesięcin ziemi włościańskiéj przez ilość: 1) osad, 2) ludności wiejskiéj płci męzkiéj, obliczonéj podczas ostatniego spisu ludności (10-ta rewizya) „rewizskie dusze" i 3) przez ilość męzkiéj ludności wiejskiéj, obliczonéj przez komitet centralny—„istotne dusze".

Uposażenia włościan dawniéj skarbowych, jak-to łatwo dostrzedz można, przy każdym z powyższych sposobów obliczania,—czy-to na osadę, czy na „rewiżską“, czy na „istotną duszę“,—zawsze są większe od uposażeń włościan byłych obywatelskich. Różnica ta powtarza się ze szczególną stałością w każdym powiecie. Porównywując przestrzeń gruntów nadanych na osadę z takim-że rozmiarem na „duszę“, możemy utworzyć sobie pojęcie o „gospodarskiéj sile“ osady, tj. porównanie to pokaże nam ilość mężczyzn, robotników, stanowiących osadę, gospodarczą jednostkę włościańską. Najsilniejsze, osady znajdziemy na Wołyniu,—najmniéj silne w gub. Kijowskiéj,—co znowu każe nam wnosić, że proces drobienia się własności włościańskiéj, prowadzący do tak nazwanego „rozpylenia“ gruntu danego osadzie i do tworzenia się, koniec końców, proletaryatu rolnego, silniejszym jest w gub. Kijowskiéj,—słabszym zaś na Wołyniu.

Zestawiając następnie rozmiar uposażenia na „*duszę rewizską*“ z przestrzenią ziemi wypadającą na „*duszę istotną*“, nabierzemy pojęcia o przyroście ludności wiejskiéj za 20 lat (od 1858 do 78 r.). Wysokość tego przyrostu, według „statystyki własn. ziemsk.“ jest następująca:

	Włościan b. obywat.	Włościan b. skarbowych
Dla g. Kijowskiéj. .	28,0	21,7
„ Wołynia . . .	27,0	34,3
„ Podola . . .	19,9%	20,0

Największy więc przyrost ludności wiejskiéj spostrzegamy w gub. Kijowskiéj i na Wołyniu, gdzie rozmiar nadanych gruntów, według wszelkich sposobów obliczenia jest większy. Podole najniżéj stoi pod względem przyrostu ludności wiejskiéj, a także i pod względem obszaru uposażenia. Zależność więc pomiędzy przyrostem ludności a wielkością posiadłości (im większy podział,—tém większy przyrost) jest widoczna. Potwierdza ją nadto i ten fakt, który po części wskazują i wyżéj przytoczone cyfry, że przyrost ludności u włościan b. skarbowych wogóle jest większy, niżeli u włościan b. obywatelskich.

Rozpatrując daléj przyrost ludności wiejskiéj w każdym z trzydziestu sześciu powiatów całéj prowincyi, spotykamy i takie okolice, gdzie ludność zwiększyła się w ciągu 20 lat o 40% z górą (powiaty: Kowelski 41,2% i Czerkaski 40,1%),—ale i takie, gdzie cyfra przyrostu bardzo nizko, wynosi zaledwie, jak w pow. Latyczowskłm, 2.3%.

Co do podziału *włościan* według rozmiaru uposażenia, również spotykamy różnicę między włościanami b. obywatelskimi i b. skarbowymi. Mianowicie włościanie dawniéj obywatelscy w głównéj

swojéj masie siedzą, że się tak wyrazimy, na osadach mniejszych, niźli włościanie b. skarbowi.

Tak, w gub. Kijow. w 8-miu pow. (Humańskim, Kaniowskim, Taraszczańskim, Lipowieckim, Berdyczowskim, Skwirskim, Wasylkowskim i Kijowskim) główna masa ludności posiada 2 do 3 dziesięcin na „rewizską duszę“ (wł. b. obywatelscy); dla 2-ch (Zwinogródzkiego i Czerkaskiego) charakterystyczną jest osada od 1 do 2-ch dziesięcin i tylko w jednym powiecie (Radomyskim) większa część włościan b. obywatelskich posiada od 3 do 4-ch dziesięcin na „rewizską duszę“. Dla włościan zaś b. skarowych przeciwnie, we wszystkich prawie powiatach (wyjąwszy Skwirski i Berdyczowski, posiadający od 1 do 2-ch dzies.) charakterystyczną jest osada od 3 do 4 dziesięcin na „rew. d.“

Tak samo na Wołyniu główna masa włościan b. obywatelskich w 4-ch powiatach (Staro-Konstantynowskim, Zasławskim, Krzemienieckim i Ostrogskim) posiada od 2 do 3 dz. na „r. d.“; włościan zaś b. skarbowych,—od 3 do 4 dz. W pozostałych 8-iu powiatach, główna masa ludności włościan obywatelskich posiada 3 do 4 dzies. a włościan b. skarbowych 4 do 5 dz. na „r. d.“

Podole przedstawia toż samo zjawisko. Dla większości jego powiatów (Winnicki, Lityński, Proskurowski, Mohylowski, Jampolski, Bracławski, Hajsyński i Olhopolski) 2 do 3 dziesięcin na „r. d.“ przedstawia charakterystyczną przestrzeń osady u włościan b. obywatelskich,—dla skarbowych zaś panujące uposażenie wynosi 3 do 4 dzies. na „r. d.“ W powiatach Kamienieckim, Latyczowskim i Uszyckim pierwsi posiadają 1—2 dzies. na „r. d.“, drudzy zaś 2 — 3 dziesięcin.

Słowem, wszędzie spotykamy to zjawisko, że włościanie byli skarbowi są suciéj obdarzeni ziemią.

Dla dopełnienia charakterystyki własności włościańskiéj zatrzymamy się jeszcze chwilkę na mikroskopijnych osadach włościan b. obywatelskich. Do takich zaliczamy osady, nie przenoszące 1 dziesięciny na „r. duszę.“ Takich włościan jest w całéj prowincyi bardzo mało. Tylko w powiatach: Czerkaskim (3,3), Krzemienieckim (2,5) i Żytomierskim (2,1) ilość ich przenosi 2% ogólnéj ilości włościan, w wielu zaś powiatach (13-tu) niema ich wcale.

3. **Własność prywatna (indywidualna).**

Pod względem stosunkowéj przestrzeni własności prywatnéj trzy gubernie, mogą być ułożone w następującym porządku. Na 100 dziesięcin ogólnéj przestrzeni własności ziemskiéj:

Wołyń . . . 49,7 proc.
gub. Kijowska 45,6 „
Podole . . . 42,2 „

Około połowy więc ogólnéj przestrzeni zajęta jest przez własność prywatną. Stosując i tutaj tęż samę metodę, któréj trzymaliśmy się przy własności państwowéj i włościańskiéj, dla łatwiejszego oryentowania się w cyfrach, podzielimy wszystkie powiaty prowincyi według procentowego w nich stosunku własności prywatnéj na cztery grupy.

Do grupy pierwszéj wejdą powiaty, zawierające z górą 50 proc. własności prywatnéj. Większa ich część skupiona w miejscu, gdzie się stykają z sobą Wołyń, Podole i gub. Kijowska, zajmuje środek prowincyi. Grupę tę składają powiaty : Rówieński (68,6), Żytomierski (60,8), Lipowiecki (55,6), Kamieniecki (55,5), Radomyski (55,2), Berdyczowski (55,1), Łucki (53,4), Skwirski (52,6), Zwiahelski (51,4), Dubieński (51,2), Winnicki (50,9), Lityński (50,6) i Mohylowski (50,6).

Grupa druga, do któréj zaliczamy powiaty, posiadające od 40 do 50% własności prywatnéj, mniéj zajmuje przestrzeni, chociaż liczy więcéj powiatów. Do niéj należą dwa zachodnie (Proskurowski 49,5 i Uszycki 47,0) i cztery południowe (Olhopolski 47,0, Jampolski 46,2, Bałcki 42,2 i Hajsyński 40,4) powiaty Podola ; południowe (Czerkaski 45,2, Taraszczański 43,4, Czehryński 42,0 i Zwinogródzki 40,3) i jeden wschodni (Kijowski 41,2) powiaty gub. Kijowskiéj— i nakoniec jeden północny (Owrucki 47,1) i cztery południowe, czarnoziemne (Ostrogski 48,2, Zasławski 46,3, Staro-Konstantynowski 43,3 i Krzemieniecki 42,6) powiaty Wołynia.

Do grupy trzeciéj, najwięcéj rozproszonéj, liczącéj własności prywatnéj od 30% do 40%, należą powiaty : Włodzimierski (38,8), Humański (38,6), Latyczowski 38,5), Kaniowski (36,6), Wasylkowski (33,5) i Bracławski (33,2).

Nakoniec, do grupy czwartéj, liczącéj własności prywatnéj od 20 do 30% należy jeden tylko powiat—Kowelski (27,5), ten właśnie, w którym najsilniejszą jest własność włościańska.

Jeśli rozpatrzymy powyższe grupy, to zauważymy, że najcharakterystyczniejszą dla Wołynia jest grupa pierwsza ; dla Podola—druga, a gub. Kijowska zajmuje miejsce pośrednie, dzieląc się mniéj więcéj jednakowo pomiędzy grupami : pierwszą, drugą i trzecią.

Taką jest statyka własności prywatnéj w stosunku do ogólnéj ilości własności ziemskiéj. Dynamika jéj, niestety, na podstawie tych źródeł, jakiemi rozporządzamy, ocenioną być nie może.

Przechodzimy obecnie do pytania : w jaki sposób dzieli się własność ziemska prywatna pomiędzy stanami : szlacheckim, kupieckim i włościańskim.

Podział własności ziemskiéj według stanów nie utracił jeszcze u nas swego znaczenia ekonomicznego, jak to ma miejsce na zachodzie Europy. Szlachta, kupcy i włościanie, jako właściciele ziemscy, różnią się pomiędzy sobą i pod względem opodatkowania ich ziemi i co do formy kredytu, z jakiego korzystają, i nakoniec sposobem gospodarowania. Oznaczenie więc obszaru ziemi, znajdującéj się w rękach każdego stanu, ważném jest dla charakterystyki własności ziemskiéj. Stosunkowe cyfry, wskazujące udział każdego z tych stanów w téj własności są następujące. Na 100 dzies. własności prywatnéj przypada na własność :

	szlachty	kupców	włościan
na Podolu. . . .	94,8	2,6	0,5
w gub. Kijowskiéj. .	92,6	3,5	0,1
na Wołyniu	89,0	3,2	0,6

Własność prywatna szlachecka jest więc panującą ; własność kupców — nieznaczną; własność prywatna włościańska mikroskopijną.

Przechodząc do powiatów, zatrzymamy się najprzód na własności szlacheckiéj i stosując używaną już metodę, utworzymy z nich dwie grupy. Do pierwszéj zaliczymy powiaty, posiadające wyżéj 90% własności szlacheckiéj, do drugiéj zaś liczące jéj od 80% do 90%. Do pierwszéj grupy wejdą powiaty: Zwinogródzki (99,6), Wasylkowski (99,2), Kamieniecki (98,2), Olhopolski (98,1), Jampolski (97,7), Proskurowski (97,5), Uszycki (97,5), Bracławski (96,2), Latyczowski (96,2), Taraszczański (96,1), Czerkaski (96,0), Czehryński (95,7), Rówieński (95,6), Mohylowski (95,2), Włodzimierski (94,1), Berdyczowski (94,1), Skwirski (93,8), Lityński (93,7), Lipowiecki (93,6), Łucki (93,6), Winnicki (93,6), Kaniowski (93,4), Staro - Konstantynowski (93,1), Kowelski (93,0) i Hajsyński (90,8). Do drugiéj zaś: Bałcki (89,4), Krzemieniecki (89,3), Ostrogski (89,1), Kijowski (87,7), Radomyski (86,9), Zwiahelski (85,6), Dubieński (83,3), Owrucki (83,3) i Żytomierski (80,0). Pierwsza grupa więc zajmuje całe prawie Podole, około dwóch trzecich g. Kijowskiéj i znaczną część Wołynia.

Stosunkowa ilość własności prywatnéj kupieckiéj znaczniejszą jest w powiatach : Kijowskim (9,5), Ostrogskim (9,3), Krzemienieckim (9,1), Dubieńskim (8,5), Bałckim (7,3), Hajsyńskim (5,3) i Radomyskim (5,1).

Nakoniec własność prywatna włościan tylko w powiecie Bracławskim przewyższa 2% własności prywatnéj wogóle, w pozostałych zaś powiatach jest bardzo nieznaczną.

Zajmując jednak tak nieznaczną przestrzeń, własność prywatna włościan posiada silną tendencyą do rozszerzania się. Tendencya

ta otrzymała nowy impuls przez założenie banku włościańskiego, który w badanych przez nas guberniach czynnym jest od 1883 roku i wywarł już wpływ odpowiedni. Do 1-go marca r. 1886, to jest w ciągu trzech lat swojéj działalności bank ten, jak głoszą jego sprawozdania, pomógł do przejścia w ręce włościan w gubernii Kijowskiéj 71,3% poprzedniéj ich własności prywatnéj, na Wołyniu 59,8%, a na Podolu 58,0%.

Przejdźmy teraz do podziału własności ziemskiéj prywatnéj, według rozmiarów pojedynczéj majętności. Rozpatrzymy mianowicie procent majętności wielkich, średnich i drobnych, zaliczając do pierwszych posiadające więcéj nad 1000 dzies. ziemi, do drugich — od 100 do 1000 dzies., a do trzecich — mniéj 100 dziesięcin.

Podział ten wyrażą następujące cyfry. Na 100 dzies. własności prywatnéj przypada:

	wielkiéj	średniéj	drobnéj	
w gub. Kijowskiéj. .	78,2	19,9	1,9	proc.
na Podolu	73,5	24,0	2,5	„
na Wołyniu	73,3	20,5	6,2	„

Wszędzie więc ilość własności prywatnéj, skupionéj we własności wielkiéj, dochodzi, a w gub. Kijowskiéj przechodzi 75 proc. wszystkich majętności.

Powiaty dość znacznie różnią się między sobą pod tym względem. Tak wyżéj 90 proc. własność wielka posiada w powiatach: Olhopolskim (94,3), Wasylkowskim (91,6) i Rówieńskim (91,5); od 80 do 90% w powiatach: Czerkaskim (87,8), Bałckim (85,8), Radomyskim (84,3), Hajsyńskim (82,8), Zwinogródzkim (82,6) i Kijowskim (82,5); od 70% do 80% w Owruckim (77,5), Zasławskim (77,1), Zwiahelskim (76,4), Skwirskim (75,5), Humańskim (74,9), Łuckim (73,9), Kowelskim (73,1), Czerkaskim (71,6) i Uszyckim (71.4); od 50 do 70% w szesnastu powiatach, wyliczać których już nie będziemy, i nakoniec powiat Starokonstantynowski posiada tylko 38,1% własności wielkiéj, jest więc najmniéj arystokratyczny.

Własność średnia najwyżéj stoi w tymże powiecie Starokonstantynowskim (56,6%); następnie pow. Proskurowski posiada jéj 41,6%; od 20% do 30% znajdujemy w pow. Krzemienieckim (38,0), Lityńskim (36,8), Kamienieckim (35,0), Latyczowskim (34,2), Ostrogskim (31,4), Berdyczowskim (31,2), Lipowieckim (31,1), Kaniowskim (29,4), Jampolskim (29,3), Taraszczańskim (29,2), Mohylowskim (28,7). Włodzimirskim (28,4), Bracławskim (28,3), Uszyckim (27,1), Dubieńskim (25,1), Humańskim (24,1), Skwirskim (23,2), Kowelskim (22,8) i Żytomierskim (21,9). W pozostałych powiatach procent średniéj własności prywatnéj nie dochodzi 20 proc.

Nakoniec własność prywatna drobna gra najmniejszą rolę w całéj prowincyi. Tylko dwa powiaty Owrucki i Żytomierski posiadają jéj około 10 proc.

Przeciętny rozmiar własności prywatnéj wogóle wyrażają następujące cyfry: dla Wołynia 207 dziesięcin, dla Podola 306 dzies., a dla gub. Kijowskiéj 488 dzies. Powiaty tu przedstawiają znaczne różnice. Tak, w pięciu z nich znajdujemy przeciętny rozmiar własności prywatnéj wyżéj 500 dzies., przyczém maximum przypada na powiat Rówieński (1234 dz.), a minimum na pow. Owrucki (73 dz.).

Rozmiar majętności szlachty i kupców wynosi:

na Wołyniu. . .	862 dzies.	—	1721 dzies.
na Podolu . . .	746 „	—	659 „
w gub. Kijowskiéj	1136 „	—	957 „

Dla włościan zaś we wszystkich trzech guberniach możemy przyjąć od 5 do 11 dziesięcin.

Na zakończenie niech nam wolno będzie powtórzyć te wnioski ogólne, do których przyszliśmy w obecnym artykule.

1. Własność państwowa (skarbowa) wogóle gra nieznaczną rolę pośród innych kategoryi własności ziemskiéj, dochodząc do znaczniejszych rozmiarów tylko na wschodzie i północy prowincyi. Przestrzeń jéj zmniejszyła się w ciągu ostatnich lat 20-stu.

2. Własność włościańska (nadana przy uwłaszczeniu) zajmuje mniéj, niźli połowę ogólnéj własności ziemskiéj w prowincyi. Najbiedniejsze pod tym względem są powiaty północne — nie czarnoziemne; najbogatsze, powiaty południowe — czarnoziemne. Przeciętny rozmiar osady włościan b. obywatelskich zawsze i wszędzie mniejszy jest od osady włościan b. skarbowych. Rozmiar tego uposażenia wywiera znaczny wpływ na przyrost ludności wiejskiéj, działając tu w stosunku prostym.

3. Własność prywatna (indywidualna) zajmuje największą stosunkową przestrzeń prowincyi. Może ona być nazwaną szlachecką, ponieważ szlachta stanowi przeważający element pomiędzy właścicielami ziemskimi. Własność prywatna włościańska jak dotąd jest bardzo nieznaczną, ale coraz rozszerza swoję przestrzeń, w czém jéj skutecznie pomaga bank włościański. Rozszerzaniu się własności prywatnéj włościańskiéj musi, rzecz naturalna, towarzyszyć odpowiednie zmniejszanie się własności szlacheckiéj, a także zwiększanie własności drobnéj, która, jak wiadomo, jest charakterystyczną formą własności włościańskiéj.

B. Niedziałkowski.



PRZEGLĄD LITERATURY.

---

1. Clark Murray. Psychologia. Podręcznik. Przełożyli z upoważnienia autora Henryk Wernic i J. Wł. Dawid. Warszawa 1887, str. VI + 450. — 2. Kondyllak. Traktat o Wrażeniach Zmysłowych. Przełożył z francuzkiego Antoni Lange pod redakcyą H. Struvego, Warszawa 1887, str. XXXIV + 220. — 3. Logika przez Ludwika Liard'a, przekład z francuzkiego. Bezpłatny dodatek do „Prawdy" Warszawa 1886—87, str. 224. — 4. W. Stanley Jevons. Logika objaśniona figurami i pytaniami, przełożył z angielskiego Henryk Wernic. Warszawa 1887, str. 158. — 5. Dzieje filozofii w zarysie napisał Dr. Maurycy Straszewski, profes. filozofii w uniwersytecie Jagiellońskim. Zeszyt 1. Kraków 1887, str. 64.

1. Mając przejrzeć wymienione powyżéj książki, zacznijmy od psychologii; należy się jéj to pierwszeństwo głównie dlatego, że ze wszystkich gałęzi filozofii psychologia cieszy się obecnie największym mirem wśród uczonych, a poniekąd i u publiczności. Wprawdzie ta sfera życia wewnętrznego, umysłowego do dziś dnia pomimo prac bardzo poważnych i gruntownych, mieści wiele zagadek, wiele punktów ciemnych; wprawdzie czytając dzieła psychologii poświęcone, nasuwa się nieraz bajka, jak to mądry rozprawiał o naturze ducha, jak głupi go słuchał, a gdy ustał, mądry się zdumiał, że go głupi nie rozumiał: jednak nie można powiedzieć, żebyśmy dzisiaj cokolwiek więcéj nie rozumieli natury czynności umysłowych, niż przed pół wiekiem. Do lepszego rozumienia zjawisk psychologicznych przyczyniła się w znacznéj mierze fizyologia, patologia umysłu, etnografia, nareszcie wciągnięcie do badań psychologicznych, objawów spotykanych w świecie istot niższych od człowieka. Pod tym względem znane są prace takich uczonych jak Maudsley Charlton Bastian, Wundt, Adolf Bastian, Romanes, nie mówiąc o tych, którzy *ex professo* wykładali psychologią. Kto dzisiaj pisze psychologią, powinien się liczyć z rezultatami osiągnionemi przez tych i wielu innych autorów. Nie można powiedzieć, ażeby Murray w swoim podręczniku brał w rachubę te rezultaty. Ale nie uprzedzajmy ostatecznego zdania i przyjrzyjmy się bliżéj jego książce.

Autor poświęciwszy we wstępie kilka kartek na definicyą i metodę psychologii, rozłożył cały materyał psychologiczny na dwie księgi, z których jedna obejmuje psychologią ogólną, druga szczególną. Psychologia ogólna traktuje o pierwiastkach życia umysłowego, a więc o wrażeniach zmysłowych, przyczém po szczególe opisuje zmysły, oraz o procesach umysłowych, do których zalicza kojarzenie i porównanie. Psychologia szczególna (lepiéj, szczegółowa) rozważa trzy główne działy życia umysłowego, wyrażające się poznaniem, uczuciem i wolą. Taki jest kościec książki, do którego są przyczepione niby mięśnie, mniejsze poddziały zawierające postrzeżenia szczegółowych zmysłów, uogólnianie, rozumowanie, idealizacyą, złudzenia, objaśnienie pojęć takich jak czas, przestrzeń, substancya, przyczyna : wszystko to razem wzięte stanowi sferę poznania. Następuje potém wykład i klasyfikacya uczuć, po którym idzie część ostatnia, nieproporcyonalnie do innych krótka, obejmująca naukę o woli,

Definicya psychologii, podana przez autora, nie pozostawia nic do życzenia; jest to nauka „badająca zjawiska umysłowe"; umysł zaś bierze autor za to samo co dusza lub duch. Mówiąc o metodzie, jakiéj psychologia trzymać się powinna, Murray powiada, że ją wskazuje sama natura zjawisk umysłowych, a do natury ich zalicza tę okoliczność, że im zawsze „towarzyszy świadomość" (5); otóż jest to zbyteczne ścieśnienie zakresu psychologii, albowiem bywają czynności umysłowe automatyczne, nieświadome, jako np. gdy ktoś gra, jak mówimy mechanicznie, myśląc o czém inném, niż grany ustęp, lub rozmawiając z drugą osobą. Prócz tego bywają stany umysłu trudne do wyjaśnienia, jak np. gdy się biedzimy z rozwiązaniem pewnego zagadnienia matematycznego na jawie, a rozwiązujemy je po śnie pokrzepiającym. Zdawałoby się, że umysł pracuje we śnie, wtedy gdy jesteśmy pozbawieni świadomości. Nareszcie, stany umysłu, gdy się budzimy ze snu, nie są związane ze świadomością całkowitą, a jednak nie możemy ich zaliczyć do czystych funkcyi cielesnych. Wogóle cała ta sfera zjawisk leżących na granicy między nieświadomością a świadomością zupełną nie może być w psychologii pomijana. W książce podręcznéj trudno się wdawać w dyskusyą téj niejasnéj jeszcze sprawy, ale uwagę na nią zwrócić należy. Spór z Millem o znaczenie świadomości (300—307) nie zastąpi tego braku.

Przy wykładzie części fizyologicznéj, mianowicie nauki o szczegółowych zmysłach, trzebaby koniecznie, nawet w podręczniku, dać kilkanaście rysunków ułatwiających rozumienie działania narządów zmysłowych; odsyłanie ucznia do oddzielnéj fizyologii najczęściéj nie odnosi skutku. Autor nie uczynił tego ułatwienia i opisuje zmy-

sły po kolei, nieraz drobiazgowo aż do znużenia czytelnika. Nie na wiele się przyda uczniowi wiadomość, nie wiem czy pewna, że osoby, które długo zażywały tabakę nieraz tracą właściwy zmysł powonienia, a pomimo tego czują miłą ostrość swego ulubionego narkotyku (41).

Mówiąc o procesach umysłowych, a między tymi, o abstrakcyi, spotykamy niezrozumiałe wyrażenie, mianowicie utożsamienie jéj z „nieprzytomnością umysłu“ (200). Wprawdzie czyniąc abstrakcyą, czyli uogólniając rzeczy i ich własności, niektóre z tych własności pomijamy, stają się one chwilowo nieobecne dla umysłu, ale nie jest to równoznaczne z nieprzytomnością umysłu. Tak samo trudno się zgodzić z autorem na twierdzenie, że wiedza czyli poznanie „nie może się rozpoczynać od rzeczy pojedynczych“ (205); rozumiejąc przecież, że nie może się rozpoczynać od „klas“, autor ratuje się z kłopotu zapewnieniem, że się musi rozpoczynać „od czegoś nieokreślonego“ (206). Tem nieokreśloném są wrażenia. Jeżeli tak, to oczywiście poznanie rozpoczyna się od pojedyńczych wrażeń, z których powstają wyobrażenia, sądy i rozumowania.

W rozdziale zatytułowanym „Idealizacya“ znajduje się sporo mętnych definicyi. I tak, ideałem estetycznym ma być „bezwzględne (?) czyste zadowolenie“ (239), ideałem ducha religijnego jest „umysł powszechny (?), w którym urzeczywistniają się wszystkie ideały ludzkiéj świadomości: spekulacyjny, praktyczny i estetyczny“ (255).

Jużeśmy poprzednio zauważyli, że bardzo ważny dział psychologii Murray'a, mianowicie nauka o woli, jest najpobieżniéj i najsłabiéj wyłożony; pomimo téj szczupłości, znalazł się tu niezbędny rozdział o wolności woli. Sporna ta dla niektórych umysłów kwestya gmatwa dotychczas pojęcia ludzkie i pokutuje we wszystkich psychologicznych dziełach. Autor krytykując i determinizm i pospolite mniemania, jakoby wola działała bez pobudek, i była niezależną od praw natury (libertaryanizm), sam zawisł w powietrzu: nie wiemy na pewno, jakiego jest w téj materyi zdania.

Polski przekład podręcznika psychologii Murray'a można wogóle nazwać dobrym, jednak nie bez usterków, których łatwo można było uniknąć. I tak, bez potrzeby używają tłómacze następującego zwrotu: „ponieważ nie wszystkie obecne stany umysłowe jednakowo kojarzą się z bezpośrednio po nich następującemi, *to* powstaje pytanie“. Tutaj, jak i w setnych innych wypadkach owo *to* jest zupełnie zbyteczne i przypomina niemczyznę. Niefortunne jest przetłómaczenie przymiotnika *volitional* za pomocą polskiego *chceniowy* (117); wrażenia, które dają się jasno odróżniać i utożsamiać... po-

siadają własność reprodukowania innych i reprodukowania się *samym* (119); działać *nad* całościami (243); albowiem *podczas kiedy* (327). Są tu dwa grzyby bardzo często tak w niniejszém tłómaczeniu, jak i wogóle u nas, natrafiane; jeden z nich byłby dostateczny. W *rażący* sposób potwierdza to itd. zamiast *uderzający* lub uderzająco (344); nuta, jaką *wydaje* świeży wietrzyk (346); uczucia jako stany jedynie *przedmiotowego* pobudzenia, zapewne miało być *podmiotowego* (349); angielskie *relativity* lepiéj byłoby tłómaczyć przez *paralelizm*, aniżeli przez *względność*. Dodać w końcu winniśmy, że przy wielkim braku w literaturze naszéj iletyle znośnéj psychologii, podręcznik Murray'a zapełnia poniekąd tę szczerbę, lubo tylko w zakresie elementarnym.

2. Skorośmy weszli na psychologią, załatwijmy się odrazu z inną książką wprawdzie nie młodą, bo jeszcze zeszłowieczną, ale świeżo przetłomaczoną na język polski. Jest to traktat (*Traité*) Kondyllaka *O wrażeniach zmysłowych*. Wiadomo powszechnie, lub przynajmniéj krajowym filozofom, że z Kasy pomocy imienia Mianowskiego uczeni nasi wydają dzieła poważnéj treści, a między témi nie zapomniano i o filozofii. Redakcyą tego działu prowadzi p. Struve, a tłómaczami są młodzi adepci filozofii. Dotychczas wydano dwie książeczki: *Obronę Sokratesa* z Platona i Kartezyusza *Rozmyślania nad zasadami filozofii*; obecny *Traktat* Kondyllaka, jest trzecią książeczką z cyklu filozoficznego. Mieszczą się w niéj trzy przedmowy i wykład rzeczy. W pierwszéj przedmowie ubolewa p. Struve nad powolnym ruchem *Biblioteki filozoficznéj*, a za przyczyny żółwiego jéj pochodu uważa nasze ubóstwo materyalne i umysłowe, które daje początek powierzchownéj niby krytyce. Gdyby czytano przynajmniéj celniejsze dzieła filozofów, pewnieby nie wydawano tak powierzchownych sądów o *Bibliotece filozoficznéj*; chociaż zdaje nam się, że niepoczytność wydanych w niéj dziełek nie płynie z samego lenistwa umysłowego. A już zupełnie wątpimy, żeby „tylko studyum Kondyllaka było zdolne rozjaśnić chaos w głowach nowoczesnych dogmatyków empiryzmu“ (VIII). Jeżeli bowiem p. redaktor utrzymuje, że umysł nasz posiada samoistne uzdolnienia „niezależne od wrażeń zmysłowych“, to widocznie studyum Kondyllaka nie ma téj cudownéj siły, rozpędzającéj mgły metafizyczne.

Druga przedmowa, a raczéj wstęp tłómacza, zawiera krótki życiorys Kondyllaka i ocenę jego stanowiska filozoficznego. Cały ten wstęp jest z małemi wyjątkami, streszczeniem artykułu o Kondyllaku z *Dykcyonarza nauk filozoficznych* Ad. Francka, przyczém popełniono błąd nazywając Mably'ego opatem, gdyż doszedł zaledwie subdyakonatu, jak tenże Franck opowiada. Sam Kondyllak mógłby

po naszemu nosić imię Stefana, a jeszcze lepiéj Szczepana; że go tłómacz nazywa Etienne, nie myślimy poczytywać mu tego za kryminał. Nie można się przecież zgodzić ani z redaktorem, ani z tłómaczem, ażeby Kondyllak był „typowym przedstawicielem sensualizmu" (XIV); ale prawdą jest, że był gładkim francuskim kopistą Hobbesa i Locke'a. Czy traktat jego o wrażeniach zmysłowych jest *arcydziełem* pod względem literackim (XXV), o tém mogliby słuszniéj wyrokować Francuzi; to jednak mamy za pewne, że polska szata niebardzo gładko na nim leży. Wogóle, o wstępie możemy powiedziéć, że gdyby tłómacz dołączył był ocenę Kondyllaka z jakiéjś lepszéj *Historyi filozofii*, zastrzegając swoję zgodę lub niezgodę, moglibyśmy się gruntowniéj zapoznać z tłómaczonym autorem, a tłómacz nie byłby napisał że „*Traktat o wrażeniach zmysłowych*" jest dziełem zupełnie samodzielném (XX). Tyle o wstępie p. Langego; o tłómaczeniu tekstu francuskiego jeszcze pomówimy.

W trzeciéj przedmowie zwraca się do nas nieboszczyk autor, właściwie jednak ani do nas, ani do zeszłowiecznych czytelników, lecz do hrabiny de Vassé. Była to przyjaciółka panny Ferrand, przyjaciółki Kondyllaka. Autor z pokorą wyznaje, że co najlepsze w jego książce, to pochodziło z natchnienia panny Ferrand; jest-to francuski komplement dla nieboszczki, a pośrednio i dla żywéj hrabiny de Vassé. Może to wreszcie i szczera prawda; jeżeli bowiem i A. Comte i J. S. Mill najlepsze swoje natchnienia czerpali z obcowania z paniami, czemużby Kondyllak nie miał czerpać z podobnego źródła? W takim razie dlaczego tłómacz nazywa jego *Traktat* zupełnie samodzielném dziełem?

Ocenienie filozoficznéj treści, zawartéj w książeczce Kondyllaka, nie może być zadaniem niniejszego sprawozdania dlatego głównie, że czynności téj dokonano już dawno i dobrze. Wystarczy, gdy powiemy, że analiza wrażeń zmysłowych, pomijając niezdarność pomysłu osoby obdarzanéj kolejno zmysłami, jest tylko słowna, niczego nie objaśniająca; że dzisiaj przy pomocy fizyologii daleko lepiéj rozumiemy mechanizm zmysłów i nerwów, a témsamém i naturę wrażeń zmysłowych; że jeżeli chodzi o pożytek czytelnika, więcéj się nauczy z innéj książeczki, także traktującéj o *wrażeniach zmysłowych*, a napisanéj przez p. Nussbauma, aniżeli z *Traktatu* Kondyllaka. Nie znaczy to jednak, żeby z Kondyllaka nie można się niczego nauczyć, bo jak mówi poeta, wszędzie się znajdzie rozum, byle tylko szukać.

Wspomnieliśmy, że tłómaczenie chroma; nie jest ono złe, ale mogłoby być znacznie lepsze. Wyliczać wszystkich błędów nie widzimy potrzeby, należy jednak usprawiedliwić zarzut. Więc oto

koleją stronnic błędy językowe: *pod* nazwiskiem tém rozumie się...; Kondyllak nie przyznaje *za* refleksyą znaczenia samodzielnego; czynności, jakie w *nas* spostrzegamy; zdania, od których *odstępywałam*; sprawiedliwość, jaką oddaję, nie byłbym śmiał jéj (pannie Ferrand) oddać; chętnie zajmowała się tą myślą, chciała jednak *zeń* wyrwać obraz boleści; podczas gdy druga...; dotknięta *żywością* rozkoszy (lepiéj żywą rozkoszą); wyrwać cierpieniu; za każdą razą (przecież *raz* nie *raza*); nieskończoną liczbę razy powtórzono zaimek *on*, *ona*, bez żadnéj potrzeby, tylko wskutek dosłownego tłómaczenia francuskiego *lui*, *elle*. Idźmy daléj: ponieważ bowiem...; *na tyle* się tém wspomnieniem nie przejęła; jakkolwiek zadziwiającemi byłyby skutki wyobraźni, aby o nich nie wątpić, dość rozważyć (niezrozumiałe); doświadczałaby (owa fikcyjna osoba) *je*, to jest stany bytu (?) po trzeci lub czwarty raz nie będąc w stanie *je* rozpoznać. Wiązeczka ta zebrana została z pary stronnic wstępu i z 20 stronnic tekstu. Reszta nie jest gorsza, ale i nie lepsza.

3. Logika nie cieszy się w literaturze naszéj gorliwszą uprawą od innych gałęzi filozofii; mamy jednak do zaznaczenia parę książeczek, wprawdzie tylko elementarnych i z obcego tłómaczonych, o których krótką wiadomość podajemy.

Pierwszą jest *Logika* przez Ludwika Liarda, rektora akademii w Caen, tłómaczona z francuskiego. Autor znany jest ile tyle u nas, gdyż *Ateneum* podawało z dawniejszych jego prac filozoficznych sprawozdanie *(Les Logiciens Anglais contemporains—La Science et la Metaphysique)*. Obecna jego *Logika* zawiera logikę formalną, metody nauk i wykład sofizmatów. Wiadomo, że logika formalna obejmuje naukę o pojęciach, sądach i rozumowaniu sylogistyczném; Liard zastosował się do utartego zwyczaju i te same przedmioty traktuje w pierwszéj księdze, do któréj wciągnął naukę o klasyfikacyi i indukcyi. Ta część logiki jest zwykle najkrócéj traktowana, jako mniéj ważna, stara, dawno obrobiona i okrutnie nudna; niegdyś łączono ją z gramatyką i dyalektyką. Autor poświęcił jéj księgę niewielką, bo tylko z 65 stronnic złożoną, ale i tego na dziełko elementarne jest zawiele; dedukcyi nie można lekceważyć, błędy rozumowania trzeba znać, ale reguły sylogizmu nie uchronią nas od błędu, jeżeli prawdziwych premis nie zdołamy osiągnąć: premissy zaś zdobywają się doświadczeniem, uważaném w najobszerniejszém znaczeniu.

Gdy to zrozumiano, logika formalna, dedukcyjna zaczęła tracić kredyt; w książkach podręcznych dość na nią kilku kartek. Nie jest to ani ciekawe, ani nauczające, gdy czytamy poprawny sylogizm taki: wszyscy ludzie są śmiertelni, Paweł jest człowiekiem,

więc jest śmiertelnym. Tu wniosek tkwił już w premisie i niczego nowego nas nie nauczył. Nie bawi nas też sylogizm podstępny taki: Czegoś nie stracił, to masz; rogów nie straciłeś—więc.... Przykłady te nie są wzięte z książki Liarda; chodziło tylko o napomknienie, że chociaż każde rozumowanie daje się do sylogizmu sprowadzić, jednak długo o sylogizmach i ich figurach mówić nie warto. Przecież sam autor zapewnia, że logika formalna nie zajmuje się realném istnieniem rzeczy (23).

Więcéj zajęcia dla umysłu czytelnika mieści księga druga, traktująca o metodach rozmaitych nauk, jak matematyka, nauki przyrodnicze, moralne: tutaj umysł nie działa, że tak powiem w próżni, lecz prawa myślenia stosuje do świata rzeczywistego. Jest to logika nowa, pobudzająca ucznia do myślenia i słusznie wykładana obszerniéj od formalnéj. Tu się spotykamy z rozumowaniem indukcyjném, z klasyfikacyą, analogią, hipotezami; tu się uczymy jak umiejętnie patrzéć na świat otaczający, jak obserwować zjawiska, jak je poddawać doświadczeniu, ażeby uniknąć błędu. Więc téż nowsi logicy, oceniając wartość takiéj logiki, jéj głównie w wykładach swoich lwią część poświęcają. Tak postąpili J. S. Mill, Bain, Fowler, Wundt. Dobrze zatém, że i elementarna logika dopasowywa się do tych wymagań nauki. Liard nie przeoczył tych wymagań; wolelibyśmy jednak nie spotykać jego polemiki z Millem o zasadę indukcyi, polemiki nie bardzo zasadnéj, wyrażającéj się w pytaniu: „któż ostatecznie może zapewnić nas, że jutro porządek natury nie zostanie wywrócony?“ (155). Wielka prawda. Nieznajomość jednakże końca świata wcale nam nie przeszkadza opierać naszego myślenia i postępowania na stwierdzonym powszechnie jednostajnym porządku natury. Tém mniéj rozumiemy, dlaczego autor gdzieindziéj jeszcze chce szukać oparcia dla myśli ludzkiéj, niż w tym porządku praw przyrodzonych, nie chybiających przynajmniéj na naszéj planecie.

Logika Liarda byłaby dla nas pożyteczniejszą książeczką, gdyby była staranniéj przetłómaczona; spotkaliśmy w ciągu jéj czytania mnóstwo błędów językowych i niebardzo trafnych neologizmów, z których cząstkę tylko notujemy: pojęcia mają *do* siebie stosunki; każde zdanie wyraża zawieranie się.... predykatu; wnioskować *od* całości *do* części; wyłożyć treściowo; ukrotnienie predykatu; eksperyent; warunek żywnościowy; antecypować (użyte kilka razy); warunek powodny, zamiast powodujący; francuskie *encephale* przetłómaczono *organ czaszkowy*; rdzeń kręgowy nazwano szpikiem, czaszkę zrobiono czarą kościstą; *na tyle* jednak określoną; ekonomia polityczna poszukuje praw.... rozkładnia, zamiast podziału. Nie wie-

my, co znaczy frazes: czy zjawiska moralne nie mają jakichś środkowości..." (170); metody, *jakieby* użyć należało; nauka polityczna zmierzać powinna do wywiązania (?) społecznych i dziejowych praw faktów...; sprężyny, które puszczają w ruch działalność ludźmi; znajdźmy dwa narody podobne sobie we wszystkich rodzajach korzyści i niekorzyści (?) naturalnych; uczucia wrażebne; istotowe prawidła; język jest wielkim podżegaczem sofizmatów. Poprawiwszy starannie tłómaczenie logiki Liarda, możnaby ją zalecić młodzieży do studyowania jako przewodnik dla początkujących. Obfity zbiór przykładów w załączonym dodatku kończy książkę a témsamém i nasze o niéj sprawozdanie.

4. Elementarną również i mniejszą od poprzedniéj jest *Logika* S. Jevons'a, przeznaczona dla początkujących. Jevons należy do znakomitszych spółczesnych pisarzów angielskich: pracuje głównie w zakresie logiki i ekonomii politycznéj. Wytrwały z początku zwolennik J. St. Milla, późniéj tak się do niego uprzedził, iż twierdził, że „niemasz w logice żadnego przedmiotu, któregoby Mill nie dotknął, a do każdego, którego się dotknął wprowadził zamieszanie". Spór ten nie może nas tu dłużéj zajmować, toczył się bowiem przed 10 laty (patrz *Mind* z 1878).

Jevons jest u nas cokolwiek znany, gdyż mamy jego malutką *Ekonomią* tłómaczoną po polsku; Liard pisząc o spółczesnych logikach angielskich rozbiera wszystkie jego dzieła z zakresu logiki, nazywając je klasycznemi: stosuje się to głównie do podręczników. Takim króciutkim podręcznikiem jest i *Logika* obecnie na nasz język przełożona. Treść jéj prawie taka sama jak *Logiki* Liarda; chociaż rozkład materyału nieco różny. Logika podług niego „powinna nas nauczyć dwóch rzeczy, mianowicie, jak odkryć prawa natury i jak je zastosować" (6). Tak rozumiejąc zadanie logiki, autor zaczyna nie od pojęć, lecz od terminów, jakiemi nazywamy rzeczy; terminy łączą się w sądy, a z sądów powstaje rozumowanie. Logikę formalną odprawia Jevons krótko; za to więcéj miejsca i przykładów poświęca indukcyi: „logika indukcyjna bada, przy pomocy jakiego sposobu rozumowania możemy z faktów obserwowanych zjawisk odkrywać prawa natury" (83). Jest-to cechą lepszych pisarzów angielskich, że im więcéj chodzi o odkrycie praw natury, niż o łamańce sylogistyczne. Tłómaczenie polskie jest wogóle dobre; mniejszych usterków, jak np. „rozumiéć *pod* kościołem, pod domem, pod wyrazem statki"—nie wyliczamy.

5. Na ostatnie danie téj wcale nie Lukullusowéj uczty filozoficznéj zostawiliśmy *Dzieje Filozofii* w zarysie pana Straszewskiego, dzieło oryginalne, ptak rzadki u nas w te czasy, *nigroque simillima*

cygno. Mamy wprawdzie dopiero zeszyt pierwszy, z którego o całości zakrojonéj na 2 tomy sądzić nie można, ale pojawienie się początku zaznaczyć należy. P. Straszewski już w rozprawie swojéj o *Powstaniu i rozwoju pessymizmu w Indyach* (Kraków 1884) zapowiedział tak w łacińskiéj dedykacyi uniwersytetowi edynburskiemu, jak i w polskiéj przedmowie, iż od „dłuższego (*sic*) czasu" zajmuje się napisaniem *Historyi Filozofii*; obecnie zaczął się uiszczać z téj obietnicy.

W ogłoszonym pierwszym zeszycie zapoznajemy się z poglądami autora na filozofią, jéj dzieje i podział materyału, oraz z bibliografią przedmiotu. Zaznaczymy więc niektóre punkta więcéj charakterystyczne, pozwalające ocenić, jeżeli nie całe dzieło będące w robocie, to przynajmniéj jego filozoficzne stanowisko.

Filozofia jest, według p. S., „dążeniem do wiedzy, ale nie do wiedzy szczegółowéj, drobiazgowéj i praktycznéj, ale do wiedzy jak można najwszechstronniejszéj, jak najdaléj w poznaniu prawdy sięgającéj—do wiedzy, która obejmuje całość świata, a skupia w sobie najogólniejsze zasady i najgłówniejsze pierwiastki tego wszystkiego, co tylko może być treścią i przedmiotem naszych myśli" (4). Definicya to zadługa, zarozwlekła; byłoby może lepiéj powiedziéć, że filozofia jest uogólnieniem prawd zdobytych przez odrębne nauki Ale poprawka taka nie przystawałaby, jak to niżéj zobaczymy, do poglądu autora na filozofią. Mówiąc o wydzieleniu materyału, który powinien stanowić zakres dziejów filozofii, rozważa co do nich wciągnąć, a co pominąć trzeba. Tak np. autor nie godzi się z tymi, co do filozofii zaliczają tylko takie rozmyślania nad całością świata, które zachowały zupełną od pojęć religijnych niezależność (9). Więc znowu rozważając w jakim stosunku znajduje się filozofia do dziejów powszechnych, do rozmaitych nauk i sztuk, utrzymuje, że dziejopis filozofii nie może pomijać Dantego i Zygmunta Krasińskiego (13). Zapewne; wzmianka o nich jak i o setce innych nazwisk znaleźć się może; coby jednak za prawdy dwaj ci poeci do skarbca filozofii wnieśli, nie wiemy. Jeżeli historyk filozofii będzie wyszukiwał prawd naukowych w *Boskiéj komedyi* lub *Irydyonie*, czém się zajmie historyk literatury?

Odkąd zaczynać dzieje filozofii? Przeważna część autorów rozpoczyna je od Greków; p. Straszewski jest innego zdania, motywując je tém, że gdziekolwiek umysł ludzki zmierzał do objęcia całości istnienia, tam mamy już do czynienia z filozofią—a więc u narodów wschodnich, w ich mytologii mamy początek filozofii. „Z pojęcia filozofii nie wynika wcale, aby musiała opierać się na zupełnie samoistnych, a od religii niezależnych podstawach. Nie było bo-

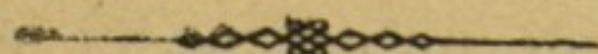
wiem nigdy takiéj filozofii, któraby była potrafiła wyswobodzić się całkowicie z pod wpływu rozpowszechnionych wśród społeczeństwa wyobrażeń religijnych" (17). Co na to odpowie Holbach i *Système de la Nature*?

Jak podzielić cały wątek dziejów filozofii? Okresy zaprowadzone po książkach i zastosowane mniéj więcéj do podziału dziejów powszechnych nie podobają się autorowi; dopatrzył on w rozwoju myśli filozoficznéj trzy typy: europejski, chiński i indyjski (22), a zatém według nich postanowił ugrupować materyał dziejowy. Już we wspomnianéj rozprawie o pesymizmie w Indyach, wyraził p. S. takie samo zapatrywanie na owe typy. Że fantazya Chińczyka, Indusa lub Europejczyka może tworzyć poetyczne obrazy odmiennego kolorytu, że témsamém można poniekąd upatrywać jakby typy w poezyach tych ludów, łatwo się zgodzić; trudniéj przypuścić, ażeby rozumowanie i wnioskowanie jednakowo i gruntownie ukształconych ludzi mogło być innego typu w Indyach, niż w Krakowie. Nie uprzedzajmy jednak wykonania całego dzieła; zobaczymy jak je autor przeprowadzi, a wtedy może zmienimy nasz sąd zarówno o téj części jak i innych rozdziałach jego pracy.

Język polski trąci jeszcze u p. Straszewskiego galicyanizmem, znać jednak postęp w porównaniu z dawniejszémi utworami tegoż autora; w pierwszym zeszycie *Dziejów Filozofii*, pisanych zresztą dość poprawnie ze swadą retoryczną, spotkaliśmy niewiele dziwolągów, które notujemy dlatego, by poważne dzieło poważnie w dalszym ciągu wyglądało. I tak, pisze autor: *pierwiej* zgromadzić; *punkty* widzenia; nie możemy uwzględniać *jedne* kierunki; *odpowiedny* podział; wielu *zadowolało* się twierdzeniem; *najpierwsi* chrześcianie (byłoby dość pierwsi); Orygines, zamiast Orygenes; Grzegorz z *Nazianz*, zamiast utartego z Nazyanzu lub nazyanzeński; najlepszym *na to* dowodem jest Dante; potrzeba historyi filozofii z każdym rokiem (*mit jedem Jahre*) staje się bardziéj *piekącą*. Nie jest to całkowity wykaz galicyjskiego żargonu, ale jak na 64 stronnic i tego starczy.

Należy przeprosić czytelnika i autorów za te litanie błędów językowych; musimy się wzajem pilnować, gdyż corok prawie gorzéj się dzieje: nietylko nie mamy o czém, ale i nie umiemy pisać porządnie.

Kr.





NASZ KREDYT ZIEMSKI.

J. Kirszrot-Prawnicki: Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiém. Warszawa, 1887, nakł. Lewentala.

Największy nawet optymista w poglądzie na stosunki nasze przyznać musi, że oryginalnych prac naukowych, z prawdziwą znajomością rzeczy napisanych, przemyślanych i przetrawionych gruntownie, pojawia się u nas obecnie bardzo mało. Najszczęśliwsze jeszcze w tym względzie są nauki matematyczne i przyrodnicze, najbardziéj zaś, zdaje się, upośledzone—społeczne. Wprawdzie domorosłych, a więcéj jeszcze może wiatrami, z kierunkiem biegu słońca zgodnymi, nawianych ekonomistów i socyologów mamy tak wielu, że co krok niemal trafiasz na społecznika, ale barłóg pseudonaukowy, obficie przez tych rycerzy „nowych idej" produkowany, przynosi piśmiennictwu i społeczeństwu naszemu raczéj szkodę, aniżeli pożytek. I nie może być inaczéj wobec tego, że panowie ci nie mają najczęściéj najelementarniejszego pojęcia o téj nauce, w imieniu któréj hałaśliwie i buńczucznie szermują, ani o tych kwestyach, które jedném cięciem śmiałego frazesu rozstrzygają.

Wobec takich stosunków, każda praca na gruntownych studyach oparta i pożyteczną, obywatelską myślą natchniona, na tém większe zasługuje uznanie, im rzadszém jest zjawiskiem, a na recenzentów wkłada obowiązek gorącego i dokładnego jéj zarekomendowania ogółowi. Obowiązek ten pragniemy jak najszczerzéj, o ile nam siły i miejsce pozwolą, wypełnić względem książki p. J. Kirszrota-Prawnickiego, wymienionéj w nagłówku. Autor występuje przed forum czytającéj publiczności nie po raz pierwszy i cieszy się już oddawna dość powszechném uznaniem jako pracownik sumienny i pożyteczny. Ostatni jego utwór słuszność tego uznania w zupełności potwierdza. Rozpada się on na dwie nierówne czę-

ści, z których pierwsza, mniejsza, poświęcona jest wykładowi ogólnych pojęć i zasad teoryi kredytu, jego znaczenia, podziału i organizacyi, oraz szczegółowszemu rozbiorowi kredytu rolnego, który podzielony został na trzy główne kategorye: 1) *kredyt ziemski*, zabezpieczony na kapitale stałym (ziemi i budowlach); 2) *kredyt rolniczy rzeczowy*, oparty na kapitale ruchomym, według nomenklatury Supińskiego—miejscowym (inwentarz roboczy żywy i martwy), oraz 3) *kredyt rolniczy osobisty*, opierający swe bezpieczeństwo podobnie jak kredyt kupiecki na ogólnym majątku dłużnika. Część druga dzieła, znacznie obszerniejsza od pierwszéj, zajmuje się przedstawieniem i krytyką organizacyi naszego Towarzystwa kredytowego ziemskiego z uwzględnieniem porównawczém innych tego rodzaju instytucyi zagranicznych i rosyjskich.

Ogólna część teoretyczna ma na celu przygotowanie nieobeznanych z rzeczą czytelników do zrozumienia części drugiéj. Stosownie też do tego założenia autor stara się tu być o ile możności jasnym i dostępnym, trzyma się dróg utartych i poglądów powszechnie przyjętych, unikając kwestyi spornych i poprzestając na daniu najniezbędniejszych tylko elementarnych pojęć o tych rzeczach, które nie mają bezpośredniego ścisłego związku z przedmiotem głównym dzieła. Z tego powodu nie będziemy się wdawali z p. K. Prawnickim w teoretyczne spory, chociażbyśmy się na niektóre jego poglądy w zupełności nie pisali. Owszem zaznaczamy chętnie, że wogóle starania jego uwieńczone zostały pożądanym skutkiem, dzięki czemu każdy przeciętnie wykształcony człowiek może jego książkę przeczytać ze zrozumieniem i niewątpliwą korzyścią. Uważamy jednak za potrzebne zwrócić uwagę na jednę usterkę w nietrafnym wyborze przykładu i jednę kwestyą niewyjaśnioną, która musi uderzyć każdego myślącego czytelnika. Autor zbija „rozpowszechnione mniemanie, jakoby kredyt tworzył kapitały i jakoby z powiększeniem się środków kredytowych powiększała się jednocześnie masa kapitałów.“ Na dowód błędności tego mniemania przytacza przykład z czasów wielkiéj rewolucyi francuskiéj. Zgromadzenie ustawodawcze, mianowicie dla przyjścia w pomoc zrujnowanemu skarbowi, postanowiło zabrać i sprzedać na rzecz państwa dobra duchowne. „Sprzedaż jednak tych dóbr odbywała się nader leniwo, już to z powodu braku kapitałów, już też z obawy, aby przewidywana kontr-rewolucya nie uchyliła powyższego postanowienia i nie zwróciła duchowieństwu skonfiskowanych majątków.“ Dla szybszego przeto zebrania potrzebnych funduszów zadekretowano natychmiastową emisyą papierów, zwanych asygnatami i reprezentujących wartość dóbr poduchownych. Papiery te miały być

przyjmowane za gotówkę przy nabywaniu owych dóbr. „Ponieważ jednak mało było chętnych do zakupywania dóbr poduchownych, przeto i asygnaty nie miały powodzenia“ i kurs ich spadł do tego stopnia, że za parę butów płacono 20,000 liwrów w asygnatach. Przykład ten musi nasunąć czytelnikowi wniosek, iż gdyby się nie obawiano kontr-rewolucyi i dobra poduchowne znajdowały chętnych nabywców, a asygnaty skutkiem tego osiągnęły kurs dobry, to „masa kapitałów w społeczeństwie“ zostałaby powiększona, czyli przykład przywiedziony przez autora obaliłby jego twierdzenie. Nie wyjaśnił nam też p. K. P., jak godzi swoje zapatrywanie na bezsilność kredytu w tworzeniu kapitałów z tym faktem, że banki biletowe, wypuszczając banknoty, potrzebują trzymać w kasie na ich pokrycie w gotowiźnie metalicznéj tylko część ich sumy, znajdującéj się w obiegu. Boć dowiedziawszy się naprzykład, że Niemiecki Bank Państwa, mając w kasie 100 milionów marek w złocie, może wypuścić 300 milionów marek w banknotach, obiegających *al pari*, musi czytelnik dojść do przekonania, że bank ten powiększa tym sposobem masę kapitałów w społeczeństwie o 200 mil. marek?

Z ogólnéj części teoretycznéj winniśmy tu jeszcze podnieść słuszne wystąpienie autora przeciwko cieszącemu się u nas szerokim obiegiem, a błędnemu na wskróś mniemaniu, powtórzonemu nawet w konkursowéj rozprawie p. Gustawa Plewaki na temat: *Jak prowadzić gospodarstwa*, że „gdzie nie ma kredytu, opartego na podstawie pożytecznéj i umiarkowanéj, tam niema potrzeby dbać o jego zachowanie przez regularność w wypłatach, bo czy tak, czy owak lichwy uniknąć nie można.“ Twierdzenie to należałoby właściwie odwrócić i powiedzieć, że gdzie się nie dba o zdobycie zaufania wierzycieli przez regularność w wypłatach, tam nie może być kredytu, na warunkach dogodnych i umiarkowanych, tam musi panować lichwa. Słusznie też autor mówi: „Nieregularność wypłat ze strony dłużnika, która wedle powyższéj teoryi jest dozwolona jako *skutek* złego kredytu, stanie się *przyczyną* jego utrwalenia i uwiecznienia; lichwy nie usuwa się przez zatracenie jednego z najważniejszych warunków zdolności kredytowéj, jakim jest uczciwość, ale się ją przez to potęguje.“ Smutna rzecz, że takich oklepanych prawd ekonomicznych bronić dziś jeszcze u nas potrzeba!

Szczegółowiéj opracowany dział kredytu rolnego mieści wiele cennych dla ziemian naszych wskazówek, o jakie reformy w prawodawstwie i procedurze sądowéj starać by się winni dla wzmocnienia swojéj zdolności kredytowéj. Przedewszystkiém więc zwraca tu autor uwagę na szkody, jakie wyrządzają rolnikom artykuły 520, 521 i 524 kodeksu Napoleona. Mocą tych artykułów, wszystkie

prawie ruchomości gospodarstwa wiejskiego zostały sztucznie przykute do gruntu, przez co uniemożliwiony został prawie zupełnie kredyt rolniczy, oparty, jak już wyżéj powiedzieliśmy, na zastawie ruchomym. Gdyby przynajmniéj wzamian za to wzmocniony został kredyt ziemski, gdyby inwentarze, zbiory i t. p., nie mogąc być oddane w zastaw ruchomy, stały się przedmiotem hipoteki, wzmiankowana szkoda zostałaby wynagrodzona. Tak jednakże nie jest, bo prawo ludzkie nie może zmienić natury rzeczy. Cokolwiekbądź-by opiewały postanowienia kodeksu, do księgi hipotecznéj, będącéj kontrolą praw nieruchomych, nie można wnieść zboża, które jutro wywiezione będzie z granic nieruchomości, a tém mniéj konia, którego, jak mówi p. K., nawet wyprowadzać nie potrzeba, bo sam zbiedz może. Skutkiem takiego stanu rzeczy, cała wartość ruchomego majątku gospodarczego, jako podstawa kredytu, dla rolnika ginie, gdyż nie może być przedmiotem ani zastawu, ani hipoteki, nie może służyć za bezpieczeństwo ani dla kredytu ziemskiego, ani rolniczego. Prawodawca naturalnie krzywdy téj rolnictwu wyrządzić nie chciał, przeciwnie, miał właśnie na celu jego dobro. Szło mu mianowicie o to, aby nie pozwolić na pozbawienie rolnika środków i narzędzi produkcyi, aby w razie poszukiwania sądowego nie mogły one być aresztowane, zajmowane i z gruntu uprowadzone jako ruchomości. Opieka ta wszakże w wielu wypadkach okazuje się szkodliwą, gdyż jakkolwiek wprawdzie broni ziemianina od utraty na rzecz wierzycieli posiadanych przez niego środków gospodarczych, to z drugiéj strony utrudnia mu, jeżeli nie uniemożliwia nabycie ich w razie braku gotówki. Do reszty wreszcie zabija u nas kredyt rolniczy prawo o zastawie, stanowiące, że „przywiléj na zastawie ruchomym służy tylko o tyle, o ile zastaw *był i pozostawał w ręku wierzyciela*, lub osoby trzeciéj, na którą strony się zgodziły.“ (Art. 2076 kod. cyw. franc.). Artykuł ten wywołała dbałość o interes wierzyciela, a mianowicie obawa, ażeby przedmiot zastawu, pozostając w ręku dłużnika, nie został powtórnie zastawiony, sprzedany, lub w jakikolwiek inny sposób usunięty. Tym sposobem wszakże pożyczki na zastaw zostały rolnikom niejako wzbronione, gdyż ziemianin dla uzyskania takiéj pożyczki musiałby się pozbawić środków lub narzędzi produkcyi, bez których w gospodarstwie obejść się nie może. W celu usunięcia téj zawady należałoby dozwolić na pozostawianie zastawu w rękach dłużnika *(gage à domicile)*, dla zapobieżenia zaś wzmiankowanym wyżéj nadużyciom z jego strony naznaczyć za nie surowe kary kryminalne i ustanowić dozór nad zastawionemi przedmiotami! Najskuteczniejszym jednakże środkiem zabezpieczenia wierzyciela byłoby, zdaniem autora,

urządzenie kontrol na wzór ksiąg hipotecznych, do których-by zapisywano wszelkie przywileje, uzyskiwane na ruchomościach. „Takie kontrole, umieszczone, czy to w dzisiejszych archiwach hipotecznych, czy też w sądach pokoju, lub urzędach gminnych, uczyniłyby zastawy jawnemi dla osób trzecich, wchodzących w stosunki z zastawnikiem.“

Dla wzmocnienia i rozszerzenia osobistego, a zwłaszcza wekslowego kredytu ziemian radzi autor zawiązywanie *spółek kredytowych rolniczych*, mających na celu wzajemne poręczanie za siebie stowarzyszonych i solidarną ich odpowiedzialność w granicach sumy dla każdego z członków przez spółkę z góry oznaczonéj. Jako wzór do organizacyi podobnych kółek kredytowych poleca p. K. istniejącą od r. 1879 spółkę obywateli powiatu Janowskiego. Zadaniem jéj jest pośredniczenie pomiędzy stowarzyszonymi właścicielami ziemskimi i dzierżawcami, a Warszawskiém Towarzystwem Wzajemnego Kredytu, które udziela im pożyczek do oznaczonéj wysokości za solidarném poręczeniem spółki. Z postępem czasu przez połączenie takich kółek mogłaby się wytworzyć niezależna instytucya centralna, która, zamiast pośredniczenia tylko pomiędzy wierzycielami i dłużnikami, zaopatrzyłaby się, czy to za pomocą akcyi, czy na zasadzie wzajemności, we własny kapitał na potrzeby rolnictwa.

Powiedzieliśmy już, że większą część swéj pracy poświęcił autor Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu. W obrazie téj instytucyi wszakże zwraca p. Kirszrot głównie uwagę na przedstawienie i rozbiór zasad, jakiemi się ona kieruje, stawiając na dalszym planie, lub pomijając nawet zupełnie środki ich wykonania. Jest to ważny brak dzieła. Nie można jednakże robić z tego zarzutu autorowi, gdyż nie będąc członkiem T-stwa, nie mógł się on dostatecznie oznajomić z jego machanizmem, by go dokładnie przedstawić i krytycznie ocenić. W takich razach człowiek sumienny woli zawsze rzeczy nie dotykać, aniżeli ją spaczyć. Dobrze więc zrobił autor, że postąpił w myśl téj zasady, jakkolwiek pomimo to brak nie przestaje być brakiem, i dlatego byłoby rzeczą bardzo pożądaną i pożyteczną, zwłaszcza wobec głośnéj obecnie sprawy dewastacyi dóbr na sprzedaż przymusową wystawianych i zarzutów czynionych z tego powodu bezradności władz Towarzystwa, ażeby ktoś bliżéj z jego działalnością oznajomiony rozpatrzył szczegółowo pominiętą przez p. Kirszrota jéj stronę w osobnéj pracy.

Rzecz swoję o Towarzystwie podzielił autor na 12 rozdziałów. W pierwszym z nich kreśli dzieje powstania i rozwoju instytucyi; w drugim przedstawia zasady, określające prawo uczestniczenia

w niéj, i faktyczny udział własności większéj, średniéj i drobnéj, oraz dóbr narodowych, korporacyi i spółek; w trzecim zajmuje się wysokością przyznawanych pożyczek, sposobami jéj ustanawiania i środkami zabezpieczenia należności T-stwa. Rozdział czwarty traktuje o listach zastawnych, o ich kursie, o walucie, w jakiéj są płatne, o projekcie ich metalizacyi i środkach zabezpieczenia właścicieli listów od wypadkowéj ich utraty. Rozdziały V, VI i VII poświęcone są sprawie umarzania pożyczek, wycofywania z obiegu listów zastawnych i odpowiedzialności stowarzyszonych i Towarzystwa. Rozdział VIII opowiada o pomocy rządu i kredycie Banku Polskiego, udzielonym T-stwu w chwilach dla niego krytycznych. Daléj mówi autor o oszczędnościach i funduszu rozerwowym T-stwa o jego administracyi i przywilejach, wreszcie w rozdziale ostatnim podaje wiadomości statystyczne o operacyach T-stwa, o wartości i dochodach zastawionych dóbr itp. Jak widzimy z tego krótkiego spisu, treść dzieła p. K.-P. jest bardzo bogata i pouczająca, zwłaszcza, że wszędzie przetyka ją autor swojemi uwagami i radami, zaczerpniętemi z doświadczenia innych tego rodzaju instytucyi zachodnio-europejskich i rosyjskich. Nie możemy tutaj podnieść wszystkich tych spostrzeżeń autora, które na zaznaczenie zasługują, gdyż brak nam na to miejsca. Ograniczymy się więc tylko do ważniejszych i najbardziéj do przekonania nam trafiających, lub przeciwnie—spornych.

Do tych ostatnich zaliczamy obronę zasady solidarnéj odpowiedzialności właścicieli oddzielnych części dóbr rozparcelowanych za spłatę ciążącego na tych dobrach długu Towarzystwa kredytowego. Władze T-stwa odrzucają tę zasadę z uwagi na to, że w razie niewypłacalności jednego z takich solidarnych nabywców cząstkowych, potrzeba egzekwować wszystkich jego wspólników, którzy w niczém nie zawinili. Że obawa takich wypadków jest usprawiedliwiona, dowodzi praktyka rosyjskiego Banku włościańskiego, o czém sumienny autor sam wzmiankuje. A wszakże wśród ludu rosyjskiego dzięki „obszczynie“ i „artelom“ poczucie solidarności daleko głębsze zapuściło korzenie, aniżeli u nas, gdzie stosunki gospodarcze rozwinęły w ludzie w wysokim stopniu ducha indywidualizmu. Czyby więc nie lepiéj było, zamiast dokonywać prób zawodnych i rujnujących niewinnie, w razie niepomyślnym, ludzi pracowitych i oszczędnych, zmienić przepisy ustawy T-stwa tak, ażeby rozdział jego należności, ciążącéj na dobrach parcelowanych, mógł być dokonywany przed ich sprzedażą? Podzielamy natomiast w zupełności ujemne zdanie autora o przepisach, zamieszczonych w projektach nowéj ustawy z r. 1882 i 1885, a stanowiących, że dobra,

które na mocy zasad taksacyjnych nie będą mogły otrzymać pożyczki w ilości przynajmniéj 5oo rubli, do korzystania z kredytu Towarzystwa dopuszczone nie będą. Postanowienie to pozbawiłoby taniego kredytu wszystkie posiadłości ziemskie, mające mniéj niż 1000 rs. wartości, czyli, według cen taryfowych, zamieszczonych w przepisach taksacyjnych, obejmujące mniéj niż 15 do 2o morgów gruntu. Byłby to nieuzasadniony niczém, a szkodliwy dla ruchu parcelacyjnego i drobnéj własności wogóle krok wstecz od przepisów obowiązujących obecnie, które dopuszczają do uczestnictwa w towarzystwie wszystkie dobra, byleby na nie mogła być udzielona pożyczka w sumie rs. 100, tj. w kwocie najmniejszéj, na jaką list zastawny wystawiony być może.

W sprawie szacowania dóbr na podstawie mnożnika z podatku gruntowego, lub szczegółowéj taksy, zajmuje autor stanowisko pośrednie i jakkolwiek systematowi drugiemu przyznaje teoretycznie wyższość, nad każdym innym, to jednakże ze względów praktycznych, a mianowicie dla uniknienia znacznych kosztów, jakie taka dokładna ocena wartości majątku za sobą pociąga, robi pewne ustępstwo na rzecz mnożnika. Ponieważ przeciwko szacunkowi podatkowemu przemawia z jednéj obawa, ażeby właściciel przez umyślne powiększenie podatku nie uzyskał pożyczki za wysokiéj w stosunku do rzeczywistéj wartości swego majątku i swojéj zdolności kredytowéj, z drugiéj strony niedokładność oceny, wynikająca z różnicy zasad, jakiemi kieruje się rząd przy stanowieniu podatku i jakie przewodniczyć winny Towarzystwu przy udzielaniu kredytu, gdyż kiedy pierwszy uwzględnia tylko grunt, ziemię, drugie, udzielając pożyczkę, musi obok ziemi brać zarazem w rachubę jéj kulturę: stan inwentarza, budowle, położenie dóbr, komunikacye, sąsiedztwo miast itp.; więc w razach kiedy właściciel majątku pragnie dotrzeć do ostatecznych granic kredytu, jaki mu przysługiwać może, domaga się autor koniecznie szacowania na podstawie szczegółowéj taksy i przyjęcia jéj za jedyną normę przy ustanawianiu wysokości pożyczki, na którą już w takim razie regulator z mnożnika podatku, jako mniéj dokładny, żadnego wpływu wywierać nie powinien. Za to w wypadkach, kiedy właściciel dóbr poprzestaje na pożyczce stosunkowo nie wysokiéj, która w przybliżeniu może mu być przyznaną z wszelkiém dla instytucyi bezpieczeństwem, nie widzi p. K. żadnéj potrzeby narażania go na koszta sporządzania szczegółowéj taksy, jak tego żądają projekty nowéj ustawy Towarzystwa z r. 1882 i 1885, lecz idąc za wzorem Towarzystwa Szląskiego, zaleca w takich razach, zdaniem naszém słusznie, ograniczać się na szacunku podatkowym.

Mówiąc o zabezpieczeniu pożyczek, udzielanych przez T-stwo, zwraca autor uwagę na jedną z krętych ścieżek, przez którą niesumienni dłużnicy mogą usunąć część zastawu z pod rękojmi hypotecznéj. Ścieżkę tę otworzył art. 12 prawa o uwłaszczeniu z r. 1864, stanowiący, iż służebności włościańskie mogą być uchylone na mocy zobopólnéj ugody właściciela dóbr z włościanami. Umowy te ulegają zatwierdzeniu władz włościańskich, ale wyjęte są z pod kontroli zwierzchności hypotecznych. O ile umowy takie odbywają się uczciwie wierzyciele hypoteczni nie ponoszą żadnéj straty, gdyż o ile oddana włościanom wzamian za służebności część gruntu dworskiego zmniejsza wartość dóbr, o tyle za to podnosi ją zwolnienie pozostałéj przestrzeni od uciążliwych i krępujących gospodarstwo zobowiązań. Inaczéj jednakże mają się rzeczy w tych wypadkach, kiedy z wolności powyższéj korzystają ludzie złéj wiary dla odprzedania miejscowym włościanom części dóbr pod pozorem wymiany służebności, a rzeczywiście za tajemném otrzymaniem od nich szacunku sprzedażnego. Dla zapobieżenia tego rodzaju nadużyciom, umowy o zniesienie służebności powinnyby być rozpatrywane przez Towarzystwo kredytowe z prawem ich odrzucenia, lub zatwierdzenia. „Właściciel wierzytelności hypotecznéj, mówi autor, na sumę przeszło stu milionów rubli, jakim jest Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, ma bez zaprzeczenia prawo interweniowania w sprawach, całość jego zastawu obchodzących. Wierzyciel ten, wiedzący aż nadto dobrze, o ile korzystnie wpływa na stan rolnictwa, a tém samém na wartość zastawionych mu dóbr, usunięcie ciążących na nich służebności, daje dostateczną rękojmię, że nie będzie tamował umów, mających na celu istotną zamianę służebności, a kłaść będzie swoje *veto* tylko w wypadkach rzeczywistéj obrazy prawa i słuszności."

Nie mniéj słuszne i rozumne są uwagi autora o projekcie metalizacyi listów zastawnych, podniesionym przez pewne koło uczestników Towarzystwa przed kilkoma laty i mającym podobno do dziś dnia, pomimo tak fatalnego zawodu dla ich wiary w podniesienie się kursu rubli kredytowych, wytrwałych zwolenników. Ponieważ jednak i „Ateneum", przez usta d-ra Milewskiego (1), i autor recenzyi niniejszéj (w Gazecie Polskiéj) wypowiedzieli już zdanie swoje o téj kwestyi w tym samym duchu, co p. Kirszrot, przeto argumentów jego powtarzać tu nie będziemy.

Pomijając wiele innych drobniejszych kwestyi, podniesionych przez szanownego autora, przechodzimy do najważniejszego z jego

(1) Patrz „Ateneum" r. 1885, t. I. 169—181.

projektów, a mianowicie: zamiany obecnych listów zastawnych, których umorzenie musi się odbyć w określonym z góry terminie, na listy zastawne bezterminowe. Projekt ten ma na celu uchronienie uczestników Towarzystwa kredytowego od ponoszenia znacznych kosztów konwersyi listów zast. jednéj seryi na drugą, przy odnawianiu pożyczek. Ustawa bowiem T-stwa kred. ziems. dozwala jego uczestnikom, po spłaceniu $1/_{10}$ części pożyczki, żądać jéj odnowienia do wysokości sumy umorzonéj. Otóż nowacya taka nastręcza przy listach terminowych jednę ważną trudność. Jak to czytelnikom zapewne wiadomo, 5% listy zastawne Towarzystwa kred. ziems. winny być umorzone, według obecnéj ustawy, w ciągu lat 36½ od daty ich wystawienia. Dla zadość uczynienia temu wymaganiu dłużnik przez cały okres amortyzacyi opłaca co pół roku po 3 rs. za każde 100 rs. pobranéj pożyczki. Z tych 3 rs. w pierwszéj racie przypada na procent 2 rs. 50 kop., na umorzenie zaś kapitału 50 kop. W każdéj jednak następnéj racie kwota idąca na opłacenie procentu zmniejsza się, dzięki zmniejszaniu się dłużnego kapitału przez poprzednią ratę amortyzacyjną, kwota zaś przypadająca na umorzenie reszty długu skutkiem tego odpowiednio wzrasta. Kiedy więc dłużnik, który zaciągnął np. 100.000 rs. pożyczki, spłaciwszy po latach dziewięciu 10.500 rs., chce tę sumę pobrać napowrót, zjawia się przed nim alternatywa wyboru: albo pożyczkę nową uważać za dług oddzielny i spłacać go osobnemi ratami po 315 rs. półrocznie przez lat 36½, skutkiem czego do czasu zupełnego umorzenia pożyczki pierwotnéj, czyli przez lat 27½ będzie musiał płacić po 3.315 rs., na co mu środków może nie starczyć, albo też zlać pożyczkę nową z nieumorzoną resztą dawnéj (10.500 + 89.500 = 100.000) i wnosić na ich spłatę po 3000 rs. przez dalsze 73 półrocza. Występuje tu wszakże ta trudność, że jak powiedzieliśmy, kwoty przypadające na amortyzacyą kapitału w ratach pierwszych są mniejsze, aniżeli w dalszych, T-stwo więc otrzymywałoby po odnowieniu pożyczki na amortyzacyą długu mniej, aniżeliby wydawać musiało dla umorzenia reszty pożyczki pierwotnéj (89.500 rs.) w czasie oznaczonym, czyli w ciągu lat 27½. Dla wyjścia z téj trudności niema przy listach terminowych innéj drogi nad t. zw. *konwersyą* długu, dokonywaną w ten sposób, że Towarzystwo wykupuje najprzód na koszt dłużnika pozostałą od umorzenia sumę (w rozpatrywanym przez nas wypadku—89.500 rs.) listów zastawnych téj seryi, w któréj była udzielona pierwotna pożyczka, a następnie puszcza w obieg takąż samę sumę listów seryi nowéj, w któréj wydaje dłużnikowi pożyczkę odnowioną. Ponieważ zaś listy zastawne ostatniéj seryi, stoją zawsze w kursie niżéj o 1 do 2 i 3% od seryi dawniejszych, więc od-

nawiający pożyczkę ponosi na téj operacyi bardzo znaczną stratę już bowiem przy różnicy kursów tylko o 1% za konwersyą 89,500 rs. musi zapłacić 895 rs., czyli około 9% od nowéj pożyczki. Przy różnicy zaś kursów o 3% traci tym sposobem aż 27% pożyczki odnowionéj!

Strat tych mogliby dłużnicy uniknąć, gdyby Towarzystwo, jak to czyni wiele tego rodzaju instytucyi zagranicznych, wydawało listy bezterminowe, to jest gdyby się nie zobowiązywało do wykupienia swych obligacyi w terminie ściśle oznaczonym, lecz jedynie do wykupywania ich w miarę i w stosunku wpływu kwot na amortyzacyą, przypadających z rat, opłacanych przez dłużników. Przy takiém urządzeniu dłużnik, odnawiający spłaconą część pożyczki, nie potrzebowałby konwertować nieumorzonéj reszty pierwotnego długu, gdyż Towarzystwo miałoby prawo przedłużyć odpowiednio termin spłaty listów, w których wydało mu owę pierwotną pożyczkę. Chodzi tylko o to, czy listy bezterminowe cieszyłyby się równie dobrym kursem jak obecne? Na pytanie to daje p. Kirszrot odpowiedź stanowczo twierdzącą, a argumenty jego trafiają nam w zupełności do przekonania. „List zastawny—mówi on—nie jest papierem spekulacyjnym, lecz lokacyą dla kapitałów, szukających bezpieczeństwa przy umiarkowanym procencie. Gdzie pożyczka publiczna połączona jest ze znaczną wygraną, tam widoki losowania odgrywają ważną rolę i wpływają znacznie na kurs; gdzie zaś losowanie papieru ma jedynie na celu wypłatę kapitału *al pari*, tam widoki losowania na kurs wpływu nie wywierają. Co najwyżéj wpływ ten czuć się daje przy końcu okresu amortyzacyjnego, kiedy w obiegu znajduje się już niewielka ilość listów i jest znaczna szansa wylosowania; na początku zaś okresu i w jego biegu nadzieja zyskania w ciągu kilkudziesięciu lat kilku procentów nie wpływa bynajmniéj na chęć kupna, a właśnie chwila rozpoczęcia się okresu, kiedy listy realizowane są przez stowarzyszonych, jest pod względem kursu najważniejsza tak dla Towarzystwa, jak i jego uczestników. Gdyby kupujący list zastawny nie miał innego widoku zrealizowania go nad losowanie, gdyby zmuszony był czekać przez lat czterdzieści na szczęśliwy traf wyjścia jego numeru z koła, toby nikt listu zastawnego do ręki nie brał; powodem, dla którego list zastawny jest pokupny, nie jest bliższy lub dalszy termin jego amortyzacyi, ale obok bezpieczeństwa lokacyi, możność zrealizowania go każdéj chwili na giełdzie, codzienne jego notowanie na cedule giełdowéj.“

Winniśmy zaznaczyć, że Towarzystwo nasze ma widocznie zamiar przejść do listów bezterminowych, gdyż w projekcie nowéj ustawy z r. 1885 zamieściło artykuł, otwierający mu możność wstą-

pienia na tę drogę. Artykuł ten opiewa: „Listy zastawne wypuszczane będą seryami z określonym terminem trwania, *albo bez określenia tego terminu.*“

W sprawie odpowiedzialności Towarzystwa i jego uczestników rzuca autor również wiele cennych uwag i wskazówek. Według ustawy obecnéj, za opłaty przypadające T-stwu z danych dóbr odpowiadają same tylko dobra. Na całym majątku dłużnika wszelkiego rodzaju wtedy tylko T-stwo poszukiwać może swojéj należności, jeżeli zastawiony majątek zrujnowany został skutkiem *złéj woli* dłużnika, w każdym zaś innym wypadku, choćby nawet dłużnik zawinił w deprecyacyi swych dóbr, przez niedbalstwo, lekkomyślność, marnotrawstwo i t. p. straty, wynikłe ztąd dla T-stwa przy subhastacyi dóbr, pokryć musi samo T-stwo. Otóż p. Kirszrot słusznie gani ten porządek rzeczy, domagając się odpowiedzialności dłużnika z całego jego majątku osobistego w każdym takim wypadku, gdzie powodem zrujnowania dóbr nie są wady w nich samych tkwiące, lub siła wyższa, ale wina dłużnika bez względu na to, czy w niéj zła wola udział brała, czy nie. „Dlaczego dłużnik — zapytuje autor — który przez swoje błędy zmarnował majątek do tego stopnia, że Towarzystwo pożyczki swojéj nie odzyskało, gdy następnie przez spadek lub los zbogaci się, nie ma Towarzystwu zwrócić tego, co inni stowarzyszeni za niego zapłacić musieli?“

Odpowiedzialność Towarzystwa naszego, wziętego jako całość, wobec wierzycieli opiera się na jego funduszu rezerwowym, daléj na wszelkiéj ruchoméj i nieruchoméj własności T-stwa i wreszcie na ogólnéj odpowiedzialności wszystkich stowarzyszonych dóbr. *Ogólna* ta *odpowiedzialność* wszakże nie jest, według p. K., dość dokładnie ustawą określona, a co ważniejsza — o ile jest iluzoryjna odnośnie do dóbr wysoce obdłużonych, o tyle znów niebezpieczna i groźna dla uczestników zamożniejszych. Gdyby bowiem T-stwo stało się niewypłacalném, to niedobór musiałby zostać pokryty przez stowarzyszonych. Ponieważ zaś ci z nich, których dobra byłyby bardzo wysoko obdłużone, nie mogliby uczynić zadość przyjętéj na siebie odpowiedzialności, przeto stosownie do artykułu 62 prawa z r. 1869, który stanowi, że zaciągający pożyczkę na dobra poddaje je odpowiedzialności ogólnéj za *wszystkie* zobowiązania Towarzystwa, stowarzyszeni wypłacalni musieliby pokryć cały niedobór, co wielu z nich doprowadziłoby do ruiny zupełnéj, a wszystkich naraziło na podjęcie na siebie bez żadnéj winy nadmiernych i niesprawiedliwych ciężarów. Z drugiéj znów strony, pomimo téj tak groźnéj dla dłużników wypłacalnych i pięknie brzmiącéj „odpowiedzialności ogólnéj“, dzięki artykułowi 67 obowiązującéj ustawy i prawa

wierzycieli nie są dostatecznie zabezpieczone. Artykuł ten bowiem opiewa, że odpowiedzialność wszystkich dóbr rozkłada się *pro rata parte* nie w stosunku całej pierwotnie zaciągniętéj pożyczki, lecz tylko w stosunku téj jéj części, jaka okaże się nieumorzoną w dacie pociągnięcia dóbr do odpowiedzialności. Tym sposobem przezorniejsi i zamożniejsi uczestnicy T-stwa w razie złego stanu jego interesów mogliby spłacić przed terminem swoje pożyczki i od odpowiedzialności ogólnéj się uchylić, co o ile jeszcze bardziéj powiększyłoby ciężar téj odpowiedzialności dla pozostałych uczestników wypłacalnych, o tyle by znów zmniejszyło bezpieczeństwo praw wierzycieli. Dla usunięcia tych złych stron obecnego porządku ogólnéj odpowiedzialności dłużników, radzi ją autor uregulować w ten sposób, jak to uczyniło Towarzystwo kredytowe Nowo-Brandeburskie. Stanowi ono mianowicie, że w wypadkach potrzeby realizowania ogólnéj odpowiedzialności, Towarzystwo ma prawo przypadające z tego tytułu od stowarzyszonych należności ściągać z funduszu amortyzacyjnego i umarzanie pożyczek, jak również losowanie listów zastawnych wstrzymać tak długo, dopóki należności powyższe zupełnie pokryte nie zostaną. Ażeby jednak odpowiedzialność ogólna mogła być w taki sposób realizowana, potrzeba na to dwóch warunków: 1) Wyjednania w drodze prawodawczéj postanowienia, że do wysokości wpisu, na rzecz Towarzystwa do księgi hipotecznéj wniesionego, służy T-stwu prawo i przywiléj z tytułu wszelkich należności, z jakiegokolwiek źródła przypadać mu mogących, a to aż do czasu zupełnego umorzenia pożyczki i bez względu na to, jaka jéj część umorzona już została. 2) Wprowadzenia na miejsce dzisiejszych listów zastawnych, listów zastawnych bezterminowych, gdyż inaczéj nie mogłoby T-stwo odraczać terminu ich wylosowania, a więc i realizować odpowiedzialności ogólnéj z funduszu amortyzacyjnego. Listy więc bezterminowe oddałyby jeszcze jednę przysługę stowarzyszonym oprócz uchronienia ich od potrzeby konwersyi przy odnawianiu pożyczek.

Za najlepszy wszakże i najdogodniejszy dla Towarzystwa sposób zabezpieczenia praw wierzycieli uważa p. Kirszrot powiększenie funduszu rezerwowego do $^1/_{10}$ części sumy wszystkich pożyczek i zniesienie natomiast odpowiedzialności ogólnéj. Niestety w tym względzie nie możemy się zgodzić z szanownym autorem, gdyż obawiamy się, że usunięcie téj odpowiedzialności mogłoby zachęcić T-stwo do zbytniego ryzyka w udzielaniu kredytu i uczynić je mniéj ostrożném przy określaniu wysokości przyznawanych pożyczek. Odpowiedzialność ogólna uregulowana w ten sposób, jak to proponuje autor, nie będzie zbyt groźna dla stowarzyszonych, bo rozdzieli się

rzeczywiście na wszystkich *pro rata parte*, a będzie dla Towarzystwa doskonałym hamulcem, jakim była dotąd przeciwko nadmiernéj śmiałości w operacyach.

Wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli o treści dzieła p. Kirszrota, przekonało zapewne czytelników, że wyróżniając je z pośród zwykłych płodów naszéj literatury ekonomicznéj, nie mieliśmy na celu czczych pochwał, lecz oddanie zasłużonego uznania prawdziwie sumiennéj pracy i gruntownéj wiedzy szanownego autora. Żałujemy bardzo, że nie możemy się równie pochlebnie wyrazić o formie stylistycznéj, w jaką p. K. swe myśli przyoblekł. Pod względem jasności wprawdzie styl jego nie wiele pozostawia do życzenia, ale za to poprawność, dźwięczność i czystość wysłowienia chroma zbyt często. Niewłaściwego użycia przypadków moglibyśmy przytoczyć kilkadziesiąt, a niepotrzebnego powtarzania jednego i tego samego wyrazu lub zwrotu w jednym okresie — bodaj kilkaset przykładów. Nadmiernie też lubuje się autor w używaniu wyrazów obcych, nie cofając się nawet przed takimi, jak *subrogować się* (str. 190). Gdyby książka p. K. doczekała się drugiego wydania, czego się spodziewać należy, to pożądaném by było, ażeby autor postarał się o usunięcie tych jéj usterek. Nie powinny one wszakże zrażać czytelników, gdyż pouczająca treść dzieła sowicie wzmiankowane wady jego formy wynagradza.

W. Wścieklica.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Encyklopedya Rolnicza i Rolniczo-Przemysłowa.—A. Strzeleckiego i H. Kotłubaja.—Zeszyt I. Lit. A. B.—Zeszyt II. Lit. C. D.—Warszawa, 1887.

Z pewną dumą nazywamy się „krajem rolniczym“, a prócz tego poszanowania, słabnącego wprawdzie, jakie przywiązujemy do tradycyi rolnictwa i jego kierowników, tkwi w nas wrodzone zamiłowanie zawodu, słusznie uważanego za podstawową pracę ludzką.

Czy jednak w parze z tém instynktowém zamiłowaniem przedsiębiorstwa, idzie jego znajomość naukowa, będąca głównym warunkiem powodzenia—to inne pytanie. Nie tu miejsce zastanawiać się nad przyczynami braku wiedzy rolniczéj u nas, nad niewątpliwie stwierdzonym faktem, że kraj, z rolnictwa czerpiący główne środki swego bytu, powierza kierunek jego szeregom dyletantów, lub ludzi skąd inąd wykształconych, ale na miano *agronomów* zupełnie nie zasługujących. Przyczyny téj ujemności tkwią bardzo głęboko; związane z wieloma brakami naszych systemów wychowawczych i połączone z wrodzoną lekkomyślnością, z jaką rzucamy się z motyką na słońce, wymagają odrębnéj i gruntownéj oceny, któréj dać tu nie możemy, mówiąc o wydawnictwie dzieła, traktującego encyklopedyczne wiadomości z dziedziny rolnictwa.

Nie ulega jednak zaprzeczeniu, że każde wydawnictwo popularyzujące wiedzę tak słabo u nas rozwiniętą, zasługuje na szczególniejsze poparcie i ścisłą ocenę.

Po pierwszych latach wielkiego przewrotu ekonomicznego i społecznego, jaki kraj nasz przechodził, rolnictwo znalazło się wobec zmienionych zupełnie stosunków, a zwłaszcza poziom ówczesnego wykształcenia nie odpowiadał zupełnie wymaganiom chwili.

Chcąc wiedzę rolniczą podnieść, należało wszystkiemi drogami ułatwić jéj krzewienie i rozpowszechniać wiadomości, których brak kardynalną był wadą rolników. Wtedy to grono ludzi dobréj woli, zbiorowemi siłami, wydało pierwszą u nas Encyklopedyą Rolnictwa. Dzieło to, przyjęte przez ogół nader życzliwie, wkrótce wyczerpaném zostało, a pomimo wielu niedokładności w układzie, stanowiło do téj pory jedyne źródło, mniéj więcéj całkowicie obejmujące wszystkie nauki z dziedziny rolnictwa i przemysłów związek z niém mających.

Encyklopedya ta jednak tak ze względu znacznego kosztu, jakiego nabycie jéj wymaga, jak i pewnych poglądów—które w epoce jéj wyjścia były zgodne z ówczesnemi pojęciami nauki, lecz dziś wobec ciągłego postępu wiedzy potrzebują wielu sprostowań, nie odpowiada już zadaniom chwili.

PP. Kotłubaj i Strzelecki, jak to w prospekcie zapowiedzieli, chcąc uzupełnić braki w tym kierunku naszéj literatury rolniczéj, zamierzyli wydać nową Encyklopedyą Rolniczą, któréj pierwsze dwa zeszyty mamy przed sobą. Encyklopedya ta różni się od poprzedniéj, nietylko ceną, lecz zupełnie odmiennym układem. Jest to dzieło sposobem słownikowym ułożone, treściwe i popularne.

Już sam charakter wydawnictwa wskazuje krytyce, w jaki sposób ocenę jéj należy prowadzić. Podczas gdy od encyklopedyi przedmiotowéj wymagamy rozwinięcia wyczerpującego pojedynczych działów wiedzy rolniczéj, krytycznéj oceny systematów, określenia historycznego ich przebiegu, a po części i samodzielnego poglądu na kierunki i przyszłość rolnictwa,—słownikowa o wiele skromniejsze ma zadanie. Streścić ona winna ostatnie wyniki nauki, przedstawić je w sposób zrozumiały dla każdego i, nie zapuszczając się w głębokie dociekania lub hypotezy, stanowić podręcznik niezbędny tak dla agronoma, jak i dla średnio wykształconego rolnika. Pierwsza—o ważniejszych kwestyach pisać może obszerne nawet traktaty, druga w kilkudziesięciu niekiedy wierszach winna streścić poglądy, którym uczeni całe tomy poświęcali.

Czy Encyklopedya Rolnictwa pp. Kotłubaja i Strzeleckiego odpowiada powyższemu zadaniu—zobaczymy.

Pierwszy zeszyt, rozpoczyniając się od litery A (Abies), dochodzi do części litery C (Cegielnia).

Niektóre wyrazy tego zeszytu opracowane są doskonale.

Do takich między innemi zaliczamy: *Analizę chemiczną gruntów*, gdzie w sposób przystępny wykazano, że analiza taka nie jest w stanie oznaczyć sama przez się wypłodności ziemi i jedynie dać nam może charakteryzacyą gruntu. Wobec błędnych przekonań

niektórych rolników sądzących, że analiza ich gruntu, wykonana w laboratorium chemiczném, wskaże im ściśle stan zasobności przyswajalnych związków chemicznych, potrzebném było zaznaczenie, że analiza chemiczna nie jest wstanie oznaczyć ich rozpuszczalności i rozdzielenia w ziemi.

W ogóle, wszystkie wyrazy z dziedziny do chemii i fizyologii roślinnéj i zwierzęcéj opracowane są w sposób bardzo przystępny i praktyczny; jest to zasługą niemałą autorów, wiadomo bowiem, że rolnicy nasi wogóle o naukach przyrodniczych bardzo słabe mają pojęcia, pomimo olbrzymiego znaczenia ich w obecnym stanie rolnictwa.

Na szczególniejsze jednak wyróżnienie zasługuje obrobienie działu hodowli i weterynaryi. Znać że artykuły te kreśliła ręka kompetentna. Pod wyrazem *Bydło* drobiazgowo mamy wyliczone wszystkie rasy tych zwierząt, wraz z opisem ich przymiotów, oddawanych usług i wskazaniem, w jakich warunkach klimatu i kultury mogłyby niektóre z nich u nas być hodowane. W czasach, w których hodowla na pierwszy plan występuje, takie opracowanie jéj wyczerpujące, niemałą jest zasługą wydawnictwa.

Z dziedziny weterynaryi *Akuszeryjna pomoc* wyłożona jest w sposób tak przystępny i objaśniona tyloma drzeworytami, iż bardzo chyba pierwotny umysł nie zdoła odnośnych wskazówek zrozumiéć i zastosować.

Z innych wyrazów I-go zeszytu wyróżnić należy: *Absorbcya, Akcyjne gospodarstwo*, które choć jako rzecz zbyt idealna w naszych czasach zastosować się da, zawsze jednak jako postulat gospodarstw przyszłości na wzmiankę zasługiwało, *Amoniak, Antiseptyczne środki, Browar, Budowle, Burak.*

Przeglądając z prawdziwém zainteresowaniem pierwszy ten zeszyt, wobec całości bardzo dobréj, dostrzegliśmy jednak pewne usterki, których w dalszych zeszytach unikać by należało.

Tak np. rolnictwo zagraniczne bardzo pobieżnie jest traktowane. Anglia, nasz główny odbiorca a po części wzór racyonalności i postępu gospodarczego, opisana jest za zbyt pobieżnie. O Austro-Węgrach „Encyklopedya“ mówi nam w *jedenastu* wierszach, o Australii żadnéj wzmianki niema. Za zbyt interesuje nas stan gospodarstw zagranicznych, a głównie siła ich wytwórczości i przyszłość, byśmy nie mieli wymagać bardziéj gruntownego przedstawienia rolnictwa tych krajów, które albo są naszemi konkurentami w produkcyi, lub téż otwierają swe rynki dla owoców naszéj pracy.

Z innych usterek, zarzucamy „Encyklopedyi Rolnictwa“ traktowanie po łebkach tak ważnéj kwestyi jak *asymilacya roślin*, któ-

réj rozbiór skrócono chyba dla rzeczy o *bloku*, przyrządu bardzo rzadko w rolnictwie stosowanego, a pomimo to przedstawionego z gruntownością, jakiejby się techniczne pismo nie powstydziło. Pod wyrazem: *Bezpłodność gruntu* spotykamy takie zdanie: „przy systemie gospodarczym, przeważnie produkującym zboża i ziarno wyprzedającym na zewnątrz, z dodatkiem produktów zwierzęcych i samych zwierząt wybrakowanych, w zwykłych stosunkach, bez dokupna nawozów sztucznych obejść się nie można, a szczególniéj nawozów azotowych i fosforowyeh.“ Jest to zdanie zbyt bezwzględne, które dzisiejsza nauka znacznie modyfikuje.

Na ostatek, niepotrzebnie podano opis *Buraczarki* i wspomniano o „powszechném uznaniu“, bo narzędzie to u nas zupełnie nie jest używane, a gdyby wreszcie grunt obsiany burakami znajdował się w stanie takiego zeskorupiania—co w średniéj nawet kulturze rzadko się trafia—że aż siłą mechaniczną trzeba by go było wzruszać, zamiast kosztownéj „buraczarki“, łatwiéj, prędzéj i taniéj wypełni zadanie pierwszy lepszy kultywator.

Usterki, które powyżéj wykazaliśmy, nie ujmują wartości dzieła, tembardziéj, że i do najświetniéj opracowanych podręczników naukowych wkradają się zawsze pomyłki, których, zwłaszcza przy encyklopedycznym wykładzie, uniknąć nie sposób. Wreszcie pośpiech, z jakim pierwszy zeszyt „Encyklopedyi Rolnictwa“ ukazał się w obiegu księgarskim, tłómaczy pewne niedokładności, których w drugim zeszycie nie spostrzegamy.

Zeszyt ten obejmuje literę *C* i początek litery *D*. Z większych artykułów na wyróżnienie zasługują: *Cena, chleb, chmiel, choroby, chów, cięcie drzew owocowych, cukier i cukrownictwo, dąb, destylacya, dezinfekcya, dołowanie paszy, dom.*

Opracowania tych wyrazów nie dla tego tylko nazywamy wyróżniającém, że poświęcono im więcéj miejsca, lecz ze względu nadzwyczaj jasnego wykładu, jaki cechować zawsze winien popularne wydawnictwo encyklopedyczne. Tak np. definicye *ceny, wahanie się cen, ceny ziemi* i *zwierząt,* określone są w sposób dostępny dla każdego. U nas wogóle nauka ekonomii tak mało ma uczniów i tak słabo jest rozpowszechniona, że zasługę wyświadcza dzieło, które zasady téj tyle ważnéj wiedzy uprzystępnia. Nie zgodzilibyśmy się tylko na poglądy, które pod rubryką: *ceny wełny* wskazują na przebieg obrotów handlowych tym produktem. Autor, który w początku tłómaczy dla czego cena wełny nie może upaść niżéj kosztów jéj produkcyi, ku końcowi mówi o spadku cen wełny, wywołanym konkurencyą Ameryki i Australii. Przedewszystkiém należało porachowawszy się z istotą rzeczy przyznać, że w chwili, gdy wełny

sukiennicze coraz więcéj są poszukiwane, nie może dla nich—jako dla produktu kultury intensywniejszéj, być niebezpieczną taka np. wełna australska, należąca do kategoryi towaru pośledniego; następnie, rzut oka na obroty i ceny rynków wełnianych z lat ostatnich najwyraźniéj wskazuje, że produkt ten poszukiwany i doskonale płacony, dla wielu gospodarstw wielce zyskowném jest źródłem dochodu. Sam wreszcie autor przyznaje, że w okresie 40 letnim ceny wełny na rynkach niemieckich były prawie stałe, a odnośnie do naszych stosunków fakt ten jeszcze wybitniéj występuje, zwłaszcza od chwili, gdy dewaluacya naszéj monety tak wielki wpływ wywarła na ceny produktow rolnictwa.

Zwracamy uwagę hodowców na artykuł „Encyklopedyi" mówiący o *chowie zwierząt domowych.* Pomimo znacznego ożywienia, jakie w kierunku podniesienia krajowéj hodowli panuje obecnie, występuje jeszcze taki zamęt pojęć w téj dziedzinie wiedzy rolniczéj, iż wiele niepowodzeń i rozczarowań jemu głównie przypisać należy. Między chowem oryginalnym, a chowem pełnéj krwi np. większość nie widzi żadnéj różnicy, podczas gdy pierwszy jest łączeniem zwierząt jednéj rasy sprowadzonych z kraju, w którym ją wyhodowano, zaś chowem pełnéj krwi nazywa się łączenie zwierząt jednéj rasy i jednego kierunku, wymagającym wielkiéj umiejętności i inteligencyi hodowcy. Chów oryginalny można podtrzymywać ciągłem sprowadzaniem reproduktorów, co będzie zasługą nie hodowcy, lecz jego kieszeni, przy chowie zaś pełnéj krwi najlepiéj wypchana kieszeń niczém będzie bez dokładnéj oceny własności materyału rozpłodowego, to jest bez umiejętności w doborze rozpłodników, w utrzymaniu przymiotów rodziców a usunięciu możliwych ich błędów. Te subtelne nieraz granice są jednak rzeczą pierwszorzędnego znaczenia i dla tego z uznaniem wspominamy o wykładzie, który ważny ten przedmiot doskonale wyjaśnia,

Równie treściwie a dokładnie zeszyt II-gi Encyklopedyi mówi o *cukrze* i *cukrowarstwie*, choć przedmiot to bezpośrednio nie obchodzący ogółu rolników. Za to *dezinfekcya*, któréj stosowanie w rolnictwie należy do rzadkich objawów rozsądku i przezorności gospodarzy, opracowana wzorowo, szczegółowo wskazuje rolnikom jak postępować należy w czasie trwania chorób zaraźliwych i po ustaniu takowych.

Budownictwo wiejskie pod wyrazem *dom* daje szczegółowe plany i opis domów mieszkalnych dla większych właścicieli, włościan i robotników. Patrząc na rysunki tych tanich, estetycznych i praktycznych budowli, żałować trzeba, że stosowanie ich w praktyce tak jeszcze rzadko się zdarza, przez co wsi nasze nie mogą się

pozbyć cechy biednych, niezdrowych, częstokroć na pół-barbarzyńskich siedzib ludzkich. Między rozmaitemi planami budynków, zwracamy uwagę na plan czworaku dla czeladzi dworskiéj posiadający cztery odrębne wejścia i sienie. U nas, po większéj części nie zwraca się uwagi na istotę potrzeb robotnika, w czém najlepszém świadectwem jest mieszkanie jego brudne, ciemne i krępujące swobodę indywidualną. Jedno wejście, jedna sień prowadzi do czterech izb, a takie łączenie rodzin i tamowanie ich swobody i poczucia samodzielności, najfatalniejszy wpływ moralny wywiera.

W pomienionym zeszycie możemy tylko zarzucić autorom, że niekiedy starają się być za zbyt treściwymi i niektóre wyrazy ważniejsze zamykają zaledwie w kilku wierszach. Tak np. wyraz *chwast*, pobieżnie jest traktowany. Wiadomo jak wielkim nieprzyjacielem rolnika są chwasty i ile środków zwalczania ich podawać mu trzeba. To samo powiedziéć można, o wyrazach *czas kiełkowania roślin, czystość ziarna, dochód*, których określenie rozszerzyć było można bezpiecznie kosztem zbyt obszernego artykułu *cięcie drzew owocowych*. Artykuł o „dochodzie“ nie wyjaśnia dostatecznie czém jest renta gruntowa, nie wykazuje jéj znaczenia w ogólnym obrocie kapitałów w przedsiębiorstwo włożonych. Spodziewać się należy, że dalsze zeszyty „Encyklopedyi“ uzupełnią te braki i nauczą, co rolnik nazywać powinien dochodem swéj pracy i dochodem swego kapitału.

W końcu zaznaczyć winniśmy obfitość dobrych bardzo drzeworytów, na każdéj prawie stronnicy wydawnictwa podanych. Rzecz to kosztowna, a Encyklopedya tania, więc inaczéj jak dobrą wolą wydawców nie możemy tłómaczyć dostarczenia licznych drzeworytów, które znacznie ułatwiają wykład. Metoda poglądowa nietylko dla dzieci jest dobrą, skorzysta z niéj i starszy, bo go „obrazek“ zajmie, a nadewszystko, unaoczni przedmiot, którego poznanie jest mu potrzebném.

Wrażenie dodatnie, jakie odnosimy z przeczytania pierwszych dwóch zeszytów „Encyklopedyi Rolnictwa,“ każe się spodziewać, iż całość tego dzieła z równą starannością opracowana, wzbogaci naszą literaturę rolniczą podręcznikiem prawdziwie pożytecznym. Słownikowy układ robi ją wydawnictwem popularném, taniość dostępném i jeśli dalsze zeszyty odznaczać będzie ta sama jasność wykładu i gruntowność poglądów, „Encyklepedyą Rolnictwa“ pp. Kotłubaja i Strzeleckiego śmiało polecić będziemy mogli rolnikom.

C. Reklewski.

═ Zaczęła wychodzić nakładem Ferdynanda Schöningha (w Paderbornie i Monasterze) w miesięcznych poszytach *Historya walki kulturowéj* („*Geschichte des Culturkampfes*") przez ks. d-ra Majunke'go, byłego redaktora naczelnego „Germanii", głównego organu niemieckich katolików. Dotąd wyszły dzieła tego dwa poszyty (ma ich wyjść ogółem ośm, wszystkiego mniéj więcéj 32 arkusze druku). Autor jest szlązakiem-Niemcem, przez kilka peryodów legislatoryjnych był posłem do parlamentu i do izby pruskiéj, gdzie gorąco zawsze występował w obronie praw ludu górnoszląskiego i gorliwym był przyjacielem Koła polskiego. Z krzeseł poselskich ustąpił na żądanie biskupa wrocławskiego, który zasiadłszy na stolicy biskupiéj, wycofał księży dyecezyi swojéj, z wyjątkiem dwóch, z areny parlamentarnéj. Dotąd podaje autor w pracy swéj przedhistoryą właściwéj walki kulturnéj. Rozpocząwszy rzecz od nadania Prusom konstytucyi, wymienia i rozbiera powody, które kulturową walkę wywołały, podnosi ówczesne plany i zamiary rządu wobec kościoła katolickiego, rozwodzi się wogólności nad stosunkami kościelnemi przed rozpoczęciem walki, wprowadza na scenę Bismarka i dobiega (w drugim poszycie) czasu założenia nowego cesarstwa niemieckiego. Osobistość i przeszłość autora pozwalają się spodziewać, że wyczerpie on gruntownie i wszechstronnie przedmiot, do którego się zabrał, a to tém więcéj, że osobiście walczył w pierwszéj linii bojowników słowem w parlamentach i piórem w łamach organu katolików; zna więc tak pole walki, jak wszelką broń przeciwnika, zna dobrze pozycye, o które walczono, zna taktykę przeciwnéj strony, odgadł tajne i poznał głośne i jawne jéj zamiary. — Inną kwestyą jest to, czy — podczas gdy jeszcze tlą się zgliszcza na pobojowisku, gdy jeszcze z niejednéj rany sączy krew, nie jedna skarga, a raczéj dużo skarg uszu dolatuje, gdy jeszcze umysły bojowaniem poruszone—będzie mógł historyk z całą obiektywnością (a skreślenie każdéj historyi tego wymaga) przedstawić to, co się działo i jak się działo? — Co się tyczy formy początku historyi walki kulturnéj d-ra Majunke'go, to — jeżeli wolno z dwóch pierwszych poszytów (128 stron) wnioskować — mniéj snać chodzi autorowi o organiczne ujęcie nader obfitego materyału w systematyczną całość, jak raczéj o mnogość ważnych odnośnych momentów i o uwydatnienie ich jak najjaśniejsze. Tém się téż może da wytłómaczyć częste w toku opowiadania powoływanie się na rzeczy, zajścia i okoliczności już opowiedziane lub nastąpić jeszcze mające. Zarzucono téż już autorowi z przychylnéj strony, żeby się można z nim posprzeczać o większą lub mniejszą ważność niektórych poszczególnych zajść, które pod-

nosi. Wszakże—jeszcze raz mówimy—nie chcemy z dwóch poszytów stanowczo przesądzać o całości;—to przecież pewna, że w sumiennych rękach znajduje się historya walki kulturowéj i że z niemałym pożytkiem dla późniejszych dziejopisów z pod nich wyjdzie. *S. J.*

= **Dr. Wojciech Kętrzyński: Katalog rękopisów biblioteki zakładu narod. im. Ossolińskich.** *Tom II. Lwów, 1886.*—Katalogu tego, zakrojonego na wielką skalę, wyszedł obecnie zeszyt 4, który razem z poprzednim, wydanym przed trzema laty zeszytem 3, tworzy tom drugi zakładowego wydawnictwa. Zeszyt ten obejmuje rękopisy od 317 do 561 włącznie, z tych należą: 3 do XIV wieku, 12 do XV w., 15 do XVI w., 47 do XVII w., 111 do XVIII w., 56 do XIX w.—razem 244 rękopisów. Już z tego widać, że najobficiéj zaopatrzony tu wiek 18, i rzeczywiście znajdujemy tu ogromny materyał do dziejów obu Sasów, elekcyi Poniatowskiego, konfederacyi barskiéj, do dziejów trzech rozbiorów itd,; z 19 w. materyały historyczne odnoszą się prawie wyłącznie do wojen Napoleońskich i dziejów księstwa Warszawskiego, z dawniejszych nie zasługuje nic na szczególniejszą uwagę, nawet wiek 17 dosyć słabo zastąpiony. Wogóle zbiory rękopiśmienne zakładu Ossolińskich posiadają olbrzymi materyał w pierwszym rzędzie dla wieku XVIII, choć i dla poprzedniego wieku wcale nie jest on skąpy. Rękopisy te tworzą jednak rzadko organiczną całość, są one przeważnie t. z. *silva rerum, collectanea, miscellanea* itp.; każdy pojmie, jak wobec tego nadzwyczaj pożądaném musi być skatalogizowanie zawartości tych tomów, z których jeden obejmuje często kilka a nawet kilkanaście set najrozmaitszych kawałków, z różnych czasów i do różnych odnoszących się spraw. Katalogi takie, ułatwiające poszukiwanie i oryentowanie się zarówno na polu historyi jak literatury, wielką posiadają ważność i znaczenie i dlatego z radością powitano przed kilku laty rozpoczęcie powyższego katalogu, w którym sumienność i skrupulatność, dwie główne cnoty d-ra Kętrzyńskiego, posunięte są niemal do ideału. Ale właśnie one są przyczyną, że ściągają na katalog zarzut obciążania go niepotrzebnym balastem słów, które do zrozumienia treści zupełnie się nie przyczyniają, a dla korzystającego z katalogu nie tylko zbyteczne, ale nawet wprost są uciążliwe. Na cóż bowiem zda się umieszczać w katalogu dosłownie jaknajskrupulatniéj wszystkie sążniste nieraz napisy na rękopisach i łokciowe czasami, bo kilka i kilkanaście wierszy obejmujące, tytuły pojedyńczych artykułów, kiedy kilka najważniejszych słów wystarczyłoby dla podania treści. Te długie napisy, przeładowane nic nie mówiącemi słowami w wybujałym stylu makaroniczno-panegirycznéj epoki, na to są tylko chy-

ba, żeby miejsca wiele niepotrzebnie zajmować. Ale dr. Kętrzyński założył sobie z góry podawać każdy tytuł dosłownie i konsekwentnie się tego trzyma, i dlatego treść jednego rękopisu potrzebuje w katalogu tym zwykle kilkanaście stronic, a są i takie, na które wychodzi przeszło dwadzieścia, a nawet trzydzieści stron (np. 233). Następstwem tego jest, że oba tomy katalogu, które dotychczas wyszły, a z których każdy ma około 800 stronic, obejmują zaledwie 561 rękopisów. A ponieważ liczba wszystkich rękopisów biblioteki Ossolińskich, (nie licząc autografów ani dokumentów) wynosi obecnie 3115, więc całość katalogu będzie obejmowała *jedenaście* olbrzymich tomów i to oczywiście tylko w tym wypadku, jeżeli przyjmiemy, że liczba ta nie będzie już wzrastać. Czy to, mimo indeksów bardzo dokładnych, jak obecny, ułożony wzorowo przez p. Frenkla będzie bardzo wygodne, nie chcę rozstrzygać. Można by się jednak zgodzić na to, gdyby ta zbytnia skrupulatność w podawaniu treści rękopisów, nie rozciągała wydawnictwa także i pod względem czasu co oczywiście przy obecnéj metodzie wcale nie zadziwia ponieważ w zbiorach znajdzie się niezmierne i nieocenione bogactwo materyałów dziejowych, każdy pragnąłby widziéć katalog jak najprędzéj ukończonym. Tymczasem, jeśli zważymy, że pierwszy zeszyt katalogu wyszedł w pierwszéj połowie r. 1880, trzy dalsze zeszyty w sześciu następnych latach, t. z. że oba tomy potrzebowały ośmiu lat pracy, to za pomocą prostego rachunku zobaczymy, że na ukończenie jego będziemy musieli czekać *jeszcze trzydzieści sześć lat* (oczywista, jeśli liczba rękopisów się nie zwiększy). Że to niezbyt pocieszające, nie potrzeba dowodzić. A choćbyśmy chętnie poświęcili cokolwiek téj dokładności w podawaniu treści, gdybyśmy tylko całość miéć mogli, będziemy musieli pogodzić się z myślą, że już nie my, lecz przyszłe pokolenie XX wieku ujrzy skończony katalog biblioteki Ossolińskich. *F. Bostel.*

= **Recepta na to, abyśmy się długo w oyczystey ziemi osiedzieli. A. 1682**. *Dokument historyczny do dziejów polskich wieku XVII wydał J. K. Plebański. Warszawa, 1887, 8⁰, stron 22.* — Ogłosił p. Plebański *Receptę* z manuskryptu, znalezionego w bibliotece Braci czeskich, w Lesznie, nie wiedząc, że była drukowaną. Estreicher w *Bibliografii* swojéj zanotował ją pod r. 1597, w istocie jednak wyszła w stuleciu XVII (Bez m. i r. 4⁰, kart nlb. 12), czego dowodzi treść. Piękny téj rzadkiéj broszury egzemplarz odnalazł w bibliotece ordynacyi Krasińskich pilny nad rzeczami polskiemi pracownik, p. Zygmunt Wolski. Rękopis, którego użył p. Plebańskl, niezupełnie odpowiada tekstowi wydania pierwotnego, w wielu razach oddaje rzecz mylnie. Zamiast: „ciężkiéj od Boga nie odniesiecie kary (za) ten

nieużyty wasz umysł",—powinno być: „cięźkiéj nie odniesie od Boga kary ten wasz nieużyty i nieporuszony umysł". Zam. „Przodkowie wasi nie chcieli na się oburzać Turczyna, aleście od niego kilką prowincyey i wielkiemi krajami byli zasłonieni", — powinno być: „Przodkowie wasi nie chcieli obruszać na się Turczyna, ale się od niego kilką prowincyi i wielkimi krajami zasłonili". Zam. „Pierwszy skutek: Niemiłość ojczyzny"... powinno być: „Pierwszy skutek niemiłości ojczyzny"... Zam. „zakamiałych", „zakamieją", „ledajako",—czytamy w pierwotném wydaniu: „zakamieniałych... zakamienieją... ladajako"... Na karcie tytułowéj nie ma wyrażonego r. 1682, ani przy mowach Karnkowskiego i Zamojskiego r. 1597.—Ogłoszenie zapomnianéj prawie, a ciekawéj wielce broszury poczytać należy p. Plebańskiemu za istotną zasługę, tém więcéj, że zaopatrzył tekst w odpowiedni komentarz. Szkoda, że nie wiedząc o wydaniu pierwotném, nie był wstanie ustrzedz się błędów rękopiśmiennéj kopii.

Sm.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kilka słów na czasie. —
Czém się różnią lekkie profesye od innych. — Upał kuźni i upał szkoły. — Powszechność wiary w przyjście Mesyasza. — Pożytek z zaludnienia miejsc kąpielowych. — Deputacya francuska i warszawska inteligencya. — Wpływ życia w zacieśnionych kółkach na publicystykę. — Potrzeba znajomości kraju dla Warszawy i wpływu Warszawy na kraj. — Jak to osiągnąć?

Stronnictwa i hasła ich zużywają się jak wszystko na świecie; co było popularném, modném, czém się ludzie szczycili, za co stawiano im pomniki: gdy nastąpi zmiana wyobrażeń i warunków zewnętrznych, wszystko to idzie między stare rupiecie. Ewolucya taka dziwi tylko tych, którzy mniemają, że hasła i dążenia strącających się warstw społecznych i pokoleń muszą być skamieniałe jak ich mózgi. Żyjemy w porze rodzącéj prawie codzień nowe hasła i stronnictwa, chociaż dawniejsze jeszcze się nie wyczerpały i nie przyniosły wszystkich owoców, jakieby przy wytrwałości wydać mogły. Żyjemy prędzéj niż nasi przodkowie; krew i myśl zdają się w spółczesném pokoleniu prędzéj krążyć, niż u nich. Mówiąc to, mamy na myśli nie Zachód europejski, gdzie wielkie interesa ekonomiczne i polityczne ważą się i ścierają wśród warstw społecznych i konkurencyi międzynarodowéj, lecz ubogi, zaspany nasz zakątek.

Każdego musiała uderzyć nasza gorączka w poszukiwaniu nowych haseł, w głoszeniu coraz nowych programatów, których organami stają się najczęściéj nowe dzienniki i pisma peryodyczne. Mieliśmy pracę organiczną, pragnienia ugodowe, walkę klasową, dźwiganie ludu; jesteśmy jak nagi w pokrzywach: jakkolwiek się obróci, zawsze się sparzy. Narzekamy na brak ideałów pośród młodzieży, na zardzewienie umysłów, na spopielenie serc i zmateryalizowanie dążności, na brak wszelkiego ruchu i stagnacyą życia. Pytają jedni drugich, co robić? poszukują idei mogącéj zespolić umysły i podnieść serca, słowem, chcą się ruszać.

Położenie nasze obecne objaśnia w pewnéj mierze ten chaos dążności i haseł, ale go nie usprawiedliwia; tak, że nasuwa się pytanie, czy pokolenie nasze tak już podupadło, że nie umié sobie zdać sprawy z istniejącego stanu rzeczy? Organa prasy złorzeczą sobie, stając w obronie to tradycyi, to postępu; jedne plwają na przeszłość, drugie ją apoteozują; jedne kadzą szlachcie, drugie pospólstwu; raz nienawiść ich zwraca się przeciw Żydom, Niemcom i pozytywistom, to znów innych przeciw ultramontanom, klerykałom i ciemnogrodzianom; dla jednych patryotyzm i patryotniki są tarczą do strzałów, dla drugich prawomyślność wszelkiego stempla stanowi kryteryum wartości człowieka. W téj babelskiéj kapeli jedni widzą objawy życia, bo przecież się ruszamy, — drudzy biorą je za symptomata marazmu: tak, czy inaczéj sądzić je będziemy, objawy te świadczą, że życie nasze społeczne nie funkcyonuje normalnie.

Czy stan podobny jest wynikiem braku idei lub hasła mogącego skupić umysły? Czy, pomijając inne, jako niepraktyczne lub niedorzeczne, idea pracy organicznéj, jako hasła mogącego skupić rozstrzelone aspiracye, już się przeżyła, czy już wydała owoce? Nie sądzimy. Bo i cóż w sobie mieści hasło: praca organiczna? Oto pracę około chleba i oświaty: z tego dwojga płynie reszta. Mamyż więc chleba pod dostatkiem? Bynajmniéj.

Ciężkie warunki ekonomiczne, na które się złożyły częścią okoliczności od nas niezależne, a głównie nasze marnotrawstwo, lekkomyślność, ciemnota sprawiły, że coraz więcéj tracimy ziemi na kresach wschodnich i zachodnich, że więksi właściciele muszą teraz sprzedawać dobra rycerskie Niemcom, chłopi galicyjscy Żydom, że coraz więcéj przybywa proletaryatu, to jest gąb do jedzenia, dla których nie odkryto żadnego źródła, zkądby je nakarmić można. Jak tu myśléć o sztuce lub nauce, gdy wiatr przez opończę dmucha, a jutro ciemniejsze od dzisiaj?

Nie tak dawno jeszcze setki i tysiące ludzi znajdowały skromne utrzymanie w rozmaitych gałęziach administracyi; dzisiaj czasy się zmieniły. Przekształcenie stosunków rolniczych wyrzuciło sporo ludu szlacheckiego na bruk miejski i należy przewidywać, że takich wykolejonych, a nic oprócz konsumowania nie umiejących, coraz więcéj będzie. Wpłynie zaś na to obecne przesilenie ekonomiczne i przemysłowe, pod którém stękają bardzo zamożne i ruchliwe społeczeństwa zachodniéj Europy i północnéj Ameryki. Ze sfer zatém rolniczych i przemysłowych napływa coraz więcéj proletaryatu: świadczą o tém tysiące próśb o wakującą gdziekolwiek najlichszą posadę; dają się słyszéć niezliczone głosy, wołające już nie o ideały,

lecz o chléb powszedni. Zkąd go wziąć? możnaż go stworzyć kamiennym frazesem nienawiści, głoszonym przez panów kamiennych, wskrzeszających tradycye epoki kamiennéj? O chléb coraz trudniéj—taka jest zwrotka obecnéj chwili. Jak dostać chleba, żeby się takie mnóstwo najadło? Gdzie i około czego zatrudnić tyle rąk próżnujących? Czyż dla tych, co rozumieją znaczenie pracy organicznéj, co się chcą ruszać, a mają po temu środki i odpowiednie uzdolnienie, mało pola do ruszania się, do wyścigów, ażeby powoli cały naród nie poszedł na dziady? Zubożałe społeczeństwo stanowi słabszy opór w walce o byt, niż bogate; doświadcza tego każdy na sobie. Nędza odhartowywa wolę, nadgryza charaktery, prowadzi do spodlenia się i upadku.

Wszystko to zdaje nam się być tak dotykalném i jasném, że chyba niema nikogo wśród oświeceńszych, któryby potrzebował innych dowodów nad te bezpośrednio odczuwane objawy wielkiego zubożenia naszego. Ile morgów ziemi, ile domów po miastach, ile przedsiębierstw i fabryk przeszło i przechodzi w obce ręce? Miasto i wieś, starzy i nowi obywatele zarówno stękają już nie z przyzwyczajenia, lecz pod grozą najboleśniejszéj rzeczywistości.

O chlebie tedy trzeba pamiętać, jest on bowiem najistotniejszą podstawą życia społecznego; hasło zalecające budowanie téj podwaliny wcale się nie wyczerpało; przeciwnie, dużo jest w tym kierunku do roboty i zamiast poszukiwać nowych programatów, idei, zamiast uczyć papieża jak ma rządzić kościołem, a Bismarcka, jak ma rządzić Niemcami; zamiast sypać ludziom w oczy piasek chłopomański czy ultramontański, byłoby może pożyteczniéj rozprawiać, jak dostać chleba i jak zdobyty szanować.

— Jużeśmy te morały nieraz slyszeli — powié niejeden z gorąco-krwistych, — dobre to dla spróchniałych mózgów i serc wystygłych; ale dla tych, co pragną nowéj ziemi i nowych obłoków, taka ośpiewana piosnka nie do wysłuchania.

Ci, co jedli trochę nadgniłych owoców z drzewa wiadomości, a nie kosztowali owoców z drzewa żywota — zwykle tak mówią; w balon własnéj fantazyi chcieliby porwać tych, co się ziemi trzymają. Wiemy, że dziennikarskiemi artykułami nie można ani fabryk, ani przemysłu, ani znośniejszych warunków bytu wytworzyć; z tém wszystkiém przypomnienia o tém, co znaczy praca organiczna, nie uważamy za zbyteczne, zwłaszcza, gdy nowi ludzie nowych dróg poszukują.

Niemniéj druga podwalina bytu społecznego, oświata, nie została położona; pod tym względem stoimy na tak słabych nogach, że lada wiatr nami pomiata. Pesymiści przypuszczają, że poziom naszego oświecenia znacznie się obniżył w porównaniu z tym, na

jakim ono stało przed ćwiercią wieku. Liczby umiejących czytać i pisać nie znamy, a ztąd nie możemy napewno twierdzić, o ile procent ich od ćwierci wieku podrósł; ale choćbyśmy mieli ścisłą statystykę, jeszcze samo czytanie i pisanie oświecenia nie stanowi. Trzebaby znać nadto poziom moralny; otóż ten, już nie według pesymistów, znacznie się podobno obniżył. Jest koło czego pracować.

Ruch umysłowy, szczególniéj w kierunku gruntownych badań naukowych jest obecnie w Królestwie tak nikły, że prawie o nim mówić nie można. Maleje coraz bardziéj liczba dzieł naukowych, piśmiennictwo utonęło w dziennikarstwie, beletrystyce i polemice. Samo znów dziennikarstwo robi bokami: po szumnych zapowiedziach postępowych, ćwierć- i całokonserwatywnych, cała ta wegetacya papierowa zaczyna schnąć suchotami kieszeni a często i głowy. Kuchmistrze dziennikarscy podlewają swoje potrawy rozmaitemi sosami, jeden bezbożnym, drugi pobożnym, ale podniebienia już zobojętniały i nie smakują ani w radykalnych, ani w konserwatywnych przyprawach. Gdy umysłom brak porządnéj kultury, mogą chwilowo łapać się na hasła postępowe, czy demokratyczne, wsteczne czy arystokratyczne: wszystko to jednak trwa niedługo; na tym piasku nic zbudować nie można. Tymczasem społeczeństwa, zwłaszcza rozbite, nie mogą się dźwigać powieścią, odpustową gawędą lub zgorzkniałą polemiką. Trzeba się zatém uczyć gruntownie i wytrwale, trzeba kłaść fundamenta pod życie umysłowe. Chléb i światło—oto nasze hasło! Nie wyłącza ono wyższych pragnień czyli tak zwanych ideałów w kierunku sztuki, nauki i życia publicznego na szerszą skalę; ale to zdaje się być jasném, że póki fundamenta nie są położone, o dachu myśleć nie można.

Jeżeli dostęp do szeregów urzędniczych jest ograniczony, musi się młode pokolenie rzucić do szeregów rzemieślniczych, handlowych i rolniczych, nie chcąc się zdemoralizować i głodną śmiercią wymrzéć. Jeżeli rzemiosło dotychczas nie nęci jako brudne i zaniedbane, to czyby nie można, zamiast tworzyć lichych uczonych i wydawać liche tłómaczenia, użyć tego funduszu na wysłanie corok za granicę kilku młodzieńców, żeby się wyrobili na porządnych rzemieślników, a gdy wrócą, dopomódz im do założenia wzorowych warsztatów. Czyby właściciele ziemscy nie lepiéj zrobili dzieląc fortunę na mniejsze cząstki i osadzając na nich synów, zamiast sposobić ich z wielkim trudem na inżenierów, prawników i literatów? Przecież byt niezależny od klamki pańskiéj, od protekcyi i służalstwa jest pożądańszy, niż to wysługiwanie się obcym bogom na dalekim Wschodzie lub Zachodzie! Nie mogąc zdobywać obcych krajów, moglibyśmy tysiące nieuprawnych morgów w własnym kraju

zdobyć na błotach, moczarach i piaskach. Ludność nasza jest tak rzadka w stosunku do ziemi, że na długo jeszcze starczy pracy około roli i chleba nie zabraknie, byle nie zabrakło ochoty i wytrwałości, byle się pozbyć pańskich narowów: używania bez pracy. Jeżeli nas rozum do téj pracy powolnéj, mrówczéj, niepokaźnéj, ale jedynie twórczéj nie zmusi; jeżeli i ziemię i pole umysłowe zapuścimy odłogiem, nie uratuje nas żadne rozprawianie o ideałach, wołanie o nowe hasła, piorunowanie na szlachetczyznę i tradycyą. Co przeszłość przeoczyła, teraźniejszość zmudną, przez całe pokolenia trwającą pracą musi naprawić.

Nie zrażać się niczém i wytrwale pracować na każdem stanowisku—oto, co rodzice dzieciom wpajać, co sami sobie bezustanku powtarzać winniśmy. §§

Tak zwane lekkie profesye mają to do siebie, że wyczerpują siły człowieka dotkliwiéj i prędzéj, niż inne, nie mające tego epitetu. Do fizyologów należy się zwrócić o wytłómaczenie zjawiska, a od słownikarzy żądać wypada usunięcia niewłaściwego miana; my zaznaczamy jedynie sam fakt, aby następnie wysnuć zeń, jako skutek, inny objaw, a mianowicie gromadne opuszczanie stolicy na czas letnich miesięcy przez inteligentne klasy, a więc i przez literatów.

Kowal rok cały może piec się przy ogniu i ciało jego nabiera wciąż większego hartu, mięśnie tężeją; zapewne, wyjechał by on sobie chętnie na letnie mieszkanie i na wypoczynek po ciężkiéj pracy, gdyby miał środki, ale to dlań niezbędne nie jest i nieustanne zajęcie znosić może bez widocznéj szkody. Nerwy nauczyciela, dziennikarza, adwokata nie wytrzymałyby ciągłéj pracy dłużéj nad jakie trzy, cztery lata. Trzeba widziéć przedstawicieli pierwszego np. z tych zawodów, w jakim stanie przepędzają ostatnie chwile roku szkolnego. Blask oczu przygasa, głos słabnie, cała postać się pochyla. Wyobraźnia robi położenie jego przykre jeszcze nieznośniejszém, nasuwając nieustanne obrazy otwartego i czystego powietrza na wybrzeżu morskiém, rozległych łanów dojrzewającego zboża, aksamitnéj murawy, na któréj rozciągnąwszy się, można będzie zapomniéć o zgryzotach i znużeniu, o ciężkiéj doli własnéj i jeszcze cięższym losie całego otoczenia. Nabierze się sił do pracy nowéj, wśród któréj znowu marzyć się będzie o przyszłych wakacyach, a po za niemi o téj jakiéjś złotéj erze w życiu ludzkości, która ma wszystko odmienić: złość utraci swą moc, łzy gorycz, a przyszłość dzieci nie samo tylko drżenie i trwogę wywoływać

będzie. Kto to o téj erze nie roi. Spodziewali się jéj prapradziady, spodziewają się prawnuki. Żydzi czekali mesyasza, spodziewając się odeń powszechnego wymiaru sprawiedliwości, wynagrodzenia za krzywdy, pocieszenia cierpiących. Ta wiara, to przeświadczenie, że kiedyś przecie nadejdzie dzień sądu, gości zwykle w piersiach uciśnionego. To też kiedy niedola przebierze miarę, kiedy ból znieść trudno, kiedy bezsilność miesza zmysły, wtedy jeszcze strapione serce szemrze z cicha groźbę wszystkim złym duchom świata: przyszłość was ukarze! Wiara w przyszłość to pierwszy warunek zachowania bytu, kto ją utraci, ten, jak Anteusz, oderwany od ziemi, zginąć musi w walce z przeciwnościami. Gdy człowiek żyje myślą głównie, gdy nią łączy i obejmuje wszelkie przejawy odbywających się przemian, to mu tę wiarę tak trudno zachować, jak trudno płucom wytrzymać w zatrutém powietrzu: wszystko się składa, aby ją zniszczyć, ze złego wszystko się stacza w gorsze, a złość ludzka głośno się przechwala, że jéj daleko do końca. Pożytecznèm więc bywa—wyrwać się z tego odmętu, zdala od zgiełku świata odetchnąć spokojnie, zapomnieć o tém co dławi i nuży przez rok cały, nawet znieczulić się na czas jakiś, aż siły wrócą, aby znowu wziąć się do pracy, bez któréj i wiara nie wystarczy.

Nie tylko więc jest konieczne, ale i pożyteczne, że ludzie, żyjący głównie umysłem i nerwami, odrywają się od swych zajęć i w odmiennym trybie bytu i innèm otoczeniu szukają wytchnienia. Tém nie mniéj jednak wskutek tego warsztat pracy społecznéj w wielu kierunkach ustaje, działalność, któréj nigdy za dużo być nie może, słabnie. Ożywiają się miejsca kąpielowe, stacye lecznicze, w wielu z nich kwitnie gra, w innych rozwielmożnia się rozpusta. Czy potrzeba odpoczynku rodzi konieczność marnowania czasu? Ani gry ani rozpusty nie podsycają gorliwym udziałem chorzy, którzy wyjechali rzeczywiście się leczyć. Komu potrzebne jedynie powietrze świeże i zmiana warunków życia, mógłby spędzić czas o wiele pożyteczniéj.

Deputowani francuscy i innych krajów, równie potrzebują wakacyi i rozjeżdżają się też na letnie miesiące po kraju. Wszyscy ci, na których zaufanie narodu nie pomyliło się, odrywając się od nużących zajęć, nie przestają pomimo to spełniać swych obywatelskich obowiązków. Korzystają oni z czasu, aby zaznajomić swych wyborców z biegiem spraw krajowych, wytłómaczyć swoje postępowanie, usiłują poznać myśli, pragnienia i usposobienia ludności, która swe losy im w ręce złożyła. Łatwo spostrzedz, że pomiędzy deputowanym, zajmującym krzesło w radzie kraju z wyborów, a człowiekiem, mającym stanowisko uprzywilejowane wskutek jakichkolwiek bądź

okoliczności, zachodzi pewna analogia. Inteligencya jest też pewnego rodzaju deputacyą; na wyżywienie jéj, na otoczenie warunkami uprzyjemniającemi byt, zadawalniającemi najwyższe potrzeby, pracuje naród cały, zlecając jednocześnie głowom jéj załatwianie różnych potrzeb ogólnych. Aby spełnić należycie swe obowiązki, inteligencya powinna znać doskonale kraj, usposobienie i potrzeby jego mieszkańców; do tego zaś nie wystarczy odczytanie jakichś korespondencyi w gazetach, wspomnienia dzieciństwa, spędzonego w miasteczku, lub na wsi, i od czasu do czasu luźna gawęda z przyjeżdżającym z prowincyi na wystawę dawnym kolegą szkolnym.

Najwyższa inteligencya kraju, przebywająca w stolicy, tworzy wskutek potrzeb umysłowych, towarzyskich i zawodowych rodzaj zamkniętego koła, dzielącego się na kółka, z których każde żyje życiem odrębném, właściwém całéj sferze społecznéj. Nie mówiąc już o masach ludu, odległość wytworzyła się wielka pomiędzy nią i średniemi warstwami, księżmi, inteligencyą małych miasteczek, inteligencyą wiejską.

Najjaskrawiéj takie wyodrębnianie się znać na publicystach i ich działalności. Z wyjątkiem gieniuszów każdy człek powszedni jest krótkowidzem, otoczenie go pochłania i po za nie okiem sięgnąć nie może. Opinie i potrzeby jego kółka wydają mu się powszechnemi na cały kraj; zjawiska, zachodzące koło niego, przedstawiają mu się jako najważniejsze, najdoskonalsze lub najgroźniejsze. Jakże może człowiek, ulegający podobnym złudzeniom, miéć sąd trafny? Ileż to razy zdarza się, że dziennikarz jakiś pisze swe artykuły wprost dla szczupłego kółka znajomych: temat urodził się podczas dysputy, zbijane są twierdzenia, spotkane w prywatnym sporze, ogół nic o tém nie wié, nie interesuje go to i dziwi się nieraz, wysiłkom i sile argumentów, użytych na obalenie jakiegoś zarzutu, którego nikt nigdzie jako żywo publicznie nie stawiał. Bywa nawet tak, że piszący nibyto dla ogółu literat używa przytém mizernéj satysfakcyi kłócia jakiegoś nieprzyjaciela osobistego, którego wymienić mu nie wypada. Ogół, czytając nieraz frazes zwykły na pozór, ani się domyśla, że tkwi w nim zatruta strzała Parta, na którą przedmiot pocisku, jeżeli naturalnie zauważy, odpowié w innéem piśmie w sposób podobny. Nawet programy, stronnictwa nie są bynajmniéj wynikiem rozwoju i potrzeb szerokich kół społecznych, rodzą się one wewnątrz sfer inteligentnych Warszawy i w nich głównie mają swoję racyą bytu. Artykuły o młodym konserwatyzmie, o chłopskiéj cywilizacyi itd. zupełnie inaczéj brzmią w stołecznéj cukierni, a inaczéj gdy je czyta prenumerator, o dwie chociażby tylko stacye odległy od warszawsko-wiedeńskiego dworca.

Wszystko to jest nieuniknioném następstwem wyodrębnienia się, które chociaż téż jest pewnego rodzaju koniecznością, ale skutki jego w znacznéj mierze dałyby się osłabić, gdyby potrzeba tego została zrozumianą. Czas letnich wakacyi byłby do tego najodpowiedniejszą porą i bardzo nadającą się sposobnością. Wyjazd do znajomych na wieś, lub osiedlenie się w małém jakiém miasteczku, dałoby wytchnienie równie może skuteczne, jak pobyt w zgiełkliwéj Ostendzie, a z drugiéj strony przyniosłoby niemałą korzyść.

Nie łudzimy się wcale, żeby głos nasz wywarł jaki skutek; niestety, rzadko jeszcze względy ogólnéj natury przemagają nad osobistemi pobudkami i racyami, ale ponieważ niejedna już myśl słuszna tuła się jako *pium desiderium*, oczekując wciąż na wcielenie, niech do ich liczby przybędzie jeszcze jedna, a może téż i na nią koléj kiedy przyjdzie.

Korzyści kilkomiesięcznego rozpłynięcia się inteligencyi stołecznéj po kraju całym byłyby wielorakie i obustronne. Ludzie przeważnie myśli i słowa usposobieni są do lekceważenia wszelkiéj pracy, która nie nosi wyraźnéj barwy, hasła, tytułu; odwrotnie człowiek cichego, a nieustannego czynu, każdą ogólną zasadę gotów traktować jak pusty dźwięk. Starcie się tych dwu pierwiastków nauczyłoby obu wzajemnego szacunku, jeden uświadamiał by sobie częściéj prawdę, że w abstrakcyjnéj myśli ludzkiéj tkwi siła, drugi ujrzałby, że ze skromnych czynów człowieka, uchylającego się nieraz tam, gdzieby może głowę podnieść należało, wykwita niejeden pożywny owoc. Nieraz może dla umysłu, utrudzonego w nieustanném szamotaniu i pracy, skuteczniejszą niż morska byłaby kąpiel w jędrnéj atmosferze pozioméj, ale twardéj działalności praktycznéj, która wysoko nie sięga, celów dalekich nie zakreśla, ale z dzisiejszego usiłowania jutro otrzymuje rezultat. Ujrzałby z pociechą, że choć tam w górze rwie się, pęka, tu z dołu nowe komórki powstają, nowa budowa narasta.

Wpływ wyższego, wyćwiczonego nieustanną działalnością umysłu, na śniedziejących w zakątkach, pochłoniętych codziennemi zabiegami ludzi byłby niewątpliwie bardzo dodatni, ale dodatniejszym jeszcze byłby wpływ uczuć. Opinia parafii bardzo delikatna i czujna, gdy chodzi o wykroczenie towarzyskie, o dziwactwo w ubiorze, o szczególny akcent mowy i t. d. jest bardzo miernie czuła na rzeczy ważniejsze, jak np. na ustępstwa językowe na korzyść.... dajmy na to francuszczyzny, albo na lekceważenie pewnych względów przy wychowaniu dzieci i zapominanie, że powinny one z domu wynieść niemały zapas wiedzy i uczucia. Wynika to z utknięcia w powszednich troskach, ze słabych i rzadkich stosunków z żywszemi prą-

dami myśli. Teoretykowi szczególniéj przy jakiém takiém zbiorowém życiu łatwo wytrwać na właściwém stanowisku, łatwo być nieprzejednanym nawet, — praktyczna działalność wymaga nieustannych ustępstw, godzenia się z koniecznością, a na pochyłości każdéj zawsze grozi niebezpieczeństwo zsunięcia się za daleko. Zamilknięcie pewnych nut w głosie opinii nie wynika wcale z braku odpowiednch klawiszów i strun; nie, one istnieją, pozostają w bezczynności, gdyż nikt ich nie tyka, wydadzą jednak tony pełne i czyste, skoro w nie uderzy umiejętna ręka. Martwe wiersze gazety nie są w stanie przemódz nabytéj bezwładności, są one jak fale, kiedy, poczęte na głębinie jeziora, sięgają krańców jego osłabłym już ruchem, musną zaledwie piasek nadbrzeżny, ale go z miejsca poruszyć nie zdołają. Tak było np. ze składkami na bank ziemski. W Warszawie zawrzało silnie: czytanie miejscowych gazet, rozmowy. postanowienia podtrzymywały zapał. Zanim ten jednak dostał się na prowincyą, tak osłabł, że wywołał jedynie kiwanie głowami, i jakieś wyrzekania. Warszawa posłała pieniądze na kilkanaście akcyi, miasta, miasteczka, osady, wsie nie stawiły się do apelu zupełnie, chociaż znaczne i bardzo znaczne sumy zebrano w nich w swoim czasie na pogorzelców Siedlec. Wiele należy odliczyć na inne warunki, które byłyby nie pozwoliły równéj energii wydać równych owoców, ale zawsze coś byłoby się ujawniło; tymczasem nie dało się zauważyć ruchu żadnego.

Potrzeba wpływu słowa żywego, żywego przykładu, potrzeba aby ściślejsze węzły zespoliły umysły i serca, aby się wytworzyła żywsza i bezpośredniejsza wymiana myśli, aby wytworzył się wspólny rytm duchowy.

Odzywamy się z tém wszystkiém teraz, kiedy już jedni zbiegowie wrócili na zimowe leże, inni tęsknią do zapylonéj Warszawy, do zajęć, tak uciążliwych przed kilkoma miesiącami, do własnych kątów i mebli, do knajpy tak dusznéj w Maju i Czerwcu, do towarzystwa. Może więc kazanie spóźnione. Nam się wydaje ta właśnie chwila najwłaściwszą do zwrócenia uwagi. Każdy, przesycony lub nasycony przynajmniéj letnim wypoczynkiem, skłonny jest w téj chwili więcéj niż kiedykolwiek do krytycznéj oceny spędzonego czasu, do żałowania chwil straconych, teraz łatwiéj, niż kiedy indziéj skrystalizuje się nowy projekt, zanim stępieją wspomnienia, zanim nastąpi nowe zmęczenie, przebudzą się nowe marzenia, zanim nałogi do swych praw wrócą.

Ludwik Straszewicz.



NEKROLOGIA.

† **Jan Hanusz** urodzony w Kołodziejówce pod Stanisławowem w Galicyi r. 1858, nauki gimnazyalne pobierał w Stanisławowie; od r. 1877 przez lat cztery studyował filologią klasyczną i słowiańską pod kierunkiem Brandowskiego, Iskrzyckiego, Morawskiego, Tarnowskiego, Malinowskiego w uniwersytecie krakowskim, następnie od r. 1881 lat trzy przepędził w uniwersytetach lipskim, berlińskim i wiedeńskiem, oddając się z nadzwyczajném zamiłowaniem nauce sanskrytu i gramatyki porównawczéj wogóle. W Lipsku się doktoryzował, napisawszy rozprawę „Ueber die Betonung der Substantiva im Kleinrussischen“, w Wiedniu zaś habilitował się na docenta na podstawie rozprawy „Ueber das allmälige Umsichgreifen der n-Declination im Altindischen“ r. 1885. Wakacye r. 1885 przepędził na Pokuciu, badając dyalekty ormiańskie, tam istniejące. W r. 1886 wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego chciał go mieć u siebie profesorem nadzwyczajnym sanskrytu i gramatyki porównawczéj i w téj myśli wystosował do ministeryum podanie; zanim jednak przeszło ono drogę właściwą, Hanusz, dostawszy stypendyum imienia Gałęzowskiego, wybrał się do Włoch i w Kalabryi studyował dyalekty albańskie, a potém do Paryża dla studyów celtyckich. Tu umarł 24 lipca. Pisma jego w języku polskim, niemieckim i czeskim są bardzo liczne; mieszczą się one w wydawnictwach Akademii Umiejętności Krakowskiéj i Wiedeńskiéj, w „Pracach filologicznych“, „Przeglądzie polskim“, „Bibliotece Warszawskiéj“ i w naszém „Ateneum“.

† **Zygmunt Węclewski** urodzony 1 maja 1824 r. w Międzyrzeczu w W. Ks. Poznańskiém, odbył nauki gimnazyalne tamże, studyował następnie filologią klasyczną pod przewodnictwem Haasego; był nauczycielem w gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, a dawszy się poznać światu naukowemu szeregiem rozpraw z zakresu filologii greckiéj, oraz przekładami z greckiego na polski, powołany został do Szkoły Głównéj, gdzie wykłady prowadził aż do przemiany jéj na uniwersytet; w roku 1871 wezwany do Lwowa, spełniał obowiązki profesora łaciny i greczyzny aż do zgonu, który nastąpił 19 sierpnia roku bieżącego. Z licznych prac jego najważniejsze są: „Słownik łacińsko-polski“ (2 wydania), „Słownik grecko-polski“, „Historya literatury greckiéj“ (Warsz., 1867, tom I-szy, dalsze nie wyszły), przekłady całkowite tragedyi Eschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, rozprawa o życiu i poezyach Klemensa Janickiego, Andrzeja Krzyckiego, o Szlązakach-poetach, o E. G. Grodku. Jego wykłady autorów w Szkole Głównéj należały do najgruntowniejszych i najstaranniéj zarówno pod względem treści jak i języka polskiego wypracowanych. Tracimy w nim jednę z najcenniejszych sił filologicznych, zarówno w zakresie ściśle zawodowym, jak i w zastosowaniu do badań nad literaturą i nauką ojczystą.

† **Leon Rzeczniowski**, urodzony 1818 r. w Łaszczowie, w Lubelskiém, kształcił się w Szczebrzeszynie i Lublinie; następnie słuchał w Moskwie nauk filologicznych. Od 1844 do 1850 był nauczycielem



w Rawie; po ośmioletniéj przymusowéj przerwie powrócił do ulubionych zajęć, wykładając w Łomży i Piotrkowie historyą i języki klasyczne do r. 1884. Z prac jego drukowanych wymieniamy następujące: 1. „Dawna i teraźniejsza Łomża“ (1861); 2. „Opis kościoła farnego w Łomży“ (1861); 3. „Oddrzwia kamienne i otoki od okna w zamku piotrkowskim wraz z krótkim tegoż zamku opisem“ (1864); 4. „Opis grobowca Nikod. Kossakowskiego, starosty łomżyńskiego“ (1864); 5. „Historyczna wiadomość o farze piotrkowskiéj i synodach w niéj złożonych“ (1865); 6. „Opis trybunału piotrkowskiego“ (1866); 7. biografia Juliana Pfeifra, dyrektora teatru krakowskiego; 8. opis statystyczny Piotrkowa z roku 1866; 9. „Zasłużeni Lublinianie pod względem naukowym, literackim i artystycznym“; 10. biografia Zienkowskiego Jana, doktora, agronoma i rektora szkół; 11. opis podróży z Karlsbadu do Gasteinu (1866); 12. „Opis kościoła i kolegium popijarskiego w Piotrkowie“ (1870). Rzeczniowski był nadto czynnym korespondentem do gazet: „Codziennéj“, „Polskiéj“, „Warszawskiéj“, „Dziennika Powszechnego“, „Kuryerów“ i dzienników prowincyonalnych. W rękopisach pozostało po nim kilka prac obszernych. Zmarł 15 sierpnia r. b w Piotrkowie.

† **Mieczysław Bochenek**, dr. praw, profesor ekonomii politycznéj w uniwersytecie Jagiellońskim, urodził się 28 listopada 1838 r. Po ukończeniu gimnazyum, uczęszczał przez dwa lata na wydział filozoficzny, a następnie na wydział prawny. Przez lat 3 pracował w redakcyi „Czasu“, w r. 1867 uzyskał stopień doktora praw, oddał się studyom nad ekonomią polityczną w Heidelbergu i Paryżu. Powróciwszy do rodzinnego miasta, został docentem téj nauki, a od r. 1871 i ustawodawstwa finansowego. Z kolei osięgnął profesurę nadzwyczajną i zwyczajną. Zakończył życie 29 lipca r. b.—Ogłosił drukiem: 1) „Stanowisko państwa wobec kolei żelaznych“; 2) „Kasy pożyczkowe, na wzajemności oparte i zasada stowarzyszeń“; 3) „Wymiana dóbr, jéj mechanizm, jako wstęp do teoryi kredytu“; 4) „Kredyt jako czynnik ekonomicznego, etycznego, społecznego i politycznego rozwoju społeczeństw“; 5) „Podatek gruntowy i system podatków od intrat“; wreszcie liczne rozbiory dzieł rozmaitych, pomieszczane w „Przeglądzie krytycznym“ i w „Czasie.“

† **Ksawery Pasiutewicz** urodzony w 1832 w Szczebrzeszynie, po ukończeniu gimnazyum odbył studya medyczne w uniwersytecie Kijowskim. Od r. 1859 spełniał gorliwie obowiązki lekarza szpitalnego w Puławach. Doktoryzował się w 1863 r. w Warszawie. Pisał w przedmiotach, dotyczących swego zawodu, jak np. „O nosaciznie,“ „O wrzodach na goleni“ i t. d. Zmarł w końcu lipca r. b.

† **Hieronim Krzesiński** zakończył życie w Poznaniu, były nauczyciel gimnazyum M. Magdaleny. Napisał studyum o „Panu Tadeuszu“ i był spółpracownikiem w kilku czasopismach.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

OGŁOSZENIE.

„**KRAJ**“ w Petersburgu (treść za Lipiec, Nr. 27, 28, 29 i 30) *Artykuł wstępny*: Kwestya żydowska w świetle statystyki „Niwy“. Przyczyny niepowodzenia wystawy wileńskiéj. Parlamentyzm w kasie przemysłowców warszawskich. — *Korespondencye*: z Tarnopola przez Iw. Franko, z Witebska p. W F., z Gniezna p. Wiarusa, z Wiednia (dwie) p. Dr. K. i Atanazego, z Warszawy (dwie) p. W. Wołyńskiego.— *Sprawy bieżące*: Przeciwko cudzoziemcom. Następca tronu w Galicyi. — *Dział polityczny*: Z tygodnia: Słowa wstępne. Nieurzeczywistniająca się obrona ziemi Wielkopolskiéj. Polemika z „Niwą“. Reorganizacya wyższego wykształcenia kobiet. Reformy w wychowaniu publiczném. Śmierć Katkowa. Operacya umorzenia biletów kredytowych. — *Ziemie i kol. słowiańskie*: Listy z Krakowa 2, Lwowa, Rusi halickiéj 2, Poznania, Lipska, Paryża 2, Wiednia, Budapesztu i Ameryki 3. — *Z Warszawy.—Z prowincyi*: Listy korespon. z Piotrkowa, Nowéj Aleksandryi, Kalisza, Kieleckiego, Wilna i gub. Wileńskiéj 8, Kowna i gub. Kowieńskiéj 2, Mińska i gub. Mińskiéj 3, z Kamieńca i gub. Podolskiéj 4, z Żytomierza i gub. Wołyńskiéj 3, z Kijowa i gub. Kijowskiéj 4, z Druskienik, z Polesia, Pińska, z Witebska i Kazania. — *Z sądów*: Ukaz grudniowy. Z ziemi jakuckiéj. Zamach na neofitkę. Sprawa adw. Pianowskiego.— *Dział ekonomiczny.—Przegląd literacki*: Roman Czartoryski i Kalinka przez Iw. Franko. H. Taine'a Napoleon Bonaparte przez E. P. Polityka cesarza Mikołaja p. Zdz. M. Odrodzenie Czech, obrazki więzienne p. Maryą Konopnicką. Polska z czasów przedhistorycznych p. D-ra J. Rostafińskiego. Zapomniany poeta przez Br. Bieńkowskiego. Mickiewicz i Puszkin, odczyt Wł. Spasowicza. Listy o literaturach słowiańskich przez Br. Grabowskiego. W beczce Dyogenesa p. J. Vrchlickiego. Słońce przez Merczynga. Zaćmienie słońca ze stanowiska fizycznego, przepowiednie na rok 1887, przez Wł. Żukowskiego. Jak należy obserwować zaćmienie przez J. K. Myty Słowian o słońcu p. Lew. Wykaz stacyi i obserwatów. Sprawozdania lit. Kronika bibliograficzna.

TREŚĆ Nr. 31.

Artykuł wstępny: Uwagi nad pomysłem nowéj formy dzierżawnéj. — *Korespondencye „Kraju“:* z Gniezna, p. Wiarusa. — *Sprawy bieżące:* Przeciwko cudzoziemcom. M. N. Katkow. O żydach. Sprawa Tanti.—*Z sądów.* — *Dział polityczny:* Z politycznego świata. Tydzień polityczny. Ostatnie telegramy. — *Z Tygodnia:* Słowo wstępne. Ziemie i kolonie słowiańskie. Przegląd prasy. Wiadomości bieżące. Kronika petersburska. Z Warszawy. Z prowincyi. Kronika powszechna. Doniesienia. — *Dział ekonomiczny:* Przegląd. Kijowskie Towarzystwo rolnicze. Sprawozdanie giełdowe i rynki towarowe. Tydzień ekonomiczny (rolnictwo, cukrownictwo, gorzelnictwo i piwowarstwo; przemysł i handel; komunikacye; finansowość). — *Ogłoszenia.*

Treść „Przeglądu literackiego“: K. Waliszewski. „Potoccy i Czartoryscy. Walka stronnictw i programów politycznych przed upadkiem Rzeczypospolitéj. 1734—1763“, p. Kaz. Jarochowskiego. — Mickiewicz i Puszkin przed pomnikiem Piotra Wielkiego, odczyt Wł. Spasowicza (d. c.). — Odrodzenie Czech. (Studyum historyczno-polityczne), przez J. Nitowskiego (d. c.). — Stanisław Grudziński. „Nowele“, przez Ama. — Kronika naukowa, literacka i artystyczna. — Nowe książki otrzymane w redakcyi „Kraju.“ — Treść pism. — Bibliografia. — *Odcinek*: We mgle (z mego dziennika) napisał Iwan Vojnović. Tłómaczył z chorwackiego Jan Nitowski.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Sierpnia 1887 r.

---

1. **Mechanika** przez *J. Łubieńskiego*, Inżyniera. Warsz. 1887, 8-o, Zeszyt 3-ci tomu I-go, od str. 97 do 144, z drzeworytami w tekście (wydanie Redakcyi „Gazety Rzemieślniczej“).
2. *Adam Szymański.* **Szkice.** Tom I. Petersburg, nakład autora 1887, 8-o, str. 159 (cena rsr. 1).
3. *Gebethner* i *Wolff.* **Katalog dzieł** nakładowych i w większéj ilości zakupionych, Kwiecień 1887. Warsz. 8-o, str. 48.
4. **Stanowisko Towarzystwa Kredytowego** Ziemskiego w obec niszczenia dóbr. Przez *Józefa Jezioranskiego.* (Przedruk ze „Słowa“). Warsz. 1887, 8-o, str. 20.
5. **Rocznik statystyki Galicyi** wydany przez Krajowe biuro statystyczne (Oddział statystyki przemysłu i handlu) pod kierunkiem *D-ra Tadeusza Rutowskiego.* Rok I. 1886. Lwów, 1887, 8-o, kart nlb. 6 + 294.
6. **Hipnotyzm** w paryzkim szpitalu „La Salpêtrière“. Sprawozdanie *D-ra Alexandra Raciborskiego*, docenta filozofii wszechnicy Lwowskiej. (Odbitka z „Kosmosu“). Jako dodatek: **Jak drukuje „Biblioteka Warszawska“** artykuły treści filozoficznej? Lwów 1887, 8-o, str. 72.
7. **Archiwum książąt Lubartowiczów Sanguszków** w Sławucie wydane nakładem właściciela pod kierownictwem *Z. L. Radzimińskiego*, przy współudziale *P. Skobielskiego* i *B. Gorczaka.* Tom I, z trzema tablicami litogr. 1366—1506. We Lwowie, 1887, 4-o, str. XXIX i 202.
8. *A. Strzelecki* i *H. Kotlubaj.* **Encyklopedya rolnicza** i rolniczo-przemysłowa (Wydawnictwo redakcyi „Rolnika i Hodowcy“) Zeszyt II Lit. *C.* — *D.* Warszawa, 1887, 8-o, od str. 209 do 400 (z drzeworytami w tekście).

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Іюля 1887 г.

